

Literackie wydarzenie roku 2002 w Stanach Zjednoczonych!

WŁADCA OCEAN PARK



STEPHEN L.
CARTER

Stephen L. Carter jest profesorem prawa na Uniwersytecie w Yale. Przez ostatnie dziesięć lat napisał siedem książek popularno-naukowych bardzo dobrze przyjętych przez krytyków, w których poruszał ważne tematy, od roli religii w polityce i kulturze, aż po znaczenie uczciwości i uprzejmości w codziennym życiu. Profesor Carter, lat 46, jest uznawany za jednego z czołowych intelektualistów amerykańskich, a w roku 1994 tygodnik *Time* wybrał go do grupy pięćdziesięciu liderów w nowym tysiącleciu.

ISBN 83-914585-3-9



9 788391 445853 >

Władca Ocean Park to jego pierwsza książka beletrystyczna. Okrzyknięta została wydarzeniem lata 2002, kiedy to ukazała się na rynku amerykańskim od razu w nakładzie 500 000 szt. Wydawca zapłacił autorowi 4,2 mln dolarów za debiutancką powieść oraz drugą, jeszcze nie napisaną – co należy do rekordowych wynagrodzeń za pierwsze dzieło beletrystyczne pisarza. Za siedmiocyfrową kwotę sprzedano już prawa do ekranizacji firmie Warner Bros.

Jest to niezwykle dojrzały debiut beletrystyczny: obszerna, pasjonująca powieść sensacyjna, będąca jednocześnie doskonałym, przenikliwym studium obserwacji społecznej. To opowieść o skomplikowanych relacjach w rodzinie, na którą padł przerażający cień zbrodni. Tytułowy Władca, Sędzia Oliver Garland, niespodziewanie umiera. Jego śmierć wywołuje wiele pytań, które zdają się prowadzić do skandalu. Czy mógł zostać zamordowany? Przekazał synowi, Talcottowi, profesorowi prawa, dziwną wiadomość, mówiącą coś o „ustaleniach” – tajemniczą układankę, którą tylko on może odczytywać. I to jedynie przez wydobycie na światło dzienne zagadkowej przeszłości ojca. Wykorzystując zamilowanie syna do sześcioro, Sędzia zawarł przesłanie w skomplikowanych ruchach pionków i figur...

Misternie, doskonale napisana, często zjadliwie zabawna powieść **Władca Ocean Park** to mistrzowskie dzieło beletrystyczne – błyskotliwie poprowadzona fabuła, będąca mieszaniną rodzinnych tajemnic i ambicji, morderstwa, segregacji rasowej oraz wątpliwej sprawiedliwości społecznej.

„**Władca Ocean Park** to jeden z najbardziej gorących produktów tego lata i jedna z najbardziej dyskutowanych książek roku. Wprowadza nas w świat burzliwej afroamerykańskiej i robi to przy użyciu tak wyrafinowanego i eleganckiego stylu literackiego, że dotwierdzamy prawdziwej przyjemności czytania.”

The Globe and Mail

„Debiut powieściowy Stephena L. Cartera, **Władca Ocean Park** jest fenomenalny: dalece zadowalający thriller, który równie dokładnie przedstawia postacie, jak i sam wątek spiskowy... Jest to wspaniała książka na lato, którą będzie się długo parzytać.”

Contra Costa Times

„Jedną z najgłośniejszych książek tego lata i pewny bestseller...”

Time Out New York

„**Władca Ocean Park** to, jednym słowem, coś kapitalnego”

Fortune

„Fascynująca, pełna suspense opowieść o ambicji, zemście i potężne rodzinnych zobowiązaniach. Elegancko tajemnicza powieść, ze świetnie zarysowanymi bohaterami, prowokującą fabułą i doskonałym prowadzeniem akcji”

Booklist

„Ten pierwszorzędnny thriller prawniczy, który elektryzuje, mówiąc o naszych seksualnych, rasowych i religijnych twogach, będzie na ustach wielu osób tego lata”

Publishers Weekly (recenzja z wyróżnieniem)

„Carter nie jest pierwszym prawnikiem, który wkracza w świat literacki, ale prawdopodobnie jest najbardziej znakomitym.”

TIME

patroni medialni:



Stephen L. Carter

Władca Ocean Park

Tłumaczenie
Bożena Józwiak



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA
SP. Z O.O.

Tytuł oryginału

The Emperor of Ocean Park

Copyright © 2002 by Stephen L. Carter.

All rights reserved.

Projekt okładki

Waldemar Pawlik

Korekta

Anna Rzędowska

Współpraca w przekładzie

Biuro Tłumaczeń ARTIS www.bta.com.pl

Copyright O 2002 for the Polish edition by Sonia Draga Sp z o.o.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody Wydawcy nie wolno reprodukować i przekazywać w żadnej postaci ani za pomocą jakichkolwiek środków elektronicznych czy mechanicznych włącznie z fotokopiowaniem i nagrywaniem, ani za pomocą innego systemu pozyskiwania i odtwarzania informacji, żadnej części niniejszej książki

ISBN: 83-914585-3-9

Wydanie I polskie,

Katowice 2002

Wydawnictwo Sonia Draga Sp z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10

40-950 KATOWICE

tel. 032/ 7826037, fax 032/ 2537728

email: info@soniadrage.com.pl

Sprzedaż internetowa: www.merlin.com.pl

Druk:

Drukarnia im. Karola Miarki

ul. Żwirki i Wigury 1, Mikołów

*Dla mamy,
która uwielbiała zagadki
i dla taty, którego w tej nie ma:
Kocham was oboje, niezmiennie*

Deux fous gagnent toujours, mais trois fous, non!

(W wolnym przekładzie: Para głupców zawsze zwycięża,
natomiast trzech nigdy!)

- Siegbert Tarrasch

(Uwaga: W języku francuskim określenie figury szachowej
zwanej gońcem brzmi *le fou*.)

PROLOG

Dom na Martha's Vineyard

Kiedy mój ojciec w końcu umarł, pozostawił bilety z meczów Redskinsów mojemu bratu, dom przy Shepard Street mojej siostrze, a dom na wyspie Martha's Vineyard mnie. Najcenniejsze z tego dziedzictwa były oczywiście bilety z meczów futbolowych, ale w końcu Addison był zawsze ulubieńcem ojca i zagorzałym kibicem. Jako jedyne z dzieci niemal dorównywał mu w tej obsesji, no i tylko z nim ojciec rozmawiał w okresie, gdy po raz ostatni spisywał testament. Addison to klejnot w koronie, jeśli wybaczycie mi to określenie, natomiast między Mariah a mną panują dość chłodne stosunki od chwili gdy, jak to ona określa, przeszedłem na stronę wroga. To skłoniło ojca do zapisania nam domów odległych od siebie o czterysta mil.

Ucieszyłem się, że dostałem dom na Vineyard. Jest to schludny wiktoriański domek na terenie Ocean Park w mieście Oak Bluffs, z mnóstwem gotyckich drewnianych ozdóbek wzdłuż zapadającej się werandy i pięknym widokiem na białą muszlę koncertową wynurzającą się z morza zielonej trawy na tle morza jasnoniebieskiej wody. Moi rodzice chętnie opowiadali, jak to kupili go za bezcen w latach sześćdziesiątych, kiedy wyspa oraz kolonia utworzona przez przedstawicieli czarnej klasy średniej były jeszcze eleganckie i mało znane. Później Martha's Vineyard stoczyła się na dno, przynajmniej zdaniem mojego ojca. Często powtarzał, że stała się zatłoczona i hałaśliwa, a poza tym wpuszczają na nią każdego, kto chce, przez co rozumiał Murzynów, którym się powodziło gorzej niż nam. Budowano za dużo nowych domów psujących piękno dróg i lasów koło najlepszych plaż. Powstawały nawet bloki mieszkalne, szczególnie w pobliżu Edgartown, czego nie mógł pojąć, gdyż uważał południową część wyspy za teren Kennedych - miejsce, gdzie biali bogacze i ich rozpuszczone dzieci zjeżdżają się na wakacje. Ojciec zaś pielęgnował w sobie na poły gniewne, a na poły zazdrosne przekonanie, że biali ludzie pozwalają członkom ciemniejszej nacji - jak zwykł nazywać swoją rasę - roić się i tłoczyć, lecz pod warunkiem, iż dla nich samych pozostanie dość otwartej przestrzeni.

Jednak mimo całego tego zgiełku, dom na Vineyard jest małym cudem. Kochałem go już jako dziecko, a dzisiaj jeszcze bardziej. Każdy pokój, każdy ciemny drewniany schodek i każde okno ma do przekazania jakąś zapamiętaną tajemnicę. W dzieciństwie zламаłem kostkę i nadgarstek, spadając ze skośnego dachu za główną sypialnią. Teraz, po ponad trzydziestu latach, zupełnie nie pamiętam, dlaczego tak mi zależało, żeby tam się wdrapać. Dwa lata później, wędrując w ciemnościach po domu w poszukiwaniu wody, usłyszałem dziwny miaukliwy dźwięk, który skłonił mnie do przykucnięcia na podeście schodów. Stamtąd wypatrywałem przez balustradę, co mogło go spowodować i w ten sposób na tydzień przed swoimi dziesiątymi urodzinami udało mi się rzucić okiem na najważniejszą tajemnicę świata dorosłych. Dostrzegłem swojego o cztery lata starszego brata, Addisona, szamoczącego się z piętnastoletnią kuzynką Sally na wytartej burgundowej kanapie stojącej naprzeciw telewizora, w cieniu schodów. Żadne z nich nie było kompletnie ubrane, jednak nie potrafiłem określić, których części garderoby im brakuje. Moim pierwszym odruchem było uciekać. Tymczasem zamarłem w dziwnie ekscytującym letargu i obserwowałem, jak się przetaczają, przeplatając ręce i nogi w pozornie przypadkowych pozach. Najwyraźniej „robili to”, jak mawialiśmy w tych prostszych czasach, celowo nie wdając się w szczegóły.

Moje lata dorostania, dłużące się i nudne podobnie jak wiek dorosły, pozabawione były takich przygód. Chyba najbardziej poruszające dla mnie zdarzenie miało miejsce pod koniec naszego ostatniego letniego pobytu na Martha's Vineyard całą rodziną. Miałem trzynaście lat, a Mariah, będąca wówczas dość pulchną piętnastolatką, wściekła się na mnie za jakąś „dowcipną” uwagę na temat jej tuszy. Poszła do kuchni po zapalki, po czym ukradła moją ukochaną kartę baseballową firmy Topps z Willie Maysem i wspięła się na strych po ściąganej na dół drabince składającej się z ośmiu chybottliwych listewek. Kiedy ją w końcu dogoniłem, spaliła kartę na moich oczach, gdy ja łkałem, klęcząc bezradnie w dusznym upale zakurzonego strychu. Już wówczas byliśmy uwikłani w trwający całe życie schemat niechęci. Tego samego lata moja siostra Abigail, uznawana wtedy za dziecko, choć była zaledwie rok młodsza ode mnie, została gwiazdą naszej lokalnej gazety, „Vineyard Gazette”, kiedy w parny sierpniowy wieczór wygrała chyba z osiem nagród podczas powiatowego jarmarku. Trafiając strzałkami w balony i piłeczkami baseballowymi w butelki od mleka, ugruntowała swoją pozycję jedynej w rodzinie potencjalnego sportowca. Poza nią żadne z rodzeństwa nawet nie próbowało zdobywać laurów w tej dziedzinie, gdyż rodzice zawsze przedkładali rozum nad tężyźnię fizyczną. Cztery lata później nie słyhać już było chlapiącego śmiechu Abby - ani w Ocean Park, ani nigdzie indziej. Jej radość życia i wesołość, którą wносиła do naszego domu, ulotniły się w jednej tragicznej chwili, gdy na śliskim od deszczu asfalcie

niedoświadczona nastolatka bezskutecznie próbowała uniknąć zderzenia z roztańczonym na jezdni sportowym samochodem. Według świadków był to jakiś luksusowy model, ale nikt go dokładnie nie potrafił opisać. W związku z tym nigdy go nie znaleziono, gdyż kierowca, który zabił moją siostrę o kilka przecznic od Washington Cathedral w pierwszą wiosnę prezydentury Jimmy'ego Cartera, odjechał na długo przed przybyciem policji. To, że Abby nie miała prawa jazdy, tylko uczniowskie zezwolenie, oraz że w jej pożyczonym samochodzie znaleziono marihuanę, nigdy nie zostało publicznie ujawnione. Ani policja, ani nawet prasa nie miały na to ochoty, gdyż mój ojciec był, kim był i miał swoje powiązania, a ponadto w tamtych czasach szarganie reputacji wielkich nie było jeszcze naszym sportem narodowym. Dzięki temu Abby mogła umrzeć tak niewinna, jak udawaliśmy, że żyła.

W owym czasie Addison kończył już studia, a Mariah miała rozpocząć drugi rok, w związku z czym mnie przypadła niewdzięczna rola jedyne go dziecka, jak nazywała mnie mama. Tamtego lata w Oak Bluffs, kiedy wiecz nie milczący ojciec dojeżdżał do sądu federalnego w Waszyngtonie, a matka bezcelowo błąkała się po pokojach, postawiłem sobie za cel wyszukiwanie w domu wspomnień po Abby. Pod stosem książek leżących na czarnym metalowym wózku pod telewizorem znalazłem jej ulubioną grę „Życie”, a w oszklonej szafce nad zlewem - biały fajansowy kubek z legendarnym napisem CZARNE JEST PIĘKNE, kupiony, by zdenerwować ojca. Z kolei w narożniku dusznego strychu leżała wygrana na jarmarku pluszowa panda nosząca imię George, na cześć męczeńskiego czarnego bojownika George'a Jacksona, z której wysypywały się obrzydliwe, różowe paprochy. Teraz, gdy osiągnąłem niebezpieczny wiek średni, muszę przyznać, że wszystkie te wspomnienia z czasem bardzo wyblakły.

Ach, ten dom na Vineyard! Addison dwukrotnie zawierał w nim małżeństwo, jedno mniej więcej udane, a ja też dwukrotnie stłukłem witrażową szybę w podwójnych drzwiach frontowych, raz mniej lub bardziej celowo. W czasach mojego dzieciństwa mieszkaliśmy tu każdego lata, gdyż do tego właśnie służy letni dom. Każdej zimy ojciec narzekał na koszty jego utrzymania i groził, że go sprzeda, gdyż to właśnie się robi, kiedy szczęście jest wątpliwą inwestycją. A kiedy rak, który ścigał moją matkę przez sześć lat, w końcu zwyciężył, umarła w tym domu, w najmniejszej sypialni z najpiękniejszym widokiem na Cieśninę Nantucket, gdyż tak właśnie się postępuje, jeśli można sobie wybrać swój koniec.

Ojciec zmarł przy swoim biurku. Z początku tylko moja siostra i kilka najbardziej pijanych osób dzwoniących do nocnych programów radiowych twierdziło, że został zamordowany.

CZEŚĆ I

TEMAT NOWOTNEGO

Temat Nowotnego - W kompozycji szachowej temat, w którym dwie czarne figury uniemożliwiają sobie nawzajem obronę ważnych pól.

ROZDZIAŁ 1

Telefoniczne wieści

(I)

- To najszcześniejszy dzień w moim życiu - słyszę w słuchawce podekscytowany głos mojej poślubionej przed niemal dziewięcioma laty żony. Wkrótce ma się okazać, że jednocześnie będzie on jednym z najsmutniejszych dla mnie.

- Rozumiem - mówię, wyrażając tonem urazę.

- Och, Misha, dorośnij wreszcie. Nie porównuję go z dniem naszego ślubu. - Pauza. - Ani z urodzeniem dziecka - dodaje w charakterze przypisu.

- Wiem, rozumiem.

Znowu pauza. Nie znoszę pauz podczas rozmowy telefonicznej, ale właściwie to w ogóle nie znoszę telefonu i jeszcze wielu innych rzeczy. Na drugim końcu linii słychać w tle męski śmiech. U mnie jest prawie jedenasta rano, ale w San Francisco dobiega dopiero ósma. Nie ma jednak powodu do podejrzliwości - może dzwoni z restauracji, sklepu lub sali konferencyjnej.

A może nie.

- Myślałam, że się ucieszysz - odzywa się w końcu Kimmer.

- Naprawdę się cieszę - zapewniam ją, o wiele za późno. - Tylko, że...

- Och, Misha, przestań - najwyraźniej straciła cierpliwość. - Nie jestem twoim ojcem. Wiem, w co się pakuję. Mnie nie przydarzy się to, co jemu. Naszemu synowi też nie przydarzy się to, co tobie. Zgoda, kochanie?

Mnie nic się nie przydarzyło - pragnę skłamać, ale się powstrzymuję. Wolę się nacieszyć tak rzadką przyjemnością usłyszenia *Kochanie*. Teraz, kiedy Kimmer jest w końcu tak szczęśliwa, lepiej nie wywoływać zadrażeń. Nie chcę jej mówić, że moją radość nieco przyćmiewa obawa, jak na te wieści zareaguje mój ojciec. Mówię zatem tylko: - Po prostu martwię się o ciebie, nic więcej.

Potrąfię o siebie zadbać - zapewnia mnie, a jest to stwierdzenie tak zgodne z prawdą, że aż przerażające. Podziwiam zdolność mojej żony do ukrywania dobrych wieści, przynajmniej przed własnym mężem. Już wczoraj się dowiedziała, że lata delikatnych zabiegów oraz odpowiednich posunięć politycznych w końcu zaowocowały i znalazła się w czołówce kandydatów na wolne miejsce w federalnym sądzie apelacyjnym. Staram się nie myśleć, z iloma osobami zdążyła się podzielić swoją radością, zanim w końcu zadzwoniła do domu.

- Tęsknię za tobą - mówię.
- Miło to słyszeć, ale niestety, wygląda na to, że muszę tu zostać do jutra.
- Przecież miałaś wrócić dzisiaj.
- No, miałam, ale... po prostu nie mogę.
- Rozumiem.
- Oj, Misha, przecież nie zostaję tu celowo. To moja praca. Nic na to nie poradzę. - Przez kilka sekund obydwójce zastanawiamy się nad tym stwierdzeniem. - Wróć do domu najszybciej jak to możliwe, wiesz przecież.
- Wiem, kochanie, wiem. - Stoję za biurkiem i spoglądam przez okno na dziedziniec, gdzie studenci leżą na trawie z nosami w skryptach lub grają w siatkówkę, starając się wykorzystać resztki październikowego słońca. Mój gabinet jest jasny i przestronny, lecz nieco zabałaganiony, a to ostatnie określenie można też w zasadzie zastosować do mojego życia. - Wiem - powtarzam po raz trzeci, gdyż nasze małżeństwo przechodzi obecnie przez etap, w którym czasem trudno podtrzymać rozmowę.

Po odpowiednio długiej chwili milczenia Kimmer powraca do spraw praktycznych. - Wiesz co? Lada moment FBI zacznie rozmowy z moimi kolegami, no i z mężem. Kiedy to usłyszałam od Ruthie, mówię: „Mam nadzieję, że nie zdradzi im *wszystkich* moich grzechów”. - Krótki śmiech, zarazem ostrożny i pewny siebie. Wie, że może na mnie liczyć. Teraz nagle zaczyna przejawiać skromność. - Wiem, że biorą też pod uwagę innych, a niektórzy z nich mają duże osiągnięcia. Ale Ruthie twierdzi, że mam naprawdę duże szanse. - Ruthie to Ruth Silverman, nasza koleżanka ze studiów prawniczych, dawna przyjaciółka Kimmer, a obecnie zastępca doradcy Białego Domu.

- Bo masz, jeśli będą decydować sprawy merytoryczne - odpowiadam lojalnie.
- Brzmi, jakbyś myślał, że nie dostanę tego stanowiska.
- Myślę, że *powinnaś* je dostać. - Naprawdę tak sądzę. Kimmer jest drugim w kolejności najinteligentniejszym prawnikiem, jakiego znam. Jest partnerem w największej kancelarii prawnej w Elm Harbor, które moja żona uważa za małe miasteczko, ja zaś za miasto średniej wielkości. Tylko dwie inne kobiety zaszyły tak wysoko, ale nikt inny, kto nie jest biały.
- Może faktycznie ktoś już je sobie załatwił - przyznaje.
- Mam nadzieję, że nie. Chcę, żebyś dostała to, czego pragniesz i na co zasługujesz. - Waham się przez chwilę, po czym ryzykuję: - Kocham cię, Kimmer. Zawsze będę cię kochał.

Żona nie odwzajemnia się podobnym wyznaniem, natomiast rozpoczyna nowy wątek. - Będzie chyba czterech czy pięciu końcowych kandydatów. Ruthie mówi, że są wśród nich profesorowie prawa, a dwóch lub trzech to twoi koledzy. - Uśmiecham się niewesoło. Ruthie jest zbyt sprytna, by wymieniać nazwiska, lecz obydwójce z Kimmer wiemy, że *dwóch lub trzech*

kolegów sprowadza się do Marca Hadleya. Uważany jest on przez niektórych za najbardziej błyskotliwego wśród wykładowców, mimo że przez ćwierć wieku nauczania prawa wydał zaledwie jedną książkę, i to dwadzieścia lat temu. Marc i ja byliśmy w dość bliskich stosunkach, a nie mogę tego powiedzieć o zbyt wielu ludziach, szczególnie z uniwersytetu. Jednak niespodziewana śmierć sędziego Juliusa Krantza cztery miesiące temu zburzyła naszą wątłą przyjaźń, gdyż zapoczątkowała zakulisowy wyścig, który doprowadził nas do tego momentu.

- Mało prawdopodobne, żeby prezydent wybrał kolejnego profesora prawa - stwierdzam, żeby coś powiedzieć. Marc zabiegał o stanowisko sędziego znacznie dłużej od mojej żony, a ponadto pomógł Ruthie, niegdyś ulubionej studentce, w osiągnięciu jej obecnej pozycji.

- Najlepsi sędziowie wywodzą się spośród osób, które zajmowały się praktyką prawną. - Słowa Kimmer zabrzmiały, jakby cytowała oficjalne zasady konkursu.

- Zgadzam się z tobą.

- Miejmy nadzieję, że prezydent też tak uważa.

- Racja. - Wyciągam przed siebie zdrętwiałą rękę. Jestem tak obolała, że nie mogę wygodnie usiąść. Po śniadaniu zawiozłem Bentleya do jego przepłacanego przedszkola, a potem spotkałem się z Robem Saltpeterem, kolegą z pracy, z którym od czasu do czasu grywam w koszykówkę. Jak zwykle, nie graliśmy na boisku uniwersyteckim, by nie skompromitować się przed studentami, lecz w YMCA, gdzie większość graczy jest w co najmniej średnim wieku, jak my.

- Ruthie mówi, że decyzję podejmą w ciągu sześciu do ośmiu tygodni - dodaje moja żona. Te słowa wzmagają moje podejrzenie, że świętuje o wiele za wcześnie. Jednocześnie zdumiewa mnie uczucie, z jakim wymawia imię Ruthie, jeśli zważyć, że zaledwie dwa tygodnie temu mówiła o niej *Ta mała selekcyjnerka sędziów*. - Dowiemy się akurat na Boże Narodzenie.

- Naprawdę uważam, że to wspaniałe wieści, kochanie. Może kiedy wrócisz do domu, moglibyśmy...

- Och, Misha, kochanie, muszę lecieć. Jerry mnie woła. Przepraszam, porozmawiamy później.

- Dobrze. Kocham cię - powtarzam. Jednak deklaracja moich uczuć pada w próżnię.

(II)

Jerry mnie woła. Na spotkanie? Do telefonu? Z powrotem do łóżka? Torturuję się tymi przypuszczeniami aż do chwili wyjścia na zajęcia, które mam poprowadzić o jedenastej. Jak zapewne już się domyśliliście, jestem

profesorem prawa. Mam około czterdziestki i w zamierchłej przeszłości prowadziłem nawet praktykę prawniczą. Obecnie zarabiam na życie, pisząc uczone artykuły, zbyt niezrozumiałe, aby mogły mieć jakieś znaczenie, oraz kilka razy w tygodniu starając się wtłoczyć w głowy studentów prawo o czynach niedozwolonych (w semestrze jesiennym) i prawo administracyjne (w semestrze wiosennym). Nasi studenci są zbyt inteligentni, by zadowolili się oceną dobrą, a zarazem zbyt zaabsorbowani sobą, by trwonić cenną energię na szczegóły niezbędne do uzyskania oceny bardzo dobrej. Większości z nich zależy tylko na zaliczeniach, a nie wiedzy, jaką oferujemy. Kolejne pokolenia studentów w coraz większym stopniu traktują nas jak szkołę zawodową, w miarę jak przestają dostrzegać związek pomiędzy zdobyciem upragnionego dyplomu a zrozumieniem prawa. Dla profesora prawa nie są to zbyt krzepiące myśli, ale większość z nas co pewien czas się z nimi boryka, a dziś najwyraźniej nadeszła moja kolej.

Zajęcia z czynów niedozwolonych przebiegły jak zwykle - cóż nowego można powiedzieć na temat systemu odszkodowań bez orzekania o winie? - i udało mi się kilka niezbyt oryginalnych, lecz dowcipnych sformułowań, dzięki czemu moich pięćdziesięcioro troje studentów przez większość czasu się śmiało. O wpół do pierwszej wraz z dwoma kolegami powlokłem się na lunch. Ethan Brinkley jest jeszcze na tyle młody, że podnieca go fakt otrzymania dożywotniej posady profesorskiej, a Theo Mountain uczył prawa konstytucyjnego mojego ojca i mnie, przy czym dzięki przepisom o zakazie dyskryminacji ze względu na wiek oraz niezmordowanej kondycji fizycznej może uczyć jeszcze moje wnuki. Siedząc z nimi w Poście (tylko niewtajemniczeni nazywają to miejsce „U Posta”), ponurym barze garmazeryjnym o dwie przecznice od uczelni, słucham, jak Ethan relacjonuje komiczne wypowiedzi Tisha Kirschbauma podczas przyjęcia, które odbyło się w ostatni weekend u Petera Van Dyke'a. Po raz kolejny uderza mnie myśl, że w naszej szkole prawniczej istnieje białe kółko towarzyskie, które wiruje wokół mnie tak szybko, iż tylko chwilami dostrzegam jego zarys. Dopóki Ethan o tym nie powiedział, nie miałem pojęcia, że u Petera Van Dyke'a odbyło się ostatnio przyjęcie, nie mówiąc o tym, że nie dano mi okazji wymówić się od przyjęcia. Peter mieszka dwie przecznice ode mnie, ale znajduje się o niebo wyżej w hierarchii naszej szkoły. Natomiast Ethan teoretycznie stoi o wiele niżej ode mnie, a jednak nawet w tak liberalnej instytucji kolor skóry decyduje o stworzeniu zupełnie innej hierarchii.

Ethan nie przestaje mówić. Theo, którego bujna biała broda jest już pobrudzona musztardą, zaśmiewa się z jego opowieści. Ja natomiast, starając się włączyć do rozmowy, zastanawiam się, czy powiedzieć im o Kimmer, żeby przez jedną wspaniałą chwilę zobaczyć, jak pyszałkowatość ulatnia się z ich białych twarzy. Pragnę *komuś* o tym powiedzieć. Jednak po chwili uświadamiam sobie, że jeśli rozpowszechnię tę wiadomość, a następnie to

Marc zdobędzie nominację - a spodziewam się, że zdobędzie, choć niezasłużenie - cała ich buta powróci w jeszcze większym nasileniu.

Poza tym Marc na pewno i tak wie. Ruthie nie powiedziała by Kimmer nazwiska Marca, ale założę się, że jego powiadomiła o niej. Tak się przynajmniej przekonuję, wracając samotnie na uczelnię. Po lunchu Theo, który ma już wnuczkę na studiach, gdy dzieci większości z nas chodzą jeszcze do szkoły podstawowej, udał się na spotkanie. Ethan, ekspert od terroryzmu i prawa wojennego, wyruszył do siłowni, gdyż stara się utrzymywać w dobrej formie fizycznej na wypadek, gdyby zaprosiła go telewizja CNN lub MSNBC. Ja nie mam nic specjalnego do roboty, więc wracam na uniwersytet. Mijają mnie studenci o najrozmaitszych kolorach skóry i stylach ubioru, przy czym wszyscy poruszają się tym samym dziwnie bezczelnym krokiem: głowy spuszczone, ramiona zwieszone, łokcie przy bokach, stopy ledwie się unoszą nad ziemię, a mimo wszystko wyczuwa się w nim energię, która w każdej chwili może się wyzwolić. Marc zapewne i tak wie. Nie potrafię się uwolnić od tej myśli. Mijam granitowy czworobok Wydziału Nauk Przyrodniczych, pochłaniający chyba wszystkie wolne środki uniwersytetu. Przechodzę obok grupki ciemnoskórych żebraków, każdemu z nich dając dolara. Kimmer nazywa ten zwyczaj *spłacaniem poczucia winy*. Przez chwilę zastanawiam się, ilu z nich to oszuści, ale to jest „niegodna myśl”, jak mawiał mój ojciec. *Jesteś lepszy niż takie poglądy* - tłumaczył w tych rzadkich chwilach, kiedy wpadał w gniew i kazał nam kontrolować swoje myśli.

Marc prawdopodobnie wie, powtarzam sobie, wspinając się po szerokich schodach głównego wejścia do budynku prawa. Mogę się założyć, że Ruthie Silverman wszystko mu powiedziała. Theo też ją uczył, a Kimmer i ja byliśmy z nią w jednej grupie podczas studiów, ale to Marcowi Hadleyowi jest najbardziej oddana, podobnie jak wielu naszych studentów.

- Na tym polega problem ze studentami - mruczę do siebie pod nosem. Mówię sam do siebie przez całe życie, choć moja żona uznaje ten nawyk za objaw niepoczytalności. - Oni nigdy nie przestają być wdzięczni.

Niemniej jednak rozważa zwycięża i postanawiam nikomu nie zdradzać wieści od Kimmer. Prawdę mówiąc, większość spraw zachowuję dla siebie. Moje życie, choć czasami bolesne, jest na ogół spokojne, i to mi odpowiada. Tego słonecznego jesiennego popołudnia przez myśl by mi nie przeszło, że wkrótce zapanuje w nim przemoc i strach.

(III)

Przechodząc przez wysoko sklepiony hol, wpadam na jedną z moich ulubionych studentek, Crystę Smallwood, która przejawia ogromne zamiłowanie do danych liczbowych. Crysta jest ciemna, przysadzista i obdarzona

licznymi zdolnościami intelektualnymi. Przed przyjściem do nas studiowała język francuski w Pomonie i nigdy nie wymagano od niej umiejętności operowania liczbami. Po przybyciu do Elm Harbor niemal oszalała ze szczęścia, gdy odkryła statystykę. Zeszłej jesieni uczęszczała na moje zajęcia z czynów niedozwolonych i dzieliła większość czasu pomiędzy dwie swoje pasje - naszą poradnię prawną, gdzie pomagała matkom na zasiłku uniknąć eksmisji, oraz zestawienia statystyczne, za pomocą których zamierzała udowodnić, że biała rasa zmierza ku autodestrukcji. Trzeba przyznać, że była to perspektywa, która ją cieszyła.

- Halo, profesorze Garland? - słyszę jej głos z wyraźnym akcentem z Zachodniego Wybrzeża.

- Dzień dobry, panno Smallwood - odpowiadam formalnie, gdyż przekonałem się już na własnej skórze, że lepiej zbytnio nie spoufalać się ze studentami. Dalej idę w kierunku schodów.

- Wie pan co? - odcina mi drogę, nie zważając na to, że mogę gdzieś się spieszyć. Crysta nosi bardzo krótkie afro, jedno z ostatnich w tej szkole. Pamiętam jeszcze czasy, gdy większość czarnych kobiet w jej wieku miała taką fryzurę, lecz nacjonalizm okazał się bardziej modą niż ideologią. Oczy ma nieco zbyt szeroko rozstawione, sprawiające niekiedy wrażenie, jakby zezowała. Porusza się bardzo szybko, jak na kobietę o takiej wadze, i trudno przed nią umknąć. - Ponownie przyjrzałam się tym liczbom. Dotyczącym białych kobiet.

- Rozumiem. - Złapany, wpatruję się w sufit, ozdobiony stiukami przedstawiającymi symbole religijne, girlandy liści cisu oraz symbole kojarzące się ze sprawiedliwością. Wszystko to przemalowywano już tyle razy, że figury straciły swoje wyraźne krawędzie.

- No, i wie pan co? Ich współczynnik płodności, tych białych kobiet, jest tak niski, że około 2050 roku nie będą już się rodziły białe niemowlęta.

- O... jest pani pewna tych liczb? - pytam, gdyż Crysta, choć tak bystra, jest również znikowana na punkcie swojej pracy. Będąc jej nauczycielem, przekonałem się, że kiedy da się ponieść entuzjazmowi, robi się nieuważna i z wielką pewnością siebie podaje dane, których wcale nie przemyślała.

- Może w 2075 roku? - rzuca przyjaznym tonem, sugerując, że jest skłonna do negocjacji.

- Wydaje się to trochę naciągane, panno Smallwood.

- To z powodu aborcji. - Udało mi się ruszyć z miejsca, ale Crysta bez trudu dotrzymuje mi kroku. - Bo zabijają swoje dzieci? To główny powód.

- Naprawdę uważam, że powinna pani zastanowić się nad innym tematem pracy. - Robię zwód i wymijam ją, starając się dotrzeć do marmurowych schodów wiodących do gabinetów wykładowców.

- To nie tylko aborcja - goni mnie jej głos, a jeden z moich kolegów, drobny i nerwowy Joe Janowski, wychyla się przez poręcz, żeby sprawdzić,

kto to wykrzykuje - to również mieszane małżeństwa, bo białe kobiety...

W tym momencie zamykają się za mną podwójne drzwi prowadzącego do naszego korytarza i dalsze spekulacje Crysty już do mnie nie docierają.

Kiedyś byłem taki jak ona, przypominam sobie, wchodząc do gabinetu. Z taką samą pewnością rozprawiałem o tematach, o których nie miałem zielonego pojęcia. Będąc intelektualnie młodszy, byłem równocześnie intelektualnie śmielszy. Zapewne przede wszystkim dzięki temu dostałem tu pracę.

Nie bez znaczenia był też fakt, iż byłem synem swojego ojca, gdyż jego wpływy na uczelni tylko nieznacznie zmalały po szoku, jakim było jego przesłuchanie w Senacie. Nawet obecnie, choć od upadku Sędziego minęło już ponad dziesięć lat, zatrzymują mnie studenci, aby się upewnić, że mój ojciec to rzeczywiście ten, o którym słyszeli. Z kolei koledzy wypytują mnie, jak się *czułem*, gdy dzień po dniu musiałem ze stoickim spokojem przysłuchiwać się, jak jest metodycznie niszczone przez członków komisji.

- Jakbym oglądał kogoś w *zugzwangu**- odpowiadam zawsze, lecz oni nie potrafią naprawdę grać w szachy, więc tego nie rozumieją. Ponieważ jednak są profesorami, udają, że zrozumieli.

*zugzwang - sytuacja, w której każdy ruch strony mającej wykonać posunięcie osłabia jej pozycję (*wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki*)

Chcąc się oderwać od tych niewesołych myśli, zaczynam przeglądać swoją skrzynkę z korespondencją. Notatka z biura rektora na temat opłat za parking. Zaproszenie na konferencję dotyczącą czynów niedozwolonych, która odbędzie się w Kalifornii za trzy miesiące, ale muszę sam opłacić podróż. Poczтівка od faceta w Idaho, który jest moim przeciwnikiem w korespondencyjnym turnieju szachowym - udało mu się znaleźć pewne posunięcie, a ja liczyłem, że nie znajdzie. Przypomnienie od Bena Montoi, prodziekana, że dziś wieczorem będzie przemawiał jakiś znany prawnik. Umiarkowanie groźny list z biblioteki uniwersyteckiej dotyczący zgubionej najwyraźniej przeze mnie książki. Ze środka stosu wyciągam nowy numer „Harvard Law Review” i przeglądam spis treści, po czym szybko odrzucam czasopismo. Zawiera kolejny uczony artykuł wyjaśniający, dlaczego mój niesławny ojciec jest zdrajcą swojej rasy. Do tego właśnie poziomu zesła ciemniejsza nacja - mimo że nie potrafimy wpłynąć na żadne zdarzenie w białej Ameryce, trwonimy cenny czas i energię intelektualną na obrzucanie się oszczerstwami, tak jakby to najlepiej służyło sprawie rozwoju naszej rasy.

No, dobrze, wykonałem już swoją pracę na dzisiaj.

Nagle dzwoni telefon.

Wpatruję się w niego, nie pierwszy raz rozmyślając, jakie to paskudne, nachalne, niecywilizowane urządzenie - irytuje, przeszkadza, wdziera się do umysłu. Nie wiem, dlaczego Alexander Graham Bell uchodzi za takiego wspaniałego wynalazcę. Jego dzieło zniszczyło wszelką prywatność. Telefon

nie ma sumienia - dzwoni, kiedy śpimy, kąpiemy się, modlimy, kłócimy, czytamy i uprawiamy miłość. Również wówczas, gdy rozpaczliwie pragniemy być sami. Postanawiam nie odbierać. Dość już się wycierpiałem, i to nie tylko dlatego, że moja nieprzewidywalna żona tak nagle zakończyła rozmowę. Był to jeden z tych dziwnych czwartków, kiedy telefon nieustannie gniewnie domaga się uwagi. Zadzwoniła zdenerwowana redaktorka czasopisma prawniczego, żądając wstępnej wersji artykułu, z którym się spóźniałem. Potem niezadowolony student chciał się umówić na spotkanie, a pracownik American Express próbował wyjaśnić sprawę płatności za zeszły miesiąc. Dziekan naszej szkoły prawniczej, Lynda Wyatt - która chce, by wykładowcy, studenci i absolwenci zwracali się do niej „dziekanie Lyndo” - zadzwoniła tuż przed lunchem, informując mnie, że znalazłem się w kolejnym z tworzonych przez nią *ad hoc* komitetów. - Proszę cię o to, bo cię uwielbiam - nalegała matczynym głosem, ale wiem doskonale, że mówi te słowa wszystkim, których nie lubi.

Telefon nie przestaje dzwonić. Czekam, aż się włączy automatyczna sekretarka, ale ta, jak większość niskobudżetowego uniwersyteckiego sprzętu, działa najlepiej wówczas, gdy jest niepotrzebna. Mam zamiar go zignorować, lecz przychodzi mi na myśl, że może to Kimmer chce naprawić niemile wrażenie po naszej rozmowie.

Albo dalej się kłócić.

Podnoszę słuchawkę, przygotowany na obie możliwości, tymczasem zamiast głosu żony słyszę Mallory'ego Corcorana, partnera i ostatniego przyjaciela ojca, znanego z umiejętności załatwiania w Waszyngtonie różnych spraw, który mnie informuje, że Sędzia odszedł.

ROZDZIAŁ 2

Wizyta na wybrzeżu

(I)

Przyjeżdżam do Waszyngtonu w piątek po południu, nazajutrz po śmierci ojca. Zostawiam bagaże w domu Milesa i Very Madison, moich nieśmiałych i przyzwoitych teściów, a następnie udaję się na Shepard Street, gdzie okazuje się, że Mariah załatwiła już większość tego, co było do zrobienia. Bez porozumiewania się wiedzieliśmy, że rodzina nie może liczyć na nieodpowiedzialnego Addisona, który musiał jeszcze pozmieniać swoje plany podróży.

Dawno temu Mariah była pulchnym, nieporządnym dzieckiem cierpiącym na ogromny kompleks niższości z powodu młodszej siostry posiadającej jaśniejszy kolor skóry. Obsesyjne przejmowanie się pigmentacją jest nadal przekleństwem naszej rasy, szczególnie w rodzinach takich jak moja. W miarę dorastania Mariah stawała się majestatyczną, niemal królewską piękną, jednak nie cieszyła się specjalnym zainteresowaniem mężczyzn ze Złotego Wybrzeża (jak nazywamy wąski pas zamieszkiwany przez wyższą klasę średnią ciemniejszej nacji). Obecnie zaczyna tyć, ale tego można się było spodziewać po urodzeniu pięciorga dzieci, twierdzi moja żona uważająca się za amatorskiego guru dbałości o sylwetkę. Sama Kimmer urodziła tylko jedno dziecko, na połę planowane. Nasz syn otrzymał imię Bentley, będące panieńskim nazwiskiem jego babki.

Dorośla Mariah jest fantastycznie zorganizowana - jako jedyna odziedziczyła po ojcu tę cechę - i niezmordowana. Jednak kiedy tylko przekraczam próg brzydkiego, chaotycznie zbudowanego domu przy Shepard Street, w którym oboje mieszkaliśmy jako nastolatki, natychmiast zrzuca na mnie resztę pracy. Nie robi tego bynajmniej ze złośliwości czy wyczerpania. Kieruje nią to samo przekonanie, które kazało jej rzucić pracę dziennikarki, by poświęcić się wychowywaniu dzieci. Mariah przejawia szczególne, dobrowolne podporządkowanie wobec mężczyzn, odziedziczone po naszej matce, która wymagała od swoich dwóch córek nie tyle odgrywania określonej roli, co prezentowania pewnej postawy - że są zadania nieodpowiednie dla ich płci. Kimmer nie znosi u mojej siostry tej cechy i nie może jej wybaczyć, że marnuje umysł, dzięki któremu dostała się do stowarzyszenia Phi Beta Kappa na Uniwersytecie Stanforda. Powiedziała jej to nawet w oczy podczas

przyjęcia bożonarodzeniowego odbywającego się dwa lata temu w tym właśnie domu. Mariah odparła spokojnie i z uśmiechem, że jej dzieci zasługują na najlepsze lata jej życia. Kimmer, która po urodzeniu Bentley a niemal nie przerwała swojej kariery zawodowej, uznała jej słowa za osobisty atak i natychmiast powiedziała to głośno. W ten sposób mieliśmy z siostrą jeszcze jeden powód, żeby się do siebie nie odzywać.

Wszystkie te nieporozumienia nie zmieniają jednak faktu, że kocham i szanuję swoją siostrę. Kiedy byliśmy młodszy, Mariah była przez wszystkich uznawana za najzdolniejszą z czwórki dzieci moich rodziców, a przy tym najusilniej i z największym zapałem starała się zrobić rzecz niewykonalną - zyskać sobie ich aprobatę. Ojca cieszyły jej sukcesy w liceum i na studiach. Mamie sprawiła radość, zawierając tylko jedno, i to szczęśliwe, małżeństwo. Na szczęście poprzedni nieodpowiedni narzeczony uciekł z jej najlepszą przyjaciółką. Po wyjściu za mąż rodziła wnuki z regularnością, która cieszyła oboje rodziców. Jej mężem jest biały i nudny bankier zajmujący się inwestycjami, dziesięć lat od niej starszy. Mariah powiedziała rodzinie, że poznała go na randce w ciemno, ale Kimmer złośliwie utrzymuje, że raczej przez ogłoszenia matrymonialne. Prawdę mówiąc, Mariah zawsze miała pociąg do białych mężczyzn, już od czasów liceum w Sidwell Friends, gdy pod czujnym okiem ojca zaczęła się umawiać na randki.

Teraz w domu przy Shepard Street Mariah wita gości w holu, poważna i oficjalna w ciemnogrnatowej sukni z pojedynczym sznurem pereł - prawdziwa pani domu, jak powiedziałaby moja matka. Z głębi domu dobiegają dźwięki świadczące o okropnym guście muzycznym ojca: Puccini z librettem w języku angielskim. Hol jest mały i ciemny, a na dodatek zastawiony przypadkowo dobranymi meblami z ciężkiego drewna. Po lewej stronie znajduje się wejście do salonu, po prawej do jadalni, a z tyłu korytarz prowadzący do pokoju rodzinnego i kuchni. Przy drzwiach do jadalni zaczynają się szerokie, proste schody wiodące na piętro, a wzdłuż korytarza na górze ciągnie się galeryjka, gdzie nieraz kucałem, żeby obserwować przyjęcia i partyjki pokera moich rodziców. Tam również kazał mi się ukryć Addison, żeby mi udowodnić, że nie ma Świętego Mikołaja. Za galeryjką znajduje się ogromny gabinet, w którym umarł mój ojciec. Ku swemu zdumieniu dostrzegam tam kilka osób opierających się o poręcz, zupełnie jakby do nich należała. W ogóle w domu jest znacznie więcej ludzi, niż się spodziewałem. Cały parter wypełniają ciemne garnitury. Większość białych Amerykanów zapewne nawet nie przypuszcza, że jest aż tylu dobrze sytuowanych Afroamerykanów niezajmujących się sportem lub rozrywką. Zastanawiam się przez chwilę, ilu gości cieszy się ze śmierci naszego ojca znacznie bardziej, niż wskazuje na to wyraz ich twarzy.

Podchodzę do Mariah, lecz ona zamiast mnie uściskać, cmoka powietrze koło moich policzków i mruży: - Tak się cieszę, że tu jesteś - zupełnie jak-

bym był jednym z ojca partnerów lub znajomych, z którymi grał w pokera. Potem kładzie mi ręce na ramionach i spogląda w przestrzeń za moimi plecami. Choć w jej oczach widać zmęczenie, spojrzenie ma jasne i nieco złośliwe: - A gdzie Kimberly? (Mariah nie zgadza się mówić *Kimmer*, gdyż trąci jej to udawaniem absolwentki prywatnej szkoły przygotowawczej, ale przecież moja żona wcale nie udaje, gdyż skończyła Szkołę Panny Porter).

- W drodze z San Francisco - wyjaśniam. - Wyjechała na kilka dni w sprawach służbowych. - Potem zbyt szybko dodaje, że Bentley jest u naszych sąsiadów. Wczoraj odebrałem go wcześniej z przedszkola, ale potem doszedłem do wniosku, że będę miał do załatwienia zbyt wiele spraw, żeby się nim zajmować. Kimmer zabierze go wieczorem i jutro przyjadą pociągiem. Kiedy przedstawiam te wszystkie szczegóły ze świadomością, że zbyt wiele mówię, czuję w sobie ogromną pustkę. Mam nadzieję, że moja twarz jej nie zdradza, gdyż brakuje mi żony, i to pod wieloma względami, a nie jestem jeszcze gotów, by zwierzać się z tego rodzinie.

Jednak nie muszę się troszczyć o skrywanie swoich uczuć, gdyż Mariah ma dość własnych, z którymi się musi uporać, i bynajmniej nie kryje bólu i zagubienia. Zapomniała już, że pytała o moją żonę. - Nie rozumiem tego - mówi cicho, potrząsając głową i wbijając mi palce w ramię. Tymczasem jestem przekonany, że rozumie doskonale. Przecież nie dalej jak w zeszłym roku Sędzia znalazł się w szpitalu, gdyż okazało się, że przeprowadzona dwa lata temu operacja założenia bypassów nie dała oczekiwanych rezultatów. Zatem śmierć ojca nie była całkowitym zaskoczeniem.

- To mogło nastąpić w każdej chwili - mruczę.

- Ale dlaczego akurat *teraz!*

Trudno cokolwiek na to odpowiedzieć. Co najwyżej można wspomnieć, że taka była wola Boża, ale tego nikt w naszej rodzinie nie robi. Kiwam głową i poklepuję ją po ręce, ale czuje się tym urażona, więc przestaje. Mariah przymyka oczy, starając się na nowo zebrać siły, po czym otwiera je i znów jest Garlandówną. Wzdycha, odrzuca do tyłu głowę, jakby nadal miała długie włosy, które nosiła jako nastolatka, po czym mówi przeproszającym tonem: - Przepraszam, że nie ma dla was miejsca w tym domu, ale na dole śpią dzieciaki, a pół tuzina kuzynów na poddaszu. - Wzrusza ramionami, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie miała wyboru, ale wyczuwam jej prawdziwe intencje. Po prostu spokojnie znaczy swoje terytorium i rzuca mi wyzwanie, żebym to zakwestionował.

Nie mam zamiaru.

- W porządku - mówię z uśmiechem, który zawsze wytrącał ją z równowagi.

Jednak ku mojemu zaskoczeniu, na twarzy siostry nie widać triumfu. Po tym zwycięstwie wydaje się jeszcze bardziej nieszczęśliwa i po raz pierwszy nie wie, co powiedzieć. Nie pamiętam, żebym kiedyś widział Mariah mniej

pewną siebie. No, ale w końcu ona najbardziej kochała Sędziego, choć bywały też chwile, gdy nie mogła go znieść.

- Hej, mała - mówię miękkiem głosem. Mówiliśmy do siebie w ten sposób, kiedy mieliśmy naście lat i próbowaliśmy się polubić. - Hej, daj spokój, wszystko będzie dobrze.

Mariah niezdecydowanie przytakuje ruchem głowy, lecz nie uspokajają jej moje słowa. Zresztą, nic w tym dziwnego, skoro mi nie ufa. Ssie dolną wargę, na co nigdy by sobie nie pozwoliła w obecności swoich dzieci. W końcu wspina się na palce i szepce piskliwym głosem, łaskocząc mi oddechem ucho: - Muszę z tobą o czymś porozmawiać, Tal. To ważne. Coś... coś jest nie w porządku. - Schylam ku niej głowę, a ona rozgląda się po całym holu, jakby obawiała się, że ktoś nas podsłucha. Podążając za jej spojrzeniem wodzę wzrokiem po mało znanych dalekich krewnych oraz tak zwanych przyjaciółach, których nie widzieliśmy od czasu żenującej walki o zatwierdzenie nominacji ojca. W końcu zatrzymuję wzrok na jej mężu, Howardzie Dentonie. Wygląda na człowieka, któremu dobrze się powodzi, i doskonale pasuje do tego miejsca, pomimo że jest biały. Howard jest zapałonym kulturystą i choć przekroczył pięćdziesiątkę, chlubi się szerokimi ramionami i wąskimi biodrami. Mój szwagier uwielbia Mariah, ale kocha też pieniądze. Teraz, choć od czasu do czasu rzuca pełne czci spojrzenie na moją siostrę, pochłonięty jest ożywioną rozmową z gromadką młodych kobiet i mężczyzn, których nie rozpoznaję. Sądząc jednak po ich tłumionej energii, ubiorach firmy Brooks Brothers oraz po tym, że jeden z nich wciska Howardowi wizytówkę, mogę się domyślać, że nawet tu i teraz załatwiane są interesy. To samo przytrafiało się mojemu ojcu, nawet po jego upadku. Wchodził do pokoju i nagle każdy czegoś od niego chciał. Wytwarzał tę szczególną atmosferę, w której czuło się, że jest osobą, wokół której i poprzez którą *załatwiane są różne sprawy* - osobą, którą warto znać. I oto akurat Howard, z rzadziejącymi brązowymi włosami, w szytym na miarę garniturze i z siedmio-, a może już ośmiocyfrowym dochodem posiada tę samą moc. Zatem teraz moja kolej, by poczuć się urażonym, i to nie w imieniu rodziny, lecz raczej własnej rasy. Przed oczyma widzę nagle jasnoczerwone plamy. Zdarza mi się to od czasu do czasu, gdy szczególnie odczuwam łączność z ciemniejszą nacją i jej uciskiem. Pokój wokół mnie znika. Poprzez czerwoną zasłonę widzę niewyraźnie te ambitne czarne dzieciaki w ambitnych garniturach, młodych ludzi niewiele starszych od moich studentów, jak zabiegają o łaskę mojego szwagra, gdyż jest on dyrektorem zarządzającym u Goldmana Sachsa. W tym momencie doskonale rozumiem pasję, z jaką w latach sześćdziesiątych wielu czarnych nacjonalistów przeciwstawiało się programowi wyrównywania szans. Przestrzegali, że w ten sposób nasza społeczność straci najlepszych potencjalnych liderów, którzy wysłani na dobre uczelnie staną się... no, cóż, lojalnymi pracownikami wielkich firm, i

w garniturach Brooks Brothers będą walczyć o łaskę białych kapitalistów. Ówczesni bojownicy przewidywali, że nasi przywódcy zostaną podstępnie naklonieni do popierania nowych celów - wspaniałych tytułów naukowych i jeszcze wspanialszych pieniędzy dla nielicznych zamiast sprawiedliwości dla wielu. Nacjoniści mieli rację. Ja należę do tych nielicznych. Moja żona też do nich należy. Moja siostra. Moi studenci. Te dzieciaki wciskające swoje wizytówki mojemu szwagrowi. A świat jest w kolorze takiej jasnej, wściekłej czerwieni. Mam nogi jak z kamienia i kamienną twarz. Stoję całkiem nieruchomo, pozwalając czerwieni spływać po sobie. Pławię się w niej, jak człowiek, który niemal umarł z pragnienia, mógłby się pławić w potokach wody. Absorbuję ją wszystkimi porami i czuję, jak nabrzmiewają nią wszystkie komórki mego ciała. Wyczuwam w powietrzu niemal elektryczne napięcie, zwiastun nadchodzącej burzy, i wspominam, przeklinając w tej naładowanej wściekłością chwili, każde jabłko, które kiedykolwiek wypolerowałem dla kogoś białego, kto mógł mi pomóc iść do przodu...

- Nie myśl o tym, mały - szeptem moje sumienie. Jednak to nie sumienie, tylko Mariah, która mówi zaskakująco cierpliwym tonem. - On już taki jest. - Spoglądam w dół i widzę, że moje dłonie zacisnęły się w pięści. Wiem, że to nie trwało długo, może sekundę lub dwie. Te chwile, gdy czerwień przesłania mi widok, zawsze trwają krótko i często mam wrażenie, że mógłbym je zamrozić na wieczność - pozostać zamknięty pomiędzy tą sekundą a następną i żyć w świecie wspaniałej czerwonej furii. Teraz też mam takie poczucie. Potem spoglądam w górę i widzę ból - nie, *niedostatek* - w brązowych oczach swojej siostry. Czego Howard jej nie zapewnia? Nie po raz pierwszy się zastanawiam, co ona w nim widzi (prócz pieniędzy)? Moja żona twierdzi, że wybierając partnera, Mariah przed czymś uciekała, ale przecież wszystkie dzieci naszych rodziców uciekały jak najdalej i najszybciej przed tym samym czymś, lub raczej kimś, a ani Addison, ani ja nie poślubiliśmy osoby tak bezbarwnej jak Howard.

Z drugiej strony, małżeństwo mojej siostry jest szczęśliwe.

Mariah wymawia cicho moje imię, dotyka mej twarzy i choć przez chwilę nie jest moim przeciwnikiem. Czerwień znika i znów widzę pokój. Mam ochotę ją uścisnąć, czego nie robiłem od dziesięciu lat, i nawet wierzę, że mi na to pozwoli, jednak odpowiedni moment mija. - Porozmawiamy później - mówi, odpychając mnie delikatnie, lecz stanowczo.

- Idź się przywitać z Sally - dodaje i odwraca się do kolejnego gościa. - Płacze w kuchni.

W milczeniu kiwam głową. Nadal nie wiem, skąd się u mnie biorą takie nastroje. Staram się sobie przypomnieć, kiedy miał miejsce poprzedni atak. Kiedy ruszam w kierunku ponurego korytarza, Mariah już dziękuje za przyjęście następnemu gościowi, którego cmoka w oba policzki. Po drodze witam się z Howardem, lecz jest tak zajęty zbieraniem wizytówek, że tylko uśmiecha

się i kiwa mi ręką. Przez chwilę widzę wokół jego głowy błysk czerwieni, który zaraz znika. Odwracam się. Mam wrażenie, że każdy skrawek podłogi wypełniony jest niezliczonymi kuzynami, jak ich nazywał ojciec. Prawdę mówiąc, zyskali sobie to miano tylko dlatego, że Sędzia nie zadał sobie trudu, żeby ich naprawdę poznać. Wśród kuzynów prym wiedzie wiecznie młoda Alma. Rodzice chcieli, żebyśmy ją nazywali ciotką Alną, chociaż sama zainteresowana kazała nam w sekrecie mówić do siebie „po prostu Alma”. Nieraz pod jej nieobecność traktowaliśmy to polecenie dosłownie, wołając na przykład: *Mariah, czy jest już Po Prostu Alma?* lub *Mamo, tato, dzwoni Po Prostu Alma!* Alma, będąca kuzynką w drugiej linii albo cioteczną babką mojego ojca, przyznaje się do osiemdziesięciu jeden lat, choć prawdopodobnie żyje znacznie dłużej. Chuda jak patyk, hałaśliwa, wesoła i rubaszna, nigdy nie pozostaje w bezruchu, poruszając się z wdziękiem, jakby w głowie rozbrzmiewały jej jazzowe rytmy, które podtrzymywały na duchu ciemniejszą nację od jej niewolniczych początków. Jako dziecko zawsze starałem się ją odszukać podczas rodzinnych spotkań, gdyż miała zwyczaj wyciągać z kieszeni jakieś drobne i nam je wciskać. Teraz również jej szukam, bo po śmierci mamy pełni w naszej rodzinie rolę siły grawitacji przyciągającej nas do siebie, jakby potrafiła zakrzywić przestrzeń.

- Talcott! - woła na mój widok Alma, opierając się na bogato rzeźbionej lasce i posyłając mi zalotny uśmiech. - Chodźże no tu!

Całuję ją delikatnie, a ona obdarza mnie szybkim uściskiem. Wyraźnie wyczuwam jej kruche kości i nie mogę się nadziwić, że wichrom lat nie udało się jej zdmuchnąć. Jej oddech przepojony jest zapachem papierosów. Wiem, że to *koole*, które pali od dnia legendarnego protestu, w którym brała udział jako uczennica szkoły średniej w Filadelfii jakieś siedemdziesiąt lat temu. Alma przez ponad pół wieku była żoną kaznodziei odgrywającego poważną rolę w życiu politycznym Pensylwanii i wychwalanego przez samego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Miło cię widzieć, Almo.

- Na tym polega problem! Jedyne, co przystojni faceci chcą ze mną robić, to mnie *widzieć!* - Chichocze i z zaskakującą siłą klepie mnie po ramieniu. Mimo swej wątlej postury urodziła sześcioro dzieci, które nadal żyją. Pięcioro z nich skończyło studia, czworo trwa nadal w swych pierwszych małżeństwach, troje jest zatrudnionych przez miasto Filadelfia, dwoje jest lekarzami, a jedno homoseksualistą - najwyraźniej mamy tu do czynienia z jakąś prawidłowością liczbową. W każdym razie dzieci Almy wraz z jej wnucami i prawnukami stanowią największy podzbiór niezliczonych kuzynów. Alma mieszka w ciasnym mieszkaniu w jednej z najgorszych dzielnic Filadelfii, jednak rzadko tam przebywa, gdyż przez większość czasu odwiedza swoich potomków.

- Almo, dla mnie to by było chyba zbyt wiele.

Jeszcze raz ją ściskam i chcę odejść, ale wówczas Alma łapie mnie za rękę. Jej oczy częściowo przesłania zaćma, ale spojrzenie ma nadal ostre i żywe. - Wiesz, że twój ojciec bardzo cię kochał, prawda?

- Tak - odpowiadam, choć w wypadku Sędziego miłość nie była kwestią wiedzy, tylko domysłów.

- Talcotcie, on miał w stosunku do ciebie plany.

- Plany?

- Dla dobra rodziny. Jesteś teraz głową rodziny.

- Sądziłbym, że będzie nią Addison - mówię sztywno. Czuję się urażony, a nie jestem pewien dlaczego.

Alma potrząsa przecząco głową. - Nie, nie. Nie Addison. Ty. Twój tata chciał, żeby tak było.

Zaciskam usta, zastanawiając się, czy ona mówi poważnie. Z jednej strony mi to pochlebia, z drugiej denerwuje. Pomysł, że miałbym zostać głową rodziny Garlandów, cokolwiek to znaczy, jest dziwnie pociągający. Zapewne przejawia się w ten sposób atawistyczna męska chęć dominacji.

- W porządku, Almo.

Alma mocniej ściska moje ramię na znak, że nie ma zamiaru umilknąć. - On miał w stosunku do ciebie plany. Chciał, żebyś to ty... - mruga i odchyła się ode mnie - No, mniejsza o to. Sam cię powiadomi.

- Kto mnie powiadomi?

Jednak Alma decyduje się odpowiedzieć na inne pytanie. - Masz szansę doprowadzić wszystko do porządku, Talcott. Potrafisz to naprawić.

- Co naprawić?

- Rodzinę.

Kręcę głową. - Almo, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Pamiętasz te dobre czasy w Oak Bluffs? Wy jako dzieciaki, wasz tata, mama, ja, wujek Derek; wtedy, kiedy Abigail była jeszcze z nami - Alma kończy zdanie nagłym łkaniem.

Biorę ją za rękę. - Żaden człowiek nie potrafi tego naprawić.

- Słusznie. Ale twój tatuś powie ci, co masz robić, kiedy nadejdzie pora.

- Mój tatuś? Masz na myśli Sędziego?

- A masz innego tatusia?

Jednak to prawda, co mówią o Almie: że z wiekiem trochę pomieszało jej się w głowie.

Kiedy w końcu udaje mi się od niej uwolnić, przypominam sobie, że miałem poszukać Sally. Kolejna niezrównoważona kobieta w rodzinie Garlandów. Zastanawiam się, czy to mężczyźni Garlandów stanowią przyczynę ich neurotycznych zachowań, czy to po prostu zbieg okoliczności. Przepycham się przez tłum. Dlaczego oni wszyscy znaleźli się tutaj teraz, czy nie mogli zaczekać na stypę? A może Mariah jej nie planuje? Para nieznanym wyciąga do mnie dłoń. Ktoś inny szepce, że musimy dziękować Bogu za to, co mamy i że Sę-

dzia nie cierpiał. Mam ochotę obrócić się i spytać *Byłeś tam?*, ale zamiast tego przytakuję ruchem głowy i idę dalej, tak jak zrobiłby ojciec. Widzę kolejną białą twarz i słyszę, że pochodnia została przekazana i teraz wszystko zależy od dzieci, ale mówiący nie określa, co rozumie przez *wszystko*. Już pod samymi drzwiami do kuchni zostają obdarzony serdecznym uściskiem dłoni przez starszego pastora baptystów, zajmującego wysokie stanowisko w radzie jednej z organizacji praw człowieka. Jestem przekonany, że zeznawał przeciw zatwierdzeniu nominacji mego ojca do Sądu Najwyższego, a teraz ma chęć udawać, że wraz z nami go oplakuje. Pastor nie ma zamiaru puścić mojej dłoni. Czuję, jak jego starcze palce przesuwają się po mojej skórze i w końcu uświadamiam sobie, że usiłuje przekazać mi tajne powitanie jakiegoś bractwa. Zapewne nie ma pojęcia, że jednym z niewielu aktów buntu przeciw sposobowi życia moich rodziców - od którego wybawiła mnie Kimmer, również buntowniczką - było odrzucanie wszelkich zaproszeń ze strony takich grup. Nie mam najmniejszej ochoty go o tym informować. Pragnę tylko uwolnić się wreszcie od jego obłudnej obecności i czuję, że za chwilę znów otoczy mnie zasłona czerwieni. On jednak nie pozwala mi odejść. Opowiada, jak był dawniej zżyty z ojcem, jak mu przykro, że tak się to wszystko ułożyło. Już mam mu odpowiedzieć w sposób zupełnie niechrześcijański, kiedy nagle przetacza się obok nas huragan małych ciał, niemal przewracając nas na podłogę. To piątka dzieci Dentonów, w wieku od czterech do dwunastu lat, pędzi na oślep, by rujnować inną część domu. Noszą imiona Malcolm, Marshall, Martin i Martina (bliźniaki) oraz Marcus, a Mariah usilnie się stara znaleźć imię dla szóstego, które ma się pojawić pod koniec lutego lub na początku marca. Nie jest to łatwe, skoro pragnie zarówno uczcić naszą historię, jak i zachować dotychczasową zasadę, by zaczynało się na „M”. Jej ciąża i tak jest postrzegana jako skandal, przynajmniej w czterech ścianach mojego domu. W ubiegłym roku czterdziestodwuletnia Mariah zwierzyła się mojej zdumionej żonie, że pragnie urodzić jeszcze jedno dziecko. W rozmowie ze mną Kimmer zdecydowanie potępiła ten pomysł jako nieodpowiedzialne marnotrawstwo i dogadzanie własnym zachciankom. Kimmer, podobnie jak mój ojciec, najbardziej ceni tych, którzy najmniej się od niej różnią.

(II)

Pochodzę ze starej rodziny, co w wypadku naszej rasy związane jest nie tyle ze statusem społecznym, co prawnym. Nasi przodkowie cieszyli się wolnością i zarabiali na życie, kiedy większość przedstawicieli ciemniejszej nacji była jeszcze w łańcuchach. Oczywiście nie wszyscy przodkowie byli wolni, ale o tamtych się nie mówi. Udało nam się zatrzyć ten fragment historycznej pamięci równie skutecznie, jak reszta Ameryki zatarła znacznie

poważniejszą zbrodnię. Ponadto, jako dobrzy Amerykanie, nie tylko wybaczymy zbrodnię niewolnictwa, ale nawet upamiętniamy przestępców. Mój starszy brat otrzymał imię po Waldo Addisonie, uznawanym często za naszego patriarchę, który po otrzymaniu wolności, sam posiadał niewolników aż do czasu, gdy w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku musiał uciekać na północ. Do ucieczki skłoniła go zmiana polityki stanu Wirginia wobec wolnych czarnuchów, jak ich wówczas nazywano, po buncie Neda Turnera. Zatrzymał się na krótko w Waszyngtonie, gdzie mieszkał w rojących się od komarów slumsach zwanych wówczas George Town. Jeszcze krócej przebywał w Pensylwanii, aż w końcu osiedlił się w Buffalo, gdzie zrezygnował z zajęcia farmera i zaczął pracować na barkach. Historia rodzinna milczy o tym, co się stało z sześcioma niewolnikami Waldo. Natomiast sam dziadek Waldo, jak lubił go nazywać mój ojciec, włączył się do ruchu abolicjonistycznego. Znał podobno Fredericka Douglassa, chociaż trudno sądzić, żeby się przyjaźnili lub mieli ze sobą wiele wspólnego poza faktem, że obaj byli wcześniej niewolnikami. Ojciec z upodobaniem snuł przypuszczenia, że dziadek Waldo mógł być członkiem Underground Railroad - podziemnej siatki pomagającej zbiegłym niewolnikom w dotarciu do wolnych stanów lub Kanady. „Przecież to logiczne, skoro pracował na jeziorach i kanałach” - powtarzał z radosną nadzieją. W miarę, jak ojcu przybywało lat, te przypuszczenia stały się dla niego faktem. Zatem w letnie wieczory siadywaliśmy na werandzie domu na Vineyard, popijając różową lemoniadę i oganiając się od komarów, a ojciec snuł opowieści o niewiarygodnych czynach Waldo, tak jakby był ich świadkiem. Słuchaliśmy o ryzykownych przedsięwzięciach, spiskach i zasługach. Tyle że nie było na to żadnych dowodów. Natomiast nieliczne fakty, które udało się ustalić, wskazywały na to, że dziadek Waldo był zapitym, niestroniącym od kradzieży i samolubnym łajdakiem. Jego czterej synowie byli takimi samymi łajdakami, a ukochana córka Abigail poślubiła jeszcze jednego. To właśnie jej mężowi, włókniarzowi z Connecticut, zawdzięczamy rodowe nazwisko. Jedyne dziecko Abigail był kaznodzieją, a jego starszy syn profesorem uniwersytetu. Z kolei drugi syn tego ostatniego to już mój ojciec, który w swoim szczytowym okresie był sędzią federalnym, bliskim powiernikiem dwóch prezydentów i kandydatem na sędziego Sądu Najwyższego. Natomiast w najgorszych chwilach, choć o nic formalnie nie oskarżony, stał się publicznie poniżanym celem (lub jak woli Mariah, *ofiarą*) śledztw prowadzonych przez każdą gazetę i sieć telewizyjną w kraju, nie mówiąc już o przesłuchaniach przed trzema komisjami kongresu i dwoma wielkimi ławami przysięgłych.

A teraz ojciec nie żyje. Śmierć to ważny sprawdzian dla rodzin tak starych i dumnych jak nasza. Ukrywanie cierpienia jest równie naturalne jak jeżdżenie niemieckimi samochodami, spędzanie wakacji w Oak Bluff czy zarabianie pieniędzy. Mój ojciec nie życzyłby sobie łez. Zawsze nauczał, by

zostawić przeszłość przeszłości - nazywał to *kreśleniem linii*. *Kreślisz linię i stajesz po jednej stronie, a przeszłość zostawiasz po drugiej*. Zawsze miał na podorędziu mnóstwo takich sentencji. Kiedy był w odpowiednim nastroju, recytował je w napuszony sposób, jakby oczekiwał, że zanotujemy je dla potomności. Szybko nauczyliśmy się nie przychodzić do niego ze swoimi problemami, gdyż jego jedyną odpowiedzią było przybranie surowego wyrazu twarzy i pouczanie nas na temat życia, prawa lub miłości... szczególnie miłości, gdyż jego małżeństwo z naszą matką było bardzo udane i w związku z tym uważał się za eksperta w tych sprawach. *Nikt nie potrafi przez cały czas opierać się pokusie*, przestrzegł mnie pewnego razu, gdy niesłusznie sądził, że kusi mnie romans z siostrą mojej przyszłej żony. *Sztuka polega na tym, żeby jej unikać, Talcocie*. Trudno to uznać za szczególnie głębokie lub oryginalne przemyślenie, ale ojciec, przybierając solenną sędziowską minę, potrafił sprawić, że najbardziej przyziemne i oczywiste spostrzeżenia brzmiały w jego ustach jak odwieczna mądrość.

Powinienem chyba w tym momencie wyjaśnić, że moim prawdziwym imieniem nie jest Misha, lecz Talcott. Rodzice wybrali mi takie imię na cześć ojca mojej matki, oczekując od niego w zamian spadku. Rzeczywiście sumiennie zostawił im pieniądze. Jednak ja nienawidzę tego imienia od chwili, gdy z jego powodu zacząłem być wyśmiewany w szkole. Chociaż rodzice zabraniali nam używania zdrobnień, rodzeństwo i przyjaciele litościwie skrócili je do Tal. Jednak osoby mi najbliższe nazywają mnie Misha, co jest angielską wersją rosyjskiego imienia Mikhail, które też bywało moim przydomkiem. Nie jestem Rosjaninem ani nie mówię po rosyjsku. Rodzice też nie nadali mi takiego imienia, bo jacy czarni rodzice poza najbardziej zagorzałymi komunistami w latach trzydziestych i czterdziestych, mogliby to zrobić? Jednak mam swoje powody, dla których wolę imię Misha, pomimo że ojciec go nie znosi.

A może właśnie dlatego.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że mój ojciec wywarł jednak na nas wpływ. Tożsamość mojego rodzeństwa i moja została częściowo określona przez bunt przeciw jego autokratycznemu rządowi. Jednak podobnie jak większość buntowników, często nie dostrzegamy, jak wiele podobieństw łączy nas z tym, czym podobno gardzimy.

(III)

MUSZĘ MIEĆ CHWILĘ ODPOCZYNKU.

Zgodnie z prośbą Mariah spędzam nieco czasu w kuchni z zapłakaną Sally. Wychowywał ją jedyny brat ojca, zmarły już wujek Derek, którym ojciec gardził ze względu na uprawianą przez niego politykę. Sally jest naszą

przyszywaną kuzynką, gdyż jest córką drugiej żony wujka, They, i jej pierwszego męża, jednak to Dereka uważa za ojca. W tęgiej, samotnej kobiecie z nieszczęśliwymi oczami łani i dziwną fryzurą trudno mi dziś rozpoznać tamtą śmiałą i agresywną nastolatkę, która dawno temu była potajemną kochanką Addisona. Obecnie Sally pracuje na Kapitolu w jakiejś mało znanej podkomisji. Pracę tę dostała tylko dzięki malejącym już wówczas wpływom mojego ojca, gdyż nie potrafiła utrzymać żadnej innej. Borykała się w życiu z niejednym problemem i nabrała zwyczaju sprowadzania każdej rozmowy do narzekań na temat tego, jak okropnie traktowały ją wszystkie osoby, z którymi kiedykolwiek miała do czynienia. Sally ubiera się w zbyt ciasne sukienki w okropne kwieciste wzory i choć nie pije już tak dużo, jak kiedyś, Kimmer widziała, że łyka garściami tabletki wyciągane z wielkiej płóciennej torby, z którą się nie rozstaje. Teraz również ma ją przy sobie. Poklepuję ją po szerokich plecach i po bełkotliwości głosu usiłuję ocenić, ile mogła wziąć tego, co łyka. Przypominam sobie, jaka kiedyś była ożywiona, serdeczna i zabawna. Pozwalam na hałaśliwy pocałunek, który wypada zbyt blisko mych ust, i w końcu mogę się wycofać z powrotem do holu. Słyszę astmatyczny śmiech Almy, ale się nie odwracam. Spoglądam na Howarda, który nadal załatwia interesy, i widzę czerwoną chmurę wokół jego szyi. Muszę stąd uciekać, ale Mariah się wścieknie, jeśli opuszczę dom, a ja nigdy nie potrafiłem sobie radzić z furią kobiet. Tęsknię za ożywczą przyjemnością, jaką niesie rozegranie partii szachów. Mógłbym zagrać przez Internet, ale swój laptop zostawiłem u Madisonów.

Jednak w tej chwili wystarczy mi po prostu odrobina samotności.

Wślizguję się do małego pokoju, który kiedyś był gabinetem ojca, a potem został przerobiony na bibliotekę z niskimi czereśniowymi regałami na dwóch ścianach i małym zabytkowym biurkiem z telefonem pod oknem. Boazerię również wykonano z drzewa czereśniowego i ozdobiono nie fotografiami świadczącymi o pozycji gospodarza (te wiszą na górze), lecz niewielkimi gustownymi rysunkami nieznanymi artystów oraz oryginalną akwarelę Larry'ego Johnsona i małym, bardzo ładnym szkicem Miró, podarowanym ostatnio Sędziemu przez pewnego konserwatywnego milionera. Przez chwilę w przypiływie chciwości zastanawiam się, któremu z dzieci przypadnie Miró, ale dochodzę do wniosku, że zostanie w tym domu.

- Pieniądz ciągnie do pieniądza - mruczę nieżyczliwie.

Zamykam drzwi i siadam przy biurku. Na regałach za obrotowym fotelem z czerwonej skóry znajdują się dziesiątki albumów, eleganckich i zupełnie zwyczajnych, wypchanych fotografiami, gdyż moja matka była niezwykle sumiennym kronikarzem rodzinnego życia. Wyciągam jeden na chybił trafił i okazuje się, że zawiera zdjęcia Addisona z dzieciństwa. Drugi jest poświęcony Abby. Zdjęcie, na którym się otwiera, przedstawia ją w wieku dziesięciu lat w stroju Małej Ligi, z czapeczką zawadiacko zsuniętą do tyłu i kijem

baseballowym na ramieniu. Pamiętam, że rodzice musieli zagrozić pozwem, żeby pozwolono jej grać. Stare czasy. Ojciec nie opuścił żadnego meczu, choćby nie wiem jak był zajęty. Później w chwilach nostalgicznej zadumy mawiał o tych dawnych dniach: *tak jak to było przedtem*, mając na myśli przed śmiercią Abby. Niemniej jednak nakreślił linię, zostawił przeszłość przeszłości i żył dalej.

Dalej przeglądam albumy. W trzecim są nasze zdjęcia z dni rozdania świadectw - Addison, Mariah i ja na różnych etapach naszej edukacji, a także zdjęcia Mariah i Addisona odbierających rozmaite nagrody. Głównie Addison. Mnie nie ma, bo nigdy niczego nie zdobyłem. Z wymuszonym uśmiechem dalej kartkuję strony. Większość albumu jest pusta, być może to miejsce na zdjęcia wnuków. Odkładam go na miejsce i biorę następny. Jest w bardzo ładnej oprawie ze starej skóry farbowanej na granatowo, ale nie ma w nim zdjęć, tylko mnóstwo wycinków z gazet. Zdaje się, że wszystkie dotyczą...

O, nie.

Szybko zamykam album, a potem oczy i widzę, jak pewnego wiosennego wieczoru mój ojciec wybiega z domu, wołając do matki: *Nie ruszaj się stąd, Claire, zostań tu, mamy jeszcze troje dzieci, którymi trzeba się zająć. Zadzwoń do ciebie ze szpitala*. A jeszcze później matka podnosi słuchawkę telefonu wiszącego na kuchennej ścianie i widzę, że trzęsą jej się ręce. Wydaje z siebie przerażony jęk i opiera się o blat szafki, a kiedy odwraca się po pewnym czasie, jest już chłodna i opanowana. Tylko ja miałem okazję to obserwować, gdyż Mariah i Addison wyjechali na studia, a Abby gdzieś wyszła. W wieku piętnastu lat Abby stale gdzieś chodziła i ciągle kłóciła się z rodzicami. Matka kazała mi się ubrać i szybko zaprowadziła mnie do sąsiadów, chociaż mając prawie siedemnaście lat, spokojnie mógłbym zostać sam w domu. Pocałowała mnie na pożegnanie i odjechała drugim samochodem w jakiejś niewiadomej, lecz niewątpliwie tragicznej sprawie. Było już po północy, kiedy ojciec po mnie przyszedł. Kazał mi usiąść w salonie przy Shepard Street i tam trzęsącym się głosem powiedział mi, że Abby nie żyje.

Od dnia pogrzebu aż do swojej śmierci niemal nie wspominał jej imienia.

A jednak prowadził album z wycinkami, i niewątpliwie był to dziwny album.

Otwieram oczy i dalej przewracam strony.

Od razu zauważam, że coś tu jest nie w porządku.

Tylko cztery pierwsze wycinki dotyczą Abby. Artykuł o jej śmierci wycięty z gazety. Oficjalny nekrolog. Artykuł, który ukazał się w tydzień po wypadku informujący, że policja nie ma żadnego śladu. Artykuł napisany po dwóch miesiącach z tymi samymi niewesołymi informacjami.

Pamiętam, że w tamtym okresie ojciec stale chodził zagniewany. Przez cały czas dręczył go gniew i w końcu zaczął pić. Pił w samotności, tak jak to robią alkoholicy, zamknięty w tym właśnie pokoju. Być może nad tym albumem.

Obracam stronę. Następny wycinek nosi datę o kilka miesięcy późniejszą i dotyczy śmierci małego dziecka potrąconego przez nieznanego sprawcę w stanie Maryland. Czuję, jak przechodzi mnie dreszcz. Na kolejnej stronie znów wycinek: młody student seminarium, również wypadek spowodowany przez nieznanego sprawcę. Przeglądam dalej i cały cierpnę. Strona za stroną artykuły z gazet na temat niewinnych ludzi zabitych przez sprawców, którzy uciekli z miejsca wypadku. Opisy z dwóch, niemal trzech lat z całych Stanów Zjednoczonych. Starsza kobieta wychodząca z supermarketu w małym miasteczku. Funkcjonariusz policji kierujący ruchem w dużym mieście. Bogata studentka z politycznymi powiązaniem, której kabriolet został zmiażdżony przez ciężarówkę. Reporter zmieciony przez kombi, gdy zmieniał koło na ruchliwej autostradzie. Trener szkolnej drużyny piłkarskiej zmiażdżony przez taksówkę. Zubożała matka sześciorga dzieci, słynny pisarz, urzędnik bankowy, chirurg, poszukiwany włamywacz, nastolatka spiesząca do pracy przy pilnowaniu dziecka, syn znanego polityka - mieszanka amerykańskiej tragedii. Na niektórych artykułach widoczne są stemple różnych instytucji trudniących się wysyłaniem wycinków z całego kraju na interesujące cię tematy. Inne to zaledwie kilka linijek z „Post” lub „Star”. Bardzo nieliczne oznaczone są wyblakłą niebieską gwiazdką, a na marginesie wpisano przy nich daty, zazwyczaj znacznie późniejsze niż data publikacji. Przeglądając wstecz kolejne historie, dochodzę do wniosku, że gwiazdką oznaczono te sprawy, w których sprawcę w końcu złapano. Przy kilku artykułach dotyczących aresztowań widoczne są krótkie, gniewne notatki, sporządzone niewyraźnym charakterem pisma mojego ojca: *Mam nadzieję, że usmażą tego sukinsyna* lub *Lepiej sobie znajdź dobrego prawnika* albo *Przynajmniej ci rodzice doczekali się sprawiedliwości*.

Szybko przerzucam kartki do końca. Ostatnie wycinki pochodzą z końca lat siedemdziesiątych, czyli mniej więcej z okresu, kiedy Sędzia przestał pić. To by się zgadzało. Ale reszta nie ma sensu.

To nie jest nostalgiczny album ojca, który tęskni za zmarłym dzieckiem, lecz produkt umysłu ogarniętego obsesją. Robi wrażenie czegoś diabelskiego, i to w tradycyjnym chrześcijańskim sensie, czyli dzieła szatana. Wydaje się, że powietrze wokół albumu jest aż gęste od psychicznego zepsucia, jak-

by nawiedzone przez ducha człowieka, który go wykonał... lub ducha, który go opanował i zmusił do zrobienia tego. Szybko wsuwam album na miejsce w obawie, że mógłby mnie jakoś zainfekować swoim obłędem. Dziwne, że stoi akurat tutaj, wśród weselszych wspomnień. Raczej niewiele dzieci chciałoby się dowiedzieć o takim szaleństwie rodziców, nawet jeśli było przejściowe. Sądzę też, że niewielu jest rodziców, którzy chcieliby, żeby ich dzieci o czymś takim wiedziały. Garlandowie mają tyle drobnych tajemnic, a wśród nich również tę, że kiedy Abby umarła, mojemu ojcu pomieszało się trochę w głowie, ale potem wyzdrowiał.

Ponownie zamykam oczy i wygodnie układam się na fotelu. Wyzdrowiał. To jest ważne. Ojciec wyzdrowiał. Mężczyzna, którego mamy w przyszłym tygodniu pochować, nie jest tym samym, który przesiadywał w tym brzydkim pokoju i bezsensownie się upijał, przewracając strony tego chorego albumu i terroryzując swoją rodzinę okropnym milczeniem świadczącym o emocjonalnej pustce.

Wyzdrowiał.

A jednak mój fanatycznie skryty ojciec trzymał ten album świadczący o jego przejściowej niepoczytalności w takim miejscu, gdzie każdy przypadkowy gość mógł się na niego natknąć. Mogę uwierzyć, że Sędzia wykonał taki album, gdy przeżywał zaburzenia umysłowe, ale przechowywanie go przez następne lata było nieostrożne i zupełnie nie pasuje do jego charakteru. Innych dowodów pozbył się już dawno temu. Na przykład, nie trzyma w domu butelek po wypitych trunkach. A jednak album nadal stoi na półce. Całe szczęście, że nikt się na niego nie natknął, gdy komisja senacka prowadziła jego przesłuchanie w sprawie...

Drzwi do pokoju nagle się otwierają i staje w nich Sally w przesadnie obcisłej szarej sukience. Piersi jej falują, a przez lzy prześwituje pełen uniesienia, choć nieco bezradny uśmiech. Widzę na jej twarzy wyraz lekkiego zmieszania, jakby zaskoczyło ją, że znalazła mnie od razu w pierwszym miejscu, do którego zajrzała. W końcu oznajmia mi, że dzwonił Addison. Oczy jej błyszczą, pełne szczęścia. Już jedzie, dodaje radośnie, nie zdając sobie sprawy, że dla innych ta wiadomość nie musi być tak ekscytująca. Będzie tu najpóźniej jutro. Mrugam oczami, starając się skupić. Sally przypomina mi postać ze sztuki Becketta. Podnoszę się, kiwam głową i staram się zasłonić sobą półkę, bezsensownie martwiąc się, że może zauważyć album z wycinankami. Addison przyjeżdża, powtarza Sally. Ta wiadomość tak ją przeobraża, że można w niej dostrzec pewien powab. Będzie tu wkrótce, zapewnia mnie Sally, naprawdę niedługo.

Słuchając jej pełnego uwielbienia tonu, można by przypuszczać, że obwieszcza przybycie Mesjasza. Tymczasem gdyby spytać liczne kobiety mojego brata, większość z nich zapewne opisałaby go raczej jako kogoś z przeciwnego biegunu.

ROZDZIAŁ 3

Biała kuchnia

(I)

Wieści o śmierci Sędziego docierały do nas kilkakrotnie w ciągu lat poprzedzających dzień, gdy rzeczywiście nastąpiła. Nie oznacza to, że chorował - wręcz przeciwnie, nieustannie tak tryskał energią, że zapominało się o niepewnym stanie jego zdrowia, i dlatego tak trudno nam było uwierzyć w atak serca, który go powalił. Plotki te były raczej rezultatem życia, jakie prowadził. Ludzie bardzo nie lubili mojego ojca, a on odpłacał im pięknym za nadobne. Rozpowszechniali wieści o jego śmierci, gdyż marzyli, aby to było prawdą. Dla wrogów - których miał całe rzesze i w pełni tym się rozkoszował - był rodzajem zarazy, a przecież pogłoski o lekarstwie zawsze budzą nadzieję w tych, którzy cierpią, oraz w tych, którzy kochają cierpiących. W tym wypadku część osób nękanych przez ojca reprezentowała nie tylko siebie, lecz sprawy, toteż mogły one liczyć, szczególnie w Ameryce, na miliony miłośników, w przeciwieństwie do jednostek, które każdego dnia umierają przez nikogo nie kochane. Niejeden z wrogów mego ojca go nienawdził i niejeden rozpowszechniał opowieści o jego śmierci. Dzwonili samowolnie przyjaciele i szeptali, jak bardzo jest im przykro. Mówili, że słyszeli o zawale, którego ojciec doznał podczas promocji swojej najnowszej książki w Bostonie lub o wylewie w trakcie nagrywania wywiadu telewizyjnego w Cincinnati. Tyle że nic takiego nie miało miejsca. Ojciec cały i zdrowy przebywał w San Antonio, gdzie przemawiał podczas zjazdu jakiegoś komitetu wyborczego konserwatystów - Komitetu Prawomyślnych, jak ich nazywa Kimmer. Ach, te radosne plotki o jego śmierci. Matka nienawdziła tych pogłosek, i to wcale nie z powodu przeżywanego cierpienia, tylko poniżenia - są w końcu jakieś normy zachowania, mawiała. Ale nie w młynie mielącym plotki. Pewnego dnia, tuż przed przyjściem na świat mojego syna, stałem w kolejce do kasy w supermarkecie. W pewnej chwili na pierwszej stronie jednego z brukowców ze zdumieniem dostrzegłem, pomiędzy cotygodniową opowieścią o Whitney Houston (SZCZERZE OPOWIADA O SWYM ZAWODZIE MIŁOSNYM) a najnowszą metodą cudownego odchudzania bez diety i ćwiczeń (CUD, O KTÓRYM LEKARZE WAM NIE POWIEDZA), informację, że mafia zleciła zabójstwo mojego ojca w odwecie za jego współpracę z prokuraturą federalną. Wprawdzie kiedy za namową Kimmer kupiłem tę gazetę, stwierdziłem, że w całym liczącym sto pięćdziesiąt słów tekście nie ma żadnych konkretnych informacji, w jakiej sprawie ojciec mógłby współ-

pracować i co tak niebezpiecznego miałyby wiedzieć o mafii. Zadzwoiłem do pani Rose, od lat dzielnie trwającej na stanowisku jego asystentki, i dzięki niej udało mi się z nim skontaktować w Seattle. Skorzystał z okazji, żeby raz jeszcze przestrzec mnie przed podstępny charakterem swoich wrogów.

- Oni zrobią wszystko, Talcotcie, dosłownie *wszystko*, żeby mnie zniszczyć - obwieścił tonem wyroczni, który zwykł przybierać, mówiąc o osobach, które go nie lubiły. Potem powtórzył jeszcze po raz trzeci, na wypadek, gdybym miał kłopoty ze słuchem: - Wszystko.

Włącznie z oskarżeniem go o paranoję, zauważyłem, kartkując numer „The Nation” sprzed kilku lat. A może to była megalomania? W każdym razie ojciec był pewien, że usiłują go dopaść, a moja siostra uważała, że ma rację. Broniła go, gdy nie przyjechał na chrzciny Bentleya trzy lata temu, obawiając się, że może być tam prasa. Tłumaczyła, że nie był też na chrzcinach połowy jej dzieci - co nie było niczym nadzwyczajnym, jeśli zważyć ich liczbę - ale wówczas ona i ja i tak już prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Raz fałszywe doniesienie o śmierci mojego ojca znalazło się nawet nie w brukowcach, lecz w prawdziwej gazecie. „Washington Post” uśmiercił go w pewien zimowy poranek w katastrofie samolotu, do której doszło w Wirginii. Ojciec był jedną z dwunastu ofiar, a jego domniemaną obecność na pokładzie skomentowano dość cierpko, choć jednocześnie obłudnie: ISTNIEJĄ OBAWY, ŻE KONTROWERSYJNY BYŁY SĘDZIA ZGINĄŁ W KATASTROFIE SAMOLOTU. Ironia tego stwierdzenia była widoczna nawet dla najbardziej przypadkowego obserwatora bieżących wydarzeń. Wiadomo było, że obawy wzbudza ojciec żywy, a nie martwy, a ponadto fatalny zwrot w jego karierze był częściowo winą właśnie „Washington Post” i „jemu podobnych”, jak lubił powtarzać ojciec. W swoich dobrze wynagradzanych odczytach nazywał ich lewicowymi łowcami sensacji. Prawomyślni chętnie słuchali, jak rozgniewany i elokwentny czarny prawnik oskarża media o doprowadzenie do jego rezygnacji ze stanowiska sędziego federalnego wkrótce po fiasku jego starań o nominację do Sądu Najwyższego. A przecież - jak przypominali jego konserwatywni zwolennicy liberalnym krytykom - w latach sześćdziesiątych wygrał w tym sądzie dwie ważne sprawy dotyczące zniesienia segregacji rasowej. Jednak nie ulega wątpliwości, że potrafił mieszać ludziom szyki! W związku z tym Mariah była przekonana, że informacja o katastrofie samolotu, podana przez poranne wydanie „Post” i powtórzona przez parę nieostrożnych stacji radiowych, wywołała uśmiech ulgi na wielu twarzach wzdłuż całej osi Cambridge - Waszyngton. (Nie mam pojęcia, skąd wzięła to wyświechtane wyrażenie, ale podejrzewam, że od Addisona, który miał cierpliwość, by utrzymywać z nią kontakt). Przez jedną wspaniałą chwilę wydawało się, że zaraza dobiegła końca. Jednak mój przebiegły ojciec nie wszedł na pokład tego samolotu. Rzeczywiście znajdował się na liście pasażerów i nawet zgłosił się do odprawy, ale roztropnie wybrał

sobie akurat tę porę na kłótnię przez telefon z moją matką, walczącą wówczas ze śmiercią w domu na Martha's Vineyard. Kłótnia dotyczyła kosztów naprawy rynien i była tak zażarta, że ojciec nie zdążył na samolot, a linie lotnicze miały przez to błędną listę pasażerów, co w tamtych czasach było możliwe.

- Widzicie, jak bardzo mnie kochała - bełkotał pijany Sędzia w noc po pogrzebie Claire Garland. A przecież od czasu, gdy uporał się ze swą słabością po śmierci Abby, tylko Addison twierdził, że widział ojca pijącego drinka. Wówczas też po raz pierwszy byliśmy świadkami tego, jak płacze. A następnego dnia zostałem spoliczkowany przez Mariah, gdy zauważyłem, że w ciągu sześciu lat choroby mamy ojciec spędził tyle samo czasu w podróży, co przy jej łóżku. - No i co z tego? - spytała, gdy ja usilnie zastanawiałem się nad właściwą reakcją na policzek. Po namyśle stwierdziłem, że nie jestem gotów do odpowiedzi na to pytanie.

Być może nawet należała mi się ta kara, gdyż Sędzia, tak chłodny w stosunku do reszty świata - w tym również najczęściej swoich dzieci - matce zawsze okazywał wyłącznie czułość i miłość. Nawet kiedy prowadził jeszcze praktykę prawniczą, stale wychodził ze spotkań z klientami, żeby odbierać rozmowy od swojej Claire. Później, pracując już w Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy, a potem jako sędzia, wychodził czasem z sali i strony musiały czekać, aż zakończy pogawędkę ze swą żoną, która najwyraźniej uważała, że takie traktowanie po prostu jej się należy. Na myśl o niej uśmiechał się z zachwytem, który mówił światu, jak bardzo jest wdzięczny za dzień, gdy Claire Morrow odpowiedziała mu „Tak”. W każdym razie tak było do śmierci Abby, gdyż potem przez dłuższy czas wcale się nie uśmiechał. Kiedy już rodzina pozornie powróciła do normalnego życia, rodzice zaczęli wychodzić na wieczorne spacerunki Shepard Street, trzymając się za ręce.

Oczywiście, ojciec stale podróżował. W okresie poprzedzającym jego śmierć lubił nazywać się jednym z wielu waszyngtońskich prawników, co rozumiał w ten sposób, że nie dzwonił do mnie osobiście, gdyż jego czas był zbyt cenny, lecz prosił panią Rose, żeby go połączyła. Kiedy już byłem na linii, nieodmiennie przełączał telefon na głośnik, być może po to, żeby mieć ręce wolne do innego zajęcia. Co prawda pani Rose powiedziała mi kiedyś, że nie powinienem się tym denerwować: Sędzia wszystkich przełącza na głośnik, gdyż cieszy się tym udogodnieniem, jakby je właśnie wynaleziono. Rzeczywiście wszystko, co wówczas robił, było dla niego nowe. Formalnie był doradcą firmy prawniczej Corcoran & Klein. Termin *doradca* to użyteczny eufemizm, który może określać całą gamę kłopotliwych relacji, począwszy od emerytowanego partnera nieprowadzącego już żadnych spraw, poprzez niezatrudnionego w kancelarii urzędnika starającego się zdobyć dla niej tyle spraw, żeby zostać pełnoprawnym partnerem, do asertywnego konsultanta, który szuka dla siebie cieszącego się renomą miejsca pracy. W

wypadku mojego ojca firma dała mu pozory odpowiedniej pozycji oraz miejsce do odbierania wiadomości, lecz niewiele ponad to. Prawie nie spotykał się z klientami. Nie prowadził spraw. Pisał książki, jeździł po całym kraju z wykładami, a kiedy zapragnął odpoczynku, pokazywał się w takich programach, jak *Nightline*, *Crossfire* czy *Imus*, aby omamić zastępy zła lewicy. Prawdę mówiąc, ojciec był wymarzonym gościem programów typu *talk show* chętnie rozmawiał niemal na wszystkie tematy, a każdego, kto wdawał się z nim w kłótnie, obdarzał niezwykle wyszukаныmi i zagadkowymi epitetami. (Cenzorzy przechodzili ciężkie chwile, gdy używał takich słów, jak *kauzyperda* czy *trzebieniec*, a podczas pewnego radiowego *talk show* zagłuszono jego słowa, gdy przejście jednego z kandydatów w szeregi prawicy podczas republikańskich wyborów wstępnych nazwał przykładem *wariabilizmu*). O tak, ludzie go nienawidzili, a on pławił się w ich wrogości.

Naturalnie, Mariah przejmowała się tym znacznie bardziej ode mnie. Ja zawsze uważałem, że skrajna prawica i skrajna lewica rozpaczliwie potrzebują się nawzajem, gdyż gdyby jedna z nich zniknęła, druga straciłaby rację bytu. Co roku utwierdzam się w tym przekonaniu, obserwując, jak każda z nich z coraz większym zapałem poszukuje wrogów. Od czasu do czasu zastanawiam się nawet głośno przy Kimmer - nikomu więcej tego bym nie powiedział - czy mój ojciec nie wymyśla połowy swych politycznych poglądów tylko po to, żeby nadal pojawiać się w telewizji oraz utrzymać przeciwników w ryzach, a honoraria za odczyty utrzymywać na poziomie pół miliona dolarów rocznie. Jednak Mariah, która studiowała filozofię i uprawiała dziennikarstwo dochodzeniowe, twierdzi, że antagonizmy pomiędzy lewicą a prawicą są prawdziwe. Sędzia i jego wrogowie, powtarzała, toczą wielkie ideologiczne debaty naszych czasów, a tym, co przyczyniło się do jego upadku, była wojna kulturowa. Uznałem jej twierdzenia za niemądre, a po latach czytania o tym wszystkim doszedłem do wniosku, że plotkarze, którzy doprowadzili do utraty przez ojca stanowiska sędziego, mogli jednak mieć rację. Byłem na tyle nieostrożny, że powiedziałem o tym Mariah, gdy rozmawialiśmy przez telefon, krótko po ukazaniu się bestsellera Boba Woodwarda na temat całej tej sprawy. Oświadczyłem jej, że książka jest całkiem przekonująca i Sędzia nie był ofiarą, tylko krzywoprzysięzcą. Mariah była tak wzburzona tym wyłomem w rodzinnych szeregach, choć mówiłem to przecież bez świadków, że po raz pierwszy - od kiedy sięgam pamięcią - użyła w mojej obecności wulgarnego wyrazu. Spytałem, czy przeczytała tę książkę, na co odparła, że nie ma czasu na czytanie takich śmieci. Ścisłe mówiąc, nie posłużyła się wyrazem *śmieci*. Należy jednak zrozumieć, że zadzwoniła, gdyż chciała, aby cała rodzina, czyli trójka dzieci naszego ojca, napisała wspólny protest do „Timesa” w sprawie zamieszczonej przez nich pochlebnej recenzji książki Woodwarda. Nadal ma tam przyjaciół, stwierdziła, którzy dopilnują, żeby list został wydrukowany. Odmówiłem i wyja-

śniłem jej, dlaczego. Oświadczyła, że muszę to zrobić, bo to mój obowiązek. Wymamrotałem, że lepiej nie budzić licha. Rozzaliła się, że nigdy nie chce zrobić tego, o co mnie prosi, i odgrzebała jakąś starą historię o tym, jak mnie błagała, jeszcze na studiach, żebym umówił się z jej samotną przyjaciółką. Na koniec stwierdziła, że powinienem chociaż raz stanąć po jej stronie. Przecież nigdy nic nie zrobiła, żeby zasłużyć sobie na takie traktowanie. Natychmiast pomyślałem o swojej karcie baseballowej z Willie Maysem, ale postanowiłem o tym nie wspominać. Natomiast, nieco już zirytowany, nazwałem ją niedojrzałą - nie, prawdę mówiąc, użyłem określenia *rozpuszczony szczeniak* - na co Mariah odpowiedziała nieuzasadnionym, moim zdaniem, atakiem na Kimmer, który rozpoczęła od słów: - A mówiąc o niebudzeniu rozpuszczonych szczeniaków, jak się miewa twoja suka? - Moja siostra może toczyć walkę na inwektywy z każdym, a szczególnie ze mną, gdyż wyostrzyła swoje umiejętności, będąc przez długi czas zapalonym członkiem ekskluzywnego i znanego ze swej złośliwości czarnego bractwa studentek. Kiedy ze wzburzeniem wygarnąłem jej, że nie powinna takimi słowami wyrażać się o mojej żonie - no, dobrze, powiedziałem to nieco ostrzej - Mariah spytała ze złością, czy kiedykolwiek stanąłem w jej obronie, kiedy to Kimmer mówiła o niej różne rzeczy. Próbowałem znaleźć na to jakąś odpowiedź, a ona zdążyła jeszcze dodać, że krew jest gęściejsza od wody i jestem to winien rodzinie. A kiedy starałem się powrócić na swego wysokiego konia pedagogicznego, twierdząc, że moim głównym obowiązkiem jest trzymanie się prawdy, spytała, dlaczego w takim razie nie dam całostronicowego ogłoszenia w gazecie: **MÓJ OJCIEC JEST WINNY, A ŻONA NIEWIERNĄ**. Wszystko to daje pogląd, jak źle układały się nasze stosunki. Toteż kiedy Mariah odciągnęła mnie na bok w wypełnionym rodziną holu przy Shepard Street i szepnęła, że musi ze mną porozmawiać na osobności, sądziłem, iż chce omówić pozostałe szczegóły pogrzebu, bo o czym my, odwieczni wrogowie, mielibyśmy rozmawiać? Jednak się myliłem - siostra chciała mi podać nazwisko człowieka, który zamordował naszego ojca.

(II)

Muszę się przyznać, że słysząc słowa Mariah po prostu się zacząłem się śmiać. Wiem, że to okropne z mojej strony, ale nic na to nie poradzę. Może to z wyczerpania. Znaleźliśmy dla siebie czas dopiero po północy i usiedliśmy przy kuchennym stole, popijając gorące kakao. Ja nadal jestem w krawacie, natomiast Mariah zdążyła wziąć prysznic i ubrać się w puszysty szlafrok. Howard, dzieci oraz część niezliczonych kuzynów śpią, poupychani w różnych kątach tego starego domu. Kuchnia była niedawno odnawiana i lśni bielą. Błaty, sprzęt kuchenny, stół, ściany i zasłony - wszystko w tym samym

kolorze błyszczącej bieli. W nocy, kiedy palą się wszystkie światła, ich odbicia dosłownie klują w oczy i nadają i tak surrealistycznemu wnętrzu atmosferę obłądu.

- Z czego właściwie się śmiejesz? - pyta Mariah, odsuwając się od stołu.
- Co się z tobą dzieje?

- Myślisz, że Jack Ziegler zabił tatę? - pryham, ale nadal to do mnie nie dociera. - Wujek Jack? Za co?

- Wiesz, za co! I nie nazywaj go wujkiem Jackiem!

Potrząsam głową i staram się być łagodny, ale marzę o tym, żeby Addison wreszcie przyjechał, bo on ma bez porównania więcej cierpliwości do naszej siostry. Chwilę wcześniej, przed wypowiedzeniem tego nazwiska, Mariah była zdenerwowana, może nawet przestraszona. Teraz jest wściekła. Można zatem powiedzieć, że przynajmniej poprawiłem jej nastrój.

- Nie, nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, dlaczego sądzisz, że ktoś go zabił. Przecież miał atak serca, pamiętasz?

- Dlaczego akurat nagle teraz miałyby mieć atak?

- Na tym to właśnie polega. One są nagłe. - Zniecierpliwienie sprawia, że zaczynam być okrutny, toteż staram się opanować. Moja siostra nie jest głupia i często zauważa rzeczy, których inni nie dostrzegają. Był nawet o niej niewielki artykuł w miesięczniku „Ebony” w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy jako dwudziestosześcioletnia dziennikarka gazety „New York Times” została nominowana do nagrody Pulitzera za cykl reportaży o kolejach losu dzieci jadających w bezpłatnych jadłodajniach. Potem nagle rzuciła tę pracę, wkrótce po tym, jak jej gazeta zaczęła prowadzić poważne śledztwo przeciw mojemu ojcu. Wprawdzie Mariah nazywała to protestem, ale prawdą jest, że zupełnie zrezygnowała z pracy zawodowej i wraz ze swym świeżo poślubionym mężem przeniosła się do Darien, do ślicznego starego domu w stylu kolonialnym - pierwszego z trzech, a każdy był większy od poprzedniego. Obiecała wówczas, że cały swój czas poświęci dzieciom. Sprawiała tym ogromną przyjemność matce, która do końca życia uważała, że miejsce kobiety jest w domu. Darien nie jest zbyt oddalone od Elm Harbour, ale obecnie widzimy się z Mariah dwa razy do roku, jeśli mamy pecha. Przyczyna nie leży w tym, że się nie kochamy, tylko raczej że się nawzajem niezbyt lubimy. Postanawiam, pewnie po raz setny, lepiej traktować swoją siostrę. - Poza tym - dodaję - nie był już młody.

- Siedemdziesiątka to nie starość. Nie w dzisiejszych czasach.

- A jednak to był atak serca. Tak stwierdzili w szpitalu.

- Och, Tal - wzdycha, poklepując mnie i udając znużonego życiem światowca - jest tyle środków, które mogą wywołać atak serca. Kiedyś zajmowałam się przecież działem kryminalnym, pamiętasz? To moja dziedzina. Naprawdę trudno jest wykryć takie substancje podczas autopsji. Do prawdy jesteś taki niewinny.

Postanawiam to przemilczeć, tym bardziej, że Kimmer też to często potwarza, tyle że z innych powodów. Decyduję się wyciągnąć gałązkę oliwną: - Dobrze, dobrze. Zatem dlaczego wujek Jack miałby chcieć go zabić?

- Żeby go uciszyć - mówi dobitnie, po czym urywa i wciąga powietrze tak gwałtownie, że szybko ogładam się przez ramię, czy Jack Ziegler, nasza rodzinna zmora, nie zagląda przez okno. Jednak widzę tylko kolekcję kryształowych przycisków do papieru, które mama zwoziła z całego świata. Pustawiane na parapecie wyglądają jak błyszczące jajka z przejrzystą skorupką. Z szyby patrzy na mnie moje odbicie: wyczerpany, garbiący się Talcott Garland, który w niemodnych rogowych okularach, z krótko przyciętymi włosami i w przekrzywionym krawacie nie wygląda na profesora prawa, lecz raczej na dziecko pragnące, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Obracam się z powrotem do siostry. Człowiek, którego nazywamy wujkiem Jackiem, nie jest z nami spokrewniony ani spowinowacony, podobnie jak Mallory Corcoran, będący dla nas wujkiem Małem. Obaj biali przyjaciele mojego ojca otrzymali od rodziny te honorowe tytuły, gdy zostali ojcami chrzestnymi - wujek Mał chrzestnym Mariah, a wujek Jack Abby. Tyle że w przeciwieństwie do wujka Mała, Jack Ziegler w znacznie większym stopniu przyczynił się do zniszczenia ojca niż do jego uratowania.

- Uciszyć go w jakiej sprawie? - pytam łagodnie, gdyż dotychczas Mariah utrzymywała, że ojciec nic nie wiedział o podejrzanych przedsięwzięciach wujka Jacka, a wszelkie twierdzenia o łączących ich interesach to tylko spisek białych liberałów przeciw błyskotliwemu, a tym samym niebezpiecznemu czarnemu konserwatyście. Może Mariah przerwała, bo dostrzegła pułapkę, do której prowadzi jej rozumowanie.

- Nie wiem - mamrocze, ściskając swój kubek z gwałtowną matczyną opiekuńczością.

Może powinienem w tym momencie pozwolić, żeby fantastyczne teorie Mariah umarły śmiercią naturalną. Jednak skoro przez tyle czasu musiałem tego wysłuchiwać, stwierdzam, że mam obowiązek uzmysłwić jej, jaki to idiotyczny pomysł. - No więc dlaczego myślisz, że wujek Jack miał z tym coś wspólnego?

- Od czasu przesłuchań czekał tylko na właściwy moment. Wiesz, że tak było, Tal. Nie opowiadaj, że tego nie czuleś!

Teraz zaczynam przemawiać jak prawnik: - Co sprawiło, że to był właściwy moment?

- Nie wiem, Tal. Ale wiem, że mam rację.

- Czy są na to jakieś namacalne dowody?

Mariah kręci przecząco głową. - Jeszcze nie, lecz możesz mi pomóc. Ty jesteś prawnikiem, ja jestem... ja byłam dziennikarką. Możemy wspólnie przeprowadzić dochodzenie, poszukać dowodów.

Marszczę czoło. Mariah zawsze była taka impulsywna i uparta. Nielatwo

będzie wybić jej z głowy ten pomysł. - No dobrze, ale najpierw musimy mieć powód.

- Jack Ziegler jest mordercą. Czy to nie dobry powód?

- Nawet zakładając, że to prawda...

- To nie jest *zakożenie*. - W jej oczach znów widać wściekłość. - Jak możesz bronić takiego człowieka?

- Nikogo nie bronię. - Nie mam ochoty podejmować walki, toteż teraz ja jej rzucam wyzwanie: - Zatem, masz jakiś plan? Chcesz zadzwonić do wujka Mala?

Mariah znalazła się w pułapce i zdaje sobie z tego sprawę. W rzeczywistości nie chce oficjalnego śledztwa, gdyż dobrze wie, że dla policji atak serca pozostanie atakiem serca, a ona wyjdzie na głupca. Nie może zadzwonić do Mallory'ego Corcorana, jednego z najpotężniejszych prawników w mieście, i bez żadnych podstaw żądać, żeby poruszył dla niej ziemię. Siedzi nachmurzona. Woli nie patrzeć na mnie, tylko w kierunku lśniącej bielą lodówki, na której zdążyły się już pojawić obrazki nieuniknionych piesków, drzewek i statków, narysowane kredkami przez jej młodsze dzieci. Sędzia w żadnym wypadku nie tolerowałby takich sentymentalnych ozdóbek.

- Nie wiem - odpowiada niewyraźnie, a na jej upartej twarzy widoczne są bruzdy świadczące o wyczerpaniu.

- No, cóż, jeśli...

- Nie wiem, co robić. - Powoli potrząsa głową ze spojrzeniem utkwionym w dzielącym nas stole. Ten drobny wyłom w jej emocjonalnej zbroi pozwala mi ze smutkiem wejrzeć w życie, jakie prowadzi dzień po dniu u boku Howarda, który stale wyrusza w dalekie kraje walczyć z finansowymi smokami dla klientów i zysków firmy Goldman Sachs. Obrazki na lodówce są świadectwem szaleńczych starań mojej siostry, by jakoś zająć dzieci, podczas gdy ona bez żadnej pomocy załatwiała uroczystości pogrzebowe dla ojca, którego przez czterdzieści lat starała się bez powodzenia zadowolić.

- Jestem taka zmęczona - stwierdza, co jest niezmiernie rzadkim u niej przyznaniem się do słabości. Odwracam na chwilę wzrok, gdyż nie chcę, żeby dostrzegła, jak mnie wzruszyły te trzy proste słowa. Wolę też nie przyznawać się, że to nas łączy. Mam wrażenie, że Mariah, Addison i ja stale jesteśmy wyczerpani. Skandal, który zniszczył karierę ojca, nieoczekiwanie dodał mu sił, by rozpocząć nową, natomiast resztę rodziny osłabił. My, jego dzieci, nigdy w pełni nie doszliśmy do siebie.

- Ciężko pracujesz.

- Tak, nie bądź wobec mnie protekcyjny - mówi rzeczowym tonem, ale w jej oczach dostrzegam błysk zdradzający, że poczuła się obrażona podtekstem, którego wcale w moich słowach nie było. - Nie traktujesz mnie poważnie.

- Traktuję, ale...

- Traktuj mnie poważnie!

Wypróbuj na mnie swoje najlepsze spojrzenie. Jej znużenie i zmieszanie zniknęły. Czytałem opinie psychologów społecznych, że gniew jest konstruktywny - zwiększa pewność siebie, a nawet kreatywność. Nie wiem, jak to jest z kreatywnością, ale rozgniewana na mnie Mariah prezentuje nagle taką samą pewność siebie jak zazwyczaj.

- W porządku - mówię pojednawczo - w porządku. Przepraszam. - Moja siostra czeka w milczeniu na mój następny ruch. Chce, żebym powiedział coś, co wskazywałoby, że poważnie traktuję jej szalony pomysł. Zatem zadaję poważne pytanie:

- W jaki sposób mogę pomóc? - Nie precyzuję, w jakiej sprawie oferuję jej pomoc.

Mariah potrząsa głową, próbuje coś powiedzieć, potem wzrusza ramionami. Ku mojemu zdumieniu po policzkach zaczynają jej płynąć łzy.

- Hej - mówię. Już prawie wyciągam rękę, żeby je obetrzeć, ale przypominam sobie powitanie w holu i decyduję się nic nie robić. - Hej, dziecku, wszystko w porządku. Naprawdę.

- Nie, nic nie jest w porządku - szlocha Mariah. Zwija filigranową dłoń w pięść i z zaskakującą siłą uderza w stół. - Nigdy... nigdy już nie będzie w porządku.

- Mnie też go brakuje - zapewniam ją, niezupełnie szczerze, ale myślę, że to właściwe słowa w tym momencie.

Teraz Mariah płacze już otwarcie, zakrywając dłońmi twarz i dalej potrząsając głową. Nadal nie ośmielam się jej dotknąć.

- Wszystko w porządku - powtarzam.

Moja siostra podnosi głowę. Smutek i rozpacz nadały jej twarzy uduchowione piękno, zupełnie jakby ból uwolnił ją od zwykłych zmartwień śmiertelników.

- Jack Ziegler to potwór - stwierdza krótko. - Muszę przyznać, że to prawda, jeśli choćby część haniebnych rzeczy, które napisały o nim gazety, rzeczywiście miała miejsce. Jednak prawdą jest też, że co najmniej trzykrotnie stawał przed sądem i został uniewinniony, w tym raz w sprawie o morderstwo. O ile wiem, teraz spokojnie mieszka sobie w Aspen w stanie Kolorado, bajecznie bogaty i na tyle bezkarny, na ile pozwala mu Konstytucja Stanów Zjednoczonych.

- Mariah - odpowiadam, nadal łagodnie - przecież nikt z rodziny nie widział Jacka Zieglera od ponad dziesięciu lat. Od czasu... no, wiesz.

- Nieprawda - zaprzecza bezbarwnym tonem. - Tata spotkał się z nim w zeszłym tygodniu. Jedli razem obiad.

Przez chwilę nie mam pojęcia, co powiedzieć. Zaczynam się zastanawiać, skąd ona może wiedzieć, z kim ojciec się spotykał i kiedy. Niemal zniżam się do zadania tego pytania, ale Mariah mnie przed tym ratuje:

- Tata mi powiedział. Rozmawiałam z nim. Zadzwoił do mnie na dwa dni... dwa dni przed...

Nie kończy i odwraca się ode mnie, gdyż nasza rodzina nie ma zwyczaju dzielić ze sobą nawet najgłębszych cierpień. Zasłania oczy.

Zastanawiam się nad tym, żeby obejść stół, kucnąć przy niej, otoczyć ją ramionami i pocieszyć na tyle, na ile potrafię. Może nawet bym jej powiedział, że do mnie Sędzia też dzwonił, ale dobrym zwyczajem Garlandów byłem zbyt zajęty, żeby do niego oddzwonić. Wyobrażam sobie tę scenę, radość Mariah, nowe potoki łez: *Och, Tal, jak to dobrze, że znów jesteśmy przyjaciółmi!* Jednak nie jestem takim człowiekiem, a Mariah tym bardziej, toteż siedzę nieruchomo z twarzą pokerzysty, zastanawiając się, czy reporterzy już wykryli tę historię, co jeszcze bardziej zwiększy rozmiary katastrofy. Już widzę nagłówki: ZHAŃBIONY SĘDZIA SPOTYKA SIĘ Z CZŁOWIEKIEM OSKARŻONYM O MORDERSTWO NA KILKA DNI PRZED SWOJĄ ŚMIERCIA. Niemal się wzdrygam. Zwolennicy teorii konspiracyjnej, dla których śmierć żadnej znanej osoby nie może wynikać z przyczyn naturalnych, już rozpoczęli działalność. Korzystając z czasu przyznanego im w radiowych *talk shows*, usiłują wyjaśnić, dlaczego ojciec w żadnym wypadku nie mógł umrzeć na atak serca. Dotychczas nie zwracałem uwagi na te błazeństwa, ale teraz, wyobrażając sobie, co niektórzy z dzwoniących mogą powiedzieć o spotkaniu ojca z wujkiem Jackiem, zaczynam rozumieć paranoiczne zachowanie mojej siostry. Po chwili Mariah jeszcze pogarsza sytuację.

- To nie wszystko - kontynuuje tym samym bezbarwnym głosem, wpatrując się w dal niewidzącym spojrzeniem. - Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Z wujkiem Jackiem.

- Wczoraj wieczorem? Dzwonił? Tutaj? - Mogłem być z siebie dumny, gdyż udało mi się zadać trzy głupie pytania tam, gdzie inni wcisnęliby tylko jedno.

- Tak. Dosłownie skóra mi ścierpła.

Teraz mnie z kolei zamurowało. Znów szukam w myślach, co by tu powiedzieć i w końcu chwytam się rzeczy najbardziej oczywistej.

- A czego chciał?

- Złożył kondolencje. Jednak przede wszystkim chciał porozmawiać o tobie.

- O mnie? Na jaki temat?

Mariah milczy przez chwilę, zmagając się z własnymi odczuciami.

- Powiedział, że jesteś jedynym, któremu tata ufał - wyjaśnia w końcu.

- Jedynym, który będzie wiedział o ustaleniach, które tata poczynił na wypadek swojej śmierci. To właśnie w kółko powtarzał: że musi wiedzieć, jakie są ustalenia. - Znów zaczęły jej płynąć łzy. - Powiedziałam mu, że po grzeb jest we wtorek, powiedziałam gdzie, a on na to, że nie o takie przygo-

towania mu chodzi. Upierał się, że musi poznać *te inne* ustalenia. Twierdził, że ty prawdopodobnie będziesz wiedział. Stale to powtarzał. Tal, o czym on mówił?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - przyznaję. - Skoro chciał ze mną porozmawiać, to dlaczego nie zadzwonił do mnie?

- Nie wiem.

- To wszystko jest zbyt dziwaczne. - Przyszła mi na myśl Po Prostu Alma. *On miał wobec ciebie plany, Talcocie. Twój tata chciał, żeby tak było.* Czy o tym mówiła Alma? - Po prostu zbyt dziwaczne.

Widać, że Mariah poczuła się poruszona czymś, co dosłyszała w moim tonie. - Jesteś pewien, Tal, że nic ci nie świta? Nie kojarzysz sobie, o co mogło chodzić Jackowi Zieglerowi?

- Skąd miałbym wiedzieć?

- Nie wiem, skąd. Dlatego właśnie się zastanawiam. - We wzroku mojej siostry wyraźnie widać nieufność, a ja czuję, jak przestrzeń pomiędzy nami wypełnia się cieniem trwających całe życie niesnasek, przekonaniem Mariah, że nigdy nie może na mnie liczyć, oraz moim, że ona zbyt wiele wymaga. Jednak chyba nie wierzy, że mógłbym mieć coś wspólnego... angażować się w coś z takim człowiekiem jak Jack Ziegler...

- Mariah, powtarzam ci, że nie mam najmniejszego pojęcia, o co tu chodzi. Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio miałem jakiś kontakt z Jackiem Zieglerem.

Macha ręką, jakby odsuwała tę kwestię, ale nie odpowiada. Nie zapewnia, że mi ufa, tylko sygnalizuje chęć zawieszenia broni.

- Zatem jedyne, o co pytał, to... ustalenia?

- Głównie o to. Aha, powiedział też, że prawdopodobnie zobaczymy się na pogrzebie.

- No, pięknie - niezdarnie próbuję uciec się do ironii, zastanawiając się, czy jest jakiś sposób, żeby go do tego zniechęcić - wprost nie możemy się doczekać.

- On mnie przeraża - wyznaje Mariah, najwyraźniej porzucając wcześniejsze spekulacje na temat wujka Jacka, choć z pewnością o nich nie zapomni. Czuję, jak ściska mi palce i ze zdumieniem patrzę na nasze ręce, gdyż wcale nie pamiętam, kiedy zdążyliśmy je połączyć.

- Mnie też - przyznaję. Jest to najbardziej szczere zdanie, jakie wypowiedziałem przez cały dzień.

ROZDZIAŁ 4

Czarujący człowiek

(I)

Sędzia od czasu do czasu wyrażał nadzieję, że umrze przed Richardem Nixonem, który wówczas będzie czuł się w obowiązku uczestniczyć w jego pogrzebie, a może nawet powiedzieć o nim parę słów. Prezydent Nixon niejako pomógł stworzyć mojego ojca, gdyż odkrył go, gdy był jeszcze nieznanym sędzią procesowym o umiarkowanie konserwatywnych poglądach, zapraszał go często do Białego Domu, a w końcu mianował sędzią Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych. Tam właśnie ponad dziesięć lat później ojciec został odkryty ponownie, tym razem przez Ronalda Reagana, któremu niemal udało się sztuka określona wówczas przez gazety mianem „podwójnej dywersyfikacji” w Sądzie Najwyższym. Reagan, dążąc do zmiany swego wizerunku wybaczy białych mężczyzn, zdecydował się nominować mojego ojca. Było to posunięcie, które miało podwoić liczbę czarnych sędziów w Sądzie Najwyższym, a Reagana uczynić pierwszym prezydentem, który mianował dwóch sędziów niebędących białymi mężczyznami. Niestety, zamiar Reagana spalił na panewce, a mój ojciec, który, podobnie jak wielu innych ludzi sukcesu, nie potrafił oddzielić ambicji od zasad, nigdy nie wybaczył mu grzechu, jakim było wycofanie nominacji.

Natomiast stosunek ojca do Nixona był zupełnie inny. Mając stale w pamięci jego przychylność, niezmiennie twierdził, nawet ćwierć wieku po jedynej prezydenckiej rezygnacji w naszej historii, że utrata stanowiska przez Nixona była wynikiem intrygi mściwych liberałów, a nie jego własnej sprzedajności. W upadku Nixona dostrzegał wiele znaczących podobieństw do własnej sytuacji i bardzo chętnie uświadamiał je entuzjastycznym słuchaczom swoich odczytów. Oto dwaj oświeceni, troszczący się o dobro innych konserwatyści, jeden biały, drugi czarny, niemal godni już, by za swe zasługi przejść do historii, padają ofiarą bezlitosnych sił lewicy, które rujną ich karierę. Słyszałem tę agitacyjną przemowę dwukrotnie i za każdym razem zrobiło mi się niedobrze. Bynajmniej nie z powodów ideologicznych czy całkowitego wypaczania historii, lecz ze względu na okropne, zupełnie niegarlandowskie uzalanie się ojca nad sobą.

Niestety, marzenia ojca się nie spełniły. To on wziął udział w pogrzebie

Nixona, a nie na odwrót. Poleciał do Kalifornii, mając nadzieję (choć zupełnie nie wiadomo, na jakiej podstawie), że zostanie poproszony o wygłoszenie mowy pochwalnej na cześć swojego mentora. Jeżeli oglądaliście w telewizji ceremonię pogrzebową Nixona, to wiecie, że tak się nie stało. Nawet nie było go widać na ekranie. Został wciśnięty gdzieś do piętnastego rzędu, pomiędzy byłych zastępców sekretarzy nieistniejących już departamentów, z których część miała już na swym koncie wyroki. Zirytowany kolejnym rozczarowaniem, pospiesznie wyruszył do domu, zastanawiając się na pewno, która z osób mających jakiegokolwiek znaczenie weźmie udział w jego pogrzebie.

Kto, w istocie? Zastanawiam się nad niezdrowym pytaniem ojca, kiedy trzymając za rękę swoją piękną żonę, podążam za trumną wzdłuż głównej nawy kościoła Świętej Trójcy i Świętego Michała. Kościół ten to pełne przeciągów granitowe okropieństwo znajdujące się tuż poniżej Chevy Chase Circle, gdzie dziewięć lat temu w grudniu, ku ogólnemu zdumieniu naszych rodzin i przyjaciół, wzięliśmy z Kimmer ślub. Większość z nich jeszcze bardziej się dziwi, że to małżeństwo trwa nadal, gdyż nasz burzliwy związek naznaczony był licznymi falstartami.

Kto, w istocie? My, dzieci, idziemy tuż za trumną. Addisonowi, wbrew etykietce, towarzyszy jego aktualna dziewczyna. Kilka minut temu Addison wygłosił dość nieskładną mowę pogrzebową pełną takiej samej przesłodzonej religijności, jaką prezentuje w swoich programach radiowych na żywo. Przede mną idzie Mariah z Howardem u boku i częścią dzieci podążających ich śladem. Pozostałe są z opiekunką na Shepard Street lub wędrują po kościele, wspinając się tam, gdzie nie powinny. Potem, przypominając sobie, że Mariah i jej potomstwo są moją rodziną, staram się powstrzymać od tych niespodziewanie złośliwych rozważań, gdyż, jak już wspominałem, Sędzia zawsze pouczał dzieci, by unikały niegodnych myśli.

Kto, w istocie?

Zastanawiam się nad tym, powstrzymując kaszel wywołany duszącym zapachem kadzidła, które nadal stanowi część rytuału tradycyjnych kościołów episkopalnych, chociaż nikt już prawie nie pamięta, dlaczego. Kto, w istocie? Obawiam się, że odpowiedź byłaby kolejnym rozczarowaniem dla mojego tak wrażliwego na punkcie odpowiednich osób ojca. Nie ma nikogo - nikogo, kto mógłby się dla niego liczyć. Nie pojawił się żaden z wielkich liberałów, którzy uwielbiali go, gdy był młody, ani żaden ze znanych konserwatystów, którzy kochali go, gdy był już stary. Przybyła tylko rodzina, trochę wieloletnich przyjaciół, kilku partnerów z firm prawniczych i garść nerwowych dziennikarzy, w większości zbyt młodych, by pamiętać, dlaczego nazwisko mojego ojca cieszyło się takim niechlubnym rozgłosem. Jednak przyszło też kilku, którzy pamiętają i zjawili się, by zobaczyć na własne oczy, że potwór naprawdę nie żyje.

Jest tu oczywiście Mallory Corcoran na czele niewielkiego zastępu prawników ze swojej firmy, a także pani Rose, spokojna asystentka ojca, która trwa przy nim od czasu, gdy pracował jeszcze jako sędzia. Naturalnie swój kontyngent przysłało też Złote Wybrzeże. Są to głównie mężczyźni o żółtawej skórze z pokolenia ojca. Ubrani w kosztowne garnitury, niespokojnie spoglądają na swoje rolexy, chcąc prawdopodobnie mieć pewność, że po grzeb dobiegnie końca, zanim nadejdzie pora na golfa. Widzę również grupkę sędziów, którzy kiedyś z ojcem pracowali, a wśród nich ze zdumieniem dostrzegam tego, który znalazł się potem w Sądzie Najwyższym - co prawda usiadł z tyłu, jakby nie chciał być widziany. Kilkunastu dawnych aplikantów ojca jest rozrzuconych po całym kościele; większość z nich robi wrażenie bardziej zażenowanych niż smutnych, ale i tak jestem im wdzięczny za lojalność. Zauważam swoich przyjaciół: Danę Worth i Eddiego Doziera, którzy kiedyś byli małżeństwem, dopóki Dana sądziła, że interesują ją mężczyźni. Siedzą o trzy rzędy od siebie, jak przystało małżonkom rozwiedzionym w gniewie. Twarz Eddiego ma surowy, buntowniczy wyraz, natomiast zazwyczaj twarda Dana dziś jest w płacziwym nastroju. Kontakty między nami urwały się wraz z rozpadem ich małżeństwa. Poznali się na początku lat osiemdziesiątych, gdy oboje byli aplikantami u mojego ojca, a potem byli pierwszą - i sądzę, że ostatnią - parą małżeńską zatrudnioną jako wykładowcy w szkole prawniczej. Trzeba przyznać, że byli dziwną parą. Dana jest drobna i biała, a Eddie czarny i potężny. W swojej prawicowej działalności politycznej prezentowali niemodnie buntowniczą postawę, a ponadto nie zdołali opanować finezyjnej sztuki mówienia ludziom w oczy czegoś innego niż rzeczywiście się myśli.

Daleko z tyłu, w rogu, siedzi samotnie aplikant, którego absolutnie nie spodziewałbym się tu ujrzeć - poważny i nieśmiały Greg Haramoto. Dziesięć lat temu to właśnie złożone przez niego z wielką niechęcią zeznanie w dużym stopniu przyczyniło się do przekreślenia nominacji ojca do Sądu Najwyższego. Greg był niespodziewanym świadkiem - w każdym razie Sędzia się tego nie spodziewał - i przez całe emocjonujące cztery godziny powtarzał przed kamerami telewizyjnymi, że wcale nie ma ochoty tu być. Niemniej jednak przygwoździł mojego ojca do ściany. Siedząc wyraźnie zażenowany w pokoju przesłuchań i zbyt często mrugając oczami za grubymi szklami okularów, oświadczył senatorom, że Jack Ziegler dzwonił do mojego ojca po godzinach w jego sędziowskim pokoju tak często, iż zaczął rozpoznawać jego charakterystyczny głos. Powiedział również, że Jack Ziegler spotkał się z ojcem na lunchu. Zeznał, że Jack Ziegler nawet był w budynku sądu, przynajmniej raz późnym wieczorem. Sędzia zmusił go później do obietnicy, że nikomu o tym nie powie. Greg powiedział jeszcze wiele rzeczy, a mój ojciec niektórym nieprzekonująco zaprzeczał, a inne niechętnie sobie przypominał. Jego pamięć szczególnie odświeżyły rejestry, w których strażnicy

zapisują każdego, kto wchodzi lub wychodzi.

Po zakończeniu przesłuchań Greg zaczął mieć kłopoty z pracą w zawodzie prawnika. Odszedł ze stanowiska przy generalnym doradcy Federalnej Komisji ds. Komunikacji, po czym żadna z firm prawniczych nie chciała go przyjąć, pomimo doskonałych wyników, jakie uzyskał na studiach w Berkeley. Wszyscy obawiali się, że człowiek, który ukrzyżował własnego szefa w ogólnokrajowej telewizji, może nie zachować koniecznej dyskrecji w sprawach bardziej podejrzanych klientów. Nie chciały go zatrudnić duże spółki, gdyż większość ich dyrektorów naczelnych sprzyjała ojcu. Nie mógł też znaleźć sobie miejsca w którejś ze szkół prawniczych, ponieważ miał zbyt zszarpane nerwy, żeby poważnie zająć się nauczaniem. Próbował pracować jako obrońca z urzędu, starając się zagłuszyć własny ból znacznie większymi cierpieniami tych, których życie na dnie pozbawiło resztek moralności, jednak nie potrafił w pełni poświęcić się temu zajęciu. Jego klienci na tym cierpieli i w końcu pracodawca poprosił go, żeby spróbował gdzie indziej. W ten sposób Greg Haramoto, który niegdyś miał przed sobą tak wspaniałe perspektywy, teraz nie mógł znaleźć pracy. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, pracował w rodzinnej firmie eksportowo - importowej w Los Angeles. Zdaniem Mariah, w pełni sobie zasłużył na taką degradację. I oto Greg siedzi tutaj z oczami pełnymi łez, smucąc się z nami wszystkimi i żegnając człowieka, którego karierę pomógł zrujnować. Podczas zeznań przed komisją wielokrotnie powtarzał, że jego podziw dla mojego ojca wcale się nie zmniejszył. No, ale czasem zaskakująco łatwo jest zniszczyć rzeczy, które kochamy.

W dalszym ciągu przebiegam wzrokiem po zebranych. Dostrzegam jeszcze jednego kolegę ze szkoły prawniczej. Wymagający Lemaster Carlyle z Barbadosu pracuje jako wykładowca tylko o dwa lata dłużej ode mnie, lecz jest znacznie bardziej ceniony. Lem jest niewysokim, twardym i energicznym mężczyzną, którego świetnie skrojone garnitury maskują dobrze rozwiniętą sylwetkę, a za kwiecistym, idiomatycznym językiem kryje się dobrze rozwinięty umysł. Nie jesteśmy przyjaciółmi i Lem nie znał Sędziego, zatem przypuszczam, że przyszedł z poczucia solidarności. Wierzy on bowiem w rasę jako całkowicie mistyczną, a jednocześnie głęboko osobistą tkanę łączną. Podczas bojkotu o zatwierdzenie nominacji mojego ojca Lem publicznie stanął po jego stronie, pomimo że prezentuje zdecydowanie liberalne poglądy polityczne. Jak głosił wszem i wobec: „Lepiej mieć dwóch czarnych w Sądzie Najwyższym niż jednego”. Chociaż nie jest zbyt sympatyczny, pokochałem go za to przekonanie na długo przed tym, nim go poznałem.

Dana, Lemaster i ja jesteśmy jedynymi przedstawicielami szkoły prawniczej, którą ojciec tak kochał. (Eddie po rozwodzie przeniósł się do Teksasu.) Dziekan Linda wyraziła swą pamięć, przysyłając ogromny wieniec. Ku mojemu zdumieniu nawet studenci przysłali kwiaty, w myśl zasad segregacji,

osobno od czarnych i osobno od białych. Jednak kwiaty to nie to samo, co ludzie. Tymczasem nawet razem z kolegami od pokera, dziennikarzami, zwykłymi łowcami sensacji, niektórymi członkami rodziny Kimmer oraz pozostałością niezliczonych kuzynów (wiek i geografia przerzedziły ich szeregi, ale są tutaj, stoją sobie z tyłu i plotkują) jest tu zapewne nie więcej niż dwieście osób, a kościół może pomieścić trzykrotnie więcej. Nie ma wśród nich Jacka Zieglera, niezależnie od tego, o jakie „ustalenia” w istocie pytał.

(II)

Nasza rodzina niechętnie rozmawia o Jacku Zieglerze, przynajmniej od pewnego czasu. Podczas studiów mieszkał z ojcem w jednym pokoju, potem został ojcem chrzestnym Abby, ale przez ostatnie dziesięć lat życia ojciec nie chciał słyszeć imienia swojego dawnego przyjaciela. Jedną z zasad wiary konserwatystów stało się twierdzenie, że mój ojciec ostatecznie stracił szansę na stanowisko sędziego Sądu Najwyższego, gdyż pozostał wierny swojemu długoletniemu znajomemu, a dokładniej mówiąc, ponieważ zjadł lunch z Jackiem Zieglerem. Dwukrotnie. Przecież zeznanie Grega Haramoto w istocie sprowadzało się do tego, że ojciec umówił się na lunch ze starym przyjacielem, a potem oprowadził go po budynku sądu. No, rozmawiali też kilka razy przez telefon, ale co w tym złego! Niewątpliwie w taki właśnie sposób przedstawiają sprawę poplecznicy ojca z Mariah na czele. Przecież w 1986 roku sprawa jego nominacji toczyła się gładko. Zasiadający w Senacie liberalni demokraci bali się wysuwać poważniejsze obiekcje, gdyż musieli mieć na uwadze jego kolor skóry i kwalifikacje. Wszystko było w porządku, dopóki nie wyszła na jaw sprawa jego lunchów i przeszłość człowieka, z którym je jadał. Wówczas prasa natychmiast rozpoczęła nagonkę. Jak się okazało, nazwisko Jacka Zieglera, okrytego niesławą byłego pracownika Centralnej Agencji Wywiadowczej, pojawiało się w związku z wieloma politycznymi skandalami drugiej połowy dwudziestego wieku. Komisja Sama Ervina badająca aferę Watergate przesłuchiwała go w pewnej marginesowej, lecz kłopotliwej sprawie. Wspomniano o nim w niepochebny sposób w dodatku do raportu Kościoła na temat łamania prawa przez CIA, a w paru książkach pojawiły się wzmianki o jego związku z aferą Iran - Contras, chociaż wówczas już od dawna nie pracował w agencji. Podobno nawet zdawał sprawozdanie za zamkniętymi drzwiami komisji Warrena, gdyż kiedy jeszcze był agentem, przysłał z Meksyku raport o dziwnych poczynaniach niejakiego Lee Harveya Oswalda. Jednak przeważnie pozostawał w cieniu, dopóki katastrofa związana z nominacją mojego ojca do Sądu Najwyższego nie przysporzyła mu wątpliwej sławy. Jednak mimo że padliñożercom z prasy udało się wygrzebać jedno czy dwa oskarżenia przeciw Jackowi, to nigdy

niczego *nie udowodniono* poza lunchami, przynajmniej jeśli mowa o ojcu. Takie stanowisko zajmowała moja siostra. Podzielały je Komitety Prawomyślnych oraz artykuły redakcyjne „Wall Street Journal”. Przez pewien czas również ja. (Jeśli chodzi o Addisona, to ponieważ nie widział sposobu, by z tych niefortunnych okoliczności wycisnąć jakieś pieniądze, wołał nie odkrywać kart).

Jednak napływające codziennie nowe oskarżenia przeważały. W kilka dni po zeznaniach Grega Haramoto odnalazły się rejestry strażników, a wówczas najbardziej zagorzali poplecznicy ojca w Senacie zaczęli się troszczyć o własną skórę. Kilku przyjaciół zagrzewało Sędziego do walki, jednak on, będąc do końca graczem zespołowym, szlachetnie poprosił Biały Dom o wycofanie nominacji. Ku jego konsternacji, prezydent Reagan nie starał się go odwieść od tej decyzji. W ten sposób stanowisko, o które mój ojciec zabiegał przez pół życia, otrzymał mało znany sędzia federalny i były profesor prawa Antonin Scalia, zatwierdzony jednogłośnie, ku powszechnej uldze. Potem podczas swoich odczytów dla Komitetów Prawomyślnych ojciec radośnie powtarzał, że „Nino Scalia wykonuje cholernie dobrą robotę”. Ilekroć to słyszałem - a lubił to często powtarzać - aż mnie coś ścisnęło, bo wiedziałem, że znów będę musiał znosić przycinki moich liberalnych kolegów z Theo Mountainem na czele. Nie mogąc zranić mego ojca, starali się doku- czyć chociaż synowi.

To wszystko przyszło później. Początkowo upadek ojca wydawał się całkowicie nieprawdopodobny - tak wysoko wyniosła go własna inteligencja i użyteczność jego polityki. - On nic nie zrobił! - płakała Mariah w słuchawkę telefonu podczas naszych nocnych rozmów, które były dla nas chwilowym zawieszeniem broni w momencie kryzysu.

- Nie chodzi o to, co zrobił - tłumaczyłem jej cierpliwie, starając się wyjaśnić w sposób przystępny dla laika i poplecznika, że sędzia ma obowiązek unikać nawet pozorów niewłaściwego postępowania. Co prawda, sam nie całkiem w to wierzyłem, znając kilka osób, którym udało się zdobyć stanowisko sędziego federalnego, również w Sądzie Najwyższym. - Chodzi o ukrywanie tego, co zrobił.

- Przecież to śmieszne! - wykrzykiwała w odpowiedzi, niezdolna wówczas użyć ostrzejszych słów, tak charakterystycznych dla coraz bardziej wulgarnego języka dyskusji w naszym kraju. - Przez cały czas starali się go dopaść, *dobrze o tym wiesz*. - Zupełnie jakby fakt posiadania wrogów chronił przed oskarżeniami o niewłaściwe postępowanie. Albo jakby nie miało najmniejszego znaczenia to, że w okresie sławetnych lunchów na Jacku Ziegl- erze ciążyła cała gama oskarżeń i wkrótce miał się rozpocząć jego proces. Pomijała również to, że ojciec najwyraźniej nadal utrzymywał kontakt ze swoim dawnym współlokatorem, gdy wujek Jack w świetle prawa był zbiegiem. Koniec końców wujka Jacka uniewinniono z niemal wszystkich zarzu-

tów, a jeśli rzeczywiście był zbiegiem, to tylko przed sprawiedliwością liberałów, którzy nienawidzili go za nazbyt entuzjastyczną realizację zimnej wojny, co można było przeczytać w artykule wstępnym „Wall Street Journal”.

A jeśli pocztą pantoflową rozprzestrzeniały się pogłoski o wpływaniu na sędziów przysięgłych, przekupywaniu i zastraszaniu świadków oraz wygodnym znikaniu ważnych dowodów, to... no, cóż, zawsze krążą jakieś pogłoski.

(III)

Kimmer drzemie oparta na moim ramieniu. Jest wyczerpana po nocnym locie z San Francisco do domu, gdzie odebrała syna od sąsiadów, i podróży pociągiem aż tutaj. Jedziemy limuzyną w kierunku cmentarza znajdującego się w północno-wschodniej części Waszyngtonu, o kilka przecznic na północ od Uniwersytetu Katolickiego. Bentley przytula się nerwowo do jej drugiego boku. Szary garnitur wisi luźno na jego drobnym ciele, gdyż oszczędna Kimmer uważa, że dzieciom należy kupować ubrania o dwa lub trzy numery za duże. Obserwuję profil swojej żony. Wygląda wspaniale w czarnej prostej sukience, z delikatnymi złotymi kolczykami i pojedynczym sznurem pereł. Kimmer jest wysoka i piękna. Ma wydłużoną twarz o myślącym wyrazie, śmiały i agresywny podbródek, zachwycające brązowe oczy, dość duży i bardzo ładny nos oraz tak miękkie przy pocałunku usta, które uwielbiam. Nawet okulary w stalowych oprawkach dodają jej uroku. Stale przesuwa je w górę i na dół, ssie końcówki, kręci nimi, rozmawiając przez telefon, a dla mnie to wszystko jest nieodmiennie fascynujące. Uwielbiam na nią patrzeć już od chwili naszego poznania. Kimmer jest grubokoścista - to jej własne słowa - co oznacza, że ma szerokie ramiona i biodra. Te ostatnie po latach gwałtownych zmian osiągnęły okrągłość, którą moja żona uznaje za zadowalającą. Jej skóra jest o odcień jaśniejsza od mojej i świadczy o jej pochodzeniu z jamajskiej klasy wyższej. Brązowe włosy ma ścięte na buntowniczo krótkie afro, jakby chciała się przeciwstawić surowym oczekiwaniom swojego klanu (w którym nieodzowna jest trwałość, a często jeszcze farbowanie), a jej leniwy uśmiech i gwałtowny temperament świadczą o namiętym wnętrzu. W Kimmer kryje się jednocześnie żywiołowość i powściągliwość. Zachowuje się ze zmysłową godnością, dzięki której przyciąga do siebie, ale też wyznacza nieprzekraczalne granice. Nie lubi wokół siebie spokoju i jest owładnięta dokuczliwym pragnieniem sprawiedliwości. Ma przy tym niezwykle bystry umysł i szeroką wiedzę. Gdyby dano jej tę możliwość, Kimmer byłaby doskonałym sędzią. Nikt nie ma ochoty z nią zadzierać: ani prawnicy strony przeciwnej, z którymi styka się w pracy, ani przyjaciele zdobywani z taką denerwującą łatwością, ani tym bardziej ja.

Na przykład ostatnio nie kwestionuję potrzeby jej częstych wyjazdów do San Francisco, gdzie rzekomo wykonuje, jak to określają prawnicy, analizę typu „due dilligence” - z należytą starannością - dokumentów finansowych spółki produkującej oprogramowanie. Spółkę tę chce nabyć najważniejszy klient jej własnej firmy - lokalna grupa o nazwie EHP, dawniej Elm Harbor Partners, zajmująca się wykupem kredytowanym. Gdybym coś na ten temat powiedział, wściekłaby się na mnie. Kimmer jeździ tam, gdzie wysyła ją EHP, a jeśli EHP potrzebuje jej w Kalifornii, to tam właśnie jedzie. To właśnie dzięki bardzo dobrym stosunkom z EHP Kimmer tak szybko została partnerem w firmie Newhall & Vann, gdyż EHP poprosiło imiennie o nią niemal nazajutrz po tym, jak przestąpiła próg kancelarii. Warto dodać, że EHP jest formalnie klientem Geralda Nathansona, jednego z najbardziej wpływowych partnerów w jej firmie, żonatego mężczyzny, którego z moją żoną łączy lub nie łączy romans.

Być może ukradkowe telefony i długie niewyjaśnione nieobecności w pracy to tylko zbieg okoliczności. Tak, a może mój ojciec wyskoczy z trumny i zagra nam na nosie.

Akurat kiedy moja zazdrość zdążyła rozpaść się świeżym płomieniem, Kimmer nieoczekiwanie splata swoje palce z moimi, co ostatnio niezbyt często się zdarza. Spoglądam na nią zaskoczony i na jej twarzy widzę początki uśmiechu, ale nie patrzy na mnie. Bentley zdążył już mocno zasnąć, a Kimmer odruchowo gładzi go po czarnych loczkach. Bentley wzdycha. W tych dwojgu jest coś szczególnego, genetyczna tajemnica związku matki z synem, z którego ja jestem wykluczony, i to nigdy się nie zmieni. W tym dziwnym, pokręconym świecie mężczyźni często kochają swoje żony w takim samym stopniu jak dzieci. Natomiast jeśli chodzi o kobiety, biologia najwyraźniej bierze górę nad osobistym wyborem - nawet jeśli kochają mężów, to dzieci są zawsze na pierwszym miejscu. Gdyby było odwrotnie, wątpię, by ludzka rasa mogła przetrwać. W istocie przypuszczam, że jednym z powodów, dla których dochowuję wierności Kimmer, niezależnie od tego, co ona robi, jest świadomość, że jeśli kiedykolwiek się rozejdziemy, ona zabierze Bentleya ze sobą. Mimo że ja spędzam z naszym synem znacznie więcej czasu, nie mogłaby znieść jego utraty. Raz jeszcze spoglądam ukradkiem na Kimmer, a potem przenoszę spojrzenie na Addisona ściskającego się bezwstydnie ze swoją białą dziewczyną na przeciwległym siedzeniu. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy namiętność łącząca dwie tak różne natury przerodziła się kiedykolwiek we wzajemne iskrzenie.

Addison jest może o dwa centymetry ode mnie niższy i szerszy w ramionach, ale są to mięśnie, nie tłuszcz. Nie jest sportowcem, lecz zawsze dbał o swoją sprawność fizyczną. Twarz ma bardziej przyjazną i przystojniejszą niż ja - brwi mniej nachalne od moich, oczy równie rozstawione, a sposób bycia spokojniejszy i bardziej otwarty. Addison posiada klasę, zmysł dowcipu i

wdzięk, których mnie brakuje. Kiedy byliśmy dziećmi, Addison był zabawny i czarujący, a byłem zwykłym kujonem. Na przyjęciach, podczas wakacji czy w kościele zawsze miałem wrażenie, że rodzice znacznie chętniej przedstawiają swoim znajomym mojego brata niż mnie. W szkole przychodziłem do każdej klasy w cztery lata po Addisonie i chociaż zdobywałem lepsze oceny, nauczyciele byli zawsze przekonani, że on był bardziej inteligentny. Kiedy ja dostałem piątkę, ojciec tylko kiwał głową, natomiast gdy Addison dostał czwórkę, był poklepywany po plecach za swoje starania. Jako dziecko stale czytałem opowieść o synu marnotrawnym i nieodmiennie mnie ona rozwścieczała. Często kłóciłem się na jej temat z nauczycielami szkoły niedzielnej. Kiedy przeczytałem przypowieść o zagubionej owieczce, oświadczyłem nauczycielom, że moim zdaniem, większość ludzi zatrzymałaby raczej dziewięćdziesiąt dziewięć owieczek, zamiast wyruszać na poszukiwanie jednej zagubionej. Jedyną odpowiedzią były gniewne spojrzenia. W wieku dorosłym nic się nie zmieniło. Ojciec uważał za rzecz naturalną, że moje pierwsze małżeństwo z kobietą o trudnym charakterze nadal trwało, natomiast kiedy Addison przedstawiał mu kolejną, coraz bardziej uległą dziewczynę, Sędzia uśmiechał się, obejmował go ramieniem i pytał: - To co, synu, w końcu gotów jesteś się ustatkować? - I każda odpowiedź mojego brata go zadowalała. Na dodatek znacznie mniejsze wrażenie zrobiło na nim zdobycie przeze mnie dożywotniego stanowiska profesora w jednej z najlepszych szkół prawniczych w kraju niż niesamowita zdolność Addisona do znajdowania złota, gdziekolwiek uderzył łopatą.

Obecnie mój brat reprezentuje typ charakterystyczny dla ciemniejszej nacji: bystry, ambitny, dobrze wykształcony, bez reszty oddany romantycznej atmosferze od dawna rozbitego ruchu praw obywatelskich i żyjący na obrzeżach tego, co z niego pozostało. Dawno już ulotniła się jedność rasowa oraz wierność szerszych kręgów podstawowym zasadom tego ruchu, o ile w ogóle istniała. Prawo do spuścizny po Wilkinsie, Kingu i Hamerze roszczą sobie dziesiątki organizacji, jak również zastępy uczonych, paru komentatorów telewizyjnych oraz każda z grup świeżo namaszczonej ofiar przesładowań, a nikt z nich nie potrafi się powstrzymać przed wskazaniem zdumiewających podobieństw pomiędzy własnymi działaniami a walką czarnych ruchów wyzwoleniczych.

Jeśli chodzi o Addisona, to jak zawodowy tenisista, którym miał być w marzeniach ojca, zaliczył cały cykl szkoleniowy. Po ukończeniu Uniwersytetu Stanu Pensylwania otrzymał stanowisko w korporacji zajmującej się rozwojem lokalnym w Filadelfii, następnie został współpracownikiem średniego stopnia jednego ze stanowych kongresmanów. Kilka lat spędził w Baltimore w krajowym biurze NAACP*, potem przyszła kolej na wysokie stanowisko w Democratic National Committee*, kierownictwo działu w Fundacji Forda, ważne stanowiska doradcze podczas trzech ogólnokrajowych kam-

panii politycznych, semestr w roli wizytującego wykładowcy w Amherst, pracę w ACLU*, kilka lat za prezydentury Clintona w Departamencie Edukacji, ponownie ten dział w Fundacji Forda, semestr w Berkeley, rok we Włoszech, sześć miesięcy w Południowej Afryce, rok w Atlancie, w tym trzy ostatnie posady finansowane przez fundację Guggenheima, gdyż pracuje nadal nieskończoną książką na temat ruchu praw obywatelskich. W chwilach nieuwagi Addison szepce z nadzieją o nagrodzie MacArthura, której z pewnością nigdy nie otrzyma. Na razie zmuszony jest do zarabiania na życie, toteż przekształcił się w człowieka nowego wieku i zaczął prowadzić program radiowy z udziałem słuchaczy w Chicago. Przez pięć wieczorów w tygodniu radośnie zastrasza swoich gości, głosząc całemu światu, a przynajmniej swoim słuchaczom, własne ortodoksyjno-liberalne poglądy na każdy temat, od kary śmierci do kwestii homoseksualistów w armii. Ponadto co najmniej dwukrotnie każdego wieczoru uparcie powtarza, że George W. Bush tak naprawdę wcale nie został wybrany prezydentem. Wszystkie swoje komentarze hojnie okrasza cytatami z Biblii, częściowo wiernymi, oraz rzekomym pokłosiem myśli Mahawiry, Zhuangzi czy innych filozofów, których zapewne jego słuchacze nie znają. Zapewne można obdarzyć jego podejście do religii mianem New Age, gdyż ma zwyczaj mieszać ze sobą elementy, które uznaje za użyteczne i odrzucać te, które mu się nie podobają. Addison mieszka w niewielkim i starzejącym się, lecz eleganckim szeregowcu w Lincoln Park, czasem sam, a czasem z jedną ze swoich kilku przyjaciółek, przeważnie białych, czekając na kolejne wielkie przedsięwzięcie, które będzie mógł wpisać do swojego życiorysu. Jeśli przycisnie się go do muru, przyzna, że był raz lub dwa żonaty. Jednak nieodmiennie dodaje, iż zaczął żywić wątpliwości co do instytucji małżeństwa, toteż jest zadowolony, że jego nie przetrwały.

*NAACP (National Association for the Advancement of Colored People) (*ang.*) - Narodowe Stowarzyszenie ds. Rozwoju Ludności Kolorowej

*National Committee (*ang.*) - Narodowy Komitet Demokratyczny

*ACLU (American Civil Liberties Union) (*ang.*) - Amerykański Związek Swobód Obywatelskich

O, słodkie małżeństwo! Moi rodzice zawsze opisywali je jako fundament cywilizacji. Moja siostra i ja, pomimo naszych słabości, staraliśmy się zachowywać, jakbyśmy w to wierzyli. Natomiast obnoszący się ze swoją religijnością Addison postępuje zupełnie inaczej. Jego pierwsza żona była nauczycielką w szkole publicznej w Filadelfii. Miała na imię Patsy i była bardzo miłą, spokojną przedstawicielką ciemniejszej nacji. Wkrótce po ślubie między Patsy a moim bratem rozpoczęły się kłótnie o to, kiedy będą mogli pozwolić sobie na dziecko. Addison, jak wielu mężczyzn niezdolnych zaangażować się w małżeństwo, które już zawarli, nieodmiennie odpowiadał: *Później*. Odeszła od niego w trzecim roku. Potem nastął okres, kiedy kobiety

Addisona zmieniały się chyba co tydzień. W tym czasie przeżyliśmy też jedno straszne Święto Dziękczynienia, w dwa lata po okryciu się przez ojca niesławą. Mój brat przyjechał z przesadnie wymalowanym dzieckiem wyglądającym na piętnaście lat i ubranym jak prostytutka. (Ku naszej uldze, dyskretne pytania mamy pozwoliły ustalić, że w rzeczywistości ma dwadzieścia dwa lat i jest pomniejszą gwiazdką w operze mydlanej; Sally, która jak zawsze się spóźniła, rozpoznała ją natychmiast i pograżyła się w zazdrośnym podziwie). Addison i Cali - bo takie nieprawdopodobne imię nosiła - uczestniczyli w kolacji tak krótko, że zakrawało to na niegrzeczność. Potem szybko nas opuścili, tłumacząc się koniecznością długiej jazdy do Nowego Jorku. Tymczasem kiedy wyszedłem z nimi na podjazd, Addison zdradził mi, że jadą jeszcze do przyjaciół w Maryland - dwóch scenarzystów, którzy wybudowali sobie wspaniały dom nad wodą w pobliżu Queenstown. Taki właśnie był Addison, przynajmniej do niedawna. Lubił pokazywać się z aktorkami, modelkami, piosenkarkami, małymi, bezmyślnymi kobietkami emanującymi seksualnością. Jednak nie zawsze. Na pewien czas zamieszkał w Brooklynie z nie całkiem normalną, a do tego karaną terrorystką - Seliną Sandoval. Chętnie brała udział we wszystkich protestach, poza tymi przeciw aborcji, i trzymała broń w całym mieszkaniu. Addisona uważała za faszystę, lecz wyuczalnego, co mniej więcej odpowiada stosunkowi Addisona do mnie. Mój brat twierdził, że jego zainteresowanie Seliną było spowodowane „badaniami dla celów powieści”, której, jak wielu swoich pomysłów, nie zaczął jeszcze realizować. Kiedy Seliną w końcu całkiem zwariowała i wyładowała z powrotem w więzieniu, zastąpiła ją stewardessa, potem maklerka giełdy towarowej, następnie średnio znana tenisistka, potem kelnerka z jego ulubionego baru, jedna z gwiazd Teatru Tańca z Harlemu i policyjna pani detektyw, co mój brat uważał za żart. W końcu zdecydował się na drugą żonę, którą została Virginia Shelby, antropolog kończąca studia magisterskie na University of Chicago. Była to kobieta o przyjaznym uśmiechu i onieśmielającym intelekcie, którą zarówno ojciec, jak i matka mogli zaakceptować. Sądziłem, że takie przymierze wreszcie pomoże mu się uspokoić. Wszyscy kochali Ginnie, wszyscy oprócz Addisona, który szybko miał dość jej ponagleń dotyczących, oczywiście, posiadania dziecka. Opuścił ją po półtora roku dla dwudziestoczteroletniej asystentki produkcji w swoim programie radiowym. Wprawdzie ich rozejście zostało ustylizowane na formalną separację, lecz wszyscy wiedzą, że to już koniec tego małżeństwa. Nikogo zatem nie dziwi, że pojawił się na pogrzebie z całkiem obcą białą kobietą - Beth Olin. Jest ona podobno poetką lub scenarzystką - nie mamy czasu, żeby dokładniej się dowiedzieć podczas tej krótkiej wizyty, a więcej już jej nie zobaczymy.

ROZDZIAŁ 5

Spotkanie przy grobie

(I)

Kimmer mocno trzyma mnie za rękę, gdy - lekko drżąc z chłodu - stoimy przy grobie, a ojciec Bishop wypowiada słowa ostatniego pożegnania. Freeman Bishop od niepamiętnych czasów zajmuje stanowisko proboszcza kościoła Św. Trójcy i św. Michała. Jest jednym z tych uczonych księży, którzy zgodnie z duchem Kościoła episkopalnego posiadają głęboką wiedzę teologiczną i doskonale znają historię Kościoła, czego dawniej powszechnie oczekiwano od duchowieństwa wspólnoty anglikańskiej. Jednak mój ojciec zawsze wyrażał się niepocholebnie o tym człowieku. Powodem była oczywiście polityka. Kościołem episkopalnym targają ostatnio ostre konflikty dotyczące niezliczonych tematów, od wyświęcania gejów i lesbijek począwszy, a na autorytecie Biblii skończywszy. Zdaniem Sędziego, we wszystkich tych sprawach Freeman Bishop zajmował niewłaściwe stanowisko. *Oni nie rozumieją*, miał zwyczaj narzekać mój ojciec, przy czym „oni” to byli wszyscy, którzy z nim się nie zgadzali, *że Kościół jest strażnikiem i zarządcą wiedzy moralnej, a nie jej twórcą! Wydaje im się, że mogą sobie zmieniać, co im się podoba, żeby iść z duchem czasu.* Sędzia zawsze był ostry, niezależnie od tego, czy miał rację, i zawsze też wolał żałować świata, który już przeminął niż przygotowywać się na ten, który nadejdzie.

Wracając do Freemana Bishopa, to niezależnie od zawilosci jego polityki, jest on człowiekiem ogromnej wiary, o dużych zdolnościach kaznodziej-skich. Daje doskonałe przedstawienie, jak to określał Sędzia, i było w tym wiele racji. Ojciec Bishop, z sympatycznie wyłysiałą brązową głową, w grubych okularach i z niskim, grzmącym głosem, który przypominał ryk huraganu nadciągającego znad wybrzeża Atlantyku - on sam jest z Englewood w New Jersey - mógłby doskonale uchodzić za jednego z wielkich afroamerykańskich kaznodziejów... o ile ktoś nie wsłuchałby się zbyt uważnie w treść jego słów. Przy tym, pomimo pogardy ojca dla jego poglądów, łączyły ich może nie przyjacielskie, ale bardzo bliskie stosunki. Ostatnio doszło nawet do tego, że stopniowo malejące grono przyjaciół ojca ze Złotego Wybrzeża dopuściło Freemana Bishopa do swojej najbardziej uświęconej tradycji - piątkowego pokera. Zatem w zasadzie nie było wątpliwości, kto odprawi uroczystości pogrzebowe, pomimo że kilku znanych konserwatywnych du-

chownych dzwoniło, oferując swoje usługi.

Zawsze uwielbiałem cmentarze, szczególnie stare - ich pełen satysfakcji nastrój przeszłości i jej łączność z terażniejszością, ich niemal nadnaturalny spokój i stanowcze zapewnienie, że koła historii rzeczywiście się obracają. Dla większości z nas cmentarze emanują jakąś mistyczną moc. Nie dziwi zatem ani wrażenie, jakie wywierają na nas opowieści o wampirach, ani to, że zbezczeszczenie grobów nieodmiennie staje się najważniejszą informacją wieczornych wiadomości lokalnych. Ja jednak kocham cmentarze przede wszystkim jako miejsca, gdzie można dokonywać odkryć. Czasem, gdy po raz pierwszy jestem w jakimś mieście, udaję się na najstarsze miejsce pochówku i spaceruję, poznając miejscową historię dzięki studiowaniu powiązań rodzinnych. Nieraz potrafię chodzić godzinami, żeby znaleźć grób wielkiej postaci z przeszłości. Mniej więcej na rok przed urodzeniem się Bentleya obydwój z Kimmer pojechaliśmy do Europy w sprawach zawodowych. Ja byłem w Hadze, gdzie uczestniczyłem w konferencji na temat, jakie odszkodowania za ból i cierpienie powinno przewidywać prawo o czynach niedozwolonych Unii Europejskiej, ona natomiast w Londynie, załatwiając licho wie co dla EHP. Obojgu nam udało się wygospodarować półtora dnia, żeby wyskoczyć do Paryża, gdzie nigdy wcześniej nie byliśmy. Kimmer marzyła o zobaczeniu Luvru, lewego brzegu Sekwany i katedry Notre Dame, ja jednak miałem inne plany. Upierałem się, żebyśmy w gwałtownej burzy pojechali taksówką prosto na ponury cmentarz Montparnasse i obejrzeni grób Aleksandra Alechina, alkoholika i wściekłego antysemitę, który w latach trzydziestych był mistrzem świata w szachach i prawdopodobnie najinteligentniejszym szachistą, jaki kiedykolwiek żył.

Dla mojej żony był to kolejny dowód, że sam jestem nieco szalony.

A teraz stoję na jeszcze jednym cmentarzu. Podczas krótkiej ceremonii przy grobie wszystko wydaje mi się takie nierzeczywiste. Nie potrafię się skupić, toteż rozglądam się za spychaczem, który zasypie trumnę po odejściu ostatniego z żałobników, ale jest zbyt dobrze ukryty. Przelotnie zerkam na nagrobek z wypolerowanego marmuru, na którym znajduje się już imię mojej matki, oraz na znajdującą się nieco z boku małą płytę pamiątkową Abby. Kwatera rodzinna, którą mój ojciec kupił wiele lat temu, znajduje się na szczycie niewielkiego wzniesienia. Zawsze powtarzał, że kupił ją dla widoku. Widać stąd większość rozległego terenu cmentarza. Jest zalesiony, a szeregi nagrobków rozchodzą się nieprawdopodobnie prostymi rzędami po zboczach pagórków. Nawet w dzisiejszym ostrym jesiennym słońcu wszędzie widoczne są cienie. W pewnej odległości od nas niektóre z nich robią wrażenie, jakby się ruszały; może to reporterzy? Gra światła? Rozgorączkowana wyobraźnia? Muszę uważać, bo udzieli mi się paranoja mojej siostry. Ponownie skupiam się na wydarzeniach przy grobie. To już trzeci pogrzeb, w którym uczestniczę na tym cichym wzgórzu, a za każdym razem rodzina

coraz bardziej się zmniejsza. Najpierw pochowaliśmy Abby, potem mamę. Teraz przyszła kolej na Sędziego.

Zamordowany, przypominam sobie, spoglądając na siostrę, która lka przez całe nabożeństwo. Chłodny wiatr zrzuca na ziemię następne liście. Mam wrażenie, że z każdym rokiem drzewa pozbywają się ich coraz wcześniej, ale to pewnie skutek przybywających mi lat. Mariah twierdzi, że Sędzia został zamordowany. Chowamy naszego ojca koło Abby, a Mariah myśli, że ojciec chrzestny Abby go zabił.

Możliwe. Niemożliwe. Prawda. Fałsz.

Niewystarczające dane, stwierdzam w końcu, kręcąc się niespokojnie ze zdenerwowania.

Kimmer ściska moją dłoń. Mariah nadal pociąga nosem, a silny, wyprostowany Howard obejmuje ją, jakby się bał, że mu odpłynie. Wygląda na to, że przyprowadzili tylko część swojego potomstwa, ale nie mam sił, żeby dokładnie policzyć. Tuż za dziećmi Dentonów stoi ze znużoną miną Addison. Może tu też chciałby wygłosić parę słów. Jego dziewczyna, okazując zupełny brak szacunku, odeszła na bok i zajęła się oglądaniem innych nagrobków. Obok Addisona błądy i szeroki Mallory Corcoran spogląda na zegarek, nawet nie starając się ukryć zniecierpliwienia. Jednak ojciec Bishop i tak już kończy. Słońce odbija się w jego łysej brązowej głowie, gdy poprawia okulary i wypowiada ostatnie słowa końcowej modlitwy: - Panie Jezu Chryste, Synu żywego Boga, błagamy Cię, by Twoja męka i śmierć na krzyżu odkupiła nasze grzechy, teraz i w godzinie śmierci naszej. Niech Bóg udzieli żyjącym przebaczenia grzechów, a wszystkim zmarłym światła i pokoju. Niech nam da szczęśliwe życie wieczne z Chrystusem, który prawdziwie zmartwychwstał. Niech was błogosławi Bóg wszechmogący, Ojciec i Syn i Duch Święty.

Wszyscy odpowiadamy „Amen”. Uroczystości pogrzebowe dobiegły końca. Wśród żałobników daje się widzieć poruszenie, ale ja jeszcze przez chwilę stoję, uderzony przerażającą siłą tej modlitwy: *by Twoja męka i śmierć... odkupiła nasze grzechy*. Jeżeli wszystko, w co staram się wierzyć, jest prawdą, to mój ojciec poznał już wyrok Boga na swoją duszę. Ciekaw jestem, jaki on może być. Zastanawiam się, jak to jest: zostawić za sobą egzystencję śmiertelnika i wiedzieć, że nie będzie już drugiej szansy, albo mimo wszystko znaleźć wybaczenie. Dla ateisty cmentarz jest miejscem zmarłych, pospolitym i absurdalnym. Natomiast dla wierzącego to miejsce strasznych pytań i przerażających odpowiedzi. Wpatruję się w trumnę spoczywającą na wózku, otoczoną plastikową trawą, gotową do ześlizgnięcia się pod ziemię, kiedy tylko stąd odejdziemy.

Zmarłym światła i pokoju.

Silniejszy uścisk palców Kimmer przywołuje mnie z powrotem do świeckiego świata kończących pogrzeb uścisków dłoni. Wszyscy zaczynają się

zbierać do odejścia. Przyjaciele, kuzyni i partnerzy z firmy prawniczej gromadzą się wokół nas. Czarny mężczyzna mający na oko ze sto lat obejmuje mnie kościstymi ramionami, szepcząc że jest wujkiem kogoś innego, czyje imię nic dla mnie znaczy. Po chwili jego miejsce zajmuje wysoka, intrygująca kobieta w woalce, również przedstawicielka ciemniejszej nacji, wyjaśniając, że jest siostrą jakiejś ciotki, o której nigdy nie słyszałem. Chciałbym znać swoją dalszą rodzinę, ale to nigdy nie nastąpi. Obejmując kolejnych nieznanymi krewnymi, dostrzegam Danę Worth, która smutno macha mi ręką i odchodzi. Teraz muszę znieść niedźwiedzi uścisk Eddiego Doziera, byłego męża Dany, który potem zwraca się ku Kimmer. Moja żona krzywi się, ale pozwala się objąć. Dziękuję za udział w pogrzebie wujkowi Malowi i jego żonie Edie, Madisonom, którzy jak zwykle mówią wszystko, co należy, kuzynce Sally i jej wieloletniemu przyjacielowi Budowi, byłemu bokserowi bez specjalnych osiągnięć, którego zazdrosne pięści dosięgają czasem zbyt długo przyglądających się jej mężczyznom. W końcu gubię się w tym, komu ściskam rękę i zaczynam mylić imiona żałobników, co nigdy nie przydarzyłoby się mojemu ojcu. *Jesteś głową rodziny*, przypominam sobie.

Kimmer niespodziewanie obejmuje mnie w pasie i ściska, a nawet uśmiecha się do mnie, chcąc mnie wyrwać z tego zamyślenia. Uświadamiam sobie, że stara się mnie pocieszyć, z tym, że nie kieruje nią instynkt żony, tylko rozsądek. Drugą ręką ściska małą dłoń Bentleya. Nasz syn wydaje się taki drobny i zagubiony w długim czarnym płaszczu, ledwie wczoraj kupionym u Nordstroma. Widzę, że zaczyna już ziewać.

- Pora ruszać, kochanie - odzywa się Kimmer, ale nie do mnie.

Wraz z innymi grupkami ludzi kierujemy się wolnym krokiem ku samochodom. Już nie jednoczy nas idea upamiętnienia czyjegoś życia. Znów jesteśmy jednostkami, z własnymi rodzinami i zajęciami, radościami i troskami, a mój ojciec dla większości żałobników stanowi już przeszłość. Mariah w dalszym ciągu popłakuje, ale jest w tym raczej odosobniona. W pewnym momencie słychać brzęczenie telefonu komórkowego i kilkanaście rąk zaczyna przeszukiwać kieszenie i torebki, żeby sprawdzić. Szczęśliwym zwycięzcą okazuje się Howard, który przez chwilę słucha w milczeniu, po czym wdaje się w cichą rozmowę na temat właściwej wyceny obligacji wymienionych. Nadal jeszcze peroruje, gdy wciska się do limuzyny.

Kilka ostatnich uścisków i pocałunków i w końcu znów zostajemy sami. Zauważam, że Addison nadal stoi przy grobie, przygarbiony, z rękami wciśniętymi w kieszenie, choć popołudnie jest bardzo ciepłe. Wpatruje się ze smutkiem w cienie. O czym myśli? O Beth? O Ginnie? O akurat nienapisanej książce? Gościach zaproszonych na przyszły tydzień? Mówię Kimmer, że za chwilę wrócę, niechętnie puszcza jej dłoń i ruszam z powrotem, ku bratu. Chciałbym móc powiedzieć, że widok samotnego Addisona poruszył we mnie jakąś strunę empatii lub nawet miłości, ale byłoby to kłamstwo.

Bliższe prawdy będzie stwierdzenie, że denerwuję się, iż mój brat przeżywa objawienie, komunikuje się z siłami wyższymi lub poznaje mistyczne prawdy, a ja nie mam o tym pojęcia. Zupełnie jak wówczas, gdy on wiedział, a ja nie, że Święty Mikołaj to oszustwo. Zapewne jest to bardzo niski motyw, ale to dawna zazdrość, odwieczne *Dlaczego Addison?* prowadzi mnie z powrotem do jego boku.

- Cześć, Misha - mruczy, kiedy docieram na szczyt wzniesienia. Addison z takim samym uporem używa mojego przydomku, z jakim Mariah go unika. Nie odwracając głowy, kładzie dłoń na moim ramieniu. Uświadamiam sobie, że zapewne przerwałem mu modlitwę. Oraz to, że w swojej mowie pogrzebowej ani razu nie wspomniał o Bogu.

- Dobrze się czujesz? - pytam, usiłując odgadnąć, na co on patrzy. Ja widzę tylko drzewa i nagrobki.

- Chyba tak. Nie wiem. Po prostu sobie rozmyślałem.

- O czym?

- No, wiesz. Co guru Arjan powiedział na temat tortur śmierci.

No, oczywiście. To było moje następne przypuszczenie.

Właściwy moment mija. Od dawna podziwiam swojego starszego brata i zazdroszczę mu, w minionych latach spędziliśmy wspólnie wiele radosnych chwil, a jednak teraz niewiele mamy sobie nawzajem do powiedzenia.

- Pięknie tu - zauważa Addison. - Przypuszczam, że pewnego dnia się tu znaję. Ty też.

Mija kilka sekund, zanim dociera do mnie, że mówi o śmierci. A właściwie nie mówi, tylko martwi się. Mój starszy brat, który nigdy niczego się nie bał i bez wysiłku szedł przez życie dzięki swojemu urokowi, teraz nagle denerwuje się śmiercią. Czy naprawdę tak bardzo był uzależniony od ojca? No, nie wiem. A może to ja jestem, nienormalny? Widzę, jak trumna mojego ojca zagłębia się w ziemi, a nie martwię się własną śmiertelnością. W każdym razie mój brat potrzebuje pociechy. Najwyraźniej Beth Olin nie nadaje się do tej roli. Jednak ja również nie.

- Chodź - szepczę, ujmując go pod łokieć. - Powinniśmy już iść.

Strząsa moją rękę i wskazuje przed siebie. - Wiesz co, Misha, za każdym razem, kiedy spoglądam na grób Abby, mam nadzieję, że kiedyś ich znajdą.

- Kogo?

- Tych, którzy ją zabili. - W głosie starszego brata słyszę całą gorzką wściekłość mojego ojca. Wpatruję się w niego przez chwilę, zdumiony.

- Addisonie...

- Tak, tak. Ty już idź, dogonię cię za chwilę. No, idź.

Czekam jeszcze kilka sekund, ale Addison stoi nieporuszony, więc odwracam się i schodzę ścieżką w kierunku samochodów. Kiedy podchodzę bliżej, widzę, że Kimmer rozmawia przez telefon komórkowy. Zwrócona do mnie plecami notuje coś w niewygodnej pozycji na kartce rozpostartej na

dachu limuzyny. Howard i Mariah już zniknęli, ale parę najbardziej lojalnych osób nadal czeka, a wśród nich wujek Mal, który już dawno powinien być w swoim biurze. Ogarnia mnie ciepłe uczucie na myśl o jego oddaniu dla nas, lecz po chwili dostrzegam, że on również trzyma przy uchu telefon. Potrząsam z niesmakiem głową na myśl o zwyczajach panujących w świecie interesów. Może nawet on i Kimmer rozmawiają ze sobą.

- Talcott!

Obracam się na pięcie na dźwięk swojego imienia. Początkowo myślę, że to Addison, ale on idzie już ścieżką w moim kierunku i też się rozgląda, skąd dobiega ten głos.

- Talcott! Talcotcie, poczekaj! - Głos brzmi słabo, bardziej jak echo.

Spoglądam na koniec cmentarza, gdzie nagie drzewa rzucają w popołudniowym słońcu długie cienie. Zaczyna się już zbierać lekka mgiełka, tak że kształty tracą nieco ze swej ostrości. Początkowo w miejscu, skąd dobiega głos, dostrzegam tylko większe zagęszczenie cieni. Po chwili dwa z nich odłączają się od reszty i jak widma przemieniają się w ludzi - dwóch białych mężczyzn zmierzających w moją stronę.

Rozpoznaję jednego z nich i nagle jesienne niebo szarzeje.

- Witaj, Talcotcie - mówi Jack Ziegler. - Dziękuję, że na mnie zaczekałeś.

(II)

Pierwsza myśl, która mnie uderza na jego widok, to że wujek Jack jest chory. Jack Ziegler nigdy nie był potężnej postury, ale zawsze robił groźne wrażenie. Nie wiem, ile osób zabił, choć zawsze obawiałem się, że więcej niż wspomiano w gazetach. Nie widziałem go od ponad dziesięciu lat i wcale mi go nie brakowało. Ale jakież zmiany dokonały się w tym człowieku! Stał się taki kruchy. Garnitur z doskonałej szarej wełny i granatowy szal dosłownie wiszą na jego wychudzonym ciele. Dawniej szeroka i silna twarz, którą pamiętałem od dzieciństwa, gdy odwiedzał nas w domu na Vineyard z drogimi prezentami, wspaniałymi lamigłówkami i okropnymi dowcipami, teraz się zapadła. Nadal dość gęste srebrne włosy przylegają posklejane do czaszki, a jasnorożowe wargi drżą, gdy nic nie mówi, a chwilami nawet wówczas, gdy mówi. Towarzyszy mu wyższy, potężniejszy i znacznie młodszy mężczyzna, który spokojnie pomaga mu odzyskać równowagę, gdy się potyka. Może przyjaciel, chociaż Jackowie Zieglerowie tego świata nie mają przyjaciół. W takim razie ochroniarz. Jeśli wziąć pod uwagę stan fizyczny wujka Jacka, może to być również pielęgniarz.

- Patrzenie, kto się tu zjawiał - syczy z wściekłością Addison.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - nalegam z normalnym u mnie brakiem

rozsądku. Przywołuję się do porządku, żeby nie myśleć o tym, co twierdziła Marian, gdy w piątkowy wieczór siedzieliśmy w kuchni.

- Proszę bardzo.

Zanim Jack Ziegler zdążył do nas podejść, ostrzegam Kimmer, żeby wraz z Bentleyem została przy samochodzie, a ona przynajmniej raz bez żadnej dyskusji wykonuje moją prośbę. Dobrze wie, że żaden potencjalny sędzia nie może być widziany podczas rozmowy z takim człowiekiem. Wujek Mal robi krok naprzód, jakby chciał mnie osłonić, tak jak swoich klientów wychodzących z posiedzenia wielkiej ławy przysięgłych, jednak wykonuję w jego kierunku gest mówiący, że sobie poradzę. Potem odwracam się i szybko podążam na szczyt wzniesienia. Całe szczęście, że Mariah zdążyła już odjechać, bo to spotkanie mogłoby ją dobić. Tylko Addison trzyma się niedaleko mnie, w odległości zgodnej z wymogami uprzejmości, lecz jednocześnie dość blisko, żeby mi pomóc, gdyby... gdyby co?

- Witaj, wujku Jacku - odzywam się, gdy jednocześnie z ojcem chrzestnym Abby docieramy do grobu. Potem czekam. Nie wyciąga ręki i ja też tego nie robię. Jego ochroniarz, czy ktokolwiek to jest, stoi za wujkiem Jackiem nieco z boku, mierząc zaniepokojonym wzrokiem mojego brata. Ja sam jestem najwyraźniej zbyt nieszkodliwy, by wzbudzić jego czujność.

- Pragnę ci złożyć swoje kondolencje - mruczy Jack Ziegler swoim dziwnym akcentem, ni to wschodnioeuropejskim, ni to brooklyńskim, ni to harwardzkim. Ojciec zawsze twierdził, że jest specjalnie spreparowany, równie sztuczny jak wschodnioteksańskie przeciąganie samogłosek przez Eddiego Doziera. - Tak mi przykro z powodu śmierci twojego ojca. - Mówi ze spuszczonego wzrokiem, wpatrując się w grób.

- Dziękuję. Obawiam się, że nie zauważyliśmy cię w kościele...

- Nienawidzę pogrzebów. - Stwierdza to rzeczowym tonem, jakby rozmawiał o pogodzie, sporcie czy ucieczce do innego stanu, by uniknąć oskarżenia. - Nie mam ochoty czcić czyjejś śmierci. Zbyt często byłem świadkiem śmierci dobrych ludzi.

Niektórych z twojej własnej ręki, myślę, zastanawiając się przy tym, czy nie rozmawiam z człowiekiem, który zamordował własną żonę, jeśli te rza-dziej opowiadane plotki są prawdziwe. Znowu dopadają mnie strachy Mariah. Chronologia wydarzeń przedstawiona przez moją siostrę ma w sobie pewną obłąkaną logikę: mój ojciec spotkał się z Jackiem Zieglerem, zadzwonił do Mariah, a w kilka dni później już nie żył. Potem Jack Ziegler zadzwonił do Mariah, a teraz jest tutaj. Wczoraj, kiedy leżeliśmy już w łóżku, opowiedziałem Kimmer o przekonaniu żywionym przez Mariah. Moja żona, leżąc z głową na moim ramieniu, zaśmiała się i stwierdziła, że raczej jej to wygląda na dwóch starych przyjaciół, którzy spotykali się przez cały czas. Nadal nie wiem, co o tym sądzić, więc mówię tylko: - Dziękuję za przybycie. Teraz jeśli pozwolisz...

- Czekaj - przerywa mi Jack Ziegler i po raz pierwszy podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w oczy. Odruchowo cofam się o pół kroku, gdyż jego twarz widziana z tak bliska wygląda przerażająco. Błada, cienka jak papier skóra jest zniszczona przez jakieś nieznane mi choroby, które uważam za właściwą karę za życie, jakie sobie wybrał. Jednak moją uwagę przyciągają przede wszystkim jego oczy. Wyglądają jak dwa żywe, gorące węgle, żarzące się mrocznym, radosnym szaleństwem, które powinno być zsyłane na wszystkich morderców na pewien czas przed śmiercią.

- Wujku Jacku, prze-przepraszam - udaje mi się wykrztusić. *Czy naprawdę zaczęłam się jękać!* - Muszę... muszę już iść...

- Talcotcie, przebyłem tysiące mil, żeby się z tobą spotkać. Z pewnością możesz mi poświęcić pięć minut swojego cennego czasu. - W jego głosie słychać okropny świst i przemyka mi przez myśl, że być może wdycham to, co doprowadziło go do takiego stanu. Jednak nie mam zamiaru się cofać.

- Słyszałem, że mnie szukasz - mówię w końcu.

- Tak. - Robi teraz wrażenie po dziecięcemu podnieconego. Niemal decyduje się na uśmiech, ale po zastanowieniu rezygnuje. - Tak, to prawda. Szukam cię.

- Wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć. - Wychowywano mnie tak, żebym był uprzejmy, ale widok wujka Jacka w takich okolicznościach i po tylu latach wzbudza we mnie nieodpartą chęć niegrzecznego zachowania.

- Mogłeś zadzwonić do mnie do domu.

- To nie byłoby., to było niemożliwe. Rozumiesz, oni wiedzą, wzięliby to pod uwagę, więc myślałem... myślałem, że może... - jego głos stopniowo cichnie, w oczach pojawia się zmieszanie i uświadamiam sobie, że wujek Jack czegoś się boi. Mam nadzieję, że perspektywy więzienia lub niewątpliwie nadciągającej śmierci, gdyż jeśli cokolwiek innego może przerażać Jacka Zieglera... nie chciałbym mieć z tym do czynienia.

- No, dobrze. Znalazłeś mnie. - Może to trochę przedwcześnie, ale teraz mniej się go boję. Z drugiej strony nie bardzo mam ochotę przebywać w jego towarzystwie. Chciałbym już uciec od tego chorego stracha na wróble i schronić się w ciepłe, nawet tym niedoskonałym, swojej rodziny.

- Twój ojciec był wspaniałym człowiekiem - kontynuuje wujek Jack - i bardzo dobrym przyjacielem. Dużo robiliśmy razem. Nie interesy, lecz głównie przyjemności.

- Rozumiem.

- Bo wiesz, w gazetach pisali, że prowadziliśmy wspólne *interesy*. Nie łączyły nas żadne *interesy*. To wszystko bzdury. Sfabrykowane bzdury.

- Wiem - kłamię, ale jego nie interesuje moja opinia.

- Ten jego aplikant. Jak on mógł tak fałszywie przysięgać. - Wydaje odgłos splunięcia, ale w rzeczywistości nie pluje. - Szumowina. - Potrząsa głową w udawanym niedowierzaniu. - Gazety, oczywiście, lubują się w czymś

takim. Lewicowe sukinsyny. Wszystko dlatego, że nienawidzili twojego ojca.

Dotychczas nie miałem okazji poznać opinii Jacka Zieglera na ten temat, gdyż ostatnio widzieliśmy się na długo przed przesłuchaniami ojca w Senacie. Sądząc po tonie jego wypowiedzi, nie chciałby usłyszeć, co ja o tym sądzę. Zatem nie odzywam się.

- Słyszałem, że temu głupcowi nie udało się już potem dostać pracy.
- Powiedział to bez śladu ironii, a ja już wiem, kto pociągał przynajmniej za niektóre sznurki. - Wcale mnie to nie dziwi.

- Zrobił to, co uważał za słuszne.

- Kłamał, żeby zniszczyć wielkiego człowieka i zasłużył sobie na to, co go spotkało.

Mam już tego dość. Kiedy Jack Ziegler dalej rzuca gromy, dochodzę do wniosku, że szalone przypuszczenia Mariah wcale nie były takie szalone. - Wujku Jacku...

- On *był* wielkim człowiekiem, twój ojciec - przerywa mi. - Bardzo wielkim człowiekiem i bardzo dobrym przyjacielem. Ale teraz kiedy nie żyje, no, cóż... - urywa i podnosi dłoń wnętrzem do góry, po czym przechyla ją w jedną i drugą stronę. - Teraz bardzo bym chciał pomóc *tobie*.

- Mnie?

- Tak, Talcotcie. No, i oczywiście twojej rodzinie - dodaje cicho, pocierając skronie. Mam wrażenie, że skóra porusza się pod jego palcami. Wyobrażam sobie, jak się odrywa, odsłaniając nagą czaszkę.

Zerkam w kierunku samochodów. Kimmer wyraźnie się niecierpliwi, podobnie jak wujek Mal. Raz jeszcze patrzę na ojca chrzestnego mojej siostrzyczki. Jego pomoc jest ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął.

- Dziękuję ci bardzo, ale wydaje mi się, że wszystko jest pod kontrolą.

- Ale zadzwonisz? Gdybyś czegoś potrzebował, zadzwonisz? Szczególnie w razie... jakichś szczególnych okoliczności?

Wzruszam ramionami. - W porządku.

- Na przykład z twoją żoną - ciągnie dalej. - Wiem, że zamierza zostać sędzią. To wspaniale. Z tego, co wiem, zawsze tego pragnęła.

- To jeszcze nic pewnego - odpowiadam machinalnie, zaskoczony, że ta tajemnica dotarła aż do Gór Skalistych. Nie chcę, żeby Jack Ziegler miał cokolwiek wspólnego z jej nominacją. Już i tak zniszczył o jedną sędziowską karierę za dużo. - Ona nie jest jedynym kandydatem.

- Wiem o tym. - W jego płonących oczach znów dostrzegam rozradowanie. - Rozumiem, że jeden z twoich kolegów jest przekonany, że już ma to stanowisko. Niektórzy mogliby go nazwać faworytem.

Ponownie zadziwia mnie swoją znajomością tej sprawy. Wolę się nie zastanawiać, skąd to wszystko wie. Cieszę się tylko, że Kimmer nie słyszy naszej rozmowy.

- Prawdopodobnie tak. Ale, słuchaj, muszę...

- Posłuchaj, Talcotcie. Słuchasz mnie? - Przysuwa się bliżej. - Myślę, że ten twój kolega nie utrzyma się zbyt długo na czele. Z tego, co wiem, w jego szafie niemiło pachnie dość spory trup. A wszyscy wiemy, co to oznacza, nieprawdaż? - Znosi się gwałtownym kaszlem. - Wcześniej czy później musi z niej wypaść.

- Co to za trup? - pytam, gdyż nagły przypływ podniecenia przytłumia moją czujność.

- Na twoim miejscu nie zawracałbym sobie tym głowy. Nie rozmawiałbym też o tym z twoją cudowną żoną. Czekalibyśmy cierpliwie na bieg wydarzeń.

Jestem zdumiony, ale nie mogę powiedzieć, że niezadowolony. Jeśli istnieją informacje, które mogłyby przekreślić szanse Marca Hadleya, to wprost trudno mi się doczekać, kiedy wyjdą na jaw. Wprawdzie niegdyś byliśmy z Markiem przyjaciółmi, ale nie mogę się oprzeć uczuciu radości. Niewątpliwie amerykańska obsesja wykorzystywania skandali do dyskwalifikacji kandydatów na sędziów jest absurdalna, ale w końcu teraz chodzi o moją żonę.

Niemniej jednak, co Jack Ziegler może wiedzieć na temat Marca Hadleya, o czym nikt inny nie ma pojęcia?

- Dziękuję, wujku Jacku - odzywam się niepewnie.

- Zawsze z radością pomogę każdemu z dzieci Olivera. - Jego głos przybiera zaskakująco oficjalny ton. Ponownie przechodzi mnie dreszcz. Czyżby tego trupa on sam sfabrykował? Czy przestępca prowadzi swoje manipulacje, żeby pomóc mojej żonie w zdobyciu upragnionego przez nią stanowiska sędziego? Muszę coś powiedzieć, ale trudno mi się zdecydować, co.

- Hmm, wujku Jacku, jestem... jestem wdzięczny, że pomyślałeś o tym, żeby nam pomóc, ale...

Powoli unosi brwi, ale poza tym wyraz jego twarzy pozostaje bez zmian. Dobrze wie, co usiłuję powiedzieć, ale nie zamierza mi tego ułatwiać.

- Chodzi o to, że Kimmer... Kimberly... chyba woli, żeby proces selekcji toczył się swoim torem, tak żeby lepszy kandydat wygrał. Żeby zdecydowały względy merytoryczne. Ona nie chciałaby, żeby ktoś... interweniował. - W trakcie tej kłopotliwej wypowiedzi uświadamiam sobie nagle, że to, co mówię, jest prawdą. Moja inteligentna, ambitna żona nie lubi nikomu niczego zawdzięczać. Kiedy jeszcze byliśmy na studiach, stała się znana w całej szkole z powodu otwartej opozycji wobec programu wyrównywania szans, który uważała za jeszcze jeden sposób białych liberałów na postawienie czarnych współobywateli w pozycji ich dłużników.

Może miała rację.

Tymczasem wujek Jack zdążył przygotować odpowiedź: - Och, Talcotcie, Talcotcie, o to naprawdę nie musisz się martwić. Ja nie proponuję... inter-

wencji. - Śmieje się cicho, po czym zaczyna kaszleć. - Ja tylko przewiduję, co się wydarzy. Mam pewne informacje. Nie zamierzam ich wykorzystać i ty też nie musisz. Twój kolega, a rywal twej żony, ma bardzo wielu wrogów. Jeden z nich na pewno otworzy szafę, żeby trup mógł z niej wypaść. Jedyne, co dla ciebie robię, to cię o tym informuję. Nic więcej.

Kiwam głową. Konfrontacja z Jackiem Zieglerelem zupełnie mnie wyczerpała.

- A teraz twoja kolej - ciągnie dalej. - Sądzę, że być może ty również mógłbyś mi pomóc.

Przymykam na chwilę oczy. Czego się spodziewałem? Przecież nie przebył tej drogi tylko po to, by mnie powiadomić, że kandydatura Marca Haddleya zapewne upadnie albo żeby po raz ostatni złożyć uszanowanie mojemu ojcu. Przyjechał, bo czegoś chce.

- Talcotcie, musisz mnie wysłuchać. Słuchaj uważnie. Muszę ci zadać jedno pytanie.

- Pytaj. - Nagle zapragnąłem się od niego uwolnić. Chciałem już podzielić się jego wieściami z Kimmer, chociaż mi tego zabronił. Chciałem, żeby ucałowała mnie z radości, zachwycona, że jest tak blisko upragnionego celu.

- Inni też będą cię o to pytać, jedni powodowani dobrymi motywami, inni złymi - wyjaśnia, chociaż nic mi to nie mówi. - Nie wszyscy będą tymi, za których się podają i nie wszyscy będą ci dobrze życzyć.

Zapomniałem już o dziwnym i niezrozumiałym przekonaniu wujka Jacka, iż cały świat nieustannie spiskuje. Najwyraźniej ten człowiek niewiele się zmienił od czasów, gdy wpadał do domu na Martha's Vineyard z prezentami z dalekich portów i narzekaniami na machinacje Kennedych, których niezdecydowanie, jak mawiał, kosztowało nas Kubę. Żadne z dzieci nie miało pojęcia, o czym mówi, ale uwielbialiśmy słuchać, z jaką pasją to opowiada.

- W porządku - odpowiadam teraz.

- Zatem muszę zapytać o to, o co oni będą pytali - ciągnie z błyskiem w obłąkanych oczach.

- W porządku, strzelaj - wzdycham. Przy limuzynie Kimmer spogląda wymownie na zegarek i macha do mnie ręką, żebym się pospieszył. Może za chwilę ma zaplanowane następne telefoniczne spotkanie albo też się boi Jacka Zieglera, którego w zasadzie nigdy nie poznała? A może powinienem wreszcie z tym skończyć? - Jednak naprawdę mam tylko kilka minut do...

- Ustalenia, Talcotcie - przerywa mi świszczącym głosem. - Muszę wiedzieć wszystko o ustaleniach.

- Ustalenia - powtarzam niemądrze, uświadamiając sobie, że moja siostra wcale nie jest tak szalona, jak miałem nadzieję, i że mój brat, który wyczuł, iż coś się dzieje, lecz nie wie, co, przysunął się do nas o pół kroku,

zupełnie jak ochroniarz lub czujny rodzic, co często niewiele się różni.

- Tak, ustalenia. - Czuję na policzkach żar gorącego, radosnego obłędu widocznego na jego twarzy. - Jakie ustalenia poczynił twój ojciec na wypadek swojej śmierci?

- Nie jestem pewien, o co ci...

- Z pewnością dokładnie wiesz, o co mi chodzi. - W jego głosie słychać stalową nutę. Teraz po raz pierwszy mam do czynienia z Jackiem Zieglerem, o którym wszędzie mówiono w 1986 roku.

- Nie, nie wiem. Mariah mówiła mi, że dzwoniłeś i o to pytałeś. A ja muszę ci odpowiedzieć to samo, co jej: nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

Wujek Jack potrząsa niecierpliwie wymizerowaną głową. - Przestań, Talcocie, nie jesteśmy już dziećmi, ani ty, ani ja. Znam cię od chwili, gdy się urodziłeś. Jestem ojcem chrzestnym twojej siostry, niech spoczywa w pokoju. - Wykonuje dłonią gest w kierunku grobu. - Byłem przyjacielem twojego ojca. Wiesz, o co pytam, wiesz, co to oznacza i wiesz, dlaczego zadają to pytanie. Muszę znać ustalenia.

- Nadal nie mam pojęcia, o co ci chodzi, bardzo mi przykro.

- O ustalenia twojego ojca, Talcocie. - Teraz jest już wyprowadzony z równowagi. - No, dalej. Ustalenia, które omówił z tobą na wypadek swojego, no, niespodziewanego zgonu.

Nie powtarzam błędu Mariah - jestem pewien, że nie myśli o *ustaleniach dotyczących pogrzebu*, choćby dlatego, że pogrzeb właśnie się skończył. Za to przychodzi mi na myśl to, czego nie dostrzegłem podczas piątkowej rozmowy z Mariah. Jemu chodzi o testament, o dyspozycje dotyczące majątku mojego ojca. Co prawda to trochę dziwne, gdyż choć mojego ojca trudno nazwać biednym, to Jack Ziegler jest bez porównania bogatszy, tak przynajmniej utrzymują gazety.

- Masz na myśli ustalenia finansowe - mówię cicho, z pewnością siebie adwokata, który właśnie wszystko rozpracował. - No, cóż, nie było jeszcze oficjalnego odczytania...

- Absolutnie nie to mam na myśli i doskonale o tym wiesz - syczy, opluwając mnie przy okazji. - Nie próbuj mnie przechytryć.

- Wcale nie próbuję. - Tym razem okazuję mu swoją irytację.

- Rozumiem, że ojciec kazał ci przysiąc, iż dotrzymasz tajemnicy. To bardzo rozsądnie z jego strony. Jednak na pewno rozumiesz, że ta przysięga mnie nie obejmuje.

Rozkładam ręce. - Wujku Jacku, posłuchaj. Bardzo mi przykro, ale nie potrafię ci pomóc. Po prostu nie ma żadnych ustaleń, które...

W tym momencie Jack Ziegler wyciąga wychudzoną dłoń tak szybko, że niemal nie potrafię nadążyć za nią wzrokiem i chwyta mnie za nadgarstek. Milknę. Czuję pod jego skórą żar trawiącej go choroby, ale siłę ma zadziwia-

jąca. Jego paznokcie wbijają mi się w rękę.

- *Jakie są ustalenia?* - nalega.

Kiedy tak stoję z otwartymi ustami i nadgarstkiem uwięzionym w jego uścisku, widzę, że zdenerwowany Addison podchodzi o krok bliżej i to samo robi ochroniarz. Raczej wyczuwam, niż widzę, jak mierzą się nawzajem wzrokiem. W powietrzu pojawia się nagle coś pierwotnie samczego, wzajemne obwąchiwanie się, jakby byli zwierzętami przygotowującymi się do walki, a ja dostrzegam pierwsze słabe smużki czerwieni unoszące się ze zdeptanej zielonej trawy.

- Zabierz, proszę, tę rękę. - Wypowiadam te słowa całkiem spokojnie, ale ręka natychmiast się wycofuje, a wujek Jack wpatruje się w nią, jakby go zdradziła.

- Przepraszam, Talcotcie - mruczy, mówiąc to chyba bardziej do swojej dłoni niż do mnie, a jego ton jest nie tyle skruszony, co ostrzegawczy. - Pytam o to, bo muszę. Robię to dla twojego dobra. Proszę cię, postaraj się to zrozumieć. Nic na tym nie zyskuję. Chcę tylko cię chronić, wszystkich was, tak jak obiecywałem waszemu ojcu. Prosił mnie, żebym opiekował się jego dziećmi, gdyby jemu się coś stało. Zgodziłem się. A mam zwyczaj - dodaje niemal smutno - dotrzymywać słowa. - Wsuwa dłoń, która zawiniła, do kieszeni. Podnosi powoli obłąkane, rozradowane spojrzenie, żeby spojrzeć mi w oczy. Stojący dalej z boku Addison odpręża się, natomiast czujny ochroniarz nie.

- Wujku Jacku, ja... ja naprawdę to doceniam, ale, cóż, jesteśmy już dorośli.

- Nawet dorosłymi trzeba się nieraz opiekować. - Pokasłuje cicho, zakrywając pięścią usta. - Talcotcie, zostało niewiele czasu. Kocham ciebie, twojego brata i siostrę, jakbyście byli moimi własnymi dziećmi. Proszę cię teraz o pomoc. Proszę cię, dla dobra rodziny, którą obaj kochamy, powiedz mi o ustaleniach.

Zastanawiam się przez chwilę, gdyż wiem, że muszę to ująć dokładnie tak, jak należy.

- Wujku Jacku, posłuchaj. Doceniam to, że jesteś tu z nami i jestem pewien, że cała rodzina także. Wiem też, że wiele by to znaczyło dla mojego ojca. Proszę, uwierz mi, że pomógłbym ci, gdybym tylko potrafił. Ale ja po prostu nie wiem, o czym mówisz. - Czuję, że nie wychodzi to tak, jak powinno. - Gdybyś tylko mi powiedział, o jakie ustalenia ci chodzi.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. - Te słowa wypowiedziane są twarde, z odrobiną żaru, który widziałem przed chwilą, dostateczną, by przypomnieć mi, że mam do czynienia z niebezpiecznym człowiekiem. Robi się coraz ciemniej, a w głowie zaczyna mi huczeć. - Doceniasz, że tu jestem? Doskonale. Ja natomiast doceniłbym informację.

- Nie mam żadnych informacji! - W końcu wybucham, bo nic tak nie

budzi mojej wściekłości, jak protekcyjny ton. - Powiedziałem ci już, że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz! - Moje słowa brzmią tak głośno, że głowy żalobników, którzy jeszcze nie zdążyli odjechać, odwracają się w naszym kierunku, a ochroniarz sprawia wrażenie, jakby miał zaraz chwycić wujka Jacka i uciekać. Kątem oka dostrzegam, że Kimmer zmierza ku nam twardym krokiem. Uświadamiam sobie, że lepiej skończyć tę rozmowę, zanim do nas dotrze. - Przepraszam, że podniosłem na ciebie głos, ale naprawdę nic nie mogę zrobić, żeby ci pomóc.

Zapada dłuższa chwila ciszy, gdy jego dziwnie roztańczone oczy starają się przechwycić mój wzrok. Potem potrząsa głową i zaciska wąskie wargi. - Zadałem swoje pytanie - szepce, być może do siebie. - Ostrzegłem cię. Zrobiłem to, po co przyjechałem.

- Wujku Jacku...

- Talcotcie, muszę jechać. - Jego palące spojrzenie spoczywa przez chwilę na Addisonie stojącym o dziesięć kroków dalej. Mój brat marszczy brwi i obraca się w naszym kierunku, jakby zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany. Jack Ziegler przysuwa się do mnie bliżej, być może w obawie przed podsłuchaniem. Potem wychudła ręka znów błyskawicznie się wysuwa, a ja odruchowo robię krok w tył. Jednak tym razem tylko podaje mi mały biały kartonik. - Strzeż się tych innych, o których ci mówiłem. A kiedy dojdiesz do wniosku, że chcesz porozmawiać o... o tych *ustaleniach*... musisz do mnie zadzwonić. Pomogę ci, w czym tylko będę mógł. - Czeka chwilę, marszcząc brwi. - Zazwyczaj nie składam takich obietnic, Talcotcie.

Wreszcie zrozumiałem. Oczekuje, żebym mu podziękował. Nie znoszę tego.

- Rozumiem - to jedyne, do czego potrafię się zmusić. Wyłuskuję wizytówkę z jego palców.

- Mam nadzieję - odpowiada ze smutkiem - bo nie chciałbym, by stała ci się krzywda. - Nagle uśmiecha się, wskazując ruchem głowy nadchodzącą Kimmer. - Tobie albo twojej rodzinie.

Nie wierzę własnym uszom i nagle widzę, że czerwień staje się bardzo wyraźna i jasna. Kiedy się odzywam, mój głos brzmi jakbym z trudem łapał powietrze. - Czy ty... Czy to groźba?

- Oczywiście, że nie, Talcotcie. - Nadal się uśmiecha, lecz bardziej to przypomina brzydkie rozchylenie ust niż oznakę radości. - Ostrzegam cię tylko przed tym, co myślą inni. Dla mnie obietnica jest obietnicą. Obiecałem cię chronić i tak też postąpię.

- Wujku Jacku, ja doprawdy nie wiem, co...

- Starczy już - przerywa mi ostro. - Zrobisz to, co musisz. Nie pozwól nikomu odwieść się od tego. - Przez dłuższą chwilę jego ciemne, obłąkane oczy wwiercają się w moje, tak, że czuję zawroty głowy. Mam wrażenie, jakby jego szaleństwo pokonało dzielącą nas odległość i przedostawało się po

nerwie wzrokowym aż do mojego mózgu. A potem, zupełnie niespodziewanie, Jack Ziegler odwraca się do mnie plecami. - Panie Henderson, idziemy - rzuca do ochroniarza, który obdarza nas jeszcze ostatnim podejrzliwym spojrzeniem, po czym również się odwraca. Pan Henderson podtrzymuje swego pana. Oddalają się zacięciem ścieżką pomiędzy ciągnącymi się w dal nagrobkami, skręcają i po chwili nikną w mroku, jakby byli duchami, których czas w świecie żywych dobiegł końca i muszą wrócić pod ziemię.

Nadal całkowicie oszołomiony, czuję na ramieniu uspokajającą dłoń Addisona. - Świetnie się spisałeś - mówi cicho, być może domyślając się, że wcale nie jestem o tym przekonany. - On jest po prostu stuknięty-

- To prawda. - Postukuję się wizytówką po zębach. - To prawda.
- Wszystko w porządku?
- Oczywiście.

Mój brat rzuca mi przeciągłe spojrzenie, po czym wzrusza ramionami. - Zobaczymy się w domu - obiecuje i wyrusza na poszukiwanie swojej dziwacznej małej poetki. Ja podchodzę bliżej do grobu, bo jakoś trudno mi uwierzyć, że ojciec przeleżał spokojnie całą wymianę zdań z wujkiem Jackiem. To chyba najlepszy dowód, że naprawdę nie żyje.

- O co właściwie chodziło? - pyta Kimmer, która zbliżyła się akurat do mojego boku.

- Żebym to ja wiedział. - Zastanawiam się, czy przekazać jej nowiny o Marcu Hadleyu, ale postanawiam z tym poczekać. Lepiej, żeby była przyjemnie zaskoczona niż gorzko rozczarowana.

Kimmer marszczy brwi, po czym całuje mnie w policzek, chwytając moją dłoń i prowadzi w dół zbocza. Jednak kiedy jedziemy limuzyną na Shepard Street i ściskam zimną dłoń mojej żony, przez skołatany umysł przebiegają mi jak mantra słowa Jacka Zieglera: *Inni. Strzeż się tych innych... Ostrzegam cię tylko przed tym, co myślą inni. Dla mnie obietnica jest obietnicą.*

I te pozostałe: *Nie chciałbym, by stała ci się krzywda. Tobie albo twojej rodzinie.*

ROZDZIAŁ 6

Problemista

(I)

Wprawdzie Waszyngton nie jest już naszym domem, ale pozostał w bardzo dużym stopniu miastem Kimmer. Z Kongresem, Białym Domem, stadami agencji administracji rządowej, niezliczonymi sędziami i największą liczbą prawników na głowę na świecie, jest on doskonałym miejscem dla osób, które lubią zawierać układy, a to moja żona robi najlepiej. Jej pierwszym przedsięwzięciem po przybyciu do miasta było zbudowanie bazy wypadowej, z laptopem i przenośnym faksem, w pokoju gościnnym domu jej rodziców, znajdującym się przy Sixteenth Street w pobliżu Carter Barron Theatre, pół mili na północ od Shepard Street. Poniedziałek, czyli dzień przed pogrzebem, spędziła na umawianiu się na spotkania na środę - jedno w Federalnej Komisji Handlu w sprawie klienta, a reszta w celu pozyskania poparcia swojej kandydatury do sądu apelacyjnego. Zatem dziś rano wczesnie wychodzi z domu rodziców, spiesząc na spotkanie z kolejną dawną przyjaciółką. Zwierza się, że to „nowa sieć dziewcząt”, chociaż niektóre z nich są mężczyznami. Ta konkretna przyjaciółka ma na imię Battle i jest reporterką działu politycznego „Washington Post”, a przy tym koleżanką z Mount Holyoke, o której mówi się, że ma powiązania.

Kimmer zawsze dbała o stosunki z prasą i często jest cytowana na łamach naszego lokalnego dziennika „Clarion”, a od czasu do czasu również w „Timesie”. Ja prezentuję zupełnie inne podejście do dziennikarzy i w ostatnich dniach często miałem okazję je praktykować. Kiedy dzwoni do mnie reporter, stwierdzam: *Bez komentarza*, niezależnie od tematu. Jeśli nalegają, po prostu odkładam słuchawkę. Nigdy nie rozmawiam z dziennikarzami od czasu, gdy prasa tak prześladowała mojego ojca w czasie przesłuchań w Senacie. Nigdy. Mam studenta nazwiskiem Lionel Eldridge, niegdyś gwiazdę zawodowej koszykówki, który po nabawieniu się nieuleczalnej kontuzji kolana, zapragnął zostać prawnikiem. Wraz z Kimmer znamy nieco bliżej jego i jego żonę, gdyż pracował w jej firmie latem zeszłego roku. Prawdę mówiąc, pomogłem mu zdobyć tę pracę, gdyż inne firmy odrzuciły jego kandydaturę, zrażone jego ocenami lub żeby udowodnić, że nie robi na nich wrażenia jego sława. Wielu dziennikarzy nadal pisze o „młodym panu Eldridge'u”, jak z upodobaniem nazywa go Theo Mountain - zapewne żar-

tem, bo choć Lionel jest o pół wieku młodszy od Theo, to równocześnie o około dziesięć lat starszy od pozostałych naszych studentów drugiego roku. W każdym razie media nadal uwielbiają młodego pana Eldridge'a i chętnie odnotowują jego osiągnięcia. Jedna z dziennikarek była na tyle niemądra, że zadzwoniła do mnie. Pisała artykuł biograficzny o Słodkim Nellie'm, jak go nazywano, gdy jeszcze grał, i pragnęła, jak to ujęła, uchwycić jego zapal w zmaganiach z tym nowym wyzwaniem. Rozmawiała z Lionelem, który wskazał mnie jako swojego ulubionego wykładowcę. Pochlebilo mi to, choć nie zajmuję się nauczaniem, żeby być lubianym. Mimo wszystko pozostałem przy swojej odpowiedzi: „Bez komentarza”. Zapytała, dlaczego, a ponieważ przyłapała mnie w chwili słabości, wyjaśniłem jej to. - Ale przecież to będzie bardzo *miły* artykuł - jęknęła. - Przecież ja piszę o *sporcie*, nie o polityce. - Zupełnie jakby to rozróżnienie miało mnie uspokoić. - Nie cierpię sportu - odparłem, co było kłamstwem - i nie jestem miłym człowiekiem - dodałem, co z kolei było prawdą.

Nawet jeśli moja żona stale powtarza mi co innego.

Jednak Kimmer sądzi, że koleżanka dziennikarka może jej pomóc, i zapewne ma rację, gdyż moja żona doskonale wyczuwa, kto mógłby przybliżyć ją do celu. Później spotyka się z senatorem Demokratów z naszego stanu, absolwentem naszej szkoły prawniczej, którego zamierza nakłonić do opuszczenia narożnika Marca Hadleya i w najgorszym wypadku stanięcia z boku. Załatwienie tego spotkania wymagało ode mnie zwrócenia się z prośbą do Theo Mountaina, ulubionego wykładowcy senatora. Na lunch umówiła się z Ruthie Silverman, która ostrzegła ją, że informacje dotyczące procesu selekcji są poufne, ale przynajmniej zgodziła się z nią spotkać, bowiem każdy, kto zna Kimmer, przyzwyczajają się robić to, czego ona chce. Po lunchu moja żona odwiedzi czołowego lobbystę na rzecz NAACP, przy czym to spotkanie załatwił jej ojciec Pułkownik, który również ma powiązania. Późnym popołudniem Kimmer i ja połączymy siły, gdyż sam wielki Mallory Corcoran zdołał nas wcisnąć do swojego terminarza na godzinę czwartą. Spotykamy się z nim wspólnie, gdyż mamy nadzieję, że zgodzi się wykorzystać część swoich znaczących wpływów na rzecz Kimmer.

Waszyngton, jak już wspomniałem, jest miastem Kimmer, natomiast moim nigdy nie będzie. Wystarczy, że przymknę oczy, żeby powróciło wspomnienie długich, posępnych godzin przesłuchań. Widzę ojca siedzącego przed Senacką Komisją Sprawiedliwości, najpierw pewnego siebie, potem pełnego niedowierzania, następnie gniewu, a w końcu ponurego i pokonanego. Pamiętam dni, gdy siedziała za nim moja matka oraz te, gdy sam mu towarzyszyłem. Nie zapominałem, jak po wyjściu na jaw skandalu Mariah była zbyt zdenerwowana, żeby stawić się na przesłuchanie i że Addison, często wzywany, nigdy się nie pojawił, sprawiając tym ból ojcu. Jakże mnie irytowało to cierpienie ojca - okazywałem mu lojalność, a on mnie ignorował.

wał, natomiast nieodpowiedzialny jak zawsze Addison był tak kochany - prawdziwy syn marnotrawny. Pamiętam telewizyjne reflektory, gdy przesłuchania przeniesiono do większej sali, i jak wszyscy się pocili. Nie miałem wcześniej pojęcia, że wydzielają tyle ciepła. Pracownicy osuszali czoła senatorów, ale ojciec osuszał swoje sam. Pamiętam, jak z posępną miną odmawiał przyjmowania rad od wujka Mala, z Białego Domu oraz od kogokolwiek, kto mógł mu pomóc. Nadal mam żywo w pamięci, jak spoglądałem w górę na senatorów, którzy wydawali się tacy wywyższeni, niedostępni i potężni, ale jednocześnie nie umknęło mojej uwagi, że większość swych napuszonych pytań odczytywali z przygotowanych wcześniej karteczek i tracili rezon, gdy wymiana zdań odbiegła zbyt daleko od pouczeń, jakie otrzymali. Przypominam też sobie zielone sukno pokrywające stoły. Dopóki go nie pomacałem, nie miałem pojęcia, że jest po prostu przymocowane zszywkami, specjalnie dla lepszego efektu w telewizji. W rzeczywistości stoły były ze zwykłego drewna. Pamiętam tłumy reporterów w korytarzach i wejściach, wykrzykujących jak przedszkolaki, żeby zwrócić na siebie uwagę. Jednak najwyraźniej, podobnie jak inni, pamiętam nudne, powtarzające się, ale ostatecznie konieczne pytania: *Kiedy ostatnio widział pan Jacka Zieglera? Czy spotkał się pan z Jackiem Zieglerem w marcu ubiegłego roku? Co było tematem waszej rozmowy? Czy wiedział pan o ciężącym wówczas na nim oskarżeniu?* I tak bez przerwy. I nudne, monotonne odpowiedzi ojca, które przy kolejnych powtórzeniach brzmiały coraz mniej przekonująco: *Nie wiem, senatorze. Nie, senatorze. Nie pamiętam, senatorze. Nie, nie miałem pojęcia, senatorze.* Wreszcie początek końca, nieodmiennie zwiastowany rozpierzchnięciem się przyjaciół szukających osłony oraz zawsze tymi samymi słowami, zazwyczaj wypowiedzianymi przez przewodniczącego komisji: *Panie sędzio, wiem, że jest pan uczciwym człowiekiem i mam ogromny szacunek dla pańskich osiągnięć. Naprawdę chciałbym wierzyć, że jest pan szczery wobec tej komisji, ale, uczciwie mówiąc...*

Nominacja cofnięta na prośbę kandydata.

Kandydat i jego rodzina upokorzeni.

Zbiera się wielka lawa przysięgłych.

Obraz stopniowo zanika i widzimy pusty czarny ekran.

Albo, jak powiedziałbym podczas studiów, gdy otwarcie dawałem wyraz swojemu nacjonalizmowi, pusty biały ekran.

Jeszcze teraz wstrząsam się na to wspomnienie. Wczoraj wieczorem siedzieliśmy wraz z Kimmer i jej rodzicami, oglądając wiadomości o jedenaściej. Kiedy prezenterka rozpoczęła temat pogrzebu Olivera Garlanda, chyba trzeci z kolei, na ekranie, zamiast bieżących wydarzeń, pojawiły się niespodziewanie upokarzające sceny sprzed wielu lat. Zobaczyliśmy ojca siedzącego przed Senacką Komisją Sprawiedliwości i jego poruszające się bezgłośnie usta, gdy dziennikarz kontynuował swoją relację. Cięcie, a następnie mi-

gawki przedstawiające Jacka Zieglera w kajdankach po jednym z licznych aresztowań - sprytne, choć stronnicze posunięcie. Potem ujęcia ojca wygłaszającego jedno ze swych płomiennych przemówień do Komitetów Prawomyślnych, a w tle głos dziennikarza przedstawiającego jego dalszą karierę. Przejście do smutnej twarzy Grega Haramoto, którego zarzucono pytaniami zaraz po wyjściu z ceremonii pogrzebowej w kościele. Greg wyrażający smutek z powodu odejścia „wielkiego człowieka” i składający kondolencje rodzinie, chociaż nie próbował wyrazić ich osobiście, telefonicznie czy choćby na piśmie. Greg okazuje się jedynym uczestnikiem pogrzebu, którego komentarze po ceremonii zostały uznane za wiadomość godną pokazania w telewizji, lecz być może dziennikarze uznali, że tylko z nim warto przeprowadzić wywiad. Podobnie jak w 1986 roku przed Komisją Sprawiedliwości był jedynym świadkiem, który się liczył.

Nawet te wszystkie minione lata oraz świadomość, że komisja mogła mieć słusność, zupełnie nie złagodziły bólu spowodowanego hańbą ojca. Na konferencjach nadal podchodzą do mnie obcy ludzie i pytają napastliwie: *Czy pan nie jest czasem synem Olivera Garlanda?* Odpowiadam jakimś banałem spoza otaczającej mnie gęstej zasłony czerwieni i jak najszybciej uciekam. Zatem lepiej, że nie towarzyszę Kimmer podczas jej waszyngtońskich spotkań. Moje cierpienie byłoby dla niej przeszkodą, a w końcu mogłoby ją zranić. Poza tym Bentley i ja mamy inne plany na dzisiaj. Za chwilę wychodzimy na Shepard Street, a stamtąd wraz z Mariah i jej gromadką wyprawiamy się pojeździć na łyżworolkach na podmiejskim torze wrotkowym. Miles Madison, którego praca ogranicza się obecnie do przeprowadzanych od czasu do czasu rozmów z zarządcami jego rozmaitych nieruchomości, wyszedł już na partię golfa, nie zważając na deszczową pogodę. Jak wyjaśniła mi Vera Madison: - Jeśli nie będą mogli grać w golfa, pograją w karty i będą pili przez cały dzień. - Moja teściowa, która stale prosi mnie, bym zwracał się do niej po imieniu, jest równie wysoka i urodziwa jak Kimmer, ale znacznie szczuplejsza. Moja żona odziedziczyła kształty po Pułkowniku, który przybrał na wadze po odejściu na emeryturę i który, gdy jest w dobrym nastroju, pozwala mi, bym nazywał go panem Madisonem. Vera zaproponowała, że zaopiekuje się Bentleyem, jeśli chcę spokojnie porozmawiać ze swoją siostrą, ale odmawiam. Mam zamiar trzymać syna bardzo blisko siebie, dopóki nie wyjaśnię, co miał na myśli wujek Jack. Zapewne nic szczególnego, ale nigdy nie wiadomo. Jeszcze nie powiedziałem tego Kimmer, bojąc się jej reakcji, ale kiedy rano prosiłem ją, żeby uważała, spojrzała na mnie twardo - gdyż przed jej wzrokiem niewiele się ukryje - pocałowała mnie lekko w usta i obiecała: - Och, oczywiście, Misha, oczywiście.

- Uśmiechałem się do niej, gdy wychodziła w chłodną poranną mżawkę, a ona również miała na twarzy uśmiech, zapewne w przewidywaniu cze-

kającego ją dnia.

Kimmer odjechała granatowym cadillakiem swojej matki, więc my z Bentleyem wyruszamy wynajętym białym taurusem na pięciominutową przejażdżkę Sixteenth Street do Shepard. Przejeżdżamy przez samo serce Złotego Wybrzeża, uroczy zakątek północno-zachodniego Waszyngtonu, gdzie w połowie dwudziestego wieku setki prawników, lekarzy, przedsiębiorców i profesorów wywodzących się z ciemniejszej nacji stworzyło idylliczną, wyizolowaną społeczność w samym środku walki o zniesienie segregacji rasowej. Działki były duże, trawniki perfekcyjnie wypielęgnowane, a domy przestronne i pięknie umeblowane. Gdyby znajdowały się na białych przedmieściach, mogłyby osiągnąć dwu- lub trzykrotnie większą cenę. Jednocześnie ta luksusowa enklawa czarnych mieszkańców może pełnić rolę integracyjną, gdyż na przykład Jay Rockefeller zajmuje obecnie dużą posiadłość zaczynającą się tuż za Shepard Street i ciągnącą się aż do Rock Creek Park. Być może dla równowagi estetycznej, wielu wybijających się czarnych przedstawicieli wolnych zawodów, którzy niegdyś kupiliby domy właśnie tutaj, teraz z zapalem osiedla się na białych przedmieściach.

Kiedy muszę zatrzymać samochód na czerwonym świetle, zerkam w lusterko wsteczne, by zobaczyć swojego syna. Bentley jest przystojnym chłopcem. Po mnie odziedziczył gęste czarne włosy, spiczasty podbródek i skórę o ciemnoczekoladowym kolorze, natomiast po matce duże brązowe oczy, wyraźne brwi i pełne usta. Jest spokojnym i bardzo poważnym dzieckiem, nieśmiałym w towarzystwie i skłonny do introspekcji, gdy przebywa sam. Nasz syn późno zaczął mówić, tak że nawet radziliśmy się w tej sprawie pediatry oraz neurologa dziecięcego, przyjaciela kuzynki Kimmer. Jednak wszyscy uspokajali nas, że choć większość dzieci mówi parę słów w drugim roku życia lub nawet wcześniej, to nic w tym niezwykłego ani świadczącego o ewentualnych brakach umysłowych, jeśli dziecko zdecyduje się przemówić później. Każdy twierdził, że po prostu musimy czekać. Trzeba przyznać, że Bentley kazał nam czekać dość długo. Od niedawna, w pół roku po swych trzecich urodzinach, zaczął paplać tą szczególną mieszaniną poprawnego języka i tajemniczego, poprzedzającego mowę kodu, którą wiele małych dzieci odkrywa wkrótce po ukończeniu roku. Teraz też przemawia, surowo pouczając jaskrawopomarańczowego, pluszowego pieska od Addisona, który nigdy nie przeoczy okazji pozyskania sympatyka: - O nie i piesiek nie mówi bo mama cita tobie ooo piesiek be i do domciu telaz nie nie piesiek mama nie nie mówi aja dobrze nie nie dobrze aja piesiek be aja ty... Przerywam ten potok cudownego mamrotania:

- Wszystko dobrze, kolego?

Syn milknie i przygląda mi się czujnie, ściskając pulchnymi rączkami jeszcze bezimiennego psa, jakby w obawie, że zniknie.

- Aja piesiek - szepce.

- Słusznie.
- Aja *ty!* - wykrzykuje radośnie, gdyż niemal codziennie wzbogaca swój słownik o nowe słowa i zwroty. Ciekawe z jakiego programu telewizyjnego wyłapał to słówko. - Aja *nie!*
- W porządku, kolego. Kocham cię.
- Cham cie. Aja ty.
- Ty też aja - odpowiadam, ale to tylko wprawia go w zakłopotanie i jego śmiech cichnie.

Potrząsam głową. Bentley również czasem wprawia nas w zakłopotanie, szczególnie Kimmer. Moja żona okropnie go rozpuszcza, gdyż nawet przez chwilę nie może znieść jego niezadowolenia. W razie jakichkolwiek związanych z nim problemów o wszystko obwinia siebie. Tego ranka, gdy Bentley miał przyjść na świat, nasza radość szybko zmieniła się w przerażenie. Kimmer rodziła w jednej z jasno wymalowanych sal porodowych oddziału położniczego szpitala uniwersyteckiego. Parła i powstrzymywała parcie, kiedy jej kazano, oddychała zgodnie z zasadami i robiła wszystko dokładnie tak, jak należało, w typowy dla siebie sposób, gdy nagle zaczęła bardzo mocno krwawić, chociaż główka dziecka ledwo się pokazała. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak białe prześcieradła i zielona szpitalna koszula pokrywają się jasną, lepką czerwienią. Wesoła, dodająca nam otuchy położna, która czuwała nad porodem, straciła nagle humor i umilkła. Siedząc na swoim stanowisku obserwacyjnym, zapytałem, czy wszystko jest w porządku. Położna obdarzyła mnie niepewnym uśmiechem i odparła, że kobieta ciężarna może bez wielkiej szkody stracić dość dużo krwi, gdyż jej organizm podwaja jej produkcję. Jednak jednocześnie szepnęła coś do drugiej pielęgniarki, która wybiegła z sali. Krew nadal płynęła, tworząc rdzawoczerwone jezioro, a położna usiłowała wyciągnąć główkę dziecka. W pewnej chwili ześlizgnęły jej się ręce w gumowych rękawiczkach, więc zaklęła. Kimmer wyczuła, że coś jest nie w porządku, spojrzała w dół i zobaczyła, ile tam jest krwi. Wydała z siebie krzyk tak pełen przerażenia, że ani przedtem, ani potem nic podobnego nie słyszałem. Nigdy też jeszcze nie widziałem tyle krwi. Mała główka naszego dziecka była nią dosłownie zalana. Monitor nadzorujący płód zaczął wydawać z siebie serię rozpaczliwych sprzeciwów. Po chwili miejsce położnej zajęła lekarka, którą pierwszy raz widziałem na oczy. Szybko zorientowała się w sytuacji i zaczęła błyskawicznie wydawać polecenia. Gdy przy łóżku zgromadziła się falanga niebieskich fartuchów, zostałem bez zbędnych dyskusji dosłownie wypchnięty z sali przez dwie pielęgniarki. Znalazłem się w nowoczesnej, bezdusznej poczekalni, gdzie w samotności musiałem rozważać możliwość, że stracę zarówno żonę, jak i syna w dniu, który miał być najszczęśliwszym dniem mojego życia.

Jak się okazało, u Kimmer wystąpiło przedwczesne odklejenie się łożyska, czyli zjawisko, które przypomina menstruację, ale może być śmiertelnie

niebezpieczne w końcowym okresie ciąży. Dokładniej rzecz biorąc, jak nam później powiedziano, Kimmer doznała przerwania mięśniówki macicy, co mogło spowodować, że wykrwawi się na śmierć, a nasze dziecko się udusi. Po dziś dzień moja żona jest przekonana, że wszystko to stało się dlatego, iż nie przestała pić, gdy zaszła w ciążę.

Wówczas z ironią odnosiła się do wszelkich twierdzeń sugerujących, że jej osobiste nawyki mogłyby zaszkodzić dziecku (lub płodowi, jak nazywała rosnące w niej maleństwo). Jeśli jej obawy są słuszne, to ja również ponoszę winę, nie dlatego, że jestem pijakiem - bo tak nie jest - lecz dlatego, iż nie potrafię być stanowczy w niczym, co dotyczy Kimmer.

Kiedy trzykrotnie ze złością zignorowała moje usilne prośby, przestałem próbować ją powstrzymać. Pierwsze godziny po przyjściu na świat naszego syna były przerażające. Lekarze oznajmili nam z kamiennymi twarzami, że może nie przeżyć. Sama Kimmer straciła tak dużo krwi, że też wymagała pomocy. Dzień później, kiedy okazało się, że ich życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo, ukłękliśmy wraz z moją żoną do modlitwy - po raz ostatni poza kościołem - i podziękowaliśmy Bogu, którego zazwyczaj ignorowaliśmy.

Jestem przekonany, że Bentley był Bożą odpowiedzią.

Niemniej jednak od chwili przyjścia naszego syna na świat coś zaczęło się psuć w naszym małżeństwie. Obecnie żyjemy razem na dość trudnych warunkach. Są sprawy, o których ona nie chce nic wiedzieć i takie, o których nie chce, żebym ja wiedział. Na przykład, kiedy wyjeżdża z miasta, zawsze to ona dzwoni do mnie, a nie na odwrót. Jedynie w wyjątkowych sytuacjach ośmielam się złamać te zasady. Kiedy w czwartek Mallory Corcoran zadzwonił z wiadomością, że mój ojciec nie żyje, sprawdziłem najpierw zdalnie na naszej domowej automatycznej sekretarce, czy Kimmer się nie odzywała. Okazało się, że nie. Natychmiast spróbowałem ją złapać w hotelu w San Francisco. Wyszła. Zadzwoniłem na telefon komórkowy. Był wyłączony. Zabrałem Bentleya z przedszkola, wyjaśniłem mu poważnie, co się stało z jego dziadkiem, po czym wróciliśmy do domu i spróbowałem ponownie. Nadal jej nie było. Wydzwaniałem do niej godzinami, aż do północy na Zachodzie - w Elm Harbor była trzecia rano - bez rezultatu. W końcu w przyływie ponurego natchnienia ponownie zadzwoniłem do hotelu i poprosiłem o połączenie z Geraldem Nathansonem. Jerry był w swoim pokoju. W jego głosie brzmiało zdenerwowanie. Powiedział mi, że nadal pracują. Nie wie, gdzie jest moja żona, ale z pewnością nic jej się nie stało. Obiecał, że jeśli ją spotka, poprosi, żeby się do mnie odezwała. Zadzwoniła dziesięć minut później. Nie pytałem, skąd.

Na Shepard Street drzwi otwiera mi kuzynka Sally, która dzisiejszego ranka opuściła pracę, żeby torturować moją siostrę wątpliwymi opowieściami o naszym wspólnym dzieciństwie. Sally obejmuje mnie potężnym uściskiem. Wita tak prawie wszystkich, a szczególnie Addisona. Z głębi domu dobiegają dźwięki łagodnego jazzu, chyba Grovera Washingtona.

Bentley piszczy na widok Martiny i Martina, którzy jak zwykle trzymają się razem. Już po chwili, wraz z młodszymi członkami gromadki mojej siostry, uczestniczy w skomplikowanej grze. Przemierzają cały dom dostojnym szeregiem prowadzonym przez najmłodszego, czyli Marcusa, dotykając po drodze dokładnie jednego mebla w każdym pokoju, po czym zmieniają kierunek i robią to samo w odwrotnej kolejności. Mariah i Po Prostu Alnę znajdują na tylnej werandzie, gdzie siedzą w bliźniaczych wiklinowych bujanych fotelach. Alma, z koołem sterczącym jej zawiądką z ust, uśmiecha się radośnie na mój widok, a moja siostra pozwala mi się pocałować w policzek. Alma kończy właśnie jedną ze swych obscenicznych opowieści i oświadcza, że musi już iść, a na mój użytek wyjaśnia, iż lada moment przyjedzie jedna z jej wnuczek i zabierze ją z powrotem do Filadelfii. Wstaje i prezentuje swą słynną sztuczkę - gasi papierosa, ściskając palcami jego koniec, po czym spokojnie wsuwa go do kieszeni swetra.

Wskazuję głową na pusty fotel, a Sally prawidłowo odczytuje mój sygnał i zajmuje miejsce Po Prostu Almy. Wchodzę z Alną do domu. Kiedy w holu zakłada płaszcz, pytam niedbale, co miała na myśli, mówiąc wczoraj, że *oni* powiadomią mnie o planach, jakie miał w stosunku do mnie ojciec.

Alma nie patrzy na mnie. - Ja nic do tego nie mam - mruczy po chwili.

Nie wiem, o co jej chodzi i od razu to mówię.

- Ja to nie *oni* - wyjaśnia, kiedy pomagam jej włożyć płaszcz. - Tylko ty i twoja rodzina.

- Almo...

- Twoim zadaniem jest opiekować się rodziną.

Dźwięk klaksonu oznajmia przybycie jej wnuczki, która jest zbyt młoda, by przyszło jej na myśl, że można zachowywać się uprzejmie, nawet w dzień pogrzebie.

- Muszę się zbierać - informuje mnie Alma.

- Almo, zaczekaj chwilkę. Zaczekaj.

Jednak odchodzi, ale rzuca przez ramię: - Jeśli twój tata miał plany, to już wkrótce ci powie.

- Ale jak może...

Stoimy w otwartych drzwiach frontowych. Ogromna waliza Almy znajduje się na podłodze w holu. Na podjeździe widać brązowego dodge'a durango, a za przednią szybą majaczy sylwetka jej nieuprzejmej wnuczki. Alma ujmuję mnie za rękę i tym razem spogląda mi w oczy.

- Twój tata był mądrzejszy niż oni wszyscy, Talcotcie. Dlatego właśnie

się go bali. - To jeszcze jeden cenny rodzinny mit: w objęciu stanowiska sędziego Sądu Najwyższego przeszkodziły ojcu osoby o gorszym niż jego intelekcie, które były jednocześnie zazdrośnikami i rasistami. - Tylko poczekaj, to zobaczysz.

- Co zobaczę?

- Zobaczysz, jak się bali twojego ojca. Kiedy przybędą. Ale nie daj się zdenerwować.

- Kiedy kto przybędzie?

- Choć mogą nie przybyć. Twój tata myślał, że przyjdą. Ale mogą się bać.

- Zupełnie nie rozumiem...

- Jak Jack. Jack Ziegler. On też się bał twojego ojca.

Przez chwilę usiłuję przetrawić te informacje. Gdzieś z głębi domu dobiegają piski rozbawionych dzieci.

- Almo, ja...

- Czas się zbierać, Talcotcie. - Wyciąga koola z kieszeni i wygląda na to, że chce go zapalić. - Właśnie opróżniłam pęcherz i chcę się dostać z powrotem do Filadelfii, zanim znów będę musiała to zrobić.

- Almo, poczekaj. Proszę. Poczekaj chwilę.

- O co chodzi, Talcotcie? - Mówi to zirytowanym tonem wyczerpanego, lecz pobłażliwego rodzica.

- Jack Ziegler - co o nim mówiłaś?

- To tylko stary człowiek, Talcotcie, ten Jack Ziegler. Nie pozwól mu się przestraszyć. Nie przestraszył twego ojca i nie powinien też przestraszyć ciebie.

(III)

Proponuję Mariah, żebyśmy wyszli na spacer, ale odmawia. Czuje się samotna, zmęczona i zirytowana, co nietrudno zrozumieć, skoro jej jedynym dorosłym towarzystwem dzisiejszego ranka była zajęta sobą i nietaktowna Alma oraz Sally, na której nie zawsze można polegać. Udaje mi się namówić Mariah do wejścia do środka i siadamy razem w kuchni. Jej makijaż nie jest dziś tak kunsztowny jak zazwyczaj, a włosy ma nawinięte na walki. Natomiast dom, który formalnie odziedziczy po uznaniu testamentu, już nosi na sobie ślady działalności małych użytkowników, a wszędzie porozrzucone są ich rzeczy, od małych bucików do marynarzy z zestawów Playmobil, Howarda nie ma. Pierwszym rejsowym samolotem wrócił do Nowego Jorku ratować jakąś zagrożoną umowę. W rezultacie to Sally i ja siedzimy w tej niezwykle białej kuchni i wysłuchujemy żalów Mariah na temat niedostatecznie energicznej obrony Sędziego przez Addisona w wy-

głoszonej przez niego mowie pogrzebowej. Rzeczywiście, dla mnie również krótka wzmianka o przesłuchaniach wydała się trochę niejasna, może dlatego, że mój brat próbował zadowolić zbyt wiele osób na raz: *Niektóre ataki na mojego ojca były niesprawiedliwe, inne bardzo złośliwe, lecz niektóre były przemyślane i godne szacunku. Są przecież zagadnienia, co do których rozsądni ludzie mogą się różnić. Przy całej naszej miłości dla taty nie wolno nam o tym zapominać. Ponadto, jako chrześcijaninowi, nie wolno mi potępiać tych, którzy stanęli po przeciwnej stronie, ponieważ oni również robili to, co uważali za słuszne.*

- On potrafi być prawdziwym sukinsynem - oznajmia nam moja siostra, kłując palcem powietrze. - Addison myśli wyłącznie o Addisonie. - Wypowiada to takim tonem, jakby to była jakaś nowość. Sally wygina usta ni to w uśmiechu, ni to grymasie, bo choć uwielbia mojego starszego brata, dobrze wie, że jest egoistą, tak jak mówi Mariah. Thera, matka Sally, unika członków rodziny ze strony ojca, do tego stopnia, że nawet nie uczestniczyła w pogrzebie. Przymuszczałnie jedną z przyczyn jest to, co wydarzyło się pomiędzy jej córką a Addisonem. Sam Addison wraz z Beth Olin, wielką białą poetką, wyjechał krótko po pogrzebie do Fort Lauderdale, gdzie ma wygłosić odczyt. Kiedy Kimmer dowiedziała się, że Beth jedzie wraz z nim, prychnęła tylko: - Miłość pomiędzy szczurami. - Teraz Mariah tak samo prychnęła: - Krzyżyk na drogę - nie zdając sobie sprawy, że jest znacznie bardziej podobna do mojej żony, niż miałyby ochotę przyznać.

A jednak Addison ma jeszcze inną stronę charakteru, za którą go podziwiam. Gdy byliśmy wczoraj po południu na Shepard Street, zanim jeszcze wyjechał z Beth Olin, zabrał mnie do biblioteki, tej samej, gdzie znalazłem diaboliczny album z wycinkami. Któryś z krewnych zauważył protekcyjnym tonem, że bracia odchodzą, aby zaplanować przyszłość rodziny. Kiedy już zamknęliśmy za sobą drzwi, ponownie usadowiłem się przed regałem, żeby Addison nie dostrzegł tego kłopotliwego tomu. Tymczasem on wcale tam nie patrzył. Zaskoczył mnie serdecznym niedźwiedzim uściskiem, a potem obdarzył promiennym uśmiechem. Przyznał, że dotarły do niego pewne fragmenty mojej rozmowy z Jackiem Zieglerem i że spisałem się doskonale, przy czym to ostatnie stwierdzenie było jednym z ulubionych wyrażeń Sędziego. Obaj się roześmialiśmy. Spytał mnie następnie, co zamierzam w związku z tym, czego szuka wujek Jack, i zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał, że pomoże mi, w czym tylko będzie mógł. Wystarczy, że zadzwonię. Serce żywiej mi zabiło braterską miłością. Przez większość okresu dorastania, a nawet w początkach dorosłości, Addison był dla mnie pomocą, obrońcą i wzorcem postępowania. Wiwatował, kiedy odnosiłem sukcesy, i pocieszał mnie w chwilach porażek. Addison był silny, mądry i popularny, - a jego rady w krytycznych momentach mojego życia były znacznie bardziej pożyteczne niż Sędziego. Wspierał mnie psychicznie zarówno w

sprawach mało istotnych, na przykład wówczas, gdy poniosłem sromotną klęskę w wyborach na redaktora naczelnego przeglądu prawniczego, jak i w poważnych - kiedy z powodu pilnej pracy nie pojechałem zgodnie z planem odwiedzić chorej matki, a ona umarła, w czasie gdy ja pisałem artykuł na temat masowych sporów sądowych w sprawach deliktów. To również Addison namawiał mnie, wbrew woli rodziny, żebym się nie oglądał i ożenił z Kimmer, co pomimo pojawiających się od czasu do czasu problemów było decyzją, której nigdy nie będę żałował.

Jednak patrząc wczoraj w jego ciemne, troskliwe oczy, nie potrafiłem znaleźć niczego, w czym mógłby mi pomóc. Powiedziałem mu prawdę - że nie mam pojęcia, o co pytał wujek Jack, toteż nie planuję niczego w tej sprawie robić. Addison, jak na wytrawnego polityka przystało, zręcznie zmienił kurs i stwierdził, że to byłoby najlepsze rozwiązanie - gdyby okazało się, że wujek Jack jest prawdziwym wariatem.

(IV)

Po wypiciu trzech filiżanek kawy Mariah w końcu oznajmia, że pora wyruszać. Jednak, jak to zazwyczaj bywa, łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Wczoraj wieczorem szeregi ogromnej rodziny mojej siostry zasilila jeszcze aktualna *au pair*, pulchna, zachwycająca kobieta z Bałkanów, której imienia nie potrafiłem prawidłowo wymówić. Jednak nawet przy pomocy jej i Sally ubranie piątki dzieci do jazdy na rolkach zajmuje zdumiewająco dużo czasu. Sama Mariah również musi przygotować się do wyjścia. Czekaając, aż będą gotowi, wędruję z Bentleyem po domu. Widzę, jak mój syn ze zdumieniem rozgląda się po gabinecie ojca i uświadamiam sobie, że nie wchodził tu chyba od roku. Ojciec był bardzo przywiązany do swej prywatności, a to było jego najbardziej prywatne miejsce. Podnoszę Bentleya i pokazuję mu podpisane fotografie mojego ojca z wielkimi tego świata, wiszące na ścianie naprzeciw okna. Ze względu na Bentleya starannie wymawiam ich nazwiska, chociaż i tak ich nie zapamięta: John Kennedy, Lyndon Johnson, Roy Wilkins, Martin Luther King, A. Philip Randolph. Docieramy do drzwi prowadzących na korytarz, a za nimi, na przeciwległym końcu, następuje zmiana orientacji politycznej: Richard Nixon, Ronald Reagan, George Bush *père et fils*, Dan Quayle, Bob Dole, John McCain, Pat Robertson. Mój syn chichocze, marszczy brwi i znów chichocze, na niektóre fotografie wskazuje palcem, a inne ignoruje, jednak trudno się doszukać jakiegoś ideologicznego klucza w jego reakcji.

Przed śmiercią ojciec miał do swej dyspozycji oficjalne, odpowiednio imponujące narożnikowe biuro, obok biura wujka Mała. Znajdowało się ono na dziesiątym piętrze budynku o szklanych ścianach przy skrzyżowaniu

Seventeenth i Eye, niedaleko Białego Domu, do którego - pomimo wszystkiego, co zaszło - ojciec był nadal od czasu do czasu zapraszany, przynajmniej za rządów republikańskich. W centrum Waszyngtonu biurowce są znacznie niższe niż w innych dużych miastach. Dziesiąte piętro uznawane jest za całkiem eleganckie, a właśnie elegancja była dominującym stylem w ostatnich, ciężkich latach życia mojego ojca. Najwyraźniej postanowił natychmiast zarobić wszystkie pieniądze, których nie dostawał przez dwadzieścia lat pracy za stołem sędziowskim. Co prawda, żył tak skromnie, że trudno odgadnąć, na co mógł je wydawać.

Sędzia rzadko korzystał ze swojego biura w centrum. Wolał pracować w domu, w przepastnym gabinecie, który urządził sobie po śmierci matki. Wyburzył w tym celu ściany trzech sypialni położonych przy galerijce u szczytu zakręconych schodów prowadzących z holu na piętro. W rezultacie, jeśli któreś z jego dzieci chciało zostać u niego na noc, było zmuszone spać na rozkładanej kanapie w wypełnionym zapachem stęchlizny pokoju do zabawy w piwnicy lub w zniszczonych i prawdopodobnie nielegalnych pokojach dla służby, które jeden z poprzednich właścicieli wcisnął w koniec strychu. Dlatego właśnie, kiedy z Kimmer i Bentleyem przyjeżdżaliśmy do Waszyngtonu, zatrzymywaliśmy się najczęściej w domu moich teściów. Ojcu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Nie należał do tych dziadków, którzy nie widzą świata poza swoimi wnukami. Ponadto nie znośił wyrzekać się, choćby przejściowo, dostępu do któregośkolwiek zakątka swojego domu. Jeżeli nie dość wcześnie zesłaliśmy na dół ze służbówki, irytował się i wściekał, po czym pędził na górę sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kiedy Bentley śmiał się zbyt głośno, natychmiast go uciszał. Nie mam pojęcia, jak wytrzymał z Mariah i jej licznym potomstwem, tym bardziej, że po śmierci mamy polubił poczucie bezpieczeństwa, jakie niosła dobrowolnie wybrana cisza. Mówiąc prościej, mój ojciec cenił swoją prywatność. W przeciwieństwie do większości z nas, zapewne nie miałby nic przeciw śmierci w samotności, co też prawdopodobnie go spotkało.

Spoglądam w głąb pokoju na duże, lecz podniszczone biurko ojca - antyk, jak zapewne by je nazwał. Jest to stare dwuosobowe biurko, mające po obu stronach otwory na nogi otoczone nadmiarem szuflad na każdą okazję. Drewno jest ciemne, pełne dziurek i wyraźnie wymaga wypolerowania, lecz przypuszczam, że przy swoim fanatycznym zamięłowaniu do prywatności, ojciec nie wpuścił tu nikogo, kto mógłby je wypolerować. Natomiast na blacie biurka panuje idealny porządek. Pióra, bibularz, telefon i zdjęcia - tylko Claire, nie dzieci - ustawione są z realistyczną precyzją wskazującą, że gabinet jest używany, owszem, ale przez osobę o wyjątkowej samodyscyplinie, a takie właśnie mniemanie miał o sobie mój ojciec. Poza tym, jeśli ktoś posiada wszystkie cechy świadczące o dobrym charakterze i postępuje, jakby był zdyscyplinowany, to niedaleko już do prawdziwej samodyscypliny.

W tym właśnie miejscu mój ojciec umarł, rozłożony w poprzek biurka. Mniej więcej w godzinę później znalazła go w takiej pozycji gospodyni, która następnie otrzymała godziwą sumkę za trzymanie się z dala od żadnych sensacji brukowców (sługusy Mallory'ego Corcorana przygotowały jej do podpisu obwarowaną ze wszystkich stron umowę, a Howard Denton dostarczył gotówkę). Nie znaleziono żadnego listu zaciśniętego w dłoni zmarłego, żaden palec nie wskazywał na istotną wskazówkę i nie było żadnych dowodów nieczystej gry. Zastanawiam się, co mu przemykało przez myśl w tych ostatnich chwilach: czy strach przed sądem lub zapomnieniem, czy może gniew, że dzieło jego życia pozostaje niezakończone. Mariah wyobraża sobie, że stał za nim morderca ze strzykawką w dłoni, lecz policja nie znalazła śladów walki. Wydaje mi się, że determinacja, z jaką stara się udowodnić, iż Sędzia został zamordowany, jest w jej wypadku mechanizmem obronnym przed cierpieniem, z którym nie chce się zmierzyć. A może jednak nie potrafię dotrzeć do głębszych warstw rzeczywistości, które na razie dostrzega tylko moja siostra? Patrząc na biurko i widząc swojego ojca, potężnego mężczyznę, jak łapie się rękoma za pierś, z niedowierzaniem w oczach, gniewny stary człowiek z chorym sercem, i umiera, nie mając przy sobie nikogo z rodziny. Nikt nawet nie został ostrzeżony o takiej możliwości. Gospodyni dzwoni na pogotowie, a potem do firmy ojca, gdyż takie polecenia pozostawił jej Sędzia na wypadek, gdyby coś podobnego się stało. Chociaż Mariah kazała uprać dywan, nadal widać na nim niewyraźne ślady, tam gdzie sanitariusze zostawili odciski brudnych butów.

Po przeciwnej w stosunku do biurka stronie pokoju, przed trzema oknami wychodzącymi na podwórze, znajduje się niski drewniany stolik, dzieło Druke'a, na którym mój ojciec układał zazwyczaj problemy szachowe. Na blacie stolika leży marmurowa szachownica, której szare i czarne pola mają boki o długości niemal trzech cali. Podchodząc do okien przeciągam dłonią po bogato rzeźbionym indiańskim pudełku, kryjącym w sobie ukochany komplet szachów Sędziego. Starannie zamknięte wieko emanuje nastrój porzucenia czy nawet żałoby. Można to nazwać antropomorfizmem lub romantyzmem, ale wyobrażam sobie, że te szachy oplakują swojego pana, którego palce już nigdy ich nie dotkną. Kiedyś sam byłem niezłym graczem. Posunięć nauczył mnie ojciec, który jednak, pomimo umiłowania tej gry, rzadko mierzył się z rzeczywistym przeciwnikiem. Należał on bowiem do zupełnie innego, bardziej ekskluzywnego bractwa problemistów szachowych. Problemiści zajmują się znajdowaniem nowych, niezwykłych sposobów wykorzystywania jak najmniejszej liczby figur w problemach szachowych, w których rozwiązujący musi rozwikłać zagadkę, jak białe mogą dać mata czarnym w dwóch posunięciach, czy inną tego rodzaju. Ja sam nigdy nie byłem miłośnikiem zadań szachowych i zawsze wolałem rozgrywać prawdziwą partię z przeciwnikiem z krwi i kości. Natomiast dla Sędzie-

go jedynym prawdziwym artystą w tej dziedzinie był twórca kompozycji szachowych. Kilka z ułożonych przez niego problemów wydrukowano w mniej znaczących czasopiśmie, a jeden, jeszcze w początkach ery Reagana, nawet w „Chess Life and Review”, wówczas najpoważniejszej w kraju publikacji poświęconej szachom. Strona ta, starannie opracowana, do dziś wisi w górnym korytarzu domu w Oak Bluffs.

Otwieram pudełko i podziwiam trzycalowej wysokości szachy ułożone w dwóch wyłożonych filcem przegródkach. Pięknie pomalowane beją figury wyrzeźbiono z hebanu lub bukszpanu, nadając im wprawdzie tradycyjny kształt, lecz z tyloma ozdóbkami, że komplet stał się unikalny. Uśmiecham się lekko na wspomnienie, jak wślizgiwaliśmy się do gabinetu ojca, gdy znajdował się jeszcze na dole, i zastawaliśmy go zgarbionego nad stolikiem, z leżącym obok notesem, pochłoniętego komponowaniem kolejnego zadania. Twierdził, że to go odpręża i choć czasami ta pasja przypominała obsesję, i tak była lepsza od picia.

Nagle marszczę brwi. Uderza mnie coś dziwnego w wyglądzie tego zestawu, ale nie potrafię sobie uświadomić, co.

Zerkam na Bentleya, który wyciągnął z półki tom C. S. Lewisa i usadowił się z nim w rozkładanym fotelu ojca. Sędzia z ogromnym zamilowaniem cytował Lewisa. Jego wnuk wybrał stronę na chybił trafił i przesuwając teraz pulchnymi paluszkami wzdłuż linijek druku, poruszając ustami, jakby umiał odczytać te słowa. Kto wie, może nawet niektóre potrafi, i wkrótce nas zaskoczy, jak to mu się już nieraz zdarzało.

Zamykam pudełko, odkładam na stół i podchodzę do biurka. Siadam w dyrektorskim obrotowym fotelu obitym brunatno-czerwoną skórą, starą i popękaną. Nie wiem, co właściwie robię, dlaczego w ogóle znalazłem się w tym pokoju, a tym bardziej za tym biurkiem. Na szafce za biurkiem znajduje się komputer wraz z urządzeniem łączącym w sobie drukarkę, skaner i faks. Oczywiście, wszystko, co najlepsze, czyli najdroższe, dla Sędziego Olivera C. Garlanda, jak nadal adresowano większość poczty, która nadeszła już po jego śmierci. Komputer jak zwykle znajduje się pod osłoną z zielonego tworzywa chroniącą przed kurzem(!), gdyż choć będący miłośnikiem komputerów Addison przekonywał ojca, że powinien korzystać z najnowszej technologii i często sam mu kupował te urządzenia, Sędzia najchętniej tworzył swoje przemówienia, eseje i gniewne listy do gazet, a nawet książki, na złotych kartkach notatników prawniczych. Później pani Rose, jego asystentka, przepisywała je dla niego. Teraz na biurku też leżą dwa takie notesy. W jednym brakuje kilku pierwszych kartek, a oba są całkowicie czyste.

Tu też nie ma żadnej wskazówki.

Wysuwam na chybił trafił szufladę szafki z aktami i znajduję w niej kilka brudnopisów różnych pism oraz luźne kartki dokumentów finansowych. Przeglądam właśnie kolejną szufladę, zawierającą listy, gdy zaskakuje mnie

nagle stukanie za plecami. Okazuje się, że Bentley wpadł pod biurko na drugim końcu i teraz stuka w drewno i chichocze. Domyślam się, że mam odpowiedzieć.

- Kto tam? - mówię bardzo głośno, jednocześnie trzymając w rękę wzajemnie pochlebną korespondencję pomiędzy Sędzią a felietonistą znajdującym się tak daleko na prawym skrzydle, że Heritage Foundation zapewne nie przyjęłaby go w swe szeregi.

- Puk, puk - mój syn śmieje się i podchwytuje żart.

- Kto tam? - powtarzam.

- Bemmy. Bemmy tam. - Błyskawicznie wydostaje się spod biurka, prostując się z tą niesamowitą szybkością, do której są zdolne trzylatki obu płci - najpierw wypęła ze skrzyżowanymi nogami na orientalny dywan, po czym podrywa się na nogi jak spadochroniarz po idealnym lądowaniu. - Bemmy tam. Aja ty.

Zręcznie okrążam biurko, żeby uściskać syna, lecz on radośnie wyslizguje się i biegnie w kierunku kącika do siedzenia, który ojciec urządził pod największym oknem na dłuższej ścianie pokoju. Bentley niestety odziedziczył po rodzicach, a przynajmniej po ojcu, pewną dozę roztrzepania i niezdarności, toteż nie jestem specjalnie zdziwiony, gdy oglądając się, czy biorę udział w zabawie, wpada na stolik do szachów. Marmurowa szachownica unosi się w górę, po czym opada na pokryty szkłem stolik. Nic się nie tłucze, tylko eleganckie pudełko przewraca się na bok i ręcznie rzeźbione figury uderzają jak deszcz o okno i ściany, po czym spadają na podłogę. Bentley przewraca się do tyłu, lądując na dobrze zabezpieczonej pupie i wydając z siebie pomruk zaskoczenia.

- Bemmy boli - ogłasza ze zdziwieniem. Nie płacze. Być może już wieku trzech lat opanował garlandowską powściągliwość w okazywaniu uczuć. - Bemmy ała.

- Nic ci nie jest - zapewniam go, kucając, by go objąć, ale jemu chyba na tym nie zależy. - Wszystko w porządku, kochanie.

- Bemmy ała - przypomina mi. - Bemmy dobrze. Bemmy poządku.

- Tak, wszystko w porządku.

Bentley podnosi się i niepewnym krokiem rusza w kierunku biurka. Ja schylam się i zbieram porozrzucane szachy, lecz nie chowam ich do pudełka, tylko ustawiam w pozycji wyjściowej do gry. Zauważam z irytacją, że brakuje dwóch pionków, białego i czarnego. Rozglądam się po dywanie, ale nigdzie ich nie widzę, a są na tyle duże, że trudno byłoby je przeoczyć. Zaglądam jeszcze pod drewniane krzesła po obu stronach stolika, ale tam też ich nie ma.

Z korytarza dobiegają figlarne głosy dwojga czy trojga moich siostrzeńców, którzy właśnie wyszli spod prysznic, a kiedy Bentley spieszy, żeby do nich dołączyć, czuję nagle przyływ bezrozumnego gniewu. Dlaczego zosta-

ło czternaście zamiast szesnastu pionów? Odpowiedź jest rozwścieczająco prosta. To dowód, że baraszkowały tu dzieci Mariah. Moja siostra, jak zwykle, nie nakłada żadnych ograniczeń swoim rozpuszczonym dzieciakom. Owszem, dom wkrótce będzie jej, ale mogłaby poczekać dłużej niż tydzień, zanim pozwoli im zamienić miejsce, gdzie umarł ojciec, w plac zabaw, czy raczej chlewik.

Jednocześnie, sam będąc ojcem bardzo żywego dziecka, potrafię zrozumieć, dlaczego ten przestronny pokój mógł być uznany za atrakcyjne miejsce zabaw. Niestety, interesujący dla kolekcjonera komplet szachów, taki jak ten używany przez ojca do komponowania zadań szachowych, znacznie traci na wartości, jeśli nie zawiera wszystkich figur. Zakładam jednak, że brakujące pionki się odnajdą, i łapię się na myśli, czy Mariah, która lada chwila odziedziczy ten dom z całą zawartością, zgodziłaby się dać mi te szachy. Mogę nawet zawieźć je z powrotem do domu na Vineyard, tam, gdzie w dawnych dobrych czasach ojciec pracował nad swoimi kompozycjami, gdy siedząc wieczorami samotnie na werandzie i sącząc lemoniadę, schylał się nad szachownicą...

Nagle na dole rozlega się dzwonek, a ja niespodziewanie nabieram pewności, że przyniesiono kolejne złe wieści. Jestem w połowie drogi na dół, gdy z holu dobiega mnie donośny głos Sally:

- Tal, są tu panowie, którzy chcą się z tobą zobaczyć. - Chwila przerwy.
- Z FBI.

ROZDZIAŁ 7

Kobieta na łyżworolkach

(I)

- Nie marnujecie czasu - zwracam się do dwóch agentów, gdy siadamy w salonie. Wcześniej zaproponowałem im coś do picia, ale odmówili. Jestem bardziej zdenerwowany, niżbym chciał, bo nie zdążyłem jeszcze przygotować się do tej rozmowy. Nie wiem, jak zareagować na pewne pytania, które niewątpliwie padną na temat mojej żony. W łukowo sklepionym przejściu do holu stanęła Mariah, ubrana w czarne spodnie i jasnoczerwone skarpety, i obserwuje nas uważnie. Sally, ubrana w jedną z niezliczonych zbyt obcisłych sukienek, zerka zza rogu szeroko rozwartymi, podnieconymi oczyma.

- Po prostu wykonujemy swoją pracę - mówi ten wysoki, czarnoskóry mężczyzna nazwiskiem Foreman. Zastanawiam się, czy celowo udaje, że mnie nie rozumie.

- Chodzi mi o to, że dopiero wczoraj pochowaliśmy mojego ojca - wyjaśniam. - Żona mówiła, że wkrótce mnie odwiedzicie, ale sądziłbym, że to może poczekać.

Mężczyźni wymieniają spojrzenia. Niższy, McDermott, ma gniewną, białą twarz, piaskowego koloru włosy i duże, brzydkie znamię na wierzchu dłoni. Wydaje mi się, że jest za stary do tej pracy, ma około sześćdziesiątki, ale lepiej być ostrożnym ze stereotypami. Wyższy jest spokojny i nosi okulary. Jego ręce bez przerwy się poruszają, jak ręce sztukmistrza. Widać, że obaj czują się niepewnie, siedząc na kremowej kanapie, jakby się bali, że ją zniszczą. Ubrani są w garnitury znacznie tańsze niż nosili żalobnicy zgromadzeni tu w ubiegły piątek. Siedzę naprzeciw nich w skrzypiącym bujanym fotelu. Z głębi domu dobiegają radosne piski, toteż wiem, że pięcioro Dentonów i jeden Garland znów się zniszczenie.

- My jesteśmy innego zdania - oznajmia McDermott, wbijając we mnie nieruchome spojrzenie.

- No, cóż, ja uważam, że to niestosowne. To znaczy, oczywiście, w miarę możliwości chętnie pomogę. Jednak z pewnością nie trzeba tego robić dzisiaj.

Następuje chwila dziwnego milczenia. Mam nieco niepokojące przeczucie, że oni znają jakieś tajemnice i zastanawiają się, czy je ujawnić. Przypo-

minam sobie, że jesteśmy w Ameryce.

- A co dokładnie powiedziała panu żona? - pyta w końcu McDermott.
- Nic poufnego - zapewniam. - Mówiła, że przyjdziecie, żeby przeprowadzić ze mną rozmowę w związku z... z jej ewentualną nominacją.
- Że *my* przyjdziemy? - w głosie Foremana słychać rozbawienie.
- No, że ktoś z FBI...
- O co chodzi z tą nominacją? - przerywa niegrzecznie McDermott.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Sally zaskakuje nas wszystkich, wysuwając się do przodu i zadając własne pytanie:

- Czy myśmy się już nie spotkali, agencie McDermott?

Ten milczy przez chwilę, jakby przeglądał wspomnienia długiej i zasłużonej kariery badacza przeszłości kandydatów.

- Nie przypominam sobie, pani Stillman - odpowiada w końcu. Z ukłuciem niepokoju zwracam uwagę na jego dokładność: wie nawet, kto w rodzinie przyjął czyje nazwisko. Jeśli taki последний agent jest taki dokładny, to Kimmer nie uda się ukryć tego, na czym najbardziej jej zależy. Moja żona musi tęsknić za dawnymi czasami, kiedy Waszyngton nie zwracał uwagi na cudzołóstwo.

Dawno, dawno temu.

Staram się odprężyć. W końcu nigdy nie zatrudnialiśmy nielegalnego imigranta, moja żona nie molestowała nikogo seksualnie i nie mamy więcej problemów z podatkami niż inne rodziny, w których oboje małżonkowie zarabiają.

- Jest pan pewien? - Sally nie rezygnuje.
- Tak, proszę pani - odpowiada krótko i rzuca spojrzenie na Foremana, który odpowiada mu skinieniem głowy, wstaje i podchodzi do Sally. Zbulwersowana Mariah już od dłuższej chwili ciągnie ją za rękę. Cała trójka przez chwilę rozmawia szeptem, ale można się domyślić, iż Foreman stara się jak najgrzeczniej im przekazać, że woleliby rozmawiać ze mną sam na sam.
- Dziękuję - woła Foreman za Sally, gdy ta ciężkim krokiem oddala się przez hol wraz z Mariah. Nie ma odpowiedzi.
- A zatem - zaczyna McDermott, zerkając do niewielkiego notesu. Zdążył już usunąć moją kuzynkę z myśli. Zastanawiam się przez chwilę, dlaczego go zaczepiła.
- Racja - stwierdzam, nie wiedzieć dlaczego. W głowie mam zamęt. Czuję, że coś mi przeszkadza, gdzieś na krawędzi mojej świadomości, coś związanego z reakcją Sally, ale nie potrafię tego uchwycić. - Racja - powtarzam, tracąc wątek.
- Mówił pan o nominacji swojej żony - przypomina mi Foreman, spoglądając na swojego zdumionego partnera.
- A, tak, tak. - Zbieram myśli. - Wiem, że jeszcze nie otrzymała oficjal-

nej nominacji, ale najpierw sprawdza się przeszłość, prawda?

- Sprawdza przeszłość? - dziwi się McDermott.

- W związku z nominacją - wyjaśniam, zerkając szybko w kierunku hola i zastanawiając się, czy to ja zwariowałem, czy oni. - No, jej ewentualną nominacją.

Znów spoglądają na siebie. Teraz nadchodzi kolej Foremana.

- Panie Garland, nie przyszliśmy tu w sprawie pańskiej żony.

- Słucham?

- Powinniśmy byli dokładniej to wyjaśnić. - Zakłada jedną długą nogę na drugą. - Wiemy, oczywiście o pańskiej żonie, ale nie to jest powodem naszej wizyty. Proszę mi wierzyć, że nie zakłócalibyśmy państwa żałoby z powodu badania przeszłości kandydata.

- W porządku, w porządku. Zatem, dlaczego tu jesteście? - Jednak już gdy wypowiadam to pytanie, wiem, co nastąpi i serce zamiera mi w piersi.

Teraz znów McDermott: - Wczoraj po południu na cmentarzu rozmawiał pan z niejakim Jackiem Zieglerem. Prawda?

Podoba mi się określenie „niejakim Jackiem Zieglerem”. Sugeruje podejrzanie, a jednocześnie niewiele mówi.

- Cóż, tak...

- Musimy wiedzieć, o czym panowie rozmawiali. Po to tu jesteśmy. - Tak po prostu. Powiedział, czego żąda i skończył.

- Dlaczego?

- Nie możemy tego ujawnić - szybko i niegrzecznie odzywa się McDermott.

- Powiedzielibyśmy panu, gdybyśmy mogli - dodaje równie szybko Foreman, ściągając na siebie niechętnie spojrzenie partnera. - Mogę jedynie zdradzić, że ma to związek z toczącym się dochodzeniem karnym, i pragnę zapewnić, że nie ma ono najmniejszego związku z panem ani z żadnym członkiem pańskiej rodziny.

W pierwszym odruchu mam ochotę powtórzyć mu, co powiedział mi Jack Ziegler. Jednak ostatecznie dyscyplina bierze górę. Jednym z paskudnych aspektów bycia prawnikiem jest to, że ostrożna precyzja staje się drugą naturą.

No, a poza tym już przestałem im ufać.

Mówię zatem: - Skąd panowie wiecie, że rozmawiałem wczoraj z Jackiem Zieglerem?

- Nie możemy tego ujawnić - powtarza McDermott jak zepsuta płyta, znów zbyt szybko.

- Wolalbym sądzić, że mój rząd nie szpieguje ludzi na pogrzebach.

- Robimy to, co musimy - ćwierka McDermott.

- My w ogóle nie szpiegujemy - wtrąca Foreman, jak rozrabiaka na szkolnej potańcówce. - W trakcie dochodzenia karnego istnieją pewne wy-

mogi, o czym na pewno panu wiadomo, z racji pańskiego zawodu Metodologia jest często skomplikowana, ale zapewniam pana, że zawsze postępujemy zgodnie z odpowiednimi przepisami. - Mówi dokładnie to samo, co jego partner, tyle że zużywa na to znacznie więcej słów. Prawdopodobnie on również jest prawnikiem.

Kończą mi się już pomysły. Pytam: - Czy toczy się jakieś śledztwo w sprawie Jacka Zieglera? A zresztą, mniejsza o to - dodaję, zanim McDermott zdąży wygłosić swą kwestię.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy - odzywa się Foreman. - Jest nam ona niezbędna.

Korzystam teraz z jednego z najbardziej skutecznych narzędzi stosowanych przez ojca, gdy wygłaszał pouczenia - zmuszam ich do czekania. W tym czasie rozmyślam o swoim spotkaniu z Jackiem Zieglerem i próbuję zrozumieć, czego właściwie strzegę. Stwierdzam, że może jednak powinienem im zrelacjonować słowo w słowo, co między nami zaszło. Kiedy już prawie się zdecydowałem, McDermott psuje wszystko swoją niecierpliwością.

- Możemy pana zmusić, żeby nam pan powiedział. Wie pan o tym.

Foreman wygląda, jakby chciał jęknąć. Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę. Przez ostatnie kilka dni co chwilę coś wprawiało mnie w gniew, a wczoraj przeżyłem chwile strachu. Mam już tego dość.

- Słucham?

- *Musi* nam pan powiedzieć to, co pan wie. To pański prawny obowiązek.

- Niech pan nie będzie śmieszny - odszczekuję w reakcji na tę nieoczekiwaną obrazę, miotając oczami gromy przez nagle poczerwieniałe powietrze. - Nie ma takiego prawa, i pan dobrze o tym wie. Nie możecie nikogo zmusić, żeby współpracował z wami w śledztwie. Możecie, *co najwyżej*, mnie ukarać, gdybym wam podał nieprawdziwe informacje, ale nie możecie mnie zmusić do powiedzenia tego, co chcecie wiedzieć, niezależnie od tego, jak bardzo jest wam to potrzebne. Najpierw musi się zebrać wielka rada przysięgłych oraz zostać wysłane wezwanie. Czy to właśnie chcecie zrobić?

- Moglibyśmy to zrobić - stwierdza McDermott. Nie rozumiem jego wściekłości czy też taktyki. - Nie chcemy tego robić, ale możemy.

Ja jednak jeszcze nie skończyłem. - Wielką radę przysięgłych mogą zwołać tylko prokuratorzy federalni, a nie agenci FBI. Ponadto, o ile dobrze pamiętam, istnieją szczegółowe regulaminy zabraniające wam wygłaszania gróźb.

- My nie grozimy - próbuje wtrącić Foreman, ale McDermott nie ma zamiaru umilknąć.

- Nie mamy czasu na gierki - warczy. W jego głosie pojawia się lekki akcent, prawdopodobnie z Południa. - Jack Ziegler to szumowina. Jest mordercą. Sprzedaje broń. Sprzedaje narkotyki. Nie wiem, co jeszcze sprze-

daje. Wiem natomiast, że nikomu nie udało się go przyszpilić. Ale tym razem zamierzamy to zrobić. Jesteśmy już tak blisko celu, profesorze. - Pokazuje mi odległość około centymetra pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Potem pochyla się ku mnie. - Pańska żona stara się o stanowisko sędziego. Wspaniale, mam nadzieję, że je zdobędzie. Jednak nie będzie to najlepiej wyglądało, kiedy się okaże, że jej mąż odmówił współpracy przy dochodzeniu w sprawie takiego drania jak dobry stary wujcio Jack Ziegler. Zatem, zamierza pan nam pomóc czy nie?

Z niedowierzaniem zerkam na Foremana, lecz jego twarz jest bez wyrazu, jak przystało na zawodowca. Płonąc oburzeniem, mam już gwałtownie mu odpowiedzieć - lichy wie, co planowałem powiedzieć - kiedy dobiega mnie z holu donośny głos Sally:

- Talcotcie, wyjeżdżam. Czas iść do pracy. Wygląda na to, że będę musiała porozmawiać z tobą później. - Sądząc z jej tonu, nadal jest obrażona, że wykluczono ją z tego spotkania. Niemniej jednak niewątpliwie chce ze mną porozmawiać teraz.

Zrywam się na nogi i na chwilę przeproszam agentów, zyskując w ten sposób trochę czasu do namysłu, a może i na ochłonięcie. Odprowadzam Sally do drzwi. Na frontowym schodku zatrzymuje się, obraca do mnie przodem i pyta, czy wiem może, jak ma na imię agent McDermott. Stwierdzam, że chyba wcale go nie podawał i pytam, po co jej ta wiadomość.

- Po prostu mam uczucie, że już go kiedyś widziałam - wyjaśnia, przechwytnij moje spojrzenie swoimi śmiałymi brązowymi oczami. Kiedy rzecz nie dotyczy Addisona, Sally wcale nie cierpi na wybujałą wyobraźnię, zatem jeśli mówi, że go spotkała, to powinienem w to uwierzyć.

- Gdzie?

- Nie mam pojęcia, ale słuchaj, widziałeś jego dłoń?

Znamię? Tak.

- No, i usta. - Zastanawiam się przez chwilę, po czym potakuję ruchem głowy. Na górnej wardze McDermotta widnieje niewielka, jasna plamka, rodzaj blizny, która staje się znacznie bardziej widoczna, gdy jest rozgniewany. - Widziałam już wcześniej tę szramę - oświadcza moja kuzynka, która w wyniku nieszczęśliwego małżeństwa sama ma kilka blizn.

- Gdzie?

- Nie... nie jestem pewna.

- Na Kapitolu? Miało to związek z twoją pracą?

Potrząsa głową. - Nie, to było dawno temu.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Sally wzrusza ramionami, uśmiecha się i stwierdza, że mniejsza o to, być może się myli.

Odczekuję chwilę, po czym pytam, czy dobrze się czuje. - Tak, wszystkòiw p«|rządu - odpowiada, lecz w jej oczach widzę smutek i zamyślenie. Ścisną moją dłoń, a kiedy ją puszcza, mój gniew znika, zupełnie jakby

go ze mnie wyciągnęła.

- Dziękuję ci za pomoc - uśmiecham się do niej.

Odważamnia uśmiech, a następnie odwraca się i rusza do samochodu, taszcząc jedną ze swoich ogromnych toreb, przez które przypomina Kimmer bezdomną.

Wracam do salonu, znacznie spokojniejszy niż jeszcze kilka minut temu. McDermott i Foreman czekają na mnie na stojąco, czujni i niecierpliwi, lecz jednocześnie pewni siebie. No cóż, dlaczego nie mieliby być pewni siebie? Doskonale odegrali swoje role dobrego i złego gliny i wiedzą, że zostałem pokonany. Ja również to wiem. Nie mam pojęcia, czy Sally rzeczywiście widziała McDermotta już wcześniej, ale przez minione lata bardzo dużo się nauczyłem o ograniczaniu strat. Jedną z rzeczy, które Sędzia ustawicznie wbijał nam do głowy, było stare powiedzenie o tym, że trzeba przeżyć, aby móc walczyć nazajutrz. Spokojnie spoglądam na agentów i mówię: - Przepraszam, jeśli sprawiłem wrażenie, że nie chcę współpracować. Nie miałem takiego zamiaru. A teraz, co dokładnie chcecie panowie wiedzieć?

(II)

Wychodzimy z siostrą później niż planowaliśmy, ale w końcu docieramy na zatłoczony tor wrotkowy znajdujący się naprzeciw jednego z niezliczonych podmiejskich centrów handlowych Waszyngtonu. Marcus jest przeziębiony i zostaje z opiekunką na Shepard Street. Jest nas zatem siedmioro i udaje nam się wszystkim wcisnąć do nowo nabytego lincolna navigatora Mariah, luksusowego potwora udającego pojazd do przewożenia sprzętu sportowego. Wszyscy jeżdżą na łyżworolkach oprócz mnie. Dzieci Mariah, które najwyraźniej stale uprawiają ten sport, radzą sobie bardzo dobrze, natomiast Bentley, dla którego będzie to pierwszy raz, jest pełen zapału, by spróbować. Najwyraźniej wcześniejszy upadek nie zmniejszył jego dziecięcej brawury. Mariah obiecuje, że osobiście będzie się nim opiekować. Moja siostra traktuje obietnice poważniej niż którakolwiek ze znanych mi osób, toteż nie mam wątpliwości, że będzie bezpieczny. Jednak Bentley chyba trochę się boi, gdyż przed wejściem na tor obraca się do mnie - prawie niewidoczny pod ochraniaczami i hełmem - i szeptem: - Tam *ty*? - Z uśmiechem potrząsam przecząco głową i zapewniam go, że ciocia Mariah będzie dobrze się nim opiekować. Syn niepewnie odważamnia mój uśmiech, po czym wchodzi na tor, trzymając się mojej siostry obydwoma rękami. Dzieci Dentonów dawno już odpłynęły w rytm piosenki Celin Dion, Mariah Carey czy innej gwiazdy filmowych ścieżek dźwiękowych.

Pochyłam się i opieram na masywnych deskach tworzących boczne ściany toru. Sam nie jeżdżę, gdyż nie chcę narobić sobie wstydu, ale również

dlatego, że muszę pomyśleć. Chcę się zastanowić, czy nie wpakowałem się w kłopoty. Jest to możliwe, gdyż nie opowiedziałem Foremanowi i McDermottowi o wszystkim, co zaszło. Nie skłamałem, ale nie ujawniłem całej rozmowy z wujkiem Jackiem. Powiedziałem o jego kondolencjach, o tym, że wyglądał na chorego, o powtarzającym się żądaniu informacji na temat *ustaleń*. Opowiedziałem, jak martwił się, że inni, którzy mają wobec nas złe zamiary, będą zadawali te same pytania. Natomiast nie wspomniałem o jego obietnicy, że będzie chronił mnie i moją rodzinę, gdyż bałem się, że zostanie to opacznie zrozumiane. Nie zdradziłem też, co mówił o Marcu Hadleyu.

Dziwne było to, że kiedy skończyłem swoją litanie (którą przerywali tylko od czasu do czasu, prosząc o uściślenie), mieli do mnie tylko jedno pytanie, zadane z uprzejmym naciskiem przez agenta Foremana: - *Zatem, panie Garland, jakie ustalenia poczynił pański ojciec?* - Kiedy powtórzyłem to, co wcześniej mówiłem wujkowi Jackowi, że nie mam najmniejszego pojęcia, o jakie ustalenia chodzi, Foreman z prawniczą precyzją przedstawił mi całą serię możliwości. Czy były jakieś ustalenia finansowe? Dotyczące pogrzebu? Czy ojciec zostawił specjalne instrukcje, co należy zrobić po jego śmierci? Na przykład, specjalne instrukcje, żeby otworzyć skrytkę depozytową? Albo kopertę, która miała być zapieczętowana aż do jego śmierci? Czy przypominam sobie jakąś rozmowę czy list z ostatnich lat, w których mój ojciec użył słowa *ustalenia*? (W odpowiedzi na to ostatnie pytanie wybuchnąłbym śmiechem, gdyby ich twarze oraz zawoalowana groźba McDermotta dotycząca Kimmer nie były tak poważne).

Na każde z pytań odpowiedziałem jedną z wersji wyświechtanego waszyngtońskiego zwrotu: *Nie wiem, Nic o tym nie wiem, Nie przypominam sobie*, co brzmiało jak zeznania mojego ojca przed Komisją Sprawiedliwości, i w związku z tym przypomniało mi, jak nienawidzę tego miasta. Kiedy w końcu zrozumieli, że jest to jedyna odpowiedź, której mogę im udzielić, McDermott omal znowu nie wybuchnął. Jednak tym razem Foreman był szybszy. Podziękował mi za pomoc, zapewniając, że wiedzą, iż przeżywam ciężkie chwile i tym bardziej są wdzięczni za współpracę. Obiecał, że osobiście dopilnuje, żeby nic związanego z tą sprawą nie wywarło negatywnego wpływu na szanse mojej żony na nominację, co było kolejnym doskonale pozbawionym znaczenia prawniczym zwrotem. Wreszcie stwierdził, że będą już kończyć, na co im pozwoliłem.

Już w kilka minut po ich wyjściu zacząłem żałować, że nie powiedziałem wszystkiego, i dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że nie zostawili mi wizytówek wraz z prośbą, żebym się skontaktował, jeśli coś sobie przypomnę. Wydało mi się to dziwne, gdyż agenci FBI, z którymi regularnie mam do czynienia, gdy sprawdzają moich byłych studentów starających się o rządowe posady, zawsze zostawiają swoje wizytówki. Zdenerwowałem się i zacząłem się zastanawiać, dlaczego byli tak pewni, że wiedzą już wszystko,

co chcieli wiedzieć. Może, nieświadomie, dostarczyłem im jakiejś kluczowej dla śledztwa informacji? Potem musiałem zapomnieć o tych wątpliwościach, gdyż przytupująca niecierpliwie w holu Mariah zwróciła mi uwagę, że pora wychodzić, jeśli mamy zdążyć pojeździć i wrócić na czas na spotkanie z Mallorym Corcoranem. Kiedy wyruszyliśmy, najpierw siedziała w milczeniu, lecz po pewnym czasie zapytała, czy moim zdaniem Sally naprawdę zetknęła się już z McDermottem. Odparłem, że skąd miałbym wiedzieć. Na to Mariah stwierdziła, że Sally nie należy do osób, które lubią wymyślać różne rzeczy. Z tym akurat się zgadzałem, ale tylko skinąłem głową, co udobruchało moją zdenerwowaną siostrę. Za chwilę mi powie, myślałem sobie, że Sędziogo zabili ludzie z FBI albo klika liberałów z czerwonymi znamionami na dłoniach. A może grupa spiskowców z bliznami na wargach? Jednak Mariah nie powiedziała nic, tylko rozmyślała przez resztę drogi na tor, a ja przeprosiłem ją telepatycznie za swoje niegodne myśli.

Teraz, obserwując jak Bentley nabiera coraz większej śmiałości pod kurtelą mojej siostry, jestem zachwycony jej cierpliwością i macierzyńską sumiennością. Odpowiednimi pochwałami udało jej się doprowadzić do tego, że mój syn ma ochotę puścić jej rękę. Uśmiecham się.

Mariah wie, jak być matką, nie żałuje czasu i myśli o wszystkim. Chciałbym tak samo znać się na tym, jak być ojcem. Czuję nagły przypływ miłości do swojej siostry i staram się wyrzucić z myśli jej dzikie teorie. Zamiast tego zaczynam się zastanawiać nad znacznie bardziej nagłym pytaniem, jak nadrobić zaległości w pracy, za którą mi przecież płacą. Muszę zaplanować zajęcia uzupełniające z deliktów oraz spotkania z grupą seminaryjną, którą zaniedbuję przez cały tydzień. W tym wszystkim trzeba jeszcze znaleźć czas na skończenie zaległej poprawionej wersji artykułu dla przeglądu prawniczego na temat masowych sporów sądowych w spawach deliktów, co planowałem zrobić w zeszły weekend. Może jeśli...

Nagle bardzo ładnie umięśniona kobieta o moim kolorze skóry uderza o bandę poniżej miejsca, gdzie stoję, chwytając dłońmi w rękawiczkach za krawędź ścianki i obdarza mnie promiennym uśmiechem. Ma na sobie czarny spandex i czerwone rolki i porusza się ze swobodnym wdziękiem urodzonego sportowca. - Cześć przystojniaku, dlaczego nie jeździsz? - woła do mnie, jakbyśmy się znali od lat. Jej skóra ma cudownie brązowy kolor, twarz jest niezbyt ładna, ale całkiem przyjemna, a usta wydają się pełne dużych zębów. Głowę pokrywają niestety obrzydliwie sprasowane płaskie loki. Z każdego ucha zwisają dwie złote obręcze, jedna duża, druga mała. Ma około metr osiemdziesiąt i jest starsza, niż początkowo sądziłem, może mieć około trzydziestu pięciu lat. - Jesteś tam? - pyta, nadal się uśmiechając, kiedy początkowo jej nie odpowiadam. - Halo? - Z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że ze mną flirtuje, a ja nie miałem ostatnio zbyt wiele doświadczeń w tej dziedzinie. Oczy błyszczą jej figlarnie, a uśmiech jest niezwykle zaraźli-

wy.

Odwzajemniam uśmiech, ale w gardle mam tak sucho, że z trudem wydobywam z siebie słowa: - Obawiam się, że żaden ze mnie rolkowiec.

- No, i co z tego? - śmieje się, przesuając stopami w jednym miejscu, z rękami wspartymi na biodrach. - Nauczę cię, jeśli chcesz. - Wyciąga do mnie dłoń z rozcapierzonymi palcami i przechyla głowę na jedną stronę, jakby chciała rozciągnąć szyję. - No, dalej, przystojniaku. Przyda ci się trochę zabawy, mówię ci.

Niespodziewanie jej agresywność porusza we mnie odpowiednią strunę i już się dobrze bawię. Przygotowuję się, żeby odpowiedzieć jej równie kokieteryjną uwagą, kiedy jej doświadczone oko przesuwa się na moją dłoń i dostrzega obrączkę. Uśmiech znika z jej twarzy. Mówi: - Uuu, ojej, przepraszam. - Rozkłada szeroko ręce i odjeżdża tyłem. Przesyła mi jeszcze ostatnie bezczelne machnięcie dłonią, obraca się wokół własnej osi i znika w tłumie wypełniającym tor. Ku mojemu zdumieniu przesywa mnie tak silne poczucie straty, że przez chwilę zapominam zupełnie o Bentleyu, który oczywiście wybiera akurat ten moment, żeby zderzyć się z innym dzieckiem. Opuszcza tor z płaczem, z rozciętej wargi kapie mu krew. Mariah bez przerwy przeprasza i sama ma w oczach łzy. Część jej rozpuszczonych dzieciaków wyśmiewa się z niezdarności Bentleya, pozostałe łkają na widok krwi. Obejmuję syna i przykładam mu woreczek z lodem dostarczony przez obsługę, ale on potrząsa głową i płacze, że chce do mamy. Nie było mnie koło niego, kiedy zdarzył się wypadek i nic nie mogłem zrobić, żeby temu zapobiec, ale Bentley najwyraźniej uważa, że i tak jestem winny.

Całkiem prawdopodobne, że ma rację, gdyż kobieta na rolkach będzie pojawiać się w moich marzeniach jeszcze przez kolejne tygodnie.

ROZDZIAŁ 8

Dalsze wieści telefoniczne

(I)

Za dwadzieścia czwarta wysiadam z taksówki przed budynkiem, w którym jeszcze tydzień temu mój ojciec miał swoje biuro. Zamieniłem dżinsy na brunatny garnitur, ten sam, który nosiłem na pogrzebie - jedyny, który zabrałem do Waszyngtonu i jeden z dwóch, jakie w ogóle posiadam. Przyjechałem za wcześnie i mam czas pooglądać wystawy. W westybulu budynku znajduje się sklep jubilerski, a na rogu antykwariat z rzadkimi książkami. Wchodzę do obydwóch, ciesząc się, że w tym mieście na tyle nie obawiają się czarnej klasy średniej, iż w żadnym z nich nie jestem podejrzliwie obserwowany. U jubilera zwalczam pokusę kupienia Kimmer drobnego, lecz fatalnego dla budżetu prezentu - moja żona ma słabość do diamentów, a widzę parę kolczyków, które na pewno by jej się spodobały. W antykwariacie rozmawiam z właścicielem na temat bardzo rzadkiej broszurki, której poszukuję. Jest to wydany na własny koszt przez Bobby'ego Fischera opis omyłkowego aresztowania go za napad na bank, melodramatycznie zatytułowany „Byłem torturowany w więzieniu w Pasadenie!” Zostawiam księgarzowi swoją wizytówkę, a on obiecuje zobaczyć, co się da zrobić. Kiedy wracam do westybulu, Kimmer już tam jest i patrząc na mnie, wskazuje wymownie na zegarek. Do czwartej brakuje jeszcze trzech minut, ale nie można dopuścić do tego, żeby Mallory Corcoran musiał czekać. Wielki Mallory Corcoran nie ma zwyczaju czekać.

A jednak czeka na Kimmer i na mnie. Nie tylko czeka, lecz przyjmuje nas z całym swoim nieprzeciętnym urokiem. Osobiście wychodzi po nas do recepcji. Jest bez marynarki, lecz w nieskazitelnej niebieskiej koszuli, żółtym klubowym krawacie i żółtych szelkach rozciągniętych na okazałym brzuchu. Całuje Kimmer w policzek, mnie ściska oficjalnie dłoń i prowadzi nas do ogromnego narożnikowego gabinetu, który - jak większość w tym mieście - ma widok głównie na budynki po drugiej stronie ulicy, lecz dodatkowo można z niego dostrzec obelisk Waszyngtona, jeżeli się patrzy pod właściwym kątem. Na biurku zalegają stopy akt i notatek. Jest to jedno z niewielu biurków spośród wszystkich znajdujących się w firmach prawniczych tego miasta, na którym nie ma komputera. Gospodarz prowadzi nas ku skórzaney kanapie, przy której ustawiono dwa oryginalne krzesła Eamesa. Jedno z

nich wybiera dla siebie. Mam wrażenie, że się pod nim złamie, ale Mallory Corcoran, podobnie jak wielu innych odnoszących sukcesy adwokatów, najwyraźniej opanował sztukę dostosowywania swojej wagi do sytuacji. Jedna z jego trzech sekretarek proponuje nam coś do picia - wujek Mal i Kimmer wybierają herbatę, ja piwo imbirowe. Pojawia się taca z kanapkami w kształcie paluszków. Gawędzimy o pogrzebie, pogodzie, prasie i najnowszych skandalach na Kapitolu. Wujek Mal informuje nas, że jego pracownicy spakowali wszystkie rzeczy osobiste ojca i firma wyśle je na wskazany przez nas adres. Pyta również, czy chciałbym po raz ostatni spojrzeć na gabinet Olivera, a ja odmawiam, przy czym nie bez znaczenia jest tu fakt, że moja żona za chwilę wyskoczy ze skóry.

Potem przechodzimy do interesów.

Wujek Mal zaczyna od poproszenia starszej asystentki, nerwowej kobiety, którą przedstawia nam jako Cassie Meadows, aby usiadła z nami i notowała. Kimmer czuje się skrępowana na myśl o rozmowie w obecności obcej osoby, jednak wujek Mal prosi, żebyśmy traktowali Meadows (jak się o niej wyraża) jak mebel. Nie są to specjalnie miłe słowa, toteż Meadows, chuda jak szczapa przedstawicielka jaśniejszej nacji, czerwieni się ze złości. Ja jednak rozumiem, o co mu chodzi. Teraz, gdy tak wiele osób w Waszyngtonie jest stawianych w stan oskarżenia za tak wiele rzeczy, a jednocześnie tyle aktów oskarżenia opiera się na niejasnych sprzecznościach z mgliście zapamiętanych rozmów, wielki Mallory Corcoran pragnie mieć w tym pokoju przyjaznego świadka.

- Meadows jest diabelnie dobrym prawnikiem procesowym - oznajmia nam, jakbyśmy wybierali się za chwilę do sądu - i zna wszystkich, których warto znać na Kapitolu.

- Pracowałam dla senatora Hatcha - wyjaśnia Meadows.

- Była też aplikantką w Sądzie Najwyższym i miała najlepsze wyniki w swojej klasie na Uniwersytecie Columbia - zachwala wujek Mal, grając w normalną w Waszyngtonie grę polegającą na wykorzystaniu siły osiągnięć do odbicia w dal kwestii zaufania. Skoro jest taka inteligentna, nie powinno wam przeszkadzać, że tu siedzi, zdaje się mówić. Potem podaje rzeczywisty argument: - Kimberly, ona będzie bardzo blisko ze mną współpracować w tej sprawie. Musi znać te same informacje, co ja. - Oznacza to, że poza tym jednym spotkaniem, Mallory Corcoran będzie zapewne zbyt zajęty, żeby osobiście pomagać mojej żonie, której sprawa zostanie od tej pory przerzucana na asystentkę.

Kimmer przestaje protestować.

Wujek Mal nie należy do ludzi, których łatwo zmusić do zajęcia stanowiska, niemniej jednak spotkanie przebiega całkiem pomyślnie. Rozumie, dlaczego tu jesteśmy, i przez większość czasu to on mówi. Pyta Kimmer, jak przebiegły jej pozostałe spotkania, ale prawie nie słucha odpowiedzi. Kim-

mer nie zdążyła jeszcze mi o nich opowiedzieć, ale domyślałam się, że nie uzyskała oczekiwanych odpowiedzi. Senator, który przeznaczył dla niej tylko piętnaście minut i to w obecności dwóch doradców, twardo stoi po stronie Marca Hadleya, więc powtarzał jej w kółko, że przed nią jeszcze wiele okazji. Ruthie Silverman udzielała gładkich, wymijających odpowiedzi. Lobbysta na rzecz praw obywatelskich obiecał spróbować pomóc, ale ostrzegł, że administracja raczej nie będzie go słuchać. Mallory Corcoran oddała to wszystko niecierpliwym ruchem dłoni. Liczy się tylko to, kto kogo zna. *Slucham uważnie, co w trawie piszczy*, mówi, gdyż uwielbia komunały, które gładko spływają mu z języka, żeby słuchacze wiedzieli, że on wie, że oni wiedzą, że to wszystko tylko gra. Zastanawiam się, czy powie nam o trupie obiecanych przez Jacka Zieglera. Jednak informuje nas tylko, że Marc Hadley zwołuje wszystkie swoje zastępy, rusza pełną parą, miażdży wszystko na swej drodze jak walec - jedna przenośnia goni drugą, zgodnie z waszyngtońską modą wygłaszania sformułowań łatwo wpadających w ucho - a wielu moich kolegów ze szkoły prawniczej mu pomaga. - Pewnie, żeby się go pozbyć - mruczy Kimmer, co może być prawdą, ale świadczy również o tym, że moja żona jest zdenerwowana.

Wujek Mal także to dostrzega. Uśmiecha się szeroko i potrząsa głową. Kimmer nie powinna się martwić, mówi. Meadows porozmawia z ludźmi z Kapitolu, wyjaśnia, a jego anorektyczna asystentka kiwa głową na znak, że zrozumiała rozkaz. Resztę załatwi sam. Marc i jego przyjaciele znają pewnych ludzi, ale - tu uderza się w pierś - Mallory Corcoran zapewne ma nieco więcej znajomych niż Marc Hadley - to są właśnie słowa, które Kimmer pragnie słyszeć. Zadzwoni w kilka miejsc, co oznacza, że porozmawia z prezydentem, a co ważniejsze - z doradcą Białego Domu, przełożonym Ruthie, który będzie przygotowywał ostateczną rekomendację i tak się składa, że był partnerem w firmie. Wujek Mal nie obiecuje, że będzie wywierał naciski w sprawie kandydatury Kimmer, natomiast zapewnia, że będzie węszył i dowiadywał się, jak wygląda sytuacja, a to często oznacza to samo. W lustrzanym labiryncie procesu nominacji federalnych czasami najbardziej liczy się to, by odpowiednia osoba zadawała w naszej sprawie odpowiednie pytania. To, co robi - oznajmia - jest jego prezentem dla nas ze względu na szacunek, jakim darzył mojego ojca, co oznacza, oczywiście, iż oczekuje rewanzu, jeśli kiedykolwiek o niego poprosi.

Kimmer promienieje - nie jest pokerzystką ta moja inteligentna żona - ale ja wiem, że z wujkiem Malem nie załatwia się niczego tak łatwo.

Kiedy uznał, że zrobił już na nas wystarczające wrażenie swoją szczodrobliwością, poprawia mankiety, a potem jakimś cudem patrząc nam obojgu jednocześnie w oczy, składa dłonie i zadaje jedyne pytanie, które naprawdę ma znaczenie w dzisiejszym Waszyngtonie: - Czy w twojej przeszłości, Kimberly, lub w twojej, Talcotcie, jest cokolwiek, co w razie podania do wiado-

mości publicznej postawiłoby w trudnej sytuacji prezydenta lub was? - *Lub mnie?*, jest niewypowiedzianym głośno, lecz wyraźnie zasugerowanym trzecim elementem tego ciągu. *Spróbujcie postawić mnie w kłopotliwej sytuacji, a już nigdy, przenigdy nie będziecie mogli liczyć na firmę.*

- Nic - Kimmer odpowiada tak szybko, że obaj patrzymy na nią zdumieni.

- Jesteś absolutnie pewna? - pyta wielki Mallory Corcoran.

- Absolutnie.

Zdejmuje okulary i obdarza go swym najbardziej olśniewającym uśmiechem, który zamienia większość mężczyzn w płaszcących się pochlebców, a na mnie nieodmiennie wywiera druzgocące wrażenie, podczas tych rzadkich okazji, gdy zechce go na mnie wypróbować. Jednak tym razem jej wysiłek idzie na marne. Wujek Mal przetrwał uśmiechy światowej klasy ekspertów. Unosi tylko brwi i zwraca się do mnie. Kimmer łapie mnie za rękę i rzuca mi znaczące spojrzenie. To nierozsądne. Chyba nie sądzi, że on tego nie zauważy?

- Talcotcie?

- No, cóż - zaczynam. Kimmer rozpaczliwie ściska moją dłoń. Z pewnością nie wspomnę przy wujku Malu i tej całkowicie obcej kobiecie... z pewnością...

- Misha - mruczy, pokazując wzrokiem Meadows, która najwyraźniej znudzona, wpatruje się w przestrzeń. Zapisała dotąd może ze dwa zdania.

Jednak moja żona nie musi się denerwować, bo wcale nie mam na myśli jej niewierności. - No, cóż, jest jedna sprawa, która mnie dręczy - przyznaję. Potem opowiadam im o porannej wizycie agentów FBI.

W miarę jak przedstawiam szczegóły, wyczuwam, że Kimmer staje się coraz chłodniejsza, coraz bardziej zirytowana... i zmartwiona. Puszczą moją rękę.

W pewnej chwili wujek Mal mi przerywa.

- Czy oni naprawdę powiedzieli, że jeśli nie porozmawiasz z nimi o Jacku Zieglerze, to mogą się zmniejszyć szanse twojej żony?

- Tak.

- A to dranie - mówi cicho, odchylając się do tyłu i potrząsając z niedowierzaniem głową. Potem podnosi słuchawkę jednego z czterech telefonów rozmieszczonych w pokoju i pulchnym palcem wdusza przycisk.

- Grace, daj mi prokuratora generalnego. Jeśli go nie będzie, to zastępcę. To pilne. - Odkłada słuchawkę. - Dojdziemy, co tu się dzieje. - Zwraca się do Meadows. - Zdobądź dla mnie kopię regulaminów dotyczących rozmów agentów FBI ze świadkami.

- Teraz? - pyta, wyrwana z jakichś prywatnych rozmyślań.

- Nie, w przyszłym tygodniu. Oczywiście, że teraz. Idź.

Wybiega z pokoju, nadal ściskając swój notatnik. Od razu się domyślam - i Meadows chyba też - że wujek Mal nie chce, żeby była obecna przy tym,

co ma nastąpić, ale nie mam pojęcia, dlaczego. Mallory Corcoran nie ma zamiaru oświecać nas w tym względzie. Zamiast tego całkowicie zmienia temat: - A tak przy okazji, Tal, włączam któregoś dnia telewizor i kogo widzisz? Twojego brata. - I zaczyna opowiadać, opisując występ Addisona w programie „The News Hour”, podczas którego mój brat krytykował ostatnią inicjatywę ustawodawczą Republikanów. Kimmer aż się kurczy, obawiając się, że teraz z kolei poglądy polityczne mojego brata zmniejszą jej szanse. Wujek Mal, widząc jej zdenerwowanie, przechodzi gwałtownie do opowieści z czasów, gdy mój ojciec był jeszcze sędzią, bardzo zabawnej historyjki o pijanym podsądnym, której jednak nie poświęcam większej uwagi, zarówno dlatego, że słyszałem ją już wiele razy, jak i dlatego, że przypominam sobie o wizytówkach, których agenci FBI mi nie wręczyli. Nagle rozumiem, dlaczego wujek Mal odesłał Meadows. Doszedł do wniosku, że informacje z Departamentu Sprawiedliwości będą niepomysłne, i bez żadnego związku z Kimmer i jej sędziowskimi ambicjami. Po przygnębiających spekulacjach Mariah zaczynam już z góry się tego obawiać.

Dzwoni telefon. Wujek Mal przerywa w pół zdania i podnosi słuchawkę. - Tak? Kto? W porządku. - Zakrywa dłonią mikrofon. - To zastępca prokuratora generalnego. - Potem przestaje się nami zajmować:

- Mort, jak się masz, u diabła?... Słyszę, że Frank wybiera się w przyszłym roku na Harvard. To wspaniale... Kiedy zamierzasz zacząć uczciwie zarabiać na życie?... Wiesz przecież, że tu zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce... Co? *Los Angeles*? Och, przestań. Nasz smog jest znacznie lepszy niż ich... Uhm... Wiem, wiem... No cóż, pozwól, że powiem, po co dzwonię. Otóż siedzę w swoim gabinecie z parą bardzo zirytowanych obywateli tego pięknego państwa, z których jeden jest szczęśliwym posiadaczem nazwiska Talcott Garland, a jego towarzyszka to niejaka Kimberly Madison... Tak, ta Kimberly Madison... Wiem, że nie masz nic wspólnego z wybieraniem sędziów, ale nie w tym celu dzwonię... Uhm. - Znów zakrywa mikrofon i mówi do nas: - Czy w tym mieście utrzyma się jakaś tajemnica? - Z powrotem do telefonu: - Posłuchaj. Wygląda na to, że dwóch niezbyt uprzejmych facetów z FBI odwiedziło dzisiejszego ranka pana Garlanda... Nie, to nie miało z tym nic wspólnego. Dochodzenie karne. Śledztwo toczy się chyba w sprawie niejakiego Jacka Zieglera. Zakładam, że słyszałeś to nazwisko... Co?... Nie, nie reprezentuję już pana Zieglera, przecież wiesz, że robi to teraz Brendan Sullivan z firmy Williams & Connolly... Nie, nie, Mortonie, to też nie... Moim klientem jest Talcott Garland... Uhm... Mortonie, posłuchaj, o co chodzi. Przede wszystkim, jak zapewne wiesz, mój klient nie dalej jak wczoraj pochował swojego ojca. Zatem nie najszczęśliwiej wybrano termin. Po drugie, jeden z chłopaków z FBI groził panu Garlandowi. - Potrząsam znacząco głową, ale wujek Mal, kiedy już zacznie, jest bezlitosny. - Tak, zgadza się... Nie, nie uszkodzeniem cielesnym. Powiedział, że jeśli pan Garland nie powie im natychmiast tego, co chcą wie-

dzieć, zaszkodzi to szansom pani Madison na nominację... Tak, wiem, że im nie wolno i dlatego właśnie dzwonię... Tak... Nie... Owszem, a jeszcze lepsze będą przeprosiny od twojego szefa... Tak... Tak, poczekam... Ale dokładnie godzinę... W porządku.

Odkłada słuchawkę bez pożegnania, co stało się symbolem statusu w naszych niecywilizowanych czasach - im mniej się martwisz, że mógłbyś kogoś obrazić, tym musisz być potężniejszy.

- Wujku Mal - zaczynam, ale on nie zwraca na mnie uwagi.

- Dobrze. Zatem sprawa wygląda tak. Ci chłopcy z FBI najwyraźniej złamali wiele zasad. W związku z tym Morton Pearlman porozmawia ze swoim szefem, a potem zobaczymy.

- To nie jest konieczne - odzywa się zdenerwowanym tonem Kimmer.

- Kimberly, Kimberly, kochanie, nie martw się. - Naprawdę poklepuje ją po dłoni. - To nie odbije się na tobie, obiecuję. Tak się po prostu gra w tym mieście. Posłuchaj starego wyjadacza. Muszą wiedzieć, że nie mogą cię pie... nie mogą cię źle traktować, a im wcześniej im to uświadomisz, tym lepiej. Zatem, to właśnie radzę. - Zdażył już wstać, więc my też wstajemy. Na dworze panuje srebrzysty zmrok. - Najlepiej, gdybyście, zakochane gołąbki, poszli coś zjeść. Zadzwońcie do mnie tutaj, powiedzmy, za godzinę. Powiem Grace, żeby was połączyła. Do tej pory będę już miał odpowiedź albo pokażę im, gdzie raki zimują w tym Departamencie Sprawiedliwości.

W trakcie tej przemowy udało mu się jakoś znaleźć z nami przy drzwiach. Dostrzegam zbliżającą się korytarzem Meadows z kolorowym tomem „Kodeksu regulaminów federalnych” w dłoni.

- Dziękuję bardzo, panie Corcoran - odzywa się Kimmer.

- Mów mi Mal - odpowiada, chyba po raz dziesiąty.

- Dziękuję, wujku Mal - dodaje.

Tym razem obdarza mnie uściskiem, lecz jednocześnie szepcze mi ukradkiem do ucha: - To śmierdzi, Tal. Ten smród unosi się aż pod niebiosa. - Obracam się zdumiony, gdyż mam wrażenie, że mówi o mnie, a nie do mnie. Jednak dostrzegam w jego mądrych, doświadczonych oczach dobrze poinformowanej osoby wyłącznie ostrzeżenie. - Bądź bardzo, bardzo ostrożny - mówi. - Coś tu nie gra.

(II)

Bentley znajduje się pod opieką Mariah i wspaniałej *au pair*. Moja siostra powiedziała, że może u niej zostać tak długo, jak trzeba, toteż idziemy z Kimmer, zakochane gołąbki czy nie, na K Street do jednej z licznych w tym mieście restauracji serwujących steki. Nasza stolica nie słynie z jakości swoich restauracji, ale pracujący w nich kucharze znają się na stekach. Dopiero

minęła piąta, toteż udaje nam się bez czekania dostać stolik w cichym narożniku. Kimmer, która przez większość drogi milczała, rzuca się na krzesło, zamawia brandy Alexander, zanim kelner zdążył wykrztusić słowo i obrzuca mnie spojrzaniem pełnym dezaprobaty. Ujmuję jej rękę, ale ją wyrzywa.

- O co chodzi? - pytam rozczarowany.

- O nic - odburkuje. Patrzy na drugą stronę sali, potem do tyłu. - Myślałam, że jesteś po mojej stronie. Myślałam, że mnie kochasz. A potem te wszystkie bzdury o FBI. Po cholere! to wszystko wyciągałeś?

Kimmer wie, że nie znoszę wulgarności, więc gdy jest na mnie zła, specjalnie posługuje się takim językiem. Nie sądzę, żeby mówiła w ten sposób także do innych.

- Sądziłem, że wujek Mal może pomóc - wyjaśniam. - I pomaga.

- Pomaga! Podnosi słuchawkę i drze się na jakiegoś idiotę z biura generalnego prokuratora, na dodatek mówi, że ja mu kazałam, i to ma być *potem*. - Zwiesza się na krzesło, szarpnięciem zdejmuje okulary i na chwilę przemyka oczy. Rozglądam się nerwowo dookoła, ale żaden z gości nie zwrócił uwagi na jej wybuch. Kimmer ponownie się ożywia. - Chodzi mi o to, że on podobno miał być jednym z głównych graczy. Czy nie potrafi zrobić nic mądrzejszego?

Prawdę mówiąc, mnie również zaniepokoiła reakcja wujka Mała i to, że usunął Meadows z gabinetu. Ale jak mam to wytłumaczyć żonie? W mojej rodzinie nikt nigdy nie mówił niczego wprost.

- Kimmer, czy nie sądzisz, że najlepiej to wyjaśnić...

- Co wyjaśnić?

- To, co się dzieje.

- Nic się nie *dzieje*.

- Jak możesz tak mówić, po tym jak Jack Ziegler...

- Twój przeklęty ojciec po prostu nie może zostawić nas w spokoju, co?

- O czym ty mówisz?

Wygląda, jakby za chwilę miała się rozplakać. - Przede wszystkim, twoi rodzice nie chcieli, żebyś się ze mną ożenił. Sami mi to *powiedziały*.

Jestem zupełnie zaskoczony. Moja żona nie wspominała o tym od lat, lecz najwyraźniej nie zapomniła. Co prawda, trudno zapomnieć, że teściowie byli przeciwni twojemu małżeństwu z ich dzieckiem. - Kochanie, przecież to było wieki temu. A dokładnie rzecz biorąc, nie byli *przeciwni*...

- Twierdzili, że to będzie skandal. Sam mi mówiłeś.

I mieli rację. Rzeczywiście był. Jednak to nie jest najlepszy moment, by przypominać mojej żonie, jak wówczas z radością zaszokowaliśmy czarny Waszyngton. - To prawda, ale musisz zrozumieć, co mieli na myśli...

- Twój ojciec jest już w grobie, a jeszcze sprawia kłopoty.

- Kimmer!

Wzdycha, po czym wznosi ręce, deklarując rozejm. - No, dobrze, dobrze,

przepraszam. Nie to chciałam powiedzieć. To nie było w porządku. - Pochyliła się i pije swojego drinka. Potem na chwile przymyka oczy i bierze mnie za rękę. Pomimo że jestem coraz bardziej zły, pozwalam jej na to. Jej dotyk mnie uspokaja. Zawsze tak było, nawet gdy przyczynę mojego zdenerwowania stanowił fakt, że była cudzą żoną. - Misha, spróbuj na to spojrzeć z mojego punktu widzenia. Ty masz to, co chciałeś. Pragnąłeś małżeństwa, dziecka i dożywotniej posady profesorskiej w dobrej szkole prawniczej. No, i co? Wszystko to osiągnąłeś. - Kimmer zaczyna masować mi palce, po jednym na raz. Wie, że to lubię. - A co ze mną? Jestem ambitna, co? To mój grzech. W porządku. Wiesz o tym, że pragnę być sędzią już od czasów, gdy razem byliśmy na studiach prawniczych, prawda? No, i teraz mam szansę. Myślałam dawniej, że... No, cóż, to, co się stało z twoim ojcem, uniemożliwiło to realizację moich planów. Może to... Może to jedna z przyczyn, że nie byłam dla ciebie taką dobrą żoną, jak powinnam.

Spuszcza na chwilę wzrok w geście tak nietypowo dla niej pokornym, że jestem pewien, iż udaje. Kiedy Kimmer i ja w końcu się pobraliśmy, mój ojciec już dawno przestał być sędzią. Wyczuwając, że te wyjaśnienia do mnie nie przemawiają, Kimmer ostrożnie je obchodzi. - Przykro mi z tego powodu. Naprawdę. Chcę być dla ciebie lepsza, Misha. Uwierz mi. Naprawdę się staram. - Pieści teraz moją dłoń, jakby Jerry Nathanson, prawdopodobnie najwybitniejszy prawnik w Elm Harbor, wcale nie istniał. - Ale potem, potem on *umiera*. Wiem, że cierpisz i bardzo mi cię żal. Naprawdę. Jednak, Misha, on znowu jest we wszystkich gazetach. Twój ojciec. Znowu wszyscy o nim gadają. Więc się zastanawiam. No, dobrze, może jednak uda mi się jakoś nad tym zapanować. Więc jak grzeczna dziewczynka idę spotkać się z senatorem, a on tylko siedzi z tym... tym wyniosłym uśmiechem, a ja sobie mówię: po co w ogóle tu przychodziłam? Bo wiesz co, to wszystko jest już chyba ułożone. Ułożone, żeby Marc wygrał. A Ruthie nic mi nie powie. Potem ten Jack Ziegler na cmentarzu i faceci z FBI. Czego oni chcieli? Wiesz, to jak ta sprawa z twoim ojcem... to zniszczy wszystkie moje plany.

Po policzkach Kimmer zaczynają płynąć łzy. Lata minęły od czasu, gdy ostatnio tak się przede mną otworzyła; nie wiem, co mówi innym i nie chcę wiedzieć. Jej cierpienie jest prawdziwe i czuję w stosunku do niej przyływ tkliwości. Wprawdzie na studiach byliśmy na jednym roku, ale moja żona jest o trzy lata młodsza ode mnie - gdzieś po drodze przeskoczyła jedną klasę, a ja z kolei straciłem dwa lata na studiowanie filozofii i semiotyki, zanim zająłem się prawem. Bywają chwile, kiedy te trzy lata wydają się równać trzydziestu.

- Kimmer, kochanie, nie miałem pojęcia - szepczę. Tak jest naprawdę. Są w mojej żonie głębie, które nazbyt często obawiam się sondować i przypuszczam, że moje tchórzostwo w takim samym stopniu jak jej postępowanie przyczyniło się do zatrucia najśłodszych momentów naszego małżeństwa.

Ściskam jej dłoń, a ona odwzajemnia uścisk. W jej łzach odbija się światło świec, przez co jej twarz staje się jeszcze piękniejsza. - Ale przecież to wcale nie musi ich zniszczyć. Sędzia był moim ojcem, nie twoim, a poza tym Sędzia to nie ty. Nie ma żadnego... w twoim życiu nie ma skandali. Przecież z pewnością nie mogą wykorzystać spraw twojego teścia przeciw tobie.

Kimmer siedzi z nieszczęśliwą miną. - A właśnie, że mogą - upiera się jak dziecko. - Mogą i zrobią to.- Pociągnięcie nosem. - Już robią.

Nie zrobią - upieram się, chociaż obawiam się, że ma rację. - I wiesz, że jestem po twojej stronie.

- Wiem, że *ty* jesteś - odpowiada ponuro, jakby nikt inny nie mógł być tak głupi.

- A wujek Mal...

- Och, Misha, nie bądź niemądry. Wujek Mal nie będzie mógł nic zrobić, dopóki to się nie skończy. Rozumiesz, o co mi chodzi? To musi się skończyć.

- Co?

- Ta sprawa z twoim ojcem. Cokolwiek to jest, Misha. Nie wiem. FBI. Jack Ziegler, wszystko. To musi się skończyć i to szybko, bo inaczej zacnie się gadanie „Nie, ona nie. Ona jest synową - wiecie, kogo?”. Zatem nie możemy nic zrobić, żeby to podsycać, Misha. Ani ja, ani ty, ani wujek Mal, nikt. Musimy pozwolić, żeby cała sprawa ucichła, bo inaczej nie będę miała najmniejszej szansy. - Intensywnie wpatruje się tajemniczymi, pełnymi cierpienia oczami w moje. - Czy to rozumiesz, Misha? To musi ucichnąć.

- Rozumiem. - Jej zapał jak zwykle przewycięża moją ostrożność. Kimmer zawsze posiadała talent do wypraszania ode mnie obietnic, zanim zdążyłem się zastanowić, co mówię.

- To *ty* musisz pozwolić temu ucichnąć.

- Słyszę, co mówisz.

- Ale czy obiecujesz?

Zupełnie, jakbym miał jakiś wybór. Chyba jednak nie mam. Miłość jest bowiem darem, który dajemy wówczas, gdy raczej nie powinniśmy tego robić.

- Obiecuję, kochanie.

Opiera się bezwładnie o krzesło, jakby te błagania całkowicie ją wyczerpały. - Dziękuję ci, kochanie. Bardzo ci dziękuję.

- Nie ma za co. - Uśmiecham się. - Kocham cię.

- Och, Misha - szepce, potrząsając głową.

Kelner przynosi butelkę wina, którą, jak mgliście pamiętam, zamawiała Kimmer. Ja nie piję, mając na uwadze to, co działo się z ojcem, natomiast Madisonowie uważają, że roztropne spożywanie drogich alkoholi służy wyrobieniu podniebienia. Kimmer wypija kilka łyżeków i uśmiecha się do mnie, po czym ponownie odchyła się do tyłu i rozgląda po sali. Potem nagle

zrywa się na nogi. Znam to zachowanie. Zauważyła kogoś znajomego. Kimmer uwielbia nawiązywać i podtrzymywać kontakty, dlatego właśnie była przewodniczącą w ostatniej klasie Mount Holyoke i naszego miejscowego stowarzyszenia prawników, a wkrótce może być sędzią federalnym. Teraz przechodzi pospiesznie przez salę i wita się z parą azjatyckiego pochodzenia siedzącą przy przeciwległej ścianie. Ściskają sobie dłonie, potem wszyscy wybuchają śmiechem i po chwili Kimmer wraca. Ten facet pisze artykuły odredakcyjne w „Washington Post”, wyjaśnia. Poznała go dziś rano, przy okazji spotkania z koleżanką z liceum. Jego żona jest producentką jednego z porannych niedzielnych *talk show*. - Nigdy nic nie wiadomo. - Wzrusza ramionami. Potem znów ujmuje moją dłoń i bawi się moimi palcami w padającym na nas świetle świec, dopóki nie pojawia się nasze danie główne. Normalnie chętnie pozwoliłbym Kimmer bawić się moimi palcami przez całą noc, ale tym razem mój mózg nie chce współpracować. Kiedy wbijam nóż w swój przepłacony stek, uderza mnie pewna myśl, którą nasunęły mi podskoki mojej żony przy stole.

- Kochanie?

- Uhm?

- Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie z moim ojcem, to znaczy, gdy widzieliśmy się z nim razem?

Kiwa głową. - Tak, w zeszłym roku. Był w mieście w sprawie stowarzyszenia absolwentów, czy czegoś takiego. - Nie przyznałaby, że mógłby chcieć zobaczyć Bentleya albo mnie, a już z pewnością nie ją. Zmienia pozycję na krześle. - Mniej więcej o tej porze roku.

- I mówiłaś wtedy, że wygląda na... zdenerwowanego.

- Tak... pamiętam. Byliśmy razem na obiedzie, chyba w Faculty Club, i ty go o coś zapytałaś, a on nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w przestrzeń, a kiedy powtórzyłaś pytanie, stwierdził, że nie musisz krzyczeć. - Jej spojrzenie łagodnieje. - Och, Misha, przepraszam. To nie jest zbyt miłe wspomnienie.

Nie chcę się w to zagłębiać. - Ja go widziałem jeszcze później. Raz. - Miałem coś do załatwienia w Waszyngtonie i wówczas zjedliśmy wspólnie obiad. Wtedy też był rozkojarzony. - Tak się zastanawiam... czy nie sądzisz... czy kiedy mówiłaś, że wygląda na zdenerwowanego, miałaś na myśli...

- Po prostu był spięty, Misha, zestresowany. - Znów ujmuje moją dłoń. - To wszystko.

Potrząsam głową, zastanawiając się, dlaczego wspomnienie ostatniej wizyty Sędziego w Elm Harbor przyszło mi tak nagle na myśl. Być może straszne przekonanie Mariah, że przyczyna śmierci nie była naturalna, zaczyna się udzielać także mnie.

Rozmowa schodzi na inne tematy: ploteczki o szkole prawniczej i o firmie oraz próbę dopasowania naszych harmonogramów wakacyjnych. Kim-

mer opowiada o planach swojej siostry, Lindy, a ja odgrzewam stare historyjki o Addisonie. Relacjonuję też, jak świetnie bawił się Bentley podczas swojego pierwszego dnia na rolkach, ale nie wspominam o kobiecie, która ze mną flirtowała, ani mojej pokusie, żeby to odwzajemnić. Moja żona, być może zauważywszy coś w moich oczach, drażni się ze mną na temat zainteresowania, jakim, jak sądzono, darzyłem Lindy, bardziej rozsądną i solidniejszą z siostr Madison. Gorącym pragnieniem moich rodziców było, żebym to z nią się ożenił. Przekomarzamy się dalej, jak w dawnych, dobrych czasach zalotów, a kiedy przynoszą deser, Kimmer, która pilnowała czasu, oznajmia, że godzina minęła. Znów jest zaprzątnięta wyłącznie sprawą nominacji. Wzdycham, lecz posłusznie wzywam kelnera i pytam, gdzie są telefony, a on z rozmachem stawia aparat na stoliku, podłączając go do gniazdka znajdującego się pod blatem. Mrugam do Kimmer.

- Mogłeś użyć mojego telefonu komórkowego - zauważa ponuro.

- Wiem, kochanie, ale zawsze chciałem to zrobić. Tak, jak to robią w filmach. - Odpowiada mi wymuszonym uśmiechem. Uświadamiam sobie, jak bardzo jest zdenerwowana. Poklepuję ją po dłoni i wybieram numer. Odbiera Grace, która zgodnie z obietnicą, od razu mnie przełącza.

- Talcott - grzmi wielki Mallory Corcoran. - Cieszę się, że dzwonicz, bo już miałem wysłać zawiadomienie. Słuchaj, mamy poważny problem. Przede wszystkim, w sprawie Jacka Zieglera nie toczy się ostatnio żadne postępowanie prowadzone przez Departament Sprawiedliwości. Chcieliby mieć coś na niego, bo jak wiesz, marzeniem każdego prokuratora jest przy-skrzynienie białego waźniaka - w jego głosie nie słychać ani cienia ironii - ale obecnie nic nie mają. Przypiekają zatem jakąś inną rybkę.

- Rozumiem - odpowiadam, choć to nieprawda. Kimmer obserwuje moją twarz i sprawia wrażenie przerażonej.

- To jednak jeszcze nie jest problem. Problem wygląda następująco. Morton Pearlman rozmawiał z prokuratorem generalnym, a prokurator generalny z dyrektorem Federalnego Biura Śledczego, a tamten z kolei ze swoimi ludźmi. I oto, co mi powiedzieli. Słyszałem to z ust samego prokuratora generalnego. FBI nie wie, że rozmawiałeś wczoraj na cmentarzu z Jackiem Zieglerem. Nie prowadzono żadnej obserwacji. I nikt z FBI nie był dziś u ciebie, Talcotcie. Po co mieliby to robić? Nikt z FBI nie zadawał ci żadnych pytań na temat Jacka Zieglera. A sprawdzania przeszłości Kimmer jeszcze w zasadzie nie zaczęli.

- Żartujesz.

- Chciałbym. Czy jesteś pewien, że mówili, iż są z FBI?

- Jestem pewien.

- Czy widziałeś ich legitymacje?

- Oczywiście, że widziałem. - Jednak po zastanowieniu uświadamiam sobie, że tylko rzuciłem okiem. Kto przygląda się zdjęciom, numerom i in-

nym szczegółom?

- Tak sądziłem, że sprawdziliś. - Waha się, jakby niepewny, w jaki sposób przedstawić mi nieprzyjemną prawdę. - Posłuchaj, Talcotcie, jak wygląda sytuacja. Przyszli do ciebie faceci, udając że są z Biura. Tak się składa, że jest to poważne przestępstwo, toteż FBI musi rozpocząć w tej sprawie śledztwo. Wyrazem grzeczności z ich strony jest to, że odkładają to do jutra. Jednak jutro rano para prawdziwych agentów będzie chciała cię przesłuchać. Tu, w moim biurze o jedenastej. Mnie nie będzie, bo wraz z Eddie wyjeżdżamy na kilka dni na Hawaje, ale będzie Meadows i być może jeszcze paru moich ludzi. Bezpłacie - zastrzega, co stanowi dużą ulgę, lecz równocześnie jest nieco obraźliwe. Wujek Mal wyczuwa moje zdenerwowanie. - Przykro mi, że to wszystko na ciebie spada, Talcotcie. Naprawdę mi przykro. Jednak kiedy to się wyjaśni, przeprowadzę te rozmowy dla Kimmer. Obiecuję.

Kiedy to się wyjaśni, powtarzam w myślach, odkładając słuchawkę. Oznacza to, że nie kiwnie palcem w sprawie Kimmer, dopóki się nie przekonana, z której strony wiatr wieje.

- Co się stało, kochanie? - pyta moja żona, kurczowo trzymając moją rękę, jakby to miało uchronić ją od utonięcia. - Misha, co się dzieje?

Patrzę na nią, na swoją piękną, błyskotliwą, nielojalną i rozpaczliwie, choć nieszczęśliwie, ambitną żonę. Matkę naszego dziecka. Jediną kobietę, jaką kiedykolwiek będę kochał. Chciałbym móc sprawić, żeby wszystko było w porządku. Nie potrafię.

- To nie ucichnie - mówię jej w końcu.

ROZDZIAŁ 9

Rozbieżności pedagogiczne

(I)

W następną czwartek, dwanaście dni po śmierci mojego ojca, wracam do swojej ponurej sali wykładowej, wypełnionej, jak się zdaje, niedouczonej, lecz głęboko zaangażowanymi ideologami ze stowarzyszenia Phi Beta Kappa - lewicowcami wierzącymi w wojnę klas, którzy nigdy nawet nie przejrżeli „Kapitału” czy prac Wernera Sombarta; dogmatycznymi kapitalistami akceptującymi nieomylną niewidzialną rękę rynku, którzy nigdy nie poznali myśli Adama Smitha; feministkami trzeciej generacji, które wiedzą, że role przypisane przez pleć są pułapką, ale nigdy nie czytały Betty Friedan; darwinistami społecznymi proponującymi zostawić biednych, by utonęli lub utrzymali się na powierzchni, którzy jednak nie słyszeli o Herbercie Spence-rze lub Williamie Sumnersie, i czarnymi separatystami, którzy mamroczą ponuro o rasizmie instytucjonalnym, lecz nie znają prac Carmichaela i Hamiltona, autorów tego terminu. Wszystko to nasi studenci - wszyscy beznadziejnie młodzi i beznadziejnie bystrzy i dlatego beznadziejnie przekonani, że tylko oni mają rację. Niemal wszyscy oni, niezależnie od wyznawanej teraz ideologii, zwiążą się z ogromnymi kancelariami prawnymi, fabrykami masowych zysków, gdzie będą wystawiać klientom niebotyczne rachunki za dwa tysiące godzin pracy rocznie, zarabiając w ten sposób dwukrotnie więcej niż ich najlepsi nauczyciele i to, gdy będą o połowę młodszy. Poświęcając wszystko na ołtarzu kariery, odrzucając ideologie i życie rodzinne, będą piąć się nieustępliwie w górę i w końcu dotrą po dziesięciu czy dwudziestu latach, cyniczni i zgorzkniali, do swojego wymarzonego celu - pozycji partnera, profesora, sędziego, czy jakiegokolwiek innej - i rozejrzawszy się dookoła, zobaczą wokół siebie pustkę. A wtedy uświadomią sobie, że dotarli tu bez niczego, dosłownie bez niczego i zaczną się zastanawiać, co zrobić z resztą swojego nieszczęsnego życia.

Zresztą, może po prostu mierzę ich perspektywy swoimi własnymi doświadczeniami.

Wróciliśmy do Elm Harbor w ubiegłą czwartek. Wcześniej w pomieszczeniach firmy Corcoran & Klein odbyłem krótką rozmowę z *prawdziwymi* agentami Federalnego Biura Śledczego, mając u swojego boku zaskakująco dojrzałą i kompetentną Cassie Meadows. Po powrocie Kimmer natychmiast

wróciła do pracy, w takim samym jak przedtem maniackim tempie i zwa-riowanych godzinach. Zdażyła już nawet odbyć kolejną podróż do San Francisco dla większego bogactwa i chwały EHP. Prawdziwe FBI nie zdołało wytropić mężczyzn, którzy odwiedzili mnie na Shepard Street, ale moja żona wytłumaczyła sobie, że byli to reporterzy szukający jakichś brudów. Nie interesuje jej, czy ja również uwierzyłem w to rozwiązanie.

Mariah zdażyła tymczasem stworzyć nową teorię. Teraz, to już nie Jack Ziegler zabił Sędziego, tylko zdesperowany podsądny, Który wini ojca za odrzucenie apelacji. Zupełnie nie zraza jej fakt, że ojciec przestał pełnić funkcję sędziego ponad dziesięć lat temu.

- Prawdopodobnie wielka korporacja - upierała się wczoraj wieczorem podczas rozmowy telefonicznej, trzeciej w ciągu pięciu dni. - Nie masz poję-cia, jacy oni są amoralni i jak długo potrafią chować urazę. - Zastanawiałem się, co powiedziałby na to Howard, ale przezornie ugryzłem się w język. Mariah dodała jeszcze, że jej przyjaciółka zgodziła się poszukać w Internecie ewentualnych płatnych zabójców. Kiedy próbowałem jej łagodnie coś wytłumaczyć, znowu nakrzyzczała na mnie, że nigdy nie staję po jej stronie w trudnej sytuacji.

- Siostry po prostu takie są - wyjaśnił mi Rob Saltpeter, chudy jak szczapa konstytucjonalista, z którym od czasu do czasu grywam w koszy-kówkę, gdy wczoraj rano opowiedziałem mu część tej historii. Siedzieliśmy w szatni w YMCA, dochodząc do siebie po tym, jak dwaj policjanci po służ-bie roznieśli nas na strzępy. Wzrok Roba nie wyrażał jak zwykle żadnych emocji. - Jednak rzecz w tym, żebyś pamiętał, że *ona* stanęłaby po *twojej* stronie w trudnej sytuacji.

- Dlaczego tak sądzisz?

Rob uśmiechnął się. Przy wzroście ponad metr dziewięćdziesiąt jest oko-ło dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, ale ja ważę chyba z dwadzieścia pięć kilo więcej od niego. Wprawdzie nie jestem jeszcze otyły, ale mam spo-rą nadwagę, on natomiast jest przerażająco chudy. W każdym razie żaden z nas nie wygląda zbyt imponująco, gdy siedzimy w tej szatni w krótkich spodenkach.

- Po prostu takie mam wrażenie.

- Przecież nawet jej nie znasz.

- Ale mam dwie siostry - zaprotestował Rob, którego naturalną ser-deczność wzmacnia gorliwe przekonanie, że wszystkie rodziny są lub po-winny być takie, jak jego.

Nie takie, jak Mariah.

- To nie ma znaczenia, jaka ona jest. Niezależnie od tego jesteś zobo-wiązany być przy niej, kiedy cię potrzebuje. To nie ma związku z jej zacho-waniem ani z tym, co o niej myślisz. To wynika z faktu, że jesteś jej bratem.

- Wydawało mi się, że znieśliśmy stosunki oparte na statusie jakieś sto

lat temu - drażnię się z nim, rzucając typowo prawniczy niemądry żarcik. W stosunkach opartych na statusie zobowiązania stron wynikają z tego, kim one są (np. mąż - żona, rodzic - dziecko, pan - sluga), a nie z umów.

- Ludzie je znieśli, Bóg nie.

Trudno coś do tego dodać, a ja raczej też się z tym zgadzam. Rob jest, jak sam się określa, przykładnym Żydem i mówi o swej wierze znacznie częściej niż inni znani mi profesorowie, przy czym robi to także na zajęciach, doprowadzając tym do szału wielu studentów. Być może to ten jego zwyczaj przemawiania jak wyroczenia przeszkadza nam stać się bliższymi przyjaciółmi. Albo po prostu nie jestem zbyt przyjaznym człowiekiem. Chcąc zamaskować niespodziewane ukłucie bólu, poprosiłem go o radę.

- Co zrobić, trzeba żyć dalej - powiedział ze wzruszeniem ramion, co jest jego odpowiedzią na niemal wszystko.

W porządku. Żyję dalej. Nienajlepiej.

A teraz, na pierwszych po moim powrocie zajęciach prześladowę niešťęsnego młodego człowieka, którego błędem było poinformowanie nas wszystkich, że nie ma sensu analizować spraw, które im zadałem, ponieważ bogaci i tak zawsze wygrywają. No, cóż, prawdą jest, że jakiś biedny głupiec wygłasza ten wniosek każdej jesieni, jak również to, że niejeden profesor zdobył dożywotnie stanowisko w bardzo dobrej szkole prawniczej, drukując efektowną, przeładowaną prawniczym żargonem wersję tej samej cienkiej teorii, ale ja nie mam dziś nastroju na czczą gadaninę. Przyglądam się temu zarozumiałemu studentowi i przez okropną chwilę widzę w nim przyszłego, a może i aktualnego wroga: biały, pewny siebie, pochopny w sądach, chudy, ponury, z licznymi koleczykami, obwieszony biżuterią, ubrany w za duże postrzępione rzeczy, ze srebrzysto-blond włosami zebranymi w kucyk, absolutnie cyniczny konformista, choć uważa się za obrazoburcę. Kilka roczników wcześniej nosiłby na lewą stronę sweter z otrzymanym w nagrodę emblematem szkoły, żeby pokazać, jak niewiele to dla niego znaczy. Za moich czasów studenckich byłby pierwszy na barykadach i postarałby się, żeby wszyscy go tam zobaczyli. A teraz również jest pewien, że wszyscy na niego patrzą. Siedzi z łokciem na oparciu krzesła, drugą pięścią podparty pod brodę, i całą swą postawą przekazuje bezczelność, wyzwanie, a może nawet rasizm rzekomo liberalnego białego studenta, który nie potrafi do końca uwierzyć, że czarny profesor mógłby wiedzieć więcej od niego. O czymkolwiek. Widzę jasną, mroźną czerwień tańczącą wokół jego głowy jak aureola i przyłapuję się na myśli *Mógłbym go złamać*. Przypominam sobie, że mam być delikatny.

- Bardzo interesujące, panie Knowland. - Uśmiecham się i przechodzę kilka kroków między stolikami w kierunku rzędu, w którym siedzi. Zakładam ręce na piersi. - A teraz może pan powie, jaki związek ma pańska niezwykle ciekawa teza z omawianą sprawą.

Nadal rozparty na krześle, wzrusza ramionami i ledwie raczy na mnie spojrzeć. Wyjaśnia mi, że moje pytanie nie ma nic do rzeczy. To nie przepisy prawne się liczą, wyjaśnia sufitowi, lecz fakt, że robotnicy nie mogą oczekiwać sprawiedliwości po kapitalistycznych sądach. To struktura społeczeństwa, nie treść ustaw, prowadzi do ucisku. Może nawet częściowo ma rację, ale jest to zupełnie bez związku z tematem zajęć, a jego terminologia jest równie przestarzała jak pudrowana peruka. Sięgam po starą nauczycielską sztuczkę. Przysuwam się bliżej, wchodząc w jego pole widzenia, co zmusza go do zauważenia, który z nas znajduje się na silniejszej pozycji. Pytam go, czy pamięta, że sprawa, którą się zajmujemy nie dotyczy pracownika pozywającego pracodawcę, lecz kierowcy, który wnosi oskarżenie przeciw innemu kierowcy. Pan Knowland, wykonując obrót na swoim krześle, odpowiada spokojnie, że takie szczegóły tylko rozpraszają naszą uwagę i niepotrzebnie marnujemy czas. Nadal nie ma zamiaru na mnie patrzeć. Z całej jego postawy bije brak szacunku i wszyscy to dostrzegają. W sali zapada cisza. Nie słychać nawet normalnego szelestu przewracanych kartek, stukania w klawiatury laptopów czy skrzypienia krzeseł. Czerwień nabiera intensywniejszego odcienia. Przypominam sobie, że trzy tygodnie temu musiałem go skarcić za bawienie się Palm Pilotem podczas zajęć. Byłem wtedy przezorny i poprosiłem go do siebie, gdy pozostali wyszli. Mimo wszystko się zirytowałem, gdyż należy do pokolenia zakładającego, że jedyne zasady to wolna wola jednostek. Teraz patrzę już przez karmazynowa mgiełkę i mój student zaczyna mi przypominać agenta McDermotta, gdy siedział w salonie przy Shepard Street, kłamiąc mi w żywe oczy... i nagle nie potrafię już się powstrzymać. Uśmiechając się równie bezczelnie jak pan Knowland, pytam go, czy zbadał może przypadki deliktów, analizując je według względnego stanu zamożności stron, aby dowiedzieć się, czy jego teoria jest prawdziwa. Wpatrując się we mnie z wściekłością, przyznaje, że nie. Pytam, czy wie o takich badaniach przeprowadzonych przez kogoś innego. Wzrusza ramionami. - Przyjmuję, że nie - oświadczam, wbijając w niego wzrok. Stojąc dokładnie przed jego stolikiem, informuję go, że istnieje bardzo obszerna literatura na temat wpływu zamożności na wyniki spraw sądowych. Pytam, czy może przeczytał którąś z tych pozycji. Świetłówki brzęczą i syczą niepewnie, gdy czekamy na odpowiedź pana Knowlanda. Rozgląda się po współczujących twarzach kolegów, spogląda na portrety najświetniejszych białych absolwentów płci męskiej zawieszone na ścianach, a w końcu wraca wzrokiem do mnie.

- Nie - odpowiada, tym razem znacznie cichszym głosem.

Potakuję ruchem głowy, jakbym chciał powiedzieć, że przez cały czas to wiedziałem. Potem niestety przekraczam granicę. Jak każdemu średnio kompetentnemu profesorowi prawa wiadomo, w tym momencie powinienem gładko powrócić do omawiania interesującej nas sprawy. Co najwyżej,

mógłbym podrażnić się trochę z panem Knowlandem, prosząc innego studenta, by odegrał jego doradcę. To pomogłoby mu wydostać się z tarapatów, w które tak niemądrze się wpakował swoim gadaniem. Zamiast to zrobić, obracam się do niego plecami i odchodzę o dwa kroki od niego, po czym okręcam się na pięcie, wskazuję go palcem i pytam, czy często przedstawia opinie, które nie mają żadnego oparcia w faktach. Oczy mu się rozszerzają w wyrazie frustracji i dziecięcego cierpienia. Nic nie mówi. Otwiera usta, potem zamyka, bo zdaje sobie sprawę, że znalazł się w pułapce - żadna odpowiedź, jakiej udzieli, w niczym mu nie pomoże. Znowu rozgląda się po sali, podczas gdy jego koledzy zastanawiają się, czy powinni się śmiać (jedni się śmieją, inni nie). Moja głowa pulsuje czerwienią i pytam: - Czy to właśnie tego uczyli was w... Princeton, tak? - Tym razem wszyscy są zbyt wstrząśnięci, by się śmiać. W zasadzie nie lubią aroganckiego Avery'ego Knowlanda, ale w tej chwili jeszcze mniej lubią profesora Talcotta Garlanda. W naglej naelektryzowanej ciszy panującej w wysoko sklepionej sali uświadamiam sobie, że ja, dożywotni profesor w jednej z najlepszych szkół prawniczych w kraju, jestem w trakcie poniżania dwudziestodwulatka, który pięć lat temu był jeszcze w liceum. Odpowiada to sytuacji, gdy szóstoklasista bije przedszkolaka. Nie ma przy tym żadnego znaczenia, że pan Avery Knowland jest arogantem, ignorantem czy nawet rasistą. Moja praca polega na uczeniu, a nie zawstydzaniu. Zatem nie wykonuję swojej pracy.

Ścigające mnie demony potrafią mnie dopaść nawet podczas zajęć.

Raz jeszcze uspokajam się i próbuję naprawić szkody. Oczywiście, kontynuuję, niedbale przechadzając się w przedniej części sali, prawnicy są czasami zmuszeni wysuwać argumenty, których nie mogą udowodnić. Ale - tu obracam się i ponownie wskazuję palcem pana Knowlanda - *ale* kiedy używają tych niczym nieopartych i niemożliwych do udowodnienia argumentów, muszą robić to z werwą. A zapytani, jakie oparcie w faktach ma ich roszczenie, muszą mieć dość pewności siebie, by wykonać sądową polkę. W tym momencie demonstruję im to, powtarzając proste instrukcje: krok w bok, krok w bok, krok w bok, stanąć na palcach i nigdy, ale to nigdy nie dać się przyłapać.

Pełne ulgi, nieśmiałe śmiechy dobiegające od strony studentów.

Poza patrzącym z gniewem Averym Knowlandem.

Udaje mi się dokończyć zajęcia, a nawet odzyskać nieco poszanowania, ale wraz z wybiciem południa natychmiast uciekam do swojego gabinetu, wściekły na siebie, że pozwoliłem demonom doprowadzić się do stanu, w którym zawstydziłem studenta wobec całej grupy. Ten incydent wzmocni jeszcze moją rozpowszechnioną wśród studentów reputację *niemilego człowieka*. Dana Worth, zawsze zainteresowana studenckimi plotkami, radośnie powtarza mi tę opinię. Być może ta reputacja nie odbiega od prawdy.

(II)

Mój gabinet znajduje się na pierwszym piętrze w głównym budynku szkoły prawniczej, zwanym przez większość wykładowców i wszystkich studentów Oldie. Został zbudowany dzięki dotacji rodziny Oldhamów, których imieniem następnie go nazwano. Merritt Oldham, który dorastał w bogactwie - jego dziadek wynalazł iglicę do strzelby podczas wojny domowej i, jak głosi legenda, zginął, gdy wadliwy prototyp udoskonalonej wersji spowodował wybuch strzelby prosto w jego twarz - ukończył naszą szkołę prawniczą w początkach dwudziestego wieku i wyruszył na Wall Street, zakładając kancelarię prawną Grace, Grand, Oldham & Fair. Kiedy ja studiowałem prawo, znajdowała się ona na samym szczycie nowojorskiej drabiny, ale po skandalu firmy Drexel Burnham w latach osiemdziesiątych, gwałtownie zsunęła się w dół. Dwaj najbardziej „trefni” wspólnicy znaleźli się w więzieniu, trzech innych poproszono o rezygnację, a reszta zaczęła się klócić o to, co pozostało. W końcu podzielono firmę na dwie nowe. Jedna z nich w ciągu kilku lat poszła na dno, a druga, która zatrzymała nazwisko Oldhama, nadal utrzymuje się na powierzchni, ale z najwyższym trudem. Nasi studenci, którzy znają na wyrywki rankingi ważności wszystkich kancelarii prawnych na Manhattanie, zanim opanują choćby podstawy prawa o deliktach, woleliby umrzeć z głodu niż tam pracować.

Firma upadła, ale nasz budynek nadal nazywa się Oldie - oficjalnie Veronica Oldham Law Center. Merritt uwielbiał swoją świętą matkę. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, a nasi homoseksualni studenci twierdzą, że był jednym z nich, i prawdopodobnie mają rację, o ile choć część opowieści Theo Mountaina jest prawdziwa. Budynek Law Center położony jest na porośniętym trawą wzgórzu na końcu Town Street i spogląda stamtąd w dół na całe miasto. Składa się z dwóch sześciennych brył, na północ i południe od alei Eastern Avenue, połączonych kładką dla pieszych. Część południowa z widokiem na główny kampus to właśnie Oldie, skłaniająca się ku gotykowi budowla z trzema poziomami gabinetów po stronie wschodniej i sześcioma bibliotecznymi po zachodniej, połączonymi rzędem sal wykładowych od południa i wysoką kamienną ścianą od północy. W środku pomiędzy tymi skrzydłami znajduje się piękny, pokazowy dziedziniec, który prawdopodobnie stanowi największą atrakcję estetyczną naszej szkoły. Północna część Law Center została wzniesiona dwadzieścia lat temu na miejscu starego katolickiego kościoła, który po pożarze został kupiony przez przedsiębiorczego dziekana. W tej części znajduje się duży, raczej spartański akademik, w którym mieszka niemal połowa naszych studentów, oraz niski i brzydki ceglany budynek (dawniej szkółka parafialna), mieszczący z trudem biura wszystkich naszych organizacji studenckich, poza przeglądem praw-

niczym. Ten wyjątek wzbudza nieco zazdrości, ale nie ma na to rady. Nasi absolwenci, podobnie jak wszyscy inni, uważają zmiany za wroga pamięci i w żadnym wypadku nie pozwoliliby nam usunąć przeglądu prawniczego z jego tradycyjnych pomieszczeń na parterze skrzydła zajmowanego przez wykładowców.

Chcąc dojść do mojego gabinetu, należy wspiąć się po położonych w centralnej części marmurowych schodach, następnie na pierwszym piętrze skrócić w lewo, przejść po łuszczącym się linoleum do końca ponurego korytarza, znowu skrócić w lewo i dojść do czwartych drzwi na lewo. Tuż przed moim gabinetem znajduje się duży pokój, w którym pracują cztery sekretarki wykładowców, ale bynajmniej nie moja, która z powodu niewytłumaczalnych kapryśków administracyjnych znalazła się na drugim piętrze w innej części budynku. Za mną ma swój pokój Amy Hefferman, wiecznie młoda Księżniczka Procedury, ulubienica studentów, która co roku mówi o emeryturze, ale ustępuje, gdy kończący szkołę rocznik wybiera ją do wygłoszenia przemówienia podczas absolutorium. Pokój bezpośrednio po drugiej stronie korytarza zajmuje młody Ethan Brinkley, który ma zwyczaj wpadać bez zapowiedzi, żeby opowiedzieć kolejną ze swych mało prawdopodobnych historyjek z czasów, gdy przez trzy lata pracował jako zastępca doradcy Senackiej Komisji Specjalnej do spraw Wywiadu. Za nim, w pokoiku niewiele większym niż garderoba Kimmer, urzęduje jeszcze młodszy Matthew Goffe prowadzący wykłady ze spółek, transakcji zabezpieczonych oraz radykalnych alternatyw dla przepisów prawa. Matt jest jednym z nielicznych wykładowców bez dożywotniej umowy, a jeśli nie porzuci zwyczaju podpisywania każdej studenckiej petycji i uczestniczenia w każdym studenckim bojkocie, to zapewne pozostanie w tej kategorii. Dalej w tej północno-zachodniej części budynku znajduje się przestronne pomieszczenie zajmowane przez Stuarta Landa, byłego dziekana i chyba najbardziej szanowanego za intelekt wykładowcy, który naucza wszystkiego po trochu, korzysta z pomocy dwóch sekretarek i szczególnie dba o reputację naszej szkoły. Plotki korytarzowe głoszą, że Stuart nigdy nie otrząsnął się całkowicie po zamachu pałacowym, który pozbawił go stanowiska, i wyniósł na nie dziekan Lyndę. Poniekąd był to skutek jego poglądów politycznych, gdyż niewybaczalny konserwatyzm Stuarta nieustannie doprowadzał do jego starć z Theo Mountainem, Markiem Hadleyem, Tishem Kirschbaumem i innymi liczącymi się wykładowcami.

Takie przynajmniej krążą plotki.

Ale takie jest to miejsce. W zakamarkach naszych licznych korytarzy napotyka się historię za historią, jedne heroiczne, inne podłe, niektóre prawdziwe, inne fałszywe, niektóre zabawne, inne tragiczne, a wszystkie one składają się na mistyczną, niedefiniowalną jednostkę, którą nazywamy *szkołą*. To pojęcie mieści w sobie nie same budynki, nie samych wykładow-

ców, studentów czy absolwentów, lecz więcej niż to wszystko razem, a jednocześnie mniej - paradoks, porządek, tajemnicę, potwora, ogromną radość.

Korytarze Oldie są ciepłe i znajome. *Podoba* mi się tutaj.

Przeważnie.

Jednak dzisiaj, kiedy wychodzę zza ostatniego zakrętu po swoich nie-szczęśliwych zajęciach, widzę zdenerwowaną Danę Worth dobijającą się do drzwi mojego gabinetu tak energicznie, jakby zirytowało ją, że nie ma mnie w środku. Grzechocze gałką, pcha, potem ciągnie. Oslaniając ręką oczy, stara się zajrzeć przez matowe szkło, chociaż wyraźnie widać, że w środku jest ciemno.

Spoglądam na nią rozbawiony, lecz po chwili ogarnia mnie niepokój, gdyż nie widziałem jej tak zdenerwowanej od dnia, gdy powiedziała mi, że opuszcza mojego przyjaciela Eddiego... i wyjaśniła, dlaczego.

Dana, która prowadzi wykłady na temat przepisów związanych z umowami i własnością intelektualną, jest jedną z naszych gwiazd, chociaż jej drobniutka postura zazwyczaj wprowadza w błąd kilku pierwszorzecznych studentów, którzy sądzą, że będą z nią mogli zrobić, co zechcą. Pochodzi ze starej rodziny z Wirginii, niegdyś posiadającej dużo pieniędzy (czytaj: niewolników), które jednak straciła podczas „późniejszych nieprzyjemności”, jak to określa ze śmiechem Dana. Żyje sobie wspaniale, a nawet cudownie, w świecie całkowicie skupionym na niej samej. (- Twoja siostra zginęła w wypadku samochodowym? Wiesz, jak jeszcze byłam na Uniwersytecie Stanu Wirginia, *umawiałam się* z facetem, który zginął w wypadku. To był McMichael, z tych McMichaelów z hrabstwa Rappahannock. - Kiedy jej przypominam, że mój ojciec *znał* seniora McMichaela, senatora, i byli dawniej w dość zażyłych stosunkach, Dana odpowiada niezrażona: - Ale nie w tak zażyłych, jak ja z jego synem, mogę się z tobą założyć).

Dana, trzy lata ode mnie starsza, przetrwała, a nawet wzniosła się ponad niewielki skandal wywołany rozpadem jej małżeństwa. Eddie natomiast, żyjąc na uniwersytecie raczej w cieniu swojej żony, opuścił nas w zeszłym roku i powrócił do swojego rodzinnego Teksasu, gdzie, jak twierdził, tego typu rzeczy nie mogłyby się zdarzyć. Nie wyjaśnił jednak, kto miałby im zapobiec. Jego odejście zmniejszyło liczbę czarnych wykładowców szkoły prawniczej o dwadzieścia pięć procent. Dana zostawiła go dla kobiety o nazwisku Alison Frye, nerwowej i pulchnej mieszkanki Nowego Jorku, której najbardziej charakterystycznymi cechami są marchewkowe włosy i gorący gniew na cały świat. Alison jest powieściopisarką, lecz bez wielkich osiągnięć, i zajmuje się prowadzeniem strony internetowej pełnej nierealnych, lecz uczonych komentarzy społecznych, w większości pisanych pod wyraźnym wpływem teorii „nowej ekonomii”. Jej zaloty do Dany były publiczną tajemnicą, przynajmniej wśród miłośników Internetu. Trzy lata temu, gdy

ich związek był jeszcze tajemnicą, Alison umieściła na swojej stronie utwór zatytułowany „Droga Dano Worth”, rodzaj listu miłosnego, który natychmiast został ściągnięty przez wszystkich, którzy go znaleźli, i rozesłany pocztą elektroniczną na cały świat, a co ważniejsze, po całym miasteczku uniwersyteckim. Dana chętnie powtarza, że Alison zawstydziła ją aż do zakochania. Wielu z nas zaczęło używać tytułu utworu jako nieco złośliwego przezwiska, chociaż mąż Dany oczywiście nie widział w tym nic śmiesznego. Gdy Dana i Eddie byli jeszcze małżeństwem, Kimmer i ja spędziliśmy z nimi dużo czasu, gdyż z Eddiem bawiłem się jeszcze jako dziecko. Jego rodzice są starymi przyjaciółmi rodziny, a on sam może być nawet dalekim kuzynem ze strony matki, choć nigdy nie udało nam się tego dokładnie ustalić.

Rozwód tej pary popsuł moje stosunki z obydwójkiem małżonków. Eddie stał się obcy, przesuwając się w swych poglądach politycznych jeszcze dalej na prawo. Co do Dany, to szczerze ją lubię, ale dzielą nas poglądy na niezliczone sprawy, a wśród nich na sposób, w jaki potraktowała Eddiego. *Misha, proszę, musisz spróbować spojrzeć na to z mojego punktu widzenia*, błagała mnie podczas naszej ostatniej, bolesnej kłótni, zanim od niego odeszła. Nie, *nie muszę*, ruszyłem na nią z wściekłością, niezdolny wzbudzić w sobie miłosierdzia. Być może w rozpadzie ich małżeństwa bałem się zobaczyć zapowiedź końca swojego własnego. Obecnie Dana i ja staramy się być przyjaciółmi, ale cytując Casey Stengel, czasem bywa tak, że to się nie udaje.

Obserwując teraz Drogą Danę, przypominam sobie jej Izy na pogrzebie mojego ojca. Ona podziwiała Sędziego, który niegdyś był jej szefem, może go nawet trochę kochała, chociaż on nigdy nie pogodził się do końca z ruchami obrony praw homoseksualistów. Co prawda, Dana również nie, i lubi powtarzać na swój pedantyczny sposób, że bardziej ją interesuje wolność niż prawa. Sprzeciwia się zasadom narzucania właścicielom budynków, komu mają wynajmować pomieszczenia, i firmom, kogo mają zatrudniać, gdyż jest w każdym calu wyznawczynią libertarianizmu, aż po końce wypięlegnowanych paznokci u stóp. Oprócz kwestii aborcji. Po mszy w kościele Dana włączyła się do konduktu pogrzebowego olśniewającym złotym lexusem, którego zderzak ozdobiony był naklejką JESZCZE JEDNA LESBIJKA ZA ŻYCIEM, która niejednego już wprawiła w zakłopotanie.

Dana lubi wprawiać ludzi w zakłopotanie.

- Dano - odzywam się cicho, gdy dalej wali w drzwi. - Dano!

Obraca się w moim kierunku i podnosi do gardła drobną dłoń, w dobrze znanym geście całych pokoleń zranionych dam z Południa. Jej krótko obcięte czarne włosy błyszczą w słabym świetle korytarza. Jednak przeraża mnie widok jej twarzy. Wprawdzie zawsze jest blada, ale dziś jej skóra jest nienaturalnie biała.

- Och, Misha - jęczy na mój widok. - Och, Misha, tak mi przykro.

- Założę się, że masz kolejne zię wieści - odzywam się z trudem, gdyż przeszkadza mi w mówieniu blok lodu, który skuł mi piersi.

- Nic nie wiesz - mówi zaskoczona. Ogarnia ją panika. Przez chwilę mam wrażenie, że nie wie, co robić, a to rzadko jej się zdarza. Droga Dana jest dostatecznie dzielna, by większość niedzielnego przedpołudnia spędzać w małym kościółku konserwatywnych metodystów, odległym o dwadzieścia mil drogi i tysiąc kultury od miasteczka uniwersyteckiego. Tym nielicznym, którzy ośmielają się ją o to pytać, odpowiada: *Jest mi to potrzebne.*

- O czym nie wiem? - pytam, teraz już sam lekko spanikowany.

- Och, Misha - szeptem ponownie. Potem opanowuje się, chwytając mnie za rękę, podczas gdy ja otwieram drzwi i razem wchodzimy do mojego gabinetu. Tu wskazuje na niewielki, płaski odtwarzacz CD stojący na półce nad komputerem. Kimmer przywołała mi go z jednej ze swych podróży. Wiem, że nie znosi wydawać pieniędzy, toteż ilekroć kupi mi kosztowny prezent, mam wrażenie, że to nagroda pocieszenia, sposób Kimmer na spłacanie poczucia winy. - Czy toto ma radio? - pyta Dana.

- Tak. Nie używam go zbyt często.

- Włącz je.

- Co?

- Włącz wiadomości.

- Czy nie możesz po prostu mi powiedzieć...

W szarych oczach Dany widać smutek i zmartwienie. Jedną z jej wielkich słabości jest nieumiejętność radzenia sobie z cierpieniem emocjonalnym innych ludzi. Oznacza to, że cokolwiek ma do powiedzenia, na pewno mnie to zrani. - Proszę, po prostu je włącz.

Powstrzymuję się od repliki, iż nienawidzę takich gier, bo widzę, że naprawdę jest zdenerwowana. Podchodzę do odtwarzacza, zawsze nastawionego na filię Krajowego Radia Publicznego i po włączeniu stwierdzam, że nadaje bezbarwną muzykę klasyczną, chyba „Fanfary dla zwykłego człowieka”. Przełączam na stację wyłącznie informacyjną, w której wiadomości są podawane tak samo wcześniej w Elm Harbor jak w Nowym Jorku. Prezenter żalobnym, wyniosłym tonem opowiada o ostatnim akcie przemocy na tle rasowym, o czarnym kaznodziei zamęczonym na śmierć. Czuję, jak wywracają mi się wnętrzności. Tego rodzaju historie odczuwam jak cios w najbardziej wrażliwe części ciała. Tak często miałem ochotę kupić sobie parę strzelb, zabrać rodzinę i uciec na wzgórze. A tym razem na dodatek kaznodzieja! Słyszę komentarze wyrażające gniew narodu: Jesse Jackson, Kweisi Mfume, prezydent Stanów Zjednoczonych. Ciało zostało odnalezione przez dwoje dzieci, nieco wcześniej dzisiejszego dnia. Leżało w wysokiej trawie za huśtawkami na placu zabaw.

Obracam się do Dany. - Czy o to ci chodziło?

Kiwa głową i przysiadła na krawędzi mojego biurka. Cicho mówi: - Słu-

chaj dalej.

Marszczę brwi. Nie rozumiem jej. Ale słucham dalej. Znaleziony mężczyzna ma ślady przypalania papierosem na rękach i nogach, a ponadto brakuje mu kilku paznokci. Torturowano go, wyjaśnia prezydent. Śmierć spowodował prawdopodobnie pojedynczy strzał w głowę, i była ona dla niego wybawieniem. Zamykam oczy. Straszna historia, to prawda, ale dlaczego Dana myśli...

Chwileczkę.

Ciało znaleziono w niewielkim miasteczku pod Waszyngtonem.

Zwiększam siłę głosu.

Ogarnia mnie przerażająca słabość, która od palców u nóg pełznie powoli w górę, aż czuję zawroty głowy i mam wrażenie, że za chwilę upadnę. Powietrze gęstnieje i zaczyna mnie przytłaczać, w żołądku mam kamień, a meble nabierają koloru upiornej, duszącej czerwieni.

Strzeż się tych innych... Nie chciałbym, by stała ci się krzywda.

Nazwisko zamordowanego duchownego brzmi Freeman Bishop.

ROZDZIAŁ 10

Tragiczny zbieg okoliczności

(I)

- To nie musi mieć nic wspólnego z państwem ojcem - stwierdza sierżant B. T. Ames, postukując grubą szarą teczką o metalowy stół.

- Nie rozumiem, skąd możecie być tego pewni - odparowuje Mariah, która siedzi obok mnie na twardym drewnianym krześle w niewielkim pomieszczeniu obok policyjnej sali odpraw. Pojedyncze małe okno umieszczone na wysokości ramienia wpuszcza do środka tak mało światła, że dzień wydaje się ponury. Już niemal zapomniałem o pięknej jesiennej pogodzie, którą zostawiłem za sobą zaledwie dwadzieścia minut temu, gdy weszliśmy do tego budynku. Jest czwartkowy poranek w tydzień i dwa dni po pogrzebie Sędziego i obydwójce jesteśmy przerażeni... chociaż nasi małżonkowie zupełnie nie podzielają naszych obaw. Myślę, że może nawet mają rację, ale Mariah ubłagała mnie, żebym jej towarzyszył. Spotkaliśmy się na lotnisku LaGuardia kilka godzin temu i przylecieliśmy samolotem rejsowym. Potem Mariah, którą bardziej na to stać, wynajęła samochód i pojechaliśmy na przedmieścia Maryland na to spotkanie.

- Muszę być pewna, to moja praca - stwierdza z kamienną twarzą pani detektyw.

- Ktoś zabił jednego z nich - mówi Mariah do uniesionych brwi pani sierżant - a potem drugiego.

Sierżant Ames uśmiecha się, ale widzę, że jest wyczerpana. Umówienie tego spotkania z zapracowaną detektyw hrabstwa Montgomery wymagało kilku telefonów przebywającego na Hawajach Mallory'ego Coreorana, którego ponagłała Meadows, a ją z kolei ja. Pani sierżant, opierając się o surowe metalowe biurko, niedwuznacznie dała nam do zrozumienia, że czeka na nią mnóstwo prawdziwej policyjnej pracy, a nam może poświęcić zaledwie kilka minut.

Wykorzystamy tyle czasu, ile dla nas przeznaczysz.

- Przejrzałam raporty dotyczące państwa ojca - informuje nas, machając plikiem faksów. - Umarł na atak serca. - Unosi dużą dłoń, żeby powstrzymać protesty. - Wiem, że w to wątpicie i macie do tego prawo. Ja akurat uważam, że raporty są zgodne z prawdą, ale ta sprawa nie podlega mojej jurysdykcji. Natomiast wielbny Freeman Bishop podlega i on *został*

zamordowany. Mógł być zabity tutaj albo zabity gdzie indziej, a tu podrzucony. Niezależnie od tego, morderstwo Freemana Bishopa jest moją sprawą, a śmierć Olivera Garlanda nie. I chcę wam powiedzieć, że te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Spoglądam na swoją siostrę, lecz ona patrzy w podłogę. Ma na sobie czarne spodnium od znanego projektanta, a do tego również czarne buty i szal. Wydaje mi się to nieco melodramatyczne, ale to jej sprawa. Ona przynajmniej wydaje się odprężona. Ja natomiast jestem spięty i skrępowany w brązowej, najmniej znoszonej z moich trzech tweedowych marynarek.

W każdym razie najwyraźniej teraz moja kolej. Staram się wykrzesać z siebie sympatyczny uśmiech.

- Rozumiem pani stanowisko, pani sierżant, ale pani musi też zrozumieć nasze. Ojciec Bishop był starym przyjacielem rodziny. Zaledwie tydzień temu odprawił pogrzeb naszego ojca. Rozumie pani, że możemy być nieco... wstrząśnięci.

Sierżant Ames wypuszcza głośno powietrze. Potem wstaje, obchodzi drewniany stół przeszłuchań i wygląda przez małe okienko, zasłaniając resztki wpuszczanego przez nie światła. Należy ona do jaśniejszej nacji. Jest dość szeroką, lecz pełną wdzięku kobietą o kwadratowej, gniewnej szczęce i kręconych brązowych włosach. Swoje wymiary zawdzięcza raczej mięśniom niż tłuszczowi. Jej ciemny żakiet i kremowe spodnie są wymięte, tak jak zazwyczaj bywają ubiory policjantów. Odznakę ma przymocowaną do kieszonki na piersi. Rumiana twarz jest zniszczona latami złej pogody lub złą dietą, albo jednym i drugim. Może mieć równie dobrze trzydzieści, jak pięćdziesiąt lat.

- Proszę państwa, wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. To była brutalna zbrodnia. - Przemawia do nas spod okna, nadal obrócona plecami. - Zabić człowieka w ten sposób, wyrzucić go w parku. - Potrząsa głową, ale nie zmienia to faktów. - Nie lubię mieć tego rodzaju spraw w swoim mieście. Dorastałam tutaj, mam tu rodzinę. Podoba mi się tutaj. Jednym z powodów, dla których mi się tu podoba, jest to, że nie mamy tego rodzaju problemów. - Ma na myśli: *problemów rasowych*. A może po prostu chodzi jej o Murzynów; w tym mieście mieszkają niemal sami biali.

- Rozumiem to - zaczynam, ale sierżant B. T. Ames (nie znamy jej imienia, tylko inicjały) podnosi w górę dłoń. Najpierw myślę, że chce coś powiedzieć, lecz potem uświadamiam sobie, że usłyszała pukanie, gdyż podchodzi do drzwi i je otwiera. Funkcjonariusz w mundurze, także biały, zerka na nas podejrzliwie, po czym coś do niej szeptem i wręcza jej kolejny faks.

Kiedy drzwi znów zostają zamknięte, sierżant Ames powraca pod okno.

- Znaleźli jego samochód - oznajmia.

- Gdzie? - Mariah zadaje to pytanie, zanim ja zdążyłem się odezwać.

- W południowo-zachodniej części Waszyngtonu. Niedaleko doków.

- Co on mógł tam robić? - dopytuje się Mariah. Obydwoje jesteście rozczarowani. Wszystko, co pani sierżant nam powiedziała, to znacznie mniej niż pisały gazety. Podawały one, że ojciec Bishop miał zaplanowane spotkanie z komitetem parafialnym na siódmą tego wieczoru, gdy zginął. Zadzwonił, że się nieco spóźni, gdyż musi odwiedzić parafianina, który ma kłopoty. Wyjechał z domu swoim samochodem o szóstej trzydzięci, a jego sąsiedzi przysięgają, że był sam. Do kościoła nie dotarł.

Detektyw Ames obraca się do nas, ale opiera się o ścianę i zakłada ręce na piersi. - Przykro mi, ale muszę wracać do pracy - mówi. - Chyba że macie, państwo, jakieś informacje, które mogą nam pomóc w znalezieniu zabójcy ojca Bishopa.

Przez całe dzieciństwo byłem krótko odprawiany, przeważnie przez Sędziego, i nie potrafię tego znieść jako dorosły. Zatem zaprotestowałem, lecz jak to często robię, bez zastanowienia: - Powiedzieliśmy już, że naszym zdaniem istnieje powiązanie...

Sierżant Ames robi krok w moim kierunku, z bardzo nieprzyjemnym wyrazem twarzy. Mam wrażenie, że rośnie w oczach, a może to ja się kurczę. Przypomina mi to nagle, że w końcu ona jest funkcjonariuszem policji. Nie interesują jej nasze teorie i nie chce, żebyśmy się mieszały w jej sprawę.

- Pani Garland, czy ma pan jakieś dowody na związek pomiędzy morderstwem Freemana Bishopa a śmiercią pana ojca?

- No, to zależy, co pani uważa za dowody.

- Czy ktoś powiedział panu, że ta zbrodnia ma powiązania ze śmiercią pana ojca?

- Nie, ale ja...

- Czy pan sam wie, kto zabił Freemana Bishopa?

- Oczywiście, że nie! - Czuję się oburzony, lecz również trochę przestraszony, wiedząc, jak dwuznaczny jest związek czarnych mężczyzn z komisarzami policji. Pamiętam, że ten niewielki pokój służy do przesłuchiwania podejrzanych. Z mebli zaczyna się unosić delikatna czerwona poświata. Mariah kładzie mi dłoń na ramieniu, ostrzegając, żebym się uspokoił. Rozumiem, o co jej chodzi: w końcu udało nam się tu znaleźć, a sierżant musi robić, co do niej należy.

- Czy ktokolwiek powiedział panu, kto zabił Freemana Bishopa? - ciągnie sierżant Ames.

- Nie. - Przypominam sobie, o wiele za późno, co doradzaliśmy klientom, którzy mieli składać zeznania pod przysięgą: mów jak najprościej, odpowiadaj tak lub nie i nigdy, przenigdy nie wyrwij się sam z żadnymi informacjami, choćbyś nie wiem jaką miał ochotę, by wszystko wyjaśnić.

I zachowaj spokój.

- Czy ktoś panu mówił, że wie, kto zabił Freemana Bishopa?

- Nie.

- To w takim razie chyba nie ma pan dla mnie żadnych informacji.
- Cóż, ja...
- Chwileczkę. - Mówi to cichym głosem. Pani detektyw z zadziwiającą łatwością przejęła dowodzenie. Moi zastraszeni studenci nie uwierzyliby, że mogą tak potulnie się zachowywać, natomiast Avery Knowland świetnie by się bawił.

Mariah i ja czekamy, jak nam kazano. Ku mojemu zdziwieniu, sierżant Ames otwiera swoją szarą teczkę i wyciąga z niej arkusz żółtego papieru w linie. Odczytuje ręcznie pisane notatki, nieświadomie wysuwając czubek języka. Po chwili chwyta leżący na stole długopis i odhacza na marginesie parę pozycji. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że nie wypytywała mnie tylko na pokaz. Mariah również to dostrzega i silniej zaciska dłoń na moim ramieniu. Detektyw Ames wie lub wydaje jej się, że wie o czymś, co skłoniło ją do zadania mi tych pytań.

A przy tym pyta tylko mnie, nie moją siostrę.

Kiedy znowu się odzywa, spogląda w swoje notatki. - Czy wiadomo panu, żeby Freeman Bishop otrzymywał jakiegokolwiek groźby?

- Nie.
- Czy wiadomo panu o kimś, kto odczuwał silną niechęć do Freemana Bishopa?
- Nie. - Ponownie nie potrafię się powstrzymać, żeby czegoś nie dodać: - On nie był człowiekiem, który wywołuje w innych silne emocje.
- Żadnych wrogów, o których panu wiadomo?
- Nie.
- Czy ostatnio rozmawiał pan z Freemanem Bishopem?
- Nie, od pogrzebu nie.
- Czy przed morderstwem, ale po pogrzebie, rozmawiał pan z kimkolwiek o Freemanie Bishopie?

Waham się. Do czego ona zmierza? Co, jej zdaniem, zaszło? Jednak wahanie działa na przesłuchującego jak czerwona płachta na byka. Intensywne spojrzenie sierżant Ames przenosi się znad teczki na mnie. Nie powtarza pytania. Czeką, przerażająca w swojej cierpliwości. Zupełnie jakby oczekiwała, że się przyznam. Do rozmowy? Do czegoś więcej? Czy ona sądzi, że ja... z pewnością nie myśli...

Jesteś śmieszny.

- Nic takiego nie pamiętam - odzywam się w końcu.

Nieco dłużej zatrzymuje na mnie wzrok, dając mi poznać, że zauważyła moją ostrożność, po czym ponownie zagląda w notatki.

- Czy ostatnio zauważył pan coś dziwnego w zachowaniu Freemana Bishopa?

- Nie znalazłem go na tyle blisko.

Podnosi wzrok. - Sądziłam, że widział go pan w zeszłym tygodniu na po-

grzebie ojca.

- No, tak...
- I nie zauważył pan żadnego dziwnego zachowania?
- Nie, nie zauważyłem.
- Był taki jak zawsze?
- Chyba tak. - Teraz jestem już zaciekawiony jej pytaniami, nie przestraszony.

- Czy ktoś mówił panu ostatnio o dziwnym zachowaniu Freemana Bishopa?

- Nie.
- Czy ktoś mówił panu cokolwiek, co mogłoby mieć związek z tym morderstwem?

- Ja...

- Proszę się nie spieszyć. Proszę się porządnie zastanowić. Niech się pan cofnie pamięcią o kilka tygodni, a nawet miesięcy.

- Odpowiedź nadal brzmi „Nie”, pani sierżant.

- Twierdzi pan, że pana zdaniem istnieje związek pomiędzy śmiercią pańskiego ojca a morderstwem Freemana Bishopa.

- Ja... my zastanawialiśmy się, tak.

- Czy pański ojciec kiedykolwiek mówił o Freemanie Bishopie?

To pytanie również mnie zdumiewa. - Oczywiście, wiele razy.

- A ostatnio? - Jej głos raptownie łagodnieje. - Proszę cofnąć się myślą o, powiedzmy, sześć miesięcy przed śmiercią ojca.

- Nie. W każdym razie nie pamiętam.

- A teraz o rok.

- Być może. Nie potrafię sobie przypomnieć.

- Czy to na życzenie pańskiego ojca jego pogrzeb odprawił Freeman Bishop?

Wymieniamy z Mariah spojrzenia. Coś się za tym kryje. - Wydaje mi się, że on nigdy nie mówił o swoim pogrzebie - odpowiadam, kiedy widzę, że Mariah nie ma zamiaru się odezwać. - Nie do mnie.

Sierżant Ames ponownie przenosi swą uwagę na teczkę. Zastanawiam się, co może w niej mieć. Ciekaw jestem, co zrobiła, kiedy powiadomiono ją, że przyjeżdżamy. Dokąd udała się po informacje i czego udało jej się o nas dowiedzieć? Ciekawe również, z czego wynikają te wszystkie pytania. Odczuwam wielką pokusę, żeby złamać wszelkie prawnicze zasady i po prostu zapytać.

Zamiast tego pytam o coś innego.

- Czy ma pani jakieś tropy?

- Panie Garland, musi pan zrozumieć, jakie mamy zasady. To policja zazwyczaj zadaje pytania.

Tego mi było trzeba: nic mnie tak nie irytuje, jak protekcyjny ton.

- Proszę posłuchać, pani sierżant. Przykro mi. Lecz to był człowiek, który dopiero co odprawił pogrzeb mojego ojca. Dziewięć lat temu udzielał mi ślubu. Może teraz pani zrozumie, dlaczego mogę być nieco zdenerwowany.

- Naprawdę rozumiem, dlaczego pan jest zdenerwowany - surowo odpowiada sierżant Ames, niemal nie podnosząc wzroku znad swych notatek. - Ale ja mam przed sobą śledztwo w sprawie morderstwa, a skoro wykorzystał pan swoje wpływy, żeby wpakować się tu w tak ciężkim dniu, to oczekuję, że chociaż spróbuje pan pomóc. Właśnie *dlatego*, że odprawił pogrzeb pańskiego ojca i *dlatego*, że dawał panu ślub.

Mariah robi, co może, by naprawić sytuację: - W jaki sposób możemy pomóc, sierżant Ames?

- Czy słyszała pani pytania, jakie zadałam bratu?

- Tak, proszę pani.

W twarzy sierżant Ames widać jakąś zmianę. Dlaczego ja nie pomyślałam, żeby powiedzieć „proszę pani”? Czy dlatego, że ona jest biała, a ja czarna? Czy nieuprzejmość jest dziedzictwem ucisku? Cywilizacja osuwa się spiralnym ruchem coraz niżej, a jedyne, co my, Amerykanie, potrafimy w tej sprawie zrobić, to kłócić się, kto ponosi za to winę.

- Czy może pani udzielić jakichś innych odpowiedzi?

- Nie, proszę pani.

- Jest pani pewna?

- Tak, proszę pani. - Moja siostra nigdy w życiu nie mówiła tak przprasającym tonem. Jednak jej taktyka najwyraźniej przynosi efekty.

- Chciałabym, żebyście państwo na to spojrzeli. - Pani sierżant odzywa się teraz znacznie łagodniejszym głosem. Wysuwa z teczki dwie błyszczące czarno-białe fotografie. - Te są najmniej, hmm, straszne.

Mariah patrzy, po czym odwraca wzrok, ale ja nie chcę stracić twarzy przed groźną B. T. Ames, więc zmuszam się do patrzenia, a swój protestujący mózg nakłaniam do przetwarzania tego, co widzę.

Jedno spojrzenie na te zdjęcia wystarczy, by stwierdzić, że ktokolwiek torturował ojca Bishopa, robił to, przynajmniej częściowo, dla rozrywki. Jedna fotografia przedstawia zbliżenie dłoni. Gdyby nie mnóstwo krwi, można by na pierwszy rzut oka nie zauważyć, że brakuje trzech paznokci. Na drugiej widać część uda z wypalonymi na skórze jasnymi, pęcherzykowatymi kółkami. Wykwity bólu, jak kraterzyce na Księżycu. Liczę je - pięć, nie sześć, a przecież to tylko jedna niewielka część jego ciała. Próbuję sobie wyobrazić, jaki człowiek jest zdolny do zrobienia czegoś takiego innemu człowiekowi. A także, *gdzie* mógł to zrobić, bo nie sądzę, żeby knebel zdołał stłumić krzyk ofiary.

- Jest różnica, kiedy się to widzi, prawda? - dopytuje się pani detektyw.

- Czy pani... czy ma pani... - zacinam się. To nie może być to, o czym

mówił Jack Ziegler. W żadnym wypadku. Zaczynam od nowa. - Jak pani sądzi, dlaczego ktoś mógłby coś takiego zrobić?

Sierżant Ames odpowiada pytaniem na pytanie. - A pan? - Jej oczy przez chwilę napotykają mój wzrok, gdy przygląda się, jak badam fotografie. Czuję obok siebie niespokojne poruszenie Mariah, ale nie wiem, o co jej chodzi.

- Co ja?
- Czy pan wie, dlaczego ktoś mógłby coś takiego zrobić?
- Oczywiście, że nie!

Moje protesty nie interesują sierżanta Ames. - Czy ma pan powód przypuszczać, że ojciec Bishop posiadał informacje, których pragnął kto inny?

- Nie rozumiem, co pani ma na myśli...
- No, on był torturowany. - Wskazuje na zdjęcia gestem pełnym irytacji. - Zazwyczaj to oznacza, że ktoś usiłuje wydobyć informacje.
- Chyba że te tortury były tylko na pokaz - wtrąca się cicho Mariah.

Sierżant Ames zwraca się teraz ku mojej siostrze i ostrożnie ocenia ją na nowo.

- Albo dziełem psychopaty - odzywam się niemądrze, bo nie chcę zostać na boku, gdy pani detektyw dojrzała do obdarzenia nas szacunkiem.
- Słusznie. - Jej słowa brzmią jeszcze bardziej zjadliwie przez to, że wygłasza je bezbarwnym, monotonnym tonem. - Jeśli okaże się, że ktoś wyciął jego wątrobę i zjadł ją z bobem, to do pana zadzwonię.

Natychmiast się najeżam, ale zanim zdążyłem znaleźć odpowiednią ripostę, pani detektyw wygłasza krótkie przemówienie. - Zastanawiacie się państwo, dlaczego zadaję takie pytania. Spróbuję wam wyjaśnić, co się dzieje. Zakładam, że czytaliście, co pisały gazety. Zatem wiecie, że ojciec Bishop, niech spoczywa w pokoju, zmarł w wyniku rany postrzałowej głowy. Strzał został oddany u podstawy czaszki i skierowany lekko w górę. Żaden amator nie celowałby w to miejsce. Amatorzy biorą przykład z filmów i strzelają w bok głowy, a czasem w gardło. Natomiast kiedy ktoś chce mieć pewność, wybiera podstawę czaszki. Wiecie również, że ojciec Bishop miał ślady przypalania papierosem na obu rękach, nodze i z boku szyi. Wiecie, że pozabawiono go trzech paznokci. Wiecie, że został znaleziony z rękami związanymi na plecach. To jeszcze nie wszystko, ale nie musicie znać wszystkich szczegółów. W każdym razie był torturowany i to z wściekłością. W taki sposób postępują na przykład handlarze narkotyków, kiedy czegoś chcą.

Jest to powiedziane tak bez osłonek i to przez funkcjonariuszkę policji, że dosłownie się kurczę na myśl o swojej rodzinie. Jednak okazuje się, że pani detektyw starannie dobierała słowa. Mariah pojmuje aluzję wcześniej ode mnie, ale w końcu członkowie Phi Beta Kappa potrafią myśleć bardzo szybko. Gwałtownie unosi głowę.

- A ja sądziłam, że to zbrodnia z nienawiści.
- Rozumiem, czemu mogła pani tak pomyśleć. Gazety twierdzą, że to

była zbrodnia z nienawiści, telewizja głosi, że to zbrodnia z nienawiści, NAACP krzyczy, że to zbrodnia z nienawiści i gubernator tego pięknego stanu utrzymuje, że to zbrodnia z nienawiści i nawet prezydent naszych wschodnich Stanów Zjednoczonych zasugerował, że być może to zbrodnia z nienawiści. To samo twierdzą dwa autobusy demonstrantów, które przyjeżdżają w ten weekend, aby przypomnieć, jak okropnie mieszkańcy tego miasta traktują Murzynów. Nic nie szkodzi, że nie ma absolutnie żadnych powodów, by przypuszczać, że morderstwo miało miejsce właśnie tutaj. Ale wiecie państwo co? Zbrodnie z nienawiści dokonywane są głównie przez amatorów, a ta z pewnością nie jest dziełem amatora. - Ponownie obserwuje nasze twarze. - Przypuszczam, że nie słyszeliście, żebym ja albo ktokolwiek z policji nazwał to zbrodnią z nienawiści, prawda?

Mariah, niegdyś dziennikarka, draży dalej: - Zatem, była to zbrodnia z nienawiści czy nie?

Sierżant Ames mierzy moją siostrę złowrogim spojrzeniem, jakby zbyt późno rozpoznała gatunek, jaki dopuściła do swojego sanktuarium. Czarne jak obsydian, beznamiętne oczy ostrzegają przed wypowiedaniem kłamstw w jej obecności. Nie ulega wątpliwości, że nie lubi być wypytywana. Jednak kiedy się odzywa, jej głos brzmi niemal mechanicznie.

- Pani Denton, nie wiemy na pewno, jaki to był rodzaj zbrodni, poza tym, że była wyjątkowo okropna, a osoba, która ją popełniła, nadal przebywa na wolności. Znajdziemy sprawcę, a wówczas się dowiemy, co to była za zbrodnia.

- Czy nie było tam wiadomości? - pytam.

- Najwyraźniej czytamy te same gazety, panie Garland. W jednej z nich przeczytałam, że do koszuli ojca Bishopa była przypięta kartka z wiadomością, a w innej, że wiadomość pochodziła od grupy głoszącej supremację białej rasy, która to grupa przyznaje się do zabójstwa.

- W gazetach - mruczy Mariah z cieniem uśmiechu na ustach. Ona nie odnosi się tak pogardliwie jak ja do uwag pani detektyw.

- Ja tego nie potwierdzam - zastrzega się sierżant Ames, odwzajemniając jej uśmiech. Teraz, kiedy każda zna cele drugiej, czują się razem zupełnie swobodnie, co jest kolejnym dowodem na to, że kobiety lepiej rządząby światem.

- Zatem nie potwierdza pani tego - wyjaśnia Mariah, zapewne z myślą o mnie - gdyż jeśli była tam wiadomość, a nie powiecie nikomu, jak brzmiała, będziecie mogli oddzielić tych czubków, którzy zawsze dzwonią po ujawnieniu zbrodni takich jak ta, od ludzi, którzy rzeczywiście będą mogli wam pomóc.

- Tak, to jeden z powodów.

Przenoszę wzrok z jednej na drugą. Obie przekroczyły już pewien poziom porozumienia, podczas gdy ja nadal staram się wspiąć na pierwszy szczebel.

Przypomina mi to oglądanie rozgrywki szachowej toczonej przez dwóch arcymistrzów, którzy wykonują wszystkie te subtelne posunięcia niezrozumiałe dla niewykształconego w tej dziedzinie umysłu, aż nagle jeden z nich zostaje pokonany.

- Drugim powodem - sugeruje Mariah tym samym cichym tonem - jest to, że list może być fałszywy.

- Ja tego nie powiedziałam - zastrzega natychmiast pani detektyw, a jej uśmiech znika, jakby z pewnym opóźnieniem przypomniała sobie, że uśmiechy są zakazane w tym małym smutnym pokoju. Czuję, że napięcie znów rośnie i nagle dostrzegam, dokąd one zmierzają.

- Pani sierżant - zaczyna moja siostra oficjalnym głosem - przyjechaliśmy tu, gdyż mamy rodziny, o które się martwimy. - Pociera swój wypukły brzuch, żeby podkreślić, o czym mówi: martwimy się o *dzieci*.

- Jeżeli przekona nas pani, że nie ma żadnego związku pomiędzy tym, co się stało z ojcem Bishopem, a tym co spotkało, *być może spotkało*, naszego ojca, odejdziemy i nie będziemy już więcej zawracać pani głowy.

Obiecuję. Nie będziemy niczego ujawniać prasie. Sama byłam dziennikarką i zawsze potrafiłam dochować tajemnicy. Nigdy nie ujawniłam swojego źródła. Mój brat jest prawnikiem, więc również wie, co to poufność. Wiem, że pani zdaniem wykorzystaliśmy swoje powiązania, żeby się tu dostać. Bardzo mi przykro z tego powodu. Ale zrobiliśmy to dla dobra naszych rodzin. I nic, co pani nam powie, nie wyjdzie od nas dalej. Obiecuję to pani. A jeśli my możemy zrobić cokolwiek dla pani...

Nie kończy. Ależ ta moja siostra jest dobra! Co z niej musiał być za dziennikarz! Nie wypowiadając ani słowa, które by można użyć przeciwko niej, Mariah zdołała pośrednio zagrozić, że może stać się uciążliwa, jeśli nie dostanie tego, czego chce. Co ważniejsze, nawiązała do naszych rzekomych wpływów rodzinnych, które w istocie w całości zawdzięczamy wspaniałości Mallory'ego Corcorana.

Sierżant Ames umie czytać pomiędzy wierszami, a przy tym jest zbyt doświadczona, by unosić się gniewem. Zatem decyduje się spróbować przynęty.

- Rodzina ojca Bishopa nie bardzo chce współpracować - informuje nas. - Chyba myślą... no, cóż, mają problemy z kwestią rasową.

- Porozmawiam z nimi - obiecuje natychmiast Mariah, tak jakby to ona rządziła Złotym Wybrzeżem, na co kiedyś liczyła nasza matka.

- Byłam z Warnerem Bishopem w grupie „Jack i Jill”.

Pani detektyw potakuje ruchem głowy, jakby wiedziała wszystko o rozmaitych organizacjach społecznych dla dzieci Afroamerykanów z klasy średniej. - Warner Bishop sądzi chyba, że my wszyscy tu jesteśmy kmiotkami.

- Porozmawiam z nim - powtarza Mariah.

Sierżant Ames patrzy na mnie przez krótką chwilę, ale zwraca się do mojej siostry. - Nie pokażę państwu wiadomości. Nie mogę tego zrobić, bardzo mi przykro. Jednak tu w zaciszu tego pokoju mogę zapewnić, że nie ma absolutnie żadnego powodu, byście denerwowali się państwo o swoje rodziny. Naprawdę nie ma związku między tą zbrodnią a waszym ojcem. Natomiast, co do drugiej części, mieliście państwo rację. Była wiadomość i sądzimy, że sfalszowana. To znaczy, nie myślimy, żeby to była sprawka białych rasistów.

Przerywa, czekając aż to my zrobimy następny krok. Mam już zadać kolejne pytanie, gdy Mariah podnosi rękę i wślizguje się ze swoim.

- To były narkotyki, pani sierżant, prawda?

Sierżant Ames patrzy na nią, potem na mnie i znów na moją siostrę. W jej wzroku widać prawdziwy szacunek.

- Tak - odpowiada w końcu. - Sądzymy, że to sprawa narkotyków. Tylko proszę, żeby to także nie wyszło poza to biuro. Nie wolno o tym powiedzieć nawet rodzinie ojca Bishopa, jeszcze nie teraz. - Robi pauzę, żeby to do nas dotarło; detektywi policyjni też umieją grozić. - Jednak jesteśmy przekonani, że państwo, państwa ojciec i państwa rodziny nie jesteście w to zamieszani. Musimy jeszcze poczekać na wyniki badań toksykologicznych, ale sądząc na podstawie innych dowodów, ojciec Bishop był dość zaawansowanym narkomanem.

Przerywa. Może szczeka nie opada mi w dosłownym sensie, ale jestem pewien, że czas się zatrzymał i serce mi zamarło, i mógłbym wygłosić jeszcze kilka takich komunałów. Zatem to nie brak umiejętności był powodem zbaczania kazań Freemana Bishopa na manowce. Jestem zdumiony i zawstydzony, że odczuwam tak głęboką ulgę.

Jednak Mariah drąży dalej ten temat.

- Jaki to ma związek z tym, co go spotkało?

Sierżant Ames wzdycha. Liczyła, że się tym zadowolimy, a tymczasem będzie musiała opowiedzieć nam resztę. Ja jednak ciągle się zastanawiam, jaki miała cel w przesłuchiowaniu mnie. Czy chodziło tylko o zastraszenie?

- Nie podajemy tego do wiadomości publicznej - wyjaśnia - gdyż obawiamy się naśladownictwa. Jednak w rejonie Waszyngtonu i jego przedmieść zdarza się kilkanaście takich przypadków rocznie. O większości z nich nie mówi się w mediach, gdyż ofiary nie są tak znane. Tortury, które zadano ojcu Bishopowi są straszne, ale zdarzają się częściej, niż można sądzić. Szczególnie chętnie stosują je dealerzy narkotyków wobec klientów, którzy nie płacą. Torturami wydobywają z nich informacje, gdzie mają schowane pieniądze, a potem zabijają ich strzałem w tył głowy. Zdarza się też, że torturują ich niepotrzebnie, dla samych emocji. Jesteśmy raczej przekonani, że tak było w tym wypadku. Nawet bardzo twardy człowiek już po części tych tortur powiedziałby im to, czego chcieli się dowiedzieć. A z tego, co słysza-

łam, Freeman Bishop, niech spoczywa w pokoju, nie był szczególnie twardy. Jeśli chcieli od niego informacji, to wydobyli je dość szybko. Potem męczyli go tylko dla zabawy. - Pauza, żeby dotarło do nas to, co usłyszeliśmy. Mam wrażenie, że temperatura w pokoju spadła o kilka stopni. - Niemniej jednak podstawowy fakt się nie zmienia. Jesteśmy raczej pewni, że Freeman Bishop został zamordowany, gdyż narkotyzował się, a nie mógł zapłacić za towar.

- Raczej pewni? - pytam, po prostu, żeby coś powiedzieć.

Pani detektyw rzuca mi spojrzenie, które wyraźnie mówi, że lepiej, żebym się nie odzywał. Mogłaby wtedy udawać, że nie ma mnie w pokoju. Ufa tylko Mariah, a ja mógłbym równie dobrze być meblem.

W sekundę później dostrzegam swój błąd, ale moja siostra znów jest szybsza. Już zdążyła wstać, a teraz ciągnie również mnie. Dziękuje pani detektyw za poświęcony nam czas, ściska jej dłoń, zupełnie jakby finalizowała transakcję. Sierżant Ames obchodzi nas dookoła i otwiera drzwi, żeby reszta obecnych na posterunku usłyszała, jak nas odprawia.

- Naprawdę mi przykro z powodu państwa ojca. Naprawdę. Ale mam w tej chwili na głowie sprawę morderstwa i czeka mnie mnóstwo pracy. Zatem, jeśli państwo wybaczą, muszę wracać do swoich zajęć.

(II)

Razem jedziemy na Shepard Street, gdzie Mariah zamierza nocować. Ja nieco później wieczorem lecę do domu, ale wracam w przyszłym tygodniu na pogrzeb człowieka, który tydzień temu odprawiał ceremonię pogrzebową Sędziego. Dom wydaje się dziwnie cichy po panującej tu jeszcze niedawno temu wrzawie; teraz rzeczywiście sprawia wrażenie domu zmarłego. Nasze kroki odbijają się echem na parkiecie frontowego korytarza. Mariah krzywi się i wyjaśnia, że zaraz po pogrzebie wysłała wszystkie orientalne chodniki do czyszczenia. Unosi dłoń w przeproszającym geście, po czym włącza odzwiercadel kompaktowy. Tym razem jest to jej gust muzyczny, nie ojca. Słuchamy długiej wersji utworu „Reasons” zespołu Earth, Wind and Fire, który według jej powierzchownej oceny jest najwspanialszym nagraniem muzyki pop, jakie kiedykolwiek powstało. Sędzia byłby przerażony. Muszę jednak pamiętać, że to jest teraz dom Mariah, w którym ona może robić, co chce, a ja jestem tylko gościem.

Po wyjściu Mariah z łazienki znów trafiamy do absurdalnie jasnej kuchni, gdzie siedzimy razem przy stole i popijamy w przyjaznym milczeniu gorącą czekoladę. Prawie - ale nie do końca - znów jesteśmy przyjaciółmi. Ja poluznięm krawat, Mariah zrzuca buty.

- Wolabym, żebyś nie przebywała tutaj sama - stwierdzam.

- Coś podobnego, Tal - śmieje się moja siostra. - Nie sądziłam, że cię to obchodzi.

Większość osób posiadających rodzeństwo pewnie uznałaby to za doskonały moment, by powiedzieć *Przecież wiesz, że cię kocham*, ale ta większość nie dorastała w mojej rodzinie.

- Martwię się o ciebie, to wszystko.

Mariah przekrzywia głowę i marszczy nos. - Naprawdę nie musisz. Jestem już dużą dziewczynką. Chyba nikt nie zamierza włamać się do domu i przypalać mnie papierosami. - Nie odpowiadam, gdyż tego właśnie się obawiam. - Poza tym, nie będę sama.

- Nie? - To mnie zaskakuje.

- Nie. Jutro Szusza przywozi dzieci. - Chodzi o najnowszą *au pair*, której imienia nie potrafię wymówić. - W każdym razie część dzieci

- poprawia się, jakby miała problem, żeby się w tym zorientować. Ja bym miał. - A dziś nocuje u mnie Sally, tak że nie masz się czym martwić.

- Sally? - Nie wiedziałem, że Mariah jest tak zżyta z naszą kuzynką.

- Och, ona jest wspaniała, Tal, naprawdę wspaniała. Przyjdzie tu zaraz po pracy. Mamy zamiar zacząć przeglądać papiery ojca. - Spogląda na mnie ostro, jakby oczekiwała sprzeciwu. - Słuchaj, ktoś to musi zrobić. Musimy się dowiedzieć, co tu trzymał, i to z różnych powodów. Jest tyle akt i innych rzeczy, które mogą się przydać. Dotyczących domów i majątku. A poza tym, kto wie... może uda nam się znaleźć jakieś wskazówki.

- Wskazówki na jaki temat?

Brunatne oczy Mariah przybierają kamienny wyraz. - Przestań, Tal. Do brze wiesz, o czym mówię. To na ciebie Jack Ziegler wrzeszczał na cmentarzu. On myśli, że tu coś jest, jakiś rodzaj... no, dobra, nie wiem co. - Przymyka na chwilę oczy, po czym otwiera je ponownie. Chcę znaleźć to, czego on szuka, i to przed nim.

Zastanawiam się przez chwilę. *Ustalenia*. No, cóż, może mieć rację. Sędzia mógł zostawić kartkę, dziennik, cokolwiek, co pomoże nam odgadnąć, czym się denerwuje wujek Jack. No, i czego chcieli fałszywi agenci FBI. Może nawet sierżant B. T. Ames. *Ustalenia*. Być może rzeczywiście znajdzie się wskazówka. Ja w to nie wierzę, ale Mariah, była dziennikarka, może mieć rację.

- No, to życzę wam powodzenia - to jedyne, co potrafię wymyślić.

- Dzięki. Mam przeczucie, że to znajdziemy. - Pociąga łyk czekolady i krzywi się. Już za zimna.

- To nawet może być niezła zabawa.

Mariah wzrusza ramionami, przekazując gestem swoją determinację.

- Nie robię tego dla zabawy - mówi do swojej czekolady, nieświadomie gładząc brzuch. Zastanawiam się, co robi teraz moja żona.

- Czy po pogrzebie miałas jakieś wieści od Addisona? - staram się pod-

trzymać rozmowę.

- Żadnych. Ani słowa. - Chichocze ironicznie. - Taki sam jak zawsze.

- Nie jest taki zły.

- O tak, jest wspaniały. Możesz uwierzyć, że powiedział takie rzeczy w mowie pogrzebowej? Przecież stwierdził, że są powody, aby sądzić, że ojciec zrobił coś złego.

- No, niezupełnie to powiedział - mruczy Misha-mediator. Ta rola ciągnie się za mną już od okresu dorastania, gdy starałem się jako przetrwać w targanym konfliktami domu, i od tamtej pory nie potrafię się z niej wyzwolić.

- Tak to zrozumiałam. Założę się, że tak samo to zabrzmiało dla większości obecnych.

- Może rzeczywiście wyrażał się trochę... niejasno.

- To był pogrzeb, Tal. - Oczy ma bez wyrazu. - Nie mówi się takich rzeczy na pogrzebach.

- No, rozumiem, o co ci chodzi, dzieciно.

Nie jest to równoznaczne ze zgodą i siostra od razu wychwytuje tę różnicę. - Nie lubisz się opowiadać po żadnej ze stron, co? Wolisz zawsze stać z boku.

- Mariah, przestań. - Poczulem się urażony, ale nie podaję żadnego kontrargumentu, być może dlatego, że go nie mam.

Przez chwilę pozwalamy, by otuliła nas cisza i każde pograża się we własnych myślach. Ja zastanawiam się, ile godzin zaległej pracy czeka na mnie w domu i zaczynam się złościć, że dałem się namówić Mariah na tę eskapadę. Wszystko, co powiedziała ta detektyw, brzmiało rozsądnie, a żadna z teorii mojej siostry nie ma nawet pozorów prawdopodobieństwa. Zerkam na zegarek, licząc że Mariah tego nie zauważy, i podnoszę kubek do ust, po czym natychmiast go odstawiam. Moja czekolada smakuje równie niedobrze, jak jej.

- Wierzysz jej - pyta Mariah, jakby czytała w moich myślach. - To znaczy, sierżant Ames. Na temat ojca Bishopa?

- Chodzi ci o to, czy sądzę, że ona kłamała?

- Nie. O to, czy miała rację. Nie baw się ze mną w gierki słowne, nie jestem twoją studentką.

Muszę wyważyć swoją odpowiedź, bo nie chcę, żeby siostra znów stała się moim wrogiem. - Rozumiem, o co ci chodzi - odpowiadam powoli. - Jeśli ona *nie ma racji*, to możliwe, że był torturowany z powodu... z powodu czegoś, co miało związek z Sędzią. Ale to nie ma sensu.

- Dlaczego nie? - pyta ostro. Znów muszę starannie dobierać słowa.

- No, przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że istniały jakieś informacje, które ojciec zabrał ze sobą do grobu, a ktoś ich teraz szuka. Nie wierzę w to, rozumiesz, to tylko takie przypuszczenie.

Mariah nieznacznie kiwa głową. Rozwijam dalej swoją myśl.

- Nawet jeśli to prawda, jeśli *istnieją* takie informacje, to bardzo wątpię, żeby Sędzia zwierzał się z czegoś naprawdę ważnego Freemanowi Bishopowi. Nie chcę źle mówić o zmarłych, ale daj spokój.

- Nikt, kto znał tatę, nie uwierzyłby, że powiedział on cokolwiek ojcu Bishopowi.

- Nikt, kto znał Freemana Bishopa, nie pomyślałby, że Sędzia cokolwiek mu powie.

Moja siostra znowu gładzi brzuch, jakby chroniąc swoje dziecko. - Zatem nie był... nie był torturowany... z powodu informacji o tacie, co?

- Nie sądzę. Gdybym myślał inaczej, zabrałbym swoją rodzinę i uciekł na wzgórze.

- Gdyby chciała z tobą jechać. - Mariah nie może powstrzymać się od złośliwości, gdy chodzi o Kimmer. Postanawiam to zignorować.

- Rzecz w tym, dziecino, że wierzę w opinię pani sierżant, gdyż nie potrafię znaleźć innego powodu, dla którego ktoś miałby... zrobić mi to wszystko. - *Obiecałem cię chronić i dotrzymam słowa.* Powtarzam sobie tę mantrę, ale powtarzanie wcale nie sprawia, że staje się prawdziwa. Prawdziwe natomiast jest to, że ktoś tam - *inni*, o których mówił wujek Jack - rozgrywa bardzo długą grę i czeka, żebym... żebym zrobił to, na co wszyscy liczą, choć nie mam pojęcia, co to jest. Nie wyczuwam niebezpieczeństwa, ale nie mam też wrażenia spokoju.

Mariah przytakuje ruchem głowy. - Ja też nie - stwierdza. Przeciera dłonią oczy. - Niezła była, ta pani detektyw. Naprawdę twarda kobieta.

- Ale zmusiłaś ją do przyznania, że wiadomość była najprawdopodobniej fałszywa.

- Och, Tal, daj spokój. - Głos Mariah niespodziewanie stwardniał. Wkroczyłem na jej teren. - Do niczego jej nie zmusiłam. Gliny nigdy niczego nie potwierdzają, jeśli nie chcą. Powiedziała nam to, co chciała, żebyśmy wiedzieli i to wszystko.

- O to właśnie mi chodzi. - Czuję podniecenie. - Chciała, żebyśmy usłyszeli to wszystko o narkotykach. Dlaczego? Założę się, że nie wierzy, iż zachowamy tajemnicę. Ona *chce*, byśmy to rozgłosili.

- Nie sądziłam, że jesteś taki cyniczny. - Mariah potrząsa nade mną głową, jakby sama taka nie była. Wierci się na krześle i celuje we mnie palcem. - Mnie sierżant Ames się *podobała*.

- Wierzysz w to, co mówiła o dealerach narkotyków?

- No, przecież znaleźli jego samochód koło doków.

- Założę się, że w tamtej dzielnicy mieszka ze sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy nie zażywają narkotyków ani ich nie sprzedają.

- Daj spokój - powtarza Marian. - Wszyscy wiedzą, że ojciec Bishop bierze kokę. Czy raczej brał. Wiadomo o tym od lat.

- Wszyscy wiedzą o *czym*?
- Jesteś taki niewinny, Tal. Dlaczego zawsze dowiadujesz się o wszystkim ostatni? - Śmieje się. Teraz przynajmniej jesteśmy w dobrych stosunkach. - Ty naprawdę nie wiedziałeś?

Potrząsam przecząco głową.

- To już stara historia. Cztery lata temu Laurel St. Jacques przyłapała go w zakrystii, akurat gdy wciągał kokę. Pamiętasz Laurel? Wyszła za André Conwaya. André na pewno pamiętasz. - Na jej twarzy pojawia się diaboliczny uśmiezek, przypominający mi, że jestem drugim mężem Kimberly Madison. Pierwszym był André.

- Pamiętam André - odpowiadam spokojnie. Pamiętam też, choć nigdy o tym nie wspominam, irracjonalną wściekłość, gdy wygrał pierwszą bitwę o Kimmer. Omal nie doszło wówczas między nami do bójki. W owym czasie był producentem wiadomości i nosił imię Artis. Zmienił je, kiedy postanowił kręcić filmy dokumentalne. - Nawet pamiętam, że ożenił się z Laurel.

- A pamiętasz, że są już po rozwodzie?

- Coś tam do mnie doszło. - Mam nadzieję, że to nie jest aluzja do André i mojej żony. Natychmiast nawiedzają mnie nieproszone myśli związane z mym obsesyjnym lękiem: André jest obecnie w Los Angeles, a Kimmer często bywa w San Francisco, więc on może tam polecieć, żeby się z nią zobaczyć...

Och, przestań!

- Słyszałam, że miało to związek z inną kobietą - zauważa Mariah, nie spodziewanie przejawiając swoje dawne zamiłowanie do okrucieństwa.

- Zazwyczaj tak bywa.

Mariah zerka na mnie, być może zastanawiając się, czy próbuję utrzej jej nosa za pomocą pogardzanego przez nią *sprytu rodem z Ivy League*, tak jakby jej brakowało własnego. Udaje mi się zachować nieodgadniony wyraz twarzy. - W każdym razie - w końcu decyduje się kontynuować - Laurel przyłapała na tym ojca Bishopa parę lat temu. No, i jak to ona, czym prędzej wszystkim o tym opowiedziała. Taty pewnie już nie było wówczas w radzie parafialnej, gdyż inaczej ojciec Bishop musiałby odejść. Tamci jednak go zatrzymali. Chyba musiało im być go żal, czy coś w tym rodzaju. Znasz przecież nas, członków Kościoła Episkopalnego. Uwielbiamy *współczucie*. Odczuwamy niedosyt, dopóki nie zignorujemy czyjegoś grzechu, żeby pokazać, jacy jesteśmy tolerancyjni.

- Moja siostra zmieniła wiarę na katolicką, żeby móc poślubić Howarda, i, jak złośliwie mówi Kimmer, od tamtej pory ściśle przestrzega katolickich nauk dotyczących kontroli urodzin.

- Nic o tym nie wiedziałem.

- O, to był niezły skandalik, Tal. - Uderza dłonią w stół dla podkreślenia swoich słów i potrząsa głową gestem z czasów, gdy miała długie i proste

włosy. Potem z zapalem kontynuuje, szczęśliwa, że może mi opowiedzieć plotki, których jeszcze nie słyszałem. - Prawdę mówiąc, sporo osób odeszło wówczas z jego parafii. Cliftonowie; ale byli wściekli. Bruce i Harriet Yearwood. I Mary Raboteau. Nie, poczekaj, ona przeszła na emeryturę i wyjechała na Florydę. Miałam na myśli panią Lavelle, to ona odeszła. Można by pomyśleć, że odejdzie też Gigi Walker, taka purytanka, ale widać miała własne powody, żeby zostać. - Wydaje z siebie dziwny, krótki śmiech. Moja siostra uwielbia krytykować innych, nawet jeśli nikt z obecnych nie wie, co akurat ma na myśli. - Trudno mi uwierzyć, że nic o tym nie słyszałeś, Tal.

- Jakoś to do mnie nie dotarło.

- Tata sądził, że ojciec Bishop powinien odejść dobrowolnie, żeby zaoszczędzić wszystkim kłopotu. Jednak on wyszedł przed kongregację i wygłosił jedno z tych kazań z cyklu *Bóg - jeszcze - mnie - nie - przekreślił*, i na tym sprawa się skończyła. Ojej, a to mi przypomina... - Zrywa się na nogi. - Obiecałam przecież sierżant Ames, że zadzwonię do Warnera Bishopa. Biedny facet. Nie ma już nikogo. - Mariah znika w holu, a w chwilę później słyszę jej kroki na schodach, gdy idzie do gabinetu Sędziego po notes z adresami. Jestem zdumiony. Sądziłem, że to było takie sobie gadanie, gdy zapewniała, że porozmawia z rodziną Freemana Bishopa, jednak zapomniałem, jak poważnie traktuje obietnice. Kiedy byliśmy dziećmi, biegła do rodziców na skargę, ilekroć ja lub znacznie częściej Addison nie dotrzymaliśmy obietnicy. W domu Garlandów złamanie obietnicy było przestępstwem kwalifikującym się niemal pod sąd wojenny. Mama za karę najczęściej zamykała nas na parę godzin w pokojach, lecz znacznie dotkliwsza dla nas była reakcja ojca. Mianowicie, wzywał nas do swojego gabinetu, kazał stanąć przed biurkiem i wygłaszał jeden ze swych nieznośnych wykładów, zalewając nas potokiem chłodnej, beznamiętnej dezaprobaty. *Obietnice to cegielki życia, Talcotcie, a zaufanie jest tu zaprawą. Niczego nie zbudujemy w życiu, jeżeli nie składamy obietnic, a niszczymy to, co zbudowali inni, jeżeli składamy je, a następnie łamiemy.* Coś w tym rodzaju. W podobny sposób próbował wytłumaczyć Senackiej Komisji Sprawiedliwości istotę stosunków łączących go z Jackiem Zieglerem: *Przyjaźń jest obietnicą przyszłej lojalności, niezależnej od tego, co się zdarzy. Obietnice są cegielkami życia... Nigdy nie opuszczę przyjaciela i oczekuję, że moi przyjaciele też mnie nie opuszczą.*

To bardzo szlachetne, panie sędzio, ale nie zmienia to faktu, że akurat ten pana przyjaciel był wówczas postawiony w stan oskarżenia za...

Z całym szacunkiem, panie senatorze, ale to nie jest kwestia szlachetności. To kwestia tego, jaki świat chce pan budować. Czy w ogóle chce pan budować, czy tylko niszczyć.

Oczywiście, mnóstwo przyjaciół go opuściło, kiedy tylko zorientowali się, że skończy raczej w więzieniu niż w Sądzie, Najwyższym.

Podchodzę do zlewu i myję nasze kubki. Kiedy zakręcę kurek, słyszę dobiegający z góry głos Mariah. Moja siostra, kiedy chce, potrafi być ożywiona i serdeczna. Sądzę zatem, że będzie umiała pocieszyć Warnera Bishopa, nieszczęsnego syna Freemana Bishopa, który jest obecnie dyrektorem do spraw reklamy w Nowym Jorku, a z którym dawniej spędzała czas w organizacji Jack and Jill oraz różnych innych dziecięcych grupach naszej społeczności. Skromny, krępy i niezdarny Warner Bishop, który rozpaczliwie pragnął umawiać się z Mariah, kiedy byli nastolatkami, ale nie potrafił jej sobą zainteresować. Według Addisona, od tamtej pory przez cały czas jest w niej nieszczęśliwie zakochany. Jakież ten świat mały!

- Handlarze narkotyków - mrużąc do siebie. Może tak, a może nie. Ktokolwiek to był, nie muszę nawet zamykać oczu, żeby zobaczyć zdjęcia tego, co zrobili ojcu Bishopowi, jak okaleczyli jego dłoń, udo i zapewne inne części ciała, o których pani detektyw wolała z dobrego serca nie mówić.

Narkoman Freeman Bishop skończył jak narkoman. Jak to możliwe, że tylko ja nic nie wiedziałem?

Może Mariah ma rację. A może jest stuknięta. A może ja jestem stuknięty.

Może powinienem wykonać jakiś pojednawczy gest.

Wycierając ręce w kuchenny ręcznik w szkaradny czerwono-czarny wzór, waham się przez chwilę, czy nie nadeszła pora, żeby wykorzystać wizytówkę otrzymaną od wujka Jacka na cmentarzu. Jednak nie. W obliczu morderstwa ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba, jest wzywanie na pomoc potwora. A potem nagle uświadamiam sobie, co jej mogę dać. Przypomina mi o tym wspomnienie wykładów ojca. Sądzę, że zaplanowane przez Mariah poszukiwania ukrytych wskazówek nic nie dadzą, ale nie chcę, żeby uważała mnie za wroga. To, co chcę jej ofiarować, to nie tyle wskazówka, co pamiątka po człowieku, jakim był nasz ojciec - pamiątka, która może nawet przekonać moją siostrę, żeby zaprzestała poszukiwań. Wstaję i ruszam ciemnym korytarzem do ciasnej biblioteki na parterze. Rzuciwszy szybkie, pożądliwe spojrzenie na Miró, siadam za biurkiem i przesuwam się z fotelem w stronę regału, w którym ojciec trzymał albumy. Przeglądam je przez kilka minut i w końcu poddaję się, zdumiony.

Mariah musiała go przełożyć, myślę. A może ktoś inny spośród osób przewijających się przez dom po pogrzebie: dzieci Mariah, Howard Denton, Po Prostu Alma, *au pair*, której imienia nie potrafię wymówić, pani Rose, Sally, Addison, jego biała przyjaciółeczka, wujek Mal, Dana Worth, Eddie Dozier, sprzątaczką, któryś z niezliczonych kuzynów, dosłownie każdy.

Niebieski album z wycinkami prasowymi dotyczącymi wypadków śmiertelnych, w których kierowca zbiegł, po prostu zniknął.

ROZDZIAŁ 11

Skromna propozycja

- Twoja żona i Marc Hadley startują do tego samego stanowiska sędziowskiego - poinformował mnie Stuart Land, ledwie zdążyłem usiąść w jego przepastnym gabinecie.

- Wiem o tym - skontrolowałem głosem pełnym szacunku.

- Oczywiście w Europie taka sytuacja byłaby niemożliwa.

- Jaka sytuacja?

- Tam mają sędziów zawodowych. Awansujesz, przechodząc przez kolejne szczeble. Uważają za niewłaściwy nasz amerykański system, w którym... amatorzy mogą być nominowani na sędziów sądu apelacyjnego.

- No, cóż, my jesteśmy skazani na swój system. - Choć jestem przekonany, że przed chwilą obrażono moją żonę, zmuszam się do uśmiechu, gdyż nie chcę wojny ze Stuartem Landem, wielkim anglofilem. Już i tak mam dość wrogów w tym budynku. - Dotychczas całkiem dobrze się sprawdzał. Nie więcej niż jeden skandal na dziesięć lat.

Stuart unosi tylko brwi w reakcji na moją beztruskę, po czym wzrusza ramionami, jakby na znak, że odpowiadanie na takie bzdury jest poniżej jego godności. - Czy słyszałeś jakieś nowinki? Kto jest na korzystniejszej pozycji? - Jego pytania sugerują, że moje źródła są lepsze niż jego, ale to mało prawdopodobne; Kiedy Republikanie doszli do władzy, Stuart zapewne mógł przebierać w propozycjach waszyngtońskich posad. Stuart Land, poprzednik Lyndy Wyatt na stanowisku dziekana oraz człowiek, który namówił mnie do nauczania na mojej *alma mater*, należy do naszych najbardziej konserwatywnych wykładowców. Podczas czterech lat od utraty stanowiska Stuart nie okazał ani cienia rozgoryczenia w stosunku do Lyndy, Marca Hadleya, Bena Montoi, Tisha Kirschbauma czy kilku innych profesorów, którzy spiskowali, aby go usunąć. Nadal niezmordowanie szuka po całym kraju funduszy dla naszej szkoły prawniczej. Nasi absolwenci, szczególnie ci starsi i zamożniejsi, nadal go kochają i chętnie otwierają na jego prośbę portfele oraz książeczki czekowe. Prawdę mówiąc, wielu nadal zwraca się do niego „panie dziekanie”, może dlatego, że niegdyś wydawało się, że będzie piastował to stanowisko dożywotnio. Jeśli Lynda zazdrości mu tej sympatii, to dobrze to ukrywa.

Ze Stuartem nie można naprawdę blisko się żyć, chociaż bardziej konserwatywni profesorowie utrzymują z nim przyjaźń stosunki, a Lemaster Carlyle, który potrafi dogadać się z każdym, jest jego przyjacielem. Jeśli o

mnie chodzi, to muszę przyznać, że nigdy go specjalnie nie lubiłem. Natomiast zawsze go szanowałem, na co miał niewątpliwie wpływ fakt, że był on jedynym członkiem naszego grona profesorskiego, który zeznawał na korzyść mojego ojca podczas zatwierdzania jego nominacji do Sądu Najwyższego. Stuart jest również niezwykle prawym człowiekiem, toteż byłem nieco zaskoczony i zaniepokojony, kiedy zadzwonił do mnie w kilka dni po moim powrocie z Waszyngtonu i zaproponował, żebym wpadł na pogawędkę.

Ponieważ o dziewiątej rano i tak nie miałem nic lepszego do roboty niż siedzieć w gabinecie i litować się nad sobą, przyjąłem jego zaproszenie.

Stuart Land jest nerwowym człowieczkiem, ubierającym się w prążkowane garnitury z szerokimi klapami, w których wygląda niemal jak członek gangu, tyle że jest biały, krótko ostrzyżony i minął już sześćdziesiątkę. Twarz ma okrągłą i całkowicie wypraną z emocji, oczy jasnoszare, błyszczące inteligencją, a połówki okularów stale tkwiące na nosie nadają mu wygląd raczej cenzora niż profesora. Ponadto zawsze jest gotów, by sznurując usta, wyrazić ostro i dowcipnie swoją dezaprobatę. Nikt nie przekonuje się do niego od pierwszego czy nawet drugiego spotkania, ale z czasem zaczyna się odczuwać jego charyzmę i niemal wszyscy studenci kończący naszą szkołę, nawet ci lewicowi, mają do niego ciepły, serdeczny stosunek.

Jednak dzisiejszego ranka Stuart nie jest ani ciepły, ani serdeczny, i trudno wyczuć jego charyzmę. Zaprosił mnie, gdyż chciał mi coś powiedzieć i teraz zmierza do tego we właściwym dla siebie stylu, poprzez serię delikatnych, pośrednich, a jednak bardzo uszczypliwych ataków. Dokładnie tak samo postępował podczas zajęć ze studentami i nieraz doświadczyłem jego ukłuć, gdy jeszcze uczył mnie prawa spółek.

- Nie, Stuarcie - odpowiadam teraz sumiennie. Część mojej uwagi nadal zaprzęta Waszyngton, gdzie Marian nie udało się skontaktować z Warnerem Bishopem, w związku z czym zostawiła mu wiadomość. W końcu nie powiedziałem jej o zaginionym albumie. - Nie słyszeliśmy żadnych nowinek.

- Marc też nie. Wydaje mi się, że jest bardzo zdenerwowany całą tą sprawą.

- Przykro mi to słyszeć. - Mówię to niemal szczerze.

- Marc nie jest złym człowiekiem, Talcotcie. Po prostu trzeba go poznać.

- Ale ja nic nie mam przeciwko Marcowi. Lubię go.

Stuart marszczy brwi, jakby sądził, że kłamię. Bębni palcami. - No, oczywiście nie okazał się tej klasy naukowcem, na jakiego liczyliśmy, zatrudniając go. Ta jego twórcza blokada. Ale jest naprawdę porządnym kolegą i wspaniałym nauczycielem. Błyskotliwy umysł. A wiesz, że kiedy mieliśmy przyjąć ciebie, Marc był jednym z twoich najzagorzalszych popleczników.

ków?

- Nie... nie miałem pojęcia - stwierdzam szczerze. W naszym zespole wykładowców poufność odgrywa rolę niemal fetysza, a rozmawianie o tym, kto na kogo głosował, jest uważane za nieetyczne i oburzające. Niemniej jednak słyszałem, że moją kandydaturę najbardziej popierał Theo Mountain. Przez pierwsze lata mojego nauczania utrzymywaliśmy ze sobą dość bliskie kontakty. Nie można wprawdzie nazwać go moim mentorem - właściwie nikt nie odegrał takiej roli - jednak dopóki ostry zwrot mojego ojca ku prawicy nie zamienił Theo w jego uciążliwego krytyka, spędzaliśmy razem sporo czasu. Człowiekiem, który namówił mnie, żebym porzucił praktykę prawniczą i przyjechał do Elm Harbor sprawdzić, jak mi się spodoba nauczanie, był Stuart Land, wówczas dziekan szkoły prawniczej. Utrafił w dobry moment, gdyż akurat między mną a Kimmer nastąpiło kolejne ochłodzenie stosunków. Fakt, że w dziewięć miesięcy później przyjechała za mną do tego miasta i na dodatek wyszła za mnie za mąż, zdumiał mnie niemal równie mocno jak naszych przyjaciół i rodziny. Zawsze się zastanawiałem - choć obydwoje temu zaprzeczają - czy Stuart nie przekonał czasem Kimmer, że praktyka prawnicza w Elm Harbor nie jest takim prowincjonalnym zajęciem, jak sobie wyobrażała.

- Marc jest dobrym człowiekiem - powtarza Stuart. - Twoja żona również.

- Tak - mruczę, zgłaszając w duchu zastrzeżenie do tego porównania i czekając na ciąg dalszy. Stuart zaprosił mnie tu w jakimś celu i liczę, że niedługo mi go zdradzi. Tymczasem nie mam ochoty marnować resztek energii na martwienie się o uczucia Marca Hadleya, nawet jeśli kiedyś poparł moją kandydaturę. Śmierć Sędziego, a tuż po niej morderstwo ojca Bishopa znacznie nadwątlili moje zasoby współczucia. Trwające przez dwie noce kłótnie z Kimmer, która nadal się upiera, że nie ma powodu do zdenerwowania, wyczerpały mnie emocjonalnie. Jednak zasadniczo to, co powiedziałem Stuartowi, jest prawdą. W pewnym sensie lubię Marca Hadleya, choć nie jest zbyt lubiany w szkole. Marc, który od osiemnastu lat wykłada tu prawoznawstwo, jest właściwie dość miłym człowiekiem. Jego syn Miguel chodzi z Bentleyem do przedszkola, toteż widzimy Marka i jego drugą żonę Dahlię towarzysko, przy typowych dla rodziców okazjach: na parkingu szkolnym, na przyjęciach urodzinowych dzieci lub podczas wycieczek szkolnych do najbliższej remizy strażackiej. Nie jesteśmy może z Markiem przyjaciółmi, ale zawsze się ze sobą zgadzaliśmy. Poza tym, choć Droga Dana twierdzi, że Marc posiada „nadreputację” - słynny worthizm - jest on, moim zdaniem, w każdym calu tak inteligentny, jak głosi jego legenda. Wystarczy chwila w jego towarzystwie, by poczuć, jak jego fantastyczny mózg pulsuje wspaniałymi pomysłami. Jednak równie legendarna jak intelekt stała się jego niemożność napisania jakiegokolwiek pracy naukowej. Pozycja akade-

micka Marca opiera się na jednej książce wydanej we wczesnym okresie kariery. Od tamtej pory niemal nic nie opublikował. Wydaje się, że przeczytał wszystko, cokolwiek napisano, i potrafi znaleźć cytaty na każdą okazję, ale sam cierpi na ogromną niemoc twórczą, prawdziwego potwora w swoim gatunku, tak że liczne przeglądy prawnicze do dziś czekają na artykuły, które im obiecał dziesięć lat temu. Ku swemu zaskoczeniu przez chwilę nawet sympatyzuję z Markiem, dla którego stanowisko sędziowskie jest zapewne niezbędne, żeby udowodnić, że jego życie zawodowe nie zostało zmarnowane. Potem jednak wzruszeniem ramion strząsam z siebie to uczucie i znów jestem gotów do walki o swoją żonę. - Dwoje dobrych ludzi - powtarzam, żeby pokazać, że nie zgubiłem wątku.

Stuart przytakuje ruchem głowy, odchyła się na krześle i składa palce w wieżyczkę, sygnalizując, że za chwilę wygłosi krótkie kazanie. Podziwiam Stuarta, ale nie znoszę jego kazań.

- Nie lubię, kiedy członkowie naszego zespołu współzawodniczą ze sobą - zaczyna smutnym tonem, dając do zrozumienia, że jego opinia się liczy. - Nie jest to dobre dla ducha koleżeństwa i nie jest też dobre dla szkoły. - Wskazuje na zajmujące niemal całą ścianę okna, przez które widać iglice i wieże oraz klockową bibliotekę, gotycką chlubę właściwego miasteczka uniwersyteckiego. - Jesteśmy po pierwsze i nade wszystko zespołem wykładowców. Na tym polega praca na uniwersytecie. Jesteśmy naukowcami, a od tych z nas, którzy mają stanowisko dożywotnie, „stałych wykładowcach”, jak ich nazywa uniwersytet, oczekuje się, że będą przewodzili w swojej dziedzinie. Nie jesteśmy politykami, Talcotcie, lecz wykładowcami. Naukowcami. Na każdym z nas spoczywa taki sam obowiązek - pogрузić się w wybranej dyscyplinie wiedzy, a następnie nauczyć studentów tego, co udało mu się odkryć. Wszystko, co odrywa wykładowców od tego zadania, jest szkodliwe dla naszego wspólnego przedsięwzięcia. Rozumiesz to, prawda?

Nie wiem, czy jestem bardziej zdumiony, czy wściekły. Przecież Stuart chyba nie bierze strony człowieka, który odegrał główną rolę w spisku prowadzącym do pozbawienia go stanowiska. Nigdy nie liczyłem na zbyt wielu popleczników Kimmer wśród wykładowców, ale byłem przekonany, iż Stuart będzie jednym z nich.

- Rozumiesz? - powtarza. Nie czeka jednak na moją odpowiedź.

Kontynuuje swoją orację, unosząc ostrzegawczo palec wskazujący.

- Wiesz, przez te wszystkie lata, kiedy tu pracuję, wielokrotnie byłem pytany i to przez różne rządy, czy jestem zainteresowany jakimś stanowiskiem, obsadzonym przez prezydenta. Proponowano mi stanowisko sędziego, zastępcy prokuratora generalnego, coś w agencji rządowej.

- Uśmiecha się na te wspomnienia. - Raz, w trakcie pewnego skandalu, przyszli do mnie ludzie Reagana spytać, czy nie chciałbym zrobić porządku w radzie ministrów. Jednak za każdym razem odmawiałem. Za każdym.

Widzisz, z moich doświadczeń i niezmiennych obserwacji wynika, że profesor, który połknie bakcyła polityki, przestaje być efektywnym naukowcem. Przestaje studiować świat i nauczać, co odkrył. Zajmuje się promowaniem swojej kandydatury, a to wpływa na wszystko, co robi, od tematów, które wybiera do swych prac, po argumenty, które forsuje podczas zajęć. Martwi się, by nie zostawić pisemnych dowodów ewentualnych niewłaściwych działań, a jeśli już do tego doszło, robi wszystko, by wyczyścić akta. Łatwo sobie wyobrazić, że kiedy dwóch członków profesorskiego grona jednocześnie zajmie się polityką i obaj walczą o to samo wolne miejsce w sądzie, to szkodliwe skutki są nie dwukrotnie, lecz czterokrotnie gorsze.

Starczy już tego. - Posłuchaj, Stuarcie. Doceniam to, co mówisz, ale moja żona nie jest członkiem profesorskiego grona.

- No, nie, masz rację. Nie jest. - Kiwa głową, jakby wiedział to już wcześniej, a ja, ponieważ myślę powoli, uświadomiłem to sobie dopiero teraz. - Formalnie nie.

- Nieformalnie również nie.

- Twoja żona może i nie jest wykładawcą, ale należy do rodziny, do rodziny szkoły prawniczej.

O mało się nie roześmiałem. Kimmer najchętniej nie oglądałaby szkoły prawniczej, a już na pewno nie pomyślałaby o sobie jako o jej części. - Przestań, Stuarcie. Obojętnie, kim ona jest, to fakt, że kandyduje, nie może wpłynąć na jakość pracy wykonywanej przez nią w szkole prawniczej, skoro nie wykonuje żadnej pracy w szkole prawniczej.

Wbija we mnie stalowe spojrzenie. - To nie załatwia wszystkiego, Talcocie. To, że twoja żona kandyduje, może mieć wpływ na *ciebie*.

- Na mnie?

- Tak, oczywiście. Czy tak trudno w to uwierzyć? Twoja żona chce być sędzią, ty nie chcesz zmniejszyć jej szans. Przecież taka sytuacja może prowadzić do przesadnej ostrożności z twojej strony, prawda?

- Przesadnej...

- Czy ostatnio naprawdę byłeś sobą? - Chichocze, żeby złagodzić cios. - Talcottem Garlandem, którego znamy i kochamy? Chyba nie.

Mam już tego dość. - Stuarcie, daj spokój. Dopiero co zmarł mój ojciec. A potem duchowny, który odprawiał pogrzeb...

- Został zamordowany. Wiem. Jest mi niezmiernie przykro. - Pochyliła się do przodu, splata drobne dłonie na biurku. - Ale posłuchaj mnie, Talcocie. Byłeś ostatnio roztargniony, zdezorganizowany. - Potem, ku memu zdumieniu, wzrusza ramionami. - Zresztą, to nie ma nic do rzeczy...

- Nie ma nic do rzeczy! Przecież właśnie powiedziałeś, że to współzawodnictwo negatywnie wpływa na moją pracę!

- Może powtarzałem plotki. Może to nie moja sprawa. Może tylko spekulowałem. Prawdę mówiąc, nie chodziło mi o to, jak ty wykonujesz swoją

pracę. Myślałem o Marcu.

- Co o Marcu - drażę, nadal palając gniewem, chociaż nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Chwilę wcześniej Stuart twierdził, że jestem rozkojarzony i zdeorganizowany, a teraz to już nie jego sprawa.

- Marc nie wykonuje dobrze swojej pracy. Sądzę, że to współzawodnictwo to dla niego zbyt wiele.

- To dlaczego rozmawiasz ze mną, a nie z Markiem? - Stuart nie odpowiada, lecz wpatruje się we mnie, niemal nie mrugając oczami. Nieco szumi mi w głowie, mam dziwne odczucie *déjà vu*, choć nie wiem, co właściwie ponownie przeżywam. Próbuję jeszcze raz. - Czy Marc cię namówił? Prosił, żebyś ze mną porozmawiał? Bo jeśli tak...

- Nikt mnie nie namawiał, Talcotcie. Moją jedyną troską jest ta szkoła. - Mówi tak, jakby nadal był dziekanem. - Wiem, że ty, podobnie jak ja, pragniesz tego, co jest najlepsze dla naszej szkoły.

- Nie proponujesz chyba... Nie myślisz... - Urywam, przelękam napływający czerwony gniew i zaczynam od nowa. - Jeśli sugerujesz, że powinienem powiedzieć żonie, żeby zrezygnowała z kandydowania, żeby zaprzepaciła szansę zostania sędzią federalnym dla dobra szkoły prawniczej lub Marca Hadleya... to przykro mi, Stuarcie, ale nic z tego.

- Po prostu istnieje możliwość, że w tym wypadku dobro szkoły i dobro Marca Hadleya są równoznaczne.

- Co masz na myśli... Aaa! - Czy już wspomniałem, że Stuart Land jest bardzo przebiegły? Powinienem być dostrzec to wcześniej. Oczywiście, że chce pomóc Markowi w zdobyciu upragnionego stanowiska.

Prawdopodobnie bez jego pomocy Marc nie dotarłby do finału. Tylko on mógłby poręczyć przed administracją rządową, że Marc jest wprawdzie politycznym liberałem, ale byłby sędziowskim reakcjonistą. A dlaczego Stuart miałby pomagać w realizacji ambicji człowiekowi, który przyczynił się do jego upadku? Ponieważ jeśli Marc zostanie sędzią, Stuart w końcu się go pozbędzie, a dziekan Lynda, jego rywalka, straci podstawę, na której opiera się jej władza.

Stuart odpowiada mi wiekowym dowcipem: - Być może odejście Marca Hadleya ze szkoły prawniczej i zasilenie przez niego szeregow sędziów podniesie jakość obu instytucji.

Znów muszę starannie dobierać słowa. - Rozumiem twój punkt widzenia, Stuarcie, naprawdę go rozumiem. Jednak Kimmer bardziej zasługuje na to stanowisko niż Marc. Nie zamierzam jej proponować, żeby wycofała swoją kandydaturę.

Stuart powoli kiwa głową. Zdobywa się nawet na uśmiech. - Bardzo dobrze. Musiałem spróbować. Właściwie nie liczyłem na inną odpowiedź. Szanuję cię za to. Jednak wiesz, Talcotcie, są w tym budynku ludzie, którzy będą odmiennego zdania.

- Słucham?

- Masz tu na uczelni wielu przyjaciół, Talcotcie, lecz masz również... cóż, niektórzy niezbyt cię lubią. Z pewnością nie jest to dla ciebie niespodzianką.

W końcu czerwona zasłona zaczyna przesłaniać mi oczy. - Co chcesz mi powiedzieć, Stuarcie? Powiedz to wprost.

- Nie zdziwiłoby mnie, Talcotcie, gdyby pojawiły się pewne... naciski... na ciebie, żebyś przekonał swoją żonę do rezygnacji, tak aby Marc mógł zdobyć to stanowisko. Jest to bardzo niefortunna sytuacja, ale fakt pozostaje faktem. Wolałbym, żeby nasza szkoła była inna, żeby nadal istniała nasza koleżeńska solidarność, lecz kiedy bakcył polityki zaatakuje jednego z nas, przestajemy się zachowywać jak stali wykładowcy, a zaczynamy jak tymczasowi uczniowie. - Czeka, żebym się uśmiechnął na ten żarcik, ale nie mam zamiaru. - Obawiam się, Talcotcie, że niektórzy z tych uczniów będą próbowali cię przekonać.

- Nie wierzę w to. Po prostu w to nie wierzę.

- Ja oczywiście nie mam z nimi nic wspólnego i chętnie użyję swoich wpływów, żeby cię chronić. Ale musisz pamiętać, że ja również mam wrogów wśród wykładowców. Może się okazać, że moje wpływy są mniejsze niżbym chciał. - Wzdycha, powstrzymując się od stwierdzenia, że szkoła byłaby lepszym miejscem, gdyby on nadal stał na jej czele. Może to i prawda. Niezależnie od tego, co się sądzi o Stuarcie Landzie, trzeba przyznać, że jego jedyną i niezmienną ambicją jest dobro szkoły.

- Rozumiem.

Stuart waha się, a ja zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie zakończył kazania. - Z drugiej strony, Talcotcie, jeśli jesteś zdecydowany iść w tym kierunku, to sądzę, że będę mógł ci pomóc w Waszyngtonie.

- Tak?

- Sądzę, że mogę mieć tam pewne wpływy i jeśli się okaże, że tak jest, to z przyjemnością je wykorzystam, żeby pomóc twojej żonie.

Co oznacza, jak rozumiem, że dochodzimy do sedna całego spotkania. Jestem już zmęczony delikatnym lawirowaniem Stuarta, toteż pytam wprost: - A w jaki sposób miałbym się odwdziżyć za twoją pomoc?

Stuart marszczy brwi i ponownie składa razem koniuszki palców. Szykuje się na następną przemowę, ale on niespodziewanie się podnosi. - Nie zawsze musi być coś za coś. Nie bądź takim cynikiem, Talcotcie. Kiedy byłeś młody i nie miałeś jeszcze dożywotniej umowy, byłeś o wiele większym optymistą. Sądzę, że powrót tamtego entuzjastycznego faceta byłby z korzyścią dla ciebie i dla szkoły. - Bierze do ręki tom prac zebranych Holmesa, który czytał, kiedy wszedłem, co niewątpliwie jest sygnałem, że powinienem wyjść. Jednak zanim zdążyłem wyjść, przedstawia mi poprawioną wersję swojego stanowiska. - Oczywiście, możliwe, Talcotcie, że później będziesz

miał szansę wyświadczyć w zamian jakąś przysługę szkole. Jeśli pojawi się taka okazja, to zakładam, że ją wykorzystasz.

- Nie... nie jestem pewien, co masz na myśli, Stuarcie.
- Będziesz pewien, kiedy nadejdzie pora.

Po wyjściu na korytarz czuję, jak przesywa mnie chłód. Uświadamiam sobie w końcu, kogo przypominał mi Stuart, gdy wygłaszał swoje pouczenie. Oczywiście Jacka Zieglera na cmentarzu, kiedy obiecywał chronić moją rodzinę i w zamian prosił o przekazanie mu wszystkiego, czego się dowiem o *ustaleniach*.

Zastanawiam się teraz z niepokojem, czy Stuart prosił o to samo.

ROZDZIAŁ 12

Przesyłka specjalna

(I)

Miasteczko Elm Harbor zostało założone w 1682 roku wokół faktorii u ujścia rzeki State River. Pierwotna nazwa miasta brzmiała Harbor-on-the-Hill*, gdyż nad wodą znajduje się niewiele płaskiego lądu, a teren wokół portu gwałtownie opada. Wpływ na wybór nazwy wywarło też zapewne kazanie Johna Winthropa wygłoszone pół wieku wcześniej na temat błyszczącego miasta na wzgórzu. Ojcami założycielami byli surowi kongregacjoniści, którzy wędrowali wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu wolności religijnej i natychmiast zabrali się za tworzenie praw, które odbiorą ją wszystkim innym. Zatem niedozwolone stało się między innymi: bluźnierstwo, obrzędy katolickie, pokazywanie kostki w miejscu publicznym, bałwochwalstwo, lichwa, nieposłuszeństwo wobec ojca oraz prowadzenie interesów w Dzień Pański. Chociaż przerażała ich sama myśl, że mogliby oddawać cześć rzeźbionym wizerunkom, założyli swoje miasto na planie krzyża, budując je wokół dwóch długich alei - drogi wschód-zachód, nazwanej wówczas The East-West Road, a dziś noszącej nazwę Eastern Avenue, oraz północ-południe, nazwanej North Road, której nazwę zmieniono później na The King's Road, a obecnie na King Avenue.

*Harbor-on-the-Hill - z *ang.*: Port na Wzgórzu

Uniwersytet otworzył swe podwoje trzydzieści lat później, zasadniczo jako szkoła uzupełniająca dla ponurych kongregacjonalistów, oczywiście mężczyzn, którzy chcieli oprócz Biblii studiować także retorykę, grekę, łacinę, matematykę i astronomię. Pierwotne miasteczko uniwersyteckie składało się z dwóch drewnianych budynków tworzących długi owal w miejscu, gdzie King Avenue zakręca szerokim łukiem równoległe do biegu State River. Dzisiaj te nabrzeżne budynki zajmuje szkoła medyczna. Podczas trzech następnych stuleci uniwersytet rozrósł się jak złośliwa odmiana raka zajmując tereny na zachód od King Avenue, atakując jeden kwartał, tworząc przerzuty na kolejnym, niszcząc, co mu stało na drodze lub przekształcając to dla swoich celów. W ten sposób runęły drewniane domki, faktorie, szkoły, sklepy, domy noclegowe, kościoły, dworki, magazyny, domy publiczne, tawerny, garbarnie i kamienice czynszowe. Ich miejsce zajęły biblioteki i laboratoria, sale wykładowe, gabinety wykładowców, domy akademickie, budynki ad-

ministracyjne i wolna przestrzeń. Mnóstwo otwartej przestrzeni. Uniwersytet lubi się określać mianem największego w Elm Harbor twórcy powierzchni parkowej, chociaż nikt z miasta nie ośmiela się wkroczyć do przeszlicznych uczelnianych parków. Uniwersytet wznosił muzea, oceanarium i najlepszy w regionie ośrodek działalności artystycznej. Tutejszy szpital jest jednym z najlepszych na świecie. Uczelnia inwestuje w miejscową społeczność, zapewniając kapitał na budownictwo mieszkaniowe i otwieranie małych firm. Żadna instytucja w tym okręgu nie zapewnia pracy większej liczbie osób.

Tak przynajmniej głoszą nasze oświadczenia dla prasy.

Uniwersytet wykupuje całe ulice, zamyka je dla ruchu, buduje ogromne gmachy do parkowania samochodów, ale wyłącznie dla studentów i wykładowców, i wraz z własnymi siłami bezpieczeństwa uprawnionymi do dokonywania aresztowań tworzy oazę względnego spokoju, otoczoną niemal widoczną ścianą, która ma utrzymywać z dala mieszkańców pozostałej części miasta.

Samo Elm Harbor ma złożoną strukturę demograficzną. Około trzydziestu procent mieszkańców jest czarnych, dwadzieścia to Latynosi, zaś reszta jest biała - lecz jakże zróżnicowana. Mamy tu Amerykanów pochodzenia greckiego, włoskiego, irlandzkiego, niemieckiego i rosyjskiego. Mieszkańcy, których urząd statystyczny arbitralnie nazywa Latynosami, pochodzą głównie z Puerto Rico, ale wielu pozostałych wywodzi się z Ameryki Środkowej, podobnie jak spora część naszych czarnych obywateli. Reszta tych ostatnich dzieli się mniej więcej równo na dwie grupy - przodkowie jednej przybyli z Indii Zachodnich, a drugiej z Południa. Pochodzenie etniczne wyznacza ostre linie podziału pomiędzy poszczególnymi grupami mieszkańców, o czym przekonujemy się co trzy lata podczas wyborów samorządowych, gdy rada miejska toczy nieskończone spory, a pięć lub sześć grup etnicznych wysuwa swoich kandydatów na burmistrza podczas wyborów wstępnych Partii Demokratycznej (o miejscowej Partii Republikańskiej w ogóle nie ma co mówić). Istnieją tylko dwie rzeczy, które jednoczą mieszkańców Elm Harbor - wspólna nienawiść do uniwersytetu oraz wspólne marzenie, że pewnego dnia ich dzieci rozpoczną w nim naukę.

Kimmer nie podoba się ta miejscowość, między innymi ze względu na uniwersytet, choć czasem korzysta on z usług jej firmy.

A jakie jest moje zdanie? Nie jestem przywiązany do żadnego miasta, a Elm Harbor ze swoimi licznymi problemami nie wydaje mi się gorsze niż inne. W każdym razie nauczyłem się przez te lata od swoich kolegów - szczególnie wielkiego konserwatysty Stuarta Landa i wielkiego liberała Theo Mountaina - że członkowie uniwersyteckiej społeczności wspólnie ponoszą szczególną odpowiedzialność za udoskonalanie miasta, które Theo lubi nazywać *metropole*. Wiem, że koncepcja odpowiedzialności jest już dziś

niemodna, szczególnie odpowiedzialności za tych, o których Eleanor Roosevelt mówiła, że mają mniej szczęścia niż my, jednak Sędzia wychował swoje dzieci w jej duchu i żadne z nas nie potrafi się z tego wyzwolić. Ojciec uważał, że jego konserwatyzm społeczny wymaga służby dla innych, gdyż jeśli rola państwa ma się zmniejszać, to zaangażowanie wolontariuszy musi się zwiększać. Toteż Mariah organizuje przyjęcia dla dzieci bezdomnych, Addison uczy w szkole średniej w dzielnicy miejskiej biedoty... a ja wydaję posiłki.

(II)

Bezpłatna jadalnia, w której czasem ochotniczo pomagam, wydaję gorące posiłki dla kobiet i dzieci o godzinie wpół do pierwszej we wszystkie dni robocze. Mieści się ona w piwnicach kościoła kongregacjonalistów o jedną przecznicę na wschód od miasteczka uniwersyteckiego. Jest to doskonałe miejsce, by zapomnieć o tajemnicy i śmierci, gdyż problemy, z którymi zmagają się jej podopieczni, są znacznie poważniejsze niż moje własne. Kiedy po zdumiewającej rozmowie ze Stuartem Landem przygotowywałem się w swoim gabinecie do zajęć z deliktów, odczułem wyraźnie jej wezwanie. Wyjaśniając nieufnym studentom zawilości względnego zaniedbania, wiedziałem, że nie radzę sobie z tym zadaniem i czułem klujące spojrzenia Avery'ego Knowlanda, ilekroć odwróciłem się do niego plecami. Po zakończeniu zajęć wrzuciłem książki do gabinetu i szybko wyszedłem głównym wejściem z budynku.

Jadalnia to miejsce, którego mi teraz trzeba, stwierdziłem.

Służba, przypominam sobie, schodząc po schodach prowadzących do podziemia kościoła. Wszyscy jesteście powołani do prawdziwego służenia. Nie tylko dawania pieniędzy, jak poucza Theo Mountain, czy walki o zmianę prawa, bo prawo jest dla Theo przegraną sprawą. Służyć należy rzeczywistym ludziom, którzy cierpią, płaczą i nas odrzucają.

Kiedy wpadam na kilka minut przed otwarciem, zarządzająca jadalnią, mniej więcej siedemdziesięcioletnia wdowa niemieckiego pochodzenia, która każe nam się nazywać Dee Dee, wita mnie pochmurną miną. Postukując laską, idzie za mną do kuchni, gdzie reszta ochotników kroi kilka podarowanych pizz, upieczonych wczoraj, a dziś już wyschniętych na wiór. - Zaczynamy nakrywać w południe - beszta mnie dystygowanym głosem, gdy naciągam jednorazowe rękawiczki. - Oczekujemy, że wszyscy zjawią się przed dwunastą piętnaście.

- Miałem zajęcia, Dee Dee. Przepraszam.

- *Zajęcia.*

- Tak. - Zastanawiam się, jak mój czarujący brat poradziłby sobie z Dee

Dee. Przypuszczam, że nienajlepiej.

Dee Dee, której prawdziwe imię wielokrotnie słyszałem, ale nie potrafię go zapamiętać, jest niską kobietą o starannie uczesanej, niemal białej grzywce i szerokich, silnych ramionach. Ubiera się w kwieciste szmizjerki, podkolanówki i solidne buciki. Jej pociągła woskowa twarz wygląda jak wykuta z białego kamienia, a oczy o zadziwiająco jasnym odcieniu błękitu robią na wielu niewtajemniczonych wrażenie, jakby widziały. Tymczasem Dee Dee jest całkowicie niewidoma. Kierująca jadłodajnią wymaga, aby nasi goście (jak ich nazywa) byli traktowani z szacunkiem. Na stołach leżą kolorowe obrusy, które sama dwa razy w tygodniu pierze, i stoją kwiaty w wazonach. Obowiązuje też surowa zasada, że wszystkie potrawy mają być podawane z półmisek, a nie prosto z garnków lub patelni. Dee Dee pilnuje, żeby nasi goście mówili „proszę” i „dziękuję”, a my „proszę bardzo”. Ochotnicy zachowujący się nieuprzejmie otrzymują jedno ostrzeżenie, po którym są już niemile widziani. Co do gości, to Dee Dee nie ma formalnie możliwości, żeby zapobiec ich niegrzecznym odezwaniom do wolontariuszy, ale niepokojąco celne spojrzenie jej niewidzących oczu potrafi wszystkich, oprócz największych schizofreników, utrzymać w ryzach. Dee Dee twierdzi wesoło, że prowadzi doskonale zarządzany interes. Ślepotą nie przeszkadza jej natychmiast dostrzec, niejako telepatycznie, że któryś z wolontariuszy nierówno odmierza porcje lasagne albo ktoś z gości próbuje schować dodatkowe jabłko pod sweter.

Albo że ktoś się spóźnił.

Teraz opiera duże dłonie na drobnych biodrach, odchyła się do tyłu i mnie beszta: - Chcesz powiedzieć, że twoje zajęcia są ważniejsze niż nakarmienie tych nieszczęsnych kobiet? - Potem uśmiecha się i klepie mnie po ramieniu na znak, że w dużej mierze żartuje.

W dużej mierze.

Ale akurat dzisiaj bardzo mi odpowiada jej humor.

Zajmuję miejsce za ladą, tym razem przy stanowisku sałatek. Kilkoro innych ochotników wita się ze mną. Mówią tu na mnie *Profesor*, co jest traktowane jako wewnętrzny żarcik, chociaż takie samo przezwisko miałem w liceum. Ochotnicy i goście wołają do mnie *Hej, Profesorze! Jak leci, Profesorku!* Zaczęłem pracować w tej jadłodajni z najrozmaitszych powodów. Najbardziej oczywistym wydaje się służba, proste chrześcijańskie pragnienie robienia czegoś dla innych. Drugim jest potrzeba uświadamiania sobie stale od nowa, jak zróżnicowana jest ludzka rasa w ogóle, a ciemniejsza nacja w szczególności, gdyż doświadczenia życiowe afroamerykańskich studentów i wykładowców z naszego uniwersytetu kończą się na Oak Bluffs i Sag Harbor*. A dzisiaj kierowała mną w pewnym stopniu chęć odpokutowania za swoje zachowanie w stosunku do Avery'ego Knowlanda, którego bezczelność nie jest jego winą. Ale nawet to nie jest wiarygodnym wyjaśnienie-

niem. Może po prostu dziś jest jeden z tych czwartków, kiedy znacznie bardziej odpowiada mi towarzystwo tutejszej radosnej gromadki niż moich kolegów, i to nie z powodu jakichś niedostatków w ich charakterach, lecz w moim. Bywają dni, kiedy spędzając czas w swoim gabinecie, mam wrażenie, jakbym przebywał z Sędzią, a fakt, że on nie żyje, nie ma tu żadnego znaczenia. W budynku Oldie jestem otoczony ludźmi, którzy doskonale pamiętają mojego ojca z czasów studenckich. Amy Hefferman była wraz z nim w grupie, Theo Mountain był jego nauczycielem, Stuart Land studiował o dwa lata niżej, a jest jeszcze paru innych. Pomimo skandalu, który zniszczył jego karierę, portret mojego ojca, podobnie jak wszystkich absolwentów powołanych w szeregi sędziów, wisi na ścianie przestronnej czytelnicy biblioteki prawniczej, w związku z czym rzadko tam chodzę. Czasem czuję, że dławi mnie rola, którą muszę odgrywać: *Czy Oliver Garland naprawdę był twoim ojcem! Jak się wtedy czuleś!* Zupełnie jakby moim głównym zadaniem na uczelni była rola żywego eksponatu. Bardzo żałuję, że dałem się namówić Sędziemu do podjęcia studiów prawniczych w tej samej szkole, którą on ukończył. Nie potrafię też zrozumieć, co mnie opętało, żeby przyjąć tu posadę wykładowcy.

Może to, że nie miałem innych atrakcyjnych ofert.

A może ojciec mi kazał.

*Oak Bluffs i Sag Harbor - nazwy miejscowości wypoczynkowych

Zwykle byłem posłusznym synem. Moim jedynym buntowniczym czynem było poślubienie Kimberly Madison, z którą studiowałem prawo, podczas gdy moja rodzina wolałaby jej siostrę, Lindy, z którą chodziłem do college'u. Kimmer oczywiście zdaje sobie z tego sprawę, co mi przypomniała dwa tygodnie temu w restauracji. Czasami ta świadomość doprowadza ją do wściekłości, a innym razem mówi, że szkoda, iż nie zrobiłem tego, czego po mnie oczekiwano. Tyle, że ja nigdy nie kochałem Lindy, nawet jeśli Złote Wybrzeże sądziło inaczej. Również Lindy zupełnie nie była mną zainteresowana. Gdyby mnie kochała, to zapewne bym się z nią ożenił, tak jak chcieli rodzice, i moje życie byłoby zupełnie inne - nie lepsze, tylko po prostu inne. Na przykład nie miałbym Bentleya, co byłoby niewyobrażalnie gorsze. Z drugiej strony, pewne rzeczy wcale by się nie zmieniły - Sędzia i tak zmarłby na atak serca, i wszyscy pytaliby mnie, jakie poczynił ustalenia, Freeman Bishop tak samo zostałby zamordowany, a Mariah wymyślała swoje szaleńcze teorie.

A ja nadal byłbym wyczerpany emocjonalnie.

Wczoraj rano pokłóciliśmy się z Kimmer, bynajmniej nie o to, co robi lub czego nie robi z Jerryem, lecz o pieniądze. Taka sama sprzeczka wybucha każdej jesieni, ponieważ co roku w tym okresie uświadamiamy sobie, że nasz starannie ułożony w styczniu budżet nie wytrzymał próby czasu. Pod tym względem radzimy sobie równie dobrze czy równie źle, jak nasz rząd.

Stojąc w drzwiach do garderoby Kimmer, która tylko w staniku i półhalsce wybierała strój odpowiedni dla swojego stanowiska, zaproponowałem, żebyśmy wprowadzili pewne oszczędności. Nie odwracając się, spytała, w jakiej dziedzinie. Ostrożnie wspomniałem o jej ubraniach i biżuterii, na co usłyszałem zniecierpliwioną odpowiedź, że jest prawnikiem zajmującym się spółkami i musi się odpowiednio ubierać. Wskazałem zatem na ogromne raty, które płacimy za jej białe jak śnieg BMW M5, którym pędzi jak błyskawica, podczas gdy ja telepię się moją nudną, lecz niezawodną toyotą camry. Jednak samochód także okazał się niezbędny w związku z pracą. Zaproponowałem, żeby może przeprowadzić się do mniejszego domu. Kimmer, która akurat wślizgiwała się w spódnicę, stwierdziła jednak, że dom również stanowi część jej zawodowej osobowości. Kiedy pokonany potrząsnąłem głową, zerknęła na mnie przez ramię i posłała mi uśmiech, który tak lubię. Potem podniosła stawkę, przypominając mi cierpko, że mamy teraz w Oak Bluffs dom wolny od wszelkich obciążeń. Możemy go sprzedać i od ręki rozwiązać wszystkie nasze problemy finansowe. Niemądrze odpowiedziałem w podobnym tonie, że dom na Vineyard jest niezbędny dla *mojej* osobowości, a sprzedanie go byłoby odrzuceniem mojego dziedzictwa. Jak co roku, nasza kłótnia nie przyniosła żadnego rozstrzygnięcia.

Wczoraj Rob Saltpeter zmył mi nieco głowę, gdy wraz z nim i Theo Mountainem jadłem lunch w dość drogim lokalu o nazwie Cadaver's urządzonym na miejscu dawnego domu pogrzebowego, o dwie przecznice od uniwersytetu, w którym kelnerom płaci się za to, żeby zachowywali się dziwnie. Rob stwierdził, że być może zbyt wcześnie wróciłem do pracy, że potrzebuję więcej czasu, żeby dojść do siebie. Doradził mi, żebym zajrzał do Księgi Hioba. Na to Theo Mountain, który nie ma zwyczaju owijać niczego w bawełnę, wtrącił, że nie ma sensu, żebym „czytał kupę biblijnych werse-tów”, gdyż to nie jest zwykle wyczerpanie. Może to być depresja.

Theo prawdopodobnie ma rację. Jestem w depresji. I nawet mi się to podoba. Depresja jest niezwykle uwodzicielska: obraża cię i drażni się z tobą, przeraża i wciąga, kusi obietnicą słodkiej niepamięci, potem wszechogarnia z niemal seksualną siłą, przedziera się przez twoje mechanizmy obronne, niszczy twoją wolę, atakuje twoje zmęczone „ja” tak całkowicie, że nawet już nie pamiętasz, iż kiedyś żyłeś bez niej... i nie potrafisz wyobrazić sobie, że znów mógłbyś tak żyć. Z szatańską przebiegłością przekonuje cię, że jest twoim własnym pomysłem, że przez cały czas jej pragnąłeś. Otumania te obszary mózgu, które rozumują i umożliwiają odróżnianie dobra od zła. Udaje jej się tobą zawładnąć dzięki ciepłym, karygodnym, nienawistnym rozkoszom, a co gorsza, staje się *znajoma*. W jednej chwili zostajesz niewolnikiem właśnie tego, co cię przeraża. Pogarsza się jakość twojej pracy, psują się przyjaźnie i zaczyna szwankować małżeństwo, ale ty ledwie to zauważasz, gdyż być w depresji, to niemal tak, jak zakochać się w nieszczę-

ściu.

- Więc otrząśnij się z tego - mówię na głos, zaskakując tym wolontariuszkę, która na sąsiednim stanowisku układa mające już dobry tydzień ciasteczka. Uśmiecham się do niej przepraszająco i zabieram z powrotem do pracy. *Może masz depresję*, powiedział Theo, który podobno nie opuścił żadnych zajęć w ciągu pięćdziesięciu lat pracy wykładowcy. W wyniku rozmaitych koligacji starych rodzin z Elm Harbor Theo i Dee Dee są dalekimi krewnymi. To właśnie Theo doradził mi, w szczególnie trudnym momencie mojego małżeństwa, żebym zaczął ochotniczo pomagać w bezpłatnej jadłodajni, gdyż to podniesie mnie na duchu. *W moim wypadku to się sprawdziło*, oświadczył! Theo, który pochował żonę jeszcze w czasach, gdy byłem studentem.

Odmierzając porcje sałatki na małe papierowe talerzyki, wyprostowuję się i przynajmniej na czas, kiedy pomagam, udaje mi się zapomnieć.

(III)

Dee Dee inicjuje krótką modlitwę i możemy otwierać. Najpierw włącza jeszcze muzykę na przenośnym odtwarzaczu kompaktowym z wielkimi, skrzeczącymi głośnikami. Na początku próbowała narzucić muzykę klasyczną (przy czym jej gust ogranicza się do trzech panów B), lecz w końcu musiała się poddać naciskom czasu i miejsca, toteż teraz słuchamy łagodnego jazzu lub czasami czegoś ostrzejszego. Nasi goście nie są łagodni. Niemal wszystkie kobiety są czarne. Niewiele z nich troszczy się jeszcze o wygląd. Przychodzą z potarganymi, posklejаныmi włosami, w brudnych bluzach i dżinsach, z brudem pod połamanymi, źle pomalowanymi paznokciami. Nieliczne mają białe zęby; u większości ich kolor już dawno zmienił się z żółtego w brązowe. Są wśród nich narkomanki i z pewnością również nosicielki wirusa HIV. Posuwają się w kolejce jak zapomniane duchy wlokące się ku Styksowi. Nie przejawiają ani entuzjazmu, ani niechęci, ani fatalizmu, ani oburzenia. Większość z nich jest całkowicie wyprana z uczuć. Nie uśmiechają się, nie płaczą, nie śmieją się i nie narzekają. Po prostu są obecne. Kiedy byłem w college'u, my, niedoszli rewolucjoniści, udawaliśmy, że ciemieni pewnego dnia powstaną jako potężna armia, która zmiecie kapitalistów, obali system i ustanowi naprawdę sprawiedliwe społeczeństwo. Teraz kilkadziesiąt z najbardziej uciemionych osób w Stanach Zjednoczonych stoi przede mną w kolejce po jedzenie i cała pasja, na jaką potrafią się zdobyć, wystarcza zaledwie na krótką kłótnię o to, kto dostał większą porcję. Połowa z nich za dwa lata może nie żyć. Gdyby nie nadzieja, jaką niesie niewinne piękno ich dzieci, które nadal odpowiadają uśmiechem na uśmiech, nie potrafiłbym chyba wytrzymać psychicznie tej pracy.

Niewiele z tych kobiet chce sałatkę, natomiast jedna składa mi całkiem niedwuznaczną propozycję: - Sałatki nie, ale mmmm-mmmm, ale pewno chętnie bym wzięła kawałek *ciebie*. - Mam ochotę płakać.

Oto skutki prowadzonej przez konserwatystów polityki obcinania funduszy na cele socjalne i ich obojętności na ciężkie położenie innych, powtarzali moi koledzy z uniwersytetu. Oto skutki uprawianej przez liberałów polityki pielęgnowania mentalności ofiary oraz ich obojętności na tradycyjne wartości, takie jak ciężka praca i rodzina, oznajmiał mój ojciec wiwatującym mu słuchaczom. W chwilach zgorzknienia uderza mnie myśl, że obu stronom bardziej zależy na zwycięstwie w dyskusji, niż na ulżeniu cierpienia tych kobiet. *Służenie potrzebującym*. Theo Mountain ma rację. Jest to jedyna odpowiedź.

- Talcotcie?

Odwracam się z popękanymi drewnianymi łyżkami do sałaty w dłoniach.

- Tak, Dee Dee?

- Przy drzwiach jest ktoś, kto o ciebie pyta.

- A nie może tu wejść?

- *Ona* nie chce. - Dee Dee posyła mi kpiący uśmiech, a w jej policzkach pojawiają się na moment dołeczki, które musiały niegdyś robić oszałamiające wrażenie.

- Chwileczkę.

Wracam do kuchni, żeby znaleźć zastępstwo na swoje mało popularne stanowisko. Potem zdejmuję fartuch i wyrzucam rękawiczki do śmieci. Po włożeniu marynarki ruszam za Dee Dee, która postukuje laską po betonowych schodach prowadzących w górę do głównego wejścia, gdzie Romeo, jedyny poza mną mężczyzna, strzeże drzwi. Romeo ma skórę czarnobrazową, jak pień drzewa w bezksiężycową noc. Jest potężnie zbudowanym człowiekiem w nieokreślonym wieku, którego zwaliste ciało składa się głównie z mięśni, a nie tłuszczu. Wielkie dłonie Romea są w nieustannym ruchu wskutek jakiegoś zaburzenia neurologicznego, ale daje to groźny efekt. Romeo często bywa nieco powolny, lecz nie mam trudności ze zrozumieniem jego lekko południowej wymowy. Nie wiem, skąd pochodzi ani nawet jak się naprawdę nazywa. Kiedyś był na ulicy, jak o tym mówi, mając na myśli handel narkotykami, ale udało mu się odnaleźć Jezusa bez konieczności przejścia najpierw przez więzienie. Jego okrągła, gładko wygolona twarz jest bardzo zniszczona. Romeo jest znacznie łagodniejszy niż na to wygląda, ale Kościół liczy, że to właśnie jego wygląd odstraszy każdego mężczyznę, który chciałby wtargnąć do jadłodajni, przeznaczonej wyłącznie dla kobiet i dzieci.

- Odeszła, panno Dee Dee - mruczy teraz, pocierając gwałtownie ręką o rękę. - Nie mogła czekać.

- Jak wyglądała? - pytam.

- Biała dziewczyna - wyjaśnia, podczas gdy Dee Dee przysłuchuje się

naszej rozmowie. - Czysta - dodaje, mając na myśli *Nie taka, jak te kobiety w środku*.

- Biała kobieta - mówię, zastanawiając się, kto to mógł być, a jednocześnie poprawiając go w odruchu poprawności politycznej panującej w miasteczku uniwersyteckim.

- Nieee, niee - zaprzecza - biała *dziewczyzna*. - Jednak niewiele mi to mówi, gdyż dla Romea trzeba by osiągnąć wiek Dee Dee, by stać się kobietą. Romeo mruży oczy, szukając właściwego przymiotnika. - Słodka - oznajmia wreszcie.

Słodka to w jego słowniku jedno z kilku określeń na *atrakcyjna*. Mnie z kolei przychodzi na myśl *studentka*, ale nie mam pojęcia, jak któraś z moich studentek mogłaby mnie tu wytropić, lub skoro już mnie znalazła, dlaczego nie zaczekała, aż wejść na górę.

- Czy już ją kiedyś widziałeś, Romeo? - Dee Dee zadaje pytanie, na które sam powinienem wpaść.

- Nie, panno Dee Dee. Ojej! - Nagle w jego oczach pojawia się błysk. Jedna z potężnych dłoni zamasyżuje podaje mi białą, dużą kopertę. - Mówi, że ktoś jej zapłacił, żeby dała to Profesorkowi.

- Co to jest? - Dee Dee kieruje to pytanie do mnie.

- Nie wiem - przyznaję. - Jakaś koperta. - Biorę ją od Romea i oglądam. Na wierzchniej stronie starannie wypisano moje pełne imię i nazwisko, tytuł oraz adres w szkole prawniczej. Nie ma znaczka. Nie ma adresu zwrotnego. Ważę kopertę w rękę, potem ściskam. W środku wyczuwam coś małego i twardego, jak szminka do ust. Marszczę brwi. Wszystkie uniwersytety w kraju ostrzegły swoich pracowników, żeby nie otwierali kopert od nieznanym nadawców, ale ja zawsze byłem wścibski.

Poza tym, od czegoś trzeba umrzeć.

- Czy powiedziała, kto jej zapłacił? - pytam głównie po to, żeby zyskać na czasie.

- Nie.

Moje zdziwienie rośnie. Ktoś komuś zapłacił, żeby dostarczył mi kopertę do jadłodajni. Ale skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, że tu będę? Ja sam jeszcze godzinę wcześniej o tym nie wiedziałem. Czy komuś o tym wspominałem? Chyba nie. Nikogo też nie spotkałem, kiedy wychodziłem z budynku. Było tam tylko paru przypadkowych studentów. Czyżby ktoś mnie śledził? Potrząsam głową. Skoro Romeo nawet nie wie, kto przyniósł kopertę, to z pewnością nie dojdę, kto ją wysłał. Jeśli osoba, która ją przyniosła, była studentką, to są ich tylko trzy tysiące na naszym uniwersytecie i jeszcze pięć tysięcy na uniwersytecie stanowym o kilka mil dalej.

- Ha - stwierdzam błyskotliwie.

Dee Dee wzrusza ramionami i wraca na dół. W końcu musi wydać lunch. W związku z tym tylko w towarzystwie Romea rozdieram kopertę - z boku,

bo nie ma potrzeby ryzykować - i wysypuję jej zawartość na dłoń. Ze środka wypada papierowy walec długości około dwóch cali. Nie ma żadnej notatki czy liściku. Tylko ten pakunek owinięty nieporządnie spiralą z taśmy klejącej. Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby zabezpieczyć to, co zakrywa papier.

- Otwórz, Profesorku - ponagla mnie Romeo, jak dziecko w Wigilię Bożego Narodzenia.

Odrywam przezrzystą spiralę, odwijam papier i znajduję wewnątrz brakujący biały pionek z ręcznie wykonanego kompletu szachów ojca.

ROZDZIAŁ 13

Znajoma twarz

(I)

Dziwnie się czuję, nie mając komu o tym opowiedzieć. Kiedy w szare, chłodne listopadowe popołudnie wracam do szkoły prawniczej, uderza mnie, że udało mi się stworzyć życie niemal pozbawione *przyjaciół*. Przechodzę obok kawiarni, punktów ksero i modnych sklepików odzieżowych, które otaczają chyba wszystkie miasteczka uniwersyteckie w Stanach Zjednoczonych. Mijam gromady pierwszoz rocznych studentów, którzy mimo dumnie deklarowanej odmienności wyglądają coraz bardziej jednakowo. Co gorsza, również myślą niemal tak samo, gdyż zakres akceptowalnych opinii na prawie każdy temat przygnębiająco się zawęża z każdym mijającym rokiem. Przechodzę obok wypełnionych po brzegi parkingów buforowych, które uniwersytet uznał za najprostsze rozwiązanie problemu ruchu drogowego na terenie kampusu. Bezimienni biurokraci zdecydowali, że wystarczy maksymalnie utrudnić parkowanie, a studenci i pracownicy zaczną zostawiać samochody w domu. Niekończące się szeregi aut przekraczających dozwolony czas postoju przy Town Street i Eastern Avenue wyraźnie świadczą o bezsensowności tego pomysłu, ale administracja uniwersytecka przypomina liniowiec oceaniczny, który nawet w obliczu góry lodowej nie potrafi się zdobyć na szybki zwrot.

Jeśli się nad tym zastanowić, to ja też nie opanowałem tej sztuki.

Dwukrotnie wyciągam pionek z kieszeni i uważnie go oglądam, jakby la-da moment miał ulec metamorfozie. Przypuszczam, że powinienem powiadomić o tym zdarzeniu FBI albo Cassie Meadows, ale dziwnie nie mam na to ochoty. Wcale nie czuję się zagrożony. Pionek nie jest ostrzeżeniem, tylko wiadomością. Potrzebuję nieco czasu, żeby rozszyfrować jego znaczenie.

Komu mógłbym się zwierzyć? Nie Addisonowi. On akurat się przyczaił i jest nieosiągalny. Nie Mariah, która wymyśla coraz bardziej szalone teorie na temat śmierci ojca, i gdybym do niej zadzwonił, przekształciłaby pionek w symbol pocisku lub fiolki trucizny.

- Nie mam komu o tym opowiedzieć - mruczę na głos.

Przechodzę przez kampus ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach wytartego prochowca. Kiedy docieram do tak zwanego Oryginalnego Czworoboku, gdzie znajdują się najstarsze zachowane budynki uniwersyteckie,

nadal jeszcze analizuję nieliczne możliwości, jakie mam przed sobą. Mogę porozmawiać z Kimmer, kiedy wróci z San Francisco, gdzie znowu wykonuje analizy „due dilligence” z Jerrym Nathansonem... ale ona chciała, żebym pozwolił całej sprawie ucichnąć. A może mógłbym porozmawiać z Drogą Daną, która obróciłaby to w żart, albo Robem Saltpeterem, który...

Jestem śledzony.

Początkowo nie mam pewności. Mężczyzna w zielonej wiatrówce, o alarmująco znajomej twarzy, pojawia się akurat, gdy przechodzę pod jednym z czterech kamiennych łuków wyznaczających granice Oryginalnego Czworoboku. Zatrzymuję się na chwilę, żeby się przywitać ze znajomą politolog, której córka chodzi wraz z Bentleyem do przedszkola. Ona wspomina coś na temat budowy nowego muzeum sztuki na rogu ulicy, obydwój się obracamy, żeby na nie spojrzeć i wówczas go dostrzegam, o kilkadziesiąt metrów ode mnie, jak idzie wraz z tłumem studentów. Wcale nie stara się ukryć, tylko odwzajemnia mi się bezpośrednim, czujnym spojrzeniem.

Nawet z tej odległości mam przygnębiającą pewność, kto to jest: beziemienny McDermott, człowiek, który udawał agenta FBI zaledwie dwa tygodnie temu w domu mojego ojca na Shepard Street.

Najpierw jednak próbuję sobie wytłumaczyć, że mogę się mylić, bo kiedy pokazuję go znajomej, już go nie widać - zniknął równie szybko jak moja miesięczna wypłata. To tylko nerwy, perswaduję sobie po odejściu koleżanki, ale zauważam go ponownie, dochodząc do nijakiego Czworoboku Nauk Ścisłych i Przyrodniczych z lanego betonu. Tym razem znajduje się przede mną. Siedzi spokojnie na schodach do budynku biologii, z wiatrówką położoną na kolanach i czyta uniwersytecką gazetkę. Kiedy przewraca strony, wyraźnie widać czerwone znamię. W porządku, chwilowo mnie przechytrył. Przyznaję, że to niezła sztuczka, ale ja znam kampus, a on nie. Nie wiem, co mną kieruje, że postanawiam go unikać, być może wspomnienie Freemana Bishopa. Skorzystam ze skrótu prowadzącego do szkoły prawniczej i zadzwonię do Cassie Meadows albo od razu do FBI. Wąski deptak pomiędzy budynkiem biologii a centrum komputerowym łączy Czworobok Nauk Ścisłych i Przyrodniczych z budynkiem administracyjnym. Skręcam tam gwałtownie, przemykam się błyskawicznie między dwoma studentami i wpadam pędem w boczne wejście do centrum komputerowego, machając niedbale kartą identyfikacyjną w kierunku przyszczonego portiera, który ledwo podnosi na mnie wzrok znad magazynu „People”. W moich studenckich czasach informatyka zajmowała zniszczony magazyn na obrzeżach terenów uniwersyteckich, granicząc z dzielnicą miejskiej biedoty. Dopiero później bardziej oświeconemu (lub przedsiębiorczemu) kierownictwu uczelni udało się zebrać kilkadziesiąt milionów dolarów na ten nowy ośrodek. Zerkam przez ramię - ani śladu McDermotta. Ale raz już okazał się sprytniejszy. Szybko przechodzę pseudokorytarzem utworzonym przez sięgające ramienia ścian-

ki oddzielające rzędy terminali komputerowych i docieram do schodów pożarowych. Wbiegam na drugie piętro, choć brakuje mi już oddechu i wychodzę pomiędzy gabinetami wykładowców. Profesorowie, których mijam, to wyłącznie biali mężczyźni - albo łysi, albo z włosami do ramion. Patrzą na mnie ze zdziwieniem. Wiedzą, że nie jestem jednym z nich, gdyż technologia informatyczna (może poza literaturą słowiańską) jest kierunkiem, na którym można znaleźć najmniej przedstawicieli ciemniejszej nacji. Mijam narożnik i docieram do wykonanej ze stali i szkła kładki dla pieszych, która umożliwia przejście na wysokości drugiego piętra nad ulicą Lowe Street do wydziału fizyki. Stamtąd zjeżdżam windą na parter i znów wychodzę na stopnie przed budynkiem.

McDermott zniknął.

Poprawiam płaszcz, podciągam spodnie i pochylam się, wciągając głęboki łyk czystego jesiennego powietrza. Dokucza mi palący ból w mięśniach otaczających żebra i w udach. Koszulę mam przemoczoną. Trudno teraz uwierzyć, że w szkole średniej biegałem na 880 metrów - nie najlepiej, ale biegałem, kierowany absurdalną chęcią współzawodnictwa z wysportowaną młodszą siostrą. Jednak Kimmer najwyraźniej ma rację, że muszę zadbać o formę, a granie z Robem Saltpeterem w koszykówkę raz czy dwa razy w miesiącu nie załatwi sprawy. Niemniej jednak, kiedy zbiegam po schodach, uśmiecham się lekko na myśl o drobnym zwycięstwie nad McDermottem, chociaż nie mam pojęcia, co on tu robi.

Okazuje się jednak, że to zwycięstwo było iluzoryczne, gdyż kiedy ruszam Eastern Avenue w kierunku szkoły prawniczej, skąd zamierzam zadzwonić przynajmniej po wewnętrzną policję, McDermott pojawia się u mego boku i spokojnie mi towarzyszy.

I wcale nie jest produktem mojej wyobraźni.

- Rozumiem, że pan mnie szukał - mówi, a w jego monotonnym tonie można się doszukać dumy sześćdziesięciolatka, który bez trudu dotrzymał kroku o dwadzieścia lat młodszej zwierzynie.

Nie, prawdę mówiąc, wcale nie - odmrukuje, starając się dzięki długim nogom utrzymać przed nim. - To FBI, prawdziwe FBI, pana szukało. Chcą pana wsadzić do więzienia.

- Tak, wiem. Przypuszczam, że będę musiał coś z tym zrobić. - Przeraża mnie rzeczowość jego tonu, sugerująca, że uważa, iż naprawdę *potrafi* coś z tym zrobić. Zatrzymuję się.

Odwracam się i patrzę mu prosto w twarz. - Niech pan posłucha, panie McDermott, czy jak tam się pan nazywa. Nie chcę z panem rozmawiać. Jak pan zapewne się domyśla, kiedy wrócę do gabinetu, zadzwonię po policję uniwersytecką i powiem im, że jest pan niebezpieczny. Potem zadzwonię do FBI i powiem, że pan mnie śledził.

Kiwa ponuro głową.

- W porządku - stwierdza, jakby udzielał mi pozwolenia. - Może pan to zrobić. Ale ściśle rzecz biorąc, nie śledzę pana. Przyszedłem tu dostarczyć wiadomość.

- Nie interesuje mnie to. - Zaczynam się odwracać. Kładzie mi dłoń na ramieniu. Strząsam ją, ale udaje mu się ponownie przyciągnąć moją uwagę.

- Profesorze Garland, proszę mnie wysłuchać...

- Nie, to ty mnie posłuchaj. - Przysuwam się o krok bliżej. Jestem od niego o około dziesięć centymetrów wyższy, ale nie widać, żeby się przestraszył. - To ty przysłałeś mi ten pionek, prawda? Wziąłeś go z domu mojego ojca i wysłałeś go do mnie. Chcę wiedzieć, dlaczego.

- Pionek?

- Przesłałeś mi pionek, a teraz mnie śledzisz, żeby zobaczyć, co z nim zrobię. - Jednak już kiedy wypowiadam te słowa, stwierdzam, że to mało prawdopodobne. Czemu miałby sądzić, że wiedziałbym, co zrobić z pionkiem z zestawu ojca? Uświadamiam sobie, że niemal mu wierzę. Przecież gdyby ukradł pionek i kazał mi go dostarczyć do jadalni, to po co by ścigał na siebie uwagę, pojawiając się tutaj? Brzmi to wszystko paranoicznie, zupełnie w stylu Mariah, tyle że pionek jest rzeczywiście w mojej kieszeni, a McDermott we własnej osobie stoi tuż przede mną.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Jego słowa brzmią szczerze, ale wydawał się równie szczerzy, kiedy twierdził, że jest z FBI. - Wiem, że nie potrafię pana skłonić, by mi pan zaufał, ale chciałbym, żeby pan rozumiał, że nie jestem pana wrogiem.

- O, oczywiście! Każdy, kto przychodzi do mnie w dzień po pogrzebie mojego ojca i mnie okłamuje, jest prawdziwym przyjacielem.

Na chwilę przymyka oczy, głośno wypuszcza powietrze i ponownie obdarta mnie tym dziwnie pustym spojrzeniem. - Profesorze Garland, chętnie przyznaję, że nie jestem tak bystry jak pan, toteż niewątpliwie może pan przez cały dzień zdobywać nade mną kolejne punkty przewagi. Bardzo dobrze. Nie musi mnie pan lubić, ale nie zmienia to faktu, że jesteśmy po tej samej stronie. Obaj chcemy tego samego.

- To świetnie, bo ja chcę, żeby zostawił mnie pan w spokoju. - Zazwyczaj nie zachowuję się tak impulsywnie i niemądrze, ale przełamawszy strach przed tym człowiekiem, przestaję nad sobą panować. Przypuszczam, że podobnie może czuć się człowiek pijany.

McDermott podnosi palec i kiwa nim ostrzegawczo. - Jak już powiedziałem, jest pan bystry, ale nie ma powodu do takiej wrogości. Naprawdę mamy wspólny interes.

Najeżam się ponownie. Nigdy nie lubiłem, gdy nazywano mnie bystrym, szczególnie gdy słyszałem to z ust przedstawiciela jaśniejszej nacji. Jakoś nigdy nie oznaczało to tego samego, co *inteligentny* czy choćby *blyskotliwy*, ale sugerowało raczej zwierzęcą przebiegłość. Być może drzemiący we mnie

semiotyk reaguje przesadnie, zakładając że wszystkie rozmowy mają podtekst rasowy; jednak często tak właśnie bywa.

- Nie jestem wrogo nastawiony, tylko po prostu pana nie lubię.

McDermott wzrusza ramionami, jakby chciał pokazać, że niejednokrotnie znosił niechęć lepszych ode mnie. - Nie przyjechałem taki kawał drogi, żeby się z panem kłócić - oznajmia. Mówi teraz płynniej niż na Shepard Street, ale nadal trudno ustalić, skąd pochodzi jego akcent. Może z Południa z domieszką... czegoś. - Przyjechałem powiedzieć, że bardzo mi przykro, iż wpadł pan w to wszystko. Wprawdzie nigdy nie poznałem pana ojca, ale bardzo go podziwiałem. Przykro mi, że przyszedliśmy z kolegą do pana domu tak wcześnie po pogrzebie, ale to było... konieczne.

Przez cały czas blokujemy zatłoczony chodnik. Studenci obchodzą nas z obu stron, ponownie tworząc grupki po ominięciu tej przeszkody.

- Konieczne do czego?

McDermott wydyma policzki, po czym powoli wypuszcza powietrze. Ręce ma schowane w kieszeniach wiatrówki. Wydaje się teraz słabszy niż kilka minut temu. Uświadamiam sobie, że może być nawet starszy, niż myślałem. W takim razie to jeszcze większy wstyd, że tak łatwo mnie dogonił.

- Jestem prywatnym detektywem - informuje mnie w końcu. - Odzyskuję dla ludzi różne rzeczy. Tak zarabiam na życie. Ludzie gubią rzeczy i wynajmują mnie, żebym je odnalazł.

- Jakie rzeczy? - przerywam niemądrze.

- Takie jak... *no, rzeczy*. - Wykonuje zamaszysty ruch dłonią, jakby chciał włączyć kampus do swojego życia zawodowego. - Powiedzmy, biżuterię. Zaginione osoby. Dokumenty. To właśnie robiłem w pana domu. - Kiwa głową, zapalając się do tematu. - Szukałem dokumentów.

- Dokumentów.

McDermott spogląda wzdłuż ulicy w kierunku szkoły prawniczej, potem ponownie na mnie. - Tak, dokumentów. Widzi pan, profesorze, pana ojciec jest... był prawnikiem. Jeden z jego klientów powierzył mu pewne dokumenty. Bardzo, bardzo poufne. Pana ojciec obiecał, że będą u niego zupełnie bezpieczne, że tak wszystko ułoży, żeby wróciły do klienta w razie, gdyby jemu coś się stało. Powiedział, że poczynił ustalenia, żeby je zwrócić. Potem zmarł. Przykro mi z tego powodu. Jednak on umarł, a dokumenty nie wróciły. Zatem klient wynajął właśnie mnie, żebym je odzyskał. To wszystko.

- Dlaczego klient nie mógł po prostu zadzwonić do firmy i o nie poprosić?

- Nie mam pojęcia. - Czeka, ale to najwyraźniej całe wyjaśnienie. Taką odpowiedź jest jego zdaniem wystarczająca.

- Czy pana klient zdaje sobie sprawę, że pan złamał prawo, żeby odzyskać dla niego te dokumenty?

- Klienta nie interesują moje metody, a ja nie informuję go, że łamię

prawo.

- Czy te dokumenty są wartościowe?
- Tylko dla klienta.
- Co to jest? Co w nich się znajduje?
- Nie mogę tego powiedzieć.
- Zatem, kto jest tym klientem?
- Tego też nie mogę powiedzieć.
- Pracuje pan dla Jacka Zieglera, prawda?

W końcu w jego głosie pojawia się cień emocji. - Nie wszystko, co powiedziałem panu w Waszyngtonie, było nieprawdą. Jack Ziegler *jest* szumowiną. A ja nie pracuję dla szumowin. - Najdziwniejsze, że kiedy to mówi, wychwytuje, jakby telepatycznie, leciutki powiew słowa *już*.

- W porządku, zatem dlaczego ja? Szukał pan dokumentów, które klient dał mojemu ojcu. Dlaczego nie porozmawiał pan z moim bratem lub siostrą? Dlaczego przyszedł pan do mnie?

- To była sugestia klienta - odpowiada gładko.

- Klient kazał panu spytać mnie? Dlaczego sądził, że ja cokolwiek o tym wiem?

- Nie mam pojęcia, profesorze. Jednak musiałem spróbować.

Potrząsam głową. - Ale po co wszystkie te kłamstwa? Dlaczego po prostu pan nie przyszedł i nie powiedział, o co chodzi?

- Być może to był błąd - zgadza się człowiek, którego nazwisko z pewnością nie brzmi McDermott. Nie widać po nim najmniejszego zmieszania. Nawet uśmiecha się krzywym uśmiechem, przy którym uwydatnia się różowa blizna w kąciку ust, wyglądająca jak rana od noża.

- Raz jeszcze przepraszam, że niepokoiłszy pana w tak trudnych chwilach. Jedno mogę panu obiecać. Pan i pana rodzina jesteście zupełnie bezpieczni. Nigdy więcej mnie pan nie zobaczy.

W jego tonie uderza mnie coś dziwnego, jakby za jego pomocą starał się przekazać coś jeszcze. Dlaczego mnie uspokaja, skoro go o to nie prosiłem?

- W związku z czym jesteście bezpieczni?

Znów zastanawia się przez dłuższą chwilę, jakby chciał rozstrzygnąć, ile może ujawnić. W końcu ogranicza się do mglistego stwierdzenia:

- W związku ze wszystkim, co może się zdarzyć.

Jednak mnie to nie wystarcza. - A co konkretnie może się zdarzyć?

- Wszystko. - Inteligentnymi, zmęczonymi oczami wpatruje się w przestrzeń. Potem znów przenosi spojrzenie na mnie. - Coś panu powiem, profesorze. Pytał mnie pan o pionki? My się nie liczymy, pan i ja. Wielcy ludzie toczą ze sobą walkę, a *my* jesteśmy ich pionkami. Nasze upodobania nie mają tu nic do rzeczy. Mną manipulują i panem też manipulują.

- Wprawia mnie pan w zdenerwowanie - przyznaję.

- A przecież staram się pana uspokoić. Zatem, powinienem ponownie

pana przeprosić. - Znowu błyska krzywym, różowym uśmiechem.

- Przykro mi. Naprawdę. Nie jestem pana wrogiem. W rzeczywistości łączą nas wspólny interes...

- Nie, bynajmniej. - Gniew pomaga mi w końcu wyzwolić się z początkowego zastraszenia. Pamiętam swoją rolę. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Nie mam najmniejszych podstaw, by panu ufać. Nie ma nawet powodu, żebym z panem rozmawiał. Zatem, jeśli pan pozwoli...

- Dobrze, dobrze - podnosi obie ręce w geście poddania. - Ale ja nadal mam zadanie do wykonania. Muszę przecież znaleźć te dokumenty.

- Nie, jeśli ja znajdę je pierwszy - odwarkuję niemądrze.

Oczy McDermotta rozszerzają się zadowoleniem, jakby w końcu sprowokował reakcję, na której mu zależało. - Mam nadzieję, że pan je znajdzie, profesorze. Naprawdę. - Szybkie skinienie głową. - Jednak, jeśli można, chciałbym zadać jeszcze jedno pytanie. - W tym momencie uświadamiam sobie od razu, że głównym celem jego wizyty było zadanie tego jednego pytania.

Nie interesują mnie żadne pana pytania.

- Ono dotyczy pana przyjaciółki Angeli.

Przez chwilę milczę, przeglądając w myślach krótką listę swoich znajomych.

- W tej chwili nie pamiętam, żebym znał kogoś o imieniu Angela. - Nadal czekam na pytanie, sądząc, że to tylko wstęp. Potem dociera do mnie, że to właśnie było owo pytanie.

- Dziękuję - mówi Nie-McDermott. - Muszę już iść. Nie będę więcej panu przeszkadzał.

- Chwileczkę... proszę zaczekać - kładę dłoń na jego ręce, zauważając nagły przestрах w oczach. Najwyraźniej, podobnie jak Dana Worth, nie lubi być dotykany.

- Tak? - Stara się zdobyć na cierpliwy ton, ale w jego oczach wyraźnie widać irytację. Wykonał swoje zadanie i teraz chce jak najszybciej się oddalić.

No, cóż, ja także jestem zirytowany. Okłamywał mnie w domu mego ojca, zjawiał się ni stąd, ni zowąd na uniwersytecie, żeby wypytywać mnie o osobę imieniem Angela, a ja nadal zupełnie nic o nim nie wiem.

- Niech pan posłucha. Odpowiedziałem na pana pytania. Jeśli rzeczywiście jest panu przykro, może pan odpowie przynajmniej na jedno moje.

- Co to za pytanie?

- Jak brzmi pana prawdziwe nazwisko?

Mężczyzna w zielonej kurtce, mężczyzna, którego praca polega na znajdowaniu zagubionych rzeczy, mężczyzna, dla którego wiek nie jest przeszkodą, aby dotrzymać mi kroku, unosi cienkie brwi w wyrazie zaskoczenia.

- Prawdę mówiąc - odpowiada po dłuższej chwili - wydaje mi się, że go nie

mam.

Ponownie grozi mi palcem, odwraca się i po chwili znika w tłumie studentów.

(II)

Cały się trzęsę, kiedy docieram do swojego gabinetu.

Nie jestem może macho, ale też niełatwo mnie przestraszyć - mężczyźni Garlandów słyną z umiejętności zachowania spokoju.

Jednak McDermott mnie przestraszył.

Przyczyna tkwi nie tyle w jego tajemniczości i nieoczekiwanym pojawianiu się, lecz raczej w tym, co przytrafiło się ojcu Bishopowi. Sierżant Ames była pewna, że to morderstwo nie miało związku z naszą rodziną, jednak...

Jednak McDermott jest tutaj.

Lęk, który mnie ogarnia, gdy siadam przy biurku i zastanawiam się, dokąd najpierw zadzwonić, nie jest fizycznym strachem o siebie. Martwię się o żonę i syna. McDermott zadał sobie tyle trudu, żeby mnie poinformować, iż moja rodzina jest bezpieczna - a to tylko zwiększa moje zdenerwowanie. Na razie przestaję myśleć o magicznym pionku. Teraz muszę chronić rodzinę.

Postanawiam, że zabiorę Bentleya wcześniej z przedszkola i dzwonię, żeby go przygotowali. Dodaję również, żeby pod żadnym pozorem nie wypuścili go z nikim, poza mną lub moją żoną. Co było do przewidzenia, nauczyciele czują się obrażeni przypomnieniem im o zasadach, które sami stworzyli. Bardziej obchodzi ich własne ego niż niepokój rodziców.

W każdym razie jeden telefon z głowy.

Teraz dzwonię do jednego z agentów FBI, którzy przesłuchiwali mnie w dzień po wizycie McDermotta na Shepard Street. Tęgi, żwawy mężczyzna nazwiskiem Nunzio kazał mi wówczas kontaktować się z nim, gdybym usłyszał coś nowego. Zostawiam mu wiadomość w poczcie głosowej. Potem dzwonię na pager i telefon komórkowy, których numery wpisał mi na wizytówce. Telefon komórkowy nie odpowiada, więc tylko zostawiam wiadomość na pagerze.

Myśl.

Zastanawiam się, czy zawiadomić policję uniwersytecką, ale odrzucam ten pomysł, bo co właściwie mieliby w tej sytuacji zrobić.

Najrozsądniejszym rozwiązaniem jest chyba zatelefonowanie do wujka Mała, ale nie bardzo mam na to ochotę. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z nim dwa razy, aby dowiedzieć się o postępach śledztwa w sprawie morderstwa ojca Bishopa, i odniosłem nieodparte wrażenie, że wujek przestał mnie słuchać, a zaczął tolerować. W końcu ma do wykonania pracę, za którą mu płacą, a ciągle łagodzenie bezsensownych lęków syna jego zmarłego współ-

nika zapewne zaczęło przekraczać granice jego wielkoduszości. Kiedy zadzwoniłem po raz drugi, zasugerował, żebym w takich „rutynowych sprawach” kontaktował się z Meadows. On obecnie jest bardzo zapracowany, dodał, i będzie się zajmował tylko kwestiami związanymi z nominacją mojej żony. Może to i dobrze. Mam już dość proszenia go o przysługi. Mój ojciec nieustannie nam powtarzał, żebyśmy unikali błędu popełnianego przez tak wielu przedstawicieli ciemniejszej nacji, którzy przez całe życie pokornie zwracają się o pomoc do potężnych białych.

Jednak nie mam wyboru.

Ledwo zdążyłem podnieść słuchawkę, żeby zadzwonić do Corcorana & Kleina, gdy Dorothy Dubček, moja matkująca mi sekretarka, powiadamia mnie przez wewnętrzny telefon, że dzwoni agent Nunzio.

- Właśnie rozmawiałem z tą pana znajomą - oznajmia szorstko, nie pytając nawet, po co starałem się z nim skontaktować. - Bonnie Ames.

Przez chwilę staram się zrozumieć, o kogo chodzi. Nigdy nie miałem pamięci do nazwisk. Kimmer twierdzi, że jestem po prostu nieprzyjazny ludziom, Droga Dana, że to genetyczne i nazywa to moją „orientacją społeczną”, a Rob Saltpeter mówi, że zapamiętywanie nazwisk nie jest takie ważne, jeżeli szanujemy Boga w każdym, kogo poznamy.

Odpowiedź Roba podoba mi się najbardziej, ale Kimmer najlepiej mnie zna.

- Bonnie Ames - powtarzam niemądrze.
- Tak, sierżant Ames. Poznał ją pan.
- Och, rzeczywiście. - Pauza, gdyż każdy z nas czeka, żeby drugi odezwał się najpierw. W końcu nie wytrzymuję. - Zatem, o czym pan z nią rozmawiał?

Nunzio przechodzi na język policyjny: - Poinformowała mnie, że zatrzymali podejrzanego.

- Co takiego?
- O zabójstwo Freemana Bishopa.
- Kto to jest?
- Jakiś handlarz narkotyków.
- Żartuje pan. - Ogarnia mnie nagle uczucie ulgi, że to jednak nie McDermott. W chwilę później już się tego wstydzę. Ale jednak mimo wszystko to nie McDermott.

- Biuro nie zezwala na żartowanie.
- Bardzo zabawne.
- Ona chce, żeby pan do niej zadzwonił. Sama chce podać panu szczegóły. - Szybko recytuje numer, który już znam. - Po co pan dzwonił na pager?

Nagła zmiana tematu na chwilę wytrąca mnie z równowagi. Obecnie ta wcześniejsza sprawa nie wydaje się już taka ważna. Jednak agent Nunzio

jest innego zdania. Ledwo powiedziałem mu, że widziałem McDermotta, natychmiast zasypuje mnie lawiną pytań dosłownie o wszystko - od koloru butów fałszywego agenta do kierunku, w jakim się oddalił. Moje odpowiedzi go nie zadowalają. Wypytuje mnie, czy naprawdę sędzę, iż McDermott przyjechał aż do Elm Harbor tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy mam przyjaciółkę imieniem Angela. Zapewniam go, że tak mi się wydaje. Wtedy pyta, czy przychodzi mi na myśl, dlaczego McDermott mógł sądzić, że mam przyjaciółkę imieniem Angela, a ja przyznaję, że absolutnie nie. Zadaje pytanie, czy w rzeczywistości mam przyjaciółkę imieniem Angela, ale mogę tylko odpowiedzieć, że żadna nie przychodzi mi na myśl. Prosi mnie, żebym zadzwonił, gdybym sobie jakąś przypomniał, a ja obiecuję, że to zrobię.

- To może być ważne - ostrzega mnie.

Sam też na to wpadłem.

- Nie chcę, żeby pan się denerwował, profesorze Garland - dodaje, nie spodziewanie stając się bardziej wylewny. - Jeżeli McDermott rzeczywiście jest prywatnym detektywem, to z pewnością go namierzemy, i jego klienta również. Ci faceci bywają uciążliwi, ale z pewnością jest nieszkodliwy.

- Skąd pan to może wiedzieć? - pytam dość ostrym tonem spowodowanym wcześniejszym zdenerwowaniem. Wcale mnie nie uspokaja, że McDermott powiedział mniej więcej to samo: *Pan i pana rodzina jesteście zupełnie bezpieczni... w związku ze wszystkim, co może się zdarzyć.* Mam wrażenie, że wszyscy coś wiedzą, ale mnie do tego nie dopuszczają. Jednak aresztowanie zabójcy Freemana Bishopa sprawia, że czuję się bezpieczniej... bezpieczniej ze względu na swoją rodzinę. W każdym razie troszkę bezpieczniej. - Skoro go nie znaleźliście, skąd możecie wiedzieć, że jest nieszkodliwy?

- Bo stale mamy do czynienia z takimi ludźmi. Kłamią, żeby zdobyć informacje, śledzą ludzi, kręcą, ale to wszystko. - Chwila wahania. - Chyba że ma pan jakieś dowody, które temu przeczą. Mam na myśli dotyczące McDermotta.

- Nie.

- Powiedział mi pan wszystko?

- Tak. - Podobnie jak podczas spotkania z sierżant Ames, mam wrażenie, że jestem przesłuchiwany, lecz nie mam pojęcia, na jaki temat.

- No, to w takim razie jest tak, jak powiedziałem. - Wyraźnie zmierza do końca rozmowy. - Nie ma powodu się martwić. Może pan dalej... no, zrobić to, co pan robi.

- Agencji Nunzio...

- Proszę mi mówić Fred.

- Fred, posłuchaj. Ty jesteś w Waszyngtonie. Ja jestem tutaj i McDermott też. Skłamałbym, gdybym nie przyznał, że...

- Denerwuje się pan.

- Tak.

- Rozumiem. Jednak mam nieco ograniczone możliwości, no, a ten McDermott nie groził panu...

- Nie, tylko wpadł, żeby poudawać agenta FBI.

Niemal słyszę, jak myśli, kiedy rozważa nie tylko kwestię praktyczną, ale i polityczną - kto jest komu winien, i za co.

- Zrobimy tak. Naprawdę nie sądzę, żeby miał pan powód do zdenerwowania. Chciałbym to podkreślić. Jednak jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej, zadzwonię w kilka miejsc. Nie mamy tam oddziału, ale zobaczę, co da się zrobić. Może policja zgodzi się częściej patrolować okolice pana domu, dopóki nie wytropimy McDermotta.

Wiem, że to próba ułagodzenia mnie i wiem też, że nie ma powodu się denerwować, niemniej jednak odczuwam wdzięczność.

- Doceniam to.

- Cała przyjemność po mojej stronie, profesorze. - Pauza. - Och, i mam nadzieję, że wszystko ułoży się pomyślnie dla pana żony.

Dopiero po odłożeniu słuchawki uświadamiam sobie, że nie powiedziałem mu o pionku. Jednak być może wcale nie miałem takiego zamiaru.

(III)

No, to zostaje mi Bonnie Ames.

Teraz, kiedy zyskała imię, nie wydaje się już taka onieśmielająca. Jednak gdy w końcu udaje mi się z nią skontaktować, zachowuje się tak szorstko, że trudno uwierzyć, iż prosila mnie o kontakt. Może nadal odczuwa naciski ze strony wujka Mala albo zaspokaja potrzebę napawania się tym, jak niesłuszne były nasze podejrzenia. Aresztowań w sprawie bestialskiego mordu (jak określają tę sprawę reporterzy) ojca Freemana Bishopa dokonano dzisiaj we wczesnych godzinach porannych, mówi. Okazało się, że nie są to członkowie Ku-Klux-Klanu, ani skinheadzi, ani neonaziści, ani fałszywi agenci FBI, tylko drobny sprzedawca cracku z Landover w Maryland - *zupelnie nikt*, jak go nazywa pani sierżant - dwudziestodwuletni Sharik Deveaux, o ulicznym pseudonimie Conan, oraz członek jego bandy. Słuchając jej relacji, przebiegam jednocześnie wzrokiem tę historię na stronie internetowej „USA Today”. Sierżant Ames ze szczególną przyjemnością informuje mnie, że Conan jest czarny, czego zdążyłem się już domyślić. - Zatem nie ma mowy o motywie rasowym - zaznacza, zupełnie jakbym to ja, a nie media, sugerował taki motyw. Pan Deveaux, kontynuuje pani detektyw, przyznał się, że regularnie sprzedawał ojcu Bishopowi crack. Oczywiście wypiera się morderstwa. Ale inny członek gangu twierdzi, że pomagał Conanowi pozbyć się ciała, kiedy już było po wszystkim, a ktoś inny słyszał, jak

Conan się przechwalał tym czynem. - Poza tym był już zamieszany w tego typu rzeczy - dodaje, nie rozwijając tego stwierdzenia.

Przez ułamek sekundy oczyma wyobraźni widzę tę zbrodnię. Freeman Bishop związany, zakneblowany czy jeszcze w inny sposób unieruchomiony, a ci dwaj przypalają, tną i dźgają jego skręcające się, bezradne ciało, jego rozpaczliwy ból będący właściwym celem tego doświadczenia, ostateczny sprawdzian jego wiary na tym nieszczęsnym kole tortur w obliczu szybko zbliżającej się nieświadomości: *by Twoja męka i śmierć... odkupiła nasze grzechy*. W tej jednej chwili, gdy koniec jest nieubłagany, my wszyscy, wierzący i niewierzący, grzesznicy i święci, odkrywamy, w co naprawdę wierzymy, co naprawdę wiemy i kim naprawdę jesteśmy. A kimże ja bym się stał w takiej chwili z moją niepewną, słabą wiarą? Lepiej o tym nie myśleć.

- A czy to się utrzyma w sądzie? - pytam nieśmiało.

Sierżant Ames jest bardziej rozbawiona niż zirytowana. Dowody są przytłaczające, zapewnia mnie, ale to i tak nie dojdzie do sądu. Wcześniej czy później prawnik wytłumaczy Deveaux, żeby przyznał się do winy i uniknął w ten sposób kary śmierci.

- Czy w stanie Maryland wykonuje się karę śmierci?

- Rzadko, ale pan Deveaux był na tyle niemądry, by zabić ojca Bishopa w Wirginii. Tutaj tylko wyrzucił ciało.

- Dlaczego?

- To już jego musiałby pan spytać. Tylko czasem niech pan nie próbuje.

- Jaki wyrok może dostać? To znaczy, jeśli przyzna się do winy?

- Dożywocie, bez możliwości warunkowego zwolnienia, to najlepsze, na co może liczyć. A gdyby chciał procesu w Wirginii? Zapewne skończy się na zastrzyku.

Przeraża mnie jej niedbała pewność siebie. - I jest pani pewna, że to zrobił? Całkowicie pewna?

- Nie, mamy tu zwyczaj dokonywać aresztowań na chybił trafił.

Szczególnie za morderstwo. Potem staramy się dopasować dowody. Czy właśnie tego uczą w Ivy League?

- Nie chciałem pani obrazić...

- On to zrobił, panie Garland. Na pewno.

- Dziękuję za...

- Muszę lecieć. Proszę pozdrowić ode mnie siostrę.

Dzwonię do Mariah, żeby podzielić się z nią swoją ulgą, że zabójstwo Freemana Bishopa nie miało jednak nic wspólnego z Sędzią, lecz gospodyni (nie mylić z *au pair* ani kucharką) informuje mnie, że moja siostra znów jest w Waszyngtonie. Dzwonię zatem na jej telefon komórkowy i zostawiam wiadomość. Próbuję na Shepard Street i też nikt nie odbiera. Może to i dobrze - zapewne powiedziała mi, że to aresztowanie zostało ukartowane jako część spisku. Szukam zatem Addisona w Chicago i ku swojemu zdumieniu

mieniu odnajduję go w jego domu w Lincoln Park. Przekazane przeze mnie wieści bardziej go zasmucają niż radują. Szeptem coś, czego dokładnie nie rozumiem, o hinduskim bogu Warunie, przechodzi do cytatu z Euzebiusza i ostrzega mnie, żebym nie czerpał przyjemności z cierpienia innych, nawet tych, którzy grzeszą. Kiedy przychodzi moja kolej, żeby się odezwać, zapewniam go, że wcale z tego nie czerpię przyjemności, ale Addison przerywa mi, że nie ma teraz czasu rozmawiać, bo musi złapać samolot - co zapewne jest kłamstwem. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń podejrzewam raczej, że znajduje się w łóżku z kobietą. Może Beth Olin, chociaż w wypadku mojego brata dwa tygodnie to byłoby za długo na jedną dziewczynę.

- Musimy się spotkać - mruczy tak przekonująco, że niemal wierzę, iż naprawdę tak sądzi. - Zadzwoń do mnie następnym razem, gdy będziesz na Środkowym Zachodzie.

- Nigdy nie oddzwoniasz. - Jękliwy młodszy brat.

- Moi ludzie musieli gdzieś zgubić twoje wiadomości. Przepraszam, Misha. - *Moi ludzie*. Szkoda, że Kimmer tego nie słyszy.

- Słuchaj, jest kilka spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać - nalegam.

- Dobrze, dobrze. Posłuchaj, braciszku, teraz się spieszę. Zadzwoń później.

Addison rozłącza się - być może jego ludzie przyjechali, żeby go zabrać na lotnisko. Nie zdążyłem mu powiedzieć, że większość wiadomości zostawiłem u niego w domu.

ROZDZIAŁ 14

Różne rodzaje wolności słowa

(I)

We wtorek po lunchu spotykam się z uczestnikami prowadzonego przeze mnie seminarium na temat „Uregulowań prawnych struktur instytucjonalnych”. Podczas tego seminarium zajmujemy się wszystkim, od przepisów dotyczących papierów wartościowych poprzez prawo kanoniczne do zasad wyboru rady studenckiej, jednocześnie próbując ustalić nie to, jak dana zasada brzmi, lecz co rzeczywiście oznacza i jaki to ma związek z zadaniem konkretnej instytucji. W zajęciach tych uczestniczy część najinteligentniejszych studentów ze szkoły prawniczej i lubię je najbardziej ze wszystkich, które prowadzę. Dzisiaj jesteśmy świadkami zachwycającego, uprzejmego starcia pomiędzy moimi ulubionymi studentami - błyskotliwą, choć nieco zbytkowaną Crystą Smallwood, która nadal stara się obliczyć, kiedy wyginie biała rasa, oraz równie uzdolnionym Victorem Mendezem, synem kubańskiego uchodźcy odgrywającego obecnie ważną rolę w szeregach Partii Republikańskiej, który zapewne i tak zajmuje pozycję bardziej na lewo niż sam Victor. Ja odgrywam rolę sędziego, a Crysta i Victor, siedząc po przeciwnych stronach stołu seminaryjnego, zmagają się z kwestią, czy molestowanie seksualne jest symbolem zawodności instytucji czy człowieka. Kiedy ogłaszam, że czas się skończył - gdyż zajęcia trwają do czwartej - przyznaję Crystie zwycięstwo na punkty. Uśmiecha się, a kilkanaście osób śmieje się i poklepuje ją po plecach. Przypominam im, że w przyszłym tygodniu się nie zobaczymy, gdyż wyjeżdżam na konferencję do Waszyngtonu, oraz żeby złożyli u mojej sekretarki wstępne wersje prac semestralnych, zanim wrócę. Jednak wśród studentów tego kalibru nie słychać żadnych narzekań.

Naprawdę bywają dni, kiedy uwielbiam uczyć!

Radośnie wbiegam po schodach do biura Dorothy Dubček i zabieram od niej czekające na mnie wiadomości i faksy, po czym zbiegam do swojego niewielkiego zakątka w szkole prawniczej. Przed gabinetem pozdrawiam wesoło Amy Hefferman, moją sąsiadkę w budynku Oldie która była w szkole prawniczej jeszcze z moim ojcem. Mruga teraz zmęczonymi oczami i informuje mnie, że poszukuje mnie dziekan Lynda, a ja kiwam głową, jakby mnie to cokolwiek obchodziło. W zaciszu własnego pokoju rzucam wszystko na biurko i sprawdzam pocztę głosową. Nic ważnego. Jakiś dziennikarz z

pytaniem, o dziwo, o prawo deliktowe, a nie o Sędziego. American Express - znów jestem spóźniony z płatnościami. I asystentka Lyndy Wyatt: pani dziekan chce ze mną rozmawiać, prawdopodobnie o współzawodnictwie Kimmer z Markiem Hadleyem. Nie, dziękuję. Zamiast tego dzwonię do przedszkola Bentleya, żeby się upewnić, że z nim wszystko w porządku. Irytacja dyrektorki dociera do mnie nawet przez telefon. Uśmiecham się do siebie - dopóki okazuje złość, oznacza to, że z moim synem jest wszystko w porządku.

Zaskakuje mnie mój własny nastrój. Na dobrą sprawę, powinienem być zniechęcony. Minał tydzień od mojego spotkania z Nie-McDermottem, tydzień od dostarczenia mi pionka w bezpłatnej jadłodajni, tydzień od aresztowania Sharika Deveaux. Pięć dni temu Kimmer wróciła z San Francisco i z czułością starała się mnie uspokoić. Wzdrygasz się na widok cieni, wymruzczała, całując mnie delikatnie. Powinienem patrzeć na wszystko racjonalnie, oznajmiła, gotując mi doskonały obiad. Jeśli pionek był rzeczywiście wiadomością, a nie niesmacznym żartem, to jego nadawca prędzej czy później wyjaśni mi jego znaczenie, szeptała z głową na moim ramieniu, gdy razem oglądaliśmy stary film. Czego tu się obawiać, pytała łagodnie, kiedy leżeliśmy w ciemności naszej sypialni, zdumiewająco swobodnie czując się ze sobą. Morderca siedzi w więzieniu, a McDermott jest nieszkodliwy, zdaniem Federalnego Biura Śledczego. Dzień w dzień powtarzała mi te same argumenty, uspokajając mnie i przekonując. Stopniowo od strachu przeszedłem do zdenerwowania i w końcu zwykłego zaniepokojenia. Jednak nadal nie czuję się jeszcze zupełnie spokojny. Ponadto usiłuję odpędzić od siebie podejrzenie, że prawdziwym powodem, dla którego moja żona pragnie mnie uspokoić, jest chęć dopilnowania, by nic nie zakłóciło procesu jej wyboru na sędziego.

Dzisiaj nic mi nie może zepsuć nastroju. Pogoda się poprawiła. Jest około dziesięciu stopni i to w samym środku jesieni w Nowej Anglii. Wraz ze wzrostem temperatury mój humor też się poprawił. Dzisiaj, po raz pierwszy od śmierci Sędziego, czuję się rzeczywiście jak profesor prawa. Z przyjemnością prowadzę zajęcia i wygląda na to, że studenci też są zadowoleni. (Oprócz Avery'ego Knowlanda, który zaczął chodzić w kratkę, a kiedy już jest obecny, prawie się nie odzywa. Muszę coś z tym zrobić). Przypominam sobie, że to ja wybrałem ten zawód, a nie on mnie, i że dotąd dość dobrze sobie radziłem.

Mruczę sobie pod nosem kawałek Ellingtona, kiedy sięgam po karteczki z wiadomościami. Na jednej z nich czytam, że chciał się ze mną skontaktować John Brown, jedna z najbardziej przeze mnie lubianych osób. Podczas studiów licencjackich był on moim kolegą z roku, a teraz wykłada inżynierię budowlaną w Ohio. Jest to również najbardziej zrównoważony człowiek, jakiego znam. Natychmiast do niego dzwonię, gdyż mam nadzieję, że chce

porozmawiać o swojej wizycie z żoną i dziećmi w Elm Harbor, zaplanowanej za kilka tygodni. Wymieniamy uprzejmości, John mówi, że jego rodzina nie może się już doczekać pobytu u nas, a w końcu ujawnia powód swojego wcześniejszego telefonu. Okazuje się, że wczoraj wpadł do niego agent FBI sprawdzający przeszłość mojej żony w związku z możliwością objęcia przez nią „wysokiego stanowiska w administracji rządowej”. John chce się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi, oraz dlaczego on i jego żona Janice dowiadują się ostatni.

Problem tylko w tym, że - jak mnie zapewnił Mallory Corcoran - sprawdzanie przeszłości Kimmer jeszcze się nie rozpoczęło. Ten tak spokojny i wesoły dzień staje się równie ponury jak poprzednie.

- John, posłuchaj. To ważne. Powiedz mi, czy agent, który z wami rozmawiał, nie nazywał się czasem McDermott.

Słyszę śmiech starego przyjaciela: - Nie masz się czym martwić, Misha. To na pewno nie był Mc-coś-tam. Jestem raczej pewien, że nazywał się Foreman.

Staram się go nie zdenerwować. Delikatnie wydobywam z niego kilka szczegółów, tłumiąc uczucie nagłej pustki w żołądku. Nie potrafię go okłamać. Mówię zatem, że człowiek nazwiskiem Foreman w rzeczywistości nie pracuje w FBI, tylko jest prywatnym detektywem, a udając agenta, łamie prawo. Uprzedzam go, że prawdziwe FBI będzie zapewne chciało z nim porozmawiać, bo szukają tego człowieka. Spodziewam się, że John będzie miał do mnie pretensje, ale on pyta tylko, czy wpadłem w jakieś kłopoty. Odpowiadam, że raczej nie, i obiecuję, że w miarę możliwości wszystko mu wyjaśnię, kiedy do nas przyjadą. Po zakończeniu rozmowy ukrywam twarz w dłoniach, znowu czując ciężar depresji na ramionach. Zastanawiam się, jak mogłem być tak głupi, żeby sądzić, że to już koniec.

I ten właśnie moment wybiera Mariah, żeby do mnie zadzwonić i poinformować, w jaki sposób zamordowano Sędziego.

(II)

- Odłamki pocisku - powtarzam, żeby się upewnić, czy dobrze usłyszałem słowa siostry.

- Zgadza się, Tal.

- W głowie Sędziego.

- Zgadza się.

- Odłamki, które w jakiś sposób przeoczono podczas autopsji. - Klikam szalenie myszką, starając się znaleźć stronę internetową, którą Marian opisuje z takim upodobaniem. Akurat tego mi potrzeba. Jest tysiąc sto rzeczy, które chętniej bym robił w tym momencie, ale zobowiązania wobec

rodziny są niezbywalne, jak chętnie powtarza Rob Saltpeter.

- Celowo, Tal. - Mariah nagle traci cierpliwość. - Nie przypadkowo. Nie chcieli, żebyśmy się dowiedzieli. Oni nie chcieli, żeby ktokolwiek się dowiedział.

- *Oni*, to w tym wypadku...

- Nie wiem. Dlatego właśnie potrzebna nam pomoc.

- To dlaczego w domu nie było krwi? - Jestem dumny z siebie, że udało mi się zadać w miarę inteligentne pytanie. Klótnia z Mariah pomaga mi przynajmniej zapamiętać, że Foreman i McDermott są nadal na wolności.

- Zmyli ją.

Oczywiście.

- Albo przenieśli ciało - sugeruję ironicznie, ale Mariah bierze to za dobrą monetę.

- No, właśnie! Jest wiele możliwości.

Uniwersytet z upodobaniem inwestuje w wydziały nauk ścisłych, ale w szkole prawniczej mamy oszczędnościowe urządzenia techniczne, w tym przedpotopowe komputery, w związku z czym ściągnięcie zdjęć z sekcji ojca zajmuje wieki. Tymczasem już niemal pora, żeby odebrać Bentleya z przedszkola. Powiedziałem Mariah o tym na wstępie rozmowy, jednak twierdziła, że jej wieści zajmą minutkę. Czekając na komputer, podnoszę się i przeciągam. Od dwóch tygodni wysłuchuję coraz bardziej szalonych teorii swojej starszej siostry na temat tego, co naprawdę się zdarzyło. Pomimo jednoznacznych wyników autopsji Mariah utrzymuje, że tyle wpływowych osób chciało się ojca pozbyć, iż niewątpliwie część z nich połączyła siły i dopięła swego. Mariah czytała o lekach, które mogą wywołać atak serca. Przez kilka dni było to zatrucie chlorkiem potasu - patolog nie dość starannie szukał śladów po igle. Potem był kwas pruski: nie przeprowadzono badania nasycenia tkanek tlenem. Za każdym razem, kiedy okazuje się, że moja siostra nie ma racji, natychmiast wynajduje coś nowego. Przyparta do muru niemal zawsze przyznaje, że zasugerowała jej to kolejna strona internetowa. Pamiętam, co Addison, właściciel kilku witryn internetowych, zwykł mawiać o sieci: *Jedna trzecia handlu, jedna trzecia porno i jedna trzecia kłamstw, cała prymitywna strona naszej natury podczas jednego krótkiego postojku.*

- A jakiej pomocy, twoim zdaniem, potrzebujemy? - pytam.

- Jest mnóstwo ludzi, którzy chcą nam pomóc - wyjaśnia radośnie, choć tajemniczo Mariah. - Naprawdę mnóstwo. - Krzywię się, zastanawiając, jakie myśli chodzą jej po głowie, gdy przez cały dzień siedzi sama z dziećmi w swoim pałacu, jak to nazywa Kimmer, w Darien. Zapewne dzwonią do niej ci sami dziwacznicy, co do mnie, skrajnie prawicowe organizacje wykrywające spiski wszędzie, gdzie przegrają, no, i oczywiście wówczas, gdy w tak prozaiczny sposób tracą jednego ze swych asów. Prawdziwych mężczyzn się morduje. Ataki serca są dla mięczaków.

- A co dokładnie chcą zrobić, dziecinko?
- No, przede wszystkim dadzą do gazet ogłoszenia wzywające do wszczęcia śledztwa.

- Świetnie. Kiedy mają zamiar wystartować z tym świetnym pomysłem? - Mam nadzieję, że wcześniej uda mi się namówić wujka Mala lub innego z ojca waszyngtońskich znajomych, aby temu zapobiegł.

- Nie mów do mnie takim tonem, Tal. Poczekaj, aż zobaczysz zdjęcia. Co, jeszcze ich nie widzisz? - stara się mi dopiec.

- Za chwilę. - Wracam na swoje krzesło. - Kiedy ukaże się ogłoszenie, Mariah?

- Niedługo - mruczy, nie mając już pewności, czy jestem jej sprzymierzeńcem.

- Mariah, wiesz co... o, poczekaj. - Skończyło się ściąganie i widzę cztery dość krwawe fotografie, ale żadnego dowodu, że są autentyczne. Na trzech z nich nie widać twarzy nieboszczyka, ale budową nie przypomina on Sędziego, a kolor skóry ma o wiele za ciemny. Czwartą, która niewątpliwie ukazuje ojca, ma tak duże ziarno, że nie wiadomo, po co ją tu umieszczono, jaki spisek mogłaby udowodnić. Marszczę brwi, pochylam się i podsuwam palcem okulary na nosie. Na jednym ze zdjęć bez twarzy rzeczywiście widać jakieś czarne plamki. Mogłyby to być fragmenty pocisku, gdybym tylko wiedział, jak one wyglądają. Tylko że... zaraz...

- Mariah.

- Tak?

- Mariah, czy... czy to nie może być po prostu brud na obiektywie?

- Wszyscy jesteście jednakowi. To samo opowiadała patolog.

Muszę sobie przypomnieć, że Mariah jest moją starszą siostrą i ją kocham. - Mariah, dziecino, powiedz, proszę, że nie pytałaś o to patologa.

- Och, nie, Tal. Oczywiście, że nie.

- Całe szczęście.

- Nie musiałam jej pytać. Jej oświadczenie jest w porannej gazecie.

No, to wspaniale. W gazecie. Sędzia na pewno przewraca się w grobie. Zastanawiam się, czy Kimmer już o tym słyszała. - No, więc jeśli patolog mówi, że to tylko pyłki...

- Nie można *jej* wierzyć.

- Dlaczego?

- No, przede wszystkim, jest demokratką.

Rzecz w tym, że moja siostra wcale nie żartuje.

Toteż zerkając na zegarek, mówię to, czego Mariah po mnie oczekuje: - Zadzwoń do wujka Mala i poproszę, żeby to sprawdził. - Nie dodaję, że wielki Mallory Corcoran prawie już nie odbiera moich telefonów, co oznacza, że zostaną odesłany niżej, do Cassie Meadows. Jeśli ona też ma mnie już dosyć, to zapewne cała sprawa zakończy się przeprowadzeniem przez

nią jednej rozmowy telefonicznej.

Mam nadzieję, że to wszystko jest tego warte.

(III)

Ku mojemu zaskoczeniu Meadows nie tylko chętnie ze mną rozmawia, ale ma do przekazania dobre wieści. FBI wytropiło tajemniczego McDermotta. Jest rzeczywiście prywatnym detektywem gdzieś w Południowej Karolinie. Okazuje się, że zawracał głowę ludziom, którzy znali mojego ojca, szczególnie w okolicach Waszyngtonu, wypytując o kobietę imieniem Angela. Szeryf w jego miejscowości dobrze go zna i twierdzi, że jest wytrwały i nieco podstępny, ale z pewnością nie niebezpieczny. FBI wie nawet, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko, ale nie chciało go ujawnić.

- Dlaczego?

Meadows waha się, gdyż pragnąc odgrywać waszyngtońskiego gracza pokroju Mallory'ego Corcorana, nie ma ochoty przyznać, że nie ma dostępu do pewnych informacji. - Powiedzieli, że nie musimy wiedzieć - wyznaje w końcu.

- Czy powiedzieli dlaczego?

Znowu pauza. - Prawdę mówiąc, nie pytałam. Może trzeba było nacisnąć...

- Nieważne. - Streszczam jej rozmowę z Johnem Brownem. - Czy wspomnieli coś o Foremanie?

- Foreman pracuje dla McDermotta. Też jest prywatnym detektywem i podobno również nieszkodliwym, panie Garland.

W końcu pozwalam sobie na chwilę ulgi. - Coś jeszcze?

- Tyle, że obaj uciekli przed wymiarem sprawiedliwości. Opuścili Stany Zjednoczone. Najwyraźniej dowiedzieli się, że FBI ich szuka i ruszyli do Kanady.

- Do Kanady? A co takiego ma na nich FBI, że uciekli do Kanady?

- Tak mi powiedziano.

Dziwi mnie to, niemniej jednak odprężam się i przypominam sobie, po co właściwie dzwonię. Opowiadałam Meadows o Mariah i odłamkach pocisku. Meadows reaguje śmiechem.

- Co w tym śmiesznego? - Zerkam na zegarek, martwiąc się, że mój syn czeka.

- Dodam to do teczki.

- Jakiej teczki?

- Pan Corcoran kazał mi założyć teczkę na tego typu rzeczy. Mamy w niej listy od szaleńców, wydruki stron internetowych, wszystkie prawicowe broszurki, każdą teorię dziwnych gości *talk show*, wszystko na temat pana

ojca. To bardzo gruba teczka, panie Garland. - Znowu chichot. - Mamy już w niej mnóstwo rzekomych fotografii z autopsji.

- Zatem, co w tym zabawnego?

- No, mam też osobną teczkę pełną e-maili od pana siostry. - Meadows ścisza głos. - Nawet nie zwracałam nimi głowy panu Corcoranowi.

- Miała pani wiadomości od Mariah?

- Uwierzy pan, że dwa razy na tydzień? - Znowu śmiech, ale pozbawiony wesołości. - Wydaje mi się, że ona sądzi, wie pan, będąc córką chrzestną pana Corcorana i... - Meadows nie kończy, a potem przyjmuje poważniejszy ton: - Ktoś musi ją uspokoić, panie Garland. Moi przyjaciele na Kapitolu mówią, że jeśli ona nie przestanie, to... no cóż, pana żona może mieć mniejsze szanse.

ROZDZIAŁ 15

Dwa spotkania

(I)

Bentley! Do domu! To trzy moje ulubione słowa.

Przyjeżdżam spóźniony o dwadzieścia minut z powodu rozmowy telefonicznej z siostrą i muszę znieść wyprane z emocji spojrzenia wychowawczyń - wyłącznie białych - których ponure milczenie sugeruje, że są gotowe zadzwonić do Departamentu do Spraw Rodziny i powiadomić, kogo trzeba, iż para Garland - Madison zbyt często się spóźnia i w związku z tym nie nadaje się na rodziców. Pociesza mnie nieco fakt, że Miguela Hadleya też jeszcze nikt nie odebrał, co oznacza, że jego rodzice są równie kiepscy, jak Bentleya. Pulchny Miguel jest zadziwiająco bystrym dzieckiem, ale nigdy nie tryskał energią. Dziś jednak jest wyjątkowo poważny. Obejmuje Bentleya na pożegnanie. Przedszkole zachęca chłopców do uścisków, realizując jakiś nieujawniony cel ideologiczny. Być może chodzi o to, żeby nie wyrosli na mężczyzn, którzy rzucają bomby na niewinnych cywilów. Jednak nie wiem, dlaczego nauczycielki się tym martwią. Znacznie bardziej prawdopodobne, że dzieci pracowników uniwersytetu wyrosną na ludzi, którzy będą siedzieć w Białym Domu i w przerwach między uściskami ze swoimi wyborcami rozkazywać innym, żeby zrzucali bomby.

Stoję z boku, czekając, aż chłopcy skończą się obejmować (szkoła poucza, że my, zwykli rodzice, w żadnym wypadku nie powinniśmy ich rozdzielać siłą), i wyglądam przez okno na parking. Mam nadzieję, że dzięki temu zabiegowi uniknę pogawędki z nauczycielkami. Są tak beznadziejnie pełne dobrych intencji - oczywiście na sposób białych liberałów ze swojej klasy. Niestety, będąc przekonane, że wzniosły się ponad rasizm (który dotyka tylko konserwatystów), pozostają w błogiej nieświadomości, jak ich pełen lekceważenia elitaryzm jest odbierany przez nielicznych czarnych rodziców, których stać na tę szkołę. Nie ma też sensu im tego uświadamiać, gdyż ich rozpaczliwie szczere przeprosiny tylko pogorszyłyby sytuację. Wyrażałyby przekonanie, że przedstawiciele ciemniejszej nacji są tak niepewni siebie, iż trudno o gorszy grzech niż obrażenie kogoś z nich.

Biali liberałowie uważają oczywiście, że sami należą do znacznie twardszego gatunku. Dlatego tak często popierają karanie złośliwych uwag białych na temat czarnych, natomiast chętnie wybaczą takie same komenta-

rze czarnych o białych.

Potrząsam głową, starając się powstrzymać zmierzający ku gniewnej czerwieni tok moich myśli. Czy te wywody rzeczywiście wyrażają moje przekonania? Zdrapuję wyblakły brzeg naklejki w narożniku okna i zastanawiam się, dlaczego te nauczycielki, witające nabożnym uśmiechem każdą czarną twarz, wydobywają ze mnie wszystko, co najgorsze. Nie wiem też, czemu potępiam tylko liberałów, przecież nastawienie konserwatystów wcale nie jest lepsze. Te nauczycielki, mimo całej arogancji uwidaczniającej się w okazywanym przez nie współczuciu, nie wypisują tanią farbą *KKK* na szafkach czarnych uczniów liceów ani nie wysyłają pieniędzy organizacjom w rodzaju National Association for the Advancement of White People*. Skąd bierze się we mnie tyle żółci? Czy to możliwe, że przypominam sobie mgliście jakiś ostry artykuł lub przemowę Sędziego? Dziwne, jak trudno to rozróżnić, zupełnie jakby ojciec po śmierci zawładnął znacznie większą częścią mego umysłu niż za życia.

*National Association for the Advancement of White People - Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Białych

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda mi się wyzwolić spod jego wpływu.

Kiedy tak rozmyślałam sobie w kącie, czekając, aż nauczycielki zdecydują, że Bentley opanował już swoją dzisiejszą antywojenną i antyszowinistyczną lekcję przytulania, zauważam czarną furgonetkę mercedes tłukącą się po wybojach dziurawego parkingu. Przyjechała Dahlia Hadley, mama Miguela, jak zwykle szybko i nieostrożnie. Wbiega do środka - niewielki, szczupły wir uśmiechu i energii - a nauczycielki, tak zdenerwowane moją obecnością, rozplývają się w uśmiechach, gdyż każdy kocha Dahlię; to swoista reguła.

- Talcotcie - mruczy zmysłowo, gdy pomachała już synowi - Tak się cieszę, że cię spotkałam. Chciałam do ciebie dzwonić. Czy masz chwilkę?

- Oczywiście - odpowiadam, przekonany, że nie czeka mnie nic miłego.

Dahlia drobną dłonią chwyta mnie za rękę i ciągnie do innego kąta dużej sali, w którym przypadkowo poukładane drewniane klocki mają być wyrazem dziecięcej kreatywności.

- Chodzi o naszą *wspólną* troskę - wyjaśnia, rozglądając się dookoła.

Dżinsy w kolorze indygo i dopasowany do nich sweter wydają mi się nieco ostentacyjne, ale taka jest Dahlia. - Czy wiesz, o czym mówię, Talcotcie?

Oczywiście, że wiem, ale mogę udawać niewiedzę, gdyż „Elm Harbor Clarion”, zainteresowany tylko korupcją urzędników miejskich (a tej u nas nie brakuje), nie zdążył jeszcze opublikować obowiązkowego artykułu o finalistach w wyścigu do stanowiska sędziego sądu apelacyjnego. Postanawiam jednak nie bawić się w takie gierki.

- Ach, raczej tak.

Waha się przez chwilę, po czym ponownie spogląda mi w oczy i uśmie-

cha się. Dahlia Hadley niedawno przekroczyła trzydziestkę. Jest pełną temperamentu Boliwijką z ufarbowanymi henną włosami, której nawet Kimmer, pomimo najszczerzych wysiłków, nie potrafi nie lubić. Marc i Dalia poznali się - co Dahlia podkreśla przy każdej okazji - już *po tym*, jak pierwsze małżeństwo Marca zaczęło się rozpadać. (Jednak *zanim* Marc odszedł od pierwszej żony, jak dodaje surowo Kimmer). Pierwszą żoną Marca była Margaret Story, wybitna historyczka o rok od niego starsza, z którą miał dwójkę dzieci. Córnica, Heather, studiuje obecnie w naszej szkole prawniczej, a starszy od niej syn, Rick, mieszka w Kalifornii i jest poetą, którego wiersze często publikuje „The New Yorker”. Margaret była masywnie zbudowana, cicha i pełna rezerwy, a nawet odpychająca, podczas gdy Dahlia jest szczupłą, hałaśliwą, towarzyską i lubi kpić z innych. Jednak nie jest ona bynajmniej zwykłym trofeum Marca. Wprawdzie uniwersytet nie zaoferował jej pełnego etatu (co w tych kręgach sytuuje ją w szeregach obywateli drugiej kategorii), ale posiada doktorat z biochemii MIT-u i dzięki rozmaitym grantom prowadzi, w laboratorium ukrytym w budynku nauk ścisłych, badania niezwykłych leków na nieznanne choroby, setkami mordując szczury doświadczałne. Zdaniem Dahlii, największym zagrożeniem dla biednych, do których sama niegdyś należała, nie są czynniki militarne, ekonomiczne czy polityczne, lecz biologiczne. Skutkiem postępu naukowego oraz działalności samej natury jest nieustanne powstawanie nowych mikroorganizmów, które zazwyczaj atakują i zabijają przede wszystkim biednych. Dahlia uważa, że sprawiedliwość uda się odnaleźć na dnie próbówki. Pewnego razu na jej laboratorium napadła grupa obrońców praw zwierząt, która zaczęła rozbijać odczynniki, wypuszczać z klatek zakażone gryzonie i roznosić niebezpieczne zarazki. Większość pracowników uciekła, lecz Dahlia twardo broniła laboratorium, krzycząc do atakujących, że są rasistami. Wprowadziło to zamieszanie w ich szeregach, a w końcu doprowadziło ich do klęski. Przywódca grupy, koniecznie chcąc się wytłumaczyć, pogorszył jeszcze sprawę, gdy niezręcznie porównał sytuację szczurów laboratoryjnych do położenia ludzi mieszkających w hiszpańskojęzycznych osiedlach. Najwyraźniej sądził, że Dahlia jest Meksykanką, gdyż jej skóra ma czerwonobrazowy odcień pustynnej gliny. Natychmiast z wściekłością wyprowadziła go z błędu w dwóch językach. Policja uniwersytecka zdążyła przyjechać, gdy przywódca nadal jeszcze zapewniał ją o swej solidarności z uciemiężonym ludem Boliwii, która, nieszczęśliwie dla jego argumentów, okazała się krajem demokratycznym.

Później Dahlia zeznawała na procesie. Opowiedziała o doświadczeniach, które zniszczył, i ludziach, którzy mogli umrzeć. Normalnie tego rodzaju zeznania byłyby niedopuszczalne, ale prokurator udawał, że pani Hadley po prostu opowiada o zniszczeniach, a sędzia poszedł mu na rękę. Dahlia otrzymała potem wiele zięjących nienawiścią listów od osób, które znacznie

bardziej kochają zwierzęta niż ludzi, ale jednocześnie pokaźnie wzrosły środki przyznane jej przez firmę farmaceutyczną wspierającą jej badania.

Dahlia jest mądrą kobietą.

- To dla nas *nielatwy okres* - mówi teraz, a ja przez chwilę niemądrze się zastanawiam, czy to możliwe, że odciągnęła mnie na bok, żeby porozmawiać na inny temat. Może jednak Ruthie nie zdradziła Marcowi poufnej informacji, że jego rywalką jest moja żona, albo jeśli zdradziła, to Marc zachował to w sekrecie przed własną żoną. Dahlia jednak rozwiewa moje wątpliwości, mówiąc niemal niedbale: - Wiesz, FBI zaczęło zwracać głowę wszystkim naszym przyjaciółom. Wy zapewne macie ten sam kłopot.

- Och, tak, to prawda - mamrocze zaskoczony, zastanawiając się, dlaczego nasi przyjaciele nie dzwonią z takimi informacjami. John Brown wypytywany przez Foremana oczywiście się nie liczy. Może FBI nie składa nikomu z nich wizyt. Z pewnością żadni prawdziwi agenci nie rozmawiali z Kimmer. Czy byli u Marca? Jeśli tak, to zapewne już po walce... i kto wie, czy nie po moim małżeństwie.

- Marc jest ostatnio bardzo spięty - szepce Dahlia. - Jak Kimberly to znosi?

- Hmm? O, dobrze, dobrze.

Miguel woła coś do swojej mamy po hiszpańsku. Dalia na w pół obraca się w jego kierunku i mówi: - *En un minuto, querido* - ale nie puszcza mojej ręki. Zerka na nauczycielki, które przez cały czas nam się przyglądały, a teraz znacząco odwracają wzrok. Wciąga mnie głębiej w ką. Dahlia jest atrakcyjną kobietą, lecz dla mnie jej rysy są zbyt miękkie i nieokreślone, a ambicja zbyt wyraźnie wypisana na twarzy, żeby nazwać ją prawdziwą pięknnością.

- Tak trudno zdobyć jakieś wiadomości - żali się, wydymając wargi. - A ty coś słyszałeś?

No, proszę! Jestem oszołomiony. Zatem Marc nie wie więcej niż my. Całe to niezdarne podpytywanie miało na celu zdobycie dla niego informacji. A więc jednak nie wszystko stracone! Odczuwam taką ulgę, że mam ochotę głośno się roześmiać. Jednak panuję nad swoimi odruchami i, jak zawsze, nad wyrazem twarzy.

- Nic, kompletnie nic, Dahlio. - W ostatnich tygodniach prawie nie widywałem Marca. Czasem tylko wymieniliśmy skrupowane pozdrowienia, mijając się w korytarzu. Postanawiam przeprowadzić własne małe śledztwo. - Sądzę, że wszyscy musimy uzbroić się w cierpliwość.

Dalia chyba mnie nie słucha. Znów podnosi na mnie wzrok, ale już się nie uśmiecha. - Czy znasz Ruth Silverman? - pyta. Zwracam uwagę, że nie mówi *Ruthie*.

- Tak, znam.

Dahlia na chwilę przymyka oczy. Gest ten ma w sobie dziewczęcą nie-

winność. Na zewnątrz na parkingu dwóch ojców głośno sprzecza się ze sobą na temat zalet Jetsów i Giantsów. Wolałbym znajdować się teraz w ich świecie, a nie Dahlii.

- Wiesz, ona była *studentką* Marca. Załatwił jej *pracę*. Ale ona jest taka niewdzięczna. Nie chce nam niczego powiedzieć. - Potrząsa głową. Po drugiej stronie sali niespokojne nauczycielki rzucają ukradkowe spojrzenia w naszą stronę, a zirytowane na zegar. Zapewne nie mogą się już doczekać, kiedy wrócą do domu, żeby przekazać małżonkom, kochankom i przyjaciółom plotkę o naszym rzekomym związku, gdyż Elm Harbor, mimo całego wyrafinowania rodem z Ivy League jest w rzeczywistości tylko małym miasteczkiem. *Nigdy nie zgadniesz, co widziałam dziś w szkole!* Uświadamiam sobie, że przywiązuję przesadną wagę do pozorów, ale to ze względu na to, jaki przebieg miał mój związek z Kimmer. - Marc stale powtarza, że ona ma obowiązek zachować tajemnicę, ale mnie wychowano w przekonaniu, że należy odwdzięczać się przysługą za przysługę. - Puszczą moją dłoń. Zaciska idealne zęby i zwija dłonie w pięści. Dostrzegam, że paznokcie ma ogryzione do żywego mięsa.

- Marc ma rację, Dahlio. Ruthie... Ruth nie wolno rozmawiać o swojej pracy.

- Ach, bo to wszystko takie nagłe - wyjaśnia, co rozumiem w ten sposób, że wcześniej Ruthie ujawniała Marcowi poufne informacje, lecz teraz z niewiadomego powodu przestała. Dalsze słowa Dahlii potwierdzają moje przypuszczenia. - Trzy tygodnie temu Marc był najpoważniejszym kandydatem. Tak powiedziała Ruth Silverman. Potem stwierdziła, że prezydent przygląda się jeszcze innym nazwiskom, w trosce o *zróznicowanie* sędziów. - Podkreśliła to słowo w sposób sugerujący, że nie ma to większego znaczenia, gdy stawką są rzeczywiste wartości. Przypominam sobie, jak w zeszłym roku zdenerwowałem studentów uczestniczących w moim seminarium „Prawo a ruchy społeczne”, przedstawiając im następującą propozycję: *Każdy przedstawiciel białej rasy, który naprawdę wierzy w akcję wyrównywania szans, powinien zobowiązać się, że jeśli jego córka lub syn dostanie się na Uniwersytet Harvarda lub do Princeton, natychmiast napisze do dyrekcji szkoły list następującej treści: „Moje dziecko nie będzie uczęszczać na tę uczelnię. Proszę o przyjęcie na jego miejsce przedstawiciela mniejszości narodowej”*. Konsternacja studentów utwierdziła mnie w przekonaniu, że niewielu nawet najbardziej radykalnych białych liberalów poparłoby akcję wyrównywania szans, gdyby rzeczywiście musieli ponieść jej koszty. Teraz im odpowiada, gdyż mogą sobie powiedzieć, że działają na rzecz sprawiedliwości rasowej i jednocześnie udawać, że koszty w ogóle nie istnieją. Jednak to nie ich wina. Kto w dzisiejszych czasach wierzy w poświęcenie?

Zróznicowanie, powtarzam sobie teraz w duchu. Zazwyczaj słowo tak pozbawione treści, że każdy może się pod nim podpisać, bez żadnych zob-

wiązań, jednak w tym wypadku to niewątpliwie kod oznaczający Kimberly Madison. Marc na pewno zdaje sobie z tego sprawę i Dahlia też. Zatem szanse mojej żony są większe, niż myślałem, większe, niż Kimmer miała nadzieję... jeżeli tylko uda nam się utrzymać w ukryciu pewne sprawy. W moich myślach pojawia się obraz Jerry'ego Nathansona i staram się stłumić gniew, spowodowany nie tyle naruszeniem przez moją żonę przysięgi małżeńskiej, co podejmowaniem ryzyka, gdy tak wiele ma do stracenia.

- Jestem przekonany, że prezydent wybierze osobę, która jego zdaniem będzie najlepszym sędzią - stwierdzam, chociaż żaden prezydent w naszej historii nie wybierał sędziów według tego kryterium.

- No, nie wiem. - Dahlia oczywiście sądzi, że Marc byłby najlepszym sędzią, chociaż nigdy w życiu nie prowadził praktyki prawniczej. - Prawdę mówiąc, Tal, Marc nie... nie był sobą.

- Przykro mi, Dahlio.

- To do niego niepodobne, żeby nie przyjść na przyjęcie swego syna - ciągnie. W którymś momencie wypytywanie zastąpiły zwierzenia, ale nie potrafię określić, kiedy. Teraz dostrzega moją dezorientację. - Pamiętasz ostatnią niedzielę? Urodziny Miguela?

Rzeczywiście pamiętam. To ja zawoziłem Bentleya na to przyjęcie, gdyż Kimmer, która obiecała naszemu synowi, że z nim pojedzie, musiała w niedzielę rano polecieć do San Francisco. Pokłóciliśmy się o to, podobnie jak kłócimy się o wiele innych rzeczy. Pamiętam również, że Marca nie było. Dahlia usprawiedliwiła go, że musi uczestniczyć w konferencji w Miami, coś na temat Cardozo. Już wówczas zauważyłem, że nie była zbyt zadowolona.

- Przykro mi - powtarzam, żeby coś powiedzieć.

Dahlia wpatruje się w zniszczony brązowy dywan. W jej ciemnych oczach błyszczą łzy. - Zazwyczaj Marc jest taki kochany. W stosunku do mnie i do Miguelito. Ale teraz całe to napięcie... - Znów potrząsa głową. - Stał się taki wybuchowy. Nie chce ze mną rozmawiać.

Nie mam pojęcia, co skłoniło Dahlię do tych wynurzeń na temat prywatnego życia rodziny Hadleyów, ale nie mam ochoty tego słuchać. Niestety, znów uciekam się do komunałów: - To trudne chwile dla nas wszystkich.

Dahlia mnie nie słucha. - Wy macie szczęście, Tal. Kimberly jest młoda. Jeśli nie uda jej się tym razem, to będą jeszcze inne okazje. Tymczasem w życiu Marca tyle rzeczy ułożyło się inaczej niż miał nadzieję. To wszystko, co miał napisać... i nie udało mu się skończyć. Martwię się, co z nim będzie, jeśli to stanowisko dostanie kto inny. Naprawdę boję się o niego.

Zatem na tym polega gra. *Marc wyskoczy oknem, jeśli nie dostanie tego stanowiska, a Kimmer jeszcze nieraz będzie miała inne szanse, więc bardzo proszę, przekonaj żonę, żeby zrezygnowała.* Naprawdę rozpaczliwe zagranie! Przypominam sobie narzekanie Stuarta Landa, że Marc nie wyko-

nuje należycie swojej pracy, gdyż jest zbyt zdenerwowany... i jego uwagę, że mógłby pomóc Kimmer w Waszyngtonie. Może to zrobił.

- To dla nikogo z nas nie jest łatwe. Jestem pewien, że wszystko się rozstrzygnie tak, jak powinno. - Może to trochę bezduszne, ale dlaczego Dahlia Hadley oczekuje, że to ją ją pocieszę?

Dahlia się nie poddaje. - Nie rozumiesz, Talcotcie. To nie jest zwykłe zdenerwowanie. Marc poważnie się czymś martwi. Tak, to właściwe słowo. Marc jest zmartwiony. Nie powie mi, co go gryzie. Odkąd jesteśmy razem, o wszystkim sobie mówiliśmy, a teraz coś przede mną ukrywa. A to coś... dosłownie go wykańcza. - Potrząsa głową i macha ręką w kierunku swojego syna. - To niszczy moją rodzinę, Talcotcie.

Nie wiem, jak zareagować, ale chciałbym powiedzieć, co należy, bo ujawniony przez nią tak niespodziewanie ból zmienił moje nastawienie. Może jednak nie stara się mną manipulować. Może rzeczywiście martwi się o swego męża. Może istotnie jest się o co martwić.

- Przykro mi, Dahlio - mówię w końcu, poklepując ją po ramieniu. - Naprawdę mi przykro.

Chwyta mnie za marynarkę i przez straszną chwilę mam wrażenie, że chce oprzeć głowę na mojej piersi. Potem sztywnieje z zażenowania. Podczas tej rozmowy dała się ponieść emocjom i teraz martwi się poniewczasie o to, co mogły sobie pomyśleć obserwujące nas nauczycielki.

- Och, Talcotcie, bardzo cię przepraszam. - Stoi znowu prosto i nie trzyma mnie już za rękę. Wyciera nos chusteczką. Na jej twarzy widzę łzy, ale nie wiem, kiedy zaczęła płakać. - To nie w porządku, że cię tym obciążam. Idź, weź swojego synka, zabierz go do domu i uściskaj. Wtedy wszystko wydaje się lepsze.

- Ty zrób to samo, Dahlio. I nie martw się.

- Ani ty. - Znowu wydmuchuje nos. - Jesteś dobrym człowiekiem. - Mówi to tak, jakby niewielu ich dotąd spotkała.

Ciężkim krokiem przechodzę przez salę, żeby zabrać syna. Nauczycielki rozstępują się, robiąc mi drogę. Dzięki ukradkowej rozmowie z Dahlią stałem się osobistością.

Umieszczając sennego Bentleya w dziecięcym foteliku, z którego już niemal wyrósł, oglądam się na szkołę, której zaczynam nienawidzić. Miguel z mamą stoją w drzwiach, trzymając się za ręce. Dahlia znów jest sobą i gawędzi z jedną z nauczycielek, która śmieje się z czegoś, co powiedziała. Miguel macha wyniośle ręką i bardzo przypomina teraz swojego ojca. Kiedy wyjeżdżam z parkingu, starając się omijać wyboje, tak że tylko trzy lub cztery razy uderzam o nie podwoziem swojej toyoty camry, rozmyślam nad zmiennymi kolejami losu. Jeśli McDermott rzeczywiście uciekł do Kanady, a Conan Deveaux naprawdę jest zabójcą Freemana Bishopa, to Kimmer ma rację - pora, żebym przestał się martwić. Pozostaje tylko przekonać siostrę,

żeby dała sobie spokój z tymi bzdurami na temat spisków. Jeśli Addison mi pomoże, to być może się uda.

Trup w szafie, przypominam sobie radośnie, a w mojej pamięci odżywa wspomnienie chorej twarzy Jacka Zieglera. Marc martwi się trupem w szafie.

(II)

Pięć minut później wjeżdżam na podjazd naszego dwunastopokojowego wiktoriańskiego domu w samym środku profesorskiego getta. Jesteśmy tu ze wszystkich stron otoczeni szkołą prawniczą, o czym Kimmer lubi mi przypominać. Droga Dana Worth mieszka o dwie przecznice dalej, idąc wzdłuż Hobby Road. Za rogiem mamy Tisha Kirschbauma - naszego sztandarowego feministę, a naprzeciw, po drugiej stronie ulicy, Petera Van Dyke'a, naszego sztandarowego faszystę (to są określenia Kimmer, nie moje). W promieniu kolejnych trzech przecznic mieszka jeszcze czterech innych wykładowców. Kiedyś rezydencje na Hobby Hill były niezwykle drogie, tak że mogli sobie na nie pozwolić tylko najstarsi profesorowie uniwersytetu, i to pochodzący z bogatych rodzin. Jednak w Elm Harbor już niemal od piętnastu lat panuje zastój na rynku nieruchomości, toteż również młodszy wykładowcy z dobrze stojących finansowo szkół - prawniczej, medycznej i biznesu - nabyli wielkie domy niegdyś zarezerwowane dla mistrzów w dziedzinie Mencjusza, Szekspira i zakrzywienia przestrzeni.

W końcu w domu! Numer 41 przy Hobby Road to masywny budynek wzniesiony pod koniec dziewiętnastego wieku, o szerokich pokojach, wysokich sufitach i pełnych wdzięku drewnianych okładzinach. Jest to dom odpowiedni do zabaw, chociaż my się nigdy nie bawimy, i do pomieszczenia całej gromadki dzieci, choć nigdy nie będziemy mieli więcej niż to jedno. Podłogi są pozapadane, boazerie popękane, a rury wydają rozmaite dźwięki, ale to *nasze* podłogi, boazerie i rury. Jesteśmy dopiero trzecią czarną rodziną, jaka kiedykolwiek mieszkała w części miasta zwanej Hobby Hill, szesnastu kwartałach elegancji, a pozostałe dwie zdezerterowały na długo przedtem, nim się tu wprowadziliśmy. Nie wiem, ilu dokładnie właścicieli miał nasz dom, ale jest pewne, że nie tylko ich przetrwał, ale nawet się rozwinął. Ktoś przerobił piwnicę na pokój do zabawy, ktoś inny odnowił kuchnię, a jeszcze ktoś dobudował ciasny garaż, w którym Kimmer, mimo moich usilnych próśb, by chronić droższy samochód, nie chce parkować swojego BMW, w obawie, żeby nie zadrapać osłepiająco białej farby w wąskim wjeździe. Odnowiono również wszystkie cztery łazienki i dwie toalety, w tym jedną dla służącej na strychu - choć nie mamy służącej i nie stać nas na ogrzewanie strychu. Niemniej jednak lubię myśleć, że dom niewiele się

zmienił od czasu, gdy go zbudowano. Chociaż minęło już osiem lat, od kiedy go kupiliśmy, nadal czuję się przyjemnie podniecony, wchodząc do niego frontowymi drzwiami, gdyż pierwotnie należał do wieloletniego rektora naszego uniwersytetu - Phineasa Nimma, filologa klasycznego, który zmarł mniej więcej w okresie pierwszej wojny światowej. Według badań W. E. B. Du Bois, nieznanego profesora z Atlanta University, około sto lat temu rektor Nimm napisał niewybaczalne słowa, że kolorowi, niezależnie od swoich osiągnięć edukacyjnych, nie będą mile widziani jako studenci. Jeszcze przed ukończeniem studiów licencjackich odkryłem kopię tego listu w archiwach uniwersyteckich i ledwo się powstrzymałem, by jej nie ukraść. Po tylu latach ironia kryjąca się w fakcie nabycia przeze mnie domu Nimma nadał napętnia mnie gorzką satysfakcją.

Dzień powoli znika, kiedy kopujemy z Bentleyem piłkę na podwórku. Obserwują nas z aprobatą będący już w podeszłym wieku sąsiedzi Don i Nina Felsenfeld, którzy siedzą na swojej obudowanej werandzie, jak zazwyczaj o tej porze, i popijają lemoniadę. Don był w swoim czasie jednym z najlepszych w kraju specjalistów w dziedzinie fizyki cząsteczkowej, a Nina nadal jest ekspertem w witaniu nieznanym, żydowskim zwyczaju *chesed*. Osiem lat temu już w godzinę po tym, jak się sprowadziliśmy, stała u naszych drzwi z tacą pełną kanapek z białym serem i galaretką. W ciągu kilku kolejnych lat jeszcze nieraz przychodziła do nas z pełną tacą, ostatnio trzy tygodnie temu po śmierci mojego ojca, gdyż wychowano ją w przekonaniu, że kiedy ktoś umrze, obowiązkiem sąsiadów jest przyniesienie jedzenia rodzinie zmarłego. Don i Nina uważają, że rodzina jest najważniejsza. Ponadto Don, z którym często grywam wieczorami w szachy - i przegrywam - chętnie powtarza, że na łożu śmierci nikt nie żałuje, iż nie spędził więcej godzin w pracy, a mniej z dziećmi.

Kimmer uważa ich za wtrącających się w cudze sprawy ciekawskich.

Teraz najwyraźniej również zamierzają się wtrącić, gdyż kiedy stwierdzam, że Bentley jest zmęczony i obracamy się, żeby wejść do domu, Don podnosi się, otwiera drzwi werandy i kiwa na mnie ręką ponad wysokim, gęstym żywopłotem oddzielającym nasze działki. Kiwam mu głową, biorę Bentleya za rękę i idę z nim w stronę przedniej części domu, gdyż tylko tamtędy można obejść rozrośnięty, kłujący żywopłot. Don oczekuje nas na trawniku przed domem i przez chwilę „bawi się swoją fajką.

- I jak tam nasz chłopiec? - pyta w końcu, mając na myśli Bentleya.
 - Bentley ma się świetnie - odpowiadam.
 - Wietnie! Bemmy wietnie! - piszczy mój wspaniały synek, sięgając wolną ręką po dłoń Dona. - Aja ty!
 - Taa - stwierdza Don z całą powagą, zamykając małe paluszki Bentleya w swojej dłoni. - Taa, jesteś bardzo wietnym chłopcem.
- Bentley chichoce i obejmuje kościstą nogę Dona.

Don Felsenfeld jest wysokim, chudym mężczyzną, pozbawionym wdzięku i zamkniętym w sobie synem żydowskiego farmera ze stanu Vermont. Podobno w czasach jego świetności nikt na świecie nie wiedział więcej od niego o cząsteczkach subatomowych i wiele osób sądzi, że powinien już dwukrotnie dostać Nagrodę Nobla. Don, który niegdyś był socjalistą, i przez cały czas pozostaje ateistą, napisał pewnego razu popularną książkę, której tytuł nawiązuje żartobliwie do poglądów głoszonych przez Einsteina: „Nauka bezbożności: Jak wszechświat gra w kości z Bogiem”. Obecnie Don zbliża się do osiemdziesiątki, codziennie ubiera się w spodnie khaki i ten sam niebieski sweter i spędza większość czasu na pracy w ogrodzie lub paleniu fajki.

- Nieźle dostałeś w kość w tych ostatnich tygodniach - zauważa. Mówi to bez uśmiechu, jak zawsze oszczędny w słowach. Prawdziwy mieszkaniec Nowej Anglii, niezależnie od swojego żydowskiego pochodzenia.

- Raczej tak.

- Nina gotuje coś dla ciebie.

- Jest kochana.

- To prawda. - Przez chwilę obaj nic nie mówimy, oddając hołd jego żonie. Potem Don znów zaczyna swoje manewry z fajką, takie same jak wówczas, gdy przypuszcza niszczący atak podczas gry w szachy. Poznają zatem, że dochodzimy do sedna sprawy. - Talcotcie, posłuchaj. - Słucham. - Czy masz jakieś kłopoty?

- Nie wiem, chyba nie. - Odczuwam nagły skurcz żołądka na myśl, że znów pojawił się McDermott ze swoimi pytaniami. Albo Foreman. A może prawdziwe FBI. - Dlaczego pytasz?

Don nie patrzy na mnie. Pociągając fajkę, obserwuje z ogromnym zainteresowaniem podskakującą na chodniku pasówkę białogardłą, która nie odleciała z resztą stada na południe.

- Mamy piękną jesień, nie sądzisz? - pyta powoli. Kiwam potakująco głową, ale jestem zupełnie zdezorientowany. Czy chodzi mu o ptaka? - Pogoda jest taka ładna. Niezbyt zimno, przyjemnie.

- Tak, jest bardzo ładnie.

- W gruncie rzeczy to jedna z najcieplejszych jesieni, od kiedy tu mieszkasz.

- Całkiem możliwe.

- Przy takiej pogodzie ludzie trzymają w nocy otwarte okna, żeby wpuścić świeże powietrze.

- To prawda. - W minionych latach często rozmawialiśmy z Donem o najrozmaitszych sprawach, od stanowiska uniwersytetu w sprawie własności patentów zgłaszanych przez kadrę naukową uczelni do oceny porównawczej wartości prozy Johna Updike'a i Johna Irvinga. Omawialiśmy związki pomiędzy stawkami podatku od zysków kapitałowych a tworzeniem kapita-

lu oraz zastanawialiśmy się, jak Bobby Fisher poradziłby sobie z dzisiejszym narybkiem mistrzów szachowych. Dyskutowaliśmy, czy Księga Izajasza, którą chrześcijanie uważają za zapowiedź narodzin i kapłaństwa Jezusa, przewiduje przybycie jednego dzieciątka czy dwóch. Jednak nigdy, dosłownie nigdy nie toczyliśmy dłuższej rozmowy na temat pogody... w związku z czym podejrzewam, że kryje się za tym coś ważnego.

- Wiesz co, Talcotcie, nie ma małżeństw doskonałych.
- Nigdy nie sądziłem, że są.
- Wasze okna są otwarte w nocy przy takiej pogodzie. Nasze również.

Nagle pojmuję, o co mu chodzi. Spoglądam na niego twardo, ale on nadal patrzy w bok. Wiem, co mnie czeka i jestem pewien, że to sprawka Niny, gdyż Don, podobnie jak Sędzia, w żadnym wypadku nie rozmawiałby z własnej woli o uczuciach, co więcej, nawet by się nie przyznał do ich posiadania.

- Don, posłuchaj.....

Jednak stary fizyk na swój uprzejmy, lecz uparty sposób prze naprzód, podobnie jak wówczas, gdy gramy w szachy. - Talcotcie, głos niesie się dość daleko. Nic nie poradzę, że coś usłyszałem któreś nocy. Mam na myśli ciebie i twoją żonę. Nieźle się starliście.

Przypominam sobie - trzy noce temu, w sobotę. To był jedyny niemiły akcent podczas tamtego milego tygodnia. Kimmer oznajmiła, że nazajutrz wyjeżdża do San Francisco, a ja nieopatrznie zapytałem, co z jej obietnicą, że zawiezie Bentleya na urodziny Miguela Hadleya. Ja miałem dzięki temu zdążyć po kościele na końcówkę konferencji Roba Saltpetera na temat wpływu sztucznej inteligencji na prawo konstytucyjne. Kimmer odparła, że nic na to nie poradzi, bo tego wymaga jej praca. Stwierdziłem, że ja też pracuję. Ale to nie to samo; ona się zobowiązała. Spytałem, wobec kogo. Chciała się dowiedzieć, co to ma znaczyć. Odparłem, że dobrze wie. A co to z kolei ma znaczyć. Stwierdziłem, że nie mam ochoty o tym rozmawiać. Odparowała, że to ja poruszyłem ten temat. Nic dziwnego, że Don i Nina nas słyszeli - z pewnością podnieśliśmy głos. A w każdym razie Kimmer.

- Przykro mi, że zakłóciliśmy wam spokój.
- Nie myśl o tym, Talcotcie. - Kładzie mi rękę na ramieniu, jak mężczyzna mężczyźnie, tak samo, jak robił to ojciec. Bentley wyczuł, że rozmawiamy o poważnych sprawach i odszedł na bok. Stoi pochylony na trawniku, przyglądając się badawczo starannie utrzymanym kwietnikom Dona, teraz już w większości przykrytym dla osłony przed zimnem.

Staralem się mu wytłumaczyć, żeby nie obrywał pączków, ale Don i Nina chyba nie mają mu tego za złe. - Wiedz tylko, że zawsze możesz do mnie przyjść, gdybyś chciał pogadać. To czasem bardzo pomaga. Nina i ja też mieliśmy przez te lata swoje kłopoty, ale udało nam się je przezwyciężyć. Wy również sobie poradzicie, jeśli pozwolicie, żeby przyjaciele wam po-

możli.

Przez chwilę czuję się zbyt upokorzony, żeby móc wydobyć z siebie głos. Są w końcu pewne *normy*, jak mawiała moja matka i nikt nie powinien nawet podejrzewać, że nie żyjesz zgodnie z nimi. Co do pomysłu przedyskutowania całej sprawy, to mój ojciec zawsze sztychował z doradztwa rodzinnego, które traktował wyłącznie jako pociąganie słabej woli. *Nakreśl linię, Talcotcie. Umieść przeszłość po jednej stronie tej linii, a przyszłość po drugiej i podejmij decyzję, po której stronie chcesz żyć dalej. Potem trzymaj się swojej decyzji.* W naszej rodzinie problemy się ukrywały, toteż nie nauczyliśmy nas, co zrobić, jeśli ktoś z zewnątrz odkryje ich istnienie.

Mimo wszystko zdołałem na tyle zebrać myśli, żeby odpowiedzieć lekkim tonem:

- Dzięki, Don, ale to w sobotnią noc, to jeszcze nic. Musiałbyś słyszeć Kimmer, kiedy naprawdę wpadnie we wściekłość. - Chciałem dodatkowo mrugnąć, ale nigdy nie opanowałem w pełni tej sztuki.

Donowi udaje się przywołać na twarz uśmiech i patrzy na mnie takim samym wzrokiem jak Sędzia, gdy żartowałem sobie na temat stopni, dożywcotniej posady, polityki czy innej sprawy, którą mój ojciec uznał za ważną, a ja nie miałem ochoty o niej dyskutować. W jasnych, inteligentnych oczach Dona dostrzegam bezlitosny osąd człowieka, który przeżył na tym świecie ponad siedemdziesiąt lat, robiąc wszystko, jak należy. Uwielbiam Ninę, ale nie Dona, być może dlatego, że za bardzo przypomina mi Sędzię. Fakt, że ojciec był politycznym konserwatystą, a Don stoi na drugim biegunie, nie zmienia zasadniczego podobieństwa ich charakterów, przejawiającego się szczególnie w tym ponurym samozadowoleniu, które każe im posyłać do diabła każdego, kto ośmieli się mieć inne poglądy polityczne niż oni.

- Gdybyś zmienił zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać - oznajmia Don. To kolejne zapewnienie Sędzięgo. Tyle, że ja nigdy nie zmieniałem, a jego nigdy tam nie było.

ROZDZIAŁ 16

Trzech głupców

(I)

W połowie tygodnia po Świącie Dziękczynienia wyruszamy, aby oficjalnie objąć w posiadanie dom na Martha's Vineyard. Jedziemy smukłym BMW Kimmer, najpierw do Massachusetts, następnie wzdłuż Cape Cod do Woods Hole, gdzie wjeżdżamy na prom. Według mojego ojca ma on dwie bardzo istotne zalety. Po pierwsze, sama podróż promem jest tak przyjemna i odprężająca, że przybywa się na Martha's Vineyard w nastroju sprzyjającym wypoczynkowi. Po drugie, firma Steamship Authority, która posiada monopol na usługi promowe na tej trasie, eksploatuje ograniczoną liczbę statków, a to oznacza, że tylko ograniczona liczba samochodów i ludzi może dotrzeć na wyspę, co jest szczególnie cenne w pełni sezonu, czyli w lipcu i sierpniu. Ilekroć któreś z dzieci, a szczególnie Addison, odważyło się wspomnieć, że radość ojca tknie elitaryzmem, Sędzia czym prędzej ripostował jednym ze swych ulubionych powiedzonek: - Przynależność do elity jest nagrodą za ciężką pracę i przyzwoite życie. (Co sugerowało, oczywiście, że jeśli nie należysz do elity, to albo nie pracowałeś dość ciężko, albo nie prowadziłeś przyzwoitego życia).

Zawsze niezwykle lubiłem przeprawę promem, a dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem. W miarę, jak przylądek pozostaje coraz dalej za rufą, czuję, jak błedną moje obawy i problemy. Wszystko, co za sobą zostawiłem, traci na znaczeniu, gdy z pokładu na prawej burcie obserwuję powiększającą się wyspę - najpierw odległe szarozielone migotanie, potem bajeczny obraz drzew i plaż, a teraz widoczne już poszczególne domy, wszystkie szarobrązowe, wyblakłe, piękne. Zachłystuję się tym widokiem jak alkoholik, który właśnie skończył z abstynencją, gdy prom pewnie rozbija fale, a kilkadziesiąt samochodów czeka pod pokładem, by jednocześnie ruszyć w głąb wyspy w radosnym, niebezpiecznym pędzie. (W sezonie byłoby ich ponad sto). Stoimy z Bentleyem przy relingu. Mój syn pokrzykuje na mewy, które wzbijają się w słone jesienne powietrze, a potem wiszą pozornie bez ruchu, gdy już dopasują swoją prędkość do ruchu statku, mając nadzieję, że objedzą się tym, co ludzie marnotrawcy wyrzucają. Chłodne, odległe słońce obojętnie kładzie swe promienie na wodzie. Bentley wyciąga pulchne rączki za burtę, więc nie chcąc mu psuć zabawy, zahaczam palcem o jego pasek i staram się

sobie wytłumaczyć, że naprawdę ma już trzy lata i nie jest niemowlęciem. Niemniej jednak jest moim pierwszym dzieckiem i ostatnim. Kimmer nie ma zamiaru więcej zachodzić w ciążę, co wyjaśniła mi bardzo dokładnie, nawet jeśli tyle innych rzeczy w naszym małżeństwie pozostaje boleśnie niejasnych. Postanowienie to częściowo wynika z lęku, żeby nie powtórzyła się sytuacja taka, jak z Bentleyem, ale to nie wszystko. Kolejne dziecko byłoby nowym zobowiązaniem w małżeństwie, co do którego Kimmer ma mieszane uczucia. Moje marzenia o dużej rodzinie kwituje słuszną odpowiedzią, że to ona, a nie ja, musi nosić dziecko - tyle, że ona zawsze mówi *plód* i stara się wszystkich zmusić, żeby też używali tego określenia. Moja żona, która niemal nigdy nie zajmuje się polityką, potrafi wywęszyć anty-aborcyjny spisek, zanim jeszcze zdąży się on zawiązać. W marcu tego roku Droga Dana Worth, która kocha dzieci, ale nie może mieć własnych, podarowała Bentleyowi na trzecie urodziny swoją ulubioną książkę z dzieciństwa - „Horton Hears a Who” Dr Seussa. Kimmer podziękowała Danie, z przerażeniem w oczach przekartkowała książkę i czym prędzej schowała ją na strychu. Nie przeczytała jej naszemu synowi i mnie też zabroniła. - To anty-aborcyjna propaganda - wyjaśniła mi z rozdrażnieniem. Kiedy dopytywałem się, jak może tak mówić, uśmiechnęła się lekceważąco i zacytowała mi powtarzającą się w książce sentencję: *Człowiek to człowiek, niezależnie od tego, jaki jest mały*. - A co innego miałyby to być? - skomentowała.

Teraz moja kolej na uśmiech. Niezależnie od tego, co spotyka mnie gdzie indziej, kiedy powracam na Vineyard, odżywam. Postanowiłem, że zrobię wszystko, żeby ten pobyt był spokojny. W ubiegłym tygodniu doszło między mną a Mariah do gwałtownej kłótni, chyba najgorszej z dotychczasowych. Podburzony przez Meadows pojechałem do Darien i zaprosiłem siostrę na lunch. Staralem się ją przekonać, najłagodniej jak potrafiłem, że może pora już skończyć z ciągłym wymyślaniem nowych spisków. Opowiedziałem jej o rywalizacji o stanowisko sędziego i uprzedziłem, że jej postępowanie zmniejsza szanse Kimmer, ale nie zdradziłem źródła tych informacji. Natychmiast odparowała, że to wszystko - zaoferowanie mojej żonie stanowiska, groźba, że go nie dostanie, jeśli ona nie przestanie dochodzić prawdy - to właśnie jest spisek, próba uciszenia nas. Stwierdziłem, że ta teoria jest nieco naciągana, i tak od słowa do słowa wywiązała się kłótnia, po czym rozstaliśmy się w gniewie. Od tamtej pory nasze stosunki popsuły się tak samo, jak po sprzeczce o książkę Woodwarda, tyle że teraz jest jeszcze gorzej, bo nie ma Sędziego, który mógłby nas pogodzić.

Nie pozostaje mi nic innego niż cierpieć. Byłem w tak złym nastroju, że nie potrafiłem skoncentrować się podczas zajęć, toteż poprosiłem dziekan Lyndę o kilka tygodni wolnego. Chętnie na to przystała, gdyż mnie nie lubi, a poza tym stałem się teraz jej dłużnikiem. Zajęcia na temat czynów niedozwolonych zgodził się poprowadzić za mnie Stuart Land, który dzwonił już

do mnie trzykrotnie, gdy denerwuje go zła organizacja moich wykładów i bałagan w gabinecie. Zaproponował, że może to wszystko uporządkować, ale uprzejmie odmówiłem, gdyż nie chcę, by ktokolwiek zaglądał do ciemnych zakątków mojego życia.

Jeszcze wcześniej w tym miesiącu wziąłem udział w pogrzebie Freemana Bishopa, drugim pogrzebie w kościele św. Trójcy i św. Michała w ciągu dwóch tygodni. Mszę odprawił ksiądz z innej parafii, przedstawiciel jaśniejszej nacji, i uczestniczyło w niej niewiele osób. Dostrzegłem parę twarzy zapamiętanych z pogrzebu Sędziego, ale bez powodzenia usiłowałem przypomnieć sobie ich nazwiska. Mariah nie przyszła. Była natomiast sierżant Ames, która być może spodziewała się, że pojawią się kolejne czarne charaktery. Porozmawiałem z nią przez chwilę, zanim wymknęła się bocznym wyjściem, ale dowiedziałem się tylko, że Conan nadal negocjuje swoją ugodę z prokuratorem, co już zresztą wiedziałem ze strony internetowej „Washington Post”.

Potem w zeszłym tygodniu przeżywaliśmy jak zwykle pełne napięcia Święto Dziękczynienia z rodzicami Kimmer. Madisonowie nadal czekają niecierpliwie, kiedy utemperuję ich niepoprawną córkę, nie zdając sobie chyba sprawy, że jest to niewykonalne. Vera i Pułkownik rzucali na mnie piorunujące spojrzenia, gdy Kimmer i jej bezdzietna siostra Lindy plotkowały, a Bentley robił bałagan na stole. Przypuszczam, że jeśli moja żona nie zostanie sędzią, moi teściowie także mnie będą o to obwiniali.

Jednak przez większość czasu rozmyślałem radośnie o czekającej mnie dziś podróży.

No, i wreszcie na promie!

Statek rozcina nadbiegające fale, niosąc mnie w stronę ukochanej wyspy, a ja obracam się tak, by czuć powiew wiatru na twarzy, i nawet potrafię się zdobyć na uśmiech, kiedy myślę o ekscentryczności Kimmer, i o niej samej. Siedzi teraz skulona na ławce koło bufetu i rozmawia przez telefon komórkowy, zapewne o sprawie ogromnej wagi. Być może dotyczy ona jej pracy, lecz możliwe również, że kandydatury albo bardziej osobistych spraw. Tym razem wcale mnie to nie obchodzi. Od kiedy opowiedziałem Kimmer o trwodze panującej w domu Hadleyów, stała się w stosunku do mnie kochająca i serdeczna, jakby chciała zrekompensować inne swoje zachowania. Tak całkowitą metamorfozę miałem okazję obserwować już wcześniej i wiem, że w przeciwieństwie do przemiany Gregora Samsy, może ona w jednej chwili ulec odwróceniu, lecz mam zamiar cieszyć się nią, dopóki trwa.

Zatem w końcu nadszedł oczekiwany przeze mnie dzień i jesteśmy wszyscy razem na promie. Kimmer wykradła dla siebie czterdzieści osiem godzin z czasu przeznaczonego na procesowanie się w imieniu swojego klienta (i załatwianie poparcia dla siebie), żeby wraz ze mną przekroczyć próg domu, który teraz ma należeć do nas. Jestem jej za to bardzo wdzięczny. Mogła

przecież mnie zmusić, żebym pojechał tylko z Bentleyem lub nawet sam. Skoro tak się nie stało, to zapewne nadal panuje między nami zawieszenie broni. W miarę, jak zbliżam się ku pięknu Martha's Vineyard, zaczynam wierzyć, wbrew wszelkim obiektywnym przesłankom, że szczęście jest możliwe. Nawet z moją żoną. Może dlatego właśnie wierność w smutnym małżeństwie można określić jako akt wiary - wiary w nieskończone możliwości, jakie niesie życie, co Rob Saltpeter z pewnością uznałby za kolejny sposób opisanego Bożej hojności. Zatem uśmiecham się, stojąc przy relingu, z palcem zatkniętym za pasek synka, który wychyla się ku rozpryskującej się wodzie i pokrzykuje do mew, i śmieje się, i śmieje. Kiedy rozglądam się po twarzach innych pasażerów, z pewnością równie radosnych jak moja, gdy mkniemy ku naszej wyspie, moje serce przepełnione jest miłością - miłością do dziecka, miłością do żony, miłością do samej idei rodziny, miłością do...

I nagle ją dostrzegam.

Właśnie tu na pokładzie, wysoka i pięknie umięśniona, w dzinsach i skórzanej kurtce lotniczej, stoi nie dalej niż dwadzieścia kroków ode mnie - kobieta z toru wrotkowego. To jest po prostu niemożliwe, byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności, na pewno się myślę, to moje ponure libido płata mi figle... a jednak wiem, że to ona. Kobieta na rolkach. Kobieta, która długi miesiąc temu flirtowała ze mną, dopóki nie dostrzegła obrączki, a potem przez kilka tygodni nawiedzała moje sny. Stoi blisko dziobu w pewnej odległości od tłumu, z twarzą obróconą w kierunku wiatru, tak że widzę tylko część brązowego profilu, jednak gładka, szeroka szczeka i masa niesamowitych loków mogą należeć tylko do niej. Przez ramię ma przewieszoną ekstrawagancką fioletową torbę podróżną, a w rękę trzyma książkę, coś poważnego, grubego, w twardej okładce i z tytułem w obcym języku, wydaje mi się, że francuskim. Może coś Moliere. *Studentka czy wykładowca*, zastanawiam się przez chwilę, lecz raczej ani jedno, ani drugie, bo tom robi wrażenie teatralnego rekwizytu - Jestem poruszony jej widokiem, a jednocześnie przerażony. Stoję dalej przy relingu, patrząc na nią ze zdumieniem, zbyt nieśmiały, by...

- Mogłabym zabić, żeby mieć takie ciało - oznajmia Kimmer. Do tego stopnia oderwałem się od rzeczywistości, że nie mam pojęcia, jak długo już tak koło mnie stoi, ale złośliwość w jej głosie rani mnie jak zawsze. Z drugiej strony, rzeczywiście jestem winny. - Ona jest wspaniała, prawda?

- Kto? - decyduję się zapytać, starając się nie obracać zbyt gwałtownie, żeby moja żona nie utwierdziła się w przekonaniu, że patrzę tam, gdzie myśli. Nadal mocno trzymam Bentleya za pasek, a on przewiesza się przez reling, zahipnotyzowany widokiem uciekającej wody. Kobieta z toru stoi jak wykuta z kamienia.

- Ta wielka *nzinga*, o tam - odpowiada moja uczona Kimmer, która lubi czasem wtrącić do rozmowy niemające związku z tematem afrykanizmy.

Wskazuje jedną dłonią, a drugą trzyma mnie za rękę. Nigdzie ani śladu telefonu. - Ta, od której nie odrywasz oczu. - Kimmer śmieje się, kiedy obracam się powoli w jej kierunku, a potem udaje szczekanie psa. - Leżeć, chłopcze - mówi niemiłym tonem. Jednak nie będzie układu pokojowego.

- Kimmer, ja...

- Słuchaj, ona patrzy w naszym kierunku. Misha, naprawdę tu patrzy. Patrzy na *ciebie*. Obróć się i jej pomachaj. - Chwyta mnie za ramię i próbuje to na mnie wymusić, ale się opieram.

- Kimmer, przestań.

- Pospiesz się, kochanie, bo stracisz szansę. - Drażni się ze mną, lecz jednocześnie nawiązuje w ten sposób do swej odwiecznej śpiewki: że powinienem mieć romanse, które zrównoważą jej przygody miłosne, że mam się zakochać w kimś innym i odejść, dzięki czemu nie będzie musiała mnie dłużej ranić oraz że moja stałość w obliczu jej flirtów przestaje być chrześcijańską cnotą, a staje się zupełnie świecką mięczakowatością. Klóciliśmy się na ten temat już tyle razy, że wystarczy tylko wzmianka, żeby wzburzenie znów opanowało mi serce.

- Skończ już - syczę, pozwalając sobie na gniewny ton.

- Misha, dalej! - śmieje się moja żona, całkowicie ignorując moje uczucia. - Idź się z nią przywitać, szybko! - Po chwili przestaje mnie popychać, a jej ręka osuwa się z mojego ramienia. - Za późno - mruczy z udawanym smutkiem. - Poszła.

Nie potrafię się opanować i jednak się odwracam. Rzeczywiście zniknęła. Jej miejsce zajmują teraz dwie pulchne białe dziewczynki zajadające czekoladowe cukierki i wyrzucające papierki za burtę. Nad nimi krążą mewy, które albo protestują przeciw zanieczyszczeniu morza, albo liczą na jakiś kąsek. Tamta kobieta zniknęła równie cicho, jak się pojawiła. Gdyby Kimmer o niej nie wspomniała, mógłbym dojść do wniosku, że wcale jej tu nie było.

- Po prostu wydawało mi się, że ją znam - tłumaczę, wiedząc, że brzmi to mało przekonująco.

- A może, że chciałbyś ją poznać - sugeruje moja żona. Uświadamiam sobie, wbrew doświadczeniom ostatnich wspólnych lat, że Kimmer jest zazdrosna.

- Jestem mężczyzną jednej kobiety - przypominam jej, starając się zachować lekki ton.

- Tak, tylko której?

Ponownie obracam się w jej stronę. Lubi mnie wciągać w takie kłótnie, a choć staram się zachować spokój, przeważnie jej się udaje, podobnie jak teraz. - Kimmer, mówiłem ci już nieraz, że naprawdę nie odpowiadają mi żarty na temat... na temat mojej wierności.

- Och, kotku, przecież tylko żartuję. - Całuje mnie żartobliwie w nos. -

Chociaż wiesz, że mnie to nie będzie przeszkadzało, jeśli uznasz, że pragniesz jeszcze kogoś innego...

- Nie pragnę nikogo innego.
- Jeszcze chwilę temu inaczej to wyglądało.
- Kimmer, kocham ciebie. Tylko ciebie.

Moja żona potrząsa głową ze smutnym uśmiechem. - W takim razie jesteś szalony albo głupi...

- To całkowicie niezasłużona uwaga - odzywam się najwstrętniejszym tonem Garlandów.

- ...albo jesteś masochistą, którego podnieca, gdy kobieta traktuje go jak...

Moglibyśmy jeszcze długo wymieniać te absurdalne docinki, gdyby nie Bentley. Po spędzeniu dobrych dwudziestu minut na obserwacji przepływającej wody ustalił w końcu, co się dzieje. Chwyciwszy dłoń matki i moją, obraca się plecami do relingu i kiedy jest już pewien, że w pełni poświęcamy mu uwagę, uśmiecha się i oznajmia z wielką radością: - Jestem na *łodzi*.

Z obojga nas natychmiast uchodzi złość i przez chwilę czujemy się zjednoczeni w czystej i silnej rodzicielskiej miłości do naszego syna.

Jednak ta chwila szybko mija i znów jesteśmy przeciwnikami. Kimmer jak zwykle jest szybsza ode mnie. - Tak, jesteś na łodzi, koteczku, tak, jesteś - mruczy, przytulając dumnego, wiercącego się Bentleya do piersi. - Tak, dziecinko, jesteś na łodzi, to bardzo dobrze. Teraz chodźmy do środka i się ogrzejmy. Mamusia kupi ci colę.

- Golącą czekoladę, mamusiu, golącą czekoladę!
- Gorącą czekoladę! Świetny pomysł, naprawdę!

Nie odzywając się do mnie ani słowem moja żona, przyszły sędzia, niesie Bentleya do kabiny. Patrząc, jak odchodzi, staram się odczytać, co mówi kołysanie jej bioder i ustawienie pleców. Jak często mi się zdarza w chwilach małżeńskich nieporozumień, czuję, że w moim wnętrzu skręca się i marszczy coś prymitywnego i brzydkiego. W głowie narasta mi okropny czerwony żar, rodzaj niestrawności mózgu. Jak zawsze, udaje mi się pokonać te demony dzięki szybkiej przechadzce. Dwukrotnie okrążam pokład i raz siedzenia pod pokładem i dopiero wówczas czuję się dostatecznie spokojny, by przyłączyć się do swojej rodziny w kawiarni. Podczas całego spaceru nigdzie nie dostrzegłem kobiety poznanej na rolkach. Martwi mnie to - nie tylko dlatego, że już za nią tęsknię, lecz również dlatego, że nie wierzę, by jej obecność na pokładzie była przypadkowa. Jest tu z tego samego powodu, z jakiego była na torze wrotkowym - została *przysłana*, i to bynajmniej nie przez Boga.

Ocean Park to szeroki, nieregularny pas porośniętego trawą terenu, ograniczonego od wschodu Seaview Avenue, ruchliwą ulicą, przez którą należy przejść, aby dotrzeć do chybotałych drewnianych schodów prowadzących na plażę zwaną nieoficjalnie Kałamarzem. To tutaj zażywają kąpeli kolejne pokolenia ciemniejszej nacji. Dom, w którym jako dziecko spędzałem wakacje, znajduje się po drugiej stronie parku, wśród innych schludnych i niewielkich wiktoriańskich domów, położonych zbyt blisko siebie i przesadnie drogich. Jeśli stanąć na naszej frontowej werandzie twarzą do wody, to po prawej stronie widać ciąg pięknych starych domów, znacznie większych od naszego, zwieńczonych wieżyczkami w jasnych kolorach i wymyślnymi wiatrowskazami. Po lewej stronie tuż za zasięgiem wzroku znajduje się przystań Steamship Authority, gdzie latem przybijają niektóre promy. Poza sezonem wszystkie cumują wyłącznie w porcie Vineyard Haven, o kilka mil dalej wzdłuż wybrzeża. Nieco mniejsza odległość dzieli nas od pięknego, nadwerężonego nieco przez burze kościoła episkopalnego, którego drzwi są przez całe lato otwarte na morze, a tym samym na każdy niedzielny sztorm. W pobliżu naszego domu znajduje się też posterunek policji wychodzący na maleńki plac z pomnikiem z brązu, na którym umieszczono tablicę upamiętniającą - z powodów zrozumiałych wyłącznie dla wtajemniczonych Jankesów - poległych podczas wojny domowej konfederatów. Pomnik strzeże wylotu Lake Avenue, wąskiej, zatłoczonej uliczki prowadzącej do karuzeli z konikami*, która dla Bentleya jest najważniejszym miejscem w Oak Bluffs.

*W Oak Bluffs znajduje się najstarsza w Stanach Zjednoczonych czynna karuzela z konikami.

Nasz letni dom, podobnie jak wiele innych budynków w Oak Bluffs, posiada własną nazwę wypisaną na wyblakłej drewnianej tablicy zawieszanej na jednym ze słupków werandy. Niestety, brzmi ona VINERD HOWSE*. Została ona nadana przez Abby, gdy była jeszcze małą dziewczynką, i to w sposób zupełnie niezamierzony. Moja siostra podpisała tak swój rysunek domu, który pracowicie wykonała w pewne deszczowe popołudnie, a nasz tak nielubiący okazywać uczuć ojciec zaskoczył nas tydzień później tablicą z tym napisem. Po śmierci Abby nikt nie miał serca tego zmieniać. Jednak kiedy w ten piękny jesienny dzień wysiadamy z białego BMW, moja droga Kimmer natychmiast oświadcza, że nadeszła pora, żeby się tego pozbyć. Podczas gdy wyciąga śpiącego Bentleya z fotelika, pytam, co ma na myśli - tablicę czy nazwę. - Jedno i drugie - odpowiada, nadal prezentując mi tylko swoje plecy.

* VINERD HOWSE - zniekształcona przez dziecko nazwa Vineyard House

Kiedyś ojciec zaproponował, żeby zmienić nazwę na „Trzech Głupców”, co było jednym z jego niezrozumiałych szachowych żarcików, ale mama nie dopuściła do tego. Z tego, co pamiętam, ojciec nigdy nie postąpił wbrew jej

woli. Addison twierdzi, że to ona podjęła decyzję o przerwaniu walki o fotel w Sądzie Najwyższym, gdyż ojciec był zdecydowany walczyć do gorzkiego końca. Mariah z kolei utrzymuje, że Claire Garland przekonała go także, by po poniżających przesłuchaniach zrezygnował z pracy sędziego i, mogąc wówczas przemawiać publicznie, oczyścił swoje imię. Wszyscy też pamiętamy, jakie gwałtowne i złośliwe stały się jego odczyty po śmierci mamy. Nic zatem dziwnego, że kiedy umarła, ojciec uczcił pamięć jej i Abby, zachowując nazwę „VINERD HOWSE”. Teraz jednak, kiedy dom jest mój, czy raczej nasz, moja żona chce zrealizować własne pomysły.

Stoję przez dłuższą chwilę na wąskim podwórku przed domem z kluczami w dłoni, wspominając cudowne lata mojego dzieciństwa, gdy przyjaciele i krewni nieustannie wchodzili i wychodzili przez podwójne frontowe drzwi z małymi różowymi, lazurowymi i przejrzystymi szybkami oprawionymi w tworzący wymyślne wzory olów. Przypominam też sobie swoje smutne, samotne wizyty w tym domu w trakcie nieskończonych miesięcy, gdy matka umierała, siedząc często samotnie we frontowej sypialni na parterze. Nie zapomniałem również, jak łatwo było wykręcić się od wracania tutaj, gdy Sędzia zaczął się staczać ku megalomanii. Stojąc tak i wpatrując się w letni dom swojej młodości, uświadamiam sobie, że nie pamiętam już dokładnie, dlaczego tak się ucieszyłem na wieść, że Sędzia zostawił mi tę wypełnioną nieszczęściami skorupę. Teraz, kiedy obydwójce rodzice nie żyją, dom powinien być, na dobrą sprawę, również martwy, spokojny i obojętny. Tymczasem robi wrażenie niemal żywego, w szatański sposób czującego, rozmyślającego niechętnie o nieszczęściach naszej rodziny w oczekiwaniu na nowych właścicieli. Nagle paraliżuje mnie uczucie znacznie bardziej pierwotne niż strach, wyraźne i nieodparte przekonanie docierające do mnie z nadnaturalnego źródła, że za chwilę wszystko przebiegnie według najgorszego możliwego scenariusza: moje nogi nie zechcą mnie donieść do werandy, dłonie nie poradzą sobie z kluczem lub klucz złamie się w zamku. W tej chwili mam ochotę odrzucić to przerażające dziedzictwo, zabrać swoją rodzinę i jak najszybciej powrócić na stały ląd.

Jak zwykle do rzeczywistości przywołuje mnie wyrafinowana Kimmer.

- Czy mógłbyś się pospieszyć i otworzyć drzwi? - pyta słodko. - Przykro mi, ale strasznie chce mi się sikać.
- Nie musisz być wulgarna.
- Nic innego cię nie ruszy.

W zasadzie ma rację, a ja zachowuję się niemądrze. Uśmiewam się do niej, a ona niemal odwzajemnia uśmiech. Chwytam ciężką walizkę w lewą rękę, podrzucam klucze w prawej i śmiało ruszam po schodach, nie zważając na demony budzące się w zakamarkach pamięci. Oddycham głęboko i pozbywam się ich jak doświadczony egzorcysta, po czym wkładam klucz do zamka. Dopiero kiedy zaczynam go obracać, zauważam, że w drzwiach bra-

kuje jednej z kolorowych szybek, tak że przez obramowany ołowiem otwór mogę zajrzeć w mroczną czelusć domu. Marszcząc brwi, otwieram drzwi na oścież i stoję jak skamieniały w progu domu, który kocham od trzydziestu lat. Okazuje się, że nie wszystkie demony udało się przepłoszyć. Usiłuję przełknąć ślinę, ale mam zbyt wysuszone gardło. Nie mogę ruszyć się z miejsca, gdyż nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Przez osuwającą się powoli zasłonę wścieklej czerwieni dostrzegam swoją żonę, która przeciska się obok mnie, szepcząc: - Przepraszam, ale muszę iść - i przekłada rączkę Bentleya do mojej.

Robi trzy kroki w głąb domu, po czym również zatrzymuje się w bezruchu.

- O, nie - szepcze. - Och, Misha, nie.

Dom wygląda jak po przejściu huraganu. Meble są powywracane, książki porozrzucane po podłodze, drzwiczki szafek wyłamane, chodniki pocięte na strzępy. Wszędzie widać rozsiane dokumenty ojca, a wiatr wpadający przez otwarte drzwi podwija ich brzegi. Zaglądam do kuchni. Kilka naczyń leży rozbitych na podłodze, ale większość jest po prostu spiętrzona na blacie, tak że panuje tu znacznie mniejszy bałagan. Zostawiam Kimmer z Bentleyem we frontowym pokoju, a sam zmuszam się do pójścia na górę. Stwierdzam, że w czterech sypialniach niewiele przewrócono. Zupełnie, jakby nie warto już było się trudzić, rozmyślam, stojąc w oknie głównej sypialni i rozmawiając z dyżurnym policjantem. Relacjonując co zaszło, patrzę na BMW nieprawidłowo zaparkowane przy ogrodzeniu oddzielającym południową stronę Ocean Avenue, z otwartymi drzwiami i niewypakowanymi bagażami. Coś tu nie gra. Nie zrujnowali pierwszego piętra. Ta myśl nie daje mi spokoju. Nie ruszyli pierwszego piętra. Tak jakby splądrowanie parteru im wystarczyło. Jak gdyby... jak gdyby...

Jak gdyby znaleźli to, czego szukali.

Teraz czuję raczej zdumienie niż strach. Schodzę do żony i syna, którzy z rozszerzonymi łękami oczyma siedzą objęci w salonie. Policjanci, którzy przyjeżdżają w ciągu kilku minut, gdyż komenda znajduje się zaledwie przecznicę od nas, szybko orzekają, że zniszczenia są dziełem miejscowych wandal, nastolatków, którzy niestety przez większość zimy zabawiają się dewastowaniem domów letniskowych. Wprawdzie ci chuligani nie są zbyt liczni, ale potrafią narobić sporo szkód. Bardzo uprzejmi funkcjonariusze przepraszają nas w imieniu całej wyspy i zapewniają, że zrobią, co w ich mocy, ale nie powinniśmy zbyt wiele oczekiwać, bo złapanie takich przestępców jest niemal niemożliwe.

Wandale. Kimmer bardzo chętnie akceptuje to wyjaśnienie, a przypuszczam, że firma ubezpieczeniowa też się z nim zgodzi. A co ważniejsze, także Biały Dom. Kimmer odgraża się, że narobi sporych kłopotów firmie, która zakładała system alarmowy, i nie mam wątpliwości, że dotrzyma słowa.

Parę godzin później, siedząc nad pizzą i piwem korzennym w pobliskiej restauracji, zgadzamy się z Kimmer, że to musieli być wandalę. Mamy już za sobą wizytę człowieka, który opiekuje się naszym domem poza sezonem, i wpadł, żeby ocenić straty.

- Zadzwoń w parę miejsc - oznajmił nam, kiedy obszedł wszystko.

Wandalę. Oczywiście, że to byli wandalę. Wandalę, którzy przewracają do góry nogami jedno piętro, a zostawiają w spokoju drugie. Tacy, którzy nie zabierają wideo ani telewizora i wiedzą, jak poradzić sobie z najnowocześniejszym systemem alarmowym ojca. Na dodatek wandalę, którzy bezpośrednio kontaktują się z duchami zmarłych. Nie powiedziałem bowiem ani żonie, ani miłym policjantom o liście w zwykłej białej kopercie, który znalazłem na bielizniarce w głównej sypialni. Na kopercie starannie wypisano mój tytuł oraz pełne imię i nazwisko, natomiast w środku znajdowała się zagadkowa wiadomość napisana pełnym zawijasów, nieczytelnym charakterem pisma. Pamiętam je z dzieciństwa, gdy dumnie zanosiliśmy Sędziemu kopie naszych szkolnych wypracowań, a dzień lub dwa później odbieraliśmy je z napisanymi czerwonym atramentem na marginesach uwagami, z których wynikało, że nasi nauczyciele muszą być idiotami, skoro dają nam piątki.

List znaleziony na toaletce napisał mój ojciec.

ROZDZIAŁ 17

Mosiężny pierścień

(I)

Wiele lat temu, kiedy jako dziecko po raz pierwszy przyjechałem do Oak Bluffs, od razu zafascynował mnie stary, okazały budynek z drewna znajdujący się u wylotu Circuit Avenue, w którym mieściła się karuzela z konikami - podobno najstarsza karuzela w Stanach Zjednoczonych, działająca nieprzerwanie od 1876 roku. Jej dodatkową atrakcją była zamiana jazdy w rodzaj gry. Siadało się okrakiem na koniu i podczas każdego obrotu pochylało w kierunku nieruchomego drewnianego ramienia, z małymi pierścieniami. Mijając ramię należało chwycić znajdujący się na jego końcu pierścień, a na jego miejsce wskakiwał kolejny. Prawie wszystkie wykonane były ze stali, tylko ostatni z mosiądzu. Ten, kto miał szczęście złapać mosiężny pierścień, wygrywał bezpłatną jazdę. Podczas tego pierwszego, szaleńczego lata, spędzałem na tej karuzeli całe godziny. Rezygnowałem nawet z plaży, żeby wyćwiczyć sztuczki stosowane przez starsze dzieci, na przykład łapanie naraz dwóch lub nawet trzech krążków, co było trudne przy moich krótkich i pulchnych palcach. Płaciłem za niezliczone kolejki, próbując, niemal zawsze bezskutecznie, chwycić mosiężny pierścień i wygrać darmową przejażdżkę.

Jako dziecko wyobrażałem sobie, że jest to jedyna na świecie karuzela oferująca bezpłatną kolejkę szczęśliwcowi, który zdobył mosiężny pierścień. Kiedy przybyło mi lat, przekonałem się, że pomysł nagradzania za złapanie takiego pierścienia jest raczej powszechny, a nawet można powiedzieć, że przyziemny. O ile rozumowo już dawno pogodziłem się z tym odkryciem, o tyle emocjonalnie nadal jestem przekonany, że jedynym naprawdę liczącym się mosiężnym pierścieniem jest ten z karuzeli w Oak Bluffs. Być może dlatego, że nasz letni dom w Ocean Park znajduje się tak blisko niej. Kiedy dorastałem, miałem karuzelę za rogim i pozwalano mi tam chodzić, ilekroć miałem ochotę, nic zatem dziwnego, że nauczywszy się tej sztuczki, od tamtej pory stale wyciągam rękę po mosiężny pierścień.

Oczywiście obecna karuzela z konikami nie jest już karuzelą mojej młodości. Choćby muzyka organowa - jest dziś puszczana z kompaktów, a tłumy ludzi roją się i tłoczą, tak że na pewno nie mógłbym *jeździć* przez cały dzień. Kilka drewnianych rumaków straciło już swoje ogony z prawdziwego koń-

skiego włosia. Ale przecież wiele rzeczy na Vineyard wymaga odmalowania, wyszorowania lub sprzątnięcia. Wyspa nie jest już tak czysta i przyjazna jak niegdyś. A wszystko zmienia się tak szybko. Mrugniesz raz, a zakurzona ulica, na której grałeś w berka, jest już wyasfaltowana i zapchana samochodami. Mrugniesz drugi raz i na pustej działce, gdzie grałeś w piłkę, pojawia się ogromny budynek. Mrugniesz jeszcze raz, a szerokim, bajecznym plażom twojej młodości morze zdążyło zabrać połowę piasku. Mrugniesz czwarty raz, a apteka, w której mama kupowała ci coricidin, gdy byłeś chory, została zastąpiona przez butik. Sędzia obwiniał o te zmiany przyrost demograficzny. *Nowi ludzie*, mawiał o wszystkich, którzy odkryli wyspę później od niego. Staram się być ostrożny i nie stosować takich uogólnień, w dużej mierze dlatego, że nie chcę się zachowywać jak mój ojciec. Zatem rozglądam się wokół siebie i próbuję sobie wytłumaczyć, że w istocie niewiele się zmieniło. A jeśli wiatr roznosi po ulicach nieco więcej papierków od cukierków niż pamiętam ze swojej młodości, to tylko dlatego, że nowi ludzie nie nauczyli się jeszcze, jak kochać wyspę - a nie dlatego, że ich to nie obchodzi.

Normalnie trzeciego dnia po przyjeździe byłbym już z moim synem na karuzeli. Tyle, że zazwyczaj przyjeżdżamy tu latem, a teraz karuzela jest nieczynna. Na szczęście wyspa oferuje inne atrakcje. Wczoraj, kiedy pospiesznie zebrana brygada sprzątaczek starała się doprowadzić Vinerd Howse do porządku, wyruszyliśmy w trójkę na najdalej wysunięty na zachód kraniec wyspy. Spędziliśmy cudowne popołudnie, spacerując w chłodnym listopadowym powietrzu wzdłuż przepięknych klifów Gay Head. Urządziliśmy sobie piknik na ślicznej kamienistej plaży w rybackiej wiosce Menemsha, przejechaliśmy leśnymi bocznymi drogami Chilmark w pobliżu rozległej posiadłości należącej niegdyś do Jacqueline Onassis, udając, że nie wypatrujemy bogatych i sławnych. Potem zjedliśmy obiad w wytwornej restauracji nad wodą w Edgartown, gdzie Bentley oczarował kelnerkę swoją paplaniną. Nie wiem, ile demonów udało nam się przepędzić, ale w każdym razie nie widziałem nigdzie kobiety z toru wrotkowego, a Kimmer ani razu nie wspomniała o stanowisku sędziowskim i tylko dwa razy rozmawiała przez telefon komórkowy. Jej pożegnalny pocałunek też nie był zdawkowy, kiedy rano odwieźliśmy ją z Bentleyem na lotnisko, skąd miała odlecieć na stały ląd jednym z samolotów turbośmigłowych obsługujących wyspę. Bentley i ja jeszcze tu zostajemy, bo... bo jest nam to potrzebne. Kimmer musiała już wracać do pracy, ale ja mam jeszcze około tygodnia urlopu, a Bentleyowi przyda się trochę odpoczynku i rozrywki. Jest jeszcze jeden powód. W Oak Bluffs, w przeciwieństwie do Elm Harbor, mogę mieć syna przez cały czas na oku.

Teraz szykujemy się do wyjścia na plac zabaw. Mówiąc ściślej, Bentley jest już gotowy i na mnie czeka.

Ja nie jestem gotowy.

Siedzę przy stole w świeżo posprzątanej kuchni (pełnej nowo zakupionych plastikowych talerzy i kubeczków) nad rozłożonym listem mojego ojca i czekam, żeby ujawnił mi swą tajemnicę. W pokoju obok Bentley ogląda filmy Disneya, lecz od czasu do czasu przyczłapuje do kuchennych drzwi i woła: - Tata, pjac zabaw. Mówiłeś pjac zabaw! - Mówi to tym żalonym, przekonanym o własnej racji tonem, który natychmiast budzi w zajęтым rodzicu poczucie winy. Odpowiadam mu jakże znajomym zwrotem: - Dobrze, już, już, chwileczkę, kotku - którego każdy zapracowany rodzic używa z takim samym zażenowaniem.

Ubiegłej nocy, kiedy moja rodzina zapadła w niespokojny sen, przy czym Kimmer obejmowała opiekuńczo naszego syna, przeszukałem cały dom, od holu do najciaśniejszych zakamarków strychu, choć sam nie wiem, co spodziewałem się znaleźć. Jednak muszę się dowiedzieć, co się dzieje. Potrzebna mi jakaś wskazówka.

Niestety, ta najbardziej oczywista, czyli wiadomość od mojego ojca, okazała się niezrozumiałym bełkotem:

Mój synu!

Jest tyle spraw, o których chciałbym ci móc powiedzieć. Niestety, w tej chwili jest to niemożliwe. Poprosiłem przyjaciela, żeby dostarczył ci ten list, gdyby coś mi się przytrafiło; skoro czytasz te słowa, należy założyć, że tak się stało. Przepraszam za tak skomplikowaną metodę nawiązania kontaktu, lecz są ludzie, którzy również będą chcieli znaleźć to, co jest przeznaczone tylko dla twoich oczu. Zatem, wiedz tyle: Chłopak Angeli, pomimo swojej pogarszającej się kondycji, jest w posiadaniu tego, co chciałbym, abyś wiedział. Nie zagraża ci żadne niebezpieczeństwo, podobnie jak twojej rodzinie, ale masz mało czasu. Mało prawdopodobne, żebyś był jedynym szukającym ustaleń, które tylko chłopak Angeli może ujawnić. Możesz też nie być jedynym, który wie, kim jest chłopak Angeli.

Ekscelsior, mój synu! Ekscelsior! Już się zaczyna!

Z poważaniem

Twój ojciec

Nie ulega wątpliwości, że to charakter pisma ojca, a także jego przesadnie kwiecisty i misterny styl oraz formalny charakter zakończenia. Nieoczekiwanie zaczyna mnie ogarniać wściekłość na niego. *Jeśli chcesz mi powiedzieć, to powiedz!* Udręczony, złoścę się na niego w myślach tonem, jakiego nigdy bym nie użył w rzeczywistości. Nie *baw się w te gierki!* Jack Ziegler domagał się na cmentarzu, żebym mu zdradził, jakie są *ustalenia*. Teraz wiem przynajmniej, że ojciec rzeczywiście je poczynił. Jednak nadal nie mam pojęcia, na czym polegają, a ta wskazówka, ten list zza grobu od mojego paranoicznego ojca w niczym mi nie pomaga, nawet jeśli taki był

jego zamysł.

Ekscelesior? Chłopak Angeli, pomimo swojej pogarszającej się kondycji!
Co to ma właściwie być?

Jedno jest jasne. Celem przyjazdu Nie-McDermotta do Elm Harbor nie było przeproszenie mnie ani uspokojenie, lecz sprawdzenie - tak jak podejrzewałem - czy znam Angele, a w takim razie zarówno on, jak i prawdopodobnie Foreman, poznali w jakiś sposób treść listu. Zastanawiam się, czy to w poszukiwaniu tego listu zrujnowano nam parter, jednak wydaje się to bez sensu, żeby włamać się do domu, znaleźć list, a następnie go zostawić.

A właściwie, to interesujące, skąd ten list się tu wziął. McDermott, jeśli nawet tu był, prawdopodobnie by go nie zostawił. Sędzia napisał, że poprosił *przyjaciela* o dostarczenie listu, gdyby jemu *coś się przytrafiło*. Ale jaki przyjaciel włamywałby się do Vinerd Howse, żeby podrzucić list? Dlaczego nie wysłał go pocztą lub nie przyniósł do mojego gabinetu? Dlaczego nie dostarczył go do...

... do bezpłatnej jadłodajni?

Czyżby pionek miał jakiś związek z listem? Czy to ojciec załatwił, by go tam dostarczono? Usiłuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wspominałem ojcu o swojej ochotniczej pracy w jadłodajni, ale pamięć oferuje mi wszystkie możliwe odpowiedzi: tak, mówiłem mu, nie, nic mu nie mówiłem, wspominałem o tym, utrzymywałem to w tajemnicy. Potrząsam głową ogarnięty ostrym czerwonym gniewem. Skoro chciał mi dać pionek, to czy nie mógł dostarczyć pionka i listu razem?

Zresztą to i tak nie ma znaczenia, bo list ojca w niczym mi nie pomaga.

Nie mam pamięci do imion i nazwisk, ale jestem raczej przekonany, że nie znam żadnej Angeli, a tym bardziej nie mam pojęcia, kim może być jej chłopak.

(II)

- Telaz pjac zabaw, telaz, *telaz!* - woła Bentley. - Aja ty!
- Chwileczkę - odkrzykuję, nadal głowiąc się nad listem. Jak mam zlokalizować *chłopaka Angeli*, który jest w *pogarszającej się kondycji*. Czy to oznacza, że jest chory? Może umierający? Czy to dlatego mam *mało czasu*? Wiem już, kim są *ludzie*, którzy *również będą szukać ustaleń*, jako że kilku z nich spotkałem, ale nie mam pojęcia, dlaczego Sędzia tak usilnie mnie zapewnia, że mojej rodzinie nie zagraża niebezpieczeństwo, co jest już czwartym takim zapewnieniem w ciągu ostatniego miesiąca. Najpierw Jack Ziegler, potem McDermott, agent Nunzio, a teraz mój ojciec.

Potrząsam głową.

Próbuję myśleć o sławnych Angelach: Lansbury? Bassett? Nie intereso-

wałem się nimi na tyle, by wiedzieć, czy mają mężów lub chłopców - zresztą, mój ojciec nie utrzymywał kontaktów z ludźmi z Hollywood. Zdażyłem już poprosić swoją sekretarkę, by przejrzała listę studentek szkoły prawniczej. Okazało się, że są trzy Angele, jedna czarna, dwie białe, ale żadna z nich nie brała nigdy udziału w moich zajęciach i nie sądzę również, żeby ojciec je znał. Być może istnieje sposób, żeby sporządzić listę wszystkich kobiet o tym imieniu, które Sędzia kiedykolwiek poznał, ale to wymagałoby zaangażowania albo kogoś, kto mógłby to robić oficjalnie, na przykład wujka Mała, albo kogoś, kto znał jego znajomych, czyli Mariah - a na razie nie mam najmniejszej ochoty pokazywać im listu ojca.

Jeszcze nie.

Malo czasu.

Niemal się uśmiecham. Te słowa nie mówią nic o Angeli, ale bardzo wiele o Sędzim. Często używał ich w swoich przemówieniach, starając się wyjaśnić Komitetom Prawomyślnych, dlaczego jest im niezbędna... no, różnorodność rasowa. Przeciętny Amerykanin, wyjaśniał rozentuzjasmowanym słuchaczom, jest społecznym konserwatystą. Przeciętny czarny Amerykanin, dodawał, jest jeszcze bardziej konserwatywny. *Spójrzcie na jakiegokolwiek wyniki badań, huczał. Modlitwa w szkole? Czarni Amerykanie popierają ją częściej niż biali. Aborcja? Czarni Amerykanie są jej znacznie bardziej przeciwni niż biali. Bony edukacyjne? Czarni Amerykanie są zdecydowanie bardziej za niż biali. Prawa homoseksualistów? Czarni Amerykanie są bardziej sceptyczni niż biali.* Po takich słowach rozlegały się rześiste oklaski jego (głównie białego) audytorium. Potem atakował ich mocnym zakończeniem. *Konserwatyści to ostatni ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na rasizm, gdyż przyszłością konserwatyzmu jest czarna Ameryka!* Publiczność dosłownie szalała. Nie widziałem tego osobiście, ale często miałem to okazję obserwować na kanale C-SPAN. Po takim przemówieniu słuchacze wyruszali rekrutować czarnych członków, gdyż, jak podkreślał, jest *malo czasu*... tyle, że niemal zawsze kończyło się to kompletnym fiaskiem. Przyczyna była prosta - Sędzia zawsze pomijał kilka drobnych szczegółów, na przykład fakt, że to konserwatyści przeciwstawiali się wszelkim ustawom dotyczącym praw obywatelskich. Albo że bogacze, którzy płacili za jego kosztowne wystąpienia, nie zgodziliby się, żeby wstąpił do ich klubu. Jak również to, że wielki konserwatysta Ronald Reagan rozpoczął swoją kampanię, przemawiając na temat praw stanowych w Filadelfii w stanie Missisipi, czyli w miejscu budzącym w ciemniejszej nacji bardzo złe skojarzenia. Ten sam Reagan, już jako prezydent, poparł ulgi podatkowe dla wielu akademii na Południu, które działały w myśl zasad segregacji rasowej. Sędzia niewątpliwie miał rację, twierdząc że najwyższy czas, aby czarni Amerykanie przestali ufać białym liberałom, którzy znacznie chętniej mówią nam, czego potrzebujemy, niż pytają, czego pragniemy, ale nie zdołał też podać

przekonującej przyczyny, dla której mielibyśmy zaufać białym konserwaty-
stom.

Jednak ojciec im ufał, a oni odwzajemniali to zaufanie. Przechodzę do jadalni, gdzie przy długim, drewnianym stole mogłoby z łatwością usiąść czternaście osób, i w czasach mojego dzieciństwa często tyle przy nim siadało. Na dłuższej ścianie znajduje się kruszący się ceglany kominek, którego za mojej pamięci nigdy nie używano. Nad nim wisi pieczołowicie przechowywana przez ojca powiększona kopia okładki „Newsweeka” z tygodnia po ogłoszeniu jego nominacji. Napis obok zdjęcia głosi: CZAS KONSERWATYSTÓW, a dalej mniejszymi literami - *Nowy kierunek w Sądzie Najwyższym?* Tak, można powiedzieć, że był to nowy kierunek, tyle, że ojcu nie było dane zostać jego liderem. Przyglądam się uważnie zdjęciu. Sędzia jest na nim przystojny; wygląda na śmiałego, inteligentnego i gotowego na wszystko. Przede wszystkim wygląda na *ożywionego*. W tamtym okresie z niewiadomych powodów prasa go lubiła. Jednak w żadnym razie nie wolno zakochiwać się w doniesieniach prasowych na swój temat, gdyż taka jest natura bestii, że ci sami dziennikarze, którzy głoszą twoją chwałę od poniedziałku do piątku, potrafią rozerwać cię na strzępy, jeśli chcą podczas weekendu urządzić igrzyska. Nagle stwierdzasz, że zamiast chwałą, jesteś otoczony niesławą, a zamiast życia w służbie publicznej, żyjesz zgorzkniały w zaciszu własnego domu, który zamieniasz w muzeum niezrealizowanych możliwości. Znowu przypomina mi się nostalgiczny zwrot używany przez ojca: *tak jak było kiedyś*. Nawyk życia przeszłością kultywowany przez moją rodzinę wydaje mi się patologiczny, a nawet niebezpieczny. Jeśli wszystkie wspaniałe momenty zostały w przeszłości, to po co komu przyszłość? Nie da się cofnąć czasu i akurat Sędzia powinien najlepiej o tym wiedzieć, a nie zamieniać swoją kryjówkę i miejsce wytchnienia w świątynię zdruzgotanych marzeń. Wiem, że Kimmer tylko czeka na sprzyjającą chwilę, żeby te symbole własnej chwały ojca rozmieszczone w całym Vinerd Howse przenieść na strych, gdzie spoczną razem z moimi kartami baseballowymi i wypchanymi zwierzątkami Abby.

- Pjac zabaw *teraz!* - oznajmia od drzwi kuchennych Bentley i tupie nogą. Mam zamiar się rozgniewać, ale kiedy podnoszę na niego wzrok, muszę się uśmiechnąć. Jest ubrany w swoją granatową kurtkę i nawet włożył buty, tyle że na odwrót. Ciągnie za sobą moją wiatrówkę. Och, jak ja kocham to dziecko!

- Dobrze, kochanie. - Chowam list do koperty i wsuwam ją do kieszeni.
- Teraz.

Bentley podskakuje w miejscu. - Pjac zabaw! Aja *ty*. Cham *cię!*

- Też cię kocham. - Ściskam go, po czym przyklękam, żeby zamienić mu buty, a wówczas natychmiast zaczyna dzwonić telefon.

Nie *odbieraj*, mówią szczerze i pełne wyrzutu oczy Bentleya, bo nie wie

jeszcze, jak to wyrazić słowami. *Proszę, tatusiu, nie odbieraj.* Początkowo zamierzam zignorować ten telefon. Prawdopodobnie to Cassie Meadows dzwoni z Waszyngtonu albo Mariah z Darien, a może Nie-McDermott z Kanady. Z drugiej strony może to być Kimmer z dobrymi wieściami, Kimmer ze złymi, Kimmer, która chce mi powiedzieć, że mnie kocha lub że nie kocha.

To może być Kimmer

- Tylko sekundkę - mówię do synka patrzącego na mnie z bezradnym rozczarowaniem, które na pewno ujawni jakiś psychiatra z przyszłości. - To zapewne mamusia.

Tylko że to nie mamusia.

(III)

- Talcott? Cześć, mówi Lynda Wyatt.

Pani dziekan. Wspaniale.

- Cześć, Lyndo, jak się masz? - Radosne oczekiwanie szybko ze mnie uchodzi i wiem, że w moim głosie słychać rozczarowanie.

- *Ja* świetnie, Talcotcie, ale co u *ciebie*?

- Wszystko w porządku, Lyndo, dziękuję.

- Mam nadzieję, że świetnie się bawisz na Vineyard. Uwielbiam to miejsce jesienią, ale licho wie, kiedy będziemy mieli z Normanem czas, żeby skoczyć do naszego domu. - Ma mi to przypomnieć, że są z mężem właścicielami dużego, nowoczesnego domu nad stawem w West Tisbury, miasteczku na zachodnim krańcu wyspy, gdzie spędza lato wielu artystów i pisarzy. Właściwie znam ten dom tylko z opowieści kolegów ze szkoły prawniczej, gdyż przez te wszystkie lata, kiedy Lynda Wyatt i ja spędzamy wakacje na wyspie, ani razu nie zaprosiła mojej rodziny do swojego domu. (Ja rewanżuję jej się tym samym, więc może wina leży po mojej stronie).

- Raczej dobrze się bawimy - przyznaję, uśmiechając się rozpaczliwie do syna. Bentley rzuca mi piorunujące spojrzenie i odchodzi niepewnym krokiem w kąt kuchni, gdzie siada na podłodze.

- No, to wspaniale, naprawdę wspaniale. Mam nadzieję, że również odpoczywasz.

- Trochę. Zatem, o co chodzi? - popędzam ją, zapewne okazując się w ten sposób niegrzeczny, ale czuję się całkowicie usprawiedliwiony.

- No, cóż, Talcotcie, dzwonię z dwóch powodów. Przede wszystkim, ale nie przypisywałabym temu zbyt wielkiej wagi - co oznacza, oczywiście, że uważa to za niezwykle istotne - przede wszystkim odbyłam bardzo dziwną rozmowę z jednym z naszych absolwentów, który jest obecnie członkiem zarządu naszego uniwersytetu. Z Cameronem Knowlandem. Na pewno

znasz Camerona?

- Nie.

- On jest wielkim przyjacielem naszej szkoły, Tal, naprawdę wielkim przyjacielem. Cameron i jego żona właśnie obiecali podarować trzy miliony na naszą nową bibliotekę prawniczą. W każdym razie on twierdzi, że jego synowi ostro się oberwało podczas twoich zajęć. Podobno wyśmiewałeś się z niego, czy coś takiego.

W tej chwili już kipię z wściekłości.

- Zakładam, że powiedziałaś mu, żeby się odczepił.

- Powiedziałam mu, że zapewne cała sprawa została wyolbrzymiona - odpowiada Lynda Wyatt uprzejmym głosem - że wszyscy studenci pierwszego roku mają zwyczaj narzekać. Wyjaśniłam też, że nie jesteś człowiekiem, który mógłby się znęcać nad studentem w klasie.

- Rozumiem. - Trzymam mocno słuchawkę, ale chwiję się na nogach. Jestem zbulwersowany tak mizerną obroną profesora przez dziekana szkoły prawniczej. Robi mi się coraz goręcej, a kuchnia staje się coraz bardziej czerwona. Bentley obserwuje mnie uważnie z ręką przyłożoną do ucha, gdyż udaje, że też trzyma słuchawkę. Od czasu do czasu wypowiada nawet jakieś słowa.

- Przypuszczam, że dobrze by było - ciągnie spokojnie dziekan Lynda - gdybyś zadzwonił do Camerona. Po prostu, żeby go uspokoić.

- Uspokoić go?

- Och, Tal, przecież wiesz, jacy są ci absolwenci. - Prezentuje mi się z milszej strony. - Stale ich trzeba dopieszczać. Ja nie próbuję wpływać na to, jak prowadzisz zajęcia - co oznacza, że właśnie to stara się zrobić - tylko wyjaśniam ci, że Cameron Knowland martwi się o syna. Jak to ojciec. Wyobraź sobie, jak ty byś się czuł, gdybyś się dowiedział, że któraś z nauczycielek dręczy Bentleya.

Czerwień, czerwień, czerwień.

- Ja *nie dręczyłem* Avery'ego Knowlanda.

- W takim razie powiedz to jego ojcu, Talcotcie. Tylko o to cię proszę. Postaraj się go uspokoić, jak ojciec ojca. Dla dobra szkoły.

Chyba dla dobra trzech milionów dolarów. Jej się wydaje, że mnie to w ogóle coś obchodzi. W moim obecnym stanie nie przeszkadzałoby mi, gdyby biblioteka zapadła się pod ziemię. Gerald Nathanson jest tam częstym gościem. Twierdzi, że jest tam ciszej niż w jego biurze i może więcej zrobić. Wolę więc trzymać się z dala od tego miejsca, żeby na niego przypadkowo nie wpaść.

- Pomyślę o tym - obiecuję, zastanawiając się, co zrobię, kiedy następnym razem ujrzę bezczelną twarz Avery'ego Knowlanda.

- Dziękuję ci, Tal - mówi moja pani dziekan, wiedząc, że nic więcej nie uzyska. - Szkoła docenia wszystko, co dla nas robisz. - Dla *nas*, zupełnie

jakbym był człowiekiem z zewnątrz. Co w dużej mierze jest prawdą. - A Cameron to miły facet, Tal. Nigdy nie wiadomo, czy nie będziesz potrzebował przyjaciela.

- Powiedziałem ci, że pomyślę o tym. - Pozwalam sobie na chłodniejszy ton. Przypominam sobie, co Stuart Land mówił o naciskach, które mnie czekają, i zastanawiam się, czy ta rozmowa jest tego przykładem. Ta myśl prowokuje mnie do następnego niegrzecznego odezwania. - Mówiłaś, że masz dwie sprawy.

- Tak. - Chwila ciszy. - No, cóż. - Kolejna. Wyobrażam sobie, że zmierza do jakiejś uwagi na temat współzawodnictwa Marca i Kimmer, podobnej do usiłowań Stuarta. Tyle że Lynda się nie wycofa.

Mam rację... lecz Lynda jest znacznie subtelniejsza ode mnie.

- Tal, dzwonił do mnie jeszcze jeden z naszych absolwentów. Morton Pearlman. Znasz Morta?

- Słyszałem to nazwisko.

- On studiował trzy lub cztery lata przed tobą. W każdym razie teraz pracuje w biurze prokuratora generalnego. Dzwonił, żeby się przekonać... chciał się dowiedzieć... czy u ciebie wszystko w porządku.

- Czy u mnie wszystko w porządku? A w jakim sensie?

Dziękam Lynda znów się waha i uświadamiam sobie, że stara się być miłą, podobnie jak lekarz starannie dobierający słowa, żeby oznajmić pacjentowi, co wykazały badania. - Powiedział, że ty... hmm... że FBI i inne agencje odebrały mnóstwo telefonów w twojej sprawie. To znaczy, większość z nich była wykonana na twoje żądanie. Telefonów na temat... no, spraw związanych z twoim ojcem. Pytania o autopsję, o tego księdza, którego zabił handlarz narkotyków, o różne rzeczy.

Kiedy umilkła, miałem ochotę wykrzyknąć, że to nie ja załatwiłem te telefony, tylko moja siostra, która nawet sama przeprowadziła część rozmów. Jednak nadal tkwi we mnie prawnik, który każe mi czekać, co będzie dalej. Toteż mówię tylko: - Rozumiem.

- Naprawdę? Ja nic z tego nie rozumiem. - Jej głos twardnieje. - Słuchaj, Tal. Znamy się od bardzo dawna i jestem pewna, że masz ważne powody, żeby robić niemal wszystko, co robisz. - Niepokoi mnie to *niemal wszystko*. - Jednak mam wrażenie, że Mort w zasadzie chciał spytać w uprzejmy sposób, czy nie potrzebujesz trochę odpoczynku.

- Poczekaj chwilkę. Poczekaj. Zastępca prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych sądzi, że oszalałem? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Uspokój się, Tal, dobrze? Ja jestem tylko posłańcem. Nie wiem, co zamierzasz i nie chcę wiedzieć. Powtarzam ci tylko, o co pytał mnie Mort. W ogóle nie powinnam ci tego mówić, bo Mort zastrzegł, że to poufne.

Rozprostowuję dłoń zaciśniętą dotąd w pięść. Zmuszam się, żeby mówić

powoli i wyraźnie. Nie martwię się teraz o Kimmer i jej sędziowską posadę. To może poczekać. Denerwuję się, że FBI może przestać traktować poważnie niepokojące mnie sprawy. - Lyndo, to ważne. Co dokładnie mu powiedziałeś?

- Słucham?

- Co powiedziałaś Mortonowi Pearlmanowi? Kiedy zasugerował, że przydałby mi się odpoczynek?

- Powiedziałam mu, że moim zdaniem z tobą jest wszystko w porządku, tyle, że jesteś nieco zdenerwowany. No, i wspomniałam, że wzięłaś parę tygodni wolnego.

- Nie powiedziałaś tego.

- Powiedziałam. A co niby miałam powiedzieć? Nie chcę ci narobić kłopotów, ale... no wiesz, Tal, martwię się o ciebie.

- Martwisz się o mnie? A dlaczego?

- Sądzę, że może... Posłuchaj, Tal, gdybyś chciał odpocząć jeszcze przez parę tygodni, zanim wrócisz, to sądzę, że nie będzie z tym problemu.

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. Przewidywane skutki jej machinacji na chwilę mnie przytłaczają. Mówiąc krótko, jeśli Morton Pearlman zdoła przekonać, kogo trzeba, że mąż Kimberly Madison jest stuknięty, to z pewnością nie dostanie ona stanowiska w sądzie apelacyjnym. Najwyraźniej dziekan Lynda postawiła sobie za cel przyczepienie mi takiej etykiety, żeby pomóc Marcowi w osiągnięciu jego życiowego celu. Elegancja, z jaką to robi, wywiera na mnie wielkie wrażenie, niemniej jednak doprowadza mnie do wściekłości, że wykorzystuje w taki sposób komplikacje związane ze śmiercią mego ojca. Na dodatek ma o mnie tak niskie mniemanie, że sądzi, iż jej się to uda. No, cóż, Stuart mnie uprzedzał.

- Nie, Lyndo, ale dziękuję. Wrócę w przyszłym tygodniu, zgodnie z planem.

- Tal, naprawdę nie musisz się spieszyć. Powinieneś wziąć sobie tyle wolnego, ile potrzebujesz.

Żałuję, że nie jestem bardziej układowy. Chciałbym być tak taktowny, jak Kimmer, aby znaleźć słowa, które rozładują sytuację. Jednak nie jestem ani układowy, ani taktowny. Jestem po prostu zły, a należę do tych dziwnych ludzi, którzy czasami, w chwilach gniewu, dopuszczają do tego, by wymknęła im się prawda.

- Lyndo, posłuchaj. Doceniam to, że zadzwoniłaś. Rozumiem, dlaczego wolałabyś, żebym jeszcze nie wracał. Jednak wracam w przyszłym tygodniu.

Głos Lyndy natychmiast robi się zimny jak lód. - Talcotcie, cenię sobie twoją przyjaźń, ale nie odpowiada mi twój ton i sugestia. Staram ci się pomóc w trudnej sytuacji...

- *Lyndo* - zaczynam, chcąc wyjaśnić, że nie jesteśmy i nigdy nie będziemy przyjaciółmi, ale udaje mi się przerwać. Masuję sobie skronie i za-

mykam na chwilę oczy, bo świat jest jasnoczerwony, a ja chyba krzyczę i widzę, jak mój zaniepokojony syn, który stoi w drzwiach, kuli się i zaczyna się wycofywać. Z trudem uśmiecham się do niego i posyłam mu całusa, a potem kontynuuję rozmowę, mając nadzieję, że teraz mój ton brzmi rozsądniej. - Lyndo, dziękuję ci. Naprawdę. Doceniam twoją troskę. Jednak i tak już pora, żebym wracał do Elm Harbor...

- Twoim studentom naprawdę podobają się zajęcia ze Stuartem Landem - przerywa mi bezlitośnie.

Staram się odpowiedzieć z wdziękiem. - To jeszcze jeden powód, żebym wracał. Mogliby całkiem o mnie zapomnieć.

- No, tego byśmy nie chcieli, nieprawdaż? - Jest wściekła. Zdumiewa mnie to, bo to raczej ja powinienem się rozżłościć. Nic jednak nie mówię. Mimo lat spędzonych z nieprzewidywalną Kimberly Madison, a może właśnie dzięki nim, nie potrafię sobie radzić z kobiecym gniewem. - W każdym razie - podsumowuje pani dziekan - Nie możemy się wszyscy doczekać, kiedy znów będziesz wśród nas.

- Dziękuję - kłamię.

(IV)

- Przykro mi, kotku - mówię do Bentleya, kiedy siedzimy przy stoliku, czekając na cheeseburgery.

- Pjac zabaw - jęczy mój syn. - Na pjac zabaw.

- Już za późno, chłopie - mruczę, wicherząc mu włosy. Odsuwa się. - Widzisz. Na dworze jest już ciemno.

- Powiedziałeś pjac zabaw!

- Wiem, wiem. Naprawdę mi przykro. Tata był zajęty.

- Tata powiedziałeś pjac zabaw.

Mówi oskarżycielskim tonem, co jest zupełnie zrozumiałe, gdyż popełniłem rodzicielski grzech, którego dzieci w swej niewinności nie potrafią wybaczyć - nie dotrzymałem obietnicy. Nie udało nam się dotrzeć na plac zabaw. Po skończeniu utarczki z dziekan Lyndą, zamiast wziąć synka i jak najprędzej wyruszyć, popełniłem ten błąd, że sprawdziłem pocztę głosową w swoim gabinecie. Okazało się, że są w niej dwie niezwykle nagłe wiadomości od pewnej prawniczki z nowojorskiej firmy, która niedawno zatrudniła mnie jako konsultanta. Miałem pomóc jakiejś chciwej firmie sporządzić opartą na konstytucji argumentację dla podważenia nowych federalnych uregulowań prawnych dotyczących usuwania odpadów toksycznych, może niezbyt chwalebna praca, ale profesorzy prawa korzystają z wszelkich okazji, aby uzupełnić swoje uniwersyteckie pensje. W ubiegłym tygodniu wysłałem wstępną wersję argumentów, a teraz jeden z partnerów mojej zlecenio-

dawczyni miał kilka pytań. Stwierdziłem, że szybko do niej zadzwonię, zapominając o tym, że dla prawników, szczególnie z dużych kancelarii, rozmowa telefoniczna jest ulubioną formą pracy. Lista pytań ciągnęła się w nieskończoność, przy czym niektóre były naprawdę trudne. Ugrzęzłem przy telefonie na dziewięćdziesiąt minut (dwie płatne godziny dla prawniczki i dla mnie, przy czym jej stawki są wyższe, ale ja nie mam kosztów), starając się w tym czasie zająć synka ciasteczkami i owocami oraz obserwując, jak ciemnieje listopadowe niebo, i co chwilę obiecując sobie, że za pięć minut skończę.

Po prostu się okłamywałem.

Kiedy powiedziałem Bentleyowi, że jest już za późno, żeby iść na plac zabaw, dosłownie rzucił się na podłogę, zalewając łzami. Nie było to wcale przedstawienie na mój użytek czy próba manipulacji. Po prostu zasłonił ręką twarz i się załamał.

Bezskutecznie próbowałem go pocieszyć.

W końcu uciekłem się do kolejnej demoralizującej sztuczki współczesnych rodziców - przekupiłem go. Ubraliśmy się w kurtki i wyruszyliśmy na odległą o dwie przecznice dalej Circuit Avenue, będącą centrum handlowym Oak Bluffs. Na odcinku kilkuset metrów znajdują się tu restauracje, butiki i sklepy oferujące najrozmaitsze bibeloty, które można znaleźć w każdej miejscowości wypoczynkowej. Latem moglibyśmy pójść do lodziarni Mad Martha's na mleko słodowe z lodami waniliowymi lub różki truskawkowe, ale poza sezonem jest zamknięta. Udaliśmy się zatem do sklepu ze słodyczami Murdicka, który po bezkonkurencyjnej karuzeli z konikami jest drugim ulubionym miejscem Bentleya na wyspie. Tam kupiliśmy krówki żurawinowe, będące ich specjalnością, i powędrowaliśmy powoli z powrotem. Ja kupiłem miejscową gazetę, „Vineyard Gazette”, po czym zatrzymaliśmy się na obiad w Linda Jean's, cieszącej się spokojną popularnością restauracji o skromnym wystroju i wyjątkowo niskich cenach. W swoim czasie był to ulubiony lokal mojego ojca, który wpadał tu latem niemal codziennie na bułeczki zapiekane z homarem, jednak tylko w godzinach, gdy nie było ruchu, gdyż po swoim poniżeniu stale się obawiał, że ktoś go rozpozna.

Kilka lat temu, w dziesiątą rocznicę upokarzających przesłuchań, „Time” opublikował artykuł opisujący życie ojca po rezygnacji ze stanowiska sędziego. Na dwóch stronach rozkładówki przypomniano tytuły jego gniewnych książek, zacytowano fragmenty agitacyjnych przemówień oraz, dla dziennikarskiej równowagi, umożliwiono niektórym wrogom wygłoszenie napastliwych uwag. Nazwisko Jacka Zieglera wymieniono trzy razy, Addisona dwa, moje raz, a Mariah wcale, mimo że wspomniano o jej mężu. W ramce z boku przedstawiono krótko koleje losu Grega Haramoto po przesłuchaniach (Greg, podobnie jak mój ojciec, odmówił udzielenia wywiadu). Jednak główną myślą artykułu była samotność ojca. Trafnie zauważono, że

w owym okresie ojciec był znacznie bardziej samotny, niż jego przyjaciele mogli przypuszczać, i to pomimo szaleńczo ożywionej działalności publicznej. Wspomniano, że coraz więcej czasu spędza „w swoim letnim domu w Oak Bluffs”, niemal zawsze sam. Chociaż dom przedstawiono jako wspólniejszy niż jest w rzeczywistości („położony tuż nad wodą, z pięcioma sypialniami”) i źle podano jego nazwę („znany rodzinie i przyjaciółom po prostu jako The Vineyard House”), to trzeba przyznać, że autorowi artykułu doskonale udało się uchwycić atmosferę ówczesnego życia ojca. Artykuł nosił lekko ironiczny, a jednocześnie przygnębiający tytuł: „Władca Ocean Park”. Ja byłem przerażony, a Mariah wściekła. Addisona, oczywiście, nie można było nigdzie znaleźć. Jeśli chodzi o ojca, to nic sobie z tego nie robił, albo tak udawał. - Mediami - tłumaczył mi, gdy się spotkaliśmy na Shepard Street - kierują liberałowie. *Biali* liberałowie. Oczywiście jest, że pragną mnie zniszczyć, bo ja ich za dobrze znam i wiem, jacy są. Widzisz, Talcotcie, biali liberałowie nie aprobują czarnych, których nie mogą kontrolować. Samo moje istnienie jest dla nich obrazą. - Potem powrócił do czytania uspokajających stron „National Review”.

Co do lęku ojca przed rozpoznaniem, to muszę przyznać, że nie był przesadzony. Po fiasku jego nominacji podchodziły do niego zupełnie obce osoby, i to wszędzie - na lotniskach, w hotelach czy nawet na ulicy. Jedni zapewniali go, że przez cały czas przesłuchań byli po jego stronie, inni chcieli go poinformować o czymś wręcz przeciwnym. Wydaje mi się, że ojca jednakowo denerwowali jedni i drudzy, gdyż pomimo że większość jego dochodów w ostatnich latach pochodziła z publicznych wystąpień, był on człowiekiem nade wszystko ceniącym sobie prywatność. Nie chciał, żeby ktokolwiek uczestniczył w jego życiu. Kiedy kilka lat temu przyjechał do nas na weekend do Elm Harbor, wyszedł go jeden z jego przeciwników i przez dwa dni manifestował przed naszym domem z transparentem SĘDZIA GARLAND POWINIEN BYĆ W WIĘZIENIU. Próbowałem go ugłaskać, a potem nawet przekupić, żeby odszedł, ale odmówił. Policja oświadczyła, że nic nie da się zrobić, skoro nie wchodzi na nasz teren i nie blokuje dostępu. Ojciec stał wówczas w oknie mojego gabinetu, patrząc na niego z wściekłością i mamrocząc, że gdyby to była klinika aborcyjna, manifestanta już dawno by aresztowano. Może to nie było ściśle stwierdzenie z punktu widzenia prawa, ale niewątpliwie dokładnie odzwierciedlało pragnienie Sędziego, żeby zostawiono go w spokoju. Nic zatem dziwnego, że w Oak Bluffs jadał posiłki w porach, gdy prawie nie było gości. W Linda Jean's chętnie prześiadują osoby marzące o spotkaniu sław, szczególnie latem. Na śniadanie wpada tu Spike Lee, Bill Clinton miał zwyczaj przychodzić na wczesny lunch po kościele, a dawniej można było liczyć, że za oknem przejdzie Jackie O z lodem w ręce. Pewnego razu Kimmer wypatrzyła Ellen Holly, jedną z pierwszych czarnych aktorek, która przez wiele lat występowała w operze mydła-

nej „One Life to Live”, i czym prędzej w charakterystyczny dla siebie sposób podeszła do jej stolika, żeby się przedstawić i uciąć sobie pogawędkę.

Jednak największą zaletą tej restauracji jest to, iż jest czynna przez cały rok, podczas gdy wiele modniejszych lokali na wyspie zamyka się po sezonie.

- Hej, chłopcze - odzywam się teraz do swojego ślicznego syna. Mierzy mnie niepewnym wzrokiem. Ssie krówkę i wydaje się zadowolony, choć jeszcze nie jest gotów mi wybaczyć. Psa podarowanego przez Addisona usadził na sąsiednim siedzeniu i starannie wepchnął mu papierową serwetkę za wstążkę na szyi. Czy zawsze tak bardzo kochałem swojego syna, a jednocześnie czułem się tak wyraźnie i boleśnie nieszczęśliwy?

- Powiedziałeś - szepce Bentley. Po jego dużych, brązowych oczach widać, że jest już śpiący. Mało, że złamałem obietnicę, to jeszcze zapomniałem o jego drzemce, a teraz zbyt późno go karmię. Na pewno gdzieś na świecie są dobrzy ojcowie; przydałoby mi się od nich kilka porad.

- Przepraszam - zaczynam, nie mogąc się nadziwić, jak naznaczone tchórzostwem stało się rodzicielstwo w naszych dziwnych czasach. Nie pamiętam, aby moi rodzice kiedykolwiek przeproszali mnie za to, że nie zabrali mnie gdzieś, gdzie chciałem iść. Natomiast my z Kimmer przepraszamy bez przerwy, podobnie jak większość naszych znajomych. - Bardzo mi przykro, kotku.

- Aja *mamusia* - odpowiada, nie wiem, czy wyrażając nadzieję, preferencję czy groźbę. - *Mamusia buzi. Aja ty!*

Serce mi się skręca, a twarz płonie, gdyż nasz syn nauczył się używać tych kilku znanych sobie słów w taki sposób, aby dopiec swym opanowanym poczuciem winy rodziców. Na szczęście dostajemy wreszcie cheeseburgery i lemoniadę, co ratuje mnie od odpowiedzi. Bentley z zapalem zabiera się do jedzenia, zapominając, co chciał powiedzieć, a ja czuję taką ulgę, że odgryzam zbyt wielki kęs i natychmiast zaczynam kaszleć. Mój syn się śmieje. Patrząc na jego rozbawioną, usmarowaną ketchupem buzię marzę, żeby Kimmer tu była i widziała swojego syna, żeby śmiała się wraz z nami - ta dawna Kimmer, kochająca i łagodna Kimmer, dowcipna i zabawna Kimmer, Kimmer, która nadal od czasu do czasu powraca. Jeśli dzięki stanowisku sędziowskiemu mojej żonie łatwiej będzie odnaleźć w sobie tamtą Kimmer, to mam obowiązek zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc jej osiągnąć ten cel. To kolejny powód, żeby nie pozwolić Marcowi i Lyndzie wygrać.

Obowiązek. Takie staromodne słowo. Jednak wiem, że muszę spełnić obowiązek, nie tylko wobec żony, lecz również wobec syna. A także wobec tej coraz bardziej tajemniczej koncepcji, jaką jest rodzina.

Kocham swoją rodzinę.

Miłość jest działaniem, nie uczuciem - czyż nie tak powiedział jeden z

wielkich teologów? A może to Sędzia, który przy każdej okazji podkreślał, że to obowiązek, a nie wybór, leży u podstaw cywilizowanej moralności? Nie pamiętam, kto jest autorem tego stwierdzenia, ale zaczynam rozumieć jego znaczenie. Prawdziwa miłość nie jest nieopanowanym pragnieniem, aby posiadać obiekt naszego gwałtownego uczucia; prawdziwa miłość to zdyscyplinowana wielkoduszność, której od siebie wymagamy na rzecz ukochanej osoby w sytuacjach, gdy wolelibyśmy zachować się egoistycznie; tak przynajmniej nauczyłem się kochać swoją żonę.

Mrugam do Bentleya, a on odpowiada mi uśmiechem, z namysłem żując frytkę. Otwieram „Vineyard Gazette” i niewiele brakuje, żebym znowu się zakrztusił - rzuca mi się w oczy nagłówek: **PRYWATNY DETEKTYW TONIE NA PLAŻY MENEMSHA**. Poniżej informacja: *Policja uznaje jego śmierć za podejrzaną*. Z kiepskiej jakości fotografii po prawej stronie patrzy na mnie człowiek, którego gazeta określa jako Colina Scotta, lecz ja go znam znacznie lepiej pod nazwiskiem agenta McDermotta.

CZEŚĆ II

TEMAT TURTONA

Temat Turtona - W kompozycji szachowej temat, w którym jedna biała figura wycofuje się, umożliwiając drugiej białej figurze wysunięcie się przed siebie, tak żeby mogły zaatakować czarnego króla razem wzdłuż tej samej linii.

ROZDZIAŁ 18

Dalsze wieści telefoniczne

(I)

- Wie pan, on rzeczywiście był z Południowej Karoliny - mówi Cassie Meadows - i naprawdę nazywał się Scott.

- Och, a więc teraz łaskawie podali nam jego nazwisko? Jak to miło z ich strony.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nam tego nie powiedzieli.

- No, teraz, kiedy nie żyje, nie mają wielkiego wyboru. Jego nazwisko było we wszystkich gazetach. - Jest poniedziałek, a więc minęły cztery dni od chwili, gdy otworzyłem „Gazette” i zobaczyłem zdjęcie Colina Scotta, oraz trzy od poranka, gdy wsiedliśmy na pierwszy prom i ruszyliśmy do szalejącej z niepokoju Kimmer. Obejmowaliśmy się w trójkę na podjeździe tak długo, że sądziłem nawet, iż moja żona oczekuje pełnych wyjaśnień. Jednak okazało się, że nie. Po prostu cieszyła się, że wszyscy jesteśmy znów razem, jak stwierdziła, a reszta będzie musiała poczekać.

- Nie pojmuję, że FBI jest nagle takie pomocne w tej sprawie - odezwałem się zgryźliwie do Meadows.

- Pan Corcoran sądzi, że Biuro robi wszystko, co może.

- Rozumiem - mruczę, ale wcale tak nie jest. Stoję w swoim gabinecie w domu, wyglądając, tak jak lubię, przez okno, i czekam, czy listopadowe niebo rozjaśni się na tyle, by rzucić nieco słońca na Hobby Road. Robię wdech, a potem wydech, starając się powstrzymać od oskarżeń. Na razie. - Zatem, skoro FBI tak nam pomaga, to może wyjaśnili, co Scott robił na tej łodzi?

- No, niewątpliwie obserwował pana. Wygląda na to, że śledził pana od tygodni.

- Świetnie.

Meadows śmieje się cicho. - Teraz już nie musi pan się nim martwić, panie Garland, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Wydaję potwierdzające mruknięcie.

- Biuro sądzi, że jego przyjaciele nie mieli z tym nic wspólnego - ciągnie swobodnym tonem. Widać, że bawi ją ta sytuacja. - Byli to po prostu jego koledzy wędkarze z Charleston. Jeden z nich... chwileczkę, tylko sprawdzę notatki... tak, prowadzi stację benzynową. Najwyraźniej pan Scott

opowiedział im jakąś historyjkę o urokach łowienia poza sezonem w Nowej Anglii, zapewnił, że wie, gdzie wypożyczyć łódź... No, w każdym razie przyjechali wraz z nim na wyspę. Powiedzieli potem policji, że Scott cały czas pił, a kiedy wypadł i nie mogli go znaleźć, wpadli w panikę. Zawrócili i uciekli.

- Ale wrócili.

- Potem, kiedy trochę wytrzeźwieli. Sądzę, że dopiero, kiedy przeczytali o tym w gazetach.

- A czy któryś z nich odpowiada opisowi... agenta Foremana?

- Raczej nie. - Słyszę jej śmiech. - Obaj jego przyjaciele byli biali.

- Uhm. - Przychodzi mi na myśl coś, co zapamiętałem jeszcze z czasów swojej praktyki prawniczej. Mianowicie, że czasami historia, która wydaje się zbyt piękna, aby była prawdziwa, rzeczywiście okazuje się prawdą.

Meadows nadal zasypuje mnie faktami. - No, więc, ci z FBI pojechali do biura Scotta w Charleston. I wie pan co? Znaleźli jego dzienniki i trochę akt, tak że wygląda na to, iż powiedział panu prawdę. Ktoś rzeczywiście go wynajął, aby odzyskał dokumenty, które pana ojciec miał rzekomo w swoim posiadaniu w chwili śmierci. Niestety, w dzienniku nie ma ani słowa o tym, kto go wynajął, ani co to były za dokumenty.

- Jak wygodnie - mrużę, czując się nagle zupełnie samotny. Bentley wrócił do przedszkola, Kimmer znów wyjechała z Jerryem Nathansonem do San Francisco, a ja muszę jeszcze podjąć ryzyko powrotu na zajęcia. Gdyby nie kandydowanie mojej żony na sędziego, zapewne dałbym się skusić dziekan Lyndzie i skorzystał z jej oferty kilku dodatkowych tygodni urlopu. Z tym, że gdyby Kimmer nie kandydowała, z pewnością nie otrzymałbym takiej propozycji.

- Hmmmm?

- Skoro wolał nie wpisywać nazwiska klienta...

- Aaa, rozumiem. - W jej głosie słychać entuzjazm. - Myśli pan zapewne o Jacku Zieglerze.

- No, tak.

- Wie pan, panie Garland, nie musi pan się martwić o Jacka Zieglera. Pan Corcoran uprzedził mnie, że pan zapewne pomyśli, iż pan Ziegler miał coś wspólnego z... z wynajęciem pana Scotta. Pan Corcoran poprosił mnie, żebym panu przekazała, iż rozmawiał z panem Zieglerem i pan Ziegler zaprzeczył, jakoby wynajmował pana Scotta, a pan Corcoran twierdzi, że jest skłonny mu wierzyć. - Mam ochotę się uśmiechnąć, słysząc jak Meadows potyka się o słowo „pan” przy każdym nazwisku, ale wujek Mal prowadzi bardzo staroświecką kancelarię prawniczą. Zastanawiam się, jak długo uda mu się egzekwować te drobne formalności... czy nowe pokolenie prawników, które nie nosi krawatów, bo ich klienci, właściciele dotcomów tego nie robią, pogodzi się ze stylem Corcorana & Kleina. - Prosił mnie również, żebym powiedziała panu, że bronił pana Zieglera w procesie o krzywoprzy-

sięstwo w osiemdziesiątym trzecim roku i zazwyczaj potrafi ocenić, czy on kłamie, czy nie.

- Skąd wie, że potrafi?

- Słucham?

- Mniejsza o to. Czy mógłbym osobiście porozmawiać z panem Corcoranem?

- Jest w Brukseli. Jednak może pan wszystko załatwić przeze mnie.

Zastanawiam się, czy wujek Mal celowo mnie unika i zrzuca moje sprawy na Meadows, żeby się mnie pozbyć, czy też jak zwykle jestem nadwrażliwy.

- Ale, chwileczkę, przecież mam dla pana dobre wieści - odzywa się nagle Meadows jeszcze radośniejszym tonem.

- Przydadzą się.

- Pan Corcoran mówi, że rozpoczęło się już sprawdzanie przeszłości pana żony w związku z nominacją. W najbliższych dniach Biuro wyśle paru agentów, żeby przeprowadzili z nią rozmowę. No, i z panem też.

- Żona wyjechała z miasta. - Jestem w kłótliwym nastroju, a przecież w gruncie rzeczy powinienem się cieszyć.

- No, sądzę, że potrafią ją wyśledzić. - Meadows najwyraźniej czeka, żebym coś powiedział, może *dziękuję*, ale mnie akurat ogarnął nastrój jasnej czerwieni i mam problemy z uprzejmym zachowaniem. - W każdym razie pan Corcoran chciał, żeby pan się o tym dowiedział - kończy znacznie mniej radośnie.

Jednak wychowanie Garlandów w końcu bierze górę. - To wspaniałe wieści, panno Meadows. Dziękuję bardzo. - A może tylko uświadomiłem sobie, że będę jeszcze potrzebował jej pomocy.

- To nie moja zasługa. I proszę mówić do mnie Cassie.

- W porządku, Cassie.

- Niewątpliwie jesteś interesującym klientem - dodaje. Wyczuwam, że to wstęp do pospiesznego pożegnania, gdyż chce już wrócić do poważnej pracy. - To było ciekawe doświadczenie.

- Chwileczkę.

- Hmmm?

Starannie dobieram słowa. - Cassie, posłuchaj, jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - Stara się zachować przyjazny ton, ale jej ironia dopieka mi do żywego. Nie znoszę o nic żebrać.

- Bo jesteś dobra w tym, co robisz - pochlebiam jej troszkę.

Niczego to nie zmienia. - To co takiego chciałbyś wiedzieć, Misha? - Bardzo profesjonalne. Jednak nie ma powodu, by traktować mnie zbyt poważnie, bo wielu rzeczy nikomu jeszcze nie powiedziałem, ani Kimmer, ani Meadows, ani wujkowi Malowi. Meadows nic nie wie o *chłopaku Angeli*, ani powtórzonym słowie *Ekscelsior*. Problem w tym, że muszę z kimś poroz-

mawiać.

- Pamiętasz może, jak Colin Scott twierdził, że szuka dokumentów, które jego klient zostawił u mojego ojca?

- Oczywiście. - Mam wrażenie, że Cassie Meadows myśli już o czymś innym, zapewne o pracy dla płacącego klienta. - I twierdzisz, że według FBI to prawda?

- Mmm... uhm.

- A czy dowiedziałaś się, kto to był?

- Słucham?

- Czy dowiedziałaś się, który klient zostawił te dokumenty?

- Aaa, rozumiem. - Mam wrażenie, że dotknąłem delikatnej kwestii.

- Misha, mogę cię zapewnić, że firma uważnie przegląda akta. - Zastanawiam się, czy to właśnie ją wyznaczono do *przeglądania* akt. Takie nudne i niewdzięczne zadanie z pewnością wyjaśniałoby jej irytację. - W tej chwili już praktycznie zakończyliśmy ten proces i nie znaleźliśmy niczego, co by świadczyło, że ktoś mógł dać twojemu ojcu jakieś dokumenty. Musisz jednak zrozumieć, że twój ojciec był niezwykle zajęтым człowiekiem, który w zasadzie nie utrzymywał z klientami firmy kontaktów umożliwiających powierzenie mu, i to tylko jemu, poufnych dokumentów. - Jej zmieszanie jest zaraźliwe, nawet w rozmowie telefonicznej. Pojmuję, w czym rzecz, tym bardziej, że częściowo spodziewałem się tego: o ile Corcoranowi & Kleinowi wiadomo, Sędzia *nie miał* żadnych klientów. Nagle przypominam sobie ze smutkiem chwilę podczas pogrzebu, gdy Mallory Corcoran zabrał głos. Stojąc przed nielicznym zgromadzeniem, łzawym, załamującym się głosem co chwilę wspominał *wielkość* Sędziego i powtarzał to słowo tyle razy, że zacząłem się zastanawiać, czy to ma być aluzja, iż wielkość ta dawno przeminęła. Może chodzi mu o to, myślałem wówczas, że coraz dziwniej sze poglądy polityczne ojca stawały się bardzo kłopotliwe dla firmy, która przedtem chlubiła się jego nazwiskiem w nagłówku papieru listowego, jaśniejącym wśród nazwisk byłych senatorów i ministrów.

Żadnych klientów, rejestruję w pamięci. Sędzia nie miał żadnych klientów. Zawijają sobie w myślach mały supełek na wymyślonej chusteczce i podejmują następną decyzję.

- Czy firma miała może jakichś klientów ze słowem Ekscelesior w nazwie? - pytam.

- Dlaczego pytasz?

- Nazwij to przecuciem.

- Poczekaj. - Słyszę, jak wystukuje coś na klawiaturze komputera i klika myszką, a potem dociera do mnie ten wyraźny dźwięk *blank!*, który wydaje program Windows (o ile nie wiesz, jak jego ustawienia zmienić), kiedy nie znajduje tego, czego szukasz. - Nic. - Znowu klika, pisze, czeka. Kolejne *blank!* - Nic nie ma, nawet w poufnych plikach.

- No, nic, to było tylko przecucie.
- Pewnie. Ta nazwa ot, tak przysła ci do głowy.
- No, nie, po prostu ktoś o tym wspomniał w związku z moim tatą. - Nigdy nie umiałem dobrze kłamać, szczególnie, gdy nie miałem czasu na zastanowienie.

- W porządku, skoro tak mówisz.

No, to pięknie. Bałem się, że wywołam irytację, a doprowadziłem do sceptycyzmu, a może nawet nieufności. Mimo wszystko, nie ma co się oglądać, tylko iść naprzód, jak uwielbiał powtarzać Sędzia. - Chciałbym cię poprosić o jeszcze jedną, tym razem ostatnią przysługę.

- Już to słyszałam.

- Tym razem naprawdę.

- W porządku, Misha, w porządku. - Tak jakoś się stało, że w ciągu ostatnich kilku minut Meadows zaczęła używać mojego przezwiska, choć wcale nie pytała mnie o pozwolenie. Może „profesorze Garland” brzmiało zbyt formalnie, ale nawet wujek Mal, który zna mnie od dziecka, nazywa mnie Talcottem. Jednak nie usiłowałem jej poprawiać, gdyż współczesne zasady konwersacji nie przewidują prośby o to, by rozmówca zwracał się do ciebie bardziej oficjalnie. - Ostatnia przysługa. - Śmieje się piskliwie. - Zatem gdzie mam teraz wywęszyć jakieś informacje? W sali dowodzenia Białego Domu? W CIA?

- Nie chodzi o informacje. Pod koniec tygodnia będę w Waszyngtonie na konferencji na temat reformy ustaw o czynach niedozwolonych. Chciałbym wpaść do firmy i przyjrzeć się staremu gabinetowi ojca.

- To nie ma sensu, Misha. Nie wiem, czego szukasz, ale ten pokój jest zupełnie pusty. Nie ma w nim nawet mebli. Jeden z partnerów ma się właśnie tam wprowadzić.

- Potrzebuję tylko paru minut, lecz jeśli sądzisz, że może być z tym problem, zadzwonię do wujka Mała. - Celowo używam tego określenia, żeby jej przypomnieć, że coś mnie łączy z jej szefem.

- Nie - odpowiada od razu. - To żaden problem. Tylko zadzwoń rano tego dnia, gdy będziesz chciał przyjść.

Obiecuję, że zadzwonię. Ponieważ wyczuwam, że jest coraz bardziej zdeenerwowana, zapewniam ją, że to już koniec próśb o przysługę.

Zapewne to kłamstwo, a Meadows przypuszczalnie o tym wie. Gdyby tylko kwestie związane z coraz to nowymi nieboszczykami nie były wyjaśniane tak szybko i wygodnie dla wszystkich, to może nawet dałbym jej spokój. Jednak niekoniecznie, gdyż pozostaje niewyjaśniona wiadomość od Sędziego, o której będę jeszcze musiał wspomnieć Meadows lub wujkowi Malowi. - Spróbuję się zachowywać, jak należy - obiecuję.

Śmiech Meadows.

Odkładałem słuchawkę i siedzę niezdecydowany, zastanawiając się, co

właściwie chciałbym wiedzieć. Po tym, co zdarzyło się na Vineyard, jedyną rozsądną odpowiedzią jest *wszystko, co uda mi się odkryć*. Dzwonię zatem do swojego kolegi od kosza, Roba Saltpetera i proszę go o umówienie mnie na spotkanie, gdy pod koniec tygodnia będę w Waszyngtonie. W tym wypadku on ma lepsze kontakty.

- Oczywiście, Misha - odpowiada Rob. - Zrobię wszystko, co może ci pomóc. - Jednak wyczuwam w jego głosie, podobnie jak ostatnio w głosach innych znajomych, ton, na który wcześniej się nie natknąłem.

Zwątpienie.

(II)

Zapada szary jesienny zmierzch, a ja stoję przy kuchennym oknie i obserwuję, jak bawi się mój syn. Chwilę wcześniej przyszło mi w końcu do głowy, żeby porozmawiać z Po Prostu Alną, która na swój dziwaczny sposób uprzedzała mnie, że różni ludzie będą mnie ścigać. Jednak nikt nie wie, jak można się z nią skontaktować. Nawet Mariah, która ze wszystkimi utrzymuje łączność, ma tylko jej adres w Filadelfii, ale nie ma numeru telefonu. Zastanawiam się przez chwilę, czy nasza dziwaczna ciotka w ogóle ma telefon. W końcu dzwonię do jej syna, pracownika socjalnego, który informuje mnie, że w okresie od grudnia do marca jego matka zawsze wyjeżdża na wyspy. Niegrzecznie odmawia podania mi jej numeru, natomiast zgadza się przekazać wiadomość, że chciałbym z nią porozmawiać - jednak tylko, jeśli ona się z nim skontaktuje, a to może wcale nie nastąpić, zapewnia mnie radośnie.

Potrząsam głową na myśl, jak mało cywilizowany jest ten świat, chociaż mnie też zdarzało się w tej dziedzinie grzeszyć. Dawniej, jeśli należący do mojej żony notes z adresami leżał przypadkowo otwarty na małym stoliku w holu, to przeglądałem go, nie pytając jej o pozwolenie. Zatrzymywałem się przy jednym czy drugim podkreślonym nazwisku i zastanawiałem, czy to kontakt zawodowy... czy też coś innego. Zdarzało mi się nawet je przepisywać. Jednak ostatnio Kimmer, idąc z duchem czasu, zastąpiła ten zeszytyk notesem elektronicznym Visor Edge i w ten sposób, celowo lub nie, zamknęła dostęp do adresów swojemu beznadziejnie analogowemu mężowi. (Czasem moja żona oskarża mnie nawet łagodnie o posiadanie „analogowej moralności”).

Kimmer, nawet jeśli nie przyznaje się do tego, jest niewątpliwie jedną z gwiazd swojej kancelarii oraz prawniczej społeczności naszego miasta. Jej dzień pracy jest znacznie dłuższy od mojego, ale też to ona przynosi do domu dwie trzecie naszego dochodu, co daje jej natychmiastową przewagę, gdy mam pretensje, że jej ekstrawaganckie wydatki - drogie ubrania, biżute-

ria, samochód i luksusowe prezenty dla domowników - nadwężają nasz i tak już chwiejny budżet rodzinny. Jej zdaniem nie powinienem się uskarżać, dopóki napływają pieniądze. Mimo że Kimmer tak kocha swoją pracę, to nasze rozmowy na ten temat ograniczają się zazwyczaj do jej stwierdzeń: *Muszę dziś zostać do późnego wieczora lub Zbliża się termin złożenia pozwu*. Z bólem uświadamiam sobie, jak niewiele wiem o jej życiu zawodowym, a na dodatek jej pasja w tej dziedzinie stwarza między nami dodatkową barierę. Może dlatego tak podejrzliwie odnoszę się do Jerry'ego Nathansona, jednego z najlepszych prawników w mieście, powszechnie uważanego za człowieka o nienagannej reputacji. Jednak kiedy moja żona opowiada o współpracy z nim, jej oczy zaczynają błyszczeć, a oddech staje się szybszy. Ciekaw jestem, czy podobnie się zachowuje, gdy w biurze opowiada o mnie.

Bentley przewraca się o gałąź w pogoni za gołębiem. Stoję spokojnie, walcząc z chęcią wybiegnięcia na dwór i pocieszenia go, a on już po chwili zrywa się ze śmiechem na nogi. Ja też się uśmiecham. We wrześnie, pomimo oporów Kimmer, zacząłem wypuszczać go samego do ogrodu za domem. Bentley był zachwycony. Natomiast jego matka, która nadal pamięta lęk, jaki przeżyła, gdy się dowiedziała, że mogła go stracić zaraz po urodzeniu, często mi powtarza, że może się przewrócić i zrobić sobie krzywdę. Ja jednak jestem przekonany, że należy dzieciom pozwalać na samodzielne poznawanie świata, co niewątpliwie jest spuścizną po moim ojcu, który pouczał nas, że parę skaleczeń i siniaków to niewielka cena za uczucie zachwytu i niezależności. Jednym z ulubionych stwierdzeń mego ojca było to, że celem państwa nie jest tworzenie społeczeństwa uwolnionego od ryzyka. Myśl tę entuzjastycznie witali odbiorcy z kręgów przemysłowych, gdyż sugerowała zmniejszenie liczby uregulowań prawnych dotyczących ich produktów. Z aplauzem przyjmowało ją również audytorium religijne, dopatrując się w niej aluzji do kruchości naszego życia materialnego. Odpowiadała też kręgom akademickim, jako że oznaczała znacznie większą swobodę w dziedzinie osobistych nawyków. Jednak żaden z jego słuchaczy nie zdawał sobie sprawy, jak niezmiernie oczyszczające znaczenie miała wiara w to twierdzenie dla samego ojca. Zarówno ta postawa, jak i jego zacięty konserwatyzm sięgały korzeniami śmierci Abby.

Wprawdzie ojciec już wcześniej był zwolennikiem konserwatywnych poglądów, ale tylko dlatego, że reprezentował typ „rozsądnego czarnego”, jak go ktoś ku jego wściekłości określił - czyli Murzyna, z którym ewentualnie można negocjować. W latach sześćdziesiątych Sędzia nie był jeszcze oschłym, rozkojarzonym i wywierającym nieco przygnębiające wrażenie mężczyzną, którego niewątpliwie pamiętacie z przesłuchań. Nawet po śmierci Abby jego kariera nie musiałaby się potoczyć w tym dziwnym kierunku, gdyby mógł doświadczyć emocjonalnej satysfakcji z racji tego, że morderca jego córki - bo tak zawsze nazywał sprawcę wypadku - został

schwyty i ukarani. Jednak policja nigdy nie znalazła podejrzanego. Ze względu na pozycję ojca rodzice byli regularnie informowani o postępach śledztwa. Miesiąc po miesiącu słyszeli, że jest kilka tropów, ale nic konkretnego. Dla mojego ojca, podobnie jak dla wielu innych walczących o prawa obywatelskie prawników z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, prawo było opoką, na której opierała się ich wiara. Fakt, że ogromna machina amerykańskiej sprawiedliwości nie potrafi odnaleźć samochodu sportowego, który zabił jedną małą dziewczynkę, najpierw go zdumiał, a potem rozgniewał. Wiercił dziurę w brzuchu dziennikarzom, krytykował policjantów, a w końcu za radą jednego z przyjaciół wynajął drogiego prywatnego detektywa z Potomacu, lecz zdobyte przez niego informacje policja wzgardliwie odrzuciła. Naciskał przyjaciół z Białego Domu, Kapitolu, a nawet ówczesnego samorządu miejskiego, lecz w odpowiedzi otrzymywał tylko pełne współczucia kondolencje. Wyznaczał coraz wyższe nagrody, ale dzwonili sami szaleńcy. Addison twierdzi, że konsultował się nawet z jasnowidzami, tyle że „niewłaściwymi”, jak to skomentował mój brat, który jako król radiowych *talk show* mógłby mu niewątpliwie wskazać lepsze nazwiska.

W miarę jak ojcu kończyły się pomysły, a narastał jego gniew, coraz częściej zamykał się w swoim gabinecie na Shepard Street (jeszcze zanim usunął ściany na górze). Nasłuchiwałem wówczas niespokojnie pod zamkniętymi drzwiami. Wkrótce przyłączyła się do mnie Mariah, która przyjechała na wakacje ze Stanford, ale obydwójce nie mieliśmy pojęcia, czy należy coś zrobić. Słyszeliśmy nieraz, jak mruczy coś do siebie, chyba popłakuje i z pewnością popija. Do późnej nocy wydzwaniał do kilku przyjaciół, którzy wkrótce zaczęli unikać jego telefonów. Prawie nic nie jadł. Zaniedbywał swoją sędziowską pracę. Przestał grać w pokera z najbliższymi przyjaciółmi. Mama się nie poddawała, w myśl zasad swojej klasy, i nadal wydawała przyjęcia - często sama - oraz reprezentowała rodzinę podczas rozmaitych okazji towarzyskich, lecz moje rodzeństwo i ja byliśmy przerażeni.

Kiedy nadeszła pora naszego dorocznego wyjazdu do Oak Bluffs, Mariah załatwiła sobie pracę w Waszyngtonie i nie pojechała, w związku z czym musiałem samotnie znosić szaleństwo - jak byłem wtedy szczerze przekonany - ojca. Denerwowałem się, że może jest ono zaraźliwe lub dziedziczne. Matka, z oczami pełnymi łez, nieustannie obdarzała mnie uściskami i rozpaczliwie dodawała otuchy, ale nie starała się niczego wyjaśniać. Nadszedł wrzesień. Mariah wróciła do Stanford, a ja rozpocząłem ostatni rok liceum. W domu na Shepard Street zapanowała cisza. Rodzina staczała się po równi pochyłej, a nikt o tym nie mówił. Przestałem zapraszać do domu kolegów ze szkoły, gdyż czułem się zażenowany tą atmosferą. W niektóre dni nocowałem poza domem, ale ku mojemu rozgoryczeniu, rodzice niemal tego nie zauważali. Minął w ten sposób rok, potem półtora. Potem ja również uciekłem na studia. Wówczas rodzice mieli już tylko siebie nawzajem, a ich więź

stała się niezwykle silna - Addison zapewniał mnie o tym tak, jakby kiedykolwiek można było przypuszczać, że zechcą się rozejść. Większość wakacji spędzałem poza Waszyngtonem i nie zauważyłem, żeby ktoś za mną tęsknił. A potem morze melancholii, w której pływał się mój ojciec, niespodziewanie wyschło. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, dlaczego. Wiedziałem tylko, że znów dała o sobie znać siła woli, na temat której ojciec wygłosił tyle kazań, gdy byliśmy dziećmi. Jak wyjaśnił mi Addison, ojciec nakreślił linię, po czym umieścił Abby i tajemnicę jej śmierci po stronie oznaczonej *Przeszłość*. Wyszedł, grzmiąc, ze swego gabinetu, jak wypuszczone z klatki zwierzę, znów gotów do czerpania radości z życia. Zaczął śmiać się i żartować. Znowu zaczęło mu zależeć, by wypisywać orzeczenia najszybciej ze wszystkich sędziów w sądzie apelacyjnym. Porzucił nowy, przerażający zwyczaj upijania się, natomiast powrócił do dawnego, nudnego zwyczaju wtrącania się w życie swoich dzieci. Wyglądało na to, że ponownie jest sobą i nie ma ochoty przyznać, że kiedykolwiek przechodził okres słabości. Nic zatem dziwnego, że kiedy jego stary przyjaciel Oz McMichael, wieloletni senator z Wirginii, reprezentujący umiarkowane skrzydło, również stracił syna w wypadku spowodowanym przez nieznanego kierowcę i ośmielił się zaproponować, żeby ojciec wstąpił do jego grupy wsparcia, Sędzia nie tylko szorstko odmówił, lecz ponadto - znów według Addisona - przestał w ogóle z nim rozmawiać.

Grupa wsparcia, myślę, patrząc na swojego zamyślonego i sennego synka. Może teraz, kiedy nie ma już Scotta, warto przezwyciężyć zakorzenione w naszej rodzinie uprzedzenia do doradztwa rodzinnego. Już w zeszłym roku podjąłem pierwszą próbę i wylałem swoje małżeńskie żale przed pastorem. Nie zaryzykowałem wprawdzie pójścia do naszego pastora, lecz wybrałem łagodnego człowieka nazwiskiem Morris Young, którego poznałem podczas pracy na rzecz naszej społeczności.

Trzeba przyznać, że Morris Young trochę mi wówczas pomógł.

Może, zastanawiam się teraz, może, jeśli obiecuję, że przestanę tropić tajemnice pozostawione przez ojca, Kimmer zgodzi się pójść razem ze mną i uda nam się naprawić nasze małżeństwo. Niewątpliwie będzie to łatwiejsze, jeśli prezydent właśnie ją wybierze do sądu apelacyjnego. Niestety, muszę ponuro przyznać, że szansa na to maleje wraz z każdą nową teorią rozpowszechnianą w Internecie - każdą teorią na tyle szaloną, by utrzymać zainteresowanie tą sprawą.

(III)

Mariah dzwoni, kiedy Bentley siedzi w wannie. Dziś wieczorem ja się nim zajmuję, gdyż Kimmer, która zazwyczaj odzyskuje siły, pielęgnując

naszego synka, akurat wyjechała. Nie chcę przez to powiedzieć, że mi to przeszkadza. O, nie! Od powrotu z Vineyard najchętniej nie spuszczałbym Bentleya z oka, ale jest to niemożliwe ze względu na pracę i codzienne życie. Niemniej jednak godzinami mogę słuchać jego *Aja ty*, chociaż serce mi się ściska z bólu, że nie mogę mu zapewnić normalnego dzieciństwa... co prawda trudno powiedzieć, co obecnie uznaje się za normalne. Dwoje kochających się nawzajem rodziców mogłoby stanowić interesujący i radykalny początek, ale nawet nieśmiała sugestia, że tradycyjna rodzina mogłaby być dobra dla dziecka, jest odbierana jako obraza przez tak wiele osób, że raczej nikt nie ma ochoty z nią występować. Zatem zgodnie z teorią George'a Orwella, kiedy przeminą jeszcze ze dwa pokolenia, nikomu nawet nie przyjdzie to na myśl. Przetrwają tylko to, co potrafimy przekazać, a wiedza moralna, którą się nie dzielimy, w końcu przestaje być wiedzą.

Choć nadal może być moralna.

W momencie gdy dzwoni telefon, Bentley akurat przeprowadza skomplikowany eksperyment polegający na wpychaniu do czerwonej plastikowej łódki jak największej liczby ludzików z zestawu Playmobil i obserwowaniu, czy łódka zatoni. Czasami tonie, a czasami nie. Nieraz wkłada piętnastu żołnierzyków, a łódź utrzymuje się na powierzchni. Innym razem tonie z dziesięcioma na pokładzie. Bentley marszczy brwi, usiłując zrozumieć kryjącą się za tym zjawiskiem zasadę. Ja też nie potrafię jej dostrzec, co nawet mnie cieszy. Nasi uczeni fizycy potrafią wyjaśnić tyle zjawisk, a jednak niektóre z nich nadal pozostają chaotyczne, czy nawet przypadkowe. Tonienie lub utrzymywanie się na powierzchni plastikowej łódki Bentleya wydaje się być jednym z nich.

Tak duża część naszego życia upływa w chaosie. Cała historia ludzkości może być traktowana jako niekończące się poszukiwanie większego porządku. Wszelkimi sposobami, począwszy od języka poprzez religię i prawo do nauki, staramy się wtłoczyć tę chaotyczną egzystencję w określone ramy. Egzystencjaliści, których często niesłusznie określa się jako niewierzących w ukryty porządek rzeczy, dostrzegają ryzyko i głupotę związane z obsesją tworzenia takich ram. Jakie to ryzyko, udowodnił Hitler i wielu innych populistycznych tyranów przed nim. Uczę swoich studentów, że prawo również bywa ryzykowne, kiedy usiłujemy regulować z jego pomocą zjawisko, którego nawet nie rozumiemy, czyli ludzkie zachowanie. Nie jestem przeciwnikiem prawa - dodaję, gdy notują moje słowa niepewni, co myśleć - tylko naiwnie optymistycznego założenia, że kiedykolwiek możemy szczególnie dobrze je ustanawiać. Żyjąc w mroku, jesteśmy skazani, by ustanawiać je źle.

Dlatego właśnie wolę w tej chwili kąpać swojego syna, niż kończyć którąś z bezsensownych prac piętrzących się w moim niewielkim gabinecie na parterze. Na moim biurku znajduje się poprawiona wersja zaległego artykułu-

lu na temat masowych sporów sądowych w sprawach deliktów, który ma się ukazać w mającym wielkie aspiracje przeglądzie prawniczym naszej szkoły. Czasem żałuję, że nie zdobyłem się na taką odwagę, jak moi koledzy Lem Carlyle i Rob Saltpeter, dwie nasze prawdziwe supergwiazdy, którzy trzy lata temu we wspólnym liście do „American Lawyer” ogłosili, że nie będą więcej pisać do studenckich przeglądów prawniczych, gdyż mają dość młodych ludzi, którzy w dwa, trzy lata po opuszczeniu college'u utrzymują, że mają znacznie większe pojęcie o prawie oraz pisaniu niż ich profesorowie. Ponieważ niemal wszystkie przeglądy prawnicze w naszym kraju są redagowane przez studentów, oznacza to, że Lem i Rob, chcąc mieć odpowiedni dorobek naukowy, muszą pisać książki - jednak żaden z nich nie ma z tym najmniejszego problemu. Niestety, większość z nas biedzi się nadal, zapelniając strony przeglądów prawniczych poglądami, które błyskawicznie zmieniają się ze zbyt wyprzedzających swój czas, by traktowano je poważnie, w zbyt przestarzałe, by miały znaczenie - parafrazując słowa, które napisano o François-André Philidorze, wielkim osiemnastowiecznym teoretyku szachów.

Tak, bywają dni, kiedy uwielbiam swoją pracę profesora prawa, ale są też takie, kiedy jej nie znoszę.

(IV)

Na dźwięk telefonu Bentley ze złością podnosi głowę, gdyż wie, że zazwyczaj wróży to chwilową utratę zainteresowania rodziców. Zawsze, kiedy siedzi w wannie, zabieram ze sobą przenośny telefon do łazienki. Przejąłem ten zwyczaj od Kimmer, która stara się nie tracić szansy ewentualnej rozmowy z klientem. Przytrzymuje wówczas słuchawkę brodą, a jednocześnie wyciera Bentleya i ubiera go w piżamkę, dzięki czemu może wystawić klientowi rachunek za godzinę pracy, a przy tym wypełniać matczyne obowiązki.

Ja staram się pójść na kompromis, toteż trzymam słuchawkę jedną ręką, a drugą wkładam ludziki z Playmobilu do czerwonej łódki.

- Obudziłam cię? - pyta Mariah. Jest to jej żart sięgający okresu tuż po moim ślubie, kiedy telefonowanie po obiedzie było zawsze ryzykowne, gdyż przeważnie byliśmy już z Kimmer w łóżku, choć nigdy nie spaliśmy.

- Nie, nie. Siedzę z Bentleyem. On jest w wannie.

- Przekaż mu, że go kocham.

- Ciocia Mariah mówi, że cię kocha.

Syn jednak mnie ignoruje. Odsuwa na bok łódkę, zanurza twarz w wodzie i wydychuje bąbelki.

- On też mówi, że cię kocha.

- I jak sobie, chłopcy, radzicie?

- Och, świetnie, naprawdę świetnie - odpowiadam entuzjastycznie. I tak wiem, że Mariah nie dzwoni dla wymiany uprzejmości. Po klótni, która miała miejsce kilka tygodni temu, zdążyliśmy już zawrzeć pokój, ale płacę za niego wysłuchiwaniem wszystkiego, co ma do powiedzenia. Podchodzę z telefonem do zlewu i napełniam wodą papierowy kubek. To może chwilę potrwać.

- W każdym razie jestem w Waszyngtonie i znalazłam coś, co cię może zainteresować.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

Śmiejemy się cicho, jak dwoje histeryków ukrywających cierpienie za wymuszonym śmiechem. Moja siostra, obecnie w początkach siódmego miesiąca ciąży, zdążyła odbyć trzy podróże z Darien do Waszyngtonu i z powrotem w ciągu pięciu tygodni, które minęły od pogrzebu Sędziego. Po latach pełnego obrazy milczenia dzwoni teraz do mnie co trzy, cztery dni, zapewne dlatego, że nikt inny nie chce wysłuchiwać jej teorii. Zmienia je poza tym tak często, że czasem mam wrażenie, jakby w połowie zdania wynajdywała nową. Jej mąż jest zbyt zajęty, naszego starszego brata trudno wytropić, a jej przyjaciele... podejrzewam, że przyjaciele przestali odbierać jej telefony. Mnie natomiast nie przeszkadza, że dzwoni, gdyż liczę, że rozmawia o tym wszystkim tylko ze mną. Jeśli uda mi się utrzymać jej spekulacje w rozsądnych granicach i powstrzymać ją od wyrażania ich publicznie, to pomogę zarówno Kimmer, jak i swojej starszej siostrze.

Poza tym Mariah może rzeczywiście coś znaleźć. W końcu Colin Scott wcale nie wyjechał do Kanady, tylko podążył za moją rodziną aż na Martha's Vineyard i tam umarł. A może wraz z siostrą pędzimy na łeb na szyję ku granicom fantazji?

Dzisiejsza rozmowa przebiega według tego samego scenariusza co zazwyczaj. Mariah znowu jest na Shepard Street i najwyraźniej nie spała przez pół nocy przeglądając papiery na strychu. Stało się to jej obsesją od tego wieczoru, gdy po spotkaniu z sierżant Ames rozpoczęły wraz z Sally swoje poszukiwania. Przesiaduje godzinami otoczona stosami umów, listów, grzbietów książeczek czekowych, brudnopisów esejów i przemówień, menu, wycinków prasowych pękających wzdłuż zgięć, wykresów pozycji szachowych, notatek do książek Sędziego, przepisów, nieoprawionych dyplomów i pochwał, rachunków od człowieka, który co roku zabezpiecza deskami okna Vinerd Howse na zimę, kartek z kondolencjami, programów z zapomnianych przedstawień na Broadwayu, aktów własności, brudnopisów opinii ojca z czasów, gdy zasiadał za stołem sędziowskim, instrukcji do dawno zgubionej gry o nazwie Totopoly, czystych żółtych notatników prawniczych, fotografii naszej matki, tomów Trollope'a w twardych okładkach, notatek służbowych od różnych asystentów, starych map Vineyard, dowodów wypląt z kart kredytowych, notesów kieszonkowych oraz mnóstwa gazet i pe-

riodyków - dawnych numerów „Washington Post”, „Wall Street Journal” i „National Review”, pożółkłych stron „Vineyard Gazette”, a nawet kilku zniszczonych egzemplarzy „Soldier of Fortune”. Wśród tego wszystkiego, jak ponury wartownik strzegący ruin, siedzi moja siostra. Cierpliwie bada kartkę po kartce, szuka jakiegoś wzorca, wskazówki, odpowiedzi. Ma nadzieję znaleźć coś, co przeoczyła policja oraz wysłańcy Mallory'ego Corcorana, którzy na trzeci dzień po pogrzebie przez całe popołudnie przeczesywali dom w poszukiwaniu ewentualnych poufnych dokumentów należących do firmy. Mariah jest przekonana, że jej pójdzie lepiej. Przypuszczam, że na tym właśnie polega prawdziwe dziennikarstwo dochodzeniowe. Trzeba przesiewać szczegóły, żeby znaleźć jeszcze drobniejsze szczegóły i w końcu całkowity bałagan, a potem dostrzec w tym bałaganie jakiś schemat i przedstawić go w przejrzysty sposób czytelnikowi.

Ostatnio również miałem okazję zobaczyć ten niski stryżek na Shepard Street, którego ponury, zakurzony mrok rozjaśnia tylko światło wpadające przez pojedynczy świetlik. Wpadłem tam, gdy przyjechaliśmy do Waszyngtonu z Kimmer i Bentleyem na ostatnie przegnębiające Święto Dziękczynienia. Chcąc się tam dostać, należy wspiąć się wąskimi schodami za łazienką do pomieszczenia, które ojciec nazywał pokojem na poddaszu. Mariah wchodzi tam regularnie i przeczesuje każdy kąt. Podczas tej ostatniej wizyty przez dłuższy czas przyglądałem się papierom leżącym w stosach lub porozkładanym w przemyślny sposób - pod przyciskami do papieru wypożyczonymi z kolekcji mamy, podsuniętym pod pojedyncze wykuszowe okno, połączonym szpilkami i kolorową nitką, czerwona do tego, zielona do czego innego. Nieładnie byłoby to nazwać bałaganem. Podczas naszych nocnych rozmów Mariah dokładnie mi wyjaśniła - a przynajmniej próbowała - swój system porządkowania. Opisała mi też czarną książeczkę, jedną z tych, jakich ojciec używał do komponowania zadań, w której naszkicowała swoje teorie i przedstawiła powiązania. *To mój rejestr*, stwierdziła w jednej z rozmów, *oprócz rodziny, to najcenniejsza rzecz, jaka posiadam*. Martwię się, patrząc na ten chaos, który Mariah uważa za porządek. Z pewnością mieszkanie Arthura Bremera też kiedyś wyglądało tak, jak ten strych. Podobnie pokoje Johna Hinkleya i Squeaky Fromme*. Rozmawiałem kilkakrotnie z Howardem, który stwierdził, że zaczyna się niepokoić o żonę. Prawie wcale jej nie widuje, bo niemal w każdy weekend jeździ do Waszyngtonu. Często zabiera też dzieci. Pakuje całą piątkę wraz z kolejną *au pair* do navigatore i wyrusza New Jersey Turnpike. Malcolm i Marshall są już na tyle duzi, że pomagają w sortowaniu, natomiast bliźniaki tylko się bawią, a Marcus, który wkrótce straci swój status najmłodszego, drzemie w dawnej sypialni mojej siostry na pierwszym piętrze, pilnowany przez *au pair*, która rzadko odzywa się po angielsku, przynajmniej do mnie.

* Wszystkie trzy wymienione nazwiska są nazwiskami zamachowców. John Hinkley usiło-

wał zabić prezydenta Reagana, Arthur Bremer gubernatora George'a Wallace'a, a Squeaky Fromme dokonała nieudanego zamachu na prezydenta USA Geralda Forda

Zazwyczaj, kiedy Mariah dzwoni po kilku dniach spędzonych na strychu, nasze rozmowy kończą się kłótnią. Początek jest zawsze taki sam. Moja siostra szeptem nieszczęśliwym tonem o swoich odkryciach, przy czym zawsze są to rzeczy, o których wolałbym nie wiedzieć, takie jak stary list miłosny przysłany Sędziemu przez kobietę, której imienia żadne z nas nie rozpoznaje, dyplom od jego uniwersyteckiego bractwa za zwycięstwo w zawodach w piciu, zapisek w terminarzu na temat spotkania z jakimś senatorem, którego polityką gardzi. Tego rodzaju znaleziska budzą w mojej siostrze wielkie nadzieje. Wydaje jej się, że rekonstruuje naszego ojca, że pod jego wizerunkiem odkryje głębszą prawdę, którą przed nami ukrywał. Wierzy, że jego duch jest obecny wśród szczątków jego pisaniny i że w końcu przemówi. Usiłuję jej wytłumaczyć, że są to tylko bezwartościowe skrawki papieru, które powinniśmy wyrzucić. Jednak jak mogę o tym przekonać kobietę, której dom za pięć milionów dolarów ozdobiony jest niemal wyłącznie zdjęciami jej nieatrakcyjnych dzieci, i która jest tak sentymentalna, że - jak to określa Kimmer - najchętniej zachowałaby na pamiątkę brudne pieluchy swoich pociech, gdyby wymyśliła, jak je można higienicznie przechować. Delikatnie przypominam swojej upartej siostrze, że nie rozumieliśmy ojca, kiedy żył, więc tym bardziej nie zrozumiemy go po śmierci. Jednak Mariah, jako jedyne z dzieci Claire i Olivera Garlandów, nigdy nie przyjmowała do wiadomości, że cokolwiek może przekraczać jej zdolność pojmowania, co zapewne spowodowało, że również jako jedyna z nas dostawała na studiach same piątki. Staram się jej wytłumaczyć, że na pewno nie poznamy lepiej Sędziego poprzez jego dokumenty, ale ponieważ Mariah w głębi ducha nadal jest dziennikarką z dyplomem magisterskim z historii, moje słowa stanowią tylko wyzwanie dla jej wiary. Zatem w końcu, nie mogąc znieść dramatycznego odczytywania fragmentu wniosku o zmianę rejonizacji w celu umożliwienia instalacji domowej oczyszczalni ścieków w Vinerd Howse, przerywam jej i mówię, że mam własne problemy, na co ona natychmiast odpowiada swoim ulubionym stwierdzeniem, że krew jest gęściejsza od wody, chociaż w dzieciństwie nie znosiła tego komunału. Rozmawiamy obecnie znacznie częściej niż w przeszłości, ale pomimo zawieszenia broni, nasze wzajemne stosunki wcale nie uległy poprawie.

W rezultacie, kiedy oznajmia mi, że znalazła coś, o czym musimy porozmawiać, natychmiast przygotowuję się na najgorsze, to znaczy najnudniejsze, najbardziej bezużyteczne lub trywialne. Albo na dalszą rozmowę o odłamkach pocisku, o czym dawno już nie wspominała. Jest jeszcze najbardziej prawdopodobna możliwość - że dowiedziała się o śmierci McDermotta/Scotta i chce wyjaśnić, jak to się ma do jej teorii spiskowej.

Tymczasem to, co w końcu słyszę, całkowicie mnie zaskakuje.

- Tal, czy wiedziałeś, że tatuś miał broń?
- Broń?
- Tak, broń. Nie słyszałeś nigdy o broni? Znalazłam ją wczoraj wieczorem w sypialni w tylnej części szuflady. Szukałam papierów, a znalazłam broń. Była w pudełku razem z amunicją. Ale nie dlatego dzwonię. - Przerywa, zapewne dla lepszego efektu, ale nie jest to potrzebne, bo słucham jej bardzo uważnie. - Tal, dziś po południu dałam ją do obejrzenia, ekspertowi. Wiesz, czego się dowiedziałam? - że niedawno z niej strzelano.

ROZDZIAŁ 19

Dwie opowieści

(I)

- Dystrykt Kolumbii ma chyba najsurowsze przepisy dotyczące posiadania broni palnej w całym kraju - zapewnia mnie Lemaster Carlyle. - Uzyskanie tu zezwolenia jest prawie niemożliwe. - Chwila milczenia. - Z drugiej strony, zaraz za rzeką zaczyna się Wirginia, a tam chyba najłatwiej nabyć legalną broń w całym cywilizowanym świecie. Ludzie kupują ją tam i zabierają w różne miejsca.

- Ha - to jedyny komentarz, na jaki udało mi się zdobyć.

- Zatem, gdyby to *mój* krewny z Waszyngtonu umarł i zostawił broń - śpiewnym barbadoskim akcentem daje mi do zrozumienia, że rozszyfrował moją hipotetyczną postać - to sądziłbym, że kupił ją w Wirginii, nie przejmując się obowiązującym w jego dystrykcie prawem. Wiele osób tak robi.

Przytakuję mu powolnym ruchem głowy, a moja kanapka z pieczonym kurczakiem, specjalność Post, zaczyna smakować jak guma. Lemaster był prokuratorem i zna się na tych sprawach, a jego informacje idealnie pasują do tego, czego się spodziewałem. Ponownie dowiaduję się, że mój ojciec żył na krawędzi prawa. Wolalbym nie odkrywać tych denerwujących szczegółów z jego życia, tymczasem nie potrafię się powstrzymać przed ich poszukiwaniem.

- Oczywiście, musisz oddać tę broń.

- Co?

- Broń. Jest przecież niezarejestrowana i nie ma na nią zezwolenia. Nikt nie może jej legalnie posiadać. Należy ją zdać.

- Och. - Lemaster Carlyle jest człowiekiem tak prawnym, że zapewne udzieliliby mi tej rady, nawet gdyby nie pracował przez trzy lata jako zastępca prokuratora, zanim zajął się działalnością akademicką. Obserwuję go, jak dziobie swoją sałatkę z krewetek. Zawsze je mało i nie widać, żeby choćby odrobinę przybierał na wadze. Jego garnitury leżą zawsze idealnie. Jest niedużym mężczyzną o wielkim umyśle, kilka lat starszym ode mnie. Skończył szkołę prawniczą Uniwersytetu Harvarda, a przedtem studiował jeszcze teologię. Jego gładka, szczupła twarz, jednocześnie wesoła i mądra, ma głębokoci, fioletowo-czarny kolor charakterystyczny dla mieszkańców Indii Zachodnich. Jego żona Julia jest równie mała, ciemna i atrakcyjna jak on.

Mieszkają na jednym z naszych elegantszych przedmieść z czwórką idealnych dzieci. Lemaster znajduje się o niebo wyżej ode mnie w naszej niepisanej szkolnej hierarchii i jest uwielbiany przez wszystkich w naszym budynku oraz większość absolwentów, gdyż jest również niemal doskonałym politykiem. Wprawdzie mówi o sobie, że jest postępowy, ale podczas kilku ostatnich wyborów głosował na Partię Republikańską w związku ze sprzeciwem Partii Demokratycznej wobec bonów edukacyjnych, które, jego zdaniem, są jedyną nadzieją dla dzieci z dzielnic biedoty. Lemaster był współzałożycielem i, o ile dobrze pamiętam, jedynym członkiem organizacji o nazwie Liberałowie za Bushem. Jego zwięzłe, dobrze uargumentowane listy można znaleźć na początkowych stronach „New York Times” i „Washington Post”, co chwilę pojawia się w telewizji, a ponadto mówi się o nim, że jest niez mordowany. Wielu kolegów błaga go, żeby cierpliwie poczekał na koniec rządów Lyndy Wyatt i został naszym pierwszym czarnym dziekanem. Jednak plotka głosi, że znudziło go już życie akademickie, podobnie jak wiele innych dziedzin, w których odniósł sukces, i zamierza nas opuścić, aby podjąć pełnoetatową pracę w jednej z sieci telewizyjnych. Na pogrzebie Sędziego robiono wokół niego sporo zamieszania. Często żałuję, że nie potrafię bardziej go polubić, a mniej mu zazdrościć.

- A jeśli osoba, która znalazła broń, jej nie odda? - drażę dalej temat.

Pociąga łyk wody - nigdy nie widziano, żeby pił coś innego - i potrząsa szczupłą głową. Małe oczy śmieją się do mnie nad cienkim wąsikiem. - Znalezienie nie jest przestępstwem. Posiadanie jest.

Zatem poradzę siostrze, żeby oddała tę broń. Sprawa zamknięta. Jednak Lemaster Carlyle otwiera ją z powrotem. - Słuchaj, czy ten twój krewny... czy ty wiesz, po co mu była broń?

- Nie.

- Większość osób kupuje ją dla samoobrony, nawet ci, którzy robią to nielegalnie. Jednak czasem nabywa się ją po to, żeby popełnić przestępstwo.

- Tak.

Dotyka ust papierową serwetką, którą następnie starannie składa przed odłożeniem na stół obok talerza. Zjadł może cztery kęsy. - Gdyby to był mój krewny, nie interesowałoby mnie, skąd wziął broń, ani co mi grozi za jej posiadanie. Znacznie bardziej chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ją kupił.

(II)

Idąc ku głównym schodom w budynku Oldie udaję przed sobą, że chcę już mieć to wszystko za sobą. Jednak obecnie to nie ja ścigam prawdę, tylko raczej prawda mnie. Do czego mój ojciec potrzebował broni? Do samoobrony lub popełnienia zbrodni, sugerował Lemaster Carlyle. Żadna z tych możliwości mi

nie odpowiada. W co ojciec mógł się wdać? Przypominam sobie spotkanie z Jackiem Zieglerem na cmentarzu. Myślę o McDermotcie-Scotcie, którego miejscowy szeryf uznał za nieszkodliwego, a który jednak stracił życie w podejrzanych okolicznościach. Przytłacza mnie to wszystko. W tej sytuacji stanowisko sędziego dla Kimmer wydaje się coraz bardziej odległe. Odczuwam nagłą chęć, by zajrzeć do Theo Mountaina, który poprawiłby mi nastrój, ale nie mogę przez całe życie szukać podpory w swoim niegdysiejszym mentorze.

Mijam grupkę studentek. Crysta Smallwood zażarcie sprzecza się z kilkoma innymi » kobietami kolorowymi**», jak same się w dzisiejszych czasach nazywają. Dobiegają mnie urywki ich dyskusji: *dialektyczna przepaść... pozycja outsidera... zrekonstruowani inni...* Tęsknię za czasami, gdy studenci sprzeczaali się o zasady postępowania cywilnego lub przepisy o przedawnieniu, kiedy wiodące szkoły prawnicze w kraju uważały jeszcze, że ich zadaniem jest nauczanie prawa.

* kobiety kolorowe (z ang.: „Women of color”) - kobiety ras innych niż biała zrzeszają się obecnie w organizacjach Women of Color

Zbliżając się do swojego gabinetu, dostrzegam Arnolda Rosena, jednego z naszych zatwardziałych liberałów, zbliżającego się ku mnie na elektrycznym wózku inwalidzkim. Uśmiecha się do mnie nikłym, pełnym wyższości uśmiechem, a ja odwzajemniam go z niechęcią, gdyż niezbyt się lubimy. Podziwiam umysł Arniego oraz upór w trzymaniu się własnych zasad, lecz nie sądzę, żeby on podziwiał cokolwiek we mnie, tym bardziej, że jestem synem wielkiego konserwatywnego bohatera. Arnie przeszedł do nas z Harvardu, skuszony przez Stuarta Landa, i podobno jest jedynym konkurentem Lema Carlyle'a do zastąpienia Lyndy Wyatt na stanowisku dziekana.

Teraz zatrzymuje wózek i patrzy na mnie krytycznie i z rezerwą. - Dzień dobry, Talcotcie.

- Cześć, Arnie. - Trzymam klucze w dłoni, co powinno mu dać do zrozumienia, że nie mam ochoty w tej chwili rozmawiać.

- Nie miałem jeszcze okazji powiedzieć ci, jak mi przykro z powodu twojego ojca,

- Dziękuję - mruczę, zbyt zmęczony, by denerwować się jego hipokryzją. Arnie wykłada etykę zawodu prawnika oraz prowadzi rozmaite zajęcia z dziedziny prawa handlowego. Jest podobno wielkim uczonym, ale naprawdę interesują go tylko trzy wielkie sprawy współczesnej lewicy - aborcja, prawa homoseksualistów i ścisły rozdział Kościoła od państwa. Kilka miesięcy temu, podczas odbywającego się w połowie tygodnia wspólnego lunchu wykładowców, moja była studentka Shirley Branch, pierwsza czarna kobieta zatrudniona przez naszą szkołę, wygłosiła referat, w którym przedstawiła tezę, iż forma rozdziału Kościoła od państwa, którą my intelektualiści uważamy dziś za naturalną, jest zbyt ścisła, że jej stosowanie zaszkodziłoby na przykład dawnym ruchom praw obywatelskich. Arnie nie zgodził się z nią, utrzymując, że takie poglądy doprowadziłyby nas z

powrotem do czasów, gdy Amerykanie określali się mianem narodu chrześcijańskiego. Rozgorzała między nimi gorąca dyskusja i dopiero Rob Saltpeter pełniący rolę prowadzącego rozładował napięcie ironiczną uwagą: *Problem ze Stanami Zjednoczonymi nie polega na tym, że jesteśmy chrześcijańskim narodem, tylko że zbyt często nim nie jesteśmy.*

Rob, podobnie jak Lem, ma klasę.

- Wiesz, Talcotcie - mówi Arnie, uśmiechając się do mnie - któregoś dnia przyszedł do mnie jeden z naszych kolegów, żeby o tobie porozmawiać.

- O mnie? Na jaki temat?

- A, wiesz, to było osobliwe. On sądził, że być może postąpiłeś wbrew etyce zawodowej. Ale zapewniam cię, że wyprowadziłem go z błędu.

Zachwiałem się na nogach. - Pod jakim względem wbrew etyce? O czym ty mówisz?

- Wykonujesz teraz pracę konsultanta dla jakiejś korporacji. To ma coś wspólnego z deliktami i odpadami toksycznymi, prawda?

- Umm... tak. Wykonuję. No, i co?

- No, nasz kolega pytał, czy to właściwe, żebyś dalej pisał na ten temat, skoro ci zapłacono za przedstawienie określonego poglądu.

- Co?!

- Rozumiesz niewątpliwie, na czym polega problem. Prawo jako nauka powinno być obiektywne. Takie jest tradycyjne przekonanie i my się go trzymamy. Nie mamy innego wyjścia. Dlatego szkoła jest raczej niechętna temu, by profesorowie zbyt często podejmowali się konsultacji.

- Rozumiem to, ale...

Arnie odjeżdża wózkiem kawaleczek do tyłu i macha lekceważąco dłonią.
- Nie masz się czym martwić, Talcotcie. Często mamy do czynienia z takim błędnym mniemaniem. Nie ma żadnych zasad, które by tego zabraniały. W istocie w ogóle nie ma reguł etycznych dotyczących prawa jako nauki, a poza tym...

- A poza tym, w żadnym wypadku nie naginałbym swojej wiedzy dla honorarium!

- No, to też mu powiedziałem. - Kiwa głową. - Ale nasz kolega wydawał się pewny swego. Mam wrażenie, że to jeszcze nie koniec.

Wyrywa mi się cichy dźwięk wyrażający... niedowierzanie, a może po prostu gniew. Czy to w dalszym ciągu naciski, o których mówił Stuart?

- Arnie, posłuchaj. Kim był ten kolega? Kto wyciągnął tę sprawę?

Znów macha ręką. - Przykro mi, Talcotcie, chętnie bym ci powiedział, ale nie mogę.

- Nie możesz? Dlaczego?

- Ze względu na poufność rozmowy adwokata z klientem. - Nadal się uśmiechając, odjeżdża dalej korytarzem.

ROZDZIAŁ 20

Sale sprawiedliwości

(I)

- Misha, jak miło cię widzieć. - Ściska mnie, gdyż obaj jesteśmy mężczyznanami. Sędziowie mężczyźni boją się dziś obejmować pracujące u nich kobiety. Tak przynajmniej twierdził mój ojciec, ale czasami zdarzało mu się zmyślać. - Wchodź, wchodź.

Wallace Warrenton Wainwright odsuwa się na bok i gestem zachęca mnie, żebym wszedł do jego prywatnego gabinetu. Pucolowaty czarny goniec, który mnie tu przyprowadził z pokoju aplikantów, zdążył już zniknąć. Po zamknięciu drzwi do poczekalni zostaję sam na sam z Wallacem Wainwrightem. Jest wysokim mężczyzną, z pewnością ma ponad metr dziewięćdziesiąt, o ramionach raczej otyłych niż muskularnych, przeredzonych brązowo-siwych włosach i bladej, przyjaznej twarzy o wystudiowanym wyrazie surowości. Prawdę mówiąc, wydaje się zbyt szczęśliwy na tak inteligentnego człowieka, jakim niewątpliwie jest. Wygląda nie tyle na sędziego, co na zakonnika - a dokładniej, franciszkanina. Gdyby ktoś usiadł obok niego w samolocie, na pewno nie przyszyłoby mu do głowy, że Wallace Wainwright jest sędzią Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Jednak tak zostanie odnotowany na kartach historii. Poza ścianami tego przestronnego pokoju komputery bzyczą i piszczą, drukarki poświstują, aplikanci gonią tu i tam, telefony cicho brzęczą - a cały ten zgiełk sędzia Wainwright określiłby zapewne jako odgłosy czynionej sprawiedliwości. Być może czasami ten sąd rzeczywiście czynił sprawiedliwość, ale znacznie rzadziej, niż można przypuszczać, gdyż przez większość swojego istnienia dostosowywał się do zmian, zamiast je wprowadzać. My, profesorowie prawa, mówimy i piszemy tak, jakby w przeszłości było inaczej, jakby dopiero od niedawna sędziowie zarzucili tradycyjną rolę obrońców słabszych przed silniejszymi.

To, co mówimy i piszemy, to bzdury.

Podobnie jak każda inna instytucja społeczna, Sąd Najwyższy był przeważnie sprzymierzeńcem „swoich”, co nie powinno dziwić, gdyż tylko swoi zostają prezydentami nominującymi sędziów, senatorami zatwierdzającymi te nominacje lub kandydatami, spośród których w pierwszym rządzie wybiera się nominowanych. Liberałowie chętnie odwołują się do spraw *Brown przeciwko Radzie Szkolnej* oraz *Roe przeciwko Wade'owi*, jako dowodu, że

Sąd Najwyższy należycie wypełnia swą rolę w kierowaniu państwem, gdy tymczasem przykłady te są tylko świadectwem pewnej szczególnej epoki naszej historii, podczas której sędziowie wyjątkowo przystąpili do zmieniania Stanów Zjednoczonych. Jednak epoka ta nie trwała zbyt długo, a sąd szybko przestał pełnić rolę siły napędowej ewolucji społecznej, co zapewne ucieszyłoby autorów Konstytucji. W końcu Madison i Hamilton również należeli do swoich.

Sędzia Wainwright - pan sędzia Wainwright, jak powiedziano by zgodnie z dawną wielką seksistowską tradycją - jest w bardzo dużym stopniu swój, gdyż zna wszystkich. Oczywiście wszystkich, którzy liczą się w Waszyngtonie. Nic dziwnego, że tylko on spośród sędziów Sądu Najwyższego wziął udział w pogrzebie mojego ojca. Skoro pojawia się na każdym ślubie w mieście, to dlaczego nie na pogrzebie? Przyglądam się wspaniałemu niebieskiemu dywanowi, okazałemu drewnianemu biurku, po czym mój wzrok pada na ścianę świadcząca o świetności gospodarza - pełną zdjęć sędziego ze wszystkimi, od Michaiła Gorbaczowa przez Boba Dylana do papieża. Jest fotografia surowego Wainwrighta w mundurze wyjściowym piechoty morskiej oraz gablotka z jego odznaczeniami. Widzę również zdjęcie roześmianego Wainwrighta z gromadką małych dzieci, zapewne wnuków, na kolanach. Pozostałe ściany zajmują solidne drewniane regały wypełnione setkami kremowych tomów „Raportów Stanów Zjednoczonych”, oficjalne archiwum decyzji podjętych przez Sąd Najwyższy, mimo że w obecnej cyfrowej erze żaden prawnik poniżej trzydziestki nie bierze do ręki żadnej książki, gdyż wszystko, co w nich jest, znajduje się również w Internecie (a przynajmniej tak sądzą młodzi prawnicy). Potrząsam głową, bezskutecznie usiłując wyobrazić sobie w tym wspaniałym biurze swojego ojca, gdyby sprawę ułożyły się inaczej. Ogarnia mnie fatalizm, uczucie, że absolutnie nic nie zmieniłoby nieuniknionego wyniku.

Nic.

Wallace Wainwright doświadczonym okiem polityka dostrzega moje zakłopotanie, ujmuje mnie za łokieć i kieruje ku błękitnej pluszowej kanapie. Sam zajmuje stojący ukośnie do niej, twardy, drewniany fotel. Ponad jego ramieniem widzę przez okno budynek Kapitolu, którego potężna kopuła przybrała matowoszary kolor w leniwej mżawce, tak charakterystycznej dla Waszyngtonu w grudniu. Pomimo pogody rozkoszuję się wspaniałą wolnością wagarowicza. Dzisiejszego popołudnia uciekłem z konferencji na temat reformy prawa deliktowego, która pokrywa koszty mojego pobytu w mieście. Nie sądzę, aby ktoś to dostrzegł, gdyż nie jestem na tyle ważny. W tej chwili jednak nie bardzo wiem, jak zacząć rozmowę. Siedzę przed Wainwrightem dzięki Robowi Saltpeterowi, który niegdyś był jego aplikantem i załatwił mi to spotkanie, i wierzę się jak student pierwszego roku, którego zmuszono do zrelacjonowania sprawy.

Wallace Wainwright czeka. Nadal czeka. Może sobie pozwolić na czekanie lub nie, zależy, na co ma ochotę. Wie, kim jest. Siedzi na szczycie prawniczego świata i nie musi na nikim robić wrażenia. Jego mysio-brązowy, bezkształtny garnitur wygląda jak ze sklepu z używaną odzieżą, stary, wąski krawat jest przekrzywiony, a błękitna koszula źle uprasowana. Pomimo imponującego nazwiska Wallace Wainwright wywodzi się - jak mówił z pewnym zdumieniem Sędzia - z biednej rodziny, gnieźdzącej się wraz z podobnymi sobie w przyczepach kempingowych, gdzieś w stanie Tennessee. Wallace, środkowy spośród pięciu braci, zdołał dzięki kłamstwom, pochlebstwom i pożyczkom ukończyć uniwersytet stanowy, a następnie otrzymał stypendium ze szkoły prawniczej Vanderbilta. W pierwszych latach praktyki prawniczej wysyłał do domu połowę zarobków, czasem nawet więcej, jeśli ktoś z jego licznej rodziny potrzebował środków na operację lub wpłatę za samochód. Dzisiaj mieszka w niedużym, lecz drogim szeregowcu w Georgetown, a na weekendy wyjeżdża do swojej ogromnej wiejskiej posiadłości - dwadzieścia pięć akrów z końmi, na których jeżdżą jego córki. Znajduje się ona tuż pod Waszyngtonem, w samym środku terenów myśliwskich Wirginii i zwana jest czasem „Małym Waszyngtonem”. Ojciec nieraz potrząsał z niedowierzaniem głową, zaskoczony, że jego niegdysiejszy kolega tak dobrze się ożenił.

Sędzia Sądu Najwyższego Wallace Warrenton Wainwright, intelektualny olbrzym.

Człowiek z ludu.

Ulubieniec akademickiej społeczności prawniczej.

Ostatni z wielkich liberalnych sędziów.

Jednocześnie człowiek, którego można nazwać niemal przyjacielem Sędziego z czasów, gdy wspólnie zasiadali w Sądzie Apelacyjnym Stanów Zjednoczonych dla Okręgu Dystryktu Kolumbii, i to właśnie jest powodem, dla którego tu przyszedłem. Wprawdzie różniły ich poglądy ideologiczne, ale jednoczyło przekonanie, że posiadają umysły znacznie potężniejsze niż pozostali sędziowie, co niejednokrotnie znajdowało odbicie w ich odrębnych opiniach. Przychodzi mi na myśl, że sądy nieco przypominają szkołę prawniczą, szczególnie naszą. Też tworzy się w nich hierarchia, przynajmniej w umysłach tych, którzy siebie umieszczają na jej szczycie. Sędziowie Garland i Wainwright uważali, że są klasą sami dla siebie, co budziło oburzenie innych sędziów, jak mi opowiadał Eddie Dozier. Chociaż ojciec był z dziesięć lat starszy od Wainwrighta, spędzali razem czas również poza budynkiem sądu, grając w golfa i pokera oraz łowiąc ryby, aż do czasu skandalu. Wprawdzie Wainwright również potem próbował podtrzymywać ich kontakty, ale dla ojca - według słów Addisona - było to zbyt duże obciążenie psychiczne. Sędzia tkwił w miejscu, a nawet zaczął się staczać, podczas gdy jego dawny kolega Wallace piał się po szczeblach kariery. Kiedy Demokraci

znów przejęli władzę w Białym Domu, było jasne, że Wainwright zajmie pierwszy wakat w Sądzie Najwyższym.

Tak też się stało.

Siedzimy jeszcze przez chwilę w milczeniu, gdy usiłuję się zmusić, żeby przejść do rzeczy. Jednak depresja, która gnębiła mnie przez parę ostatnich miesięcy, znów dała o sobie znać i spowalnia moje reakcje oraz potęguje lęki i wątpliwości. Dzisiejszego ranka wpadłem do Corcorana & Kleina, gdzie Meadows, zgodnie z obietnicą, pozwoliła mi obejrzeć puste biuro mojego ojca, zaraz obok gabinetu wujka Mała. Wieloletnia asystentka Sędziego, pani Rose, odeszła już na emeryturę i przeprowadziła się do Phoenix. Gabinet był rzeczywiście pusty, gdyż po wymianie dywanu, zasłon i odmalowaniu nie został tu nawet duch ojca. Jednak obejrzenie biura było tylko pretekstem. Naprawdę chciałem zaprosić Cassie Meadows na filiżankę kawy, żeby pozyskać jej niczym niezamąconą uwagę i zaobserwować jej spontaniczną reakcję na pytanie, czy mój ojciec nie zostawił czasem jednego z tych listów „na wypadek, gdyby coś mi się stało”.

Meadows nawet nie mrugnęła. Zastanawiała się przez chwilę, stukając długim palcem o niemal niewidoczne wargi. - Jeśli to zrobił, ja nie byłabym w to wtajemniczona. Tego rodzaju sprawa podlegałaby raczej panu Corcoranowi.

Właściwie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Odpowiedź na następne pytanie znałem, zanim jeszcze zdążyłem je zadać: - Nie, nie ma pana Corcorana. Wyjechał na kilka tygodni do Europy.

(II)

- To bardzo uprzejmie z pana strony, że zgodził się pan ze mną spotkać - zaczynam, czując się dziecinnie i niezręcznie w obliczu człowieka, który jest żywym przypomnieniem wszystkiego, co bezskutecznie starał się osiągnąć mój ambitny ojciec.

- Nie ma o czym mówić - obrusza się Wallace Wainwright, ukradkiem zerkając na zegarek - Timex dla człowieka z ludu - zanim usadowił się w niewygodnym fotelu, założył nogę na nogę oraz splótł ręce na kolanie, którym natychmiast zaczął podrygiwać. - Przykro mi tylko, że przez tak długi okres nie mieliśmy okazji porozmawiać.

- Rzeczywiście minęło już sporo czasu - zgadzam się.

- Jakże się miewa twoja śliczna żona? - pyta, choć jestem przekonany, że nigdy w życiu jej nie widział. Wainwright słynie z krzywego, sympatycznego uśmiechu i właśnie teraz mi go prezentuje. Na temat jego znaczenia napisano niejeden uczony artykuł. - Rozumiem, że teraz macie już dwójkę dzieci. Czy nadal tylko jedno?

- Tylko Bentleya. Ma teraz trzy lata.
- Wspaniały wiek - stwierdza, wypełniając czas tymi nic nieznaczącymi uwagami. Nie wiem, czy chce mnie uspokoić czy zniechęcić.
- Pamiętam, jak moje miały trzy latka. No, nie wszystkie na raz - poprawia się pedantycznie - ale pamiętam, jak to było z każdym.
- Ma pan trójkę dzieci? Czy dobrze pamiętam?
- Czwórkę - koryguje łagodnie, ucinając moje wysiłki, by również zaprezentować się jako osoba towarzyska. - Same dziewczynki - mówi w zamyśleniu. - Ciekawa rozpiętość wieku.

Nadal czeka.

Nie pozostaje mi nic innego, niż iść naprzód.

- Panie sędzio, chciałbym z panem porozmawiać, jeśli pan pozwoli, na temat mojego ojca. - Unosi pytająco brwi i czeka na dalszy ciąg.
- O ostatnich paru latach, które spędził za stołem sędziowskim. Zanim... no, zanim stało się to, co się stało.
- Oczywiście, Misha, oczywiście. - Czarujący jak zawsze. Wiele lat temu, ze względu na jego przyjaźń z moim ojcem, zachęciłem go, by używał mojego przezwiska, i nadal to robi. - To były trudne lata. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co musiałeś wtedy czuć, i bardzo mi przykro, że tak się to potoczyło.
- Dziękuję bardzo, panie sędzio. Wiem, ile pańska przyjaźń znaczyła dla... mojego ojca.

Sędzia Wainwright znów się uśmiecha. - Och, on był wyjątkowym człowiekiem. Bardzo wiele dla mnie znaczył. Olbrzym, prawdziwy olbrzym. Najwspanialszy prawniczy fachowiec, jakiego miałem zaszczyt znać. Przepuszczalnie można powiedzieć, że był moim mentorem w sądzie. Tak było. To, co zaszło... no, cóż, to w niczym nie umniejszyło mojego podziwu dla niego. - Pauza po tej krótkiej przemowie. - No, tak, zatem, czego chciałbyś się dowiedzieć?

- Cóż, zastanawiałem się, jak wyglądało jego życie... nie w okresie po tym, co się zdarzyło, lecz przedtem. Przede wszystkim wówczas, gdy został nominowany. Mniej więcej w tamtych dniach. Co się wtedy działo? I co się działo, jeśli wiadomo, z Jackiem Zieglerem?

- Wiesz, to interesujące pytania. Naprawdę interesujące. Nikt mnie o to nie pytał, nawet wtedy, gdy Kongres - jego powtórzenia i pauzy są wystudiowane, dają mu czas do namysłu - przeprowadzał te swoje dochodzenia. Może paru reporterów, którzy jakoś zdobyli mój domowy numer. Reportery. Oczywiście, z nimi nie rozmawiałem. - Podobnie jak większość sędziów, Wallace Wainwright traktuje dziennikarzy tak, jak ludzki organizm postrzega zapewne pałeczki bakterii *E coli* - wiadomo, że pewna ich liczba jest potrzebna, żeby wszystko funkcjonowało jak należy, ale mimo wszystko masz nadzieję, że ktoś je uśmierci. - Wtedy osobę twojego ojca otaczało wielkie

milczenie, Misha. Milczenie. Tak. Mam na myśli, że tak było wówczas w naszym sądzie. I być może to było najlepsze wyjście.

Waham się. Czy chce mnie w ten sposób zniechęcić czy zachęcić? Nie wiem. Nie potrafię odczytywać sygnałów, więc dalej realizuję swój program.

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Jaka była wówczas atmosfera w sądzie? Jak w tamtych dniach zachowywał się ojciec?

- Jaka była atmosfera. - Powtarzając moje słowa, rozprostowuje nogi i odchyła się do tyłu. Nie patrzy teraz na mnie, tylko w sufit, być może tam szukając natchnienia - Cóż. Tak. Musisz pamiętać, że w tamtym czasie twój ojciec był nominowany do Sądu Najwyższego.

- Wiem o tym.

Dostrzega moje zniecierpliwienie i spokojnie stara się wytłumaczyć mi sytuację. - No, cóż, z jednej strony wiesz, a z drugiej nie wiesz. Musisz wyobrazić sobie atmosferę, jaka tworzy się w sądzie, kiedy jeden z sędziów ma przejść do najwyższej instancji, albo kiedy wszyscy tak myślą. Przeżywałem to kilka razy. Kilka razy. Przy okazji Boba Borka. Przy Oliverze Garlandzie. Przy Dougu Ginsburgu. - Na jego ustach pojawia się drwiący uśmiešek. - Tak, wiem. Sądząc po tych nazwiskach, Okręg Dystryktu Kolumbii nie miał zbyt wiele szczęścia.

Odwzajemniam jego uśmiech.

- Jednak mimo wszystko, chociaż żaden z tych kandydatów... no, żaden z nich nie przeszedł... mimo to w okresie ogłoszenia nominacji panowała bardzo szczególna atmosfera.

- W jakim sensie szczególna? - drążę dalej.

- No, cóż - powtarza Wainwright. - Początkowo, kiedy Reagan ogłosił, że nominuje twój ojca? Dla nikogo nie było to całkowitym zaskoczeniem, niemniej jednak zapanowało u nas takie... no, takie podniecenie. Twój tata, no wiesz, on zawsze robił imponujące wrażenie, ale kiedy ogłoszono tę wiadomość, on jakby... kiedy szedł korytarzem, w sali sądowej czy gdziekolwiek, to było takie... no, zapierało dech w piersi.

Zapierało dech. W dosłownym sensie. To było tak, jakby się żarzył i spalał tlen z powietrza. Nie potrafię znaleźć właściwego słowa. Może magiczne? Inni wcale nie próbowali mu się przypochlebiać. Nie. Raczej było odwrotnie. Ludzie jakby trochę się odsunęli, stali się... hmm, powiedzmy onieśmieni, jakby on został wyniesiony na wyższy poziom egzystencji, a reszta nas, śmiertelników, już do niego nie pasowała. Już nie pasowała. Nie król, ale... następca tronu! Tak, to dobre porównanie.

Bił od niego ten blask. Żarzył się - powtarza.

Kiwam głową, mając nadzieję, że wreszcie przejdzie do rzeczy. Orzeczenia sędziowskie Wainwrighta są tak samo rozmyte, pełne niejasnych aluzji i niezręcznych przenośni. Profesorowie prawa jeszcze go utwierdzają w tej manierze, nazywając jego styl pisanania eleganckim. Jednak możliwe, że

przemawia przede mną zazdrość, gdyż sam piszę zupełnie bezbarwnie.

- No, cóż. Twój ojciec radził sobie z tym doskonale. *My*, pozostali sędziowie i aplikanci, może byliśmy onieśmieleni, ale twój ojciec był przyjacielski jak zawsze. - Na to wspomnienie na jego twarz wypływa miękki uśmiech, a ja zastanawiam się, czy to ma być żart. Na temat Sędziego można było wiele rzeczy powiedzieć, częściowo nawet pochlebnych, ale z pewnością nie to, że był przyjacielski. - Wiesz, kiedy teraz o tym myślę, przypuszczam, że twój ojciec miał sporo czasu, żeby się przygotować, żeby przemyśleć, jak się zachowywać, kiedy przyjdzie co do czego. Może pamiętasz, że ta nominacja nie była w zasadzie zaskoczeniem. Twój tata był jednym z finalistów, pisano o tym w gazetach, a poza tym, mówiono o nim już w latach osiemdziesiątych, tuż po wyborach.

Tak. Tuż po wyborach. Przypomina mi się teraz, że kiedy wybrano Reagana, któryś z tych prawników - przepraszam, nie chcę obrazić twojego ojca - ale któryś z tych okropnie konserwatywnych ekspertów wypowiedział się w gazetach na temat twojego ojca jako ewentualnego następcy sędziego Marshalla. Powiedział wtedy coś obraźliwego, coś jakby „Mam nadzieję, że Thurgood grzeje miejsce dla Olivera”. Coś w tym stylu.

Nie pamiętałem już panującej w owym czasie atmosfery, ale słowa Wainwrighta przywołały ją gwałtownie z powrotem. Przypomniałem sobie nawet ten cytat, o którym mówił. Wówczas te słowa bardzo mnie rozgniewały, podobnie jak większość znanych mi osób, w tym i ojca. Denerwujące było choćby założenie, że w Sądzie Najwyższym jest miejsce tylko dla jednego czarnego sędziego, oraz sugerowanie, że autor tych słów jest po imieniu z moim ojcem i z wielkim Thurgoodem Marshalllem. Albo to rasistowskie - trudno to inaczej określić - nazywanie obu prawników po imieniu. Nie przypominam sobie, by podobnie się wypowiedziano, na przykład, że „Lewis grzeje miejsce Bobowi” w wypadku, gdy sędzia i kandydat byli biali. Mój ojciec przez dziwny, pełen chwały i poświęcenia moment rozważał nawet, by z szacunku dla sędziego Marshalla zasugerować rezygnację z jego kandydatury, jednak potem jego wybujała ambicja raz jeszcze zatriumfowała.

- Pamiętam - odpowiadam tylko.

- To było okropne, powiedzieć coś takiego, Misha, okropne, toteż twój ojciec był wściekły. No, cóż, jeśli chodzi o ten sąd... od lat wokół nominacji wytwarzała się zgoła cyrkowa atmosfera. Od dziesiątków lat. Można powiedzieć, że sięga to czasów Brandeisa, czy nawet Salmona Chase'a lub Rogera Taneya. Wiesz oczywiście, jakie kontrowersje wywołały ich nominacje! No, nic, za daleko już odchodzimy od tematu i wiem, że cię nudzę. Tobie nie chodzi o nastroje w sądzie. Chciałeś się raczej dowiedzieć... o swojego ojca z tamtych czasów, prawda?

- Tak. Interesuje mnie wszystko, co zechce mi pan powiedzieć.

- Hmm. - Wainwright prezentuje mi swój kolejny nerwowy gest.

Jedną ręką bawi się włosami, a palcami drugiej bębni po poręczu fotela. Wymaga to nie lada koordynacji ruchowej, jak u zonglera, który dodatkowo tańczy na piłce. - Powiem ci, Misha, że twój tata, tak jak wspomniałem, dosłownie się żarzył. Jednak nie zawsze. Bywały chwile, jeszcze przed wybuchem skandalu, że wydawał się... napięty, to chyba właściwe słowo. Zmartwiony czymś. Tak. Spotykaliśmy się na przykład w windzie dla sędziów i on był spięty, więc pytałem go, co się stało. Przypominałem, że powinien skakać z radości. Tak. A on tylko wzruszał ramionami i mruczał, że podczas takich przesłuchań wszystko może wyjść na jaw. „Popatrz tylko na Fortasa”, powiedział pewnego wieczoru, gdy razem schodziliśmy do garażu. „Facet zupełnie legalnie wziął pieniądze z fundacji, a oni go za to zniszczyli”. - Wainwright wygina usta w udawanym obrzydzeniu. - Oczywiście problem z Fortasem nie polegał na legalności, tylko na tym, że wziął pieniądze od... no, osoby o wątpliwej reputacji. - Nagle się prostuje. - Ach, teraz rozumiem ten przykład.

Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę. - Nie mówi pan chyba... mój ojciec nie mógłby...

- Przyjąć pieniędzy? O, nie, nie, nie takiego nie miałem na myśli.

Przepraszam, Misha, nie zamierzałem nic takiego sugerować. - Zaczyna się śmiać. - Twój ojciec biorący pieniądze. To naprawdę dobry dowcip. Wiem, że krążyły różne paskudne pogłoski, ale ja znałem twojego ojca równie dobrze jak inni. Na przestrzeni lat rozpatrywałem wraz z nim dosłownie setki spraw. Na pewno bym wiedział. Wszyscy byśmy wiedzieli. Nie było szans tego ukryć. Żadnych. Co za niemądry pomysł. Ja tylko staram się wyjaśnić, że twój ojciec był zdenerwowany i obawiał się, że może wyjść na jaw coś zupełnie niewinnego, co zostanie później wypaczone.

- Czy w owym czasie miał pan jakiegokolwiek pojęcie, co miał na myśli?

- Nie, nie. Skąd? Twój ojciec był - jak brzmiało to stare powiedzenie? - człowiekiem o kryształowej uczciwości. Nieskazitelnym życiorys, wspaniałe małżeństwo, cudowne dzieci. Wzorcowa kariera. Nikomu nawet nie przyszłoby na myśl, że z takim człowiekiem może być związany jakiś skandal. Twój ojciec był wielkim człowiekiem, Misha, niezależnie od tego, co się stało. Musisz zawsze pamiętać o jego wielkości.

Widzę, że stara się podnieść mnie na duchu, ale odrzuca mnie ta jego napuszoność. W dniu pogrzebu Mallory Corcoran również mówił o wielkości mojego ojca, lecz wyczułem, że ma na myśli dawniejsze czasy. Zastanawiam się teraz, czy Wallace'owi Wainwrightowi również chodzi o to samo. Przez chwilę odczuwam złość z powodu zadowolenia z siebie Wainwrighta. Wiem doskonale, że przeszkadza mi to, gdyż jest biały i nietykalny. Czy Sędzia też był tak zadowolony z siebie? Czy prezentowałby takie samozadowolenie po zatwierdzeniu jego nominacji? Przypuszczam, że tak, przy czym zachowywałby się jeszcze gorzej. Tyle, że w jego wypadku byłoby to co inne-

go. I nie mówię tego dlatego, że to jest... był mój ojciec. Po tych bolesnych stuleciach nadal istnieje zięjąca przepaść pomiędzy samozadowoleniem białego człowieka, który odniósł sukces, a zadowoleniem z siebie czarnego człowieka w takiej samej sytuacji. Przypuszczam, że dla białego obserwatora łatwiejszy do zniesienia jest ten pierwszy, jednak dla czarnego nie. W każdym razie nie dla mnie.

Niemniej jednak muszę dalej dążyć do swojego celu. Nie przyszedłem tu, by osądzać Wallace'a Wainwrighta, lecz by zbierać informacje. Jestem tu z powodu *ustaleń* oraz dlatego, że mam *mało czasu*. Dlatego, że muszę wiedzieć.

(III)

- Panie sędzio, jeśli to panu nie przeszkadza, chciałbym spytać, co się wydarzyło po... no, po tym, jak wybuchł skandal.

- Ależ oczywiście. - Układa starannie dłonie na kolanie i wygląda przy tym zupełnie jak skupiony uczeń. Jednak jego wielkoduszność wydaje się teraz wymuszona, zupełnie jakbym na nowo otwierał zasklepioną już ranę, i być może tak jest.

- Czy pamięta pan rejestry strażników z przesłuchań? To, że zapisali wszystkie wizyty Jacka Zieglera?

Kiwa powoli głową. - Wolałbym nie pamiętać. To był bardzo smutny moment.

Skoro był smutny dla ciebie, mam ochotę powiedzieć, to pomyśl, co myśmy musieli czuć. Dopóki nie wypłynęły te rejestry, w gruncie rzeczy wierzyłem wygłaszanym pod przysięgą zaprzeczeniom ojca na temat wizyt Jacka Zieglera. Gotów byłem przyjąć, że Greg Haramoto jest po prostu krzywo-przysięcą, czy to z powodu jakiejś dziwnej choroby psychicznej, czy zwykłej niegodziwości. Nawet kiedy demokraci przedstawili rejestry, a matka przestała z nami rozmawiać na temat tej kwestii, Mariah i ja sprzeczailiśmy się godzinami, czy nie zostały one (jak twierdziła moja siostra) w jakiś sposób sfalszowane.

Nie mogę o tym opowiadać Wallace'owi Wainwrightowi. - Owszem. Bardzo smutny. Jednak chciałbym zadać pewne pytanie. Czy pan uważa, że mój ojciec kłamał, kiedy zeznawał, że nie spotykał się z Jackiem Zieglerem w budynku sądu?

Teraz wyraźnie widać, że Wainwright jest zdenerwowany, z pewnością wolałby nie poruszać tego tematu. Zbyt późno uświadamiam sobie, jak bardzo przypomina mnie samego, gdyż ja także nie lubię przekazywać złych wieści. Czekaając na odpowiedź, dostrzegam fotografię, którą wcześniej przeoczyłem. Przedstawia ona Wainwrighta z moim ojcem, stojących w

małej łódce i prezentujących złowioną rybę. Odczuwam głębokie wzruszenie na myśl, że do tej pory zostawił to zdjęcie na ścianie, i to tu, w Sądzie Najwyższym. Uświadamiam sobie, że jego uczucia w stosunku do ojca nie były udawane, że nie odciął się od niego, jak to zrobili inni przyjaciele i przyszedł na pogrzeb, gdyż chowaliśmy człowieka, którego podziwiał. Z własnej woli nie powiedziałby o nim złego słowa. Dlatego też domyślałem się z grubsza, co może mi powiedzieć. - Misha, musisz zrozumieć, że twój ojciec znalazł się w trudnej sytuacji. Trudnej sytuacji. Tak. Najwyraźniej nie przywiązywał wielkiej wagi do tych wizyt w sądzie. Wybacz mi. Wówczas po raz pierwszy w życiu widziałem, żeby Oliver poczuł się czymś przytłoczony. Nie mógł uwierzyć, że ludzie robią z tego taką wielką sprawę. Dla niego te wizyty były po prostu przejawem przyjaźni, okazją do podniesienia na duchu szkolnego kolegi, który wpędził się w kłopoty. Pamiętasz, co twój ojciec mawiał o przyjaźni? Coś o ceglach...

Mogę w każdej chwili przytoczyć te słowa: *„Przyjaźń jest obietnicą przyszłej lojalności, niezależnej od tego, co się zdarzy. Obietnice są cegielkami życia, a zaufanie jest tu zaprawą”*.

- Tak, właśnie to. Cegły i zaprawa. - Jego usta znów wyginają się w uśmiešku, które nadaje mu anielski wygląd, tak uwielbiany przez jego zwolenników. - Zatem rozumiesz. Dla twojego ojca to wszystko było tak strasznie niesprawiedliwe. Te wizyty, gdy komentowano je w telewizji i innych mediach, przed całym narodem, wyglądały tak złowieszczo. Dla twojego ojca były niewinnym gestem przyjaźni. Niewinnym. Tak. Sądzę, że on po prostu doszedł do wniosku, że nie da się ich rozsądnie uzasadnić. To znaczy, że nic, co powie, nie będzie dobrze brzmiało w trakcie przesłuchań. Zatem postanowił się ich wyprzeć. Jesteś semiotykiem. Wiesz, co usiłuję powiedzieć. Tak. Twój ojciec nie miał na myśli tego, że wizyt nie było. Wypierał się wizyt w takim sensie, jak przedstawiali je jego krytycy, nie jak sam je rozumiał. Gdyby go spytano: „Czy kierując się lojalnością i przyjaźnią spotykał się pan z Jackiem Zieglerem i podtrzymywał go na duchu w trudnym okresie?”... gdyby spytano o coś w tym rodzaju, to sądzę, że Oliver dałby bardziej możliwą do przyjęcia odpowiedź. - Dostrzega coś w mojej twarzy. - Przykro mi, Misha, wiem, że to nie jest odpowiedź, jaką byś chciał usłyszeć.

- Ja tylko chcę zrozumieć. Mówi pan, że mój ojciec kłamał. Jeśli wytniemy te wszystkie wyjaśnienia, to tyle zostanie, prawda? Kłamał pod przyściągą?

Wainwright wzdycha. - Tak, Misha. Przykro mi. Rzeczywiście uważam, że twój ojciec kłamał.

- Zatem Jack Ziegler był w budynku sądu... ileś razy.
- Trzy, jak sądzę. - Greg Haramoto wiedział o jednej wizycie. Rejestry strażników ujawniły narodowi pozostałe.
- Zgadza się. Trzy spotkania, wszystkie po godzinach pracy.

- Tak. Po godzinach.

Teraz ja z kolei dostrzegam coś w jego twarzy. Szybko spuszcza wzrok. Nie mam pojęcia, co go dręczy. I nagle już rozumiem. - Wiedział pan - mówię cicho, z zastanowieniem.

- Słucham?

- Wiedział pan. Widział ich pan... na korytarzu albo gdzie indziej. Może zajrzał pan po godzinach do pokoju ojca, a tam był Jack Ziegler. W każdym razie wiedział pan, prawda? Wiedział pan, że mój ojciec spotyka się z Jackiem Zieglerem.

Odwraca wzrok w kierunku dalszego okna, jakby widok Biblioteki Kongresu mógł go uwolnić ze ślepego zaułka, w który sam zabrnął. - To musi pozostać między nami. Nie piszesz czasem wspomnienia lub eseju do „The Atlantic” czy czegoś takiego?

- To pozostanie między nami - zgadzam się. Zgodziłbym się na wszystko, żeby tylko mówił dalej.

- Wyprę się, jeśli to komuś powtórzysz.

- Rozumiem.

Wallace Wainwright wzdycha. - Tak, Misha, wiedziałem - mówi w kierunku ściany. - Widziałem ich razem, tak jak myślałeś. W windzie. W prywatnej windzie dla sędziów. Późnym wieczorem. Mogła być dziesiąta, może później. Nie zwracałem uwagi na godzinę, gdyż nie przywiązywałem do tego szczególnej wagi... wówczas, gdy to miało miejsce. Być może pamiętasz, że pokoje ojca i mój były na tym samym piętrze. Przywołałem windę, a kiedy przyjechała, zobaczyłem w środku twojego ojca i mężczyznę, którego początkowo nie rozpoznałem. Obaj byli zaskoczeni moim widokiem. Zapewne ojciec myślał, że wszyscy sędziowie już wyszli i skorzystanie z tej windy zmniejszy ryzyko, że ktoś zobaczy pana Zieglera. Nie wiem. W każdym razie byli bardzo zaskoczeni. Bardzo zaskoczeni. Ale Olivera trudno było wytrącić z równowagi. Przedstawił nas sobie. Opisał swojego towarzysza jako współlokatora z czasów studenckich i początkowo jego nazwisko nic mi nie mówiło.

- Początkowo?

- Chyba bardzo powoli myślałem tego wieczoru. Dopiero po dwóch dniach tknęło mnie, że ten mężczyzna w windzie to nie był *jakiś* Jack Ziegler, tylko *ten* Jack Ziegler. Oskarżony o morderstwo, wymuszenia i lichowię, co jeszcze. I on znajdował się w budynku sądu z sędzią federalnym. Muszę przyznać, że to mnie zaniepokoiło. Poza tym, nie wiedziałem, co zrobić. Zupełnie nie wiedziałem. Może trzeba było szczerze porozmawiać z twoim ojcem. Może powinienem przedstawić tę sprawę prezesowi sądu. W rezultacie nie zachowałem się najlepiej. Nic nikomu nie powiedziałem. Zapewne myślałem, że twój ojciec miał swoje powody. W końcu bardzo go szanowałem i uważałem za człowieka o wyjątkowej prawości. Nadal tak

uwążam.

- Chociaż kłamał pod przysięgą.

- To był naprawdę okropny błąd z jego strony, Misha. Będę z tobą szczerzy. Uważałem, że go to dyskwalifikuje... Kłamać pod przysięgą! Powiedziałem ci przedtem, że to rozumiałem, ale nie chciałem, żebyś myślał, że choć przez chwilę to pochwalałem. Absolutnie nie. Twój ojciec słusznie postąpił, wycofując swą kandydaturę. To było jedyne honorowe wyjście. To znaczy, byłoby, gdyby twój ojciec okazał choć odrobinę... no, cóż, skruchy. Skruczę. Tak. Twój ojciec... Wiem, Misha, że ciężko ci tego słuchać. Jednak faktem pozostaje to, że on nigdy nie przyjął do wiadomości, iż zrobił coś niewłaściwego, czy to przyprowadzając człowieka oskarżonego o morderstwo do sądu, czy też kłamiąc na ten temat pod przysięgą. Niestety, jak wielu kandydatów, których nie zatwierdzono, potrafił zastanawiać się tylko nad motywami osób, które wyszperały informacje na temat tych wizyt. A teraz muszę ponownie cię przeprosić. Przyszędłeś tu, abym rozproszył twoje wątpliwości, a ja wygłosiłem przemówienie, i to takie bolesne.

- Nie, nie szkodzi. Wiem, że ojciec kłamał. - Przerzywam. - Jest jedna rzecz, której nie rozumiem. Skoro pan wiedział o Jacku Zieglerze wówczas, gdy te zdarzenia miały miejsce, to dlaczego nic pan nie powiedział, kiedy ta sprawa wypłynęła podczas przesłuchań w Senacie?

Odpowiada tak szybko, że musiał przewidzieć to pytanie. - Nikt mnie o to nie pytał. FBI nie przyszło przesłuchiwać innych sędziów.

- Mógł pan dobrowolnie zgłosić się z tymi informacjami. Zaoszczędziłoby to Gregowi Haramoto tyłu cierpień.

- No, wiesz, Misha. Jeden sędzia zdradzający drugiego. Nie do pomyślenia. Tego po prostu się nie robi. Nie jest to również w duchu Konstytucji. O przydatności kandydata na sędziego decydują organy władzy ustawodawczej. Nie byłoby to w porządku z mojej strony, gdybym jako przedstawiciel władzy sądowniczej próbował w jakikolwiek sposób wpływać na przesłuchania zatwierdzające.

Lubię Wallace'a Wainwrighta, być może dlatego, że lubił go mój ojciec, ale zdumiewa mnie jego zadufanie w sobie, zarówno w postępowaniu, jak i w poglądach, z których wynika, że jeśli jakieś przepisy prawne mu nie odpowiadają, to muszą być niekonstytucyjne.

- Doceniam to - mówię niezbyt szczerze po dłuższej chwili. Zastanawiam się, czy Wainwright trzymał się z dala od skandalu ojca, żeby nie zażrepaścić własnych szans. Nie wiem, czy to rzeczywiście nie do pomyślenia, żeby jeden sędzia wydał drugiego, ale z pewnością nie pomogłoby mu to dostać się do Sądu Najwyższego. - Jednak chciałbym zrozumieć coś jeszcze.

- Oczywiście - odpowiada, tłumiąc zniecierpliwienie.

- Kiedy mój ojciec... kiedy spotkał się z Jackiem Zieglerem. To było wieczorem.

- Tak. Dość późno, jak mówiłem.

- Nie było w tym nic niezwykłego, prawda? W tym, że ojciec o tak późnej porze był w sądzie?

- Niezwykłego? - Uśmiecha się. - Nie, Misha, zupełnie nic. Ja pracowałem do późna, ale nie tak długo, jak Oliver. Musisz pamiętać, jakim typem człowieka był twój ojciec, i jakim sędzią. O takich ludziach mówiło się... znasz to stare powiedzenie... że to pies na szczegóły. Pamiętam pewną dyskusję podczas apelacji w sprawie kryminalnej. Adwokat skazanego popełnił wówczas błąd i chcąc się odwołać do próżności twojego ojca, zacytował kilka jego odrębnych opinii z początków pracy w sądzie. Twój ojciec spytał go wówczas: „Czy obrońca wie, ile razy ta kwestia wpływała przed tym sądem, od kiedy napisałem te słowa?” Biedny człowiek nie wiedział. Twój ojciec stwierdził: „Siedemnaście razy. Czy wie pan, ile razy sąd odrzucił takie podejście? Siedemnaście razy. A czy wie pan, ile z tych opinii ja napisałem?” Wówczas ten adwokat zrobił coś, czego już studenci pierwszego roku uczą się nie robić. Zgadywał: „Siedemnaście, Wysoki Sądzie?” Wpadł w ten sposób prosto w pułapkę. Twój ojciec odpowiedział: „Żadnej. Nadal wyznaję poglądy, które pan zacytował”, po czym cały sąd wybuchnął śmiechem. Nie śmiał się prawnik ani twój ojciec. On wcale nie żartował, tylko dawał mu nauczkę. Nie potrafił się powstrzymać także przed następnym ciosem: „Moje poglądy nie mają tu nic do rzeczy. W federalnym sądzie apelacyjnym należy się powoływać na prawo danego obwodu, a nie poglądy poszczególnych sędziów. Być może przypomina pan to sobie ze szkoły prawniczej”.

Przymykam na chwilę oczy. Z łatwością potrafię sobie wyobrazić Sędziego tak złośliwie wykorzystującego swoją inteligencję, gdyż miał zwyczaj stale to robić.

Wainwright jeszcze nie skończył.

- Jednak zazwyczaj to jego zamięlowanie do szczegółów nie było tak bolesne dla innych. Na przykład, jeśli przychodziła do nas sprawa mająca związek z normami Agencji Ochrony Środowiska, to sam czytał wszystkie materiały dotyczące orzecznictwa w tego rodzaju sprawach, zamiast zlecać to swoim aplikantom, jak robiła większość z nas. A pamiętaj, że mowa jest o archiwach liczących sobie nieraz ponad dwadzieścia tysięcy stron. Jednak twój ojciec twierdził, że skoro potrafi czytać Trollope'a, to poradzi sobie i z taką lekturą. Albo sprawa, w której jedna ze stron wyraźnie robiła wrażenie fikcyjnej spółki zarejestrowanej powiedzmy na Kajmanach lub Antylach Holenderskich. Twój ojciec zażądał, żeby spółka dostarczyła, oczywiście pod przysięgą, listę swoich rzeczywistych właścicieli, a nie tylko figurantów, za którymi się kryją. Albo weźmy grupy interesu publicznego. Domagał się od nich listy darczyńców.

Muszę przyznać, że jestem tym, wbrew sobie, zafascynowany. - Jak mógł tego dokonać?

- No, oczywiście nie osobiście. Wymagało to nakazu składu orzekającego w danej sprawie. Ponieważ było to trzech sędziów, potrzebna była zgoda dwóch z nich. Jednak decyzja była zawsze jednogłośnie, przynajmniej w sprawach, które pamiętam. Przypuszczam, że to kwestia solidarności sędziowskiej.

- A czy taka korporacja lub organizacja dostarczała potem żądane dokumenty?

- Nie mieli wyboru. Co mogli zrobić? Złożyć apelację do Sądu Najwyższego? Zakładając nawet, że w Sądzie Najwyższym zwrócono by uwagę na prośbę o wstrzymanie postępowania wykonawczego oraz zakładając, że udzielono by odroczenia tego postępowania, co jest jeszcze mniej prawdopodobne, to co w istocie osiągnęłaby taka spółka? Powiem ci. Z pewnością wkurzyłaby co najmniej jednego sędziego, a może wszystkich trzech. Owszem, w razie wstrzymania postępowania nie musiałyby ujawniać dokumentów, ale i tak musiałyby stanąć przed tym samym składem sędziowskim w celu rozpatrzenia tej pierwotnej apelacji. A kto chciałby, żeby jego sprawę rozpatrywali sędziowie, których porządnie rozgniewał, odwołując się od ich zupełnie, zdawałoby się, niewinnego nakazu? - Chichocze cicho pod wpływem tych zabawnych wspomnień. - Och, ileż to było śmiechu z twoim ojcem za stołem sędziowskim! I jaki to był doskonały sędzia. Taki doskonały sędzia.

Jednak wiem, że w istocie myśli, podobnie jak ja: *Co za strata. Co za strata*. Kiedy patrzę na posmutniałą twarz Wainwrighta, odczuwam przez chwilę pokusę, żeby go spytać, czy słyszał, żeby mój ojciec wspominał nazwę *Ekscelesior* lub kobietę imieniem *Angela*, która mogła mieć *chłopaka*. Zastanawiam się, czy wiedział, że ojciec miał broń albo do czego była mu potrzebna. Jednak nie potrafię się zdobyć na zadanie tych pytań, może dlatego, że czułbym się wówczas zbyt podobny do... no, do bezimiennego reportera*, który w „Obywatelu Kane” tropił Różyczkę. Przechodzę zatem do pytania, które było właściwym celem mojej wizyty.

* W rzeczywistości w filmie podano nazwisko reportera - Thompson, natomiast nie pokazano jego twarzy.

- Panie sędzio - uświadamiam sobie, że pomimo wieloletniej przyjaźni naszych rodzin, nigdy nie poprosił mnie, bym zwracał się do niego inaczej - to... to dla mnie bardzo trudne. - Wainwright wykonuje wspaniałomyślny gest. Ciągnę dalej. - Kilka minut temu wspomniał pan o kwestiach... hmm, finansowych...

- Pozwól, że cię wyręczę, Misha. Zastanawiasz się nad tym samym, nad czym zastanawiała się prasa jeszcze przez kilka lat po przesłuchaniach, mianowicie, czy twojego ojca i Jacka Zieglera łączyło coś więcej niż przyjaźń, prawda? To samo chciały wiedzieć te wszystkie komisje Kongresu. Pytasz, czy sądzę, że twój ojciec, będąc sędzią, wyświadczał drobne przysługi

swojemu koledze ze szkolnej ławy. Chodzi ci o to, czy twój ojciec był skorumpowanym sędzią.

Kiedy te słowa zostały wreszcie wypowiedziane, wydają się mniej przerażające. Potrafię nawet na nie odpowiedzieć. - Tak, panie sędzio. Dokładnie nad tym się zastanawiam.

Sędzia Wainwright marszczy czoło i bębni palcami po stole. Nie tyle spuszcza oczy, co przenosi wzrok na ścianę po prawej stronie, ścianę świadczącą o jego świetności, a jednocześnie tę, na której nadal zdumiewa mnie widok jego fotografii z moim ojcem na rybach. Sądziłbym, że będąc takim politycznym zwierzęciem, Wallace Wainwright dawno powinien się jej pozbyć. Jednak przypominam sobie, jak w chwili, gdy przesłuchania przyjęły bolesny obrót, zaoferował ojcu, że przedłoży komisji opinię na temat jego charakteru, a nawet, że może zeznawać osobiście na temat jego uczciwości. Nie brał wówczas pod uwagę, jak to może zaszkodzić jego własnej karierze. Ojciec był mu wdzięczny, ale z miejsca odrzucił te propozycje. Jednak na to wspomnienie czuję świeży przypływ ciepłych uczuć w stosunku do Wallace'a Wainwrighta.

Sędzia nadal się zastanawia, a ja nie przerywam panującej ciszy. W końcu obraca w moją stronę łysiejącą głowę i uśmiecha się lekko. - Nie, Misha. Odpowiedź brzmi: nie. Wszystkie te komisje, wszyscy ci oficerowie śledczy i dziennikarze niczego nie znaleźli. Pamiętaj o tym. Niczego nie znaleźli. Najdrobniejszej rzeczy. Nie znaleźli, bo niczego nie było. Twój ojciec był niezwykle prawym człowiekiem, Misha, tak jak ci mówiłem. Nie powinieneś o tym zapominać, niezależnie od tego, co potem robił. - Uświadamiam sobie, że ma na myśli skrajne poglądy polityczne ojca i jego późniejsze przemówienia, a nie skandal. - Proszę, abyś nawet przez moment nie wyobrażał sobie, iż ojciec zrobił coś niezgodnego z etyką sędziowską. Nie myśl o nim jako o człowieku skorumpowanym. Wyzbądź się raz na zawsze takich podejrzeń. Twój ojciec równie dobrze mógłby sprzedać swój głos w jakiejś sprawie, jak... jak - szuka odpowiedniego porównania, a po chwili jego nieco złośliwy uśmieszek mówi mi, że znalazł - no, równie dobrze, jak ja - kończy ze skromną miną, jakby zdał sobie sprawę, że przedstawia się jako umiarkowany egomaniak.

Prawie skończyłem. Muszę tylko wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

- Zatem, skoro mój ojciec był człowiekiem tak prawym i inteligentnym - waham się, gdyż nie przypominam sobie, żeby Wainwright użył w stosunku do niego określenia „inteligentny”, a wypadku białego intelektualisty mówiącego o czarnym nie jest to bez znaczenia - jeśli był tak uczciwy i bystry, to dlaczego przyprowadził Jacka Zieglera do budynku sądu? Mógł się z nim spotkać gdziekolwiek. W domu. W klubie golfowym. Na parkingu. Po co ryzykował?

W oczach sędziego pojawia się miękki, nieobecny wyraz, a na jego usta

powraca smutny uśmiech. Kiedy w końcu zaczyna mówić, mam wrażenie, że odpowiada na zupełnie inne pytanie. Dopiero po chwili orientuję się, że to tylko wstęp.

- Wiesz co, Misha, nigdy nie poruszałem z twoim ojcem tematu Jacka Zieglera. Natomiast on sam zaczął o tym mówić. Jedliśmy razem obiad, jakieś sześć czy osiem miesięcy po... jego rezygnacji z pracy sędziego. Tak. Wówczas jeszcze nie był takim zaciekłym polemistą, jakim miał się wkrótce stać. Nadal był zrozpaczony. Zagubiony. Tak, to dobre słowo.

Zagubiony. Nie mógł pojąć, w jaki sposób sprawy tak szybko przyjęły tak niekorzystny dla niego obrót. Spytał mnie wówczas - a był to jedyny raz, kiedy prosił mnie o radę - jak ja bym postąpił na jego miejscu. W związku z Jackiem Zieglerem. Odparłem, że nie wiem, jak bym odpowiedział na pytania. Chyba starałem się być delikatny. Jednak spostrzegłem, że źle go zrozumiałem. „Nie w czasie przesłuchań”, wyjaśnił, „tylko wcześniej.

Gdyby to był twój przyjaciel, spisałbyś go na straty?” Wtedy zrozumiałem, że mówi o wizytach w sądzie i zdziwiło mnie dokładnie to, co ciebie teraz. Powiedziałem mu, że gdybym ja musiał się spotkać z przyjacielem, wokół którego unosi się chociaż nikła atmosfera skandalu, zrobiłbym to w jakimś ustronnym miejscu. Twój ojciec pokiwał potakująco głową. Był bardzo smutny i stwierdził: „Nie miałem wyboru”, czy coś w tym rodzaju. Chciałem się dowiedzieć, co ma na myśli, dlaczego musiał wprowadzić Jacka Zieglera do swojego sędziowskiego pokoju, ale tylko potrząsnął głową i zmienił temat. - Pauza przed wyjawieniem mi reszty prawdy.

- On tego wieczoru nie był sobą, Misha. Prawdopodobnie nie wiedział, co mówi. - Urywa nagle. Zastanawiam się, czy chciał mi powiedzieć, że w tamtym okresie ojciec znowu zaczął pić. Zasłania złożonymi dłońmi usta. Potem odsuwa ręce i znowu smutno się uśmiecha. - Pamiętaj o jego wielkości, Misha. Ja też staram się to robić.

Nagle ogarnia mnie niewytłumaczalna wściekłość. Jestem wściekły na Sędziego za jego tajemniczy list, na wujka Mala, że nie odbiera moich telefonów, na nieżyjącego Colina Scotta za to, że mnie prześladował, na Lyndę Wyatt, Marca Hadleya, Camerona Knowlanda i wszystkich innych, przez których znalazłem się dzisiaj w tym miejscu. Ale najbardziej jestem wściekły na Wallace'a Warrentona Wainwrighta.

- Chcę zapamiętać swojego ojca takim, jakim był w rzeczywistości - odpowiadam spokojnie. Nie dodaję, że muszę najpierw odkryć, kim był.

Dziesięć minut później wychodzę z budynku głównym wejściem, mijając na marmurowych schodach grupki turystów czekających, by zajrzeć do tej świątyni naszej narodowej wyroczni. Sędzia Wallace Wainwright jest niewątpliwie egomaniakiem, ale mnie to cieszy, bo skoro stawia mojego ojca w jednym rzędzie ze swoją dostojną osobą, to niewątpliwie wierzy w to, co mi powiedział.

Wniosek: ojciec nie sprzedał swojego głosu Jackowi Zieglerowi ani jego kompanom.

Co zatem wówczas robił? Wiem, co Wainwright usiłował mi pod koniec powiedzieć. Myśli, że Sędzia przyprowadził wujka Jacka do swojego pokoju sędziowskiego, gdyż chciał, żeby ktoś zobaczył ich razem. Mówiąc krótko, chciał zostać przyłapany. Jednak, jeśli to prawda, to *na czym* mój ojciec chciał być przyłapany?

ROZDZIAŁ 21

Wycieczka wokół Dupont Circle

Konferencja na temat reformy prawa deliktowego odbywa się w hotelu Hilton Washington and Towers na Connecticut Avenue, o kilka przecznic na północ od Dupont Circle. Po spotkaniu z sędzią Wainwrightem nie mam ochoty wracać bezpośrednio do hotelu, lecz szukam czegoś, co skieruje moje myśli na inny tor. Wsiadam z taksówki na Eye Street i idę do antykwariatu, w którym byłem podczas poprzedniego pobytu w tym mieście. O dziwo, właściciel nie tylko mnie pamięta, lecz zapewnia, że jest na tropie broszury Fischera, o którą ostatnio pytałem. Gawędzimy jeszcze przez chwilę o innych sprawach, po czym udaję się spacerkiem o kilka przecznic dalej, na L Street, gdzie w sklepie Brook Brothers bez powodzenia próbuję dobrać idealny krawat do żółtej jedwabnej marynarki otrzymanej ostatnio od Kimmer, kolejnej nagrody pocieszenia do mojej kolekcji. Kupuję dwie pary skarpetek i wreszcie przywołuję taksówkę, żeby wrócić do hotelu na popołudniowe dyskusje panelowe.

Podczas gdy taksówkarz objeżdża cały kwartał i w końcu kieruje się na północ Twentieth Street, ja opieram się wygodnie i staram się odprężyć. Pomimo napięcia we wszystkich mięśniach udaje mi się zdrzemnąć, gdyż w tych ciężkich dniach muszę wykorzystywać na sen każdą chwilę, którą uda mi się znaleźć.

Taksówka skręca właśnie w New Hampshire Avenue, gdy kierowca odzywa się nagle: - To nie moja sprawa, ale czy pan wie, że to auto za nami nas śledzi?

W jednej chwili czuję się całkowicie rozbudzony i obracam się na siedzeniu.

- Które auto?
- To małe, zielone. Tam. Widzi pan?

Widzę. Jest o jakieś trzy samochody za nami, jeden z tych niewielkich, śmiesznie zaokrąglonych amerykańskich sedanów.

- Skąd pan wie, że nas śledzi?
- Kiedy pana zabrać, objechać kwartał, żeby wyjechać na dobrą drogę. - Raczej, żeby więcej zarobić. W Waszyngtonie nie ma taksometrów i opłata zależy od tego, ile się przetnie stref taksówkowych. - Zielony samochód też jechać dookoła ten kwartał. Ja skręcić następną w prawo, on skręcić następną w prawo. Ja skręcić znów w prawo, on też skręcić w prawo. W moim kraju często widzę, jak samochody to robią. Samochody tajnej policji.

No, to wspinał się.

Staram się myśleć szybko. Nie wiem, kto mógłby mnie teraz śledzić, skoro Scott nie żyje, ale będąc znów w Waszyngtonie, nie potrafię się pozbyć wspomnienia tortur zadanych Freemanowi Bishopowi. Conan nie Conan, areszt nie areszt, a ja i tak czuję, jak ogarnia mnie nagły chłód.

Myśl!

Za jakieś trzydzieści sekund moja taksówka dotrze do szarpiącego nerwy zamętu na Dupont Circle, gdzie odważają się zapuszczać tylko najbardziej niemądre osoby spoza miasta i najbardziej doświadczeni waszyngtońscy kierowcy. Trzeba tu sprawnie i błyskawicznie zmieniać pasy, zależnie od tego, w którą z licznych dochodzących ulic chcemy skręcić, jechać wokół ronda przeciwnie do ruchu wskazówek zegara zamiast prosto i przez cały czas unikać innych, równie zagubionych kierowców, nie mówiąc już o pieszych przebiegających z jednej niekształtnej betonowej wysepki na drugą. Nadal ogładam się na zielony samochód. Z tej odległości kierowca jest tylko szarą plamą za szybą. Wydaje mi się, że siedzi obok niego pasażer, ale nie jestem pewien.

Zapewne taksówkarz się myli.

Jednak może mieć rację. Może ktoś chce sprawdzić, dokąd się udaję. Mało prawdopodobne, ale jednak ten zielony samochód stale tam jest. Obojętne, kto w nim siedzi, wcale to mi się nie podoba.

- Kiedy pan dojedzie do Dupont Circle, proszę wjechać na pas prowadzący na Massachusetts Avenue.

- W którą stronę?

- Och, na południe czy wschód, nie wiem - w kierunku Kapitolu.

- Mówił pan Hilton Washington. Na Connecticut Avenue. - Stoimy na ostatnich światłach przed Dupont Circle. Zielony sedan jest teraz o dwa samochody za nami. Na siedzeniu obok kierowcy niewątpliwie ktoś siedzi.

- Ile kosztuje kurs do Hiltona?

Wymienia kwotę.

Zaglądam do swojego chudego portfela, wybieram dwudziestodolarowy banknot i przerzucam go nad oparciem siedzenia. Kierowca od razu pojmuję, że ma zatrzymać resztę.

- Proszę skręcić w Massachusetts, potem w pierwszą przecnicę w prawo, za tym szarym budynkiem na rogu. - Wskazuję mu palcem. Znam dobrze ten budynek, gdyż pracowałem tam w firmie prawniczej w czasach, gdy spotykaliśmy się z Kimmer za plecami jej męża, robiąc tajemnicę z czegoś, o czym wszyscy wiedzieli. Taksówkarz nic mi nie odpowiada. Niewątpliwie zastanawia się, dlaczego uciekam przed zielonym samochodem. Prawdę mówiąc, sam się nad tym zastanawiam. Mimo wszystko przedstawiam mu swój plan, na wypadek gdybym jednak był przy zdrowych zmysłach. - Proszę zatrzymać resztę - Żadnej reakcji. - Kiedy skręci pan w Mas-

sachusetts, proszę jechać najszybciej, jak pan potrafi - ciągnę. - Potem skręcić w Eighteenth, też bardzo, bardzo szybko. - Czujne oczy kierowcy wpatrują się w moje w lusterku wstecznym. Widać, że ten pomysł mu się nie podoba. Podążający za nami samochód kojarzy mu się z policją. W jego kraju, gdziekolwiek to jest, policja to źli faceci. A tu w Ameryce...?

- Proszę posłuchać - mówię, dodając kolejną dwudziestkę z mojego topniejącego gwałtownie zapasu gotówki. - Nie jestem przestępcą, a ludzie w tamtym samochodzie nie są z policji. W porządku?

Kierowca wzrusza ramionami. Nie ma zamiaru do niczego się zobowiązywać, ale też nie każe mi zabrać pieniędzy.

Światła się zmieniają i taksówka wystrzela naprzód tak gwałtownie, że będę chyba musiał zgłosić się później na pogotowie z urazem kręgosłupa szyjnego. Kuląc się, wyglądam przez tylną szybę. Zielony samochód przez cały czas za nami nadąża. Spoglądam do przodu. Mój kierowca nie jest na pasie do zjazdu w Massachusetts Avenue! Jednak nie chce ze mną współpracować! Próbuję wydstać następny argument, kiedy bez ostrzeżenia przeskakujemy przez krawężnik oddzielający właściwy pas tuż przed kilkoma zaskoczonymi, trąbiącymi na nas kierowcami. Gromada pieszych rozbiega się na wszystkie strony. Zielony samochód zostaje coraz dalej w tyle, a ja zastanawiam się przelotnie, jak mój taksówkarz zarabiał na życie w swoim kraju, że musiał uciekać do Ameryki z tak bogatą wiedzą na temat metod śledczych policji.

A także sposobów radzenia sobie z nią.

Może to i lepiej, że nie wiem.

Błyskawicznie przecinamy skomplikowane skrzyżowanie i ostro skręcamy w Massachusetts. Zielony samochód utknął na światłach i znajduje się na złym pasie. Drzwi od strony pasażera otwierają się, akurat kiedy okrążamy narożnik za szarym budynkiem.

- Proszę na chwilę zwolnić - mówię do kierowcy, gdy tylko zielony samochód znika mi z oczu. Wiem, że już za chwilę nas dogoni, a pasażer przemykający się między stojącymi pojazdami dotrze tu jeszcze szybciej. Mam tylko parę sekund. Daję kierowcy kolejny banknot. Tym razem dziesiętkę, bo nie mam już dwudziestek.

Potrząsa głową, ale zwalnia. Otwieram drzwiczki i skulony wyskakuję w biegu. - Teraz naprzód! - wołam, zatraskując drzwiczki.

Nie muszę mu dwa razy powtarzać.

Kiedy taksówka okrąża następny narożnik, ja już pędzę w głąb wąskiej alejki oddzielającej budynek mojej dawnej firmy od starej rezydencji, w której teraz mieści się jakiś prywatny instytut. Alejka kończy się ślepo przy tylnym wejściu do budynku. Całego terenu strzegą kamery będące już w nienajlepszym stanie. Kucam szybko za ponurym, zielonym pojemnikiem na śmieci, akurat gdy mój tropiciel przebiega obok wylotu alejki. Oczy mi

się rozszerzają i staram się powstrzymać ogarniające mnie od środka drżenie. Czekam, gdyż mam przecucie, że to jeszcze nie koniec. Patrzę na zegarek. Mijają trzy minuty. Cztery. Alejka cuchnie śmieciami i moczem. Teraz dopiero zauważam, że mam towarzystwo - koło rampy załadowniczej biurowca śpi bezdomny mężczyzna obstawiony plastikowymi torbami zawierającymi cały jego dobytek. Dalej obserwuję ulicę. W końcu widzę, jak przejeżdża zielony samochód. Porusza się bardzo powoli, gdyż jego niewidzialny kierowca sprawdza zapewne wejścia i żywopłoty... oraz alejki. Zastanawiam się, dlaczego nie ścigają taksówki. Widocznie widzieli, jak wysiadam. Chowam się głębiej w cień. Zielony samochód zniknął. Nadal czekam. Moją uwagę przyciąga ruch na wierzchu pojemnika na śmieci, ale to tylko wyliniały czarny kot obgryza coś obrzydliwego. Nie jestem przesądny, przynajmniej tak mi się wydaje. Czekam. Bezdomny mamrocze i wydaje z siebie pijackie pochrapywanie, które pamiętam z czasów, gdy ojciec zamykał się na klucz w swoim gabinecie. Mija dziesięć minut. Potem parę kolejnych. Zgodnie z przewidywaniami ponownie mija mnie pasażer zielonego samochodu, najwyraźniej po obejściu całego kwartału. Pojawia się też znowu sam samochód. Drzwi się otwierają. Wywiązuje się dyskusja. Pasażer wskazuje ręką mniej więcej w kierunku mojej kryjówki, po czym wzrusza ramionami i wsiada. Samochód odjeżdża. Ja jednak nadal czekam. Odczekuję w tej alejce jeszcze dobre pół godziny, po czym wyslizguję się z niej i przyłączam do strumienia przechodniów. Po chwili zastanowienia wracam i wciskam dziesięciodolarowy banknot w kieszeń bezdomnego.

Kolejna spleta poczucia winy.

Po wyjściu na chodnik przecinam Massachusetts Avenue i szybko ruszam ku Dupont Circle, gdzie zatrzymuję się na chwilę przy kamiennych stołach z szachownicami. Udaję, że obserwuję grę, ale w istocie rozglądam się, czy nie zobaczę gdzieś zielonego samochodu lub jego pasażera. Przechodzę od jednego stolika do drugiego i przyglądam się pozycjom figur. Gracze reprezentują niezwykle mieszaninę ras, języków i wieku. Niewielu z nich jest naprawdę dobrych, ale w zasadzie skąd mogą wiedzieć - nie poświęcam ich grze zbyt wiele uwagi. Jakiś zwariowany staruszek krzyczy na młodszą od siebie kobietę, która przed chwilą go pokonała. Kobieta, przypominająca klientki korzystające z bezpłatnej jadłodajni, ma siatkę na włosach i okulary sklejone na skroniach plastrem. Teraz wskazuje drżącym palcem pokonanego przeciwnika. Ten odtrąca palec, odsłaniając brązowe zęby. Gapie opowiadają się po jednej lub drugiej stronie. Widzowie odchodzą od innych gier, a tłum wokół kamiennego stolika robi coraz więcej hałasu. Prawnicy z telefonami komórkowymi przy paskach mieszają się ze szczupłymi posłańcami na rowerach, gdyż każdy stara się zająć jak najlepsze miejsce przed spodziewaną walką. Zanurzam się w tym tłumie, usiłując patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie. Nie pamiętam już, kiedy

wszystkie moje zmysły były tak czujne i chłonne. Nawet nie odczuwam strachu. Jestem wręcz radosny. Kolory najmniejszych nawet gałązek na okolicznych drzewach są tak ostre i wyraźne, że mogę niemal wdychać ich odcinienie. Mam wrażenie, że potrafię przyjrzeć się twarzy każdej z setek osób, które bezustannie przewijają się przez park. Mija kolejne pół godziny. Ani śladu zielonego samochodu lub jego pasażera. Czterdzieści pięć minut. W końcu opuszczam to miejsce i ruszam na północ w kierunku hotelu Hilton.

Potem zmieniam zamiar. Najpierw muszę się udać w inne miejsce, gdyż pozostało mi jeszcze kilka pytań i wiem, komu je zadać. Szukam banku. Znajduję bankomat i wypłacam następną setkę. Jakoś to wyjaśnię Kimmer. Znajduję telefon i przeprowadzam szybką rozmowę. Potem zatrzymuję kolejną taksówkę i wyjaśniam kierowcy, dokąd jedziemy.

Mijamy Hilton, skręcamy w Columbia Road i przejeżdżamy przez hałaśliwą, kolorową i etnicznie różnorodną dzielnicę Adams-Morgan, gdzie po skończeniu szkoły prawniczej mieszkałem przez kilka lat w małym mieszkanku w budynku bez windy. Cały mój dobytek składał się wówczas z książek i kompletu szachów oraz zwykłego materaca na podłodze, a żywiłem się głównie sokiem jabłkowym i jamajskimi pasztecikami mięsnymi kupowanymi w pobliskim sklepie. W końcu po naleganiach Kimmer przeprowadziłem się do znacznie droższej siedziby w okropnym nowoczesnym budynku położonym bliżej centrum na Connecticut Avenue. Siedząc na tylnym siedzeniu mojej czwartej tego dnia taksówki, potrząsam smutno głową, ponieważ wówczas, gdy Kimmer narzekała na moje mieszkanie, była jeszcze żoną André Conwaya. Teraz roztkliwiam się, gdy taksówka mija mój dawny budynek. Docieramy do Sixteenth Street i skręcamy na północ, kierując się ku samemu sercu Złotego Wybrzeża. Przez całą drogę rozglądam się, czy nie dostrzegę gdzieś zielonego samochodu lub pasażera, który ścigał mnie na piechotę.

Bardzo znajomego pasażera. Pasażera z moich snów.

Kobiety z toru wrotkowego.

ROZDZIAŁ 22

Rozmowa z pułkownikiem

(I)

Vera i Pułkownik byli zaskoczeni, kiedy do nich zadzwoniłem. Nic dziwnego, skoro od dziesięciu lat ponawiają zaproszenia, a ja prawie nigdy do nich nie wpadam, gdy jestem w Waszyngtonie w sprawach zawodowych. Ich skromny dom na Sixteenth Street znajduje się w samym środku Złotego Wybrzeża, natomiast dom Sędziego, należący teraz do Mariah, położony jest na granicy z jaśniejszą nacją, podobnie jak była kariera publiczna ojca.

Teściowie witają mnie wylewnie, zamykając nawet psa na podwórzu, gdyż wiedzą, że cierpię na alergię. Ojciec Kimmer ma mi to zresztą za złe, gdyż dla niego jest to dowód braku męskiej twardości. Sądząc po liczbie wymienionych uścisków, jestem tu mile widziany. Jednak natychmiast przypominam sobie chłodne Święto Dziękczynienia sprzed dwóch tygodni oraz skłonność Madisonów do nagłych zmian nastroju. Wprowadzają mnie do małego pokoju rodzinnego na tyłach domu, przerobionego z ogrodu zimowego. Jego wystrój to głównie przytłaczająca mieszanina zdjęć, tanich upominków z portów na całym świecie oraz pochwał otrzymanych przez Pułkownika, gdy był dowódcą swoich ludzi, jak sam siebie lubi nazywać. Vera podaje ser i krakersy, po czym pyta, czego się napijemy. Pułkownik krzywi się na widok półmiska i wysyła ją do kuchni po orzeszki.

Na półkach umieszczono serie zdjęć Kimmer i jej siostry Lindy - urzędowo Marilyn - od niemowlęctwa do czasów obecnych. Nawet na fotografiach z okresu, gdy dopiero wchodziły w wiek nastu lat, w oczach tęższej Kimmer widać zaczepność, podczas gdy smukła Lindy już wtedy była bardziej zamknięta w sobie. Madisonowie, podobnie jak całe nasze środowisko, byli zawsze zdumieni, że najwyraźniej wolę Kimmer. Oczywiście pamiętają, że umawiałem się z obydwojma ich córkami, lecz nie wiedzą, że tylko Kimmer odwzajemniała moje uczucia.

Vera wraca z orzeszkami i naszymi drinkami.

Siedzimy w otoczeniu bibelotów i perkali, udając że doskonale się bawimy, przy czym Madisonowie są równie zdenerwowani jak ja.

Pułkownik pije czystą szkocką, a jego cygaro tli się na popielniczce ukradzionej podczas jakiegoś rejsu - gdyż oni stale gdzieś pływają. Vera sączy białe wino, a ja, jak zwykle, piwo imbirowe. Zawsze mam problem, jak roz-

począć rozmowę z teściami, gdyż pod wpływem ich sceptycznych spojrzeń i ciągłego narzekania zaczynam się zastanawiać, czy to mnie obwiniają o rozpad małżeństwa ich córki z André Conwayem. Być może sądzą, że gdyby nie niegodziwy i przebiegły Talcott Garland, to Kimmer nadal byłaby wierną żoną André, a oni mieliby zięcia, który tworzy filmy i stale występuje w telewizji, zamiast profesora prawa, który nieustannie przesiaduje w swoim gabinecie. Teraz zadają parę pytań na temat córki, ale jest to drażliwy temat, więc szybko go porzucamy. Pułkownik interesuje się, jak obecnie wygląda rynek nieruchomości w Elm Harbor, gdyż słyszał, że spekulanci wykupują tam zrujnowane działki, i zastanawia się, czy powinien w to wejść. Miles Madison jest właścicielem opuszczonych domów w połowie miast Wschodniego Wybrzeża, gdyby wierzyć jego słowom, i czeka, kiedy ceny nieruchomości pójdą w górę. W niektórych miejscach już to nastąpiło. Kimmer zawsze z uporem wyjaśnia, że jej ojciec nie jest właścicielem slumsów, gdyż w jego domach nie ma lokatorów.

Po wyczerpaniu tematu nieruchomości w Elm Harbor Vera, jako doskonała gospodyni, zadaje kilka uprzejmych pytań na temat mojej szkoły prawniczej. Oczywiście, często widuje w telewizji Lemastera Carlyle'a i jest ciekawa, jaki on jest. Irytuje mnie to, ale odpowiadam równie uprzejmie. Potem przychodzi pora na temat cudownego Bentleya, którym moi teściowie zawsze się zachwycają, gdyż Lindy, w młodości ulubienica Złotego Wybrzeża, nie dała im jeszcze wnuka. Jej małżeństwo dawno się rozpadło i Lindy jest teraz kolejną niezamężną, czarną kobietą około czterdziestki, czekającą na cud. Jest to sytuacja bardzo częsta wśród ciemniejszej nacji, gdyż małżeństwa z białymi kobietami, przemoc, wyroki więzienia, narkotyki i choroby dziesiątkują szeregi kandydatów na mężów.

W końcu nadchodzi pora, by przejść do sedna, a Vera potrafi rozpoznać, do kogo mam sprawę. - Zostawię was, mężczyzn, samych - mruczy i wychodzi. Zawsze podporządkowuje się mężowi, chociaż pod innymi względami bardzo przypomina Kimmer i nie jest skłonna do usuwania się w cień.

- Zatem, Talcotcie - odzywa się zachęcająco Pułkownik, wymachując kubańskim cygarem trzymanym w grubej dłoni. Mnie też proponował, ale odmówiłem. Nigdy nie palę, nie piję i nie przeklinam, co w oczach Pułkownika uchodzi za brak męskości. Jego pozbawiona włosów czaszka błyszczy w świetle. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Waham się przez chwilę i nie wiedząc dlaczego powracam myślą do swojej ucieczki wokół Dupont Cicle. Przez chwilę zastanawiam się niemądrze, czy kobieta z toru wrotkowego nie kryje się czasem w krzewach pod oknem, wyposażona w mikrofon kierunkowy, który umożliwi jej usłyszenie naszych głosów. Zmuszam się do skupienia się z powrotem na wnętrzu pokoju i spojrzenia w oczy Pułkownikowi.

- Mój ojciec miał broń - oznajmiam mu beznamiętnie. Jego żółtawe

oczy rozszerzają się lekko, a dłoń z cygarem zaczyna wykonywać jeszcze dziwniejsze ruchy, ale poza tym nie widać żadnej reakcji. Zatem ciągnę dalej - Sprawdziłem... dowiedziałem się, że broń można łatwo kupić w Wirginii.

- To prawda. Sam kupiłem kilka sztuk.

- No, właśnie, o to mi chodzi. Nie sądzę, żeby ojciec to zrobił.

- Nie sądzisz.

- Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić mojego ojca prześlizgującego się późną nocą przez Memorial Bridge z nielegalnym rewolwerem ukrytym w bagażniku. Po prostu... jakoś to do niego nie pasuje.

Lekki uśmiech marszczy pulchną twarz pułkownika. Dopija swoją szkoczką, rozgląda się za żoną, żeby przygotowała mu nowego drinka, po czym przypomina sobie, że wyszła i sam podchodzi do barku. Macha w moją stronę butelką piwa imbirowego, ale potrząsam odmownie głową. - Zapewne masz rację - mruzczy, wracając na swoją sofę.

- Nie chodzi mi o to, że nie mógłby mieć nielegalnej broni. Rzecz raczej w tym, że nie ryzykowałby, iż zostanie złapany.

- Hmm.

- Natomiast pan ma sporą kolekcję broni tam w piwnicy.

- Tak, niezłą - zgadza się mój gospodarz, który wielokrotnie i bezskutecznie usiłował zainteresować mnie swoim hobby.

- W związku z tym sądzę, że jeśli mój ojciec potrzebował broni, to mógłby przyjść pożyczyć coś od pana.

Uśmiech Pułkownika się pogłębia. - Też bym tak sądził.

W końcu wyrzucam to z siebie: - No, więc zastanawiałem się... kiedy dokładnie poprosił pana o broń i czy wyjaśnił, do czego mu była potrzebna.

Pułkownik poprawia się na swoim siedzeniu. Spokojnie pali cygaro, wydmuchuje kilka kółek, na szczęście nie w moim kierunku. - Myślę, że to było... jakiś rok temu. Może trochę więcej. Powiedzmy w ubiegłym październiku, bo akurat wróciliśmy z... z... - Odwraca lekko głowę i woła: - Vera! Gdzie byliście ostatnio w październiku?

- W St. Lucia! - odrzykuje Vera z sąsiedniego pokoju, skąd dochodzi również dźwięk telewizora. Z upływem lat jamajski akcent Vera stał się znacznie słabszy, natomiast u Pułkownika jest zupełnie nie do wykrycia.

- Nie w tym roku, tylko w zeszłym.

- Na Południowym Pacyfiku.

- Dzięki, aleczko. - Uśmiecha się z zakłopotaniem. - Moje szare komórki nie pracują już tak, jak kiedyś. Tak, wróciliśmy wtedy z Południowego Pacyfiku. Chyba nawet zapraszaliśmy was wtedy, żebyście z nami pojechali...

- Nie.

- Nie? No, to może Marilyn. Ale mógłbym przysiąc, że dzwonił do Kimberly. Czy nie miałaś wówczas urlopu? Sądziliśmy, że będziesz miał

wolne. - Wyjaśnienie nasuwa mu się w tym samym momencie, co mnie. Po prostu zaprosili Kimmer, a ona odmówiła, nawet mnie o tym nie informując. Być może nawet ich okłamała, mówiąc, że to ja nie chcę jechać. Dla Kimmer takie dwa tygodnie zamknięcia na statku z ojcem, matką i mężem byłyby odpowiednikiem piekła na ziemi. Pułkownik próbuje szybko zamaskować gafę. - No, więc, byliśmy w domu od czterech, pięciu dni, kiedy zadzwonił Oliver. Przyjechał w nocy, usiadł dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ty teraz siedzisz i zapytał, czy może ze mną porozmawiać w cztery oczy. Ponieważ nie miał zwyczaju owijać niczego w bawełnę - spogląda na mnie, jakby sugerował, że ja mam - wyjaśnił mi, o co mu chodzi.

- A co dokładnie powiedział?

- Powiedział, że jest już w takim wieku, iż zaczyna się trochę martwić o swoje bezpieczeństwo, więc czy mógłbym mu pomóc.

- Bezpieczeństwo? Jego własne bezpieczeństwo?

Pułkownik potakuje ruchem głowy, wydmuchując kolejne kółka. Zwracam się do niego dość obcesowo, odruchowo powracając do sposobu zachowania z czasów, gdy uczestniczyłem w procesach. Najwyraźniej tego się nie zapomina, podobnie jak jazdy na rowerze. Jednak Pułkownikowi wcale to nie przeszkadza. Jego małe oczy błyszczą i widać, że dobrze się bawi. - Takie odniosłem wrażenie. Był wówczas jakby... - nagle się obraca, tak że światło odbija się teraz pod innym kątem od jego głowy. - Vera! Hej, Vero!

Vera natychmiast pojawia się w pokoju, trzymając dłonie splecione na wysokości pasa. Zapewne podsłuchiwała z sąsiadującej z pokojem wnęki.

- Tak, mój drogi?

- To diabelne cygaro jest do niczego. Bądź kochana, pójdz na dół do mojego biurka i przynieś mi inne.

- Oczywiście, kochanie. - Natychmiast rusza ku schodom do piwnicy, a ja po raz tysięczny widzę, przeciw czemu buntowała się Kimmer. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że z cygarem jest wszystko w porządku. To tylko pretekst, żeby się oddaliła.

- Co za laleczka - mruczy Pułkownik, patrząc, jak odchodzi. - Jesteś kochana! - woła za nią, jednak ona jest już poza zasięgiem jego głosu, o co właśnie mu chodziło. Pochyliła się ku mnie, nagle bardzo rzeczowy.

- Posłuchaj, Talcotcie, nie wiem, o co, u diabła, wtedy chodziło. Jednak nigdy wcześniej nie widziałem twojego ojca wystraszonego, a znam go... przepraszam, znałem go od dwudziestu lat. Wówczas jednak był biały jak papier, przepraszam za wyrażenie. Nie powiedział mi, do czego mu broń, tylko że jest mu potrzebna jak najszybciej.

- Dał mu ją pan? Nie zadawał pan żadnych pytań?

- Zadałem mnóstwo pytań, tyle że na żadne nie odpowiedział. - Parska rubasznym śmiechem. Przedtem miał do czynienia z prostytutkami. Potem ponownie przybiera poważny ton. - Posłuchaj, Talcotcie. Widziałem go,

zanim wyruszyliśmy na rejs i wówczas zachowywał się normalnie. Potem ujrzałem go po powrocie i był... do diabła, był przerażony.

Usiłuję sobie wyobrazić przerażonego Sędziego. Nie potrafię.

Miles Madison kontynuuje, niskim i pewnym głosem. - Zatem cokolwiek go przerażyło, musiało to mieć miejsce podczas naszej nieobecności. Mówię o poprzednim październiku, mniej więcej na rok przed jego śmiercią, i musiało go to diabelnie przerazić. Jeśli uda ci się odkryć, co wówczas zaszło, będziesz wiedział, do czego była mu potrzebna broń. - Gwałtownie odwraca głowę, gdyż jest nienaturalnie czujny, tak jak musiał być w czasach służby. - Vera! Dziękuję za cygaretkę, kochanie!

- Według mnie to, które masz, jest zupełnie dobre - podkreśla Vera, opróżniając popielniczkę do kosza ozdobionego mapą Karaibów.

Uśmiecha się do niej z zakłopotaniem. - Ten przeklęty import. Żadnej kontroli jakości. - Obraca się z powrotem do mnie i mruga. - Talcott i ja robiliśmy akurat przyjacielski zakład o grę w bilard.

Tyle, że nikt nie pokona Pułkownika w bilardzie, gdyż ma zwyczaj oszukiwać.

(II)

Vera i Pułkownik kończą rozmowę zaproszeniem na obiad. Najchętniej bym się wymówił, ale odrzucenie ich gościnności byłoby niegrzeczne. W ten sposób, zanim wróciłem do hotelu, minęły niemal cztery godziny. Jest prawie ósma, a ulice Waszyngtonu zasnęły już późnojesienny mrok. Straciłem ostatni dzień konferencji, lecz jestem pewien, że nikt nie zauważył mojej nieobecności.

Westybul jest zatłoczony przedstawicielami ciemniejszej nacji, w większości w strojach wieczorowych. Mężczyźni w czarnych smokingach z jasnymi, odróżniającymi się pasami, a kobiety w błyszczących sukniach o różnych długościach. Prześlizgują się ruchomymi schodami w górę i w dół, przybierając różne pozy przed nieistniejącymi kamerami. Piękni ludzie! U nikogo nie widać ani grama zbędnego tłuszczu. Lakierki wspaniale błyszczą. Każdy włos na głowie znajduje się dokładnie na swoim miejscu. Każdy nos jest uniesiony w górę. To ludzie pokroju moich rodziców. I Madisonów.

Zastanawiam się, z jakiej okazji się tu zgromadzili. W zwykłym, szarym garniturze, przepełnionym po biegu i późniejszym długim spacerze, czuję się tu zupełnie nie na miejscu, zupełnie jakbym egzystował na o wiele niższym poziomie niż ten promienny tłum. Sądząc po sceptycznych spojrzeniach rzuconych w moim kierunku przez niektórych obecnych w westybulu, oni myślą podobnie: ten rozczochrany mężczyzna przemykający się ukradkiem w szarym garniturze nie jest, jak mawiała w dawnych czasach matka, „na-

szym” rodzajem Murzyna. Chociaż zgodnie z absurdalnym amerykańskim systemem zaliczania do poszczególnych ras, wszyscy ci eleganci zostaliby uznani za czarnych, to skóra większości z nich jest tak jasna, że przeszliby test papierowej torby. Pamiętam jak Mariah wpadła w słuszny gniew, kiedy go nie przeszła w czasie studiów. *Jeśli twoja skóra jest choć odrobinę ciemniejsza od tej papierowej torby, nie możesz należeć do naszego stowarzyszenia.* Teraz już chyba wyszedł z użycia. Och, ale z nas chorzy ludzie! Nie spodziewanie dają się ponieść dawno pogrzebanym uczuciom, które teraz znajdują ujście, wypływając z jakiegoś zatrutego źródła w moim wnętrzu. Czuję przyływ zimnej, brutalnej nienawiści do sposobu życia moich rodziców, do ich ekskluzywnego kółka towarzyskiego oraz zazwyczaj okrutnych, pochopnych sądów o wszystkich, którzy do niego nie należeli. Nienawidzę też siebie za wszystkie te sytuacje, gdy odpowiadałem na ich poniżające pytania o to, gdzie mój przyjaciel chodził do szkoły, kim są jego rodzice, a nawet czasem, jakie szkoły kończyli *rodzice*. Addison, kiedy podrośł, zaczął udzielać rodzicom impertynentnych odpowiedzi, na co Mariah i ja nie potrafiliśmy się zdobyć. Być może dzięki temu wywalczył sobie niezależność, a my ją utraciliśmy. Przez chwilę westybul wiruje wokół mnie, cały zabarwiony na czerwono, a ja się zastanawiam, jak w czasach swojego studenckiego nacjonalizmu, kto właściwie jest naszym wrogiem. Wówczas ci z nas, którzy uważali się za awangardę bojowników o lepszą przyszłość, potrafili przesiedzieć pół nocy, przeklinając czarnych burżujów. E. Franklin Frazier miał rację: postrzegam swojego ojca i jego chłodne rozbawienie „pozostałymi Murzynami” oraz matkę i jej stowarzyszenia i kluby jako ciemnoskórą imitację białego społeczeństwa, w skrajnych przypadkach nawet naśladowującą jego rasistowskie postawy. Jestem tak oszołomiony wizją gniewnie pulsującą w moim mózgu, że przez chwilę nie potrafię się poruszyć, odezwać ani zrobić nic innego, poza obserwowaniem tych pięknych ludzi kręcących się wokół mnie.

I nagle ta część mnie, która była skłonna akceptować napuszoną chwilami mądrość Sędziego, odzyskuje pewność siebie. Takie myśli, upominam siebie samego, są niegodne i niezupełnie sprawiedliwe, a ponadto tylko odrywają moją uwagę od znacznie poważniejszych problemów. Robię zatem wszystko, żeby je stłumić.

Przynajmniej na razie.

Wciągając brzuch, przeciskam się chyłkiem przez westybul ze wzrokiem utkwionym w windach. Jednak chwilami niemal automatycznie przebiegam spojrzeniem po radosnym tłumie, sprawdzając, czy nie dostrzegę gdzieś kobiety z toru wrotkowego lub partnera zmarłego Colina Scotta, zaginionego Foremana. Ciekaw jestem, dlaczego ta kobieta mnie śledziła. Zastanawiam się, dlaczego tak uparcie mnie poszukiwała, a także dlaczego ja natchmiał postanowiłem uciekać. W pewnym momencie odczuwałem bar-

dzo silną pokusę, żeby wyskoczyć z kryjówki i stanąć z nią twarzą w twarz, gdyż nie wierzyłem i nadal nie wierzę, żeby chciała mi wyrządzić krzywdę. Być może sam się oszukuję. Stale widzę jej twarz - ale nie tą wykrzywioną gniewem po daremnych poszukiwaniach, lecz kokieteryjną, rozjaśnioną twarz z naszego pierwszego spotkania. Potrząsam głową. Wszystkie te rozważania do niczego nie prowadzą.

Podobnie jak zastanawianie się, co tak przeraziło Sędziego, że postanowił zaopatrzyć się w broń.

W pobliżu sklepu z upominkami dostrzegam dwóch profesorów prawa z mojej konferencji, przedstawiciele jaśniejszej nacji, którzy najwyraźniej czują się nieswojo w tweedach i flanelowych koszulach, gdy obserwują to czarne zgromadzenie. Machają do mnie z wyraźną ulgą, że widzą przyjazną twarz w westybulu kojarzącym się teraz raczej z pokazem mody. Odwzajemniam ich uśmiechy, ale postanawiam nie podchodzić na cowieczorną pogawędkę, gdyż miałbym uczucie, że odrzucam swoich. Pójdę prosto na górę i pogram w szachy na laptopie, dopóki nie poczuję się śpiący. W taki sposób spędzam większość wieczorów poza domem i wiele w domu. Kluczę zatem pomiędzy rozbawionymi ludźmi, starając się na nikogo nie wpaść, i od czasu do czasu kiwam głową w kierunku mgliście znajomej twarzy. Docieram już niemal do wind, gdy od jednej ze śmiejących się grupek odrywa się przyjemnie zaokrąglona figurka ubrana w nieprzyzwoicie ciasną, fioletową suknię i zdecydowanym krokiem rusza w moim kierunku.

- Tal! Nie miałam pojęcia, że jesteś w mieście!

Z niedowierzaniem patrzę na niespodziewanie materializującą się przede mną Sarah Catherine Stillman z domu Garland.

- Sally? Co ty tu robisz?

- Co ja tu robię? - Kuzynka Sally chichocze, poklepuje mnie po policzku i chwyta oburącz moją dłoń. Wnętrze dłoni ma wilgotne, a oczy dziwnie jej błyszczą od substancji, której nadużywa w tym tygodniu. Włosy ma uczesane w długie, ozdobione koralikami warkocze, niektóre czarne, inne brązowe, a większość sztuczna. - *Ja* przyszedłam tu na przyjęcie połączone ze zbieraniem funduszy. Jednak bardziej interesujące jest, co *ty* tu robisz. I gdzie u diabła jest twój smoking? - Stuka w moją wełnianą marynarkę z udawaną dezaprobatą.

- Nie przyszedłem na przyjęcie. Jestem tu na konferencji na temat reformy prawa deliktowego. - Plotę, co mi ślina na język przyniesie, ale nie potrafię się powstrzymać. - To tylko gromadka profesorów prawa. Wczoraj miałem odczyt. - Macham niezdecydowanie w kierunku schodów prowadzących do sali, gdzie odbywała się konferencja. Jestem pewien, że Sally nie ma pojęcia, o czym mówię.

Rzeczywiście przygląda mi się badawczo błyszczącymi, wilgotnymi oczyma. - Czy z tobą wszystko w porządku, Talcotcie? Nie wyglądasz naj-

piej.

- Nic mi nie jest. Słuchaj, Sally, cieszę się, że cię spotkałem, ale muszę już iść.

Czekam na jej odpowiedź przez chwilę, która wydaje mi się wiecznością. Kiedy się wreszcie odzywa, okazuje się, że nie zwróciła uwagi na moją próbę uwolnienia się od niej, gdyż ma własną wiadomość do przekazania. - Tak się cieszę, że się spotkaliśmy, bo chciałam już do ciebie dzwonić. - Wspina się na palce, co nie jest łatwe przy wysokości jej obcasów i szeptem mi do ucha: - Tal, posłuchaj. Muszę z tobą porozmawiać o tym, gdzie widziałam przedtem agenta McDermotta.

Po wydarzeniach kilku ostatnich godzin potrzebuję paru dobrych chwil, żeby przypomnieć sobie, że McDermott to nazwisko, którym posługiwał się nieżyjący już Colin Scott oraz że Sally wspominała, że go zna, tego dnia, gdy go poznałem.

Nagle mam już dość wszelkich teorii. Ojciec umiera, ale zostawia dla mnie wiadomość, moja żona robi Bóg wie co, a mnie śledzi tajemnicza kobieta, która była na Vineyard, gdy utonął tam Scott/McDermott. Ludzki umysł, szczególnie w stresie, potrafi przyswoić tylko określoną liczbę informacji. Moja pojemność została już przekroczona.

- Doceniam to, Sally, ale nie sądzę*, aby to był czas lub miejsce...

Przerywa mi, łaskocząc mnie w policzek przesyconym winem oddechem.

- Widziałam go w tamtym domu, Tal. Na Shepard Street. Całe lata temu. - Pauza. - *On znalazł twój ojca.*

ROZDZIAŁ 23

Niejednoznaczna postać

(I)

- To było latem - zaczyna Sally, popijając piwo wzięte z barku w pokoju hotelowym. Najchętniej dałbym jej wody lub kawy, ale przeciwstawianie się twardym kobietom nigdy nie było moją mocną stroną. - Może rok lub dwa po śmierci Abby. Mariah była wtedy w college'u. Ty być może też, ale nie pamiętam. Jednak wiem, gdzie go widziałam. Tego jestem pewna.

Czekam, kiedy moja kuzynka opowie wreszcie swoją historię. W tej chwili pólleży na jednym z podwójnych łóżek w moim pokoju. Ja siedzę przy mikroskopijnym biurku, obróciwszy fotelik w jej kierunku. Zdażyliśmy już zamówić kolację do pokoju, gdyż Sally oznajmiła, że przez cały dzień nie miała nic w ustach. Wolałbym nie spotykać się z nią w swoim pokoju - ma ona bądź co bądź pewną reputację - ale jedno spojrzenie na nią wystarczyło mi, by stwierdzić, że nie może siedzieć w miejscu publicznym. Mimo wszystko najpierw spróbowałem rozmaitych wymówek, żeby się od niej uwolnić, ale Sally wszystkie zbywała. Czekasz na mnie mnóstwo pracy? *Och, to nie zajmie wiele czasu.* Jej dzieci? *Och, zostawiłam je na kilka dni u mamy.* A wiecznie zazdrosny Bud? *Teraz już tak często ze mną nie przebywa.* Zatem przyszedliśmy do mojego pokoju, gdzie moja stanowcza kuzynka, krzykliwie ubrana w za krótką o kilkanaście centymetrów sukienkę, natchmiast zrzuciła buty i zażądała drinka.

Jeśli chcesz usłyszeć tę historię, to nie mam innego wyjścia, niż spełnić jej zachciankę.

- To było w waszym domu - mówi - na Shepard Street. Była noc, a ja spałam. Spałam dopóki... dopóki nie obudziły mnie odgłosy kłótni.

- A gdzie ja byłam?

- Prawdopodobnie na Vineyard. Razem z mamą. Mariah chyba też. Ale ojca i Addisona z wami nie było. Dlatego nocowałam wtedy w waszym domu. Byłam z Addisonem. - Sally ma bardzo ciemną skórę, ale i tak się rumieni. Leżąc na łóżku, obraca się tak, by się ode mnie odsunąć, jakby łatwiej jej było opowiadać, gdy może udawać, że jest sama. Zaraz też wtrąca dygresję, w której winowajcą jest Misha: - Wiem, że to, co robiliśmy z Addisonem, było złe, więc nie musisz mi tego mówić. To już skończone, w porządku? To już skończone na zawsze. Wiem, że nigdy tego nie pochwalaleś. Stale

mi to dawałeś do zrozumienia. Och, nigdy mi tego nie powiedziałeś wprost, ale zawsze byłeś w rodzinie... no, kimś takim, jak twój ojciec. Miałeś te swoje zasady i tak dalej, a kiedy ktoś się do nich nie stosował, nie złościłeś się, tylko przybierałeś ten pełen dezaprobaty wyraz twarzy. Zupełnie jakby wszyscy byli moralnie gorsi od ciebie. *Nienawidzę* tej twojej miny. Wszyscy jej nienawidzą, twój brat, twoja siostra, wszyscy. - Ledwo się powstrzymuję, żeby czegoś nie powiedzieć, ale przypominam sobie, że Sally prawdopodobnie coś zażyła i nie jest całkowicie sobą. Wcale to jednak nie łagodzi bólu, jaki sprawiają jej słowa.

- Mój tata też tego nie znosił - ciągnie. - Twój wujek Derek - wyjaśnia, zupełnie jakbym miał wątpliwości, kto był jej ojcem. - Nie znosił, kiedy wujek Oliver tak na niego patrzył, a zdarzało się to bardzo często. Bo wiesz, wujek Oliver nie znosił poglądów politycznych mojego taty. On myślał, że tata jest komunistą.

Po raz drugi usiłuję coś wtrącić. - Sally, twój tata *był* komunistą.

- Wiem, wiem, ale jak to było w tym starym kawale? W jego ustach brzmiało to tak nieprzyzwoicie. - Śmieje się skrzekliwie, powtarzając te słowa, chociaż to z pewnością nie jest cały żart, a po chwili nagle zaczyna płakać. To, co zażyła, najwyraźniej powoduje nagle zmiany nastrojów. A może niczego nie brała, tylko po prostu jest nieszczęśliwa. W każdym razie pozwałam jej się wypłakać, gdyż nie znajduję słów, które mogłyby ją pocieszyć, a objęcie jej, gdy leży na łóżku, w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Widzisz, Tal - kontynuuje po kilku minutach - ty sądzisz, że świat składa się z kilku prostych zasad moralnych. Wydaje ci się, że są tylko dwa rodzaje ludzi. Tacy, co przestrzegają zasad, i ci, co je łamią. Sądzisz, że jesteś zupełnie inny niż wujek Oliver, ale w rzeczywistości bardzo go przypominasz. Oczywiście w dobrym sensie, ale w tym najgorszym też. Patrzysz z góry na ludzi, których uważasz za moralnie gorszych od siebie. Ludzi pokroju twojego brata. Ludzi takich jak ja.

Teraz przypominam sobie, dlaczego Kimmer i ja nie utrzymujemy z Sally kontaktów towarzyskich - trzeba znieść dziesięć minut jej obraźliwych uwag, zanim można normalnie porozmawiać. Zatem zaciskam zęby i nic nie mówię, tłumacząc sobie, że moja kuzynka nie czuje się dobrze.

Poza tym prawdopodobnie ma słuszność.

- No, w każdym razie dlatego właśnie nie powiedziałam ci wcześniej. To znaczy o McDermotcie. Udawałam, że nie pamiętam, ale to nie była prawda. Poznałam go natychmiast, jak tylko go zobaczyłam. Pewnie powinienam coś wtedy powiedzieć, ale wiedziałam, że musiałabym wyjaśniać, dlaczego byłam w waszym domu tamtej nocy, a nie chciałam zobaczyć tego wyrazu dezaprobaty. - Obraca się do mnie na chwilę, żeby mi rzucić przeciągle spojrzenie, a ja rozmyślam, jak wiara w dobro i zło może zakłócić porozumiewanie się dwóch osób. - Widzisz, Tal, dlatego właśnie musieliśmy

zawsze przemykać się chyłkiem, bo ludzie tacy jak ty i wujek Oliver...

Urywa i przechodzi ją dreszcz. Czyżby znów płakała? Nie, to wspomnienie, którego woli do siebie nie dopuszczać.

- To stara historia - mruczę, próbując skierować jej uwagę na nowe tory. Jeśli Sally liczy na przeprosiny, to źle trafiła, bo nie potrafię udawać, że nie było nic złego w tym, co robili z Addisonem.

Sally wie, o czym myślę. - Nawet Mariah nie jest taka okropna jak ty, Tal. Wiesz co? Kiedy Mariah jest w Waszyngtonie, zawsze do mnie dzwoni i świetnie się bawimy...

- Mówiła mi, że jej pomagasz przeglądać papiery Sędziego.

Sally prycha. - Tak ci powiedziała? No, tak, czasem to robimy, ale nie o tym mówię. Chodzi mi o to, że *dobrze się bawimy*. Rozmawiamy. Ona mnie słucha, Tal. Chodzimy do klubów. Twoja siostra lubi się czasem zabawić, nie tak, jak ty. I nie ocenia mnie przez cały czas, jak ty. Ona przyjmuje ludzi takimi, jacy są. No, więc dlatego ci nie powiedziałam, Talcotcie. Przez to, jaki jesteś. I przez to, że wiąże się to też z Addisonem. To znaczy ze mną i Addisonem. Ty jesteś taki sam, jak twój ojciec - powtarza. Słucham jej, ale nie mogę się uwolnić od obrazu mojej siostry w jednym z tych klubów, jakie lubi Sally, *zabawiającej się*. Patrząc na Mariah, nikt by nie powiedział, że jest typem rozrywkowym. Łatwiej ją sobie wyobrazić w roli jedynego czarnego członka klubu jachtowego. Natomiast moja kuzynka mogłaby sama z powodzeniem zastąpić całe towarzystwo.

- Ty nigdy nie potrafiłeś zrozumieć, jak to było z Addisonem - ciągnie Sally podnieconym, rozgniewanym głosem, w którym dźwięczy echo wszystkich złamanych przez życie obietnic. - Nie umiałeś zrozumieć, co nas łączyło. W porządku, to było złe. Ale równocześnie *wyjątkowe* - dodaje, jakbym się z nią sprzeczał. - Byliśmy kochankami. To nie był tylko seks, to była miłość. No, i co, jest to dostatecznie bez osłonek, jak dla ciebie?

Opiera się na łokciach, jej oczy wojowniczo błyszczą. Nagłe zmiany nastroju powodują, że opowiada wszystko, co jej przyjdzie na myśl.

- Ja cię nie osądzam, Sally - kłamię ostrożnie, starając się mówić tak neutralnym tonem, jak to możliwe. - Chciałem tylko wiedzieć, co pamiętasz na temat McDermotta.

- Właśnie, że mnie osądzasz.

- Cieszę się tylko, że to już skończone - zapewniam ją. Jednak zastanawiam się, jak cywilizowany świat może czynić cnotę z tego, żeby nie oceniać, co dobre, a co zle, nie uczyć tego dzieci i nie głosić tego z ambony.

- Wiesz co, Tal? Jesteś fałszywy. Misha. *Mikhail*. Fałszywy. - Śmieje się ochryple. - Mój tata *nadał* ci to przezwisko, jeśli nie pamiętasz, a ty i tak traktujesz jego córkę jak śmieć. - Opada płasko na łóżko, a warkocze tworzą wokół jej głowy hebanową aureolę. Najwyraźniej skończyła swoje przemówienie.

Akurat na ten moment trafia kelner z naszą kolacją. Ponieważ Sally nie ma zamiaru wstać z łóżka, podpisuję rachunek na korytarzu, zasłaniając sobą widok na pokój, i sam wtaczam wózek.

Przez kilka minut jemy w milczeniu - ja zupę pieczarkową i kanapkę klu-bową, Sally koktajl z krewetek i filet z polędwicy wołowej. Zaledwie godzinę temu zjadłem solidny posiłek u teściów, toteż nie powinienem teraz znowu jeść. Zapewne ta skłonność do pobłażania sobie jest przyczyną powiększania się mojego obwodu w pasie. Niewątpliwie jem za dużo, a kiedy jestem zde-nerwowany lub zestresowany, jeszcze trudniej mi się powstrzymać. Przy-pominam w tym, niestety, Marka Twaina, który kiedyś stwierdził, że przy niektórych okazjach je więcej niż przy innych, lecz nigdy mniej. Sally i ja siedzimy na dwóch łóżkach, twarzą do siebie, rozdzieleni stolikiem. Ona je szybko, bez delektowania się, po prostu, żeby zaspokoić potrzebę ciała. Mam wrażenie, że w miarę jedzenia odzyskuje siły, a może kończy się już działanie narkotyku, który zażyła. Niezależnie od przyczyny, kiedy znów się odzywa, jest dawną, zalotną Sally.

- Przepraszam, że zamówiłam najdroższą rzecz z jadłospisu, Tal, ale mężczyźni nie zapraszają mnie już tak często na obiad, toteż nie mogłam sobie odmówić skorzystania z tej okazji.

- Nie ma sprawy.

- Oczywiście, czasem mężczyzna oczekuje czegoś w zamian.

- Jedyne, czego oczekuję, to że opowiesz mi o McDermotcie - odpo-wiadam z kamienną miną.

- Na pewno tylko tego chcesz? - Mówi to z zalotną nieśmiałością, jakby fakt, że je w tajemnicy kolację z mężczyzną w hotelowym pokoju, upoważ-niał ją do niewłaściwych zachowań. - Większość mężczyzn myśli raczej o czym innym.

- Nie jestem taki, jak większość mężczyzn.

- Oj, przestań, Tal. Czy ty nie potrafisz się odprężyć i bawić?

- Tylko we wtorki i w co drugą sobotę.

To przynajmniej naprawdę ją rozbawia. - W porządku - mówi - w takim razie bądźmy przyjaciółmi.

- W porządku.

- Posłuchaj, przykro mi, że naopowiadałam ci takich rzeczy. - Jednak jej głos nie brzmi, jakby jej było przykro. Podwija nogi pod siebie.

- Po prostu nie potrafiłam się dziś opanować. To chyba moja wada, że zawsze mówię, co mi przyjdzie na myśl. Przynajmniej kiedy jestem z męż-czyzną.

- To niekoniecznie jest wada. - Nie podoba mi się jednak użycie przez nią słówka „z”.

- No, nie. Nie, jeśli mężczyźnie odpowiada to, co myślę. - Przez chwilę zastanawia się nad puentą. - A jeśli nie odpowiada? To do diabła z nim.

Śmieje się cichym, śpiewnym śmiechem, a w jej słowach nie słyhać nienuwici. Nie odczuwa niechęci do mężczyzn, chociaż nieraz źle ją potraktowali. Mężczyźni bawią Sally. My ją bawimy. Uświadamiam sobie, że kiedy nie jest w melancholijnym nastroju, przebywanie z nią musi być bardzo zabawne. Zaczynam rozumieć, dlaczego Addison i wielu innych mężczyzn uważali moją pulchną kuzynkę za atrakcyjną. W ubiegłym roku oglądałem w muzeum uniwersyteckim wystawę obrazków, które były tak popularne w początkach dwudziestego wieku - tych, na których widzisz radosnego psa, a kiedy go obrócisz, pojawia się wściekły kot, albo piękna kobieta zamienia się w nieszczęśliwego sułtana i temu podobne. Wystawę zatytułowano „Niejednoznaczne postacie”. Sally przypomina mi właśnie taką niejednoznaczną postać. Na pierwszy rzut oka widzimy szaloną, beznadziejną, żalną kobietę z nadwagą, łykającą prochy. Przy spojrzeniu pod innym kątem przeistacza się ona w śmiałą, pociągającą, bystrą osobę o ciętym dowcipie. W tej chwili patrzę na nią pod tym drugim kątem, a to oznacza, że muszę szybko wprowadzić nieco dyscypliny do naszej rozmowy.

- A jeśli chodzi o McDermotta...

- Tak, panie generale! - Salutuje. - Na rozkaz, panie generale!

Potem w końcu opowiada mi całą historię.

(II)

Zjedliśmy deser - ja sałatkę owocową, Sally tiramisu i wytoczyłem wózek na korytarz. Sally póллеży na łóдке, oparta na łokciu, jednym palcem stopy dotykając dywanu. Ja znów siedzę przy biurku z rękami złożonymi na kolanach i czekam, aż zacznie.

- To było w domu na Shepard Street, tak jak mówiłam. Nie wiem, czy pamiętasz, że mieszkałam wówczas z mamą i tatą w Southeast. Tata pracował w tej małej, prywatnej bibliotece. Pamiętasz.

Rzeczywiście, pamiętam. *Sędzio Garland, czy miał pan świadomość, że biblioteka, w której pracował pana brat, była przykrywką dla działalności komunistycznej!* Odpowiedź brzmiała oczywiście: *Nie, panie senatorze, nie wiedziałem o tym. Brat i ja nie utrzymywaliśmy zbyt bliskich kontaktów.* Przeskok na ton sentymentalny: *To musiało być dla pana bolesne, panie sędzio?* Na to ojciec swoim najzimniejszym, a jednak najbardziej rozbrajającym tonem: *Kochałem swojego brata, senatorze, jednak bardzo wiele nas dzieliło. Komunizm jest okropną, okropną rzeczą, co najmniej tak złą, jak rasizm. Może nawet pod pewnymi względami gorszą. Nie mogłem być częścią jego świata. On nie mógł być częścią mojego. Zapewne nie byłem najlepszym bratem na świecie, ale jest mi bardzo przykro, jeśli zraniłem swego brata. Każdy z nas uważał tego drugiego za dość niebezpiecznego.*

Jednak przyznaję, że specjalnie się nad tym nie zastanawiam. W ten sposób całkowicie zniszczył tę linię przesłuchań.

- Pamiętam - odpowiadam cicho.

- Cóż, w każdym razie w tamtych czasach jeździłam autobusem, chyba \$4, prosto do waszego domu. No, żeby się spotkać z Addisonem. To znaczy, jeśli akurat był w mieście. Nigdy nie przyjeżdżałam, kiedy byli twoi rodzice albo Mariah, albo ty. Staralam się zawsze tak celować, żeby się spotkać z samym Addisonem. - Uśmiecha się z zakłopotaniem. - Prawdę mówiąc, nigdy nie powiedziałam rodzicom, dokąd jeżdżę. Tata był tak samo okropny, jak wujek Garland, to znaczy z tym pełnym dezaprobaty wyrazem twarzy. Chyba wszyscy faceci z waszej rodziny tak się marszczyli. Poza Addisonem.

Zastanawiam się, czy przypomnieć jej, że okazywaliśmy dezaprobatę, ponieważ był ku temu powód. W końcu stosunki seksualne pomiędzy kuzynami w pierwszej linii to kazirodztwo. Jednak Sally zapewne wytknęłaby mi, że w rzeczywistości nie są z Addisonem krewnymi. Mogłaby też przytoczyć przykład Eleanor i Franklina Delano Roosevelta, a ja bym odpowiedział, że wbrew powszechnemu mniemaniu ich związki rodzinne były bardzo odległe, z ostatnim wspólnym przodkiem chyba o pięć pokoleń wstecz. Na to Sally oskarżyłaby mnie, że traktuję ją protekcyjnie i tak coraz bardziej oddalilibyśmy się od tematu.

Poza tym, przecież już przyznała, że to, co robili, było złe.

Mówię zatem: - Czy mógłbym w końcu usłyszeć o McDermocie...

- A ty w kółko o tym samym. - Sally śmieje się i kładzie z powrotem na łóżku, tym razem z kolanami w górze. - Musisz zrozumieć, Tal, że nie byłoby mnie wtedy w tym domu, gdybym wiedziała, że twój ojciec tam będzie. Miałam spotkać się z Addisonem i mieliśmy być sami. Twój tata... miał gdzieś wyjechać. - Zamyka oczy i marszczy czoło. - Ale nie na Vineyard, tylko chyba... chyba na jakiś zjazd sędziów.

- Pewnie Konferencję Sędziowską. Grupa sędziów federalnych. Spotykają się latem. Zapewne był właśnie tam.

Potrząsa przecząco głową. - Może *miał* tam być, może tak powiedział cioci Claire, ale wiem, że *był* tutaj, w Waszyngtonie.

Gryzę się w język. Jeśli Sally mówi prawdę, to przyłapała Sędziego na kłamstwie wobec mamy, a do tej chwili przysięgłbym, że ojciec nigdy matki nie okłamał.

- W każdym razie nie wiedziałam, że twój ojciec jest w mieście. Miałam zobaczyć się z Addisonem. Obydwoje wróciliśmy akurat z college'u, mieliśmy spędzić lato w mieście, a on mieszkał w swoim domu. Ja też. No, i zadzwonił do mnie i powiedział, że wszyscy wyjechali na kilka dni, więc moglibyśmy... moglibyśmy spędzić razem trochę czasu, jeśli chcę. Chciałam.

Kiwam głową i nie odzywam się, ale dostrzegam coś, co się kryje za sło-

wami Sally. To do Addisona należała inicjatywa. Był o rok młodszy od naszej kuzynki, ale od samego początku, nawet na Vineyard, to on był uwodzicielem, a nie, jak głosi legenda rodzinna, ona. Prawdopodobnie w głębi duszy Sally nienawidzi go za to.

- Zatem - ciągnie dalej Sally - powiedziałam rodzicom, że wychodzę z kilkoma przyjaciółkami, więc niech na mnie nie czekają. Potem wsiadłam do autobusu, chyba numer 30 albo 32, przesiadłam się na S4 - chce, żebym zrozumiał, ile musiała się namęczyć, żeby spotkać się ze swoim ukochanym - no, i w każdym razie dotarłam na Shepard Street, weszłam do domu, a tam był Addison...

Przerywa, żeby sprawdzić, czy jakoś zareaguję. Kiedy nic nie mówię, podejmuje swoją opowieść.

- No, więc po pewnym czasie zasnęłam. Nie wiem, która to mogła być. W każdym razie było już ciemno, kiedy obudziły mnie te głosy. Nie były zbyt donośne, raczej rodzaj szeptów. Ale rozniewane. Chodzi mi o to, że oni się kłócili i może starali się kłócić cicho, ale i tak ich słyszałam. Uświadomiłam sobie, że w domu jest ktoś jeszcze i trochę się przestraszyłam. Obróciłam się, żeby obudzić Addisona, ale jego nie było.

Pomyślałam, że w takim razie to Addison z kimś się kłóci. Sądziłam, że z wujkiem Oliverem, co by oznaczało, że nas przyłapano i mamy poważne kłopoty. Ubrałam się więc i wymyśliłam, że wymknę się tylnymi drzwiami. Wymykałam się przez wiele tylnych drzwi w swoim życiu, nieprawdaż? - Znów niewesoło się śmieje. Nie odpowiadam, gdyż pytanie jest czysto retoryczne; obydwoje przecież znamy odpowiedź.

- Sypialnia Addisona była na drugim piętrze - mówi dalej, obracając się na bok, tak że jest teraz zwrócona twarzą do mnie. Jednak nadal ma zamknięte oczy. - Na końcu tego długiego korytarza. To chyba była dawna służbówka. Wiesz, niski sufit, szczytowe, trójkątnie ścięte ściany, coś w stylu Nathaniela Hawthorne'a. - Prawdę mówiąc, wiem doskonale, jak wygląda ten dom, skoro w nim dorastałem, ale nie chcę przerywać potoku jej wymowy, kiedy w końcu zaczęła opowiadać. - Kłótnia toczyła się w holu, dwa piętra niżej, ale ją słyszałam. Tam była chyba jakaś sztuczka z kanałami wentylacyjnymi, czy coś takiego.

Teraz ja się uśmiecham na to wspomnienie. W domu na Shepard Street znajdują się staromodne metalowe kraty zasłaniające otwory w ścianach. W otworach znajdują się wyloty szerokich rur biegnących w ścianach, będących zapewne pozostałością po czasach, gdy dom był ogrzewany jednym piecem. Mieliliśmy oczywiście kaloryfery, ale zostały zamontowane później, a rur nikt nie usunął. Rodzice nie zdawali sobie sprawy, że dzięki nim dźwięki z parteru, a szczególnie z holu, dobiegają aż na samą górę, gdzie spaliśmy z Addisonem. Do dziś nie wiem dokładnie, na czym to polegało, w każdym razie zawsze obaj z bratem słyszeliśmy, co się dzieje na dole.

- No, więc - podejmuje swoją opowieść Sally - ubrałam się i zeszłam po schodach. Zamierzałam się wymknąć, ale najpierw chciałam sprawdzić, o co ten hałas. Zeszłam oczywiście tylnymi schodami, tymi dla służby.

Obydwoje się śmiejemy, choć nic w tym zabawnego. Zerkam na zegarek cyfrowy stojący na stoliku nocnym. Zbliża się dziesiąta.

- Więc zeszłam na pierwsze piętro i poszłam korytarzem. Pamiętasz, że tam jest ten długi podest biegnący dookoła całego holu. Jak to się nazywa?

- Galeryjka.

- No, właśnie. A galeryjka ma taką balustradę z drewnianymi słupkami... jak one się nazywają? Wałki? Tralki? Ach, obojętne... te słupki, co trzymają balustradę. Są bardzo szerokie. Tak szerokie, że prawie można się za nimi schować.

- Szczególnie, jak się jest dzieckiem. - Uśmiecham się przelotnie, wspominając, że gdy byliśmy dziećmi, Addison, Mariah, Abby i ja lubiliśmy się bawić w chowanego i stale chowaliśmy się właśnie na tej galeryjce. Szybko odkryłem, że jeśli światła na korytarzu były wyłączone, a w holu włączone i szukający znajdował się w holu, to nie mógł mnie dostrzec za balustradą.

- No, cóż - stwierdza Sally cierpko - ja nigdy nie byłam specjalnie ma lutka, ale i tak zdołałam się tam ukryć, w każdym razie tamtej nocy.

- Wstrząsa się. Najwyraźniej te wspomnienia zaczynają być dla niej nieprzyjemne; może obudziło się jej sumienie. Jednak nie przestaje mówić.

- Jedyne światło paliło się wtedy w gabinecie twojego ojca. To pamiętam najlepiej. W holu było tak ciemno, jakby wujek Oliver... jakby robił coś, co wymaga ciemności. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale takie miałam wrażenie. Głosy, które słyszałam, dobiegały z głębi gabinetu. Nie mogłam zrozumieć, co mówi twój ojciec, bo starał się ściszać głos, ale ten drugi mężczyzna krzychał: „Nie tak się gra w tę grę”, czy coś w tym rodzaju.

- Powiedział „w tę grę”?

- Przecież mówię. - Wydyma wargi, nie tak ładnie, jak jej się zapewne wydaje, i mówi dalej. - W każdym razie ten człowiek, który krzychał, wyszedł na korytarz i wskazywał na twojego ojca, potrząsając palcem, jakby był zły. Dzięki temu, że jego ręka poruszała się w świetle, zobaczyłam znamię. To był McDermott, czy jak się tam nazywa w realnym świecie. Nazywał.

Zatem Sally wie, że on nie żyje. To oznacza, że Mariah też prawdopodobnie wie, a to z kolei, że wszyscy wiedzą. Może dlatego Sally postanowiła przerwać milczenie. Wyjaśniam jej: - Nazywał się Colin Scott.

- Świetnie, Colin Scott. Ten sam człowiek, który był w waszym salonie w tydzień po śmierci twojego ojca. Dwadzieścia lat temu stał tam w holu i rozmawiał z twoim ojcem, mogę na to przysiąc. Mówił coś w rodzaju: „W tego rodzaju sprawach obowiązują pewne zasady”, a potem usłyszałam głos wujka Olivera, ten jego pouczający ton. „Nie ma żadnych zasad, tam gdzie

chodzi o ...” i potem powiedział coś, czego nie zrozumiałam. Jakby ściszył głos. Nie dlatego, żeby myślał, że ktoś go podsłuchuje. To po prostu zabrzmiało jak syk, ale mam wrażenie, że prawie je słyszałam i wydaje mi się, że to mogło być „własność”. Coś jakby: „Nie ma żadnych zasad tam, gdzie chodzi o własność”.

- Klócili się o pieniądze?

- Nie wiem. Może niedokładnie to zrozumiałam. Ale tak mniej więcej brzmiało. A ten drugi mężczyzna potrząsał głową, jakby się nie zgadzał. Potem wujek Oliver pojawił się w świetle i miał dziką, przerażającą twarz. Pomyślałam, że pewnie pil.

- To możliwe. - Nie potrafiłem sobie obecnie wyobrazić, dlaczego McDermott/Scott i mój ojciec mieliby się klócić o pieniądze. - Bardzo dużo pił po śmierci Abby.

- Wiem, Tal, pamiętam. Bardzo mi przykro.

- W porządku. To było dawno. - Zastanawiam się, jak zboczyliśmy na ten temat.

- Moja rodzina też miała problemy.

Ograniczam się do potaknięcia ruchem głowy. Garlandowie nie rozmawiają o dorastaniu ani innych rzeczach, których nie można zmienić, jednak Sally się nie zraża.

- Nikt nie ma takiego dzieciństwa, jakby chciał, wiesz? Nie wybieramy sobie rodziców. Nie wybieramy też ich problemów. Kiedy to zrozumiesz, będziesz w domu. - Poprawiająca samopoczucie uwaga w stylu New Age. Nie potrafię doszukać się w niej znaczenia, z którym mógłbym się identyfikować.

- Chciałbym tylko usłyszeć tę historię, Sally. Co się stało z ojcem i tym człowiekiem, z którym się klócił?

Sally rzuca mi przeciągłe spojrzenie, prowokacyjne i wprawiające mnie w zmieszanie. Nie chcę, żeby ta kobieta utkwiała mi w myślach. Nie chcę nawet, żeby znajdowała się w moim pokoju. Jednak muszę usłyszeć resztę.

- No, więc gapili się jeden na drugiego, jakby za chwilę mieli zacząć się bić. A potem wujek Oliver powiedział, właściwie prawie krzyknął: „Niedobrze mi się robi od przestrzegania zasad”. Ten drugi tylko potrząsnął głową. Myślę, że chciał, żeby wujek był cicho. Potem powiedział coś, jakby: „Tak się tego nie robi”, a potem twój ojciec zimnym, cichym głosem odpowiedział: „Zrobiłbyś to dla Jacka”.

- Miał na myśli Jacka Zieglera.

- Chyba tak. Nie wiem na pewno. Nie powiedział nazwiska, ale chyba to miał na myśli.

Pocieram dłonią twarz. Jeszcze chwilę przedtem pokój wydawał mi się zbyt mały. Teraz mam wrażenie, że ściany się rozstępują, a może to ja się kurczę. Czuję się zagubiony i kręci mi się w głowie - to trochę za wiele i tro-

chę za szybko. Staram się dojść do siebie, zadając prawnicze pytanie, pozwalając mi zyskać na czasie.

- Jesteś pewna, że to był ten sam mężczyzna? Ten sam, który przyszedł do domu na Shepard Street w dzień po pogrzebie?

Ku mojej uldze to niedowierzenie nie wywołuje jej wybuchu. - Jestem pewna, Tal. - Znowu się odpręży i zmienia pozycję na łóżku. Widzę, że niemal skończyła. Mimo to, jak dobry świadek, podaje swoje powody. - Pamiętam jego głos. Był zimny i taki gniewny. Pamiętam znamię na dłoni, które widziałam, gdy groził palcem wujkowi Oliverowi. Pamiętam dużą, białą bliznę na wardze. I pamiętam coś jeszcze. Klęczałam w bardzo niewygodnej pozycji, więc w pewnym momencie się przesunęłam i jedna z desek skrzypnęła. A wtedy ten człowiek, McDermott, błyskawicznie rozejrzał się dookoła i spojrzał dokładnie tam, gdzie się ukrywałam. Miał takie oczy jak polujące zwierzę. Byłam pewna, że mnie zobaczy. Byłam przerażona, Tal. - Ziewa, potem się wstrząsa. - To był ten sam człowiek, Tal. Mogę to przysiąc na cały stos Biblii.

Przyjmuję to spokojnie, rozważając możliwość błędu, pobożnego życzenia lub fałszywych wspomnień. Albo po prostu kłamstwa.

- Żadnych zasad tam, gdzie chodzi o własność? Tak powiedział?

- Tak powiedział - potwierdza Sally. Z każdą sekundą rośnie jej pewność co do własnych wspomnień. Prawnicy często mają z tym do czynienia u świadków. Czasami oznacza to, że świadek rzeczywiście przedstawił wszystko zgodnie z rzeczywistością, a innym razem, że jest zadowolony z wersji, którą stworzył.

Sally znowu ziewa. Widzę, że ma coraz mniej energii.

- No, i co potem się stało?

- Hmm? Co?

- Po tej kłótni, którą podsłuchałaś.

- Aha. No, to był prawie koniec. McDermott czy Scott, czy jak on się tam nazywa, przestał się wpatrywać w galeryjkę i spojrzał znów na twojego ojca. Położył palec na ustach i coś poszeptali, a potem obaj skinęli głowami i uścisnęli sobie ręce. Oni... oni nie byli już wściekli. Potem wujek Oliver poszedł z nim przez hol i otworzył drzwi, ja zeszałam na dół tylnymi schodami, a twój tata chyba wrócił do gabinetu. - Znowu ziewa.

Przez kilka minut siedzę w milczeniu. Sally leży z ręką na oczach. Nie mam powodu przypuszczać, że zmyśla to wszystko. Sally nie ma zwyczaju kłamać. Jak sama wspomniała, najczęściej mówi to, co jej przyjdzie na myśl. Zatem Scott znał mojego ojca, znał go już ponad dwadzieścia lat temu, odwiedził nasz dom pewnej letniej nocy, kiedy ojciec okłamał matkę i powiedział jej, że jedzie na konferencję, kłócił się z nim w holu na temat zasad i pieniędzy oraz tego, co by zrobił dla Jacka Zieglera. Czuję, jak wzbiera we mnie złość - nie na ojca, lecz na Sally, że wszystko to ukrywała. Nie powie-

działa mi wcześniej, bo bała się mojej dezaprobaty. Spoglądam teraz na nią i moja irytacja zaczyna znikać. Sally nie miała łatwego życia, a jednak znajduje w sobie dość energii na uśmiech. Teraz też się uśmiecha. Leży wprawdzie z zamkniętymi oczami, ale jestem przekonany, że dobrze zdaje sobie sprawę, iż ją obserwuję. Nie podobają mi się uczucia, jakie zaczyna we mnie budzić. Powracają do mnie słowa Sędziego: *Nikt nie potrafi przez cały czas opierać się pokusie. Sztuka polega na tym, żeby jej unikać.*

Unikać jej. Słusznie. Muszę pomyśleć, jak wyprowadzić stąd Sally. Suknię ma strasznie pogniecioną, a z kosztownej fryzury został brązowy kłęb. To dopiero będzie widok, jak pójdzie w tym stanie na dół. Mam tylko nadzieję, że jeśli ktoś ją zauważy, pomyśli, że wymyka się z innego pokoju.

W tej chwili uświadamiam sobie, że czegoś w tym opowiadaniu brakuje.

- Ale gdzie był Addison? - pytam. Żadnej odpowiedzi. Mówię głośniej: - Sally?

- Hmmm?

- Addison, Sally. Gdzie był mój brat, kiedy to wszystko się działo?

- Hmmm? Addison? - Prycha. - Widzisz, w tym rzecz. - Obraca się na drugi bok, tak że nie widzę jej twarzy. Mówi bardzo powoli. Wpływ narkotyków? Alkoholu? Zmęczenia? Pewnie wszystko naraz. - W tym rzecz - powtarza. - Wiesz, że te tylne schody prowadzą do małego korytarzyka za kuchnią, prawda? No, więc kiedy tam zeszałam, w kuchni było ciemno, ale bałam się włączyć światło, żeby wujek Oliver mnie nie przyłapał, rozumiesz? Chciałam wyjść z domu przez ganek. Udało mi się zrobić ze dwa kroki, kiedy uderzyłam nogą w stółek. Chyba narobiłam za dużo hałasu, bo następne, co pamiętam, to czyjąś dłoń na moich ustach. Próbuję krzyczeć, próbuję gryźć i kopać, jestem śmiertelnie przestraszona, i co się okazuje? Oczywiście to twój cholerny brat. - Urywa. Potrząsa głową. - Addison - mruczy. - Addison, Addison, Addison. - To jej mantra. - Addison. - I cisza.

- Sally? Sally, co z Addisonem? Co się stało w kuchni?

- Hmmm? W kuchni?

- W domu mojego ojca. Kiedy Addison zakrył ci ręką usta.

- Aaa, tak. Powiedział mi, żebym była cicho, a ja spytałam, czy był w kuchni przez cały czas. Na to on, przez jaki cały czas, a ja, że przez cały czas, kiedy twój ojciec rozmawiał z tym białym facetem. Jakim białym facetem, spytał, więc mówię, że z tym, który rozmawiał z wujkiem Oliverem. On na to, że nie wie, o czym ja mówię. Próbowałam się z nim kłócić, ale stwierdził, że musimy się szybko wynosić. Więc wyszliśmy przez kuchenne drzwi i to wszystko.

Mam wrażenie, że czegoś mi tu brakuje.

- Sally, posłuchaj. Obudź się! Sally, czy mu uwierzyłaś? Uwierzyłaś Addisonowi, że niczego nie słyszał?

Kolejne prychnięcie. - Wierzyć Addisonowi? Jaja sobie robisz? Ten

czarnuch w życiu nie powiedział prawdy. - Język Sally staje się coraz mniej wyszukany, w miarę jak zmęczenie bierze górę. - On powie każde cholerne kłamstwo, żeby tylko zdobyć to, czego chce. Żeby wygrać. - Krótki chichot.

- Sally! Sally, posłuchaj. Proszę, to ważne. Czy sądzisz, że Addison słyszał tę kłótnię?

- Pewnie, że słyszał. - Tym razem wydaje z siebie szczekliwy rechot.

Sally dysponuje zadziwiająco bogatym repertuarem odmian śmiechu.

- Jesteś pewna?

- Pewnie, że tak. - Znowu ziewnięcie, tym razem dłuższe. - Powiedział mi, kiedy zadzwoniłam, żeby go zawiadomić... że ten sam człowiek był w waszym domu w dzień po pogrzebie.

Co?

- Kiedy to było?

- Och, nie wiem. - Śpiącym głosem dodaje: - Tydzień później. Albo dwa.

Oczywiście.

Słyszał. I nigdy nie powiedział ani słowa. Jak zwykle trzymał karty przy sobie. Moja rodzina! Jedyne, co umiemy, to trzymać język za zębami! Addison słyszał przed dwudziestu laty kłótnię pomiędzy ojcem a Colinem Scottem. Wiedział, że to ten sam człowiek, który udawał agenta specjalnego McDermotta, ponieważ Sally, jego była kochanka, powiedziała mu o tym mniej więcej w tydzień po pogrzebie. Jednocześnie nie zająknął się na ten temat ani słowem. Na pewno Mariah też nic nie powiedział, gdyż włączyłaby to do swoich teorii spiskowych i natychmiast mi wygadała.

- Sally?

Dobiega mnie tylko jej chrapanie.

Wzdycham i przybieram wygodniejszą pozycję na foteliku. Jestem tak wyczerpany, że natychmiast zapadam w drzemkę, śniąc o wiecznym potępieniu.

Nagle otwieram oczy. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem, lecz po chwili wszystko powraca. Mam mętlik w głowie, moja kuzynka nadal śpi na łóżku, a zegarek pokazuje, że jest już dobrze po jedenastej.

- Sally, hej, Sally! Obudź się! Musisz iść. Sally!

Odpowiada mi tylko chrapanie - ciężkie, pijackie chrapanie. Takie chrapanie dochodziło nocami zza drzwi Sędziego w tym okropnym okresie po śmierci Abby. Addison mógł je też usłyszeć, gdy wrócił po odwiezieniu Sally do domu. Może zresztą odprowadził ją tylko na autobus.

Mój brat, król nocnych programów na żywo. Oczywiście, Sally ma jego prawidłowy numer. Zrób coś, powiedz coś.

- Sally? Sally, obudź się. No, dalej, Sally!

Wstaję i podchodzę do łóżka. Śpiąca Sally, oddychająca przez lekko rozchylone usta, z piąstkami wtulonymi w poduszkę koło szyi wygląda tak bez-

bronnie. Łatwo w niej teraz odnaleźć tę słodką nastolatkę, którą była, gdy szpiegowałem ją i Addisona w Vinerd Howse. Dotykam jej nagiego ramienia, na którym moje palce spoczywają o kilka sekund za długo. Jej ciało jest ciepłe i niebezpiecznie pełne życia.

- Hej, Sally! Dalej!

Mruczy coś i wysuwa się spod mojej ręki. Chyba nie uda mi się jej obudzić. Musiałbym nią potrząsnąć, a tego nie mam zamiaru robić. Po wydarzeniach ostatniego tygodnia czuję się tak emocjonalnie wyczerpany, że najchętniej przytulilibym się do jej pulchnego ciała, objął ją ramionami i zatracił się w jej cieple.

Jestem tak strasznie zmęczony. Tyloma sprawami. Zmęczony spiskami, uciekaniem przed widmami, kłótniami z żoną. Taki zmęczony. I taki samotny.

Postanawiam, że pozwolę Sally zostać. Nawet gdybym ją obudził, to trudno ją w takim stanie wysłać do domu. Będzie zatem musiała zostać w moim pokoju i odespać to wszystko.

Dla jej własnego dobra.

Pokusa. Sztuka polega na tym, żeby jej unikać.

- To niełatwe, tato - mruczę pod nosem, siedząc niepewnie na brzegu łóżka ze skłębioną pościelą, koło śpiącej kuzynki, która nie zdaje sobie sprawy z moich rozterek. Przypominam sobie, że jestem żonaty, ale pokój wydaje się taki mały, a łóżko tak ogromne. Gardło mam zupełnie wyschnięte. Niemal bez udziału woli wyciągam palce w kierunku krągłego, zapraszającego ramienia Sally.

Jednak je cofam.

Unikaj jej.

Podchodzę do szafy i wyjmuję dodatkowy koc, którym okrywam Sally. Sam zdejmuję krawat, zrzucam buty i wracam na fotelik koło biurka, aby tam czuwać.

Co za bałagan.

ROZDZIAŁ 24

Diagnoza

(I)

Jadąc Seventh Street koło Howard University, odkrywamy niewielkie, lecz ciasno zabudowane miasteczko uniwersyteckie ukryte w samym sercu Waszyngtonu. Zamiast barów garmazeryjnych znajdują się w nim kioski oferujące *fast food*, a zamiast pizzerii kuchnie w stylu Południa, ale poza tym można znaleźć typowe dla takich miejsc niewielkie budynki biurowe, akademiki i punkty usług kserograficznych. Jednocześnie widać tu nieco zbyt wiele zabitych deskami okien, pustych, zarośniętych chwastami terenów i magazynów otoczonych drutem kolczastym. Jednak jeśli pomyśleć, co kryje się pod obrazem prezentowanym przez kosztowne informatory rozsyłane przez mój uniwersytet, to w Elm Harbor również można znaleźć wiele przykładów takiego marnotrawstwa. Po prostu ukrywamy je lepiej, gdyż znacznie większe fundusze umożliwiają stworzenie odpowiedniego kamuflażu.

Właśnie na Seventh Street wybieram się podczas ostatniego dnia konferencji, aby zjeść lunch z inną kobietą - jak drażniła się ze mną Kimmer, gdy powiedziałem jej o swoim zamiarze. Tą kobietą jest Lanie Cross - formalnie dr Melanie Cross, członek Amerykańskiego Towarzystwa Lekarzy Ginekologów i Położników, która jednak zawsze prosiła, by dzieci Garlandów zwracały się do niej Lanie, ku niezadowoleniu moich rodziców. Ona i jej nieżyjący już mąż, Leander Cross, wybitny chirurg wywodzący się z ciemniejszej nacji, byli w czasach mojego dzieciństwa chyba najbardziej liczącymi się gospodarzami przyjęć wydawanych w kręgach towarzyskich Złotego Wybrzeża. Moi rodzice często brali udział w takiej turze przyjęć, gdyż należało to do zwyczajów tamtych czasów - elegancka kolacja w jednym domu w piątek, wczesny lunch z szampanem w innym w niedzielę. Dostawcy, kucharze, a nawet tymczasowi lokaje czekający w pogotowiu na zlecenia czarnej elity Waszyngtonu szaleńczo naśladowującej głupotę białych ludzi. Jednak w ostatecznym rozrachunku nie było to takie szalone. Jak mówiła mama, w tamtych czasach było tylko około setki Murzynów liczących się w Ameryce i wszyscy się znali. Nieco snobistyczne, lecz również ciekawe twierdzenie. Scena towarzyska, tak krytykowana za swą płytkość i pretensjonalność, pomagała wzmocnić się i odświeżyć tym, którzy się przez nią przewijali, dodając im sił

do stawienia czoła kolejnym dniom, miesiącom i latom marnowania swoich niezwykłych talentów dla narodu nieprzygotowanego do nagrodzenia ich za te umiejętności.

Jako dziecko uwielbiałem schodzić na dół wczesnym rankiem w sobotę po piątkowym przyjęciu. Przechadzałem się po nieposprzątanym jeszcze pokojach na parterze, wachałem kieliszki, przekładałem kartki z oznaczeniami miejsc i szukałem świeżych zadrapań na stojącym w jadalni stole z polerowanego palisandru. Czasem, kiedy rodzice dłużej odsypiali nocną zabawę, siadaliśmy wraz z rodzeństwem przy tym stole, wznosiliśmy kieliszki w toastach, które wydawały się nam dowcipne i staraliśmy się zrozumieć, co takiego dorośli robią, że do późnej nocy wybuchają salwami ochryplego śmiechu i co chwilę radośnie wykrzykują swoje imiona, podczas gdy my kucaliśmy po kryjomu na schodach, słuchając i próbując się uczyć. Od tamtej pory minęło ponad trzydzieści lat, a ja nadal się zastanawiam, na czym polegał ten sekret, gdyż dziś, wskutek integracji, duch tych długich, szczęśliwych nocy gdzieś zniknął. Owszem, nadal urzęduje się przyjęcia, ale czegoś brakuje w ich atmosferze, nie odgrywają już takiej roli w dodawaniu odwagi społeczności, być może dlatego, że sama społeczność zaczyna zanikać. Mieszkamy z Kimmer w dzielnicy, którą poza nami zamieszkują wyłącznie biali, a niewielu przyjaciół z mojego okresu dorastania mieszka w rejonie Złotego Wybrzeża, co najwyżej na elegantszych przedmieściach Waszyngtonu.

Lanie Cross jest pewnego rodzaju łącznikiem z tą wcześniejszą epoką. Żyje pomiędzy dwoma światami - tamtym i dzisiejszym. Być może wynika to z jej wieku. Jej mąż należał do pokolenia mojego ojca, ale Lanie była od niego o jakieś piętnaście lat młodsza - nikt nie mówi o tym, że wyszła za niego, gdy była jego studentką w Howard - a zatem zbliża się zapewne do sześćdziesiątki. Jest wysoką, przystojną kobietą o smukłej budowie, a jej skóra zachowała gładkie, brązowe piękno, pomimo początków zmarszczek na twarzy. Szare oczy błyszczą figlarnie energią i inteligencją. Kiedy byłem dzieckiem, wszyscy chłopcy się w niej podkochiwali.

We wszystkie dni robocze Lanie jest niezwykle zajęta, toteż kiedy wreszcie udało mi się wytropić jej gabinet w jednym z tych kanciastych, niskich, bielonych wapnem budynków, jej surowa, choć uprzejma recepcjonistka, niemłoda już kobieta z Indii Zachodnich, każe mi czekać. Siadam na twardej drewnianej ławce wśród pacjentek, których wiek waha się od kilkunastu do kilkudziesięciu lat. Wszystkie należą do ciemniejszej nacji. Sądząc po zachowaniu i ubiorze, większość wywodzi się z klasy średniej, gdyż Lanie zachowała pacjentki z dawnych czasów. Po kilku widać wyraźne oznaki zużożenia, a są też takie, które plasują się chyba niewiele wyżej od naszych podopiecznych z bezpłatnej jadłodajni. Fama głosi, że Lanie traktuje je wszystkie jednakowo, i przez sentyment dla niej chciałbym w to wierzyć.

Lanie była naprawdę zaskoczona, kiedy do niej zadzwoniłem tydzień temu, lecz każdy zareagowałby podobnie w obliczu nagłej deklaracji przyjaźni ze strony osoby, z którą od pięciu lat nie zamienił słowa, poza konwencjonalnym uściskiem na pogrzebie. Udało mi się dodzwonić do jej domu dzięki otrzymaniu zastrzeżonego numeru od mojej towarzyskiej siostry. Podczas rozmowy słyszałem płacz niemowlęcia, więc Lanie wyjaśniła, że przyjechała do niej córka z zięciem. Bezskutecznie próbowałem sobie przypomnieć, ile ma dzieci. (Okazało się, że trójkę i wszystkie adoptowane, gdyż Lanie i jej mąż nie mogli ich mieć w tradycyjny sposób). Kiedy wyjaśniłem, że chciałbym porozmawiać o swoim ojcu, stała się jeszcze bardziej ostrożna. W końcu zgodziła się zjeść ze mną lunch, podejrzewam, że licząc na to, iż ona również dowie się czegoś ode mnie, a nie tylko ja od niej. Jej zmarły mąż nie tylko przez wiele lat grywał z ojcem w golfa i pokera, ale ponadto był jego jedynym poza mamą powiernikiem w trudnym okresie po pojawieniu się na scenie Grega Haramoto. Addison mówił mi kiedyś, że pan i pani doktor Cross są sobie niezwykle bliscy. Mam nadzieję, że to okaże się prawdą.

(II)

Do gabinetu Lanie podjechałem taksówką, więc do mojej dawnej dzielnicy Adams-Morgan jedziemy jej kanciąstym i praktycznym volvo, które ma jeszcze od czasu przesłuchań mojego ojca. Lanie wybrała jako miejsce naszego spotkania swoją ulubioną kubańską restauracyjkę, w której dawno nie była. Jak zwykle jest elegancko ubrana w wyszczuplający ją, granatowy kostium ze spodniami i długi do kostek płaszcz z wigoniowej wełny, który musiał kosztować moją miesięczną pensję. O drugiej musi być z powrotem w gabinecie, więc powinniśmy się pospieszyć.

W trakcie powolnej jazdy przez miasto - zapomniałem, że Lanie jest tak ostrożnym kierowcą, jak na to wskazuje wybór samochodu - wymieniamy normalne uprzejmości dwojga znajomych, którzy nie widzieli się od lat i nigdy nie byli ze sobą zbyt żywi. Jednocześnie rozglądam się za zielonym sedanem, tak zwyczajnym, że mógłby się wyróżniać, ale wokół jest jednak zbyt wiele zwyczajnych samochodów. Lanie, nie zdając sobie sprawy z prowadzonej przeze mnie obserwacji, wspomina, że w zeszłym miesiącu widziała na przyjęciu moich teściów, którzy wyglądają tak świetnie, jakby mieli żyć wiecznie. Potem uświadamia sobie, jak mogłem to odebrać i próbuje pokryć ten nietakt opowieścią o swoich dzieciach. Najstarsze, syn, stale awansuje w siłach powietrznych i ciąga swoją żonę i trójkę dzieci po całym świecie. Druga w kolejności jest córka, która akurat niedawno została mianowana profesorem historii tu, na Howard University. Jest rozwiedziona i sama wychowuje syna. Najmłodsze to również córka, która prowadzi dom w

New Rochelle, zajmując się wychowaniem trójki dzieci, podczas gdy jej mąż, który „robi coś z obligacjami miejskimi”, dojeżdża do pracy na Manhattan. Lanie jest dumna ze swoich dzieci i bardzo się cieszy z posiadania siódemki wnucząt. Przypominam sobie teraz z zażenowaniem, jak niektórzy z nas dokuczali dzieciom Crossów z powodu ich niebywałego oddania rodzicom, gdyż dla większości z nas piąte przykazanie było tylko zbiorem niemądrych słów wiszących na ścianie w szkółce niedzielnej. Przypuszczam jednak, że gdybym był adoptowany przez rodziców tak kochających i wielkodusznych jak Crossowie, też stawałbym ich na pierwszym miejscu.

Mniej więcej w czasie, gdy kończymy przekąski, Lanie pierwsza nawiązuje do celu naszego spotkania. - Jak wspominałeś, chciałbyś porozmawiać o swoim ojcu.

- Tak, o jego stosunkach z twoim mężem.

- Stosunkach? - Trzyma szklanekę z wodą w szczupłej dłoni i jest wyraźnie rozbawiona.

Lekko się czerwienię. - Chciałbym się dowiedzieć wszystkiego, co chcesz mi powtórzyć z tego, co twój mąż opowiadał ci o moim ojcu.

- Co Leander opowiadał mi o twoim ojcu?

- Tak.

- Wszystkiego? - Widzę w jej oczach iskierki. Zapomniałem już, że w kontaktach z mężczyznami Melanie ma zwyczaj powtarzać w formie pytania wszystko, co się do niej powie. Sądziłem zapewne, że już z tego wyrosła, lecz być może to u niej odruch, i to wynikający nie tyle z zalotności, co z ostrożności. Lubi zaskakiwać mężczyzn, żeby samej się nie dać zaskoczyć.

- No, niekoniecznie wszystkiego. Powiedzmy, od czasów, gdy mój ojciec był nominowany do Sądu Najwyższego i zaczęły się te wszystkie kłopoty. Ojciec rzadko pytał kogoś o radę, ale wiem, że radził się doktora Crossa. Cokolwiek możesz mi powtórzyć z tego, co mąż ci opowiadał... no, to chciałbym wiedzieć.

Lanie odgarnia z twarzy krótką grzywkę, zjada kilka kęsów *bistec empanizado* i rozmyśla. Ja odchylam się do tyłu i pociągam parę łyków dietetycznej Pepsi, czekając aż się zdecyduje. Nie mam pojęcia, dlaczego każdy, z kim próbuję rozmawiać, jest do tego tak niechętnie nastawiony. Być może dotykam jakiejś wspólnej rany.

- Nie ma tego tak wiele - odzywa się w końcu. Uśmiecha się nerwowo, prezentując doskonale dopasowane koronki na zębach. - Leander mniej mi mówił o twoim tacie, niż wszystkim się wydaje. Znacznie mniej.

Odnotowuję w myślach dziwne w tym kontekście słowo *wszyscy* i potakuję zachęcająco głową. - Wszystko, cokolwiek pamiętasz.

- Nie były to łatwe chwile - ostrzega.

- Rozumiem to, jednak... są pewne rzeczy, które muszę wiedzieć.

- Rzeczy, które *musisz* wiedzieć?

- Kiedy jego nominacja... no, kiedy nic z tego wszystkiego nie wyszło, prawie do nikogo się nie odzywał. Jednak wiem, że rozmawiał wtedy z doktorem Crossem. Z twoim mężem. Po prostu chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiali. No, i... i w jakim był wtedy nastroju.

Lanie nadal się waha. Być może mąż prosił ją, by z nikim nie rozmawiała na ten temat. - Dlaczego to dla ciebie takie ważne, Talcotcie? Czy to ma coś wspólnego z kandydowaniem Kimmer na sędziego?

Auu! Przypominają mi się słowa Mallory'ego Corcorana: *Czy w tym mieście utrzyma się jakaś tajemnica?* No, więc raczej nie, jak przekonał się o tym mój ojciec. Ostrożnie dobieram słowa. - Nie. Pytam o to w związku z innymi sprawami, które się wokół nas dzieją.

- Chodzi ci pewnie o tego prywatnego detektywa, tego, który utonął?

Auu! Znowu! - Uhm, tak, może, nie jestem pewien.

- On mnie próbował wypytywać, wiesz? Rozmawiał z kilkoma osobami znającymi twojego ojca z dawnych czasów. Chyba żadna z nich nie powiedziała mu zbyt wiele. - O czym? Mam ochotę o to zapytać, ale Lanie nie przestaje mówić, a ja nie chcę jej przerywać. - Co prawda nikt nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Ten detektyw szukał jakichś dokumentów czy czegoś. Nie znam szczegółów, bo nie zgodziłam się z nim rozmawiać. Te nerwy! - Marszczy brwi i potrząsa głową. - Z tego, co słyszałam, był gorszy niż policja. Nachodził starszych ludzi w ich własnych domach, zastraszał ich. Grace Funderburke musiała poszczuć go psem. Carl Little powiedział mu, że zaraz weźmie strzelbę, choć pewnie nie strzelał od ćwierć wieku. Mówią też, że tak wymęczył biedną Gigi Walker, że po jego odejściu załapała się łzami.

- Ale o co ich tak męczył? - pytam, zaciekawiony.

Lanie irytuje się. - Mówiłam ci, Talcotcie, że nie wiem dokładnie. Potem zjawilo się FBI i wszystkich ich o to wypytywali. Chyba musiał złamać jakieś prawo. Ale jeśli dobrze zrozumiałam, chodziło o to, co ci już mówiłam, o dokumenty. Dokumenty, które twój ojciec miał rzekomo gdzieś zostawić, zanim umarł. Nie wiem. - Znowu wzrusza ramionami, lecz tym razem w wystudiowany sposób, kończąc tym gestem temat. - Ja z nim nie rozmawiałam - przypomina mi.

Odczekuję chwilę, dla niepoznaki wkładając nieco fasoli i ryżu do ust. Skoro Lanie nie zgodziła się rozmawiać z Colinem Scottem, to kim są ci *wszyscy*, którzy sądzą, że mąż jej się zwierzał? Czy miała na myśli po prostu przyjaciół z Sixteenth Street. Czy też mamy do czynienia z poziomem, którego jeszcze nie zacząłem badać?

Jednego jestem pewien - spotkałem się z właściwą osobą.

- Lanie, porozmawiajmy o moim ojcu, nie o detektywie.

- Jeśli chcesz.

- Muszę wiedzieć, co opowiedział ci mąż. Proszę. Wszystko, co potrafisz sobie przypomnieć.

- Nie powiedziałeś mi, dlaczego, Talcotcie.

Rzeczywiście, nie powiedziałem. Uświadamiam sobie, jak ważne jest to, co powiem. Skoro Melanie Cross przez piętnaście lat nie rozmawiała o tych sprawach, nie mogę przypuszczać, że teraz otworzy się przede mną tylko dlatego, że ją proszę.

- Ponieważ sądzę, że ojciec chciał, żebyś mi powiedziała - odpowiadam w końcu.

Udaje mi się ją zainteresować. Jej mądre oczy rzucają w moim kierunku błyski, a cienkie brwi unoszą się w wyrazie zapytania i wątpliwości.

- Zostawił mi list - wyjaśniam.

(III)

Lanie Cross nie pyta mnie, co było w liście. Po prostu kiwa szczupłą głową, być może wyrażając rezygnację. - Tal, może ci być przykro tego słuchać.

- Wiem, ale i tak muszę to usłyszeć.

- Masz na myśli, że chcesz.

- To już nie jest kwestia chęci.

Widać, że jest zmartwiona. - Tal, zrozum, mój Leander był chirurgiem, nie psychiatrą. Ale... no... dobrze. Chcesz porozmawiać o tym, co się stało po przesłuchaniach? Dobrze. Powiem ci. - I rzeczywiście to robi, bezpośrednio, bez żadnych ozdobników. - Leander powiedział mi, że jego zdaniem, twój ojciec miał załamanie.

- Załamanie? Co to znaczy załamanie?

- Wiesz, co to znaczy. Załamanie nerwowe. On... Kiedy wyszły na jaw te wszystkie historie o Jacku Zieglerze, Oliver potrafił telefonować do Leandra w środku nocy, chyba z dwa, trzy razy w ciągu pierwszego tygodnia. Telefon dzwonił o drugiej nad ranem, Leander szybko podnosił słuchawkę, a ja leżałam i go obserwowałam. Coś szeptał, potem krew odpływała mu z twarzy i widziałam, że próbuje dobrać właściwe, uspokajające sformułowania, lecz już po chwili nie mógł dojść do słowa. Mówił mi potem, że to był Oliver i że płakał do słuchawki. Przykro mi, ale tak właśnie powiedział. Twój ojciec płakał i powtarzał coś w rodzaju: „Jak on mógł mi to zrobić?” Miał na myśli tego aplikanta, jak wyjaśniał mi Leander, tego, który przeciw niemu zeznawał. Albo mówił: „Zrobiłem wszystko, czego ode mnie oczekiwano, wykonałem swoje zadanie, jak należy, a on mnie postawił w takim położeniu? Co się stało z lojalnością?” Tego typu rzeczy. Leander zaczął się o niego bać. Ze względu na to, jak wściekał się na tego aplikanta, ale również dlatego, że... cóż, Leander sądził, że on znów zaczął pić.

- Pić! Ale... ale on przestał pić, kiedy... całe lata temu.

Lanie potrząsa głową. W jej oczach maluje się powaga i współczucie, za-

pewne takie same, jak wówczas, gdy musi powiadomić pacjentkę, że ma raka jajników. - Chyba znów zaczął. W każdym razie tak myślał Leander. I...

- Chwileczkę. Poczekaj. Jeśli pił, to przecież wiedziałbym o tym.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Cóż, po pierwsze, przyjechałem tu z Elm Harbor, kiedy to wszystko się działo. Chociaż... ojciec w ogóle o tym ze mną nie rozmawiał. Nie wiem nawet, czy chciał, żebym tu był. - Czuję nagły, gorący ucisk w gardle. Nigdy nie chciałem tego pamiętać i myślałem, że zapomniałem. - On... on w ogóle ze mną o tym nie rozmawiał - powtarzam, starając się zebrać myśli. - Mama... mama też nie. Oni nie należeli do ludzi, którzy lubią rozmawiać o... hmm... uczuciach. I problemach. Zatem kiedy to wszystko się stało, kiedy jego kandydatura upadła, my... dzieci... nie potrafiliśmy ich skłonić, żeby się przed nami otworzyli. Ale mimo wszystko, żeby pił... jeśli pił... - tracę wątek, oczy zaczynają mnie piec i zachodzą mgłą. Przypominają mi się aluzje Wallace'a Wainwrighta podczas naszego wczorajszego spotkania: *On nie był sobą. Nie wiedział, co mówi.* Być może byłem jedyną osobą, która nie zauważyła, że mój ojciec, przygnieciony cierpieniem i poniżeniem, ponownie sięgnął po butelkę.

Melanie Cross jest na tyle dobrym lekarzem, żeby wiedzieć, że bywają chwile, gdy nie należy pocieszać pacjenta, toteż nic nie mówi. Czeka. Przez okropną chwilę ponownie przeżywam nagłe przejście od radości do przerażenia, od domu postawionego na głowie z powodu telefonów i telegramów z gratulacjami dla ojca, który miał wkrótce zostać sędzią Sądu Najwyższego, do samotnego, dzielnego czuwania przy zmarłym, gdy przyjaciele zniknęli, a telefony umilkły - poza tymi z bezdusznych mediów - gdy stało się jasne, że nie tylko nadzieje na zatwierdzenie nominacji, ale i cała kariera ojca legły w gruzach. W owym czasie studiowałem na trzecim i ostatnim roku szkoły prawniczej. Zwolniłem się z zajęć, żeby być obecnym podczas pierwszych, pełnych chwały dni przesłuchań, a dwa tygodnie później kryłem się po powrocie w najdalszym kącie, gdy zeznania Grega Haramoto i niszczycielska fala potwierdzających je dowodów zmyły uroczyste zapewnienia o niewinności wygłaszane przez mojego ojca. Po pierwszym wspaniałym poranku przesłuchań zatrzymałem się w domu na Shepard Street, gdzie osoby życzliwe i karierowicze bez przerwy wchodzili i wychodzili, a rodzice z królewskim wdziękiem przyjmowali ich pochlebstwa jako rzecz naturalną. Jednak kiedy pękła tama oskarżeń, kiedy chciałem im pomóc, okazało się, że żadne z moich rodziców nie wie, co ze mną począć.

- Nie spędzałem wtedy zbyt dużo czasu w domu - odzywam się w końcu. - Byłem jeszcze w szkole prawniczej.

- Pamiętam - stwierdza Lanie, uśmiechając się z plotkarską figlarnością na pewne gorące wspomnienie. - Zacząłeś wtedy umawiać się z Kimmer, prawda?

Waham się, gdyż Lanie, być może w sposób niezamierzony, zastawia na mnie pułapkę. W 1986 roku, gdy ważyły się losy nominacji ojca, Kimmer i ja byliśmy tylko kolegami ze studiów i każde z nas - przynajmniej pod względem technicznym - umawiało się z innymi. Prawdę mówiąc, była to faza *och-lepiej-poczekajmy-i-zobaczmy-co-z-Kathy* rozpalania na nowo łączącego nas wcześniej namiętnego związku. Jak większość młodych ludzi w tamtej epoce - a prawdę mówiąc, również i w tej - byliśmy zaślepieni przekonaniem będącym niebezpieczną antytezą dla cywilizowanego życia, że posłuszeństwo własnym popędom jest nie tyle naszym prawem, co wręcz obowiązkiem. W pewien sposób ta tendencja stała się motywem przewodnim naszego wzajemnego zauroczenia - trzykrotnie wpadaliśmy sobie w ramiona w okresach, gdy przynajmniej jedno z nas należało do kogoś innego.

Ponieważ nie mam ochoty spowiadać się Lanie z tego, co wszyscy już wiedzą, postanawiam odwieść ją od tego tematu. - Przypuszczam, że możesz mieć rację, to znaczy na temat picia mojego ojca. Nie mieszkałem w domu. Jeśli ojciec pił, powiedzmy, w nocy... to mogłem wcale o tym nie wiedzieć.

- Przykro mi, Tal.

- Nie, w porządku. To jest... prawdopodobne.

- Wiesz, Tal, mój mąż próbował... za pierwszym razem... po Abby... próbował znaleźć twojemu ojcu pomoc w sprawie tego picia. Jednak Oliver nie chciał się zgodzić. No, ale oczywiście, sam się z tym uporał. - Bębni paznokciami po stole. - Leander mówił, że twój ojciec obrażał się, ilekroć wspominał mu o leczeniu.

- Z pewnością - wzdycham, czując ciężar w sercu na te wspomnienia. - Uważał doradztwo psychologiczne i leczenie za ostatnią deskę ratunku dla osób o słabej woli.

- Alkoholizm jest chorobą... - automatycznie odzywa się tkwiący w niej lekarz.

Ze śmiechem unoszę ręce w geście poddania. - Mnie nie musisz o tym przekonywać. Wiem, że to choroba i wiem, że można dziedziczyć tę skłonność. Właśnie dlatego nigdy nie ruszam alkoholu. - Potem znów ogarnia mnie smutek. - A skoro to jest choroba, a ojciec nigdy się nie leczył... to rzeczywiście mogę uwierzyć, że znów zaczął pić. - Bawię się jedzeniem na talerzu, bo mój apetyt gdzieś się ulotnił. Żadna ze spraw, o których mówimy, nie jest tym, po co przyszedłem. Jedyne, czego dokonałem, to otworzyłem na nowo jeszcze nie całkiem zagojone rany po tamtych wyczerpujących dniach. Mimo wszystko naciskam dalej. - Czy to wszystko, co mąż ci powiedział? Picie? I te... dziwaczne telefony?

- No, nie. Było coś jeszcze. - Lanie z namysłem cmoka językiem. Jest bliska ściągnięcia kolejnej zasłony i najwyraźniej zastanawia się, czy powinna. - Na przykład... szachy - ujawnia w końcu.

- Szachy? Co z szachami?

Lanie marszczy w zamyśleniu brwi. Znowu odsuwa włosy do tyłu, wkłada trochę sałatki do ust. Jeszcze muszę przeczekać, aż wypije łyk wody. - Leander miał zwyczaj wpadać do twojego ojca wieczorami, zarówno, kiedy to się działo... jak i potem. Czasem nie uprzedzał go telefonicznie...

- Gdyż chciał sprawdzić, czy ojciec pije - uzupełniam.

- Częściowo być może też. Ale pamiętaj, Talcotcie, że oni byli z innego pokolenia. Dla nich wpadanie bez zapowiedzi było rzeczą normalną między przyjaciółmi. To nie były takie czasy jak dziś, kiedy nikt nie ma w domu porządku umożliwiającego przyjmowanie gości. Dzwonimy, żeby przyjaciele zdążyli wszystko posprzątać. Dawniej domy i życie ludzi były bardziej otwarte. Nie oznacza to, że nikt nie miał tajemnic, tylko sądzono raczej... sądzono, że przyjaciele mogą cię widzieć takim, jakim naprawdę jesteś. Wiesz, co mam na myśli.

- Tak. - Uśmiecham się lekko, mając nadzieję, że się pospieszysz, bo jest kwadrans po pierwszej, a o drugiej ma umówioną pacjentkę. A może moja potrzeba pośpiechu wynika z miejsca, gdzie siedzimy. O kilka przecznic dalej przy Columbia Road znajduje się mieszkanie, które wynajmowałem pod koniec lat osiemdziesiątych i w którym Kimmer czasami sypiała, choć była jeszcze żoną André Conwaya. Prawdopodobnie nawet jedliśmy parę razy ukradkowy posiłek w tym lokalu.

- Mniejsza o to. Zatem Leander wpadał na Shepard Street i zazwyczaj zastawał twojego ojca w tym małym gabinecie, wiesz którym. Zawsze była tam rozłożona szachownica, ta, z której twój ojciec był taki dumny i nieraz chwalił się tymi figurami. No, i kiedy Leander przychodził, Oliver grał sam ze sobą. - Przerzywa i krzywi się. - Nie, to nie tak. Niech pomyślę. Nie znam się za bardzo na szachach, więc trudno mi to sobie przypomnieć. Nie, on nie grał. On próbował... układał zagadki szachowe...

- Zadania.

- Hmm?

- Zadania szachowe. Ojciec lubił... To się nazywa *kompozycja szachowa*. Lubiał komponować zadania szachowe. Można to nazwać jego hobby.

- Słusznie! - Jej twarz się rozjaśnia. - Przypominam sobie. Leander mówił, że to doskonała terapia i powinna bardzo odprężyć twojego ojca, tylko... tylko, że...

- Tylko, że co? - Kończy mi się cierpliwość, podobnie jak czas, i chciałbym, żeby to po prostu powiedziała.

Lanie patrzy mi prosto w oczy. Wyczuła mój nastrój i jest gotowa przedstawić mi prawdę bez żadnych osłonek. - Leander sądził, że Oliver wpadł w obsesję na tym punkcie. To znaczy, na punkcie komponowanych przez siebie zadań szachowych. Nie chciał grać w golfa, gdyż cały czas spędzał przy szachownicy. Ledwo dał się czasem wyciągnąć na pokera. Mówię teraz o

miesiącach po... po problemach z jego nominacją. No, więc Leander chodził na Shepard Street, żeby go odwiedzić. Tam otwierała mu twoja mama, a potem sam szedł do gabinetu. Był najlepszym przyjacielem Olivera, a ten nawet nie wstawał od szachownicy, żeby go przywitać. Nieraz nawet nie podnosił głowy. Stale opowiadał, jak to także w szachach wszystko jest ukarowane, gdyż białe zawsze zaczynają i zazwyczaj wygrywają, a czarne mogą tylko reagować na to, co robią białe. Choćby czarne grały doskonale, to i tak muszą czekać, aż białe popełnią błąd, jeśli chcą w ogóle marzyć o wygranej. - Lanie marszczy czoło, przypominając sobie kolejną sprawę. - Jednak coś mi świta... Leander mówił, iż Oliver dlatego właśnie lubił komponować, bo jest taki specjalny rodzaj zadań szachowych, w którym czarne wykonują pierwszy ruch...

- To się nazywa mat pomocniczy - mówię, chociaż ta dziedzina szachów nigdy mnie nie interesowała. Coś jednak budzi się w mojej pamięci. - Czarne wykonują pierwszy ruch, a potem czarne i białe współpracują, żeby dać mata czarnemu królowi.

Lanie unosi cienkie brwi, żeby dać mi do zrozumienia, co o tym myśli. - W porządku, być może. Rzecz jednak w tym, Talcotcie, że on stale powtarzał, iż to będzie jego odkupienie, że skoro nie mógł wygrać w jednej dziedzinie, wygra w innej. Nie pamiętam tego zbyt dokładnie, ale Leander mówił coś, że twój ojciec pracuje nad rodzajem zadania szachowego, z którym nikt dotychczas sobie nie poradził i uważa, że jeśli potrafi je rozwiązać... czy raczej skomponować... to zrekompensuje to, co stało się z jego nominacją do Sądu Najwyższego. Miało to może związek ze skoczkiem? Podwójny... coś tam. Nie pamiętam, jak to się nazywało. Nie gram w szachy. Jednak Leander mówił, że twój ojciec wydawał się tak zdeterminowany, żeby to zrobić, tak owładnięty tym pomysłem, iż nie miał czasu na nic innego. Zaczęła na tym cierpieć jego praca. Jedyne, co potrafił... co mógł robić, to układać to swoje zadanie. Dlatego właśnie mój mąż sądził, że Oliver przechodził załamanie nerwowe. Tyle w każdym razie mi powiedział. - Patrzy na zegarek, a ja wiem, że czas się skończył.

Kiedy znaleźliśmy się na Columbia Road, dobra, stara Lanie jest znów panią doktor Melanie Cross i widać, że pragnie jak najszybciej uwolnić się ode mnie. Chciałbym ją zapytać, czy słyszała kiedykolwiek, żeby mój ojciec starał się zdobyć broń, albo co go mogło przerazić na rok przed śmiercią, ale nie potrafię tak sformułować pytań, żeby nie zabrzmiały absurdalnie. Odprowadzam ją do samochodu. Nie wracam z nią do Howard, ponieważ od hotelu dzieli mnie tylko dziesięciominutowy spacer w dół wzgórza. Przytrzymuję jej drzwiczki, a ona papie, jak to będzie miło, gdy Bentley spotka się z jej wnukami i szkoda, że nie spotykamy się częściej, na co kiwam głową w odpowiednich momentach. I wówczas nagle nawiedza mnie myśl, która od dłuższej chwili usiłowała dopukać się do mojej świadomości.

- Lanie?

- Hmm? - Prawie już wsiadła do swojego volvo i teraz spogląda na mnie w górę, z zaskoczeniem i tylko odrobiną irytacji. W myślach jest już z powrotem w swoim gabinecie i ma za sobą rozmowę, która zapewne dla niej jest niemal równie bolesna jak dla mnie.

- Lanie, jeszcze jedna rzecz. To zadanie szachowe, o którym opowiadał ci mąż... to, o którym mój ojciec sądził, że wszystko się odmieni, jeśli tylko zdoła je rozwiązać?

- Tak?

- Czy mogłabyś jeszcze raz spróbować przypomnieć sobie, jak ono się nazywało? Mówiłaś podwójny coś tam?

- Ja nie znam się za bardzo na szachach, Tal. - Uśmiecha się, by zamaskować zniecierpliwienie. - Mówiłam ci.

- Wiem, wiem, przepraszam. Lecz czy możesz spróbować przypomnieć sobie, co mówił o tym twój mąż? Proszę cię. Wiem, że się spieszysz, ale to ważne.

Lanie znowu marszczy brwi i patrzy gdzieś w dal. Po chwili potrząsa głową. - Przykro mi, Tal, ale to było zbyt dawno. Wiem, że Leander wspominał tę nazwę, mówił, że twój ojciec stale ją powtarzał. Niestety, szczerze ci mówię, że nie potrafię jej sobie przypomnieć. Leander tak często ją wymieniał, bo ciągle ją słyszał od twojego ojca. Pomyślmy. Może „podwójny ekscelencja” albo „potrójna ekspansja”? Coś w tym rodzaju. - Spogląda na mnie i widzę, że chce jak najszybciej wrócić do swoich obowiązków. - Dziękuję za lunch, Talcotcie, ale naprawdę muszę lecieć.

- Wiem - mruczę w odpowiedzi, czując nagle zniechęcenie. Teraz wszystko mi się przypomina. To zadanie, które ojciec miał nadzieję skomponować. Nieraz o nim ze mną rozmawiał, gdy byłem znacznie młodszy, i wtedy straszliwie mnie to nudziło. Jaka szkoda, że teraz tak niewiele z tego pamiętam. - Dziękuję ci, że próbowałaś mi pomóc. Dziękuję też za twój czas.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Lanie Cross rozpogadza się, kiedy udaje jej się wślizgnąć do środka samochodu. Starannie zamykam za nią drzwiczki. Wówczas ona otwiera okno. - Och, przypominałam sobie jeszcze jedno. Leander mówił, że twój ojciec stale powtarzał, iż ma już dość tego, że białe zawsze pokonują czarne. Zamierzał tak to ułożyć, żeby wygrały czarne.

- Masz na myśli zadanie szachowe? Czarne miały wygrać?

- Tak mi się wydaje. Przykro mi, ale nie pamiętam niczego więcej. - Rzuca mi pospieszny uśmiech. - Zatem ustalmy ostatecznie, że nasze rodziny się spotkają, może w przyszłym roku latem na Marha's Vineyard.

- Byłoby bardzo miło - odpowiadam, ale myślę już o czym innym.

Obserwując, jak volvo włącza się w sznur pojazdów, rozmyślam o swoim ojcu oszalałym ze strachu i wściekłości po fiasku jego nominacji, jak siedzi samotnie noc w noc w małym gabinecie, ignorując wysiłki swoich najdaw-

niejszych i najdroższych przyjaciół, upijając się, pozwalając, żeby zawałiła się wokół niego reszta jego świata, i i próbuje naprawić to wszystko dzięki skomponowaniu specjalnego rodzaju zadania szachowego o nazwie „Podwójny Ekscełsiór”.

ROZDZIAŁ 25

Skromna prośba

(I)

- Chciałbym poprosić cię o przysługę - mruczy wielebny doktor Morris Young.
- Oczywiście - odpowiadam cicho, gdyż doktor Young roztacza wokół siebie aurę spokoju, a jednocześnie wyczuwa się w nim siłę, która skłania wszystkich do wyrażania zgody.
- Mam nadzieję, że to nie będzie dla ciebie kłopotliwe.
- Zależy, na czym ma polegać ta przysługa.

Morris Young uśmiecha się. Kiedy jest zadowolony, jego pomarańczowo-brązowa twarz ze śladami po ospie wydaje się łagodnie zaokrąglona i rzuca ciepłe promienie słonecznego światła na wszystkich w pobliżu. Natomiast kiedy się rozgniewa, ta sama twarz składa się z twardych płaszczyzn, kwadratowych krawędzi i sądów ostatecznych. Włosy ma już siwe i przerzedzone, oczy straciły swą ostrość widzenia i nie pomagają im nawet grube okulary, a usta są wyniośle wypukłe, choć jest niezwykle skromnym człowiekiem. Wprawdzie odznacza się dość znacznym obwodem w pasie, ale w miejscach publicznych pokazuje się wyłącznie w trzyczęściowym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie, na wzór wcześniejszych pokoleń kaznodziejów. Doktor Young niedawno przekroczył siedemdziesiątkę, lecz posiada całą energię ewangelizacyjną epoki kingsleyowskiej teorii chrześcijaństwa. Jest pastorem Zboru Kościoła Baptystycznego, prawdopodobnie najpotężniejszej instytucji ciemniejszej nacji w podzielonym etnicznie Elm Harbor, w związku z czym jest również, i to pod wieloma względami, najbardziej wpływowym czarnym człowiekiem w mieście.

Uważam go ponadto za najwspanialszego człowieka, jakiego znam, poza może moim kolegą Robem Saltpeterem. Właśnie dlatego latem, będąc zagrożony w depresji z powodu stanu mojego małżeństwa, wybrałem go na swojego doradcę rodzinnego. Z tego samego powodu postanowiłem ponownie się do niego udać.

W zeszłym tygodniu wróciłem z Waszyngtonu i natychmiast musiałem stawić czoło rozwścieczonej Kimmer: *Nie wystarczy, że napalasz się na moją siostrę, to musiałeś jeszcze spędzić noc z tą tłustą dziwką, twoją kuzynką!* Najwyraźniej ktoś widział, jak idę z Sally na górę i powiedział komuś

innemu, a tamten kolejnemu, i tak w ciągu pół dnia wieść dotarła do Elm Harbor. Podobnie jak każdy żonaty mężczyzna w Ameryce, który znalazł się w takiej sytuacji, uniosłem ręce w geście błagania o pokój i zapewniałem: *Do niczego nie doszło, kochanie, przysięgam* - co w moim wypadku akurat było prawdą. Jednak Kimmer nie dawała się ugłaskać: *No, i co z tego? Wszyscy myślą, że doszło, a to na to samo wychodzi!* Ubodło mnie, że moja żona mniej się martwi tym, co rzeczywiście zrobiłem, niż tym, co sądzą ludzie. Na dodatek, choć dawno temu uwolniła mnie od ośmieszającej niewoli oczekiwań moich rodziców, teraz zamknęła mnie w ciasnym lochu swoich własnych.

Zaoszczędziłem Kimmer niemiłych szczegółów nocy z Sally. Zatem tchórzliwie przemilczałem to, jak przez pół nocy czuwałem, siedząc w niewygodnym drewnianym foteliku i walcząc z pokusą wyciągnięcia się na drugim łóżku. Powstrzymywała mnie przed tym obawa, że Sally może się obudzić i błędnie zinterpretować sytuację. Nie opowiedziałem również, jak rano nagle się obudziłem, ciągle w tej samej pozycji, czując się, jakbym spędził noc skręcony w jakimś średniowiecznym narzędziu tortur. Usta miałem sklezione, w głowie mi dudniło, a niejasne pożądanie odczuwane w nocy stało się odległym, niezbyt przyjemnym wspomnieniem. Moja kuzynka nadal spała. Oddychała regularnie i w bezlitosnym dziennym świetle znów wyglądała na zwykłą, tęgą Sally Stillman. Nie czułem żadnych oporów przed tym, żeby chwycić ją za ramię i obudzić. Nie była już dowcipna, śliczna czy śmiała - miała czerwone, zapuchnięte oczy, rozczochrane włosy i martwiła się, że nie zdąży do pracy oraz że przyłapie ją Bud, który najwyraźniej odgrywa w jej życiu większą rolę, niż chciała przyznać. Robiła, co mogła, aby jak najszybciej opuścić mój pokój. Jej płaszcz został niestety w szatni na dole, toteż musiałem pożyczyć jej prochowiec, aby zakryć wymiętą sukienkę. Obiecała, że odeśle go przez Federal Express. Spędziła jeszcze pięć minut w łazience, aby - jak to ujęła - twarz doprowadzić do porządku, po czym wyszła. Dopiero się okaże, czy razem z nią nie zniknęła również moja opinia wiernego małżonka.

Na razie moje życie trwa. Naprzód i w górę! Dziś rano w budynku Oldie odbyłem krótkie i poważne spotkanie z dwoma spokojnymi agentami FBI, tym razem w związku ze sprawdzaniem przeszłości mojej żony. Z Kimmer rozmawiano dwukrotnie i jest bardzo tym wszystkim podniecona. Uważa, że rokowania mogą mimo wszystko być pomyślne, jeśli tylko, jak to ujmuje, pozostaniemy na tej samej stronie. Przy śniadaniu zostałem szczegółowo poinstruowany na temat tego, co mam powiedzieć, a o czym nie wspominać. Nie życzy sobie, żeby w oficjalnych aktach znalazły się jeszcze jakieś wzmianki o *ustaleniach*. Czułem się zbyt wyczerpany, żeby się sprzeczać, a poza tym naprawdę chcę, żeby otrzymała to, na czym jej tak zależy. W związku z tym starałem się przestrzegać scenariusza.

- Znamy się od dawna, Talcotcie - mówi teraz do mnie doktor Young, pochylając się i splatając dłonie na powierzchni swojego nieskazitelnego biurka. Jego biuro w podziemiach kościoła jest ciasne i duszne, a nawiew ciepłego powietrza hałasuje. Pocę się, natomiast doktor Young nie. Ma starannie zawiązany krawat, a jego koszula wygląda, jakby ją niedawno włożył, choć jest już popołudnie. - Ile to już lat?

- Od chwili, gdy chłopcy zrobili ze mnie głupca.

Chichocze. - Oni nie zrobili z ciebie głupca, Talcotcie. Człowiek może tylko sam z siebie zrobić głupca. Oni po prostu potraktowali cię tak, jak traktują wszystkich autsajderów. Poza tym - unosi pulchną dłoń, aby powstrzymać mnie przed wtrąceniem się - możesz być pewien, że nieźle im za to zmyłem głowy. Wiesz, czego nauczamy w ramach naszego programu. Zrozumienia, że każda istota ludzka, którą spotykamy, biała, czarna, brązowa czy żółta, biedna, bogata czy średniozamożna, policjant czy handlarz narkotyków, pomagająca nam czy nas raniąca, każda bez wyjątku jest stworzona na podobieństwo Boga i dlatego naszym zadaniem jest szukać tego podobieństwa podczas każdego spotkania.

- Chyba już to słyszałem poprzednio, doktorze Young. - Teraz moja kolej na uśmiech.

- Wiem, przypominam zepsutą płytę. Ale rozumiesz, jak to jest z chłopcami.

- Rozumiem - zapewniam go i w tej chwili wołałbym rozmawiać o chłopcach biorących udział w jego programie rozwijania umiejętności życiowych poprzez wiarę, niż o czymkolwiek innym, chociaż w pewnym momencie będziemy musieli przejść do tematu... cóż, mojego małżeństwa. Staram się być cierpliwy i spokojny, a Kimmer z rozpaczliwym zdenerwowaniem w oczach stale mnie ponagla. Natomiast doktor Young pomaga mi na swój jowialny, ewangelicki sposób. Jego przypomnienie o chłopcach także mi pomaga.

- Poczyniliśmy pewne postępy - mruczy, a ja początkowo nie wiem, czy mówi o mnie, czy o chłopcach. Znowu pochyla się w moim kierunku, a w jego brązowych oczach widać blask. - Jednak musisz zrozumieć, Talcotcie, że jedyne, czego tych młodych ludzi nauczył świat, to nieufność. Wiesz, ilu z nich w ogóle widuje swoich ojców? Jeden na dziesięciu. Wiesz, ilu z nich ma braci lub przyjaciół, którzy sprzedają narkotyki? Około dziewięciu na dziesięciu. Połowa z nich była już aresztowana. Niektórzy siedzieli w więzieniu. Żaden nie miał prawdziwej pracy dłużej niż przez kilka miesięcy. Oni nawet nie mają pojęcia, czym jest praca. Uważają, że szef ich poniża, kiedy mówi im, co mają robić. Traktują klientów jak wrzód na tyłku. Nie mają żadnego wykształcenia, o którym warto by wspomnieć. Szkoły ich zawiodły. Ich matki wpadły w sidła opieki społecznej, ale cóż innego mogły zrobić. Więc chłopcy się bronią. Nienawidzą białych ludzi, a jednocześnie ich się boją.

Czarnych, którzy odnieśli sukces - celuje we mnie pulchnym palcem - też nienawidzą, lecz ich się nie boją. Oni nienawidzą całego świata, Talcotcie, za to, że zostawiono ich na pastwę losu, a przedtem tak samo zostawiono ich matki i babki. Jak mają dostrzec Boga w innych? Oni Go nie widzą nawet w sobie.

- Z pewnością już pan o tym wspominał, pastorze.

Morris Young kiwa z zadowoleniem głową. Jego twarz się odpręża, przybierając normalny dla niego wyraz spokoju. Znam go od około sześciu lat, od chwili, gdy zaprosił mnie, żebym porozmawiał z młodymi Murzynami biorącymi udział w jego programie dla zagrożonych dzieci. Przygotowałem półgodzinny wykład o kilku bohaterach ruchu praw obywatelskich. To była katastrofa. Młodszy chłopcy drzemali, ci wchodzący w wiek dojrzewania szeptali do siebie, zasłaniając usta dłońmi, a starsi nastolatki, obciążeni złotem i koniecznością zachowania odpowiedniej pozy, ostentacyjnie okazywali znudzenie. Żaden z nich nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany niczym, co wykraczało poza jego bezpośrednie doświadczenia. Kiedy czas miłosiernie dobiegł końca, doktor Young potrząsnął głową i powiedział do mnie: *Witaj w realnym świecie*. Kilka miesięcy później namówiłem Lemastera Carlyle'a, byłego prokuratora, żeby opowiedział tym samym chłopcom o systemie wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych. Stałem z tyłu i obserwowałem, jak potrafi ich wciągnąć we wszystkie zagadnienia, od sposobu, w jaki postrzegają ich członkowie ławy przysięgłych (*Jeśli wejdiesz na salę sądową takim krokiem, jak wszedłeś tutaj, to w ciągu dwóch minut orzekną, że jesteś winny*) do unikania postrzelenia przez policję (*Jeśli będziesz odpowiadał „Tak, proszę pana” i „Nie, proszę pana” oraz tak trzymał ręce, żeby policjant je widział, to masz znacznie większe szanse zostać przy życiu, niż gdy powiesz „Złaż z mojej twarzy”, nawet jeśli rzeczywiście będzie na niej stał*). Nie nazwałbym wystąpienia Lema porywającym, ale chłopcy zapalali do niego taką sympatią, jakiej mnie nigdy nie udało się w nich wzbudzić. Od tamtej pory przemawiam do nich co najmniej dwa razy na rok, a Lem, gwiazda wieczornych wiadomości, pojawił się jeszcze tylko raz, a jednak to jego pamiętają.

No, dobrze, dobrze, jestem zazdrosny.

Teraz, siedząc w kościelnej piwnicy, wymieniam z doktorem Youngiem dalsze uprzejmości i czekam, kiedy przejdzie do sedna. Zdążył już wygłosić odpowiednie słowa pociechy w związku ze śmiercią mego ojca i Freemana Bishopa. Wiedział, że był on pastorem naszej rodziny, podobnie jak wie chyba wszystko o każdym Afroamerykaninie mieszkającym w naszym mieście. Zapytał o moją żonę i syna, a ja odwzajemniłem się pytaniem o jego żonę i trzy córki, z których najstarsza studiuje prawo na pierwszym roku uniwersytetu stanowego. Zawsze podziwiałem doktora Younga, że nie prosił mnie o pomoc w załatwieniu jego córce przyjęcia do naszej szkoły prawni-

czej oraz za to, że uprzejmie odmówił, kiedy sam mu ją zaoferowałem. *Pan obdarzył Patricię pewnymi talentami i zajdzie tak daleko, jak jej zdolności i osiągnięcia pozwolą, ku chwale Pana.*

Nasza szkoła odrzuciła jej podanie.

- Zatem - mruczy wielebny - chyba pora wrócić do twoich klótni z żoną.
- Proszę bardzo.
- Sądzę, że się zgodzisz, Talcotcie, że to, co zrobiłeś, było niemądre?
- Tak.
- Kobieta w twoim pokoju hotelowym - dodaje.
- Zdaję sobie sprawę, że to był błąd. Nie myślałem wówczas zbyt jasno.

Przytakuje ruchem głowy. - Wiesz co, Talcotcie, mój wieloletni przyjaciel, dobry chrześcijanin i także pastor, nigdy nie pozostaje sam na sam z żadną kobietą, poza swoją żoną. Ani przez chwilę. Jeśli gdzieś wyjeżdża, to prosi, żeby z lotniska odebrał go mężczyzna. Jeśli udziela porad parafiance, to dba o to, by była obecna także diakonisa albo jego żona. Zawsze. W ten sposób unika nawet cienia skandalu.

Powstrzymuję się od uśmiechu. - W mojej części świata to by się raczej nie sprawdziło. Nazwano by to dyskryminacją ze względu na płeć.

- Dziwna część świata. - Mam wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale decyduje się nie kontynuować tego tematu. - Jednak, jak wspomniałem, łatwo zrozumieć gniew twojej żony, prawda? Zraniłeś ją, zaszkodziłeś jej reputacji...

Nagle stwierdzam, że nie potrafię się opanować. - Jej reputacji! To ona ma romanse, nie ja! Nie ma prawa się gniewać tylko dlatego... tylko dlatego, że ludzie *sądzą*, iż ja też mam!

- Talcotcie, Talcotcie. Gniew nie jest prawem. Gniew to uczucie.

Wypływa ono z naszego cierpienia lub strachu, których my, ułomne istoty, doświadczamy w nadmiarze. Grzechy i słabości twojej żony nie dają ci prawa do sprawiania jej dalszych cierpień. Jesteś jej *mężem*, Talcotcie. - Splata dłoń i pochyla się nad biurkiem, a ja również przysuwam się bliżej do niego. - Wiesz, prosiłem cię już o kilka przysług na rzecz chłopców i zawsze byłeś bardzo wielkoduszny.

Krzywię się. Jedną z tych przysług było opiekowanie się chłopcami, wraz z kilkorgiem innych dorosłych, podczas wycieczki na plażę. Wyprawa ta ostatecznie mnie przekonała, że nic sobie ze mnie nie robią. Potem wiosną przekonałem swojego słynnego studenta Lionela Eldridge'a, byłą gwiazdę koszykówki znaną jako Słodki Nellie, żeby przyszedł porozmawiać z chłopcami. Płacę za to do dziś, gdyż Lionel najwyraźniej uznał, że skoro wyświadczył mi przysługę, to nie musi kończyć swojej pracy seminaryjnej... od wiosny.

- Dziękuję, doktorze Young, ale to nic wielkiego.
- Gromadzisz sobie skarby w Niebie, chwalmy Boga. Jesteś dobrym

człowiekiem, a Pan ma dla ciebie ważne zadanie do wykonania.

Kiwam potakująco głową, ale się nie odzywam. Wprawdzie każdy chrześcijanin rozumie, że Bóg kieruje naszymi krokami, ale coraz rzadziej ktoś o tym wspomina na głos. Myśl o Bogu przejawiającym aktywną działalność w świecie budzi w nas niepokój. Wolimy, żeby był odległy i elastyczny, skłonny pochylić się z życzliwością nad każdym nowym pomysłem ludzi. Bóg posiadający własną wolę jest zbyt przerażający, a ponadto mógłby nam przeszkadzać w zaspokajaniu nagłych pragnień. Tak w każdym razie pisał mój ojciec.

- Jednak ta kolejna przysługa... to przysługa, którą chciałbym, abyś wyświadczył sobie. - Doktor Young odchyła się do tyłu na skrzypiącym krześle. - Widzisz, Talcotcie, kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do mnie po radę, powiedziałeś, że przypuszczasz, iż twoja żona ma romans. Prosiłeś ją, żeby przyszła wraz z tobą i ona odmówiła, więc przyszedłeś sam. Pamiętasz? A jednak, chwalcmy Pana, jesteście nadal razem, a ty osobiście jesteś zdecydowany pozostać przy swojej żonie, dopóki śmierć was nie rozłączy, tak jak naucza Pismo Święte.

- Owszem.

- Albo dopóki *ona* nie opuści *ciebie*.

Przelykam ślinę. - Tak.

- Jesteście jednym ciałem, Talcotcie, ty i twoja żona. To jest małżeństwo chrześcijańskie.

- Wiem.

- Zatem może nadeszła pora, żebyś przebaczył jej w swoim sercu.

- Przebaczył jej...

- Jej grzechy przeciw tobie. Prawdziwe lub urojone.

To niespodziewany strzał, a on na dodatek oddaje go z uśmiechem. - Co pastor przez to... kiedy wielbny mówi *urojone*, czy sugeruje wielbny, że ja...

Splata pulchne dłonie na kolanach i obraca się na krześle to w jedną, to w drugą stronę. - Talcotcie, przyszedłeś do mnie latem i powiedziałeś, że twoja żona wdała się w romans ze współpracownikiem. Jednak z tego, co widzę, nie masz na to żadnych dowodów.

- Może nie mam dowodów, które wystarczyłyby w sądzie, ale... no, cóż, mąż po prostu wyczuwa coś takiego...

- Talcotcie, Talcotcie. Posłuchaj. Powiedziałeś mi, że ona zazwyczaj pracuje do późna. Powiedziałeś, że często nie ma jej przy biurku, kiedy dzwonisz, nieraz całymi godzinami. Często wyjeżdża z miasta wraz z szefem i odbywa z nim dużo spotkań podczas podróży. Czy to niemożliwe, że jest po prostu ciężko pracującą prawniczką, oddaną swojej pracy i cieszącą się zaufaniem swojego przełożonego? Gdyby mężczyzna pracował w tych samych godzinach w tej samej firmie i robił te same rzeczy, czy wnioskowałbyś z tego, że ma romans ze swoim szefem?

Nie lubię, kiedy ktoś mnie osacza w taki sposób, a doktor Young jest w tym mistrzem. - Zapomina pastor o tych ukradkowych rozmowach telefonicznych...

- Nie, nie zapomniałem. Mówisz, że kiedy jecie obiad lub leżycie w łóżku i dzwoni telefon, twoja żona odbiera go i mówi „Przepraszam, Jerry, nie mogę teraz rozmawiać”. A kiedy pytasz, o co chodziło, odpowiada coś w rodzaju „Och, nie chciałam, żeby nam zakłócano nasz wspólnie spędzany czas”.

- Zgadza się.

- Jedno wytłumaczenie to takie, że ona i Jerry - czy ktokolwiek w rzeczywistości znajduje się na drugim końcu linii - utrzymują cudzołożny związek. Istnieje jednak i drugie, że po prostu mówi prawdę. Nie chce psuć tego tak cennego czasu spędzanego z tobą i synem, wdając się w długie rozmowy telefoniczne.

Potrząsam głową, przekonany, że to nie może być takie proste, lecz jednocześnie zaczynają mnie nękać wątpliwości. - Ja... musiałby pastor znać Kimmer. Ona jest całkowicie oddana swojej pracy. Z pewnością nie zawahałaby się poświęcić naszego wspólnego czasu na rozmowę w sprawach zawodowych.

- Talcotcie, Talcotcie. - Uśmiecha się dobrodusznie. - Może twoja żona wyczuwa w waszym małżeństwie te same napięcia, co ty. Może sądzi, że to częściowo jej wina, wina jej sposobu pracy. Może na swój sposób stara się to naprawić.

- Nie wiem...

- I właśnie o to chodzi - wytyka mi, jak doświadczony prawnik. - O to mi właśnie chodzi. Nie wiesz! - Podniecony, pochyla się nad biurkiem, co nie jest łatwym wyczynem dla człowieka o jego rozmiarach.

- Nie wiesz na pewno, czy ona ma romans ze swoim szefem. Nie wiesz na pewno, czy w ogóle miała jakiegokolwiek przygody pozamałżeńskie. Oprócz tej jednej, oczywiście.

- Jakiej jednej?

- Ponad dziesięć lat temu, Talcotcie, w Waszyngtonie. Kiedy była żoną André. Mam na myśli jej romans z tobą.

Krzywię się. Ten strzał był celny. Podobno doktor Young uprawiał boks, kiedy był w wojsku w latach pięćdziesiątych. Łatwo mi w to uwierzyć, bo ma bokserski umysł i umiejętność robienia uników i zadawania suchych ciosów, dopóki nie znajdzie dogodnej pozycji do wyprowadzenia prawego prostego.

- Nie bardzo rozumiem, co to ma za związek z moimi problemami?

- Może nic, a może wszystko. Czy nie zakładasz przypadkiem, że twoja żona z jakimś mężczyzną zrobi ci to samo, co wy zrobiliście jej pierwszemu mężowi?

Znowu celny cios! Odrzuca mnie na liny, a przez głowę błyskawicznie przebiega mi ciąg wspomnień. Spotykaliśmy się z Kimmer podczas pierwszego roku nauki w szkole prawniczej, ale latem ze mną zerwała dla kolegi z grupy. Na trzecim roku wróciliśmy do siebie, po czym na trzy miesiące przed otrzymaniem dyplomu znów spodobał jej się inny student. W Waszyngtonie przez dwa lata umawiała się jednocześnie ze mną i dwoma innymi mężczyznami, a kiedy zredukowała tę liczbę do dwóch, ja zostałem wykluczony z gry. Rok później poślubiła jednego z finalistów

- André Conwaya, wcześniej Artisa, asystenta produkcji w jednej ze stacji telewizyjnych, marzącego o karierze wielkiego dokumentalisty. W tym czasie ja też nie stałem w miejscu. Wraz z moją nową dziewczyną, Melody Merriman, dziennikarką wywodzącą się z ciemniejszej nacji, snuliśmy nawet plany małżeńskie. Jednak zaledwie w rok po zamążpójściu Kimmer wdała się w burzliwą pozamałżeńską przygodę miłosną... ze mną. W rezultacie porzuciła Arrisa-André, ja zerwałem z Melody i wybuchł skandal. To też kiedy kilka miesięcy później zadzwonił Stuart Land z propozycją nauczania, postanowiłem zrezygnować z praktyki prawniczej, którą tak lubiłem, gdyż zaczynałem nienawidzić Waszyngtonu. Ojciec był zachwycony, ja natomiast nie miałem całkowitej pewności, czy chcę być wykładowcą. Prawdopodobnie na moją decyzję wpłynęła w pewnej mierze chęć ucieczki przed plotkarskim Złotym Wybrzeżem. Jednocześnie miałem nadzieję, że Kimmer podąży za mną i w ten sposób udowodni, że jej zależy na naszej wspólnej przyszłości.

Ku mojemu zdumieniu rzeczywiście przyjechała, a co jeszcze bardziej mnie zaskoczyło, zgodziła się za mnie wyjść. Natomiast macierzyństwo odkładała aż do chwili, gdy zaczęła się obawiać, że jej zegar biologiczny może przestać tykać. Potem Bóg obdarzył nas Bentleyem.

Przez niemal dziewięć lat naszego małżeństwa nie zastanawiałem się nad tym, co Kimmer i ja... *zrobiliśmy*, tego słowa użył doktor Young... co *zrobiliśmy* André Conwayowi. A także, co ja zrobiłem Melody Merriman, o czym zapewne pastor również za chwilę wspomni.

Z trudem wydobywam z siebie następne słowa. - Zatem... sugeruje pastor, że ja... że ja po prostu przenoszę...

Doktor Young przerywa mi ruchem ręki. - Talcotcie, posłuchaj mnie. Posłuchaj uważnie. Czy prosiłeś Pana, by wybaczył tobie i twojej żonie krzywdę, jaką wyrządziliście jej pierwszemu mężowi?

Kiwam powoli głową. - Tak, wielokrotnie. - Przysmykam na chwilę oczy. Wentylator wydaje krótki, gniewny jęk. - Jednak, szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy... czy sam sobie wybaczyłem.

Morris Young jest zbyt doświadczony, by dać się odwieść od tematu autoanalizy wyznaniem. - Jeżeli chcesz, możemy zająć się tym później. W tej chwili bardziej mnie interesuje, czy wybaczyłeś swojej żonie.

- Te wymaginowane zdrady?

Potrząsa przecząco głową. Telefon na biurku zaczyna dzwonić, ale nie zwraca na niego uwagi. - Krzywdę, jaką wyrządziła swojemu pierwszemu mężowi.

Otwieram usta, zamykam, próbuję ponownie. - Pastor sądzi, że jestem wściekły na Kimmer za to, że zdradzała André ze mną?

- Wściekły? Nie mam pojęcia. Zastanawiam się natomiast, czy w pewnym sensie nie zamroziłeś Kimmer w tamtej chwili. Szczerze mówiąc, potrafił ją postrzegać wyłącznie jako wiarołomną żonę. - Telefon przestał dzwonić. - Według ciebie zatrzymała się na etapie tamtego wzorca zachowań. Tymczasem życie chrześcijanina polega na nieustannym rozwoju. Może powinieneś dać jej szansę pokazania, że dorosła.

- Sądzi pastor, że tak bardzo się zmieniła?

- Czy ty kiedykolwiek zdradziłeś swoją żonę?

- Doskonale pastor wie, że nie!

- Zatem ty się zmieniłeś, Talcotcie, prawda? Być może twoja żona również potrafi się zmienić. Wasze tempo może być różne, ale zdolność do zmian taka sama.

Zaczynam rozumieć. Powoli dociera do mnie, co mi chce powiedzieć. - Uważa pastor, że patrzę na nią z góry?

Sądzę, że czasem twoja małżeńska wierność staje się murem, który was rozdziela. Może masz rację i rzeczywiście cię zdradziła. A jak ty zareagowałeś? Czy nie wykorzystałeś własnej cnoty, by trzymać żonę na dystans? Pamiętaj, Talcotcie, że jej grzechy są inne niż twoje, lecz niekoniecznie gorsze, oraz że obiecałeś kochać ją na dobre i na złe. - Milknie na chwilę, żebym miał czas na przyswojenie sobie tych słów. - Zrozum mnie. Ja nie rozgrzeszam twojej żony. Kto wie, czy nie utrzymuje pozamałżeńskiego związku z panem Nathansonem albo z kimś innym. Jednak tym, co się obecnie liczy, jest twoje własne postępowanie. Jeśli twoja żona błądzi, nadejdzie właściwa pora, by zająć się jej zachowaniem. Natomiast w tej chwili chciałbym cię prosić o przysługę: żebyś do naszego następnego spotkania starał się traktować Kimberly tak, jak sam chciałbyś być traktowany. Na pewno pamiętasz Złotą Zasadę? Dobrze. Uważasz, że twoja żona powinna rozstrzygnąć wątpliwości na twoją korzyść. W takim razie ty powinieneś wyświadczyć jej tę samą grzeczność. Kimberly jest twoją żoną, a nie osobą podejrzaną o jakies przestępstwo. Nie powinieneś starać się przyłapać ją na kłamstwach lub udowodnić, że jesteś od niej lepszy. Twoim zadaniem jest kochać ją najmocniej jak potrafisz. Pismo Święte mówi, że mąż jest głową żony, lecz jednocześnie wyjaśnia, że w takim sensie, w jakim Chrystus jest głową Kościoła. A jak Chrystus kocha swój Kościół, Talcotcie? Bezwarunkowo, wybacząco i z poświęceniem. Mąż ma obowiązek tak samo kochać żonę, tym bardziej, że nie wiesz na pewno, czy zrobiła ci coś złego. Obydwoje skrzywdzili-

ście jej pierwszego męża i być może krzywdzisz ją teraz swoimi podejrzeniami. Przysługa, o którą chcę cię prosić, polega na tym, żebyś do naszego następnego spotkania starał się jak najusilniej kochać swoją żonę w taki sposób. Bezwarunkowo, wybacząco i z poświęceniem. Czy możesz powtórzyć te słowa, Talcotcie?

- Bezwarunkowo - mówię niechętnie. - Wybacząco - ciągnę nieszczęśliwy - i z poświęceniem - kończę zrezygnowany.

Twarz wielebnego Younga rozpromienia się w szerokim uśmiechu. - Nie lękaj się, Talcotcie. Niech Pan doda ci siłę, żebyś zdołał spełnić swój obowiązek. Pomódlmy się razem.

Tak też robimy.

(II)

Dziewięć Linde przylapuje mnie, gdy wbiegam po schodach do budynku Oldie. Od powrotu z Vineyard z powodzeniem jej unikałem, tyle że wymagało to opuszczania spotkań kadry profesorskiej, warsztatów i wykładów. Nie jestem pewien, co mną kierowało - gniew, strach, zawstydzenie czy inne uczucia, których nie udało mi się rozpoznać. W każdym razie w tej chwili szczęście mnie opuściło.

- Talcotcie, dobrze, że cię widzę. Miałam nadzieję, że gdzieś na ciebie wpadnę.

Stoi wyżej ode mnie, więc muszę podnieść głowę, a ona może spojrzeć na mnie z góry. Towarzyszy jej Ben Montoya, wysoki, niezmordowany totumfacki, zatrudniony jednocześnie w szkole prawniczej i na wydziale antropologii. Podobno to Ben zajął się logistyczną stroną spisku, który doprowadził do pozbawienia Stuarta Landa stanowiska dziekana, a teraz nadal jest narzędziem w rękach Lyndy, za którą wykonuje najmniej przyjemne zadania. Stoimy w trójkę na schodach, a wokół nas miękko wirują pierwsze w tym roku płatki śniegu. Podejrzliwe oczy Bena wpatrują się we mnie badawczo nad podniesionym kołnierzem puchowej kurtki.

- Cześć, Lyndo. - Zwalniam, lecz się nie zatrzymuję. - Cześć, Ben.

- Talcotcie, poczekaj - mówi rozkazującym tonem moja pani dziekan.

- Mam teraz dyżur.

- Wystarczy mi minutka. Benie, idź już, za chwilę cię dogonię. - Ben rzuca mi ostatnie gniewne spojrzenie i posłusznie odchodzi, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie.

Zatem zostaliśmy sam na sam.

Dziewięć Linde jest energiczną kobietą z niemodnie długimi, siwiejącymi włosami. W tej chwili ma na sobie lekki płaszcz włożony na jedną ze swych babcinych sukienek, a na głowie sterczy jej zawadiacko czarny beret. Jest

dumna ze swej reputacji ekscentryczki. Teraz zakłada ręce na piersi, cmoka językiem i potrząsa głową.

- Idziemy właśnie do rektora, żeby porozmawiać o budżecie - wyjaśnia mi.

- Rozumiem. Powodzenia. - Pokonuję następny stopień w górę, ale zatrzymuje mnie ruchem dłoni. Nabieram nagle przekonania, że chce ronie zapytać, czy naginam swoją wiedzę naukową dla potrzeb klienta.

- Talcotcie, Talcotcie, Talcotcie - mruczy, mierząc mnie wzrokiem zza okularów w stalowych oprawkach. - Co ja mam z tobą zrobić?

- A o co chodzi?

- Podobno odwołałeś kolejne zajęcia w zeszłym tygodniu.

- Byłem w Waszyngtonie, Lyndo, na konferencji w sprawie deliktów. Studentów powiadomiłem kilka tygodni wcześniej.

Jednak to jej nie ułagodziło. Wydyma wąskie wargi w wyrazie dezaprobaty. - To łącznie ile zajęć opuściliś? Ben mówił mi, że siedem lub osiem.

Dobry stary Ben.

- Jest moim prodziekanem, Talcotcie. Po prostu wykonuje swoją pracę. - Strzepuje śnieg z kłapy płaszcza. - Jeśli któryś z moich wykładowców nie pracuje jak należy, muszę o tym wiedzieć. - *Mój prodziekan, moi wykładowcy.* Wcześniej nie uświadamiałem sobie, jak bardzo Lynda przypomina mi Mallory'ego Corcorana.

- Lyndo... sama kazałaś mi wziąć wolne.

- No, a ty oczywiście mnie posłuchałeś, prawda? - Znów cmoka językiem. - Muszę ci wyznać, Talcotcie, że zaczynam się trochę o ciebie niepokoić.

- Niepokoić... o mnie?

W milczeniu kiwa głową, czekając, aż minie nas grupka roześmianych studentów. Wszyscy są biali. To gwiazdy przeglądu prawniczego, ulubieńcy wykładowców. To oni zdobędą najbardziej upragnione aplikantury sędziowskie oraz posady wykładowców w naszej szkole. - Musisz przyznać, Talcotcie, że twoje zachowanie stało się ostatnio trochę dziwaczne.

Skonsternowany, uświadamiam sobie, że Lynda kontynuuje naszą rozmowę z Vineyard i nadal stara się zdobywać punkty dla Marca. Tylko dzięki temu, że przed chwilą rozmawiałem z doktorem Youngiem, udaje mi się utrzymać nerwy na wodzy. - Nie pozwolę, Lyndo, żebyś mi to zrobiła.

W błękitnych oczach, jasnych jak poranek, pojawia się wyraz urażonej niewinności, a dłoń przyłożona do serca ma świadczyć o szczerości jej słów.

- Ja niczego ci nie robię, Talcotcie. Martwię się tylko krzywdą, którą sam sobie wyrządzasz. - Poklepuje mnie po ręce. - Należysz do rodziny, Talcotcie, wiesz o tym. Pragnę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.

- Rozumiem.

- Dlaczego mówisz to takim ironicznym tonem?

- Dlatego, że i tak przyczepisz się do wszystkiego, co powiem?

Wyraz jej oczu błyskawicznie twardnieje. Lynda Wyatt nie należy do osób, którym można bezkarnie krzyżować plany, a ja zrobiłem to już dwukrotnie. - Naprawdę, nie zasłużyłam na takie traktowanie. Staram się pomóc.

Chciałbym się powstrzymać, ale pokusa jest zbyt silna. - Doprawdy, Lyndo? A komu właściwie próbujesz pomóc?

Po raz pierwszy w okresie naszej trzyletniej znajomości jestem świadkiem sytuacji, w której Lyndzie zabrakło słów. Jej usta przybrały kształt małego „o” wyrażającego obrazę, a na policzki wypłynął rumieniec wściekłości. Kładzie dłonie na biodrach, lecz ja, nie czekając na jej ripostę, wymijam ją i wchodzę do budynku.

Szybkim krokiem przechodzę przez hol, trochę zmartwiony swoim niegrzecznym zachowaniem. Wyobrażam też sobie, że rozzłoszczona Lynda Wyatt może mnie dogonić i oświadczyć, iż szkoła nie chce już ze mną współpracować. Idąc, zauważam kątem oka, że koło schodów opiera się o ścianę mój student Lionel Eldridge, a stojąca obok przedstawicielka jaśniejszej nacji wpatruje się w niego pełnym podziwu wzrokiem. Z zaskoczeniem stwierdzam, że tą wielbicielką jest Heather Hadley, córka Marca z pierwszego małżeństwa, która zazwyczaj spędza czas ze swym ponurym przyjacielem Paulem. Upewniam się jeszcze, czy dobrze widzę. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, na czym polega magnetyzm Lionela, znanego niegdyś milionom kibiców koszykówki jako Słodki Nellie, chociaż nawet Kimmer, której firma zatrudniła go zeszłego lata na moje usilne prośby, przyznaje, że jest on wspaniały. Plotki głoszą - a Droga Dana je rozpowszechnia - że młody pan Eldridge zdążył już dokonać poważnej liczby podbojów wśród studentek. Kiedy teraz patrzę na tak wyraźnie nim zauroczoną Heather, zastanawiam się złośliwie, co wielki liberał Marc powie na romans swojej ukochanej cudownej córki z żonatym, niespecjalnie sobie radzącym z nauką i bardzo czarnym Słodkim Nelliem. Okrażam ich i kieruję się ku schodom. Lionel obdarza mnie olśniewającym uśmiechem, dzięki któremu nadal zarabia miliony na reklamach, mimo że z powodu kontuzji kolana musiał zrezygnować z gry po zaledwie siedmiu występach w zespole All Stars NBA. Nie odwzajemniam jego uśmiechu. Nie kiwam mu ręką. Nellie może i zdobył średnio dziewiętnaście punktów w meczach, które rozegrał w trakcie swej kariery, jak napisał w podaniu o przyjęcie na uczelnię, ale tu w Oldie jest tylko studentem, który nadal nie oddał mi pracy semestralnej.

Na schodach spotykam Roba Saltpetera i Lemastera Carlyle'a, którzy z książkami pod pachą idą na zajęcia. Rob korzysta podczas wykładów z programu PowerPoint, toteż niesie dodatkowo laptop. Wita mnie jak zwykle wylewnie, natomiast Lem tylko przelotnie się uśmiecha i mija mnie równie szybko jak ja Eldridge'a. Zazwyczaj zachowuje się tak przyjacielsko, że teraz

patrzę za nim przez chwilę zaniepokojony. Zmuszam się jednak, by powrócić myślą do kwestii Lionela i Heather. Otwierając drzwi do gabinetu, zastanawiam się, czy to jest może ten trup w szafie, o którym mówił Jack Ziegler. Czyżby to właśnie przysparzało obecnie zmartwień Marcowi i Dahlii? Czy krążą jakieś plotki o związku tych dwojga? Jednak to mało prawdopodobne, by taka sprawa mogła stać się skandalem. Nawet w Waszyngtonie, gdzie w okresie zatwierdzania nominacji niemal wszystkie chwytły są dozwolone, nikt jeszcze nie uciekł się do wyciągania na światło dzienne życia miłego dzieci kandydatów. Mimo wszystko...

Przestań!

Jestem zbyt zajęty, by rozmyślać o takich bzdurach, upominam się, ciężko siadając na krześle przy biurku. Muszę napisać coś ważnego. Jeśli dobrze pomyślę, to może sobie nawet przypomnę, co to jest. Nadal jeszcze przywołuję się do porządku, kiedy dzwoni Cassie Meadows, żeby zapoznać mnie z najświeższymi informacjami.

- Pan Corcoran ocenia szanse twojej żony na pięćdziesiąt procent - przekazuje mi niezbyt optymistyczną wiadomość. Wypowiedzenie dalszego ciągu najwyraźniej sprawia jej trudność. - On uważa, że mogą się zwiększyć, jeśli... no, jeśli... jeśli zaprzestasz swoich *poszukiwań*.

- Przerywa, po czym wyrzuca z siebie resztę: - Ja jestem obecnie w niełasce. Wściekł się na mnie za to, że... tylko nie zrozum źle jego słów... powiedział, że zbyt poważnie potraktowałam twoje pomysły. Powiedział... pewnie nie powinnam ci tego powtarzać... powiedział, że to stawia firmę w złym świetle.

Udaje mi się zachować chłodny ton. - A dlaczego *pan* Corcoran sam do mnie nie zadzwonił?

- Nie wiem, może był zajęty. - Ale ja wiem. Zlecając Meadows przywołanie mnie do porządku, wujek Mal może wyprzeć się w razie potrzeby, że coś takiego mówił. Jednocześnie jest to kara dla Meadows, gdyż nikt nie lubi przekazywać złych wieści. - W każdym razie powiedział, że pogłoski o twoich poszukiwaniach zataczają coraz szersze kręgi, a to... no, cóż, to nie pomaga twojej żonie.

- Rozumiem.

- On chyba chce, żebyś obiecał, że przestaniesz.

- Niewątpliwie.

Meadows wzdycha, być może z ulgą. Przekazała złe wieści i nadal żyje. - Zatem, co zamierzasz?

- Zamierzam pograć w szachy.

(III)

W trakcie dyżuru przychodzi do mnie kilkoro studentów, a w przerwach między spotkaniami staram się wyzbyć gniewu z serca. Kiedy jestem już gotów ruszyć do dalszych zajęć, dzwoni telefon; numer widoczny na wyświetlaczu wskazuje, że rozmówca znajduje się w Waszyngtonie. Najpierw nie mam zamiaru podnosić słuchawki, gdyż sądzę, że to wujek Mal, po chwili stwierdzam, iż to bez różnicy.

Jest to agent specjalny Nunzio.

- Chciałem tylko panu powiedzieć, że ustaliliśmy pochodzenie broni - informuje mnie po kilkuminutowej wymianie uprzejmości. To ja postanowiłem zawiadomić Biuro o odkryciu mojej siostry i po długich przekonywaniach Mariah się zgodziła. Po odbyciu rozmowy z ojcem Kimmer wolałbym, żeby agent Nunzio zaprzestał poszukiwań, ale nie znalazłem dobrego sposobu, żeby mu o tym powiedzieć. Pocieszałem się zatem nadzieją, że Pułkownik dobrze zatarł za sobą ślady, zanim dał Sędziemu tę broń. - Jest to glock, specjalny model policyjny. Znajdował się w przesyłce, która cztery lata temu spadła z ciężarówki w New Jersey.

- Spadła z ciężarówki?

Nunzio się śmieje. - Tak mówimy, że coś zostało ukradzione, profesorze. Trzy lub cztery z brakujących glocków znaleźliśmy u różnych rzezimieszków. Przypuszczam, że nie ma pan pojęcia, skąd jeden z nich wziął się w sypialni pańskiego ojca. Z pewnością nie - ciągnie bez żadnej przerwy. Słyszysz stukot klawiatury. - Odciski palców. Z tego, co wiemy, kiedy pański ojciec dostał tę broń, była nowa i czysta. Są trzy rodzaje odcisków. Pańskiego ojca i pańskiej siostry oraz trzecie, które należą do instruktora w klubie strzeleckim w Alexandria Okazuje się, że pana ojciec zapisał się do tego klubu na rok przed swoją śmiercią, żeby nauczyć się strzelać. Przez pewien czas intensywnie się tym zajmował, potem przestał przychodzić, a we wrześniu znów zaczął. Po raz ostatni był tam na parę dni przed śmiercią. Wtedy po raz ostatni strzelano z tej broni.

- Dziękuję za informacje - mówię, chociaż czuję lekkie rozczarowanie. Nie wiem, na co liczyłem, ale to wyjaśnienie wydaje mi się zbyt prozaiczne.

- Nawiasem mówiąc, pański ojciec nie miał zezwolenia na broń przyznanego przez nasz dystrykt, toteż posiadał ją nielegalnie w obrębie miasta. Jednak w tej chwili to już nie ma znaczenia. - Nie odpowiadam. Nunzio przerywa przedłużające się milczenie kolejnym pytaniem. - Zatem, co państwo zamierzacie? Traktujecie to wszystko poważnie?

- Jakie *wszystko!*

- Tropienie tych wszystkich spraw związanych z waszym ojcem?

Nagle robię się czujny. Jednocześnie zainteresowało mnie to, że umieścił mnie z Mariah w jednym worku. - Ja po prostu chcę poznać prawdę - odpowiadam śmiało - prawdę o swoim ojcu.

- Tak, cóż, chyba wszyscy chcielibyśmy więcej wiedzieć o własnych oj-

cach, prawda? - Agent Nunzio śmieje się, ale bez złośliwości. - Ja w każdym razie chciałbym znać swojego lepiej. Zatem, życzę powodzenia.

Wszyscy powtarzają mi, żebym dał sobie z tym spokój. Natomiast Federalne Biuro Śledcze najwyraźniej chce, żebym kontynuował poszukiwania. No, i dobrze, bo wcale nie zamierzam ich przerwać.

ROZDZIAŁ 26

Wyzwanie Sama Loyda

Spotkania klubu szachowego w Elm Harbor odbywają się w czwartki wieczorem w księgarni antykwarycznej należącej do złośliwego starszego mężczyzny imieniem Karl. Księgarnia nosi zwodniczą nazwę Webster & Synowie, chociaż nigdy nie należała do żadnego Webstera. Po prostu Karl, który od początku jest jej właścicielem, uznał, że anglosaskie brzmienie tej nazwy bardziej zachęci klientów z Nowej Anglii do kupowania właśnie tutaj. Pełen zakamarków sklep zajmuje pierwsze piętro trzypiętrowego budynku z ceglana fasadą znajdującego się tuż za północnym krańcem kampusu. W pobliżu przebiega Henley Street, ulica stanowiąca nieoznaczoną, lecz powszechnie akceptowaną granicę pomiędzy społecznością uniwersytecką (w przeważającej mierze białą), a nieznanym, czyli z założenia niebezpiecznym, czarno-brązowym światem obok. Na parterze pod antykwariatem znajduje się restauracja indyjska, która nieźle prosperuje dzięki studentom, jednak osoby wybierające książki lub grające w szachy muszą znosić ostry zapach taniego curry. Drugie piętro zajmują ciasne mieszkania, w tym mieszkanie Karla. Prawdopodobnie Karl jest właścicielem całego budynku, ale nikt nie wie tego na pewno. Chcąc dostać się do księgarni, należy nacisnąć odpowiedni guzik domofonu, następnie otworzyć szklane drzwi, uważając na ukośne pęknięcie, które było tam, gdy jeszcze studiowałem, wejść na górę po wąskich schodach urągających wszelkim przepisom bezpieczeństwa, nawet tym z dziewiętnastego wieku: nie ma poręczy, stopnie zakręcają w połowie biegu pod niezwykle ostrym kątem i nieraz niespodziewanie obluźwiają się z trzaskiem, a całe oświetlenie stanowi naga żarówka czterdziestka wisząca na półpiętrze.

Nie wiem, skąd pochodzi Karl, Wiem natomiast, że jest niesamowicie skąpy i mam wrażenie, jakby to skąpstwo jak rak pożerało mu ciało, gdyż od kiedy go pamiętam, jest chudy i łysy, mimo że zjada wszystko, co się znajdzie w zasięgu jego wzroku. Jego twarz ma kształt trójkąta ustawionego podstawą na dół i jest zadziwiająco pulchna w okolicy szczęk. Źrenice ma blade jak u albinosa. Resztki włosów tworzą po obu stronach płaskiej głowy rodzaj białych skrzydełek. Za moich studenckich czasów Karl był postrachem wszystkich, którzy tu przychodzili, lecz nie ze względu na swoje umiejętności szachisty - gdyż graczem był raczej średnim - lecz z powodu zachowania. Jeśli komuś zdarzyło się rozlać odrobinę coli na lepiący się od brudu, drewniany stół, potrafił przez dłuższą chwilę obrzucać nieszczęśnika wul-

garnymi wyzwiskami, nie przejmując się, że przeszkadza grającym. Miał też, niestety, zwyczaj podawać grającym przekąski, które zazwyczaj powodowały niestrawność. Kiedy nieopatrznie wspomniałeś, że ciasteczka z orzechami arachidowymi są nieświeże, mruzczał: - Rozumiem - po czym brał kosz na śmieci i miotał się po pokojach, zgarniając do niego ze stołów wszystkie jadalne rzeczy, łącznie z tym, co sam przyniosłeś. Komentarze Karla na temat rozgrywanych lub właśnie zakończonych partii były zawsze pełne obraźliwych dowcipów rodem z męskiej szatni; im bardziej obsceniczne, tym lepiej. Był mistrzem porównań figur szachowych do części ciała, a ich poruszeń do funkcji wykonywanych przez te części. Jeśli chodzi o kobiety, to, zdaniem Karla, wcale nie powinny zabierać się za grę w szachy. Kiedy jakaś pechowa studentka odnalazła drogę do klubu, Karl witał ją niezwykle czarująco, wręcz kurtuazyjnie, po czym przez resztę wieczoru nie spuszczał z niej pożądanego wzroku, którego nie kierował bynajmniej na twarz. Jego pełzające, obleśne spojrzenie sprawiało wrażenie żywej istoty i wręcz namacalnie czuło się jego zachłanny dotyk. Prawie żadna z kobiet nie pojawiła się tu po raz drugi. Tylko pewna nastoletnia emigrantka z Rosji, studentka matematyki, której młodszy brat jest obecnie jednym z lepszych amerykańskich graczy, wytrzymała jego nieruchomy wzrok przez osiem kolejnych tygodni, zanim udało mu się jej pozbyć.

Tyle, że w mieście nie było - i nadal nie ma - innego miejsca, w którym można pograć w szachy.

Przed ukończeniem studiów licencjackich przesiadywałem w tym klubie całymi dniami, podczas nauki w szkole prawniczej starałem się przyjść chociaż raz na miesiąc, natomiast w ciągu dziesięciu lat nauczania wpadałem raz, może dwa razy rocznie. Za każdym razem Karl wita mnie z taką samą złośliwie grubiańską jowialnością, jak za czasów studenckich, gdyż jego rasizm, choć nie tak głęboko zakorzeniony jak seksizm, przetrwał jednak uniwersyteckie mody na integrację, etniczną organizację plemienną, różnorodność etniczną, wielokulturowość oraz dzisiejszą rozpasaną celebrowanie własnego „ja”, z jaką amerykańskie kampusy wchodzi w nowy wiek. Stając w drzwiach klubu na chwilę przed umówioną porą spotkania, nie czuję się zaskoczony, gdy Karl, który właśnie wyklada na stoły zeszlomiesięczne krakersy, obraca się, podciąga zbyt obszerne spodnie i wita mnie słowami: - Patrzcie, któż to znowu przylazł po tak długim czasie! I od razu zrobiło się ciemno! Pojmujesz, Doktorze? Zrobiło się ciemno!

Zmiażdżyłbym go wzrokiem, ale Karl nie ma czasu na takie gierki i wrócił już do swojego zajęcia. Dwaj miejscowi nastolatki, z których jeden jest wschodzącą gwiazdą szachów, rozgrywają w narożniku partie błyskawiczne - w tempie pięć minut na ruch - akcentując szybkie posunięcia gwarą rodem z Lower East Side na Manhattanie z lat pięćdziesiątych, która nie wiedzieć w jaki sposób stała się drugim językiem szachistów w Stanach

Zjednoczonych. - Ty fuszerze! Ty cykorze! Ty pacanie! Nie widziałeś tego, co? Szach, szach, mat. Trzeba było zostawić królowi jakiś lufcik! - W ustach czternastoletnich dzieci wykładowców renomowanej uczelni brzmi to bardzo zabawnie, toteż nieraz się przyłączam do takiej wymiany zdań, ale dziś mam coś do załatwienia z Karlem. Toteż odpowiadam mu spokojnie: - Tak, Karl, pojmuję. - Na to Karl obraca się i unosi w górę białe brwi, jakby chciał powiedzieć, że spodziewał się po mnie czegoś lepszego.

- Tak? No, dobrze. Zatem, czego chcesz? Zagrać? Liebman jest wolny, a właściwie będzie za chwilę, jak Aidoo skończy obcinać mu jaja. Proszę, weź krakersa, Doktorze. - Podsuwa mi wiklinowy koszyczek.

Zawsze nazywa mnie w ten sposób, sugerując ironicznym tonem, że to obelga, ale wiem, że robi to z zawiści.

- Nie, dziękuję.

- Nie odpowiadają ci moje krakersy? Może są dla ciebie za stare?

- Są w porządku, Karl.

- Wiec poczęstuj się, Doktorze. - Znów wyciąga koszyczek. - No, proszę.

- Dziękuję, ale nie.

- Nalegam.

Potrząsam głową. Każdy kontakt z Karlem przeradza się w walkę. Wszystko go denerwuje. Podobno gdzieś tam pozostawił rozgniewaną byłą żonę, gdzie indziej posepne córki i synów, wnuki, których nigdy nie widział, oraz stanowisko profesora ekonomii politycznej na uniwersytecie, które stracił, uciekając trzydzieści lat temu z Europy Wschodniej. Tyle, że Karl wytwarza plotki z taką samą wydajnością, jak letnie słońce ciepło - jeśli nie zabezpieczysz się sceptycyzmem jak filtrem ochronnym, możesz szybko ulec poparzeniu.

- Dziękuję - odpowiadam - ale nie jestem głodny. - Wbija we mnie wzrok. Wie, że czegoś od niego chce. Potrafi wyczuć w innych nadzieję, a jego posłannictwem życiowym jest ją tłamsić. Niemniej jednak trzeba iść naprzód. - Prawdę mówiąc, mam pewne pytanie i liczę na twoją wiedzę specjalistyczną.

- Moją wiedzę specjalistyczną - powtarza, pocierając idealnie wygolony podbródek kościstymi palcami. - Nie sądziłem, że posiadam jakąś *specjalistyczną wiedzę*, która może się przydać tak wybitnemu profesorowi.

Nie rezygnuje ze swych bezlitosnych kpin, ale nie daję się odwieść od interesującego mnie tematu. Karl nie jest zbyt dobrym graczem, ale za to doskonałym problemistą, który zdobył niezliczone tytuły mistrzowskie w kraju i za granicą za komponowanie problemów szachowych i rozwiązywanie ich. Jest jedyną znaną mi osobą, która może posiadać odpowiedzi na nurtujące mnie obecnie pytania.

Sam pobyt w klubie szachowym uspokaja moje zszargane nerwy. Z przy-

jemnością wsłuchuję się w stukanie przestawianych figur, klekot szachowego zegara, pogardliwe okrzyki zwycięzców i usprawiedliwienia przegranych. Cieszy mnie ta wspaniała symfonia tytanicznych, napiętych, a jednak odprężających zmagania umysłu z umysłem. A naprawdę potrzebuję odprężenia, trochę czasu z dala od... od zmartwień, które przywiodły mnie do Karla.

Proszę go, żebyśmy usiedli, więc prowadzi mnie do narożnika, z którego może obserwować wejście. Nie chce stracić okazji zakpienia sobie z następnych osób, które się tu pojawiają. Siedzimy pod tanim powiększeniem fotografii Emanuela Laskera pochodzącej z obwoluty książki. Widnieje na nim niezdarne podrobiony autograf wielkiego mistrza: *Dla Karla* i tak dalej, chociaż Karl pewnie dopiero uczył się chodzić, kiedy Lasker zmarł. Może dedykacja była przeznaczona dla innego Karla. Zastanawiam się, czy sądzi, że ktoś tym zwiedzie, czy też traktuje to jako żart.

- Zatem, czego chcesz? - pyta gniewnym tonem Karl, który usiadł przy mnie dopiero, kiedy dwóm kolejnym przybyszom udowodnił, że są tu niemiłe widziani. Kiwa na mnie palcem - O jaką wiedzę specjalistyczną ci chodzi?

- To ma związek z zadaniem szachowym - zaczynam.

- Zadanie szachowe! Proszę, przedstaw je - poleca, wskazując na szachownicę, a ja wyraźnie wyczuwam jego wewnętrzne zadowolenie, że pytam o sprawy, na których zna się lepiej niż inni.

- Nie, nie. To nie chodzi o zadanie, którego nie potrafię rozwiązać. To raczej chodzi o... o *rodzaj* problemu.

- Jaki *rodzaj* problemu? - pyta słodkim tonem, gdyż potrafi również doskonale się maskować.

- Chciałbym się dowiedzieć... hmm, pamiętam, jak wiele lat temu, gdy byłem jeszcze na studiach, prowadziłeś wykłady na temat zadań szachowych...

- Wiele lat temu, gdy ludzi jeszcze interesowały zadania szachowe. Kiedy szachy były sztuką, a nie żalosną, wspieraną komputerem *nauką*, jaką stały się obecnie. W dawnych czasach bardziej zależało nam na pięknie tej gry niż na zwycięstwie. Te *dzieciaki* - macha ręką w kierunku zapelniającej się sali, gdzie najmłodszy dzieciak chodzi już do szkoły średniej - nie mają koncepcji gry. Zupełnie nie mają. Ważna jest dla nich jedynie wygrana. Taka jest wasza kultura. Ameryka niszczy szachy, tak jak niszczy wszystko. Sztuka? Jaka sztuka? Wygrywanie... tylko to was, Amerykanów, interesuje. Wygrywanie i bogacenie się. Wasz kraj jest zbyt młody, by posiadać taką siłę. Zbyt niedojrzały. Jednak, dzięki waszej sile, wszyscy uważnie was słuchają. Wszyscy. Uczycie cały świat, że liczy się tylko jedna rzecz!

Słuchając tej tyrady uświadamiam sobie, że mój ojciec i Karl zapewne dobrze by się zgadzali. Jednak muszę mu przerwać, bo będzie mnie pouczał przez całą noc.

- Tak, Karl, tak właśnie jest - mówię coraz głośniejszym głosem, żeby zaczął mnie słuchać. - Ale ja chcę z tobą porozmawiać o szachach jako sztuce.

- Dobrze! Bardzo dobrze! Wreszcie jakiś kulturalny człowiek! - Jego głos rozbrzmiewa donośnie w całej sali i kilku zirytowanych graczy podnosi głowy, ale nikt mu nie zwraca uwagi. Jedna z legend głosi, że kiedyś Karl chwycił studenta, który mu się odgryzał, i zrzucił go ze schodów.

- Dziękuję - mruczę, nie wiedząc, czy oczekuje odpowiedzi.

- Zatem, jak mogę ci pomóc? - dopytuje się, wykrzywiając usta w drwiącym grymasie.

- Jeden z twoich wykładów dotyczył pewnego tematu z dziedziny kompozycji szachowej... tematu o nazwie Eksceksior. Pamiętasz?

- Eksceksior. Mat pomocniczy. Głupi pomysł. Sam Loyd stworzył go jako rodzaj żartu, a teraz wszyscy traktują to poważnie. Po prostu zapomnieliśmy, jak to było. - Potrząsa głową. - No, więc Eksceksior. Co z nim?

Waham się, gdyż nie wiem, jak sformułować pytanie, by go zainteresować, zamiast sprowokować kolejne kpiny. Mat pomocniczy należy do niecodziennego gatunku zadań szachowych, w których czarne, a nie białe, wykonują pierwszy ruch, po czym obie strony współpracują i po określonej liczbie ruchów czarne dostają mat. Sam Loyd, żyjący w dziewiętnastym i na początku dwudziestego wieku dziennikarz i magik, wynalazł wiele gier i zagadek, które są popularne do dzisiaj. Należał również do wielkich twórców sztuki kompozycji zadań szachowych... i był jednym z bohaterów mego ojca. Sam Loyd *wywrócił wszystko do góry nogami*, mawiał Sędzia, który nieraz marzył o dokonaniu tego samego, tyle że w dziedzinie prawa. *Udowodnił wszystkim, że figury szachowe są mądrzejsze, niż im się wydawało.*

- Pamiętam, że Sam Loyd wynalazł Eksceksiora - wyjaśniam teraz Karlowi. - Pamiętam to z twoich niezwykle interesujących wykładów. - Trochę pochlebstw nie zaszkodzi. - Jednak przyznaję, że nie pamiętam dokładnie, na czym polega Eksceksior. A w szczególności - w końcu docieram do sedna - w szczególności, czy ktoś pracował nad zadaniem o nazwie Podwójny Eksceksior ze skoczkiem...

W tym momencie Karl mi przerywa. Jest już zmęczony słuchaniem mego głosu. Zdecydowanie woli słuchać własnych odpowiedzi na pytania innych, nawet jeśli nikt mu tych pytań nie zadał. Łatwo uwierzyć, że był profesorem; doskonale by pasował do grona wykładowców naszej szkoły prawniczej. Kiedy teraz się odzywa, mówi w szybkim, urywanym tempie, jakbym marnował jego czas.

- Podwójny Eksceksior ze skoczkiem to słynne i piękne wyzwanie w dziedzinie szachów, Doktorze. Jedyny kłopot polega na tym, że to niemożliwe. Posłuchaj. - Pochyla się w moim kierunku, wyciągając kościsty palec, jakby rzucał kłutwę. - Temat Eksceksior ma bardzo jasny i głupi zestaw re-

guł. Biały pionek rozpoczyna grę ze swojego początkowego pola i wykonuje dokładnie pięć ruchów, w pierwszym posuwając się o dwa pola, a w następnych o jedno, tak że kończy na ósmej linii. I choć niewątpliwie niejedno już zapomniałeś, Doktorze, to z pewnością pamiętasz, co się dzieje, kiedy pionek dociera do ósmej linii. Co?

- Dokonuje przemiany - mruczę zirytowany, jak dziecko na pierwszej lekcji.

- Właśnie, właśnie, przemienia się, zazwyczaj w królową, wszyscy to wiedzą, ale może zamienić się w każdą figurę, jak sobie gracz życzy. Na tym rzecz polega w Ekscelsiorze... że pionek może się przemienić w dowolną figurę. Nie staje się królową. Staje się czymś innym. Nazywamy to słabą promocją. Słyszałeś tę nazwę?

- Tak.

- Dobrze. Bo widzisz, Doktorze, zwykły Ekscelsior to dobre dla dzieci. Jeśli rozwiążesz zadania szachowe i widzisz słowa *Mat pomocniczy w pięciu ruchach*, to natychmiast sięgasz po pionek i przeszesz nim naprzód. Jeżeli jedynym sposobem wymuszenia mata jest to, żeby pionek wykonał pięć ruchów, po czym dokonał słabej promocji, wówczas masz do czynienia z Ekscelsiorem.

- Rozumiem. - Jednak jego pouczenia zaczynają mnie irytować i zastanawiam się, czy warto tu było przychodzić.

- Dobrze. Bo widzisz, Doktorze, Podwójny Ekscelsior to wyzwanie wyłącznie dla wytrawnego problemisty.

- Dlaczego?

- Zapomniałeś, co powiedziałem wcześniej? W macie pomocniczym zaczynają czarne i obie strony współpracują, żeby dać mata czarnym. Ekscelsior wymaga pięciu ruchów. Podwójny Ekscelsior także. Jest jednak różnica. W podwójnym Ekscelsiorze każda ze stron musi wykonać wszystkie pięć ruchów tylko jednym pionkiem i w piątym ruchu obie strony, najpierw czarne, potem białe, dokonują przemiany w tę samą figurę. Zatem jeśli mamy Podwójny Ekscelsior z wieżą, w piątym ruchu oba pionki stają się wieżami, najpierw czarny, potem biały, i po piątym ruchu białych czarne otrzymują mata. Jednak nie może istnieć inna możliwość rozegrania tej partii niż to, żeby obie strony wykonały po pięć ruchów i w piątym zamieniły się w tę samą figurę. Nadażasz, Doktorze?

- Nadażam.

- Zatem, Podwójny Ekscelsior ze skoczkiem polegałby na tym, że jedynym sposobem, żeby białe dały mata w pięciu ruchach, jest to, że obie strony wykonują dokładnie pięć ruchów jednym pionem, na końcu przemieniają go w skoczka, a czarne otrzymują mata.

- Ale powiedziałeś, że to niemożliwe...

- Słusznie. - W końcu przedarłem się do pedagogicznej strony jego na-

tury i nawet potrafi się zdobyć na cierpliwość, gdy ma okazję naprawdę uczyć. - Musisz zrozumieć, że przedstawiono już inne Podwójne Ekscelesjory. Obaj gracze dokonują przemiany pionów w wieże? Proszę bardzo. Obie w gońców. Tak. Jednak nikomu nie udało się tego dokonać ze skoczkami. Trzydzieści czy czterdzieści lat temu jeden z pisarzy zajmujących się szachami rzucił takie wyzwanie. Zaoferował nawet znaczącą nagrodę pieniężną dla osoby, która potrafi zaprezentować Podwójnego Ekscelesjora ze skoczkiem. Nikomu się to nie udało. Wielu problemistów próbowało, ale nawet z pomocą komputera nie zdołali tego dokonać. Zatem większość z nas doszła do wniosku, że jest to niemożliwe.

Marszczę czoło, starając się to zrozumieć. Mój ojciec próbował skomponować zadanie szachowe, które, zdaniem innych problemistów, było niemożliwe do wymyślenia. Chodziło mu o sławę? Chyba nie, jego umysł był na to zbyt subtelny. A może to było tak proste, jak sugerowała Lanie Cross - że przeżywał załamanie nerwowe i nie myślał rozsądnie. Jednak nie jestem przekonany. Myślę, że Sędzia chciałby czegoś więcej. Och, oczywiście mogła nim kierować ambicja, by skomponować problem, z którym nikt sobie dotąd nie poradził. Mógł marzyć o czymś takim. Jednak powodem, dla którego wymienił nazwę Ekscelesjor w liście do mnie...

- Karl?

- Tak, Doktorze. - Jego kpiący ton powrócił. Karl znów przeniósł uwagę na nagle wypełnioną salę i powrócił do swojego normalnego obowiązku zatruwania życia innym. - Co, jakiś problem? Czy wyjaśnienia były zbyt skomplikowane? Czy nie odpowiada ci, że to czarne, a nie białe, dostają mata? - Śmieje się. - Ale w zadaniach szachowych to zawsze czarne dostają na końcu mata, prawda? - Chichocze i zaczyna się podnosić.

- Czekaj! - Mówię to ostrzej, niż zamierzałem, jakby był studentem.

Oczy Karla się rozszerzają. Niewiele na tym świecie go zdumiewa, ale mój ton owszem. Teraz, kiedy znów w pełni poświęca mi uwagę, przestają się spieszyć. Coś, co przed chwilą powiedział - *to zawsze czarne dostają mata* - czy o to chodziło? W Podwójnym Ekscelesjorze rzeczywiście czarne dostają mata, ale... ale Lanie Cross mówiła... chwileczkę...

- Karl, posłuchaj. W Podwójnym Ekscelesjorze ze skoczkiem, gdybyś ty próbował go skomponować, to którego pionka byś użył?

- Co?

- Mówię o pionku, który na końcu staje się skoczkiem. Skoczkiem, który daje mata. Skądś musi rozpocząć grę, tak? Więc, który to pionek, ten od królowej, od gońca, który?

- Aaa, rozumiem. To jest pionek skoczka białej królowej.

Mówi o pionku, który na początku gry stoi na polu przed skoczkiem oddalonym o dwa pola na lewo od królowej.

- Dlaczego?

- Teoretycznie nie powinno to robić różnicy. Żeby zademonstrować ten temat, mógłbyś użyć dowolnego pionka. Jednak Sam Loyd, komponując to zadanie, po raz pierwszy wykorzystał pionek skoczka królowej. Zatem poważny twórca Podwójnego Ekskelsiora powinien to uszanować i użyć tego samego pionka.

- Pionka skoczka *białej* królowej.

- Oczywiście, że białej.

- Ale pionek skoczka białej królowej wykona drugi ruch. Pierwsze posunięcie należy do czarnych.

- Znów masz rację, Doktorze. Oczywiście, były czasy, kiedy niektórzy problemiści komponowali maty pomocnicze, gdzie białe ruszały pierwsze i to one otrzymywały na końcu mata. - Ścisła dolne partie policzków, jakby liczył, że się skurczą. - Jednak żaden prawdziwy artysta nie zrobi tego w taki sposób. Teraz już nie. Problemista musi przestrzegać reguł i to czarne muszą przegrać.

- Ale mimo wszystko, gdyby ktoś chciał ułożyć zadanie w taki sposób, żeby czarne wygrały...

- To byłoby głupie. Strata czasu. Nieartystyczne.

- Ale którym pionkiem byś wówczas rozpoczął?

Karl, wbrew sobie, zainteresował się tym zagadnieniem. Wzdycha, żeby pokazać, że wcale tak nie jest. - Oczywiście, mógłby to być dowolny. Jednak prawdziwy artysta użyłby znowu pionka skoczka białej królowej, tyle że tym razem czarny pionek wykonywałby drugi ruch i dawał mata po piątym. - Karl zdumiewająco lekko i radośnie zrywa się na nogi i podbiega do wąskiego regału w narożniku. Nikomu nie wolno dotykać stojących tam książek, wśród których wiele jest rosyjskich i niemieckich. Karl wybiera jeden z tomów i, ku mojemu zaskoczeniu, wciska mi go do rąk. - Weź to. - Kiwa z zapalem głową. - Tu jest dużo przykładów tematu Ekskelsior. Możesz ją trzymać tak długo, jak będzie ci potrzebna. - Ta zdumiewająca i niezwykła u niego wspaniałomyślność sprawia, że w sali, gdzie znajduje się kilkunastu członków klubu, zapada nagle cisza.

Wiem od razu, że książka do niczego mi się nie przyda. Karl powiedział mi już to, po co przyszedłem.

- Dziękuję, Karl... ale to nie jest konieczne.

- Bzdura. Ale, oczywiście, musimy ją zabezpieczyć. Masz. - Wręcza mi starą, podniszczoną szarą kopertę. - W tym możesz ją nieść.

- Karl, ja...

Podnosi ostrzegawczo palec. - Dotychczas wypożyczyłem komuś może dwie lub trzy książki przez cały czas, kiedy tu mieszkam. Powinieneś mi podziękować.

Ma rację. Jak zwykle narzuca swoją wolę, ale stara się pomóc. Rzeczywiście powinienem mu podziękować. - Dziękuję ci - mówię, i to naprawdę

szczerze.

Tylko że Karl czuje się teraz zażenowany swoją uprzejmością. Nie wie, co go do tego popchnęło. Przypuszczam, że znalezienie kogoś, kto w tych niekulturalnych czasach, jak sam to nazwał - okazuje zainteresowanie tym aspektem szachów, na którym on zna się najlepiej, a którym niewielu dziś się interesuje. Przypominam sobie, jak puste jest jego życie i uśmiecham się do niego z wdzięcznością, mimo że znów odpowiada kwaśną miną. Wiem, że za chwilę usłyszę od niego kolejną zniewagę, ale rozumiem, jak bardzo jest mu to potrzebne.

- Pamiętaj tylko, co ci powiedziałem, Doktorze. - Znów śmieje się szyderczo. - Ekscelsior musi się kończyć tym, że biały pionek przemienia się i daje mata. W macie pomocniczym czarne wykonują pierwszy ruch, pamiętaj, ale i tak białe dają mata. Zawsze białe. - Milknie i przygląda mi się podejrzliwie, jakby się zastanawiał, czy miałem prawo tu przyjść.

Pochyla się w moim kierunku, oparty pięściami o dzielący nas stół. - Nie możemy zmieniać świata nad szachownicą, prawda, Doktorze? - Chichocząc z radości, że udało mu się powiedzieć ostatnie słowo, odchodzi, by gnębić innego nieszczęśnika.

Cieszę się, że się go pozbyłem. Krążę po klubie jeszcze przez pół godziny, trochę patrzę, trochę gram i w końcu z książką w koperce pod pachą wyślizguję się w mroźną noc.

Ojciec napisał *Ekscelsior* i powtórzył to słowo. *To się zaczyna!* Kiedy byliśmy dziećmi, ani popularny Addison, ani towarzyska Mariah nie interesowali się szachami. Ciekawiły one tylko mola książkowego Talcotta. Oznacza to, że Sędzia chciał, żebym tylko ja zrozumiał, iż nawiązuje do Podwójnego Ekscelsiora. Niestety, nadal nie mam pojęcia, po co miałem to zrozumieć. Karl wyjaśnił mi, jak powinien wyglądać Ekscelsior, a Lanie wspomniała, że tata chciał, żeby czarne wygrały. Nadal jednak nic z tego wszystkiego nie wynika. Jestem pewien, że coś powinno mnie oświecić, ale nic takiego się nie dzieje. Nie mam pojęcia, jaki może być związek pomiędzy zaawansowanym zadaniem szachowym, które ojciec chciał jako pierwszy skomponować, a *przyjacielem Angeli* lub *ustaleniami*. Być może biały pionek dostarczony mi do bezpłatnej jadłodajni jest częścią kompozycji, kompozycji z figurami, które żyją, oddychają i cierpią. Jeśli tak, to niewątpliwie ojciec jest jej twórcą. Najwyraźniej był przekonany, że dostrzegę zależność, o którą mu chodziło, i ostatnia, nieuchwytna wskazówka kryje się w tej pewności. Prowadzi to do pytania, którego jeszcze do tej pory nie rozważałem - skoro ja mam brakujący biały pionek, to kto ma czarny?

Nadal rozmyślam nad tymi kwestiami, kiedy uświadamiam sobie, że ktoś mnie śledzi.

ROZDZIAŁ 27

Bolesne spotkanie

(I)

Tym razem jest ich dwóch.

Wiem już od pewnego czasu, że jestem śledzony. Nie tylko przez kobietę z toru wrotkowego, która jeździła za mną w Waszyngtonie zielonym samochodem. Jak dawno to wiem? Od wielu godzin, dni, tygodni. Nigdy to nie jest nic konkretnego, tylko pewne wrażenia - twarz, którą zauważam zbyt często, ten sam samochód jadący za mną przez dłuższy czas w środku nocy, kroki zbyt szybko dopasowane do moich. Kiedy nie mogłem już tego przypisywać swojemu przeczuleni, pocieszałem się słowami Jacka Zieglera wypowiedzianymi na cmentarzu oraz zapewnieniami Colina Scotta, które usłyszałem dwa tygodnie później: że moja rodzina i ja jesteśmy bezpieczni, niezależnie od tego, co się zdarzy. Innymi słowy, pozwoliłem się uspokoić.

Teraz się zastanawiam, czy to nie był błąd.

Kiedy wychodziłem z klubu szachowego, była niemal dziesiąta, toteż jak najszybciej zbiegłem po niebezpiecznych schodkach, zastanawiając się, co powiem Kimmer.

Zanim doszedłem do kampusu, ci mężczyźni byli już za mną.

Przecinam mroczny dziedziniec i szybko zmierzam do swojego skrótu prowadzącego do szkoły prawniczej - alejką pomiędzy centrum komputerowym a jednym z akademików, kawałek ulicą, a potem przejściem między budynkiem administracyjnym i kolejnym akademikiem. Pędząc, zastanawiam się, dlaczego te niewyraźne postaci znajdujące się o jakąś przecznicę za mną wydają mi się znacznie groźniejsze niż dotychczasowi obserwatorzy, których traktowałem jako przelotne wrażenie gdzieś w tle. Może to kwestia ich masywności i agresywnego, pewnego siebie kroku, gdyż nawet nie próbują ukrywać swojej roli. Albo nie potrafią się kryć, albo chcą, żebym wiedział, że za mną idą.

Obie możliwości napełniają mnie strachem.

O tej porze kampus jest niemal całkowicie wyludniony. Od czasu do czasu mijam jakiegoś studenta, słyszę przytłumioną muzykę dobiegającą zza zamkniętych okien akademika. Przyspieszam kroku i kieruję się ku pierwszej z dwóch alejek. Raczej wyczuwam, niż widzę, że mężczyźni za mną również zaczynają iść szybciej.

Centrum komputerowego pilnuje strażnik, co jest następstwem pewnego incydentu związanego z dowcipem bractwa studenckiego i kilkudziesięcioma litrami soku pomarańczowego. Zastanawiam się, czy nie podejść do niego i nie poprosić o pomoc, ale co miałbym mu powiedzieć? Wyznać, że ja, poważny profesor, uważam, iż jestem śledzony? Że się przestraszyłem? Żaden Garland by tego nie zrobił, szczególnie przy tak słabych dowodach. Mijam budynek i wychodzę przy przejściu dla pieszych na Montgomery Street. Oglądam się przez ramię i przy końcu alejki widzę tylko jeden cień zmierzający w moim kierunku. Być może zbyt opuściłem wodze wyobraźni.

Po przejściu przez ulicę zmierzam ku drugiej alejce, kiedy nagle mój wzrok pada na trzymaną w ręce paczkę z książką od Karla. Zniszczona stara koperta. Nagle zaczynam pojmować.

Najważniejszym słowem jest tu *stara*.

Ktoś wysnuł pochopny wniosek.

Oglądam się za siebie. Siedzący mnie człowiek znajduje się po drugiej stronie ulicy i patrzy bezpośrednio na mnie. Stoi pod lampą, tak że widzę go wyraźnie. Najpierw wydaje mi się, że to Avery Knowland, ale po chwili uświadamiam sobie, że po prostu zmyliła mnie fryzura w formie niedbałego kucyka. Włosy mojego tropiciela są gładziej i ciemniejsze, a jego rumianą twarz porasta niechlujny brązowy zarost. Ponadto jest on niższy, bardziej muskularny i szerszy w pasie. Jego okrutne, czerwone oczy mają dziki wyraz, jakby był pod wpływem środków odurzających. Jest ubrany w skórzaną marynarkę i łatwo mogę go sobie wyobrazić w barze dla motocyklistów.

U wylotu alejki przeżywam chwilę wahania. Mężczyzna rusza przez ulicę prosto w moim kierunku. Może to tylko zbieg okoliczności. Z drugiej strony, dzieli go ode mnie zaledwie piętnaście metrów, więc muszę szybko podjąć decyzję.

Dalej idzie w moim kierunku i wydaje mi się, że nie ma zbyt szlachetnych intencji.

Czuje, jak adrenalina napływa mi do żył.

Mimo wszystkich tych gorączkowych wyobrażeń, mogę się mylić. Jeśli się nie mylę, to zdążę przejść przez alejkę i dotrzeć do szkoły prawniczej, zanim mój prześladowca mnie dogoni, chyba że jest zawodowym sprinterem.

Ruszam zatem przejściem, które jest w istocie częścią trawiastego zbocza pomiędzy budynkiem administracyjnym o szklanych ścianach znajdującym się na szczycie a dwoma połączonymi gotyckimi budynkami - biblioteką i akademikiem u podnóża. Biblioteka jest akurat remontowana i od strony alejki jej ściany pokrywają rusztowania. Zwalniam na chwilę kroku, próbując wypatrzeć, czy między rusztowaniami nikt się nie kryje, ale jest zbyt ciemno.

Znowu spoglądam do przodu i staję.

Najpierw śledziło mnie dwóch mężczyzn, potem jeden. Teraz odnalazłem jego towarzysza. Znajduje się na przeciwległym końcu alejki, odgradzając mnie od szkoły prawniczej, i zmierza w moim kierunku. Nie wiem, jak przewidział, którądy pójdę, ale tak samo nie wiem, jak mnie znaleźli w klubie szachowym. W tej sprawie jest wiele zagadek, lecz teraz nie pora, żeby je rozwiązywać.

Oglądam się. Mężczyzna z kucykiem nadal się do mnie zbliża.

Przerażony, rozglądam się wokół. Uniwersytet tak poważnie podszedł do kwestii bezpieczeństwa, że wszystkie otwarte przestrzenie stały się tu niezwykle niebezpieczne. Nie mogę schronić się w akademiku, gdyż nie mam karty elektronicznej, która otwiera drzwi. Nie zdołam ukryć się w bibliotece, gdyż jedyne otwarte wieczorem wejście znajduje się od frontu. Nie ucieknę też do budynku administracyjnego, bo jest zamknięty aż do rana. Pewnie nie powinienem wybierać tego skrótu, ale przecież według oficjalnych publikacji uniwersytetu informacje o przestępstwach na terenie kampusu są mocno przesadzone.

Mężczyzna blokujący mi przejście w przeciwległym końcu alei stale się zbliża. Widzę go jako ciemną, rozmazaną plamę na tle ruchu ulicznego Town Street znajdującej się za nim. Kroki prześladowcy, którego mam za plecami, stają się szybsze. Wie, że znalazłem się w pułapce.

Tłumaczę sobie, że miałem być bezpieczny, ale być może wpływy Jacka Zieglera są jednak mniejsze niż się wszystkim wydaje. Istnieje również możliwość, że przynajmniej jedna z kilku stron współzawodniczących o to, co mój ojciec zostawił, nie zna wydanego przez niego dekretu albo nie zamierza się do niego stosować.

Obracam się wokół własnej osi. Jeden mężczyzna z przodu, jeden z tyłu. Po prawej bryła biblioteki pokryta rusztowaniami, po lewej budynek administracyjny. Nagle dostrzegam...

... niebieskie światło...

Obok zamkniętego na klucz tylnego wejścia do biblioteki, blisko rusztowania znajduje się skrzynka alarmowa policji. Uniwersytet zainstalował ją na terenie całego kampusu. Wystarczy otworzyć przednią płytkę, a policja uniwersytecka zareaguje niezależnie od tego, czy powiesz coś do mikrofonu, czy nie.

Ruszam w tym kierunku.

Jednocześnie słyszę dźwięk, który jeszcze bardziej mnie przeraża.

- Proszę poczekać, profesorze! - woła mężczyzna za moimi plecami.

- Profesorze Garland! Stać!

Znąją moje nazwisko.

Potem słyszę coś jeszcze gorszego: - Nie pozwól mu uciec!

Obaj mężczyźni zaczynają biec w moim kierunku.

Dopadam skrzynki i otwieram ją silnym pociągnięciem. W środku widzę

jeszcze jedną niebieską lampkę, małą klawiaturę i mikrofon. Z głośnika dobiega mnie silny szum zakłóceń - pewnie dyspozytor zadaje mi pytanie. Mam właśnie odpowiedzieć, kiedy ktoś podcina mi nogi.

Twardo uderzam o chodnik, a kiedy próbuję się obrócić, wyłaniająca się z ciemności stopa ostro i boleśnie zderza się z moimi żebrami. Wydaję z siebie jęk, lecz podnoszę się na kolana, próbując sobie przypomnieć treningi karate z college'u. Pięść uderza mnie w twarz i zataczam się do tyłu, upuszczając pakunek. Kolejny cios pięścią, tym razem w ramię, które wiotczeje i cierpnie. Ponownie padam na ziemię. Jeden z mężczyzn klęka obok mnie, szarpnięciem za włosy podnosi moją głowę do góry i syczy: - Co jest w tej paczce? - Potem znów słyszę świst pięści, która ląduje na moim uchu. Nie wiedziałem, że można odczuwać aż taki ból.

- Co jest w paczce, profesorze?

- Książka - mamroczę. Rozcapiierzonymi palcami drapię piasek, usiłując podnieść się na nogi.

Kolejny cios, tym razem prosto w oko. Noc rozjarza się zielonymi błyskami. Mam wrażenie, że moja twarz rozpada się na kawałki, a w policzek wbija się lodowe ostrze.

- Postaw go - rozkazuje ten sam syczący głos, a drugi mężczyzna posłusznie podnosi mnie na nogi.

- Policja już jedzie - mamroczę.

Chwila przerwy, kiedy tych dwóch spogląda na siebie. Potem znów stalowa pięść uderza mnie w żebra, tam, gdzie przedtem trafił kopniak, a całe ciało boleśnie protestuje. Kolejny cios, tym razem w brzuch. Zwijam się w pół. Jakaś dłoń chwyta mnie za ramię. Wykorzystując ruch mgliście zapamiętany z zajęć z samoobrony, schylam się i odsuwam, wyzwalając z uścisku. Potem odwracam się i potykając się, zbiegam ku podstawie rusztowania. Słyszę, że mężczyźni naradzają się szeptem, jakby się kłócili, który ma za mną pobiec. Nie tracę czasu, żeby się na nich oglądać. Od rusztowania oddziela mnie niska metalowa barierka ze znakiem zabraniającym wstępu. Jednak biorąc pod uwagę, jaką mam alternatywę, raczej nie posłucham zakazu. Za barierką widzę zawieszoną na poziomej rurze drabinę o wysokości dokładnie jednego piętra.

Rusztowanie zaopatrzone jest w mnóstwo takich drabin, którymi można wejść aż na samą górę, a na każdym poziomie znajduje się platforma dla robotników. Przytrzymuję się barierki, gdyż odczuwam zawroty głowy po otrzymanych ciosach. Z trudem przelękam ślinę, pokonuję kolejną falę bólu i oglądam się za siebie. Jeden z mężczyzn schodzi na dół, a drugiego nie widać, co by mnie zdenerwowało, gdybym miał na to czas. Niezdarnie przechodzę przez barierkę i dosięgam drabiny akurat, kiedy mój prześladowca zaczyna biec. Żebra bolą mnie od uderzeń i kopniaków, twarz zrobiła się gąbczasta i chyba dwukrotnie większa niż zazwyczaj, ale wdrapuję się na

drugi poziom rusztowania. W głowie mi dudni. Opieram się bezwładnie o drabinę prowadzącą na trzeci poziom, gdyż ręce nagle odmawiają mi posłuszeństwa i nie chcą wciągnąć mnie dalej.

Z mroku pode mną wynurza się dłoń i chwyta mnie za lewą kostkę. Ciągnie za nią tak silnie, że wbrew własnej woli muszę usiąść.

Teraz pojawia się głowa i druga ręka, w której widzę przez chwilę jakiś błysk - kastet lub niewielki nóż. Tyle było zapewnień, że nic mi się nie stanie, a teraz proszę! Zbieram wszystkie siły, jakie mi jeszcze pozostały, odsuwam prawą nogę do tyłu, po czym opieram się o drabinę i kopię, wkładając w ten ruch cały swój ciężar. Trafiam w ciało, nie wiem: w twarz czy w rękę. Mężczyzna krzyczy z bólu, puszcza moją kostkę, po czym jego głowa znika mi z pola widzenia. Zmuszam się, żeby znowu wstać, i pomimo protestów ramion, wznawiam swoją wspinaczkę. Wydaje mi się, że mój prześladowca nie podąża za mną, ale tyle razy już się myliłem. Moje stopy poruszają się już tylko siłą woli, przestawiam jedną nad drugą, wspinając się na trzeci, a potem czwarty poziom. Tu zatrzymuję się i spoglądam w dół. Jestem tak wysoko, że kręci mi się w głowie. Opieram się o metalową barierkę. Widzę stąd kilka kwartałów kampusu, widzę szkołę prawniczą, natomiast nie widzę człowieka, który mnie ścigał. Moje siły są już na wyczerpaniu, ale nie mam zamiaru ryzykować. W końcu może być na drabinie poniżej mnie. Zmuszam się do wejścia na kolejny, piąty poziom i tam się zatrzymuję. Z trudem łapię oddech, opierając się o barierkę. Słyszę jakieś głosy, tym razem donośniejsze i widzę na końcu alejki światła latarek. Nie potrafię jednak dostrzec, co się tam dzieje, gdyż nadal panuje ciemność, a promienie latarek tylko mnie oślepiają. Posuwają się powoli, po czym unoszą się w górę, w kierunku rusztowania.

Schylam się za drabiną, ale za późno.

Białe promienie już mnie złapały.

Nadal próbuję wycofać się w cień, jednak okazuje się, że go już nie ma. Blask bijący z dołu jest zbyt silny, jak światło reflektora.

W tej chwili słyszę wzmocniony głos: - Tu policja uniwersytecka. Proszę zejść bardzo powoli po drabinie i trzymać ręce na widoku.

Obolały, lecz pelen ulgi dokładnie wypełniam ich polecenia. Schodzę ostrożnie po drabinie, choć trzęsące się stopy chwilami nie chcą mnie słuchać. Światło przesuwają się w dół razem ze mną. Przyłącza się do niego drugie, znacznie silniejsze, toteż przypuszczam, że przyjechał radiowóz. Sądząc po dźwiękach, może ich być nawet więcej. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak mnie ucieszył widok policji.

Nie chcę okazać słabości przed moimi wybawcami, toteż zeskakuję z kilku ostatnich stopni, mając przy tym wrażenie, że się rozpadnę. Obracam się w kierunku światła, osłaniając oczy, i po raz pierwszy uświadamiam sobie, kogo właściwie policjanci widzą: nieogolonego czarnego mężczyznę w ciem-

nej wiatrówce, który wspinał się po ścianie biblioteki w środku nocy. Niewątpliwie musi mieć na koncie wszystkie możliwe przestępstwa.

- W porządku, proszę pana - mówi niski biały głos zza zasłony światła. Ton, jakim wymawia słowa *proszę pana*, nie jest może na tyle kpiący, by uznać to za obrazę, ale z pewnością niedaleki od tego. - Trzymajmy po prostu ręce w górze przed sobą, dobrze?

- Dobrze, ale oni uciekają...

- Proszę stać spokojnie.

Najwyraźniej policjant nie wie, że jestem profesorem, toteż postanawiam go oświecić.

- Panie posterunkowy, powinienem panu powiedzieć, że uczę...

- Proszę nic nie mówić. Proszę powoli podejść do mnie, z rękami przed sobą, dłonie obrócone wnętrzem do mnie.

Wskazuję na koniec alejki. - Ale ja uczę w...

- Proszę nie ruszać rękami!

- Ale to nie ja...

- Proszę się zatrzymać tam, gdzie pan jest. Dłonie na zewnątrz. Dobrze, o to chodziło.

Robię, co mi kazano i trzymam niewinne, trzęsące się ręce tak, żeby funkcjonariusze je widzieli. Pragnę zachować spokój, jak na Garlanda przystało, ale mi się nie udaje. Jestem przerażony. Wrze we mnie gniew i czuję się poniżony. Chłodna noc rozbłyskuje jasną czerwienią. Czuję niezwykłą słabość w podbrzuszu, a jednocześnie - pomimo bólu - zadziwiający przypływ siły w rękach i nogach. Najwyraźniej uaktywnił się mój instynkt walki lub ucieczki. Dostrzegam teraz, że z dwóch stron zbliża się do mnie dwóch białych funkcjonariuszy. Nie wyciągnęli broni, ale mają odpięte kabury i każdy trzyma rękę na biodrze. W drugiej ręce niosą długie policyjne latarki uniesione wysoko w powietrzu. Trzymają je za końce, tak żeby w razie potrzeby móc ich natychmiast użyć jako palki. Posuwają się powoli, ale w ich ruchach wyczuwa się energię. Nie potrafię oderwać wzroku od światła latarek. Słyszałem opowiadania o takich sytuacjach, ale nigdy tego nie doświadczyłem, a teraz przez chwilę wyobrażam sobie, że mogę zostać pobity po raz drugi, tylko tym razem przez uniwersytecką policję. Na policzki wypływa mi rumieniec wstydu, zupełnie jakby mnie przyłapano tuż przed popełnieniem zbrodnego czynu. Naprawdę czuję się winny. Stojąc bez ruchu, obserwuję zbliżających się policjantów. Dochodzę do wniosku, że ich powolność ma swój cel. Chcą mnie sprowokować do jakiegoś niemądrego posunięcia, obraźliwej uwagi albo nerwowego śmiechu, żeby mieć pretekst do użycia swoich latarek. Z drugiej strony, może po prostu wykonują ciężką i niebezpieczną pracę, i wolą nie ryzykować. W każdym razie, nigdy jeszcze nie czułem się tak bezradny i pozbawiony wpływu na swój los. Dzięki ojcu nauczyłem się cenić wolną wolę, gdyż nie miał cienia współczucia dla tych, którym

jej brakowało. Tymczasem teraz znalazłem się w sytuacji, w której moja wolna wola nie ma najmniejszego znaczenia. Nigdy dotąd tak silnie nie doświadczyłem na własnej skórze bezlitosnych podziałów rasowych. Zastanawiam się, co Sędzia zrobiłby w takiej sytuacji.

Jeden z policjantów kiwa na mnie ręką. - Proszę zrobić krok naprzód. Dobrze. Pochylić się do przodu, oprzeć ręce o ścianę, o tam, rozstawić nogi. Dobrze.

Robię, co mi kazano. W kilku oknach akademika zapalają się światła i po chwili otwierają się elektronicznie zamykane drzwi. Podnieceni studenci wychodzą, żeby z aprobatą przyglądać się czystce etnicznej przeprowadzanej na terenie ich kampusu.

- W porządku, proszę pana, w porządku - mówi nadal ten sam policjant. - No, a teraz zobaczmy, kogo tu mamy.

- Macie profesora tej uczelni - wyjaśniam lodowatym tonem. - Oto, kogo macie. To ja uruchomiłem alarm. - Urywam, gdyż wściekłość utrudnia mi oddychanie. Chciałbym zobaczyć ich twarze skrywane za ostrym światłem. - Zostałem zaatakowany.

- Czy możemy zobaczyć jakiś dokument potwierdzający tożsamość, proszę pana? - pyta ten sam funkcjonariusz, który przez cały czas mówił, jednak tym razem jego *proszę pana* brzmi tak, jakby mi uwierzył.

- Możecie zobaczyć - odpowiadam z pedantycznym naciskiem.

Kiedy wreszcie wyciągam portfel i udowadniam, że jestem tym, za kogo się podaję, mój wzrok pada na miejsce niedawnej bójki. Uświadamiam sobie, że czeka mnie ponowna wizyta w klubie szachowym i wysłuchanie wyzwick Karla, gdy się dowie, że zostałem pobity i ukradziono mi jego starą książkę o szachach.

(II)

Jest druga trzydzieści trzy nad ranem. Siedzę w swoim gabinecie wychodzącym na Hobby Road, z kijem bejsbolowym pod ręką i rozmyślam, jak mogło do tego dojść. Wcześniej, kiedy policjanci zrozumieli, że popełnili pomyłkę, zawieźli mnie do izby przyjęć szpitala uniwersyteckiego. Tam młody stażysta, mrużąc melodię z Broadwayu; założył mi szwy na twarzy i zabandażował poobijane żebra. Godzinę później Kimmer i Bentley zabrali mnie stamtąd do domu. Kimmer denerwowała się już wcześniej, że nie wracam, a mój wygląd dosłownie ją przeraził. Jednak potrafiła zdobyć się na delikatność i w drodze do domu okazywała mi troskliwość, całowała moją pokiereszowaną twarz i zapewniała mnie, że wszystko będzie dobrze, chociaż wcale o to nie pytałem. Być może to sama Kimmer potrzebuje pociechy,

gdyż posiadanie męża, który zostaje pobity i niemal aresztowany, z pewnością nie zwiększa szans kandydatki na sędzie. Dotychczas nie opowiedziałem jej dokładnie o napadzie, tylko wspomniałem, że ukradziono mi książkę Karla. Na razie ma dosyć zmartwień. W odpowiednim czasie wszystko jej wyjaśnię.

A Bentley! Mój zazwyczaj wesoły i figlarny syn był tak wstrząśnięty wyglądem ojca, że zwinął się w kłębek i zasnął natychmiast po umieszczeniu go w samochodowym foteliku. Oddałbym wszystko, żeby przywrócić mu normalne dzieciństwo. Ostatnie tygodnie niewątpliwie odbiły się bardziej na nim niż na mnie i Kimmer. Siedząc teraz zgarbiony przy biurku, zerkam to na ulicę, to na ekran komputera - gdzie przeskakuję z jednego internetowego czatu na drugi - i marzę, żeby wreszcie się dowiedzieć, co ojciec właściwie zostawił oraz komu na tym zależy. Wówczas natychmiast bym mu to dał i uwolnił rodzinę oraz siebie od tych wszystkich problemów.

Ustalenia: jakie? Ekscelesior: dlaczego szachy?

Zniknięcie albumu z wycinkami, ponowne pojawienie się pionka dostarczonego do jadłodajni - tyle tajemnic... to fatalne dla zdrowia.

I dla bezpieczeństwa. *Ty i twoja rodzina jesteście zupełnie bezpieczni.* Pewnie. Powiedz to tym dwóm, którzy mnie dziś pobili. Chciałbym spotkać się z nimi jeszcze raz, tyle że na własnych warunkach. Podnoszę się na nogi, chwytam kij bejsbolowy, robię płynny zamach, jakbym chciał odbić szybką piłkę i omal nie rozbijam sobie komputera.

W rzeczywistości nie uderzyłem w gniewie drugiego człowieka od czasu nierozstrzygniętej bójkki na boisku szkolnym w szóstej klasie. Wówczas to jeden z kolegów będących postrachem szkoły wściekł się na mnie za jakiś docinek i postanowił dać mi nauczkę. Macham teraz kijem, ale już znacznie uważniej, i pozwalam sobie na chwilę wspomnień o szczęśliwszych czasach, kiedy Abby jeszcze żyła. Tamten chłopak, biały jedenasto- czy dwunastolatek, który miał chyba na imię Alvin, celował w mój nos, ale nie trafił i rozciął mi wargę. Z bólu i przerażenia zacząłem machać rękami i trafiłem go w szczękę. Bardziej go to zdumiało niż zabolalo, a ja wykorzystałem tę chwilę osłupienia i z całej siły wyprowadziłem prawy prosty, po którym z chrząknięciem zwałił się na ziemię. Cofnąłem się, a wówczas Alvin zerwał się na nogi i znów się na mnie rzucił. Po chwili obaj znaleźliśmy się na ziemi, gdzie kontynuowaliśmy bójkę, zadając sobie na oślep krótkie ciosy, dopóki nie rozdzielił nas nauczyciel. Ależ mi się oberwało od Sędziego! Nie za bijatykę, lecz za to, że nie skończyłem tego, co zacząłem. Zacytował mi stare powiedzenie: Kiedy atakujesz króla, musisz go zabić. W wypadku kogoś, kto znęca się nad słabszymi, nie wystarczy doprowadzić do remisu, przestrzegł mnie. Kiedy po trzech dniach upłynął okres mojego zawieszenia w prawach ucznia, bardzo ostrożnie wracałem do szkoły, zastanawiając się, czy Alvin się na mnie gdzieś nie zaczął. Alvin. Tak. Znów siadam przy biurku i odkła-

dam kij na podłogę. Powodem bójki było właśnie jego imię. Chciał, żebyśmy nazywali go Al, a ja nigdy nie pozwalałem, by ktoś mi narzucał swoją wolę - w każdym razie nie pozwalałem mężczyznom. Jak się okazało, nie musiałem więcej z nim walczyć, gdyż już nie wrócił do szkoły. Uśmiecham się i okręcam na krześle w stronę okna. Ulica jest spokojna i pusta. Przeżywałem wówczas chwile chwały, gdyż po szkole rozeszły się plotki, że odejście Ala ze szkoły jest rezultatem lania, jakie mu spuścił mięczak Tal Garland, zwodniczo zwany Poindexterem. Tyran zniknął, a ja przez tydzień cieszyłem się wśród kolegów popularnością, co było dla mnie nowym, nieznanym dotychczas przeżyciem, które już się więcej nie powtórzyło. Oczywiście, w rzeczywistości z ledwością odpierałem ciosy Alvina, toteż prawda o jego odejściu była bardziej prozaiczna. Otóż w trakcie wymuszonych wakacji Al „pożyczył” sobie samochód nienależący do jego rodziny i wysłano go do specjalnej szkoły, jak eufemistycznie nazywano wówczas szkoły zawodowe, będące często po prostu przechowalnicami dla niechcianych, nieokrzesanych, niechętnie... nastawionych... nie...

Dzwoni telefon.

Natychmiast otwieram oczy i odruchowo łapię kij. Z niedowierzaniem wpatruję się w urządzenie, które obudziło mnie z drzemki, potem obracam się, żeby spojrzeć na zegarek. Czerwone cyfry są ledwo widoczne za stosem książek spoczywających na moim biurku. Druga pięćdziesiąt jeden. Nad ranem. Nikt nie dzwoni o takiej porze z dobrymi nowinami. Na wyświetlaczu telefonu widnieje informacja, że numer dzwoniącego został zablokowany.

Nie wskazuje to na nic dobrego.

Mimo wszystko po drugim dzwonku podnoszę słuchawkę, bo nie chcę, żeby dzwonienie obudziło Kimmer. Serce bije mi zbyt szybko, za silnie zaciskam rękę na kiju, a na dodatek wyglądam przez okno na ulicę, jakby ten telefon był sygnałem do ataku na dom.

- Tak? - odzywam się cicho, gdyż nie mam zamiaru udawać, że cieszę się z rozmowy o takiej godzinie. Poza tym czuję przyływ adrenaliny i trochę się boję... o swoją rodzinę.

- Czy rozmawiam z profesorem Garlandem? - pyta spokojny męski głos.

- Tak.

- Problemem już się zajęto - zapewnia mnie głos, zmysłowym, niemal hipnotyzującym tonem. - Przykro mi z powodu tego, co zaszło dziś wieczorem, ale teraz wszystko jest już w porządku. Nikt więcej nie będzie panu przeszkadzał. Pan i pańska rodzina jesteście bezpieczni, tak jak obiecano.

- Co? Kto mówi?

- No, i oczywiście, proszę nikomu nie wspominać o tej rozmowie. - Nie wiem, komu odważyłbym się ją powtórzyć, chociaż, z drugiej strony...

- A jeśli mój telefon jest na podsłuchu?
- Nie jest. Dobranoc, profesorze. Spokojnej nocy.

Odkładam słuchawkę, czując jednocześnie zdumienie, ulgę i nowy, znacznie silniejszy strach.

Wszystko jest w porządku. Problemem już się zajęto. Nikt więcej nie będzie panu przeszkadzał.

Może to wariat, może idiotyczny żart, a może, ale tylko może, coś znacznie gorszego.

Może to prawda.

Jeszcze się cały trzęsę, kiedy idę po schodach do sypialni, a jednocześnie rozmyślam, czy przed odłożeniem słuchawki rzeczywiście usłyszałem odległe lekkie stuknięcie, kiedy moja żona starała się delikatnie położyć słuchawkę drugiego aparatu na widelki.

ROZDZIAŁ 28

Dwie nowiny

- Słyszałem, że miałaś kłopoty - oznajmia wielki Mallory Corcoran, który znów raczył osobiście do mnie przemówić. Na dodatek to on zadzwonił do mnie.

- Można tak powiedzieć. - Idę korytarzem, rozmawiając przez przenośny telefon. Przeciągam ręką po posiniaczonej twarzy i uśmiecham się niewesoło do swojego odbicia w ohydny lustrze ze złożonymi brzegami wiszącym naprzeciw jadalni. To prezent, jaki Kimmer otrzymała od swej dalekiej ciotki z okazji pierwszego małżeństwa. Minęła jedenasta rano, ale Bentley nadal odsypia na górze przeżycia z ostatniej nocy. Jedną z wielkich zalet pracy na uczelni jest możliwość wzięcia wolnego przedpołudnia z powodu takiego drobiazgu, jak miłość do dziecka.

- Policja faksuje Meadows kopię raportu. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Jakoś ci pomóc?

- Chyba nie, wujku Mal. Nic mi nie jest. Jestem tylko trochę rozbity.

- Na pewno?

- Na pewno. - Stoję teraz przy kuchennym oknie, patrząc na strugi deszczu, który chce zatopić nasz mały, ale bezpieczny ogródek. Jest on z dwóch stron ogrodzony żywopłotami, z trzeciej wysokim drewnianym płotem, a z czwartej zamyka go dom. Pozwalamy Bentleyowi przebywać w nim tak długo, jak ma ochotę, często bez naszego nadzoru. - Wydaje mi się, że nad wszystkim panuję.

- Czy wiesz może, o co im chodziło?

Waham się. Powiedziałem policji, że napastnicy zabrali mi pakunek, ale nie zdradziłem, że w kółko pytali o *ustalenia*, kiedy zadawali ciosy. Nikomu też nie powiedziałem o telefonie, który odebrałem w środku nocy, a Kimmer nie pytała.

Z nieznaney mi przyczyny wierzę w to, co powiedział nieznanany rozmówca. Wydaje się to... prawdopodobne.

- Nie wiem, wujku Mal. - Wzdycham. Ból powrócił i na pewno słyhać to w moim głosie, ale jeszcze nie pora na następną tabletkę przeciwbólową. - Doprawdy nie wiem.

- Sądząc po głosie, nie czujesz się najlepiej.

Ach, to tylko moja szczeka.

- Złamali ci szczękę? - W jego tonie brzmi niepokój i niedowierzenie, ale również cień rozbawienia człowieka, który widział już wszystko.

- Nie, nie. Po prostu mnie boli, to wszystko.

- Hmm. - Mallory Corcoran najwyraźniej nie wierzy moim zapewnieniom o dobrym samopoczuciu. I ma rację. Jednak ból, który najbardziej mi doskwiera, nie jest natury fizycznej. Dziś rano, mimo że byłem cały obolały, przygotowałem śniadanie i próbowałem nakłonić Kimmer, żeby spokojnie usiadła i wysłuchała całej historii. Zamierzałem opowiedzieć jej o wszystkim, co wiem, o wszystkim, czego się domyślam, oraz o wszystkim, co mnie martwi. Jednak moja żona, która zeszła na śniadanie ubrana już do pracy w piękny granatowy kostium w białe prążki, potrząsnęła tylko ze znużeniem głową. *Nie chcę tego słyszeć, Misha, dobrze? Naprawdę ci ufam, ale nie chcę tego wysłuchiwać.* Protestowałem przez chwilę, ale znów potrząsnęła głową i delikatnie położyła mi palec na ustach. Poważnie i pytająco spojrzała mi w oczy. *Chcę ci zadać tylko trzy pytania, oświadczyła. Po pierwsze, czy naszemu synowi grozi jakieś niebezpieczeństwo?* Spędziłem pół nocy na rozważaniu tego pytania, toteż mogłem jej od razu odpowiedzieć: *Jestem pewien, że nie.* Przyjęła to bez słowa komentarza i spytała: *Czy mnie coś zagraża?* Ponownie odpowiedziałem, że z pewnością nie. Wówczas, przyglądając mi się poważnym wzrokiem, spytała o to, o co chciała spytać przez cały czas: *Czy ty jesteś w niebezpieczeństwie?* Zastanowiłem się przez chwilę i potrząsnąłem głową. *Chyba nie.* Zmarszczyła czoło. *Nie jesteś zbyt pewien.* Wzruszyłem ramionami i stwierdziłem, że w zasadzie jestem. Wówczas Kimmer kiwnęła głową, podeszła, żebym ją objął i pocałowała mnie. Później położyła mi głowę na piersi i przypomniała, że mam rodzinę, która mnie potrzebuje. *Rób to, co uważasz za swój obowiązek, Misha, ale pomyśl o tym, co się stało w nocy i pamiętaj o swoich pozostałych zobowiązaniach.*

Potem wyruszyła do pracy, a ja zostałem z uśmiechem na twarzy.

Trochę później tego ranka zjawili się Don i Nina Felsenfeld i obdarowali mnie zapiekankami oraz życzliwością. Wprawdzie ledwie łapałem oddech, gdy zalali mnie potokiem troskliwych uwag, ale też zrobiło mi się ciepło na sercu. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedzieli o wydarzeniach ostatniej nocy, ale w końcu Elm Harbor jest małym miasteczkiem, jak stale powtarza moja żona.

- W każdym razie, gdybyś doszedł do wniosku, że firma może ci jakoś pomóc - oznajmia wujek Mal z wymuszoną dobroduszością - to skontaktuj się ze mną.

Ma na myśli skontaktowanie się z Meadows. Czuję, że znowu ma mnie dosyć.

Zmuszam się do odpowiedzi: - Oczywiście. I dziękuję, że zadzwoniłeś.

Ku mojemu zdziwieniu zaczyna się śmiać. - Chwileczkę, Talcotcie, poczekaj. Nie odkładaj słuchawki. Jeszcze nie doszliśmy do tego, po co zadzwoniłem. Miałem i tak zamiar skontaktować się z tobą, jeszcze zanim się

dowiedziałem, co zaszło.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

Znowu potężny wybuch śmiechu. - Nie, nie, wszystko w porządku. Posłuchaj, Talcotcie. Jeśli chodzi o tę sprawę z sądem, to twoja żona musi mieć tajemniczego wielbiciela.

- Tajemniczego wielbiciela?

- Zgadza się.

- To znaczy? - pytam niepewnie, nie myśląc już o wczorajszej napaści, lecz martwiąc się, w jaki sposób Biały Dom odkrył ewentualne pozamażeńskie związki Kimmer. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że słowa wujka Mała wskazują raczej, że jej szanse wzrosły.

- Dowiedziałem się, że ludzie prezydenta rozczarowali się nieco do profesora Hadleya. Jeszcze nie wypadł z gry, ale jego kandydatura się chwieje. Dotychczas odpowiadał Partii Republikańskiej jako ktoś w rodzaju Felixa Frankfurtera, tego wielkiego politycznego liberała, a jednocześnie konserwatywnego sędziego. Wydawało się, że Hadley ma podobne poglądy, sądząc z tych niewielu rzeczy, które napisał. Republikanom podobała się taka kombinacja, gdyż sądzili, że zadowolą jednocześnie demokratów i swoje prawe skrzydło. W każdym razie tak im to ktoś wytłumaczył.

- Rozumiem.

- Nie powiem, całkiem dobry pomysł. Prezydent miał sporo kłopotów z zatwierdzeniem kilku nominacji, więc chętnie przywitałby taką, która przejdzie bez sprzeciwów.

- Z pewnością. - Przechodzę teraz z telefonem do gabinetu i z roztarżeniem masuję obolałe żebra. We frontowym oknie widzę te same nieskończone potoki deszczu, co w tym od ogrodu. Jak zazwyczaj o tej porze, Hobby Road jest pusta, gdyż dzieci poszły do szkoły, a rodzice są w pracy, w supermarkecie, na aerobiku czy gdzie tam rodzice chodzą w dzisiejszych czasach.

- Tak to w każdym razie obmyślono - ciągnie wujek Mal. - Jednak dowiaduję się teraz, że ktoś przesyła do Białego Domu zapisy wykładów, które profesor Hadley wygłasza po różnych kolacjach, w których uczestniczy, więc republikanie doszli do wniosku, że na szczycie swojej listy mają kryptoliberała. Wprawdzie on niczego nie publikuje, ale niektóre z jego idei są naprawdę dziwaczne.

- Rozumiem - mówię powoli.

- Podczas gdy Kimmer... no, wiesz, Talcotcie, biorąc pod uwagę twoje gojca... powiedzmy po prostu, że prezydent chciałby zadowolić prawe skrzydło, a nominowanie synowej Olivera Garlanda miałyby pewien... styl. Dodatkowo jest czarna. Czarna kobieta. Trzy korzystne okoliczności.

- Na wypadek, gdybyśmy zapomnieli.

- W twoim głosie słychać zdenerwowanie, Talcotcie.

- Nie, nie. - Nie potrafię mu wyjaśnić, jak bardzo ubodły mnie jego rozważania, i jak przykro byłoby Kimmer, gdybym jej powtórzył te słowa. Oczywiście, nie zamierzam tego robić. Gdyby małżeństwo któregoś z Garlandów pozbawić tajemnic, mogłoby być zbyt szczęśliwe, a tego rodzina by nie zniosła. - Nie, ale... powiedziałaś, że ktoś przysyła zapisy wystąpień Marca.

- Z tego, co słyszałem, ktoś z Elm Harbor.

- Z Elm Harbor?

- Z uniwersytetu. - Jego głos twardnieje.

- O... rozumiem. - Staram się mówić obojętnym tonem. Najwyraźniej wujek Mal uważa, że to moja sprawka, a swoim zachowaniem chce mi przekazać, że to nie w porządku wykorzystywać waszyngtońskie kontakty do przeforsowania kandydatury swojej żony na sędzię. Tymczasem powinien wiedzieć, że mój jedyny waszyngtoński kontakt to on.

- Jednak rzecz w tym, Talcotcie, że obrzucanie innych błotem może się zemścić.

- Zemścić?

- Na tym, kto przesyła do Białego Domu te zapisy. Powiedzmy, że zaszkodzą one profesorowi Hadleyowi na tyle, że nie dostanie tego stanowiska. Jednak nie ma gwarancji, że zdobędzie je kandydat donosiciela. Tego typu sprawy bywają kłopotliwe. Kiedy A obrzuca błotem B, może się okazać, że obaj będą tak brudni, że wyeliminuje ich to z...

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- A nawet jeśli plan się powiedzie? To i tak takie postępowanie pozostanie po prostu złe.

Złe. Słowo, które w najbliższym stuleciu zapewne zniknie ze słowników. - Zgadzam się.

- Na twoim miejscu postarałbym się powstrzymać.

- Wujku Mal, to nie ja! - wybucham, czując się dokładnie tak jak wczoraj. Znów jestem niewinnym czarnym mężczyzną wyglądającym na winnego w oczach białej władzy.

- Przecież nie twierdziłem, że to ty - odpowiada świątoszkowato.

- Powiesz im?

- Komu i co?

- Tym z Białego Domu, że to nie moja sprawka.

- No, jeśli rzeczywiście ci na tym zależy - mruczy pełnym powątpiewania tonem, sugerując, że nie sądzi, by mu uwierzyli, a nawet nie wie, czy powinni.

- Proszę.

- Powiem - obiecuje, ale można wyczuć, że tego nie zrobi. - W każdym razie, bądź z nami w kontakcie.

- W porządku.

- Dobrze. Po to w końcu jesteście. Aha, i zawiadom nas, jeśli firma będzie mogła coś dla ciebie zrobić.

- Oczywiście.

Stuart, myślę, odkładając słuchawkę. Ten pompatyczny idiota, Stuart Land.

ROZDZIAŁ 29

Przyjemny wieczór

(I)

- Dobrze się czujesz, Tal? - pyta Shirley Branch, cmokając mnie w policzek, kiedy przestępuję próg jej segmentu w kompleksie mieszkalnym dochodzącym do plaży. Spogląda współczująco na siniak pod okiem. Na zewnątrz mokra nowoangielska zima toczy odwieczną grudniową walkę z tymi, którzy wolą ciepło. - Słyszałam, że prawie cię aresztowali. Wezmę twój płaszcz. Gdzie twoja żona? - Jedno pytanie goni drugie, gdyż Shirley cechuje bałaganiarska błyskotliwość powodująca, że kolejne myśli nie mogą dostrzymać kroku poprzednim.

Podaję jej swoją kurtkę, a następnie odpowiadam na pierwsze pytanie po raz chyba dziesiąty w ciągu ostatnich dwóch dni i na drugie po raz setny w ciągu ostatniego roku. - Nie, nie zamierzali mnie aresztować, to było tylko drobne nieporozumienie, nic więcej. A Kimmer nie mogła przyjść na przyjęcie, gdyż opiekunka do dziecka zachorowała na grypę. - Jest to prawda, ale gdyby nie zachorowała, moja żona znalazłaby inną wymówkę. Kolacja z gronem profesorskim szkoły prawniczej to dla Kimmer po prostu katusze. Kiedy okazało się, że nie może iść, zaproponowała nawet, żebym został z nią w domu, jednak gdy stwierdziłem, że to dobry pomysł, zmieniła zdanie. Ponownie przytoczyła argumenty, które skłoniły nas do przyjęcia zaproszenia Shirley na sobotnią kolację: Shirley jest pierwszą czarną kobietą zatrudnioną jako wykładowca w naszej szkole, a ponadto moją była studentką i asystentką, a w końcu trzeba pamiętać o solidarności i lojalności, nawet w tych niedoskonałych czasach.

Jednak sędzę, że w rzeczywistości Kimmer zależało na tym, by przynajmniej jedno z nas poszło na to przyjęcie, gdyż chce się dowiedzieć czegoś o Marcu, który również znalazł się na liście gości. Nie miała z nim kontaktu od chwili, gdy stali się konkurentami w wyścigu do stanowiska sędziego w sądzie apelacyjnym. Ja z kolei bardzo rzadko go spotykałem w szkole prawniczej, być może dlatego, że ostatnio tak wiele czasu spędzam poza nią. W związku z tym Kimmer, która wcale nie jest tak onieśmielona przez moich kolegów, jak jej się wydaje, uznała, że nadeszła pora, by ocenić przeciwnika.

Tyle, że kiedy okazało się, iż nie mamy opiekunki do dziecka, wysłała mnie samego.

- Widziałeś może Cinque? - Shirley zadaje to pytanie tonem pełnym nadziei, głosem z miękkim akcentem z Mississipi. Cinque to groźne imię* całkiem niegroźnego teriera, który czasami towarzyszy swojej pani w niewielkim gabinecie na uczelni, łamiąc szereg uniwersyteckich zakazów. - Jakoś udało mu się uciec na dwór.

* Cinque jest imieniem przywódcy czarnych niewolników z filmu „Amistad” Stevena Spielberga.

- Niestety, nie widziałem.

- Naprawdę dobrze się czujesz, Tal? Nie wiem, czy wszystkich znasz. Poznałeś już wielbego Younga, tak? Nie? A jednak znasz? Jest moim pastorem. Twoje oko wygląda okropnie. Jesteś pewien, że nie widziałeś Cinque, kiedy tu wchodziłeś? On nie może być zimą na dworze.

- Z pewnością nic mu nie jest, Shirley - przekonuję ją, a ona tylko wzrusza ramionami i próbuje się uśmiechnąć.

Staram się odwzajemnić jej uśmiech najlepiej, jak potrafię. Ból żeber zezłżał, ale strasznie mnie swędzą miejsca, gdzie zeszyto mi twarz. Stuart Land, jak się okazuje, wyjechał na kilka dni do Waszyngtonu, tak że nie mogłem z nim porozmawiać o próbach zaszkodzenia Marcowi, jeśli rzeczywiście to jego dzieło. Nieznajomy o zmysłowym głosie nie odezwał się więcej, ale nie wyczuwam już, żeby mnie ktoś śledził. Gdyby było inaczej, zapewne bym zrezygnował z tego przyjęcia.

Przychodzę jako jeden z ostatnich gości. Marc i Dahlia Hadley oraz Lynda Wyatt i jej senny mąż Norm, architekt, już tu są. Widzę też Bena Montoyę, silną prawą rękę Lyndy, ale jego żona, podobnie jak moja, wymówiła się chorobą opiekunki do dzieci. Lem Carlyle oraz *jego* żona zjawiają się nieco później, po występie baletowym córki. Czworo spośród najbardziej znaczących wykładowców i ja. Shirley była moją studentką dziesięć lat temu, kiedy dopiero zacząłem wykładać prawo o czynach niedozwolonych. Jeszcze trzy lata dzieli ją od głosowania, czy przyznać jej dożywotnie stanowisko profesorskie, ale już wie, czyja opinia się liczy. Ma też dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że na ocenę dorobku naukowego zawsze wpływa, choćby w niewielkim stopniu, to, czy recenzent lubi ją jako osobę.

Troje gości nie ma bezpośredniego związku z uniwersytetem. Wielbnemu Morrisowi Youngowi, mojemu doradcy rodzinnemu, towarzyszy cicha żona, Martha, niemal równie pulchna jak on. Określenie *cicha* dotyczy Marthy tylko w życiu prywatnym, gdyż w kościele ma najbardziej donośny - i prawdopodobnie najlepszy - głos w naszym chórze, który występuje na terenie całego stanu. Trzecią spośród tych osób jest chudy jak szczapa Kwame Kennerly, bezwstydnie kalkulujący każde swoje posunięcie polityk o przedwcześnie przerzedzonych włosach, wspanialej koziej bródce i reputacji podżegacza. Krążą pogłoski, że był zamieszany w kilka miejskich skandali, lecz nigdy mu tego nie udowodniono, a obecnie pełni rolę - jak to określa Kim-

mer - specjalnego asystenta burmistrza do spraw utrzymania miejskich mniejszości w ryzach, choć oficjalnie zajmuje stanowisko „zastępcy kierownika działu personalnego”. Jest ponadto chłopakiem Shirley, co uświadamiam sobie, widząc, jak obejmuje jej szczupłą talię. Najwyraźniej moja była studentka zacieśnia kontakty nie tylko z najbardziej wpływowymi profesorami naszej uczelni, lecz również z dwoma najbardziej liczącymi się postaciami czarnej społeczności naszego miasta.

Krótko mówiąc, wpasowuje się; ja, jej były nauczyciel, promienieję.

Kiedy Shirley przedstawia mnie Kwame Kennerly'emu stojącemu tuż za nią z kieliszkiem wina w ręce, zachowuje się on dość nieuprzejmie. Być może wini mnie za ojca - często spotykam się z takim podejściem ze strony aktywistów lewicy. (Z kolei zagorzali prawnicy zazwyczaj pragną uściskać mi dłoń, kierując się równie irracjonalnymi powodami). Nazwisko Kwame często pojawia się w „Cladonie”, gdyż należy on do tych wybijających się polityków, którzy potrafią być w kilku miejscach jednocześnie, jednak dotąd nie znałem go osobiście. Jest wysoki i muskularny, a jego wzrok wyraża sprzeciw wobec tego, co powiesz, zanim jeszcze zdążysz otworzyć usta. Na dzisiejszą okazję, być może dlatego, że Shirley mieszka nad wodą, ubrał się w granatową marynarkę z mosiężnymi guzikami, chociaż sezon już minął - takie wykroczenia nieodmiennie budziły gniew mojej matki. Jakby dla równowagi ma na głowie okrągły, jasnopomarańczowy kapelusz z tkaniny kente*. Ta mieszanina kolorów - kapelusza, marynarki, ciemnej skóry i czarnej bródki - może wywrzeć onieśmielające wrażenie na obecnych tu białych liberalach. Jeśli Kwame czuje się nie na miejscu, to z pewnością tego nie zdradza.

* kente - ceremonialna tkanina ludu Aszante zamieszkującego Ghanę

Rozległe kondominium, w którym mieszka Shirley Branch, wychodzi na wąską i pełną wodorostów plażę Elm Harbor. Jednopoziomowy segment Shirley jest nieduży. Składa się z sypialni służącej również jako gabinet, kuchni wielkości szafy, łazienki oraz długiego pomieszczenia pełniącego rolę jednocześnie jadalni i salonu, w którym stół na dwanaście osób zajmuje połowę przestrzeni. Jak wielokrotnie od niej słyszałem, za te same pieniądze mogła kupić dom z trzema sypialniami na drugim końcu tego kompleksu, ale wówczas nie miałaby tego wspaniałego widoku na wodę. - Nie potrzebuje dużo miejsca - powtarza - bo jesteśmy tylko we dwójkę z Cinque. - Warto wyjaśnić, że Cinque to trzeci pies o tym samym imieniu, począwszy od czasów college'u. Shirley zadbała też o to, żebyśmy wszyscy wiedzieli, iż wybrała to imię na długo przedtem, nim Spielberg uczynił je sławnym.

Kiedy teraz wyglądam przez szklane drzwi balkonowe i w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów widzę plażę i gładką, czarną wodę, czuję się niemal, jakby mnie przeniesiono z powrotem do Oak Bluffs.

Niemal.

Shirley jest szczupłą kobietą o pociągłej, smutnej twarzy i wystających zębach - za czasów mojego dzieciństwa o takich rysach mówiło się „końska twarz”. Jej oczy mają nieco zbyt szczerzy wyraz, pozornie niedbale ułożone włosy są trochę za bardzo przygładzone, a ruchy ciut za gorączkowe. Nawet jako studentka miała skłonność do przesady. W pracy poświęciła się niemal wyłącznie zagadnieniu rasy, a jeśli chodzi o jej poglądy, to są zdecydowanie i agresywnie lewicowe. Słuchając Shirley można by pomyśleć, że jedyną przyczyną problemów gnębiących Amerykę i cały świat jest biały rasizm. Shirley ma przenikliwy i żywy umysł, bardzo lubi pisać, ale jej pracy naukowej brakuje pewnej subtelności - nie poświęca uwagi niuansom, nie rozważa z namysłem alternatyw - mówiąc krótko, jest uparta i zawzięta, co niemal nie przekreśliło jej szans na zatrudnienie w naszej szkole. Marc Hadley przewodził wówczas oponentom.

Ciekawe, czy Shirley o tym wie.

Przechodzę do dużego pokoju, gdzie w jednym końcu ustawiono kanapę i podwójny fotel, a w drugim duży stół ze szklanym blatem, i stwierdzam, że Marc już zaczął przemawiać - on po prostu kocha publiczność, jak prasa kocha skandale. Shirley, wieszająca akurat moją kurtkę w przepelnionej szafie, wrusza ramionami w przepraszającym geście. Kiedy wchodzę, Lyndá Wyatt uśmiecha się radośnie i podnosi kieliszek w żartobliwym pozdrowieniu. Muszę jej przyznać, że rzeczywiście *stara się* mnie lubić. Z kolei Marc wita mnie tak zdawkowo, że można to uznać za odprawę, jednak jest już całkowicie pochłonięty swoim wykładem. Energicznie wymachuje rękami, zabawiając gości swoją najnowszą teorią. Wspaniała Dahlia stara się, jak może, zrekompensować jego nieuprzejmość, toteż ściska mnie jak dawno niewidzianego brata i wypytuje o rodzinę. Stary Ben Montoya - chudy, lecz silny - kładzie mi na ramieniu ciężką dłoń i szepce, że słyszał, iż byłem aresztowany. Obracam się i rzucam Shirley oskarżycielskie spojrzenie, na co ona uśmiecha się nerwowo i wrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: *To nie moja wina. Ja nie wymyślam plotek, tylko je rozpowszechniam.*

Na koniec spoglądam na samego Marca, rywala mojej iony i człowieka, z którym jeszcze niedawno łączyły mnie dość bliskie stosunki. Brat Hadley, jak go nazywa Droga Dana Worth, lub Młody Marc, jak woli go określać złośliwy Theo Mountain - najwyraźniej Marc ma powierzchowność prowokującą żarty. Jak zwykle, unosi się wokół niego przyjemny zapach jego ulubionego malinowego tytoniu, gdyż stara, podniszczona fajka jest jedną z jego wielu miłości. Marc nie zwraca uwagi na nowe przepisy stanowe zabraniające palenia tytoniu we wspólnych pomieszczeniach budynków publicznych, gdyż uznał już, że są one niezgodne z konstytucją. Na razie nie ma chętnych, by mu się przeciwstawić, toteż chodzi z fajką po całym budynku Oldie (choć zauważyłem, że nie zapalił jej w domu Shirley). Marc jest słusznie ceniony jako posiadacz jednego z najciekawszych umysłów wśród wy-

kładowców, co najwyraźniej usprawiedliwia fakt, że nie chesze siwo-blond włosów sięgających mu już za uszy, goli się raz lub dwa razy na tydzień, nie nosi krawata i rzadko czyści buty. Wykłada prawoznawstwo i prawo kryminalne oraz prowadzi uczone seminaria na temat życia wielkich sędziów oraz nadchodzącej śmierci samego prawa. Studenci czują przed nim respekt, większość kolegów go podziwia, a niektórzy z nas go lubią. Pomimo wybujałego ego jest dobrym człowiekiem, zawsze chętnie służącym czasem i talentem tym, którzy dopiero zaczynają, i byłby wielką gwiazdą w świecie nauki, gdyby nie jedna słabość, o której już wspominałem

- Marc po prostu nic nie publikuje. Jego reputacja naukowca opiera się nawet nie tyle na jego jedynej książce - wydanej niemal dwadzieścia lat temu pod tytułem „Konstytucyjny umysł” - co na jednym błyskotliwym rozdziale tej książki, Rozdziale Trzecim, zawsze pisanym wielkimi literami i często przytaczanym bez podawania treści, na przykład: *Jednak w Rozdziale Trzecim Hadleya ten argument został już odparty*. W słynnym Rozdziale Trzecim Marc przedstawił - jak się powszechnie uważa - najlepszą jak dotąd analizę sędziowskiego stylu Benjamina Cardozo i wykorzystał ją do krytyki tak modnej dziś teorii konstytucyjnej. Nawet pogardzająca Markiem Dana Worth przyznaje w przypływie obiektywizmu, że nie zna drugiej książki napisanej w ostatnim półwieczu przez prawnika naukowca, która by odegrała tak wielką rolę. Książka ta była ostrym atakiem na tak zwaną sędziowską aktywność, atakiem przypuszczonym przez zdeklarowanego liberała, który jednak nazywa siebie liberałem w starym stylu, czyli przedkładającym demokratyczny liberalizm organizacji tworzonych przez zwykłych ludzi nad biurokratyczny liberalizm legislacji i sporów sądowych.

Niewątpliwie mój były przyjaciel Marc Hadley jest błyskotliwym myślicielem i wspaniałym nauczycielem, lecz mam nadzieję, że pozostanie profesorem prawa.

W końcu zaczyna do mnie docierać treść wykładu Marca. Wprawdzie jak zwykle mówi zbyt szybko, ale udaje mi się wyłapać sedno jego słów. - Widzicie, jeśli orzeczenie w sprawie *Griswold przeciwko Connecticut* było słuszne, czyli decyzje na temat urodzenia dziecka mają być podejmowane przez kobiety i ich lekarzy, to sama instytucja małżeństwa staje się przestarzała... przestarzała w świetle *Konstytucji*. Jeśli przyjrzeć się odkryciom historyków i antropologów, stwierdzimy, że Freud miał całkowitą rację. obrońcy tradycyjnego związku małżeńskiego, szczególnie ci, którzy uważają go za coś *naturalnego*, podkreślają, że w takiej czy innej formie istniał on w każdej ze znanych nam kultur. Jednak o czym to świadczy? Tylko o tym, że każda kultura borykała się z tymi samymi problemami. Małżeństwo wyewoluowało jako rozwiązanie pozwalające społeczeństwu ograniczyć ludzki popęd do reprodukcji, który jest najsilniejszą ludzką potrzebą, poza popędem słabych umysłów do tworzenia nadnaturalnych bytów, do których będą mogły się

modlić, by stłumić lęk przed śmiercią. - Śmieje się cicho, by złagodzić cios, który, jak sądzi, zadał. Potem podejmuje swoje wywody. - Widzicie, historycznie rzecz ujmując, małżeństwo jest kwestią wyłącznie reprodukcji i ekonomii, czyli dzieci i pieniędzy. Pary małżeńskie powołują na świat i wychowują dzieci. Jednostka małżeńska zarabia, konsumuje i nabywa własność. Na tym to polega. Reszta prawa małżeńskiego to już nadwyżka. Jednak teraz, przy obecnym rozwoju kultury i technologii, reprodukcja przestała być nieodłącznie związana z małżeństwem. Niezameżne kobiety mają dzieci i nie spotykają ich z tego powodu żadne społeczne sankcje, podobnie jak zameżnych kobiet, które nie chcą mieć dzieci. Nie tylko, że nie grożą im za to społeczne sankcje, ale wręcz jest to ich konstytucyjne prawo. Zatem mamy do czynienia z dziedziną prawa opartą na społecznych przekonaniach, które już przestały istnieć. Małżeństwo oddzielone od reprodukcji traci swój sens. Zatem, prawo małżeńskie nie jest obecnie związane z żadnym uzasadnionym celem państwa, a przecież jest to podstawowy wymóg, jaki musi spełniać każda ustawa zgodnie z Konstytucją. W ten sposób logicznie dochodzimy do stwierdzenia, że prawo małżeńskie jest niezgodne z Konstytucją.

Marc milknie i rozgląda się po zatłoczonym pokoju, jakby czekał na aplauz.

Nikt się nie odzywa. Marc promienieje zadowoleniem, być może wyobrażając sobie, że wywarł na nas tak silne wrażenie, iż nie potrafimy wykrztusić z siebie komentarza. Jeśli o mnie chodzi, nic nie mówię, gdyż zastanawiam się, czy nie poprosić lekarza o skierowanie na badanie słuchu - po prostu nie wierzę, że dobrze usłyszałem te wszystkie bzdury. Marc nigdy nie opublikuje swoich wywodów, więc w tym wypadku można powiedzieć, że blokada twórcza działa na jego korzyść. Zachowuje się tak lekkomyślnie, bo wie, że wypowiedane przez niego poglądy nie zostaną trwale zarejestrowane i zawsze będzie mógł się ich wyprzec, utrzymywać, że były to tylko spekulacje albo stwierdzić, że jego argumenty zostały źle zrozumiane. Małżeństwo jest niezgodne z konstytucją! Zastanawiam się, czy Biały Dom zna już tę jego szaleńczą teorię, czy to jest jedna z tych opowieści, które Stuart przesyła dalej - oczywiście, jeśli to Stuart stara się podważyć kandydaturę Marca, bo jeszcze nie zdążyłem tego stwierdzić. Zastanawiam się, jakby to brzmiało w prasie. (Nie znaczy to, że chciałbym rozmawiać z dziennikarzami, jednak Marc ma dość wrogów. Wystarczy, żebym opowiedział o jego pomysłach Danie Worth, a ona bez najmniejszych skrupułów przekaże to wszystkim dziennikarzom, których wraz z Alison znają).

Marc jeszcze nie skończył.

- Nie twierdzą, że prywatne instytucje, na przykład organizacje religijne, nie mogą, jeśli chcą, w dalszym ciągu odprawiać swoich staromodnych ceremonii i ogłaszać wiernym, że ta czy inna para jest obecnie małżeństwem

w obliczu konkretnego Boga. Jest to jednak tylko korzystanie z wolności przekonań religijnych zagwarantowanej przez pierwszą poprawkę do Konstytucji. Rzecz w tym, że państwo nie powinno być w to w żaden sposób angażowane, czy to przez uprawomocnianie tych tak zwanych małżeństw, czy poprzez przyznawanie małżeństwom szczególnych przywilejów, czy też przez uzurpowanie sobie prawa do decydowania, jak i kiedy małżeństwo ma zostać rozwiązane. *Griswold* mówi nam, że reprodukcja nie jest sprawą państwa, zatem małżeństwo również nie jest jego sprawą.

Ben Montoya, wielki liberał, mruga do mnie i uśmiecha się z niedowierzaniem. Niejednokrotnie już ścierał się z Markiem, gdyż mają zupełnie odmienne poglądy w takich sprawach, jak *Roe przeciwko Wade* (Marc twierdzi, że sam jest zwolennikiem prawa do aborcji, ale uważa, że państwo ma prawo się z tym nie zgadzać). Jednak dziś wieczorem Ben milczy. Również Lynda Wyatt nie próbuje dyskutować z Markiem, choć stoi tuż obok niego. Lynda wykładała zarówno prawo rodzinne, jak i konstytucyjne, toteż mogłaby skorygować niektóre z błędnych twierdzeń Marca, ale uparcie wpatruje się w turkusowy dywan. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, na czym polega ten szczególnie wpływ Marca na innych ludzi. Kwame Kennerly jest najwyraźniej wściekły, gdyż włożył wiele wysiłku w propagowanie małżeństw wśród młodych czarnych mężczyzn z dzielnic biedoty, którzy już niemal zapomnieli, na czym to polega. Z drugiej strony, mieszka w Elm Harbor od niedawna i nadal tworzy swoją polityczną bazę, toteż nie może sobie pozwolić na zrażanie do siebie przedstawiciela znienawidzonego i podziwianego uniwersytetu, szczególnie przedstawiciela, który zdobywa tak dużo pieniędzy dla kandydatów Partii Demokratycznej. Doktor Young jest zmartwiony, lecz nie onieśmielony. Kilkakrotnie potrząsa głową i wydyma wargi w wyrazie dezaprobaty, ale się nie odzywa. Mam wrażenie, że czeka na dogodną chwilę, tymczasem pozwalając, żeby Marc sam zapędził się w kozi róg. Jeśli o mnie chodzi, również nie mam zamiaru otwierać ust. Żałuję tylko, że nie ma tu Dany, bo ona na pewno by go uciszyła. Tylko Norm Wyatt ośmielił się wznieść oczy do nieba, otwarcie wyrażając niedowierzanie, ale jego zdanie o prawniczym gronie profesorskim jest bardzo zbliżone do opinii Kimmer.

- Jeśli zastosujemy moją teorię do małżeństw partnerów tej samej płci - nie rezygnuje Marc, lecz Shirley rozsądnie wybiera ten moment, żeby zaprosić nas do stołu.

Słuchacze z ulgą się oddalają ku wyraźnemu zdumieniu Marca, który jeszcze gestykułuje, gdy większość gości podeszła już do stołu. Shirley wskazuje wszystkim, gdzie mają usiąść. Ja przez chwilę zwlekam i przez szklane drzwi balkonu spoglądam na plażę, gdzie łagodnie rozbijają się przybrzeżne fale. Zastanawiam się, czy my z Kimmer też powinniśmy poświęcić przestrzeń dla tak wspaniałego sąsiedztwa.

Zostałem posadzony na środku jednego z dłuższych boków stołu, pomiędzy doktorem Youngiem z prawej strony i Dahlią Hadley z lewej. Naprzeciw mnie siedzi dziekan Lynda, obok niej Kwame Kennerly, a z drugiej strony stoi puste krzesło przeznaczone dla Lema Carlyle'a.

- To gliny podbiły ci oko? - dopytuje się bez żadnego wstępu Kwame Kennerly, odchylając nieco głowę, jakby chciał lepiej się przyjrzeć.

Zastanawiam się, czy te plotki kiedykolwiek ucichną.

- Nie.

- Więc kto?

- Ktoś inny - odpowiadam niegrzecznie. Dziś jestem rzeczywiście nieodrodnym synem swojego ojca.

Jednak Kwame się nie zraża. - Nie gliny? Jesteś pewien?

- Jestem pewien, Kwame. Byłem tam, kiedy to się stało. Ironia też nie skutkuje.

- Słyszałem, że cię aresztowali.

- Nie.

- Nie wyciągnęli broni? - Mruga gwałtownie.

- Nikt nie wyciągał broni.

Kwame gładzi delikatnie bródkę, zastanawiając się nad kolejnym posunięciem. On nie da się zbyć niegrzecznymi odpowiedziami. Wprawdzie moim ojcem był znieawidzony Oliver Garland, ale jestem również Afroamerykaninem, który mógł być pobity przez gliny, a cała historia jest zbyt soczysta, żeby ją tak zostawić. Zauważam, że dziekan Lynda bacznie śledzi naszą wymianę zdań.

- Ale naprawdę miałaś kłopoty z policją, prawda? *Białą* policją?

- To było tylko nieporozumienie - wzdycham. - Napadnięto mnie, uruchomiłem alarm, a kiedy policjanci przyjechali, uznali, że to ja jestem napastnikiem. Jednak kiedy pokazałem im swój identyfikator uniwersytecki, przeprosili mnie i puścili.

- *Miejska* policja?

- Nie, uniwersytecka.

- Wiedziałem. Tym właśnie się zajmują. - Nie czeka na moją odpowiedź. - Czarny mężczyzna na terenie kampusu, prawda? Dwie przecznice od szkoły prawniczej, w której *pracujesz*. Gdybyś był biały, na pewno nie doszłoby do takiego *nieporozumienia*.

Nie tracę czasu na zastanawianie się, skąd Kwame zna te wszystkie szczegóły, gdyż zdobywanie najdrobniejszych informacji to część jego pracy. Mimo wszystko dalej się z nim sprzeczam, chociaż jego wywód jest w istocie słuszny. - Ja wówczas nie szedłem ulicą, tylko... - waham się i zerkam na swoją panią dziekan, ale mogę tylko brnąć dalej - ...wspinałem się po rusztowaniu przy bibliotece. Łatwo pojąć, dlaczego tak podejrzliwie mnie potraktowali.

- Ale byłeś na terenie swojego kampusu, prawda? - upiera się i kiwa głową, jakby codziennie widział tego typu sytuacji, i pewnie tak jest.

- Tak.

- A napastnicy byli biali. Gdyby policjanci przyjechali w czasie, gdy z nimi walczyłeś, i tak pomyśleliby, że to *ty* jesteś rzeźmieszkiem.

- Całkiem możliwe.

- O tym właśnie mówię! - zwraca się podniesionym tonem do Lyndy, być może nawiązując do jakiejś wcześniejszej dyskusji.

- Wiem, wiem - zgadza się pospiesznie moja pani dziekan.

- To jego *własny* kampus, ale to przede wszystkim *biały* kampus! Wiesz, do czego głównie służy policja w takim mieście, jak nasze? Do trzymania nas w ryzach.

- Uhm - odpowiada dziekan Lynda, jedząc pospiesznie.

- Czarni mężczyźni to *zagrożony gatunek* w tym kraju. - Mówi to takim tonem, jakby cytował hasło z encyklopedii, po czym wskazuje mnie palcem, jak eksponat numer jeden. - Nie ma znaczenia, kim są ich *ojcowie*.

Dociera do nas puree z ziemniaków, więc musi przerwać, żeby nałożyć sobie na talerz solidną porcję. Polewa je sosem, po czym zręcznie kontynuuje.

- To jak *sezon myśliwski* na naszych młodych mężczyzn!

- Nie jestem taki młody - przerywam mu, siłąc się na lekki ton.

- Ale masz szczęście, że żyjesz. Nie, naprawdę. Wszyscy wiemy, do czego zdolna jest policja. - Obraca się do dziekan Lyndy - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- O, tak. Naprawdę wszyscy się cieszymy, Talcotcie, że nic ci się nie stało. - Uśmiecha się z wyrazem prawdziwej troski. Uświadamiam sobie, że obydwójmy myślą o zdarzeniu, które miało miejsce dwa lata temu w niedalekim Canner's Point, miasteczku zamieszkałym niemal wyłącznie przez białych. Akurat mniej więcej w tym czasie Kwame Kennerly przybył do naszego miasta. Dwaj policjanci zastrzelili tam czarnego nastolatka, gdy wysiadł ze skradzionego auta z rękami w górze po piętnastominutowym pościgu zakończonym zderzeniem ze sklepem.

Ale to było co innego, mam ochotę odpowiedzieć głosem Sędziego; na szczęście gryzę się w język, gdyż nie miałbym racji. Mówię zatem tylko:

- Wszystko dobrze się skończyło - pragnąc, żeby już zakończył ten temat.

- Powinieneś pozwolić mi się tym zająć.

- Nie, dziękuję.

- Mogę zadzwonić do komisarza, co? Teraz dużo się mówi o tego rodzaju prześladowaniach. Burmistrz przykłada dużą wagę do tych spraw.

Ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to jakiegokolwiek oficjalne śledztwo. Nie mogę sobie pozwolić na to, by stać się *sprawą*. Nie dość, że przechyliliby to

szalę znowu na stronę Marca - *Widzicie/ Mówiliśmy wam, że jej mąż jest nie zrównoważony psychicznie!* - ale dodatkowo mogłyby wyjść na jaw rzeczy, których jeszcze nie mogę ujawnić.

- To nie będzie konieczne.

- Sądzę jednak, że komisarz powinien się temu przyjrzeć - upiera się Kwame.

- Nie, dziękuję - powtarzam. - A poza tym mówiłem ci, że to była policja uniwersytecka, nie miejska.

- *Wiem o tym.* Ale obie podlegają komisarzowi, tak mówią przepisy stanowe.

Słusznie. A uniwersytet powinien się stosować do miejskich planów zagospodarowania przestrzennego, ale robi to tylko wówczas, gdy mu to odpowiada.

- Po prostu chcę już o tym zapomnieć - wyjaśniam Kwame i odwracam się, żeby porozmawiać z czarującą Dahlią Hadley. Wiem, że Kwame, niezdarne podburzając mnie w kwestiach rasowych, ma w zasadzie dobre intencje, a co gorsza, jego słowa brzmią coraz rozsądniej. Shirley, która siedzi u szczytu stołu, dostrzega panujące między nami napięcie i marszczy czoło, gdyż choć lubi spory podczas swoich kolacji, to nie wówczas, gdy przybiera ją zbyt osobisty charakter.

Dahlia jest spokojniejsza niż wówczas, gdy ostatnio ją widziałem. Może doszli do wniosku, że ten drobny incydent ze mną w roli głównej zwiększy szanse Marca na otrzymanie nominacji. Marc wywodzi się z bardzo bogatej rodziny. Jedna z jego ciotecznych babek wywodziła się z Rockefellerów lub Vanderbiltów - plotki nie są co do tego zgodne - a nasz park stanowy nazwano imieniem jego dawno nieżyjącego wujka Edmunda, który słynął ze swej działalności dobroczynnej. Marc przyzwyczał się otrzymywać to, czego pragnie.

- Cieszę się, że nie stało ci się nic poważniejszego - mruczy do mnie Dahlia przesłodzonym głosem.

- Dziękuję.

- Musisz uważać na siebie, Talcotcie. Twoja rodzina cię potrzebuje.

- Wiem, wiem.

- Potrzebują cię, żebyś bronił pionka.

Zamieram. Jednak nawet w najbardziej paranoidalnych fantazjach jest ten moment nagłego zrozumienia, gdy prawda wybucha wokół ciebie białym blaskiem i już wiesz: cały świat jest zjednoczony, a wszyscy są po przeciwnej stronie niż ty.

- *Co powiedziałaś?* - pytam napiętym, podniesionym tonem.

Dahlia kurczy się. - Ja... ja powiedziałam, że potrzebują męża i ojca.

Czuje, że się pocę. Zakrywam na chwile oczy dłonią. - Och. Przepraszam. Chyba... chyba źle usłyszałem.

- Zapewne.
- Przepraszam cię, Dahlio.

Dahlia odsuwa się nieco, jakbym przedstawił jej nieprzyzwoitą propozycję. Jej twarz ma nadal twardy, obrażony wyraz, kiedy odzywa się surowym głosem: - Wydaje mi się, że może potrzebujesz nieco więcej odpoczynku, Talcotcie.

- Naprawdę mi przykro. Nie chciałem... podnieść na ciebie głosu.
- Najwyraźniej jesteś zmęczony. Nie powinieneś tak łatwo unosić się gniewem - dodaje, po czym odwraca się w lewo, żeby porozmawiać z Normem Wyattem.

Kiedy spoglądam w kierunku końca stołu, stwierdzam, że mój były przyjaciel Marc Hadley mierzy mnie gniewnym spojrzeniem.

(II)

Przez większą część posiłku niemal wszyscy wokół mnie znaleźli sobie ciekawszych ode mnie rozmówców. Lynda Wyatt, która żywi przekonanie, że każdego potrafi oczarować i nakłonić do tego, na czym jej zależy, ma teraz pełne ręce roboty z Kwame Kennerlym. Z kolei Dahlia, która nie odezwała się do mnie ani słowem od chwili naszego nieporozumienia, sprzecza się z Normem na temat ochrony zabytków historycznych (ona jest za, on przeciw). Marc Hadley poucza Shirley na temat subtelniejszych aspektów rozdziału Kościoła od państwa, chociaż to było tematem jej pracy naukowej. Lemaster i Julia Carlyle, szczupli i stylowi, w końcu przybyli po udanym występie córki i zostali usadzeni po przeciwnych stronach stołu. Jak zwykle, widzą głównie siebie. Próbuje zagadnąć Lema, który zazwyczaj jest błyskotliwym rozmówcą, ale zbywa mnie paroma mruknięciami, jakby nie chciał ze mną rozmawiać. To znów skłania mnie do zastanowienia, czy jego zmienne zachowanie to wytwór mojej wyobraźni, czy też moje notowania w szkole spadły tak szybko i tak nisko.

Jednak doktor Young po głośnym odmówieniu modlitwy przed jedzeniem - bez zważania na zasady ekumenizmu - postanowił porozmawiać ze mną na temat morderstwa Freemana Bishopa, gdyż tej sprawy nie poruszyliśmy podczas naszej ostatniej sesji terapeutycznej. Teraz rozwlekle opowiada przekazaną mu przez dziadka historię pewnego linczu. Zdarzenie to miało miejsce w Georgii w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Czarnemu kanzodziei przypalano rozżarzonym węglem ręce i nogi, a w końcu zabito go strzałem w tył głowy, gdyż nie chciał zdradzić szczegółów swojej działalności na rzecz organizowania pracowników młynów.

- Widzicie - ciągnie wielebny Young, zapalając się do tematu - szatan nigdy się nie zmienia. To jest jego wielką słabością. Dzięki temu człowiek

wierzący ma nad nim przewagę, chwalmy Boga. Szatan kieruje się nawykami. Jest sprytny, lecz brakuje mu inteligencji. Szatan jest zawsze taki sam, a jego poddani - dusze, które udało mu się omamić - zawsze zachowują się jednakowo. Skoro Hitler wysłał miliony Żydów do obozów zagłady, możecie być pewni, że inny nikczemny przywódca w zamierzchłych czasach również dokonał rzezi niewinnych tylko dlatego, że byli inni. Widzicie zresztą, jak współcześni przywódcy na całym świecie robią to samo! Czarni, biali, żółci, brązowi... ludzie wszystkich ras zabijają ludzi wszystkich ras! A to dlatego, że szatan jest zawsze taki sam. Zawsze! Szatan jest głupi. Sprytny, lecz brakuje mu inteligencji, chwała Bogu. To, że szatan pozostaje głupi, jest darem Boga dla nas. Dlaczego szatan jest głupi? Dlatego, żebyśmy mogli go rozpoznać, jeśli zachowamy czujność. Po jego znakach go rozpoznacie! Ponieważ szatan, głupi szatan atakuje nas zawsze w taki sam sposób. Kiedy wypróbowane metody zawodzą, nie potrafi wymyślić niczego nowego, chwalmy Pana. Wówczas po prostu odchodzi i atakuje kogoś innego. Atakuje nas pożądaniem seksualnym i innymi pokusami, by osłabić nasze ciało. Atakuje nas alkoholem, narkotykami i innymi pokusami, które otumaniają nasz umysł. Atakuje nas nienawiścią rasową, miłością do pieniędzy i innymi pokusami, które niszczą naszą duszę.

Doktor Young wygłasza teraz swoje kazanie znacznie głośniejsze, toteż słuchają go wszyscy, nawet Marc, który nie znosi, gdy uwaga otoczenia skupia się na kimś innym niż on.

- Widzicie zatem, jak działa szatan. Atakuje ciało. Atakuje umysł.

Atakuje duszę. Ciało, umysł i dusza to jedyne części ludzkiej istoty, które szatan potrafi zaatakować, chwalmy Pana. Jeżeli potraficie je przed nim ustrzec, jesteście bezpieczni. Strzegąc swojego ciała, strzeżecie *świątyni* Boga, gdyż jesteście stworzeni na Jego podobieństwo. Chroniąc swój umysł, chronicie *narzędzia* Pana, gdyż Bóg realizuje swą wolę tu, na ziemi, poprzez śmiertelne istoty ludzkie. Strzegąc swojej duszy, strzeżecie *magazynu* Boga, gdyż Pan napęłnia nasze dusze swoją mocą, aby pomóc nam wykonywać jego dzieło na ziemi.

Marc Hadley, autor słynnego Rozdziału Trzeciego, nie może już dłużej tego znieść, toteż przerywa ten monolog.

- Morris... - zaczyna.

- Doktorze Young - poprawia go spokojnie doktor Young.

- Doktorze Young - Marcowi ten tytuł z trudem przechodzi przez gardło, gdyż niewątpliwie zakłada, że to doktorat z teologii obroniony w jakimś nieznanym nikomu seminarium - po pierwsze chciałbym panu powiedzieć, że obydwójce z żoną jesteśmy wolnomyślicielami. Jesteśmy religijnymi sceptykami - wyjaśnia niepotrzebnie. Większość osób patrzy na Marca, ale ja spoglądam na Dahlię, która wydyma z niesmakiem usta, po czym przenosi wzrok za okno na rozbijające się o brzeg fale. Zastanawiam się, czy jest

wściekła na męża za to, że wdaje się w tę dyskusję, czy też za użycie zaimka *my*, podczas gdy ona jest gorliwą katoliczką i co niedziela chodzi z synem na mszę. - Nie jesteśmy ateistami - ciągnie swe wywody Marc - ponieważ nie ma dowodu, że Bóg nie istnieje, ale sceptycznie podchodzimy do prawdziwości twierdzeń wszelkich religii, gdyż nie ma również dowodu, że Bóg istnieje. Lub że istnieje szatan. Po drugie...

- No, cóż, zajmijmy się najpierw pierwszym - uśmiecha się pastor. - Wicie, wielki myśliciel Martin Buber napisał kiedyś, że ateści nie istnieją, gdyż ateista musi walczyć z Bogiem co dnia. Może dlatego Pismo Święte poucza nas: „Mówi głupi w swoim sercu: «Nie ma Boga»,»*.

- Nie pamiętam tych słów Bubera - stwierdza Marc, który nie znosi słyszeć czegoś, czego już wcześniej nie wiedział.

- To było w „Between Man and Man”* - spokojnie wtrąca Lemaster Carlyle, niegdyś student teologii, wprawiając wszystkich gości w zdumienie. - Wspaniała książka. Niektórym się wydaje, że znają Bubera, bo przeczytali „Ja i Ty”, tymczasem zaledwie go liźnęli. - To ukłucie wycelowane w Marca. Tego rodzaju zabawy są bardzo popularne w szkole prawniczej.

*Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990

*Tytuł oryginału niemieckiego: „Die Frage an den Einzelnen”, Shocken, 1936

Doktor Young wyciąga szary palec w kierunku Lema - Ma pan rację, profesorze Carlyle, lecz jednocześnie się pan myli. To, czy ktoś czytał Bubera albo którą z jego książek przeczytał, nie jest specjalnie istotne. Ważną kwestią jest natomiast to, czy pan wie, z jak wysoką stawką ma do czynienia. Kiedy na Harvardzie pracowałem nad doktoratem, miałem profesora filozofii, ateistę, który przypominał nam, na czym polega religia. Często powtarzał: „Bóg nie chce waszych umysłów, tylko dusz”, gdyż Bóg stworzył ludzki umysł, ale dostaje się do niego przez nasze serce. Mój profesor twierdził: „Bóg nie chce, żebyście, czytając Biblię, mówili: *Cóż za wspaniała książka!* Bóg pragnie, żebyście czytali Biblię i wołali: *Alleluja, wierzę!*”

Z przyjemnością patrzę na Marca, którego normalnie trudno wprawić w zdumienie, a teraz siedzi z otwartymi ustami od chwili, gdy wielebny wypowiedział słowa *doktorat* i *Harvard*. W Morrisie Youngu kryją się głębie, których Marc ze swoim dystygowanym liberalnym rasizmem nawet by nie podejrzewał.

Pod wpływem wspomnień pulchną twarz pastora rozjaśnia uśmiech. - Oczywiście, to było w latach pięćdziesiątych, kiedy nawet od ateistycznych profesorów wymagało się, żeby znali Biblię. W końcu jest to książka, która wywarła zdecydowanie największy wpływ na historię Zachodu, a prawdopodobnie również całego świata. Jak ktoś może udawać, że rozumie ten świat, jeśli nie przeczytał książki, która legła u podstaw jego rozwoju? Jednak kiedy poznamy już Biblię, poznamy również Boga. Zatem ateista, który

naprawdę próbował zrozumieć świat, jest bliżej Boga, niż wielu chrześcijan, gdyż zna słowo Boże. Pan wytycza wiele dróg prowadzących do jego domu i w godzinie przeznaczenia zgromadzi w nim wielu z tych, którzy są przekonani, że nie wierzą, gdyż walcząc z Bogiem, znajdują się oni już w połowie drogi do wiary.

- Amen, pastarze - odzywa się Kwame Kennedy. Shirley obdarza go szerokim uśmiechem.

Tymczasem Dahlia Hadley przejmuje pałeczkę. - Ale czy ateista nie jest w niebezpieczeństwie? *Może się zdarzyć, że odnajdzie Boga, lecz może również go nie odnaleźć.* - Podnoszę wzrok i widzę, że uśmiecha się do Marca, lecz ten uśmiech jedynie maskuje narastający gniew.

Doktor Young również zauważa jej wściekłość. On potrafi dostrzec wszystko. Kiwa potakująco głową. - To prawda, moja droga, to prawda, to prawda. - Jego dudniący głos nabrał teraz śpiewnego tonu. - Pan otwiera drzwi do Nieba nawet najbardziej zatwardziałym grzesznikom, ale grzesznik sam musi przestąpić ich próg. Tymczasem ludzki umysł, ten wspaniały twór, posiada zdolność piętrzenia przeszkód. O, tak. Pan trzyma drzwi otwarte, a umysł mówi: „To nie jest Pan!” lub „To nie te drzwi!”, lub „Wolę jednak gromadzić skarby na ziemi!” To są podszepty szatana, który zawsze pozostaje niezmienny, chwalmymy Pana, sprytny, lecz pozbawiony inteligencji. Wielu ludzi woli raczej słuchać rad szatana i brać to, co ten grzeszny świat zechce niechętnie im dać, niż przyjąć to, czym Bóg ich hojnie obdarza. A wszyscy wiemy, co o takich ludziach mówi Ewangelia: „Zaprawdę, powiadam wam: ci otrzymali już swoją nagrodę”^{*}.

^{*}Ewangelia według św. Mateusza, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, 1990

Marc Hadley chce znowu mu przerwać, ale siedząca koło niego Shirley ośmiela się go uciszyć, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Zamiast niego odzywa się Ben Montoya. - Część ludzi nie podziela pańskich zapatrywań religijnych, pastarze - odzywa się niezbyt uprzejmie, ale celnie. - Czy pomyślał pan o ich prawach?

Morris Young uśmiecha się do niego przez stół. - Profesorze Montoya, nie troszczę się o takie sprawy. Prawa są rzeczą ludzką. Bóg jest Bogiem miłości. Obdarzanie miłością bliźniego swego nie polega na dawaniu mu praw. Dajecie biednym lub czarnym prawa i macie poczucie, że spełniliście wobec nich swój obowiązek. Może nawet uważacie, że mają wobec was dług wdzięczności. Tymczasem gdybyście przede wszystkim ich kochali, w ogóle nie powstałaby kwestia ich praw.

Lem Carlyle ponownie łagodnie włącza się do dyskusji, gdyż usiłuje znaleźć platformę porozumienia, jak na przyszłego dziekana przystało. - Jednak z nauk chrześcijańskich wynika, że istoty ludzkie są ułomne, że jesteśmy grzeszni z natury. Zatem chrześcijaństwo uzasadnia istnienie państwa jako narzędzia ustanowionego przez Boga w celu utrzymania porządku pomiędzy

tymi ulomnymi istotami. Czy nie dlatego w chrześcijańskim duchu tworzymy prawa, gdyż wiemy, że jesteśmy zbyt słabi, by żyć we wzajemnej miłości, jak wolałby Bóg?

Doktor Young kiwa łagodnie głową, ale bynajmniej nie dlatego, że się zgadza. - Problem z prawami polega na tym - wyjaśnia - że kiedy je mamy, wydaje nam się, że posiadliśmy coś wartościowego. Tymczasem wszystko, co posiada prawdziwą wartość, pochodzi od Boga. Kiedy dajemy innemu człowiekowi prawa, niezwykle łatwo jest zapomnieć o tym, żeby go kochać.

Lynda Wyatt dostrzega, do czego pastor zmierza: - Zatem współczucie jest ważniejsze niż prawa.

- Prawa są rzeczą ludzką - zgadza się doktor Young. - Natomiast miłość bliźniego, skłanianie się ku drugiemu człowiekowi z miłosierdziem i pokorą to dar, który zwracamy Panu.

W tym momencie doznaję olśnienia. Dostrzegam wreszcie szansę wytrwania się z sieci, którą mój sprytny ojciec zdołał utkać wokół mnie i mojej rodziny, choć leży już w grobie. Wszyscy szukają ziemskich skarbów, jak stwierdził wielebny Young. Skarby ziemi. *Ziemia*. Przypominam sobie pewne nieprzyjemne popołudnie spędzone z Sędzią wiele lat temu na terenie naszego kampusu. Biały pionek. Ekscelesior. Ziemia. Możliwe, ale tylko możliwe, że uda mi się dopasować to wszystko razem.

- Amen, pastorze - mówię, odnajdując wreszcie w swym udręczonym umyśle promyk nadziei.

(III)

Ben Montoya wychodzi od Shirley równocześnie ze mną, po czym idziemy po skrzypiącym śniegu w kierunku parkingu. Ben tak dokładnie zgrał swoje wyjście z moim, że jestem pewien, iż chce o czymś porozmawiać.

Mam rację.

Jednak początkowo mówi jak gdyby nigdy nic: - Czy twoim zdaniem on naprawdę w to wszystko wierzy?

- Kto? I w co?

- Wielebny Young. We wszystkie te bzdury o szatanie.

Spoglądam na niego. - Nie mam najmniejszych wątpliwości, że doktor Young wierzy we wszystko, co powiedział. Ja też w to wierzę.

Ben potrząsa z niedowierzaniem głową, ale się nie odzywa. Potem przez chwilę idziemy w milczeniu po skrzypiącym śniegu, każdy zatopiony w swoich myślach. Ben niewątpliwie utwierdził się w swoim przekonaniu, że z moim umysłem nie wszystko jest w porządku, a ja zastanawiam się nad głęboką prawdą tego, co właśnie powiedziałem. Jednak prawdziwy temat rozmowy, który skłonił Bena do wyjścia wraz ze mną, nie ma nic wspólnego

z teologią lub metafizyką.

- Aha, Talcotcie - odzywa się niedbałym tonem po kilku sekundach milczenia, a ja wiem, że dotarliśmy do sedna rozmowy.

- Hmm? - Nie patrzę w jego kierunku. Chodnik prowadzący do parkingu dla gości biegnie między dwoma rzędami jednakowych segmentów. Zza zasłon i rolet błyskają kolorowe ekrany włączonych telewizorów. Dobiągają nas wybuchy śmiechu, klótnie, muzyka. Jednak muszę skupiać uwagę na chodniku, gdyż pokrywa go warstewka zamrożonego deszczu, który padał po południu. Administracja tego osiedla wprost doprasza się o pozew sądowy, gdyby ktoś się tu przewrócił.

- Talcotcie, czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

- Przecież rozmawiamy. Tak się to nazywa: rozmowa. - Zapewne bardziej lubiłbym Bena, gdyby nie wyręczał Lyndy Wyatt w tylu nieprzyjemnych sprawach, które dziekan musi załatwiać, albo gdybym ja również był „swój”, albo gdybym był lepszym człowiekiem.

Ben odpowiada mi krótkim śmiechem. Przypuszczam, że ma około sześćdziesiątki. Jego włosy są już siwe i przerzedzone na czubku głowy, a podpuchnięte oczy patrzą czujnie i oskarżycielsko zza grubych szkielek. Idzie kołyszącym krokiem zirytowanego, pewnego siebie człowieka, który bardzo się spieszy. Ben z wykształcenia jest antropologiem i przeprowadził niezwykle ważne badania dotyczące regulowania spraw umów i własności w pewnych zamieszkujących wyspy Pacyfiku społeczeństwach nieposiadających tradycji składania obietnic.

- Talcotcie... hmm... wiesz, że pani dziekan nic nie powie, ale...

- Ale?

- Lynda bardzo się tobą denerwuje. Musisz o tym wiedzieć.

Weszliśmy już na słabo odśnieżoną część parkingu. Moja odrapana camera znajduje się dalej, w narożniku, a w tej chwili stoimy tuż koło klasycznego jaguara XKE Bena.

- Z jakiego powodu się denerwuje?

- No, wiesz... Chodzi o to, jak się ostatnio zachowujesz. No, i ta sprawa z tobą i Markiem...

- Nie ma żadnej sprawy ze mną i Markiem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Z pewnością. - Mierzę go wzrokiem z góry na dół, czując narastający gniew, a Ben robi krok do tyłu, jakby się obawiał, że go zaatakuję. - Jeśli Lynda chce ze mną porozmawiać, to wie, gdzie mnie znaleźć.

- Nie jestem pewien, czy ona chce z tobą rozmawiać, Talcotcie. - Do jego głosu powrócił niedbały ton. Ben jest mistrzem, jeśli chodzi o patrzenie na innych z góry i to nie tylko z powodu swojego wzrostu. - Pani dziekan jest zbyt uprzejma, żeby ci coś powiedzieć, ale jak słyszałem, kiedy ostatnio rozmawialiście, zachowywałaś się w stosunku do niej bardzo obraźliwie.

- Obrażliwie? My... my po prostu się posprzeczailiśmy. Ja wcale nie...

Nie zwraca uwagi na moje słowa. - Jest jeszcze ta sprawa z policją w tym tygodniu. Wiem, że nie chcieli cię aresztować, ale cała sytuacja była trochę... hmm... kłopotliwa. Musimy myśleć o wizerunku naszej szkoły, Talcotcie. To niedopuszczalne, żeby nasz profesor podsycił wrzenie rasowe w mieście...

- Ben...

- Nie, nie, wcale nie twierdzą, że robisz to celowo. Jednak ludzie zechcą wykorzystać to, co się stało, dla swoich politycznych celów - ma na myśli Kwame Kennerly'ego - a my nie możemy sobie pozwolić, żeby nasz wykładowca wspierał tego rodzaju sprawy, nawet nieumyślnie. A to jeszcze nie wszystko, Talcotcie. Lynda mówi również, że szkoła straciła przez ciebie trzy miliony dolarów...

- Zaraz, zaraz! Chwileczkę! - Zaczyna padać śnieg, a wiatr jest coraz silniejszy. Wkrótce sytuacja na drogach stanie się niebezpieczna, więc powinniśmy jak najszybciej ruszać do domu, ale chcę się upewnić, że dobrze wszystko zrozumiałem. Zdaję sobie doskonale sprawę, że w istocie to słowa Lyndy, nie Bena. - Chcesz mi powiedzieć, że Cameron Knowland naprawdę nie da tych pieniędzy? Tylko dlatego, że jego rozpuszczony bachor wściękl się na profesora?

Ben rozkłada ręce w geście poddania. Zdażył się już wycofać pod same drzwiczki jaguara. - Nie wiem, co robi Cameron. Nie jestem wtajemniczany we wszystkie sprawy Lyndy. Chcę tylko, żebyś wiedział, że denerwuje się z twojego powodu i... i myślę, iż dobrze by było, gdybyś... postarał się jak najlepiej zachowywać...

- Czy starasz się mnie ostrzec, Ben? Czy to znaczy, że naprawdę mam kłopoty, czy chodzi tylko o czyjąś urażoną ambicję?

Ben otworzył już samochód i najwyraźniej nie ma ochoty na dalszą rozmowę, gdyż przekazał mi, co miał do przekazania. - Uważam, że powinieneś być ostrożny, i to wszystko. Musisz myśleć o tym, co dobre dla szkoły.

- W przeciwieństwie do myślenia o czym? Nie bardzo to rozumiem. Ben, zaczekaj. - Siedzi już w środku, gotowy, by zamknąć za sobą drzwi. - Co właściwie chcesz mi powiedzieć? Czy naprawdę chodzi o mnie, czy o Kimber i Marca? - Pamiętam, jak Stuart mnie ostrzegał, że będę narażony na różne naciski. - Daj spokój, Ben, powiedz mi.

- Ale tu nie ma nic do powiedzenia. - Patrzy surowo prosto przed siebie, jakby był na mnie zły za jakąś obrazę, którą dopiero popełnię.

- Zaczekaj chwileczkę, zaczekaj. Nie rozumiem, co właściwie chcesz mi powiedzieć. - Opieram dłoń o drzwi, żeby nie mógł ich zamknąć. - Czy naprawdę mam kłopoty? - powtarzam.

- Nie wiem, Talcotcie. *Czy masz kłopoty?* - Kiedy usiłuję znaleźć błyskotliwą odpowiedź, wskazuje podbródkiem na moją rękę. - Czy mógłbyś zabrać dłoń z drzwi mojego samochodu?

- Ben...
- Dobranoc, Talcotcie. Pozdrowienia dla rodziny.
Odjeżdża.

Jestem tak wytrącony z równowagi, że mam ochotę wrócić na przyjęcie i spytać Lyndę, o co tak naprawdę chodzi. Jednak wiem, że to bezcelowe. Lynda wyprze się wszystkiego. Po to ma człowieka do brudnej roboty - może wszystkiemu zaprzeczyć, a wiadomość i tak dotarła do adresata.

Bywają dni, kiedy nienawidzę tego miejsca.

Pospiesznie idę do samochodu, marząc o pozbyciu się całej tej bandy ze swego życia. Myślę nie tylko o Lyndzie Wyatt, Benie Montoi i pozostałych osobach ze szkoły prawniczej, lecz również o wujku Malu i reszcie waszyngtońskiego towarzystwa. Najchętniej wziąłbym swoją rodzinę i uciekł na wzgórze, a jeśli nie, to do Oak Bluffs. W końcu kilka tysięcy ludzi mieszka tam na stałe, więc my też możemy. Moglibyśmy prowadzić pensjonat albo założyć kancelarię prawną i razem w niej pracować. Przecież to możliwe.

Tyle, że Kimmer by nie pojechała.

Nadal trzęsę się z gniewu po starciu z Benem, gdy ze złością wkładam kluczyk do zamka - moja toyota jest za stara na system alarmowy i otwieranie drzwi przyciskiem - i stwierdzam, że jest on już otwarty.

Zapewne zapomniałem zamknąć, bo przecież nikt by się nie trudził, żeby go otworzyć, a potem zostawiał samochód. A przede wszystkim, kto by chciał kraść dwunastoletniego grata.

Jednak kiedy otwieram drzwi i zapala się górne światło, stwierdzam, że są jednak ludzie, którzy się włamują i niczego nie zabierają, podobnie jak w naszym letnim domu.

Niektórzy ludzie forsują zamki po to, żeby coś dostarczyć.

Na środku siedzenia kierowcy leży bowiem książka o szachach skradzioną wcześniej przez dwóch mężczyzn, którzy mnie pobili.

ROZDZIAŁ 30

Zwykli podejrzani

(I)

- Słyszałam, że pokłóciłeś się ze Stuartem Landem - zaczyna rozmowę Droga Dana Worth, która zawsze pierwsza słyszy o wszystkim, co się wydarzyło w Oldie, także o tym, co wcale nie miało miejsca. Siedzi teraz na krawędzi biurka, opierając płasko rozłożone dłonie na jego powierzchni, a podszwy butów na bocznej ścianie. Jest to pozycja tak dla niej charakterystyczna, że niemal co roku jest parodiowana w satyrycznym przedstawieniu przygotowywanym przez studentów kończących naszą szkołę. Ja siedzę na długiej, solidnej kanapie, którą Dana kupiła w sklepie z używanymi meblami i kazała na nowo obić.

- To właściwie nie była kłótnia. Raczej... swobodna i szczerą wymianą poglądów.

- Na jaki temat?

- Oskarżyłem go, że usiłuje podkopać kandydaturę Marca. Powiedziałem, że to może przynieść odwrotny skutek i zaszkodzić Kimmer. - Pocieram swędzący policzek i przypominam sobie wyraz zdumienia na jego twarzy. Mógłbym niemal przysiąc, że było prawdziwe. - Oświadczył, że nic takiego nie robi.

- Może rzeczywiście.

- Ale on akurat wrócił z Waszyngtonu, Dano.

- Nie bądź niemądry, Misha. Jestem pewna, że nie pojechał tam w sprawie twojej żony, tylko raczej knuć kolejne konstytucyjne intrygi ze swoimi prawniczymi koleżkami. Stuart, jeśli gdziekolwiek jedzie, to wyłącznie we własnych sprawach.

- I w sprawach szkoły prawniczej.

- I w sprawach szkoły - zgadza się, lecz niezbyt pewnym głosem. Zeskakuje z biurka i zaczyna spacerować po pokoju. Jej przestronny gabinet znajduje się na pierwszym piętrze Oldie, tuż obok pokoju Theo Mountaina, i mówi się, że tych dwoje nieustannie wymienia się plotkami. W jej gabinecie wszystko wygląda jak należy, od niezwykle schludnego biurka poprzez kwiaty doniczkowe zdobiące parapet okienny do regałów, na których książki są ułożone alfabetycznie według autorów. Ja również wstaję i podchodzę do okna. Spoglądam na frontowe schody prowadzące do budynku i granitową

ścianę głównego gmachu uniwersytetu po drugiej stronie ulicy. Widać stąd również alejkę, gdzie kilka dni temu zostałem pobity. Dziś jest poniedziałek, a za dziewięć dni będzie Boże Narodzenie. Zajęcia już się skończyły i wykładowcy zaczynają się rozjeżdżać, natomiast studenci muszą zostać jeszcze przez kilka dni, gdyż zdają końcowe egzaminy. Jeśli chodzi o mnie, to staram się nie wychylać i cały czas się waham, co robić dalej. Mam okropne uczucie, że czas się kończy.

- No, mniejsza o to. Dzwoniłaś do mnie...
- Wiem. - Pauza. - Chciałam się upewnić, że nic ci nie jest.

Kiwam głową, ale się nie odwracam. W ciągu tygodni, które minęły od śmierci Freemana Bishopa, nasza przyjaźń stopniowo dojrzewa. Nie wiem, czy stanie się tak bliska, jak ta, która niegdyś łączyła mnie i Kimmer z nią i Eddiem, jednak Dana jest zdecydowana naprawić, co się da. Wzruszają mnie jej wysiłki. W przeciwieństwie do innych członków profesorskiego grona, którzy oceniają moje zachowanie mniej więcej tak jak dziekan Lynnda, Dana się do mnie zbliżyła. *Wyrzutki muszą trzymać się razem*, oświadczyła mi kilka dni temu. Zauważyłem, że ona przecież nie jest wyrzutkiem, na co przypomniała mi, że przewodniczy miejscowej filii „Sojuszu Gejów i Lesbijek Przeciwnych Aborcji”. *Każdy nas za coś nienawidzi*, oświadczyła, najwyraźniej zadowolona z takiego stanu rzeczy.

- Dobrze się czuję - zapewniam ją.
- Ładne szwy. Bardzo pociągające.
- Dzięki.
- Myślałam o tym, co ci się stało.
- Co mi się stało?
- No, że cię niemal aresztowano...

W końcu obracam się twarzą do pokoju. - Nie próbowano mnie aresztować.

- Nie wiem, jak to inaczej nazwać.
- To było nieporozumienie, i nic więcej.

Wielka libertarianka uśmiecha się do mnie: - Pewnie, takie nieporozumienie, że niewiele brakowało, żeby pobili cię na śmierć.

- Nikt mnie nie pobił - odpowiadam ostro, gdyż nagle zaczynam się denerwować, jakie wieści rozpowszechnia moja stara przyjaciółka. Jak Dana mawia o sobie: można jej całkowicie zaufać, że powtórzy twoje słowa najwyżej tylu osobom, ilu ty to powiedziałeś.

- Owszem, faceci, którzy cię śledzili.
- Słusznie.

- No, i o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. - Dana jest w ciągłym ruchu; macha rękami, jakby chciała utrzymać równowagę. Zastanawiam się, czy ona kiedykolwiek jest spokojna. - O tych facetach, którzy cię ścigali.

- No, dobrze, ale o co chodzi?
- Ukradli ci książkę o szachach, prawda?
- Hmm, prawda. - Nie wspomniałem jej, że książka zjawiała się z powrotem. Niemniej jednak powiedziałem jej więcej niż komukolwiek innemu, być może dlatego, że Dana, w przeciwieństwie do innych znajomych, często mnie o to pyta.

- A rozumiesz, dlaczego? - Stoi obok mnie przy oknie i patrzy na studentów przemykających się w strugach lodowatego deszczu. Uśmiecha się do siebie. Dana Worth kocha tę pracę.

Odwracam się, żeby wraz z nią popatrzeć na rozgrywające się na dole scenki. Ja już odgadłem odpowiedź. Ciekawe, czy ona też? - Ty mi powiedz.

- Dlatego, mój drogi, że sądzili, iż to jest to, czego szukają.

- Czyli?

- Ależ dziś powoli myślisz! Po pierwsze, mówiłeś, że cię śledzili. Po drugie, znali twoje nazwisko. - Dana doskonale układa listy, szczególnie pod wpływem chwili. - Po trzecie, pytali cię, co jest w pakunku. No, i po czwarte, pobili cię i uciekli z książką.

- Zgadza się.

- No, więc czemu akurat tej nocy? Było tyle innych okazji, dlaczego właśnie wtedy poszli za tobą?

- Nie wiem.

- Bo zrobiłeś albo powiedziałeś oś, co uznali za wskazówkę. - Przechyliła głowę z boku na bok jak bokser, zadowolona ze swojej dedukcji. - Teraz musisz tylko przypomnieć sobie, co to było.

Ja już wiem, co zrobiłem. Poszedłem do klubu szachowego. Tamci mężczyźni musieli pracować dla kogoś, kto, podobnie jak nieżyjący Colin Scott, wiedział, co było w liście Sędziego. Osoba ta zrozumiała, co oznacza Ekscel-sior, a zatem musiała wiedzieć, że ojciec był problemista. Mogła powiedzieć: *Uważajcie, czy nie pójdzie w miejsce mające związek z szachami. Gdyby stamtąd coś wyniósł, to za wszelką cenę mu to odbierzcie.* Był to ktoś, kto... kto...

- A co z obietnicą Jacka Zieglera, że nikt nie zrobi mi krzywdy?

- Po prostu ta osoba o niej nie wiedziała.

Marszczę brwi. Nie powiedziałem jej o telefonie, który odebrałem o godzinie drugiej pięćdziesiąt jeden nad ranem. Nikomu jeszcze o tym nie powiedziałem, ale wcześniej czy później będę musiał. Najpierw jednak odkryw-
ję, kto w tym budynku mnie śledzi. Przez krótką, denerwującą chwilę myślę nawet, że to mogłaby być sama Droga Dana.

- Grosik za twoje myśli - odzywa się teraz.

- Tworzę listę wrogów.

- Och, Misha, nie mów tak, to brzmi tak po nixońsku.

- Prawda? - Mrugam do niej. - Nixon był bohaterem mojego ojca.

- Nikt nie jest doskonały... oprócz Lemastera Carlyle'a - chichocze Dana. Mówiła to wcześniej, ale teraz nie brzmi to już tak zabawnie.
- A mówiąc o Lemie... czy nie sądzisz, że zachowuje się ostatnio trochę dziwnie? - pytam.
- On zawsze jest dziwny.
- Nie, chodzi mi o to... nie wiem... zauważyłem, że stał się taki... chłodny.
- Zawsze był chłodny.
- Mam na myśli, że jest mniej przyjacielski w stosunku do mnie. Jakby starał się mnie unikać.
- Patrzcie, patrzcie... to już nie mam pojęcia, dlaczego. Przecież chce zostać dziekanem.

Poddaję się. Dana, w ten żartobliwy, lecz bezpośredni sposób przypomina mi, że obecnie nie mam zbyt wielu sympatyków w szkole prawniczej, poza może nią samą. Robi mi się przykro, ale co do Lema, może mieć rację. Nagle uderza mnie inna myśl. Przecież ona wie wszystko. - Dano, wiem, że to nie moja sprawa, ale słyszałaś może plotki o jakimś związku pomiędzy Lionelem Eldridgem a Heather Hadley?

Jest wyraźnie zaskoczona tym pytaniem. Potem na jej usta wypływa leniwy, niemal koci uśmiech. - Nie, chyba to przeoczyłam. Ale to byłoby wspaniałe! Muszę popytać tu i ówdzie.

W ten sposób przekonuję się, że plotkę można zapoczątkować w rozmaity sposób.

(II)

Wychodząc z gabinetu Dany, wpadam na Theophilusa Mountaina, który akurat otwiera kluczem drzwi z taką samą wyteżoną uwagą, jaką poświęca ostatnio prowadzeniu samochodu, chodzeniu i nauczaniu, przy czym żadna z tych rzeczy nie wychodzi mu już zbyt dobrze. Pod pachą ma staroświecki segregator i czerwono-czarną teczkę, więc domyślam się, że wraca właśnie z zajęć. Wypowiadam słowa powitania akurat, kiedy udaje mu się pokonać zamek.

Theo, mimo swojego wieku, obraca się szybko, jak model anatomiczny na postumencie, i uśmiecha się do mnie łagodnie.

- Witaj, Talcotcie.
- Cześć, Theo. Masz chwilkę?

Marszczy czoło, jakby to było trudne pytanie. - Sądzę, że tak - zgadza się, nadal trzymając rękę na gałce drzwi. W wieku osiemdziesięciu dwóch lat Theo nie jest już tą osobą, którą był za czasów studenckich ojca, czy nawet moich. Kilka dni temu przyszedł w końcu złożyć mi kondolencje z powodu

śmierci ojca. Wprawdzie zrobił to dziwnie późno, ale nigdy nie miał zwyczaju podporządkowywać się oczekiwaniom innych. Już tylko on pozostał ze słynnej trójki braci Mountain. Był okres, gdy zaliczano ich do jednych z największych uczonych w dziedzinie prawa konstytucyjnego. Pericles, który wykładał na UCLA, zmarł już kilkadziesiąt lat temu, natomiast Herodotus, profesor Columbia University, zaledwie w zeszłym roku. Wszyscy trzej byli sławnymi liberałami, a teraz Theo pielęgnuje tradycję rodzinną. Podczas prowadzonych przez siebie zajęć z prawa konstytucyjnego niemal zupełnie pomija orzeczenia, które zapadły po 1981 roku, „kiedy ten sukinsyn Reagan przejął władzę i wszystko diabli wzięli”. Zamiast uczyć studentów, czym jest lub powinno być prawo, prowadzi wykłady o tym, jak on by chciał, żeby nadal wyglądało. Kilka lat temu napisał do jednego z sędziów Sądu Najwyższego, swojego dawnego studenta, list, w którym oskarżył go o „idiotyczne rozumowanie mające służyć niemoralnie reakcyjnej kampanii”. Następnie wysłał list do gazet i w rezultacie został zaproszony do programu Larry'ego Kinga, gdzie miał okazję obrzucić adresata listy dalszymi inwektywami. Theo nigdy nie waha się powiedzieć, co myśli, tak jak teraz. - Wyglądasz okropnie. Czy to policja cię tak urządziła?

- Oczywiście, że nie.
- Słyszałem, że prawie cię aresztowali.

Zastanawiam się, czy będę tego słuchał do końca życia. - Nie, Theo, nikt mnie nie chciał aresztować. To było po prostu nieporozumienie.

- Ooo. - Wypowiada to z niedowierzaniem.
- Theo, chciałbym cię zapytać o sprawy związane z moim ojcem.
- O co?

Nie odpowiadam od razu, gdyż mija nas paru studentów zatopionych w dyskusji na temat tego, co Hegel powiedziałby o pewnym przepisie wydanym przez Komisję Papierów Wartościowych i Giełdy. Kiedy są już dostatecznie daleko, kontynuuję. - Znałeś go, kiedy jeszcze studiował i później.

Theo kiwa potakująco głową, nadal stojąc w progu swojego gabinetu. - Byliśmy dość bliskimi przyjaciółmi, dopóki nie zaczął się zachowywać jak wariat. Za przeproszeniem.

- Masz na myśli...
- Po przesłuchaniach w Senacie. - Macha niepewnie ręką. - Mnóstwo ludzi w tym budynku podpisało petycję sprzeciwiającą się jego zatwierdzeniu. No, ale wiesz o tym. Jeszcze cię tu nie było, ale pamiętasz.
- Studiowałem tu wtedy, Theo, więc pamiętam.
- Pamiętaj też, że ja jej nie podpisałem. - Przykłada rękę do piersi. Jego koszula, jak zwykle, wydaje się źle uprana. - Nie zgadzaliśmy się w wielu sprawach, ale byliśmy przyjaciółmi. Tak jak powiedziałem, dopóki nie zaczął tak histerycznie się zachowywać.
- Hmm, zastanawiam się... potem, kiedy już przestaliście się przyjaź-

nić... czy wśród tutejszych wykładowców był ktoś, do kogo ojciec się zbliżył, komu mógł zaufać? - Przerywam. To takie typowe dla mojej rodziny, że muszą pytać obcych, kto z moich obecnych kolegów przyjaźnił się z moim ojcem. - Ktoś, komu powierzyłby swoje tajemnice?

Krzaczasta broda Theo rozchyła się w uśmiechu. - No, z pewnością Stuart Land jest reaganowskim kutasem.

Czy to rzeczywiście tak oderwana uwaga, jak się wydaje? Może nie. - Zatem mówisz, że ufał Stuartowi?

- Nawet nie wiem, czy twój ojciec znał Stuarta, ale nie byłoby to dla mnie zaskoczeniem. Wszyscy ci neokonserwatyści trzymali się razem. Za przeproszeniem. - odchyła głowę do tyłu i marszczy brwi, wpatrując się w sufit. - Kto jeszcze? Przypuszczam, że musiał znać Lyndę Wyatt, współpracując ze szkołą jako absolwent. Znał dobrze Amy Hefferman, bo byli razem na roku.

Potrząsam z powątpiewaniem głową. Biedna Amy, tak kochana przez wszystkich Księżna Procedury. Już niemal zapomniałem, że ona i ojciec w tym samym czasie studiowali w szkole prawniczej, a przecież ojciec latami stroił sobie z niej okrutne żarty - wszystkie na temat jej inteligencji. *Drugi z najlepszych trzeciej jakości umysłów w tym budynku*, mawiał o niej, gdy była jeszcze studentką, a potem nie mógł się nadziwić, że zatrudniono ją jako wykładowcę. Z kolei jego oceny jej pracy na uczelni graniczyły z mizoginią. O jej publikacjach mawiał: *mąci się od nich w głowie* albo *niepoważne*. Jak to często z Sędzią bywało, jego opinie o Amy były krzywdząco niesprawiedliwe, lecz niezależnie od tego, czym się w nich kierował, z pewnością nie powierzyłby jej tajemnic, które miałem odkryć. - Z pewnością nie Amy - stwierdzam ze smutkiem.

Theo dziwnie na mnie spogląda. Nie myśli już tak szybko, jak kiedyś, ale nie jest głupcem. - Co nie Amy? Czy ty coś knujesz, Talcotcie? - W jego głosie nie słychać dezaprobaty. Jeśli coś knuję, to zapewne chętnie by się przyłączył. Przysuwa się bliżej i szepce, chuchając na mnie nieprzyjemnym oddechem: - Czy chodzi o Stuarta? Czy ma jakieś kłopoty?

- W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

- Szkoda. - W końcu otwiera drzwi i wchodzi do środka. Jego gabinet jest długi i wysoki, ale tak zarzucony stosami książek i papierów, że zagłębienie się w jego czeluściach przypomina wyprawę speleologiczną. Theo nie zaprasza mnie do środka. - W zasadzie nie interesowałem się za bardzo, co robi twój ojciec, Talcotcie. Przestałem, kiedy...

- Zaczął zachowywać się jak wariat - kończę za niego.

- O, ty też to zauważyłeś? - zainteresował się ponuro. - Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Nie odpowiadała mi jego polityka, ale był dobrym człowiekiem. Dopóki nie umarła twoja siostra. Wtedy wszystko zaczęło się staczać po równi pochyłej.

- Zaraz, chwileczkę, Theo. Po śmierci mojej siostry?
- Zgadza się.
- Ale przedtem powiedziałaś, że zaczął wariować po przesłuchaniach.

Theo mruga oczami. Zapomniał, co przedtem powiedział? Pomyliło mu się czy jest taki sprytny? - No... nie wiem dokładnie, kiedy to się stało, ale w każdym razie mu odbiło. - Potem jego oczy znów się rozjaśniają. - Jeśli Stuart nie jest osobą, której szukasz, to musi to być Lynda.

- Rzeczywiście sądzisz, że ojciec zaufałyby Lyndzie Wyatt? - Już w chwili, gdy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, że Lynda wiedziała, iż będę na przyjęciu u Shirley. Czy z okna swojego gabinetu mogła zauważyć, jak wychodziłem wtedy do bezpłatnej jadalni? Czy mogła wiedzieć, że planuję pójście do klubu szachowego w zeszły czwartek? Nie mam pojęcia, skąd miałyby to wiedzieć, ale nie potrafię zrozumieć wielu rzeczy, na przykład, dlaczego Kimmer za mnie wyszła.

- Z pewnością znacznie bardziej niż mnie. - Jego uśmiech stara się przebić na powierzchnię gęstej białej brody. Po chwili śmieje się już głośno, zamykając mi spokojnie drzwi przed nosem.

(III)

Po powrocie do gabinetu odbieram telefon od Valerie Bing, która dwa lata później niż Kimmer i ja rozpoczęła studia w naszej szkole prawniczej, a teraz pracuje w kancelarii w Waszyngtonie. Ona i Kimmer dorastały o kilka przecznic od siebie i nadal pozostały przyjaciółkami, a ponadto współpracowały wielokrotnie w sprawach zawodowych. Valerie informuje mnie, że byli u niej agenci FBI, żeby porozmawiać o Kimmer. Jestem pewien, że kazali jej to zachować w tajemnicy, ale dla Valerie plotki są wszystkim, toteż relacjonuje mi szczegółowo całą rozmowę. Nie pytali jej o *ustalenia*, natomiast chcieli wiedzieć, czy moja żona wspominała kiedykolwiek o Jacku Zieglerze. Natychmiast postanawiam, że tego Kimmer nie powtórzę.

Ledwo odłożyłem słuchawkę, telefon dzwoni ponownie. Tym razem to przedstawiciel agencji, która załatwiała Sędziemu objazdy z odczytami. Jeśli zgodzę się wystąpić zamiast ojca na kilku spotkaniach z Komitetami Prawomyślnych, to mogą mi zagwarantować połowę honorarium, jakie on otrzymywał. Przez chwilę wpatruję się z niedowierzaniem w telefon, po czym oświadczam, że nie jestem tym zainteresowany. Mój rozmówca przerywa mi i informuje, że ojciec otrzymywał czterdzieści tysięcy dolarów za cykl, czasem więcej. Odejmuje mi mowę. Jak wielu naszych rówieśników z pokolenia wyżu demograficznego, żyjemy z Kimmer ponad stan, stale w długach, wykorzystując do maksimum karty kredytowe i spóźniając się z płatnościami. Dwadzieścia tysięcy dolarów to może być zarobek jednego

popołudnia dla Howarda Denton, bankiera zajmującego się inwestycjami, ale dla mnie to kolosalna suma. Mężczyzna z agencji nie przestaje mówić. Zachęca mnie dalej, opowiadając, że może to się wiązać z występami w telewizji, umową na książkę, warsztatami.

Najchętniej odpowiedziałbym mu słowami, jakich użyłby mój ojciec.

Obawiam się, że nie mogę być do dyspozycji, jeśli chodzi o kontakty, w których miałbym sięprostituować. Zamiast tego mówię po prostu: - Nie, dziękuję.

Natychmiast słyszę, że może mógłby dla mnie uzyskać trzy czwarte honorarium ojca.

Ponownie odmawiam.

On jednak nie zamierza się poddać. Wyjaśnia, że w zasadzie nie musiałbym mówić w imieniu ojca. Mogę przemawiać na temat, jaki sam wybiorę i wyrażać własne poglądy. Paru jego klientów, dodaje, jest bardzo podnieconych myślą, że będą mnie gościć. Proszą tylko o odczyt dla niewielkiej grupy, potem udział w uroczystym obiedzie z ludźmi, którzy podziwiali Sędziego. Przytoczyłbym kilka wspomnień o ojcu, trochę spostrzeżeń o jego przeświadczeniach. Tylko dwa, trzy spotkania.

Dwadzieścia do trzydziestu tysięcy za jedno spotkanie.

Ponownie myślę o naszych długach i czuję, jak ogarnia mnie osłabiająca pokusa, tak podniecająca i ciepła. Potem przypominam sobie, co Morris Young mówił o szatanie, i dość nieuprzejmie kończę rozmowę. - *Moje nie oznacza nie* - oświadczam.

Mężczyzna zapowiada, że spróbuje ponownie za miesiąc lub dwa.

W godzinę później dzwoni do mnie w końcu Po Prostu Alma. Nadal jest na wyspach, cokolwiek to oznacza. Zdążyłem już zapomnieć, dlaczego tak mi zależało, żeby się z nią skontaktować, toteż pytam najpierw, jak się bawi. Skarży się, że mężczyźni nie potrafią dotrzymać jej kroku. Łatwo mi w to uwierzyć.

W końcu przypominam sobie, o co mi chodziło: - Almo? Pamiętasz, jak rozmawialiśmy na Shepard Street, zaraz po pogrzebie?

Poprzez trzaski na linii słyszę jej potwierdzenie.

- Powiedziałas mi wtedy, że jacyś ludzie... przyjdą do mnie. Pamiętasz?

- Twój tata tak powiedział. Mówił, że ludzie zawsze chodzili za głową rodziny Garlandów.

- Czy powiedział... jacy ludzie?

- Pewnie. Biali - odpowiada natychmiast, a moja teoria sypie się w gruzy. Sądziłem, że być może ojciec zdradził Almie część swojej tajemnicy. Jednak to, co słyszę, to znów tylko majaczenia jego udręczonego umysłu, dla którego wszystko, co mu się przytrafiało, było winą kogoś innego.

- Rozumiem.

Jednak Alma jeszcze nie skończyła. - Tak jak biali ludzie chodzili za De-

rekiem.

- Masz na myśli Dereka, jego brata? Komunistę?

- Znasz innego Dereka? Coś ci powiem, Talcotcie. Twój tata nigdy nie lubił swojego brata, nigdy. Dopiero po śmierci. Nawet kiedy byli dziećmi, też go nie lubił. Nigdy.

- Wiem, Almo - usiłuję zakończyć rozmowę, ale Alma nie zwraca na to uwagi.

- Głównie dlatego, Talcotcie, że według twojego taty Derek za dużo narzekał na białych ludzi. No, a okazało się, że biali dopadli też twojego tatę. Wtedy zaczął myśleć, że może Derek miał rację. Zaczął opowiadać, że szkoda, iż starego Dereka już nie ma, bo nie może mu powiedzieć, jak mu przykro.

- Mój ojciec powiedział, że jest mu przykro? - Bezskutecznie usiłuję sobie przypomnieć jakąkolwiek sytuację, w której Sędzia kogoś przeprosza. - A z jakiego powodu było mu przykro?

- Dlatego, że zerwali stosunki. Mówił, że potem wszystko szło już źle.

- Co to znaczy: wszystko?

- Boże, nie wiem! Po prostu powiedział, że mu przykro z powodu tego, co zrobili biali. Myślę, że po prostu brakowało mu brata.

Przychodzi mi na myśl jeszcze jedno pytanie. - Almo? Kiedy ojciec mówił o zerwaniu stosunków z bratem... czy miał na myśli coś konkretnego?

- Chyba wtedy, kiedy postanowił, że będzie sędzią i tak dalej. Musiał wtedy pozostawić za sobą cały bagaż.

- Derek był bagażem?

- Twój tata po prostu za nim tęsknił, Talcotcie, to wszystko.

To do niczego nie prowadzi. Muszę kończyć. Na szczęście Alma również. Umawiamy się, że musimy się spotkać latem, ale z pewnością do tego nie dojdzie.

(IV)

Noc na Hobby Road. Znowu samotnie pełnię wartę, wyglądając przez frontowe okno. Nie wiem, co spodziewam się tam zobaczyć. Około jedenastej wydaje mi się, że widzę mężczyznę, który w ciemnościach przechodzi przez ulicę i obserwuje dom. To bardzo wysoki mężczyzna i może być czarny, chociaż w tych warunkach trudno to określić. Foreman? Pewnie gra wyobraźni, gdyż kiedy ponownie tam spoglądam, już go nie ma. W pół godziny później przejeżdża z piskiem opon samochód dostawczy, co pobudza mnie do spekulacji o inwigilacji, zmieniających się na posterunku samochodach i tabunach obserwatorów.

Oczywiście, to niemiądre, ale jednak naprawdę pobito mnie kilka dni te-

mu, a ktoś rzeczywiście zadzwonił, żeby mnie zapewnić, iż wszystkim się zajęto.

Więc przestań się denerwować!

Próbowałem porozmawiać z Kimmer o tym, co się dzieje, lecz ona nadal nie chce słuchać niczego, poza zapewnieniem, że nie grozi nam niebezpieczeństwo. Nie potrafię przebić się przez mur, który między nami wyrósł. Mam wrażenie, że po napaści stałem się dla niej namacalnym dowodem, iż jednak przez cały czas coś się rozgrywa i nie istnieje możliwość, żeby samo ucichło. Tymczasem ona nadal liczy na posadę sędziowską i wolałaby udawać, że to wszystko nieprawda.

Potrząsam głową. Loguję się do Internetowego Klubu Szachowego i rozgrywam cztery partie błyskawiczne z graczem z Danii, przegrywając trzy. Nadal mam poczucie, towarzyszące mi już od tygodni, że moje wysiłki zmierzające do rozwikłania tej sprawy przypominają żucie waty - gryziesz, gryziesz i gryziesz, a nie robisz żadnych postępów.

Nagle nabieram ochoty, by położyć się spać.

Wchodzę szybko na górę i przyglądam się śpiącemu Bentleyowi, którego sypialnia ozdobiona jest głównie wizerunkami disneyowskiego Herkulesa, który najwyraźniej był śmiejącym się blond Aryjczykiem z największymi zębami na świecie. To ulubiony bohater naszego syna, który nazywa go *Herkes*. Przy świetle padającym z ulicznej latarni poprawiam kocyki z Herkesem, sprawdzam ramkę oświetleniową z Herkesem i całuję ciepłe czoło, po czym wychodzę i idę do żony śpiącej w głównej sypialni z tyłu domu. Rozbieram się w łazience, przypominając sobie z bólem czasy, kiedy zostawialiśmy sobie z Kimmer liścik lub kwiatek na toalecie. **OBUDŹ MNIE** było wówczas miłosnym zaproszeniem. Nie pamiętam, kiedy to się skończyło, ale wiem, że Kimmer przez kilka tygodni ignorowała moje karteczki, zanim zauważyłem, że ona już ich nie zostawia. Zastanawiam się, czy ojciec miał w ostatnich latach życia kogoś, komu mógłby zostawiać liścik lub kwiatek przy łóżku, i uderza mnie, że właściwie nic nie wiem o jego życiu miłosnym, o ile w ogóle istniało po śmierci mamy. Z tego, co mówiła Alma, wynikało, że był samotny, i kiedy sięgam myślami wstecz, stwierdzam, że chyba rzeczywiście tak było. Od czasu do czasu pojawiał się na ważnym przyjęciu lub premierze z jakąś słynną konserwatystką u boku, zawsze wywodzącą się z jaśniejszej nacji, lecz niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że po prostu wyświadcza ją sobie nawzajem grzeczność, bez żadnych romantycznych podtekstów. Nic mi nie wiadomo o jego ewentualnej przyjaciółce; jeśli ją miał, to bardzo dobrze potrafił to ukryć.

Dochodzę do wniosku, że wcale nie chcę tego wiedzieć.

Wracając do liścików. Obecnie Kimmer zostawia mi na poduszce co najwyżej artykuły z gazet, oferujące pomoc w radzeniu sobie ze śmiercią ukochanej osoby, uważa bowiem, że niedostatecznie, lub raczej nieprawidłowo,

przeżywałem dotąd swoją żalobę. Wprawdzie nie istnieją poważne naukowe dowody, że w żalobie rzeczywiście występuje pięć słynnych faz, ale całe rzesze doradców zbijają majątki na wmawianiu nam, że istnieją.

- Do łóżka - przypominam sobie, żeby nie zapomnieć, po co przyszedłem na górę.

Wyglądam przez okno łazienki na podwórze. Wydaje się, że wszędzie panuje spokój. W końcu wracam do sypialni i wpełzam pomiędzy prześcieradła. *Tak strasznie mi przykro*, szepczę do śpiącej Kimmer, ale tylko w myślach. *Wcale nie chciałem pójść tą drogą*. Leżę nieruchomo i odmawiam modlitwę, a potem w ciemności wpatruję się w sufit, czując wyraźnie obecność żony. Nie odważam się wyciągnąć do niej ręki po pociechę, którą chciałbym jej dać i sam otrzymać. Jestem zbyt niespokojny, by zasnąć; stale nachodzą mnie myśli o wszystkim, w czym zawiniłem. Znowu obracam się w kierunku Kimmer. *Gdzie byłaś dziś po południu przez trzy godziny?* Nie było jej w biurze i nie odbierała telefonu komórkowego. Zdarzało się to już przedtem i zdarzy się znowu. *Jak do tego doszło, kochanie?*

Staram się ułożyć w innej pozycji, ale sen nie nadchodzi, a odpowiedzi, których tak pragnę, pozostają równie nieuchwytnie, jak zawsze. Nie wykonuję swojej pracy, moja reputacja pogarsza się z dnia na dzień. Zyskuję sobie opinię stukniętego profesora prawa, który opuszcza zajęcia, wysuwa szalone oskarżenia i daje się pobić na środku kampusu.

I nie mam nikogo, kto pocieszyłby mnie w mojej depresji i rozpacz, a już z pewnością nie jest to żona.

Och, Kimmer, Kimmer! Dlaczego to robisz? Znów przypominam sobie ze smutkiem, jak nasz związek wyglądał na początku, kiedy jedynym, czego pragnąłem w życiu, było oglądać uśmiechniętą twarz Kimmer zaraz po przebudzeniu. Słyszę łoskot przejeżdżającego pociągu, ale to tylko krew dudni mi w głowie. Otwieram oczy, lecz twarz mojej żony ukryta jest w mroku. Nagle czuję, że to łóżko jest zbyt wielkie - tak duża odległość dzieli mnie od Kimmer. Obracam się na jeden bok, potem na drugi i z powrotem na pierwszy, a w tym czasie ona kręci się przez sen i mamrocze coś niezrozumiałego. Tak bym chciał uwierzyć, że mówi mi w półśnie, iż mnie kocha. Marzę, żeby móc jej dotknąć i szukać u niej pociechy. Chciałbym też wiedzieć, dlaczego mam poczucie, że bawią się mną siły znacznie potężniejsze ode mnie.

Ty i twoja rodzina jesteście całkowicie bezpieczni.

Tyle, że nie powiedział nic o poniżeniu i zrujnowaniu mojej kariery.

Tęskniąc za nieustępliwym ciałem swojej żony, poznaję rozpacz pozbawionego ojczyzny uchodźcy, modlącego się, by, wbrew wszelkim oczekiwaniom, móc wrócić raz jeszcze do zniszczonego wojną domu na nieprzyjaznym terytorium, z którego został wyrzucony. Jednak wyczuwam w ciemności, że dzieli mnie od niego niewidoczne barykady. Kiedy dotykam przy-

padkowo stopą nogi Kimmer, moja żona porusza się i ją odsuwa, nawet przez sen nie mogą znieść mojej obecności. Przez chwilę mam ochotę ją obudzić i spróbować wyklócić się lub błagać o pozwolenie na powrót do ojczyzny. Jednak w końcu odwracam się od granicy zmysłowej krainy, która niegdyś tak chętnie mnie witała, i zamykam oczy z nadzieją, że nie będą mnie nawiedzać żadne sny.

ROZDZIAŁ 31

Tydzień Brownów

(I)

- To ciekawa historia - stwierdza John Brown.
- To nie jest *historia*.
- Ale mimo to jest ciekawa. - Ustawia się na środku podjazdu, strzela do kosza i fatalnie pudłuje. Łapię odbitą piłkę, prowadzę ją do krawędzi trawnika i próbuję trafić z wysoku.

Jest! Celuję w Johna palcem, a on ze śmiechem go odtrąca, po czym „przybija piątkę”.

Jest piątkowe popołudnie, trzy dni po Bożym Narodzeniu, chociaż Kimmer czasami świętuje jeszcze Kwanzaa. Dwa dni temu napadało w nocy prawie osiem centymetrów śniegu, ale teraz znów się roz pogodziło i ocieplilo na tyle, że możemy dziś upiec mięso na ogrodowym grillu. Pozostałości śniegu rozpryskują się pod naszymi stopami i spływają dookoła strumyczkami. Nie było to białe Boże Narodzenie, ale niespecjalnie nam tego brakowało.

Za czasów mojego dzieciństwa obchodziliśmy te święta wystawnie i radośnie. Mama dekorowała dom na Shepard Street świeżo wykonanymi wieńcami, poinsecją i jemiolą, w holu ustawiano jaśniejącą choinkę wysokości dwóch pięter, parter wypełniał się tłumem hałaśliwych krewnych i przyjaciół, z którymi rodzice odwiedzali się nawzajem jeszcze przez kilka kolejnych dni. My, dzieci, drzemaliśmy podczas Pasterki w kościele Świętej Trójcy i Świętego Michała, a następnego dnia wstawaliśmy wcześniej rano i pędziliśmy pod choinkę, którą przez noc zdążyła w czarodziejski sposób otoczyć góra prezentów. Wprawdzie wiedzieliśmy, że w większości świątecznie opakowanych pudełek znajdziemy książki i ubrania, ale wyobrażaliśmy sobie, że wszystkie zawierają zabawki. A Sędzia - w tamtych czasach po prostu tatuś - siadał w swoim ulubionym fotelu w szlafroku i papciach, z fajką, którą wówczas jeszcze palił, rozkoszując się naszą miłością i wdzięcznością, i głaskał nas po plecach, gdy obejmowaliśmy jego silne nogi.

Pod numerem czterdziestym pierwszym na Hobby Road obchodzimy Boże Narodzenie w bardziej stateczny sposób. Wymieniamy się z Kimmer symbolicznymi prezentami, stojąc przy małej sztucznej choince. Moja żona nie zgadza się na prawdziwą, twierdząc, że wiąże się to ze stratą czasu, kło-

potami i ryzykiem - *Woda i prąd razem? Mowy nie ma!* W tym roku staramy się wykrzesać z siebie więcej radości, gdyż Bentley ma już trzy lata i dziewięć miesięcy i rozumie wiele z tego, co się wokół niego dzieje, choć najwyraźniej bardziej docenia Świętego Mikołaja niż Jezusa. Doskonale się bawiliśmy, pakując dla niego prezenty w Wigilię, a kiedy potem leżeliśmy bezsennie w łóżku, wsłuchując się w wycie wiatru, Kimmer stwierdziła, że cieszy się, iż nadal jesteśmy razem. Odparłem jej zgodnie z prawdą, że mnie też to cieszy. Od paru tygodni bardzo się staram, żeby dotrzymać obietnicy złożonej Morrisowi Youngowi, czyli traktować żonę z miłością zamiast podejrzliwości, a ona odwzajemnia się pogodniejszym nastrojem. Ogarnia mnie niespodziewane i pocieszające wrażenie, że odsunęła od siebie tamtego nieznanego mi mężczyznę, może w ramach noworocznego postanowienia, a może jako prezent gwiazdkowy dla męża. Jednocześnie w głębi ducha przez cały czas usiłuję wymyślić, w jaki sposób wydostać się z tego bałaganu, w który wpakował mnie ojciec.

Między innymi dlatego częściowo opowiedziałem Johnowi Brownowi o tym, co się wokół mnie dzieje.

- Zatem, co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? - pytam go na koniec, ponownie wykonując rzut do kosza. Tym razem piłka odbija się z brzękiem od obręczy i uderza w jego granatowy minivan. John przechwytuje ją, zanim trafi z kolei w mój zardzewiały, ale niezawodny grill, gdzie nad świeżo rozpalonym węglem tańczą już pomarańczowe płomyczki.

- Nic. Zostaw to FBI. Ty nic nie możesz zrobić. Ciekawy strzał. - John jest lakoniczny jak zawsze; nigdy nie lubił używać dwóch słów tam, gdzie starczyło jedno. Zajęliśmy się strzelaniem do kosza, żeby spokojnie porozmawiać. John namawia mnie, żebym powiedział o wszystkim odpowiednim instytucjom, ale ja nie obiecuję mu niczego. - Misha, potrzebujesz fachowca, a oni są fachowcami.

Kiwam w zamyśleniu głową. Niełatwo się zaprzyjaźniam, ale moje przyjacielskie stosunki z Johnem są wyjątkowo trwałe. Znajomość z nim - oraz z jego żoną, Janice - datuje się jeszcze z czasów, gdy razem zaczynaliśmy studia w college'u. Janice cieszyła się wówczas największym powodzeniem wśród czarnych studentek z naszego roku, a Johna można było śmiało nazwać najbardziej pilnym czarnym studentem. Obecnie John jest inżynierem elektrykiem, o czym zawsze marzył, a Janice pełnoetatową mamą, czego zawsze pragnęła. Ponieważ mieszkają teraz w Columbus w Ohio, widujemy się tylko raz lub dwa razy do roku, zazwyczaj zaraz na początku świątecznej przerwy w zajęciach. Janice i John są wspaniałymi ludźmi. Kimmer też ich lubi: *Mimo że doprowadziłeś ich do małżeństwa*, jak lubi mi dokuczać.

- Nie wiem - odpowiadam w końcu Johnowi, jak Hamlet z Hobby Road.

Mój przyjaciel unosi brwi. - Co, nie ufasz FBI? - Kolejny strzał. Piłka obiega obręcz i w końcu wpada do kosza, odbija się od chodnika, po czym

łąduje w mokrym śniegu nadal pokrywającym większą część trawnika.

- A jeśli FBI macza w tym palce? - odzywa się zniecierpliwiona Mariah. - Nie możemy im tego pozostawić.

Uśmiecham się niepewnie. Nie wiem, od jak dawna moja siostra nas słucha. Nie powiedziałem jej jeszcze o pionku i liście od ojca, tymczasem przed chwilą ujawniłem to Johnowi, który teraz kiwa głową na znak, że będzie milczał.

Odwraca się ode mnie do Mariah. - Musisz komuś zaufać - stwierdza, co zapewne można przetłumaczyć jako: *Jeśli dalej będziesz szedł tą drogą, to równie dobrze możesz się przenieść do jednego z tych obozów przetrwania w Montanie*. Żałuję, że nie podzielałam już poszanowania Johna dla władz, ale wydarzenia ostatnich tygodni podważyły moją wiarę w wiele ludzkich instytucji.

Rzucam piłkę siostrze. - No, mała, spróbuj strzelić.

Łapie ją bez trudu i odrzuca z taką siłą, że przy tej bliskiej odległości trąca na chwilę oddech.

- Nie, dzięki.
- Kiedyś uwielbiałaś w to grać.
- Kiedyś uwielbiałam wiele rzeczy.

Zerkam na Johna, który nagle zainteresował się małą naklejką znajdującą się z boku stojaka podtrzymującego obręcz. Producent wydrukował na niej całą serię ostrzeżeń w naiwnej nadziei, że uniknie pozwu w razie, gdyby jakieś dziecko zdołało wyrzucić tę konstrukcję. Niegdyś John uratował przed procesem sądowym nasz szpital uniwersytecki. Było to wówczas, gdy Kimmer i Bentley o mało nie umarli. John i Janice przylecieli natychmiast, gdy się dowiedzieli. Janice przytulała mnie, gdy płakałam, natomiast John zdołał mnie przekonać - jako naukowca i chrześcijanina - że powinienem być wdzięczny lekarzom za uratowanie życia moim bliskim, zamiast mieć do nich pretensje, iż niemal im się to nie udało.

- Daj spokój, Mariah - mówię, wyciągając do niej rękę. - Nie bądź taka nieszczęśliwa.

- Nie *bądź taka nieszczęśliwa* - powtarza. - Tak jakbym miała się z czego cieszyć.

Powstrzymuję się od jęku. Będąc w takim nastroju, Mariah z pewnością wszystko zepsuje.

John, Janice i ich dzieci spotykają się z nami regularnie o tej porze roku - podczas spokojnego tygodnia przed Nowym Rokiem - czasami w Ohio, lecz zazwyczaj tutaj. Wczoraj świętowaliśmy, o ile to dobre słowo, naszą dziewiątą rocznicę ślubu. John i Janice, którzy pobrali się siedem lat wcześniej, mają rocznicę jutro. To właśnie zbieżność dat naszych ślubów zapoczątkowała pięć czy sześć lat temu tradycję tych spotkań. Zazwyczaj panuje podczas nich cudownie hałaśliwa atmosfera, ale tym razem jesteśmy dość

poważni. Powodem jest nie tylko niedawna śmierć mojego ojca, ale i nastroj w naszym domu, gdyż Kimmer, choć przestała znikać na całe godziny, to również nie okazuje specjalnie miłości mężowi. Ponieważ Brownowie uważają, że każde małżeństwo może być równie doskonale jak ich, czują się nieswojo w towarzystwie żywego zaprzeczenia swojej teorii. Jednak jako dobrzy przyjaciele wierzą, że nasze małżeństwo również da się naprawić.

Moja siostra w ostatniej chwili zapowiedziała swoją wizytę w czasie Tygodnia Brownów, jak nazywamy te nasze spotkania. Kimmer zareagowała na te wiadomości wyjątkowo łagodnie, ale była to łagodność zarezerwowana dla niezrównoważonych psychicznie. *Oczywiście, Misha, w końcu to twoja siostra*, stwierdziła, poklepując mnie po dłoni. *Rozumiem to, naprawdę rozumiem*. To podkreślenie przekonało mnie, że wcale nie rozumie. Ja sam też nie jestem tym zachwycony. Wolałbym, żeby nie przyjeżdżała akurat w Tygodniu Brownów, nawet jeśli to ma być tylko jeden dzień. Jak się okazało, Mariah przyjechała sama, zostawiając potomstwo z *au pair*, gdyż Howard jest chyba w Tokio. Nerwowość mojej siostry z pewnością zepsuje swobodną atmosferę towarzyszącą spotkaniom naszych dwóch rodzin. Wolałbym zobaczyć się z Mariah kiedy indziej i sam, ale nie zgodziła się wyjawic swoich odkryć przez telefon, zapewne w obawie przed podsłuchem, a dzisiejszy dzień okazał się najwcześniejszym, kiedy obydwójce mieliśmy czas na spotkanie.

Janice i Kimmer są w kuchni, gdzie przygotowują jedzenie, spiskują i robią sobie złośliwe żarty z Mariah. John i ja dzielimy czas pomiędzy rzuty do kosza a rozpalanie węgla na grillu - gdzie już wkrótce mają się upiec kosztowne steki - a w tej chwili dodatkowo wysłuchujemy chaotycznych wywodów Mariah. Pod wysokim murem oddzielającym posiadłość Felsenfeldów od naszej rozradowany Bentley bawi się z młodszą córką Johna, Faith, trzy lata starszą od niego. Wspólnie wykonują jakieś sprytnie i tajemnicze operacje z Barbie Nigeryjką i jej przeraźliwie różowym samochodem sportowym, któremu urwało się koło. Siostra Faith, Constance, ma już dziewięć lat i czuje się zbyt dorosła na takie zabawy. Kiedy ją ostatnio widziałem, siedziała przy kuchennym stole, apatycznie grając w Boggle na laptopie swojej matki. Domaga się nowej wersji gry Riven, którą w szkole wszyscy już mają, ale jej protestancy rodzi nie chcą się na to zgodzić. Najstarszym dzieckiem jest piętnastoletni Luke, który zapewne zaszył się gdzieś w domu z nosem w powieści Agaty Christie.

- Czasem FBI jest po niewłaściwej stronie - upiera się Mariah. - Pomyślcie, co zrobili doktorowi Kingowi.

Wymieniamy z Johnem spojrzenia. John jest niewysokim, żylastym mężczyzną. Dorastał w kwaterunkowym mieszkaniu w stolicy stanu i tylko dzięki stypendiom udało mu się dotrzeć aż na uniwersytet w Elm Harbor. Jego ciemna skóra wydaje się jeszcze ciemniejsza w zapadającym zmroku,

ale spojrzenie ma jasne i pełne skupienia.

- To część tego, o czym chciałam z tobą dziś porozmawiać, Tal - ciągnie moja siostra, idąc pomiędzy nami, tak żebyśmy nie mogli kontynuować gry, dopóki jej nie wysłuchamy. Nie przyjechała dziś navigatorem, tylko mercedesem - jej mąż ma własnego - i ubrana jest w elegancki brązowy kostium ze spodniami, który może pochodzić z kolekcji Anne Klein. Jest to zapewne odpowiedni strój na jesienne cocktail party w Darien, ale niekoniecznie na grudniowy grill w ogródku w Elm Harbor. Jestem pewien, że w kuchni Kimmer komentuje jej ubiór. - Musimy postanowić, co z tym zrobimy.

- Z czym? - pytam łagodnie.

- Z całą tą sprawą.

John wykonuje kolejny rzut i pudłuje. Odbita piłka wpada mi w rękę. Podnoszę ją, jakbym chciał strzelić do kosza, ale Mariah stanowczo ją zabiera i wkłada sobie pod ramię, zupełnie jak rodzic karzący dziecko. Daje nam do zrozumienia, że koniec z koszykówką, dopóki jej nie wysłuchamy.

- Pamiętasz, że wraz z Sally przeglądałyśmy papiery taty? Chciałabym ci powiedzieć, co znalazłyśmy, a wtedy zrozumiesz, dlaczego musimy coś zrobić.

Mam ochotę jej przerwać, ale John spogląda na mnie znacząco i ulegam. On najwyraźniej chce, żeby wszystko powiedziała. Zupełnie jakby był dobrym prawnikiem, wie kiedy unikać pytań naprowadzających i pozwolić klientowi, żeby wszystko z siebie wyrzucił.

- No, dobra, mów.

Mariah odrzuca piłkę na pokrytą śniegiem trawę i podchodzi do swojego błyszczącego, turkusowego samochodu. Sięga po coś na przednie siedzenie. Wyciąga lśniącą, brązową teczkę, którą umieszcza na masce.

- Zaczekajcie chwilkę. - Ustawia kombinację cyfr i podnosi górną część.

Teczka z zamkiem szyfrowym, zauważam, na poły rozbawiony, na poły zaniepokojony. Zaglądam na podwórko, żeby sprawdzić, co z grillem.

W tym czasie Mariah wraca z kilkoma teczkami. Kiedy je przekłada, przypominam sobie o notatniku w czarno-białej okładce, w którym spisywała dowody potwierdzające jej teorie spiskowe. Drażnię się z nią teraz, mówiąc, że jej znaleziska ze strychu przekraczają już objętością notes.

Mariah, najwyraźniej pochłonięta czym innym, odpowiada mi nieuważnie: - Nie, nie mogę go znaleźć.

- Może ukradli go źli faceci.

Moja siostra bierze poważnie te słowa i wskazuje na teczkę. - Dlatego właśnie sprawiłam sobie zamek. - Zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, wyciąga w naszym kierunku jedną z teczek. - Spójrzcie na to - zarządza.

Biorę zatem teczkę i razem z Johnem przyglądamy się naklejce z wyblakłym napisem: RAPORT DETEKTYWA - ABIGAIL. Czuję nagle podniecenie. Jednak teczka okazuje się pusta.

- Gdzie raport? - pytam.
- To właśnie usiłuję ci powiedzieć, Tal. Nie ma go. Czy nie wydaje ci się to trochę dziwne?

- Trochę. - Jednak myślę sobie, że można znaleźć setki wytłumaczeń tego faktu, łącznie z tym, że Mariah go zabrała lub nawet spreparowała teczkę, jako rekwizyt na potwierdzenie swoich fantazji.

Z drugiej strony, album z wycinkami zniknął, ozdobny pionek przebył drogę ze Złotego Wybrzeża do jadalni w Elm Harbor, a książka skradziona przez mężczyzn, którzy mnie pobili, zmaterializowała się na siedzeniu mojego samochodu. Tyle różnych rzeczy jest możliwych.

- Potem sobie przypominałam. Kiedy tatuś dostał raport od detektywa, wręczył go policji. Pamiętasz? Miał nadzieję, że coś z tym zrobią.

Przypominam to sobie, znów czując ostry ból. Sędzia był taki z siebie zadowolony - wynajął prywatnego detektywa, odnalazł nowe ślady. To bardzo dobry fachowiec, zapewniał nas, z Potomacu, który już wtedy był eleganckim miasteczkiem. Bardzo polecany i bardzo drogi. Ojciec najwyraźniej był dumny, że tyle płaci.

- Villard - mruczę. - Tak się nazywał, prawda? Coś-tam Villard.

- Zgadza się - uśmiecha się Mariah. - Jonathan Villard. - Potrząsam głową, bo mimo wszystko miałem nadzieję, że mnie poprawi i powie, że w rzeczywistości nazywał się Colin Scott. Jednak bez trudu przypominam sobie teraz resztę tej historii. Kiedy Sędzia otrzymał raport, wyszedł w końcu ze swej kryjówki i oświadczył rodzinie, że z pewnością morderca zostanie wkrótce ukarany. Tak go zawsze nazywał - *morderca*. Potem usadowił się z powrotem w swoim gabinecie i czekał. Czekał... i czekał. W końcu ponownie ogarnęła go rozpacz.

- Policja nigdy nie zbadała tych wskazówek - mówię cicho, w równym stopniu do siebie, jak do Johna i Mariah. Ona znacznie mnie wyprzedza myślami, gdyż ja ciągle jeszcze zastanawiam się, gdzie się podział notes. Najpierw znika album z wycinkami, potem notes. Chłodny wiatr porusza gałęziami żywopłotu. - A jeśli nawet to zrobili, to nic nie znaleźli.

- Słusznie - potwierdza moja siostra takim tonem, jakby gratulowała niezbyt pojętnemu uczniowi, że wreszcie zrozumiał. - Jednak oni mieli kopię raportu. Zadzwoiłam więc do wujka Mała i rozmawiałam z tą kobietą, Meadows. Poprosiłam, żeby zdobyła dla mnie kopię raportu z akt policji. Powiedziała, że to może trochę potrwać, gdyż będą musieli poszukać w archiwum. Po paru dniach do mnie zadzwoniła, i wiecie co? Policja nie ma kopii raportu.

- Robi się coraz ciekawiej - przyznaję. John w ogóle nie bierze udziału w naszej rozmowie. Potem przychodzi mi do głowy pewna myśl.

- Ale, słuchaj, przecież ten Villard na pewno ma kopię swojego raportu. Trzeba go odnaleźć.

Mariah jest wyraźnie rozbawiona. - Jednak wy, prawnicy, wszyscy myślicie tak samo. Meadows już to zrobiła - i nie zgadniesz! - Villard umarł na raka okrężnicy piętnaście lat temu.

Następne zdanie wyrывa mi się, zanim zdążyłem pomyśleć: - Jesteś pewna?

- Oczywiście, Tal, że jestem pewna. Nie jestem głupia. Meadows zdobyła nawet kopię jego kartoteki medycznej. Naprawdę był chory i naprawdę umarł.

- Och. - Czuję się lekko przygaszony. Dopóki Mariah nie powiedziała o raku, byłem przekonany, że Villard to kolejna tożsamość Colina Scotta. Potem się rozpogadzam. - Ale nawet jeśli nie żyje, to muszą być gdzieś akta spraw, które prowadził...

- Pewnie są, ale nikt nie wie, gdzie. O to mi chodzi. Teraz spójrzcie na to - ciągnie moja siostra, jak adwokat prezentujący sprawę lub magik zabawiający publiczność. Z kolejnej teczki wyciąga parę kartek wydartych z żółtego notatnika prawniczego. Natychmiast rozpoznaję niewyraźny charakter pisma naszego ojca. Mariah bardzo ostrożnie obchodzi się z kartkami, jakby w obawie, że ulegną samozapłonowi. - To wszystko, co udało mi się znaleźć na temat raportu - oznajmia.

Przełóżam kartki noszące ślady wielokrotnego składania. Atrament jest wyblakły i rozmazany. Na górze znajduje się napis RAPORT V, a pod nim szereg notatek: *Tablice z Wirginii?... Muszą być uszkodzenia z przodu, V sprawdził już warsztaty... V mówi, że policja pracuje byle jak, jeśli chodzi o farbę itd... Nieznana tożsamość kierowcy, nieznana tożsamość pasażera...* Zatrzymuję się, cofam i jeszcze raz patrzę na ostatnią linijkę.

- Pasażera? - pytam.

Mariah potakuje ruchem głowy. - Ktoś jeszcze jechał w samochodzie, który zabił Abby. Ciekawe, co?

- Sędzia nigdy o tym nie wspominał - mówię z roztargnieniem, gdyż w tym momencie coś sobie przypominam. - Mama też nie.

Mariah znów mówi z podnieceniem. - Te notatki były schowane z tyłu w jednej z jego książek o szachach. Przypuszczam, że ten, kto zabrał raport, nie miał o tym pojęcia. - Mam na końcu języka pytanie, co to była za książka, myśląc o ewentualnych zaszyfrowanych wiadomościach, ale Mariah już rozdaje kolejne karty. - A spójrzcie na to. - Tym razem jest to szara koperta. Otwieram ją i wyciągam wykazy czeków. Szybkie spojrzenie starcza mi, żeby potwierdzić to, co podejrzewałem: wszystkie pochodzą mniej więcej z tego okresu, gdy detektyw pracował nad sprawą Abby. - Przyjrzyj się im - poleca mi siostra.

- A czego dokładnie szukam? - pytam, podczas gdy John obserwuje nas z zainteresowaniem.

- Nazwiska Villard! Tata twierdził, że on jest bardzo drogi, prawda?

- No, tak. - Mówił o tym z dumą: wszystko, co najlepsze, żeby wytropić zabójcę Abby.

- Właśnie. Teraz spójrz na wykaz czeków. - Patrzę, nadal nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi. - Tal, wszystkie te чеки tata wypisał w ciągu czterech lat po śmierci Abby. Nie ma wśród nich żadnego na nazwisko Villarda ani żadnego dla jakiegokolwiek agencji detektywistycznej.

- Pewnie po prostu nie wpisał tego czeku.

- Tal, mam tu nawet wszystkie unieważnione чеки. Wiesz, jaki był tata. Miał wszystko doskonale uporządkowane. Dla pewności jeszcze wszystko zsumowałam i żadnego nie brakuje.

W moich myślach pojawia się niepokojąca wizja Mariah zgarbionej nad kalkulatorem, wduszającej klawisze i obsesyjnie sprawdzającej obliczenia Sędziego, podczas gdy jej dzieci buszują po całym domu, a Sally... no, robi to, co zwykle, kiedy są razem.

- No, więc zapłacił gotówką. - Jednak taka możliwość wydaje mi się dziwna.

- Nie - odpowiada Mariah, prezentując następną kopertę. Jednak nie straciła swoich śledczych umiejętności. - To jest wykaz wszystkich wypłat gotówkowych dokonanych przez tatę w ciągu tych lat i żadna nie starczyłaby na nic więcej niż zakupy spożywcze.

- A z jego rachunków maklerskich...

- Daj spokój, Tal, w tamtych czasach nie miał żadnych kont w biurach maklerskich. Nie miał tyle pieniędzy. Dopiero później.- Kiedy przestał być sędzią.

- W takim razie, co mi chcesz powiedzieć? Nie było żadnego detektywa? - Potrząsam głową, chcąc rozproszyć mgiełkę skrywającą bolesne wspomnienia. John tylko się przygląda, jakby był przypadkowym świadkiem wypadku samochodowego, który nie może oderwać oczu od ofiar, ale nie potrafi pomóc. - Sądziś, że Villard był... wytworem wyobraźni Sędziego?

- Nie, Tal. Posłuchaj. Oczywiście, że Villard istniał naprawdę. Chcę ci tylko powiedzieć, że *ktoś inny zapłacił za jego usługi*. Nie rozumiesz? Chyba, że tata pożyczył pieniądze. W każdym razie pochodziły od kogoś innego. A jeśli uda nam się znaleźć tę osobę, to znajdziemy mordercę taty.

Nie bardzo w to wszystko wierzę, ale też nie odrzucam całkowicie tego pomysłu. Jestem w takim stanie emocjonalnym, że nie potrafię niczego racjonalnie ocenić.

- I sądziś, że tym kimś był... - nie kończę, zachęcając ją do odpowiedzi, która niewątpliwie musi paść.

- To był Jack Ziegler, Tal, któżby inny? To musiał być wujek Jack. Miałam rację od samego początku. Tata bał się wujka Jacka i dlatego miał broń. Jednak w niczym mu to nie pomogło. Jack Ziegler go zabił i zabrał raport.

Tak jak podejrzewałem, Mariah nie zrezygnowała ze swojej teorii spiskowej. Jednak uświadamiam sobie, że moja siostra może być na tropie czegoś ważnego, choć nawet o tym nie wie. W jej rekonstrukcji zdarzeń znalazł się bowiem okrucieństwo prawdy, który mnie przeraża... przeraża mnie, gdyż znam pewne fakty, których ona nie zna.

- Poczekaj chwilkę. Ja nadal nie rozumiem, po co Jack Ziegler miałby to robić. - W rzeczywistości rozumiem, ale zgłaszam obiekcje, żeby podtrzymać rozmowę.

- Właśnie, że rozumiesz! W raporcie jest coś, co chciałby ukryć, więc musiał zabrać jedyną istniejącą kopię. Inaczej, po co zabijałby tatę w domu?

- To dlaczego pozostawił pustą teczkę? - oponuję.

- Ja nie wiem wszystkiego! Dlatego właśnie potrzebna mi twoja pomoc!

Uderza mnie nagła myśl. - A co z tym społecznym wezwaniem do podjęcia śledztwa, o którym wspominałaś...

- Ktoś odwiódł ich od tego. Znaleźli jakiś sposób, żeby ich zniechęcić, nie rozumiesz? A Addison jest bezużyteczny - dodaje zagadkowo, podczas gdy ja wciąż jeszcze się cieszę, że ktoś ich zniechęcił. - Pozostaliśmy tylko my dwoje, tylko nas to obchodzi, zatem musimy sami ustalić, co się naprawdę zdarzyło.

- Nie mamy dość informacji.

- Właśnie! Dlatego musimy współpracować! Och, Tal, czy ty tego nie rozumiesz? - Zwraca się do Johna. - Ty to rozumiesz, John. Jestem tego pewna. Wyjaśnij to Talowi.

- No, cóż - zaczyna John - może byłoby lepiej...

W tym momencie z domu wychodzą nasze żony - szeroka, jasna Kimmer i szczupła, ciemna Janice - niosąc przyprawione, gotowe do położenia na grillu steki. Jest też kukurydza w kolbach zawinięta w folię aluminiową oraz talerz pokrojonych warzyw, które też zostaną lekko podpieczone. No, i dwie cole, gdyż obaj z Johnem nie pijemy alkoholu

- John z powodów religijnych, a ja ze strachu, żeby nie pójść w ślady ojca. Wyrażamy należyty zachwyt na widok jedzenia, które rzeczywiście prezentuje się wspaniale. Potem musimy wysłuchać uszczypliwych uwag, jak to mężczyźni są tak zajęci grą w koszykówkę, że nawet nie rozpalili porządnie węgla. Kimmer nadal jest na mnie zła z powodu przyjazdu Mariah, ale przy naszych przyjaciółkach robi dobrą minę do złej gry.

Wczoraj wieczorem powiedziałem jej w końcu o telefonach z agencji ojca. Była wściekła, że w taki sposób mnie ocenili, a ja jeszcze bardziej ją za to pokochałem. *Nie jesteś swoim ojcem, a oni nie mają prawa udawać, że jesteś!* Wyjaśniłem jej, iż już im odmówiłem, a ona stwierdziła, że dobrze zrobiłem. Jeśli jeszcze kiedyś zadzwonią, odmówię ponownie.

- No, i co, sama mam je układać na grillu? - pyta Kimmer z udawaną

irytacją, trzymając ręce na biodrach.

- Nie, kochanie.

- No, to bierzcie się, chłopcy, do roboty. - Żartobliwie klepie mnie w pośladki. Zaskoczony, łaskoczę ją, a ona odpycha mnie ze śmiechem.

- Do roboty! - powtarza.

- Mariah, przyda nam się w kuchni twoja pomoc - dodaje Janice ku zdumieniu mojej siostry, która czuła się dotąd jak piąte koło u wozu.

Przed odejściem Mariah spogląda na mnie posepnym wzrokiem.

- Przemyśl to, Tal. - Kimmer i Janice wracają do domu, a ona, nadąsana, rusza za nimi.

- Twoja siostra ma kręcka na tym punkcie - mruczy John, kiedy idziemy z powrotem na podwórze.

- Hmmmm? Aaa... przykro mi. - Potrzebuję chwili, żeby sobie uświadomić, o czym mówiliśmy, gdyż nadal jestem oszołomiony przyjaznym zachowaniem żony, nawet jeśli to było tylko na pokaz. - Mariah nie jest... no, nie jest sobą od czasu śmierci naszego ojca. Bardzo dziękuję tobie i Janice, że jesteście dla niej tacy mili.

- Janice jest miła dla wszystkich. - Tak jakby on nie był.

- To prawda.

- Nie wiem, jak ona to robi. - Potrząsa głową, ale w jego głosie brzmi duma. Kocha żonę, a ona wyraźnie odwzajemnia to uczucie. Próbuję sobie przypomnieć, co się wtedy czuje, ale dochodzę do wniosku, że nigdy tego nie doświadczyłem. - Jednak Mariah może mieć rację - dodaje z namysłem John.

- Och, daj spokój. Chyba nie sądzisz, że sfalszowano wyniki autopsji.

- Nie, nie chodzi mi o autopsję ani o zamordowanie twojego ojca. - Wzrusza ramionami. - Mam na myśli, że może mieć słuszość w sprawie tego prywatnego detektywa... że zapłacił mu ktoś inny.

- Nie mówisz poważnie.

- A co, myślisz, że pracował za darmo? Mariah wspomniała, że był bardzo drogi.

- Hmmmm - odpowiadam, jak zwykle inteligentnie.

John czeka, podczas gdy ja oglądam steki i układam jeden obok drugiego na długim grillu. Ubrany jest w luźne, czyste dżinsy i wiatrówkę New York Athletic Club założoną na elegancką białą koszulę. Jest wyjątkowo barczysty, jak na tak niewysokiego mężczyznę, ale początki brzucha świadczą, że nie ćwiczy już tak regularnie, jak kiedyś.

- Dodaj jej opowiadanie do swojego, Misha. - Balansuje na palcach, z rękami złożonymi z tyłu, pozostawiając mnie całą pracę. - Kiedy to razem złożyć, wydaje się interesujące.

- Hmmmm - powtarzam, gdyż nie chcę, żeby John traktował Mariah zbyt poważnie.

- Może ci fałszywi agenci FBI szukali właśnie tego raportu. - Kiedy nie odpowiadam, John stwierdza: - Nie powiedziałeś jej o wszystkim, prawda?

- Nie.

- Zatem ona nie wie o liście od waszego ojca ani o pionku?

- Nie.

- To twoja siostra, Misha. Powinieneś jej o tym powiedzieć.

Spoglądam na niego. - Kiedy tak się zachowuje?

Jednak John nie zwraca uwagi na moją odpowiedź. Uważnie wpatruje się w drzewa za płotem, znaczące granicę dwuakrowej posiadłości należącej do prezesa głównego banku w Elm Harbor. Czyżbym nudził swojego przyjaciela? - John?

- Och, przepraszam. Słucham cię, słucham, mów dalej.

- Musisz zrozumieć, jak to jest z Mariah. To nie chodzi tylko o tę jedną sprawę. Ona zawsze... łatwo się wszystkim podniecała. Ma też skłonność do pochopnego wyciągania wniosków. To znaczy... wiem, że jest inteligentniejsza ode mnie, ale nie zawsze zachowuje się rozsądnie. Ona jest trochę zbyt porywcza, rozumiesz?

- Tak - odpowiada z roztargnieniem, gdyż nadal wpatruje się w płot.

- Mam takiego przyjaciela, Eddiego Doziera. Pamiętasz Danę? Danę Worth? Opowiadałem ci o niej, prawda? No, więc Eddie był jej mężem. Jest czarny, ale bardzo prawicowy. Angażuje się w te wszystkie antyrządowe awantury. W każdym razie, Dana powiedziała mi któregoś dnia, że Eddie i Mariah rozmawiali ze sobą i to on właśnie przekonał ją, iż wyniki autopsji zostały sfalszowane. Wiesz, te plamki na zdjęciu? Próbowałem ją przekonać, żeby z nim więcej nie rozmawiała, ale ona po prostu...

- Misha.

- ...mnie nie słucha. Nie wiem, muszę znaleźć jakiś sposób, żeby ją zniechęcić, żeby dała temu spokój, zanim to się wymknie spod...

- Misha!

- Co? - pytam zdenerwowany, gdyż John, który nie ma zwyczaju przerywać, teraz się wtrąca.

- Misha, tam ktoś stoi w lasku. Tam na wzgórzu. Nie odwracaj się.

Mam wrażenie, że mój głos dobiega z bardzo daleka, kiedy spokojnie mmu odpowiadam: - To mój sąsiad. Mówiłem ci, że mieszka tam prezes banku...

- Raczej nie, chyba że prezes jest wysoki i czarny. Poza tym trzyma lornetkę. On nas obserwuje. - Chwila ciszy. - To może być ten Foreman.

Jednak się obracam, nie potrafię się dłużej powstrzymać.

- Nikogo nie widzę - szepczę.

- Zniknął. Chyba go spłoszyliśmy.

(II)

John Brown jest najbardziej zrównoważoną osobą, jaką znam. Nie ma skłonności do halucynacji, toteż jeśli mówi, że ktoś tam był, to musi być prawda.

Uprzedzamy nasze zdumione żony, że musimy sprawdzić coś za płotem. Zostawiamy steki i ruszamy w kierunku drzew. Zapewne powinienem się bać - obserwatorem musiał być Foreman - ale skoro zmarły Colin Scott był nieszkodliwy, to czy jego pomocnik może być niebezpieczny? Poza tym odwaga zdecydowanie wzrasta, kiedy człowiek nie jest sam.

- Tam stał - John wskazuje miejsce pomiędzy dwoma pozbawionymi liści drzewami. Jednak znajdujemy tam tylko trochę śladów w topniejącym śniegu, a żaden z nas nie jest tropicielem, żeby rozpoznać, jak dawno je zostawiono lub choćby dokąd prowadzą, gdyż szybko nikną w krzakach. Spoglądamy na siebie. John potrząsa głową i wrusza ramionami. Jesteśmy na cudzym terenie i nie możemy zbyt długo tu przebywać.

- Co sądzisz? - pytam.

- Myślę, że go zgubiliśmy.

- Też mi się tak wydaje.

- Ale skoro tak łatwo się przestraszył, to nie może być groźny.

- Też tak sądzę. Niemniej jednak chciałbym wiedzieć, kto to był. - Jednak nie chcę tu dłużej zostawać. Sąsiad może zobaczyć dwóch czarnych mężczyzn skradających się wśród drzew i źle to zinterpretuje, a ja już mam za sobą spotkanie ze stróżami porządku przewidziane na to dziesięciolecie.

- Nie sądzisz, że to był ten Foreman?

- To ty go widziałeś. Ja nie.

John marszczy brwi. Jest ze mnie niezadowolony. - Sądzę, że nie powiedziałeś mi wszystkiego, Misha.

- Nie wiem, co twoim zdaniem opuściłem.

Jego głos brzmi łagodniej niż mój. - Nie możesz urządzać sobie gierki z przyjaciółmi.

- Nie robię tego - warczę. John wrusza ramionami. Mamy już wracać do mnie, kiedy słyszymy warkot ruszającego samochodu dobiegający z pobliskiej uliczki biegnącej równoległe do Hobby Street. Pędzimy po rozmięklej ziemi i docieramy do chodnika akurat, gdy porsche w kolorze ultramariny znika na horyzoncie. Jednak jesteśmy w bogatej dzielnicy i taki samochód może należeć do wielu osób.

Co prawda kierowca był czarny, a my jesteśmy jedyną czarną rodziną na Hobby Hill.

- Uważam, że powinienes gdzieś zadzwonić - stwierdza John.

- Wiesz, jak to głupio zabrzmiało - wzdycham, myśląc o ostrzeżeniach

Meadows na temat zagrożenia ewentualnej nominacji mojej żony. Jednak wiem, że w poniedziałek i tak zadzwonię, po prostu dla świętego spokoju, a Cassie Meadows, tam w Waszyngtonie, przewróci oczami i wpisze kolejną notatkę do akt na temat spisków.

Jednak wiem o czymś jeszcze, o czym nie wspominam swojemu przyjacielowi, gdy brniemy z powrotem po pokrytym śniegiem i opadłymi liśćmi wzgórzu. W nieskładnej opowieści Mariah kryła się cenna perełka rzeczywistej informacji, nad którą moja siostra tylko się prześlizgnęła, gdyż interesuje ją wyłącznie dramatyczny spisek, który doprowadził do śmierci naszego ojca.

Ja natomiast dzięki niej się dowiedziałem, kto czytał zaginiony raport.

ROZDZIAŁ 32

Częściowa odpowiedź

(I)

Czysta, lodowata woda podplywa do moich adidasów, kiedy siedzę na piasku, rękami obejmując kolana i przez mgiełkę unoszącą się nad Memsha Bight wpatruję się w Vineyard Sound. Nisko zawieszone popołudniowe słońce rzuca złote trójkąty na fale przede mną. Po lewej stronie mam długi falochron zbudowany z wielkich głazów, na którym latem chętnie przesiadują wędkarze. Po prawej widzę półwysep wbijający się daleko w morze, a na jego końcu kilka domów, z tej odległości solidnych, obszernych i zacisznych. Ich gonty przybrały z czasem ten piękny szarobrązowy kolor charakterystyczny dla Nowej Anglii. Na horyzoncie podskakuje na falach stadko rybackich łodzi, wiozących dzisiejszy połów. A gdzieś tam znajduje się miejsce, w którym Colin Scott, znany mi jako agent McDermott, wypadł za burtę.

Pytanie tylko, kto go wypchnął, gdyż już nie wierzę, że to był wypadek. Jeśli kiedykolwiek w to wierzyłem.

Po pościgu za Foremanem podjąłem pewną decyzję. Kiedy Brownowie wyjechali, podniosłem słuchawkę i przebiłem się przez Cassie Meadows oraz rozmaite sekretarki do samego Mallory'ego Corcorana. Opowiedziałem mu o książce na temat szachów, którą mi zabrano, a potem zwrócono, i o pionku dostarczonym do bezpłatnej jadłodajni. Na koniec zadałem mu bezpośrednie pytanie, czy cokolwiek mu wiadomo o tych sprawach.

Odpowiedział mi na to typowo prawniczym pytaniem: *Dlaczego mówisz „tych sprawach”?* *Chcesz powiedzieć, że są one jakoś powiążane?* Czyli wcale mi nie odpowiedział.

Przekonałem się w ten sposób, że nie mogę mu już ufać. Jakie to dziwne. Zaufałem nieznanemu głosowi o drugiej pięćdziesiąt jeden nad ranem, gdy zapewniał mnie, że nie grozi nam niebezpieczeństwo, a nie potrafię zaufać partnerowi ojca, który siedział za nim podczas przesłuchań w Senacie, a potem dał mu pracę i pokaźne wynagrodzenie.

Zatem, po co znowu tu przyjechałem? Sam dokładnie nie wiem, a moje podróże poważnie nadwerężają domowy budżet. Z powodu troski o pieniądze nie odmówiłem stanowczo człowiekowi z agencji ojca, kiedy zadzwonił znacznie wcześniej niż zapowiadał. Jednak nie wyraziłem również zgody i

pozwoiliem mu roztoczyć czarowną wizję zarobienia niemal stu tysięcy dolarów za trzy dni pracy. Plus podróże lotnicze pierwszą klasą, dodał.

Powiedziałem mu, że się zastanowię.

Wstaję teraz z wysiłkiem i podchodzę bliżej fal, marząc o wspaniałym dotyku zimnej mgiełki na twarzy. Jestem na tej kamienistej plaży już od ponad godziny, spacerując, siedząc, modląc się, rozmyślając, rzucając kamykami, lecz przede wszystkim przeglądając w myślach wszystkie znane mi fakty. Zauważyłem parę osób przechadzających się po plaży, pewnie stałych mieszkańców, ale trzymam się od nich z dala. Muszę pomyśleć i zebrać całą odwagę.

Rzecz w tym, że nie jestem pewien, po co wróciłem na Vineyard. Wiem tylko, że obudziłem się w czwartek rano z silnym przekonaniem, że muszę tu przyjechać, choćby na jeden dzień. Kimmer była już na nogach i pracowała nad sprawą, siedząc przy kuchennym stole ubrana tylko w długą koszulkę. Stałem w sklepionym łukowo wejściu i przyglądałem się, jak jej silne ciało porusza się pod cienką białą bawełną. Pozwoiliem sobie na dwadzieścia sekund fantazji, po czym podkradłem się do niej za plecami i pocałowałem ją w tył głowy. Kimmer poprawiła okulary na nosie i uśmiechnęła się, ale nie podsunęła mi ust do pocałunku. Usiadłem obok niej, wziąłem ją za rękę i oznajmiłem, że muszę jechać. Nie wprawilo jej to w smutek ani w złość. Nawet się nie sprzeczała. Pokiwała tylko poważnie głową i spytała, kiedy.

Dzisiaj, odparłem. Dziś po południu.

- Stracisz Ogólnomiejskie Lamentacje - zauważyła z kamiennym wyrazem twarzy. Obydwoje nazywamy tak nabożeństwo ekumeniczne odprawiane w pierwszą niedzielę stycznia, podczas którego gromadzą się najrozmaitsi przywódcy społeczności Elm Harbor i modlą się o pojednanie ponad podziałami wynikającymi z rasy, płci, klasy, religii, orientacji seksualnej, narodowości, języka używanego w domu, niepełnosprawności, poziomu wykształcenia, stanu cywilnego, zamieszkiwanej dzielnicy i co tam jeszcze uda się wymyślić. Ostatnio organizatorzy dorzucili „przynależność instytucjonalną” - najwyraźniej w związku z szeroko rozpowszechnionym w społeczności przekonaniem, że typki z uniwersytetu patrzą na wszystkich innych z góry. Kimmer chodzi na tę uroczystość, gdyż są na niej obecni wszyscy, którzy się liczą w mieście, w tym spora część wykładowców oraz kilkoro jej partnerów z Newhall & Vann; innymi słowy, chodzi w celu nawiązywania pożytecznych kontaktów. Ja chodzę z nią do towarzystwa.

- Rzeczywiście...

Jednak Kimmer mnie uciszyła. Podniosła się i rozłożyła ramiona, a ja początkowo pomyślałem z radością, że chce mnie objąć. Jednak potem zamknęła oczy, obróciła dłonie spodem do mnie i, rozkładając szeroko palce i odchylając głowę do tyłu, zaintonowała uroczyste: - Ktokolwiek lub Cokol-

wiek, miał lub miało udział w naszym stworzeniu, niechaj... - Było to zadziwiająco wierne odtworzenie zeszlenczonej inwokacji (obejmującej wszystkie możliwości, lecz niewątpliwie świętokradczej) odśpiewanej przez nową uniwersytecką kapelan, która przybyła do nas z college'u na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie jej wystudiowana ostrożność w kwestii istnienia Boga została chyba lepiej przyjęta niż u nas.

Potem wyraz powagi zniknął z twarzy mojej żony i zaczęła chichotać. Ja też się roześmiałem i przez krótką chwilę jakby powróciły dawne czasy. Kimmer podeszła i naprawdę się do mnie przytuliła. Pocałowała mnie w kącik ust i powiedziała, że rozumie, co mną kieruje, więc jeśli muszę jechać, to mam jechać. Zazwyczaj, kiedy moja żona całuje mnie miękko rozchyłonymi ustami, trochę głupiej, ale tym razem się najeżyłem, gdyż przemawiała do mnie tak słodko, jak się mówi do umysłowo chorego. Najwyraźniej wierzy tylko w to, że kieruje mną przymus, ale nie w moją interpretację faktów.

Poszedłem na górę się spakować, a ona dalej chichotała w kuchni.

Kiedy powiedziałem Bentleyowi, że tatuś na dzień lub dwa wyjeżdża, po kiwał ponuro głową i udzielił mi tylko jednej rady: - Aja ty.

Staram się, synu.

(II)

Czas w końcu ruszać. Idę piaszczystą ulicą prowadzącą z plaży do cichej wioski Menemsha, zaglądając na tyły wszystkich zamkniętych na zimę restauracji i sklepów rybnych, aż w końcu natrafiam na Marinę Manny'ego, która okazuje się po prostu zniszczoną drewnianą chatą, niegdyś pomalowaną na biało, położoną o kilkadziesiąt kroków od najbliższego pomostu. Dwa małe okna są zaplombowane. Zapadający się dach wykonano z blachy cynowej, a cały budynek wydaje się akurat na tyle duży, żeby można było się w nim obrócić. Nie biegna do niego przewody elektryczne ani telefoniczne. Niemniej jednak jest to miejsce, w którym, według „Gazette”, Colin Scott i jego dwaj przyjaciele wypożyczyli łódź. Zastanawiam się, dlaczego właśnie tutaj. Trudno odróżnić tę szopę od wielu innych rozrzuconych po porcie, a każda z nich prezentuje obecnie biało-czarny, najwyraźniej ręcznie namalowany napis: POZA SEZONEM ZAMKNIĘTE.

Może wybrali ją na chybił trafił, ale jakoś nie potrafię uwierzyć, żeby Colin Scott zdawał się na przypadek.

Pukam, wprawiając w drżenie całą budowlę. Ciągnę za staromodną kłódkę, po czym obchodzę chatę dookoła dwa razy - raz zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a raz przeciwnie. Jednocześnie próbuję coś dojrzeć przez brudne okno. W końcu odsuwam się nieco, opieram dłonie w rękawiczkach

na biodrach i zastanawiam się, czy przyjeżdżając tu, miałem właściwie jakiś plan. Co ja sobie wyobrażałem - że Manny osobiście mnie tu powita z uśmiechem ulgi na ustach? *Tak, czekam tu przez cały czas na kogoś, kto zapyta mnie o mężczyznę ze znamieniem na dłoni!* Oczywiście, że go nie ma, ale skoro wypożyczalnia jest zamknięta poza sezonem, to w jaki sposób Scott i jego przyjaciele wypożyczyli łódź? Obracam się niepewnie wokół własnej osi, usiłując wymyślić, co tu dalej począć, i wówczas dostrzegam białego mężczyznę około dwudziestki, nieogolonego, w starych spodniach khaki i grubym swetrze, który obserwuje mnie ze ścieżki biegnącej pomiędzy szopą a ulicą. Ma ze sobą mały plecak. Nie wiem, od jak dawna tam stoi, i przez chwilę odczuwam skryty lęk przed nieuzasadnionym aresztowaniem, który każdy czarny Amerykanin pielęgnuje w głębi duszy, szczególnie jeśli omal nie został niesłusznie aresztowany. Ciekawe, czy widział, jak ciągnę za kłódkę?

- Nikogo tam nie ma - mówi do mnie usłużnie, pokazując w uśmiechu zepsute zęby. Sądząc po jego wymowie, może być równie dobrze z Maine, jak z Cape Cod.

- Gdzie jest Manny? - pytam.

- Wyjechał.

- Kiedy wróci?

- Och, w kwietniu, maju. - Zaczyna się oddalać.

- Zaczekaj! - krzyczę, ruszając za nim. - Proszę chwilę zaczekać.

Obraca się powoli i spogląda na mnie. Mierzy wzrokiem mój ubiór i tym razem na jego twarzy nie widać uśmiechu. Jego ciemnozielony golf wygląda jakby ktoś nosił go już przed nim, a adidas prawie się rozpadają. Ja mam na sobie kurtkę z małym logo Polo podbitą kożuszką i markowe dżinsy. Nagle czuję się zupełnie nie na miejscu i nie w swoim czasie, jak czarny kapitalista pokrzykujący na białą klasę pracującą. Wszystko jest odwrócone do góry nogami, jakby w okrutnej historii konfliktów rasowych naszego narodu dokonana się zamiana ról. Spojrzenie młodego mężczyzny jest pełne pogardy. Nieokreślonego koloru włosy ma ściągnięte do tyłu w brudną kępkę, a brud pod paznokciami ma być świadectwem, że fizycznie pracuje na swoje utrzymanie. Irytuje mnie jego spojrzenie. Zapracowałem na wszystko, co posiadam, nie wzbogaciłem się na jego krzywdzie, więc ten facet nie ma prawa mną pogardzać - jednak nie potrafię wymyślić, co mógłbym powiedzieć na swoją obronę.

- Co? - pyta mnie w końcu.

- Jak dawno Manny wyjechał?

- Zawsze wyjeżdża o tej porze roku. - Jest to wymijająca odpowiedź i chce, żebym się tego domyślił.

- Proszę posłuchać. Przepraszam. - Nie bardzo wiem, za co przepraszam, ale ten zwrot wydaje mi się właściwy. - Czy to nie tutaj ten człowiek,

który utonął w listopadzie, wypożyczył swoją łódź?

Nie spieszy się z odpowiedzią.

- Jest pan reporterem?

- Nie.

- Gliną?

- Nie. - Staram się znaleźć odpowiednie słowa. Jankeśka rezerwa zawsze doprowadzała mnie do szału, ale ten człowiek jest wprost śmieszny. - Chciałem porozmawiać z Mannym, bo widziałem tę historię w gazecie i myśle... myśle, że mogłem znać tego człowieka, co utonął.

- Mógłby pan do niego zadzwonić.

- Ma pan jego numer? - pytam z nadzieją.

- Dlaczego miałbym znać numer pana znajomego?

No, więc wyszedłem na wiejskiego głupka. Sądziłem, że on myśli o Mannym. Przejeżdża koło nas półciężarówka z jakimś morskim sprzętem z tyłu i młody człowiek zręcznie odskakuje, żeby ją przepuścić. Jednak dostrzegam na jego ogorzalej twarzy cień uśmiechu i uświadamiam sobie, że żartuje ze mnie.

Troszeczkę.

- Proszę posłuchać, przepraszam. Człowiek, który utonął... nie znałem go zbyt dobrze. Po prostu załatwialiśmy wspólnie pewne sprawy. Zależy mi tylko, żeby się przekonać, czy to ten sam facet, i dlatego chciałbym skontaktować się z Mannym.

Mój rozmówca drapie się po ręce, po czym powtarza to, od czego zaczął: - Manny wyjechał.

- Wyjechał? Ma pan na myśli z wyspy?

- Chyba na Florydę.

- Wie pan, dokąd na Florydzie?

- Nie.

Przez kilka chwil obaj wsłuchujemy się w krzyki mew.

- Czy ktoś w okolicy może wiedzieć, dokąd wyjechał?

- Trzeba ich zapytać, jak sądzę.

- A kogo powinienem zapytać?

- Nie wiem.

Przypomina mi to wrywanie zęba... pitbullowi... bez znieczulenia.

Wreszcie jednak udaje mi się skojarzyć jego rezerwę z pogardą, przekonaniem o mojej zamożności i faktem, że jeszcze nie odszedł. Odgaduję w końcu, na co on czeka. Dlaczego nie? Ja też nie dzielę się swoją wiedzą za darmo. Kiedy sięgam do kurtki po portfel i sprawdzam, ile mam pieniędzy, czuję, że jego zainteresowanie szybko wzrasta. Znajduję niewiele ponad sto dolarów w gotówce. Wyciągam trzy dwudziestki i zastanawiam się, jak to wyjaśnię Kimmer, która ostatnio stała się niezwykle oszczędna, gdyż usiłuje odłożyć kwotę niezbędną, by wymienić swoje luksusowe BMW M5 na jesz-

cze bardziej luksusowego mercedesa SL600, bardziej odpowiadającego jej pozycji.

- Proszę posłuchać - mówię, machając banknotami, tak żeby mógł się im przyjrzeć. - To dla mnie bardzo ważne.

- Pewno tak. - Natychmiast zabiera pieniądze. Nie sprawia wrażenia obrażonego, czego się początkowo obawiałem. - Jest pan prawnikiem, tak?

- Coś w tym rodzaju.

- Tak myślałem. - No, ale w końcu jest po mojej stronie. Banknoty zniknęły, choć nie widziałem, by wkładał rękę do kieszeni.

- Kiedy Manny wyjechał? - pytam.

- Trzy tygodnie temu. Może cztery. Zaraz po tej całej awanturze.

- I jest pan pewien, że pojechał na Florydę?

- Tak powiedział.

Czeka. Najwyraźniej spodziewa się, że zadam określone pytanie. Wziął tak szybko pieniądze, gdyż zna wartość tego, co sprzedaje. Spoglądam na szopę Manny'ego i inne stojące wzdłuż brzegu - wszystkie zamknięte, z łodziami przykrytymi brezentem. Kilka mew dziobie piasek w poszukiwaniu śniadania.

- Czy zawsze wyjeżdża na Florydę o tej porze roku? - pytam, bo nic innego nie przychodzi mi na myśl.

- Nie wiem. Chyba nie.

To jednak nie było właściwe pytanie.

- Czy widział pan tych ludzi, którzy wynajęli łódź?

- Obawiam się, że nie.

No, cóż, to również nie to. Znowu leniwie wędruję wzrokiem po chacie Manny'ego. Może się mylę. Może on nie ma żadnych... Chwileczkę.

... wszystkie zamknięte... Mam.

- Proszę posłuchać, czy pięć tygodni temu Manny miał zamknięte? Wtedy, gdy tamten człowiek utonął?

- Tak.

- Chodzi mi o to, czy było zamknięte, kiedy ten, który umarł, i jego koledzy wypożyczali łódź?

- Tak. - Widzę cię uśmiechu. Dotarliśmy wreszcie tam, gdzie mój nowy przyjaciel spodziewał się dotrzeć od momentu, gdy zobaczył, że zaglądam w okno szopy Manny'ego.

- Zatem, co się stało? Otworzył wypożyczalnię specjalnie dla nich?

- Z tego, co słyszałem, zapłacili mu kupę pieniędzy. Podjechali do jego domu - o, tam trzeba jechać - około południa. Powiedzieli mu, że potrzebują jednej z jego łodzi i nieźle mu zapłacą, jeśli specjalnie dla nich otworzy. No, więc otworzył.

- Dlaczego pojechali do jego domu?

- Bo wypożyczalnia była zamknięta. Och, ci mieszkańcy Vineyard!

- Nie, chodzi mi o to, skąd wiedzieli, gdzie mieszka?
- A. Z tego, co słyszałem, jeden z tych faciów, co wypożyczyli łódź, przyjeżdża tu co lato i wynajmuje właśnie od Manny'ego.

No, to wreszcie coś nowego.

- Czy wie pan, który?
- Jak słyszałem, to był ten wysoki facio, taki więcej jak pan.
- Jak ja?
- Pewno, jak pan. - Teraz już uśmiecha się szeroko. - Czarny facio.

(III)

Podróż samochodem z Menemsha do Oak Bluffs jest wyjątkowo długa i raczej nudna, nawet w pełni sezonu. Przez całe mile po obu stronach samochodu miga tylko gęstwina drzew, rozdzielona co jakiś czas nieutwardzoną drogą, przy której widać zniszczoną skrzynkę na listy i olśniewająco nowy znak WSTEP WZBRONIONY. Późną jesienią drzewa w większości tracą liście, widoki stają się bardziej brązowe niż zielone, a sama podróż jeszcze bardziej ponura i samotna. O tej porze roku można dostrzec wiele spośród domów normalnie ukrytych wśród lasów, ale stoją opustoszałe. Zamknięte okiennice stanowią wyraźny sygnał dla wszelkich włamywaczy i wandalii, jednak domy bronią się nowoczesnymi systemami alarmowymi, których uruchomienie natychmiast stawia na nogi tutejsze niewielkie, lecz skuteczne siły policyjne.

Co prawda, nasz alarm nie obronił Vinerd Howse przed wtargnięciem pana Scotta.

Alarm mojego ojca, poprawiam się w myślach, przynajmniej w owym czasie, bo przecież Colin Scott wszedł tam, zanim przejeżdżaliśmy z Kimmer dom na własność.

Chwileczkę.

Alarm ojca.

Znowu zawiązuję mały supełek na swojej wymyślonej chusteczce i czuję, że jestem bardzo blisko ważnej wskazówki, której nigdy nie odnajdę, jeśli będę jej szukał. Wiem natomiast, że może niespodziewanie pojawić się w moich myślach, jeżeli tylko zajmę się czymś innym.

Zatem uważnie przyglądam się otaczającej mnie scenerii, chociaż nie jest specjalnie malownicza. Niebo przybrało beznadziejny odcień szarości. Nagie drzewa migają za szybami samochodu jak armia szkieletów maszerujących w przyspieszonym tempie. No, a Meadows błędnie mnie poinformowała - albo kłamała, albo ją okłamano. Twierdziła, że towarzysze Scotta byli biali. Mój nowy kolega, który nic nie zyskiwał na zmyślaniu, powiedział, że jeden z nich był czarny. Widzę w wyobraźni migawki ukazujące ciąg zda-

rzeń: tajemnicza sprzeczka pomiędzy mężczyzną, który nie nazywał się McDermott, i tym, którego nazwisko prawdopodobnie nie brzmiało Foreman; bójka w łodzi; trzeci mężczyzna - kimkolwiek on był - bierze stronę Foremana i Scott wylatuje za burtę. A sprzeczka na jaki temat mogłaby prowadzić do morderstwa?

Oczywiście, o *ustalenia*.

Coś, co mój ojciec posiadał lub zorganizował, przstraszyło kogoś na tyle, że będzie gotów zabić...

Nie, nie, nie, to już przesada. Zaczynam myśleć jak Mariah. Poza tym, nieznajomy, który dzwonił w nocy, powiedział, że moja rodzina i ja jesteśmy bezpieczni.

Może biedny Colin Scott nie otrzymał takiej gwarancji.

Z drugiej strony, mój ojciec był wyraźnie czymś zdenerwowany. Postarał się o broń, zatrudnił instruktora i brał lekcje strzelania.

Potrząsam głową, aby pozbyć się myśli o tym, jak samotny jest człowiek zimą na North Road. Wyprzedzam kilku pełnych wyjątkowego samozaparcia rowerzystów w kolorowych swetrach i dwie zahartowane kobiety na koniach, mijają mnie jeden czy dwa samochody zmierzające w przeciwnym kierunku, lecz zasadniczo mam całą szosę tylko dla siebie.

Do czasu.

Widzę w lusterku wstecznym, jak wąską drogą zbliża się do mnie błyskawicznie jeden z tych wielkich, sportowo-terenowych samochodów. Jest ciemnoniebieski z przyciemnionymi szybami. Kiedy z rykiem podjeżdża pod mój zderzak, widzę, że to Chevrolet suburban. Widziałem chyba ten sam samochód w Menemsha. A może nie. Trzyma się denerwująco blisko. Nie znoszę, kiedy ktoś mi siedzi na zderzaku, ale jest tu zbyt wąsko, żeby mógł mnie wyprzedzić, więc nic na to nie poradzę. Przyspieszam, osiągając niemal sto kilometrów na godzinę na wijącej się drodze, ale kierowca chevroleta nadal się mnie trzyma. Dla odmiany zwalniam, a wówczas słyszę ponaglający klakson i widzę mrugające światła.

- Co według ciebie mam zrobić? - przemawiam do natręta, jakby mógł mnie usłyszeć, co często robimy, choć całe szczęście, że adresaci naszych uwag nas nie słyszą.

Postanawiam zjechać z drogi i pozwolić temu wariatowi, żeby mnie wyprzedził. Problem w tym, że nie ma tu pobocza i muszę czekać, aż pojawi się jakaś boczna droga. Zwalniam, gdyż nie chcę przegapić ewentualnego skrzyżowania.

Chevrolet znów błyska światłami, ale nie chce się odsunąć od mojego zderzaka.

Z niewyjaśnionych powodów mój gniew zaczyna zmieniać się w lęk, chociaż byłbym bardziej przestraszony, gdyby ścigał mnie zielony sedan. Być może stałem się przewrażliwiony po napaści, którą przeżyłem.

Po prawej stronie drogi dostrzegam kilka dużych stawów, co oznacza, że jestem w West Tisbury, gdzie latem odbywają się targi rolnicze. To tutaj Abby zdobywała swoje nagrody miliony lat temu, kiedy wszyscy jeszcze żyli. Pod wpływem wspomnień o siostrze zaczynam sobie wyobrażać, jak nasze samochody się zderzają i stają w płomieniach, co budzi we mnie gwałtowne pragnienie pozbycia się wreszcie swojego ogona. Próbuję sobie przypomnieć topografię wyspy. O tej porze roku większość samochodów kieruje się na lewo, do Vineyard Haven. Tam też powinien pojechać Chevrolet, o ile mnie nie śledzi. Muszę to sprawdzić. Niedługo dojedziemy do skrzyżowania, gdzie po ostrym skręcie w prawo znajdę się na South Road. Mogę nią dojechać do Edgartown Road, a potem po skręceniu w lewo dotrzeć do lotniska. Edgartown należy do raczej zatłoczonych części wyspy, a w tej chwili tłumy ludzi to właśnie to, o czym marzę.

Widzę przed sobą skrzyżowanie. Przyspieszam, włączam lewy migacz i dosłownie w ostatniej chwili skręcam w prawo w South Road. Tyłem samochodu zrzucam, przednie opony piszczą w proteście, ale w końcu odzyskuję kontrolę nad swoją małą toyotą.

Potężny Chevrolet bez najmniejszego trudu naśladuje mój manewr.

W chwili niemądrego lęku widzę w myślach okaleczone ciało Freemana Bishopa, a potem Colina Scotta przerzucanego przez burtę. Później jednak przypominam sobie, że jestem przecież na Vineyard, na litość boską, gdzie od trzydziestu lat spędzam każde lato. Może ten potwór za mną jest prowadzony po prostu przez złośliwego kierowcę, a nie... No, powiedzmy, nie jest to ktoś, kogo się obawiam.

Dwie minuty później, nadal z chevroletem na ogonie, przemykam koło kilku sklepów i domów stanowiących centrum West Tisbury, ale ulice są zupełnie opustoszałe. Słońce przesuwają się coraz niżej, drzewa rzucają długie, niewesołe cienie i puste miasto wygląda jak dekoracja filmowa. Skręcam w lewo w Edgartown Road, a mój prześladowca jedzie o kilka długości samochodu za mną.

Po chwili drzewa po obu stronach znów pochodzą bliżej szosy. Nagle robi się ciemniej; być może zbiera się na burzę. Chevrolet nadal siedzi mi na zderzaku. Nie wiem, jak daleko stąd do lotniska. Pięć, sześć kilometrów. Lotnisko na Martha's Vineyard jest niewielkie, ale muszą tam być ludzie, a tego mi właśnie potrzeba.

Zatem moim nowym celem jest lotnisko.

Jednak nie udaje mi się tam dotrzeć.

Kiedy wjeżdżam na niewielkie wzniesienie, suburban jest może o pół metra za zderzakiem mojej camry.

Dalej droga stromo opada ku zagłębieniu terenu, tak że jesteśmy przez chwilę niewidoczni z obu kierunków i wówczas irytacja popycha mnie do błędnej decyzji. Chcąc udowodnić, że nie dam się zastraszyć - no, i żeby nie

wypaść z drogi, kiedy zjadę do podnóża pagórka - zwalniam jeszcze bardziej, niemal do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Wówczas uderza we mnie Chevrolet.

Zderzenie nie jest silne, ale wystarczające, by szyja uderzyła o oparcie, a kiedy głowa odskakuje mi do przodu, przygryzam sobie język.

Odruchowo naciskam hamulec, a wtedy suburban uderza w mój samochód ponownie, tym razem pod pewnym kątem, tak że tył zaczyna się obracać, a przednie koła ślizgać. Wygląda to tak, jakby kierowca drugiego samochodu chciał mnie zepchnąć z drogi do lasu.

Pamiętam o tym, by skręcać kierownicę w kierunku poślizgu, dzięki czemu unikam obrócenia się wokół własnej osi, ale i tak jadę jeszcze jakieś dziesięć metrów w kierunku dna dolinki, zanim udaje mi się odzyskać panowanie nad samochodem.

Chevrolet ześlizguje się ze wzgórza tuż za mną. Zatrzymujemy się jednocześnie, na samym środku szosy.

Przez chwilę sprawdzam, czy wszystkie części ciała mam nadal sprawne. Czuję smak krwi w ustach. Szyja pulsuje mi bólem. Mój strach zniknął. Teraz jestem wściekły, widzę wokół siebie wyłącznie czerwień, ale zmuszam się do opanowania gniewu, odzyskania słynnego chłodu Garlandów. Grzebię w schowku na rękawiczki, mówiąc sobie w myślach: *Uderzenie w tył samochodu, to zawsze вина kierowcy jadącego za tobą; i bardzo dobrze, bo wymiana zderzaka jest droga, szczególnie przy zagranicznych markach, i gdzie, u licha, jest ten dowód ubezpieczenia!*

Tamten kierowca zdążył już wysiąść i ogląda teraz zniszczenia naszych zderzaków. Otwieram drzwiczki i ruszam w jego kierunku, przypominając sobie, że muszę zachować spokój, a wówczas stwierdzam, że mam do czynienia z kobietą. Nawet nie raczy się obrócić w moją stronę, więc widzę tylko plecy bardzo wysokiej kobiety w żółtym kaszmirowym płaszczu. Zauważam również, że należy do ciemniejszej nacji, co z jakichś dziwaczkich psychologicznych powodów mnie uspokaja. Semiotyka, który we mnie drzemie, zaciekawia ta symbolika, ale natychmiast go uciszam.

- Przepraszam - mówię, znacznie ciszej niż zamierzałem, gdyż nigdy nie potrafiłem, zachowywać się ostro wobec kobiet. - Halo - dodaję, kiedy nie zwraca na mnie uwagi. A potem zauważam znajomą strzechę obrzydliwie płaskich, brązowych loków.

Kierowca suburbana podnosi się znad zderzaka, obraca powoli w moim kierunku i uśmiecha, prezentując wszystkie zęby, gdy ja nadal wpatruję się w nią zdumionym wzrokiem.

- Witaj, przystojniaku - odzywa się kobieta z toru wrotkowego. - Musimy przestać spotykać się w taki sposób.

ROZDZIAŁ 33

Przydatna pogawędka

(I)

Okazuje się, że kobieta z toru wrotkowego ma imię - Maxine - ale nadal nie ma nazwiska, a w każdym razie nie chce mi go zdradzić. Ponadto zarezerwowała dla nas stolik na lunch w przytulnej gospodzie, o której nigdy nie słyszałem, położonej przy jednej z bocznych uliczek w Vineyard Haven. Nie widzę powodu, żeby odrzucić jej zaproszenie, tym bardziej, że sam nie wpadłem na taki pomysł. Ruszamy zatem razem - Maxine przodem, prowadząc chevroleta, który nie nosi żadnych śladów naszego zderzenia, a ja za nią toytotą z paskudnie pogiętym zderzakiem.

Vineyard Haven jest powszechnie używaną, choć nieoficjalną nazwą miasta Tisbury... a może na odwrót?... Od trzydziestu lat rok w rok przyjeżdżam na wyspę, a nie potrafię tego zapamiętać. Określenie *malownicze* jest często nadużywane, szczególnie w odniesieniu do nadmorskich miasteczek w Nowej Anglii, ale trudno *znaleźć* trafniejsze słowo, patrząc na wąskie, starannie poprzepłatane uliczki Vineyard Haven, obramowane małymi drewnianymi domkami, sklepikami i kościołami. Miasto wygląda jak dekoracje na planie filmowym, tyle że żaden reżyser nie odważyłby się stworzyć filmowego miasteczka tak ożywionego i kipiącego energią, tak pełnego wspaniałych, bujnych drzew i z cudownym widokiem na ocean z... z niemal każdego miejsca. Zazwyczaj widok Tisbury wywołuje u mnie uśmiech, gdyż jest ono tak bezwstydnie doskonałe. Jednak dzisiaj, gdy ciągnę zderzak samochodu po Main Street, całkowicie zaprzatają mnie rozważania, co właściwie się dzieje.

Zakładam, że wkrótce się dowiem.

- Przykro mi z powodu twojego samochodu - zapewnia mnie Maxine, gdy siadamy. W sali znajduje się tylko dwanaście stolików i wszystkie mają widok na ponury dziedziniec kościelny, dachy domów niżej na wzgórzu i błękitną wodę za nimi. Dziesięć stolików jest pustych.

- Nie tak przykro jak mnie.

- Ojej, przystojniaku, rozchmurz się.

Uśmiecha się do mnie tym samym zaraźliwym uśmiechem, który po raz pierwszy ujrzałem na torze wrotkowym w dzień po pogrzebie Sędziego. Ma na sobie brązowy kombinezon i wielobarwny szal, czyli ubiera się równie

niekonwencjonalnie, jak czesze. Stwierdzam, że teraz, kiedy ma już imię, znacznie bardziej ją lubię, choć zapewne okaże się, że w razie potrzeby może posługiwać się wieloma imionami, podobnie jak większość osób, które poznałem po śmierci ojca.

- Przestań mnie tak nazywać - domagam się, broniąc się przed zainteresowaniem, które we mnie budzi.

- Dlaczego? *Jesteś przystojny*. - Chociaż to nieprawda.

- Ponieważ *jestem również żonaty*.

Rozbawiona Maxine wydyma wargi, ale nie komentuje tego, za co jestem jej wdzięczny. Zazwyczaj nie lubię przebywać sam na sam z kobietami, poza swoją żoną, gdyż obawiam się, że ktoś mógłby zobaczyć nas razem i wyciągnąć błędne wnioski. Cenię sobie reputację wiernego małżonka i wyznaję staroświeckie przekonanie, że osoby dorosłe mają obowiązek żyć zgodnie ze swoimi zobowiązaniami. Wpoili mi to obydwój rodzice. Jednak siedząc tu z tajemniczą Maxine, uświadamiam sobie, że wcale mnie to nie martwi, czy ktoś uzna nas za parę.

Oznacza to, że muszę stąpać bardzo ostrożnie.

- Skoro nie mogę nazywać cię przystojniakiem - wzdycha moja towarzyszka - to jak *wolałbyś*, żebym mówiła?

Nie chcę dopuścić do bliskości z tą kobietą. A raczej, moje chęci nie mają znaczenia, ponieważ jestem żonaty. - Cóż, biorąc pod uwagę dzielącą nas różnicę wieku, powinnaś zapewne nazywać mnie profesorem Garlandem lub panem Garlandem.

- Uuu.

- Co?

- Powiedziałam... uuu, profesorze Garland. - Te dołączki w jej policzkach. - Poza tym, nie jest pan *aż o tyle* starszy ode mnie. - Śmieje się.

Ja również nie mogę powstrzymać się od uśmiechu. - Dlaczego za mną jeździsz? - pytam, usiłując trzymać się interesującego mnie tematu.

- Na wypadek, gdyby pan zmienił zdanie w sprawie nauki jazdy na rolkach.

Śmieje się. Ja tym razem nie.

- Przestań, mówię poważnie, Maxine. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

- Wcześniej czy później dojdiesz do tego. - Szeroką, pełną życia twarz ukryła za jadalospisem. - Słyszałam, że mają tu najlepsze ciasteczka krabowe na całej wyspie - dodaje, gdy zbliża się kelner, ale połowa restauracji na Vineyard chwali się tym samym.

Niemniej jednak obydwój zamawiamy ciastka krabowe, obydwój wybieramy do nich ryż, obydwój prosimy o sałatkę z domowym sosem i obydwój ograniczamy się do wody sodowej, którą już pijemy. Nie wiem, kto kogo naśladuje, ale czas z tym skończyć.

- Maxine - pytam, kiedy tylko kelner odszedł - co my tu robimy?

- Jemy obiad.

- Dlaczego?

- Bo musimy porozmawiać, przystojniaku. Przepraszam, przepraszam, to znaczy, profesorze Garland. A właściwie Mishka. A może mogę cię nazywać Talcott? Tal? Czy nie tak masz na imię? Nawiasem mówiąc, czy nikt ci nie uświadomił, że masz zbyt wiele imion? - Znowu się śmieje. Stwierdzam, że niezależnie od tego, ile ona ma imion, przebywanie z nią sprawia mi o wiele za dużą przyjemność.

Trzymam się więc swojego tematu. - Postanowiłaś tak po prostu staranować mój samochód, żebyśmy mogli porozmawiać?

Znowu ten radosny uśmiech. - No, to przyciągnęło twoją uwagę, nieprawdaż? Aha, zanim zapomnę. - Maxine otwiera dużą brązową torebkę i wyciąga kopertę, a ja w międzyczasie zauważam, że w środku znajduje się broń w kaburze. Zamyka torebkę i z uśmiechem rzuca kopertę na stół. Jest gruba jak książka telefoniczna. - Proszę.

- Co to jest? - Nie mam ochoty jej dotykać, jeszcze nie teraz.

- Zniszczyłam ci zderzak, a nie mogę ci podać mojego numeru ubezpieczenia.

Sytuacja ta wydaje mi się tak nierealna, że aż potrząsam głową, po czym podnoszę kopertę i zaglądam do środka. Widzę plik studenckich banknotów. Używanych.

- Ile to jest?

- Jakieś dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. - Jej głos nie brzmi tak nie-
dbale, jakby chciała. - Coś koło tego. Głównie setki. - Znowu ten potny uśmiech. - Wiem, że naprawa zagranicznych samochodów jest droga.

Rzucam pieniądze z powrotem na stół. Dzieje się tu naprawdę coś dziwnego. - Dwadzieścia pięć... tysięcy?

- A co, nie starczy?

- Maxine, mógłbym sprzedać mój samochód za jedną dziesiątą tego.

- Nie potrzebuję twojego samochodu. - Celowo udaje, że mnie nie rozumie. Postukuje kopertą. Niepomalowane paznokcie ma bardzo krótko obcięte. - Ja już mam samochód. Weź pieniądze, kotku.

Potrząsam przecząco głową i nie ruszam koperty.

- Za co naprawdę są te pieniądze?

- Odszkodowanie, przystojniaku. Weź je. - Przechyla głowę na bok. - Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy przyda ci się trochę dodatkowej gotówki.

Najwyraźniej ktoś wie o naszych długach i muszę przyznać, że mnie to irytuje.

- Maxine... czyje to pieniądze?

- Twoje, głuptasie. - Ależ ona ma piękny uśmiech! Z wysiłkiem zachowuję spokój.

- Chodzi mi o to, skąd je wzięłaś.
- Z mojej torebki.
- A jak dostały się do twojej torebki?
- Włożyłam je tam. Myślisz, że pozwalałam byle komu grzebać w swojej torebce?

Milknę na chwilę i przypominam sobie nauki wyniesione z lat praktyki prawniczej. Prowadząc przesłuchanie świadka, starannie formułuj pytania. Na większość z nich powinien móc odpowiedzieć „Tak” lub „Nie”. Dzięki odpowiedziom twierdzącym doprowadź świadka do punktu, w którym chcesz się znaleźć.

- Ktoś dał ci te pieniądze, zgadza się?
- Tak.
- Dał, żebyś przekazała je mnie?
- Może. - Jest rozbawiona, a nie czujna, co nie powinno mnie dziwić, gdyż nie mam możliwości zmusić jej do odpowiedzi.
- Kim jest osoba, która dała ci te pieniądze?
- Nie powiem. - Jednak tym słowom towarzyszy uśmiech, żeby zabrzmiały przyjaźniej.
- Czy to był Jack Ziegler?
- Nie. Przykro mi.

Zastanawiam się przez chwilę, przyglądając się Maxine popijającej wodę Perrier. - Czy osoba, która dała te pieniądze, powiedziała, za co są naprawdę?

- Uhm.
- No, więc za co?
- Za twój samochód. - Wskazuje w stronę okna. - Gdyby coś się z nim stało.

No, dobrze, przyznaję, że nigdy nie byłem dobrym prawnikiem. Może dlatego zająłem się pracą na uniwersytecie.

- Przez cały czas planowałaś zderzenie z moim samochodem?
- Hmm, tak. Prawdopodobnie. No, pewnie mogłam to zrobić trochę delikatniej. - Wzrusza ramionami, co przy jej wroście jest wyraźnie widocznym gestem i być może ma sygnalizować, że w niej w ogóle nie ma nic delikatnego. - Ale znasz pewnie to powiedzenie: Wypadki zbliżają ludzi, prawda? - Tym razem przechyliła głowę na drugą stronę i macha rękami. Oczywiście jest to celowo sztuczna kokieteria, ale nie pozostaje bez efektu.
- Pewnie, zawsze w taki sposób zawieram znajomości. Taranuję ludziom samochody i zapraszam ich na lunch.
- Jednak podziałało.

W porządku, ale nadal jestem żonatym mężczyzną, tajemnice w dalszym ciągu się nie wyjaśniły i starczy już tego flirtowania. Pochyliłam się nad stołem. - Maxine, to są wygłupy i dobrze o tym wiesz. Tymczasem ja muszę

wiedzieć, co się dzieje. Muszę wiedzieć, kim i *czym* jesteś.

- Czym jestem? - Widzę błysk w jej oczach. - A jak sądzisz, czym jestem?

- Jesteś kimś, kto... kto stale pojawia się znienacka. Zupełnie, jakbyś wcześniej ode mnie wiedziała, dokąd się udam. - Wkładam trochę sałatki do ust, żuję, połykam. - Na przykład, czekałaś na mnie na torze wrotkowym.

- Może.

- No, przecież byłaś tam pierwsza. Ciekawi mnie, skąd wiedziałaś, że się tam wybieram. - Nagle nachodzi mnie straszna myśl. - Założyłaś podsłuch w domu mojego ojca?

Maxine odpowiada zupełnie spokojnie. - Może wcale nie byłam na torze przed tobą. Może tylko szybciej się przebrałam. - Odgryza kawałekzek bagietki. - Zastanów się. Ile czasu byłeś na torze, zanim mnie zobaczyłeś? Dwadzieścia minut? Pół godziny? Mnóstwo czasu, żebym po przyjechaniu za tobą wypożyczyła łyżworolki i wtopiła się w tłum.

- Więc mnie śledziłaś.

Ku mojemu zdziwieniu odpowiada szczerze: - Oczywiście. Bardzo łatwo cię śledzić.

Te słowa, nie wiedzieć dlaczego, irytują mnie, ale tylko na chwilę. - Niewątpliwie wiesz coś o tym. Śledziłaś mnie i moją rodzinę w drodze na Vineyard w listopadzie. A potem mnie samego w Waszyngtonie.

- Nienajlepiej mi to wyszło. - Chichocze i tym razem ja też nie mogę powstrzymać uśmiechu. - Zgubiłam cię na Dupont Circle. To była niezła sztuczka z tą taksówką. Muszę się poprawić, bo mogę stracić pracę.

Najwyraźniej wskazuje mi furtkę, i to otwartą tak szeroko, że mogłaby przez nią przejechać ciężarówka. No, dobrze.

- A *na czym* dokładnie polega twoja praca?

Twarz Maxine traci wyraz rozbawienia, ale w oczach nadal widać wyraz czujności i żarliwości. - Na przekonaniu cię - wyjaśnia.

- Przekonaniu mnie do czego?

Przez chwilę milczy i zaczynam rozumieć, że cała ta gra miała nas doprowadzić dokładnie do tego punktu. - Wcześniej czy później odkryjesz, jakie ustalenia poczynił twój ojciec. Moim zadaniem jest przekonanie cię, żebyś to, co odnajdziesz, przekazał nam.

- Co to znaczy *nam*?

- Jesteśmy czymś w rodzaju „dobrych facetów”, to znaczy, nie tych *wspaniałych*... daleko nam do świętych czy czegoś w tym rodzaju, ale jesteśmy lepsi niż inni ludzie, którym mógłbyś to dać.

- No, tak, ale kim jesteście?

- Powiedzmy, że... stroną zainteresowaną.

- Stroną zainteresowaną? Zainteresowaną czym?

Ona jednak nie odpowiada ściśle na moje pytanie: - Cokolwiek zamie-

rasz, nie dawaj tego swojemu wujkowi Jackowi. W jego rękach stanie się to bronią. Będzie niebezpieczne. W naszych zniknie i wszyscy będą szczęśliwi.

(II)

Okazuje się, że Maxine miała rację. Ciasteczka krabowe są wyśmienite, gdyż kucharzowi udało się zachować ich lekką, sprężystą konsystencję, nie pozostawiając rybnego posmaku, który świadczy o zbyt krótkim pieczeniu. Sos ma ostry, lecz nienatrzętny smak, a z boku talerza ułożono długie, żłobkowane trójkąty pieczonych ziemniaków. Kelner zachowuje się uprzejmie i pojawia się, ilekroć go potrzebujemy, tak że nie mamy poczucia, iż stale nad nami stoi, a na dodatek nie odczuwa potrzeby zaznajomienia nas ze swoim imieniem. Mówiąc krótko, jest to bardzo przyjemne miejsce, jakich wiele można znaleźć na Martha's Vineyard, ukrytych przy bocznych uliczkach, z dala od Edgartown i Oak Bluffs. Znane są one zamożnym właścicielom letnich domów znajdujących się w górnej części wyspy, natomiast ukryte przed oczami turystów, a co ważniejsze, autorów przewodników turystycznych.

Podczas jedzenia rozmawiamy z Maxine, o dziwo, o naszym dzieciństwie. Koperta z pieniędzmi zniknęła w jej przepastnej torbie, jakby w wyniku magicznej sztuczki. Maxine nadal odmawia rozwinięcia swojej enigmatycznej odpowiedzi na temat powodów, dla których mnie śledzi, a wszelkie próby wyciągnięcia z niej informacji kwituje serdecznym uśmiechem lub zaraźliwym śmiechem. Mimo wszystko ta rozmowa, w przeciwieństwie do równie bezowocnych zmagania z Colinem Scottem, budzi we mnie głównie poczucie rozbawienia, i może jeszcze czegoś. Czuję się z tą tajemniczą kobietą o wiele za dobrze jak na żonatego mężczyznę, tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę, że uderzyła w mój samochód, żeby mnie sobą zainteresować, usiłowała mnie przekupić, nosi broń w torebce i była na Vineyard kiedy mój drugi prześladowca, Colin Scott, wypadł za burzę.

- Nawet w szkole średniej byłam wyższa niż większość chłopaków - opowiada mi - więc rzadko ktoś się ze mną umawiał, bo większości facetów nie podobają się kobiety wyższe od nich. - Najwyraźniej czeka na komplet, ale postanawiam go nie wygłaszać, toteż kontynuuje swoje opowiadanie.

Okazuje się, że Maxine jest profesorskim dzieckiem. Obydwoje jej rodzice są wykładowcami w starych czarnych college'ach na Południu. Jednak nie chce zdradzić, w których.

- Dlatego byłam w pewnym sensie zadowolona, że dostałam zadanie dotyczące innego naukowca.

- Jestem zadaniem?

- Cóż, nie jesteś przydziałem, Misha.

Znów użyła mojego przydomka. Po chwili zaskakuje mnie pytaniem o jego pochodzenie. Ku własnemu zdumieniu zaczynam jej to wyjaśniać. Nieczęsto przytaczam tę historię. Jednak teraz opowiadam, jak rodzice w swej mądrości nadali mi imię Talcott, po ojcu mojej matki, a uległo ono zmianie dzięki szachom. Ojciec zaczął mnie uczyć gry w szachy podczas jednego z naszych letnich wyjazdów na Vineyard. Usiłował uczyć nas wszystkich, gdyż twierdził, że to rozwinie nasze umysły, lecz moje starsze rodzeństwo nie było tym zainteresowane, być może dlatego, że wkroczyło już w okres buntu. Gdy byłem młodszy, szachy były jedną z nielicznych rzeczy łączących mnie z Sędzią. Prawdę mówiąc, gdy byłem starszy, również, gdyż w większości spraw mieliśmy odmienne zdanie.

Nie pamiętam, ile dokładnie miałem lat, gdy rozpocząłem naukę, ale zapamiętałem zdarzenia, które doprowadziły do zmiany mojego imienia. Grałem akurat w szachy z Addisonem na podniszczonej werandzie Vinerd Howse, gdy z domu wyszedł nasz wujek Derek, wielki komunista, którego ojciec niejako się wyparł podczas swoich przesłuchań w Senacie. Wujek nie tyle wyszedł, co wytoczył się pijackim krokiem, zasłaniając grubymi, poplamionymi tytoniem palcami zażawione oczy przed porannym słońcem. Ojciec nieraz wygłaszał wujkowi kazania na temat jego słabości, nie wiedząc jeszcze, że on sam również będzie musiał zmagać się z alkoholizmem, gdy nadejdą chwile depresji. Tego lata, o którym mowa, wujek Derek stracił już nadzieję na rozwój rewolucyjnego ruchu robotników amerykańskich i był bardzo nieszczęśliwy, co potrafilіśmy zawsze odczytać z niespokojnych spojrzeń jego żony, Thery. W każdym razie owego ranka, chwając się na nogach, zaczął przyglądać się szachownicy. Pomimo różnicy wieku zdecydowanie wygrywałem z Addisonem, gdyż była to jedyna dziedzina, w której zazwyczaj radziłem sobie lepiej od brata. Wujek Derek przyjrzał się nam obu, chuchnął na nas oparami alkoholu, od których zakręciło się nam w głowach, uśmiechnął się nieprzyjemnie i wybełkotał: - No, widzę, że wyrósł z ciebie *Mikhail* Tal. - Litewski szachista Mikhail Tal był wówczas przez bardzo krótki okres mistrzem świata w szachach, a wujek niemal przez całe życie podziwiał wszystko, co radzieckie, budząc zażenowanie mojego ojca. Jednak Addison i ja nie mieliśmy pojęcia o światowych szachach, a już z pewnością nic nie wiedzieliśmy o wielkim Talu. Słyszając jego słowa, spojrzeliśmy na siebie zmieszani, gdyż zawsze trochę się go baliśmy. Ojciec, który uważał go za nieco szalonego, wolałby, żebyśmy wcale nie utrzymywali z nim kontaktów, ale mama, wierząca w więzi rodzinne, stała na to nalegała. - Nie - poprawił się wujek, mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem. - Nie *Mikhail*, tylko *Misha*. Tak Rosjanie mówią na Tala. Ty jesteś jeszcze dzieckiem, więc nazwijmy cię Misha. - Roześmiał się, wydając z siebie obrzydliwy, wilgotny dźwięk, któremu towarzyszyło bulgotanie w klatce piersiowej. Już wtedy był chory, chociaż mimo stale pogarszającego się zdrowia przeżył

jeszcze kilka lat. Powlóczęc nogami, przeszedł na brzeg werandy, gdzie kaszłał przez chwilę bezradnie, wydając z siebie ohydny dla mojego dziecięcego ucha dźwięk. Musiało minąć wiele lat, zanim zrozumiałem, że nic, co prawdziwie ludzkie, nie może być naprawdę brzydkie.

Jeśli chodzi o mnie, to puściłbym nowe imię mimo uszu, lecz Addisonowi, który nie znosił szachów, bardzo się ono spodobało. Jeszcze chętniej mnie tak nazywał, kiedy odkrył, że tego nie znoszę, a wielu jego przyjaciół z zapalem go naśladowało. Nie pozostało mi nic innego niż polubić swój przydomek, tak że kiedy szedłem do college'u, najczęściej sam o sobie myślałem „Misha”.

- Lecz większość osób nadal nazywa cię Tal - zauważa Maxine, kiedy skończyłem. - Imię Misha rezerwujesz dla... swoich bardzo bliskich przyjaciół.

- A ty co, masz moje akta?
- Coś w tym rodzaju.
- Ty i ci twoi dobrzy, choć nie wspaniali, faceci?

Kiwa głową, po czym obydwójce się śmiejemy, lecz nie dlatego, by któreś z nas powiedziało coś szczególnie zabawnego. Po prostu bawi nas ta absurdalna sytuacja.

Podchodzi kelner, by odebrać zamówienia na deser: Pêches Ninon dla pani, lody waniliowe dla pana. Kiwa aprobująco głową na wybór Maxine, marszczy brwi na mój. Moja towarzyszka uśmiecha się konspiracyjnie, jakby chciała powiedzieć: *Rozpoznałam w tobie sztywniaka, ale lubię cię takim, jaki jesteś.* Może jej uśmiech niezupełnie to oznacza, ale i tak się czerwienię.

Rozmawiamy dalej. Ostry przedtem wyraz twarzy Maxine zmienił się teraz na współczujący. Dotarliśmy w jakiś sposób do nocy, kiedy zginęła Abby, i przezywam na nowo tę okropną chwilę, gdy moja elegancka matka trzęsącą się ręką podniosła słuchawkę telefonu w kuchni, wydała z siebie ten straszliwy jęk i bezwładnie oparła się o ścianę. Opowiadam, jak stałem samotnie na korytarzu, zaglądając przez drzwi, i obserwowałem mamę, która zawodziła i uderzała słuchawką o blat, a ja byłem zbyt przerażony, żeby podejść do niej i ją pocieszyć, gdyż Claire Garland, podobnie jak jej mąż, stworzyła wokół siebie pewną emocjonalną barierę. W wieku dorosłym opowiedziałem tę historię jedynie Kimmer oraz, mniej szczegółowo, Danie i Eddiemu, ale było to bardzo dawno, kiedy stanowili jeszcze małżeństwo, a ja i Kimmer byliśmy szczęśliwi. Sam też niechętnie ją wspominam. Opowiadając ją Maxine, z zaskoczeniem i irytacją zauważam, że głos mi się rwie, a na policzkach pojawia się wilgoć.

Potem spacerujemy wzdłuż opustoszałego nabrzeża Oak Bluffs, ciesząc się przyjemną przechadzką w rześkim powietrzu jesiennego wieczoru na Vineyard. Patrząc z boku, można by pomyśleć, że jesteśmy szczęśliwą parą. Mijamy puste stanowiska łodzi naprzeciw Wesley Hotel, wiktoriańskiego kolosa wdzięcznie rozłożonego w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się hotel o tej samej nazwie, strawiony przez pożar. Woda, której powierzchnia w styczniu jest niemal pozbawiona fal, delikatnie uderza o nabrzeże. Mijamy kilku spacerowiczów zmierzających w stronę miasta, ale port, podobnie jak reszta wyspy, sprawia poza sezonem wrażenie niedokończonego obrazu.

- Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, Misha - usprawiedliwia się Maxine. Torba z bronią i całą resztą zwiesza się jej z ramienia, podskakując wesoło w rytmie kroków. Maxine trzyma mnie pod rękę, a jestem pewien, że pozwoliłaby mi ująć swą dłoń, gdybym spróbował.

- Powiedz tyle, ile możesz.

- Może łatwiej będzie, jeśli powiesz, co ty o tym sądzisz. Ja będę ci mówiła, czy masz rację, czy nie. A to, czego nie wolno mi powiedzieć, może potrafisz sam wymyślić.

Zastanawiam się nad tym, kiedy tak idziemy dalej. Po obiedzie staliśmy na parkingu trochę zbyt blisko siebie, czując tę dziwną niechęć do oddalenia się od siebie, jakiej doświadczają ludzie świeżo w sobie zakochani, no, i osoby, które zarabiają na życie, śledząc innych. To Maxine zaproponowała, żebyśmy pojechali do Oak Bluffs, ale nie chce mi powiedzieć, gdzie się zatrzymała. Zgodziłem się, więc wyruszyliśmy wzdłuż Vineyard Haven Harbor przez wzgórze oddzielające oba miasta i do centrum, a Maxine raz jeszcze podążała moim śladem. Zaparkowaliśmy oboje na nabrzeżu, naprzeciw hotelu Wesley. Nie mam wątpliwości, że Maxine doskonale wie, gdzie mieszkam, ale nie chcę, żeby kręciła się w pobliżu Vineyard Haven.

Można to nazwać nadmiarem małżeńskiej ostrożności.

- No, i co, przystojniaku - ponagli mnie. - Decydujesz się na to czy nie?

- W porządku. - Oddycham głęboko. Wraz z nadejściem mroku powietrze znacznie się ochłodziło. - Po pierwsze, sądzę, że mój ojciec wplątał się w coś... zrobił coś, czego nie powinien był robić. - Spoglądam na Maxine, ale ona wpatruje się w wodę. - Następnie tak wszystko przygotował, żebym po jego śmierci uzyskał na ten temat pewne informacje. W każdym razie ktoś jeszcze tak sądzi.

Słyszę cichą odpowiedź: - Zgadza się - i po raz pierwszy w czasie tych szalonych poszukiwań dowiaduję się czegoś pewnego.

- Sądzę, że Colin Scott szukał tych informacji. Śledził mnie, bo miał nadzieję, że odnajdę... ustalenia zostawione przez ojca.

- Zgadza się.

Idziemy dalej, kierując się ku East Chop, szerokiej skalnej płaszczynie, z której tu i ówdzie wyrastają kryte gontem domy, reprezentujące raczej styl

Cape Cod niż wiktoriański. Wiele z nich wzniesiono na wysokim urwisku tuż nad wodą, a większość jest znacznie droższa niż domy bliżej miasta. W pewnym okresie zapałaliśmy z Kimmer miłością do jednego z tych domów, z trzema dużymi sypialniami i ogrodem wychodzącym na plażę, ale nie mieliśmy dwóch milionów dolarów, żeby go kupić. Zapewne dobrze się złożyło, jeśli zważyć, co się z nami od tamtej pory stało.

- Są również inni ludzie, których interesują te ustalenia - ciągnę dalej.
- Zgadzą się - odpowiada Maxine, ale nie potrafię wyciągnąć z niej nic konkretniejszego.

Kieruję wzrok ku East Chop Drive, drogi prowadzącej do starej latarni morskiej oraz części tutejszych terenów zwanej dawniej Highlands.

U podnóża urwiska znajduje się prywatny klub plażowy, a w środku East Chop prywatny klub tenisowy. Tę część Oak Bluffs najwyraźniej zdominowała jaśniejsza nacja i niewielu letnich mieszkańców pamięta, że niegdyś w East Chop znajdowało się centrum czarnej kolonii na wyspie.

- Colin Scott znał mojego ojca.
- Zgadzą się.
- Pracował dla ojca. Ojciec... zapłacił mu za zrobienie czegoś.

Milczenie.

Czuję rozczarowanie, gdyż chciałem w końcu się dowiedzieć, czy Colin Scott i Jonathan Villard to ta sama osoba. To by wyjaśniało, dlaczego Scott kłócił się z moim ojcem w holu domu przy Shepard Street. Najwyraźniej nic z tego.

Waham się przez chwilę, po czym próbuję od innej strony. - Czy wiesz, co ojciec mi zostawił?

- Nie.
- Ale jednak znasz... wskazówki.
- Tak, lecz nie wiemy, jak je rozumieć.

Staram się wymyślić inne inteligentne pytanie. Znajdujemy się w niewielkim parku porośniętym gęstą, zrudziałą trawą. Przed nami wznosi się East Chop, a po prawej stronie znajduje się centrum Oak Bluffs. Park oddzielony jest od portu ulicą East Chop Drive, po której z rzadka przejeżdżają pojedyncze samochody.

- Jaka piękna jest ta wyspa - odzywa się nieoczekiwanie Maxine, przy czym obiema dłońmi obejmuje moje ramię i wpatruje się w migoczącą w oddali wodę.

- Też tak uważam.
- Ty przyjeżdżasz tu od kiedy? Od trzydziestu lat? Nie wyobrażam sobie... to znaczy, my nigdy nie mieliśmy tyle pieniędzy.
- Ale my przyjeżdżaliśmy zawsze tylko na lato - wyjaśniam, zastanawiając się, czy rozumie tę różnicę. - Poza tym dawniej to nie było takie drogie.

- Mimo wszystko, twoja rodzina miała pieniądze.
- Należeliśmy po prostu do klasy średniej. Ale przecież wy też. Małżeństwo wykładowców.
- Nigdy nie mieli zbyt wysokich zarobków. Poza tym mój ojciec lubił grać o duże stawki. Tylko, niestety, nie był w tym dobry.
- Przykro mi.
- Nie ma powodu. Kochał nas. Mieszkaliśmy w dużym, starym domu na terenie kampusu, z pięcioma psami i dziesięcioma kotami. Czasem mieliśmy jeszcze ptaki. Nasi rodzice kochali zwierzęta i, tak jak powiedziałam, kochali nas.
- Nas?

Marszczy nos. - Czterech synów i jedną córkę, panie wścibski. Jestem najmłodsza i najwyższa.

- Jesteś tą, z którą nie umawiano się na randki.
- Nie miałam własnego samochodu, toteż nie mogłam z nikim się zdeżyć. - Może to nienadzwyczajny żart, ale obydwójce się śmiejemy.

Przez chwilę w przyjaznym milczeniu wpatrujemy się w wodę. Mamy okazję zaobserwować niecodzienny o tej porze roku widok, gdyż akurat z portu wypływa jacht motorowy. Porusza się zbyt szybko, ale czegoś się spodziewać po właścicielach tych eleganckich łodzi. W okolicznych domach tylko z rzadka pali się światło. Poza sezonem większość jest zamknięta. Zapowiadana burza nie nadeszła, toteż możemy podziwiać czyste i chłodne, wprost idealne, nocne niebo.

Przez całe popołudnie czułem, że muszę wziąć Maxine w ramiona, a teraz ta potrzeba stała się jeszcze silniejsza. Chcąc ją stłumić, zadaję całą serię bezsensownych pytań.

- Prawie nie słyhać u ciebie akcentu z Południa.
- No, tak. - Kiwa głową, ale nie odwraca się w moim kierunku. - Kształciłam się również we Francji, ale nie chcę na ten temat rozmawiać.

Zatem powinienem zaproponować inny temat. Czuję się jak niekompetentny żigolak podczas eleganckiego koktajlu.

- Jak trafiłaś do tego interesu?

Maxine patrzy na mnie z ukosa. - A jaki to interes?

- Przecież wiesz. Siedzenie ludzi.

Wzrusza ramionami i rzuca mi rozgniewane spojrzenie. Być może zirytowało ją to, że zepsułem nastrój, jednak czasem musimy bronić swojego małżeństwa przed własnymi najniższymi instynktami. - Proszę, nie myśl o tym, jako o *śledzeniu*, Misha. Nazwij to raczej *pomaganiem*.

- Pomaganiem? A w jaki sposób mi pomagasz?

Puszcza moje ramię i odwraca się twarzą do mnie. - Po pierwsze, mogę ci powiedzieć, kiedy ktoś cię śledzi.

- To znaczy kto? Ludzie pokroju Colina Scotta?

- Właśnie.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę, po czym wysuwam najbardziej oczywiste zastrzeżenie. - Ale on nie żyje.

- Zgadza się - potwierdza, a po chwili dodaje mrozącą krew w moich żyłach uwagę: - Jednak pamiętaj, że jego partner żyje. - Znów zapada między nami milczenie. Idziemy już z powrotem w kierunku hotelu Wesley, gdyż w wyniku niewypowiedzianej decyzji zawróciliśmy z drogi, i to nie tylko w najbardziej oczywistym znaczeniu. Maxine jeszcze bardziej mnie dobija następnym zdaniem. - Oczywiście, mogą być jeszcze inni.

- Inni?

Wskazuje w kierunku wzgórza, z którego schodzimy. - Ten sam mężczyzna na rowerze minął nas dwukrotnie, kiedy tam byliśmy. Może po prostu chciał wjechać na wzgórze i zjechać, a może nas śledził. Trudno powiedzieć. - Obraca się i wskazuje w kierunku Vineyard Haven. - Niedaleko restauracji stał ciemnobrazowy minivan marki Chrysler. Taki sam samochód jest zaparkowany teraz w porcie. Jednak to inne auto, gdyż to pierwsze miało inne tablice rejestracyjne i małe wgniecenie na zderzaku. Oczywiście tablice i zderzak można zmienić, ale trudno to zrobić tak szybko. Zatem to nie jest ten sam samochód. Jednak mógłby być. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ty nie zauważasz tego rodzaju rzeczy. Nie zostałeś do tego wyszkolony, a ja tak.

W głowie mi się kręci od tego złośliwie szczegółowego wyводу. Czy Maxine sądzi, że mnie w ten sposób uspokaja? Spoglądam w kierunku morza, gdzie zauważony przeze mnie niedawno jacht okrąża cypel. O tej porze roku w porcie Oak Bluffs bardzo rzadko pojawiają się jakieś łodzie, toteż zastanawiam się, po czyjej stronie jest jego załoga.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Proponujesz, żebyśmy stworzyli zespół?

- Po prostu pokazuję ci, jak mogę pomóc.

- Będziesz osłaniać mi tyły? - Nie udaje mi się powiedzieć tego tonem pełnym wyższości, tak jak planowałem. - Będziesz mnie chronić przed złymi facetami?

Maxine nie jest zachwycona moją reakcją. Odwraca się do mnie i ponownie chwyta mnie za ramię. - Misha, posłuchaj. Wiele osób interesuje się ustaleniami twojego ojca. Nie wszystkie ograniczą się do lekkiego zderzenia z twoim samochodem i zaproszenia cię na obiad. Wprawdzie nie mogą cię skrzywdzić, ale niewątpliwie zrobią wszystko, żeby cię nastraszyć.

Obydwoje rozważamy to przez chwilę.

- Czy mojej rodzinie grozi niebezpieczeństwo? - pytam, myśląc jednocześnie: *Jamajka; zadzwonić do Kimmer i powiedzieć, żeby zabrała Bentleya i zatrzymała się u krewnych na Jamajce.*

- Nie, Misha. Uwierz mi, nikt cię nie skrzywdzi. Nikt też nie zrobi krzywdy twojej rodzinie. Pan Ziegler to zagwarantował.

- I to wystarczy?
- W moim świecie tak.

Oczywiście, niby o tym wiedziałem, ale nie potrafiłem w to do końca uwierzyć. Czym innym jest czytać o potędze wujka Jacka w gazetach, a zupełnie czym innym odczuwać jej działanie, ten ochronny kokon wokół mnie i mojej rodziny.

- Zatem, co starasz się mi przekazać?
- Niebezpieczne w tej sprawie są *informacje*. - Nasza rozmowa powróciła do punktu wyjścia. - Jeśli wpadną w niewłaściwe ręce, to staną się niebezpieczne.
- Dlatego właśnie uważasz, że powinienem je przekazać wam, kimkolwiek jesteście, zamiast Jackowi Zieglerowi.
- Tak.
- Czy ty pracujesz może dla... dla rządu? - Z uśmiechem potrząsa przecząco głową. - No, nie, rzeczywiście. Przecież pracujesz dla dobrych, ale nie wspaniałych facetów.
- Ani Jack Ziegler, ani my nie jesteśmy aniołami, ale mniej więcej jest tak, jak powiedziałeś.
- Tylko że ty mnie potajemnie śledzisz, a on chroni.
- Być może on również cię śledzi, a ja chronię.
- Nie dostrzegłem żadnych oznak...
- Przypomnij sobie, jak się zachowywał na cmentarzu. Czy tak postępuje człowiek, który nie jest zainteresowany rezultatem twoich poszukiwań?
- Na cmentarzu? Przecież ciebie nie było na cmentarzu?
- Byłam. - Maxine uśmiecha się, zadowolona ze zdobytej przewagi. - Byłam też w kościele. Siedziałam z tyłu wśród twoich krewnych, którzy brali mnie za czyjąś kuzynkę. - Jej uśmiech blednie i widzę, że jest już zmęczona graniem tych ról, flirtowaniem, całą swoją pracą. - Nawet uścisnąłeś mnie przy grobie - dodaje miękko. - To był bardzo miły uścisk.

Zaskakuje mnie tą informacją, i o to właśnie jej chodziło. Jednak nie daję się odwieść od tematu.

- Nadal nie podałaś mi powodu, dla którego mam powierzyć informacje właśnie wam. Oczywiście, jeśli je w ogóle znajdę.
- Nie wystarczy ci moje zapewnienie? Przecież kupiłam ci ciasteczka krabowe.
- I rozbiłaś mi samochód.
- Tylko zderzak. Poza tym, proponowałam, że ci za niego zapłacę.

Kiedy nic nie odpowiadam, Maxine zatrzymuje się i znów chwyta mnie za rękę. Znajdujemy się na parkingu małego sklepiku, w którym sprzedaje się wszystko, od płatków śniadaniowych poprzez niezłe wina do małych naklejek uprawniających cię do wystawienia śmieci na ulicę, żeby je stamtąd wywieziono.

- Posłuchaj mnie, Misha. Nie jestem twoim wrogiem. Musisz w to uwierzyć. Powiedziałam ci, że ludzie, dla których pracuję, nie są święci. Być może nie chciałbyś zaprosić ich na obiad. Jednak uwierz mi, że jeśli wiadomość, którą ma do przekazania chłopak Angeli, dostanie się w ich ręce, na pewno zostanie zniszczona. Natomiast jeśli zdobędzie ją Jack Ziegler, to z pewnością to wykorzysta. Tak wygląda sytuacja. - Jej oczy jakby świeciły w ciemności. - Musisz wrócić i to odnaleźć, Misha. Wszystkie wskazówki są podane, tylko nikt - poza tobą - nie potrafi ich zrozumieć. Twój ojciec prawdopodobnie myślał, że od razu odgadniesz, kim jest przyjaciel Angeli. Był inteligentnym i ostrożnym człowiekiem. Skoro sądził, że to wiesz, to z pewnością tak jest. Po prostu, sam jeszcze nie zdajesz sobie sprawy z tego, co wiesz.

Potrząsam ze zniechęceniem głową. - Maxine, muszę ci powiedzieć, że nie mam najmniejszego pojęcia, o co chodziło mojemu ojcu. Sądzę, że popełnił błąd.

- Nawet tak nie mów! *Nigdy więcej* tego nie mów. - Maxine jest przerażona i rozgląda się dookoła, jakby sprawdzając, czy nas ktoś nie podsłuchuje. - Właśnie, że wiesz, o co mu chodziło, a twój ojciec nie popełnił błędu. - Niemal wykrzykuje te sprostowania.

Zdejmuję jej dłoń ze swojego nadgarstka. - Jestem tym wszystkim zbyt zmęczony. Sądzę, że mógłbym... Myślałem, żeby dać już sobie spokój z tymi poszukiwaniami.

Oczy Maxine się rozszerzają i wygląda teraz na jeszcze bardziej przestraszona. - Nie możesz teraz zrezygnować, Misha, po prostu nie możesz. Nikomu innemu nie uda się odkryć, jakie to ustalenia, więc musisz to zrobić. *Musisz. Proszę.*

Proszę?

- Rozumiem. - Staram się to powiedzieć zupełnie obojętnie. Nie chcę, żeby zauważyła, że ta nagła zmiana tonu na proszący przeraziła mnie bardziej niż wszystko, co dotąd powiedziała. Jednak z inteligentnej twarzy Maxine odczytuję, że wyczuwa mój nastrój, choć postanawia nie poruszać tego tematu.

- Przypuszczam, że już się nie zobaczymy, Misha. To znaczy, ty mnie nie zobaczysz, jeśli będę wykonywała swoją pracę jak należy. Będę cię obserwować, lecz ty nie będziesz wiedział, kiedy. Zatem zachowuj się naturalnie i zakładaj, że jestem gdzieś w pobliżu, żeby ci pomóc.

- Maxine, ja...

- Przepraszam za pieniądze - ciągnie pospiesznie dalej. - To było bardzo niezręczne i obraźliwe dla ciebie. Oczywiście, nie były przeznaczone na naprawę twojego zderzaka. Poza tym miałam ich znacznie więcej w bagażniku, tak na wszelki wypadek. Nadal mam - dodaje tęsknym tonem.

- Na wypadek czego?

- Słyszeliśmy, że ktoś inny próbował kupić od ciebie ustalenia... pod pretekstem honorarium za odczyty, czy czegoś takiego. - Czuję dreszcz, ale się nie odzywam. - W każdym razie miałam... moim zadaniem było cię przekupić, Misha. Przykro mi, ale taka jest prawda. Wiemy, że masz pewne problemy finansowe, no i domowe. Miałam cię przekupić za pomocą pieniędzy lub... powiedzmy, w inny sposób. - Teraz ona się rumieni i spuszcza wzrok, a ja czuję, jak ogarnia mnie ciepłe uczucie, którego wolałbym do siebie nie dopuścić.

- A do czego miałaś mnie przekonać tym przekupstwem? - pytam po chwili. Doszliśmy już do naszych samochodów. Maxine wyjmuje kluczyki i wdusza przycisk. Suburban błyska światłami, wyłącza się alarm i blokada drzwiczek. Chwytam ją za rękę. - Co miałem w zamian zrobić?

Maxine sztywnieje pod moim dotykiem. Nagle smutnieje. Nie wiem, czy to tylko zbieg okoliczności, że każda kobieta, którą poznaję, wpada w depresję, czy to ja je do tego doprowadzam.

- Do czego miałaś mnie przekonać? - pytam po raz trzeci, opuszczając rękę. - Żebyś dał to, co znajdę, wam, a nie wujkowi Jackowi?

Maxine otworzyła już drzwiczki i trzyma nogę na progu. Odpowiada mi, nie odwracając się w moją stronę.

- Wiem, Misha, że przeżywałeś ostatnio bardzo trudne chwile. Słyszałam o pewnych przerażających wydarzeniach, które cię spotkały. W podobnej sytuacji wiele osób zdecydowałoby się przerwać poszukiwania. Dotarły do nas wieści, że być może też się nad tym zastanawiasz. - Waha się przez chwilę. - Ujmę to może tak: miałam zrobić wszystko, co będzie konieczne, żebyś nie rezygnował z poszukiwań. Jednak z tego, co widzę, wcale nie trzeba cię przekupywać. Należysz do ludzi, którzy nie potrafią sobie odpuścić. Będziesz go szukał, bo inaczej nie potrafisz.

- Szukał kogo?

- Chłopaka Angeli.

- A wtedy co? Maxine, poczekaj. A co wtedy? Jeśli go znajdę, a on mi powie, to, co ojciec polecił mu przekazać... to co mam wówczas zrobić? Przypuśćmy, że się z tobą zgodzę? Jak mam dostarczyć ci informacje?

Maxine siedzi już w samochodzie, gotowa zamknąć mi drzwiczki przed nosem. Jednak odwraca się i patrzy mi prosto w oczy. Widzę w jej twarzy wyczerpanie, irytację, a nawet odrobinę smutku. Ten dzień nie przebiegł tak, jak planowała.

- Najpierw, przystojniaku, musisz go znaleźć - stwierdza.
- A potem?
- Potem ja znajdę ciebie. Obiecuję.
- Ale poczekaj chwilę. Poczekaj. Skończyły mi się już pomysły. Nie wiem, gdzie dalej szukać.

Maxine wzrusza ramionami i przekręca kluczyk w stacyjce, budząc silnik do życia. Ponownie spogląda mi w oczy. - Możesz zacząć od Freemana Bishopa.

- Freemana Bishopa?
- Sądzę, że on był pomyłką.
- Pomyłką? Jaką pomyłką?
- Niedobłą, przystojniaku, bardzo niedobłą. - Maxine zamyka drzwiczki i rusza na wstecznym biegu. Po chwili widzę już, jak przyspiesza, wjeżdżając na wzgórze na drodze do Vineyard Haven. Obserwuję ją, dopóki tylne światła nie znikają za zakrętem.

Jestem sam.

ROZDZIAŁ 34

Historia się rozwija

(I)

Następnego ranka budzę się samotnie w Vinerd Howse, zawstydzony tym, że przez większą część nocy rzucałem się bezsennie na łóżku, marząc o kobiecie, która bynajmniej nie jest moją żoną. Narzucam szlafrok i wychodzę na mały balkon przy głównej sypialni. Ulice są puste. O tej porze roku większość domów w Ocean Park jest zamknięta, ale w jednym czy drugim widać oznaki zamieszkania, a mijający mnie biegacz macha do mnie wesoło.

Odwzajemniam ten gest.

W kuchni podpiekam sobie bułkę i nalewam soku. Nie mam wielkiego wyboru, gdyż spiżarnia jest prawie pusta - w końcu przyjechałem tu najwyżej na dwa dni. Zabieram śniadanie do niewielkiego kącika telewizyjnego obok holu wejściowego, tam gdzie trzydzieści lat temu widziałem szamoczących się Addisona i Sally. Jakie to były proste czasy!

Możesz zacząć od Freemana Bishopa... Sądzę, że on był pomyłką.

Pomyłką? Jaką pomyłką? Czyją pomyłką? Moją? Mojego ojca? Zasypuję tymi pytaniami kobietę z toru wrotkowego, chociaż nie może mi na nie odpowiedzieć.

Poza tym: jak martwy mężczyzna może mi pomóc odnaleźć chłopaka Angeli?

Nie mogę spokojnie usiedzieć. Wałęsam się z kąta w kąt, zaglądam do pokoju gościnnego, gdzie wszystko jest czerwone: tapety, kapa na łóżku i obicia krzeseł - pokoju, w którym zmarła moja matka. Wsuwam głowę do łazienki pełniącej też rolę pralni, z podłogą pokrytą tanim linoleum, które było stare już wówczas, gdy rodzice kupili ten dom. Wracam do kuchni, dolewam sobie soku i idę do jadalni, gdzie nad nieużywanym kominkiem wisi nadal powiększenie okładki „Newsweeka” ze zdjęciem ojca. CZAS KONSERWATYSTÓW. Tak, jak było kiedyś, jak powiedziałaby Sędzia. Wówczas, gdy życie wydawało się takie wspaniałe. Pamiętam, że nominacja mojego ojca stała się sprawdzianem jedności Złotego Wybrzeża. Dochodziło do tego, że najwierniejsi przyjaciele przestawali ze sobą rozmawiać, gdy zajęli odmienne stanowiska w tej sprawie. Lecz może podziały w naszej szczęśliwej małej społeczności występowały częściej, niż mi się wydawało. Przecież Mariah wspominała, że w kongregacji Świętej Trójcy i Świętego Michała

również nastąpił rozłam, gdy wyszła na jaw narkomania ojca Bishopa. A jeśli...

Chwileczkę.

Co dokładnie powiedziała Mariah? O kimś, kto również by odszedł, gdyby nie... gdyby nie...

Pospiesznie wracam do kuchni i łapię za słuchawkę telefonu. Choć raz udaje mi się połączyć z Mariah już przy pierwszej próbie. Z miejsca ucinam jej usiłowania, by podzielić się ze mną najnowszymi informacjami o spisku, które znalazła w Internecie, i zadaję decydujące pytanie:

- Posłuchaj, pamiętasz, jak mi opowiadałaś, że pewna osoba opuściłaby parafię, kiedy wyszła na jaw narkomania ojca Bishopa, gdyby nie miała własnych powodów, żeby zostać?

- Oczywiście. Gigi Walker. Pamiętasz chyba Gigi? Addison chodził z jej młodszą siostrą. Chociaż Addison chodził z tyloma dziewczynami, że to chyba nie jest zbyt użyteczna...

- Mariah, posłuchaj. Co miałaś na myśli, mówiąc, że ona miała swoje powody?

- Oj, Tal, dlaczego ty o wszystkim dowiadujesz się ostatni? Gigi i ojciec Bishop przez wiele lat byli parą. To się zaczęło już po śmierci jego żony i odejściu jej męża, więc nie było zbyt wielkiego skandalu. Jednak ojciec mimo wszystko stwierdził, że nie sądził, by duchowny...

Znów jej przerywam. - Dobrze, dobrze, posłuchaj. Gigi to zdrobnienie, tak?

- Tak.

- A jak brzmi jej imię?

Znałem odpowiedź, zanim jeszcze moja siostra zdążyła się odezwać - Angela. Angela Walker. Po co ci ta wiadomość?

Mariah jeszcze coś mówi, ale nie słucham. Drżą mi ręce.

Nic dziwnego, że Colin Scott tak wymęczył Gigi Walker, że aż się popłakała po jego wyjściu, jak mi opowiadała Lanie Cross. Zatem Scott znacznie wcześniej dowiedział się tego, co ja teraz.

Znalazłem chłopaka Angeli.

Jednak ktoś inny znalazł go przede mną, toteż już nie żyje i nic mi nie powie.

(II)

Nie udaje mi się skontaktować z agentem Nunzio. Sierżant Ames nie chce słuchać moich teorii i trudno mi ją za to winić. Oświadczają mi, że jeśli posiadam dowody na to, że aresztowała niewłaściwego człowieka, to powi-

nieniem je dostarczyć na posterunek. Jeśli nie, to mam ją zostawić w spokoju i pozwolić jej wykonywać swoją pracę. Problem w tym, że nie mam namacalnych dowodów. Siedzę w kuchni Vinerd Howse, rozmyślając, jak nakłonić sierżant Ames, by potraktowała mnie poważnie, i stale trafiam głową w mur. Sądzę, że wiem, kto zamęczył Freemana Bishopa na śmierć i czego od niego chciał, ale nie mam jak tego udowodnić. Natomiast za teorią Bonnie Ames przemawia świadek zeznający, że Conan chępił się swoim czynem, przeszłość podejrzanego, który dopuszczał się już okrucieństw, oraz fakt, że ojciec Bishop był mu winien pieniądze za narkotyki.

Nie mam pojęcia, jak Colin Scott spreparował te dowody, ale jestem pewien, że to jego sprawka. Biednego Freemana Bishopa nie objął rozkaz Jacka Zieglera zabraniający krzywdzenia mojej rodziny. Scott torturował go, żeby się dowiedzieć, co ojciec Bishop miał mi przekazać, a - jak zauważyła ponuro sierżant Ames, gdy u niej byliśmy - jest nieprawdopodobne, żeby pastor coś przed nim ukrył. No, właśnie, rozmyślam, wznawiając wędrówkę po domu. Skoro ojciec Bishop powiedział Scottowi wszystko, co wiedział, to dlaczego fałszywy agent nadal mnie śledzi? Może to oznaczać tylko jedno - że nie dowiedział się, gdzie mój ojciec ukrył... to, co ukrył.

W takim razie Freeman Bishop mu tego nie powiedział.

Zatem Freeman Bishop tego nie wiedział.

Sądzę, że to była pomyłka.

Teraz rozumiem, o czym mówiła Maxine. Freeman Bishop został zamordowany, gdyż Colin Scott sądził, że to on jest chłopakiem Angeli. Był nim rzeczywiście, ale ojciec miał na myśli kogoś innego.

Niemniej jednak o śmierć ojca Bishopa obwiniam właśnie Sędziego.

ROZDZIAŁ 35

Trup w szafie

(I)

- Nigdy nie zgadniesz, co się stało - oznajmia radośnie Dana Worth, wpadając nieproszona do mojego gabinetu.

- To prawda - odpowiadam zgryźliwie, nie podnosząc wzroku znad korekty swojego artykułu, którą wykonuję złamaną czerwoną kredką. Od czasu powrotu z Vineyard zupełnie nie miałem ducha do pracy. Kończy się już prawie drugi tydzień stycznia i ulice Elm Harbor pełne są brudnego śniegu. Semestr wiosenny zaczyna się oficjalnie w poniedziałek, ale takie drobiazgi mnie nie interesują. Co jakiś czas przychodzą do mnie studenci usprawiedliwiający się, dlaczego nie oddali jeszcze swoich prac, lecz nie chce mi się tracić słów na ich besztanie. Biblioteka domaga się książki, którą gdzieś zapodziałem. Nieco wcześniej dzisiejszego dnia zadzwoniła Shirley Branch, która nadal cierpi po stracie swojego psa. Staralem się ją pocieszyć, jak przystało na jej mentora, choć miałem wielką ochotę oznajmić jej, że mogę szukać tylko jednej zagubionej rzeczy na raz. Na Vineyard Maxine błagała mnie, żebym kontynuował poszukiwania *ustaleń*, jednak nie wiem, czy dam radę. Prześladowuje mnie ostatnio zbyt wiele upiorów z przeszłości.

Wczoraj w nocy, około wpół do dwunastej, obudził nas telefon. Kimmer podniosła słuchawkę, posłuchała przez chwilę i podała mi ją bez słowa. Znowu dzwoniła Mariah, tym razem, żeby przekazać mi informację, którą wcześniej zataiła. Moja żona naciągnęła sobie kołdrę na głowę, a siostra opowiedziała mi, co udało jej się wyciągnąć z biednego Warnera Bishopa, gdy w końcu się spotkali na przyjemnej kolacji w Nowym Jorku. Opowieść Mariah tylko potwierdziła moje obawy. Jak się okazało, Warner okłamał policję. W dniu swojej śmierci Freeman Bishop poinformował radę parafialną, że spóźni się na zebranie, ponieważ musi wcześniej pojechać pocieszyć zdesperowanego parafianina. Natomiast synowi, który zadzwonił akurat, gdy miał wychodzić, powiedział co innego. Wyjaśnił mu, że się spóźni, gdyż musi się spotkać z agentem FBI. Podobno ten agent wpadł wcześniej tego dnia do kościoła i umówił się z nim na potajemne spotkanie, żeby porozmawiać o jednym z parafian. Jednocześnie zobowiązał go do zachowania tajemnicy. Dlaczego Warner ukrył to przed policją? *Bo się bał*, wyjaśnia Mariah. *Kogo? Tego, kto zabił jego ojca.* W jej głosie narasta podniecenie.

Chciałam ci o tym wcześniej powiedzieć wtedy, gdy u was byłam, ale tak mnie zniechęcałeś do tej sprawy, że przestałam być ciebie pewna. Teraz znów ci ufam. Próbuję sobie przypomnieć, czy rzeczywiście byłam dla niej taki niemily i zastanawiam się, czy oczekuje przeprosin. Jednak zanim zdążyłam dojść do jakichś wniosków, Mariah porusza kolejną kwestię. Teraz rozumiesz, dlaczego nie ufam FBI? Jednak przecież wie równie dobrze jak ja, że prawdziwe FBI nie miało nic wspólnego ze śmiercią ojca Bishopa.

- Misha, ty mnie nie słuchasz! - Droga Dana odsuwa na bok stertę papierów (wcale jej nie obchodzi, gdzie ja chcę je mieć) i wskakuje na narożnik mojego biurka. Jej stopy nie sięgają podłogi. Przyjmuje swoją słynną pozycję z podeszwami opartymi o ściankę biurka. - To dobre wieści, coś naprawdę ważnego.

Odchyłam się w wiekowym obrotowym krześle i słyszę znajome skrzywienie pękniętych łożysk. Z doświadczenia wiem, że nic, oprócz polityki uczelnianej, nie wywołuje w mojej przyjaciółce takiego podniecenia. Zatem uzbrajam się w cierpliwość, żeby wysłuchać niekończącej się opowieści o triumfie lub tragedii kogoś, kogo przyjęto lub nie do profesorskiego grona - chociaż jest to temat, który zupełnie przestał mnie interesować.

- Słucham, co mówisz - zapewniam ją.

Dana posyła mi psotny uśmiech zarezerwowany na okazje, gdy drażni się ze starymi przyjaciółmi lub dręczy nowych studentów. Jest ubrana w ciemny sweter i beżowe spodnie, które bardziej nadawałyby się dla dwudziestolatki, ale sądząc po ich jakości, byłoby na nie stać tylko dwudziestolatkę z Beverly Hills. - W zasadzie to ma związek bardziej z twoją żoną niż z tobą.

- Słucham cię. - Nie mam pojęcia, jaki aspekt życia Kimmer mógł Danę tak zafascynować, ale chętnie się dowiem.

- To dobra wiadomość, Misha.

- Niewątpliwie.

- Nudziarz z ciebie, wiesz o tym?

- Dano, zamierzasz mi to powiedzieć, czy nie?

Wydyma przez chwilę wargi, zaskoczona nowym, nieskłonny do zabawy wcieleniem Mishy Garlanda, ale w końcu stwierdza, że jej plotka jest zbyt smakowita, żeby się nią nie podzielić.

- No, więc nigdy nie zgadniesz, kto spędził ostatnie dwie godziny w gabinecie dziekan Lyndy.

- Racja. - Przenoszę spojrzenie z powrotem na korektę.

- Racja?

- Racja, nigdy nie zgadnę. Więc może po prostu mi powiesz. Dana krzywi się i czeka, żebym to zauważył, po czym kontynuuje: - Trochę ci podpowiem, Misha. Ta osoba i Lynda korzystały z obu linii telefonicznych pani dziekan i wydzwaniały do wszystkich wpływowych osób w Waszyngtonie, żeby je przekonać, iż światowej sławy Rozdział Trzeci z jego jedynej książki

nie jest plagiatem.

Z łoskotem wracam z krzesłem do normalnej pozycji. Na jedną cudowną chwilę znikają wszystkie niepokoje związane z ojcem i jego ustaleniami, Freemanem Bishopem i kobietą z toru wrotkowego.

- Chyba nie chcesz powiedzieć...
- Owszem, chcę. Braciszek Hadley.
- Żartujesz. Naprawdę *żartujesz*.
- Nie żartuję. Rozdział Trzeci, który stale cytuję. Który *wszyscy* stale cytują. No, i co się okazuje? Przepisał go z niepublikowanej pracy Perry'ego

Mountaina.

- Marc popełnił plagiat pracy brata Theo? *Marc*? Nie wierzę.

Dana jest rozczarowana moim sceptycyzmem, gdyż oczekiwała raczej wiwatów. - Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć? Sądzisz, że Marc jest chodzącą doskonałością? Myślisz, że nie oszukuje i nie kradnie tak jak inni?

- No, nie. Po prostu trudno mi uwierzyć, że Marc mógłby uznać czyjeś pomysły za tak dobre, żeby nazwać je własnymi.

Dzięki tej uwadze zostają obdarzony tak pożądanym przez wszystkich uśmiechem aprobaty Drogiej Dany Worth.

- Przypominam ci jednak, że braciszek Hadley cierpi na największą w historii zachodniej cywilizacji blokadę twórczą. Może w tej sytuacji kradzież cudzych pomysłów wydała mu się lepszym rozwiązaniem niż zupełny brak publikacji, co?

Potrząsam z niedowierzaniem głową. To się dzieje zbyt szybko. Nagle okazuje się, że Kimmer ma wolną drogę... Chyba, że... chyba, że...

- Dano, a na czym opierają się zarzuty wobec Marca?

- No, to właśnie jest najlepsze. - Dana zeskakuje z biurka i zaczyna przechadzać się w kółko po dywanie. - Podobno jakiś student przeglądał archiwa na UCLA. Miał powyrzucać jakieś stare teczki...

(II)

- ...i natknął się akurat na papiery Periclesa Mountaina - opowiadam Kimmer przez telefon kilka minut później. Musiałem w tym celu poprosić jej sekretarkę, żeby wywołała ją z zebrania, jak tylko Dana wyruszyła, by roznieść dalej złe wieści. W miarę, jak powtarzam usłyszaną przed chwilą historię, wyczuwam, że rośnie niecierpliwość i podniecenie mojej żony. - No, więc siedzi tam w piwnicy szkoły prawniczej UCLA i czyta niektóre z tych papierów, tak jak to mają w zwyczaju studenci, kiedy nie chce im się pracować. Tak się złożyło, że akurat niedawno czytał książkę Marca, gdyż wymagano tego na jednych z zajęć. Zatem bierze do ręki ten brudnopis,

zauważa podobieństwo rozmaitych sformułowań i przychodzi mu do głowy, że to może być jedna ze wstępnych wersji tej książki. Myśli sobie, jakie zrobi wrażenie, kiedy pokaże ją na najbliższym seminarium i zaskoczy wszystkich informacjami o tym, co wielki Marc Hadley *myślał* o pisaniu, zanim zmienił zdanie. - Obydwoje się śmiejemy. Kimmer jest tak zachwycona tą wiadomością, że niemal czujemy się razem szczęśliwi. - Jednak, kiedy przyjrzał się jej dokładniej, stwierdził, że to nie jest brudnopis „Konstytucyjnego umysłu”, tylko jakiegoś artykułu, który napisał Perry Mountain. Niewiele brakuje, żeby to wyrzucił, ale nie daje mu spokoju podobieństwo użytego w obu wypadkach języka. Bierze więc te kartki do pokoju i po kilku dniach porównuje z książką. Okazuje się, że tekst jest niemal identyczny. Mówi o tym swojemu profesorowi, ten powtarza następnemu i tak wieść się rozchodzi.

- Nie wierzę - zdumiewa się moja żona, chociaż najwyraźniej wierzy. - Wiesz, co to oznacza, Misha? Nie mogę w to uwierzyć.

- Wiem, co to oznacza, kochanie.

- Będzie musiał wycofać swoją kandydaturę, prawda? Będzie musiał.

Jest wprost upojona radością; pierwszy raz mam do czynienia z taką Kimmer.

- Sądzę, że masz rację. Będzie musiał się wycofać. Gratulacje, pani sędzio.

- Och, kochanie, to takie cudowne. - Uderza mnie nagle, że Kimmer zbyt się cieszy nieszczęściem, czy raczej wykroczeniem, swojego rywala. Ona chyba też to sobie uświadamia. - To znaczy, przykro mi z powodu Marca i tak dalej, a poza tym, jeśli dostanę to stanowisko, wolałabym, żeby to nie było w taki sposób. Tyle, że to... - Milknie. Niemal słyszę, jak jej nastrój zaczyna się zmieniać, chociaż nie ma po temu żadnego powodu poza jej zmiennym usposobieniem. - Czy rozmawiałeś już z Mallorym?

Nie, tylko z tobą.

- Chciałabym wiedzieć, co mówią w stolicy.

- Zadzwońię do niego, jak tylko skończymy rozmawiać - obiecuję.

- Ja sama też zadzwonię w parę miejsc. - Nie wiem, dlaczego ta zapowiedź wydaje mi się raczej złowieszcza niż optymistyczna.

- To zadziwiające - mówię, żeby podtrzymać rozmowę.

- Ale ja jednak tego nie pojmuję - wysuwa zastrzeżenie Kimmer, gdyż wydaje jej się, że wszystkie istoty ludzkie działają racjonalnie. - Nie rozumiem, jak Marc mógłby być taki głupi.

- Wszyscy popełniamy błędy.

- Ale ten jest ogromny. - Kiedy dłużej się nad tym zastanawia, jej nastrój ulega dalszej przemianie; formują się chmury wątpliwości. Rozpoznają to po jej głosie. - To jest bez sensu, Misha. Dlaczego Marc miałby to skopiować? Czy nie bałby się, że ktoś odkryje jego oszustwo?

- Otóż okazuje się, że Perry Mountain zachorował i wcale nie opubli-

kował tego artykułu. „Konstytucyjny umysł” wydano w trzy lata po jego śmierci.

Jednak sceptyczna Kimmer nie daje się przekonać. Jej dobry nastrój błyskawicznie się ulatnia. - I co, nikt nie zauważył? Perry nie wysłał do nikogo kopii? Na przykład do Theo? Przecież w takim wypadku Theo awanturowałby się od dnia ukazania się książki.

Zastanawiam się nad tym. Muszę przyznać, że nie wziąłem pod uwagę tej możliwości. Mówię więc, że zadzwonię do Dany i spróbuję to wyjaśnić.

- To *Dana* jest twoim źródłem informacji? - prycha Kimmer.

Pragnąłem dostarczyć mojej żonie wieści, na których jej tak zależy, a tymczasem tylko ją rozgniewałem. - Misha, daj spokój. Wiem, że ona jest twoim kumplem, ale nie zawsze to, co mówi, jest zgodne z rzeczywistością.

- Kimmer...

- A poza tym nie znosi Marca - dodaje moja żona, zupełnie jakby ona sama go lubiła. - Może być stronnicza.

- No, ale z drugiej strony, zawsze wie, co się dzieje w naszej szkole.

- Przepraszam, Misha. - Moja żona znów jest chłodna i podejrzliwa, jak zawsze. - Po prostu mam wrażenie, że jestem wrabiana.

Staram się obrócić to w żart. - Ktoś musiałby zadać sobie mnóstwo trudu tylko po to, żeby cię wrobić, kochanie.

Zapada chwila ciszy, gdy Kimmer zastanawia się nad moimi słowami. - Pewnie masz rację - stwierdza w końcu niechętnie - ale powiem ci, kochanie, że coś mi tu nie gra.

Dopiero kiedy po odłożeniu słuchawki wracam do swojej korekty, uświadamiam sobie, że Kimmer miała częściowo rację. Rzeczywiście wygląda to na celowe działanie. Jednak to nie Kimmer jest wrabiana.

(III)

- Oczywiście, że o tym wiedziałem - oznajmia mi Theophilus Mountain z szerokim uśmiechem wyłaniającym się z gąszczy jego brody.

- Sądziś, że mógłbym tego nie zauważyć?

Jak zawsze po kłótni z żoną trudno mi zebrać myśli - mam wrażenie, jakby głowę wypełniała mi wata. Teraz też nie bardzo rozumiem, co Theo ma na myśli.

- Wiedziałeś, że Marc przepisał Rozdział Trzeci od twojego brata? Wiedziałeś o tym przez te wszystkie lata? I nic w tej sprawie nie zrobiłeś?

Theo śmieje się i inaczej sadowi się w starym, drewnianym fotelu za biurkiem. Najwyraźniej jest zachwycony, że może być świadkiem kłeski Marca Hadleya, jednego ze swych wielu wrogów. W większości wypadków Theo pogardza kolegami z powodu ich poglądów politycznych. Ponieważ

jednak ambitny Marc Hadley starannie kultywuje swój wizerunek naukowca nieskażonego ciągotami politycznymi, Theo nienawidzi go za arogancję. Od chwili, gdy Marc przybył do Elm Harbor ćwierć wieku temu, by wyklądać prawo konstytucyjne, nigdy nie płaszczył się przed Theophilusem Mountainem, tak jak to robili inni młodzi adepci tej dziedziny prawa... i czego dzisiaj nikt już nie robi. Obecnie płaszczą się przed Markiem Hadleyem. Theo nigdy nie wybaczył Marcowi zmiany obowiązujących zasad.

- Nie widziałem takiej potrzeby - stwierdza mój gospodarz. Wstaje i zaczyna spacerować po swym ogromnym gabinecie znajdującym się na końcu korytarza na pierwszym piętrze. Wychodzi on na główne wejście Oldie, toteż krąży żarcik, iż Theo obserwuje młodych wykładowców przekraczających po raz pierwszy próg budynku oraz starych wynoszonych na zewnątrz, natomiast sam wydaje się wieczny. Jego gabinet z kolei jest wieczną legendą szkoły prawniczej. Panuje w nim niewyobrażalny bałagan, sterty papierów sięgają do połowy wysokości pokoju i pokrywają wszelkie poziome powierzchnie. Przyznaję, że mój gabinet, podobnie jak wiele innych w tym budynku, też jest zarzucony papierami, ale pokój Theo wzbudza podziw połączony z przerażeniem - jest dziełem sztuki, pomnikiem prawdziwego geniuszu dezorganizacji. Jeśli ktoś chce usiąść, musi po prostu przesunąć jedną ze stert na bok. Theo nie przykładą wagi do tego, gdzie odkładasz to, co ruszasz, lub który ze stosów rozsypiesz, opróżniając krzesło. Nigdy niczego nie wyrzuca, ale też nigdy nie zagląda do tego, co przechowuje. Krążą plotki, że posiada kopie wszelkich notatek grona profesorskiego od początków dwudziestego wieku. Czasem myślę, że to może być prawda.

- Nie widziałem takiej potrzeby - powtarza i podchodzi do szafki na akta, gdzie na chybił trafił zaczyna otwierać szuflady. - Marc był wtedy młodszy, jeszcze głupszy niż teraz i przekonany, jak wy wszyscy, kiedy tu przybywacie, że zjadł wszystkie rozumy. Pewnego dnia byliśmy razem na lunchu i rozmawialiśmy o Cardozo, a wtedy okazało się, że prawie nic o nim nie wie. - Theo znalazł coś ciekawego w tylnej części jednej z szuflad. Pochyliła się i wkłada głowę do środka, zupełnie jak bohater kreskówki, tak że przez chwilę mam wrażenie, iż w ślad za głową w szufladzie zniknie górna połowa jego ciała, a potem nogi.

- Pomóc ci?

- Żartujesz? - Znów go widzę w całości, tym razem z szarą teczką w pulchnych dłoniach. Broda trzęsie mu się od śmiechu. - W każdym razie - podejmuje poprzedni wątek - wspomniałem mu o artykule mojego brata, w którym przedstawia on tezę, iż sędziowskie metody Cardozo stały się wzorcem dla niemal wszystkich ważnych orzeczeń dotyczących zgodności z konstytucją, które zapadały od lat czterdziestych.

- Teoria Marca - wtrącam.

- Teoria *Perry'ego* - poprawia mnie z uśmiechem Theo. - Marc spytał,

czy mógłby zobaczyć kopię tego artykułu. Mój brat nie lubił nikomu pokazywać tego, nad czym pracuje, oczywiście nikomu poza mną i Hero. Wiedziałem więc, że nie ma sensu go o to prosić. Jednak lubiłem Marca i wydawał mi się obiecujący, toteż pożyczyłem mu swoją kopię. - Przesuwa teczkę w moją stronę. Bez otwierania domyślałem się, że musi to być dowód popełnienia przez Marca plagiatu - brudnopis niepublikowanego artykułu na temat Cardozo autorstwa Periclesa Mountaina, niecytowane źródło trzeciego rozdziału książki Marca, wspaniała teoria, za którą Marc zebrał wszystkie nagrody, jakie może zaferować prawniczy świat nauki.

Przerzucam poźółkłe kartki. Widzę gdzieś uwagi napisane charakterem pisma Theo, skreślenia, znaki zapytania, dopiski, plamy z kawy. - Jesteś pewien...

- ...że Marc to przepisał? Oczywiście. Przeczytaj, to sam się przekonasz.
- I wiedziałeś o tym przez cały czas? Od chwili ukazania się książki?
- Pewnie.

Nie mogę się powstrzymać przed powtórzeniem pytania Kimmer:

- Więc dlaczego nic nie zrobiłeś w tej sprawie?
- Na przykład?
- Na przykład mogłeś to podać do publicznej wiadomości.

Theo marszczy czoło, jakby sam nie znał odpowiedzi na to pytanie. Tyle, że tak nie jest. Widzę to w jego ostrożnym, wyrachowanym spojrzeniu. Theo doświadczył już wszystkiego, a jednak życie nigdy go nie nudzi. Kiedy znów się do mnie uśmiecha, ma tak przebiegłą minę, że aż mnie przeraża. - No, nie powiedziałbym, że *zupełnie nic* nie zrobiłem.

- Nie?
- Nie. Mianowicie, poinformowałem o tym *Marca*.
- A po co miałbyś informować Marca, a nikomu innemu nie...
- Urywam. Teraz już rozumiem. To jest dokładnie w stylu Theo! Oczywiście, że powiedział Marcowi! Dzięki temu przez wiele następnych lat mógł trzymać ten plagiat jak miecz nad głową młodszego, aroganckiego kolegi. Nie zdradził nikomu tej tajemnicy, bo chciał, żeby Marc był jego dłużnikiem. Drugim powodem było to, że mój niegdysiejszy mentor jest wgłębi ducha zawistnym, pełnym nienawiści do innych człowiekiem i wolał cieszyć się w sekrecie wiedzą o oszustwie popełnionym przez Marca. Gdyby inni również się zorientowali, że wspaniały Marc Hadley jest w istocie kłamcą i plagiatorem, przyjemność Theo byłaby znacznie mniejsza.

Poza tym, zachowując tę sprawę w tajemnicy, mógł czekać, aż nadejdzie najlepsza chwila na przewrócenie zbudowanego przez Marca domku z kart. Oczywiście, jeśli to rzeczywiście jest jego dzieło.

- Nie chciałem, żeby Marc miał kłopoty - wyjaśnia mi dalej Theo świętoszkowatym tonem osoby, która nigdy nie pogardzała kolegami.

Najwyraźniej pamięć brata nie ma dla niego najmniejszego znaczenia.

Jedyne, co się liczy, to przysporzyć cierpień Marcowi. - Jednak chciałem, żeby wiedział, że idei nie da się tak łatwo zamaskować. Chciałem, żeby wiedział, że ja wiem, i żeby już nigdy więcej tego nie zrobił. No i wiesz, co było potem - wszyscy wiedzą.

Najpierw nie mam pojęcia, o czym mówi. Po chwili to sobie uświadamiam. - Jego blokada twórcza.

- Właśnie. - Theo niemal gładczy z radości. - Tak go przestraszyłem, że nigdy już nie napisał kolejnej książki.

Albo zabroniłeś mu tego, tak żeby twój arogancki kolega musiał całymi latami wysłuchiwać, jak ludzie uzalają się nad jego zmarnowanym potencjałem.

Nie potrafię się powstrzymać przed zadaniem tego pytania: - Dlaczego zrobiłeś coś takiego?

Ludzie tacy, jak Marc Hadley, zasługują na to, co ich spotyka.

- Ale jak on mógł w ogóle sądzić, że ujdzie mu to płazem?

- Marc myślał, że jest niezwykle sprytny. Może w pół roku po śmierci Perry'ego zapytał mnie, czy pamiętam ten jego artykuł o Cardozo. Odparłem, że nie pamiętam ani słowa, bo nawet go nie czytałem. - Theo mruga radośnie. - Okłamałem go.

Mam go już dość. Podejrzewałem, że jest zdolny do nienawiści, ale nie sądziłem, że może być aż tak okrutny. Biedny Marc jest już skończony jako kandydat na sędziego - to jedyna perełka w tym potoku żenujących wspomnień. Jednym słowem, Dana miała rację. W panującej obecnie atmosferze oskarżenie o plagiat pogrzebałoby nadzieje Marca, nawet gdyby okazało się fałszywe - bo przecież, jak sam siebie ostrzegam, nie mogę być niczego pewny, skoro nie przeczytałem rękopisu Perry'ego. Może to tylko nieporozumienie. Jednak raczej nie. Wystarczy przypomnieć sobie autentyczne zdenerwowanie na twarzy Dahlii tamtego dnia w przedszkolu. Kiedy mówiła, że Marca coś wykańcza, była to prawda. Marc nie denerwował się, że ktoś odkryje związek jego córki z Lionelem Eldridgem, lecz gryźł się swoim własnym błędem sprzed dwudziestu lat. Kiedy tak siedzę w zasypanym papierami gabinecie Theo, czuję, że robi mi się coraz lżej na sercu. Marc wypada z gry. Kimmer w niej pozostaje. Prezydent pragnie jakości i różnorodności - zgodnie ze słowami Ruthie Silverman - a moja żona łączy obie te cechy. O ile podczas sprawdzania jej przeszłości nie wyskoczy coś kłopotliwego, zostanie sędzią federalną.

Być może pozwoli to uratować nasze małżeństwo, pomimo machinacji ojca.

Oddaję Theo podniszczoną teczkę i dziękuję za poświęcony mi czas. Theo chwyta ją gwałtownie i chowa z powrotem do szafki na akta, chociaż nie do tej samej szuflady, z której ją wyciągnął.

Jestem już przy drzwiach, kiedy przychodzi mi do głowy coś jeszcze.

- Theo, nie sądzisz, że to zaskakująco dogodnie się złożyło... że wszystko wyszło na jaw akurat w chwili, gdy eliminuje Marca z gry?

- Owszem, sądzę. Przypominam sobie, co podobno powiedział sędzia Frankfurter, kiedy usłyszał o śmierci Przewodniczącego Sądu Najwyższego, sędziego Vinsona, tuż przed ponownym rozpatrzeniem sprawy Brown *przeciwko Radzie Szkolnej* w Sądzie Najwyższym: „To jest pierwszy dowód na istnienie Boga, jaki kiedykolwiek otrzymałem”.

Theo przez chwilę zaśmiewa się szaleńczo, a ja czekam, aż się uspokoi, po czym zadaję kolejne dręczące mnie pytanie: - Theo, nie wiesz przypadkiem, jak do tego doszło, to znaczy do rozpowszechnienia wieści o rzekomym plagiacie?

- Uwierz mi, Talcotcie, że to prawdziwy plagiat. - Ta przypadkowa gra słów wywołuje na jego twarzy uśmiech. - A co, sądzisz, że ja to wszystko rozpętałem? Mylisz się. Z tego, co słyszałem, to jakiś student UCLA, mówiłem już.

- Ale czy w to wierzysz?

Theo w końcu stracił do mnie cierpliwość. - Tal, przestań. Czasem się zdarza, że otrzymujemy prawdziwe dobre wiadomości. Spróbuj cieszyć się takimi chwilami, gdyż nie zdarzają się one zbyt często.

- Raczej nie - mruczę, ściskając mu dłoń przed odejściem, gdyż Theo należy do pokolenia przywiązującego wagę do takich drobnych uprzejmości. Jednak myślami jestem już zupełnie gdzie indziej. Wspominam spotkanie na cmentarzu w dniu pogrzebu ojca, gdy schorowany stary człowiek nazwiskiem Jack Ziegler powiedział mi, że Kimmer nie musi obawiać się Marca Hadleya: *Myślę, że twój kolega nie utrzyma się zbyt długo na czele. Czy nie tak mówił? W jego szafie unosi się zapaszek dość sporego trupa. Wcześniej czy później musi z niej wypaść.*

No, i proszę.

ROZDZIAŁ 36

Opowieść brata

(I)

W niedzielne popołudnie przed rozpoczęciem zajęć wiosennego semestru udaje mi się wreszcie złapać Addisona. Wydzwaniałem do niego bezskutecznie od czasu wizyty Mariah. Nie udało mi się z nim skontaktować ani w Boże Narodzenie, ani w Sylwestra. Zostawiłem wiadomości na automatycznej sekretarce u niego w domu i u producenta w studio radiowym. Próbowałem się dodzwonić na telefon komórkowy, wysyłałem e-maile, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. W przypływie natchnienia wytropiłem nawet białą poetkę, Beth Olin - okazało się, że mieszka w Jamestown w stanie Nowy Jork. Jednak, kiedy usłyszała, kim jestem i o co mi chodzi, natychmiast odłożyła słuchawkę, co przynajmniej wyjaśniło kwestię, czy nadal jest z Addisonem. Potem myślałem jeszcze o zadzwonieniu do jednej z byłych żon, ale moja odwaga ma swoje granice.

- Wyjeżdżałem - informuje mnie teraz. Siedzę w gabinecie i jem kanpkę z tuńczykiem, obserwując płatki śniegu niesione wiatrem przez ulicę. Prognozy zapowiadają dalsze opady dziesięciu do piętnastu centymetrów śniegu, ale Kimmer mimo to pojechała do pracy. W głosie Addisona słychać zmęczenie. - Przepraszam.

- Wyjeżdżałeś w miejsce, gdzie twój telefon komórkowy nie miał zasięgu? - pytam zrzędliwie.

- Do Argentyny.

- Do Argentyny?

- Nie mówiłem ci? Oglądałem ziemię. Byłem tam siedem czy osiem razy w ciągu ostatnich dwóch lat. Myślę o tym, żeby postawić tam sobie dom. - I mieszkać w nim, dopóki demokraci nie powrócą do Białego Domu, mówię sobie w duchu. - Tak dobrze się bawiłem, że postanowiłem zostać kilka dni. Potem dni zamieniły się w tygodnie i... no, w każdym razie jestem z powrotem

Dni zamieniły się w tygodnie?

- Co w takim razie robiłeś? Wziąłeś sobie wolne i nie prowadziłeś programu?

- Prawdę mówiąc, to ten program już się osłuchał. Myślę, że pora, żebym wrócił do pracy nad książką. - Addison wygłasza podobne oświadcze-

nia co kilka lat, ale nie słyszałem, żeby ktoś go widział piszącego. Zazwyczaj tego rodzaju stwierdzenie sygnalizuje, że zamierza zmienić pracę.

- To byłoby wspaniale - mówię jednak lojalnie. - To znaczy... mam na myśli książkę.

- Tak.

- Powinna zostać napisana.

- Tak. - Uświadamiam sobie, że w głosie mojego brata słychać nie tyle wyczerpanie, co rezygnację. Zastanawiam się, z czym zdołał niechętnie się pogodzić. - A, wiesz co, braciszku? Było u mnie FBI. Rozmawiali ze mną o *twojej żonie*. - Słyszę krótki chichot. - Zupełnie, jakbym o niej cokolwiek wiedział.

- Sprawdzają jej przeszłość, Addisonie. Muszą porozmawiać ze wszystkimi.

- Tak, tylko nie wiem, dlaczego przy sprawdzaniu Kimmer muszą zadawać tyle pytań na temat *moich* cholernych pieniędzy. - Jestem pewien, że mój brat pamięta równie dobrze, jak ja, żenująco pobieżne sprawdzanie Sędziego. Podobno od tamtej pory zaostrzono procedurę. - W każdym razie zostawiłeś mi mnóstwo wiadomości. Musisz mieć jakąś ważną sprawę.

Miałem dużo czasu, żeby przemyśleć sobie, jak rozegrać tę rozmowę. Postanowiłem stopniowo dochodzić do tego, co mnie najbardziej interesuje, poruszając najpierw mniej ważne kwestie.

W związku z tym opowiadam bratu o wizycie Mariah i zaginionym raporcie Jonathana Villarda. Wyjaśniam, że nigdzie nie możemy znaleźć jego kopii, nawet w archiwum policyjnym, gdzie Meadows odesłano z kwitkiem. Wspominam również o dwóch kartkach z notesu wypełnionych charakterem pisma Sędziego. Jedyne, co udało się nam ustalić na podstawie tych notatek, to że w samochodzie, który zabił Abby, jechały dwie osoby.

- Ha - to był początkowo jedyny komentarz Addisona. Po chwili dodaje pełnym zaskoczenia głosem: - Zrobiliście duże postępy. - Teraz jestem już pewien, że mam rację. Mój brat znów przez chwilę milczy, ale postanawiam to przeczekać. Wreszcie zadaje mi pytanie o to, co najbardziej go dręczy: - Ale dlaczego mi to mówisz?

- Wiesz, dlaczego - odpowiadam spokojnie. Czekać na jego odpowiedź, słyszę dobiegający z pokoju rodzinnego dźwięk z telewizora, gdyż Bentley ogląda nieskazitelnym moralnie film wideo otrzymany na Boże Narodzenie od Johna i Janice Brownów, jego rodziców chrzestnych. Dwa dni temu uczestniczyliśmy z Kimmer w dorocznej poświęconej imprezie organizowanej przez bractwo Lemastera Carlyle'a. Wraz z paroma setkami innych dobrze sytuowanych przedstawicieli ciemniejszej nacji ślizgaliśmy się w rytm muzyki elektronicznej, cza-cza i zupełnie nowego wynalazku zwanego krokiem dot-com aż do wczesnych godzin porannych. Wygląda więc na to, że jednak prowadzimy życie towarzyskie.

- Nie, nie wiem - odpowiada niechętnym tonem.
 - Ponieważ wiesz, gdzie jest raport.
 - Co takiego?
 - Wiesz, gdzie on jest, a w każdym razie, co w nim było.
 - Dlaczego tak sądzisz? - W głosie Addisona słychać raczej strach niż irytację. - Ja nic o tym nie wiem.
 - Uważam, że wiesz. Pamiętasz dzień pogrzebu Sędziego, jak stałeś przy grobie, a ja do ciebie podszedłem? Przypominasz sobie, co wtedy powiedziałaś? Zastanawiałaś się, czy kiedyś znajdą *tych*, którzy zabili Abby. Powiedziałaś *tych*.
 - Musiałeś mnie źle zrozumieć - odpowiada po chwili milczenia.
 - Nie sądzę. Trudno, żebym pomylił to słowo z liczbą pojedynczą. A przecież przez wszystkie te lata w rodzinie mówiono zawsze o znalezieniu *kierowcy* samochodu. Mama tak mówiła i tata, a także my wszyscy, łącznie z tobą. Natomiast na cmentarzu wiedziałeś, że w samochodzie były dwie osoby. Sądzę, że wiedziałeś to z raportu.
 - Trochę to naciągane - stwierdza Addison, ale wyczuwam, że nie ma ducha do kłótni, którą próbuje wywołać. - Może po prostu się przejęzyczyłem. Może zgadywałem. Nie powinieneś na tej podstawie wyciągać wniosków.
 - Przestań, nie baw się ze mną w takie gierki. Wiesz, że mam rację. Albo Sędzia dał ci raport, albo sam go wyjął z jego papierów. Jednak wiem, że go przeczytałeś i chciałbym się dowiedzieć, co w nim było.
- Znowu pauza, tym razem dłuższa. W tle słyszę jakiś głos, potem Addison odpowiada mu szeptem. Chyba prosi kogoś, żeby dał mu chwilę. Może to ktoś, kogo zabrał ze sobą do Argentyny... albo zostawił.
- Potem znów słyszę jego głos.
- Cholera - oznajmia.

(II)

Addison jest wyraźnie nieszczęśliwy. Komplikuję mu życie. Z pewnością wolałby wykładać w jakimś college'u, rozglądać się za posiadłością w Ameryce Południowej lub prowadzić swój *talk show*, nawet jeśli się już osłuchał - zrobiłby wszystko, żeby tylko nie prowadzić kosztującej go tak wiele pod względem emocjonalnym rozmowy z członkiem własnej rodziny. Wszyscy troje przez całe dorosłe życie uciekaliśmy od ojca, ale Addisonowi udało się uciec najdalej. Być może dlatego jego Sędzia kochał najbardziej. Zawsze podziwiałem brata, ale to, jak mnie unikał przez ostatnie miesiące, poważnie zachwiało moim oddaniem dla niego.

- Posłuchaj, braciszku, ja naprawdę nie mam kopii raportu. Nigdy jej

nie miałem, tylko po prostu raz go czytałem. - Chwila milczenia, ale nie potrafi znaleźć wyjścia. - Tata mi go pokazał.

Wstrzymuję oddech. W głosie Addisona słysząc takie zdenerwowanie, że sam nie wiem, czy można mu wierzyć. - W porządku. Więc co w nim było?

- Nie chciałbyś się tego dowiedzieć, Misha. - Głos Addisona twardnieje. - Naprawdę byś nie chciał.

- Prawdę mówiąc, właśnie chcę.

- Jesteś stuknięty. Jesteś tak samo stuknięty, jak on.

Zapewne ma na myśli Sędziego, ale, moim zdaniem, jest jeszcze wielu innych kandydatów. Półtora tygodnia temu zadzwonił do mnie w końcu agent specjalny Nunzio, którego wcześniej bezskutecznie poszukiwałem. Nie wspominając mu o Maxine, poinformowałem go, że ojciec Bishop prawdopodobnie został zamordowany przez pomyłkę. Podziękował mi chłodno za tę wskazówkę i bez entuzjazmu obiecał, że to sprawdzi. Mogło być gorzej.

- Chcę po prostu poznać prawdę - oznajmiam spokojnie bratu.

Addison wzdycha. - Nie rozumiem cię, Tal. Jesteś chrześcijaninem, prawda? A czy nie napisano gdzieś, że powinieneś uczynić swe życie dziełem przebaczenia, a nie dziełem zemsty?

Nie wierzę własnym uszom. Już po rozmowie z Maxine poczułem się całkowicie zdezorientowany, ale słowa mojego brata mogłyby wygrać konkurs na najbardziej delficką odpowiedź.

- Nie szukam zemsty.

- Pewnie, tak mówisz, ale być może to tylko takie pierdolenie.

- Addison uwielbia wulgaryzmy, gdyż chyba mu się wydaje, że dzięki nim jego kulturalny sposób mówienia Garlandów nabiera bardziej autentycznego czarnego brzmienia. Tymczasem brzmi to raczej sztucznie, jak u dziecka wypróbowującego nowo poznane słowa. - Być może *myślisz*, że nie pragniesz zemsty, ale możesz się mylić. W istocie wcale nie wiesz, co takiego kryje się w głębi twego serca, co zmusza cię do postępowania w taki, a nie inny sposób. Musisz poprosić Boga, aby uleczył twoje serce, bracie.

Dawno już przestałem jeść. Zupełnie straciłem apetyt, starając się przebrzeć przez kilometry zasłony dymnej wypuszczanej przez mego brata i zrozumieć, w jakim celu tak się zachowuje.

Addison akurat przytacza cytaty z Pisma Świętego: - „Błogosławcie tych, którzy was prześladują!” mówi nam święty Paweł w Liście do Rzymian. Pamiętasz? „Nikomu złem za złe nie odpłacajcie”. A jeśli przeczytasz sobie historię Samsona...

W tym momencie mu przerywam, czego prawie nigdy nie robiłem. - Nie chcę nikomu odpłacać złem za zło, Addisonie. Daj sobie z tym spokój. Staram się tylko odkryć, co się dzieje.

- Tak *mówisz*. Ale, widzisz, może kryje się w tym taki smród, że kiedy

się dowiesz, będziesz chciał komuś zrobić krzywdę.

- Addisonie, przestań. Nie staram się nikogo zranić. - Mówię to, gdyż przyszło mi na myśl, że być może on sam obawia się zemsty, o której wspomniał. - Po prostu muszę wiedzieć, co było w raporcie.

- Nie, nie musisz, uwierz mi. Nie musisz i nie chcesz tego wiedzieć. Zostaw przeszłość przeszłości, braciszku i ruszaj w przyszłość. Pragniesz kochać swoją żonę i syna oraz troszczyć się o dom. Pragniesz z pełnym wybaczenia sercem wyjść światau naprzeciw. Natomiast absolutnie nie chcesz wiedzieć tego, co znajdowało się w raporcie.

- Dlaczego nie?

- Pokusa. Czy chcesz być wiedziony na pokuszenie? Ten raport był pokusą do grzechu, uwierz mi.

Znowu zawraca mnie z obranej drogi. Jednak zaszedłem już tak daleko, że pozostaje mi tylko przeć naprzód.

- Addisonie, proszę. Powiedz mi przynajmniej, kiedy tata pokazał ci ten raport.

Znowu pauza, podczas gdy obracają się trybiki w jego subtelnym, skłonny do manipulowania innymi umyśle.

- Mniej więcej rok temu. Może trochę wcześniej. Tak. Zeszłej jesieni.

Mam wrażenie, że stara się zaciemnić prawdę, przedstawić ją tak, by była dla niego wygodna, jak to często robią świadkowie. Postanawiam nastawić się na długą rozgrywkę, podczas której będę hamował swoją niecierpliwość i pozwalał, żeby jego rosła. Ponieważ zdarzało mi się odbierać zaprzysiężone zeznania, wiem, jak istotne jest krążenie wokół najważniejszej kwestii, stopniowe zbliżanie się do niej i w końcu udawanie znudzenia, kiedy się do niej dotrze.

- Czy wiesz, dlaczego ci go pokazał?

- Nie bardzo.

- A możesz mi opowiedzieć, jak do tego doszło?

Znowu muszę czekać na odpowiedź. Nie wiem, dlaczego Addison tak się denerwuje, ale wyraźnie to wyczuwam, nawet podczas rozmowy telefonicznej. - Tak, jak mówiłem - zaczyna w końcu - to było około półtora roku temu. Tata zadzwonił do mnie. Miał przyjechać do Chicago wygłosić odczyt i chciał, żebyśmy się spotkali, na przykład na kolacji. Powiedziałem, że pewnie, czemu nie. Rozumiesz, nie odpowiadała mi jego polityka, ale w końcu to był mój ojciec, nie? No, i spotkaliśmy się na kolacji w jego hotelu, jednym z tych eleganckich prywatnych hotelików w centrum. Jednak nie w sali restauracyjnej, tylko w jego apartamencie. Oczywiście miał apartament. Ogromny. Dwie sypialnie, tak jakby mu były do czegoś potrzebne. No, ale wiesz, ci wszyscy pravicowi wariaci, do których przemawiał, po prostu go uwielbiali. Nie żalowali kosztów. Dostawał te ogromne honoraria, prawda? Trzydzieści tysięcy dolarów za występ? Czterdzieści? Czasem nawet więcej.

Potem jego słuchacze wracali do klubów i opowiadali swoim koleśiom od golfa, że Murzyn zgadza się z ich pravicowymi idiotyzmami, a więc muszą być słuszne. - Nigdy nie słyszałem w jego głosie takiej wrogości. Być może po prostu nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo Addison nienawidził ojca.

- Mniejsza o to. W każdym razie spotykamy się na kolacji w jego apartamencie. On wyjaśnia, że nie chce, żeby nas ktoś podsłuchał. Wtedy ja sobie trochę żartuję i mówię: „A jeśli założyli ci podsłuch w apartamencie?” On wcale się nie śmieje, tylko przyjmuje to zupełnie poważnie. Spogląda na mnie i pyta: „Sądziś, że mogli to zrobić?”, czy coś w tym rodzaju. Myślałem, że padnę. Mówię mu, że tylko żartowałem, a on na to, że już zmienił apartament, tak na wszelki wypadek. Więc chwalebę go, że to sprytnie posunięcie, ale myślę sobie, że on, no, wiesz... że może on... że może mamy pewien problem. Jesteś pewien, że chcesz tego wszystkiego słuchać?

- Tak - odpowiadam z napięciem w głosie.

- Dobrze. Sam o to prosiłeś. Siadamy do kolacji przy stole - apartament ma coś w rodzaju jadalni. On ma przy sobie kilka teczek, więc myślę, że będziemy rozmawiać o finansach rodzinnych, No, wiesz, coś w rodzaju: *W razie gdyby coś mi się stało, to pieniądze są tu i tu*. Jego twarz ma niezmiernie poważny wyraz, taki jak ten, który przybierał, gdy nas pouczał... no, wiesz, o tym, co dobre i złe, o dotrzymywaniu obietnic i tych innych bzdurach. Potem widzę, że zaczyna się denerwować i mówi do mnie: „Synu, musimy porozmawiać o ważnej sprawie”, a ja sobie myślę, że miałem rację. Potem dodaje, że to może być nieco trudne do przyjęcia, na co ja tylko kiwam głową, a on ciągnie, że były w jego życiu sprawy, o których nigdy nie rozmawiał z rodziną, a zwraca się do mnie, bo jestem najstarszy. Wtedy ja znów kiwam głową.

Słuchając tego, czuję, że zaczyna mnie palić twarz - to znów znajoma, odwieczna zazdrość o to, że Addison zajmował uprzywilejowane miejsce w sercu Sędziego - lecz choć raz mam dość rozsądku, żeby się nie odzywać.

- No, i wtedy myślę, że za chwilę powie o pieniądzach, a on zamiast tego otwiera teczkę i wyciąga plik kartek, pięć albo sześć, i mówi do mnie: „Chcę, żebyś to przeczytał. Musisz wiedzieć”. Pytam go, co to jest.

Sądziłem, że jakiś plan inwestycyjny czy coś takiego. A on na to: „To raport Villarda”. Pytam, kto to jest Villard - wcale nie udawałem, naprawdę już o tym zapomniałem. Na to on się wścieka i powtarza: „Synu, powiedziałem ci, żebyś to przeczytał, więc po prostu przeczytaj”. Wiesz, jak on potrafił się zachowywać. „Po prostu przeczytaj”. No, więc przeczytałem.

Addison milknie. Najwyraźniej nie ma poczucia, że nie dokończył opowiadania. Pytałem go, jak doszło do tego, że przeczytał raport i odpowiedział mi na pytanie.

- Czy powiedział, dlaczego masz przeczytać ten raport?

- Coś tam opowiadał, nie wiem dokładnie. Chyba coś go przestraszyło.

- Przestraszyło?
- No, nie wiem, dobra? Po prostu nie bardzo go słuchałem. Nie interesowało mnie to.
- Nie interesowało? Addisonie, to był nasz ojciec!
- No, i co z tego? Posłuchaj. Mógłbym ci powiedzieć o nim parę rzeczy, których wcale nie chcesz usłyszeć. Te przesłuchania kompletnie go wykończyły. Ty i Mariah nawet nie zdawaliście sobie z tego sprawy, ale to nie do was wydzwaniał w środku nocy, pijany - tak, zaczął znowu pić. Nie wiedziałeś o tym, co?

Oczywiście wiedziałem, gdyż Lanie Cross mi powiedziała, ale skoro zaczęła wreszcie mówić, nie mam zamiaru mu przerywać.

- Więc dzwonił do mnie w środku nocy, wypłakując się na ten czy inny temat. Tylko dlatego, że byłem *najstarszy*. „Tylko tobie to mówię, synu”, powtarzał. Zupełnie jakby to był wielki zaszczyt, że budzi mnie o drugiej nad ranem i opowiada, jak to zasłużył sobie na śmierć za grzechy albo że zamierzają go zabić, tyle że nie bardzo wiadomo, *кто*. Był po prostu paranoikiem, i tyle. Myślał, że wszyscy na świecie na niego czyhają. Po prostu był stuknięty. Czy to właśnie chciałeś usłyszeć, braciszku? Czy wyrażam się jasno? Tak? Wspaniale. No, więc opowiedział mi historię, jak to ktoś do niego przyszedł i teraz ma prawdziwe problemy, więc muszę przejrzeć te papiery. Siedzę w tym hotelu i usiłuję zrozumieć, dlaczego fakt, że przeczytam raport, ma mu pomóc wydobyć się z kłopotów. Co nie znaczy, że mnie to cokolwiek obchodziło. Miałem go serdecznie dosyć, rzygać mi się chciało od tych wszystkich bzdur, którymi mnie zalewał przez lata...

Addison zmusza się, żeby umilknąć. Mężczyźni Garlandów potrafią tego dokonać, zupełnie jakby przekręcali wyłącznik. Niewątpliwie jest to jedna z przyczyn, dla których nasze kobiety zaczynają nas z czasem nienawidzić.

- Może nie miałem racji - ciągnie łagodniejszym tonem. - Sędzia zwrócił się do mnie o pomoc, a ja go odprawiłem. To było złe, patrząc przez pryzmat wszystkich religii, jakie znam. A mówienie o nim w taki sposób, jak to robiłem przed chwilą, również jest złe. - Znowu milknie. Wyobrażam sobie, jak siedzi w swoim domu w Chicago, pewnie z zamkniętymi oczami, gdyż słyszę szept, jakby się cicho modlił - może o umiejętność wybaczenia, może o siłę, a może po prostu na pokaz.

- Addison. - Dalej słyszę szept. - Addison!

- Nie musisz krzyczeć, Misha. - Znowu mam do czynienia z zadziornym starszym bratem. Wściekły, niemal bełkoczący Addison sprzed dwóch minut zniknął, wyzbył się demona. - Jest taki wspaniały wynalazek jak telefon. Możesz mówić normalnym tonem, a osoba na drugim końcu linii, nawet będąc w Chicago, zupełnie dobrze cię usłyszy.

- Dobrze, dobrze, przepraszam. Ale, posłuchaj, co on ci powiedział? Kto do niego przyszedł? Mówiłeś, że ktoś go przestraszył...

- Wiesz co, chyba nie powinienem o tym mówić. Sędzia wymógł na mnie obietnicę, że nikomu tego nie powtórzę.

Zastanawiam się. Jestem już tak blisko, a Addison nigdy nie potrafił utrzymać tajemnicy, chyba że chodziło o ukrycie jednej dziewczyny przed drugą. Musi być jakiś sposób, żeby skłonić go do wyjawienia tego. Koniecznie muszę spróbować. Czuję, że gdzieś w głębi duszy, w miejscu, którego istnienia mężczyźni Garlandów nawet nie ujawniają, zaczyna się tlić we mnie gniew. Częściowo jest to gniew na Addisona za jego gierki, ale głównie na ojca, który zwierzał się starszemu synowi, dorywczemu aktywiście, zamiast młodszemu, prawnikowi. *Skoro zwierzałeś się Addisonowi, chciałbym na niego nakrzyczeć, to dlaczego nie załatwiłeś wszystkiego tak, żeby to jemu dostarczono pionek i list, zamiast mnie.*

Co prawda, nigdy nie krzychałem na Sędziego.

Potem przypominam sobie, że spośród dzieci tylko Addison ośmielał się wdawać w kłótnie z ojcem. Kiedy Sędzia rozpoczynał przy kuchennym stole jeden ze swych wykładów na temat tego, co powinniśmy robić, a czego unikać, Mariah i ja siedzieliśmy posłusznie, wtrącając w odpowiednich miejscach zgodne z jego oczekiwaniami odpowiedzi: *Tak, ojcze. Nie, ojcze. Masz rację, ojcze.* Natomiast Addison, nawet jako nastolatek, potrafił mu spojrzeć prosto w oczy i powiedzieć: *Bzdury, tato.* Za karę nie mógł przez tydzień wychodzić z domu, ale był z siebie dumny... a Sędzia z niego też. *Podoba mi się tupet tego chłopaka,* mawiał do mamy, *mimo że niewłaściwie go wykorzystuje.*

Ten tupet zaprowadził go bardzo daleko. Przekonajmy się, dokąd.

- Co się stało z raportem?
- Jak to, co się z nim stało? - pyta wojowniczo.
- Przeczytałeś go? Czy tata zabrał go ze sobą?

Addison zaczyna mówić znacznie wolniej. - Nie, ja go zabrałem. Obiecałem ojcu, że go przejrzę. - Słyszę jego urywany oddech, gdy stara się powściągnąć gniew. - Nie ma go już, Misha. Nawet nie pytaj. Pozbyłem się go.

- Jak? Wyrzuciłeś go?
- Nie ma go. To wszystko.

Wierzę mu. Cokolwiek było w raporcie Villarda, Addison nie chciał, żeby ktoś to zobaczył. Nie ma też zamiaru wyjaśnić mi, dlaczego.

- Dobrze, Addisonie. Zapomnijmy o tym, co stało się z raportem i dlaczego Sędzia był przestraszony. Chciałbym ci przedstawić drugi powód, dla którego dzwonię. - Addison, który zapewne odczuwa ulgę z powodu zmiany tematu, nie oponuje. - Pragnę cię zapytać o sprawę, w której z pewnością nie przysięgłeś ojcu milczenia, bo nie miał o niej pojęcia.

- Strzelaj - zachęca mnie pobłażliwym tonem, gdyż sądzi, że nie mam już amunicji.

Opowiadam mu zatem o spotkaniu z Sally i przypominam noc, którą

spędzali razem w naszym domu, żeby móc się ze sobą kochać, i jak przeschodziła im gwałtowna kłótnia ojca z Colinem Scottem.

- Tak - potwierdza, kiedy skończyłem. - Sally mi mówiła, że z tobą rozmawiała i że się wygadała. Biedactwo.

- Addisonie...

- Musisz zrozumieć, Misha, że Sally przeżyła naprawdę ciężkie chwile. Masz pojęcie, ile razy była na leczeniu? Czasami trochę upiększa różne sprawy, rozumiesz? Mogło to wyglądać trochę inaczej, niż się wydaje na podstawie jej relacji.

Uświadamiam sobie, że on mówi o seksie, a nie kłótni.

- Addisonie, w porządku. Nie obchodzi mnie, co było między tobą a Sally. Naprawdę. - Kłamię, ale nie ma sensu przypominać mu teraz, że to było złe, szczególnie kiedy już go przyparłem do muru. - Natomiast interesuje mnie, o czym rozmawiali Sędzia i Colin Scott. Sally mówi, że podsłuchałeś część rozmowy. To właśnie jest mi potrzebne. Co udało ci się podsłuchać? Cisza.

- Addisonie? Przecież wiem, że słyszałeś tę rozmowę, a przynajmniej jej większą część.

- Rzeczywiście większość słyszałem, ale nie mogę ci o tym opowiedzieć, Misha. Naprawdę nie mogę.

- Nie możesz? Co to znaczy, nie możesz? Addisonie, Sędzia nie jest twoją własnością. Był również moim ojcem.

- Wiem, ale są pewne sprawy związane z ojcem, które... - Waha się i zaczyna od początku. - Posłuchaj, Misha. To są rzeczy, których naprawdę nie chciałbyś wiedzieć, uwierz mi. Rozumiem, że ci się wydaje, iż chcesz je poznać, ale tak nie jest. Chodzi o to... braciszku, on naprawdę zrobił coś cholernie złego. Wszyscy czasem robimy coś nie tak, ale tata... no, cóż, nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, ale i tak nie zamierzam nic mówić. W żadnym wypadku. - Znowu pauza. Może wyczuwa moje cierpienie albo zdumienie... lub po prostu potrzebę. Chrząka. Addison naprawdę nie potrafi znieść bólu innych istot ludzkich, co zawsze w nim kochałem i czego mu zazdrościłem. Czasem myślę, że to właśnie ta cecha charakteru, a nie samo pożądanie cielesne, stała się przyczyną tak rozwiązłego życia mego brata. On po prostu nie potrafi odmówić. Może to również wyjaśniać zrywanie przez Addisona kontaktu z członkami rodziny na miesiące, a nawet lata. Chcąc pozostać przy zdrowych zmysłach, znalazł własny sposób obrony przed tym, czego inni domagali się od niego.

Teraz bez skrupułów wykorzystuję jego słabość.

- Addisonie, przestań. Musisz mi coś powiedzieć. Niedługo oszaleję, jeśli nie znajdę żadnych wskazówek na temat tego, co się dzieje lub co się zdarzyło tamtej nocy. - Ściszam głos. - Nie mogę zagłębiać się w szczegóły, ale to niszczy moje życie.

- Nie żartuj sobie, braciszku.
- Mówię poważnie. Pamiętasz pojawienie się wujka Jacka na cmentarzu? Od tamtej pory... nie uwierzyłbyś, co się wokół mnie dzieje. W każdym razie to niszczy moje małżeństwo, a ja sam niedługo zwariuję. Proszę, powiedz mi tyle, ile możesz. Muszę wiedzieć.

Mój brat znowu popada w długie zamyślenie. Powiniennem teraz kończyć kolejny artykuł, gdyż staram się odzyskać szacunek kolegów, lecz jestem przygotowany na to, by czekać całe popołudnie na tę jedną odpowiedź. Na szczęście Addison wyczuwa, że kieruje mną autentyczna potrzeba i dzięki jego współczuciu uzyskuję to, czego nie wywalczyłbym podczas kłótni.

- W porządku, Misha, rozumiem cię. Słuchaj, powiem ci, co zrobimy. Ujawnię ci jeden fakt, ale to już będzie wszystko, braciszku. Poważnie. Więcej nie mogę, bo to jest jak święte powiernictwo.

- Wiem, Addisonie, wiem. Szanuję to.

Tym razem milczenie brata ma w sobie odcień podejrzliwości, i właściwie - dlaczego nie? Przecież kłamię mu w żywe oczy. Dalej każe mi czekać. Nawet siedząc o tysiące mil ode mnie w swoim domu w Chicago i trzymając w swoich rękach moje zdrowie psychiczne, potrafi manipulować milczeniem. Staram się zachować cierpliwość, nie powiedzieć niewłaściwego słowa, a właściwie nie odzywać się wcale, gdyż zdaję sobie sprawę, jaki to delikatny moment. W milczeniu Addisona wyczuwam zagubienie, a nawet gniew. On nie chciał mi niczego mówić, liczył, że odwiedzie mnie od poszukiwań. Nie udało mu się, więc jest teraz wściekły.

Czuję ponadto coś jeszcze, co mgliście uderzyło mnie na początku naszej rozmowy, a teraz znajduje potwierdzenie. Mój brat się boi. Chciałbym tylko wiedzieć, czego.

W końcu decyduje się przemówić: - Jeden fakt, Misha, i to wszystko. Proszę, nie pytaj mnie potem o kolejne rzeczy, bo nic ci już nie powiem. Jeden fakt, a potem już nie odpowiadam na żadne pytania. - Przemawia do mnie takim tonem jak polityk odmawiający rozmowy na temat swojego życia prywatnego.

- Jeden fakt, rozumiem.

- W porządku, słuchaj. Odnośnie tej nocy, gdy Colin Scott był na Shepard Street. No, więc Sally ma rację, słyszałem wszystko. Każde słowo. - Mój brat wydaje z siebie przeciągłe westchnienie. - Sally powiedziała ci, że słyszała, jak tata mówi: „Nie ma żadnych zasad tam gdzie chodzi o własność”, tak?

- Zgadza się.

- Ja też słyszałem jego słowa, a byłem znacznie bliżej. - Ostatnia pauza, być może Addison próbuje jeszcze znaleźć słowo, argument czy ostrzeżenie, które mnie powstrzymają. Jednak najwyraźniej nie potrafi nic wymyślić. - Sally, jak zwykle, źle usłyszała. Tata nie powiedział *własność*. Powiedział

własną córkę.

Stuk odkładanej słuchawki.

(III)

Morris Young znajduje dla mnie czas później tego wieczoru, gdyż wyczuwa, że jestem zrozpaczony. Spotykamy się w kościele około ósmej i wysłuchuje mnie cierpliwie. Kiedy kończę, nie udziela mi żadnej rady, natomiast opowiada pewną historię.

- W Starym Testamencie w Księdze Rodzaju jest opowieść o Noem.
- O potopie?

Twarz pastora przybiera łagodniejszy wyraz. - Nie, oczywiście, że nie o potopie. Z Noem wiąże się znacznie więcej opowieści niż potop, Talcotcie.

- Wiem - mówię, jakby to była prawda.
- Z pewnością. Jestem też pewien, że pamiętasz opowieść z Księgi Rodzaju, jak Noe odurzył się winem i leżał nagi w namiocie. Jego syn Cham znalazł go nagiego i zawołał swoich braci, Sema i Jafeta - pamiętasz? Wówczas Sem i Jafet weszli do namiotu tyłem, żeby nie widzieć nagości ojca i nakryli go płaszczem. Kiedy Noe się obudził, przeklął swojego syna Chama. Bo, widzisz, Cham nie szanował swego ojca, chciał go zobaczyć nagim. Chciał też, żeby jego bracia to zobaczyli. Cóż to za syn, Talcotcie? Czy rozumiesz sens tej opowieści? Synowie nie powinni oglądać nagości swych ojców. Syn nie powinien znać wszystkich tajemnic swego ojca... ani wszystkich jego grzechów. A jeśli już je pozna, to nie powinien o nich rozpowiadać. Rozumiesz, Talcotcie?

- Uważa pastor, że powinienem przestać? Nie powinienem próbować dochodzić, co mój ojciec naprawdę zrobił?

- Nie potrafię ci doradzić, co masz robić. Jedyne, co mogę powiedzieć, to że Pan nakazał ci szanować swego ojca. Synowie, którzy szukają grzechów swych ojców, z pewnością je odnajdą. I powiem ci jeszcze, że Biblia uczy nas, iż dla takich synów niemal zawsze źle się to kończy.

ROZDZIAŁ 37

Trochę historii

Najbardziej rozbudowane ego wśród grona profesorskiego nie należy bynajmniej do Dany Worth, Lemastera Carlyle'a, Arnie Rosena czy nawet upokorzonego ostatnio Marca Hadleya, tylko do mojego sąsiada w budynku Oldie - Ethana Brinkleya. Mały Ethan odczuwa ogromną dumę ze swych *przyszłych* osiągnięć, twierdzi Droga Dana Worth, nasz szkolny żartowniś. Dzięki temu oszczędza sobie zmartwień związanych z tym, czy rzeczywiście zrealizuje swoje zamierzenia.

W minionych latach Ethan zdążył opowiedzieć wszystkim - czy byli tym zainteresowani, czy nie - o tajnych materiałach, które zgromadził w swoim gabinecie. Są tam fotokopie setek akt i raportów, które „zapomniał” zwrócić, kiedy zakończył pracę w Komisji do Spraw Wywiadu. Mały Ethan, jak go kpiąco nazywa Theo Mountain, lubi wtrącać do rozmowy smakowite kąski ze zgromadzonych materiałów, na przykład: kim były kochanki Johna Kennedy'ego lub jakiej wody kolońskiej używa Fidel Castro. Chwilami człowiek czuje się, jakby przebywał z początkującym J. Edgarem Hooverem. Stuart Land oświadczył mu wprost, że powinien siedzieć w więzieniu, a były prokurator Lem Carlyle rozważał, czy na niego nie donieść, ale w końcu nikt niczego nie zrobił. Nie zareagowali nawet wówczas, gdy Mały Ethan roztaczał swój czar jako częsty gość telewizyjny w trakcie procedur związanych z próbą pozbawienia Clintona prezydentury, gromko nawołując do przywrócenia uczciwości w rządzie federalnym.

Ethan posiada ogromną ambicję, ale ani krztyny autoironii lub wstydu. W każdym razie tak się złożyło, że w pierwsze popołudnie wiosennego semestru, w niecały tydzień po upadku nadziei Marca na stanowisko sędziowskie - które teraz niemal na pewno przypadnie Kimmer - i nazajutrz po wykańczającej rozmowie z Addisonem stoję przed drzwiami gabinetu Ethana, naprzeciw mojego własnego. Czuję zdenerwowanie; częściowo dlatego, że nie utrzymujemy z Ethanem przyjacielskich stosunków, lecz głównym powodem jest to, że chcę go spytać o pewną delikatną sprawę. Nie, będę szczerzy - podejrzewam, że ujawnienie wiadomości, o które chcę go spytać, jest niezgodne z prawem.

Co prawda, Ethan Brinkley nie przejmuje się takimi rzeczami, jak drobna niezgodność z prawem.

- Misha! - woła, kiedy przekraczam próg jego gabinetu. Wyskakuje zza biurka, żeby obdarzyć mnie wyćwiczonym uściskiem dłoni. Nigdy nie za-

chęcałem go, by zwracał się do mnie imieniem, które rezerwuję dla osób mi najbliższych. Jednak usłyszał kiedyś, że Dana tak mnie nazywa i sam również zdecydował się na tę formę, zakładając, jak większość sprzedawców i polityków, że nazywając mnie tak, jak jemu się podoba, w pewien sposób cementuje naszą bliskość.

W rzeczywistości czuję się tym urażony, ale, jak zazwyczaj, zachowuję to dla siebie w przekonaniu, że nadejdzie pora odłaty.

Ethan wskazuje mi twarde drewniane krzesło i gdy siadam, wymieniamy kilka zdawkowych uwag. Jego gabinet ma rozmiary dużej szafy, a dwa ma-
lutkie okna na dłuższej ścianie wychodzą na inne skrzydło budynku. Jednak Ethan jest przekonany, że piękny widok i odpowiedni metraż to tylko kwestia czasu, gdyż jego ambicji towarzyszy cierpliwość pozwalająca mu patrzeć na wszystko w dłuższej perspektywie. *Nadejdzie taki dzień*, zdradził mi Ethan w chwili nieostrożności, zanim jeszcze przyznano mu dożywotnie stanowisko profesorskie, *kiedy stanę się tu potęgą*.

Już chodzi dumnie jak paw, stwierdziła Dana, kiedy jej to powtórzyłem.

Ethan potrafi odczytać mój nastrój. Z opanowanym, życzliwym wyrazem twarzy siada na krześle obok mnie. To kolejne posunięcie zręcznego polityka - gdyby rozdzielało nas biurko, nadałoby to rozmowie zbyt oficjalny charakter. Wszystko, co robi Ethan, jest przemyślane i ma na celu pozyskanie sympatii otoczenia, i większość osób rzeczywiście go lubi. Niektórzy twierdzą, że już rozpoczął swoją kampanię wyborczą w walce o stanowisko dziekana, gotów zmierzyć się z Arnie Rosenem i Lemem Carlylem, kiedy Lynda Wyatt zdecyduje się ustąpić. Jestem zdziwiony, że ktoś może sądzić, iż celuje on tak nisko.

Ethan jest niskim, silnie zbudowanym, lecz zwinnym mężczyzną o nieporządnym brązowych włosach i niewinnych brązowych oczach. Chętnie ubiera się w zdarte buty i tweedowe marynarki zmiętoszone na tyle, by ludzie byli przekonani, iż jest jednym z nich, tyle że jego marynarki kosztują tysiąc dolarów za sztukę. Ethan nigdy nie odwraca wzroku od twarzy rozmówcy, ale ułożenie jego drobnych ust i głębokie zmarszczki na czole zdradzają, że to wszystko na pokaz - że pod osłoną niewinnego spojrzenia przez cały czas jak szachista planuje kolejne posunięcia i kontrposunięcia.

- Zatem, Misha, co mogę dla ciebie zrobić? - pyta Ethan, mrugając oczami, zupełnie jakbym nie był o pięć lat starszy od niego.

- Potrzebne mi są pewne informacje, które, jak sądzę, ty możesz posiadać.

Niemal się do mnie uśmiecha, gdyż najszczęśliwszy jest wówczas, gdy pomaga innym - nie z powodu dobrego serca, lecz dlatego, że wówczas inni stają się jego dłużnikami. Mały Ethan wszędzie w szkole stara się zaznaczyć swoją obecność: prowadzi nadprogramowe zajęcia, uczestniczy we wszystkich warsztatach, dobrowolnie zgłasza się do pisania sprawozdań z posie-

dzeń komisji, za co nikt przy zdrowych zmysłach się nie zabiera, a nawet pojawia się na niezliczonych przyjęciach dla odwiedzających nas wiceministrów sprawiedliwości z nowo powstających krajów, o których nikt nie słyszał.

- Misha, znasz mnie - dla kumpla wszystkim.

Kiwam głową, po czym zbieram całą odwagę, gdyż szykuję się do skoku, nad którym zastanawiałem się od powrotu z Vineyard. Rozmowa z bratem utwierdziła mnie w tym zamiarze. Zatem, odmawiając w duchu modlitwę, wypowiadam nazwisko: - Colin Scott.

Ethan ściąga na chwilę brwi, zbierając myśli. Jego pamięć stała się już legendarna wśród studentów, którzy nie mogą wyjść z podziwu, gdy cytuje całe długie ustępy z akt różnych spraw, nie zaglądając do notatek ani książek. Większość wykładowców zna tę sztuczkę, ale Ethan wykonuje ją z pewnym szelmowskim rozmachem. Poza tym opanował ją na znacznie wcześniejszym etapie kariery niż większość z nas.

- Coś mi się kojarzy - potwierdza teraz. Na jego twarz powrócił wyraz zyczliwości. - Ale o co ci chodzi?

Kiwam ręką w kierunku jego starannie uporządkowanych i zamkniętych szafek. - Chciałbym się dowiedzieć o nim wszystkiego, co wiesz.

- On nie żyje.

- Wiem. Byłem na Vineyard, kiedy to się stało.

- Naprawdę? Byłeś? No, proszę! - Wstaje, żeby podejść do szafek, a po drodze klepie mnie po plecach, jakby dając do zrozumienia, że razem byliśmy na wojnie, ale tylko ja widziałem bitwę. Nawet nie irytuje mnie ten gest, gdyż świadczy o tym, czego oczekiwałem na poły z nadzieją, na poły z lękiem: że nazwisko Colina Scotta znajduje się w aktach Komisji Specjalnej do Spraw Wywiadu. To by wyjaśniało, dlaczego FBI nie chciało podać Meadows jego nazwiska.

- Colin Scott - mruczy pod nosem Ethan, kręcąc zamkiem szyfrowym przy jednym z czarnych metalowych monstrów zajmujących całą przeciwną ścianę. - Colin Scott. Tu gdzieś musisz być. - Odgrywa przede mną przedstawienie, przerzucając powoli teczek, choć jestem pewien, że dokładnie wie, gdzie znajdują się szukane akta, albo dzięki swojej świetnej pamięci, albo dlatego, że niedawno je wyjmował, żeby dopisać informację o śmierci Scotta.

- Co myślisz o tej sprawie z Markiem? - pyta mnie przez ramię, podczas gdy grzebie w szufladzie. - Sądysz, że to prawda?

- Nie wiem. - Staram się mówić obojętnym tonem. Po rozmowie z Theo nie mam raczej wątpliwości, że Marc zrobił to, o co go oskarżają, chociaż oficjalnie nie wycofał jeszcze swej kandydatury. Ciekaw jednak jestem, jaką postawę przyjmie wielki polityk Ethan, który chyba nie wie o kandydaturze mojej żony. Ethan z natury jest człowiekiem, który nie lubi zajmować zde-

cydowanego stanowiska. Od kiedy do nas przyszedł, unika kontrowersji równie skrupulatnie, jak kot unika wody. Lubi debatować tylko nad propozycjami dwojakiego rodzaju - tymi, które przechodzą jednogłośnie, oraz wycofywanymi bez głosowania.

- Śliska sprawa - przyznaje. - Przypuszczam, że najpierw trzeba by zobaczyć dowody - dodaje z powściągliwością godną męża stanu, na którego chciałby wyglądać.

- Zapewne tak.

- Nie wolno wyciągać pochopnych wniosków, to bardzo nienaukowe - poucza mnie. - O, mam cię! - Wyprostowuje się z cienką szarą tęczką w ręce i przez krótką chwilę mam wrażenie, że znalazłem się znów w gabinecie Theo w chwili, gdy wyciąga dowody winy Marca.

- Colin Scott?

Ethan kiwa potakująco głową. - Ten sam. - Wraca do mnie, ale tym razem przysiadła na rogu biurka. Biurko, podobnie jak reszta gabinetu, jest tak uporządkowane, że przypadkowy obserwator mógłby przypuszczać, iż nikt tu nie pracuje. Obowiązkowe fotografie żony i malutkiej córki są rozmieszczone tak równo, że musiał przy tym użyć linijki. Podpisane zdjęcia waszyngtońskich prominentów mają większy format niż fotografie rodzinne.

- Wiesz, Misha, mamy tu pewien problem - zaczyna przepaszającym tonem i już wiem, że za chwilę wysłucham wykładu na temat poufności, gdyż chociaż w postępowaniu Ethana Brinkleya trudno się doszukać etyki, to jak rasowy polityk lubi o niej dużo mówić. - Technicznie rzecz biorąc, te informacje są własnością rządu federalnego. Gdybym ci pokazał te dokumenty, obaj moglibyśmy skończyć w więzieniu. - Na spokojnej twarzy Ethana odmalowuje się wyraz dumy z posiadania tak poufnych dokumentów, nawet jeśli je ukradł.

- Rozumiem.

- Jednak mogę ci *opowiedzieć*, co zawierają.

- W porządku. - Jeśli o mnie chodzi, to nie widzę prawnej różnicy pomiędzy tymi dwoma scenariuszami i wątpię, żeby Ethan ją dostrzeża!. Jednak w razie potrzeby niewątpliwie zeznałby pod przysięgą, że sądził, iż postępuje zgodnie z prawem: *Skoro nie czytam konkretnych słów dokumentu, tylko streszczam lub parafrazuję jego treść, to ściśle rzecz biorąc, nie ujawniam zawartości dokumentu, a tym samym nie naruszam ustawowych zakazów*. Tego rodzaju prawnicze rozdzielenie włosa na czworo zazwyczaj wzbudza gniew opinii publicznej, ale często okazuje się dobrym sposobem na uniknięcie odpowiedzialności prawnej. Wielkimi miłośnikami tej metody są politycy, chyba że stosuje ją członek konkurencyjnej partii. Z kolei my, profesorowie prawa, codziennie uczymy jej swoich studentów, jakby to była cnota.

- Colin Scott, Colin Scott - powtarza z namysłem, udając, że czyta to po

raz pierwszy. - Nie był zbyt miłym człowiekiem ten nasz Colin.

- Tak? A dlaczego to?

Jednak Ethan nie lubi, żeby go popędząć. Nie ma zamiaru nawet na moment opuszczać środka sceny, gdyż cały czas przeprowadza próbę przed wielką szansą, która go czeka.

- Oczywiście był w Agencji, ale o tym wiedziałeś. - Nie wiedziałem, przynajmniej nie miałem pewności, a wujek Mal, który wie wszystko, nie uznał za stosowne mi tego powiedzieć. Co prawda, gdyby to było dla mnie niespodzianką, to bym tu nie przyszedł. Niemniej jednak to potwierdzenie jest kolejnym punktem na niekorzyść Mallory'ego Corcorana. - Bardzo długo - ciągnie Ethan. - Hmm. Zadania za granicą... ale tego raczej nie mogę ci ujawnić. Był tam w dawnych czasach, kiedy jeszcze mieli coś, co się nazywało Dyrekcją Planów. Widzę, że nigdy o tym nie słyszałeś. Ładny eufemizm, prawda? Teraz nazywają to Dyrekcją Operacji. Mają ludzi gdzieś tam za granicą, ludzi, którzy *robią* dla nich różne rzeczy. No, no. - Dalej przewraca kartki. - To było w latach sześćdziesiątych, Misha. Duże białe plamy, naprawdę spore. To się zdarza w przypadku dżentelmenów z Planów. Nie znam pełnego zakresu jego działań. Ale ciągnął się za nim smród i Agencja się go pozbyła. To musiało być ... tak, po przesłuchaniach komisji Churcha. Nowa miotła i tak dalej. On był ze starej szkoły. Niebezpieczny człowiek.

- Dlaczego niebezpieczny?

Jednak Ethan woli dawkować cenne niespodzianki jedna po drugiej i obserwować moją reakcję. - Colin Scott to nie jest jego prawdziwe nazwisko, wiesz.

- Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, ale nie mogę powiedzieć, żeby specjalnie mnie to dziwiło. - Przebywając z Ethanem, zaczynam wyrażać się równie pretensjonalnie jak on.

- To oczywiście jedno z jego nazwisk - ciągnie Ethan. - Miał ich kilka. Spójrzmy na to. Hmm, tak. Widzisz, nazwisko Scott otrzymał wraz z nową tożsamością, kiedy się go pozbyli z Agencji. Ustawili go, zobaczmy... tak, otworzył niewielką agencję detektywistyczną w Południowej Karolinie. To wiedziałeś. Ale Południowa Karolina nie była jego pierwszym przystankiem po pracy w Agencji, a Scott to jego drugie nowe nazwisko. Najwyraźniej jacyś jego starzy przyjaciele, niezbyt przyjaźnie nastawieni, przyczepili się do niego, gdy urzędował pod starym, lo znaczy jego nowym starym.

- Masz na myśli jego wrogów.

- No, tak. - Ethan irytuje się, że przerywam mu opowiadanie. Drażnienie się ze mną wyraźnie go bawi.

- Jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko?

- Misha, gdyby to zależało ode mnie, to naturalnie bym ci powiedział, ale wiesz, bezpieczeństwo narodowe i te rzeczy. Przykro nu, ale zasady są zasadami. - Przepraszając w ten sposób, dodaje sobie ważności. Okazuje się,

że przy rozwiązywaniu tej tajemnicy nieustannie natygam się na ludzi, którzy mogliby mi wyjaśnić, co się dzieje, ale wolą mi odmawiać, zasłaniając się zasadami.

- A co Scott robił w Agencji? - pytam, żeby podtrzymać rozmowę. Prawdę mówiąc, kończą mi się już pomysły.

- Pływał. - Ethan uwielbia żargon i śmieje się z mojego osłupienia. - Tak, jak ci wspomniałem, był w Planach, ale równocześnie pracował dla Angletona, wówczas szefa kontrwywiadu. Później robił coś z grupami paramilitarnymi w Laosie, miał mnóstwo kontaktów na wyżynie Szan... pozwól, że nie będę cię nudził tymi szczegółami. Rzecz w tym, że jeśli gdzieś pojawiał się zapaszek komunizmu lub trzeba było ugasić jakiś pożar, wzywano właśnie pana Scotta. Pamiętaj, że bynajmniej nie był fanatykiem - Birchrem czy kimś takim. Tacy ludzie poświęcają się na ogół polityce, a nie zajmują wywiadem, zresztą wywiad też ich nie chce. Nie, nasz pan Scott wolął raczej działać na dalszym planie. Nazwijmy go, powiedzmy, technokratą. Całkowicie poświęcał się wykonaniu zadania. Zawsze przestrzegał rozkazów, nawet jeśli były z gatunku tych, których w ogóle nie należało wydawać. Niebezpieczny człowiek, jak wspomniałem, już chociażby z tego powodu. Oczywiście niedzisiejszy. Dinozaur. Relikt epoki, której odejścia nie żałujemy. - Sugeruje w ten sposób, że fakt jego śmierci również nie napęlnia nas żalem, choć nie wiadomo, kogo rozumie pod zaimkiem *my*.

Jednak z jego słów wypływa jeszcze jeden wniosek - coś, czego obawiałem się od chwili, gdy wujek Mal powiedział mi, że McDermott nie był prawdziwym agentem. Starłem się stłumić ten lęk, ale odżył po wysłuchaniu opowieści Sally, a zdecydowanie się zaostrzył, gdy Addison wyjaśnił, że ojciec nie powiedział *własność*, tylko *własną córkę*.

- Mówisz zatem, że on... zabijał.

- Oczywiście, nie mogę tego potwierdzić - zaznacza świętoszkowato Ethan. - Powiedzmy może, że jest on, czy raczej był, niebezpiecznym człowiekiem.

Przeglądam w myślach to, czego się dowiedziałem. Niebezpieczny relik, dinozaur usunięty z Agencji, rozmawiający z moim ojcem w gabinecie w środku nocy, kiedy to Sędzia mówi mu, że nie ma żadnych reguł, gdy chodzi o własną córkę. Pojawia się w ćwierć wieku później jako fałszywy agent FBI i szaleńczo czegoś poszukuje, być może włamuje się do Vinerd Howse, a w końcu tonie koło Menemsha.

Drepczy mnie wrażenie, że czegoś nie zauważam, czegoś oczywistego.

W końcu to dostrzegam.

- Jeszcze jedno pytanie, Ethan. Kiedy dokładnie pan Scott, czy jak tam się nazywał, został wyrzucony z Agencji?

Ethan znów udaje świętoszka. - Wiesz co, sądzę, że byłoby to niewłaściwe z mojej strony podawać ci konkretne *daty*, Misha. Prawo to prawo.

- Ale to było po przesłuchaniach komisji Churcha, prawda? Czyli co, siedemdziesiąty czwarty, piąty...?

- Coś koło tego.

Zatem w czasie, kiedy Sally i Addison podsłuchali kłótnię ojca ze Scottem - o własną córkę, nie własność - ten ostatni nie pracował już w Agencji.

Nie pracował już w Agencji. *Niedawno* go wyrzucono. Czy był z tego powodu rozgoryczony? Zrozpaczony? Czy mógł ulec kuszącym namowom Jacka Zieglera? I przypadkowo...

- Ethanie, jeszcze jedno...

- Wszystko, co zechcesz. Misha. Oczywiście w granicach prawa.

- Kiedy Agencja po raz pierwszy urządziła go jako prywatnego detektywa, gdzie to było?

- W stanie Maryland... w Potomacu. Akurat naprzeciw Langley, po drugiej stronie rzeki.

- Jakiego nazwiska wtedy używał?

- No, wiesz, tego raczej...

- Mniejsza o to. - Zrywam się na nogi. Nie potrafię tu wysiedzieć ani sekundy dłużej. - Dziękuję, Ethanie. Bardzo mi pomogłeś. Gdybyś czegoś potrzebował...

- Dziękuję bardzo, Misha, naprawdę to doceniam - mruczy w odpowiedzi, a na jego twarzy znów króluje wyraz sympatii, gdy jak rasowy polityk ściska mi dłoń.

Nogi się pode mną uginają, kiedy przechodzę przez korytarz do swojego gabinetu, przekręcam klucz, zatrząskuję za sobą drzwi i w końcu padam na jedno z chwiejnych krzeseł stojących pod ścianą. Nie mam siły by dowlec się do biurka, więc będę musiał płakać tutaj.

Wiem bowiem teraz to, co powinienem zrozumieć już dawno, ale co dopiero teraz dotarło do mnie z przerażającą jasnością. Colin Scott, znany mi również jako agent specjalny McDermott, rzeczywiście używał wcześniej nazwiska Jonathan Villard. Kiedy musiał zniknąć, Agencja stworzyła legendę o jego śmierci z powodu raka.

Nic dziwnego, że policja nie miała kopii jego raportu. Sędzia wcale go im nie dał - zapewne nawet nie miał takiego zamiaru i po prostu okłamywał w tej sprawie swoją rodzinę.

Przeciwnicy ojca od samego początku mieli rację. Nie zasługiwał na miejsce w Sądzie Najwyższym. Jednak nie dlatego, że zbyt często spotykał się na lunchu z Jackiem Zieglerem lub że miał odmienne poglądy polityczne.

Mieli rację, gdyż Sędzia znał Colina Scotta.

Mieli rację, gdyż kiedy Abby zginęła i policja nie rozwiązała sprawy, Sędzia nie zatrudnił zwykłego detektywa.

Zatrudnił zabójcę.

CZĘŚĆ III

NIEPRZEWIDZIANA UCIECZKA KRÓLA

Nieprzewidziana ucieczka króla (uboczne rozwiązanie) - w zadaniu szachowym polegającym na daniu mata w dwóch ruchach jest to sytuacja, kiedy istnieje pole, na które może przejść czarny król i nie otrzymać w następnym posunięciu mata. Rozwiązujący skupia się na znalezieniu sposobu dania mata właśnie na tym polu, przez co zadanie staje się zbyt łatwe. Pozostawienie takiej możliwości uważa się za poważną wadę zadania.

ROZDZIAŁ 38

Domowe interludium

(I)

Wtorek jest dniem wywożenia śmieci. Przeciagam zatem pojemniki do krawężnika ulicy i, mimo silnie zachmurzonego nieba, decyduję się na krótki bieg wzdłuż Hobby Road. Trzy przecznice na zachód, czyli w kierunku kampusu, powrót w okolice domu, następnie trzy przecznice w przeciwnym kierunku, na skraj włoskiej dzielnicy robotniczej graniczącej z Hobby Hill, i znowu trzy przecznice z powrotem, akurat gdy zaczyna łać lodowaty zimowy deszcz. Razem dwanaście przecznic, zapewne niecała mila, ale moje ciało tylko tyle potrafi wytrzymać.

Podczas tygodnia, który upłynął od mojej rozmowy z Ethanem Brinkleyem, bardzo źle spałem. Wiem, co muszę teraz zrobić, ale nie mam na to najmniejszej ochoty, i to nie tylko dlatego, że Kimmer niemal mnie błaga, żebym zaprzestał poszukiwań. Prawdę mówiąc, obawiam się tego, czego jeszcze dowiem się o ojcu. Odkryłem już, że Sędzia wynajął kogoś do popełnienia morderstwa, a jest to przestępstwo zagrożone karą śmierci niemal w całych Stanach Zjednoczonych. Wszystkie informacje, które ewentualnie zdobędę, będą w jakiś sposób związane z tym odkryciem.

Przez kilka sekund usiłuję wzbudzić w sobie nienawiść do ojca, ale nie potrafię.

Zamiast tego przyspieszam biegu. Wprawdzie odzwyczajone od wysiłku mięśnie boleśnie protestują, ale prę naprzód. Miło i swobodnie, bez wysiłania się, ale ruszaj się dalej, ruszaj się, możesz biec kilometrami, jeśli tylko zapomnisz się zatrzymać. Znów mijam swój ciepły i przytulny dom i czuję pokusę, żeby do niego skrócić, ale postanawiam biec dalej. Pogoda jest wprost wymarzona - powietrze rześkie, a w każdym powiewie czuć zapowiedź odległej wiosny. Biegnę i rozmyślam.

Przez kałużę na jezdni przejeżdża gwałtownie sedan - nie zielony, jak na Dupont Circle, ani nie porsche, którego widzieliśmy z Johnem Brownem za domem - i opryskuje mnie brudną wodą. Ledwo to zauważam. Jestem pochłonięty rozmyślaniami o swoich kolegach. Przyglądam się w duchu ich twarzom: miłym lub wyniosłym, wesołym lub ponurym. Są wśród nich osoby, które mnie szanują, i te, które mną gardzą. Jednak nie udaje mi się odgadnąć, kto z nich mógł mnie zdradzić, oczywiście jeśli nazwać zdradą zła-

manie zobowiązań wynikających z człowieczeństwa. Wiem, że ktoś w budynku bacznie śledzi moje poczynania i wie, kiedy wychodzę do bezpłatnej jadłodajni, a kiedy do klubu szachowego. Kto może być tym niewidocznym wrogiem? Któryś z młodszych, ambitnych kolegów, jak Ethan Brinkley? A może ktoś ze starej gwardii - Theo Mountain lub Arnie Rosen? A czemu nie Marc Hadley, rywal mojej żony? Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale od tamtej pory minęło już trochę czasu. Może wielki Stuart Land, któremu się wydaje, że nadal kieruje szkołą prawniczą? Trudno odgadnąć, jakie fantastyczne kalkulacje skrywa jego wystudiowany uśmiech. Jednak czy szpieg musi być mężczyzną? Dziekan Lynda z pewnością mnie nie lubi... chociaż trzeba przyznać, że w dużej mierze sam się o to postarałem. Czy musi być biały? Chłodny Lem Carlyle, zgodnie z najlepszą barbadoską tradycją, nie ujawnia swego prawdziwego zdania, a ponadto ostatnio mnie unika. Niestety, takie zgadywanki niczego nie rozwiążą.

Moja żona spędziła cały weekend w San Francisco, gdyż zbliża się moment podpisania umowy. Ja przez cały weekend przebywałem z synem - prawie nic nie zrobiłem ze swoich spraw zawodowych, gdyż wolałem jemu poświęcić ten czas. Kiedy Kimmer wróciła wczoraj po południu, usiadła w kuchni popijając chardonnay, a ja usiłowałem z nią porozmawiać na temat wydarzeń minionego tygodnia. Jednak szybko mi przerwała: *Proszę, Misha, nie teraz, boli mnie głowa*. Potem zaśmiała się z tego niezamierzonego dowcipu, aby ukryć, że ma już dość wysłuchiwania moich opowieści na jeden temat. Chcąc mnie uciszyć, obeszła blat i przez chwilę mnie całowała, po czym sięgnęła do torby i wręczyła mi kolejną nagrodę pocieszenia. Tym razem był to zegarek na biurko - kwarcowy ze złotym obramowaniem - co by świadczyło, że ostatnia przewina była poważna. Podziękowałem jej smutno i szybko wyszedłem, żeby zdążyć na wieczorny wykład koleżanki ze studiów prawniczych, która obecnie uczy w Emory, gdzie stała się głównym - a być może jedynym - krajowym ekspertem w kwestiach dotyczących trzeciej poprawki. Wróciłem do domu po trzech godzinach i przekonałem się, że Kimmer pomimo wyczerpania zaczęła na mnie. Kochaliśmy się rozpaczliwie i namiętnie, jak potajemni kochankowie, którzy mogą już nigdy się nie spotkać. Później, tuż przed zaśnięciem, moja żona powiedziała, że jest jej przykro, ale nie wyjaśniła, dlaczego.

(II)

Płuca dają mi znać, że mają już dość biegania. Zwalniam więc, przebiegając boczną uliczką o cztery przecznice od swojego domu. Moja trasa wiedzie obok zajmującego spory obszar terenu Hilltop - najbardziej obleganej spośród kilku prywatnych szkół podstawowych w naszym mieście. Przypo-

minam sobie, że mniej więcej za rok będziemy musieli umówić Bentleya na rozmowę kwalifikacyjną. Muszą sprawdzić, czy nadaje się do przedszkola w Hilltop. *Rozmowa kwalifikacyjna. W wieku czterech lat!* Biegnę dalej, nie bardzo mogąc uwierzyć, że pozwolimy naszemu chłopcu uczestniczyć w tym nonsensie. Kiedyś dostawały się tu wszystkie dzieci wykładowców uniwersyteckich, ale to było przed wzrostem kosztów prowadzenia szkoły, kiedy to podwyższenie czesnego zmusiło Hilltop do szukania uczniów w kręgach biznesu. W ubiegłym roku szkoła odrzuciła kandydaturę najmłodszej z trzech córek mojej koleżanki Betsy Gucciardini. Przez następny miesiąc Betsy obnosiła się z frustracją i rozpaczą jak podwójnym welonem żalobnym, zupełnie jakby utrata możliwości nauki w Hilltop oznaczała koniec produktywnego życia jej dziecka. Nie po raz pierwszy rozmyślam nad tym, co się stało z Ameryką, po czym przypominam sobie, że Eddie Dozier, były mąż Dany, ma wkrótce opublikować książkę, w której wzywa do likwidacji szkół publicznych i zmniejszenia podatków o kwotę, którą płacimy na ich finansowanie. Jak zapewnia, prawa rynku szybko wymuszą powstanie dostatecznej liczby szkół prywatnych. Zatem pewnego dnia każde amerykańskie dziecko będzie mogło odbyć rozmowę kwalifikacyjną przed rozpoczęciem przedszkola. No, pięknie.

- Skup się na tym, co ważne - mówię do siebie świszczącym z wysiłku głosem, zwalniając wreszcie kroku.

Kiedy docieram do własnej kuchni, jest już po siódmej. Kimmer przygotowała jajka na bekonie, co zazwyczaj jest moim zadaniem, i nawet całuje mnie lekko w usta. Zachowuje się tak słodko, jakby ostatnich kilka miesięcy wcale nie istniało. Przeprasza mnie, ale nie za to, że nie chciała mnie wczoraj wieczorem wysłuchać, tylko że musi iść dziś do pracy. Miała nadzieję, że będzie mogła pracować w domu, ale pojawiło się zbyt wiele spraw, które wymagają jej obecności w biurze. Uśmiecham się, wzruszam ramionami i odpowiadam, że to rozumiem. Nie mówię, że czuję się zraniony. Nie wspominam jej o swoim przekonaniu, że główną sprawą, która się pojawiła, jest moja propozycja, żebyśmy spędzili ten dzień razem, gdyż ja również mogę pracować w domu.

Zamiast tego uśmiecham się do niej.

- Z czego się tak cieszysz? - pyta Kimmer, niespodziewanie obejmując mnie w pasie. W odpowiedzi całuję ją w czoło. Żadna słowna odpowiedź nie byłaby bezpieczna, chociaż znalazłoby się kilka prawdziwych.

Uświadamiam sobie, że w końcu przewyższyłem Sędziego - równie dobrze, jak on, potrafię skrywać uczucia, a znacznie wychodzi mi udawanie, że jestem zachwycony, gdy czuję się nieszczęśliwy.

Podczas śniadania przeglądamy dwie gazety - „New York Times” oraz „Elm Harbor Clarion” - szukając przy okazji, każde z innych powodów, artykułów na temat mojego ojca. Jestem akurat na stronie sportowej „Clario-

na”, rozważając ostatnie kontuzje zawodników nieszczęsnej drużyny koszykówki naszego uniwersytetu, gdy uznaje, że nadeszła pora, by powiedzieć żonie o ostatniej rzeczy, jaką muszę zrobić. Jestem raczej pewien, że jej się to nie spodoba.

Składam starannie gazetę i spoglądam na jej śliczną twarz, jasnobrązowe oczy błyszczące za szklami okularów i delikatne linie pod oczami pogłębiające się z każdym miesiącem. Usta lekkim łukiem wyginają się ku górze. Dobrze wie, że ją obserwuję.

- Kimmer, kochanie - zaczynam.

Rzuca na mnie okiem, po czym znów spuszcza wzrok na stronicę „Time-sa”. - Chcesz posłuchać zabawnego listu od czytelnika na temat prezydenckich propozycji podatkowych?

- Nie, dzięki.

- Ale jest naprawdę dowcipny.

- Nie, Kimmer, nie teraz. Musimy porozmawiać.

Ponownie spogląda w moim kierunku i z powrotem na gazetę. - Czy to ważne? Nie może poczekać?

- Nie może.

Kimmer, która jak zwykle wspaniale wygląda w płaszczu kąpielowym, podnosi wzrok i przesyła mi całusa. - A co, odnalazłeś ją? Swoją *nzingę* z promu?

Początkowo odczuwam zmieszanie, sądząc, że dowiedziała się o moim spotkaniu z Maxine na Vineyard, ale po chwili uświadamiam sobie, że tylko żartuje... albo wyraża nadzieję.

- Nie, to nic równie ciekawego.

- Szkoda.

- Nie, wcale nie szkoda. Kocham cię, Kimmer.

- Tak, ale tylko dlatego, że jesteś masochistą.

Mówi to z uśmiechem, starając się mnie zniechęcić do powiedzenia tego, co zamierzam. Jednak muszę o tym porozmawiać, a skoro nie potrafię złagodzić tej informacji, trzeba ją przedstawić bez ogródek.

- Kimmer, muszę spotkać się z Jackiem Zieglerem.

Gwałtownie składa gazetę. Kiedy się odzywa, jej głos jest niebezpiecznie cichy. - Nie, nie musisz.

- Muszę.

- Nie *musisz*.

- Zadzwońiłbym do niego - wyjaśniam, udając, że nasze nieporozumienie dotyczy trochę innej kwestii - ale niewiele mi powie przez telefon.

- Obawia się podsłuchu.

- Zapewne.

Kimmer uporczywie wpatruje się we mnie. - Misha, mój drogi, kocham cię i ci ufam, ale chcę ci przypomnieć, że obecnie rozważana jest moja kan-

dydataura do Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych. Jeżeli mój mąż pojedzie do Jacka Zieglera, to z pewnością nie wpłynie pozytywnie na moje szanse.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć - stwierdzam, ale wiem, że to naciągana odpowiedź.

- Mnóstwo ludzi będzie o tym wiedziało, głównie z Federalnego Biura Śledczego.

Oczywiście, brałem to pod uwagę. - Omówię to najpierw z wujkiem Ma-lem.

- No, pięknie. Będzie mógł opowiedzieć o tym wszystkim w Waszyng-tonie.

- Kimmer, daj spokój. Przecież wiesz, co się od pewnego czasu dzieje. Przynajmniej częściowo... tyle, ile pozwoliłaś sobie opowiedzieć. - Widzę, jak na te słowa otwiera szeroko oczy, ale nie potrafię już przerwać. - W ciągu ostatnich kilku tygodni dowiedziałem się wielu... wielu nieprzyjemnych rzeczy o ojcu. Teraz muszę się upewnić, czy są tak złe, jak mi się wydaje. Przypuszczam, że Jack Ziegler mi to wyjaśni.

- Jeśli to coś złego, to Jack Ziegler z pewnością o tym wie.

- Dlatego muszę do niego jechać. Ludzie to zrozumieją.

- Ludzie *nie* rozumieją.

- Muszę wiedzieć, co się dzieje. - Jednak przychodzi mi na myśl opo-wiadanie o Noem, które przytoczył mi Morris Young, i zastanawiam się, czy się nie myłę.

- Sądzę, że *nic* się nie dzieje, Misha. W każdym razie nic takiego, co ci się wydaje.

- Pewnie masz rację, kochanie, ale...

- Jeśli z nim porozmawiasz, spowoduje to jeszcze większe kłopoty. Wiesz o tym. - Nie mówi, z czyjej strony pojawią się te kłopoty, więc zapew-ne to groźba.

- Kimmer, daj spokój. - Mówię łagodnym tonem, gdyż boję się, że za-cznie krzyczeć i obudzi Bentleya lub sąsiadów, jak to już nieraz bywało. - Daj spokój - powtarzam, nadal łagodnie, licząc, że odpowie w podobnym tonie.

- To ty zawsze mówiłaś, że Jack Ziegler jest potworem. - Rzeczywiście mówi cicho, ale jej głos przypomina raczej syk.

- Wiem, ale...

- Misha, on jest mordercą.

- Nigdy nie został *uznany* *winnym* morderstwa - odpowiadam jak je-den z niezliczonych prawników wujka Jacka, i wcale mi się to nie podoba. - Skazano go za inne przestępstwa, ale nie za morderstwo.

- Tyle, że zabił własną żonę, co?

- No, cóż, krążyły takie plotki. - Usiłuję sobie przypomnieć, co Sędzia

odpowiedział na takie pytanie przed senacką Komisją Sprawiedliwości, gdyż to pytanie senatora Bidena i niezręczna odpowiedź ojca kosztowały go więcej niż pozostałe. Powiedział wówczas coś w rodzaju: *Nie oceniam przyjaciół na podstawie plotek*, po czym skrzyżował ręce na piersi w geście, przed którym przestrzegłby go nawet najbardziej niekompetentny specjalista od wizerunku. Można zrozumieć, że rozgniewała go linia przesłuchania, którą uznał za cios poniżej pasa, ale skutek swojego zachowania transmitowanego przez ogólnokrajową telewizję, zrobił wrażenie człowieka wyniosłego, pełnego pogardy dla innych. Jeden z komentatorów prasowych napisał nawet, że sędzia Garland najwyraźniej potraktował jako błahostkę możliwość, iż jakiś człowiek zamordował swoją żonę. Oczywiście, było to absurdalne twierdzenie, ale ojciec zareagował na nie wybuchem wściekłości na oczach milionów widzów. Już w tamtej chwili zrozumiałem, że walka jest przegrana - że od tej chwili nie pomogą mu żadne uniki, gdyż przeciwnicy zablokowali go w narożniku ringu i nokaut jest tylko kwestią czasu. Poczulem wówczas gwałtowny gniew, nie na senat czy dziennikarzy, lecz na ojca. *Jak mógł być taki głupi?* Miał do wyboru setki innych odpowiedzi na całkiem uzasadnione pytanie Bidena, a zdecydował się na najgorszą. Tymczasem teraz, w krzyżowym ogniu pytań Kimmer, postępuję tak samo jak on.

- Przecież nie postawiono go w stan oskarżenia, kochanie. Nawet nie był aresztowany w związku z tą sprawą. Z tego, co mi wiadomo, jego żona po prostu uległa wypadkowi. - Dokładnie tych słów użył Sędzia, odpowiadając senatorowi Bidenowi, poza *kochanie*.

- Od dwudziestu lat jeździła konno i spadła tak, że skręciła sobie kark?

- To nie jest najlepszy sposób, by kogoś zamordować - wytknąłem jej. - Ofiara może wyjść z tego z kilkoma zdrapaniami i opowiedzieć wszystkim, kto ją zepchnął.

Kimmer rzuca na mnie niepewne spojrzenie. - Żartujesz, co?

- Nie, mówię poważnie. Chodzi mi o to, że nie wiemy, co się stało z żoną Jacka Zieglera, ale morderstwo wydaje się mało prawdopodobne.

Mam go przekreślić z powodu plotek?

Nienawidzę tej strony swojego charakteru, tak jak nie znośm jej u Sędziego, ale nie potrafię się powstrzymać.

- Plotek!

- No, skoro nigdy go nie oskarżono...

- Wiesz co, Misha, sam siebie posłuchaj. Od kiedy to jesteś takim legalistą? - Chce powiedzieć: *Mówisz zupełnie, jak twój ojciec*, co jest prawdą.

- To tylko wizyta, Kimmer. Zajmie mi to godzinę, może nawet pół.

- To czubek, Misha. *Niebezpieczny* czubek. Nie chcę, żebyśmy mieli z nim cokolwiek wspólnego. - Mówi coraz głośniej, a w jej głosie pojawia się nuta hysterii.

- Kimmer, przestań. Przyjrzyj się faktom. Freeman Bishop nie żyje...

- Policja twierdzi, że to z powodu narkotyków...
- A Colin Scott udawał agenta FBI, żeby zdobyć informacje o ojcu i również zginął.
- *To był wypadek!* - Koniec ze spokojną rozmową.
- Tyle, że ten wypadek zdarzył się, gdy mnie śledził. Gdy śledził *nas*.
- No, i co z tego. Nie zmienia to faktu, że to był wypadek. Upił się, utonął i teraz nie żyje. Możesz przestać się nim zajmować.
- A nie sądzisz, że jednak mamy czym się denerwować?

Błąd. Od razu widzę, że absolutnie nie należało tego mówić. Czuję się jak szachista, który właśnie ruszył skoczkiem i natychmiast stwierdził, o ułamek sekundy za późno, że za chwilę straci królową.

- Nie, Misha, ja się nie denerwuję. Czym miałabym się denerwować?

Tym, że jestem żoną człowieka, który zachowuje się jak wariat? Tym, że jego siostra nie potrafi myśleć o niczym innym, prócz kolejnych teorii spiskowych? Tym, że dla mojego męża jedynym rozwiązaniem wszystkich problemów jest podróż do Aspen, żeby odwiedzić zbrodniarza, który zamordował własną żonę? Czy tym, że mój małżonek chce wprowadzić tego zbrodniarza do naszego życia? Nie, Misha, z całą pewnością nie jestem zdenerwowana. Przecież zupełnie nie ma czym się denerwować.

Próbuję jakoś ją ugłaskać. - Proszę cię, Kimmer. Sędzia był moim ojcem.

- A ja jestem twoją żoną! Pamiętasz o tym jeszcze? - Przytrzymuje się framugi drzwi, jakby to miało ją powstrzymać przed pełnym wybuchem złości.

- Tak, ale...

Właśnie, *ale!* To ty zawsze dużo mówisz o lojalności. Postaraj się chociaż raz być lojalny wobec *mnie!* Nie chodzi mi tu o lojalność polegającą na tym, że nigdy nie zainteresujesz się inną kobietą, dzięki czemu możesz napawać się swoją świętością i czuć się lepszy ode mnie. Mam na myśli taką lojalność, że coś *dla mnie* zrobisz. Coś ważnego.

- Wiele już dla ciebie zrobiłem - odpowiadam najspokojniejszym tonem, na jaki potrafię się zdobyć. Lubię myśleć, że już się uodporniłem na jej szyderstwa, ale jednak bolą mnie te słowa.

- Zrobiłeś dla mnie to, co sam chciałeś, nie to, co ja bym chciała.

Staram się przywołać w myślach to uczucie bliskości z Kimmer, które przeżywałem ostatniej nocy, kiedy trzymałem ją w ramionach, gładziłem ją po plecach i słuchałem jej przeprosin, zanim zasnęła.

Ostatniej nocy. W zeszłym roku. W ubiegłej dekadzie. Wszystko przepadło.

- Kimmer, jeśli...

- Poza tym, wcale nie jest tak, że ja dla ciebie nic nigdy nie zrobiłam!

Jej oczy nadal płoną, a mnie zdumiewa siła jej gniewu, spotęgowana jeszcze niewielką przestrzenią kuchni, w której się znajdujemy. Kimmer w

szlafroku i z potarganą fryzurą nadal jest dla mnie najbardziej pociągającą kobietą na świecie, jednak mam wrażenie, że gdybym wykonał ruch, który jej się nie spodoba, jest gotowa powalić mnie na ziemię. Ta furia wrze w niej od czasu mojego powrotu z Vineyard. Pomimo wieści o Marcu, Kimmer najwyraźniej sądzi, że jej szanse spadają. Nie wiem, dlaczego tak uważa, natomiast zdaję sobie sprawę, że winą za to obarcza mnie. Podobnie jak wini mnie za wiele innych spraw. Słyszałem tę litanie setki razy, sto różnych opowieści, jak to Talcott Garland zrujnował jej życie. Jak za mnie wyszła, żeby zadowolić swoich rodziców, chociaż interesowało się nią wielu znacznie atrakcyjniejszych mężczyzn. Jak zrezygnowała z fascynującej praktyki w jednej z najlepszych waszyngtońskich kancelarii prawniczych, żeby podążyć za mną do tej zabitej deskami dziury w Nowej Anglii. Jak to nasi znajomi (prawie nie mamy tu przyjaciół - oskarża mnie Kimmer) rekrutują się prawie wyłącznie z grona wykładowców i patrzą na nią z góry, gdyż nie jest jedną z nich. Jak bez trudu została partnerem w byle jakiej kancelarii prawniczej, o której nikt nie słyszał. Jak urodziła dziecko, żeby uszczęśliwić męża, a nie zdawała sobie sprawy, na co tak naprawdę się decyduje i teraz ze względu na syna musi tkwić w tym nieszczęśliwym małżeństwie. Jak to od tamtej pory jej życie oscyluje pomiędzy nudą a załamaniem nerwowym. Kimmer sama podjęła te wszystkie decyzje, ale winny jestem ja.

- Przykro mi - mówię, podnosząc ręce w pokojowym geście.
- Misha, proszę cię... dla mojego dobra, dla dobra naszego małżeństwa i naszego syna... Obiecuj mi, że nie wprowadzisz tego człowieka do naszego życia, że nie odwiedzisz go ani do niego nie zadzwonisz.

Kiedy to mówi, z zaskoczeniem zauważam w jej głosie ton podobny do tego, jaki brzmiał w głosie Jacka Zieglera na cmentarzu: Kimmer się boi. Nie jest to fizyczny lęk o życie ani rozpaczliwa obawa matki o dziecko - nie, to lęk o własną karierę. Kimmer znajduje się na wyciągnięcie ręki od tego, czego zawsze pragnęła i nie chce, żeby wujek Jack to zniszczył. Jak mogę ją o to winić?

Uznaję zatem, że nie ma sensu podsycać jej obaw. Nie teraz.

- W porządku kochanie. Dobrze. Będę się trzymał z dala od wujka Jacka. Nie zrobię niczego, co... co spowodowałoby kłopoty. Jednak... no, wiesz...

- Nie zrezygnujesz z poszukiwań. Czy to chcesz mi powiedzieć?
- Musisz to zrozumieć, kochanie.
- Och, rozumiem, rozumiem. - Jej uśmiech znów jest serdeczny. Obchodzi blat kuchenny i obejmuje mnie ramionami. Powróciła bliskość z poprzedniej nocy, ot tak, po prostu. - Ale bez Jacka Zieglera.

- Bez Jacka Zieglera.
- Dzięki, kochanie. - Znów mnie całuje, uśmiecha się. Rusza, żeby posprzątać ze stołu, ale mówię, że ja to zrobię. Nie oponuje. Rozmawiamy, jak

gdyby nigdy nic. Doszliśmy do dużej wprawy w udawaniu, że nie dzielą nas konflikty, więc rozmawiamy o innych sprawach. Postanawiamy, że nie będziemy dziś zawozić Bentleya do jego przedszkola Montessori. Pozwolimy mu dłużej pospać, skoro ja i tak zostaję w domu. Kimmer przypomina mi, że jutro jesteśmy zaproszeni na kolację do domu jednego z jej partnerów. Prosi, żebym się upewnił, czy będzie mogła przyjść opiekunka Bentleya, nastolatka japońskiego pochodzenia, która uspokaja go grą na flecie. Ja z kolei proszę, żeby w drodze do pracy zajęła na pocztę i wysłała dwie pocztowe kartki szachowe, które wypełniłem wczoraj wieczorem. Obie muszą mieć stempel pocztowy z dzisiejszą datą, gdyż każdy gracz ma trzy dni na wykonanie ruchu. Po zakończeniu skomplikowanych negocjacji typowych dla rodzin, w których oboje małżonkowie pracują, Kimmer idzie ubrać się do pracy. Zjawia się po dwudziestu minutach w ciemnym kostiumie w kremowe prążki i niebieskiej jedwabnej bluzce. Całuje mnie ponownie, tym razem w policzek i jak zwykle pospiesznie wychodzi o ósmej piętnaście.

Patrząc przez wykuszowe okno, jak błyszczące białe BMW odjeżdża Hobby Road i niemal natychmiast niknie za zasłoną deszczu. Opieram się dłońmi o parapet i pochylam ku szybie. Woody Allen napisał kiedyś żartobliwie, że uwielbia deszcz, gdyż zmywa on wspomnienia, ja jednak nie mogę zapomnieć fotografii zakrwawionej dłoni Freemana Bishopa. Pamiętam też nadal twarz agenta specjalnego McDermotta wpatrującą się we mnie ze stron „Vineyard Gazette”. Wyobrażam go sobie na łodzi z Foremanem - jak dochodzi do kłótni i McDermott zostaje wyrzucony za burtę. Widzę ojca, jak ćwierć wieku temu kłóci się z ostrożnym Colinem Scottem i próbuje go przekonać, aby zamordował człowieka, który zabił moją siostrę.

Mimo wszystko, w świetle dnia, nawet tak pochmurnego jak dzisiejszy, wszystkie te obrazy wydają się mniej przerażające. W każdym razie nie tak przerażające jak myśl, że pewnego dnia moja żona odjedzie Hobby Road i postanowi tu nie wracać.

Patrząc na pustą ulicę, wydobywam z zakamarków pamięci urywek wiersza Tadeusza Różewicza, coś o tym, że poeta to człowiek, który usiłuje odejść i nie potrafi.

To właśnie moja żona: Kimmer poetka. Niestety, obecnie zachowuje wszystkie najlepsze wersy dla siebie.

Lub dzieli się nimi z kim innym.

ROZDZIAŁ 39

Niespodziewani goście

(I)

Tuż po dziesiątej dzwoni do mnie Mallory Corcoran z wieścią, że Conan Deveaux postanowił przyznać się do zarzutu morderstwa drugiego stopnia popełnionego na Freemanie Bishopie. Po przeanalizowaniu wszystkich dowodów doszli z prawnikiem do wniosku, że proces byłby zbyt dużym ryzykiem. Na podstawie zawartej ugody Conan uniknie kary śmierci, ale pozostanie w więzieniu do końca życia. - Ma tylko dziewiętnaście lat - dodaje szorstko wujek Mal - więc będzie tam bardzo długo.

- Więc jednak to zrobił - szepczę zdziwiony. Stoję przy blacie kuchennym i przeglądam „Chess Life”, przygotowując jednocześnie kakao dla Bentleya. Czyżbym źle zrozumiał wskazówkę Maxine? *Pomyłka*. Może chodziło jej o coś innego?

- Prawdopodobnie.

- Jak to: prawdopodobnie? Przecież właśnie załatwił sobie pięćdziesiąt lat w więzieniu!

Wujek Mal wyjaśnia mi to z pedanterią doświadczonego prawnika: - Jeśli masz do wyboru życie w więzieniu lub egzekucję, to co wybierzesz? - Potem powraca do roli starego przyjaciela. - Ale mówiąc poważnie, jestem pewien, że to zrobił. Naprawdę możesz się uspokoić. Z tego, co słyszałem, ta sprawa byłaby marzeniem każdego prokuratora. Mieli świadka, ślady wiążące Conana z miejscem zbrodni, odciski palców, no, i jego późniejsze przechwałki. Wiem, że sądzisz, iż ktoś mógł go zrobić, zgodnie z teorią spiskową twojej siostry, ale trochę za dużo tych dowodów, żeby ktoś je spreparował.

Żegnam się z nim, nadal nie posiadając się ze zdumienia, po czym idę z dwoma kubkami kakao do pokoju rodzinnego, gdzie Bentley siedzi przy komputerze. Gra właśnie w grę matematyczną polegającą na zdobywaniu obrazków cukierków w nagrodę za zniszczenie liczby będącej prawidłową odpowiedzią na pojawiające się na ekranie pytanie. W ten sposób uczymy go obżarstwa, chciwości i przemocy tylko po to, żeby uzyskał lepsze wyniki egzaminu maturalnego z matematyki, który będzie zdawał za kilkanaście lat.

Jest tak pochłonięty swoim zajęciem, że nawet nie zauważa, kiedy wchodzę i siadam na kanapie, stawiając kubki z kakao na ławie. Wszyscy lubimy ten pokój. Meble mają obicia ze skóry, przy czym duża i mała kanapa oraz

fotel tworzą odrębny kącik, dzięki rozłożonemu pod nimi orientalnemu dywanowi - w rzeczywistości jest to podróbka kupiona u Searsa. Kominek z polnych kamieni otaczają wmontowane na stałe klonowe regały pomalowane na biało. Jeszcze jedną półkę udało się wcisnąć poniżej okna wychodzącego na podwórze. Półki wypełnione są książkami z najrozmaitszych dziedzin. Mamy książki o polityce, jazzie, historii czarnej rasy i podróżach, a także książki odzwierciedlające nasz zróżnicowany gust w dziedzinie współczesnej beletrystyki: Tony Morrison, Updike'a, Doctorowa, Jane Smiley, Turowa. Są też książki dziecięce, jest Biblia, w nieszkodliwej poprawionej wersji standardowej, oraz „Book of Common Prayer”. Mamy również kolekcję C. S. Lewisa, poradniki i archiwalne egzemplarze „Architectural Digest”. Jest też kilka książek na temat szachów. Natomiast nie ma ani jednej książki prawniczej.

Znów rozlega się dzwonek telefonu.

Bentley odrywa wzrok od komputera. Pokazuje mu gorące kakao. - Jus, jus, tatusiu, Bemmy zalał pije.

Telefon nie dzwoni ponownie i uświadamiam sobie, że podniosłem już słuchawkę, ale zajmując się synem, zapomniałem przyłożyć ją do ucha. Robię to teraz i słyszę szum charakterystyczny dla telefonu komórkowego o słabej baterii. Po chwili rozlega się męski głos:

- Kimmer? Kimmer? Halo! Jesteś tam, kotku?

- W tej chwili nie ma jej w domu - odpowiadam najbardziej lodowatym tonem, na jaki potrafię się zdobyć. - Czy chciałby pan zostawić dla niej wiadomość?

Długa chwila milczenia, po czym mój rozmówca się rozłącza.

Zamykam oczy, gdyż czuję lekkie zawroty głowy, patrząc, jak mój syn coraz szybciej niszczy kolejne cyferki. Tracę pewność siebie i nadzieję. Mam wrażenie, jakbym cofał się w czasie. Ileż to razy w trakcie naszego małżeństwa zdarzały mi się takie telefony - tajemniczy mężczyzna pytał o moją żonę i rozłączał się, kiedy usłyszał mój głos? Zapewne rzadziej, niż mi się teraz wydaje, ale na pewno częściej, niżbym chciał. Och, Kimmer, dlaczego znów mi to robisz?

Jesteś tam, kotku?

Staram się stłumić rozpacz, która przeszkadza mi myśleć. Skup się, rozkazuje sobie. Przede wszystkim: brzmienie tego głosu zdradza, że dzwonił czarny mężczyzna - czyli nie Gerald Nathanson. Czyżby nowy romans? A może dwa jednocześnie? Albo tylko moje błędne przekonanie, jak sugerował doktor Young. Trudno powiedzieć. Nie rozstrzygnę tego, dopóki nie rozmówię się z Kimmer, co prędzej czy później będziemy musieli zrobić. Ruszam do gabinetu, żeby zająć się czymś, co oderwie moją uwagę od tej sprawy. Głos brzmiał znajomo. Na razie nie potrafię go umiejscowić, ale wiem, że w którymś momencie sam mi się przypomni.

Jesteś tam, kotku?

Swoją drogę, czy to nie dziwne, że świeże zmartwienie związane z przyszłością mojego małżeństwa całkowicie wyparło z moich myśli morderstwo, tortury i tajemniczy pionek? Zabawne, jak kształtują się nasze priorytety. Siadam przed komputerem i zastanawiam się, kto może być tak arogancki... i głupi, żeby mówić *kotku* do zamężnej kobiety, skoro dzwoniąc, nawet nie ma pewności, czy jest ona w domu. Potrząsam głową, a wściekłość, strach i ból nie pozwalają mi rozsądnie myśleć. Mam ochotę krzyczeć, rzucić się na podłogę w ataku hysterii, może nawet coś zniszczyć, ale jestem Garlandem, więc zapewne zamiast tego coś napiszę. Przeglądam pliki w komputerze, próbując wybrać, w którym z niedokończonych esejów wprowadzić nic nieznaczące zmiany, gdy mój wzrok pada za okno, prosto na samochód stojący po drugiej stronie ulicy.

Niebieskie porsche.

Jego kierowca - niewyraźna postać za szybą - ma głowę obróconą w stronę naszego domu.

(II)

Przez chwilę zastanawiam się, jak zareagować, po czym decyduję się zrobić to, co przy moim obecnym nastroju najbardziej mi odpowiada. Wyciągam zza biurka kij bejsbolowy, który ukryłem tam owej nocy, gdy mnie zaatakowano. Wsuwam głowę do pokoju rodzinnego i zapowiadam Bentleyowi, żeby się stamtąd nie ruszał. Kiwa głową, klikając szaleńczo myszką. Udało mu się zgromadzić okazałe stopy słodczy. Może ma kłopoty z mówieniem, ale niewątpliwie umie dodawać, odejmować, celować i klikać myszką.

Wyciągam z szafy lekką kurtkę i wychodzę przez drzwi frontowe, wymachując kijem i uderzając nim o otwartą dłoń. Kierowca porsche musi go zauważyć. Nie mogę zrobić tego, na co naprawdę mam ochotę, czyli przejść przez ulicę i pogruchotać kijem samochodu, gdyż nie chcę ani na moment zostawić syna samego. Mimo wszystko kierowca trafnie odczytuje moje przesłanie. Czarny mężczyzna przez chwilę przygląda mi się przez okno, przy czym widzę tylko lustrzane okulary i niewiele więcej. Potem bez śladu paniki powoli rusza i odjeżdża.

Triumfalnie wymachuję kijem w powietrzu, ale powstrzymuję się przed wydaniem okrzyku zwycięstwa.

Wracam do domu, zamykam za sobą drzwi i odstawiam kij, po czym zadaję sobie pytanie, co ja właściwie wyrabiam. Zdarzało się już, że czerwona mgielka wściekłości skłaniała mnie do niezwykłych zachowań, ale jeszcze nigdy nie byłem tak bliski posunięcia się do przemocy. W skołatany umyśle kłębią mi się setki myśli. Kierowca samochodu jest niewinny - po prostu

mieszka w pobliżu, a teraz rozpowie wszystkim, że zwariowałem. Kierowca samochodu to mężczyzna, który dzwonił do Kimmer i moja żona ma z nim romans. Kierowca samochodu to człowiek, który udawał agenta Foremana. Kierowca samochodu to człowiek, który zwrócił mi skradzioną książkę o szachach. Wszystkie te stwierdzenia są prawdziwe... albo żadne z nich.

- Jesteś chory, Misha - mruczę do siebie, wyglądając ponownie przez okno w gabinecie. Na ulicy widać tylko moich sąsiadów, którzy wybrali się na spacer z trzymiesięcznymi bliźniakami. - Potrzebujesz pomocy. Koniecznie.

Moja żona z pewnością by się z tym zgodziła. Mężczyzna w niebieskim porsche również.

Potem przeszływa mnie okropna myśl: *Mężczyzną w porsche był Lemaster Carlyle*. Doskonały Lemaster Carlyle, który mnie szpieguje i oszukuje swoją żonę, spotykając się z Kimmer za plecami Julii. Nazywa moją żonę kotkiem. Może nawet zostawił w moim samochodzie książkę o szachach, gdy spóźnił się na przyjęcie Shirley Branch. To by wyjaśniało, dlaczego ostatnio tak ozięble się do mnie odnosi. Jednak głos w telefonie nie miał barbadoskiego akcentu. Poza tym Lem jest niski, a człowiek, którego John Brown widział w lasku, był wysoki. Oczywiście mogłoby się wokół mnie kręcić dwóch czarnych mężczyzn, ale zgodnie z zasadą brzytwy Occama*, którą uwielbiał przytaczać ojciec, nie należy „mnożyć bytów ponad potrzebę”.

*Brzytwa Occama - zasada sformułowana przez Williama Occama, zalecająca unikanie cech redundantnych

Zresztą to i tak typowe głupie pomysły Mishy Garlanda.

Stoję dalej przy oknie i urągam sobie, jak to mają w zwyczaju osoby dotknięte psychozą maniakalno-depresyjną, aż w końcu przypominam sobie, że miałem przecież pić gorące kakao z synkiem. Pędzę z powrotem do pokoju rodzinnego i przekonuję się, że Bentley siedzi tam, gdzie go zostawiłem, tak pochłonięty swoim zajęciem, że nie pamięta ani o kakao, ani o ojcu. Wydaje radosne okrzyki, kiedy trafia we właściwą liczbę i powiększa łup. Z pewnością w moim dzieciństwie też musiały być takie radosne momenty, ale pamiętam głównie jego cienie.

Rozlega się dzwonek u drzwi.

Obracam się niepewnie, gdyż nie wiem, czy nie powinienem znów chwycić za kij albo złapać synka i uciec z nim przez żywopłot do Felsenfeldów. Przecież może to być kierowca porsche, który wrócił z kilkoma kolegami. Jednak nawyki Garlandów są we mnie zbyt silnie zakorzenione, bym uległ panice. Otwieram drzwi, tak jakbym to zrobił każdego innego dnia.

Na progu stoi dwóch mężczyzn, przy czym jednego z nich już znam. - Profesorze Garland, czy miałby pan dla nas chwilę czasu? - pyta agent specjalny Fred Nunzio z Federalnego Biura Śledczego. Minę ma raczej ponurą.

ROZDZIAŁ 40

Kolejne odkrycie

Fred Nunzio przedstawia swojego towarzysza, Ricka Chrebeta, detektywa miejskiego. Tworzą razem osobliwą parę. Nunzio jest niski i tęgi, a przy tym zwinny i pewny siebie. Czarne włosy ma zaczesane gładko do tyłu. Kościsty Chrebet ma rzadkie włosy, równe białe zęby, blade wargi i zaczepnie wysuniętą szczękę. Jego jasne oczy są głęboko osadzone i maluje się w nich wyraz czujności. Zachowuje tak kamienną obojętność, że mam ochotę przyznać się do jakiejś przewiny, żeby sprawdzić, czy choć na chwilę go to zainteresuje. Mając wrażenie *déjà vu*, prowadzę ich do słonecznego salonu, którego używamy wyłącznie przy okazjach towarzyskich. Po drugiej stronie korytarza Bentley radośnie poluje na cyferki i nie zwraca najmniejszej uwagi na zdenerwowanie ojca ani na gości. Nigdy nie przejawia zainteresowania obcymi, być może po mnie odziedziczył skłonność do zamykania się we własnym świecie.

- Postaramy się nie zabrać panu zbyt dużo czasu - odzywa się Nunzio przepraszającym tonem. - Nie zawracalibyśmy panu głowy, gdyby to nie było ważne.

W odpowiedzi mruczę coś stosownego do sytuacji i czekam na cios. Czy coś się stało Kimmer? Ale wtedy nie byłoby tu agenta FBI. Czy przyszły wieści z Waszyngtonu? Jednak po co przychodziłby tu wówczas miejski gli-niarz.

- Mój kolega chciałby z panem porozmawiać o pewnej sprawie - cią-gnie Nunzio - a ja zabrałem się z nim przy okazji.

Tymczasem detektyw Chrebet otworzył na ławie cienką teczkę i przerzu-ca teraz jej zawartość. Wyciąga błyszczącą kolorową fotografię i popycha w moim kierunku. Przedstawia ona krępego mężczyznę z niechlujnym brązo-wym zarostem. Patrzy prosto w obiektyw, a na wysokości piersi trzyma pla-kietkę z szeregiem liczb. Zdjęcie do kartoteki policyjnej. Przechodzi mnie dreszcz.

- Czy rozpoznaje pan osobę, znajdującą się na tej fotografii? - pyta de-tektyw piskliwym, beznamiętnym głosem. Pytanie brzmi jak wyuczone z podręcznika.

- Tak. - Spoglądam twardo na Nunzio, ale odpowiedź kieruję do Chre-beta. - Doskonałe pan o tym wie.

Natychmiast podsuwa mi drugie zdjęcie, tym razem czarno-białe. Wy-starcza mi jedno spojrzenie i nie czekam już na pytanie. - Tego również

rozpoznają. To mężczyźni, którzy zaatakowali mnie na terenie kampusu kilka tygodni temu.

Nunzio uśmiecha się nieznacznie, ale Chrebet nie zmienia kamiennego wyrazu twarzy. - Jest pan całkowicie pewny?

Posłusznie przyglądam się fotografiom raz jeszcze, na wypadek gdyby w ciągu tych kilku sekund coś się w nich zmieniło. - Tak, jestem o tym całkowicie przekonany. Miałem okazję dobrze im się przyjrzeć. - Wskazuję na zdjęcia. - Czy to oznacza, że udało wam się ich odnaleźć? Czy są aresztowani?

Detektyw odpowiada pytaniem na pytanie. - Czy kiedykolwiek widział pan tych mężczyzn przed tym dniem, kiedy pana zaatakowali?

- Nie. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Już to mówiłem policji.

W tym momencie agent Nunzio wtrąca: - Profesorze Garland, czy jest coś, o czym chciałby mi pan powiedzieć?

- Słucham?

- Coś związanego z... badaniami, jakie pan prowadzi? - Zwracam uwagę na użyty przez niego eufemizm i zastanawiam się, czy próbuje ukryć coś przed Chrebetem, czy też sądzi, że ja mam taki zamiar. - Czy jest coś, co chciałby pan omówić w cztery oczy?

- Nie, nie ma.

- Jest pan pewien?

- Już pana pytałem, czy istnieje możliwość, że Freeman Bishop...

- Sprawdziliśmy to - wtrąca szybko i znów mam wrażenie, że nie chce, żeby detektyw zrozumiał, o czym mówimy. - Pański informator się mylił. Nie ma się czym martwić. - Uspokaja mnie, mimo że go wcale o to nie prosiłem. Coraz mniej z tego rozumiem.

Nunzio ustępuje miejsca Chrebetowi. Ten podejmuje przesłuchanie, jakby agent federalny w ogóle się nie odzywał. - Czy widział pan kogoś z tych mężczyzn po napadzie?

W miarę jak wzrasta moje zdenerwowanie, przypominam sobie dawne umiejętności prawnicze. - Nic takiego sobie nie przypominam.

- Czy wiadomo panu, żeby ktoś inny ich widział?

- Nie. - Czekałem już dość długo, toteż szybko wtrącam własne pytanie.

- Proszę mi powiedzieć, czy wiadomo, kim oni są?

- Płatki - odzywa się ponownie Nunzio. - Drobne rzezimieszki. Wynajęci tylko do tej roboty.

- No, więc czy zostali aresztowani? Znaleźliście ich? Czy dlatego do mnie przyszliście? - Mam nadzieję, że jeśli uda mi się odkryć, kto ich wynajął, to rozwiązę przynajmniej część zagadki. - Czy wiecie, dla kogo pracowali?

Chrebet skrupulatnie odpowiada na moje pytania: - Nie, profesorze, nie wiemy, dla kogo pracowali. Nie są aresztowani. Znaleźliśmy ich... a raczej,

zostali znaleźieni.

- Co to znaczy? Nie żyją?

Ciągnie dalej, jak automat: - Zostali znaleźieni podczas weekendu w Henley State Park, przez grupę harcerzy, którzy urządzili sobie tam pieszą wycieczkę. Leżeli w krzakach, związani i zakneblowani. Żywi, ale niewiele już brakowało.

- Nie chcą mówić - wyjaśnia agent Nunzio, jakby czytał w moich myślach. - Są śmiertelnie przerażeni i prawdę mówiąc, na ich miejscu też bym był. - Prezentuje niedbały, szydyczny uśmiešek. - Ktoś poodcinał im wszystkie palce.

ROZDZIAŁ 41

Konfrontacja

(I)

Nie wspominam Kimmer o tym spotkaniu. Wolę teraz tego nie robić. Natomiast w czwartek po południu spotykam się z doktorem Youngiem. Wysłuchuje mnie cierpliwie i z troską, trzymając dłonie splecione na wydatnym brzuchu i potrząsając z niezadowoleniem głową. Potem przytacza mi opowieść o Danielu w jaskini lwów. Zapewnia, że Pan mnie z niej wyprowadzi. Nie musi pytać, w jaki sposób moi napastnicy stracili palce. Chrebet zapytał, czy wiem, co im się przytrafiło, ale nie spodziewał się odpowiedzi... i jej nie otrzymał. Poza tym dobrze wie - podobnie jak agent Nunzio, doktor Young i ja - że dosięgła ich karząca ręka Jacka Zieglera. Obietnica, którą usłyszałem przez telefon o godzinie drugiej pięćdziesiąt jeden w nocy i o której nikomu jeszcze nie wspomniałem, została spełniona.

Na koniec pastor przestrzega mnie jeszcze, żebym nie cieszył się cudzym nieszczęściem. Zapewniam go, że absolutnie nie odczuwam radości z powodu tego, co spotkało moich napastników. Jednak okazuje się, że to nie o nich mu chodzi. Kiedy staram się odgadnąć, co miał na myśli, doradza mi jeszcze, żebym zrobił, co w mojej mocy, w celu naprawienia stosunków z osobami, które do siebie zraziłem. Zgadzam się niechętnie. Jeszcze tego popołudnia spotykam w przedszkolu Dahlię Hadley, więc wyrażam jej swoje współczucie z powodu skandalu, jaki dotknął Marca. Jednak Dahlia przybiera lodowaty wyraz twarzy i nie chce ze mną rozmawiać. Mimo wszystko chęć naprawiania kontaktów przeradza się u mnie w przymus. Być może liczę po cichu, że w ten sposób pozbędę się dręczących mnie demonów. Kiedy człowiek czuje na karku palący oddech Jacka Zieglera, może tak zwariować.

W piątek rano znajduję Stuarta Landa i przepraszam za oskarżenie go o sabotowanie kandydatury Marca. Twierdzi, że się tym nie przejął, gdyż jest niewinny. Informuje mnie nawet, że Marc jeszcze nie wycofał swojej kandydatury. Kiedy pytam, dlaczego, spogląda na mnie chłodnym wzrokiem i stwierdza: - Zapewne liczy na to, że ty pogrzebiesz szanse swojej żony. - Ogłusza mnie ta uwaga i opuszczając przestronny gabinet Stuarta, postanawiam, że muszę się zachowywać jak należy. Po lunchu próbuję w końcu skontaktować się z szanownym Cameronem Knowlandem, którego syn ani słowem nie odezwał się na zajęciach od czasu naszej drobnej utarczki, lecz

kiedy dzwonię do prywatnej firmy inwestycyjnej prowadzonej przez Camerona w Los Angeles, okazuje się, że nie chce ze mną rozmawiać. Dokładnie rzecz biorąc, kiedy udaje mi się dodzwonić do jego głównej sekretarki, ta oświadcza mi, że pan Knowland nigdy o mnie nie słyszał.

Opowiadał mi o tym Robowi Saltpeterowi, kiedy w poniedziałek rano spotykaliśmy się, żeby pograć w koszykówkę. Rob stwierdza, że Cameron po prostu urządza sobie ze mną gierki, ale tego już sam się domyśliłem. Gramy dziś tylko przeciw sobie nawzajem i Rob dwukrotnie odnosi drugoczące zwycięstwo, ale to tylko dlatego, że jest wyższy i szybszy... chociaż, może po prostu ma szybszy refleks i lepszą koordynację ruchów.

Teraz jest piątek, a mój nastrój nadal co chwilę się zmienia. Nie pozwalam sobie na żadne nieodpowiednie zachowania, lecz ta samokontrola jest bardzo słaba. Wystarczy niewielki wstrząs, żeby ją zniszczyć. Próbuję się modlić, ale nie potrafię się skupić. Siedzę przy biurku, nie mogąc się zmusić do pracy, i z wściekłością rozmyślam o ojcu. Ciekawe, co by się stało, gdybym wtedy na cmentarzu nie zgodził się porozmawiać z Jackiem Zieglerem? Zapewne i tak dotarłaby do mnie wiadomość ojca, więc nadal musiałbym się zastanawiać, kim jest chłopak Angeli. Ci, którzy zmarli, i tak by zmarli, zatem nie ma sensu rozważać...

Ci, którzy zmarli, i tak by zmarli...

Nagle mój nastrój się poprawia. Przypomina mi się pomysł, na który wpadłem podczas przyjęcia u Shirley Branch. Następnego ranka sam się z niego śmiałem, ale teraz jestem zdesperowany. Może akurat dzięki niemu ja i moja rodzina wydostaniemy się z tych opałów. Zmarli. Cmentarz. Może, ale tylko może. Nie wiem, czy ten pomysł spełni swoje zadanie, ale warto się przygotować na wypadek, gdybym postanowił podjąć tę próbę. Zaczynam od telefonu do Karla i zadaję mu pytanie na temat Podwójnego Ekscelesora. Cierpliwie udziela mi wszystkich potrzebnych wyjaśnień i dziękuje za zwrot książki. Pod wpływem jego informacji postanawiam kontynuować przygotowania. Jednak będę potrzebował pomocy. Później tego popołudnia, po zakończeniu zajęć z prawa administracyjnego, pędzę na pierwsze piętro, żeby poszukać Dany Worth. Niestety, na jej drzwiach wisi kartka z informacją, że Dana jest obecnie w czytelni wykładowców. Dana zawsze zostawia wiadomość, dokąd idzie, żeby można było ją znaleźć - rozmawianie z ludźmi jest jej ulubionym zajęciem. W tym momencie popełniam błąd. Jestem tak opanowany chęcią odnalezienia przyjaciółki, że idę do biblioteki, której zazwyczaj unikam... i wszystko kończy się katastrofą.

(II)

Większość profesorów ma zwyczaj dzwonić do biblioteki, żeby im przy-

niesiono potrzebne książki, ja jednak lubię od czasu do czasu tam pójść i chłonąć atmosferę tego miejsca. Właściwie, to lubiłem, dopóki nie rozeszły się pogłoski o romansie Kimmer z Jerryem Nathansonem. Za dziesięć piąta za pomocą własnego klucza otwieram boczne wejście do biblioteki prawniczej, znajdującej się na drugim piętrze, z dala od hałaśliwych studentów. Dzięki kluczowi wchodzę od tyłu do sali z czasopismami, gdzie na kilkudziesięciu ciemnoszarych, ustawionych równolegle regałach spoczywają starannie posegregowane przeglądy prawnicze z pozaginanymi rogami. Ciągłe jeszcze się waham, co zrobić, i szukam pretekstu do rezygnacji ze swojego planu. Jednak jeśli zamierzam go realizować, to pilnie potrzebuję pomocy, a spośród moich znajomych tylko Dana jest na tyle szalona, żeby się na to zgodzić. Rob Saltpeter jest zbyt prostolinijski, a Lem Carlyle zbyt ostrożny. Zastanawiałem się również nad tym, by zwrócić się o pomoc któregoś ze studentów, ale odrzuciłem ten pomysł. Zatem Dana albo nikt. Kiedy przechodzę niezdecydowanym krokiem przez salę, słyszę głosy nadchodzących studentów i postanawiam zakamuflować cel swojej wizyty w bibliotece. Wprawdzie nie miałbym żadnych oporów, żeby przebywać z Daną sam na sam w jej gabinecie, ale nie chciałbym, żeby ktoś zauważył, jak ścigam ją wśród półek z książkami. Jednocześnie nie mogę czekać, aż wróci do siebie, bo chyba oszaleję, jeśli zaraz nie uzyskam od niej odpowiedzi, czy mi pomoże. Wyciągam zatem na chybił trafił opasły tom „Columbia Law Review” i przerzucam kartki, udając głębokie zainteresowanie. Przechodzę z nim między regałami aż do starej kserokopiarki wypływającej niewyraźne kopie i zatrzymuję się przy niej na chwilę, żeby zebrać siły. W końcu opuszczam salę czasopism i przechodzę do głównej czytelnicy, starannie unikając patrzenia na ścianę, gdzie nadal wisi portret mojego ojca w todze. Gdyby dokładnie mu się przyjrzeć, można dostrzec - pod niedokładnie nałożoną przy renowacji farbą - wyzwiska, które ktoś wypisał na płótnie w okresie zatwierdzania nominacji Sędziego. Najłagodniejszym z nich było: WUJ TOM, a towarzyszyły mu rozmaite uwagi na temat przodków ojca dopisane przez komentatora politycznego zbyt skromnego, by podpisać swą pracę.

Nigdy nie przyglądam się temu portretowi dokładnie.

Kiedy przechodzę przez szeroką salę, kilku odważnych studentów rzuca w moim kierunku słowa powitania, lecz większość ma zbyt dużo rozsądku, by się na to poważyć. Potrafią wiele wyczytać z twarzy swoich wykładowców i wiedzą, kiedy się do nich odezwać, a kiedy lepiej trzymać się z daleka. Mijam grupkę czarnych studentów, potem białych. Pozdrawiam ruchem dłoni Shirley Branch, która stoi przy komputerach i zamasyście gestykułuje, przedstawiając swój punkt widzenia Mattowi Goffe, koledze wyznającemu, podobnie jak ona, poglądy lewicowe i z którym również szkoła nie podpisała jeszcze stałej umowy. W przeciwległym końcu sali dostrzegam Avery'ego Knowlanda schylonego ze zniechęconą miną nad książką, ale na szczęście

nie muszę koło niego przechodzić. Zastanawiam się, jak bardzo wściekły jest jego ojciec. Może rzeczywiście Cameron Knowland i jego dekoracyjna żona zabiorą swoje trzy miliony i będziemy mogli zachować tę przepięknie podniszczoną bibliotekę w takim stanie, jak jest teraz. Nasza pani dziekan chciałaby mieć w tym miejscu budynek godny dwudziestego pierwszego wieku, ja jednak sądzę, że biblioteki powinny zachować wystrój z dziewiętnastego wieku, kiedy to druk, a nie światłowod, służył do przekazywania informacji na duże odległości. Uwielbiam tę salę. Część długich stołów, przy których uczą się studenci, pochodzi sprzed ponad pół wieku. Sufit znajduje się na wysokości trzeciego piętra, a zwisające z niego mosiężne żyrandole pełnią obecnie rolę wyłącznie dekoracji. Salę oświetlają szeregi obrzydliwych świetlówek oraz kolorowe promienie światła przedostającego się przez witrażowe okna umieszczone wysoko pod sufitem, nad misternie rzeźbionymi drewnianymi półkami pełnymi książek prawniczych. Osoba cierpliwa może prześledzić historię przedstawioną na kolejnych witrażach - rozpoczynającą się nad głównym wejściem, biegnącą przez wszystkie cztery ściany i kończącą się tam, gdzie się zaczęła. Widzimy zatem brutalne przestępstwo, następnie świadka zatrzymującego policjanta, aresztowanie podejrzanego, proces, naradę sędziów przysięgłych, ogłoszenie wyroku, karę, nowego adwokata, apelację, zwolnienie z więzienia i powrót do przestępczego życia, czyli przygnębiające błędne koło, którego widok doprowadzał mnie do wściekłości w czasach studenckich.

Uśmiecham się do bibliotekarza, obchodząc jego długie biurko, ale nie odwzajemnia mojego uśmiechu. Rozmawia akurat przez telefon i, jeśli wierzyć plotkom, zapewne obstawia zakłady. Za tym biurkiem znajduje się mój cel, czyli czytelnia wykładowców. Sięgam właśnie po swój klucz, kiedy otwierają się podwójne drzwi z matowego szkła i bez pośpiechu wychodzą z nich Lemaster Carlyle i Dana Worth. Śmieją się obydwoje - prawdopodobnie z jakiegoś worthizmu, gdyż śmiech Lema jest głośniejszy.

- Cześć, Tal - mówi cicho Lem. Jest jak zwykle elegancki, w szarej sportowej marynarce i karmazynowym krawacie Harvardu.

- Lem.

- Misha, kochanie - wita mnie Dana, a ja przypominam sobie, żeby przy najbliższej okazji poprosić ją, by publicznie nie zwracała się do mnie w taki sposób. Ona również dobrze się prezentuje w ciemnym kostiumie.

- Dano, masz chwilkę?

- To zależy od tego, jak zamierzasz głosować w sprawie Bonnie Ziffren - uśmiecha się Dana. Ma na myśli kolejną z wielu kandydatek rekomendowanych przez komisję zajmującą się nominacjami, przeciw którym z tego czy innego powodu oponuje. - Wiem, że zdaniem Marca to kolejna Catherine McKinnon, ale dla mnie jest ona tylko nieoszlifowaną cyrkonią.

- Nie powinnaś publicznie rozmawiać o potencjalnych nominacjach

profesorskich - przypomina jej świętoszkowato Lem. Znowu unika mojego spojrzenia. - Zgodnie z przepisami uniwersyteckimi, sprawy kadrowe są poufne.

- W takim razie zapraszam do mojego saloniku. - Dana wskazuje czytelną wykładówce.

- Nie, dzięki - odpowiada Lem i przypomina sobie, że musi już pędzić na obiad z wizytującym naszą uczelnię potentatem z Amerykańskiego Instytutu Prawniczego. Lemaster Carlyle jest zawsze w pełnej gotowości bojowej, gdy chodzi o politykę uniwersytecką. Tęskni za złotym okresem naszej szkoły prawniczej, kiedy - jego zdaniem - wszyscy wykładowcy przyjaźnili się ze sobą. Co prawda osoby, które wówczas tu były, takie jak Theo Mountain czy Amy Hefferman, pamiętają te czasy zupełnie inaczej. Lem odchodzi bez pożegnania, nadal nie patrząc mi w oczy.

Co z nim się dzieje? Czyżby był kochankiem Kimmer? Posłańcem, który dostarczył pionek? Pocieram czoło, gdyż znów ogarnia mnie wściekłość, tyle że nie na Lema, ale na ojca. Droga Dana Worth dostrzega u mnie nagłą zmianę nastroju i kładzie mi delikatnie dłoń na ramieniu. Czeką przez chwilę, aż Lem znajdzie się poza zasięgiem słuchu, po czym pyta łagodnie, o co chodzi.

- Wolalbym porozmawiać o tym na osobności - wyjaśniam, przy czym nadal rozmyślam, co się stało Lemasterowi, oraz czy to ma związek z... ze wszystkim.

- Zapraszam do saloniku - żartuje ponownie. Waham się przez chwilę, gdyż nie chcę, żeby widziano mnie, jak wślizguję się do czytelnicy wykładówce z koleżanką, szczególnie białą, nawet jeśli nie interesuje się ona mężczyznami. Ta chwila wahania okazuje się moją zgubą. Widzę, że Dana uśmiecha się do kogoś ponad moim ramieniem i nagle słyszę zza pleców ostro wypowiedziane słowa:

- Tak, sądzę, że musimy porozmawiać.

Obracam się, zaskoczony, i widzę przed sobą rozgniewaną twarz Geralda Nathansona.

(III)

- Cześć, Jerry - mówię spokojnie.

- Musimy porozmawiać - powtarza.

Jerry Nathanson, chyba najbardziej ceniony prawnik w naszym mieście, studiował wraz ze mną i Kimmer. Już wówczas ożenił się z tą samą mało pociągającą kobietą, która jest jego żoną do dzisiaj. Jerry ma ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i lekką nadwagę, a pulchny podbródek nie psuje jego chłopięcej urody w stylu lat pięćdziesiątych. Rysy ma wyraźne i nieco

miękkie, a ciemne kręcone włosy zaczynają się przeredzać na czubku głowy. Robi imponujące wrażenie w popielatym garniturze i granatowym krawacie. W tej chwili trzyma dłonie złożone na piersi, jakby oczekiwał przeprosin.

- Moim zdaniem, nie mamy o czym rozmawiać - oznajmiam mu stanowczo, zapominając o wszystkim, czego uczył mnie Morris Young. Niewątpliwie zachowuję się teraz jak jeden z chłopców, których stara się uratować przed zejściem na złą drogę. Nie potrafię się powstrzymać przed zaprezentowaniem swojej samczej przewagi.

- To na razie, Misha - wtrąca Dana, która nadal jeszcze się uśmiecha, ale jej uśmiech jest znacznie bledszy. Nie chce uczestniczyć w tym, na co się zanosi. - Zadzwoń.

- Dano, poczekaj...

- Niech idzie - zarządza Jerry. - Musimy porozmawiać sami.

Mierzę go gniewnym spojrzeniem i przekładam „Columbia Law Review” do lewej ręki, zapewne po to, by mieć swobodną prawą. Potem jednak zmuszam się do zachowania spokoju. Potrząsam głową. - Nie, Jerry, teraz nie mogę. - Pokazuję mu trzymany w ręce tom. - Może innym razem.

Kiedy próbuję go ominąć, chwytą mnie za rękę. - Nie odchodź.

Za chwilę wybuchnę. - Proszę puścić moją rękę - szepczę, nie odwracając się. Zauważam, że studenci już zaczynają się poszturchiwać i wskazywać w naszym kierunku, więc zapewne wkrótce zbierze się tu tłumek.

- Chcę tylko porozmawiać - mruczy Jerry, który też zdążył dostrzec, że wzbudzamy zainteresowanie.

- Jak jeszcze mam ci tłumaczyć, że nie chcę z tobą rozmawiać?

- Nie rób scen, Talcotcie.

- *Ty mi mówisz, żebym nie robił scen?* - Wbijam w niego pełen wściekłości wzrok i zastanawiam się, czy powinienem go uderzyć. Ciekawe, czy jest gdzieś książka z zasadami postępowania dla zdradzanych mężów, określająca, co należy zrobić podczas spotkania z prawdopodobnym obiektem uczuć żony.

- Uspokój się, Talcotcie.

- Nie pouczaj mnie! - Powiedziałbym więcej, ale się powstrzymuję, gdyż wyraz jego twarzy uległ zmianie. Nie widać już na niej gniewu, tylko zdumienie.

- Muszę iść - oświadczam zatem i ruszam ku wyjściu. Słyszę, że idzie za mną, więc przyspieszam kroku. Teraz obserwuje nas już pewnie połowa studentów prawa i kilku wykładowców. Ale nie pozostaje mi nic innego, jak się stąd wydostać, a później martwić się o resztę.

Jerry dogania mnie tuż za bogato zdobionymi podwójnymi drzwiami, którymi wyróżnia się główne wejście do biblioteki. - Co się z tobą dzieje, Talcotcie? Przecież chciałem tylko porozmawiać.

Dość już się powstrzymałem. Odwracam się do niego gwałtownie, widząc przed sobą tylko jasną czerwień. - O co chodzi, Jerry? Czego właściwie chcesz?

- Tutaj? Chcesz tu rozmawiać?

- A czemu nie? Przecież ścigałeś mnie przez całą bibliotekę.

Jerry wyprostowuje się. - No, dobrze. Przede wszystkim chciałem ci z góry pogratulować. Chodzi mi o nominację twojej żony. Powiedziała mi - rozgląda się dookoła, ale teraz, kiedy wyszliśmy z biblioteki, nieliczni studenci znajdujący się w pobliżu udają, że nie podsłuchują - powiedziała mi o profesorze Hadleyu.

W łóżku? Na kanapie w twoim gabinecie? Pomimo obietnic złożonych doktorowi Youngowi, nie potrafię wyzbyć się gniewu (czy raczej przestać cierpieć), kiedy stoję twarzą w twarz z Jerryem Nathansonem.

- Profesor Hadley nie wycofał swojej kandydatury - rzucam ostrym tonem.

- Och, nie wiedziałem.

W trakcie tej wymiany zdań znów ruszyliśmy i podążamy teraz słabo oświetlonym korytarzem w kierunku mojego gabinetu. Żaden ze studentów nie ośmiela się iść za nami, ale dostrzegam, że drzwi niektórych gabinetów są otwarte, tak że nadal ktoś nas może podsłuchać.

- Ale taka jest prawda - mówię ściszym głosem. - Najwyraźniej profesor Hadley sądzi, że uda mu się wszystkim wmówić, iż to wielkie nieporozumienie.

- Rozumiem. - Jerry odzywa się teraz cicho i z wahaniem. Usiłuje się uśmiechnąć. Stoimy już pod moimi drzwiami. - Jestem pewien, że twoja żona dostanie to stanowisko.

I wówczas nie mogę się powstrzymać. - Moja żona. *Moja żona*. *Moja żona!*

Przechyla głowę na bok, oczy mu się zwięzają. - Tak. Twoja żona.

- Masz się trzymać od niej z daleka.

- Trzymać z daleka? Przecież pracujemy razem.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi, Jerry. Nie urządzaj sobie ze mną takich gier.

- Rzeczywiście wiem, Talcotcie, i powiem ci... powiem ci, że to zupełnie idiotyczne. - Zdumienie Jerry'ego jest tak szczere, że jestem pewien, iż udaje. - Nie mam pojęcia, jak możesz tak myśleć... Ja i Kimberly? Skąd ci się wziął ten pomysł?

- Może stąd, że to prawda.

- To nie jest prawda. Proszę cię, żebyś tak nie myślał. - Pociera dłońmi twarz. - Twoja żona... Kimberly... już parę miesięcy temu mi powiedziała, że ty najwyraźniej sądzisz, iż nas coś... hmm... łączy. Myślałem, że żartuje. Proszę cię, Talcotcie, uwierz mi. - Mówi to z przejęciem i znowu kładzie mi

dłoń na ręce. - Tak się składa, że moje małżeństwo jest bardzo szczęśliwe. Z twoją żoną łączą mnie tylko kontakty zawodowe i nigdy nie było inaczej. - Czeka, żeby to do mnie dotarło. - Kimberly jest najlepszym prawnikiem w firmie i najlepszym prawnikiem w mieście, a nawet w tej części stanu. Być może... może zrzucamy na nią zbyt wiele obowiązków, może przez nas zbyt rzadko jest w domu, ale uwierz mi, Talcotcie, że tym, co ją zatrzymuje poza domem, jest wyłącznie praca.

- Ciekawe, dlaczego miałbym ci uwierzyć - prychem, ale nie jestem już tak pewny siebie, i obaj o tym wiemy. Zużyłem całą amunicję, ale mój proch był mokry. Może skierowałem swój wybuch wściekłości w niewłaściwą stronę, gdyż powinienem wyładować emocje raczej na Jacku Zieglerze lub ojcu.

Jeny Nathanson robi krok do tyłu. Jest już spokojny. Jako dobry prawnik wie, kiedy zyskał przewagę. Kiedy znów się odzywa, mówi lodowatym tonem. - Twoja żona zwierzyła mi się również, że zachowujesz się w irracjonalny sposób. Tłumaczyłem jej, że nie ma się czym martwić, ale widzę, że jak zawsze miała rację.

- Co ci powiedziała?

- Że twoje zachowanie zaczyna budzić w niej lęk.

Tego już za wiele. Przysuwam się do niego bliżej, ale udaje mi się powstrzymać przed chwyceniem go za gors ręcznie szytej koszuli. - Nie życzę sobie, żebyś dyskutował o mnie z moją żoną. - Nie zdaję sobie sprawy, jak absurdalnie to brzmi, dopóki nie wypowiedziałem tych słów. - Nie życzę sobie, żebyś dyskutował z moją żoną o *czymkolwiek*.

- Mam dla ciebie niezwykle ważną wiadomość, Talcotcie. - Jerry też ponownie kipi z wściekłości. Wyciąga palec w moją stronę. - Pilnie potrzebujesz pomocy lekarskiej. Najlepiej psychiatrycznej.

Mężczyźni są jednak okropni! Odtrącam jego palec i odpowiadam mu równie rozsądnie: - Jeśli nie będziesz się trzymał z dala od mojej żony, Jerry, to wkrótce tobie będzie potrzebna pomoc lekarska.

Twarz Jerry'ego czerwienieje. - To jest groźba, Talcotcie. Czy zdajesz sobie sprawę, co mówisz? To właśnie Kimberly miała na myśli.

- Odważny jesteś, Jerry.

- Taak? - Prowokuje dalej, klepiąc mnie w pierś. - I co zrobisz?

- Nie przeciągaj struny - warczę.

Śmieje się w odpowiedzi. Gdybyśmy nie byli intelektualistami z uniwersyteckiego miasta, już dawno wymienilibyśmy pierwsze ciosy. W tej sytuacji tylko trochę się przepychamy. Być może ja wkładam w to więcej siły? Mimo że dostrzegam gromadzących się wokół nas gapiów, nie potrafię się zmusić, żeby ustąpić. Otaczający mnie świat jest zbyt czerwony. - Po prostu trzymaj się z dala od mojej żony.

- Zwariowałeś, Talcotcie. - Opanowuje się z wysiłkiem i cofa, ciężko dysząc. - Naprawdę idź do lekarza.

Kiedy Jerry odchodzi, gapią się na mnie wszyscy w Oldie.

ROZDZIAŁ 42

Ostateczny termin

- Trochę martwimy się o ciebie - rozpoczyna Lynda Wyatt bez żadnego wstępu.

- Wiem.

Jestem zdecydowany okazać skruchę. Dziekan Lynda zadzwoniła do mnie we wtorek po południu i poprosiła - a właściwie kazała mi - żebym przyszedł do jej gabinetu w środę o trzeciej. Jej ton nie pozostawiał wątpliwości, że znalazłem się w opałach.

- Należysz do rodziny, Talcotcie - ciągnie dalej, patrząc na mnie surowo. - Oczywiście, kiedy członek rodziny ma problemy, pragniemy mu pomóc.

Mówiąc to, ma na myśli siebie, Stuarta Landa i Arniego Rosena, troje najbardziej wpływowych profesorów, a jednocześnie - tak się złożyło - aktualnego, byłego oraz, być może, przyszłego dziekana. O powadze sytuacji świadczy dodatkowo nieobecność Bena Montoi, który zazwyczaj wykonuje za nią brudną robotę. Podczas tego spotkania Lynda chce mieć do dyspozycji ciężką artylerię.

Siedzimy w jej gabinecie, gdzie wcześniej przestawiono meble specjalnie dla celów tej rozmowy. Mnie wskazano drewniany fotel, Lynda i Stuart zajmują miejsca na pluszowej kanapie ustawionej pod kątem prostym do mojego siedzenia, a wózek inwalidzki Arniego stoi obok mnie. Fotel stanowiący komplet z moim odstawiono, żeby zrobić miejsce. Zazwyczaj Lynda przygotowuje kawę i pączki, ale nie dzisiaj.

Teraz pałeczkę przejmuje Stuart. Nie lubi owijać w bawełnę, w związku z czym był takim złym dziekanem... ale za to jest bardzo dobrym człowiekiem. - Przyjrzyjmy się faktom, Talcotcie, powodom, dla których się o ciebie martwimy. Po pierwsze, twoje coraz bardziej fantastyczne teorie spiskowe, których nie przestajesz z uporem badać, pomimo naszych ostrzeżeń. Po drugie, mamy ten dziwaczny incydent z policją, tak niewygodny przy konfliktach rasowych panujących w tym mieście. To oczywiście stare problemy, więc nie będziemy się nimi chwilowo zajmować. Po trzecie - odlicza na palcach - zaniedbujesz prowadzenie zajęć. Po czwarte...

- Zaraz, chwileczkę - wtrącam, jak zwykle wykazując się brakiem wyuczucia. Jako prawnik powinienem wiedzieć, że należy pozwolić im przedstawić wszystkie zarzuty, potem spokojnie je przemyśleć i dopiero wówczas odeprzeć wszystkie na raz. Jednak pamiętacie, co mówią o tych, którzy nie

potrafią. - Dobrze wiecie, że miałem ważny powód, żeby opuścić te zajęcia.

- Mój ojciec zmarł w poniedziałek rano, a już po południu prowadziłem wykłady. Nie odwołałem ich również w następnych dniach - stwierdza Stuart zimnym tonem. - Poza tym, problemami rodzinnymi możesz usprawiedliwiać tylko swoje nieobecności w semestrze jesiennym, a teraz już od miesiąca trwa wiosenny.

Arnie Rosen dotknięciem powstrzymuje mnie przed nieprzemyślaną odpowiedzią. - Tal, proszę cię, najpierw nas wysłuchaj. Żadne z nas nie jest twoim wrogiem.

Postanawiam zachować milczenie.

- Po czwarte - podejmuje swoje wyliczenia Stuart - mamy incydent, który możemy chyba nazwać małą przepychanką z Jerryem Nathansonem, absolwentem tej szkoły i cenionym członkiem naszej społeczności. Czy masz pojęcie, ile osób was słyszało? Po piąte...

- Chwileczkę - przerywam, zapominając o swoim postanowieniu. Mam już za sobą przeprawę z rozgoryczoną i wściekłą Kimmer, więc nie chcę zaczynać tego tematu od początku. - *Chwileczkę!* Jeśli zamierzasz mnie obwiniać o tę kłótnię, to musisz wiedzieć...

Jednak Stuart nie potrafi się wycofywać: - Tu w ogóle nie chodzi o obwinianie. Rozmawiamy o tym, co się z tobą dzieje, Talcotcie.

- Składa palce w wieżyczkę. - Już parę miesięcy temu powiedziałem ci, że chcemy, żebyś znów był dawnym - ożywionym i optymistycznym

- Talcottem Garlandem. Zignorowałeś to ostrzeżenie, podobnie jak wszystkie pozostałe. - Przerywa. - A jeszcze nawet nie zaczęliśmy rozmawiać o twoim sabotowaniu kandydatury Marca Hadleya.

- Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Po piąte - kontynuuje nieustępliwie Stuart - dochodzą do nas pogłoski, że napisałeś stronniczą opinię naukową, zgodną z oczekiwaniami klienta, który ci za to zapłacił...

- To już kompletny idiotyzm! - wybucham, gdyż niemal już zapomniałem o rozmowie z Arniem, miliony lat temu.

- Uspokój się, Talcotcie - odzywa się surowym tonem Lynda, a ja uświadamiam sobie, że gdyby moje stosunki z Theo były tak bliskie jak dawniej lub gdyby był on o parę lat młodszy, to również brałby udział w tym spotkaniu. Próbowalby mnie wybronić, gdyż zajmował wysoką pozycję w szkolnej hierarchii i nie zniósłby takiego zmasowanego ataku na swojego protegowanego. - Stuart tylko ci wyjaśnia, jak wygląda sytuacja z punktu widzenia szkoły prawniczej.

- Gerald Nathanson zamierzał złożyć skargę - mówi Stuart - ale go przekonałem, żeby tego nie robił.

- Miło mi to słyszeć - mruczę w odpowiedzi, czując zawroty głowy.

- Uniwersytet ma na taką okoliczność stosowną zasadę - wyjaśnia bez-

pośrednio, jak to ma w zwyczaju, Stuart. - Mianowicie, wykładowcom nie wolno w taki sposób obrażać szanowanych obywateli.

- Nikogo nie obrażałem - protestuję z rozpaczą. - To on zaczął.

- Zupełnie jak w przedszkolu. - Potrząsa ze zniechęceniem głową, jakby był beznadziejnym przypadkiem.

- Chodzi nam o to - odzywa się z wyraźną niechęcią Arnie Rosen - że już najwyższy czas, aby nasza uczelnia podjęła kroki w celu ochrony własnych interesów. - Jego oczy za małymi, okrągłymi szklami patrzą na mnie ze współczuciem. Nie należy on do tych liberałów, którym bez trudu przychodzi krytykowanie Murzyna.

- Czy to znaczy... czy mnie zwalnianie? - wybucham, przenosząc spojrzenie z jednej beznamiętnej białej twarzy na drugą.

- Nie - odpowiada lodowatym tonem Stuart. - Ostrzegamy cię.

- A co to dokładnie oznacza?

Stuart już chce się odezwać, kiedy dziekan Lynda powstrzymuje go uniesieniem dłoni. - Stuarcie, Arnie, czy moglibyście nas na chwilę - zostawić? - Arnie natychmiast uruchamia swój wózek, a Stuart tak ochoczo zrywa się na nogi, że budzi się we mnie przekonanie, iż zaplanowali to wszystko z góry, bo żaden dziekan, nawet przerażająca Lynda, nie potrafiłby zmusić Arnie Rosena i Stuarta Landa do tańczenia, jak im zagra.

Po chwili zostajemy sami.

- Zawsze cię lubiłam - zaczyna Lynda. Prawdopodobnie jest to kłamstwo, tyle że jej definicje słów nie zawsze odpowiadają temu, jak rozumieją je inni ludzie. Dziekan, który chce przetrwać, musi posiadać umiejętność takiego posługiwania się słowami, żeby w razie potrzeby - z całkowitą szczerością i współczuciem - móc powiedzieć tym czy innym działaczom studenckim: *Och, sądziliście, że to, co wcześniej powiedziałam, to była obietnica, że podejmę odpowiednie działania? Przecież obiecałam tylko, że przyjrzę się tej sprawie, a jako dziekan nic nie mogę zrobić. Tego typu sprawy leżą w gestii rektora.* Dobry dziekan nie tylko wygłasza tego rodzaju wyjaśnienia parę razy dziennie, lecz ponadto posiada umiejętność przekonania studentów, a czasem nawet profesorów, że to prawda.

- Dziękuję, Lyndo - odpowiadam spokojnie, czekając, aż przejdzie do sedna.

- Nie zwalniamy cię, Tal. Nie możemy tego zrobić, nawet gdybyśmy chcieli. Masz dożywotnią umowę, więc zwolnić cię może tylko zarząd uniwersytetu, i to wyłącznie mając uzasadnione powody. Sądzę, że tym razem ich nie ma. Musisz jednak wiedzieć, że są na uczelni osoby, nawet w tym budynku, które uważają inaczej. Kilku członków naszego grona profesorskiego sugerowało mi, żebym cię poprosiła o rezygnację. - Siedzę zupełnie nieruchomo i stale jeszcze rozważam jej słowa *tym razem*. - Nie chciałybym, żebyś dostarczył im powodów do podjęcia dalszych działań. Jeśli od

tej chwili zaczniesz zachowywać się jak należy - nie patrz tak na mnie, doskonale wiesz, o co mi chodzi - jak mówiłam, jeśli będziesz normalnie się zachowywał, uda nam się ciebie obronić. Jednak jeśli dalej będziesz się wdawał w awantury na korytarzach, odwoływał zajęcia bez powodu, tropił wszędzie swoje spiski, a przede wszystkim jeszcze raz wywołasz jakąś aferę z policją... to nie wiem, jak długo uda mi się powstrzymać wiszącą nad tobą groźbę zwolnienia. Nawet nie wiem, czy podejmę taką próbę. Czy to jasne?

- Tak, ale...

- Nie chcę słyszeć żadnego a/e, Talcotcie. Nie interesuje mnie też, że *musisz to przemyśleć*. Jedyne, co chcę od ciebie usłyszeć, to solenną obietnicę, że skończyłeś już z tymi bzdurami. Zapewnij mnie, że znów staniesz się poważnym naukowcem i obowiązkowym wykładowcą, którego znaleźliśmy i kochaliśmy do października. Przez najbliższe pięć lat nie możesz nawet dostać mandatu. Tego od ciebie oczekuję.

- A jeśli nie, to co?

Linda odgarnia z szyi kręcone siwe włosy i wzrusza ramionami.

- Nie ośmieliłabyś się - szepcę.

- Nie ośmieliłabym się? Nie ośmieliłabym się pozbyć profesora, który wygłasza szalone oskarżenia, prowadzi potajemną kampanię przeciw kole-dze, wykrzykuje na ludzi na korytarzach i dręczy studentów na zajęciach?

Nie wiem nawet, od czego zacząć, i wybieram najgłupsze z tych oskarżeń.

- Nie dręczyłem Avery'ego Knowlanda.

- To zależy od punktu widzenia, a dokładniej rzecz biorąc, od *mojego* punktu widzenia. Myślisz sobie pewnie, że to nie będzie koniec świata, jeśli poproszę cię o rezygnację, bo zyskałeś sobie pewną reputację jako wykładowca i bez trudu znajdziesz posadę w innej szkole prawniczej.

Jednak to zależy przede wszystkim od tego, co ja powiem dziekanowi szkoły, która zechce cię zatrudnić. Wystarczy jedno moje słowo, żeby cię pogrążyć, dobrze o tym wiesz. W takiej sytuacji nawet Theo ci nie pomoże. Przypuszczam zresztą, że jeśli dalej będziesz się tak zachowywał, to wcale nie zechce.

Po raz kolejny uświadamiam sobie, jak niewiele mam przyjaciół w szkole prawniczej. Kto z wykładowców jest moim sojusznikiem i stanąłby w mojej obronie? Lem Carlyle? Nie, jeśli miałoby to zniszczyć jego nieskazitelną opinię. Arnie Rosen? Nie teraz, kiedy niedługo będzie się ubiegał o stanowisko dziekana. Droga Dana Worth? Z pewnością, ale jej nikt nie posłucha. Może również Rob Saltpeter, lecz on plasuje się daleko w hierarchii. Natomiast wiem doskonale, że osoby znajdujące się blisko szczytu - Peter Van Dyke, Tish Kirschbaum i oczywiście mój były przyjaciel Mark Hadley - byłyby uszczęśliwione moim odejściem.

- Lyndo - odzywam się w końcu - potrzebuję czasu.

- To mi brzmi jak *ale*.

- Nie chodzi mi o czas na przemyślenie tego, co powiedziałaś, gdyż całkowicie się z tym zgadzam. - Nie mam doświadczenia w płaszczeniu się, ale muszę spróbować. - Chcę stać się ponownie dawnym Talcottem Garlandem, tym, którego wszyscy - jak mówiłaś - kochali, naprawdę tego pragnę. Tylko potrzebuję jeszcze trochę czasu, żeby odkryć, co się wokół mnie dzieje.

- Znów wracasz do teorii spiskowej. - Głos Lyndy brzmi bardzo surowo. Skoro pani dziekan przemawia takim tonem, to znaczy, że wywierane są na nią bardzo silne naciski. Prawdopodobnie podczas tego spotkania realizuje scenariusz ułożony przez kogoś innego, a zatem przynajmniej częściowo mówi prawdę - rzeczywiście stanęła w mojej obronie. Być może administracja uniwersytecka chce się mnie pozbyć, a ona przekonała ich, żeby mi dali ostatnią szansę. Jednak narzucili pewne warunki, których Lynda nie może zmienić. Mimo wszystko, jeśli mam rację, jeśli mnie broniła, to... może...

- Lyndo, wcale nie wietrzę wszędzie spisków. Nie sądzę, że wszyscy pragną mnie dopaść. Jednak to fakt, a nie moje wymysły, że mężczyzna, który wypytywał mnie o ojca, już nie żyje. Faktem jest też, że splądrowano mój dom w Oak Bluffs. Kolejny fakt to pobicie mnie na terenie kampusu przez ludzi wypytujących mnie o ojca. I to fakt... - urywam nagle. Lynda bacznie mnie obserwuje. Niewiele brakowało, żebym wspomniał jej o pionku, co ostatecznie by ją przekonało, że postradałem rozum.

Lynda wzdycha. - Teraz ty, Talcocie, posłuchaj. Tô fakt, a nie mój wymysł, że niemal cię aresztowano. Nie, nic nie mów. Faktem jest też, że ktoś z tego budynku starał się utraćić kandydaturę Marca, i wiele osób sądzi, że to ty. To fakt, że przedwczoraj krzyczałaś na Jerry'ego Nathansona i popychałaś go na korytarzu. Nie ulega też wątpliwości, że wiele osób w naszej szkole uważa, że pomieszało ci się w głowie. Poza tym sądzę...

- Dwa tygodnie - odzywam się nagle.

- Słucham?

- Daj mi dwa tygodnie na zakończenie tego wszystkiego. Jeśli...

- Nie mogę ci pozwolić na odwoływanie dalszych zajęć.

- Będę prowadził zajęcia. Żadnych już nie opuszczę. Obiecuję. Ale potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Na co?

Oddycham głęboko, żeby się uspokoić. Co mam jej powiedzieć? Wyjaśnić, że tajemniczego prześladowcę z zewnątrz wspiera ktoś z tego budynku, kolega ze szkoły prawniczej? Ktoś, kto wie, dokąd się udaje, a ponadto posiada możliwości, by zniszczyć moje dobre imię, dzięki czemu nikt nie będzie chciał mnie słuchać, jeśli coś odkryję?

Zamiast tego mówię cicho: - Po prostu czasu, Lyndo. Nie opuszczę już żadnych zajęć, ale muszę się dowiedzieć, co się dzieje. Nie zaszkodzę szkole prawniczej ani uniwersytetowi. Ta szkoła była dla mnie bardzo dobra, a

teraz jest wszystkim, co posiadam. - Waham się, gdyż chciałbym powiedzieć więcej, jednak nie ośmielam się poruszyć bolesnego tematu kryzysu w moim małżeństwie. - Od kiedy zostałam dziekanem, prawie nigdy nie prosiłem cię o przysługę. Wiesz, że to prawda. Są ludzie, którzy pojawiają się co tydzień w twoim gabinecie, narzekając na zarobki, pracę w komisjach, wielkość gabinetu czy zbyt duże obciążenie dydaktyką. Ja nigdy tego nie robiłem, prawda?

- To prawda. - Na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

- Zatem teraz proszę o tę jedną przysługę. Postaraj się powstrzymać te naciski jeszcze przez dwa tygodnie. Obiecuję ci, że potem albo zacznę się zachowywać jak należy, albo... sam złożę rezygnację i zaoszczędzę wszystkim kłopotu.

Moja pani dziekan kręci głową i ma nieszczęśliwą minę. - Talcotcie, mnie naprawdę nie zależy na tym, żeby się ciebie pozbyć. Szanuję cię i lubię. Wiem, że w to nie wierzysz, ale to prawda. Zauważ, że ja nic nie mówiłam na temat stronniczości twojej opinii naukowej. Wiem, że nie mógłbyś tego zrobić. Nawet gdybym myślała inaczej, to jest to sprawa nie do udowodnienia. Takie oskarżenie jest po prostu śmieszne. Poza tym żyjemy w świecie - na jej twarzy pojawia się blady, niewesoły uśmiech - gdzie możliwa jest tylko niedoskonała obiektywność. Praca naukowa jest swego rodzaju dyskusją pewnych tez, a w dyskusji bronimy określonego punktu widzenia. Gdyby poważnie traktować oskarżenia o stronniczość, to musiałyby one dotyczyć każdego z nas. Ale...

- Ale musisz myśleć o szkole - kończę zamiast niej.

- Będziesz musiał przeprosić Jerry'ego Nathansona, bez tego się nie obejdziesz. Ponadto Cameron Knowland, nasz dobroczyńca, nadal czeka na twój telefon.

Kolejne przykrości. - Zadzwoń do Jerry'ego. Próbowałem skontaktować się z Cameronem, ale nie chciał ze mną rozmawiać.

- Więc spróbuj jeszcze raz - stwierdza rzeczowo. Normalnie profesoriowie nie muszą wykonywać poleceń dziekana, przynajmniej nie w szkole o takiej randze jak nasza. Jednak teraz nie mamy normalnej sytuacji.

- Dobrze. Obiecuję.

Lynda uśmiecha się lekko i wstaje. Ja również się podnoszę. Ściskamy sobie dłonie. Wiemy, że to koniec rozmowy i umowa została zawarta. Zapewne mieści się w granicach narzuconych przez uniwersytet. Odprowadzając mnie do drzwi, Lynda przypomina mi treść naszego układu: - Dwa tygodnie, Talcotcie. Ani dnia dłużej.

- Dwa tygodnie - powtarzam po niej jak echo.

Wracając do swojego gabinetu, odczuwam ogromną ulgę - w końcu mogli mnie poprosić o natychmiastową rezygnację. Jednak już siadając przy biurku, uświadamiam sobie, jak naprawdę wygląda moja sytuacja. Nadal

nie wiem, na czym polegają ustalenia ani co ojciec chciał mi przekazać w swoim zagadkowym liście. Nie mam też pojęcia, który z kolegów stara się zniszczyć moją karierę. Nie wiem nawet, czy za kilka dni będę jeszcze miał pracę... i żonę.

Jedyne, co wiem na pewno, to że mam czternaście dni na rozwikłanie wszystkich zagadek.

ROZDZIAŁ 43

Wybór został dokonany

- Gdzie byłeś? - pyta Kimmer tonem, którego nie potrafię początkowo rozpoznać. Jestem w domu od pięciu minut. Ponieważ na dole nikogo nie zastałem, wszedłem na piętro, pocałowałem śpiącego Bentleya na dobranoc i po chwili znalazłem się w samym środku awantury.

- Na... na spotkaniu z dziekaną Lyndą. Poza tym przecież ci mówiłem, że mogę pracować do późna. Już dawno powinienem skończyć wstępną wersję swojego artykułu, nie pamiętasz?

- Dzwoniłam do twojego gabinetu, Misha. Trzy razy.

- Może byłem w bibliotece. - Sam nie wiem, dlaczego uciekam się do takich wymówek.

- Przecież ty nie chodzisz do biblioteki. - Moja żona siedzi na łóżku podparta kilkoma poduszkami, a na kocu wokół siebie ma rozłożoną pracę. W tej chwili jednak przelacza pilotem telewizor z kanału na kanał. Oczy ma zapuchnięte, jakby płakała, ale nie podnosi na mnie wzroku. - A kiedy już idziesz, pakujesz się w kłopoty - dodaje.

- Prawdę mówiąc... poszedłem na spacer.

- Spacerowałeś przez dwie godziny?

- Miałem dużo do przemyślenia.

- Z pewnością. - Mówi to tak, jakby z trudem łapała oddech. Co tu się dzieje?

- Kimmer, czy dobrze się czujesz?

- Nie, niedobrze! - wybucha w końcu. - Przez dwie godziny nie można było odnaleźć mojego męża, który ostatnio zachowywał się jak niespełna rozumu! Dwie godziny, Misha! Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że mogę się denerwować?

Podchodzę do łóżka, siadam obok niej i próbuję ująć jej dłoń. Jednak wyrывa ją ze złością. - Rzeczywiście jakoś mi to nie wpadło na myśl. Bardzo cię przepraszam.

- Przepraszasz? I to wszystko?

- A co byś chciała usłyszeć, Kimmer? Powiedz mi, a ja to powtórzę.

- Sam musisz wiedzieć.

- Posłuchaj, kochanie. Przepraszę Jerry'ego. Wiem, że zachowałem się nierozsądnie.

- Nic mnie nie łączy z Jerryem i nigdy nie łączyło! Dlaczego nie możesz po prostu mi uwierzyć, kiedy to mówię?

Bo już mnie przedtem okłamywałaś. Ponieważ pod twoją nieobecność zadzwonił mężczyzna, który zwraca się do ciebie *kotku*. Ponieważ zdradziłaś ze mną André, więc możesz zdradzić również mnie z kim innym. Jednak doktor Young miał całkowitą rację.

- Wierzę ci - szepczę.

- Och, Misha. - Głos jej się załamuje i niespodziewanie zalewa się łzami. Czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę. Nie widziałem, żeby płakała od czasu, gdy po porodzie zagrożone było życie Bentleya. Nie wiem, jak mam zareagować. Obejmuję ją, ale się wyrывa. Próbuję jeszcze raz, tym razem przyciągając ją bliżej, i w końcu kładzie mi głowę na piersi.

- Kimmer, o co chodzi? Co się stało?

- Czy byłeś w tym czasie z kimś innym, Misha? Bo jeśli tak, to potrafię to zrozumieć. W końcu jestem taką suką. - Czyżby zazdrość? Ze strony Kimmer?

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Mówiłem ci, że poszedłem na spacer. - Jest to prawda, ale jednak nie cała. Nie jestem jeszcze gotów, żeby powiedzieć jej, gdzie byłem. Nie chcę, żeby pomyślała, że zwariowałem.

- Misha, Misha - szepcze, lekko uderzając mnie w pierś. - Co się z nami stało? A było tak dobrze, tak dobrze.

Potrząsam głową, gdyż nie potrafię na to odpowiedzieć. - Kocham cię - szepczę. Gładzę ją po szyi, tak jak kiedyś lubiła i widzę, że się uspokaja. - Wiesz dobrze, że w moim życiu liczy się tylko ty i Bentley. I proszę cię, nie mów tak o sobie.

- Dlaczego? *Jestem* suką. Jestem dla ciebie okropna. Powinieneś mnie zostawić. Zrobiłbyś to, gdybyś miał odrobinę rozumu. - Po tych słowach znów zalewa się łzami. Rozmyślałam o swoim starciu z Jerryem Nathansonem. Wydaje mi się, że on był rozgniewany, zanim jeszcze ja wpadłem we wściekłość. Być może zerwali z Kimmer (o ile rzeczywiście łączył ich romans) i dlatego jest teraz taka nieszczęśliwa. Jednak mam wrażenie, że jej cierpienie jest zbyt głębokie, jak na taki powód, a drzemiający we mnie macho, którego zazwyczaj staram się zamaskować, nie potrafi uwierzyć, że mogłaby płakać za Jerryem, skoro ma mnie.

- Kochanie, co się stało? Powiedz, proszę.

Kimmer potrząsa przecząco głową. Dalej głaszczę ją po szyi. Coś szepce, ale nie rozumiem, co. Powtarza to głośniej, a wówczas czuję się równie zdruzgotany jak ona.

- Dzwoniła Ruthie. Powiedziała... powiedziała, że prezydent wybrał kogoś innego.

- Och, Kimmer, kochanie, tak strasznie mi przykro.

- Już dobrze. - Pociąga nosem i wyciera twarz rękawem długiej koszuli nocnej. - Pewnie nie było mi to przeznaczone.

- Bentley i ja jesteśmy przy tobie - mruczę. - To nie twoja wina, że pre-

zydent nie wybrał najlepszej kandydatki.

- Słusznie. - Kimmer próbuje się uśmiechnąć. - Wiedziałam, że nie powinnam była na niego głosować.

Nie wierzę własnym uszom. - Głosowałaś na niego?

Zdobywa się na niepewny uśmiech. - Mówiłam ci, że rzucę monetą.

- Sądziłem, że żartujesz.

- Ale nie żartowałam. - Niespodziewanie mnie całuje, po czym szepce coś niezrozumiałego tuż przy moich ustach. Powtarza to głośniej. - Nie chcesz wiedzieć, kogo wybrał?

- No, oczywiście, chcę. - Prawdę mówiąc, specjalnie mi na tym nie zależy, szczególnie jeśli to Marc Hadley zdołał obronić swą kandydaturę. Jednak muszę prędzej czy później się dowiedzieć, więc lepiej będzie, jak ona mi to powie.

- Lemastera Carlyle'a.

- Co?!

- Lemastera Carlyle'a. - Śmieje się, tym razem nieprzyjemnie, potem kaszle i pozwala sobie jeszcze na chwilę łez. - Co za przebiegły wąż. Co za wąż! Wiem, że ty go uważasz za ósmy cud świata, ale dla mnie to tylko oślizgły wąż kryjący się w trawie!

Pomimo cierpienia żony nie mogę się powstrzymać od uśmiechu na myśl, jak daliśmy się wystrychnąć na dudka. Kiedy Ruthie powiedziała Kimmer, że rozważane są kandydatury dwóch lub trzech moich kolegów, wzięliśmy pod uwagę tylko Marca. Potem Marc dowiedział się od Ruthie, że prezydentowi zależy na zróżnicowaniu rasowym, i razem z Dahlią pomyśleli wyłącznie o Kimmer. A przez cały czas był jeszcze Lem Carlyle, który odpowiadał przeciw obu tym charakterystykom. Stary, dobry Lem, czekający cierpliwie na uboczu, aż pojawią się jakieś komplikacje - oskarżenie o plagiat, zwariowany mąż, cokolwiek - czający się... czający się... no, właśnie, jak wąż w trawie. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego ostatnio był tak zdenerwowany w mojej obecności.

- Nie potrafię w to uwierzyć - szepcę w końcu.

- Liberałowie za Bushem - przypomina mi Kimmer.

- Aaa, słusznie.

- Może to i lepiej - stwierdza moja żona, ale żadne z nas nie potrafi wymyślić, dlaczego. Wobec tego robimy jedną z naszych ulubionych rzeczy. Idziemy objęci do pokoju Bentleya i stajemy w drzwiach, wpatrując się w niego z zachwytem. Odmawiamy krótką modlitwę dziękczynną. Potem wracamy do swojego pokoju i oglądamy na wideo „Casablankę”, a Kimmer w końcu nieco się rozchmurza, recytując swoje ulubione kwestie z filmu. Jednak przysypia, jeszcze zanim Ingrid Bergman udaje się do baru, aby błagać Humphreya Bogarta o dokumenty tranzytowe. Wyłączam wideo, a wówczas natychmiast otwiera oczy i pyta: - Naprawdę nie ma innej kobiety? Bo jesteś

mi teraz potrzebny, Misha. Naprawdę bardzo cię potrzebuję.

- Naprawdę. - Przez myśl przemyka mi obraz Maxine, ale natychmiast go odsuwam. - Kocham wyłącznie swoją żonę - oświadczam szczerze obu kobietom - i syna.

- I swojego ojca.

- Co?

Wprawdzie oczy Kimmer znów się przymykają, ale na ustach pojawia się uśmiech. - Kochasz tego staruszka, Misha. Dlatego tak usilnie prowadzisz te poszukiwania.

Kocham Sędziego? Może to dziwne, ale wcześniej wcale mi to nie przyszło do głowy. Maxine twierdziła, że nie potrafię przestać szukać ustaleń, a teraz Kimmer mówi w zasadzie to samo. - Być może - odpowiadam w końcu. - Przykro mi, ale muszę się dowiedzieć, co zaszło.

Moja żona tym razem mnie rozumie. - Dobrze, nic nie szkodzi, kochanie. W porządku. - Znów zamyka oczy, a jej głos brzmi niewyraźnie, kiedy mówi: - Rozumiem cię, Misha. Naprawdę. Tylko obiecaj, że do nas wrócisz.

- Wrócę do was? Skąd?

- Z Aspen - mruczy i ziewa.

- Z Aspen?

- No, pewnie. Nie zostanę sędzią federalną. Ten temat jest skończony, więc możesz spokojnie spotkać się ze swoim wujkiem Jackiem. - Otwiera jedno oko, mruga do mnie i zamyka je ponownie. - Tylko pozdrów ode mnie FBI, dobrze?

- Uhm, dobrze.

- Dranie - mamrocze jeszcze i zasypia. Siedzę przy niej jeszcze przez chwilę i gładzę ją po plecach. Z jednej strony upewniłem się, że mimo wszystko mnie kocha, a z drugiej nadal się zastanawiam, kto zwracał się do niej przez telefon „kotku”.

Dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ 44

Burzliwy czas

Dotychczas trzykrotnie miałem okazję odwiedzić niesamowicie bogatą społeczność Aspen w Kolorado. Po raz pierwszy pojechaliśmy tam na narty z Johnem i Janice Brownami, jeszcze przed przyjściem na świat Bentleya. Była to niezmiernie pechowa wycieczka, podczas której poważnie skręciłem sobie kostkę już pierwszego dnia w pierwszej godzinie mojej pierwszej lekcji jazdy na nartach. W związku z tym pozostałe cztery dni spędziłem samotnie w ciasnym domku, podczas gdy na dworze sypał gęsty śnieg, telewizja kablowa co chwilę się psuła, a ogień w kominku ciągle gasł. W tym czasie John i Janice, doświadczeni narciarze, szaleli na stoku, a Kimmer - która dużo jeździła, będąc w college'u, ale po poślubieniu takiego nudziarza jak ja nie miała po temu zbyt wielu okazji - odświeżała swoje umiejętności. Podczas tej pierwszej podróży przeżyliśmy gwałtowną utratę wysokości przez nasz samolot, co mnie przekonało, że czterogodzinna podróż samochodem z Denver przez Góry Skaliste wijącą się drogą pozbawioną barierek jest mniej przerażającą opcją. Prawdę mówiąc, nawet poprzysiągłem sobie wówczas, że nigdy już nie udam się do Aspen samolotem. W związku z tym kolejne dwie podróże na seminaria w Aspen Institute - jedną z Kimmer, drugą bez niej - odbyłem wynajętym na lotnisku w Denver samochodem.

Jednak nie zawsze jest to możliwe, gdyż śnieżyce potrafią całkowicie zasypać górskie szosy, tak że pewnym przejazdu można być jedynie latem. Po pierwszej wyprawie John i Janice niejednokrotnie zapraszali nas, żebyśmy przyłączyli się do nich na stoku, a nawet korzystali z użytkowanego przez nich na spółkę z innymi rodzinami domku w czasie, gdy oni nie mogą. Kimmer wybrała się tam dwukrotnie, raz z Brownami, a raz rzekomo sama, gdyż jak mi oświadczyła: - Dobrze nam to robi, jeśli spędzimy kilka dni osobno i będziemy mieli czas pomyśleć. - Ja za każdym razem zostawałem w domu, pomny swej obietnicy, że nigdy więcej nie wybiorę się do Aspen zimą. Ale jak wiadomo, nasz Pan ma swoje sposoby, by zawstydzić śmiertelników, którzy zbytńio szafują przysięgami. Mamy teraz luty, a ja wbrew własnym postanowieniom znajduję się w drodze do Aspen. Nasz mały odrzutowiec leci w śnieżycy, szarpany gwałtownymi podmuchami górskiego wiatru. Narciarze ostro popijają, a reszta z nas przybrała zielonkawy odcień.

Jednak samolot ląduje bezpiecznie, a zanim ostatecznie się zatrzymał, popołudniowe niebo nawet zaczęło się rozjaśniać. W drodze do małego, lecz nowoczesnego budynku lotniska dochodzę do wniosku, że ludzie, którzy tu

mieszkają przez cały rok, nie są tak szaleni, jak mi się wydawało. Nakrapiane śniegiem góry wyglądają przepięknie w zimowym słońcu uwydatniającym wszystkie szczegóły. Wiecznie zielone drzewa wspinające się ku wierzchołkom stanowią w lutym znacznie ciekawszy widok niż latem, przypominając żołnierzy ubranych w biało-zielone alpejskie mundury. Większość moich towarzyszy podróży również wygląda jak umundurowana, gdyż ubrani są ściśle według obowiązującej mody - w kurtki narciarskie w jasnych kolorach.

Nie mam zbyt wiele czasu, by napawać się widokami, gdyż kiedy podchodzę odebrać bagaż, okazuje się, że czeka tam na mnie szczupły ochroniarz, którego pamiętam z cmentarza jako pana Hendersona. Na dworze panuje kilkunastostopniowy mróz, lecz on ubrany jest tylko w lekką wiatrówkę. Wita mnie olśniewającym uśmiechem i słowami:

- Witamy w Aspen, profesorze. - Jego głos wydaje mi się dziwnie znajomy, a brzmi tak miło, tak aksamitnie, że z łatwością potrafię sobie wyobrazić, jak uwodzona nim osoba z radością pograża się w stan nieświadomości. Nie znaczy to jednak, że pan Henderson roztacza wokół siebie atmosferę zmysłowości. Wręcz przeciwnie, jest raczej sztywny - jak przystało na dobrego strażnika - a przy tym czujny i energiczny. Porusza się z kocim wdziękiem i w pewnym sensie ma się wrażenie, że stanowi harmonijną całość.

- Dziękuję, że pan po mnie wyjechał - odpowiadam.

Skłania uprzejmie głowę, ale nie proponuje, że weźmie moją torbę.

Następnie prowadzi mnie do samochodu, srebrnego Range Rovera, odpowiedniego na zimę w Aspen, i przypomina mi o zapięciu pasów. Starannie modulowanym głosem wspomina, że pan Ziegler cieszy się na odnowienie naszej znajomości. Jednocześnie, przepaszając za tę konieczność, przesuwając po moim ubraniu wykrywaczem metalu, a kiedy sądzę, że to już koniec, przeprowadza kolejne badanie, tym razem za pomocą niewielkiego prostokątnego urządzenia z czerwonym wyświetlaczem - być może sprawdza, czy nie założono mi mikrofonu. Nie komentuję tego, gdyż do spotkania doszło bądź co bądź z mojej inicjatywy. - Podróż do nieruchomości pana Zieglera zajmie nam około pół godziny - wyjaśnia pan Henderson, gdy wyjeżdżamy z parkingu. Zwracam uwagę na użyte przez niego słowo - nie *dom*, nie *posiadłość*, tylko *nieruchomość*. Dobrze, tutejsze określenie.

Kiwam głową na znak, że przyjmuję to do wiadomości. Z lotniska wyjeżdżamy na drogę nr 82 biegnącą - równoległe do rzeki Roaring Fork - do Aspen. Początkowo wokół nas rozciągają się tylko białe pola z rzadko rozrzuconymi domami. Od czasu do czasu mijamy stację benzynową lub sklepik z podstawowymi produktami i zawsze widzę je na tle najpiękniejszych gór w Ameryce, które otaczają dolinę ze wszystkich stron. Coraz częściej pojawiają się grupki budynków, potem te grupki są coraz większe. Wkrótce

dostrzegam szeregowce wyznaczające granicę miasta, a po jego północnej stronie rzuca mi się w oczy krzykliwa architektura domów wzniesionych na stokach Red Mountain, wiszących nad miastem jak kiczowate przypomnienie przepaści oddzielającej bogactwo i dobry gust. Już po chwili jesteśmy w samym Aspen, które posiada chyba najwyższe ceny nieruchomości w całych Stanach Zjednoczonych. Przyglądam się mijanemu miastu, które wydaje się niemal zbyt schludne i malownicze w obramowaniu śniegu i słońca. Jak zwykle wpatruję się z zachwytem w przepiękne wiktoriańskie domki na West End, pomalowane na rozmaite odcienie ciepłego brązu, z których każdy wart jest zapewne dziesięciokrotnie więcej niż identyczny dom na znacznie większej działce w Elm Harbor. Agenci nieruchomości mówią o tutejszym rynku mieszkaniowym jako o „szoku cenowym dla bogaczy” i opowiadają sobie nawzajem z lubością o zamożnych parach, które zalewają się łzami na wieść, jak niewiele mogą tu kupić za cztero- czy pięćmilionowe oszczędności. Podobno co jedenasty ze stałych mieszkańców Aspen trudni się handlem nieruchomościami, przynajmniej na część etatu. Nic dziwnego, skoro zaledwie sześcioprocentowa prowizja wystarcza na całoroczne utrzymanie. Cena *środkowa* domu w Aspen wynosi dwa miliony dolarów, a to stanowi zapewne jedną piątą wartości średniej posiadłości na Red Mountain. Jeśli chodzi o domy wzniesione na tej górze, to ceny powyżej dwudziestu milionów dolarów nie są niczym niezwykłym.

Wujek Jack mieszka na Red Mountain.

Range Rover płynie ku centrum miasta, gdzie każdy pieszy niesie ze sobą narty. Policjanci ubrani są w dżinsy i jeżdżą błękitnymi saabami lub samochodami sportowo-terenowymi. Pan Henderson prowadzi samochód szybko i pewnie, pomimo śniegu pokrywającego ulice. Spośród amerykańskich samochodów widzę tu tylko jeepy, explorery i navigatory. Mijamy kilka stacji benzynowych, potem restauracje, biura i sklepy ciągnące się przez kilka przecznic. W samym centrum skręcamy ostro w lewo, na północ. (Z niewiadomego mi powodu mapy Aspen są zazwyczaj kreślone do góry nogami, tak że Red Mountain znajdująca się na północy jest przedstawiana na dole mapy, a Aspen Mountain, leżąca na południu, na górze). Przejeżdżamy obok jednego z dwóch w tym mieście supermarketów, następnie przez krótki mostek, ponownie skręcamy ostro w lewo i nagle okazuje się, że jesteśmy już na krętej szosie, która jest jedyną drogą prowadzącą w górę Red Mountain.

- Zakładam, że to spotkanie odbędzie się w cztery oczy - odzywam się.
- Z tego, co mi wiadomo, tak. - Henderson ani na moment nie odrywa spojrzenia szarych oczu od drogi. Uświadamiam sobie, że wcale mnie nie uspokoił, tak jak tego pragnąłem, toteż inaczej formułuję pytanie.
- Czy nikt więcej nie wie, że przyjeżdżam?
- Sądzę raczej, że wszyscy wiedzą.

- Wszyscy?

- Pan Ziegler jest bardzo popularnym człowiekiem - odpowiada tajemniczo, więc dochodzę do wniosku, że niczego więcej się nie dowiem, ale to, co już wiem, zupełnie wystarczy, żebyśmy przez cały czas odczuwał zdenerwowanie.

Range Roverem zarzuca twardo w prawo na wirażu wiodącej w górę serpentyny, a po chwili w lewo na następnym. Wszędzie wokół nas widać tandetne dowody szaleństwa nuworyszów. Stwierdzenie, że wzniesione tu rezydencje są ogromne, zupełnie nie oddaje istoty tego zjawiska. Siedziby na Red Mountain są gigantycznych rozmiarów świadectwem źle ulokowanego bogactwa. Towarzyszące im wielopoziomowe fontanny, korty tenisowe osłonięte kopułami, garaże na cztery samochody, wieżyczki, kryte baseny i bramy zdolne oprzeć się atakowi terrorystów mogłyby wypełnić kilka muzeów, i być może w przyszłości tak się stanie. Nasze prapraprawnuki mogą je nazwać Muzeum Amerykańskiego Marnotrawstwa. To kolejny dowód na to, jak zapewne powiedziała by moja ulubiona studentka Crysta Smallwood, że biała rasa z determinacją dąży do samozniszczenia - w tym wypadku poprzez wydawanie pieniędzy do upadłego.

Range Rover znów ostro skręca i naszym oczom ukazuje się ciężka brama, przed którą pan Henderson wypowiada zmysłowym głosem kilka słów do mikrofonu zainstalowanego na poboczu. Małe światełka zmieniają kolor na zielony i brama się odsuwa. Za nią szeroka, nieoznakowana droga prowadzi pod górę. Sądziłem początkowo, że wjeżdżamy już na teren posiadłości Jacka Zieglera, gdyż choć nigdy jej nie widziałem, wyobrażałem sobie, że musi być rozległa i otoczona murem. Jednak po chwili okazuje się, że się myliłem. Znaleźliśmy się wewnątrz prywatnego osiedla przeznaczonego dla osób, których majątek wyraża się dziewięciocyfrową liczbą. Przy wjeździe znajdują się skrzynki pocztowe (wszystkich mieszkańców, a w chwilę później pojawiają się podjazdy prowadzące do poszczególnych budynków. Domy nie są tu mniejsze niż w innych partiach góry, lecz spokojniejsze, mniej krzykliwe, jakby ich mieszkańcom bardziej zależało na prywatności, niż pysznieniu się swoim bogactwem. Skręcając wzdłuż szerokiego zakrętu, mijamy grand cherokee z logo prywatnej firmy ochroniarskiej, a siedzący w środku dwaj biali mężczyźni wyglądają raczej na komandosów niż przypadkowych ochroniarzy.

Znajdujemy się w ślepej uliczce. Drugi podjazd po prawej stronie prowadzi do Jacka Zieglera.

Dom wujka Jacka jest typem budynku, o którym mówi się czasem, że postawiono go do góry nogami, gdyż z zewnątrz wchodzi się na górne piętro. Na pierwszy rzut oka wygląda zupełnie bezpretensjonalnie - prostokątny budynek z płaskim dachem, ścianami skromnie pokrytymi szlachetnym tynkiem i garażem na zaledwie trzy samochody. Jak się jednak okaże, na-

prawdę można go ocenić dopiero od środka. Do domu wpuszcza nas kolejny spokojny ochroniarz - którego nazwisko brzmi Harrison

- robiący na mnie wrażenie niemal bliźniaczego brata Hendersona, lecz nie z powodu wyglądu, tylko zachowania, gdyż ich reakcje są tak myląco podobne, jak ich nazwiska. Wyłożony marmurem hol wejściowy okazuje się balkonem z widokiem na główną część domu. Sam dom wbudowany jest w zbocze Red Mountain, tak że schodząc na niższe piętro, schodzę jednocześnie z samej góry. Okna wychodzące na położone poniżej miasto i znajdującą się za nim Aspen Mountain mają dwa piętra wysokości. Widok stąd jest niesamowicie wprost piękny.

Zazwyczaj nie cierpię na zawroty głowy związane ze zmianą wysokości, ale kiedy ruszam schodami w dół, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wykonuję krok w powietrze, jakbym przekraczał krawędź urwiska. Jeden z ochroniarzy musi złapać mnie pod rękę, gdyż zaczynam się chwiać.

- Każdy tak na początku reaguje - odzywa się uprzejmie pan Henderson.

- Prawie każdy - poprawia go niezwykle szczupły Harrison sprawiający wrażenie osoby, która nigdy w życiu nie cierpiała na zawroty głowy.

Wyobrażałbym sobie Hendersona w roli człowieka zajmującego się zastraszaniem, a Harrisona jako skrytobójcę. U obojgu dostrzegam to samo lodowate spojrzenie. Jednak za bardzo daje się ponieść fantazji - przecież wujek Jack przeszedł już na emeryturę.

Nie wiadomo, skąd.

- Proszę nie dać się zwieść temu wrażeniu - dodaje Henderson swym elegancko modulowanym głosem, jakby oprowadzał grupę turystów.

- Pod nami znajduje się lita skała, a teren na zewnątrz jest w dużej mierze płaski. Wskazuje w kierunku okna, prawdopodobnie na trawnik, ale nie mogę tam spoglądać, gdyż natychmiast na nowo zaczyna mi się kręcić w głowie.

- Pan Ziegler za chwilę do pana dołączy - oznajmia mi jeszcze Harrison, po czym oddala się jednym z dwóch korytarzy prowadzących z ogromnego pokoju na parterze do skrzydeł domu.

- Może lepiej pan usiądzie - proponuje Henderson, wskazując na rozmaite kanapy rozstawione w tym wielkim pokoju: jedna obita białą skórą, druga brązowym tweedem, a jeszcze inna materiałem w jasne kwiaty. Każda z nich w pewien sposób się wyróżnia, a jednak tworzą harmonijną całość.

- Nie, nic mi nie jest - zapewniam go, odzywając się po raz pierwszy od chwili przekroczenia progu tego domu... i bardzo się cieszę, że mój głos brzmi pewnie.

- Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

- Nie, dziękuję.

- Na dużych wysokościach bardzo ważne jest odpowiednie nawodnienie.

nie organizmu, szczególnie w pierwszych dniach pobytu.

Spoglądam na niego, myśląc, że być może miałem rację, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy na cmentarzu i jest on w istocie pielęgniarzem, a nie ochroniarzem.

- Nie, dziękuję bardzo.

- W porządku - stwierdza Henderson i odchodzi, ale nie tym samym korytarzem, co Harrison, a ja uświadamiam sobie, że zostałem sam w legowisku bestii. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Jack Ziegler nie jest po prostu źródłem informacji na temat nieszczęść, które dotknęły naszą rodzinę, tylko w pewnym sensie ich sprawcą. W końcu, do kogo mógłby się zwrócić mój ojciec, kiedy zapragnął wynająć płatnego zabójcę. W zasadzie odpowiedź jest jedna, i dlatego właśnie tu się znalazłem.

Spaceruję teraz po pokoju i podziwiam dzieła sztuki, zatrzymując się przy niektórych dłużej. W powietrzu unosi się pikantny zapach, może papryki, więc zastanawiam się, czy wujek Jack zamierza zaprosić mnie na lunch. Wzdycham. Nie chcę pozostawać zbyt długo ani w tym domu, ani w tym mieście. Najchętniej porozmawiałbym z wujkiem Jackiem i natychmiast wyjechał, ale jakieś tajemnicze okoliczności związane ze strefami czasowymi oraz przyziemna konieczność znalezienia odpowiedniego lotu uniemożliwiły mi skorzystanie z takiego rozwiązania. Na szczęście wujek Jack nie zaproponował mi noclegu. Z kolei nasz budżet rodzinny nie wytrzymałby takiego obciążenia jak pobyt w hotelu w Aspen w pełni sezonu, nawet gdybym znalazł gdzieś miejsce. W tej sytuacji załatwiłem z Johnem i Janice, że tę jedną noc spędzę w użytkowanym przez nich domku. Wprawdzie to nie ich tydzień, ale dokonali niezbędnej zamiany i zapewnili mnie, że będzie pusty.

W Elm Harbor nikt poza moją żoną nie wie o tej podróży i mam nadzieję, że tak zostanie. Wprawdzie nie naruszam ustalonych przez Lyndę zasad - jest piątek, a więc nie mam zajęć - ale nie sądzę, żeby była zadowolona, dowiadując się, że pojechałem w odwiedziny do... do tego właśnie człowieka. Ponieważ jestem życzliwym kolegą, nie chcę dostarczać niepotrzebnych zmartwień pani dziekan, toteż nic jej o tym nie powiem.

Ponownie spoglądam przez okno, ale wrażenie jest równie wstrząsające jak przedtem, toteż pospiesznie się odwracam i kontynuuję spacer po pokoju. Zatrzymuję się przed kominkiem, nad którym wisi ogromny olejny portret zmarłej żony wujka Jacka, Camilli, którą podobno zamordował lub kazał zamordować. Portret ma co najmniej dwa metry wysokości. Camilla jest ubrana w powłóczystą białą suknię, kruczoczarne włosy ma wysoko upięte, a jej bladą twarz otacza nieziemskie światło, które ma zapewne świadczyć o jej anielskim charakterze. Nasuwa mi się porównanie z wyidealizowanymi obrazami z okresu renesansu, kiedy artyści dbali o to, by żony ich patronów promiennie wyglądały na portretach. Podejrzewam, że ten

obraz namalowano na podstawie powiększonej fotografii już po gwałtownej śmierci Camilli i w rezultacie wygląda ona nie tyle eterycznie, co sztucznie.

- Niewątpliwie nie jest to jego najlepsza praca, nieprawdaż? - rozlega się za moimi plecami głos Jacka Zieglera.

(II)

Nielatwo mną wstrząsnąć, zatem i teraz się nie wzdygam. Nawet się nie odwracam, tylko przechylam, żeby dojrzeć podpis malarza, ale widzę tylko nieczytelne gryzmoły.

- Nie jest najgorszy - odpowiadam wspaniałomyślnie, odwracając się, żeby stanąć twarzą w twarz z ojcem chrzestnym Abby. Jednocześnie przypominam sobie odpowiedź, która ostatecznie zniweczyła szanse ojca na znalezienie się w gronie sędziów Sądu Najwyższego. *Nie osądzam przyjaciół na podstawie plotek*, oznajmił zapytany o Camillę, po czym skrzyżował ręce na piersiach, sygnalizując tym gestem pogardę dla audytorium.

Jack Ziegler także trzyma ręce założone na piersi.

- I tak nie jest prawdziwym artystą - ciągnie Jack Ziegler, machając lekceważąco trzęsącą się ręką w kierunku płótna. - Taki sławny i szanowany, a namalował moją żonę dla *pieniędzy*.

Kiwam głową, niepewny, co dalej robić. Wujek Jack stoi przede mną w szlafroku i papciach. Twarz ma jeszcze chudsza i bardziej poszarzała niż kiedy go ostatnio widziałem, toteż zastanawiam się, czy zostało mu więcej niż kilka miesięcy. Natomiast jego oczy nadal są pełne życia - szalone, radosne i czujne.

Jack Ziegler wsuwa chudą rękę pod moje ramię i prowadzi mnie powoli wokół pokoju, nie wiadomo dlaczego zakładając, że pomimo desperacji lub nawet strachu, zainteresują mnie skarby, które zdołał zgromadzić dzięki nielegalnie zdobytemu bogactwu. Wskazuje mi oświetloną gablotę z niewielką, lecz imponującą kolekcją inkunabułów, z których część z pewnością znajduje się na listach Interpolu. Potem pokazuje tacę ze wspaniałymi wytworami Majów, które niewątpliwie opuściły Belize bez wiedzy tamtejszego rządu. Obraca mnie, żebym spojrział w kierunku wejścia. Okazuje się, że ścianę pod balkonem pokrywa ogromna tkanina. Jej wzór stanowią różnobarwne pionowe linie, które przyciągają i zwodzą oko. Na pozór chaotyczne linie kryją w sobie wzór i ludzki umysł z uporem stara się go odnaleźć, toteż trudno oderwać wzrok od tej tkaniny. Trzeba przyznać, że jest wyjątkowo piękna. Wujek Jack informuje mnie z niekłamaną dumą, że to naprawdę Gunta Stözl, więc kiwam z podziwem głową, choć nie mam najmniejszego pojęcia, kto to jest, a nawet nie potrafię się domyślić, jaka jest płęć artysty.

- Zatem, Talcotcie - zachęca mnie świszczącym głosem, kiedy kończy-

my wycieczkę po jego małym muzeum. Znow stoimy przy oknie i żaden z nas nie chce zacząć tej rozmowy. Kiedy tak mierzymy się wzrokiem, głośniki zamontowane w suficie rozbrzmiewają twardymi dźwiękami „Finlandii” Sibeliusa, utworu, który uważam za jedno z najbardziej przygnębiających dzieł muzyki klasycznej. Jednak do tej chwili pasuje jak ulał.

Kiedy nadal się nie odzywam, wujek Jack dwukrotnie odkasłuje i sam rozpoczyna: - Zatem jesteś tutaj, udało ci się dotrzeć, cieszę się, że cię widzę, ale nie mam zbyt dużo czasu. No, więc, co mogę dla ciebie zrobić? Mówiłeś przez telefon, że to pilna sprawa.

Początkowo udaje mi się tylko wykrztusić ze zdenerwowaniem: - Tak. - Jednak teraz, kiedy znajduję się tak blisko Jacka Zieglera, widzę jego czekających w pogotowiu ochroniarzy, patrzę mu w oczy, może niezupełnie szalone, ale też niecałkiem zdrowe, i wiem, że niecierpliwie oczekuje wyjaśnień, to zupełnie co innego, niż kiedy w samolocie planowałem przebieg naszej rozmowy.

- Powiedziałeś, że masz kłopoty.
- Możesz to tak nazwać.
- *Ty* to tak nazwałeś.

Znow się waham. Odczuwam nie tyle strach, co niechęć do angażowania się, gdyż kiedy już rozpocznę poważną rozmowę z wujkiem Jackiem, nie wiem, czy będę mógł się od niego uwolnić.

- Jak być może ci wiadomo, zająłem się badaniem przeszłości mojego ojca. To, czego się dowiedziałem, okazało się... wstrząsające. Poza tym są jeszcze wydarzenia paru ostatnich miesięcy, które także bardzo mnie niepokoją.

Jack Ziegler wpatruje się we mnie w milczeniu. Mam wrażenie, że jest przygotowany na to, by czekać całe popołudnie aż do wieczora. Nie czuje się zagrożony. Nie boi się. Wygląda, jakby w ogóle niczego nie odczuwał - co częściowo stanowi o jego sile. Znow zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście zamordował swoją żonę, a jeśli tak, to czy wówczas coś odczuwał.

- Jestem śledzony - wyrzucam z siebie, czując się przy tym jak głupiec, a kiedy wujek Jack w dalszym ciągu nie okazuje zainteresowania, po prostu opowiadam mu całą historię, od naszego spotkania na cmentarzu, poprzez wizytę fałszywych agentów, dostarczenie białego pionka, morderstwo Fremana Bishopa, utonięcie Colina Scotta w Menemsha aż do tajemniczego pojawienia się skradzionej książki. Nie wspominam o Maxine, być może dlatego, że zachowanie przynajmniej jednego sekretu w obecności ponaglącego mnie Jacka Zieglera jest jedynym drobnym zwycięstwem, na jakie mogę liczyć.

Kiedy wujek Jack upewnił się, że skończyłem, wzruszył ramionami.

- Nie wiem, dlaczego mi to wszystko opowiadasz - stwierdził ponuro. - Zapewniłem cię w dniu pogrzebu twojego ojca, że nie grozi ci żadne niebez-

pieczeństwo. Będę cię chronił, tak jak obiecałem Oliverowi, ciebie i twoją rodzinę. Mam zwyczaj dotrzymywać obietnic. Nikt nie skrzywdzi ciebie ani twojej rodziny. To po prostu niemożliwe. Dopilnowałem tego. - Przenosi ciężar z nogi na nogę, najwyraźniej z powodu bólu.

- Figury szachowe? Skradziona książka? Mężczyźni kryjący się w lasku?

- Potrząsa głową. - Co w tym niepokojącego? Naprawdę, spodziewałem się po tobie czegoś lepszego, Talcotcie.

- A mężczyźni, którym odcięto palce?

- Będę chronił *ciebie* - podkreśla ostatnie słowo i macha ręką, a ja natychmiast pojmuję, że nie mogę posunąć się ani odrobinę dalej tropem tego wątku. Przez okropną chwilę odczuwam prawdziwy strach. - Ciebie i twoją rodzinę. Dopóki żyję.

Rozumiem.

- Skoro ci mężczyźni cię napastowali, to uznałbym, że nieszczęście, które ich spotkało, jest dowodem na to, iż jesteś naprawdę bezpieczny. - Milczy przez chwilę, żebym pojął sens tych słów. Potem zaczerwienionymi oczyma przechwytuje moje spojrzenie. - Miałem nadzieję, że przyjeżdżasz z informacjami o ustaleniach.

Nie odpowiadam od razu. W jego słowach kryje się pewna szansa, tylko muszę najpierw zmusić swój mózg do myślenia. - Może nie są to jeszcze *informacje*, ale sądzę, że wpadłem na pewien trop.

Znowu się waham, czy kontynuować. Jeśli dokończę tę myśl, to będę musiał iść dalej tą drogą. Wprawdzie podjąłem decyzję na długo przed wyładowaniem w Aspen, ale pomiędzy postanowieniem a jego wykonaniem Bóg umieścił wolę, a ta jest bardzo wrażliwa na strach.

Wujek Jack nadal czeka.

- Jednak, gdybyś mógł mi wyjaśnić kilka spraw, to łatwiej by mi było dalej działać. - Jestem zły na siebie. Podobnie jak na cmentarzu, czuję, że trudno mi cokolwiek wykrztusić w jego obecności. W zasadzie, nic w tym dziwnego. W końcu Jack Ziegler ma na koncie kilka morderstw, jest handlarzem wszystkimi możliwymi nielegalnymi substancjami i pośrednikiem przestępczego podziemia, a ponadto ma tak skomplikowane i doskonale ukryte powiązania ze zorganizowaną przestępczością, że nikomu nie udało się ich ujawnić.

Jednak wszyscy wiedzą, że istnieją.

- Kilka spraw - powtarza, niczego nie obiecując. Zauważam na jego czole krople potu. Kiedy je wyciera, widzę, że drżą mu ręce, a oczy co chwilę mętnieją. Czy to nerwy, czy skutek choroby? - Kilka spraw - powtarza raz jeszcze.

Kiwam potakująco głową, przełykam ślinę i rzucam spojrzenie przez okno. Tym razem nie mam wrażenia, że spadam z urwiska, ale i tak nie

rozumiem, jakim cudem ten dom się tu trzyma.

Ponownie spoglądam na Jacka Zieglera i uświadamiam sobie, że skoro czeka tak cierpliwie i od razu zgodził się na nasze spotkanie, to musi to dla niego być tak samo ważne, jak dla mnie. Toteż kiedy się odzywam, mówię znacznie spokojniejszym i pewniejszym głosem. - Po pierwsze, zastanawiałem się, czy spotkałeś się z moim ojcem około półtora roku temu. Mniej więcej w październiku.

Jego oczy znów zasnuwają się mgłą, ale domyślam się, że próbuje sobie przypomnieć tamten okres. - Nie - odpowiada po dłuższej chwili.

- Nie, nie sądzę. W tamtym czasie pewnie byłem jeszcze w Meksyku na kuracji. - W jego głosie brzmi niepewność, a nie chęć wprowadzenia mnie w błąd. Chociaż trudno to tak naprawdę ocenić. - A dlaczego?

- Po prostu byłem ciekaw. - Uświadamiam sobie, że brzmi to śmiesznie, więc poprawiam się: - Ja... słyszałem pewne pogłoski.

- I po to odbyłeś tę długą podróż, Talcotcie? Z powodu pogłosek?

- Nie. - Dochodzę do wniosku, że czas rzucić kości. - Nie, wujku Jacku, przyjechałem, gdyż chcę cię spytać o Colina Scotta.

- A któż to jest Colin Scott?

Waham się przez chwilę. Jak wiem od Ethana Brinkleya, Colin Scott miał kilka nazwisk, a Jack Ziegler nie musi znać ich wszystkich. Z drugiej strony, jeśli - jak podejrzewam - miał mnie na oku przez tych kilka ostatnich miesięcy, to musiał słyszeć to nazwisko.

- Colin Scott - powtarzam. - Używał też nazwiska Villard. Jonathan Villard. Był prywatnym detektywem. Ojciec wynajął go, żeby odkrył, kto znajdował się w aucie, które zabiło Abby. Twoją córkę chrzestną.

Teraz on z kolei się waha. Próbuje ustalić, ile wiem, ile zgaduję i ile on sam może ukryć. Normalnie nie chciałby się tak przede mną odsłaniać, więc skoro to robi, to najwyraźniej potrzebuje mojej pomocy.

- No; i co? - pyta.

- Myślę, że znaliście się w CIA.

- I?

- I to ty musiałeś go skontaktować z ojcem.

- I?

- Nawet mi nie mówi, czy ciepło, czy zimno. W jego głosie pojawia się rzeźwienie. Kładzie sobie dłoń płasko na piersi, a po chwili zgina się wpół w ataku wilgotnego kaszlu. Odruchowo biorę go pod rękę i wyczuwam przez materiał szlafroka, że to sama skóra i kości. Natychmiast zjawia się przy nas Harrison. Delikatnie odsuwa moje palce, prowadzi wujka Jacka na kanapę i podaje mu dużą szklankę wody.

Jack Ziegler pije i powoli kaszel ustępuje.

- Proszę usiąść, profesorze - poleca mi poważnie. Mówi tak piskliwym głosem, że dwukrotnie na niego spoglądam, by upewnić się, że rzeczywiście

jest tak twardym facetem, za jakiego chce uchodzić. Bacznie oceniam jego ramiona i stwierdzam, że jednak jest.

Siadam posłusznie na wąskim krześle naprzeciw najbardziej przerażającego człowieka, jakiego znam. Harrison podaje mu tabletkę, którą on z irytacją próbuje odsunąć. Jednak wyciągnięta ręka Harrisona ani drgnie. Wujek Jack gromi go spojrzeniem, ale w końcu ustępuje - połyka tabletkę i popija wodą.

Harrison odchodzi.

Czyżby on także był pielęgniarzem? Może zbyt wiele sobie wyobrażam? Spoglądam na niesławnego Jacka Zieglera skulonego na wspaniałej kanapie, ze śliną na spierzchniętych ustach, ledwo ruszającego ręką. Dlaczego tak bardzo się go bałem? Przecież jest chory, umierający, przerażony. Rozglądam się po pokoju. To nie muzeum, tylko mauzoleum. Niespodziewanie ogarnia mnie współczucie dla tego człowieka. Siedzimy przez kilka minut w milczeniu, tak że słychać tylko dźwięki utworu, którym zastąpiono „Finlandię” - chyba coś Wagnera, ale nie potrafię rozpoznać, co to jest. Jack Ziegler opiera się o oparcie kanapy. Ma zamknięte oczy.

- Bardzo cię przepraszam, Talcotcie - szepce, nie zmieniając pozycji. - Jeszcze nie wyzdrowiałem. - Nie mów, na co chorowałeś.

- Rozumiem. - Przerывam, ale jestem zbyt dobrze wychowany, żeby nie powiedzieć tego, co należy w takiej sytuacji. - Może lepiej będzie, jeśli teraz cię zostawię i wrócę później.

- Bzdura. - Znowu kaszle. Tym razem kaszel nie jest tak głośny, ale za to suchy i wyraźnie sprawia mu ból. Otwiera oczy. - Jesteś tu, przejechałeś taki kawał drogi i masz pytania. Więc pytaj. - *Chociaż mogą ci nie odpowiedzieć.*

- Colin Scott - powtarzam.

Jack Ziegler mruga. Oczy ma załzawione, starcze, lekko zagubione. Staram się pamiętać o wszystkich przestępstwach, które podobno popełnił, o jego powiązaniach z mafią, handlarzami bronią, baronami narkotykowymi i innymi ludźmi żyjącymi z cudzego nieszczęścia. Mimo wszystko sprawia mi trudność przypomnienie sobie, dlaczego jeszcze chwilę temu ten trzęsący się staruszek budził we mnie taki strach. Przywołuję w myślach obraz mężczyzn, którzy zostali okaleczeni za to, że mnie zaatakowali, ale to wspomnienie również mniej mnie przeraża niż przedtem.

- O co chodzi z tym Scottem? - pyta w końcu wujek Jack, cały czas mrugając.

- Nie sądzę, żeby ojciec mu zapłacił. W jego papierach nie było śladu po takich czekach. - Jeszcze zanim tu przyjechałem, postanowiłem nie wspominać o udziale Mariah w tej sprawie. Lepiej, żeby wujek Jack nie uznał za konieczne zabić więcej niż jedno z nas.

- A za cóż to twój ojciec nie zapłacił?

- Za pracę, którą Scott dla niego wykonał. Za wytropienie samochodu sportowego. - Przelykam z trudem ślinę. Mój niepokój ponownie wzrasta, w miarę jak wujkowi Jackowi powracają siły. Miałem czas na ostrożność, z nim podniosłem słuchawkę, żeby do niego zadzwonić.

- Ojciec nie zapłacił mi za wykonaną pracę.

- Więc?

Ta prosta sylaba stała się nagle bardzo znacząca - najwyraźniej śpiąca bestia powoli się budzi i Jack Ziegler przestaje mi się wydawać trzęsącym się staruszkiem.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby pracował za darmo - mówię ostrożnie.

- Więc?

Mój strach powraca; czuję, jak lodowatymi palcami dotyka moich pleców i ud. Tylko sobie znanym sposobem, Jack Ziegler zmienił temperaturę naszej rozmowy.

- Myśle... myślę, że to ty mu zapłaciłeś. Zapłaciłeś detektywowi.

- Ja mu zapłaciłem? - Czarne jak węgiel oczy znów mają ostrzejszy wyraz, a ja odczuwam ten sam skręcający żołądek niepokój, który odczuwałem jako dziecko na Vineyard, gdy ojciec wręczył mi pochodnie i kazał spalić gniazdo szerszeni, które Mariah odkryła pod okapem nad werandą. Wiedziałem wówczas, że jeśli wszystkich nie zabiję, to z pewnością zostanę użądłony.

- Tak sądzę.

- Sądzisz, że zapłaciłem temu Scottowi za pracę, którą wykonał dla twojego ojca. - Wymawia te słowa starannie i wyraźnie, jakby dawał mi możliwość wycofania tego twierdzenia.

- Tak. - Moze i poruszam w tej chwili gniazdo szerszeni, ale udaje mi się mówić spokojnym głosem.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Nie wiem. Moze dlatego, że od lat byliście z ojcem przyjaciółmi. Albo dlatego, że byłeś ojcem chrzestnym jego córki. - Zmuszam się, żeby wypowiedzieć następne zdanie, chociaż i tak wiem, że nie potwierdzi, które z tych przypuszczeń jest prawdziwe. - A być może pomogłeś mi, gdyż chciałeś... chciałeś, żeby ojciec stał się twoim dłużnikiem. Dzięki temu w przyszłości mogłeś go poprosić o odwzajemnienie przysługi.

Jack Ziegler wydaje odgłos, jakby splotował, podobnie jak na cmentarzu. Długimi palcami skubie podbródek.

- Moze ojciec nie wystawiał żadnych czeków na pana Scotta, gdyż mu nie płacił. Moze mu nie płacił, ponieważ pan Scott dla niego nie pracował.

- Nie sądzę, żeby tak było. Uważam, że były inne powody, dla których ojciec nie mógł wystawiać na niego czeków. Po prostu pan Scott... no, powiedzmy, że reprezentował określone środowisko i ojciec, jako sędzia fede-

ralny, nie mógł sobie pozwolić, żeby w jakikolwiek sposób go z nim kojarzo-
no.

- Więc?

- Więc ojciec musiał unikać nawet pozorów niewłaściwego postępowania. Może nawet już wtedy myślał o Sądzie Najwyższym. - Nie doczekuję się żadnej odpowiedzi, oprócz twardego spojrzenia, więc mówię dalej. - Poza tym, nie wiem nawet, czy ojca byłoby stać, żeby mu zapłacić. Przecież nie z sędziowskiej pensji, tym bardziej w tamtych czasach.

Jack Ziegler jest całkowicie odprężony. - I co jeszcze myślisz, Talcotcie? To wszystko jest naprawdę ciekawe.

Waham się, ale już za późno na odwrót.

- Uważam, że Colin Scott jednak sporządził raport o wypadku Abby. Sądzę, że odkrył, kto to zrobił. Przyszedł z wynikami śledztwa do ojca, ale ten wcale nie zaniósł ich na policję. Kiedy zobaczył, co jest w raporcie, poprosił pana Scotta, żeby coś dla niego zrobił, a kiedy ten odmówił, ojciec przyszedł z raportem do ciebie i poprosił cię o pomoc.

Przerywam. Po prostu nie mogę wydobyć z siebie następnych słów. Wca-
le nie ze strachu, tylko nie jestem już tak pewien, jak jeszcze dwie godziny temu, że chcę poznać odpowiedź.

Jednak Jack Ziegler nie pozwala mi dłużej się wahać. - Powiedziałeś, że twój ojciec przyszedł do mnie po pomoc? Rozumiem. A co, twoim zdaniem, zdarzyło się potem?

Prawdę mówiąc, przyjechałem w te góry właśnie po to, żeby o tym po-
rozmawiać. Do tego momentu zmierzały moje rozmowy z Wallacem Wain-
wrightem i Lanie Cross oraz wyciąganie wspomnień od Sally, Addisona, a
nawet Mariah. Po to zbierałem wszystkie dowody, łącznie z zaginionym
obecnie albumem z wycinkami. Jeśli teraz tego nie powiem, całe miesiące
pracy pójdą na marne, podobnie jak podróż do Aspen.

Muszę jednak pamiętać, że jeśli w końcu to powiem, mogę już nigdy nie zoba-
czyć żony i syna. Jednak wykazuję się, jak już nieraz w życiu, odwagą głupca.

- Uważam, że w jakiś sposób zmusiłeś Colina Scotta, żeby... żeby się za-
jął problemem ojca.

No, wreszcie padły te słowa.

Jack Ziegler potrząsa głową z lekkim smutkiem, ale nie spogląda na
mnie, tylko przez okno, na przyprawiający o zawroty głowy widok. - Zajął
się problemem? - Prycha, a potem kaszle. - To jak kwestia z marnego filmu.
Zajął się czym?

- Wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, co masz na myśli i, szczerze mówiąc, czuję się urażony.

Mówi teraz niskim, niemal pieszczotliwym tonem, a mnie ciarki prze-
chodzą po plecach. Znów czuję, jak zagęszcza się atmosfera, pojawia się
jakieś mgliste zagrożenie.

- Nie chciałem...

- Oskarżasz swojego ojca o zbrodnię, Talcotcie. Używasz śmiesznych eufemizmów, ale o to ci właśnie chodzi, prawda? Uważasz, że ojciec wynajął tego Scotta, żeby popełnił morderstwo. - Z każdą chwilą coraz bardziej traci opanowanie. - Już samo to jest okropne. A teraz jeszcze oskarżasz mnie, że mu pomagałem.

Kiedy poruszysz gniazdo, wyjaśnił mi Sędzia, musisz spalić je do końca, bo nie uda ci się uciec przed szerszeniami, jeśli się z niego wydostaną.

- Posłuchaj, wujku. Przecież wiem, jak zarabiasz na życie.

- Nie, nie sądzę, żebyś wiedział. - Wydyma usta i unosi dłoń, po czym celuje pomarszczonym palcem w moją twarz. - Tak, tak, oczywiście tobie się *wydaje*, że wiesz. Wszystkim się *wydaje*, że wiedzą. Czytają gazety i te kretyńskie książki, a także sprawozdania tych głupich komisji. Ale nikt tak naprawdę nie wie. Nikt. - Z trudem podnosi się na nogi, ale choć raz starcza mi rozsądku, by nie proponować mu pomocy. - Chodź ze mną, Talcotcie, chcę ci coś pokazać.

Podążam za nim, gdy sunie cicho w miękkich papciach przez długi pokój. Mijamy to niezwykle okno z wywołującym zawroty głowy widokiem Aspen i wchodzimy do kuchni pełnej sprzętów z nierdzewnej stali, gdzie tęga kobieta słowiańskiego pochodzenia gotuje lunch. Wiem już, skąd roznosił się ten pikantny zapach, gdyż widzę jak dosypuje przyprawę do garnka. Mój gospodarz wypowiada do niej parę słów w języku, którego nie potrafię rozpoznać, na co ona uśmiecha się lekko i wychodzi. Przez wielkie okna w tylnej ścianie kuchni można podziwiać ten sam widok, co z salonu. Natomiast przeciwległa część tego pomieszczenia przechodzi w cieplarnię, gdzie zaskakująco różnorodne rośliny napełniają zapachem powietrze. Wchodząc tam za Jackiem Zieglerem zastanawiam się przez chwilę, jak ta mieszanka aromatów wpływa na smak jedzenia.

- Spójrz - zwraca się do mnie wujek Jack, wskazując palcem coś po drugiej stronie szklanej ściany. - Rozumiesz, o co mi chodziło? Wszyscy.

Czuję się zdezorientowany. - Uhm, wszyscy... co?

- Wszyscy myślą, że wiedzą. Spójrz!

Posłusznie spoglądam. Przebieram poważny wyraz twarzy, licząc na to, że weźmie dezorientację za skupienie, gdyż nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówi. Podążam wzrokiem za jego drżącym palcem. Widzę szeroki, wygięty pas trawnika, śnieg błyszczący w silnym górskim słońcu, wysokie żywopłoty, wąską, krętą drogę prowadzącą w górę do jeszcze okazalszych domów producentów filmowych i przedsiębiorców zajmujących się oprogramowaniem. Koło domu przejeżdża minivan - Kimmer ich nie znosi, gdyż twierdzi, że wyglądają strasznie statecznie, i nie pozwala mi takiego kupić. W odległości mniej więcej stu metrów pod górę stoi ciężarówka zakładu energetycznego, a dwoje pracowników w mundurach, kobieta i mężczyzna - naprawiają coś na słupie. Nieco bliżej muskularna kobieta w czarnych wysokich butach i żółtym kombinezonie ze spandexu, najwy-

rażniej odporna na mróz, prowadzi na spacer dobermana. Teraz z rżeniem przejeżdża podniszczona czerwona furgonetka z logo firmy zajmującej się pielęgnacją trawników wioząca trzy odśnieżarki.

Jack Ziegler stoi obok mnie z palcem przyciśniętym do szyby. Nadal nie wiem, na co wskazuje. Natomiast czuję, że zaczynam się dławić od zapachu tych wszystkich roślin.

- W porządku - zaczynam ostrożnie. - Patrzę.

- No, i co, widzisz ich? - Nagle powraca jego zdziwienie starcze, a ja zastanawiam się, czy nie jest udawane. - Widzisz, jak nas obserwują?

- Kogo mam widzieć?

Chwyta mnie za ramię, wbijając we mnie gorące palce jak szpony.

- Tam! Ciężarówka!

- Ciężarówka? Masz na myśli tę przy słupie?

- Tak, tak, widzisz ją?

- No, tak, widzę.

- No, więc rozumiesz. Nie masz pojęcia, jak mnie prześladują.

- Kto? Firma energetyczna?

Wujek Jack spogląda na mnie surowo i na chwilę znika chmura zasnuwająca jego umysł. - Nie firma energetyczna - odpowiada rozsądnym tonem - tylko FBI.

Ponownie wyglądam przez okno. - Ale to ciężarówka zakładu energetycznego.

- To tylko przykrywka. Przyjeżdżają tu po to, by mnie prześladować. - Niespodziewanie zaczyna się śmiać i przewraca oczami. Powróciło jego radosne obłąkanie. Prąd wysiada tu co najmniej dwa razy w miesiącu. - Wiesz, dlaczego? - Potrząsam przecząco głową - Żeby mogli przysłać swoją ciężarówkę i podsłuchiwać moje rozmowy telefoniczne. Poza tym nie działa wtedy system alarmowy i mogą pozakładać swoje pluskwy.

- Pluskwy...

- Tak, tutaj, w moim domu, w mojej *kuchni* są pluskwy! - Ku mojemu zdumieniu wyciąga skądś packę na muchy i uderza w płamkę na ścianie. - A masz! - zaśmiewa się tak wesoło, że przez chwilę myślę, iż źle go zrozumiałem i miał na myśli żywe insekty. - I jeszcze raz! - krzyczy, obracając się, żeby klepnąć packą w lodówkę, a potem w ciemnozielony, kamienny blat. - To im nieźle zagrzechocze w słuchawkach! - chichocze.

Potem odrzuca niedbale packę w kierunku szafki, obejmuje mnie ramieniem i prowadzi z powrotem do wielkiego pokoju, jak go nazywa.

- Oni chcą wiedzieć, jak zarabiam na życie. Myślą, że jestem przestępcą, na litość boską! - Zatrzymuje się przy idealnie uporządkowanym biurku i pisze coś pospiesznie w notesie. - Tak jak ty - mruczy. - Tak samo, jak ty - Zanosi się wilgotnym kaszlem, nawet nie zakrywając dłonią ust.

Czuję się zakłopotany i podejmuję typową dla mnie próbę odwrotu. _

Wujku Jacku, ja, hmm, ja nie chciałem...

- Ale ja ich rozszyfrowałem - chichocze, nie zwracając uwagi, na to, że zacząłem coś mówić. - No, i kiedy jest awaria prądu, to wiesz, co robię?

- Nie.

- Powiem ci - oznajmia z przebiegłym wyrazem twarzy i ponownie otacza mnie ramieniem. - *Chodzę po domu z latarką i zabijam ich pluskwy!*

- Rozumiem - odpowiadam, zastanawiając się, czy nie przyjechałem tu na próżno.

- Nie, wydaje mi się, że nie rozumiesz - mamrocze, po czym podnosi głowę i krzyczy: - Harrison!

Chudy ochroniarz natychmiast się pojawia. - Tak, proszę pana?

Oto i przyszła ta chwila. Zrzucą mnie ze zbocza góry. Kimmer, wybaczam ci, opiekuj się naszym chłopcem.

- Czy ten dom jest zapluskwiony, Harrison?

- Czasami, proszę pana.

- A czy zabijamy pluskwy?

- Kiedy tylko nam się uda.

- Dziękuję, panie Harrison, to wszystko. - Wujek Jack wręcza mu napisaną wcześniej notatkę, a lokaj, służący, pielęgniarz i ochroniarz w jednej osobie wychodzi. Ja zaczynam znów normalnie oddychać. A więc tak się między sobą porozumiewają w domu, gdzie ktoś może podsłuchiwać każde ich słowo - piszą do siebie. Teraz już rozumiem, co miał na myśli Henderson, kiedy mówił o popularności wujka Jacka oraz skąd wszyscy mieliby wiedzieć o moim przyjeździe. - Wszędzie pluskwy - oznajmia wujek Jack, potrząsając ze smutkiem głową.

(III)

Jack Ziegler wyraźnie słabnie. Usta mu się trzęsą. Podniecenie wyszło z niego resztkę energii, twarz jakby się zapadła. - Pozwól, Talcocie, że się na tobie wesprę - mruczy, otaczając wychudłą, gorącą ręką moje ramiona. Wracamy tak do głównej części domu, a kiedy idziemy, jego stopy ślizgają się po podłodze. Jest lekki jak dziecko.

Posłuchaj, Talcocie - odzywa się. - Słuchasz?

- Słucham, wujku Jacku.

- Nie jestem bohaterem, wiem o tym. Robiłem w życiu rzeczy, których żałuję. Mam pewnych współników, którzy również żałują swoich czynów. Rozumiesz?

- Niezupełnie...

- Dokonywałem wyborów, Talcocie, trudnych wyborów. A każda decyzja ma swoje konsekwencje, to podstawowa zasada w każdym systemie moralnym. Decyzje mają konsekwencje. Wszystkie decyzje. Zawsze to akcep-

towałem. Dokonywałem dobrych wyborów i odnosiłem dzięki temu korzyści, a kiedy podjąłem złą decyzję, musiałem z jej powodu cierpieć. Wszyscy musimy. - Czeka, aż to do mnie dotrze. Widzę, że pod maską uprzejmości gotuje się w nim gniew. Szerszenie wydostają się z gniazda.

- Rozumiem, co... - zaczynam, ale natychmiast mi przerywa.

- Konsekwencje, Talcotcie. Zbyt rzadko używane słowo. Żyjemy w świecie, gdzie nikt nie wierzy, iż wybory powinny mieć konsekwencje. Jednak chciałbym ci zdradzić wielki sekret, któremu nasza kultura stara się zaprzeczyć. Nie można uniknąć konsekwencji swoich decyzji. Czas biegnie tylko w jedną stronę.

- Tak sądzę - zapewniam go, chociaż to nieprawda.

Wilgotne, zmęczone spojrzenie Jacka Zieglera przeslizguje się po mojej twarzy, kieruje się na chwilę na ścianę - czyżby znów myślał o pluskwach? - i w końcu zatrzymuje się na przyprawiającym o zawroty głowy widoku Aspen za dwupiętrowej wysokości oknem. Wówczas wujek Jack rozpoczyna nowy wykład. - Żaden z nas, ojców, nie jest dokładnie taki dla swojego syna, jak pragnął być. Zapewne sam też się o tym przekonasz. - Przypominam sobie, że on również ma syna - Jacka Juniora - prowadzącego kantor wymiany walut gdzieś na drugim końcu świata, chyba w Hongkongu, gdyż aż tam uciekł przed ojcem.

Ciekawe, czy to dostatecznie daleko.

Wujek Jack dalej snuje filozoficzne rozważania, jakby celem mojego przyjazdu było zrozumienie jego pojęcia o dobrze przeżyтым życiu.

- Ojca i syna łączy święta więź. Na przestrzeni dziejów kierowanie rodziną było zawsze przekazywane z ojca na syna. Ojciec jest głową rodziny, Talcotcie! To jest misja. To obowiązek, przed którym mężczyzna nie może się uchylać, nawet gdyby chciał. Wiem, że dzisiaj intelektualiści odrzucają takie postawy. Mówią o seksizmie... a zresztą sam lepiej znasz te wszystkie słowa. Patriarchat. Męska dominacja. Też coś! Moje pokolenie nie miało tego luksusu, co wy dzisiaj. Nie mieliśmy czasu na takie dyskusje. Musieliśmy *żyć i działać*. Niech ci, co mają czas, zastanawiają się, dlaczego Bóg przemówił do Mojżesza z gorejącego krzewu, a nie z drzewa figowego, supermarketu czy telewizora. Twoje pokolenie to pokolenie mówców... i życząc wam powodzenia. Nasze było pokoleniem ludzi czynu, ostatnim w tym kraju. Ludzie czynu! Wiem, że tego nie rozumiesz. Nigdy nie żyłeś w warunkach, kiedy nie ma czasu na dyskusje, debaty, włączanie się po sądach i *analizowanie swoich opcji postępowania* - czy nie tak na to mówicie? My nie zgłaszaliśmy się do programów na żywo, żeby jęczeć na temat trudności życiowych. Nie czerpaliśmy poczucia własnej wartości z ustalania, jak źle inni nas potraktowali. Nie uskarżaliśmy się. Nie mieliśmy na to czasu. Moje pokolenie miało pewne rzeczy, które musiało zrobić. Decyzje, które trzeba było podjąć. Rozumiesz? - Wcale go to nie obchodzi, czy rozumiem, gdyż

koniecznie chce przedstawić mi swój punkt widzenia... i w tym jest niezwykle podobny do Sędziego. - I z tego właśnie pokolenia wywodził się twój ojciec. Twój ojciec i ja. Byliśmy tacy sami. Byliśmy głowami rodzin. Mężczyznami. Powiedziałbyś pewnie, że staroświeckimi. Wiedzieliśmy, na czym polegają nasze obowiązki. Na zapewnieniu bytu rodzinie, troszczeniu się o nią, wskazywaniu drogi. Ale najważniejszym obowiązkiem była jej ochrona.

Słońce już zachodzi nad Aspen i zabarwia śnieg na wspaniałą pomarańczowoczerwony kolor. Tam w dole narciarze rozpoczynają wieczorne zjazdy. Zastanawiam się, kiedy mają czas spać.

- Wiem, że czujesz gniew, Talcotcie, i rozczarowanie w stosunku do swojego ojca. - Rzuca mi łzawe spojrzenie, po czym odwraca wzrok. - Myślisz, że przyłapałeś go na czymś okropnym. Powiedz mi, zatem, co ty byś zrobił. Twoja córka nie żyje, policja nic nie robi, a ty sądzisz, że wiesz, kto ją zabił. Co byś w takiej sytuacji zrobił?

Teraz on czeka na moją odpowiedź. Zastanawiałem się nad tym pytaniem wielokrotnie od czasu wizyty Mariah, kiedy wpadłem na ten trop. Czy gdyby ktoś skrzywdził Bentleya, a nasz system prawny nie wymierzył mu sprawiedliwości, to wynająłbym mordercę? Albo sam to zrobił? Może. A może nie. Nikt nie może ze stuprocentową pewnością odpowiedzieć na takie pytanie, dopóki jest ono abstrakcyjne. Dopiero kiedy rzeczywiście coś postawimy na szali, możemy sprawdzić, czy będziemy wierni zasadom, które tak dumnie głosiliśmy.

- Wiem, co *on* zrobił - odpowiadam w końcu.

Jack Ziegler kręci przecząco głową. - Tobie tylko się wydaje, że wiesz. Ale w istocie, cóż ty wiesz? Powiedz mi, Talcotcie, co naprawdę *wiesz*.

Zaskakuje mnie jego bezpośredniość. Przeszywa mnie teraz wzrokiem, więc odwracam od niego spojrzenie. Zastanawiam się, czemu przestał się martwić pluskwami, lecz po przeanalizowaniu naszej rozmowy uświadamiam sobie, że wszystkie obciążające stwierdzenia wyszły ode mnie i dotyczyły Sędziego, który już nie żyje. Na dodatek wujek Jack doprowadził do sytuacji, w której plamie pamięć własnego ojca, gdy podsłuchuje nas FBI.

To niech tak będzie.

- Wynajął płatnego mordercę - oświadczam w końcu, pragnąc dorównać wujkowi Jackowi w bezpośredniości.

- Phi! Mordercę! Mordercą był człowiek, który spowodował wypadek twojej siostry, a mimo to spokojnie chodził sobie na wolności.

- Człowiek, o którym ojciec *sądził*, że to zrobił. Przecież go nie skazano.

- Skazano? On nawet nie został aresztowany czy postawiony w stan oskarżenia. W rzeczywistości nawet nie przeprowadzono porządnego śledztwa. - Ani na moment nie odwraca ode mnie chłodnego spojrzenia.

- To skąd ojciec mógł wiedzieć, że znalazł prawdziwego sprawcę?

- Tej sprawy nie można rozpatrywać w kategoriach: prawda czy fałsz. -

Znowu rozlega się jego wilgotny, urywany kaszel. - Będąc mężczyzną, musisz działać. Czasem trzeba się zadowolić informacjami dostępnymi w danym momencie. Może są prawdziwe, a może błędne. Mimo wszystko musisz działać.

- Niezupełnie cię rozumiem.
- Nie mogę cię już bardziej oświecić.

Tyle że do tej pory wcale mnie nie oświecił. Już mam powiedzieć to na głos, kiedy znów się odzywa, tym razem przybierając ton wykładowcy. - Na niektóre z twoich pytań, Talcotcie, nie ma odpowiedzi, a na inne są, ale ich nigdy nie poznasz. Tak to już jest na tym świecie, a my, śmiertelnicy, nie potrafimy odkryć wszystkiego, co byśmy chcieli wiedzieć. - Stwierdzam, że denerwują mnie te moralizatorskie zapędy Jacka Zieglera, być może z przyczyn etycznych. Jakie prawo ma morderca, żeby pouczać innych o znaczeniu życia? Czyżby wiedział o rzeczach, o których my, słabsi śmiertelnicy, nie mamy pojęcia? Czy też te oracje to tylko mydlenie oczu, żeby przy założonym podsłuchu nie powiedzieć czegoś, co mogłoby być uznane za przyznanie się do przestępstwa? - Natomiast na niektóre z twoich pytań masz prawo poznać odpowiedzi. Jestem przekonany, że twojemu ojcu zależało, żebyś je poznał, i to właśnie ty, a nie twoje rodzeństwo, gdyż czuł przed tobą respekt. A z drugiej strony trochę ci zazdrościł. Poza tym zawsze pragnął twojej aprobaty, znacznie bardziej niż aprobaty Addisona czy Mariah. - Nie wiem, czy w to wierzyć, ale z pewnością nie chcę tego słuchać. - Dlatego właśnie ojciec urządził wszystko tak, żebyś otrzymał część odpowiedzi. Ale musisz je znaleźć także sam dla siebie.

- O czym ty mówisz?
- O ustaleniach, Talcotcie. Musisz odnaleźć ustalenia. - Krzywi się. - Nie mam pojęcia, gdzie twój ojciec ukrył odpowiedzi, ale zakopał je tak głęboko, że tylko ty możesz wiedzieć, gdzie szukać. Dlatego tyle osób cię nachodzi. Jednak pamiętaj, że żadna z nich nie może cię skrzywdzić. No, i że nie wolno ci zaprzestać poszukiwań. Nie wolno.
- Ale dlaczego te poszukiwania są takie ważne? - To pytanie, które usiłowałem zadać Maxine, której prawdziwe imię na pewno brzmi inaczej.
- Powiedzmy, że... odnalezienie ustaleń pomoże ci odzyskać spokój umysłu.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. To jednak nie może być wszystko. Wujek Jack pragnie, żebym odnalazł to, co ojciec ukrył. Sądząc po jego uporze i naleganiach Maxine, jego zdolność chronienia mnie może być jakoś powiązana... z obietnicą, że poszukiwania zakończą się powodzeniem. Pragnę jak najszybciej opuścić ten okropny pokój, ale mam jeszcze jedno pytanie.

- A jeśli rzeczywiście uda mi się odnaleźć te ustalenia? To co wtedy?
- Oczywiście, wtedy wszyscy będą zadowoleni. - Milknie, ale wiem, że

to tylko pauza. Domyślałam się nawet, co za chwilę powie. I mam rację.

- Tylko wiesz, kiedy znajdziesz to, co ojciec zostawił, nie powinieneś sam tego oglądać. To byłby błąd. Uważam, że najlepiej będzie... tak, powinieneś to najpierw przynieść do mnie. Naturalnie.

- Naturalnie - mruczę pod nosem, ale tak cicho, że nie może mnie usłyszeć. Najpierw Mallory Corcoran, potem Maxine, a teraz wujek Jack: *Kiedy to znajdziesz, przynieś to do mnie!* Tyle że Jack Ziegler, w przeciwieństwie do pozostałych, wypowiedział swoje żądanie takim tonem, jakby miał do niego prawo. Zabrzmiało to tak, jakbym miał po prostu zwrócić mu jego własność.

- Sądzę, że to sprawiedliwa wymiana. - Mam na myśli dostarczenie ustaleń w zamian za ochronę mnie i mojej rodziny.

- O, tak, z pewnością. - Z jego tonu odczytuję, że za chwilę zostanę odprawiony. Dręczy mnie jednak okropne wrażenie, że zapomniałem o czymś ważnym. Nagle słyszę, jak wypowiadam słowa, których wcale nie chciałem mówić - poruszam temat, który pogrzebałem bardzo głęboko i postanowiłem o nim nie wspominać. - Wujku, ojciec powiedział... komuś... że rozmawiał z tobą na tydzień przed śmiercią.

- I co?

- Chciałbym wiedzieć, czy to prawda.

Wstrzymuję oddech, czekając na atak szerszeni, ale wujek Jack odpowiada mi tak gładko, że z pewnością już dawno to sobie przemyślał. - Tak, spotkałem się z Oliverem. A dlaczego pytasz?

- Czy on zadzwonił do ciebie, czy ty do niego?

- Zachowujesz się jak prokurator, Talcotcie. - Uśmiecha się spokojnie, więc wiem, że jest zirytowany. - Jednak skoro pytasz... Twój ojciec zadzwonił do mnie kilka tygodni wcześniej i powiedział, że chciałby się ze mną spotkać. Odpowiedziałem mu, że przyjadę do Wirginii w połowie września i wówczas możemy się zobaczyć. Zjedliśmy razem obiad, ale to było spotkanie czysto towarzyskie.

- Rozumiem. - Niewątpliwie to, co teraz mówi, idealnie zgadza się z tym, co FBI ma na taśmach z podsłuchu. Natomiast rozmowa przy obiedzie z pewnością nie została zarejestrowana, już wujek tego dopilnował. Teraz wyczuwam, że budzi się w nim niepokój. Najwyraźniej trafiłem blisko tego, co pragnie przede mną ukryć. Coś musiało się wydarzyć podczas tego obiadu. Czy to skłoniło ojca do wznowienia lekcji strzelania? Jack Ziegler mi tego nie powie. - Rozumiem - powtarzam, zaciekawiony.

- No, a teraz czas naszego spotkania dobiegi końca, Talcotcie. - Znowu ten wilgotny kaszel.

- Czy mógłbym zadać jeszcze jedno...

Przerywa mi ruchem dłoni i woła Hendersona. Zastanawiam się, jak decyduje, który z ochroniarzy będzie w danym momencie przydatniejszy.

- Poczekaj, wujku Jacku. Chwileczkę.

Odwraca powoli głowę w moim kierunku, a mnie się wydaje, że niemal słyszę skrzypienie. Blade brwi ma uniesione, w czarnych oczach czujność. Nie jest przyzwyczajony, żeby ktoś kazał mu się zatrzymywać.

- Słucham? - mówi cicho w momencie, gdy pojawia się Henderson.

Spoglądam na ochroniarza, po czym pochylam głowę i ściszam głos.

- Wiesz o tym, że ten człowiek, który współzawodniczył z moją żoną o stanowisko sędziowskie, stracił szansę z powodu pewnego skandalu?

Znowu to radosne, obłąkańcze spojrzenie. - Mówiłem ci, że ma trupa w szafie.

- Tak. Wiem. Jednak nie bardzo rozumiem... skąd ty o tym wiedziałeś.

- To nie wszystko, o co zamierzałem spytać, ale Henderson jest coraz bliżej, widok za oknem znów wywołuje u mnie zawroty głowy, pokój jakby się kurczy i nagle nabieram przekonania, że nie powinienem bardziej naciskać. - To znaczy, skąd wiedziałeś o trupie?

- To nie ma najmniejszego znaczenia - szeptem Jack Ziegler po chwili. - Musisz się skoncentrować na przyszłości, a nie na przeszłości.

- Ale poczekaj. Skąd wiedziałeś? Tylko dwie osoby wiedziały. I żadna z nich by z pewnością... - Nie *powiedziała komuś takiemu, jak ty*, powstrzymuję się przed wypowiedzeniem tych słów.

Jednak wujek Jack wie doskonale, co myślę. Potrafię to wyczytać z jego zmęczonej twarzy, gdy kładzie mi na ramieniu pomarszczoną dłoń.

- Nigdy nie jest tak, żeby tylko dwie osoby o czymś wiedziały.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś jeszcze wiedział? I ta osoba przekazała to tobie?

Jednak jego już przestało to interesować. - Henderson, pan Garland wychodzi. Odwieź go do domku, w którym zamierza nocować. To jeden z tych starszych koło biblioteki, ten z niebieskimi drzwiami. Nie pamiętam numeru, ale pan Garland ci wskaże, gdzie masz podjechać.

- Nie powiedziałem ci, gdzie się zatrzymałem. - Mówię to z pewnym opóźnieniem, gdyż nagły dreszcz strachu spowolnił moją reakcję.

- Nie powiedziałeś - zgadza się ojciec chrzestny Abby. Nie uśmiecha się przy tym, jego głos jest nadal drżący, a spojrzenie zamglone, ale postanowił pokazać mi przez moment zaledwie maleńki ułamek swojej władzy. Może chce w ten sposób przekonać mnie, żebym mu zaufał, żebym był spokojny o to, iż mnie ochroni i przyszedł do niego z tym, co odnajdę. Natomiast jeśli jego celem jest mnie przestraszyć... to, cóż, udało mu się.

Henderson stoi już na schodach prowadzących do wyjścia, trzymając w rękę mój płaszcz. Dziękuję wujkowi Jackowi za spotkanie. Podaje mi rękę, więc ją ujmuję, a wówczas przytrzymuje ją przez chwilę.

- Talcotcie, posłuchaj. Wysłuchaj mnie uważnie. Nie czuję się dobrze, a wiele osób interesuje się moim stanem zdrowia. Podejmuję odpowiednie

środki ostrożności, ale oni przysyłają ciężarówkę i instalują pluskwy. Sądzę, że nie powinieneś już więcej tu przyjeżdżać, chyba że odkryjesz ustalenia swojego ojca.

- Dlaczego nie? Poczekaj. Dlaczego?

W odpowiedzi niemal się uśmiecha. Wiem, że naprawdę by się uśmiechnął, tylko brakuje mu na to sił. Zamiast tego w milczeniu macha mi ręką, po czym dostaje okropnego napadu kaszlu. Pan Harrison natychmiast pojawia się u jego boku, bierze go pod rękę i gdzieś prowadzi.

W drodze powrotnej, kiedy zjeżdżamy z góry, dostrzegam w bocznym lusterku światła reflektorów. Może to nie mieć żadnego znaczenia, gdyż każdy w Aspen posiada samochód. Zastanawiam się, czy wujek Jack miał rację, jeśli chodzi o ciężarówkę zakładu energetycznego. Ciekaw jestem, jak szybko dowie się o mojej wizycie agent Nunzio... a może przez cały czas słuchał naszej rozmowy. Kiedy ostro skręcamy na serpentynie, ponownie zerkam w lusterko, ale światła zniknęły.

Henderson pyta mnie, czy jestem zadowolony z wizyty... i nagle już wiem, gdzie przedtem słyszałem ten aksamitny głos. Jak mogłem nie uświadomić sobie tego wcześniej! To pan Henderson rozmawiał ze mną przez telefon o godzinie drugiej pięćdziesiąt jeden nad ranem i zapewniał ze spokojną pewnością w głosie, że nikt już nie będzie niepokoił mnie i mojej rodziny. Jego obowiązkiem jest ochrona wujka Jacka, więc zapewne dzwonił z Aspen. Jednak Aspen od Elm Harbor dzieli tylko przelot samolotem, a narzędzia potrzebne do odcięcia palców dwóm mężczyznom można kupić w każdym sklepie z narzędziami.

ROZDZIAŁ 45

Wezwanie do czynu

(I)

Obserwuję przez okno saloniku, jak range rover zgrabnie wyjeżdża z parkingu. Obchodzę cały domek, zapalając wszystkie światła, i wspominam swój ostatni pobyt wiele lat temu, kiedy nasze małżeństwo było jeszcze całkiem szczęśliwe. Zastanawiam się, czy istnieje szansa, żeby znów takie było - na przykład, czy mężczyzna, który dzwonił tamtego deszczowego ranka do Kimmer i nazwał ją kotkiem, zrujnuje nasze wspólne życie, czy też po prostu zniknie, tak jak dotąd bywało z innymi mężczyznami mojej żony.

Choć tym razem może się zdarzyć, że Kimmer powie, żebym to ja zniknął z jej życia.

Domek użytkowany przez Brownów jest dwupoziomowy. Na parterze mieści się wąski pokój pełniący rolę saloniku i jadalni oraz niewielka kuchenka, a na piętrze dwie sypialnie, każda z łazienką. Przeszukuję lodówkę, lecz znajduję jedynie wodę w butelkach. Myślę, że jej właściciel się nie obrazi, jeśli się poczęstuję. Od wielu godzin nic nie jadłem, a w domu niczego nie ma, toteż wyszukuję w książce telefonicznej numer pizzerii i dzwonię, żeby zamówić dostawę. Okazuje się, że w zimowy wieczór w Aspen trzeba na nią czekać co najmniej dziewięćdziesiąt minut.

Informuję ich, że nie szkodzi, poczekam.

Ponownie podchodzę do okna od frontu. Stojąc przy nim, zastanawiam się, czy kiedy zjeżdżaliśmy z góry, poniosła mnie wyobraźnia, czy rzeczywiście ktoś nas śledził. Na Red Mountain jest tak niewiele dróg, że trudno to stwierdzić. Może się zdarzyć, że inny samochód będzie za tobą jechał przez całą drogę w górę lub w dół, tyle że będzie to po prostu tutejszy mieszkaniec, który zmierza w tę samą stronę, co ty.

Pocieszam się, że Henderson nie okazywał niepokoju.

Odsuwam na bok koronkową firankę i wyglądam na zewnątrz. Widzę kilka podchmielonych osób przechodzących niedaleko chwiejnym krokiem, od czasu do czasu na parking wjeżdża samochód lub z niego wyjeżdża, ale nie potrafię stwierdzić, czy ktoś mnie śledzi. Jeśli nawet tak jest, to i tak nie mam pojęcia, kto. Przez chwilę fantazjuję, że w drzwiach staje Maxine, ale rozsądek podpowiada, że raczej może to być agent FBI, prawdziwy lub fałszywy, gdyż Foreman, jak przypomniała mi Maxine na Vineyard, nadal żyje.

Skoro jednak nie potrafię ustalić, jak jest naprawdę, nie ma sensu się tym denerwować.

Wracam zatem do kuchni i dzwonię do Kimmer, aby jej powiedzieć, że wróciłem cało i zdrowo.

Odpowiada mi automatyczna sekretarka.

Może być tysiąc powodów, dla których nie ma jej w domu, tłumacząc sobie. Tutaj jest trochę po szóstej, czyli u niej parę minut po ósmej, więc może być na zakupach, razem z Bentleyem. No pewnie. Zakupy albo jakieś inne sprawy domowe - Kimmer nigdy nie opowiadała mi szczegółowo o swoim planie dnia.

Zatem podłączam laptop i przez pół godziny gram w szachy przez Internet, po czym sprawdzam pocztę elektroniczną. Jak zwykle, nie ma w niej nic ważnego. Sprawdzam również pocztę głosową w pracy i dowiaduję się, że Visa jest zainteresowana, kiedy dokładnie zamierzam uregulować zaległą płatność. Ciekaw jestem, jak długo uda mi się żonglować tymi wszystkimi należnościami przy budżecie naciągniętym do granic możliwości, a wszystko po to, żebyśmy mogli mieszkać w domu, na który w istocie nas nie stać.

Siódma, zatem dziewiąta na Wschodzie. Odłączam laptop i z powrotem włączam telefon. Jednak kiedy dzwonię, znów włącza się automatyczna sekretarka. To dziwne, gdyż o tej porze Bentley zazwyczaj szykuje się do spania. Może siedzi jeszcze w wannie, tłumacząc sobie, a Kimmer nie słyszy dzwonka albo nie chce go zostawiać samego. Tyle, że moja żona zawsze zabiera do łazienki telefon przenośny.

Z pewnością przedłużyło się załatwianie spraw.

Kiedy pół godziny później w domu nadal nikt nie odbiera telefonu, nie potrafię już dłużej powstrzymać się od myślenia o bardziej przerażających możliwościach.

Na przykład o tym, że Foreman nadal żyje.

Mojej rodzinie nie grozi niebezpieczeństwo, przecież wujek Jack ponownie mnie o tym zapewnił. Z pewnością mówił to szczerze, ale ja też miałem być bezpieczny, a napadnięto na mnie na terenie kampusu. To prawda, że później ktoś o głosie Hendersona zadzwonił z przeprosinami, ale to było już *później*.

Ósma, dziesiąta na Wschodzie. Dzwonię na telefon komórkowy Kimmer. Dzwonię do jej biura. Potem znowu próbuję dodzwonić się do domu. Nie mogąc się z nią skontaktować pod żadnym z numerów, decyduję się na telefon do Drogiej Dany Worth, która także mieszka na Hobby Road, o dwie przecznice ode mnie. Zazwyczaj do niej nie dzwonię, gdyż czuję się bardzo nieswojo, rozmawiając z Alison. Być może ona ma podobne wrażenie. W każdym razie nie bardzo się lubimy. Oczywiście to właśnie Alison odbiera mój telefon.

Kiedy przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze, Alison raczy

mnie wysłużonym żartem, że i tak musiała wstać, bo dzwonił telefon. Z jej tonu poznaję, że nie do końca żartuje. W jej głosie slychać irytację, więc zapewne zadzwoniłem w nieodpowiednim momencie i wolę się nie domyślać, pod jakim względem jest on niewłaściwy.

Kiedy mówię, że chciałbym rozmawiać z Daną, Alison pyta, dlaczego.

- Bo muszę z nią porozmawiać.
- O czym?
- To sprawa prywatna.

Chwila wypełniona wściekłością milczenia. - Ale jej nie ma.

- Nie wiesz, kiedy wróci?
- Nie mam pojęcia - odburkuje, a gniew w jej głosie zdradza, że musiały się dziś pokłócić, jak to im się często zdarza.

Chciałem poprosić Danę, żeby poszła do mojego domu i sprawdziła, czy z Kimmer i Bentleyem wszystko w porządku. Niestety, nie mogę prosić o tę przysługę Alison, gdyż mnie nie lubi, toteż przepraszam i odkładam słuchawkę.

Ponownie telefonuję do domu. Nadal odzywa się tylko automatyczna sekretarka.

Raz jeszcze podchodzę do okna w saloniku. Umebrowanie tego pokoju jest raczej skromne: niewielki stół ze szklanym blatem i sześć krzeseł obitych imitacją skóry, brzydka zielona kanapa i pasująca do niej dwuosobowa sofa oraz dwa piankowe fotele, na których po złączeniu można by się od biedy przespać. Przypuszczam, że kanapę też można rozłożyć do spania. Znów odsuwam firankę. W Aspen panuje ciemność. Na Hobby Road również. Jeszcze bardziej zdenerwowany wracam do kuchni i dzwonię do Dona i Niny Felsenfeldów.

Nic. Nawet nie włącza się automatyczna sekretarka. Przypominam sobie, że nasi sąsiedzi wyjechali na kilka dni do córki, która mieszka w Północnej Karolinie. Tymczasem wskazówki zegara na Wschodzie szybko zbliżają się do dziesiątej trzydzieści.

Ogarnia mnie drżenie.

Do kogo z sąsiedztwa mógłbym jeszcze zadzwonić? Peter Van Dyke mieszka po drugiej stronie ulicy, ale ledwo zdaje sobie sprawę z mojego istnienia. Tish Kirschbaum ma dom zaraz za rogiem, ale nie utrzymujemy bliższych kontaktów. Theo Mountain mieszkający o ulicę dalej z pewnością już śpi. W obrębie dalszych kilku przecznic mieszka Ethan Brinkley, Arnie Rosen i jeszcze paru kolegów, ale na całym Hobby Hill nie ma nikogo prócz Drogiej Dany, kogo mógłbym poprosić, żeby poszedł do mojego domu i przepłoszył upiora, który mnie dręczy.

Powtarzam sobie w kółko, że nic się nie stało. Wszystko jest w porządku, Kimmer na pewno śpi. Jednak automatyczna sekretarka stoi przy samym łóżku. No to zasnęła na dole. Mogła przecież oglądać telewizję i popijać wi-

no, aż zasnęła. Ale Kimmer nigdy nie pije tyle, żeby się upić i zasnąć - to był zwyczaj mojego ojca. Zatem jest w biurze, bo musiała dokończyć jakąś pilną pracę, a Bentleya ułożyła do snu na podłodze. Oczywiście, to zwariowany pomysł, a zresztą dzwoniłem do biura i nikt nie odbierał. W takim razie utknęła w korku. Zginęła w wypadku samochodowym. Może powinienem zadzwonić do szpitala uniwersyteckiego? Jest na naszym podwórku, torturowana przez Foremana.

Który nadal żyje.

Dość tego!

Robię w końcu to, co powinienem był zrobić od razu, czyli dzwonię na posterunek policji w Elm Harbor. Kiedy po pięciu minutach rozmowy ze sceptycznie nastawionym sierżantem dyżurnym odkładam słuchawkę, dzwoni dzwonek u drzwi, więc natychmiast zrywam się na nogi, ale to tylko zamówiona wcześniej pizza.

(II)

Z przygnębieniem żuję szybko stygnącą pizzę i popijam ją równie szybko ogrzewającą się dietetyczną colą, zastanawiając się przez cały czas, jak szybko mogę ponownie zadzwonić na policję. Sierżant obiecał, że wyśle radiowóz w okolicę naszego domu, jak tylko jakiś będzie wolny. Nic, co powiedziałem, nie przekonało go, że niezbędny jest pośpiech. Zapewne przez cały czas odbiera podobne telefony. Siedzę w niewielkim domku w Aspen z twarzą w dłoniach i czekam na jakąkolwiek wiadomość. Czy istnieje jakiś regulamin określający, ile czasu musi upłynąć pomiędzy kolejnymi telefonami na policję? Chyba nigdy nie czułem się tak bezsilny, nawet wtedy, gdy mnie niemal aresztowano. Wówczas wiedziałem przynajmniej, że za chwilę sprawa się wyjaśni. Jednak teraz, będąc o dwa tysiące mil od domu, jestem całkowicie bezradny i nie mogę zrobić nic, by ochronić swoją rodzinę. A przecież to mój podstawowy obowiązek, jak tłumaczył mi niedawno Jack Ziegler...

Jack Ziegler?

Czy powinienem...?

Nie mam nic do stracenia. Telefonuję zatem do domu na Red Mountain, a zanim zdążył przebrzmieć pierwszy dzwonek, w słuchawce odzywa się zmysłowy głos Hendersona.

- Tak, profesorze? - mówi, nim się odezwałem. Jestem zaskoczony, ale po chwili uświadamiam sobie, że wujek Jack musi mieć zainstalowaną identyfikację dzwoniącego.

- Ja... potrzebuję pomocy - oznajmiam, nie bawiąc się w uprzejmości.

- W jakiej sprawie, profesorze? - Głos ma cierpliwy i spokojny, ale nie

słysząc w nim specjalnej skwapliwości.

- Czy mogę rozmawiać z panem Zieglerem?
- Niestety, już śpi i nie można mu przeszkadzać. Może ja potrafię jakoś pomóc?

- Ja... ja nie mogę skontaktować się z żoną - wyrzucam z siebie.
- Tak? - Znowu wypowiedziane tym beznamiętnym głosem deklarującym gotowość do zabijania lub oddania życia bez słowa protestu.

- Powinna być w domu w Elm Harbor. Jest już strasznie późno, a nie odbiera telefonu, więc jeśli... jeśli dałoby się coś...

- Proszę chwilę poczekać, zaraz do pana zadzwonię. - Rozłącza się.

Znów jestem zmuszony czekać. Tym razem wyobrażam sobie inną sytuację. Kimmer żyje i nie załatwia żadnych spraw domowych ani zawodowych. Znajduje się w domu innego mężczyzny, w jego łóżku, pomimo wygłaszanych ostatnio zapewnień o tym, że mnie kocha. Śpi gdzieś w Elm Harbor, lecz nie z Geraldem Nathansonem, ale z czarnym mężczyzną, który nazywa ją kotkiem. Tylko ciekawe, gdzie w tym czasie miałby być nasz synek, bo tego nie pokazuje mi moja rozgorączkowana wyobraźnia.

Wreszcie telefon dzwoni.

- Kimmer?

- Profesorze Garland - odzywa się Henderson - muszę z przykrością pana poinformować, że o tej porze nie mamy żadnej obsady.

- Mógłby pan to powtórzyć w jakimś zrozumiałym języku?

- Nie mam w tej chwili możliwości sprawdzenia, co dzieje się z pańską żoną. Bardzo mi przykro. Jeśli pan się o nią denerwuje, to proponowałbym zadzwonić na policję.

- Już to zrobiłem - mruczę, odkładając słuchawkę. Robi mi się słabo na myśl, że wujek Jack, pomimo całej swojej rzekomej potęgi, nie ma możliwości dotarcia do kogoś w Elm Harbor, kto porozmawiałby ze szpiegiem pilnującym domu na Hobby Road i dowiedział się, czy moja żona jeszcze żyje lub czy nie leży w objęciach innego mężczyzny.

Siedzę sztywno wyprostowany, czując narastającą panikę. Skoro o tej porze Jack Ziegler nie ma żadnej obsady, to kto właściwie pilnuje tego, by (zgodnie z jego zarządzeniem) mojej żonie i dziecku nie stała się krzywda?

Łapię słuchawkę i dzwonię ponownie na posterunek w Elm Harbor, gdzie ten sam sierżant zapewnia, że przekazał dyspozytorowi moją prośbę i że zadzwoni do mnie, gdy czegoś się dowie.

- To nie była *prośba* - niemal krzyczę, a wszystko się we mnie gotuje. - Czy pan nie słuchał, co mówiłem? Powiedziałem panu, że moja żona jest w niebezpieczeństwie!

- Nie, proszę pana. Powiedział pan, że *może* być w niebezpieczeństwie.

- No, więc sądzę, że *jest* w niebezpieczeństwie. Właśnie teraz. Myślę...

Bardzo proszę, niech pan tam wyśle kogoś już teraz, dobrze?

- Czy może pan podać jakieś szczegóły? - W jego głosie nadal nie sły-
chać specjalnego zainteresowania.

Zastanawiam się, co może uznać za ważne. - Możliwe, że w naszym do-
mu jest... intruz.

- Czy wie pan na pewno, że jest tam intruz, czy mówi pan to po to, że-
byśmy załatwili pańską sprawę przed tymi, które zgłoszono wcześniej?

- Sierżancie...

- Panie Garland, niech pan posłucha. Mamy w nocy na ulicach tylko
sześć samochodów patrolowych. Musi to wystarczyć w mieście liczącym
ponad dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Oznacza to jeden radiowóz na
piętnaście tysięcy osób. - Jęczę na myśl, do jakich nieszczęść mogą dopro-
wadzić nierówności majątkowe. Założę się, że w Aspen na samej Red Moun-
tain znajduje się w tej chwili z sześć radiowozów. - Zatem zajmujemy się pań-
skim zgłoszeniem najszybciej, jak to będzie możliwe.

Odkłada słuchawkę.

Na Wschodzie jest już dawno po jedenastej. Dzwonię do domu i znowu
nikt nie odbiera. Teraz już cały dygoczę.

Jeszcze ostatnia deska ratunku.

Wyciągam z portfela wizytówkę Freda Nunzio i telefonuję na numer jego
pagera. Na końcu dodaję dwucyfrowy kod, którego kazał mi użyć w nagłym
wypadku.

Dzwoni do mnie po trzech minutach.

Wygląda na to, że się przejął moim problemem, a przynajmniej sprawia
takie wrażenie. - Jestem pewien, że nic się nie stało, ale jeśli to pana uspo-
koi, mogę sam zadzwonić do tego sierżanta, dobrze?

- Dziękuję, agencji Nunzio.

- Fred, cały czas pana proszę, by nazywał mnie pan Fred.

- Dzięki, Fred. A potem do mnie zadzwonisz, tak?

- Oczywiście.

Tym razem czekam niecałe dziesięć minut, spacerując po całym parterze
i żałując, że nie mam tu worka treningowego. - W porządku, profesorze.
Ludzie już jadą do pańskiego domu. Zwolnię teraz linię, żeby mogli do pana
zadzwonić. Jestem pewien, że wszystko w porządku, ale proszę mi dać znać.

- Z pewnością.

Znowu muszę uzbroić się w cierpliwość. Dziesięć minut. Piętnaście. Tam
w domu jest prawie północ, a ja już wykorzystałem wszystkie możliwości.
Nie mam więcej żadnych pomysłów. Czy jest aż tak źle, jak się wydaje? Z
pewnością istnieje jakieś racjonalne wytłumaczenie, może na przykład tele-
fon na Hobby Road nie działa. Powinienem zadzwonić do operatora. No,
tak, ale skoro nie działa, to jak się dodzwoniłem do automatycznej sekretar-
ki? Północ w Elm Harbor. Nikt nie dzwoni. Mam ochotę ciskać przedmio-
tami przez okno albo zdobyć gdzieś broń i pędzić mojej rodzinie na ratunek,

a najchętniej wyciągnąłbym Sędziego z grobu i potrząsał nim, dopóki nie powie, dlaczego sprowadził na nas takie nieszczęścia.

Chcę, żeby moja rodzina była bezpieczna i normalna.

W końcu robię jedyną rzecz, jaka mi jeszcze została. Klękam przy kanapie w salonie i modłę się, żeby Kimmer i Bentley byli bezpieczni, a jeśli to niemożliwe, to żeby spoczywali w objęciach Boga.

Kiedy się podnoszę, natychmiast odzywa się telefon.

Zbieram wszystkie siły.

(III)

- Co się z tobą, do cholery, dzieje? - rozlega się w słuchawce głos Kimmer, pulsujący gniewem. - Śpimy sobie spokojnie, a tu nagle walenie w drzwi, aż podskakuję na łóżku i jestem śmiertelnie przerażona, bo kto może pukać o północy. Wkładam szlafrok i schodzę na dół i mam wrażenie, że trwa właśnie szturm na nasz dom. Przyjechało mnóstwo glin i mówią, że do nich dzwoniłeś, i FBI też do nich dzwoniło...

- Denerwowałem się - wtrącam, coraz bardziej się garbiąc, w miarę jak ustępuje napięcie.

- Denerwowałaś się! Więc pomyślałeś sobie, że po prostu postawisz na nogi wszystkich sąsiadów!

- Nie odbierałaś telefonu, więc pomyślałem...

- Bo go nie słyszałam! Spaliśmy, mówiłam ci!

Pocieram skronie. Tak, mówiła dwukrotnie. - *My*, to znaczy kto?

- A co, u diabła, myślisz? Ja i Bentley. Tęsknił za tobą i płakał, więc położyłam się koło niego i obydwójce zasnęliśmy. W jego pokoju nie ma telefonu - dodaje na wypadek, gdybym zapomniał.

- Ale skąd mogłem wiedzieć...

- Nie mam pojęcia, Misha, ale mogłeś wpaść na lepszy pomysł! Ile można tego znosić? Znikasz na całe godziny i nie mówisz mi, gdzie byłeś, wdajesz się w bójkę w pracy, prawie dałeś się aresztować - nagle zaczyna płakać - mam już tego wszystkiego dość, Misha. Naprawdę nie mogę już tego wytrzymać!

- Kimmer, bardzo mi przykro... nie chciałem...

- Przykro! Nie chcę, żeby było ci przykro, tylko, żebyś wreszcie *przestał zachowywać się, jakbyś postradał zmysły!*

- Denerwowałem się...

- Nie, Misha, nie! Nie mam już ochoty tego wszystkiego wysłuchiwać! Nie chcę słyszeć żadnych nowych historii, wymówek czy wyjaśnień. Mówisz, że nas kochasz, ale nadal myślisz tylko o sobie. Ty, ty, ty! No, więc *ty* musisz przestać zachowywać się jak pomyłony. *Ty* musisz skończyć z tymi zwario-

wanymi teoriami, wydzwanianiem na policję z Kolorado, odbieraniem telefonów od szaleńców o drugiej nad ranem i nieustannym pakowaniem się w kłopoty. - No, to teraz mam pewność, że Kimmer podsłuchiwała moją rozmowę w noc, kiedy zostałem pobity. - To musi się skończyć, Misha. Ja już dłużej tego nie zniosę. To nie w porządku. Musisz zacząć się zachowywać tak jak dawniej, bo jeśli tego nie zrobisz, to mogę cię zapewnić, że pewnego dnia wrócisz do domu z jednej ze swych zwariowanych wypraw, a nas w nim nie będzie!

Nie czekając na odpowiedź, odkłada słuchawkę. Po sześciu minutach dzwoni ponownie, żeby mnie przeprosić, ale obawiam się, że tym razem wszystko zaszło za daleko.

(IV)

Rano, kiedy czekam na taksówkę, trochę się wstydzę nocnej paniki. W świetle rześkiego poranka znacznie większe obawy wzbudza we mnie możliwość utraty rodziny. Teraz, kiedy jestem wyspany i mogę myśleć spokojniej, dochodzę do wniosku, że Kimmer miała rację. Naprawdę zachowuję się jak wariat i koniecznie muszę z tym skończyć. Problem w tym, że jeszcze nie mogę, niezależnie od gróźb mojej żony. Nie jesteśmy wolni - to właśnie chciał mi wczoraj przekazać Jack Ziegler. Będzie dalej nas chronił, gdyż obiecał to mojemu ojcu, ale może dotrzymać obietnicy tylko wówczas, gdy będę kontynuował poszukiwania. Zapewne taki układ zawarł z... z kimkolwiek człowiek pokroju Jacka Zieglera musi zawierać układy. *Zostawcie go w spokoju, a odnajdzie ustalenia. Ja to gwarantuję.* Coś za coś. Jeśli spełnię życzenie swojej rozwścieczonej żony i zaprzestaną poszukiwań, wujek Jack może nie zdołać ochronić mojej rodziny.

Strasznie to wszystko pogmatwane.

I wszystko to wina Sędziego.

Dźwięk klaksonu informuje mnie, że taksówka już czeka. Wyglądam przez okno i dostrzegam czekającego białego vana, którego kierowca czyta gazetę. Idę do drzwi wejściowych, wyłączam alarm znajdujący się na korytarzu, biorę torbę i płaszcz, po czym po raz ostatni rozglądam się dookoła. Czy zostawiłem wszystko w należyтым porządku? Mam nadzieję, że tak.

Jest sposób wyjścia z tej sytuacji. Morris Young powiedziałby zapewne, że Bóg mi go wskaże w odpowiednim czasie, a ja sądzę, że może już to zrobił. Znalazłem sposób, żeby moja rodzina była bezpieczna. Potrafię ją ochronić, ale niezbędna mi jest pomoc jeszcze jednej osoby, a mam wokół siebie coraz mniej ludzi, którzy zechcieliby... powiedzmy, podjąć pewne ryzyko w imię przyjaźni. Właściwie jest tylko jedna taka osoba, toteż muszę jak najszybciej wracać do Elm Harbor i porozmawiać z nią o tym.

Wzruszam ramionami, po czym nastawiam alarm za pomocą odpowiedniego kodu, tak aby uaktywnił się w dziewięćdziesiąt sekund po moim wyjściu. I nagle nieruchomieję, gdyż ta prosta czynność nasuwa mi pewne wspomnienie. Skryte przekonanie, które od pewnego czasu we mnie narasta, znów daje o sobie znać. Zdenerwowany otwieram drzwi i natychmiast się zatrzymuję.

Na środku wycieraczki leży szara koperta z moim nazwiskiem wypisanym pisakiem, dużymi drukowanymi literami.

Macham do kierowcy, po czym schylam się i podnoszę ją drżącymi palcami.

Jest nieco większa niż ta, w której dostarczono mi biały pionek, a w środku wyczuwam coś twardego i płaskiego. Nie może to być czarny pionek, jak początkowo myślałem. Przemykam oczy, chwając się lekko. Przez chwilę wyobrażam sobie niemądrze, jak na nowo przeżywam przeszłość, uwięziony na wieki w tej jednej chwili, zmuszony raz za razem otwierać tę samą kopertę.

Ale przecież ta koperta nie zawiera pionka.

Otwieram ją zatem i wyjmuję metalowe kółko o średnicy około dwóch i pół centymetra, pierwotnie w kolorze mosiądzu, ale teraz pokryte brzydkimi brązowymi plamami. Pocieram je palcem i plama się złuszcza. Odwracam, ale jeszcze zanim zdążyłem przeczytać litery wygrawerowane z drugiej strony, domyślam się, co trzymam - identyfikator z psiej obroży. Nie muszę czytać imienia, żeby wiedzieć, że należy on - czy raczej należał - do Cinque Shirley Branch.

Brązowe plamy to zaschnięta krew.

Wiadomość najwyraźniej napisana na komputerze i wydrukowana na najzwyklejszym papierze zawiera puentę: NIE PRZESTAWAJ SZUKAĆ. Żadne wyjaśnienia nie są tu potrzebne, krew mówi sama za siebie.

Nie mogą mnie skrzywdzić, zapewniał mnie wszechwładny Jack Ziegler; nie mogą skrzywdzić mnie ani mojej rodziny. Wujek Jack to obiecał i ja mu wierzę - ani przez moment nie wątpiłem w jego potęgę.

Jednak nikt nie wspomniał, żeby istniał zakaz zastraszenia mnie.

ROZDZIAŁ 46

Miejsce spoczynku

(I)

Szkoła prawnicza znajduje się na skrzyżowaniu Town Street i Eastern Avenue. Idąc Town Street na wschód, obok podniszczonego gmachu z piaskowca, który wspólnie użytkują wydział muzyczny i wydział sztuk pięknych, a następnie koło niskiego, nieokreślonego budynku, gdzie nie wiadomo jakim cudem mieści się parking, firma cateringowa i biura działu *public relations*, dochodzi się do granicy kampusu. Z tej strony wyznacza ją byle jak ogrodzony, wyboisty parking pełen wesołych, czerwono-białych autobusów uniwersyteckich, odkupionych od okręgów szkolnych, które modernizowały swój transport. W tym miejscu Town Street przecina Monitor Boulevard (jednak nazwa tej ulicy nie pochodzi od okrętu wojennego z czasów wojny secesyjnej, tylko od nazwiska miejscowego chłopca, który w latach sześćdziesiątych przez krótki czas święcił triumfy w drużynie futbolowej), a po jego przejściu jesteśmy już poza terenem uniwersytetu.

Różnica jest od razu widoczna.

Po drugiej stronie Monitor Boulevard, naprzeciw parkingu, znajduje się nieuczęszczany park, z błotnistymi, pozbawionymi trawy resztkami boiska do softballu i czymś w rodzaju placu zabaw dla dzieci, których rodzicom nie przeszkadza potłuczone szkło, pełne drzazg drewniane huśtawki oraz huśtawki wagowe, w których brakuje kilku bolców. Na resztkach ławek siedzi zazwyczaj paru nieszkodliwych narkomanów, którzy kiwają głowami i uśmiechają się do swoich sekretnych wizji. Dzisiaj park jest pusty. Studenci ani profesorowie zazwyczaj się tu nie zapuszczają z obawy przed panującą w tych okolicach przestępczością, a raczej, jak to określa Arnie Rosen, postrzeżaną przestępczością. Kawalek dalej na wschód znajdują się pozostałości bloków kwaterunkowych, niszczące szare wieże z wszechobecnymi kremowymi roletami w oknach - a wielu osobom osiedla kwaterunkowe nieuchronnie kojarzą się z niebezpieczeństwem.

W pewne zimowe popołudnie cztery lub pięć lat temu stałem na brzegu tego parku z Sędzią, który przyjechał akurat do miasta w sprawach stowarzyszenia absolwentów. Ojciec patrzył tãpark i bez słowa potrząsał głową, a jego oczy wypełniły się łzami - nie wiem czy na myśl o utraconej młodości (kiedy park, jeśli istniał, niewątpliwie tętnił życiem), czy o zmarnowanym

życiu członków ciemniejszej nacji, którzy tii wegetują, czy też pod wpływem ulotnego wspomnienia Claire, Abby lub zniszczonej kariery. Nie miałem odwagi go spytać. - Wiesz, Talcotcie - odezwał się w końcu kaznodziejskim tonem - my, ludzie, jesteśmy zdolni do przeżywania tak wielkiej radości. Ale „człowiek się rodzi, by jęczeć...

- ... jak iskra, by unieść się w górę” - dokończyłem za niego.

Uśmiechnął się lekko i zapewne miał ochotę mnie ucisnąć, ale tylko wsunął ręce głębiej w kieszenie płaszcza z wielbłądziej wełny i ruszył dalej. Park bowiem nie był wówczas celem naszej przechadzki, tylko przystankiem na drodze, podobnie jak dla mnie dziś. Idę tą samą trasą, którą wówczas przebyłem z ojcem - mijam park, mijam szkołę podstawową, która wygląda jak budynek ocalały z wojny na Bałkanach, ale wbrew pozorom jest nadal użytkowana. Ściany pokrywa graffiti. Widać też na nich ślady po ogniu, jakby na boisku wybuchła kiedyś bomba. Głównego wejścia pilnuje uzbrojony policjant, który rysuje butem linie na piasku i ukradkiem popala papierosa. Zza zakratowanych okien rzucają mi wyzwanie osamotnione brązowe twarze. Czy kraty mają zatrzymać te dzieciaki w środku, czy mnie na zewnątrz? Potrząsam głową, zastanawiając się, ilu z moich kolegów uniwersyteckich protestowałoby z taką nieustępliwością przeciw bonom edukacyjnym, gdyby ich dzieci musiały chodzić do tego rodzaju szkoły. Niestety, edukacja ciemniejszej nacji jest dla współczesnych liberalistów zaledwie marginalną kwestią, gdyż znaleźli sobie modniejsze tematy.

Zanim ruszam dalej, wykonuję pełen obrót wokół własnej osi, żeby sprawdzić, czy ktoś mnie nie śledzi. Nie zauważam niczego podejrzanego, ale też, w przeciwieństwie do Maxine, nie zostałem w tym celu odpowiednio przeszkolony. Ktoś na pewno tam jest. Ktoś tam jest przez cały czas. Ktoś będzie tam zawsze, tłumaczę sobie, idąc dalej. To właśnie sugerował Jack Ziegler - zawsze ktoś będzie w pobliżu, dopóki nie wydobędę tego, co ojciec pochował.

Ładna metafora. Wieloznaczna.

Przy kolejnej przecznicy znajduje się cel mojej wyprawy - Cmentarz Staromiejski. W minionych latach nazwa ta była inspiracją do powstania wielu niemądrych uniwersyteckich plotek, jak choćby tej, że cmentarz otaczało niegdyś zabytkowe stare miasto. Zgodnie z tą opowieścią, uniwersytet zrównał je z ziemią w maniackiej i bezlitosnej pogoni za nowymi terenami dla siebie. Tymczasem w rzeczywistości cmentarz nazywano w dawnych czasach cmentarzyskiem przy ulicy Miejskiej, a kiedy na drugim końcu kampusu powstał nowy cmentarz - starym cmentarzyskiem przy ulicy Miejskiej... Z upływem lat nazwę skracano, a jej kolejne metamorfozy sygnalizowały pograżanie się historii w mroku niepamięci. Plotki rzadko są bardziej interesujące od faktów, ale za to powszechnie dostępne.

Przechodzę przez jednoskrzydłową bramę w wysokim murze i pozdra-

wiam ruchem dłoni dozorcę, życzliwego starszego człowieka imieniem Samuel. Wydaje się, że jego praca polega głównie na siedzeniu na pokrytej niezliczonymi warstwami farby metalowej ławeczce stojącej przy schludnym kamiennym domku tuż za bramą cmentarza i bezmyślnym uśmiechaniu się do każdego, kto wejdzie na jego teren. W domku znajduje się tylko jeden pokój, w którym przechowywane są wszystkie księgi cmentarne, oraz staroświecka łazienka. Samuel znika w niej od czasu do czasu, pewnie, żeby sobie ulżyć, ale nigdy nie widziano, by coś jadł lub pił. Jak rok długi, przez sześć dni w tygodniu dokładnie o wpół do szóstej Samuel zamyka na klucz ciężką żelazną bramę i wraca do miejsca, gdzie mieszka. (W środy, z nieznaney mi przyczyny, cmentarz jest otwarty dłużej). W moich czasach studenckich, kiedy Samuel wykonywał tę samą pracę i wyglądał tak samo jak teraz, niektórzy dowcipnisie twierdzili, że zamyka cmentarną bramę *od wewnątrz*, po czym zamienia się w smugę mgły i dryfuje do najbliższego grobu.

Ja jednak wiem, że to nieprawda, gdyż kiedyś, jeszcze jako student prawa, zostałem przez przypadek zamknięty na cmentarzu, kiedy spacerowałem ze swoją przyszłą żoną. Kimmer odszukała mnie tam, gdyż nie mogła się zdecydować, którego z dwóch mężczyzn wybrać, przy czym ja nie byłem żadnym z nich. Chciała zasięgnąć mojej rady, nie przejmując się, że może mi tym sprawić ból. Było to w maju, gdy od ukończenia studiów dzieliło nas tylko kilka tygodni, powietrze miało balsamiczny zapach, a Kimmer wyglądała szczególnie pociągająco, jak zazwyczaj wiosną. Rozmawialiśmy bardzo długo, chociaż nie całowaliśmy się, nie trzymaliśmy się za ręce ani nie robiliśmy innych rzeczy, które przez gorące miesiące ubiegłego roku były dla nas tak naturalne jak oddychanie. Kiedy w końcu dotarliśmy do bramy, Kimmer zdążyła już postanowić, że zerwie z obydwoma mężczyznami i znajdzie sobie kogoś lepszego - liczyłem na to, że ma na myśli mnie, ale okazało się, że bynajmniej - i była w doskonałym nastroju. Jednak tylko do czasu, wkrótce bowiem odkryliśmy, że brama jest zamknięta, a żadne wdziałło nie pojawiło się z kluczem. Mur z piaskowca otaczający cmentarz ma dwa i pół metra wysokości, a brama jest jeszcze wyższa. Podczas gdy Kimmer na zmianę chichotała i się złościła, ja wypatrywałem przez pręty jakiegoś przechodnia, którego moglibyśmy zawołać. Jednak o takiej porze nikt tam nie przechodził. Waliłem w drzwi domku, ale nie było odpowiedzi. Powiedziałem zatem Kimmer, że mamy tylko jedno wyjście. Spojrzała na mnie groźnie, trzymając dłonie na biodrach, i oświadczyła, że nie zamierza spędzić ze mną nocy na cmentarzu. Przez chwilę rozważałem, co ma na myśli - że może być ze mną, tyle że nie na cmentarzu, czy też na cmentarzu, ale nie ze mną? W końcu potrząsnąłem głową i opowiedziałem jej, że kiedy jeszcze studiowałem w college'u, zakradaliśmy się na cmentarz i wydostawaliśmy z niego przez tunel odwadniający znajdujący się na przeciwnym końcu cmentarza. *Tunel odwadniający?* spytała z niedowierzaniem. *Z*

cmentarza? Zapewniłem ją, że to całkowicie bezpieczne i poprosiłem, żeby mi zaufała.

Kimmer zawahała się, być może zastanawiając się, czy nie znajdzie kogoś bardziej godnego zaufania, po czym się zgodziła.

Zatem ruszyliśmy z powrotem w głąb cmentarza. Zapadał już zmrok, ale widoczność była jeszcze całkiem dobra. Poprowadziłem ją główną alejką, która ma około ćwierć mili długości i dochodzi do muru na tyłach cmentarza. Tam teren zaczyna się obniżać aż do autostrady międzystanowej i znajdującej się za nią rzeki. Mijałiśmy wysmukłe obeliski, marmurowe anioły i ponure mauzolea. Jakieś zwierzątko, prawdopodobnie wiewiórka, przebiegło przed nami wysypaną żwirem ścieżką. Kimmer w końcu wsunęła swoją dłoń w moją. Robiło się coraz chłodniej, a obydwójce ubrani byliśmy w szorty, tak że zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie trzeba było zostać przy bramie. Prowadziłem ją w dół wzgórza, obchodząc nagrobki, często przewrócone pod naporem ziemi, gdyż była to najstarsza część cmentarza. No, i wreszcie dotarliśmy na miejsce. Otwór tunelu zasłaniała siatka druciana, tak samo jak kiedyś. Nie była przymocowana i wystarczyło ją kopnąć, żeby odsłonić wejście. Kimmer puściła moją dłoń i spytała, czy mówiłem poważnie o opuszczeniu cmentarza tą drogą. Odparłem, że tak. Wytknęła mi, że tunel nie ma więcej niż dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości. Wyjaśniłem, że musimy się przeczołgać. Skrzyżowała ręce na piersiach i zrobiła krok do tyłu. *O nie, mowy nie ma, żebym się przez to czolgała. Nawet nie mamy pojęcia, co tędy może wypływać z tych grobów.* Rozłożyłem ręce i oświadczyłem, że nie mamy wyboru. Poza tym, nie jest tak źle, gdyż w tunelu zawsze jest sucho - to po prostu metalowa rura wychodząca po drugiej stronie pod autostradą. Ma tylko sześć metrów długości, tak że przebędziemy ją w trzy, cztery minuty. Spojrzała na mnie swoim charakterystycznym spojrzeniem. *I ja przez rok z tobą spałam?* Ale wreszcie się uśmiechnęła.

W końcu uległa. Chciałem, żeby czolgała się pierwsza, ale kategorycznie odmówiła, być może podejrzewając, że chcę sobie popatrzeć na jej pupę. Nie miała racji, ale nie dlatego, że nie miałbym ochoty, tylko że było to niemożliwe. Bowiem nie powiedziałem jej o jednej rzeczy, którą i tak niebawem odkryła - że w tunelu panowały egipskie ciemności. Kimmer początkowo z tego żartowała, potem się wściekała, a mniej więcej w połowie tunelu odkryłem, że wcale za mną nie pełźnie. Było tam zbyt ciasno, żebym mógł zawrócić, toteż tylko ją zawołałem, na co odpowiedziała mi stekiem wyzwisk. Podpełzłem do tyłu, aż dotknąłem stopą jej ręki. Tłumaczyłem jej, że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, że jesteśmy już blisko wylotu, że widziałem przed sobą światło. Wiedziałem, że dotarcie tam zajmie nam nie więcej niż półtorej minuty, ale każdy, kto jechał w ciemności kolejką górską w lunaparku, wie doskonale, jak może się dłużyć półtorej minuty, gdy jesteśmy przerażeni - a Kimmer niewątpliwie wtedy była. Po prostu utknęła w tej

zurze, nie mogła się poruszyć. Nie reagowała ani na słowa otuchy, ani na pieścizotliwe namowy. Ja sam zaczynałem już odczuwać lekki strach w tej gorącej, dusznej ciemności. Nie miałem miejsca, żeby zawrócić, ale zrobiłem, co mogłem. Przeturlałem się na plecy, podciągnąłem nogi do piersi i przesunąłem się jak najbliżej Kimmer. W tej pozycji wyciągnąłem rękę i udało mi się złapać ją za nadgarstek. Zawołałem ją po imieniu. Nie odpowiedziała. Pociągnąłem. Opierała się. Pociągnąłem mocniej i wtedy nagle ruszyła, ale zsuwając się z impetem w dół, tak że jej ciało popchnęło moje i już po chwili ześlizgiwaliśmy się bezwładnie po metalu. Starąłem się czegoś chwycić i w pewnej chwili poczułem w palcach straszliwy ból, a potem już wypadłem z rury, wybijając własnym ciałem zamykającą ją siatkę, i wylądowałem na kamienistym zboczu. Za mną na wzgórzu wznosił się mur cmentarza, nade mną znajdowała się autostrada biegnąca wiaduktem na betonowych wspornikach, a poniżej doki, magazyny i zbiorniki paliwa przemysłowej części Elm Harbor. Wszystko to oglądałem, rozciągnięty na plecach, ze stopami skierowanymi w stronę tunelu, głową wygiętą tak, że podbródkiem wskazywałem niebo, i włosami pełnymi błota.

Może to brzmi niewiarygodnie, ale Kimmer wylądowała na stopach. Łzy zniknęły, ubranie miała pobrudzone, ale nie podarte, a kiedy przykucnęła przy mnie, na jej twarzy malował się raczej wyraz rozbawienia niż troski.

Żyjesz? - spytała miękko.

Zapewniłem ją, że nic mi nie jest, choć prawdę mówiąc, trudno mi było znaleźć część ciała, w której nie odczuwałbym bólu, palce miałem spuchnięte, a z lewą nogą było wyraźnie coś nie w porządku. Okazało się, że nie ma mowy, żebym na niej stanął. Kimmer pocałowała mnie w czoło, otrzepała ubranie i poszła dalej w dół wzgórza do przydrożnego sklepu, skąd zadzwoniła po przyjaciela, żeby nas zabrał. Był to jeden z mężczyzn, których niedawno postanowiła rzucić. Jej luby pomógł mi zejść ze wzgórza. Potem odwieźli mnie do przychodni uniwersyteckiej, gdzie dowiedzieliśmy się, że zламаłem dwa palce, zwichnąłem kostkę i paskudnie rozciąłem sobie nogę. Stwierdziłem, że to niewielkie poświęcenie, skoro Kimmer wyszła z tego bez draśnięcia. Ona natomiast uznała mnie za idiotę, który nie ma dość zdrowego rozsądku, by poczekać przy bramie i musi znaleźć widowiskowo głupi sposób, żeby zrobić coś prostego. *Trzeba było włamać się do biura, na pewno był tam telefon*, stwierdziła, kiedy pielęgniarka mierzyła mi ciśnienie. W czasie, gdy zszywano mi ranę, odjechała wraz z przyjacielem, obiecując, że wróci za pół godziny własnym samochodem i odwiezie mnie do domu. Zanim wyszli, zauważyłem, że nagle stali się dla siebie bardzo czuli. Koniec końców wróciła po dwóch godzinach, które spędziłem, cierpiąc, w poczekalni. Nie ośmieliłem się do niej dzwonić, bojąc się, w czym mógłbym przeszkodzić, ani pojechać sam, gdyż rozgniewałaby się, gdyby się okazało, że tak długa nieobecność była zupełnie usprawiedliwiona. Kiedy się w końcu

pojawiła, znów wyglądała promiennie, gdyż zdążyła się wykąpać i przebrać. Przywiozła mi nawet okulary przeciwsłoneczne, żebym zakrył swoje siniaki. W samochodzie usadowiła mnie z tyłu, twierdząc, że powinienem wyciągnąć uszkodzoną nogę, a kule położyła z przodu. Podczas całej jazdy na zachodni koniec kampusu, gdzie wynajmowałem zaniedbane mieszkanie, gawędziła wesoło o różnych sprawach, nie wspominając jednak ani słowem o dwóch godzinach, kiedy jej nie było, ani o dwóch wcześniejszych. Wysadziła mnie przed wejściem do domu, podziękowała za wydostanie jej z cmentarza, cmoknęła mnie w policzek i zniknęła w mroku nocy.

Niektóre metafory nie wymagają interpretacji.

Opowiedziałem ojcu historię o wydostaniu się z Kimmer przez tunel, powtarzałem sobie w kółko od czasu spotkania z dziekan Lyndą. Staralem się stale o tym pamiętać. Opowiedziałem ojcu o tym, powtarzam sobie, chociaż wcale tak nie było. Muszę zatem stale to sobie powtarzać, żeby przypadkiem nie zapomnieć.

(II)

Wyjaśniam Samuelowi, co mi jest potrzebne, starając się mówić jasno, ale jednocześnie długo się nad tym rozwoździć. Samuel kiwa energicznie głową i kilkakrotnie usiłuje mi przerwać, ale jestem w końcu profesorem prawa i nie tak łatwo mnie uciszyć. W końcu rezygnuje i po prostu słucha, co w pełni mi odpowiada. Dzisiejsza wizyta jest moją czwartą w ciągu tygodnia. Po raz pierwszy przyszedłem tu po usłyszeniu ultimatum dziekan Lyndy - to był właśnie ten „spacer”, o którym nie chciałem opowiedzieć Kimmer. Dwa dni później byłem w Aspen, skąd wróciłem drugiego dnia wieczorem. Od tego czasu zdążyłem tu przyjść dwukrotnie. Wszystkie moje wizyty wyglądały tak samo - najpierw przeglądanie ksiąg cmentarnych, a następnie uważna, powolna przechadzka po terenie cmentarza. Mimo wszystko raz jeszcze przypominam Samuelowi o powodach, dla których tu przychodzę. Chcę, żeby zapamiętał nasze rozmowy, a przede wszystkim, co chciałem tu znaleźć, tak żeby to była pierwsza rzecz, która przyjdzie mu na myśl, gdyby ktoś go o mnie zapytał. Wszystko to dlatego, że jego pomoc będzie mi niezbędna, jeśli mam uporządkować ten bałagan, który zdominował moje życie, a jednocześnie ta pomoc na nic się nie zda, jeśli zapomni, czego szukałem.

Teraz Samuel siedzi w przeciwległym końcu pokoju i pozwala mi wyciągać z półek stare, zakurzone księgi cmentarne. Po raz trzeci od czasu pogawędki z wujkiem Jackiem siadam przy ciężkim drewnianym stole, który zapewne stał w tym samym miejscu, kiedy zamordowano Lincolna. Studiuję uważnie spisy zmarłych, przewracając kartki liczące sobie z dwieście lat, jak

i te wypełnione w ostatnim miesiącu. Zapisuję kolejne spostrzeżenia w małym notatniku, który jest już gęsto - lecz mam nadzieję, że jasno i zrozumiale - wypełniony uwagami (notes przechowuję w widocznym miejscu górnej szuflady biurka w pracy). Spędzam tu około czterdziestu pięciu minut, a Samuel niemal przez cały czas obserwuje mnie bez specjalnego zainteresowania. Na tym właśnie mi zależy - żeby mnie obserwował i zapamiętał, co robiłem, na wypadek, gdyby ktoś go o to spytał. Kiedy kończę, dziękuję uśmiechniętemu Samuelowi, który ściska mi dłoń obiema rękami, jakbym przed chwilą zdobył główną nagrodę. W końcu uwalniam dłoń i wychodzę na teren cmentarza, gdzie po raz czwarty spaceruję pomiędzy nagrobkami, analizując mapę, którą wyrysowałem w notesie i w razie potrzeby uzupełniając ją uwagami ułatwiającymi odnalezienie właściwej trasy. Mijam mauzoleum rodziny Hadleyów, obecnej w Elm Harbor i na uniwersytecie od ponad wieku - Marc jest u nas czwartym profesorem z tej rodziny. Przechodzę obok niewielkiej kwatery otoczonej kamieniami, która niegdyś stała się cmentarzem wewnątrz cmentarza dla małego Jima Crow. Sto pięćdziesiąt lat temu abolicjonistyczni ojcowie miasta zdecydowali, że wolni Murzyni mogą być grzebani na tym cmentarzu, ale nie obok białych zmarłych.

Od czasu do czasu zerkam przez ramię - chyba nieprędko wyzbędę się tego nawyku - ale nikogo nie widzę, poza nielicznymi żałobnikami stojącymi samotnie w padającej mżawce. Zastanawiam się, czy rzeczywiście wszyscy oplakują swoich zmarłych, czy może któryś z nich mnie śledzi, ale i tak nie wiem, jak to rozpoznać.

Przypuszczam, że każdy kogoś oplakuje.

Podczas tej wędrówki kilkakrotnie się zatrzymuję, odczytuję napisy na nagrobkach i robię odpowiednie znaczki w notesie lub odnotowuję, gdzie przecinają się wysypane żwirem alejki. Zapisuję nazwiska zmarłych i daty ich śmierci. Rysuję jedne kwadraty wewnątrz drugich.

Kiedy mam już zanotowane wszystko, co mi potrzebne, opuszczam cmentarz głównym wejściem. Żaden z żałobników nie rusza się z miejsca. Macham na pożegnanie Samuelowi siedzącemu z uśmiechem na ławeczce i wracam Miejską w stronę kampusu, przez cały czas starając się wypatrzeć cień, który musi tam być.

Jestem prawie gotowy.

ROZDZIAŁ 47

Decyzja podjęta w „Poście”

(I)

- Dano?
- Tak, kochanie? - Jemy lunch w „Poście” i teraz posyła mi nad stolikiem dziewczęcy uśmiech, udając kokieterię, chociaż z tysiąca różnych powodów nie mógłbym być jej kochankiem, nawet pomijając te oczywiste.
- Dano, posłuchaj, chciałbym poprosić cię o przysługę.
- Jak zwykle.
- Mówię poważnie. To coś bardzo ważnego, a... a nie wiem, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić.
- Hmm, hmm. - Dana zachowuje rezerwę i niewątpliwie sądzi, że chcę ją prosić o pieniądze.

Jest środa, czwarty dzień od mojego powrotu z Aspen, a dwunasty od starcia z Jerrym Nathansonem, które jeszcze pogorszyło moją i tak chwiejną pozycję w Oldie. Spotykam się z Daną dopiero dzisiaj, gdyż był to pierwszy dzień, kiedy nam obydwójgu udało się znaleźć czas. Spotkanie to jest konieczne, gdyż wyczerpałem już inne możliwości. Początkowo zamierzałem prosić Danę o pomoc na wszelki wypadek, teraz stało się to pilne i konieczne. Jeśli Droga Dana się zgodzi i wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wreszcie pozbędę się kłopotów, a życie mojej rodziny powróci do normalności - w ciągu tygodnia, najwyżej dwóch. Realizacja planu przeciągnie się poza termin wyznaczony przez dziekan Lyndę, ale nieznacznie, tak że zdołam to jakoś wytłumaczyć. Jeśli Dana odmówi lub coś się nie uda... no, to wtedy będzie, co ma być.

Żując cheeseburgera, zastanawiam się, jak najlepiej przedstawić tę sprawę. W tym czasie w Darien Mariah zbliża się do własnego terminu - jej dziecko powinno się urodzić za niecały miesiąc. Musiała skończyć z wyprawami na Shepard Street, ale jest teraz szczęśliwa. Niemal codziennie rozmawiamy przez telefon i nawet Kimmer od czasu do czasu bierze udział w naszej radości.

Zazdroszczę mojej siostrze tego szczęścia.

O trzy stoliki dalej Norm Wyatt, gadatliwy mąż Lyndy, je lunch z bogatym klientem, który zachowuje się, jakby nie chciał, by ktoś usłyszał ich rozmowę. Ja również pochylałam się ku Danie, która prawidłowo odczytuje

mój gest i przysuwa głowę bliżej mnie. Jak zwykle, zastanawiam się, jak zinterpretują to plotkarze. Dlaczego zaprosiłem Danę do „Posta”, skoro jej gabinet byłby znacznie bezpieczniejszym miejscem? Może dlatego, że jej charakter znacznie łagodnieje po dobrym posiłku, a może przez cały czas obawiam się podsłuchu.

- Dano, posłuchaj. To, o co zamierzam cię poprosić... to znaczy, gdybyś chciała odmówić...

- Misha, jeśli będę chciała odmówić, to po prostu to zrobię. Jestem w tym dobra. Tyle, że kiedy się zastanowić, to *tobie* jakoś nie bardzo potrafię odmawiać. Stale prosisz mnie o jakieś przysługi, a ja zawsze się zgadzam. - Uśmiecha się nerwowo. Zerka na szerokie plecy Norma. Wyczuwa, że coś jest nie w porządku i nie odpowiada jej ta sytuacja tak samo, jak mnie. - Nie wiem, co ty takiego w sobie masz. Nie jesteś szczególnie czarujący czy coś w tym rodzaju...

- Pięknie ci dziękuję, jesteś bardzo miła.

- Poważnie, Misha, kiedy się nad tym zastanowić, to bardzo dziwne. Nie mam pojęcia dlaczego, ale nie potrafię ci odmawiać. Wiesz co? Całe szczęście, że nie interesują mnie mężczyźni, bo pewnie do tej pory już byśmy mieli romans.

- Gdybym nie był żonaty. - Uśmiecham się. - I gdyby interesowały mnie białe kobiety.

- *Touché*. - Odwzajemnia mój uśmiech. - No, więc na czym ma polegać ta wielka przysługa? Chcesz, żebym połamala nogi Jerry'emu Nathansonowi? Przykro mi, ale już się tym nie zajmuję.

- Nie, ale... kiedy usłyszysz, o co chodzi, może ci się to wydać szokujące. Może nawet przerażające. To nie znaczy, że wiąże się z tym rzeczywiste ryzyko, tyle że to nie będzie łatwe do zrobienia. Ale jest to coś, co... no, co musi być wykonane, a ja nie mogę tego zrobić. Natomiast, jeśli to się powiedzie... być może uda mi się wreszcie przerwać... to, co się wokół mnie dzieje.

- Dzięki, kochanie, teraz już wszystko dla mnie jasne.

- I jeszcze jedno... Nie mogę ci powiedzieć, *dlaczego* cię o to proszę. Nie teraz, wyjaśnię ci to później.

Jej uśmiech powoli znika. - Zaczynam się zastanawiać, czy powinnam się bać.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Nie ma czego się obawiać.

- Jak powiedział Anthony Perkins do Janet Leigh.

- Nie pamiętam, żeby w jakimś filmie coś takiego mówił.

- W porządku, Misha. - Śmieje się, unosząc dłonie w górę. - No, więc powiedz mi już, czego ode mnie chcesz.

- Posłuchaj Dano, nie prosiłbym cię...

- Gdybyś mógł się zwrócić do kogoś innego, bo ja jestem twoją najlep-

szą przyjaciółką i tak dalej... Przejdź wreszcie do rzeczy. Już ci mówiłam, że doskonale umiem odmawiać.

Biorę głęboki oddech, uświadamiając sobie, że jeszcze nigdy nie żądałem od przyjaciela tak wiele. Ale w zasadzie nie mam wyboru, toteż mówię Danie Worth, co chciałbym, żeby dla mnie zrobiła. Zajmuje mi to pięć minut.

I rzeczywiście *jest* zszokowana. Mówi mi to, ale sam również to poznaję po tym, jak rozszerzają się jej czarne oczy i jak ze świstem wciąga powietrze przez zęby. Zastanawia się. Opiera się o krzesło. Norm Wyatt i jego klient wychodzą. Norm macha do nas z bezpiecznej odległości, a my odwzajemniamy ten gest. Potem nasz stół mijają grupa studentów rozmawiających o Lemasterze Carlyle'u - kogo najpierw wybierze na swoich aplikantów i jak długo to potrwa, zanim przejdzie do Sądu Najwyższego.

Droga Dana w końcu się odzywa. Mówi mi, że postradałem zmysły, kompletnie mi odbiło. Przestrzega, że stracę i pracę, i żonę. Oświadcza, że skończę w więzieniu, a jeśli mi pomoże, to i ona tam trafi.

Potem oznajmia, że zrobi to, o co ją proszę.

(II)

Kiedy już stoimy na chodniku na zewnątrz, Dana zaczyna mi opowiadać o kazaniu, jakie jej pastor wygłosił w zeszłą niedzielę, coś o obrotnym rządcy. Słucham jej jednym uchem. - Rozumiesz, prawda, Misha? Nieważne, czy sprawy układają się tak, jak ty byś pragnął, tylko jak sobie radzisz z tym, co Bóg stawia na twej...

Chwytam ją za rękę. Wyrwywa ją, ponieważ nie znosi, gdy się jej dotyka.

- Misha, co się z tobą dzieje?

- Dano, spójrz. - Obracam ją w drugą stronę. Znów odpycha moje ręce, być może sądząc, że pani dziekan nie myli się co do stanu mojego umysłu. Wskazuję jej palcem. - Widzisz ten samochód?

- Jaki samochód?

- Tam! O, tam! - Stoi dokładnie naprzeciw mnie, po drugiej stronie ulicy, o jedną przecznicę od szkoły prawniczej. - Niebieskie porsche!

Moja stara, a może nowa przyjaciółka uśmiecha się. - Tak, Misha, oczywiście, że go widzę. A teraz mnie posłuchaj, bo to bardzo ważne. Proszę cię, nie nazywaj go porsche. Ten samochód to nie jest porsche.

- Nie?

- Nie, kochanie. Tak się składa, że to Porsche Carrera Cabriolet w kolorze ultramariny, tegoroczny model. Wygląda na to, że robiony na specjalne zamówienie, ze wszystkimi opcjami i musiał kosztować ponad sto tysięcy dolarów... tylko gotówką, prosimy, żadnych zadłużonych profesorów, którzy wymagają dofinansowania. - Dana czeka chwilę. Zazwyczaj, słysząc tego

rodzaju worthizm, zanoszę się śmiechem. Ale nie dzisiaj. - Misha, myślę, że z tobą naprawdę jest coś nie w porządku, wiesz o tym?

- Dano... Dano, ten samochód... stał pod moim domem parę tygodni temu, i w grudniu też. Myślę, że mężczyzna, który go prowadził... no, że on nas szpiegował. Moją rodzinę. - Przypominam sobie, jak biegliśmy z Johnem Brownem przez las. - Dano, myślę, że to ten drugi mężczyzna, który udawał agenta FBI. Ten czarny, Foreman. No, wiesz, zaraz po pogrzebie.

Dana zaczyna się śmiać. Dosłownie zanoszą się skrzekliwym śmiechem. Zgina się w pół i opiera dłonie na kolanach. W końcu się wyprostowuje, przytrzymując się słupa od latarni. - Och, Misha, Misha!

Nie rozumiem, co w tym śmiesznego. Może rzeczywiście zwariowałem i tylko wyobrażam sobie tę scenę, ponieważ jest całkowicie pozbawiona sensu.

- Co się z tobą dzieje? - pytam.

- Och, Misha, jesteś taki zabawny!

- Co w tym zabawnego?

- Szpieg? Tajny agent? Ty naprawdę nie wiesz, czyj to samochód?

Zaczyna mnie ogarniać gniew. Mężczyźni Garlandów mogą znieść wszystko, oprócz zażenowania spowodowanego tym, że czegoś nie wiedzą. - Nie, Dano, nie wiem.

- Podpowiem ci. - Dana nadal się uśmiecha, a nawet ociera łzy. - Jest sławniejszy od twojego ojca.

- To nam ogranicza liczbę do kilku milionów osób.

- Och, nie bądź taki. Posłuchaj. Mieszka na Tyler's Landing tuż przy plaży, w dużym domu, który kosztował pewnie ze cztery miliony, i sądzę, że zapłacił gotówką, tak samo jak za samochód. Jest studentem szkoły prawniczej i masz rację, że jest czarny, ale to jedyne, w czym się nie mylisz.

Obracam się i spoglądam na samochód. - Czy... czy chcesz mi powiedzieć, że to porsche należy do Lionela Eldridge'a. Tego koszykarza?

- *Byłego* koszykarza. Teraz jest zwykłym studentem. - Jej głos brzmi fi-glarnie. - On po prostu chce być zwykłym prawnikiem, jak jego bohater Johnnie Cochran. Słyszałam, jak to mówił w programie Oprah. Jak również w „48 Hours” i u Leno.

Dana dalej się śmieje, a ja wpatruję się w nią bez słowa. Lionel Eldridge, Słodki Nellie, jak go nazywali, kiedy siedem razy grał w zespole All Stars NBA. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć, czyli z pewnością kwalifikowałby się jako wysoki czarny mężczyzna, którego John Brown zauważył w lasku za moim domem. Sumienny student, chociaż nie należy do czołówki, przynajmniej nie tutaj. Podobno w Duke radził sobie znacznie lepiej. Słodki Nellie, który słynnym uśmiechem nadal co roku zarabia miliony. Słodki Nellie, który jeszcze nie oddał mi pracy z poprzedniego semestru wiosenne-go, kiedy starał się przebrnąć przez moje trudne seminarium. Wówczas

właśnie pomogłem mu zdobyć pracę w firmie Kimmer i zrobiłem niespodziankę paniom z bezpłatnej jadłodajni, przyprowadzając go do pomocy w wydawaniu lunchu.

Odnalazłem swego wroga.

(III)

Kiedy kilka minut później docieram do gabinetu, znajduję coś jeszcze - kopertę z moim nazwiskiem i tytułem naukowym opartą o drzwi. Jest taka sama, jak przesyłka, którą otrzymałem w bezpłatnej jadłodajni wieki temu, czyli w październiku. Kiedy ją rozdieram, znajduję dokładnie to, czego się spodziewałem: brakujący czarny pionek z kompletu mego ojca. Ustawiam go na wierzchu szafki z aktami, tuż obok białego.

Jeden biały pionek, jeden czarny. Jedyne figury, które poruszają się na szachownicy podczas Podwójnego Ekscelesora. Biały pionek otrzymałem najpierw, na znak, że białe wykonują pierwszy ruch, a kiedy białe ruszają pierwsze w macie pomocniczym, to czarne wygrywają. *Zaczyna się*, napisał ojciec w swoim liście do mnie. Jednak, jeśli nie masz nic przeciwko temu, tato, ja to raczej zakończę.

Dzięki pomocy Dany może mi się to udać. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pozbędę się brzemienia, którym ojciec mnie obarczył.

Albo przynajmniej tak sobie niemądrze wyobrażam. Tymczasem czeka już na mnie kolejne nieszczęście.

ROZDZIAŁ 48

Posunięcie pośrednie

(I)

Nie spodziewałem się, że tak szybko wrócę do Waszyngtonu. Tym razem złe wieści przekazała mi Mariah, a nie Mallory Corcoran, ale i tak wydawało mi się, że to jego zastanę po przyjeździe do George Washington University Hospital, mimo że nie zamienił dotąd z Sally Stillman więcej niż pięciu zdań. Tymczasem w jasnej poczekalni tuż koło windy zastaję swoją siostrę, która lada dzień ma rodzić, oraz przyjaciela Sally, Buda, wyglądającego bezradnie i posepnie, jak zazwyczaj wyglądają silni mężczyźni pogrążeni w rozpacz. Oprócz nich jest tu jeszcze garstka nieznanymi mi osób, zapewne czekających na wieści o swoich ukochanych, którzy próbowali popełnić samobójstwo. Jedna z nich, nerwowa, niezmiernie chuda przedstawicielka jaśniejszej nacji występuje o krok do przodu i przedstawia się jako Paula, opiekunka Sally w grupie Anonimowych Alkoholików. Nawet nie wiedziałem, że moja kuzynka do nich należy.

- Wyjdzie z tego - zapewnia mnie Paula z grymasem na twarzy.

Kiwam głową i poklepuję ją po ręce, po czym na chwilę kładę dłoń na ramieniu Buda. Później pospiesznie podchodzę do Mariah, która siedzi sama na środku trzyosobowej ławki, potrząsając z niedowierzaniem głową. Wygląda jak zawsze elegancko w szytym na miarę kostiumie ze spodniami i jakimś cudem udało jej się stworzyć wokół siebie tajemną przestrzeń, której nikt nie ośmiela się naruszać, poza takim natrętnym głupcem, jak ja. - Nic ci nie jest, dziecinko? - pytam, ujmując jej dłoń. - Nic nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. - Mariah gładzi brzuch delikatnym, pełnym miłości ruchem, jakby chciała zapewnić swoje nienarodzone jeszcze dziecko, że wbrew pozorom świat jest zupełnie bezpiecznym miejscem. Nie patrzy na mnie. Na kolanach ma jedną z szarych teczek, z której wystaje róg fotografii. Zastanawiam się, czy to kolejne zdjęcia z autopsji, czy też Mariah wynalazła coś nowego. - Tak dobrze jej szło. Tak dobrze.

- Co jej dobrze szło?

- Walczyła z tym, Tal. Była trzeźwa przez... och, niemal dwa miesiące. Przestała pić tuż przed Bożym Narodzeniem, chciała, żeby to był prezent dla jej dzieci. Uczestniczyła we wszystkich spotkaniach AA, chodziła do kościoła, ciężko pracowała, żeby zachować trzeźwość.

- Co właściwie się stało?
- Nie wiem. Zadzwoiła do Pauli - Mariah ruchem głowy wskazuje opiekunkę Sally - i powiedziała, że dłużej już tego nie znieś, więc bierze tabletki. Paula zrobiła, co trzeba. Kiedy zdała sobie sprawę, że nie odwiedzie Sally od tego pomysłu, zadzwoniła na pogotowie, a potem sama do niej pojechała. Dotarła tam akurat, gdy ją zabierali. Zawiadomiła mnie, a ja ciebie.
- A gdzie są dzieci Sally?
- Były z Therą, kiedy... kiedy to się stało. Sally zaprowadziła je do matki, a potem wróciła do domu i połknęła tabletki. Chyba nie chciała, żeby to one ją znalazły.

Staram się wymyślić kolejne użyteczne pytania. - Czy dzwoniłaś do Addisona?

Mariah spogląda na mnie dziwnie. - Jestem pewna, że zjawi się, jak tylko będzie mógł. - Potem powraca do pierwotnego tematu: - Nadal nie rozumiem, dlaczego to zrobiła.

- Czy była w depresji?
- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? - Po chwili poprawia się: - Chodzi o to, że ona *zawsze* jest w depresji.
- Widziałaś ją?
- Nie wpuścili mnie. Ona... lekarz powiedział, że nie wolno jej odwiedzać. Chyba mają takie przepisy. To z powodu tego co zrobiła, a właściwie próbowała zrobić. Żadnych wizyt przez kilka dni.

Idę do pielęgniarki i uzyskuję od niej te same informacje, które już posiadam: *Tak, pani Stillman wyjdzie z tego. Nie wolno jej odwiedzać przez czterdzieści osiem do siedemdziesięciu dwóch godzin.* Fantazjuję przez chwilę, że wujek Mal mógłby nas wprowadzić do środka, ale nawet superprawnicy muszą się pogodzić z pewnymi ograniczeniami. Zatem siedzimy z Mariah obok siebie, trzymając się za ręce, zdumieni i przerażeni, i usiłujemy być dla siebie podporą. Moja siostra nie płacze, choć chwilami widać, że jest bliska łez. Zastanawiam się nad tajemniczymi zamysłami Boga i nie mogę się nadziwić, że moje problemy jeszcze dziś rano wydawały mi się tak poważne.

Ponownie staje przed nami Paula.

- Przepraszam.

Podnosimy na nią wzrok, jakby za chwilę miała wygłosić odwieczną mądrość.

- Ty jesteś Misha, prawda? - pyta powoli. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zwraca się do Mariah: - To jest Misha?

Mojej siostrze udaje się zdobyć na uśmiech. - To jedno z jego imion. Ma ich mnóstwo.

Paula patrzy na nas niepewnie. Jest ubrana w kostium niemal równie kosztowny jak Mariah. Dochodzę do wniosku, że pewnie jest prawnikiem,

ekspertem w określonej dziedzinie - na lobbystkę jest zbyt wrażliwa, a nie bardzo ją widzę na sali sądowej. Natomiast mogę sobie wyobrazić, jak, paląc papierosa za papierosem, planuje skomplikowaną strategię podatkową opartą na opcjach stelażowych .

- Ale to ty jesteś Misha, tak?

- Niektórzy tak na mnie mówią - przyznaję. - Nazywam się Talcott Garland. Sally jest moją kuzynką.

- Czy możemy porozmawiać? Na osobności?

Mariah chce protestować, ale proszę ją wzrokiem, żeby dała spokój. Paula prowadzi mnie w drugi koniec poczekalni. Pochylam się ku niej, gdyż najwyraźniej chce rozmawiać szeptem. Opowiada mi, że kiedy Sally zadzwoniła do niej z płaczem, powtarzała w kółko, że nie może wytrzymać z tym, co wie. Gdy Paula spytała, o czym mówi, Sally wymamrotała: *Biedny Misha, biedny, biedny Misha*. Paula przerywa opowieść, być może zostawiając mi czas na wyznanie, ale zapewniam ją, że nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mogła mówić moja kuzynka. Kiwa głową z ponurą miną, po czym dodaje, że Sally powiedziała jeszcze jedno, zanim odłożyła słuchawkę: *Nie wiem, dlaczego musiał dostać ich oboje*.

Marszczę czoło. - Kto musiał dostać i co?

- Sądziłam, że mówi o tobie, bo potem znów zaczęła powtarzać *Biedny, biedny Misha*.

- Myślisz, że to ja musiałem dostać oboje?

Potakuje szybkim skinieniem głowy - A ona nie wiedziała, dlaczego.

(II)

Noc spędzam wraz z Mariah na Shepard Street. Jestem zdumiony, że wybrała się tak daleko, skoro niedługo ma rodzić, ale tłumaczy mi, że na tę sześciogodzinną podróż wynajęła samochód z kierowcą. - To nie kosztuje dużo więcej niż lot pierwszą klasą - wyjaśnia.

Rano zjadam szybko śniadanie i ruszam do domu. Mariah próbuje się dowiedzieć, skąd ten pośpiech, co myślę o przyznaniu się Conana do winy, czy to prawda, że w bibliotece prawniczej uderzyłem przyjaciela swojej żony, jak słyszała od Valerie Bing, co zamierzam zrobić z tym, co powiedział jej Warner i pyta o tysiąc innych spraw. Mówię jej, że wkrótce będzie po wszystkim, a wtedy jej wszystko wyjaśnię. Przygotowuję się na złośliwą uwagę na temat mojego egoizmu, ale zbliżające się narodziny jej szóstego dziecka najwyraźniej złagodziły charakter mojej siostry.

- Obiecuję, że będziesz ostrożny - mówi, kiedy podjeżdża taksówka, która ma mnie zawieźć na stację.

Obiecuję. Nie mam innego wyjścia. Pomimo tego wyjazdu, konkretna sy-

tuacja - jak mawiają trenerzy szachowi - nie uległa zmianie. Kiedy znajdę się znów w Elm Harbor, będę miał jedną możliwość zakończenia tego wszystkiego i uwolnienia swojej rodziny.

- Czas się skończył - szepczę, kiedy taksówka rusza. Kierowca unosi brwi, zapewne sądząc, że zależy mi na pośpiechu. Kiedy jedziemy Sixteenth Street, nabierając prędkości, obracam kilkakrotnie głowę, szukając śledzącego mnie samochodu, który musi gdzieś tam być.

ROZDZIAŁ 49

Wprowadzenie planu w życie

(I)

- Sądzę, że już wszystko rozpracowałem - oznajmiam przez telefon pozornie znużonemu Mallory'emu Corcoranowi w najbliższy poniedziałek. - Ustalenia i wszystko. Jutro wieczorem będę znał wszystkie odpowiedzi. - Wujek Mal cieszy się z tych wieści, a jeszcze bardziej z tego, że ma drugą rozmowę, która nie może czekać. Proponuje, żebym resztę szczegółów omówił z Meadows.

- To już koniec - zapewniam Lyndę Wyatt, kiedy spotykam ją mniej lub bardziej przypadkowo na parkingu dla wykładowców tego samego popołudnia. Usiłuje uniknąć rozmowy ze mną, ale jestem dla niej zbyt szybki. - Do środy rano będę znał wszystkie odpowiedzi. - Nadal mam dwa dni do wyznaczonego przez nią terminu, więc uśmiecha się do mnie i poklepuje mnie po ramieniu, jednocześnie rozglądając się, czy gdzieś nie widać mężczyzn w białych fartuchach. We wtorek kontynuuję swoją kampanię. - Rozwiązałem zagadkę - szepczę znużonemu Lemasterowi Carlyle'owi, wkrótce byłemu koledze, kiedy szuka czegoś na regałach z periodykami. Jako dobry polityk zdobywa się na uśmiech i klepie mnie po plecach. - Znam już całą historię - oznajmiam zdumionemu Marcowi Hadleyowi, kiedy po zakończeniu zajęć stoi otoczony gromadką akolitów, których nieustające pochlebstwa pomogły mu dojść do siebie po publicznym upokorzeniu. - Sądzę, że uda mi się w końcu zostawić to za sobą - obiecuję Stuartowi Landowi, kiedy mijamy się na głównych schodach. - Pragnę ci podziękować za pomoc - mówię małemu Ethanowi Brinkleyowi podczas przypadkowego spotkania na dziedzińcu. Tyle, że w istocie nie było ono przypadkowe. - Lada moment rozpracuję całą sprawę.

Tę samą radosną nowinę mniej więcej podobnymi słowami przekazuję Robowi Saltpeterowi, Theo Mountainowi, Benowi Montoi, Shirley Branch i Arniemu Rosenowi oraz wszystkim innym wykładowcom szkoły prawniczej, którzy mogliby być w jakikolwiek sposób związani z... z...

... z *tym, co się wokół mnie dzieje...*

Brak mi nawet odpowiednich słów, żeby to określić, ale wiem, że coś się dzieje. Jeśli Droga Dana wykona swoją część zadania, nie będą to nawet kłamstwa - będę znał wszystkie odpowiedzi. Będę nawet wiedział, kto mnie

zdradził, chyba że zdrajcą jest Dana, a wtedy znajdę się w opałach.

Odsuwam od siebie te myśli. Muszę komuś zaufać.

Czekając na chwilę odpowiednią do działania, dzwonię ze swojego gabinetu do Mariah, żeby sprawdzić, co z Sally. Tymczasem dowiaduję się od Howarda, że u siostry rozpoczyna się pierwsza faza porodu. W tej chwili mierzą przerwy między skurczami. Wykonana miesiąc temu ultrasonografia potwierdziła, że dziecko jest dziewczynką, i w końcu ustalili dla niej imię - Mary, od Mary McLeod Bethune, imię zaczynające się na „Ma”, jak pięć pozostałych, i akurat na czasie. Howard dodaje cicho, że jemu, jako katolikowi, to imię także bardzo odpowiada. Kiedy Mariah bierze słuchawkę, radośnie jej gratuluje. Dziękuje mi, potem jęczy, a następnie dochodzi do siebie na dostatecznie długo, by mi powiedzieć, że wraz z Howardem zarezerwowali dla Sally miejsce w ośrodku rehabilitacyjnym w Delaware, jednym z najlepszych w kraju. - Nie zamierzamy jej znowu stracić - oznajmia Mariah. Po raz pierwszy od wielu lat uświadamiam sobie, jak bardzo Kocham siostrę.

Potem już pora ruszać. Muszę komuś zaufać, powtarzam sobie w kółko.

(II)

Ale nie mogę ufać żonie.

W dniu powrotu z Waszyngtonu, dwa dni po odkryciu, że to Lionel Eldridge jest właścicielem niebieskiego porsche - przepraszam, Dano, Porsche Carrera Cabriolet - udało mi się wytropić jego właściciela. Sprawdziłem jego rozkład zajęć, po czym stanąłem na korytarzu przed salą, gdzie Joe Janowsky prowadził wykład na temat dyskryminacji w dziedzinie zatrudnienia, i czekałem, aż wyjdzie. Wypróbowałem przedtem bardziej konwencjonalne metody wzywania studentów - moja sekretarka wysłała mu e-mail, wywiesiłem prośbę o kontakt na tablicy ogłoszeń, dzwoniłem do niego do domu i poprosiłem jego żonę o przekazanie wiadomości - ale Lionel wszystko to zignorował. Nie pozostało mi zatem nic innego, jak złapać go po zajęciach.

Zauważyłem go bez trudu, gdyż górował nad pozostałymi osiemdziesięcioma lub dziewięćdziesięcioma studentami wysypującymi się z sali o jedynastej. Otaczała go nieodłączna gromadka kolegów czekających na kolejną perłę mądrości z jego ust. Kiedy Lionel mnie dostrzegł, jego oczy rozszerzyły się ze strachu. Skinałem na niego rozkazująco, jak to zazwyczaj robią profesorowie. Cofnął się lekko. Ubrany w granatową skórę i obwieszony złotem, doprawdy wyglądał jak zwykły student prawa. Nie ośmieliłem się podnieść głosu, w obawie, jak zinterpretowałaby to Lynda, więc musiałem przedrzeć się do niego przez wianuszek wielbicieli, wziąć go delikatnie pod ramię i szepnąć, że chciałbym zamienić z nim parę słów. Może i jest Słodkim Nel-

liem, ale ja w końcu jestem profesorem, na dodatek takim, któremu nie oddał pracy, więc nie miał wielkiego wyboru. Przeszliśmy razem do spokojnej wnęki kolo gabinetu dziekan Lyndy. Inni studenci omijali nas z daleka. Zauważyłem, że Lionel przez większość czasu wbijał wzrok w podłogę.

Najpierw zapytałem go o zaległą pracę. Wówczas dostrzegłem w jego słynnych ciemnych oczach błysk nadziei. Zarzucił mnie wymówkami - podróże, kłopoty z żoną, szok kulturowy związany z przejściem do szkoły zdominowanej przez białych, co by oznaczało, że nie zauważył koloru skóry Lema, Shirley i mojej - ale zdecydowanie mu przerwałem. Oświadczyłem chłodno, że ma na to jeszcze miesiąc. Jeśli w tym czasie nie dostarczy mi pracy, nie zaliczę mu przedmiotu. Kiwnął głową i zrobił krok, żeby odejść, zakładając najwyraźniej, że moja groźba może być przedmiotem dalszych negocjacji, jak większość rzeczy w dzisiejszych czasach. Zatrzymałem go lekkim dotknięciem, jakie stosują policjanci, i teraz na jego twarzy pojawiło się głębokie zaniepokojenie. Wpatrując się w niego gniewnie, dostrzegłem słowa DUKE UNIVERSITY wyszyte na skórze kurtki i przypomniałem sobie, że dwukrotnie doprowadził zespół swojego college'u do finałowej czwórki mniej więcej dziesięć lat temu. Wprawdzie w szkole prawniczej nie szło mu najlepiej, ale na studiach licencjackich otrzymał dyplom z wyróżnieniem.

A potem na niego natarłem.

Oświadczyłem mu, że mamy jeszcze inną sprawę do omówienia. Spytałem go otwarcie, dlaczego mnie śledził. Oczekiwałem, że się przyzna, iż robił to na prośbę swojej potajemnej przyjaciółki Heather, jako rodzaj dziwacznej przysługi dla jej ojca. Tymczasem jego odpowiedź całkowicie mnie zaskoczyła. Zapewnił mnie solennie, że nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Zatem inaczej sformułowałem pytanie. Co robił przed moim domem w zeszłym tygodniu i w lasku kilka tygodni temu?

Teraz Lionel w końcu spojrzął mi w oczy i jeszcze zanim odpowiedział, wiedziałem, że moje domysły były całkowicie błędne. To nie on był moim wrogiem, przynajmniej nie tym, którego szukałem. Poza tym najwyraźniej nieobce były mu takie sytuacje, gdyż dokładnie wiedział, co powiedzieć, i wybrał słowa najgorsze z możliwych: *To nie chodzi o pana, profesorze Garland. Lubię pana i podziwiam. Tyle, że lubię również pańską żonę.* I na koniec uśmiech za milion dolarów.

Jednak jeszcze zanim skończył, wiedziałem, że Lionel nie ma nic wspólnego z ustaleniami, dostarczeniem pionka do bezpłatnej jadłodajni czy pobiciem mnie na terenie kampusu. Zrozumiałem, że bardzo późno dowiaduję o tym, co innym już od dawna wiadomo. Wiedziałem, czyj głos usłyszałem w telefonie i kto nazwał moją żonę kotkiem tego dnia, gdy ona miała pracować w domu, a ja pójść na uczelnię. Wiedziałem, że dzwonił, by się upewnić, czy ich spotkanie jest aktualne, bo nie widział na podjeździe BMW, które Kim-

mer zawsze tam zostawia. Wiedziałem, dlaczego studenci obchodzili nas szerokim łukiem, żebyśmy mogli załatwić sprawy w cztery oczy. Wiedziałem, co dziekan Lynda uznała za przemilczaną przyczynę mojego irracjonalnego zachowania i dlaczego postanowiła nieco je przykrócić. Uświadomiłem sobie, że nawet Droga Dana Worth, przed którą nie ukryje się żadna plotka, musiała znać prawdę i dlatego tak ją zaskoczyło moje pytanie o Lionela i Heather. To był również powód jej szalonego śmiechu, kiedy zobaczyliśmy porsche na ulicy przed „Postem”. Chciała śmiechem zamaskować przykrość, jaką jej sprawiło odkrycie, że nie wiem o tym, iż to nie Gerald Nathanson, tylko światowej sławy Lionel Eldridge ma romans z moją żoną.

ROZDZIAŁ 50

Ponownie Cmentarz Staromiejski

(I)

Moja zagadka ma się zakończyć tam, gdzie się zaczęła - na cmentarzu. Czy naprawdę minęły cztery miesiące od czasu, gdy Jack Ziegler wyłonił się z cienia w dzień pogrzebu Sędziego i wpędził mnie w ten koszmar? A może to było zaledwie tydzień temu? Przy zamęcie, jaki mam ostatnio w głowie, nie tylko prawda i sprawiedliwość, lecz również czas jakby zamknęły się w sobie i posłusznie zmiernają w kierunku, gdzie ciągnie je siła grawitacji - tym razem tą siłą jest rozpacзлиwa potrzeba poznania prawdy.

Znowu jestem na terenie Cmentarza Staromiejskiego, lecz tym razem nie spotykam się z Samuelem, gdyż jest po ósmej, zapadła już ciemność i Samuel dawno poszedł do domu. Nie przekradałem się tu przez mur czy tunel melioracyjny, tylko około godziny piątej wszedłem normalnie przez bramę i skierowałem się ku marmurowym ławkom znajdującym się na przeciwległym krańcu cmentarza. Tam usiadłem, niewidoczny od strony wejścia i czekałem. Przyniosłem ze sobą plecak, z którego wyjąłem książkę Keegana na temat historii wojen i czytałem o organizacji dawnych armii, kiedy żołnierze z pierwszych linii wiedzieli, że zginą, ale i tak ruszali do bitwy. Pionki... skazane na poświęcenie pionki. Czytałem, rozmyślałem i czekałem. Samuel zamknął bramę i odszedł, a ja nadal czekałem. Z mojego stanowiska przy mauzoleum nie było widać bramy, natomiast dobrze widziałem jedyną ścieżkę prowadzącą do tego zakątka. Jeśli ktoś wszedł na cmentarz po mnie, to z pewnością nie skierował się w tę stronę. Mimo wszystko mam pewność, że nie jestem tu sam.

Zapada zmrok, a ja nadal rozmyślałem.

Cmentarz to obraza dla racjonalnego umysłu. Choćby to dziwne marnotrawienie przestrzeni w hołdzie zmarłym, który to hołd szybko jest sprowadzany do wielbienia przodków. W urodziny i rocznice ludzie wyznający różne wiary oraz ci niewierzący spieszą na cmentarz, nie zważając na najgorszą nawet pogodę, by stanąć przed milczącymi nagrobkami i modlić się - tak; wspominać - owszem, ale bardzo często po prostu po to, żeby porozmawiać z tymi, którzy odeszli. Niemal wszyscy odprawiamy ten dziwnie pogański rytuał, udając, że rozkładające się ciała w wypaczonych drewnianych skrzyżniach mogą nas usłyszeć i zrozumieć, jeśli staniemy przy grobie - podczas

gdy to samo przesłanie („Już niedługo będziemy razem, kochanie” lub „Robię wszystko tak, jak mi kazałaś, mamusiu”) nie dotrze do nich, gdy - na przykład jadąc samochodem - poświęcimy chwilę czasu, żeby wysłać swoje myśli do sąsiedniego świata. Całym swoim zachowaniem mówimy, że jedynie fizyczna obecność na cmentarzu, przed właściwym nagrobkiem, umożliwia nam porozmawianie ze zmarłymi.

Innym powodem, dla którego cmentarze przemawiają do irracjonalnej strony naszej osobowości, jest to, że ich atmosfera w natrętny sposób przedziera się przez warstewkę cywilizacji, którą pokryliśmy prymitywne dziecięce strachy. Kiedy jesteśmy dziećmi, doskonale wiemy, że to, co według rodziców jest zwykłą gałęzią poruszaną przez wiatr, w rzeczywistości jest wykrzywionym palcem straszliwego nocnego potwora, który czeka za oknem, co chwilę postukując w szybę, abyśmy wiedzieli, że jak tylko rodzice zamkną drzwi i skażą nas na ciemność, która ich zdaniem hartuje charakter, on otworzy okno i wsunie się do środka, i...

W tym miejscu dziecięca wyobraźnia zazwyczaj się kończy i nie umie nadać konkretnego kształtu lękowi, który nie pozwalał nam zasnąć, a który w ciągu kilku miesięcy całkowicie odejdzie w niepamięć. Nie pomyślimy o nim dopóty, dopóki nie znajdziemy się na cmentarzu, gdzie nagle możliwość, że jakaś przerażająca istota wyłoni się z mroku, stanie się znowu niezwykle realna.

Na przykład dziś wieczorem. Dziś wieczorem wiem, że towarzyszy mi tu przerażająca istota. Zatrzymuję się, kierując światło latarki na ziemię, i podnoszę głowę. Przez chwilę nasłuchuję i wciągam w nozdrza powietrze. Stwór znajduje się w pobliżu, wyraźnie to czuję. Prawdopodobnie jest człowiekiem i całkiem możliwe, że ma już na swym koncie akty przemocy. Natomiast pewne jest, że mnie zdradził.

Podobnie jak moja żona. Nawet nie wiem, czy jeszcze jestem żonaty. Po niedzielnej mszy, na dzień przedtem, nim zacząłem rozpowszechniać wieść, że jestem już bliski odkrycia prawdy, porozmawiałem w końcu szczerze z Kimmer na temat Lionela. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, podczas gdy Bentley grał na komputerze w sąsiednim pokoju. Kiedy Kimmer usłyszała, co mam do powiedzenia, siedziała przez chwilę w milczeniu, pięknie wyglądając w jasnoniebieskiej sukience na tle złocistej skóry, po czym powiedziała to, co zazwyczaj mówią niewierni małżonkowie: *Nie chciałam cię zranić. Zachowywaliśmy się w bardzo cywilizowany sposób. Opowiedziała mi co nieco: Tak, to się zaczęło zeszłego lata; tak, starałam się z tym skończyć, ale on nie chciał zrezygnować; tego dnia, gdy widziałeś go pod domem, mieliśmy tylko porozmawiać.* Jednak, kiedy mówiła to wszystko, szybko uświadomiłem sobie, że tylko krąży wokół najważniejszego zagadnienia. Toteż przerwałem jej, zmusiłem ją, by na mnie popatrzyła i zapytałem o dwie sprawy, które naprawdę mają znaczenie. *Czy między nami koniec?*

Odparła, że nie wie. Zatem zadałem drugie pytanie. *Czy odchodzisz ode mnie?* Nie odwracając wzroku, stwierdziła, że trochę czasu z dala od siebie to w tej chwili najlepsze wyjście dla nas obojga. Mamy wiele problemów do rozwiązania. Kiedy poczułem, że zdołam wydobyć z siebie głos, wspomniałem, jak trudne będzie to wszystko dla Bentleya. Pokiwała ze smutkiem głową i stwierdziła: *Ale możesz przychodzić i spotykać się z nim, ilekroć zechcesz.* Nie od razu zrozumiałem, co ma na myśli. Spytałem, czy to znaczy, że zabiera naszego syna. *Potrzebuje matki,* odparła. *Poza tym jest przyzwyczajony do tego domu.* Kiedy siedziałem oniemiały, tylko potrząsnęła ze smutkiem głową. Chciałem się dowiedzieć, czy naprawdę opuszcza mnie dla Lionela. Stwierdziła, że nie - że nadal nie rozumiem, o co chodzi. Nie chodzi o Lionela, tylko o moje zachowanie. *Nie chciałam, żeby do tego doszło, Misha, naprawdę nie chciałam. Kocham cię. Ale od pewnego czasu zachowujesz się tak dziwnie, że nie potrafię już tego znieść. Potrzeba nam czasu.* Miała na myśli czas spędzony z dala od siebie. Czas, podczas którego ona zostanie w tym domu, a ja mam się wynieść. *To nie jest idealne rozwiązanie, ale walka o opiekę może mieć bardzo złe skutki psychiczne dla dziecka.*

Dała mi tydzień. To było dwa dni temu.

Poszedłem do Morrisa Younga i zarzuciłem go bezsensownymi oskarżeniami. Począł, aż się uspokoję i przypomniał mi, że wierność mojej żony nie była kwestią, którą się zajmowaliśmy. Obietnica, którą mu złożyłem, dotyczyła wypełnienia chrześcijańskiego obowiązku, czyli traktowania żony z miłością tak długo, jak długo trwa nasze małżeństwo. Spytałem, czy ta obietnica nadal mnie obowiązuje. Odpowiedział mi pytaniem, czy nadal jesteśmy małżeństwem.

Idę dalej.

Nadal jestem wściekły, ale nie na doktora Younga, gdyż to nie on jest przyczyną mojego cierpienia. Wściekły jestem na siebie i w końcu na swoją żonę. Przeszedłem od fazy *Jak mogła to zrobić?* do *Jak śmiała mi to zrobić!* Jestem na tyle staroświecki, by traktować przysięgę małżeńską nie jako obietnicę pozostania razem jak długo będzie się miało ochotę, tylko jako zobowiązanie do trwania przy drugiej osobie niezależnie od tego, co się zdarzy. Kimmer najwyraźniej ma odmienny pogląd - a mimo wszystko nadal ją kocham. To prawdziwy absurd. Jeśli miłość rzeczywiście jest działaniem, to okazuje się, że nie potrafię, a może nie chcę, przestać działać.

Nadal kipiąc ze złości, potrząsam głową. Nie mogę sobie teraz pozwolić, by cokolwiek rozpraszało moją uwagę, nawet moje zrujnowane małżeństwo. Może kiedy to się skończy, Kimmer zmieni zdanie. Zostało mi jeszcze pięć dni, żeby ją przekonać, i może uda mi się zacząć jeszcze dziś wieczorem. Zaplanowałem swoje ruchy, jak na szachistę przystało. Jestem raczej przekonany, że mój manewr pokona nieznanego, lecz wszechobecnego przeciw-

nika, który siedzi jak widmo po drugiej stronie szachownicy. Kiedy ta walka dobiegnie końca, będę mógł się zająć ratowaniem swojego małżeństwa. Wiem, że to moje postępowanie sprawiło, iż Kimmer oddaliła się ode mnie. Przeproszę ją, kupię kwiaty, a przede wszystkim przyniosę jej nowinę, że poszukiwania skończone i nie będę więcej zachowywał się jak szaleniec. Przekonałem ją, żeby mnie poślubiła, i tak samo ją przekonam, by została.

Z pewnością.

Albo nie. Poddaję się fali fatalizmu, rozmyślając, czy od chwili kiedy Sędzia umarł, a Jack Ziegler pojawił się na cmentarzu i domagał się ustaleń, wszystko inne było już przesądzone. Czy nawet moje małżeństwo było skazane już od dnia pogrzebu?

Nakazuję sobie skupić się na chwili bieżącej.

W notesie mam kilka drzew genealogicznych i parę starannie wyrysowanych map. Każda mapa przedstawia część cmentarza i wskazuje drogę do innej kwatery. Przypadkowa osoba, która przeglądałaby mój notatnik, doszłaby zapewne do wniosku, że próbowałem ustalić, gdzie jest kwatera, której szukam. Dosłownie rzecz biorąc, byłby to słuszny domysł, ale zupełnie nieprawdziwy. Podczas wizyt na cmentarzu przyjrzałem się większości kwater, nie osobiście, tylko w starych księgach powierzonych pieczy Samuela. Sprawdzałem różne teorie, zawęźałem możliwości. Rob Saltpeter, konstytucjonalista-futurysta, twierdzi, że orzeczenia Sądu Najwyższego stwarzają „wiarygodne możliwości dla dialogu i odkryć”. To jest właśnie zadaniem moich map - stworzyć wiarygodne możliwości. Przeprowadziłem już mnóstwo dialogów.

Odkrycia będą musiały same o siebie zadbać.

Teren cmentarza podzielony jest na kwadraty prostymi alejkami przecinającymi się pod kątem prostym. Każdy kwadrat ma swój numer.

Przypomina to szachownicę.

Zgodnie ze starannie wyrysowaną w notesie mapą, idę główną alejką, mijając niewyraźnie majaczące w mroku nagrobki - proste i wymyślnie zdobione, z aniołami lub krzyżami, a często w postaci zwykłej płyty umieszczonej wprost na ziemi. Opuszczam promień latarki na zwirowaną ścieżkę, którą idę. Przebywam całą drogę do muru na tyłach cmentarza na wysokości głównej bramy, aż do miejsca w pobliżu tunelu, którym czołgaliśmy się z Kimmer w czasach, kiedy wszystko jeszcze było przed nami. Czekam chwilę, nasłuchując dźwięków dobiegających z ciemności. Skrzypnięcie żwiru - czy to człowiek gdzieś dalej, czy zwierzę przebiegające w pobliżu? Wpatruję się w mrok, czy nie dostrzegę światła innej latarki. Widzę od czasu do czasu błyski. Czy to ktoś mnie szuka, czy tylko reflektory przejeżdżających samochodów przeświecają od czasu do czasu przez bramę?

Trudno powiedzieć.

Szedłem tą drogą już tyle razy, że nie potrzebuję mapy. Znajduję się te-

raz w południowo-zachodnim narożniku, czyli w prawym, patrząc od głównej bramy. Idę w prawo, na wschód - w lewo, patrząc od bramy - i mijam jedną alejkę, a przy drugiej skręcam na północ. Szachownica ma osiem pól na osiem i każde z nich ma przypisaną nazwę składającą się z litery oznaczającej kolumnę i cyfry oznaczającej rząd - od „a1” w lewym dolnym rogu po stronie białych do „h8” w prawym górnym rogu. Gdyby siatka utworzona przez alejki była szachownicą, to teraz szedłbym kolumną „b”. Mijam trzy kolejne alejki, oznaczone w moich notatkach „b1”, „b2” i „b3”, chociaż w rzeczywistości noszą nazwy różnych założycieli miasta. Przy czwartej się zatrzymuję. Zgodnie z moimi notatkami to „b4”.

Będzie to „b4”, jeśli ktoś zgodzi się, że cmentarz może stanowić szachownicę, mimo że nie ma sześćdziesięciu czterech pól, i jeśli przyjąć, że brama znajduje się po stronie czarnych.

Wiarygodne.

Ruch „b4” to pierwszy ruch Podwójnego Ekscelsiora ze skoczkiem, jeśli czarne mają wygrać. W dniu kłótni z Jerryem zadzwoniłem do Karla, żeby go o to spytać, gdyż chciałem mieć absolutną pewność. Powiedział, że tak, jeśli autor zadania jest artystą i romantykiem. Ojcu wydawało się, że taki właśnie jest. *Ekscelsior! Już się zaczyna!* Skoro białe mają przegrać, to zaczyna się od ruchu białego pionka królowej o dwa pola do przodu. Dlatego ojciec postarał się, żebym najpierw otrzymał biały pionek. Lanie Cross z pewnością miała rację - ojciec chciał tak to zaplanować, żeby czarne wygrały. Taki ruch zapisuje się jako „b4” i po jego wykonaniu pionek znajduje się na polu „b4”, a tu właśnie jestem. Trochę naciągane, ale wiarygodne, a to wszystko, na co mogę liczyć w obecnej sytuacji.

Schodzę ze ścieżki i przyświecając sobie latarką, znajduję miejsce, którego szukam - kwaterę rodzinną. Oświetlam nagrobki. Duże postawiono dorosłym, mniejsze tym, którzy zmarli młodo. Przyglądam się imionom i datom. Większość pochodzi z dziewiętnastego wieku, ale jest też kilka z początków dwudziestego.

W końcu znajduję nagrobek, którego szukałem. Oglądam go już po raz czwarty, ale pierwszy raz mam ze sobą łopatę. Mogłem przyjść tu wcześniej, żeby kopać, lecz miałem swoje powody, żeby poczekać.

Podnoszę na chwilę latarkę i po raz kolejny odczytuję napis na marmurze: ANGELA, UKOCHANA CÓRKA, oraz znajdujące się pod nim daty wyznaczające granice jej zbyt krótkiego życia: 1906 - 1919. Umarła bardzo młodo, ale o tym też już wiedziałem.

Przechodzę w lewo, ku następnej kwaterze rodzinnej, którą otacza niski żelazny płotek. Na długim granitowym murku umieszczonym na jej końcu widnieje nazwisko rodziny. Natomiast w prawym przednim rogu, dość blisko miejsca spoczynku Angeli znajduje się niewielki nagrobek.

Położony idealnie.

ALOYSIUS, UKOCHANY SYN. I daty: 1904 - 1923.

Tuż obok Angeli.

Idealnie położony.

Niemal na pewno nie był chłopakiem Angeli, nie za życia. Ale może posłużyć do stworzenia wiarygodnej możliwości dla odkryć. *Być mężczyzną, to znaczy działać.*

Sprawdzam mapę, sprawdzam ponownie imię, a następnie przyglądam się gruntowi. W końcu po dwóch czy trzech minutach znajduję to, czego szukam - plamę ciemnobrązowej ziemi tuż obok grobu, ziemi wyglądającej na niedawno ruszaną, gdyż nie zdążyła jeszcze porosnąć trawą. Dziwię się, że nikt nie próbował tu kopać, ale schówek zawsze wydaje nam się oczywisty, kiedy wiemy, gdzie jest.

Idealnie położony.

Schylam się, żeby wypakować z plecaka łopatkę, zastygam na chwilę w tej pozycji, a kiedy się wyprostowuję, wpatruję się w ciemną przestrzeń. Słyszę zbyt wiele dźwięków. Czy to chrzęst kroków na zamrożonym żwirze, czy wiewiórka wspinająca się po drzewie? Nie mam namacalnych dowodów czyjejś obecności, a jednak jestem pewien, że ktoś tam jest. Musi być. Nie mam jednak pojęcia, po której stronie muru lub grobu. Może to duchy. Ale nie pozwolę, aby mnie powstrzymały.

Kładę latarkę na ziemi, tak żeby oświetlała błotnistą, pozbawioną trawy plamę, i zaczynam kopać. Okazuje się to zaskakująco proste. Ziemia jest nasiąknięta wodą i lekko ścięta mrozem, ale z łatwością wbijam w nią łopatkę. Trudniejsze jest jej odrzucanie. Niemniej jednak w ciągu czterech czy pięciu minut mam już wykopany płytki rowek o szerokości co najmniej dwudziestu centymetrów. Przychodzi mi na myśl, że wykopanie tej dziury musiało zająć nieco czasu i dziwne, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Wzruszam ramionami. To nie mój problem, nie teraz. Powracam do swojego zajęcia. Po dalszych dwóch minutach łopata uderza w metal.

Skrzypnięcie.

Znów przerywam pracę, tym razem zataczając latarką szeroki krąg. Ktoś tam jest. Na pewno. Nie ma sensu dalej ukrywać światła latarki, gdyż ten ktoś już wie, gdzie mnie znaleźć. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zasypać dziury z powrotem, rezygnując tym samym z rozegrania gry do końca. Jednak zaszedłem już za daleko. Posunąłem się za daleko, wdając się w przepychankę z Jerryem Nathansonem, odwiedzając Jacka Zieglera i prosząc Danę Worth o pomoc.

Zaszedłem za daleko, kiedy zachowywałem się w sposób, który może mnie kosztować utratę żony.

Kop.

Poszerzam otwór do chwili, gdy ukazują się krawędzie niebieskiej metalowej skrzynki, po czym klękam i próbuję ją wyciągnąć. Jednak palce nie

znajdują oparcia w mokrej ziemi i dochodzę do wniosku, że muszę kopa dalej. Wcześniej nie przyszło mi na myśl, że łatwiej będzie wykopać dziurę niż wyciągnąć skrzynkę. Może jest jakieś specjalne narzędzie, którego należy użyć do tego celu.

Postanawiam odkopać jeszcze nieco ziemi, więc podnoszę się i biorę do ręki łopatę, a wówczas wyłania się przede mną z ciemności niewielki biały duch. Krzyczę i biorę zamach łopatą.

- Pozwól, że ci pomogę, Misha - szepce duch, czyli w rzeczywistości Droga Dana Worth.

(II)

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć. Dana stoi przede mną, uśmiecha się nieśmiało i nieco drży, gdyż pobyt nocą na cmentarzu dla nikogo nie jest zabawny. Powinienem był wiedzieć, że wszystko sobie skojarzy. Jest ubrana odpowiednio do pogody, w ciemną kurtkę narciarską i grube dżinsy. I nawet przyniosła ze sobą szpadel.

- Co ty tu robisz? - pytam, drżąc jeszcze po tym, jak mnie przestraszyła.

- Przestań, Misha. Po tym, o co mnie poprosiłeś? Naprawdę sądziłeś, że to przegapię?

Nie komentuję tego. - Jak się tu dostałaś?

- Przez bramę, tak samo jak ty.

- Ja byłem tu przed zamknięciem.

- Brama nie jest zamknięta.

- Jak to nie? Sam widziałem, jak Samuel ją zamykał.

Dana wzrusza ramionami. - No, ale teraz jest otwarta. Więc chcesz, żeby ci pomóc, czy nie?

Zastanawiam się nad tym, co powiedziała. Brama nie jest zamknięta. Ktoś ją otworzył. A dlaczego zostawił otwartą? Ponieważ nie chodzi już tylko o ustalenia ani o śledzenie mnie, dopóki ich nie znajdę.

Zostawiono ją otwartą jako zaproszenie do wejścia, co oznacza, że sprawa dotyczy teraz również Dany.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Gdyby Dana poprzestała na tym, o co ją prosiłem, gdyby tu dziś nie przyszła, wówczas to, co powiedziałem jej w „Poście”, byłoby prawdą - byłaby całkowicie bezpieczna.

- Dano, musisz stąd iść. I to szybko.

- Nie zostawię cię tutaj, mowy nie ma.

- Czy mogłabyś przestać być tak lojalna? - Mówię to tak zdecydowanie, jak to możliwe, bez podnoszenia głosu powyżej szeptu.

Dana, pomimo strachu, odpowiada mi cierpko: - Patrzcie! Czy to ten facet, który pouczał mnie na temat lojalności dwa lata temu? - Ma na myśli

wówczas, gdy zostawiła Eddiego.

- Przestań, Dano, mówię poważnie. Musisz natychmiast się stąd wynosić. - Wykonuję ręką zamaszty gest. - Tutaj jest niebezpiecznie.

- Więc ty również powinieneś stąd pójść.

- Dano, przestań...

- Ty przestań. Nie opowiadaj mi tych bzdur w rodzaju „ja jestem mężczyzną, a ty kobietą”. Wiem, że jesteś prymitywny, ale nie aż do tego stopnia. A teraz poważnie. Nie mam zamiaru cię tu zostawić i już. Jeśli stąd wyjdziemy, to razem. Natomiast jeśli ty zostajesz, to ja też. Więc, proszę, przestań marnować czas.

No, cóż, prawdę mówiąc, z Daną jest mi rażniej. Poza tym może mi się przydać jej pomoc.

- W porządku, bierzmy się do roboty.

Ja kopię, Dana ciągnie. Dana kopie, ja ciągnę.

W końcu znajdujemy właściwy sposób. Obydwoje kopujemy, odrzucając ziemię z wszystkich czterech stron. Potem wspólnie ciągniemy. A wówczas skrzynka z łatwością daje się wyciągnąć. Z jej błyszczącej niebieskiej powierzchni spadają grudki ziemi. Metal jest tak zimny, że nie mogę oderwać od niego palców. Jest to skrzynka z rodzaju tych, w jakich trzyma się paszporty lub czeki. Zazwyczaj bywają one zamknięte na klucz, ale jestem pewien, że ta...

Tak.

Dana stoi koło mnie, rozpromieniona, a ja strzepuję jeszcze kilka grudek ziemi i bez trudu podnoszę wieko.

Rozglądam się dookoła, a następnie siadam na niskim kamiennym murku, stawiając skrzynkę obok siebie. Zostawiam ją otwartą, ale nie wyjmuję owiniętej w ceratę paczki, którą dostrzegłem w środku. Na usta wypływa mi uśmiech, kiedy pomyślę, ile osób chciałoby trzymać w ręku to, co właśnie wykopaliliśmy.

- I co teraz? - pyta Dana, która znów jest zdenerwowana, sądząc po tym, jak przenosi ciężar ciała z nogi na nogę. - Czy to już? Skończyliśmy?

- Nie jestem pewien.

- Misha, słuchaj to było zabawne, ale ja już chcę się stąd wynosić.

Rozglądam się dookoła, zdziwiony. - W porządku. Masz rację.

Chodźmy.

Zamykam skrzynkę, nadal nie ruszając jej zawartości. Pakuję szpadel i notes, po czym znów zarzucam plecak i wraz z Drogą Daną ruszam ku bramie. Tym razem nie kluczę. Dana niemal podskakuje u mego boku. Widać, jak cieszy ją myśl, że wreszcie opuszcza to miejsce, a ja również jestem raczej zadowolony. Niosę skrzynkę oburącz przed sobą, nadal denerwując się, czy ktoś jeszcze nam tu towarzyszy.

Po drodze przez cały czas nasłuchuję. Czy to był odgłos kroków? Uderze-

nie metalu o kamień? Cofam się i jeszcze intensywniej nasłuchuję. Jednak w uszach rozbrzmiewa mi tylko cisza. Dochodzimy do drugiego skrzyżowania alejek i skręcamy w prawo, w ścieżkę prowadzącą prosto do bramy. Dana przyspiesza kroku. Jest twarda, jest postrachem szkoły prawniczej, ale wiem, że ten pobyt wśród szczątków zmarłych budzi w niej niepokój. Będzie szczęśliwa, kiedy stąd wyjdziemy.

Ja również.

Puszczam ją przodem, a sam nieco zwalniam. Przekrzywiam głowę.

- Co jest, Misha, o co chodzi? - W jej głosie brzmi zniecierpliwienie, kiedy zawraca w moim kierunku. Krzyżuje ręce na piersi i cmoka. Niezależnie od tego, co nas tu przywiodło tej nocy, jedyne spiski, które ją naprawdę interesują, to te, zawiązywane w łonie komisji zajmującej się nominacjami. Mimo wszystko zauważam w jej głosie nutę hysterii. Najwyraźniej moja towarzyszka jest równie przerażona jak ja.

- Ciii... - szepczę, nasłuchując.
- Misha, naprawdę uważam, że powinniśmy...
- Dano, czy możesz na chwilę się zamknąć?

W ostrym świetle latarki widzę, że na twarzy Drogiej Dany maluje się ból i gniew. Wygląda teraz jak mała dziewczynka. Jej mina wyraźnie mi mówi, że dowodem przyjaźni było samo przyjście tutaj. Nie musi jeszcze dodatkowo wysłuchiwać moich obelg.

- Przepraszam - szepczę.

- Wiesz co, Misha - syczy - bywają chwile, kiedy doprawdy nie wiem, co w tobie widzę.

- Rozumiem. Ale mimo to bądź cicho.
- Dlaczego?
- Bo próbuję coś usłyszeć.

Na szczęście tym razem okazuje chęć współdziałania. Schodzi ze ścieżki i staje z boku, potrząsając głową nad moją głupotą, ale robi to po cichu. Opiera dłoń na ścianie mauzoleum i napiera na nią, jakby się spodziewała znaleźć ukryte drzwi, ale po chwili szybko ją cofa, zapewne dotknąwszy czegoś obrzydliwego. Obejmuje się ramionami i wydmuchuje głośno powietrze. Zdaje sobie sprawę, że jej wybuch maskował niepokój równie wielki, jak mój.

Wracam kilka kroków alejką, którą tu przyszliśmy.

Nic.

- Wyłączę na chwilę latarkę - ostrzegam ją, po czym robię to, co powiedziałem. - Skieruj swoją w inną stronę.

Dana, z wyraźnie niespokojną miną, kiwa głową na znak zgody. Czekam, aż krąg światła rzucany przez jej latarkę zniknie z mojego pola widzenia. Wówczas idę jeszcze kawałek w stronę, skąd przyszliśmy, intensywnie wpatrując się w szarawą ciemność. Nic.

Jednak coś.

Ciche metaliczne stuknięcie. Powtarza się, lecz nie na tyle regularnie, by przypisać je pękniętemu zaworowi ciężarówki pracującej na jałowym biegu za murem. Są to odgłosy spowodowane przez człowieka - człowieka, który ciągnie coś, co szczęka i pobrzękuje, ale stara się robić to cicho.

Po chwili znowu zapada cisza, ale mnie już nie zwiedzie. Z pewnością słyszałem brzęk. Spowodowany przez człowieka. Może nawet niejednego. I to całkiem niedaleko.

Nadal ściskając w objęciach skrzynkę, przyciągam Danę bliżej.

- Co jest, Misha - odzywa się - nie sądziłam, że cię interesuję. - Jednak mówi to zirytowanym tonem, gdyż, jak już wspomniałem, nie lubi być dotykana.

Pochyliam się ku niej i szepczę: - Ktoś jeszcze tu jest.

Droga Dana wstrząsa się i odsuwa ode mnie. - Bzdura. Po pierwsze przecież byśmy go słyszeli. Po drugie nikt nie jest tak szalony jak ty...

- Dano...

- Po trzecie nigdy więcej mnie tak nie łap. *Nigdy*. W porządku?

- Przepraszam, ale próbowałem...

- Misha, posłuchaj. Jesteśmy przyjaciółmi i tak dalej. Ale, po pierwsze, takie łapanie mnie jest naruszeniem mojej przestrzeni. Po drugie, to jest takie agresywne, męskie...

Tym razem Danie nie jest pisane dokończyć wyliczania, ponieważ oboje słyszymy, bardzo blisko za sobą, chrzęst, który może być tylko odgłosem ludzkich kroków na żwirze. Po chwili z ciemności dobiega jeszcze cichy okrzyk, kiedy ten człowiek się potyka.

Przerażeni ruszamy ku wyjściu, nie troszcząc się już dłużej o zachowanie ciszy. Dotarcie do głównej bramy nie zajmuje nam więcej niż minutę.

Brama jest zamknięta.

- Popchnij ją mocniej - mówię do Dany.

Posłusznie pcha coraz mocniej, wreszcie obraca się do mnie i potrząsa bezradnie głową.

- O co chodzi?

- Spójrz. - Głos jej się trzęsie, gdy mi to pokazuje. Kłódka i łańcuch znajdują się na swoim miejscu. Teraz już wiem, co pobrzękiwało w ciemności.

Jesteśmy uwięzieni na cmentarzu.

- W porządku - mruczę, myśląc szybko. Może Samuel po prostu zapomniał zamknąć, a potem wrócił i zrobił, co należy. Może. Z drugiej strony od ćwierć wieku nie robi nic innego, niż otwieranie tej bramy rano i zamykanie jej wieczorem. Siłą nawyku założyłby ten łańcuch. Ktoś inny musiał zdjąć kłódkę i otworzyć bramę, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze wejdzie do środka. Na przykład ktoś, kto mi pomaga. Potem ten nieznajomy założył łańcuch

ponownie.

Dana, jak zawsze przygotowana na każdą okoliczność, sięga do paska. - Zadzwońmy z mojego telefonu komórkowego.

- Do kogo?

Marszczy brwi. - Nie wiem. Na policję czy do kogoś innego. Masz lepszy pomysł?

Wspominając moje ostatnie spotkanie z policją, potrząsam przecząco głową. - Możemy się stąd wydostać inną drogą.

- Jaką inną drogą?

Zdobywam się na uśmiech, a następnie obracam się i spoglądam na cmentarz. Nie mam ochoty zanurzać się ponownie w tej okropnej ciemności, będąc łatwą zwierzyną dla każdego, kto się tam kryje, ale nie mamy wyboru. - To długa historia, Dano. Naprawdę jest stąd jeszcze inne wyjście. Tunel melioracyjny w murze od południowej strony. Poważnie. Pokażę ci. - Robię kilka kroków. - Chodź ze mną.

Nie odpowiada.

Odwracam się. - Dano? Uda się, obiecuję.

Stoi o parę kroków za mną, a szeroko otwarte oczy ma zwrócone w innym kierunku, w stronę bramy. Podążam za jej wzrokiem.

- Misha - jęczy, po czym rzuca łopatę na ziemię i powoli podnosi ręce w górę. Spoglądam ku niej i milknę natychmiast.

Musiał ukrywać się za jednym z mauzoleów, uświadamiam sobie, gdyż pojawił się znieca, jak na skinienie różdżki czarodziejskiej. Gratuluję sobie bystrości rozumowania, żeby nie zacząć krzyżeć. Bowiem mężczyzna, który stoi tuż obok alejki, dobrze widoczny w świetle mojej latarki, najwyraźniej czekał przy bramie na nasz powrót. Wygląda groźnie - mimo zwalistej budowy, jego ruchy są bardzo elastyczne. Gniewną twarz okala niechlujna broda. Jego oczy mają twarde spojrzenie. Pistolet trzymany lekko w prawej ręce jest skierowany w naszą stronę. Powietrze staje się nagle wilgotne i zimne; jest przeszkodą, którą muszę pokonać, aby poruszyć jakąkolwiek częścią mego ciała. Dana już dawno uniosła ręce w górę, jak bohaterowie na filmach, a ja postanawiam zrobić to samo, szczególnie że mężczyzna machnięciem lufy pokazuje, o co mu chodzi. Poruszam się powoli, żeby pokazać, że nie stanowią dla niego zagrożenia, i odkładam latarkę na ziemię. Wyprostowuję się ponownie, a on daje mi kolejny znak pistoletem. Niechętnie odkładam na ziemię również skrzynkę.

- Bardzo dobrze - stwierdza mężczyzna z brodą przerażająco znajomym głosem. Jego włosy mają ogniście rudy kolor.

- Nie - wydobywam z siebie z trudem. - To niemożliwe.

A jednak możliwe.

Ponieważ moja uwaga w naturalny sposób skupiała się na czarno-niebieskiej broni z pękatym tłumikiem, zajęło mi parę sekund, zanim mój

przerażony mózg zarejestrował prosty, porażający fakt - mężczyzna stojący na naszej drodze nie jest mi obcy. Za rudobrzązowymi włosami i brodą kryje się rumiana, zadowolona z siebie twarz Colina Scotta.

ROZDZIAŁ 51

Powrót starego przyjaciela

Odzywam się pierwszy, jak to niestety mam w zwyczaju, a to, co mówię, jest niezwykle głupie: - Przecież ty nie żyjesz.

Colin Scott gładzi się po nowej, bujnej brodzie i wygląda, jakby poważnie zastanawiał się nad moim stwierdzeniem. Za bramą przejeżdża samochód, lecz równie dobrze mógłby się znajdować po drugiej stronie świata. Ręka trzymająca pistolet ani drgnie, celując w punkt pomiędzy Daną a mną.

- On mi nie wygląda na martwego, Misha - szepce Dana, udając, że nie odchodzi od zmysłów ze strachu. Ja tymczasem z każdą upływającą sekundą czuję się spokojniejszy. Albo tu zginiemy, albo nie. Sędzia zawsze podkreślał znaczenie wolnej woli, szukam zatem możliwości, żeby z niej skorzystać.

- Trzymaj ręce nieruchomo - odzywa się w końcu Colin Scott. Podobnie jak Dana mam ręce wysoko w górze i obydwójgu nam one drżą. - Popchnij skrzynkę stopą w moim kierunku.

Robię, co mi każe. Nawet nie próbuje jej podnieść.

- Wiedziałem, że musi pan mieć pomocnika, profesorze. - Obraca się w kierunku Dany. - My chyba się nie znamy.

Uświadamiam sobie, że mówi całkiem poważnie. Niezręcznie ich sobie przedstawiam: - Dano, to jest, hm, agent... to znaczy, Colin Scott, znany również jako Jonathan Villard. Panie Scott, to jest profesor Dana Worth.

Kiwa głową, tracąc zainteresowanie tą kwestią, po czym przez chwilę nasłuchuje. Marszczy brwi. To on trzyma broń, zatem czekamy, aż się odezwie.

- Czy jest z wami ktoś jeszcze? Nie marnujcie mojego czasu, kłamiąc.

- Nie, jesteśmy tylko we dwójkę - zapewniam go. Spoglądamy z Daną na siebie, próbując telepatycznie skoordynować nasze kłamstwa. Gdyby telepatia rzeczywiście istniała, mogłoby nam to nawet ująć na sucho.

- Czy wiecie, co jest w skrzynce?

- Otworzyłem ją. Nie jest zamknięta na klucz. Widziałem w środku jakąś paczkę i to wszystko.

- To wszystko. - Przykuca, nadal trzymając nas w szachu pistoletem, i powoli unosi wieko. W filmie byłby to odpowiedni moment, żebym okręcił się na pięcie i wykopnął broń z jego dłoni, podczas gdy on nawet by nie drgnął, tylko patrzył ze zdumieniem.

Nie potrafię dłużej się opanować. - Podobno pan utonął.

- To nie byłem ja - odpowiada spokojnie. - Utonął jakiś mężczyzna, ale to nie byłem ja. Mówiłem panu, że będę musiał coś zrobić z Biurem. Śmierć

podejrzanego jest doskonałym powodem do przerwania śledztwa.

- Widziałem zdjęcie...

- Tak, z prawa jazdy. Na zdjęciu rzeczywiście byłem ja. Ale ciało wydobyte z wody? Kilka godzin w towarzystwie ryb może zmienić wygląd nie do poznania.

Czuje, jak przechodzi mnie lodowaty dreszcz. *Kilka godzin w towarzystwie ryb może zmienić wygląd. Czy Danę i mnie również to czeka? Teraz odzywa się Dana.* - Ale przecież ciało zidentyfikowano...

- Wcale nie. To bardzo częste nieporozumienie. - Przekrzywia głowę i wydyma grube wargi, jakby brał naszą miarę na trumny. - Tak naprawdę, to nie identyfikuje się *ciała*. Z pewnością *nikdy* nie zidentyfikowano ciała, które w jakimś stopniu uległo rozkładowi. Identyfikuje się odciski palców lub zęby. Zakładamy, że jeśli wiemy, do kogo należą dane odciski palców, to zidentyfikowaliśmy ciało. Jednak takie twierdzenie jest tylko na tyle prawdziwe, na ile autentyczne są dokumenty, na których się opiera identyfikacja.

Mimo że za dziewięćdziesiąt sekund mogę już nie żyć, te wywody robią duże wrażenie na drzemającym we mnie semiotyku. Zatem w tym rozumieniu nauki sądowe oparte są na klasycznym, błędnym zrozumieniu tego, co postrzegamy - niemożności rozróżnienia elementu oznaczającego od oznaczanego. Zawarte w kartotekach odciski palców i dane dentystyczne są elementami oznaczającymi. Są zakodowanymi informacjami, którym przypisujemy określone znaczenie. Natomiast tożsamość ciała osoby zmarłej jest elementem oznaczanym. Wszyscy postępujemy tak, jakby z wiedzy o pierwszym jednoznacznie wynikała wiedza o drugim. Tymczasem ta implikacja jest tylko przyjętą przez nas konwencją. Nie jest to mechanika nieba ani leczenie chorób. Sprawdza się tylko dlatego, że my tak *decydujemy*. Podejmujemy tę decyzję przez całkowitą akceptację prawdziwości samych kartotek.

- Sfałszowałaś kartotekę - stwierdza Dana, gdyż nigdy nie ma kłopotów ze zrozumieniem sytuacji. - Albo ktoś to za ciebie załatwił.

Colin Scott nie odpowiada. To nie pora na spowiedź. Jego milczenie jest groźne, ale jednocześnie kryje się w nim pewna szansa. Na jego twarzy maluje się wyraz zamyślenia. Najwyraźniej nie wszystko poszło tak, jak planował. Teraz usiłuje podjąć decyzję, co zrobić.

- No, więc ma pan skrzynkę - stwierdzam, starając się zyskać na czasie.

- Teraz jest pan bezpieczny.

- Ta skrzynka nigdy nie była przeznaczona dla mnie, profesorze. O tym powiedziałem panu prawdę. Zostałem... zaangażowany... żeby odzyskać ją dla kogoś innego.

- Dla kogo?

Znowu długa chwila milczenia, kiedy zastanawia się, co powiedzieć. Jego wymizerowana twarz przypomina mi, że był już prawie w średnim wieku,

kiedy wyrzucano go z CIA niemal trzydzieści lat temu. W końcu odzywa się ponownie: - Nie jestem tu po to, żeby udzielać panu wyjaśnień, profesorze. Jednak proszę nie myśleć, że tylko ja liczyłem na to, iż odnajdzie pan tę skrzynkę.

Znów wtrąca się Dana: - A dlaczego nie potrafił pan sam jej odnaleźć?

Colin Scott rzuca jej lekceważące spojrzenie żółtawych oczu, po czym przenosi wzrok z powrotem na mnie. Jednak mówiąc do mnie, w istocie odpowiada na jej pytanie. - Pański ojciec był inteligentnym człowiekiem. Chciał, żeby pan odnalazł skrzynkę, ale zdawał sobie sprawę, że pojawią się również inni chętni. Ja i jeszcze inne osoby. Nie mógł ryzykować.

- I co?

- Wiedzieliśmy, co oznacza Ekscelsior, to było dziecinnie proste.

Zrozumieliśmy też, że znaleźliśmy niewłaściwego chłopaka Angeli, gdyż inaczej powiedziałby nam, co trzeba. Natomiast cmentarz... to było sprytne, profesorze. Bardzo sprytne.

Znowu cisza. Decyduję się ją przerwać. - W porządku, w takim razie, co teraz?

Wygina wąskie usta w nieznacznym uśmiechu, ale nie odpowiada. Machnięciem pistoletu pokazuje nam, że mamy odejść dalej od bramy i pójść ścieżką w głąb cmentarza. Najwyraźniej tam będzie mu wygodniej nas zabić. Wskazuje na pasek Dany, która trzęsącymi się palcami wyjmuje telefon komórkowy i posłusznie mu go oddaje. Spogląda na niego przelotnie, po czym rzuca na ziemię i bez celowania dwukrotnie w niego strzela. Dana wzdryga się na ten stłumiony dźwięk. Ja również.

- Nie musi pan się niczego obawiać, profesorze - oświadcza Colin Scott. Mam wrażenie, że jego oczy obserwują jednocześnie nas, ścieżkę za nami i, co wydaje się niemożliwe, również ścieżkę prowadzącą w drugą stronę, a wszystko to bez obracania głowy. - Mam to, po co przyszedłem, i więcej mnie pan nie zobaczy. W związku z tym nie zamierzam pana zabijać.

- Nie? - pytam ze swoją zwykłą zjadliwością.

- Nie mam żadnych skrupułów, jeśli chodzi o zabijanie. W moim zawodzie trzeba być przygotowanym na użycie również tego narzędzia. - Czeka chwilę, żebyśmy dobrze go zrozumieli. - Jednak jest coś takiego, jak rozkazy, a jak powiedziałem niegdyś pańskiemu ojcu, w tego rodzaju sprawach obowiązują pewne zasady.

- Zasady? Jakie zasady?

Wzrusza ramionami, nie przesuwając przy tym pistoletu ani o milimetr. - Powiedzmy po prostu, że pański przyjaciel Jack Ziegler, choć taka szumowina, ma zwyczaj dotrzymywać obietnic, a jest przy tym bardzo mściwym człowiekiem.

Mimo wszystko nie opuszcza broni, a ja zaczynam rozumieć, na czym polega jego problem. Martwi się obietnicą złożoną przez Jacka Zieglera - tą,

o której mówił na cmentarzu w dniu pogrzebu ojca, o której Maxine przypomniała mi na Vineyard, a której wujek Jack zamierzał dotrzymać, jak mnie zapewnił w Aspen. Obietnicą, że będzie chronił moją rodzinę. I oto rezultaty - wujek Jack wydaje rozkazy i nawet ten zawodowy morderca, który go nienawidzi, a jednocześnie boi się, co powiem policji, nie waży się im sprzeciwić.

- Nic nam nie może zrobić - stwierdza Dana głosem pełnym ulgi. Opuszcza ręce.

Colin Scott przynosi na nią złowrogie spojrzenie, a jednocześnie broń w jego ręku również nieznacznie zmienia kierunek.

- Moje rozkazy dotyczą profesora Garlanda i jego rodziny, natomiast obawiam się, profesor Worth, że nie było w nich mowy o jego przyjaciółach.

Kiedy Dana się odzywa, jej głos brzmi bardzo słabo. - Ma pan zamiar mnie zabić?

- To konieczne - wzdycha i widzę, że celuje teraz w nasadę jej nosa.

- A poza tym będzie w tym pewna... symetria.

- Chwileczkę - mówimy z Daną jednocześnie, intensywnie myśląc, jakie słowa mogłyby go powstrzymać.

- Proszę odsunąć się od profesora Garlanda - poleca rozsądnym tonem, jakby jego głównym zmartwieniem było obecnie uchronienie mnie przed przypadkowym zranieniem. Z cienia wychodzi cmentarny szczur, biały i wielki, i przysiadła na tylnych łapach, jakby wyczuwał, że za chwilę znajdzie coś do jedzenia. - Pani profesor, proszę po prostu zamknąć oczy i nawet nie zdąży pani poczuć bólu. Pan, profesorze Garland, niech się odsunie na bok i obróci twarzą do mauzoleum.

- Proszę tego nie robić - protestuję.

- Profesorze Garland, muszę pana prosić, żeby się pan odwrócił. Słyszał pan już dość, żeby mnie posłać do celi śmierci. Jednak nie wykorzystam pan tych informacji, niezależnie od tego, co jeszcze dziś zrobię, gdyż w takim wypadku rozkazy dotyczące ochrony pana i pańskiej rodziny przestaną być dla mnie obowiązujące. Może pan ryzykować swoim życiem, ale ma pan jeszcze żonę i syna, o których musi pan myśleć. Rozumie pan?

Sądziłem, że poznałem już, co to strach, ale teraz jest we mnie wszechobecny i trzepocze szaleńczo uciszającymi sumienie skrzydłami. - Tak, ale nie może pan po prostu...

- Proszę się odwrócić, profesorze.

- Zamierzasz mnie zabić - powtarza Dana drżącym głosem.

W tej chwili decyduję się na najgłupszy i najbardziej odważny czyn w ciągu czterdziestu lat swojego życia. Opuszczam ręce i staję pomiędzy Daną Worth a Colinem Scottem.

- Nie - mówię głosem drżącym jeszcze bardziej niż Dany.

- Proszę odsunąć się z drogi, profesorze - rozkazuje człowiek, który za-

bił mordercę Abby.

- Nie.

Colin Scott się waha. Jego umysł intensywnie pracuje. Nie chce, żeby Dana mu uciekła i, prawdę mówiąc, wolałby mnie również nie puszczać wolno, toteż najlepiej byłoby zabić nas oboje i liczyć na to, że uda się uniknąć gniewu Jacka Zieglera. Może też myśleć, że zdoła obwinie o moją śmierć kogoś innego. Albo liczy, że wujek Jack jest tak chory, iż jego słowo nie posiada już tej mocy, co niegdyś. Możliwe również, że jego nowy klient jest jeszcze potężniejszy od przerażającego Jacka Zieglera. Może też mieć jeszcze inną teorię, której nie potrafię sobie wyobrazić ani zrozumieć, gdyż nie żyję w jego świecie. Jednak niezależnie od tego, co nim kieruje, pojmuję, że był agent wywiadu podjął już decyzję. Zamierza zabić nas oboje - tutaj, na terenie Cmentarza Staromiejskiego. Widzę to w jego beznamiętnym spojrzeniu równie wyraźnie, jakbym czytał słowa wyryte w kamieniu.

Lufa pistoletu podnosi się o kilka centymetrów i mam wrażenie, że jest bardzo szeroka i ciemna, przygotowana, żeby mnie połknąć. Myślę nawet, żeby rzucić się na niego, ale wiem, że nie zdążę go dopaść, zanim wystrzeli. Wykorzystuję zatem ostatnie sekundy życia na modlitwę i marzenie o tym, by móc pożegnać się z synem, a nawet żoną, która już właściwie nią nie jest. Czuję małą dłoń Dany w swojej, słyszę, jak szepce słowa psalmu dwudziestego trzeciego, zastanawiam się, gdzie się podziało jej legendarne przeszkolenie w sztukach walki. Wszystkie zmysły mam niesamowicie wyostrzone, widzę niemal pojedyncze włosy na ufarbowanej na rudo głowie Colina Scotta, dosłownie czuję, jak jego palce naciskają na spust, a wówczas głęboki i trwały instykt samozachowawczy bierze górę nad moim wrodzonym fatalizmem. Szarpnięciem uwalniam rękę z dłoni Dany i pokonuję jednym skokiem niewielką odległość dzielącą mnie od Scotta.

Potem wszystko dzieje się błyskawicznie.

Colin Scott jest bardzo szybki. W ułamku sekundy, pomiędzy chwilą, kiedy się odbiłem od ziemi, a tą, kiedy na niego spadłem, naciska spust dwukrotnie i cały cmentarz rozbrzmiewa dźwiękiem przeładowywania broni, a ja czuję, że moje ciało robi się lodowato zimne... a potem drętwieję, okręcam się na bok i przewracam na alabastrowego anioła wieńczącego jeden z nagrobków. Dziwię się, skąd taki huk - przecież jego pistolet ma tłumik i nie powinien strzelać tak głośno - a jednocześnie uświadamiam sobie, że miał rację, gdyż zupełnie nic nie czuję. Potem zauważam, że Dana krzyczy coś, czego nie słyszę. Uświadamiam sobie, że jednak żyję, więc kule musiały chybić, natomiast Colin Scott kłęczy na ziemi i całą górną część koszuli ma zalaną krwią. Zamarznięty żwir jest śliski, toteż przychodzi mi do głowy, że musiał się potknąć i chybić, a potem broń eksplodowała mu w ręce. Ja w każdym razie nadal jestem na nogach, choć robi mi się słabo, i popycham Danę w ciemności otaczające rurę melioracyjną. Dana znów

trzyma w ręku szpadel i uświadamiam sobie, że musiała nim uderzyć Colina Scotta, gdyż na jego czole widnieje głębokie, krwawe rozcięcie. Nadal próbując zmusić Danę, żeby się ruszyła, obserwuję Scotta, który obraca się wokół własnej osi, jedną ręką wspierając się o ziemię, i celuje w coś znajdującego się w rozciągającej się za nim ciemności. Strzela dwukrotnie, bardzo szybko. Dwie smugi ognia na chwilę rozjaśniają mrok i szybko nikną w zalewającej wszystko czerni. Niemal natychmiast z ciemności dobiega głośny krzyk, więc błyskawicznie kucamy, a w chwilę później słychać głośny huk kolejnego wystrzału i Colin Scott już leży płasko na ziemi, broń wysuwa się powoli z jego drgającej spazmatycznie dłoni, jego szyja jest zalana krwią, ale usiłuje jeszcze coś powiedzieć. Porusza ustami nawet wówczas, gdy życie gaśnie w jego wypełnionych łzami, niewidzących oczach, a ja nie osmielam się przysunąć do niego bliżej, bo nie wiem, kto czai się tam w ciemności, jednak z ruchu jego warg odczytuję proste dźwięki, które usiłuje wypowiedzieć i wiem, że jego ostatnia myśl dotyczyła matki.

Dana i ja leżymy płasko na ziemi.

Czekamy.

Nasłuchujemy.

Zgrzyt kroków po żwirze. Powolnych. Ostrożnych. Wystrzegających się pułapki.

Dana łka cicho. Nie rozumiem, dlaczego; przecież przeżyliśmy. Trzymam ją blisko przy sobie, gdy leżymy w trawie przy ścieżce. Jest mi zimno, pomimo że mam na sobie kurtkę. Dana drży, lekka jak piórko w moich ramionach. Colin Scott jest już tylko krwawą masą.

Jesteśmy zbyt przerażeni, żeby się poruszyć.

Ktoś omiata nas światłem latarki, oświetla przez chwilę szczątki Colina Scotta, potem kieruje stożek światła nad nasze głowy, tak że tańczące cętki przesłaniają mi widok.

Leżymy nieruchomo. Mam wrażenie, że powinienem coś robić, ale ogarnia mnie straszliwa senność. Moje ciało nie chce się już ruszać. Może to po prostu następstwa śmiertelnego przerażenia.

Światło jest tak blisko, że niemal nas oślepia. Dostrzegam tylko znajdujące się tuż przed moimi oczami adidas i džinsy. W każdym razie osoba, która zastrzeliła Colina Scotta, nie odzywa się ani słowem, a my z Daną nic więcej nie widzimy. Słyszymy za to metaliczne zgrzytnięcie, po czym światło gaśnie.

Odgłos kroków zaczyna się oddalać, a wówczas Dana zrywa się na nogi z wściekłym okrzykiem. Podnosi z ziemi pistolet Scotta. Biegnie. Jednak nie w kierunku wyjścia, tylko w mrok.

- Dano! - krzyczę i z trudem ruszam za nią, obchodząc to, co pozostało ze Scotta. Mój głos jest tak słaby, jakby był echem echa. - Dano, poczekaj! - Jednak wydobywa się ze mnie tylko cichy pisk. - Dano!

Zaczynam chwiać się na nogach. Ciemność wiruje wokół mnie, zmieniając kolor z głębokiej czerni w szaro-czarny, a potem szaro-szary i w końcu ziemia się unosi, żeby znów się ze mną spotkać. Dana znika. Znowu usiłuję się pozbierać. Chcę jej powiedzieć, że zachowuje się głupio, że powinniśmy zabrać skrzynkę i iść do bramy albo do rury melioracyjnej, ale nie mam siły zawołać. Opieram się bezwładnie o nagrobek. Widzę nad sobą alabastrowego anioła. Dana zniknęła. Ale to wszystko wydaje się zupełnie nieważne. Ręce mi zdrętwiały. Opieram się o kamień, a mam wrażenie, jakbym ścisnął kurczowo wodę. Nie, lód. Osuwam się na ziemię. Jedna stopa okropnie mi drży. Moja rzucona na ziemię latarka oświetla kawałek terenu i już rozumiem, dlaczego Dana ruszyła w pościg. Metalowa skrzynka zniknęła. Ten, kto zabił Colina Scotta, musiał ją zabrać, gdy byliśmy oślepieni światłem jego latarki. To był ten metaliczny zgrzyt, który słyszałem.

Usiłuję się modlić. *Ojcze nasz, któryś... któryś jest... któryś jest...*

Zbieram resztki sił i znów próbuję się podnieść, myśleć, skupić się.

Boże, proszę... proszę...

Ale myślenie wymaga zbyt wiele energii. Muszę odpocząć. Czerwona trawa klei się do mojego policzka. Tuż przed pogrążeniem się w całkowitej ciemności uświadamiam sobie, że nie cała krew należy do pana Scotta.

Jednak ja również zostałem trafiony.

ROZDZIAŁ 52

Wizyta starego przyjaciela

(I)

- Wszystkie dzieciaki chcą cię zobaczyć - szcziebioce Mariah siedząca przy moim szpitalnym łóżku. - Jesteś teraz dla nich prawdziwym bohaterem.

Uśmiecham się do niej z za odbierającej mi godność płataniny bandaży, czujników, rurek i szwów, starając się dodać jej otuchy. Lekarze poinformowali mnie radośnie, że na cmentarzu straciłem tak dużo krwi, iż niewiele brakowało, żebym umarł. Od chwili, kiedy się ocknąłem przeżyłem tyle bólu, że zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdyby sanitariusze dłużej mnie szukali. Trawi mnie nie tylko fizyczny ból. Kiedy wczoraj po południu otworzyłem oczy, zobaczyłem Kimmer drzemiącą w fotelu z grubym tomem akt na kolanach, a gdy obudziłem się ponownie, już jej nie było. Uznałem, że pewnie mi się przyśniła. Kiedy pielęgniarka przyszła sprawdzić, czy jeszcze żyję, spytałem ją, czy była tu moja żona. Trudno mi było wyartykułować słowa, ale pielęgniarka okazała się bardzo cierpliwa i w końcu udało nam się porozumieć. Okazało się, że Kimmer rzeczywiście mnie odwiedziła, ale już wyszła, gdyż spieszyła się na spotkanie. Od tego momentu ból stał się moim nieodłącznym towarzyszem. Jednak Kimmer nigdy się nie zmieni. Czują się w obowiązku mnie odwiedzić, mimo naszego rozejścia, ale nie miała zamiaru tracić z tego powodu godzin, za które może wystawić rachunek.

Poprosiłem pielęgniarkę o jakiś środek przeciwbólowy. Przejrzała moją kartę, następnie pomanipulowała chwilę przy tkwiącym w mojej ręce wenflonie, a kiedy znów otworzyłem oczy, było ciemno i miałem u boku dwóch detektywów.

Doktor Serra, mój chirurg, wpadł zdenerwowany do pokoju i oświadczył im, że jestem jeszcze za słaby, żeby z nimi rozmawiać.

Mam w pokoju mnóstwo kwiatów, ale pierwszego dnia nie odwiedził mnie nikt ze szkoły prawniczej, gdyż, jak się okazało, jedynie żona mogła do mnie wchodzić. Jedna z pielęgniarek oddziału intensywnej opieki, krzepka Murzynka o nazwisku White, włączyła mi telewizor i starała się znaleźć coś, co mnie zainteresuje, ale bez powodzenia. Było mi to obojętne. W końcu zostawiła jakiś film z Jean-Claudem Van Dammem i mnóstwem pistoletów. Obróciłem twarz w kierunku jasnozielonego sufitu, wspominając ostatnie

chwile na cmentarzu i zastanawiając się, kiedy będę mógł zobaczyć syna.

Znowu trochę pospałem.

W pewnym momencie spytałem doktora Serre, jakim cudem znalazłem się w prywatnej sali, ale tylko wzruszył ramionami i rozłożył ręce, dając mi do zrozumienia tymi zamaszystymi śródziemnomorskimi gestami, że jego troską jest stan mojego zdrowia, a nie kieszeni. Poprosiłem o telefon, ale mi odmówiono. Jednak czasem szpital przypomina więzienie. Chciałem poinformować o tym spostrzeżeniu doktora Serre, ale popędził już do kolejnego, niemal martwego pacjenta. Potem wróciła siostra White i wyjaśniła mi, że ze względu na mój ciężki stan, może mnie odwiedzać ograniczona liczba osób, których listę mam jej podać. Ponieważ jednak okazało się, że dzieciom nie wolno wchodzić na oddział intensywnej opieki, straciłem całe zainteresowanie tą sprawą.

Pięć osób, oznajmiła, plus rodzina.

Wymieniłem zatem przede wszystkim Danę Worth i Roba Saltpetera. Potem Johna Browna. Po chwili rozpaczliwego namysłu przypomniałem sobie o swym sąsiedzie Donie Felsenfeldzie. Ponadto poprosiłem siostrę White, żeby zadzwoniła w moim imieniu do wielebnego Morrisa Younga, który był piątą osobą na mojej liście. Uśmiechnęła się i widziałem, że zrobiło to na niej wrażenie. Kiedy wychodziła, zauważyłem, że przed drzwiami siedzi sierżant w mundurze z granatowego sukna i, zanim zasnęłam, zastanawiałem się przez chwilę, czy dano mi ochronę, czy też zostałem aresztowany.

Kiedy kolejny raz się ocknąłem, na stoliku kolo łóżka leżała Biblia, wersja króla Jakuba z dużym drukiem, a obok liścik napisany drżąca dłonią starego pastora: *Jestem do dyspozycji o dowolnej porze*. Do pokoju weszła kolejna pielęgniarka, więc spytałem, czy przeczyta mi rozdział dziewiąty z Księgi Rodzaju.

Była zbyt zajęta.

Potem znów pojawili się policjanci i tym razem doktor Serra niechętnie pozwolił im wejść. Jednym z nich okazał się mój stary znajomy Chrebet. Opowiedziałem im tyle, ile pamiętałem, ale okazało się, że zdążyli już porozmawiać z FBI, Daną Worth, wujkiem Malem, a nawet sierżant Ames, tak że wiedzieli bardzo dużo. Zadali mi tylko jedno ważne pytanie: - Czy widziałem swojego napastnika? - Takiego użyli słowa: *napastnik*. Określenie rodem z gazet i filmów. Stwierdziłem, że mi się podoba. Pomimo że czułem ból i oszołomienie, znów obudził się we mnie semiotyk, zastanawiający się, dlaczego przedstawiciele władzy wybrali tak imponująco brzmiące słowo na określenie brutalnego przestępcy. Być może dzięki temu mają wrażenie, że ich zawód plasuje się wyżej w hierarchii społecznej, niż w rzeczywistości. W końcu nie ścigają drobnych rzezimieszków i niewykształconych, zdesperowanych mętów społecznych, „strącanych”, używając słownictwa Marksa i

Engelsa, do warstwy lumpenproletariatu - oni tropią napastników. Cóż, rzeczywiście zostałem napadnięty. Przeżyłem napaść z bronią w ręku. Wyjaśniam zatem cierpliwym policjantom, z trudem wydobywając z siebie słowa, że mój napastnik, czyli Colin Scott, nie żyje. Spoglądają na siebie, potem obaj potrzęsają głowami i wyjaśniają mi, że trafiły mnie trzy kule - w brzuch, udo i szyję. Mają te pociski i tylko dwa z nich pochodzą z pistoletu zmarłego pana Scotta. Oznacza to, że postrzeliła mnie również czwarta osoba obecna tamtej nocy na cmentarzu.

Osoba, którą Dana usiłowała złapać. Teraz wiem, dlaczego - bo, oczywiście, nie było potrzeby odzyskiwać skrzynki.

- Nie wiemy jeszcze, czy to nie było przypadkowe trafienie - dodaje jeden z detektywów. Okazuje się również, że to ta trzecia kula wyrządziła najwięcej szkody, trafiając mnie w dolną część klatki piersiowej. Jak wyjaśnili policjanci, na filmach ludzie celują zazwyczaj w serce, jednak jest ono otoczone żebrami. Tymczasem w prawdziwym życiu lepszy jest strzał w brzuch, gdyż zazwyczaj udaje się wtedy uszkodzić nerki lub wątrobę, a nawet jeśli nie trafi się w te organy, krwotok jest tak silny, że można liczyć na to, iż ofiara umrze, zanim nadejdzie pomoc.

Chcieli mnie przestraszyć. Udało im się.

Potem opowiedzieli mi resztę. Colina Scotta również trafiły trzy kule. Jednak tylko ostatni strzał, śmiertelny, został oddany z tej samej tajemniczej broni, która wystrzeliła w mój brzuch. Pierwsze dwa pochodziły z jeszcze innej. Do tej ostatniej pasowały też dwa pociski wydłubane z nagrobków w pobliżu miejsca naszej walki. Możliwe, że tajemniczemu strzelcowi skończyły się naboje, wyjaśnił detektyw, i wyciągnął drugi pistolet. Lecz jest również prawdopodobne, że na cmentarzu znajdowało się wówczas pięć osób: Dana, ja, Scott i dwóch nieznanych napastników.

Zdumiony tym, co usłyszałem, częściowo wyjawilem im prawdę. Nie widziałem nic, oprócz błysku z lufy, i nawet nie zdawałem sobie sprawy, że zostałem trafiony, dopóki nie zacząłem tracić przytomności.

Wzruszyli ramionami i odeszli, nie zadając mi właściwego pytania. Po tem trochę drzemałem i rozważałem - zmartwiony - czy był to wypadek, czy celowe działanie.

Kiedy obudziłem się po raz kolejny, przy moim łóżku siedziała Mariah i teraz właśnie na nią patrzę, jak dojrzałe, dziarsko i zdecydowanie zamożnie wygląda w markowych dżinsach i swetrze narciarskim, księżniczka, która przyszła do szpitala odwiedzić zwykłych ludzi. Płacze na mój widok i zapewnia mnie, że dla jej dzieci jestem bohaterem.

- Co ty tu robisz? - udaje mi się wychrypieć.
- Zawiadomiła mnie twoja pani dziekan.
- Nie, nie. Chodzi mi... chodzi mi o to, że dopiero co urodziłaś dziecko.
- Tak, ale ciebie nie można zostawić samego ani na chwilę - jednocze-

śnie śmieje się i płacze. - Ja jadę rodzić, a ty w tym czasie dajesz się postrzelić.

- Jak tam dziecko?

- Jest śliczna. Wprost doskonała.

- Ma dwa dni?

- Cztery. Z nią jest wszystko idealnie, Tal. Czeka na mnie w samochodzie z Szuszą. Prawdę mówiąc, za chwilę muszę iść ją nakarmić. - Mariah uśmiecha się do mnie przez łyż. - Ale spójrz na siebie - szepce, załamując dłonie. - Spójrz tylko na siebie.

- Nic mi nie jest. Powinnaś była zostać w domu, naprawdę. - Staram się powstrzymać kaszel, gdyż kiedy kaszlę, wszystko mnie boli. I to bardzo. - To znaczy... naprawdę bardzo się cieszę, że tu jesteś, dziecinko, ale... no, nie powinnaś z mojego powodu zostawiać dziecka. - Nie chcę się przed nią zdradzić, jak bardzo wzruszył mnie jej przyjazd. Zresztą nawet gdybym chciał, i tak nie umiałbym znaleźć właściwych słów. Nawet na oddziale intensywnej opieki pozostają Garlandem.

- Wiesz, gdybyś dostał jedną kulę, czy nawet dwie, to zostałabym w Darien. Ale ty zawsze byłeś przesadnie ambitny. Ty musiałeś dać się postrzelić *trzy razy!*

Zdobywam się na uśmiech, bardziej dla Mariah niż dla siebie. Pamiętam, że kiedy moja mama umierała, starała się pocieszyć każdego gościa, który wpadł do Vinerd Howse, żeby złożyć jej swoje być może ostatnie uszanowanie - i siedział, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Przez chwilę myślę o bracie. Zastanawiam się, dlaczego go tu nie ma, ale przecież na przesłuchania ojca również nie przyszedł. Addison lubi tylko szczęśliwe zakończenia.

- Wygląda na to, że będziesz miał tu co robić - stwierdza moja siostra, wskazując na coś palcem. Spoglądam tam i widzę swój laptop i kieszonkowy zestaw szachów ustawione obok łóżka. Cieszę się jak dziecko w Boże Narodzenie. Oszczędzając głos, wskazuję komputer. Mariah ustawia go na małym stolyczku umieszczonym na wysięgniku, który można przesuwac nad łóżkiem, po czym otwiera go i włącza.

Dziękuję, mówię bezgłośnie, gdy Windows wydaje na powitanie swój wesóły dźwięk.

- Kimberly to przyniosła - informuje mnie siostra. - Sądziła, że może ci się przydać.

Miło z jej strony, ale jednocześnie strasznie mnie to irytuje.

- Kimmer odchodzi - oznajmiam beznamiętnym tonem, ale dopiero za trzecim razem udaje mi się to powiedzieć wyraźnie.

Moja siostra ma na tyle taktu, żeby sprawiać wrażenie zażenowanej swoją odpowiedzią - Sądzę, że wiedzą o tym wszyscy na Złotym Wybrzeżu - mówi łagodnym tonem. Potem w jej głosie pojawia się ostrzejsza nuta. - Ale lepiej ci będzie bez niej. Wiesz, co mama mi mówiła, gdy jakiś chłopak zła-

mał mi serce? Tego kwiatu jest pół świata.

Przymykam na chwilę oczy. Jeśli szpital jest więzieniem, to tak wygląda mój wyrok - wysłuchiwanie opowieści siostry o tym, że lepiej mi będzie bez matki mojego dziecka.

- Kocham ją - mówię, ale tak cicho, że wątpię, by Mariah to usłyszała. - Cierpię - dodaję jeszcze ciszej, tak że ludzkie ucho nie potrafi tego wychwycić.

- Nigdy jej nie lubiłam - ciągnie siostra, zbyt zaabsorbowana własnymi myślami, żeby słyszeć czyjś głos poza swoim. - Ona nie nadawała się dla ciebie, Tal.

Przez chwilę znów jesteśmy samotni, choć siedzimy razem, gdyż członkom mojej rodziny najwyraźniej brakuje emocjonalnych środków, niezbędnych, by wspierać tych, którzy tego potrzebują, przynajmniej jeśli chodzi o krewnych. Potem znów otwieram oczy i spoglądam na siostrę. Ma spuszczone oczy i nerwowo skubie palec jednej dłoni drugą.

Najwyraźniej coś jeszcze ją dręczy.

- O co chodzi, dziecinko? - szepczę, gdyż szepc to jedyny głos, jaki udaje mi się teraz z siebie wydobyć.

- Nie wiem, czy to odpowiedni moment...

- Mariah, co się stało? - Budzący się we mnie strach dodaje mojemu głosowi siły. - Nie możesz zaczynać i nie kończyć. O co chodzi?

- Addisona już nie ma.

- Nie ma? - Chwila paniki, wspomnienie strzałów. I z pewnością ostry skok na wykresie rysowanym przez urządzenie monitorujące moje serce. Z pewnością bym usiadł, gdybym nie był półżywy i przypięty do łóżka. - Co to znaczy *nie ma*? Nie chodzi ci o... on nie...

- Nie, Tal, oczywiście, że nie. Podobno uciekł z kraju. Jest gdzieś w Ameryce Południowej. Chcieli go aresztować.

- *Aresztować?* Za co? - Jednak jestem już znów wyczerpany. Głos mi słabnie, gardło mam wyschnięte i muszę kilka razy powtarzać to samo, żeby Mariah zrozumiała, o co mi chodzi.

- Oszustwa podatkowe. Dokładnie nie wiem. Chodzi o wielkie pieniądze. Nie znam szczegółów. Wujek Mal mówi, że wpadli na to tylko dzięki sprawdzaniu przeszłości.

- Sprawdzaniu przeszłości?

- No, wiesz, Tal, przeszłości Kimberly.

Dosłownie wypluwa to imię, dając mi do zrozumienia, że gdyby mojej żonie tak nie zależało na stanowisku sędziowskim, to szwindle finansowe Addisona nigdy by nie wyszły na jaw. To wina Kimberly, że Addison musiał uciekać, tak jak winą Grega Haramoto był upadek Sędziego. Oczywiście, nie ma mowy o tym, że każdy z nich został doprowadzony do sytuacji, w jakiej się znalazł, przez swoje własne demony. We współczesnej Ameryce, a już z

pewnością w rodzinie Garlandów, nic nie jest winą osoby, która to robi, tylko tej, która to ujawni.

- Och, Addisonie - szepczę. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego oglądał posiadłości w Argentynie i czego się bał.

- Po Prostu Alma twierdzi, że ma tam dziewczynę, a sądząc po sposobie, w jaki to mówi, myśli chyba, że to jego żona.

Może to wina leków, ale muszę się roześmiać. Biedna Beth Olin! Biedna Sally! Biedna ostatnia tutejsza zdobycz! Potem uświadamiam sobie, że latami mogę nie zobaczyć Addisona, i mina mi rzednie. Ileż zniszczeń pozostawił za sobą Sędzia.

- Nic ci nie jest, Tal? Mam zawołać pielęgniarkę?

Kręcę przecząco głową, ale wypijam trochę podanej przez nią wody. Potem znów się odzywam: - Czy były od niego jakieś wieści?

- Nie - odpowiada Mariah, ale szybko ucieka ode mnie spojrzeniem, co świadczy o czymś wręcz przeciwnym.

Potem niespodziewanie się rozpogadza i zmienia temat: - Aha, a wiesz co? Dostaliśmy niesamowicie korzystną ofertę na dom.

- Dom?

- Przy Shepard Street.

Szybko tracę siły i być może dlatego nie bardzo to rozumiem. - Nie... nie wiedziałem, że wystawiłaś go na sprzedaż.

- Nie wystawiłam, ale wiesz, jacy są ci pośrednicy obrotu nieruchomości. Dowiadują się, że ktoś umarł i zbierają chętnych na dom, zanim jeszcze zostanie otwarty testament. - Mariah błędnie odczytuje zdenerwowanie, jakie maluje się na mojej twarzy. - Nie denerwuj się, dziecinko, odrzuciłam ją. Nadal mam tam pełno papierów do przejrzania

Daję jej znak, żeby przysunęła się bliżej. - Kto... kto złożył ofertę? - wydobywam z siebie z trudem.

- Nie wiem, pośrednicy nigdy tego nie mówią. Wiesz, jak to jest.

Jestem zbyt słaby, żeby jej to wytłumaczyć, ale mnie ta nowina wydaje się złowieszcza. - Musisz się dowiedzieć, kto - szepczę, ale zbyt cicho, żeby mogła mnie zrozumieć.

Mariah zaczyna teraz opowiadać o Sally, która przebywa obecnie w ośrodku odwykowym w Delaware, ale nie potrafię już nadążyć myślami za tym, co mówi. Muszę trochę odpocząć. Do pokoju bez słowa wyjaśnienia wchodzi pielęgniarka i dodaje do kroplówki środek przeciwbólowy. Potem wszystko na jakiś czas zasnuwa mgiełka.

Kiedy ponownie się budzę, nie ma już przy mnie Mariah, natomiast pojawiła się Droga Dana Worth. Widzę ją po raz pierwszy od... a właściwie, kiedy byliśmy na cmentarzu? Trzy dni temu, cztery? Szpital, podobnie jak więzienie, niszczy naturalne poczucie czasu. Dana jest ubrana w sukienkę, co w jej wypadku jest niezwykle, i mam wrażenie, że jest w złym humorze.

Być może dziś jest niedziela i odwiedziła mnie w drodze z konserwatywnego kościółka, który tak uwielbia. Na sukienkę ma narzucony biały sweter i do tego białe buty - wygląda jak z małego miasteczka na Południu. Prawą rękę trzyma na temblaku. Jak mi wyjaśnia, pocisk odbity rykoszetem odłupał jej kawałek kości. - Ile szkół prawniczych może się pochwalić tym, że dwoje ich wykładowców zostało rannych jednej nocy? - dowcipkuje.

Staram się odwzajemnić jej uśmiech.

- Nie udało mi się go dogonić - oznajmia, zaciskając pięści. Uświadamiam sobie, że to na siebie jest zła. - Przepraszam, Misha.

- Nic nie szkodzi - mrużę, ale głos mam jeszcze słabszy niż przedtem, tak że nie wiem nawet, czy mnie słyszy.

- Potem wróciłam, żeby sprawdzić, co z tobą, i zobaczyłam tę kałużę krwi...

Powstrzymuję ją ruchem ręki. Nie chcę słuchać o tym, jak dzielnie przedostała się przez rurę melioracyjną i zbiegła ze wzgórza albo jak w przydrożnym sklepiku - być może tym samym! - zażądała dostępu do telefonu, a potem czekała na karetkę pogotowia i policję, a także na Samuela, który musiał otworzyć bramę, i poprowadziła ich w głąb cmentarza, uciszając ich pytania i wątpliwości, kiedy krążyli po cmentarnych alejkach, ani o tym, jak szalenie się starali, żeby mnie uratować, i wynosili mnie z terenu cmentarza bardziej umarłego niż żywego. Nie chcę o tym słuchać, po części dlatego, że Mariah i doktor Sierra już mi sporo opowiedzieli, ale główną przyczyną jest to, że wstydzę się, iż musiałem ją zwozić.

Tymczasem ona, z charakterystyczną dla siebie empatią, od razu wyczuwa moją niechęć do tego tematu i szybko zaczyna mówić o czym innym.

- Wszyscy w szkole prawniczej ci kibicują - zapewnia mnie, ściskając mi przy tym palce w sposób, w jaki to robimy, by okazać prawdziwe współczucie. Może już się mówi, że profesor Garland nie wyjdzie z tego.

- Wszyscy studenci chcieliby wiedzieć, co mogą dla ciebie zrobić. Oddać krew albo cokolwiek. A pani dziekan chce cię odwiedzić.

Akurat tego mi potrzeba. Potrząsam ze znużeniem głową. - A coco z wyznaczonym mi terminem? - udaje mi się powiedzieć.

- Żartujesz? Teraz nie ośmielę się ciebie zwolnić. Jesteśmy sławni, Misha, pisały o nas wszystkie gazety. - Uśmiecha się, ale widzę, że się do tego zmusza. Wskazuję na jej rękę i szepczę, że mi przykro.

- Nie szkodzi. - Poklepuje mnie po dłoni. - Nigdy jeszcze nie przeżyłam takich emocji.

- Nie powinnaś... nie powinnaś była...

- Daj spokój, Misha.

- Ja... czy oni... czy oni...

Nie mogę dłużej mówić, ale Dana rozumie, o co mi chodzi. Nie odpowiada od razu, tylko najpierw zerka na drzwi. - Tak, Misha, udało się. Z tego, co

wiem, kupili tę historię. To było dobre. - Grozi mi palcem. - Jesteś moim wielkim dłużnikiem, mój drogi, i kiedy stąd wyjdiesz... - Nie kończy. Uśmiecha się. Prawdę mówiąc, Dana ma niemal wszystko, czego pragnie. Trudno byłoby znaleźć coś, czego mogłaby ode mnie chcieć, nawet żartem. Jeśli czegokolwiek jej brakuje, znajduje to w swoim kościółku metodystów, poza tym to jest Boży problem, nie mój. Dana wzdycha i wzrusza ramionami. - W każdym razie, Misha, udało się.

Bezgłośnie wypowiadam słowo „Dziękuję” i mimo że czuję się coraz słabiej, próbuję dodać: *Mam nadzieję, że masz rację.*

Dana jest teraz wyraźnie zakłopotana albo ma już dość podnoszenia mnie na duchu. W każdym razie zrywa się na nogi, cmoka mnie w czoło, ściska mi rękę i wślizguje się w swój płaszcz. Przy drzwiach obraca się i jeszcze raz na mnie spogląda. - Przepraszam, że go nie złapałam - powtarza, gdy powoli traci świadomość.

Usiłuję jej powiedzieć, choć chyba nie udaje mi się wyartykułować słów, że osoba, która wystrzeliła do mnie trzecią kulę i której nie udało jej się złapać, to w istocie nie był on tylko ona. Nie znam jej prawdziwego imienia, ale kiedy po raz pierwszy ją ujrzałem, miała na nogach łyżworolki.

(II)

- O wiele lepiej dziś wyglądasz, kochanie - mamrocze moja żona, choć już wcale nie myśli o mnie jako o mężu.

- Wszystko dzięki tym pompkom - udaje mi się powiedzieć spierzchniętymi ustami. Jednak prawdą jest, że dziś siedzę i nawet piję przez słomkę. Okazuje się, że moja boląca szczeka została zdrutowana. Doktor Serra twierdzi, że ją złamałem, ale zupełnie nie pamiętam, kiedy.

Kimmer prezentuje jeden ze swych leniwych, ciepłych, tajemnych uśmiechów. Nalewa mi wody z karafki i zamyka kubek plastikowym wieczkiem. Potem pochyla się i wkłada mi słomkę do ust. Cierpię, patrząc, jak się porusza. Surowy krój czarnego kostiumu i kremowej bluzki nie maskują jej leniwej zmysłowości. Od kiedy tydzień temu usunęła mnie ze swojego życia, najwyraźniej rozkwitła. W tej chwili sprawia wrażenie bardzo szczęśliwej kobiety. A dlaczego nie? Jest wolna.

- Wystarczy? - pyta, ponownie siadając. Kiwam potwierdzająco głową. Uśmiecha się. - Lekarz mówi, że już niedługo będziesz mógł wstać i chodzić.

- Wspaniale.

- Kiedy pozwolą ci wyjść, możesz przyjechać do domu, jeśli chcesz - oznajmia z uśmiechem. Jednak mimo odurzenia lekami, dostrzegam kryjącą się w jej słowach pułapkę. Kimmer nie proponuje, żebyśmy odbudowali nasz związek. Oferuje mi tylko miejsce, w którym będę mógł dojść do siebie,

jej dom, w którym *ona* będzie mnie tolerować, a ja stanę się *jej* dłużnikiem.
- Mogłabym cię pielęgnować, dopóki nie wyzdrowiejesz, jak na filmach.

Naprawdę się stara, muszę jej to przyznać, ale nie mogę przyjąć tej oferty i ona dobrze o tym wie. Zatem nic nie mówię, tylko na nią patrzę, i w końcu uśmiech znika z jej twarzy. Spuszcza wzrok i stara się znaleźć mniej kontrowersyjny temat.

- Nie poznałbyś Bentleya, tak wyrósł. I bez przerwy gada. - Zupełnie jakbym go nie widział od miesiący czy lat, a nie od pięciu dni.

- Uhm - przyznaję.

- Nellie nie pokazywał się w naszym domu - dodaje cicho, instynktownie wyczuwając, czego się obawiam. - Nie zrobiłabym ci tego, Misha. Ani naszemu synowi.

Ciekawe, czy jest w tym choć odrobina prawdy. Kimmer jest doskonałym prawnikiem, zastanawiam się zatem przebiegle, jak definiuje słowa *pokazywał się*.

- Przykro mi, że tak się to wszystko ułożyło - stwierdza Kimmer nieco później i nawet ma łzy w oczach, kiedy trzyma moją dłoń w swoich rękach. Poklepuje jej palce.

- Mnie również - zapewniam ją.

- Nie rozumiesz tego. - Najwyraźniej chce wznowić kłótnię, którą już wygrała, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego.

- Nie teraz - proszę, zamykając oczy. Widzę przed sobą tylko promienną twarz Bentleya.

- Nie chodzi o to, że cię nie kocham, Misha - ciągnie nieszczęśliwym tonem, popychając moje serce coraz bliżej ku przepaści. - Kocham. Naprawdę. Tyle że... nie mogę... nie wiem.

- Kimmer, proszę cię, nie rób tego, dobrze?

Potrząsa głową. - Po prostu to wszystko jest tak skomplikowane! - wybuchła, tak jakbym ja miał z nas dwojga łatwiejsze życie. Lecz może biedna Sally miała jednak rację. - Ty nie masz pojęcia, jak to jest być mną!

- W porządku, Kimmer - szepczę, nie wiedzieć dlaczego - w porządku.

- To nie jest w porządku! Próbowałam, Misha, naprawdę próbowałam! Chciałam to zrobić jak należy. Dla ciebie, dla moich rodziców, dla naszego syna - dla wszystkich. Chciałam stać się taka, jak pragnąłeś, ale za bardzo szalałeś na moim punkcie. A może ja na twoim. W każdym razie, nie mogę już dłużej być tą osobą. Przykro mi.

- W porządku - mówię jej po raz trzeci, a może trzydziesty.

Kiwa głową. Zapada milczenie.

Wchodzi pielęgniarka, aby wykonać różne nieprzyjemne, lecz konieczne czynności, które pielęgniarki wykonują, i prosi moją już wkrótce byłą żonę, żeby poczekała na zewnątrz. Kimmer ociera łzy, podnosi się i stwierdza, że i tak już musi iść. Całuje mnie delikatnie w kącik ust i podchodzi dumnym

krokiem do drzwi, gdzie odwraca się do mnie i posyła mi półuśmiech i lekkie kiwnięcie dłonią, a przez cały czas jest tak niesamowicie pociągająca i zupełnie nie moja.

- Ma pan szczęście - stwierdza pielęgniarka.

Co najdziwniejsze, pomimo całego bólu, który odczuwam, przyznaję jej rację.

ROZDZIAŁ 53

Przybywa kolejny stary przyjaciel

(I)

Piątego dnia po operacji udaje mi się wstać i pospacerować przez kilka minut dziennie. Trzy dni później otrzymuję dwie metalowe kule, które mają mi zastąpić pomoc pielęgniarek. Potem biorą mnie w swe obroty straszliwe fizjoterapeutki, które śmieją się i zachęcają mnie do wysiłku miłymi słówkami, gdy ja cierpię i wielokrotnie prawie umieram. Po dziewięciu dniach ich niedelikatnej kurateli lekarze niechętnie przyznają, że jestem niemal gotów, by wrócić do domu.

Tego właśnie się obawiałem. Jak mam im powiedzieć, że nie mam miejsca, do którego mógłbym wrócić? Moja noga nie postanie na Hobby Hill, gdyż nie mam zamiaru mieszkać pod tym samym dachem z żoną, która nie tylko wyrzuciła mnie z domu, lecz na dodatek miała, lub ma nadal, romans z moim studentem. Dana zaproponowała, że mogę u niej nocować, jak długo to będzie konieczne, ale ze sposobu, w jaki to mówi, łatwo się domyślić, że Alison jest przeciwna temu pomysłowi. Rob Saltpeter zaprasza, żebym u niego zamieszkał, i nawet miałbym na to ochotę ze względu na bezpretensjonalną stabilność jego rodziny, jednak nie chcę sprawiać kłopotu ani jemu, ani jego nadzwyczajnej żonie, Sarze. Don i Nina Felsenfeld, nadal praktykujący sztukę *chessed*, również oferują mi gościnę, ale mieszkanie tuż obok żony, która już mnie nie chce, byłoby ciągłą torturą. Wujek Mal zostawia mi wiadomość, że będę mile widziany w jego domu w Vienna w Wirginii, jednak nawet mu nie odpowiadam. Dziekan Lynda wprawdzie nie proponuje mi mieszkania, ale dzwoni, żeby powiedzieć, iż mogę wziąć urlop na resztę semestru, i tym razem wyraża to całkiem miłym tonem.

Przy niewielkiej pomocy siostry White docieram wreszcie do kart z życzeniami powrotu do zdrowia, które leżą na parapecie okiennym. Wiele z nich przysłały osoby, które zazwyczaj to robią w podobnych sytuacjach - koledzy z uczelni, studenci, krewni. Jednak jest również kilka niespodzianek, takich jak pozdrowienia od przyjaciół z college'u, których nie widziałem od lat. Musieli przeczytać o tej strzelaninie w gazetach, ponieważ wszędzie o tym pisano. Są kwiaty od Mallory'ego Corcorana i szkoły prawniczej, kartka od Wallace'a Wainwrighta, i nawet od sierżant Bonnie Ames. Kolejna kartka, ze stemplem pocztowym międzynarodowego lotniska w Miami,

wysłana zapewne, gdy jej nadawca opuszczał kraj, przyciąga moją uwagę na dłużej, gdyż zdecydowanym, lecz kobiecym charakterem pisma napisano na niej słowa: *Przykro mi, Misha. Praca to praca. Cieszę się, że nic ci nie jest. Pozdrawiam, M.* Jakoś nie przypuszczam, żeby była od Meadows. Wyglądam przez okno i usiłuję pogodzić dwa obrazy - miłą, wieczorną przechadzkę po Vineyard i trzecią kulę, która omal nie pozbawiła mnie życia na Cmentarzu Staromiejskim.

Kilkakrotnie wpada do mnie Morris Young i opowiada mi o Bożej Opatrzności oraz o tym, co mówi Biblia na temat końca małżeństwa. Bóg chciałby, żeby małżeństwo trwało aż do śmierci, wyjaśnia, ale również wybacza nam, jeśli okazujemy skruchę, gdy nie postępujemy tak, jak on by sobie życzył.

Jego nauki nie przynoszą mi ulgi w cierpieniu.

Na trzy dni przed moim wyjściem ze szpitala przychodzi ktoś z księgozbiorem ze stosem dokumentów, które mam podpisać. Teraz mam okazję dowiedzieć się, jakim cudem mogłem przez cały czas przebywać w prywatnej sali. Urzędniczka pokazuje mi formularz przyjęcia do szpitala. Okazuje się, że płacą za to Mariah i Howard Dentonowie. W zasadzie mogłem się tego domyślić. Chcę już dzwonić do Howarda, żeby mu podziękować, kiedy do pokoju wpada Mariah. Oznajmia, że jestem już gotów do podróży, i informuje mnie, że kiedy nadejdzie „wielki dzień”, navigator będzie czekał na dole, a jest w nim dość miejsca, żebym mógł się wygodnie wyciągnąć podczas podróży do Darien.

Rozważam jej propozycję. Osobny domek gościnnie, przechadzki po siedmiu akrach porośniętych lasem, zapewne prywatna pielęgniarka i fizjoterapeutka, która doprowadzi mnie z powrotem do formy. A do tego konieczność wysłuchiwania Mariah przez cały długi dzień oraz pięcioro - nie, teraz sześcioro - dzieci, o które będę się potykał. Na dodatek tak daleko od mojego chłopca.

- Dziękuję bardzo - odpowiadam siostrze, nie mogąc się nadziwić, jak niewiele możliwości mam do wyboru.

Następnego dnia po południu wpada do mnie agent Nunzio i liczę się z tym, że ich liczba może się jeszcze bardziej skurczyć.

(II)

- Nie mogę powiedzieć panu wszystkiego - zastrzega na wstępie smutnym tonem, jakby tego żałował.

- A może mi pan w ogóle coś wyjaśnić?

- To zależy, co chciałby pan wiedzieć.

- Proszę zacząć od wyjaśnienia wszystkich kłamstw - proponuję.

Nunzio przeczesuje dłonią błyszczące czarne włosy. Kiedy się odzywa, twarz ma częściowo odwróconą ode mnie. Najwyraźniej wolałby tu nie przychodzić. Mallory Corcoran musiał pociągnąć za wszystkie sznurki, żeby zmusić Biuro do przysłania agenta z Waszyngtonu, który poinformuje mnie o przebiegu wypadków. No, ale wujek Mal jest mi winien o wiele więcej. O, tak!

- Dokładnie rzecz biorąc, nikt pana nie okłamywał, profesorze Garland - zaczyna agent Nunzio. Stosunki między nami znów są oficjalne.

- Nie? Pan z pewnością.

- Ja?

Kiwam głową. Siedzę na fotelu pod oknem, a słońce ogrzewa mi kark. - To nie przez przypadek właśnie pan przyszedł mnie przesłuchiwać po wizycie fałszywego agenta na Shepard Street. Gdybym nie był wtedy tak zdenerwowany innymi sprawami, na pewno bym na to wpadł. Biuro zadziało wówczas niezwykle szybko, prawda? Jednak powodem nie było to, że ktoś się pod was podszywa, tylko już wtedy podejrzewaliście, że to może być Colin Scott. Zgubiliście jego trop, prawda? Potrzebowaliście mojej pomocy, żeby ponownie go odnaleźć.

Nunzio wpatruje się w aparaturę stojącą przy moim łóżku. - Może rzeczywiście tak to mniej więcej było.

- Nie mniej więcej, tylko właśnie tak. Chyba miałem zaćmienie umysłu, że się nie zorientowałem. Pan nigdy nie usiłował mnie zniechęcić do poszukiwań. Nie mówił pan, że zwariowałem. Nie kazał mi odczepić się od tej sprawy. Dzwoniłem do pana z najbardziej szalonymi teoriami, a pan zawsze traktował je poważnie. A wszystko to dlatego, żebym nie zaprzestał poszukiwań. Liczył pan, że odnajdę dla pana Scotta.

- Być może.

- Dlatego Bonnie Ames zadała mi te wszystkie pytania na temat ustaleń. To były pańskie pytania, nie jej. Pan nie chciał mnie oficjalnie przesłuchiwać na ten temat, żebym nie nabrał podejrzeń. Zatem kazał pan jej to zrobić.

- Możliwe.

- Możliwe. Słusznie. A wszystko to dlatego, że chciał pan, żebym wyplószył Colina Scotta. Mordercę.

- Ale nie groziło panu żadne niebezpieczeństwo - wzdycha, w końcu docierając do sedna sprawy.

- Przez cały czas wszyscy mi to powtarzali. Jednak proszę spojrzeć na to. - Podnoszę szpitalną koszulę i pokazuję mu bandażę pokrywającą cały brzuch. Nie odwraca wzroku, widywał już gorsze rzeczy.

- Przykro mi z tego powodu, profesorze, naprawdę przykro. Może powinniśmy byli dać panu oficjalną ochronę. Od czasu do czasu mieliśmy na pana oko. Nawet pan o tym nie wiedział, ale nieraz ktoś pana pilnował.

Jednak kiedy Scott zmarł - a właściwie, kiedy wszyscy w to uwierzyli - sądziliśmy, że nic już panu nie grozi. Najwyraźniej przeliczyliśmy się.

- Z pewnością. - Staram się zebrać uciekające szybko siły. - Teraz proszę mi opowiedzieć o Ruthie Silverman.

- O pani Silverman? Ale co?

- Ona jest zastępcą doradcy Białego Domu. Pomaga wybierać sędziów.

- Wiem o tym. Nie rozumiem tylko, dlaczego pan o niej wspomina.

- Doskonale pan wie, o czym mówię. Nigdy nie było mowy o tym, żeby moja żona została sędzią federalną, prawda? To była wyłącznie przykrywka, dzięki której mogliście badać sprawy mojej rodziny pod pozorem sprawdzania przeszłości kandydatki. Natychmiast ją zlikwidowaliście, kiedy okazało się, że przeszkodzi mi to w spotkaniu z Jackiem Zieglerem.

- A o co właściwie nas pan podejrzewa? Co takiego ukrywaliśmy?

- Nie, to pan mi to powie. - Chcę dalej napierać, ale jestem zbyt zmęczony. - Ja mam już dość zgadywania.

Agent specjalny Nunzio rozprostowuje silne ręce, splata palce, strzela kostkami. Jego ramiona niemal rozsadzają ciemny garnitur. Drugi podobnie ubrany agent czeka na korytarzu i podejrzewam, że rozmowa sam na sam, jaką prowadzi ze mną Nunzio, jest niezgodna z zasadami Biura. Najwyraźniej Waszyngtonowi zależy na tym, by można było wyprzeć się wszystkiego, co mi powie.

- Myli się pan, profesorze. Pani Silverman nie okłamywała pana, podobnie jak nikt z Białego Domu. Oni nie mieli z tym nic wspólnego, nie w takim sensie, jak pan myśli. Pańska żona naprawdę była kandydatką na to stanowisko. Myśmy tym nie manipulowali. Nie sądzę, żebyśmy mieli takie możliwości. Proszę pamiętać, że to my podlegamy Białemu Domowi, a nie na odwrót. Jednak nie ulega wątpliwości, że wykorzystaliśmy tę sytuację. Dzięki niej udało nam się dotrzeć do spraw, których inaczej nie moglibyśmy zbadać.

- Jak finanse mojego brata.

Teraz czuje się naprawdę zażenowany. - Nie chodziło o pańskiego brata, profesorze. Nazwałbym to... zbiegiem okoliczności.

- Doprawdy? Biuro sprawdza przeszłość jakiejś Kimberly Madison i zupełnie przypadkowo zdobywa informacje o problemach finansowych jej szwagra?

- Musieliśmy sprawdzić każdy trop - wyjaśnia obłudnie.

- Nie. W tym wszystkim musiało być coś jeszcze. To nie chodziło nawet o samego Colina Scotta. On był... on był... - Nie potrafię znaleźć właściwego słowa. Potem na nie wpadam, dzięki ojcu. - On był pionkiem, prawda? Podobnie jak ja. Jeden biały pionek, jeden czarny.

Nunzio nie zwraca uwagi na moje ostatnie słowa. - Colin Scott był złym człowiekiem, panie Garland. Nasze Biuro zajmuje się właśnie łapaniem

złych ludzi.

- Rzeczywiście? Zatem to Biuro zastrzeliło go na cmentarzu?

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiada Nunzio z nadmiernym pośpiechem. Nie sądzę, żeby kłamał. Po prostu nie mówi mi całej prawdy. FBI wprawdzie nie zabiło pana Scotta, ale doskonale wie, kto to zrobił. Jednak nigdy mi tego nie powiedzą. Nie szkodzi - ja też nie zdradzę im wszystkich swoich tajemnic. Chciałbym tylko wiedzieć, czy mogliby mi powiedzieć, gdzie ona jest.

Jestem zmęczony i boli mnie tyle części ciała, że mój układ nerwowy nie potrafi zdecydować, który ból najpierw sygnalizować. Zatem wysła wszystkie sygnały na raz. Okropnie swędzą mnie miejsca, gdzie założono szwy na brzuchu, ale nie mogę się tam podrapać. Doktor Serra ostrzegł mnie, że nie zamierza zaczynać całej pracy od początku.

- Proszę mi powiedzieć o Foremanie - odzywam się spokojnie. - On jest jednym z waszych, prawda?

Nunzio na chwilę przymyka oczy i wzdycha. - On nie był z Biura, tylko z... ze współpracującej z nami agencji.

- Był?

- Pewien myśliwy znalazł jego szczątki w lasach na północy stanu. Nie był to przyjemny widok. Widział pan fotografie Freemana Bishopa, prawda? No, więc to było sto razy gorsze.

- Przykro mi - mamrocze, rozsądnie powstrzymując się przed wyobrażaniem sobie, co może być sto razy gorsze od tego, co zrobiono ojcu Bishopowi.

- Foreman był dobrym człowiekiem. Współpracował ze Scottem przy okazji pewnej transakcji związanej z bronią. Mniejsza o to, gdzie. W każdym razie chodziło o to, żeby zdobył zaufanie Scotta. No, i udało mu się, a przynajmniej tak sądziliśmy. Kiedy Scott wrócił zza granicy, żeby szukać ustaleń pańskiego ojca, wziął sobie Foremana do pomocy.

- Albo po to, żeby mieć go na oku. - To, co Nunzio wcześniej mówił o Foremanie, wskazywałoby, że pracował w Centralnej Agencji Śledczej. W sensie prawnym to by się zgadzało, skoro operacja przeciw Scottowi rozpoczęła się za granicą. - Kto wie, czy Scott nie podejrzewał go od samego początku...

- Tak, to możliwe. - Znów wzrusza ramionami. - W każdym razie niewątpliwie w którymś momencie zaczął go podejrzewać.

- Teraz rozumiem. Nie straciliście z oczu Scotta, tylko Foremana. To dlatego... to dlatego...

Dlatego wpadliście w panikę. Jednak postanawiam tego nie mówić. Dlatego zachęcaliście mnie do poszukiwań i powtarzaliście, że nic mi nie grozi. Wiedzieliście, że Foreman wpadł w kłopoty, i liczyliście, że doprowadzę was do Scotta.

Przymykam oczy. Ból obejmuje już całe ciało i marzę o tym, żeby położyć się z powrotem do łóżka. Jednak muszę poruszyć jeszcze jedną sprawę. - I to był wasz cel, co? Sprowadzenie Scotta z powrotem do Stanów Zjednoczonych? Taki był cel całej operacji?

- Nie wiem, o czym pan mówi, profesorze - broni się.

- Dobrze pan wie. Sędzia... mój ojciec zmarł i z pewnością ktoś przekonał Scotta, że w tej sytuacji mogą wyjść na jaw sprawy, które wolałyby utrzymać w tajemnicy.

- A, rozumiem. Tak, zgadza się.

Znowu odpowiada mi zbyt szybko, z tonem nieszczerości w głosie. Co tu się dzieje? Jeszcze jedno pytanie, gdyż trudno o lepszą okazję, by je zadać.

- W takim razie... czy mój ojciec w końcu został zamordowany, czy nie?

Widok rozmyślającego Freda Nunzio, który pociera podbródek i zezuje, jest sam w sobie przerażający. - Nie, profesorze - odzywa się w końcu. - Nie sądzimy, żeby został zamordowany.

Nawet mój zamroczony środkami przeciwbólowymi umysł odbiera jego słowa jak uderzenie błyskawicy. - Nie *sądzicie*?

- Nie ma żadnych dowodów popełnienia morderstwa. Nikt nie zyskuje na jego śmierci. Zatem jesteśmy raczej pewni, że to był atak serca, tak jak ustalono podczas autopsji.

- Raczej pewni?

Rozkłada ręce. - W życiu wszystko jest prawdopodobieństwem, profesorze, nie pewnością.

Może i ma rację. Obecnie rzeczywiście nic nie wydaje się na sto procent pewne. Tyle czasu minęło, a ja nadal miotam się w miejscu.

- Agencji Nunzio?

- Tak, profesorze?

- A ci dwaj mężczyźni, którzy mnie zaatakowali na terenie kampusu? Ci, którym... którym obcięto palce?

- Ale o co chodzi?

- Sądzi pan, że to sprawka Jacka Zieglera, prawda?

- A czyja? Chronił pana i pańską rodzinę. Okaleczenie mężczyzn, którzy pana zaatakowali, było zapewne formą ostrzeżenia.

- Ale ostrzeżenia dla kogo?

Ponownie mam wrażenie, że dotknąłem sprawy, którą wolałyby zachować dla siebie. - Dla każdego, kto się tym interesował - odpowiada w końcu.

- Przecież wszyscy już wiedzieli o jego... jego dekreście.

- Najwyraźniej nie. - Znów się uchyla od konkretnej odpowiedzi.

- Skoro... skoro wiecie, że to Jack Ziegler za tym stoi, to dlaczego go nie aresztujecie?

Oczy Freda Nunzio przybierają kamienny wyraz. - Oficjalnie wcale *nie* wiem, czy on to zrobił, profesorze Garland. Nigdy *oficjalnie* nie wiadomo,

że on cokolwiek zrobił. A właściwie, wszyscy o tym wiedzą, ale nie mogą udowodnić. Kiedy sprawa ma związek z pańskim wujkiem Jackiem, zawsze brakuje dowodów.

Chrząkam, a Nunzio nie jest tym zachwycony.

- Ile właściwie pan wie o wujku Jacku?

- Tyle, ile przeczytałem w gazetach.

- W takim razie wyjaśnię panu kilka spraw. Jack Ziegler jest kimś w rodzaju pośrednika, człowiekiem, który siedząc, powiedzmy, w Cali w Kolumbii, może pokierować przyjaznym przejęciem firmy działającej w Turcji. Wszyscy mu ufają, ponieważ, jeśli skłamię, zapłaci za to własną krwią. Jego honorarium jest ustalane jako procent wartości przeprowadzanej transakcji. Sądzę, że można go nazwać bankierem inwestycyjnym świata przestępczego. Szacujemy, że jego roczne przychody wynoszą dwadzieścia do dwudziestu pięciu milionów dolarów.

- To dlaczego nie siedzi w więzieniu? - nie przestaję kontratakować.

- Bo nie potrafimy niczego udowodnić.

Usiłuję uporządkować sobie ten obraz - obraz człowieka, który żyje z dotrzymywania słowa, i którego obietnice są szanowane do tego stopnia, że... że może...

Och!

Mimo wszystko nie potrafię powstrzymać się od uśmiechu.

- O co chodzi, profesorze? Co pana tak bawi?

- Nic, nic. Ja tylko... Proszę posłuchać, jestem już zmęczony. Muszę się położyć. Czy pomoże mi pan położyć się z powrotem do łóżka?

- Co? Ach, tak, oczywiście.

Wspieram się na nim, zarzucając mu rękę na ramię, a on na poły mnie ciągnie, na poły niesie do wytęsknionego schronienia, jakie zapewnił mi szpital.

Po drodze zadaję mu jeszcze jedno pytanie: - Zatem, o co było tyle hałasu z tym Colinem Scottem? Dlaczego warto było organizować całą operację, żeby go ściągnąć do kraju? - Waha się z odpowiedzią. - Wyręcę pana. Tego też nie muszę wiedzieć, prawda?

- Przykro mi, profesorze.

- Nie ma sprawy. - Wyciągam rękę i dzwonię po pielęgniarkę, która pojawia się niemal natychmiast. Poprawia mi pościel i podłącza wszystkie potrzebne czujniki.

- Skrzynka - szepczę, gdy pielęgniarka wykonuje swoje zajęcia. - Dowiedzieliście się, kto ją zabrał?

- Jeszcze nie - odpowiada ponurym, zdecydowanym tonem. Uświadamiam sobie, że czuje się zawstydzony obrotem spraw. - Ale go znajdziemy.

- Mam nadzieję.

Rzuca mi dziwne spojrzenie. Zaczynam się denerwować, czy nie zdradził

mnie mój ton. - Jak pan to rozszyfrował? - Tym razem on zadaje pytanie. - Chodzi mi o list pańskiego ojca. Co nasunęło panu myśl o cmentarzu?

- Kiedyś opowiadałem mu... to znaczy swojemu ojcu... pewną historię o tym cmentarzu. Kawał czasu temu. Osobistą historię. Może sądził, że od razu zrozumie, iż chodzi mu o ten cmentarz. Nie wiem. Ja jednak... Mnie to na jakiś czas wyleciało z głowy.

Nie patrzę agentowi Nunzio w twarz, która przybrała teraz twardy wyraz. Sądzi, że coś przed nim ukrywam, i ma rację. - A co sprawiło, że pan sobie przypomniał? - pyta ostrym tonem. To właściwe pytanie, żeby przyłapać mnie na kłamstwie, tyle że ja już dawno przygotowałem sobie odpowiedź.

- Dwa pionki - mówię ze znużeniem. - Jeden dostarczono mi wewnątrz szkoły, drugi na zewnątrz.

- I co z tego?

- Białe pionki i czarne ... rozdzielone murami szkoły prawniczej. Mój ojciec stale powtarzał... - Ziewam. Wcale nie udaję wyczerpania. - Często powtarzał, że nasze... nasze nacje rozdzielił mur i rozdziela je nawet po śmierci.

- Nie rozumiem.

- Cmentarz Staromiejski. Dawniej była tam specjalnie wydzielona część dla czarnych, rodzaj cmentarza wewnątrz cmentarza, a... a mój ojciec chętnie tam spacerował.

Nunzio rzuca mi sceptyczne i groźne spojrzenie przedstawiciela władzy. Jednak nie mam dość sił, żeby poczuć się należycie zastraszone. Spoglądam na niego przez mgiełkę bólu i wyczerpania. - Dobrze pan się spisał, profesoro - mówi w końcu.

- Dziękuję - mruczę, ponownie się odprężając. - I dziękuję za przyjście.

- Nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie. - I rzeczywiście jest zadowolony, dobrze o tym wiem. Cieszy się, że tak łatwo mu ze mną poszło.

Patrzę, jak wychodzi, i uśmiecham się do siebie, a moje ciało powoli pograża się we śnie. Nie wie, powtarzam sobie, zadowolony z własnego sprytu. Nikt nie wie, poza Daną. Zwiedliśmy Colina Scotta, Maxine, a nawet FBI.

Skrzynka, za którą zginął Colin Scott, i dla której obydwójce z Daną omal nie straciliśmy życia, jest bezwartościowa. Pakunek w środku jest pusty. Wiem o tym, gdyż tak brzmiały moje instrukcje, kiedy miesiąc temu, nie mogąc sam działać, jako że byłem śledzony, poprosiłem Danę podczas lunchu w „Poście”, żeby kupiła metalową skrzynkę i zakopała ją na cmentarzu.

ROZDZIAŁ 54

Niepewny powrót

(I)

Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile czasu wypełnia mu rodzina, dopóki jej nie straci. W dniu wyjścia ze szpitala spędzam kilka godzin z Bentleyem, bawiąc się z nim na podwórku domu przy Hobby Road, podczas gdy Kimmer pracuje przy stole w kuchni. Moje rzeczy leżą spakowane w holu. Kimmer i Mariah razem pakowały torby - zawarły chwilowy rozejm, gdyż każdą cieszyła bliska perspektywa zdobycia tego, na czym jej zależy. W tym czasie Felsenfeldowie wpadają na chwilę, żeby się ze mną przywitać, choć jestem przekonany, że pragnęli też zapobiec ewentualnym nieporozumieniom między nami. Po ich wyjściu wdajemy się z Kimmer w jeszcze jedną kłótnię, przez wzgląd na stare, dobre czasy. Prawdopodobnie ja ją rozpoczynam, ale Kimmer niewątpliwie kończy.

Siedzimy w kuchni, gawędząc leniwie, jak każdego innego dnia, kiedy nie bardzo jest już o czym rozmawiać, a ja w końcu mówię to, co każdy małżonek w mojej sytuacji musi powiedzieć: - Ja tego po prostu nie rozumiem, Kimmer. Naprawdę nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz? - wyczuwam jej wrogość, która narastała od dnia, gdy po raz pierwszy odwiedziła mnie w szpitalu. Może przyczyną było to, że wobec zbliżającego się rozstania, wszystkie nasze decyzje stały się nagle bardzo realne.

- Co w nim widzisz. W Lionelu.

- Przede wszystkim - odpowiada spokojnie - przy nim robię rzeczy, które tobie nawet nie przyszyby na myśl.

- Na przykład jakie? - pytam niemądrze, niwecząc tą niewłaściwą reakcją swoją ostatnią szansę przekonania jej, żeby do mnie wróciła. Tyle że zapewne i tak jest na to o wiele za późno. Poza tym kłębi mi się w głowie zbyt wiele myśli, żeby pozostało jeszcze miejsce na ostrożność. Myślę: Dziwaczne praktyki seksualne. Chodzenie boso po śniegu. Narkotyki.

- Na przykład czytam! - wyrzuca z siebie ze złością, ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu. - Nellie nie jest taki jak ty, Misha. Nie myśli, że jest dwa razy mądrzejszy ode mnie!

Z trudem się powstrzymuję, żeby jej nie spytać, dlaczego, skoro jestem dwa razy od niej mądrzejszy, ona zarabia dwukrotnie tyle, co ja. W rzeczy-

wistości nigdy nie sądziłem, żebym był od niej mądrzejszy - to ona żyła w takim przekonaniu. Kiedy po raz pierwszy się we mnie zakochała, powiedziała, że podziwia moją, jak to nazwała, błyskotliwość. Odparłem, że nigdy nie byłem szczególnie błyskotliwy, a wówczas rozgniewała się i oskarżyła mnie o fałszywą skromność.

Poza tym okazała się na tyle inteligentna, by zrozumieć, że nie uda jej się całkowicie ukryć swojego romansu, i dostatecznie sprytna, by skierować moje podejrzenia na Jerry'ego.

- Czy naprawdę sądzisz, że ten... hm... związek to coś poważnego?

- To nie jest *związek* - poprawia mnie z precyzją znawcy. - To po prostu coś, co się zdarzyło. Jedna z tych rzeczy. On twierdzi, że mnie kocha, ale to raczej skończone. - Mówi teraz miękkim, zadowolonym z siebie tonem i mam wrażenie, że nie odwzajemnia jego miłości. Raczej traktuje Nelliego jako zdobycz. Wielki Lionel Eldridge, który mógłby mieć połowę kobiet w tym mieście, wybiera ją, niemal o dziesięć lat od niego starszą. Jednak zdaję sobie sprawę, że nawet to nie jest jeszcze cała prawda. Wyobrażam sobie Lionela - w którym tli się gniew na mnie, gdyż jest przekonany, że potraktowałem go niesprawiedliwie podczas zeszłorocznego seminarium - jak pracuje w kancelarii Kimmer i ogląda ją codziennie w eleganckich kostiumach w prążki, poruszającą się pewnym krokiem w świetle, gdzie ona jest wielką gwiazdą, a on zaledwie nowicjuszem, w świetle, do którego on zapewne nigdy się nie dostanie, a który Kimmer i ja już dawno podbiliśmy. Jak w takiej sytuacji mógłby się oprzeć pokusie wypróbowania swego uroku? Z jednej strony bezsensownie surowy profesor Garland, na którym nie robi wrażenia sława Słodkiego Nelliego, a z drugiej jego żona, Kimberly, wysoka, pociągająca i pozornie nieosiągalna. Widzę Lionela, jak rozmyśla przy swym biurku w przydzielonym mu kąciku, stale na nowo rozważając ten pomysł, jak spekuluje, knuje intrygi, zastanawia się, czy moja żona nie mogłaby mu posłużyć do odplacenia mi pięknym za nadobne. Wyobrażam sobie jego pierwsze próby zwrócenia na siebie uwagi - zapewne odtrącone, ale niezbyt zdecydowanie, gdyż Kimmer, jak ostrzegła mnie jeszcze przed naszym ślubem, zawsze szuka czegoś nowego.

A może wcale nie chodziło o mnie i inicjatywa wyszła od mojej żony. Jest również całkiem możliwe - zgodnie z wyjaśnieniami Kimmer - że to była po prostu „jedna z tych rzeczy”, które czasem nam się przytrafiają.

- On jest żonaty - wytykam jej.

- Ale *jej* nie kocha - prycha Kimmer.

Ona to żona Lionela, Pony, była modelka lub aktorka, matka jego dwójki dzieci.

- To znaczy, że on też od niej odchodzi?

- Któż to wie? Wszystko samo się jakoś ułoży.

Dyskusja pozostaje nierozstrzygnięta, gdyż nie ma sensu jej rozstrzygać.

Wracam na podwórko, żeby dalej bawić się z Bentleyem, a moja żona zabiera się z powrotem do pracy, którą rozłożyła na kuchennym stole. Zaczyna już zapadać wieczór, kiedy moja siostra przyjeżdża na» wigatorem, żeby mnie zabrać wraz z moimi bagażami. Żegnaję się z Bentleyem, który ku mojemu zdziwieniu nie płacze - choć taki mały, już jest prawdziwym Garlandem - i zastanawiam się, co matka mu powiedziała o moim wyjeździe. Widzę bowiem, że nie stara się być dzielny, tylko po prostu nie jest zmar-twiony.

Kimmer nie całuje mnie, nie ściska ani nawet nie uśmiecha się do mnie. Ubrana w dżinsy i ciemny sweter, stoi niedaleko progu, przez który ze śmiechem ją przenosiłem w dniu, kiedy się tu sprowadziliśmy. Cichym głosem przypomina mi, że mogę widywać syna, ilekroć zechcę, tylko żebym przedtem zadzwonił - przez co chce powiedzieć, że to ona decyduje o moich kontaktach z synem i chce, żebym o tym wiedział. Jeszcze mi nie wybaczyła, chociaż nie mam pojęcia, czego. Kimmer od kilku tygodni nie ścinała włosów i teraz z tą fryzurą afro, zasłaniającą widok na resztę domu, z gniewem bijącym z ciemnej, wrażliwej twarzy wygląda jak jeden z czarnych bojowników sprzed wielu lat. Powinna jeszcze trzymać pięść uniesioną w górę, w drugiej ręce transparent i skandować: *Wystarczająco dużo władzy dla właściciwych ludzi!* Oczywiście, żaden z czarnych bojowników tego nie wykrzykiwał, ale większość z nich o tym właśnie myślała. Tak przynajmniej utrzymywał Sędzia, ze złością odrzucając żywiołową retorykę radykałów z czasów mojej młodości. *Oni wcale nie wiedzą, czego chcą. Wiedzą tylko, że chcą tego natychmiast, i że w tym celu nie zawahają się użyć „wszystkich koniecznych środków”.*

Cóż, Kimmer niewątpliwie wie, czego chce, i jest gotowa zniszczyć naszą rodzinę, żeby to osiągnąć. Na taki zarzut zapewne odpowiedziałaby, że gdyby jeszcze choć dzień dłużej tkwiła w tym małżeństwie, to by ją dobiło, a biorąc pod uwagę moje dziwaczne zachowanie w ostatnich miesiącach, trudno mi ją za to winić. Może od samego początku nie pasowaliśmy do siebie, tak jak twierdziła moja rodzina. Nie mogę ukrywać, że ślub był moim pomysłem. Kimmer tak się sparzyła na swoim pierwszym małżeństwie, że wcale jej na tym nie zależało, wręcz przeciwnie. Tłumaczyła mi wówczas, że tworzymy tylko „przejściowy związek”, używając okrutnego, choć wygodnego określenia pochodzącego z nastawionych na przyjemności lat sześćdziesiątych. Przekonywała mnie, że nie jesteśmy dla siebie odpowiednimi partnerami i z pewnością niebawem każde z nas znajdzie sobie kogoś lepszego. Nawet kiedy w końcu ją przekonałem, żeby za mnie wyszła, zapatrywała się na to pesymistycznie.

- Teraz jesteś na mnie skazany - szepnęła po ceremonii ślubnej, gdy odjeżdżaliśmy białą limuzyną. - To był wielki błąd - powtarzała w czasie kłótni dziesiątki razy w ciągu późniejszych lat, mając na myśli naszą decyzję

o ślubie. Jednak, choć można mnożyć argumenty przemawiające za tym, by źle dobrani partnerzy nie zawierali małżeństwa, to jednak nasze trwało niemal dziesięć lat i w tym czasie doczekaliśmy się dziecka.

Jaka szkoda, że bardziej się nie staraliśmy, myślę ze ściśniętym sercem. Niewątpliwie moje przewiny są równie wielkie jak Kimmer, ale i tak powinniśmy bardziej się starać. Zastanawiam się, czy tego nie powiedzieć, a może nawet zaproponować, żebyśmy jeszcze raz spróbowali, ale twardy wyraz twarzy moje żony mówi mi, że ona już nie bierze tej możliwości pod uwagę.

Nasze małżeństwo naprawdę się skończyło.

- Chodźmy już - szepce Mariah, ciągnąc mnie za rękę, gdyż stoję jak wrośnięty w ziemię, wpatrując się w swoją żonę, która bez mrugnięcia okiem odwzajemnia moje spojrzenie.

- Dobrze - mówię w końcu cicho, z trudem odrywając wzrok od Kimmer, walcząc z gorącą wilgocią w kącikach oczu i pragnąc zachować się tak, jak w podobnej sytuacji zachowałby się Sędzia, tyle że on nigdy nie znalazłby się w tak kłopotliwym położeniu.

Chwileczkę.

Czuję, że coś mi świta, jakieś skojarzenia: Sędzia, który nie wpędziłby się w takie kłopoty, moja żona stojąca w holu w bojowej postawie

- obrazy, które wpasowują się w treść mojej ostatniej rozmowy z Alną, i w ten sposób, ku mojemu zdumieniu, ostatni kawałek układanki trafia na swoje miejsce.

Mariah i ja jedziemy Hobby Road, oddalając się od eleganckiego domu, w którym mieszkałem ze swoją rodziną aż do dnia, kiedy zostałem postrzelony. Nie patrzę we wsteczne lustro, gdyż mój ojciec nigdy by tego nie zrobił. Staram się natomiast nakreślić linię, o której nieustannie mówił. Proces ten będzie równie przyjemny, jak usuwanie ważnego organu, ale nigdy nie jest zbyt wcześnie, by zacząć planować. A jednak mimo tego wszystkiego, co mnie spotkało, w najgłębszym zakamarku mojego umysłu znalazło się miejsce na radosne podniecenie.

Wiem, kim jest chłopak Angeli.

(II)

Po dość nerwowej jeździe docieramy do Darien i wprowadzam się do domku gościnnego Mariah. Od tej pory jestem członkiem jej rodziny. Przez dwa tygodnie jem zdrowe posiłki przygotowane przez jej kucharkę, spaceruję po dobrze utrzymanym terenie i pływam w ogrzewanym, krytym basenie o nieregularnym kształcie, a odpoczynek, jedzenie i ćwiczenia pomagają mi odzyskiwać siły. Zachwygam się szczerze niemowlęciem i telefonuję do Bentleya rano i wieczorem. Bawię się z rozpuszczonymi dziećmi siostry, a wie-

czorami wysłuchuję jej fantastycznych teorii, które opowiada, zmieniając kanały w telewizorze w poszukiwaniu kolejnego teleturnieju. Howarda prawie nigdy nie ma w domu, gdyż albo nocuje w mieście, albo podróżuje w najdalsze zakątki świata. Zatem siedzimy razem z Mariah na importowanej kanapie z welurowej skóry w pokoju rodzinnym o długości dwunastu metrów, znajdującym się w domu o powierzchni niemal ośmiuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Wszystkie meble mają tak precyzyjnie wyznaczone miejsca, że dzieciom w zasadzie nie wolno bawić się na parterze. Mam wrażenie, że znajduję się w środku ekspozycji magazynu meblowego, i rzeczywiście - Mariah oznajmia mi smutnym tonem, że dekorator wysłał zdjęcia do *Architectural Digest*, ale nic z tego nie wyszło. Jej ton sugeruje, że to prawdziwa porażka.

Obserwuję swoją siostrę, jak stara się nie poddawać samotności pośród całego tego bogactwa, gdzie *au pair* wychowuje dzieci, kucharka gotuje posiłki, a później po nich sprząta, ogrodnik przychodzi co drugi dzień, by zadbać o rośliny i skosić trawę, sprzątaczką wpada dwa razy w tygodniu i robi, co należy, żeby wszystko lśniło, a księgowy dzwoni co kilka dni i omawia ostatnie rachunki. Kiedy się temu wszystkiemu przyglądam, dochodzę do wniosku, że Mariah nie ma zupełnie nic do roboty. Płacą wraz z Howardem innym ludziom za robienie tego wszystkiego, co zdaniem osób mojego pokroju, pochodzących z klasy średniej, człowiek dorosły powinien wykonywać sam. Oprócz regularnego karmienia piersią małej Mary, Mariah pozostały tylko zakupy, oglądanie telewizji i urządzanie domu. Widząc to, zaczynam zabierać ją w różne miejsca - do kina, do centrum handlowego czy na wystawy, gdzie kuśtykam wsparty na lasce, jednocześnie pchając z Mariah wózek z Mary, podczas gdy jeszcze kilkoro jej dzieci podąża naszym śladem. Mariah jest tak niespokojna, że niewiele rzeczy ją interesuje. Usiłuję z nią rozmawiać, to o najnowszym skandalu w Waszyngtonie, to znów o ostatniej książce Toni Morrison, która jest jej ulubioną pisarką od czasu „*The Bluest Eyes*”. Zadaję pytania o dzieci, na co wzrusza ramionami i odpowiada, że jestem tu, więc sam mogę zobaczyć, co się z nimi dzieje. Pytam o lekcje golfa i słyszę, że na to jeszcze o wiele za zimno. Przypominam sobie, jak Sally mówiła, że chodziły razem do klubów, więc proponuję, żebyśmy gdzieś wyszli posłuchać jazzu, lecz Mariah odpowiada, że nie ma nastroju. Nic nie sprawia jej przyjemności. Sprawia wrażenie zbyt nieszczęśliwej, by przejmować się swoją depresją.

Pewnego popołudnia wpada kilka jej przyjaciółek z tutejszego hrabstwa Fairfield, bogatych białych żon poznanych w różnych klubach, których przesadna szczupłość jest efektem pracy osobistego trenera, a plotkarska ospałość skutkiem życia równie pustego, jak życie Mariah. Siedzą apatycznie na oszklonej werandzie wyłożonej błyszczącymi srebrno-białymi kafelkami, popijają lemoniadę, tylko dlatego, że tam stoi, i przyglądają mi się z nie-

ukrywanym zaciekawieniem, a nawet niepokojem - nie dlatego, że zostałem postrzelony, uświadamiam sobie w końcu, tylko dlatego, że należę do ciemniejszej nacji. Sprawia to wrażenie, jakby pozwalając Mariah wejść do swojego elitarnego kółka, opanowały sztukę zapominania, że jest ona czarna. W tej sytuacji odgrywam rolę ducha, który zawiał na ich elegancki bankiet i zmusza je do przypomnienia sobie niewygodnych faktów, które wyrzuciły ze swojej świadomości.

Zastanawiam się, czy ich agnoscję można uznać za postęp w dziedzinie sprzedzeń rasowych.

Czasem Mariah do późna w nocy przesiaduje w bibliotece, gdzie po zalogowaniu się do America Online, co trwa błyskawicznie, gdyż zainwestowali z Howardem w szybkie łącze, gawędzi z przyjaciółmi z całego świata. Obserwuję, jak na jej ekranie wyskakują kolejne odpowiedzi i dochodzę do wniosku, że w cyberprzestrzeni nie jest bynajmniej samotna. Być może w tej formie kontaktów z ludźmi pociąga ją ich anonimowość. Wśród tych znajomych jest kilku zajmujących się teoriami spiskowymi, i choć nigdy nie zdradziła im, kim jest, nadsyłają jej w najrozmaitszej formie informacje o tym, jak „naprawdę” Sędzia umarł. Mariah pokazuje mi specjalny *chat room* poświęcony wyłącznie temu tematowi. Staram się śledzić wymianę zdań, dotyczącą między innymi zeznań świadków, których, jak wiem, wcale nie było, oraz dowodów, które nie istnieją. Patrząc na to wszystko, pragnę zrozumieć, co się dzieje w udręczonym umyśle mojej siostry. Mariah celowo nie chce stawić czoła faktom. Nadal papie przez Internet o autopsji, chociaż wie równie dobrze jak ja, że dwaj patolodzy oraz specjalista od analizy fotografii zatrudnieni przez Corcorana & Kleina zgodzili się ze specjalistą medycyny sądowej, iż cętki na fotografiach powstały w wyniku zabrudzenia obiektywu. Mariah informuje mnie, że rozesłała te fotografie do znajomych z Internetu na całym świecie. Przychodzi mi na myśl, żeby zapytać, czy któryś z tych przyjaciół ukrywa się w Argentynie, ale w odpowiedzi tylko się uśmiecha.

Howard bywa na kolacji w domu raz lub dwa razy na tydzień, a im lepiej go poznaję, tym bardziej go lubię. Najwyraźniej nie potrafi sobie radzić ze swym licznym potomstwem, ale jego całkowite oddanie mojej siostrze nie ulega wątpliwości. Po kolacji zazwyczaj trenuje w specjalnie do tego przeznaczonym pokoju, pełnym najnowszego sprzętu, i zaprasza mnie, żebym się do niego przyłączył. Patrząc, jak ćwiczy poszczególne mięśnie, uświadamiam sobie, że Howard Denton jest w istocie dorosłym dzieckiem z talentem do robienia pieniędzy. Rozmawia głównie o pracy, gdyż inne tematy po prostu nie przychodzą mu do głowy. Mariah najwyraźniej nudzą jego opowieści o problemach z fuzjami, mnie natomiast wydają się fascynujące. Słuchając go, przypominam sobie z sentymentem czasy, gdy jeszcze prowadziłem praktykę prawniczą. Zastanawiam się, czy pobralibyśmy się z Kimmer,

gdybym pozostał w Waszyngtonie, zamiast uciekać do Elm Harbor.

Mam mnóstwo wolnego czasu, toteż przeglądam pudła z notatkami i dokumentami, które Mariah przywiozła z Shepard Street i złożyła w jednej z sześciu sypialni. Zdecydowana większość to śmieci, jednak znajduję również kilka interesujących rzeczy. W teczce, którą moja siostra zatytułowała NIE-DOKOŃCZONE LISTY?, odkrywam ręcznie pisane brudnopisy kilku listów, w tym cztery wersje adresowanej do wujka Mala rezygnacji z pracy w jego firmie, z datą z okresu ostatniego Święta Dziękczynienia, które ojciec obchodził, na jedenaście miesięcy przed jego śmiercią. Jest tam również fragment przeprosin adresowanych do „G” - *Nie wiem, czy mi uwierzysz, gdy powiem, że jest mi niezmiernie przykro z powodu przeżytych przez Ciebie cierpień, spowodowanych wyłącznie twoim prostym, niczym nieupiększonym umiłowaniem* - i w tym miejscu list się urywa. Pokazałem go siostrze, która zadowolona z mojego zainteresowania, wyjaśnia, że był przeznaczony dla Gigi Walker, jednak ja ani przez moment w to nie wierzę. Mariah zapewne też nie. Jeśli Sędzia po słowie „umilowaniem” zamierzał napisać „prawdy” lub „sprawiedliwości”, to przeprosiny mogły być przeznaczone dla Grega Haramoto. Dzwonię do jego rodzinnej firmy importowej w Los Angeles, lecz dowiaduję się, że Greg wyjechał w długą podróż zagraniczną i nie ma z nim kontaktu. Proszę zatem o numer jego poczty głosowej lub adres internetowy, jednak po krótkiej konsultacji mój rozmówca odmawia.

Którejś nocy, gdy oglądamy z Mariah program Lettermana, dzielę się z nią moimi przemyśleniami, a ona, choć niechętnie, również przedstawia mi swoją koncepcję - że Wallace Wainwright mógł mieć rację i ojciec rzeczywiście chciał zostać przyłapany na tym, co robił. Inaczej trudno wyjaśnić, dlaczego zaprosił Jacka Zieglera - na którym ciążyło wówczas oskarżenie o morderstwo i wymuszenia - do budynku sądu, gdzie nawet w nocy ktoś mógł go zobaczyć, a na dodatek było wiadomo, że jego wizyta zostanie odnotowana przez strażnika. Być może po prostu za wszelką cenę chciał się wyzwolić z tego, w co był zamieszany. Kto wie, czy nie sądził, snuje rozważania Mariah, że jeśli przygwoźdzą go za spotkania z dawnym współmieszkańcem, to nikt nie będzie już dalej szukał i nie dokopie się do tego, co naprawdę się działo. Jeśli tak było, to późniejsze przesłuchania przed wielką ławą przysięgłych musiały być dla niego poważnym wstrząsem.

- Przypuścimy, że ustawiał sprawy - mówi ze smutkiem Mariah.
- Sędzia Wainwright twierdzi, że tego nie robił - zauważam z ostatnim przeblyskiem nadziei.
- Sędzia Wainwright nie jest jasnowidzem. Przypuścimy, że tata jednak ustawiał sprawy i udawało mu się to ukrywać przed kolegą. Może po przesłuchaniach poszedł do Jacka Zieglera i oświadczył, że nie może tego kontynuować... w takich warunkach, a wówczas Jack porozmawiał ze swoimi partnerami i pozwolili mu zrezygnować. Albo po prostu sam zrezygnował.

W każdym razie, w końcu się od tego uwolnił.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. - Jeżeli zeznanie Grega nie było dla niego zaskoczeniem, to ten list miałby sens.

Moja siostra z aprobatą kiwa głową. - Jeśli był pisany do Grega, to tata był doskonałym aktorem. Natomiast jeśli był przeznaczony dla Gigi, to cóż... lepiej nie wiedzieć.

To prawda. Jednak jestem przekonany, że Mariah ma rację co do Grega. Zatem, w tym okresie depresji, o którym mówiła Lanie Cross, kiedy mój ojciec wydzwaniał nocami do jej męża i opowiadał o zrujnowanej karierze, kiedy pytał, co się stało z lojalnością, nie oskarżał Grega - oskarżał Jacka. Wprawdzie dopuścił do tego, że przed Gregiem zamknęły się możliwości prawniczej kariery, ale to również było częścią gry. Jeśli Mariah ma rację, jeśli Sędzia ustawiał sprawy dla Jacka Zieglera i jego przyjaciół, to przyznanie, że Greg mówi prawdę, mogło by być równoznaczne z podpisaniem własnego wyroku śmierci. Jednak takie wyjaśnienie nie uwzględnia chyba wszystkich złożonych uczuć, które miały ojcem w tamtym okresie. Sędzia zapewne się zastanawiał, czy rzeczywiście powinien był ze wszystkiego zrezygnować, czy dobrze zrobił, sabotując własną nominację do Sądu Najwyższego. W związku z tym jego nienawiść do Grega Haramoto była zapewne po części prawdziwa.

Potem niemowlę zaczyna płakać i Mariah musi do niego biec. Rano nie wspomina już więcej o ojcu. Ona tylko żarliwie pragnie odkryć, jak umarł - natomiast woli raczej nie wiedzieć, jak żył.

W piątek moja żona przywozi Bentleya i wyjaśnia mi szczegółowo, jak mam się nim opiekować - jak to zazwyczaj robią małżonkowie, którzy się rozeszli. Cmoka mnie w usta i poklepuje po plecach. Zachwyca się przez chwilę malutką Mary, obdarza moją siostrę niechcianym uściskiem i, obiecując, że wróci w niedzielę, rusza z powrotem do Elm Harbor, być może, żeby robić coś z Lionelem, a może po prostu musi odpocząć. Rozsądnie odchodzę od drzwi, opierając się ciężko na lasce, zanim zdąży wyjechać z podjazdu. Jestem taki szczęśliwy, że w końcu znów trzymam syna w ramionach. Jednak Bentley zachowuje się w moim towarzystwie płochliwie i woli spędzać czas w towarzystwie potomstwa Mariah. W rezultacie, zamiast ścisnąć go godzinami, czego najbardziej bym pragnął, obserwuję go tylko z daleka na podwórku, na basenie i w pokoju do zabaw, i cierpię.

W poniedziałek, kiedy Bentley jest już w Elm Harbor, a Mariah uczestniczy w imprezie dobroczynnej, pożyczam mercedesa swojego szwagra i jadę do księgarni Borders w Stamford, gdzie kupuję mnóstwo książek, które mają mi dostarczyć na jakiś czas zajęcia. Wolę czytać, niż się dręczyć myślami. Jednak nie zaniedbuję również planowania. Planuję, jak dostać się do chłopaka Angeli, bowiem nie tylko wiem, gdzie on jest, ale również zdaję sobie sprawę, że muszę zachować nadzwyczajne środki ostrożności. Mimo

że Collin Scott i Foreman nie żyją, a Maxine i jej pracodawcę udało mi się wystrychnąć na dudka, gdzieś czai się jeszcze jeden wróg, zleceniodawca mężczyzn, którzy mnie pobili.

Proszę siostrę, żeby spróbowała się dowiedzieć, kto złożył ofertę na dom przy Shepard Street, ale wraca z kwitkiem. Agent informuje ją tylko, że ja-kaś korporacja.

Dziewiątego dnia mojego pobytu w Darien Mariah oznajmia mi podczas śniadania, że w przyszłym tygodniu będzie miała w domu jeszcze jednego gościa. Będzie to jej rozwiedziona koleżanka ze studenckiego stowarzyszenia ze Stanford, również dziennikarka, matka dwójki dzieci, które zostawi w Filadelfii, zanim tu przyjedzie. - Sherry jest cudowną kobietą - opowiada z zachwytem Mariah - inteligentna, piękna i ma na koncie wiele sukcesów. - Kiedy dodaje nieśmiało, że Sherry zajmie drugą sypialnię w domku gościnnym, uświadamiam sobie, że powodem przyjazdu dawnej koleżanki jestem ja, a nie Mariah. Mimo że moja separacja z żoną trwa dopiero mniej więcej miesiąc - zależnie od tego, czy liczyć od ultimatum Kimmer, czy od mojego wyjścia ze szpitala - moja siostra już próbuje mnie wyswatać z kimś innym. Nie wiem, czy śmiać się, czy płakać, wiem natomiast, że pora wyjeżdżać.

Mówię jej to.

Mariah błaga mnie, żebym został dłużej, niewątpliwie dlatego, że z dziurami po kulach jestem żywym dowodem jej teorii spiskowych. Kiedy upieram się, że muszę wracać do pracy, nalega, że mi pomoże. W związku z tym przez trzy dni obwozi mnie po Elm Harbor i jego przedmieściach w poszukiwaniu mieszkania na wynajem i ostentacyjnie chichocze, ilekroć jakiś niemądry agent pochopnie wyciąga wniosek z faktu, że jesteśmy z dzieckiem i nazywa ją panią Garland. Agenci zazwyczaj śmieją się razem z nią, choć nie mają pojęcia, na czym polega dowcip. Żadne z mieszkań, które oglądamy, nie przypada mi do gustu. Jedno jest za małe, inne ma nieciekawny widok z okien. Z kolei duży segment przy porcie jest zbyt drogi, a Mariah, która i tak już była dla mnie zbyt hojna, ma dość rozsądku, żeby nie proponować mi dofinansowania. Jeden z agentów twierdzi, że ma coś, co mi się spodoba w okolicy Tyler's Landing, ale to terytorium Eldridge'a, więc wyraz mojej twarzy mówi mu, że lepiej zaproponować coś innego.

W końcu mój problem zostaje rozwiązany przez Lemastera Carlyle'a. Trzeciego dnia moich bezowocnych poszukiwań wchodzi do mnie do gabinetu, ubrany w jeden ze swych doskonałych garniturów - ręcznie szyty z granatowej wełny czesankowej z ledwie widocznym prążkiem - błękitną koszulę z monogramem, krawat w kolorach bladopomarańczowym i kobaltowego błękitu oraz pasujące do niego szelki, czyli strój, jakiego by się nie powstydzili żaden prawnik z Wall Street. Przesłuchania zatwierdzające jego nominację mają się odbyć w przyszłym tygodniu. Dochodzę do wniosku, że musiał mnie wypatrywać, gdyż jestem w budynku zaledwie od godziny -

sprawdzam pocztę w oczekiwaniu, aż Mariah przyjedzie mnie zabrać. Uśmiecham się do niego i wymieniamy uścisk dłoni. Lem nie wspomina ani słowem o wydarzeniach na cmentarzu. Przechodzi od razu do rzeczy. Słyszał o moim problemie i sądzi, że możemy nawzajem sobie pomóc. Wraz z Julią są właścicielami segmentu przy plaży - od domku Shirley Branch trzeba przejechać kawałek Harbor Road i dojedzie się do ich osiedla. Dwie sypialnie, trzy łazienki, wykończona piwnica, piękny widok, choć może nie aż taki jak u Shirley. To był ich pierwszy dom w Elm Harbor, gdy jeszcze Lem był obiecującym młodym profesorem, a nie akademicką gwiazdą w średnim wieku. Kiedy przeprowadzali się do Canner's Point, na rynku nieruchomości panował zastój i nie otrzymali żadnej poważnej oferty kupna, w związku z czym zaczęli go wynajmować, i tak już zostało. Ich ostatni lokator, wizytujący profesor etyki chrześcijańskiej z Nowej Zelandii, niespodziewanie wyjechał przed terminem, nie płacąc czynszu za sześć miesięcy. Teraz im jest potrzebny lokator, a mnie mieszkanie.

- Nie wiem, jak się zapatrujesz na wynajmowanie lokum od kolegi - zauważa Lem, mając dość taktu, by nie okazywać zakłopotania - ale w końcu już niedługo odejdę z uczelni. Poza tym wynajmiemy ci to po okazyjnej cenie.

Jednak jestem bezwstydnym, widać takie są skutki utraty żony na rzecz studenta. Pytam bowiem: - Jak dalece okazyjnej? - Lem podaje kwotę, która rzeczywiście jest znacznie niższa od aktualnych stawek. Nie chcę jałmużny, ale nie mam zbyt dużo pieniędzy. Raty kredytu hipotecznego za dom na Hobby Hill potrącane są z *mojej* pensji, mimo znacznie wyższych dochodów Kimmer, gdyż uniwersytecki program mieszkaniowy pozwalał nam zaoszczędzić dwa i pół procent odsetek.

- I co o tym sądzisz? - pyta Lem.

Dla zasady podaję własną, niższą propozycję, a on ponownie wykazuje się taktem, nie zdradzając irytacji, jaką z pewnością odczuwa.

Dzielimy różnicę na połowę, po czym Lem wręcza mi klucze. Ponieważ jesteśmy prawnikami, a jeden z nas wkrótce zostanie sędzią i musi być skrupulatny w sprawach dotyczących etyki, otrzymuję również umowę najmu. Kiedy ją podpisuję, Lem w dalszym ciągu ze mną gawędzi, wspominając, że chcieliby mnie zaprosić na obiad, jak tylko skończą się przesłuchania, a na razie Julia dostarczy mi tyle zapiekaneł, że będę miał co jeść do lata.

Dziękuję mu za wszystko.

Zatem mam gdzie mieszkać. Moja siostra wydaje z siebie odpowiednie okrzyki zachwytu, szczególnie na temat widoku na dość odległą wodę, mimo że jest rozczarowana, że opuszczam jej domek gościnny i że nie spotkam się ze wspianką i zdesperowaną Sherry. Jednak Mariah umie przegrywać. Korzystając z tego, że Kimmer jest w pracy, jedziemy na Hobby Hill po moje rzeczy, głównie książki i ubrania.

Don Felsenfeld i Rob Saltpeter pomagają mi załadować samochód.

- To masz teraz swoje kawalerskie mieszkanie - zauważa Don, mrugając do mnie. Ja jednak myślę obecnie o tym, że muszę cierpliwie czekać na odpowiedni moment, aby odwiedzić chłopaka Angeli.

Staram się widywać z Bentleyem jak najczęściej - to znaczy tak często, jak Kimmer pozwoli. Okazuje się, że jest to bardzo często. Moja żona dużo mówi o tym, jak kocha naszego syna, jak bardzo on jej potrzebuje, ale nie zapomina, że praca też jest bardzo ważna. Nie zatrudnia żadnej niani, gdyż jej nie potrzebuje - ma mnie. Kiedy widzi, że się spóźni, dzwoni do mnie, żebym odebrał go z przedszkola i nigdy nie pyta, czy mi to w czymś nie przeszkodzi. Jeśli musi niespodziewanie wyjechać z miasta, potrafi z zaledwie godzinnym wyprzedzeniem zadzwonić i poprosić, żebym go zabrał na kilka dni. W końcu nie mam nic do roboty, prócz rekonwalescencji po trzech ranach od kul, stłuczeniu nerki, wygięciu dwóch żeber i złamaniu szczęki. Dana Worth jest zdania, że powinienem wystąpić o opiekę nad Bentleyem, co oznajmia mi podczas lunchu, który jemy w Cadaver's - tym razem ona stawia. Kusi mnie to rozwiązanie, ale nie ulega wątpliwości, że kiedy rodzice walczą ze sobą o opiekę, ma to dla dzieci fatalne skutki, a ja zbyt kocham syna, żeby narażać go na takie przeżycia.

- Ona właśnie na to liczy - zauważa Dana.

- To wygrała tę rundę - odpowiadam jej opryskliwie, chociaż to przecież nie jej wina. Wczoraj były urodziny Bentleya, więc otrzymał prezenty od taty po południu, a od mamy wieczorem. Sprawiał wrażenie spokojnego, choć nieco niepewnego. Być może to wpływ osłabienia po ostatnich przeżyciach, ale po powrocie do domu nie mogłem się powstrzymać od płaczu.

Dana stara się mnie na swój sposób pocieszyć. - Widzisz, Misha? Tego ci od małżeństw osób tej samej płci nie rozumieją. Dlaczego mam *chcieć* przechodzić przez te wszystkie bzdury? - Droga Dana nie jest zwolenniczką tego, co nazywa heteroseksistowskim stylem życia.

Jednak nie daję się odwieść od przyjętej linii postępowania. Spaceruję z czteroletnim synkiem po plaży, czy raczej tym, co uchodzi za plażę w Elm Harbor, i nie mogę się nadziwić zmianom, jakie w nim zaszły. Naprawdę sprawia wrażenie wyższego. Chodzi zaskakująco pewnym krokiem i patrzy mi prosto w oczy. Kimmer miała też rację, że buzia mu się nie zamyka. Przedtem również lubił mówić, ale teraz jego słowa nabrały sensu.

- Och, tatusiu, spójrz, mewa. Widzisz mewę, tatusiu?

Kiwam tylko głową, bojąc się odezwać. Mam wrażenie, że serce rozsadzi mi piersi. Jeszcze kilka miesięcy temu był maleństwem, którego ulubione słowa brzmiały: *Aja ty*, tak że nawet zaczynaliśmy się denerwować, czy nie jest trochę opóźniony w rozwoju, a teraz chłonie mowę jak gąbka.

Spędzam obecnie więcej czasu w bezpłatnej jadłodajni. Porównujemy z Dee Dee swoje laski - ona twierdzi, że moja jest marnej jakości, sądząc po

dźwięku, jaki wydaje. Czuję coraz większą sympatię do kobiet, które obsługuję. Wiem, że tylko nieliczne z nich przeżyją najbliższe dziesięć lat, ale podziwiam ich hart ducha w obliczu nieszczęść, jakie przynosi im życie, spryt, z jakim dla dobra swoich dzieci wykorzystują wszystko, co oferuje im państwo opiekuńcze, oraz - u wielu z nich - zaskakująco silną wiarę. Uświadamiam sobie w końcu, że większość tych kobiet szczerze pragnie kochać swoje dzieci, tylko po prostu nie wiedzą, jak. Zwracam się do doktora Younga z prośbą o przyjęcie choć kilku z nich do jego programu doskonalenia umiejętności życiowych przez wiarę. W odpowiedzi wzdycha, gdyż niemal kończą mu się już fundusze na ten cel i nie ma wolnych miejsc. Mimo wszystko każe mi kilka z nich przysłać do siebie, a wtedy zobaczy, co da się zrobić.

- Bóg pomoże - przypominam mu z uśmiechem.
- Lecz wówczas, gdy On uzna to za stosowne - poprawia mnie.

Zaczynam uczęszczać do Zboru Baptistycznego, gdzie ze skrywanym uśmiechem słucham, jak pulchny Morris Young, uwielbiający pieczone żeberka i smażone ryby, głosi kazanie na temat powściągliwości. Chodzę też z Robem Saltpeterem do sali gimnastycznej YMCA. Wprowadzić nie mogę biegać, a z powodu naciągnięcia mięśni wokół żeber udaje mi się wykonać zaledwie kilka rzutów, ale pozostaje mi rola trenera i kibica. Wieczorami rozpalam kominek w swoim segmencie i spędzam przed nim czas, czytając.

Pewnego popołudnia, kiedy wracam z księgarni do budynku Oldie, mam wrażenie, że czuję na sobie czyjś wzrok, jednak kiedy się obracam, nikogo nie widzę. Następnego dnia daję Romeo dwadzieścia dolarów, żeby prze spacerował się w pewnej odległości za mną po Elm Harbor i sprawdził, czy ktoś mnie nie śledzi. Ciekawe, co powie, kiedy się spotkamy.

Nie pozostaje nic innego niż iść naprzód.

Minął marzec. Wracam do prowadzenia zajęć. Nieco kuleję, tak że nie ma mowy, żebym podskakiwał, jak niegdyś to robiłem, ale studentom chyba bardziej to odpowiada. Czuję zdenerwowanie, powracając do nich po tak długiej przerwie, lecz okazuje się, że niepotrzebnie. Pięćdziesięcioro siedmiu studentów z prawa administracyjnego, z którymi podczas mojej nieobecności wykłady prowadził Arnie Rosen, wita mnie owacją na stojąco, gdy tylko przekraczam próg sali. Arnie może sobie być błyskotliwy, ale ja zostałem postrzelony, a to, jak się okazuje, przysporzyło mi szczególnego autorytetu. Profesor z trzema bliźniami po kulach wywiera na nich takie wrażenie, że nawet nie wysilają się tym razem na swoje zwykłe podchwytliwe pytania. Natomiast kiedy ja ich o coś pytam, wpatrują się we mnie tępo, pełnym uwielbienia wzrokiem, jakby podziw dla mnie uniemożliwiał im skupienie się nad konkretnym tematem.

Nie pozostaje mi nic innego, niż wyleczyć ich z tego uwielbienia, traktując ich równie surowo i wymagająco jak zazwyczaj. W końcu pojmują, że rany od

kul nie zamieniają człowieka w świętego i powracamy do naszego dawnego układu, w którym wprawdzie nieszczególnie mnie lubią, ale za to ciężko pracują podczas moich zajęć. Co prawda, straciłem trochę swej dawnej siły, a oni to wyczuwają i niejako mówią mi: *Wiesz, że my wiemy, iż nie jesteś już taki jak kiedyś* - i nawet irytując się na mnie, w duchu się uśmiechają.

Moi koledzy z profesorskiego grona nie są tak powściągliwi. Zapewniają mnie, jak to wspaniale, że wróciłem, mówiąc to głośnym, łagodnym tonem, jakim posługujemy się w rozmowach z osobami niedosłyszącymi, demonstrując natężeniem emitowanego dźwięku swoją wyższość fizyczną. Podczas zebrań kadry naukowej wysłuchują pobłaźliwie, co mam do powiedzenia, chwalą przenikliwość moich spostrzeżeń, po czym podejmują takie decyzje, jakbym wcale nie zabierał głosu.

Przestaję uczestniczyć w zebraniach.

Raz czy dwa widzę wielkiego Lionela Eldridge'a, jak snuje się po korytarzach Oldie, ale zawsze w sporej odległości ode mnie. Nigdy nie spogląda w moim kierunku, a ja nigdy go nie wołam. Mimo tylu lat nauczania, nie wiem, jak poradzić sobie z taką sytuacją. Co z pracą, której mi nie oddał? Czy są jakieś zasady postępowania, gdy trzeba ocenić studenta, który ukradł ci żonę? Pytam o to Danę i Roba i obydwójce doradzają mi, żebym przekazał Lionela komuś innemu.

Pewnego wieczoru, pragnąc ostatecznie się uspokoić, jeszcze raz proszę Romea o sprawdzenie, czy ktoś mnie nie śledzi. Poprzednio tak dobrze się bawił, że nawet nie przyjmuje ode mnie pieniędzy. Jednak i tym razem nie ma nic do zameldowania.

Kwiecień wlecze się powoli. Kimmer informuje mnie, że wyjeżdża na tydzień do krewnych na Jamajkę. Jak zwykle protestuję, ze względów bezpieczeństwa, ale ona nie podziela mojego lęku przed lataniem. Nie mówi mi, czy Lionel z nią jedzie, a ja nie pytam. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście zostawił żonę - najwyraźniej znajduję się poza obiegiem plotek, a boję się zapytać Danę. W każdym razie mam dla siebie syna przez całe siedem dni. Jestem tym zachwycony, ale Bentley zachowuje się niespokojnie. Dają już o sobie znać skutki jego nowej sytuacji życiowej: rozstania rodziców i mieszkania w dwóch domach na raz. Gwałtownie demonstruje napady złego humoru, czego nigdy wcześniej nie robił. Kiedy trzeciego wieczoru przypalam kurczaka, zrzuca talerz na podłogę. Wysyłam go za karę do pokoju, żeby ochłonął, ale wpada w jeszcze większą złość. Woła, że mnie nienawidzi. Nienawidzi też mamy. Nienawidzi siebie. Obejmuję go mocno i powtarzam, że bardzo go kocham i mamusia go kocha, ale wyrывa się i z płaczem biegnie do łóżka. Nie wiem, co mam robić, jestem przerażony i wściekły na Kimmer. W takich chwilach dobrzy rodzice wzywają na pomoc dziadków, ale ja nie mam kogo wezwać, a moja siostra z pewnością byłaby ostatnią osobą, którą poprosiłbym o radę w sprawie wychowania dzieci. Rano telefonuję do Sary Jacobstein, żony Roba,

która jest psychiatrą dziecięcym współpracującym z naszą szkołą medyczną. Ponieważ łączy nas przyjaźń, decyduję się zadzwonić do niej do domu, zanim zdąży wyjść do pracy. Wysłuchuje mnie cierpliwie. Tłumaczy mi, że lęk Bentleya jest zupełnie normalny w tych okolicznościach, że powinienem być wobec niego stanowczy, a jednocześnie okazywać mu miłość i wsparcie, a ponadto pod żadnym pozorem nie krytykować przy nim jego matki. Potem stwierdza, że powinniśmy z Kimmer jak najszybciej uzgodnić, u kogo będzie jego stały dom, a które z nas będzie regularnie odwiedzać. Wyjaśnia łagodnie, że taki stały układ będzie Bentleyowi niezbędny w najbliższych miesiącach i latach. Jej słowa są dla mnie bolesnym ciosem i nic nie mówię, gdyż wiem dokładnie, jaki będzie wynik negocjacji z Kimmer. Sara prawidłowo odczytuje moje milczenie, a że ma niezwykle dobre serce, proponuje, że ze względu na naszą przyjaźń przyjmie Bentleya jeszcze dziś po popołudniu, jeśli to dla mnie takie ważne.

Postanawiam poczekać.

Następnego ranka dzwoni Meadows, żeby mi powiedzieć, że Sharik Deveaux o pseudonimie Conan, który przyznał się do zabójstwa Freemana Bishopa, został zamordowany podczas bójki w więzieniu, gdy czekał na wyrok. Główny świadek oskarżenia, członek gangu, którego zeznania były najważniejszym dowodem, zniknął. Odkładam słuchawkę i ukrywam twarz w dłoniach. Żałuję, że nie zrobiłem prawie nic, żeby go uwolnić od zarzutów, ale nie było na to czasu, a całą energię skupiłem na czym innym. Modłę się za jego duszę, chociaż, prawdę mówiąc, nie mam obecnie ochoty nikomu współczuć, a już szczególnie handlarzowi narkotyków, który nie stronił również od przemocy. Niemniej jednak tej zbrodni akurat nie popełnił i jestem przekonany, że musiał zginąć w więziennej bójce, żeby prawda nigdy nie wyszła na jaw. Wydaje mi się nawet, że wiem, kto mógł zorganizować to morderstwo.

Colin Scott, który zdołał go osiągnąć nawet zza grobu.

(III)

Maj, czerwiec. Egzaminy końcowe, galowe stroje akademickie. Odchodzący rocznik postanawia nagrodzić mnie za odniesione rany, a może wynagrodzić mi utratę żony na rzecz naszego najslawniejszego studenta i powierza mi zadanie wygłoszenia przemówienia podczas uroczystości wręczenia dyplomów. Podchodzę do mównicy, podpierając się nową laską - ciemną, ciężką, bogato rzeźbioną - otrzymaną w prezencie od Shirley Branch, która przywiozła ją w marcu z wakacji spędzonych z Kwame Kennerlym w Afryce Południowej. Laska prezentuje się bardzo elegancko na tle prostej akademickiej togi. Kilka tygodni temu Kwame zrezygnował z pracy dla burmistrza w związku z rozbieżnością zdań na temat niezwykle ważnej kwe-

stii - zapomniałem jakiej - i zamierza startować jako rywal swojego byłego szefa w przyszłorocznych wyborach.

Zbyt tęsknię za Bentleyem, żeby mnie to obchodziło.

Rozpoczynam przemówienie od przestróg, żeby nasi absolwenci wykorzystali swoje umiejętności dla czynienia dobra, a nie zła. Studenci natychmiast zaczynają się niecierpliwić, gdyż słyszą te słowa co roku.

Odkładam zatem kartki na bok, pochylam się nad mównicą i ostrzegam ich, że kiedy prawnicy stawiają służbę klientom ponad moralnością, giną (

ludzie. Rozlegają się burzliwe oklaski. Mówię im, że jeśli uznają, iż ich jedyną rolą jest ślepe wykonywanie poleceń klienta, to ich działania przyczynią się do destrukcji wielkiego narodu, który już dziś powoli umiera, gdyż z uporem traktujemy życie wyłącznie jako okazję do zdobycia tego, czego pragniemy. Tym razem oklaski są ostrożniejsze. Następnie poruszam temat powszechnego dostępu do broni palnej i braku woli politycznej, aby zaradzić temu problemowi. Klaszczą sumiennie. Mówię o wzroście liczby aborcji i o tym, jak niewiele osób usiłuje temu przeciwdziałać. Studenci nie klaszczą, natomiast robi to wielu z ich rodziców. Twierdzę, że oba te zjawiska są przejawami powszechnej dziś postawy nadmiernego pobłażania własnym pragnieniom, która wypierając zarówno kapitalizm, jak i demokrację, zaczyna pełnić rolę prawdziwej ideologii naszego narodu. Tym razem nikt nie klaszcze, gdyż nie dostrzegają żadnego sensu w moich słowach. Mówię im, że muszą znaleźć wizję wielkiego narodu i starać się ją realizować nie tylko w życiu zawodowym, ale i osobistym. Przy dzisiejszym rozdzieleniu życia publicznego i prywatnego uchodzi naszej uwagi fakt, że to w tak zwanym życiu prywatnym uczymy dzieci, na czym polega przyzwoitość - a właśnie ona, a nie wykorzystywanie prawa, by zmuszać innych do właściwego postępowania, jest definicją dobrze przeżytego życia. Słyszę uprzejme pokazywanie.

Nudzę ich. Wyobrażam sobie, że mówię do Kimmer, że przedstawiam jej swoje zdanie w naszej niedokończony kłótni. Parafrazuję słowa Emersona: świat jest wszystkim, co nie jest *mną* - i to nie tylko tym, co jest na zewnątrz, lecz w dużej mierze również tym, co jest we mnie. Zwracam im uwagę, że w dzisiejszych czasach ludzie zasypywani są radami, jak stać się kimś więcej niż się jest obecnie. Jednak Emerson, ostrzegam ich, miał rację. Czasem nawet nasze ciało - jeśli jego potrzeby i pragnienia walczą z naszą wolą - staje się czymś obcym.

Nie mają pojęcia, o czym mówię, i nie chcą wiedzieć. Chcą, żeby im pogratulowano osiągnięć i wysłano w świat, gdzie będą mogli się oddać używaniu życia. Nagły chichot przebiega przez rzędy studentów w togach i zaniepokojonych rodziców. Absolwenci zauważają, iż popełnili błąd, prosząc mnie o wygłoszenie przemówienia - to, że niemal zginąłem na Cmentarzu Staromiejskim, zwiększyło tylko mój gniew, a nie mądrość. Nie dodaję im

otuchy, a tego właśnie oczekują w dniu otrzymania dyplomów.

Próbuję raz jeszcze. Wybieram opowieść z Księgi Wyjścia. Mówię, że kiedy Bóg nakarmił swój lud na pustyni, Mojżesz ostrzegł ich, by brali tylko tyle, ile potrzebują. Łatwo było stwierdzić, kto wziął zbyt dużo, przypominam im, gdyż żywność przechowana przez noc, wbrew Bożym rozkazom, zgniła i zaległo się w niej robactwo. Patrzę na morze młodych twarzy, doskonale wykształconych, gotowych powiększyć szeregi pracowników potężnych kancelarii prawniczych w wielkich miastach. Wielu z nich, przypominam sobie, nigdy nie czytało Księgi Wyjścia, a Mojżesz kojarzy im się z gwiazdą filmu animowanego. Mimo wszystko muszę próbować. Biercie tylko to, czego potrzebujecie, mówię im. Nie tylko w kategoriach dóbr materialnych - tę część Bożego prawa już znają, choć dziewięćdziesiąt procent z nich natychmiast o niej zapomni, podobnie jak większość z nas, kiedy tylko obejmą ich systemy wynagrodzeń. Również w kategoriach tego, co bierzecie od innych, na przykład energii emocjonalnej. Biercie tylko to, czego naprawdę potrzebujecie w miłości. W życiu rodzinnym. W relacjach z kolegami.

Milczą.

I w tym, czego wymagacie od siebie, dodaję. Biercie tylko to, czego potrzebujecie od siebie. Prawo jest morderczym zawodem. Cytuję im dane statystyczne: nasze absurdalnie wysokie wskaźniki samobójstw, alkoholizmu, depresji klinicznej i rozwodów. A wszystko dlatego, że jesteśmy głusi na mądrość zawartą w Księdze Wyjścia. Ponieważ żądamy, nawet od siebie samych, więcej niż w istocie potrzebujemy. Traktujemy nasze ciała i siły jakby były naszą własnością, nie rozumiemy tego, co widział Emerson - że są one częścią świata, którą należy umiejętnie rozporządzać i szanować, zamiast wykorzystywać w niewłaściwy sposób. Sądzymy, że są nasze, więc możemy z nimi robić co chcemy. W rezultacie, sądząc że jesteśmy wyzwoleni, radośnie kroczymy drogą do samozniszczenia.

Nie zdają sobie sprawy, że już skończyłem. Ja również nie, dopóki nie ruszyłem z powrotem na swoje miejsce. Studenci klaszczą, ale tylko dlatego, że wypada. Schodząc z podium, pocieszam się, że prawdopodobnie wygwizdalioby nawet Arystotelesa, od którego zapożyczyłem główną myśl swojego przemówienia.

Rob Saltpeter mówi mi później, że byłem wspaniały. Droga Dana Worth całuje mnie w policzek i stwierdza, że zrobiło jej się smutno. Stuart Land warkliwie oświadcza, że moje przemówienie z pewnością było inne niż zwykle. Lem Carlyle, który po raz ostatni uczestniczy w rozdaniu dyplomów jako członek profesorskiego grona, mówi, że było śmiałe i mocne, co może oznaczać wszystko i nic. Arnie Rosen zauważa, że jak na jego gust, było w nim zbyt wiele mistycyzmu. Betsy Gucciardini mruczy, że było fascynujące, co w mowie uniwersyteckiej oznacza: *Strasznie mi się nie podobało*. Dzie-

kan Lynda, ściskając mi dłoń, stwierdza, że było po prostu świetne - co jest kolejnym negatywnym eufemizmem - lecz jednocześnie pyta, czy nie mogłem włożyć w swoje słowa odrobinę więcej optymizmu. Ben Montoya informuje mnie poważnym tonem, że nie należy stosować analogii biblijnych, gdyż nie dla wszystkich są zrozumiałe, a niektórych wręcz obrażają. Tish Kirschbaum zwierza się, że wie, o co mi chodziło z aborcją, ale powiedziałem to w taki sposób, iż zapewne podniosłem na duchu skrajną prawicę. Shirley Branch sugeruje, że powinienem był wyraźnie mówić o tym, co było podtekstem mojego przemówienia, czyli o podporządkowaniu rasowym. Ethan Brinkley uśmiecha się, że przywiódło mu ono na myśl pogawędkę, jaką swego czasu odbył z Dalaj Lamą.

Marc Hadley poucza mnie, że błędnie zacytowałem słowa Emersona.

ROZDZIAŁ 55

Łącznik z Elm Harbor

- Nie byłeś wczoraj na rozdaniu dyplomów - mówię następnego dnia do Theo Mountaina. Znow jesteśmy w jego gabinecie, a ja stoję w wielkim oknie wykuszowym.

- Nie byłem.

- Wszyscy to zauważyli. Nie opuściłeś żadnego od dwudziestu lat.

- Nie zdążyłem - mamrocze, ale to już jest inny, niebudzący zaufania, Theo. Z jego zachowania zniknął triumfalny protekcjonalizm. Siedzi apatycznie przy biurku, czekając na cios. Wiem doskonale, dlaczego nie przyszedł, a on wie, że ja wiem. Z pewnością dostrzegał wściekłość na mojej twarzy przy okazji każdego naszego spotkania w ciągu ubiegłych dwóch tygodni. Ostatnią rzeczą, której by wczoraj pragnął, było siedzieć z resztą profesorskiego grona na podium i martwić się, z czyjej winy zostałem postrzelony.

- Masz stąd wspaniały widok, Theo.

- Podobno.

- Widać całą aleję prowadzącą do Pierwotnego Czworoboku. Masz widok na przestrzał, niemal do końca kampusu. - Odwracam się do niego. Jest dosłownie cieniem dawnego siebie. Teraz już wiem, dlaczego tak długo zwlekał ze złożeniem mi kondolencji po śmierci ojca. Wstydził się tego, co zrobił, i rzeczywiście miał ku temu powody. Jednak próby zniechęcenia go niczego mi nie dadzą. Opieram się ciężko na lasce. Ból jest dziś niezwykle dojmujący. Doktor Serra twierdzi, że od czasu do czasu będę odczuwał podobne bóle do końca życia.

Co może nie potrwać zbyt długo, jeżeli w ciągu najbliższych tygodni pomylę się w swoich rachubach.

- Dlaczego to zrobiłeś, Theo?

- Co? - pyta, bezskutecznie siląc się na niewinny ton.

- Dlaczego przysłałeś mi pionki?

Nadal na mnie nie patrzy ani nie odpowiada. Wpatruje się w fotografie na biurku. Stoi tam zdjęcie jego zmarłej żony oraz jedynego dziecka - córki - która teraz przekroczyła już pięćdziesiątkę i jest jednym z głównych udziałowców firmy na Wall Street, jednak na zdjęciu pozostała nieśmiałą studentką. Na trzeciej fotografii znajdują się wszyscy trzej bracia Mountain wspinający się gdzieś na skały - twardzi i silni, w czasach, gdy razem rządząli światem nauk prawniczych. Theo tylko potrzęsa głową.

- No, dalej, Theo, porozmawiaj ze mną. Większość już wiem, a chciałbym się dowiedzieć reszty. - Kiedy nadal nie odpowiada, stoję przed biurkiem. - Widziałeś mnie tamtego dnia, jak wychodzę z Oldie, gdyż z twojego okna widać wszystko. Łatwo się domyśliłeś, że zmierzam do bezpłatnej jadłodajni. Była pora lunchu, spieszyłem się. A przecież to ty poznałeś mnie z Dee Dee. Zatem zadzwoniłeś do kogoś i kazałeś podrzucić pierwszą kopertę do jadłodajni. A tak nawiasem mówiąc, kogo o to poprosiłeś?

- Wnuczkę - odpowiada, nadal pochylony. - Nikomu innemu nie mogłem zaufać. - Jakie to proste. Jego wnuczka, studentka college'u. Gdybym nie przeżywał takiego zaćmienia umysłowego, mógłbym sam na to wpaść. - Uprzedziłem ją, żeby nie wchodziła do środka i oddaliła się, zanim zdążysz wyjść - dodaje, gładząc się w zamyśleniu po brodzie.

- Miała dać kopertę Romeo i powiedzieć mu, że jej za to zapłacono. Nie chciałem, żebyś ją zidentyfikował.

Albo ciebie, myślę.

Kulejąc, podchodzę do krzesła, odkładam spiętrzone na nim papiery i siadam. Gniew powoduje nasilenie bólu. - A drugi pionek? Czarny?

- To było łatwiejsze. Widziałem, jak wychodziłeś z Daną na lunch. - Nerwowo omiata wzrokiem pokój, przez chwilę spogląda na moją palającą gniewem twarz, aż w końcu zatrzymuje spojrzenie na szafce na akta, gdzie przez dwadzieścia lat ukrywał dowody popełnienia przez Marca plagiatu. Może powinny były tam zostać. - Nie miało znaczenia, czy dostaniesz je w obrębie tego budynku, czy poza nim, toteż dostarczyłem ci każdy w innym miejscu. Miały się pojawić w krótkim czasie, jeden po drugim, ale... no, trochę stchórzyłem.

- Instrukcje mego ojca - stwierdzam. Chciał mi przypomnieć, że Podwójny Eksceksior to zadanie szachowe, w którym biorą udział dwa pionki, a biały rusza pierwszy... a poza tym, zaciekać mnie na tyle, żebym nie zaprzestał poszukiwań.

- Tak - przyznaje niechętnie. - Poprosił mnie, żebym to dla niego zrobił, gdyby jemu coś się stało. Braliśmy razem udział w programie telewizyjnym, jakieś dwa lata temu. - Teraz już na mnie patrzy. - Poprosił mnie o to, gdy czekaliśmy na wejście do studia.

- Jednak wówczas nie dał ci pionków.

- Nie. Powiedział, że otrzymam je, kiedy będą potrzebne. No, i przysłało mi je w tydzień, czy coś koło tego, po... wiesz, po jego śmierci. - Wzdycha. - Uprzedzę twoje pytanie i powiem ci, że na kopercie nie było adresu zwrotnego.

- A czy przypadkowo nie miała stempla pocztowego z Filadelfii?

Oczy Theo na chwilę się rozjaśniają. - Chyba był z Delaware.

Teraz ja z kolei wzdycham. Dobra, stara Alma. W takim pośpiechu wyjeżdżała tego ranka po pogrzebie - zapewne z pionkami ukrytymi w torbie -

żeby zatrzymać się po drodze i wysłać je do Theo. Nic dziwnego, że wyjechała na wyspy. Ciekaw jestem, ile jeszcze osób Sędzia wciągnął w swój obłąkańczy spisek.

- Czyli okłamałeś mnie, mówiąc, że pod koniec relacje między ojcem a tobą się ochłodziły, natomiast zbliżył się ze Stuartem? Chciałeś mnie skierować na fałszywy trop?

- Chciałem cię zmylić, to prawda, ale nie kłamałem. - Brzmi to jak słowa wybieralnego przedstawiciela władzy oskarżonego o krzywoprzysięstwo. - Naprawdę nie byliśmy już wtedy w bliskich stosunkach, natomiast twój ojciec i Stuart tak. Kiedy Oliver zwrócił się do mnie, spytałem, czemu nie poprosi o to Stuarta. Zirytował się i oświadczył, że mu nie ufa. - Theo potrząsa bujnie owłosioną głową, odzyskując na chwilę swą dawną dobroduszość. - Trudno go za to winić. Stuart sprzedałby własną wnuczkę za przyzwoite honorarium.

Jednak Theophilus Mountain nie zrozumiał, czym kierował się ojciec. Stuart, niezależnie od swoich poglądów, jest lepszym człowiekiem niż Theo - bardziej bezpośrednim, mniej podstępny. Możliwe, że od razu odrzucił prośbę, albo Sędzia nawet nie próbował go pytać, gdyż z góry znał odpowiedź. Przyszedł do Theo ze względu na jego zamiłowanie do intryg.

- A co z Markiem Hadleyem? - pytam dalej.

- Ale o co ci chodzi? - mówi słabym głosem, najwyraźniej już wyczerpany odgrywaną rolę silnego człowieka.

- Twierdziłeś, że to nie ty powiadomiłeś Biały Dom o popełnionym przez niego plagiacie...

- Bo nie zrobiłem tego, Talcotcie! Mówiłem prawdę!

- Wiem o tym. Jednak ktoś wysłał do Białego Domu zapisy pogadank wygłaszanych przez Marca przy okazji różnych kolacji, kiedy to snuł te swoje zwariowane teorie. To twoja sprawka, Theo. Owszem, nie możesz wywierać wpływu na obecną administrację, bo reprezentujesz niewłaściwą opcję polityczną, ale Ruthie Silverman była twoją studentką. Z pewnością by cię wysłuchała.

Wzrusza ramionami.

Nie potrafię już dłużej tłumić gniewu. - A czy kiedykolwiek pomyślałeś, Theo, że twoje poczynania obrócą się przeciwko mojej żonie? Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że sabotując Marca, przekreślisz równocześnie jej szansę? Że zniszczysz to, co jeszcze zostało z mojego małżeństwa?

Theo nie odpowiada. Jest naprawdę wstrząśnięty. Skutkami swoich działań? Zdemaskowaniem go? Uświadamiam sobie, że już mnie to nie obchodzi. Ani chwili dłużej nie zniosę jego towarzystwa, towarzystwa człowieka, którego niegdyś tak szanowałem. Wbijam laskę w orientalny dywan, podnosząc się na nogi.

- Żegnaj, Theo - mówię cicho, kierując się ku drzwiom.

- Nigdy bym tego nie zrobił - słyszę za sobą jego głos wyższy o kilka rejestrów, gdy usilnie stara się mnie przekonać - gdybym wiedział, czym to się skończy.

Spoglądam na niego od drzwi. - Owszem, zrobiłbyś.

ROZDZIAŁ 56

Letnia przechadzka

(I)

Trzy dni później dowiaduję się, że Sally w końcu zgodziła się ze mną spotkać. Przebywa w ośrodku odwykowym dłużej niż wymagane dwa miesiące, toteż może już przyjmować gości. Stary ceglany dom, w którym mieści się ośrodek, stoi na stromym brzegu rzeki Delaware. Można go dostrzec, przejeżdżając przez most od strony New Jersey - wygląda jak znajdujący się w oplakany stanie dworek. Całą posiadłość otacza z trzech stron wysoki ceglany mur, a z czwartej ogranicza rzeka.

Przechadzamy się z Sally po pięknie utrzymanym terenie, a kilkanaście metrów za nami podąża sanitariusz oraz tutejsza pani kapelan, wielebna Doris Kwan, której obecności zażyczyła sobie moja kuzynka. Sanitariusz musi nam towarzyszyć, gdyż taki jest regulamin. Zanim pozwolono mi spotkać się z Sally, odbyłem rozmowę z wielebną Kwan w jej słonecznym gabinecie. Doris Kwan jest niezbyt wysoką, muskularną i władczą kobietą lat około pięćdziesięciu, z ciemnymi włosami związanymi niedbale z tyłu głowy. Powietrze wokół niej jest dosłownie naelektryzowane - wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że wolny czas wykorzystuje na udział w biegach maratońskich. Oprócz dyplomu z teologii, ma doktorat w dziedzinie pracy socjalnej. Jej dyplomy wiszą na ścianie, obok marnej reprodukcji „Ostatniej wieczerzy”. Podczas krótkiej rozmowy ani na chwilę nie odrywa od mojej twarzy sceptycznego spojrzenia. *Byłam przeciwna temu spotkaniu, oświadczam mi na początku, ale Sarah nalegała.* Wyjaśnia, jak wygląda program zajęć w ośrodku - dwa spotkania grupowe dziennie, cztery indywidualne sesje psychoterapeutyczne tygodniowo, obowiązkowy udział w codziennym porannym nabożeństwie i godzina zajęć gimnastycznych każdego popołudnia. *Staramy się uleczyć jej umysł, ciało i duszę. Wiare traktujemy tu bardzo poważnie. Sarah dochodzi do siebie, ale ma jeszcze przed sobą długą drogę.*

Zapewniłem wielebną Kwan, że nie mam zamiaru zakłócać programu Sally. Na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Ciekawe, co Sally opowiedziała jej podczas terapii.

Teraz, przechadzając się z Sally, nie mogę się nadziwić zmianom, jakie w niej zaszły. Trochę zeszczupłała i nabrała wdzięku. Ma na sobie dres i san-

dały. Mówi, że kilka razy widziała się z matką, ale bardzo tęskni za dziećmi, które są jeszcze zbyt małe, by mogły ją tu odwiedzać. Głos ma znacznie spokojniejszy, a jej wtrącenia są bardziej przemyślane niż dawniej. Smuci mnie, że straciła nieco ze swej dawnej żywiołowości, ale wiem, że było to nieuniknione. Ciemne kręgi pod oczyma zdradzają, jak ciężki był dla niej miniony okres.

- Strasznie się o ciebie martwiłam, kiedy się dowiedziałam, co się stało - mówi cicho. Jej głos jest zmęczony, ale spokojny. - Odwiedziłabym cię w szpitalu, ale... - Nieznacznym ruchem dłoni wskazuje budynek, otaczający go teren i mur.

- Dobrze się czuję.

- Kulejesz. Dawniej nie kulałeś.

Wzruszam ramionami, stawiając przed sobą ciężką laskę jak trzecią nogę. - Mam szczęście, że przeżyłem. - Potem ja z kolei pytam, jak sobie tu radzi.

Opowiada mi, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy bardzo wiele dowiedziała się o sobie, i to w większości niemiłych rzeczy. Rzucam kilka słów mających jej dodać otuchy, ale Sally nie pragnie pocieszenia. Chce odkryć brutalną prawdę o tym, jak dotąd się krzywdziła, żeby uniknąć na przyszłość popełniania tych samych błędów. Chciałaby również, dodaje, w miarę możliwości naprawić szkody, jakie wyrządziła innym. - Bardzo żałuję wszystkich niemiłych słów, które do ciebie wypowiedziałam przez minione lata, Tal. Szczególnie tych o twojej żonie. Twojej byłej żonie.

Krzywię się. - Jeszcze nie byłej.

- Daj spokój, Tal. Nie jesteś już żonaty. Przyzwyczaj się do tej myśli.

- Nie chcę się do niej przyzwyczaić.

- Właściwie to nie musisz. - Sally chichocze i trąca mnie żartobliwie w ramię. Jej śmiech jest cichy i wysilony, blade echo jej dawnej żywiołowej radości. - Wszystkie będą za tobą biegać, tylko poczekaj.

- Wątpię.

- Żartujesz? Wolny czarny mężczyzna, nie bierze narkotyków, nie pije, uwielbia dzieci? Słodki, chodzi do kościoła i nie ma napadów wściekłości? Będziesz musiał odpędzać je kijem.

Potrząsam głową, gdyż taka perspektywa wcale mnie nie pociąga, wbrew temu co sądzi Sally i moi nieliczni przyjaciele. Jednak podtrzymuję zabawę.

- Zapomniałaś dodać „przystojny”.

- Nie *zapomniałam*. Tylko nie chciałam, żeby przewróciło ci się w głowie. - Kolejny lekki kuksaniec.

Idziemy w milczeniu aleją starych klonów, a Doris Kwame trzyma się czujnie w pobliżu, jak jeden z ochroniarzy wujka Jacka. Uśmiech na twarzy Sally wygląda jak przyklejony i uświadamiam sobie, ile ją kosztuje moja wizyta. Nawet jeśli kierowały nią również jej własne demony, to nasza ro-

dzina ze strony ojca niewątpliwie przyczyniła się do podjęcia decyzji o samobójstwie. Toteż im rzadziej nas teraz widuje, tym lepiej. Wychodzimy na polanę nad rzeką. Siadamy obok siebie na drewnianej huśtawce ogrodowej pomalowanej na biało i wpatrujemy się w przeciwny brzeg, będący już po stronie New Jersey. Widok psuje płot z siatki drucianej, ale szpital nie może ryzykować.

- Nie przyjechałeś tu tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzę - odzywa się w końcu Sally. W jej głosie nie słyhać pretensji, tylko żal.

Tak chciałaby być kochana. Zastanawiam się, czy wie o Addisonie.

- To był główny powód.

- No, może jeden z powodów, ale na pewno nie najważniejszy.

Nie potrafię spojrzeć jej w oczy. Koło płotu starsza kobieta obejmuje młodszą, która płacze. Może to matka i córka, ale nie wiem, która jest pacjentką. Przez cały czas obserwuje je czujnie dwoje pracowników ośrodka.

- Rzeczywiście, miałem inny powód - przyznaję w końcu.

- W porządku. - Teraz mogę już na nią spojrzeć, ale ona wpatruje się z wielkim zainteresowaniem w trawę i trąca ziemię czubkiem sandała.

- Muszę cię o coś zapytać.

- W porządku.

- Dlaczego zabrałaś album z wycinkami?

Sally powoli podnosi głowę. Na jej ustach nadal widnieje starannie wypracowany półuśmiech. Oczy ma jasne, ale czujne. Błyszcą od zbierających się łez, a może z bólu. - Jaki album? - pyta nieprzekonująco.

- Z Shepard Street. Dzień po pogrzebie. Album z wycinkami na temat wypadków śmiertelnych spowodowanych przez kierowców, którzy uciekli z miejsca wypadku. Zabrałaś go ze sobą, kiedy wychodziłaś. - Znów mam przed oczami ten obraz: Sally idzie tanecznym krokiem po podjeździe, a jej wielka torba na zakupy zwisająca z ramienia podskakuje wesoło. - Dlaczego go zabrałaś, Sally?

Początkowo sędzę, że moja kuzynka będzie dalej zaprzeczać. Jednak po chwili szepcze jedno słowo, jak łagodne przekleństwo: - Addison.

- Addison? Co Addison?

- Poprosił mnie, żebym go zabrała.

- Ale dlaczego? Skoro go chciał, to dlaczego sam go nie wziął?

- Nie mógł. Był wtedy z tą głupią poetką. - Śmieje się niewesoło. - Zadzwoił... zadzwonił do mnie w dzień po śmierci twojego ojca. Do domu na Shepard, pamiętasz? Kazał mi iść do gabinetu i go zabrać, ale kiedy weszłam, ty tam byłeś i... i chyba stchórzyłam. Ale po pogrzebie spytał mnie, czy mam już album, a ja powiedziałam, że nie, i wtedy poprosił, żebym poszła go zabrać z domu, bo to ważne. No, więc zrobiłam to następnego dnia.

Zastanawiam się przez chwilę. - Widocznie nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył, co w nim jest.

Kiwa potakująco głową, nadal trącając stopą trawnik. - Też tak pomyślałam.

Pytanie za milion dolarów: - Zatem, co w nim było?

Sally gwałtownie wciąga powietrze. Zdenerwowana Doris Kwan, która od początku była przeciwna tej wizycie, pojawia się w polu mojego widzenia. - Addison powiedział... powiedział, że Mariah będzie grzebała w przeszłości Sędziego. Miałam zabrać album, żeby go nie znalazła. Potem poprosił, żeby pomagała Mariah i... i pilnowała jej, a jeśli coś znajdzie, mam mu dać znać.

Bez trudu wyobrażam sobie, jak mój brat manipuluje biedną Sally; jak wszyscy w rodzinie wiedzą, jej zauroczenie Addisonem nigdy całkowicie nie minęło. Patrząc teraz na kuzynkę, która wspomina to wszystko i cierpi, zastanawiam się, czy ich związek seksualny rzeczywiście skończył się tak dawno, jak wszyscy sądziliśmy. Jednak odsuwam od siebie tę niegodną myśl, gdyż łatwo mógłbym go znienawidzić. Zapewne Addison wie o tym, co się obecnie dzieje, więcej niż my wszyscy razem, ale zabrał swoją wiedzę do Ameryki Południowej.

Muszę teraz posuwać się bardzo ostrożnie i zadawać pytania w odpowiedniej kolejności. - Zatem nigdy ci nie powiedział, co jest w albumie z wycinkami?

- Nigdy więcej już o nim nie wspomniał. Wiedział, że będę tańczyć, jak mi zagra. - Uśmiech zniknął.

Delikatnie, delikatnie: - I zapewne poprosił cię też, żebyś zabrała książeczkę Mariah, tę, w której zapisywała wszystkie spostrzeżenia, gdy byliście razem na strychu? Chciał ją przeczytać?

- To był mój pomysł. Chciałam zrobić na nim wrażenie, możesz w to uwierzyć? Bałam się, że Mariah się domyśli, co się z nią stało, ale nie.

- I co, zrobiło to na nim wrażenie?

Potrząsa przecząco głową. - Zadzwoiłam do niego i powiedziałam mu o tym. Byłam taka podniecona, ale on nawet nie chciał jej zobaczyć. Ważny był dla niego tylko album z wycinkami.

- Ale dlaczego to było dla niego takie ważne, Sally? Czy powiedział, czym się denerwuje?

Długo muszę czekać na odpowiedź, jakby nawet teraz zastanawiała się, ile może mi powiedzieć. Martwię się, czy Doris Kwan lada chwila nie przerwie naszej rozmowy, ale nie wolno mi ponaglać Sally. - Powiedział mi... powiedział, że wasz ojciec zrobił coś strasznego, dawno temu. I... i że jeśli ludzie się o tym dowiedzą, będzie miał kłopoty.

- Kto będzie miał kłopoty? Sędzia?

- Addison.

- Addison miałby z tego powodu wpaść w kłopoty?

- A niby kto? - Jej głos zrobił się piskliwy.

- Chodzi mi tylko o to...
- Czy on się kiedykolwiek troszczył o kogoś innego? - Zduszony szloch.
- Co za drań! Zmusił mnie, żebym dla niego kłamała, żebym dla niego kra-
dła... zrobił ze mnie wstrętnego szpiega! A na dodatek traktował mnie jak
dziwkę! *Zawsze* tak było! Co za sukinyń! Nienawidzę go!

- Sally...

Odpycha mnie. - *Wszyscy* jesteście draniami! Wszyscy Garlandowie! Nie
kochaliście mnie nigdy. Kochaliście siebie nawzajem i siebie samych, ale
mojego ojca i mnie nigdy!

Wielebna Kwan jest już przy nas. - Myślę, że wystarczy - oświadcza sta-
nowczo, podnosząc uległą Sally na nogi i odprowadzając ją kawałek ode
mnie.

- Chwileczkę! - protestuję, gdyż koniecznie chcę wyjaśnić Sally, że nie
jest tak, jak myśli, i zapewnić ją, że stoję po jej stronie.

- Musi pan już iść, profesorze. Pańska kuzynka ma już dość.

- Ale muszę jej powiedzieć...

Potrząsa przecząco głową i wsuwa się między nas. Zdążyła już przekazać
Sally w ręce jednej z pomocnic, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Sani-
tariusz stoi obok pani kapelan i razem tworzą przeszkodę nie do przebycia.
Mariah i Howard wiedzieli, za co płacą. - Profesorze, rozumiem, że pan
również cierpi. Ale nie może pan wykorzystywać kuzynki jako narzędzia,
które pomoże panu uwolnić się od tego bólu. Sarah jest istotą ludzką, nie
narzędziem. I tak zbyt wiele osób już ją wykorzystano... i po prostu się zuży-
ła.

(II)

To, co muszę teraz zrobić, napęła mnie obrzydzeniem, ale przynajm-
niej coś robię. Dzwonię z automatu telefonicznego do Mariah w Darien i
proszę ją o adres oraz numer telefonu Thery Garland, gdyż zgodnie ze zwy-
czajami mężczyzn z naszej rodziny, sam go nigdzie nie zapisałem. Siostra
jest ciekawa, po co mi to, ale na wzór ojca otaczam się murem milczenia.
Mariah w końcu się poddaje, jednak wymusza na mnie obietnicę, że później
przedstawię jej „wszystkie soczyste szczegóły”. Moja siostra nie rezygnuje z
teorii spiskowych i chętnie dopasuje do nich to, co uda mi się znaleźć.

Thera mieszka w Olney w stanie Maryland, jakieś piętnaście mil na pół-
noc od Waszyngtonu, więc jazda ze szpitala zajmuje mi niecałe dwie godzi-
ny. Noga dokucza mi przez całą drogę. Dwukrotnie się zatrzymuję, ale nie
dzwonię do Thery, dopóki nie przyjeżdżam na miejsce, gdyż nie chcę jej
stwarzać okazji, by mi odmówiła. Sally jest jej jedynym dzieckiem i Thera
zachowuje się w stosunku do niej niezwykle opiekuńczo - nawet nadopie-

kuńczo, gdyż wielokrotnie uchroniła córkę przed konsekwencjami jej czynów. Według opowieści rodzinnych, parę razy okłamała policję, a nawet popełniła oszustwo ubezpieczeniowe, biorąc na siebie jej winę w wypadku samochodowym.

W głosie Thery wyraźnie słyhać niechęć. Mówię jej, że chciałbym zobaczyć się z dziećmi, co jest prawdą, ale nie do końca. Otwarcie wyraża swoją niechęć wobec tego pomysłu, ale w końcu się poddaje i mówi, że mogę przyjść. Podaje mi wskazówki, jak dojechać do jej segmentu znajdującego się w pobliżu centrum miasta.

Dziękuję jej i wracam szybko do samochodu.

Zależy mi na spotkaniu z Therą, gdyż muszę się dostać do mieszkania Sally. Sally wspomniała, że Addison prosił ją o zabranie albumu z wycinkami. Mówiła też, że potem już więcej o nim nie wspominał, gdyż wiedział, że będzie tańczyła, jak jej zagra. Mogło to jedynie oznaczać, że wiedział, iż zrobi, co jej kazał. Zatem skoro więcej o tym nie wspominał, to zapewne nawet jej nie spytał, czy zabrała album.

A to z kolei oznacza, że mu go nie dała.

Kiedy dojeżdżam do rozległego osiedla, gdzie mieszka Thera, zatrzymuję się u wylotu podjazdu, czekając, aż minie mnie kilka samochodów, gdyż znowu mam to alarmujące uczucie, że jestem obserwowany. Jednak żaden z jadących za mną kierowców nawet nie zwalnia, żeby zobaczyć dokąd jadę, więc to zapewne wytwór mojej wyobraźni.

Naciskam dzwonek i w drzwiach staje Thera, ciemna i potężna, wyglądająca jak barykada, którą zawsze starała się wznieść wokół Sally. Ma w sobie taki sam żar, jak córka, ale wykorzystuje tę energię raczej do zastraszania niż oczarowywania. Nie jest zadowolona, że mnie widzi i trudno mi ją za to winić. Mężczyźni Garlandów nie byli zbyt dobrzy dla jej córki. Jest ubrana w luźne dżinsy i białą bluzkę, a dwójka dzieci Sally - siedmio- i ośmioletnie - wygląda lekliwie zza silnych nóg babci.

- Cześć, Thero.

Kiwa nieuprzejmie głową, odsuwa się na bok i szerokim gestem zaprasza mnie do małego holu. Stoję na niebieskich kafelkach dopasowanych do jasnych ścian. W przedpokoju wiszą obrazki - czarny Jezus i biały Jezus. Na przeciwległej ścianie zawieszono fotografie: Derek, Malcolm X, Martin Luther King. Zdjęcie Dereka jest największe. Pochylam się i ściskam dłonie dzieci, chichoczących z nadzieją. Kiedy jednak upewniają się, że nic im nie przyniosłem - skandaliczne przeoczenie w przypadku krewnego, który je rzadko odwiedza - odbiegają w głąb domu, żeby dalej się bawić.

- Ile to już lat, Talcocie? Cztery? Pięć?

- Mniej więcej. Przykro mi, Thero.

Thera wydaje pomruk, który można odczytać jako wybaczenie. Prowadzi mnie do kuchni, gdzie siadamy po przeciwnych stronach blatu i pijemy

herbatę. Na blacie leży otwarta Biblia, a obok książka Oswalda Chambersa. Przy oknie wisi koronka z napisem: JA I MOJA RODZINA BĘDZIEMY SŁUŻYĆ BOGU. Thera siedzi przede mną, siedemdziesięcioletnia, ponura i silna, otoczona swą wiarą - martwi się o córkę i zastanawia, być może, dlaczego Sally przejęła więcej cech po swym ojcu, niż po matce. Tyle, że - według Po Prostu Almy - Thera w młodości też nie była aniołem.

- Czego chcesz, Talcotcie? - tę część swojej osobowości, tę emocjonalną uczciwość Thera rzeczywiście przekazała swojej córce. Żadna z nich nie umie udawać tego, czego nie czuje, ani ukrywać, co myśli. - Nie przyjechałeś taki kawał, żeby zobaczyć Rachel i Josha, więc nie opowiadaj mi tych bzdur.

- Byłem dziś odwiedzić Sally.

Widzę zmianę w jej wyrazie twarzy, a głos staje się mniej opryskliwy. - I jak było?

- Nadal ciężko to znosi.

- To *wiem*. Chodzi mi o to, jak cię potraktowała?

To pytanie zaskakuje mnie swą przenikliwością i złośliwością. Przybieram dyplomatyczny ton. - Przeprosiliśmy się nawzajem.

Thera nie ma cierpliwości, żeby bawić się w eufemizmy. - Taak? Czemu? Też ją posuwałeś?

Chwila niemądrej paniki. - Nie, nie, proszę, nie myśl tak. Oczywiście, że nie.

- Twoja rodzina nie była dla niej dobra, Talcotcie. - *Twoja* rodzina. Sama Thera była z nią związana tylko małżeństwem. A Sally urodziła się wcześniej.

- Wiem.

- Nie powinienesz być tam jechać. - Może zdecydowała się mi wybaczyć. - No, dobra, więc po co pojechałeś?

Wcześniej zdążyłem przemyśleć odpowiedź na to pytanie. - Thero, nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Chciałbym, ale nie mogę. Ale Sally była... ona i moja siostra usiłowały dojść do tego, co przytrafiło się ojcu. Nie chciałem jej denerwować, ale nurtowało mnie pytanie, na które tylko ona mogła odpowiedzieć. Pojechałem tam, żeby je zadać.

Teraz sprawia wrażenie rozbawionej. Pociąga łyk herbaty. Kubek niknie w jej masywnej dłoni. Nie wiem, czy mi wierzy. - I co? Dostałeś odpowiedź?

- Tak. - Thera czeka na dalszy ciąg. Z sąsiedniego pokoju dobiegają odgłosy hałaśliwej zabawy dzieci. Muszę to w końcu z siebie wykrztusić. - Thero, muszę się dostać do mieszkania Sally.

- I co, myślisz, że dam ci klucze?

- To ważne, w innym wypadku nie jechałbym taki kawał.

- Co jest ważne? Czego ty szukasz, Talcotcie?

- Jest coś... pewna rzecz, którą Sally chyba ukryła w mieszkaniu. Coś z domu mojego ojca. Muszę to znaleźć.

- Chcesz powiedzieć, że coś ukradła?

Potrząsam przecząco głową. - Sądzę, że starała się pomóc. Myślę, że... ona uważała, iż dobrze robi, ukrywając to.

Oczy Thery się zwięzają. - Pomóc komu? Twojemu bratu, co?

- Dlaczego to mówisz? - odparowuję.

- Ponieważ płakała całymi dniami zanim... zanim próbowała ze sobą skończyć. Stale opowiadała o twoim bracie i o tym, co jej zrobił. - Przez chwilę obydwójce to rozważamy. Jestem zaskoczony jej kolejnym pytaniem, ale to pytanie matki troszczącej się o swoje dziecko: - Czy ta rzecz, której szukasz, była powodem jej załamania?

- Nie wiem. Myślę, że częściowo mogła być.

- Czy jeśli ją znajdziesz, zabierzesz ze sobą?

- Raczej tak.

- I dlatego chcesz klucze? Żebyś mógł to znaleźć i zabrać?

- Tak.

- Poczekaj tu.

Thera ciężkim krokiem odchodzi korytarzem. Słyszę, jak prosi dzieci, żeby się uspokoiły. Wraca po chwili z torbą na zakupy. - Myślę, że tu jest to, czego szukasz, Talcotcie.

Wręcza mi torbę. Zaglądam do środka. Widzę swój stary płaszcz przeciwdeszczowy, który pożyczyłem Sally tego ranka, gdy wymykała się z Hiltona. Odwracam się do Thery, chcąc jej wyjaśnić, że wcale nie na tym mi zależy, że mimo wszystko potrzebny mi klucz. Jednak uświadamiam sobie, że torba jest cięższa, niż być powinna. Zaglądam do niej ponownie i widzę na dnie zaginioną książeczkę Mariah. Już chcę powiedzieć, że to również nie jest to, o co mi chodzi, lecz odwijam płaszcz i znajduję w środku błękitny album z wycinkami.

- Zabieraj stąd to diabelstwo - rozkazuje mi Thera. - Wiedziałaam, że to wytwór szatana już wtedy, kiedy Sally to przyniosła. Czy ty też to czujesz? - Wstrząsa się i zakłada ręce na piersi. - Powinnam była to spalić. Zbyt wiele osób ma przez to zrujnowane życie.

(III)

Nie dotarłem tak daleko, żeby teraz ulec niecierpliwości. Podobnie jak bratu, nie zależy mi na książeczce Mariah, bo nie kryje ona już żadnych sekretów. Interesuje mnie tylko niebieski album z wycinkami. Ale nie od razu go oglądam. Najpierw ponownie ruszam na północ, szybko docierając do szosy międzystanowej. Jadę nią przez kolejną godzinę, sprawdzając we wstecznym lusterku, czy nikt mnie nie śledzi, i żałując że nie ma tu Maxine, która pomogłaby mi to stwierdzić. Choć kto wie, może jest. W końcu za-

trzymując się na noc w moteliku w Elkton, tuż za granicą stanu Maryland. Na kolację jem kanapkę z kurczakiem z McDonalda, po czym siadam przy udającym drewniany stoliku w spartańsko urządzonej sypialni i staram się skupić, pomimo dokuczliwego smrodu środków dezynfekcyjnych. Wyciągam z torby mój stary zielony płaszcz, tak pognieciony, że pralnia chemiczna może sobie z nim nie poradzić.

Potem wyjmuję niebieski album z wycinkami i umieszczam go na środku stołu.

Dzieło szatana.

Przypominam sobie dzień, kiedy go znalazłem, piątek po śmierci mojego ojca, oraz swoją panikę na myśl o tym, że biedna Sally może go zobaczyć. Nawet wówczas intuicja mi podpowiadała, że lepiej, aby nikt nie brał go do ręki.

Teraz w końcu go otwieram i usiłuję ustalić, co w nim jest takiego przerażającego, że w połączeniu z innymi stresami spowodowanymi przez moją rodzinę doprowadziło Sally do próby odebrania sobie życia. Raz jeszcze kartkuję ohydne stroniczki, ten katalog wypadków śmiertelnych - a każdy z nich spowodowany przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku, każdy oznaczający tragedię jakiejś rodziny, gdyż jestem przekonany, że każda z tych osób była kochana.

Okropne, to prawda. Ale co Sally powiedziała?

Nie wiem, dlaczego musiał dostać ich oboje. Te właśnie słowa wypowiedziała na krótko przedtem, nim zażyła tabletki. Paula, jej opiekunka ze stowarzyszenia Anonimowych Alkoholików, sądziła, że mówi o mnie, gdyż powtarzała również *Biedny Misha*. Jednak być może wcale nie miała na myśli mnie. Być może to ktoś inny *musiał dostać ich oboje*.

Raz jeszcze przeglądam album. Ostatnie strony są puste, gdyż Sędzia przestał zbierać wycinki, gdy odzyskał równowagę psychiczną. Lecz co spowodowało, że doszedł do siebie? Co doprowadziło do nagłej zmiany jego zachowania, która tak się wryła w pamięć mnie i mojemu rodzeństwu?

Przerzucam kartki, żeby spojrzeć na ostatni wycinek wklejony do albumu. Podobnie jak inne, przedstawia historię, w której winowajca uciekł z miejsca wypadku. Ofiarą jest Phil McMichael, dawny chłopak Dany i syn przyjaciela Sędziego, senatora Oza McMichaela, zabity w swoim cąmaro przez ogromną ciężarówkę.

I cóż? Interesujący zbieg okoliczności, ale co z tego?

Na marginesie widnieje niewyraźny dopisek ojca. Nie od razu udaje mi się go odcyfrować. W końcu mam: *Ekscelsior*.

Ekscelsior?

Nie chodziło o zadanie szachowe, tylko o stronę w albumie? Czy o obydwie te rzeczy?

Chwileczkę. *Musiał dostać ich oboje.*

Zaczynam czytać artykuł, starając się to wszystko zrozumieć. W trzecim akapicie podkreślony jest pierwszy wiersz, który brzmi: *Dziwnym zbiegiem okoliczności narzeczona pana McMichaela, Michelle Hoffer, zginęła przed trzema miesiącami w podobnym wypadku...*

Czuję, że mam spocone palce, kiedy przewracam kartki, żeby znaleźć wcześniejszy wycinek. Rzeczywiście, jest zdjęcie Michelle Hoffer, córki innej bogatej rodziny, zabitej w wypadku, którego sprawca uciekł. A na marginesie ten sam wyraz: *Ekscelesior*.

Podwójny Ekscelesior.

Mam nadzieję, że ich złapią.

Ich. Kierowcę i pasażera.

Wyobrażam sobie Sally, jak wieczorami kartkuje album, starając się zrozumieć, dlaczego Addison chciał, żeby go wyniosła z domu przy Shepard. Czeka na jego telefon, ale Addison nie dzwoni. Pewnego dnia przypadkowo rozszyfrowuje nieczytelne dopiski Sędziego i wkrótce pojmuje, o co w tym wszystkim chodzi. Tyle, że wolałaby tego nie wiedzieć. Co zatem robi? Oddaje album matce, chcąc go usunąć ze swojego życia, podobnie jak raz na zawsze próbuje się pozbyć z niego Garlandów. To jednak nie wystarcza. Wie, co ukrywa mój brat i wie, co zrobił Sędzia, a jest tak rozchwiana emocjonalnie, że nie wytrzymuje tego napięcia

Nic dziwnego, że policja niewiele zrobiła w sprawie śmierci Abby. W tamtych czasach nikt nie miał zamiaru ścigać syna najbardziej wpływowego senatora na Kapitolu. A już z pewnością nie za to, że potracił czarną nastolatkę, która paliła marihuanę i w czasie burzy prowadziła bez prawa jazdy samochód, który nawet nie należał do niej. Nikt nie tknąłby tej sprawy.

Nikt, oprócz Olivera Garlanda.

Nikt, oprócz Colina Scotta.

I nie była to zwykła zemsta w myśl zasady „oko za oko”. W samochodzie, który spowodował śmierć Abby jechały dwie osoby i Sędzia w swoim szaleństwie postanowił, że musi dostać je obie.

ROZDZIAŁ 57

Wymiana niektórych figur

(I)

Po zakończeniu roku akademickiego Elm Harbor pustoszeje. Latem znikają nie tylko studenci i wykładowcy, lecz również stali mieszkańcy, zupełnie jakby nie musieli chodzić do pracy, jeździć autobusami czy stać w kolejkach do kasy w supermarketach. Trzymam się z daleka od szkoły prawniczej. Znów spędzam czas, wykonując nic nieznaczące czynności. Urządzą swój segment, tak żeby dało się w nim mieszkać, grywam w szachy przez Internet, czasem słucham muzyki, trochę pracuję naukowo. Przewyciężam strach przed lataniem, żeby udać się do Johna i Janice Brownów w Ohio. Spędzam tam kilka dni, ale ich rodzina jest zbyt szczęśliwa, żebym mógł to długo znieść. Nadal dwa lub trzy razy w tygodniu rozmawiam z Mariah przez telefon, ale trochę brakuje nam tematów. Jestem przekonany, że utrzymuje kontakt z Addisonem, lecz nigdy tego nie potwierdziła.

Czekam. Ustaliłem już warunki, jakie muszą zostać spełnione, żebym mógł podjąć działanie, ale jeszcze się ich nie doczekałem, więc zmuszam się do cierpliwości tak obcej mej naturze. Zaczynam uważnie śledzić prognozy pogody, licząc na nadejście huraganu, ponieważ dopiero wtedy będę mógł działać.

Nadal zbieram informacje. Pewnego ranka idę do biblioteki szkoły prawniczej i wyszukuję pewne nazwisko w krajowym spisie prawników Martindale'a-Hubbella. Tego samego dnia spotykam się na lunchu z Arnie Rosenem, gdyż chcę mu zadać skomplikowane pytanie dotyczące etyki zawodu prawnika. Następnego wieczoru uczestniczę w przyjęciu w domu Lema i Julii Carlyle, lecz kiedy stwierdzam, że poza mną jedyną osobą samotną jest ładna, inteligentna czarna kobieta z dziesięć lat ode mnie młodsza, prezenterka wieczornych wiadomości lokalnych, oraz że moi mający dobre intencje gospodarze posadzili ją obok mnie, dość wcześnie się wymawiam i wychodzę. Ona z pewnością jest wspaniała, lecz ja nie jestem jeszcze gotowy.

Dwa dni później grupa konserwatywnych działaczy rozpoczyna kampanię na rzecz przeprowadzenia dochodzenia w sprawie „nierozstrzygniętych kwestii”, związanych z „tragiczną i podejrzaną” śmiercią sędziego Olivera Garlanda. Kurczę się przed telewizorem, oglądając konferencję prasową

relacjonowaną przez CNN, jednak muszę sprawdzić, czy w tej akcji nie uczestniczy ktoś z mojej rodziny. Na szczęście nie, ale z wielką przykrością zauważam ponurego Eddiego Doziera, byłego męża Dany, w samym środku tłumu tropicieli spisków. Eddie jest dla nich cenną zdobyczą jako dawny aplikant Sędziego i przedstawiciel ciemniejszej nacji, toteż prezentują go w pierwszym rządzie. Przygotowuję się psychicznie na falę pytań ze strony prasy - zamierzając, jak zwykle, odpowiadać: „Bez komentarza” - jednak okazuje się, że dzwoni do mnie niewielu dziennikarzy. W końcu ojciec zmarł osiem miesięcy temu, więc to już bardzo stary temat, i nawet mój dawny przyjaciel Eddie, który uwielbiał Sędziego, nie potrafi przywrócić go do życia.

Pod koniec czerwca jadę samochodem do Woods Hole i przeprawiam się promem na Vineyard. Jest to moja pierwsza wizyta od stycznia. Przez kilka dni doprowadzam dom do porządku po zimie - tym razem nie odwiedzili go żadni wandalcy - po czym wracam do Elm Harbor, żeby zgodnie z umową z Kimmer zabrać syna. I znów jestem z powrotem w Oak Bluffs, mając przed sobą trzy wspaniałe tygodnie z Bentleyem. W tym czasie staram się zapewnić mu wszystkie możliwe przyjemności. Rano spędzamy całe godziny na karuzeli z konikami, a po południu na plaży. Jemy wszystkie rodzaje krówek, jakie udaje nam się znaleźć. Codziennie chodzimy na plac zabaw. Spacerujemy nad urwiskami Gay Head i po mokradłach Chappaquiddick. Jeździmy do biblioteki w porze czytania bajek, budujemy ogromne zamki z piasku na plaży zwanej Kałamarzem i czekamy w kolejce do restauracji Linda Jean's. Wypożyczamy rowery, gdyż chcę nauczyć syna jeździć na dwóch kołach, jednak jest na to jeszcze zbyt mały i trzecie kółko musi pozostać na swoim miejscu. Jemy tyle lodów, że starczyłoby dla pułku wojska. Kupuję mu bluzy, czapki i zabawki, a także pierwszą parę żeglarskich butów, które odtąd nosi wszędzie. Jednak to wszystko nie ma nic wspólnego z typowym rozpuszczaniem dziecka przez ojca, kiedy rodzice się rozchodzą - nie współzawodniczę z Kimmer o względy syna. Chodzi tylko o to, że moje sprawy nadal nie zostały zakończone i prędzej czy później będę musiał ostatecznie je rozwiązać.

Krótko mówiąc, obawiam się, że mogę go już więcej nie zobaczyć.

Dzwoni do nas Kimmer, żeby sprawdzić, jak radzi sobie nasz syn, oraz poinformować mnie, że jest bardzo szczęśliwa. Chyba sądzi, że ta wieść mnie ucieszy. Telefonuje też Mariah z informacją, że Howard przechodzi do innego banku inwestycyjnego, gdzie zostanie wiceprezesem i pewnym kandydatem na prezesa. Za samo przejście do nich, zwierza się Mariah, otrzyma premię wyrażającą się mniej więcej ośmiocyfrową sumą, chociaż wielkością tej kwoty i tak będzie musiał zasilić kapitał firmy. Nie bardzo wiedząc, jakiej reakcji oczekuje moja siostra, mówię jej, że bardzo się cieszę. Jednocześnie rozmyślam nad znaczeniem określenia „mniej więcej” i przy-

pominają mi się słowa z filmu „Arthur”: - Jak się czujesz, mając taką kupę pieniędzy? Czuję się wspaniale. - Coś w tym rodzaju. Niewątpliwie po głosie Mariah można poznać, że czuje się wspaniale i podczas tej rozmowy ani razu nie wspomina o autopsji.

Morris Young dzwoni, żeby mi podać listę fragmentów Biblii do przeczytania.

Nie czytam żadnych gazet z łądu. Nie oglądam wiadomości telewizyjnych i bardzo rzadko słucham ich przez radio. Pragnę żyć w małym, nierealnym świecie, w którym jest miejsce tylko dla mojego syna i dla mnie, i oczywiście, dla mojej żony, gdyby tylko zechciała wrócić.

Żalotne.

Odbieram telefon od bardzo podekscytowanej Lyndy Wyatt: - Nie mam pojęcia, co powiedziałaś Cameronowi Knowlandowi, ale już nie daje nam trzech milionów na bibliotekę! Teraz daje sześć! Podwoił swój dar! I nie zgadniesz, co powiedział. Stwierdził, że jego syn jest rozpuszczonym bachorem i był już najwyższy czas, żeby któryś z nauczycieli przywołał go do porządku! Prosił, żebym ci przekazała jego podziękowania. Zatem dziękuję ci, Tal, w imieniu Camerona i swoim. Jak zwykle, jestem ci wdzięczna za wszystko, co robisz dla naszej szkoły. Gratulacje! Masz zadatki na dziekana, Tal!

Wspaniale. Najwyraźniej moje notowania w akademickim światku znowu rosną, lecz nie dlatego, że stworzyłem nowatorską teorię w swojej dziedzinie, lecz dzięki temu, że pomogłem pani dziekan zdobyć mnóstwo pieniędzy dla szkoły. Nie wspominałem Lyndzie, na czym polega słabość przeprowadzonej przez nią oceny moich uzdolnień - otóż, nie próbowałem już więcej dzwonić do Camerona Knowlanda. Ta informacja tylko by ją zdenerwowała. Przypuszczam, choć nigdy nie będę miał pewności, że za tym podwojonym darem kryje się ręka Jacka Zieglera, który w dalszym ciągu chroni rodzinę, a być może nawet sam dostarczył gotówkę. Mam nadzieję, że nie uważa teraz, iż jestem mu winien przysługę.

Dzwoni też Droga Dana Worth z wieścią, że Theo Mountain postanowił przejść na emeryturę. Dana nie waha się powiedzieć, że to najwyższy czas. Całkowicie się z nią zgadzam, choć nie mówię jej, jak bardzo mnie to cieszy i dlaczego. Stwierdzam tylko, że dzięki temu będzie mógł więcej czasu poświęcić wnuczce. Jednak to nie koniec ciekawostek.

Dana chyba wie, jak wyszła na jaw sprawa plagiatu. Dzięki cierpliwym podchodom udało jej się wydobyć od Theo informację, że wiedział o tym jeszcze jeden profesor naszej szkoły. Domyślałam się, zanim jeszcze mi powiedziała:

- Stuart?
- Brawo!

Oczywiście. Przecież Stuart Land był dziekanem, kiedy Marc wydał tę

książkę. Może to nawet Marc przyszedł do Stuarta, kiedy Theo wyjawiał mu, że wie o plagiacie, lub Theo wprowadził Stuarta w całą sprawę. W każdym razie Stuart z pewnością pośredniczył w przekonaniu Theo, żeby zachował milczenie dla dobra szkoły, i zapewne on również wymógł na Marcu obietnicę, że w zamian nie opublikuje już niczego interesującego. Nic dziwnego, że Stuart usiłował mnie przekonać, żebym namówił Kimmer do rezygnacji z kandydowania! Pragnął, żeby to Marc zdobył stanowisko sędziowskie, gdyż jego widok stale przypominał mu, co zrobił. Wyjaśnia to również, dlaczego Marc zaangażował się w spisek, który doprowadził do usunięcia Stuarta ze stanowiska dziekana. Co za płątanina...

- Nikomu nie wolno tu ufać - chichocze Dana.

- Oprócz ciebie.

- Może tak, może nie. To miejsce jest prawdziwą jaskinią zła. - Znów zduszony śmiech. - Jesteś pewien, że chcesz tu wracać?

- Nie. - odpowiadam jej szczerze, chociaż prawdą jest również, że poza tym nie mam dokąd się udać.

Pół godziny później spaceruję z Bentleyem po plaży zwanej Kałamarzem i obserwuję, jak bawią się zamożni przedstawiciele ciemniejszej nacji, jednocześnie dopowiadając sobie resztę tej historii. Theo twierdził, że Sędzia powinien znać Lyndę Wyatt, gdyż pracował w różnych komitetach absolwentów. Jednak współpraca ta miała miejsce głównie za czasów, kiedy dziekanem był Stuart, jeszcze przed upadkiem ojca. To Stuart był przyjacielem Sędziego, nie Lynda, i mógł w którymś momencie opowiedzieć mu o plagiacie popełnionym przez Marca. Być może nawet zasięgał jego rady, jak rozwiązać tę sprawę. Kto wie, czy ostateczny układ pomiędzy Theo i Markiem nie był pomysłem mojego ojca. W każdym razie Sędzia mógł o tym wspomnieć Jackowi Zieglerowi, nawet na marginesie innej rozmowy, zapominając, że wujek Jack kolekcjonuje wszelkie niewłaściwe czyny osób na świeczniku, tak żeby w przyszłości mógł trzymać je w szachu. To by wyjaśniało, skąd wujek Jack wiedział o całej sprawie.

Bentley goni mewy rozkładając ramiona, jakby też umiał latać. Ja tymczasem dalej przeglądam w myślach fakty, zastanawiając się, czy uda mi się coś jeszcze dopasować. Jack Ziegler dotrzymuje obietnic. Powiedział, że nie będzie ingerował w nominację mojej żony, więc muszę wierzyć - *muszę* wierzyć - że to Stuart, a nie Jack, poinformował Biały Dom o plagiacie. Muszę w to wierzyć, gdyż alternatywa jest zbyt przerażająca. Nie chcę myśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby Kimmer osiągnęła swój cel - jak pewnego dnia wuj Jack lub jego pośrednik wszedłby do jej pokoju sędziowskiego i powiedział, komu zawdzięcza stanowisko, oraz kto chronił jej rodzinę w chwilach zagrożenia. Następnie wyjaśniłby jej zapewne, na czym będą polegały jej nowe obowiązki oraz o czym dowie się świat, gdyby się z nich nie wywiązywała. Stałaby się wówczas następczynią Sędziego.

Na myśl o tym przechodzi mnie dreszcz, gdyż nadal uwielbiam swoją żonę, i czuję nagły przypływ wdzięczności za to, że przegrała rywalizację.

(II)

Nie wiem, dlaczego telefon nie da mi spokoju. Odbieram dwa telefony z firmy prawniczej, gdzie jestem konsultantem, oraz jeden od Cassie Meadows, która chce mnie poinformować, że Biuro nie ustaliło, kim był drugi strzelec na cmentarzu - ale to wiem bez ich pomocy. Potem Cassie szepcze, że pan Corcoran strasznie się o mnie denerwuje.

- To świetnie - oświadczam.
- Spróbuj na to spojrzeć z jego punktu widzenia...
- Nie mam zamiaru.
- Ale, Misha...
- Wiem, że to twój szef, Cassie, i go szanujesz. Ale ja uważam, że to kłamca i oszust. - Zaskoczona, pyta mnie, co mam na myśli, ale jestem zbyt zajęty, żeby jej to wyjaśniać.

Dzwonią też z dziekanatu z pytaniem, kiedy ocenię resztę egzaminów z prawa administracyjnego, a dwaj agenci literaccy telefonują, żeby się dowiedzieć, czy nie chciałbym napisać książki.

Potem rozmawiam z Shirley Branch, ale ona nie ma do przekazania żadnych wieści. Mówi, że dzwoni przede wszystkim po to, żeby zapytać, jak się czuję. Wspomina też, że nadal bardzo tęskni za Cinque, swoim zaginionym terierem. Pytam o Kwame. Wychwała go pod niebiosa, twierdzi, że poza nim żaden kandydat na burmistrza nie potrafi uratować miasta, chociaż nie precyzuje, przed czym trzeba je ratować. Potem wzdycha ciężko i zwierza się, że Kwame jest tak zajęty kampanią wyborczą na „zbawiciela miasta”, że już się prawie nie spotykają. Dziwne, że kiedy człowiek jest samotny, dokładnie odczytuje znaczenie najdelikatniejszych nawet wzmianek.

Jednak w dalszym ciągu najwięcej uwagi poświęcam Bentleyowi. Uczę go puszczać latawiec, co nienajlepiej mi wychodzi, oraz pływać - z powodzeniem. W bibliotece na Circuit Avenue wypożyczamy stos książeczek dla początkujących, gdyż stwierdzam, że mogę zacząć uczyć go czytać. Kiedy idziemy z powrotem w kierunku Ocean Park - oczywiście Bentley niesie większość książek, jako że uważa się już za dużego chłopca - zatrzymuję się i odwracam na pięcie, gdyż mam wrażenie, że ktoś nas śledzi. Jednak senna boczna uliczka, obramowana podniszczonymi wiktoriańskimi domkami, wygląda w to lipcowe popołudnie dokładnie tak samo, jak każdego innego dnia, a jeśli ktoś mnie obserwuje, to i tak nie potrafię go rozpoznać.

Bentley, z rozszerzonymi oczami, pyta mnie, czy dobrze się czuję.

W odpowiedzi czochram mu włosy.

W połowie naszego drugiego tygodnia na Vineyard w wyspę uderza północno-wschodni wiatr i niemal przez dwa dni pozostajemy bez prądu. Bentley przez cały czas jest wesoły i wcale nie przejmuje się tym, że musimy jeść kolację przy świeczce. Najwyraźniej w moim synu drzemie zamiłowanie do przygód. Teraz, kiedy opanował już mowę, szybko gromadzi wspomnienia, a nawet opowiada o wydarzeniach, które miały miejsce, zanim nauczył się mówić. Pozwalam mu spać w swoim łóżku - nie, *każę mu* spać w swoim łóżku - i, obserwując jego spokojną twarz, zanim zapalę starodawną lampę sztormową znaną na strychu, zastanawiam się, jak kilka krótkich miesięcy może wszystko zmienić. Gdyby to był styczeń, a nie lipiec, dawno uciekłbym już z wyspy, zamiast ryzykować pozostanie tu na noc bez prądu - i bez systemu alarmowego, który ostrzegłby mnie, gdyby niebezpieczeństwo czające się w cieniu zbyt blisko zbliżyło się do domu. Jednak te obawy zginęły na Cmentarzu Staromiejskim razem z panem Scottem, mimo że tajemnice, które je zrodziły, nadal istnieją. Leżę bezsenne, rozmyślając o Freemanie Bishopie i agencji Foremanie - prawdziwym agencji, mimo że zapewne nie nazywał się Foreman - oraz o Bożej Opatrzności. *Twoi synowie zajmą miejsce twych ojców**, mówi Psalm 45. Myśl o Bentleyu jako o moim następcy na ziemi napętnia me serce respektem i nadzieją.

*Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, 1990

Chroń rodzinę, pouczał mnie Jack Ziegler. Cóż, robię, co mogę. Tyle, że jeszcze dużo zostało do zrobienia.

Podczas ostatniego dnia spędzonego z Bentleyem urządzamy sobie piknik na plaży Menemsha i obserwujemy, jak słońce kryje się za najpiękniejszym horyzontem na Wschodnim Wybrzeżu. Jest to ta sama plaża, gdzie Colin Scott utopił jakiegoś biedaka, żebyśmy myśleli, że nie żyje. Nie boję się już żadnych duchów z minionych dziewięciu miesięcy. Siedząc na kocu, ściskam synka tak mocno, że zaczyna się wyrwać. Nie mogę go puścić, moje oczy napętniają się łzami. Wspominam noc, kiedy przyszedł na świat, przypominam sobie, jak on i Kimmer niemal umarli. Znów żywy jest strach, jaki odczuwałem, gdy lekarze wyrzucili mnie z sali porodowej i radość, jaką przeżywałem, kiedy było po wszystkim - i razem, matka i ojciec, na klęczkach modliliśmy się za swojego syna, składając Bogu wszystkie te obietnice, których ludzie rzadko dotrzymują, kiedy dostaną już to, czego pragnęli. Przyłapuję się na rozmyślaniu o tym, jak to wszystko mogło się popsuć, a wówczas pojmuję, że pora wracać do domu.

Następnego ranka pakuję samochód i wraz z Bentleyem czekamy w krótkiej kolejce na najwcześniejszy prom. Pora oddać Bentleya matce. I najwyższa pora, żebym stawił czoło swoim demonom.

ROZDZIAŁ 58

Wiarygodna relacja

Letnią siedzibę Mallory'ego Corcorana stanowi zdewastowana farma, zajmująca ponad dwieście akrów w pobliżu Middlebury w stanie Vermont. Składa się na nią odrestaurowany osiemnastowieczny drewniany dom, kilka przybudówek, mnóstwo łąk, wynajmowanych miejscowym rolnikom, którzy pasą na nich bydło, i gęste lasy, gdzie wujek Mal lubi polować. Farmę można łatwo znaleźć, gdyż rozciąga się po obu stronach drogi numer trzydzieści do Cornwall. Kiedy ostatnio tu byłem, studiowałem jeszcze na drugim roku szkoły prawniczej. Wujek Mal zaprosił mnie w ostatni weekend maja, w święto Memorial Day, gdy gościł również sekretarza stanu i kilku senatorów. Przypuszczam, że starał się mnie zwerbować - Pewnego *dnia to wszystko może być twoje!* - i może nawet by mu się udało, gdyby nie to, że już wówczas przerażała mnie jego przyjaźń z ojcem, mimo że nie znałem jeszcze wszystkich jej aspektów.

Siedzimy na starych bujanych fotelach na frontowej werandzie, prawnik i klient, popijając lemoniadę, podczas gdy Edie bawi się z kilkorgiem wnucząt oraz gromadą psów i kotów na dziedzińcu - jak nazywają podwórze prawdziwi mieszkańcy Nowej Anglii. Wujek Mal ubrany jest w brudne dżinsy, wysokie buty i koszulę w kratę - prawdziwy dżentelmen rolnik, przynajmniej tak, jak wyobraża go sobie waszyngtoński prawnik. Ja mam na sobie swój normalny letni strój, czyli spodnie khaki i wiatrówkę. Laskę położyłem obok siebie na podłodze, i strzeże jej teraz jeden z dużych tutejszych psów, ale chcę, żeby Mallory Corcoran dobrze sobie uświadomił jej obecność.

- Czego udało ci się domyślić? - pyta, kiedy zakończyliśmy wymianę uprzejmości.

- Wiem, że to ty zostawiłeś list w Vinerd Howse.

- Nie ja. Meadows. - W jego uśmiechu nie widać skruchy.

- To dlatego przy naszym pierwszym spotkaniu kazalesz jej zostać w pokoju. Była już wtajemniczona w tę sprawę.

- Była już w to zaangażowana - zgadza się ze mną. - Ale musieliśmy to w ten sposób załatwić. Wypełnialiśmy ostatnią wolę naszego klienta. Twojego ojca. Zostawił nam jeden z tych listów typu „otworzyć w razie mojej śmierci”.

Przypominam sobie poranek, gdy wyjeżdżałem z Aspen. - Ojciec dał ci kod, żebyś mógł wyłączyć alarm w Vinerd Howse. Dzięki temu nikt się nie zorientował, co się tam dzieje. - Wujek Mal potakuje ruchem głowy. Ale dla mnie nie wszystko jest jasne. - To dlaczego po prostu nie poprosił cię o przekazanie mi tego, co chciał, żebyś wiedział? Po co to całe idiotyczne bajdurzenie?

Mallory Corcoran popija lemoniadę i gładzi między uszami kolejnego wielkiego psa, który położył się przy nim na boku. Nie boi się mnie. Nie miał żadnych oporów, żeby się ze mną spotkać. Według własnych kryteriów zachował się honorowo i nie ma nic do ukrycia. - Sądzę, że ojciec chciał, żebyś dowiedział się o pewnych sprawach, ale najwyraźniej wołał ich nie przedstawiać otwarcie. Myślę... myślę, że obawiał się, iż może się na to natknąć ktoś inny. Dlatego właśnie przygotował ustalenia i ukrył je w miejscu, gdzie tylko ty możesz je odnaleźć.

- Rok temu - stwierdzam cicho.
- Powiedziałbym, że niemal dwa lata.

Przytakuję: - W październiku miną dwa lata od czasu, gdy dał ci ten list.

Wujek Mal jest zbyt doświadczonym prawnikiem, żeby pytać, jak do tego doszedłem. Jednak nie wie, co usłyszałem od swojego teścia, Milesa Madisona.

- Zgadza się - potwierdza, w dalszym ciągu bawiąc się z psem.

Wcześniej tego lata skonsultowałem się z Arniem Rosenem, ekspertem w dziedzinie odpowiedzialności zawodowej, który wyjaśnił mi podczas lunchu, że zobowiązania prawnika nie wygasają wraz ze śmiercią klienta. Oczywiście, nie działa już wówczas w imieniu klienta, lecz powinien wypełnić polecenia wydane na łożu śmierci, o ile nie są niezgodne z prawem i nie przekraczają obowiązków prawnika, a klient był w pełni władz umysłowych. Jeżeli to, o co prosi klient, wydaje się niesłuszne, prawnik może spróbować go od tego odwieść lub nawet odmówić, jednak jeśli się zgodzi, zobowiązanie istnieje. Innymi słowy, dostarczenie listu do Oak Bluffs, wraz z towarzyszącymi temu okolicznościami, leżało w zakresie zobowiązań Mallory'ego Corcorana wobec mojego ojca - nawet jeśli mnie wydaje się to moralnie dwuznaczne.

- Ale po co było rujnować cały parter i tłuc szkło? - pytam.

Wzrusza ramionami. - Żeby mieć pewność, że tylko ty wejdiesz na górę i znajdziesz list. To pomysł twojego ojca.

- Meadows sama to zrobiła?
- Nie pytałem jej o szczegóły.
- A gdybym nie wszedł na górę, tylko czekał na przyjazd policji?
- Nie wiem. Przypuszczam, że oni znaleźliby list i ci oddali. Podobnie,

gdyby człowiek, który opiekuje się w zimie domem - nie pamiętam jego nazwiska - znalazł go pierwszy. Muszę jednak przyznać, że nie wiem, czy

twój ojciec brał pod uwagę możliwość, iż to Kimmer znajdzie go pierwsza. A może po prostu uważał, że taki dzentelmen jak ty nie wyśle żony, żeby sprawdzała piętro po włamaniu.

Nie wiem, czy to ma być komplement, czy docinek, więc porzucam ten temat i zadaję jedno z dwóch pytań, które mnie tu przywiodły. - Czy wiedziałeś, co mój ojciec robi? Dlaczego ci zostawia ten list?

- Pozwól, że uprzedzę twoje kolejne pytanie. Chodzi ci o to, czy wiedziałem, na czym polegały jego ustalenia lub dlaczego chciał, żebyś się dowiedział, co w nich jest. Odpowiedź brzmi: nie. Obawiam się, że nie wiedziałem. I nadal nie wiem.

- Czy wiesz dlaczego wybrał mnie, a nie Addisona?

Tym razem dłużej czekam na odpowiedź - Odniosłem wrażenie, że twój brat popadł... no, w niełaskę.

- W niełaskę?

- Ojciec chyba sądził, że twój brat go zdradził.

Jestem zaskoczony, jednak jedno spojrzenie na twarz Mallory'ego Corcorana upewnia mnie, że niczego więcej się nie dowiem. Zatem zadaję drugie pytanie: - Czy wiedziałeś, co się naprawdę dzieje pomiędzy moim ojcem a Jackiem Zieglerem?

Ma już przygotowaną odpowiedź. Zapewne przygotował ją już w dniu, kiedy gospodyni zadzwoniła do firmy, żeby powiedzieć, że Sędzia nie żyje. - Twój ojciec był moim partnerem i przyjacielem, Talcotcie, ale był również klientem. Wiesz, że nie mogę ujawnić ci tego, co powiedział mi w tajemnicy.

- Traktuję to jako odpowiedź twierdzącą.

- Nie powinieneś tego interpretować w żaden sposób. Nie powinieneś niczego zakładać.

- Cóż, ja też jestem twoim klientem. To oznacza, że powinieneś zachowywać moje sekrety.

- To prawda.

- W porządku. Pozwolę sobie wyrazić pewne przypuszczenia. - Wujek Mal siedzi nieruchomo jak posąg. - Nie wiem dokładnie, co ojciec i wujek Jack wspólnie knuli, ale coś z pewnością. Być może czegoś się domyślałeś, jednak nie sądzę, by ojciec ci wiele powiedział, ponieważ... cóż, ponieważ zależało mu na twoim szacunku. - *A poza tym nie do końca ci ufał, myślę, ale nie mówię tego głośno, gdyż zależy mi, by mu pochlebić. Sędzia nie ufał ci w pełni i dlatego właśnie dał ci tylko ten zaszyfrowany list, a ustalenia ukrył gdzie indziej.* - Jednak chciałbym ci powiedzieć, co moim zdaniem się wydarzyło.

- Chętnie to usłyszę, Talcotcie.

Zatem zaczynam swoje opowiadanie. Mówię mu, że prawdopodobnie z początku było to całkiem niewinne. Zapewne Sędzia zwrócił się do Jacka Zieglera, żeby znalazł mu prywatnego detektywa, a ten polecił Colina Scotta,

ponieważ byli razem w Agencji, no i Scott potrzebował pracy. Nie sądzę, by początkowo ojciec szukał płatnego zabójcy. Może Jack Ziegler celowo stworzył mu pokusę, a może po prostu tak się złożyło. W każdym razie, kiedy ojciec otrzymał raport Scotta, postanowił nie przekazywać go policji.

- Dlaczego?

- Ze względu na nazwisko sprawcy.- Nie potrafię wyczytać z twarzy wujka Mała, czy ojciec mu powiedział, kto nim był. Jeśli o mnie chodzi, nie powiedziałem o tym Drogiej Danie i nigdy jej nie powiem.

Zamiast iść na policję, kontynuuję, Sędzia poprosił Scotta, żeby zabił odnalezionego kierowcę. Scott odmówił. To właśnie tę kłótnię słyszeli Sally i Addison. To wówczas ojciec tłumaczył lub błagał: *Nie ma żadnych zasad, gdy chodzi o własną córkę.*

- No i wówczas ojciec ponownie zwrócił się do Jacka Zieglera - opowiadam dalej. Spotkał się z nim i poprosił, żeby przekonał Scotta lub znalazł mu kogoś innego. Nie wiem, czy to zaskoczyło Jacka Zieglera, czy nie. Z tego, co o nim czytałem, z łatwością mu przychodziło sprowadzanie innych na złą drogę. Przypuszczam, że początkowo wysuwał zastrzeżenia i przestrzegał ojca, że nie ma pojęcia, w co się pakuje. Mógł to spokojnie robić, gdyż znał swojego starego przyjaciela i wiedział, że kiedy wszedł on na drogę prowadzącą do innego świata, nie cofnie się tylko dlatego, iż świat ten ma wszystkie okropne cechy, których się spodziewał. Wręcz przeciwnie, tego rodzaju zastrzeżenia spowodują, że zatnie się w swoim uporze. Z pewnością przekonywał wujka Jacka, że tak bardzo pragnie śmierci tamtego kierowcy, iż gotów jest zapłacić każdą cenę. Deklarował, że przyjmie na siebie wszelkie zobowiązania, byle sprawiedliwości stało się zadość. Może właśnie wtedy poprosił Jacka Zieglera o złożenie obietnicy, że zadba o bezpieczeństwo jego rodziny, gdyby ojcu się coś stało. Ufał, że wujek Jack ją spełni, gdyż, jak powiedział mi agent Nunzio, Jack Ziegler żyje z dotrzymania obietnic.

- Ale ty tylko zgadujesz - wtrąca Mallory Corcoran, okazując coraz większe zakłopotanie, gdyż rozważam na głos przestępstwa jego dwóch byłych klientów.

- Wiem, ale to się trzyma kupy. - Nie zaprzecza, więc kontynuuję. W końcu wujek Jack zgodził się pośredniczyć w załatwieniu tej sprawy i udał się po pozwolenie do kogoś, kto podejmuje takie decyzje w jego świecie. Potem zawarto umowę. Scott miał dokonać zabójstwa nie biorąc od ojca pieniędzy, podobnie jak przedtem nie wziął ich za przeprowadzenie śledztwa. W zamian-ojciec będzie proszony od czasu do czasu o drobne przysługi. Nie będzie to nic tak oczywistego, jak uchylenie wyroków skazujących prominentnych członków mafii czy baronów narkotykowych. Jego zadaniem byłaby pomoc firmom, w których inwestowane są nielegalnie zdobyte pieniądze, odrzucenie uciążliwego lub kosztownego zarządzenia czy uchylene orzeczenia antymonopolowego.

- Dlatego właśnie po śmierci Abby ojciec stał się bardziej konserwatywny w swoich decyzjach - wyjaśniam z bólem. - Dlatego podważył tyle orzeczeń o charakterze regulacyjnym. Musiał zamaskować wyświadczone przez siebie przysługi, więc udawał, że kieruje się ideologią.

- Talcotcie, to nadal tylko domysły.

- Owszem, ale nie mogę spytać Jacka Zieglera, czy są prawdziwe. - Przez chwilę mam nadzieję, że może zechce pośredniczyć w zorganizowaniu takiego spotkania, gdyż od czasu wydarzeń na cmentarzu wujek Jack nie odpowiedział na żaden z moich telefonów. Niestety, wielki Mallory Corcoran tylko siedzi bez ruchu i czeka na moje rewelacje. Do tej pory nic nie wywołało jego reakcji. Z pewnością dostrzega moją frustrację, ale nie ma to dla niego znaczenia.

Zastanawiam się przez chwilę. Z tego, co mówił Wainwright, ojcu ciążyła ta zdrada własnych ideałów. Został sędzią po to, by wymierzać sprawiedliwość, a nie do końca życia tkwić w szponach przestępców. Z pewnością stale domagano się od niego szczególnych względów. Być może brudne pieniądze wprowadzano do legalnych firm, a żądania wobec ojca rosły. Kto wie, jakie akcje posiada w swoim portfelu zorganizowana przestępczość. Kiedy ojciec otrzyma! nominację do Sądu Najwyższego, partnerzy wujka Jacka nie posiadali się z radości. Tymczasem ojciec zaczął się naprawdę denerwować. Bał się, że prawda wyjdzie na jaw i przekreśli jego karierę. A potem, być może, przyszła mu do głowy inna myśl. Może prawda *powinna* wyjść na jaw i dzięki temu uda mu się wyrwać z tego piekła.

- I tu zaczyna się rola Grega Haramoto - oświadczam, ale moje słowa nadal nie wywołują reakcji. - Usiłowałem porozmawiać z Gregiem, ale bezskutecznie.

Wujek Mal, z niewyraźnym uśmiechem świadczącym, że przypomina sobie tamte czasy, mówi wreszcie coś od siebie: - Nic dziwnego, po tym, co twoja siostra powiedziała o nim w telewizji w trakcie tych przykrych przesłuchań. O co to go oskarżyła?

- O to, że podkochał się w ojcu.

- Właśnie. Ludzie nie zapominają takich rzeczy, Talcotcie.

- Nie krytykuję Grega. Chciałbym tylko, żebyś zrozumiał, iż nadal tylko zgaduję.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. - Podnosi się i wiem, że to koniec rozmowy. - Wszystko, co powiedziałaś, to domysły. Nie masz pojęcia, na ile są zgodne z prawdą.

- Wiem o tym. - Idziemy w kierunku mojego samochodu. Sądziłem, że zaprosi mnie na lunch, ale wujek Mal ma swoje przyzwyczajenia, a okres wakacji jest dla niego święty. Zapewne powinienem być wdzięczny, że poświęcił mi te cenne pół godziny z czasu przeznaczonego na to, czym zajmują się na farmach wielcy prawnicy. Jakoś nie wyobrażam go sobie przy dojeniu

krowy, chociaż, jak słyszałem, hoduje tu gdzieś stado mlecznych krów.

Teraz przytrzymuje mi drzwi od samochodu. - Wiesz, Talcotcie, zgadywanie nie zawsze jest takie złe. Czasami sam to robię.

Nieruchomieję, nie odważając się na niego spojrzeć. Za domem Edie i dzieci śpiewają piosenkę. Psy i koty, w większości obrzydliwie opasłe, zasnęły już na słońcu.

- Zgadywałbym, że część z tego co powiedziałaś, mogłaby być prawdziwa. - Mówi cichym, nieco smutnym głosem. - Mogłaby, Talcotcie, mogłaby. Domyślałbym się również, że kiedy twój ojciec przyniósł mi list dla ciebie i opowiedział o ustaleniach, wspomniął również, iż rozważa odejście z firmy. Gdybym miał skłonność do zgadywania, przypuszczałbym, że był przestraszony, że najwyraźniej dopadło go coś z przeszłości.

Nie sądzę jednak, żeby lękał się śmierci. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że bał się zdemaskowania. Najwyraźniej coś miało wyjść na jaw.

W końcu się odwracam. - A ustalenia... to wszystko... czy to nie było zdemaskowanie?

- Ale na jego warunkach.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Niezniszczalny uśmiech. - Ja ci niczego nie mówię, Talcotcie. Dobrze wiesz, że nigdy nie ujawniłbym tajemnic klienta. Ja tylko zgaduję.

- W porządku... zatem, co przypuszczasz?

- Przypuszczam, że twój ojciec planował ukryć przeznaczone dla ciebie informacje, a następnie popełnić samobójstwo.

ROZDZIAŁ 59

Jednak z drugiej strony...

- To największy idiotyzm, jaki słyszałam - oświadcza Droga Dana Worth.

- Ale co?

- To, że twój ojciec miałby popełnić samobójstwo.

Wzruszam ramionami. - Tak właśnie powiedział.

Dana burzy się, gdyż nie jest jeszcze gotowa na przyjęcie moich domysłów na temat człowieka, którego niegdyś tak podziwiała. Słowa Mallory'ego Corcorana budzą w niej jeszcze większy sprzeciw. Przechadzamy się właśnie wykonanymi z niebieskawego piaskowca alejkami Pierwotnego Czworoboku, gdzie pod nieobecność studentów jest całkiem przyjemnie. Ostatnio częściej się spotykamy, choć, oczywiście, bez podtekstu romantycznego. Obydwoje przeżywamy - jak to nazywała mama - „kłopoty w domu”. Moja żona, deklarując miłość do mnie, wyrzuciła mnie z domu, natomiast Alison gniewa się, gdyż Daną targają wątpliwości, czy nie postępują ile, będąc razem. Alison żąda od Dany, żeby przestała odwiedzać swój metodystyczny kościółek, pełen, jak to określa, prawicowych homofobów. Dana odmawia, twierdząc, że to dobrzy chrześcijanie i zależy jej, żeby poznać ich punkt widzenia. Alison pyta, czy Murzyni też muszą się modlić z białymi rasistami, żeby poznać ich punkt widzenia. Dana twierdzi, że to co innego. Nie mam zamiaru mieszać się w ich kłótnie. Dana tak dobrze potrafi skrywać swe uczucia, że mogłaby uzyskać honorowe członkostwo w naszej rodzinie, jednak kiedy w końcu cierpienie przedostanie się przez maski, które na co dzień nosimy, każde z nas stara się usilnie pocieszyć przyjaciela.

- Samobójstwo - prycha ponownie Dana.

- To się zdarza, Dano. Ludzie robią różne głupie rzeczy. - Przeżywamy teraz wspólne zmartwienie, gdyż przed dwoma dniami Theo Mountain doznał rozległego wylewu i lekarze nie dają mu szans na przeżycie. Mam ochotę obwiniać o to Sędziego i samego Theo, ale nie potrafię przestać obwiniać siebie - czy nie zachowałem się zbyt ostro w stosunku do tego starego człowieka?

- Czyli niby twój ojciec zamierzał się zabić z obawy przed zdemaskowaniem? Potem ty miałeś odnaleźć jego ustalenia i w ten sposób zemścić się z za grobu?

- Coś w tym rodzaju.

- Przepraszam, Misha, ale to bez sensu, niezależnie od tego, jakim w

rzeczywistości był człowiekiem. Przecież jeśli jakiś reporter czy ktoś zamierzał go zdemaskować, to czy fakt, że Sędzia nie żyje, mógłby go przed tym powstrzymać? Zmarły przynajmniej nie może oskarżyć cię o zniesławienie.

- To chyba nie chodziło o tego rodzaju zdemaskowanie. Nie publiczne.
- A jakie?
- Może ktoś mu groził, że ujawni jego rodzinie, czym on się zajmuje.
- Ale po co? Czego ten ktoś mógłby od niego chcieć? I dlaczego miałby zrezygnować ze swojego zamiaru, tylko dlatego, że on nie żyje?

Potrząsam ze zniechęceniem głową - nadal drepczę w miejscu i nic nie wiem, a tymczasem jestem pewien, że gdzieś tam czai się jeszcze jeden zainteresowany, którego nie udało nam się zmylić. Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi na myśl, jedyna rzecz, na której komuś mogłoby tak zależeć, że zaczął ojcu grozić, to ustalenia, których nie udało mi się dotąd odnaleźć. - Nie wiem - przyznaję.

Dana wzdycha ciężko, z irytacją. Kontynuujemy przechadzkę po pustym dziedzińcu, gdzie za czasów studenckich nieraz spacerowałem z ojcem. Zazwyczaj Sędzia przez chwilę oddawał się wspomnieniom, po czym ciągnął mnie ze sobą do swoich dawnych profesorów, którzy jeszcze żyli, oraz do dawnych kolegów, którzy teraz byli wykładowcami. Przedstawiał mnie nie dbale moim własnym nauczycielom, tak jakby nigdy dotąd mnie nie widzieli, nie zawstydzali mnie na zajęciach i nie kazali poprawiać pięćdziesięciostronicowych prac w trzy dni, a oni nadskakiwali mi, gdyż nadal zależało im na jego względach. Nawet wtedy ojciec miał jeszcze w sobie tę magię, która wszystkich porywała, i zachowywał się w sposób wymagający szacunku, a poza tym skoro Reagan urzędował w Białym Domu, wszyscy wiedzieli, że Oliver Garland zasiądzie w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych, kiedy tylko zwolni się w nim miejsce. Po skończonej wizycie odwoziłem Sędziego na malutkie lotnisko w Elm Harbor swoim podniszczonym, lecz wiernym dodgem darts, po czym siedzieliśmy w kawiarni, jedząc czerstwe drożdżówki, i czekaliśmy na nieuchronnie opóźniony samolot, który zabierze go z powrotem do Waszyngtonu. Przez ten czas zasypywał mnie nowymi wersjami tych samych starych pytań, jakby mając nadzieję, że udzielę mu innych odpowiedzi - jakie mam stopnie, kiedy przeczyta coś mojego w przeglądzie prawniczym i z kim się obecnie umawiam. Za każdym razem odczuwałem pokusę, żeby skłamać w odpowiedzi na dwa pierwsze i odpowiedzieć zgodnie z prawdą na trzecie, choćby po to, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy i żeby zostawił mnie w spokoju.

W tamtym okresie wysługiwał się już Jackowi Zieglerowi, toteż rozpaczliwe nadzieje, które we mnie pokładał - a które miałem mu za złe - nabrały żalosego, choć pełnego miłości odcienia. Nie chciał, żeby jego syn prawnik skończył tak, jak on.

- Misha? - Dana ma kolejne pytanie. - Misha, dlaczego Jack Ziegler

miałby to zrobić?

- Co zrobić? Pozwolić mu wycofać się z układu? Pozwolić mu odejść na emeryturę?

- Nie, nie. Po co miałby iść do gmachu sądu? Przecież wiedział, że z pewnością ktoś go rozpozna i zagrozi to karierze sędziowskiej twojego ojca.

- Zapewne - odpowiadam, gdyż już zastanawiałem się nad tą kwestią. - Lecz być może zrujnowanie sędziowskiej kariery było ostatnim darem Jacka Zieglera dla ojca.

Dana kiwa głową. - A kiedy ojciec już się z tego wydostał, ostrzegł ich, że wszystko spisał, że gdyby mu się coś stało, to ich sprawy wyjdą na jaw. - Dana jest podekscytowana. - Na pewno to właśnie jest w tych papierach, Misha! Wszystkie przysługi które im wyświadczył, nazwy firm, nazwiska właścicieli - wszystko!

- Też bym tak sądził. - Przypominam sobie znowu, jak to Sędzia zawsze domagał się nazwisk właścicieli kryjących się za fikcyjnymi firmami, których sprawy rozstrzygał, i że niewielu ośmielało się nie spełnić tego żądania. Sędzia Wainwright uznał to postępowanie za wyraz obsesji ojca na punkcie szczegółów. Jednak kryła się za tym inna przyczyna - ojciec gromadził informacje, które miały być jego zabezpieczeniem.

Wyjaśniałoby to również, kto wynajął Colina Scotta, aby mnie śledził. Ewentualne wymienienie nazwiska Scotta w materiałach ojca mogło stanowić dla niego dodatkowy bodziec, ale pomyśl, że podjęte przez niego działania wynikały z osobistych obaw był słabym ogniwem rozumowania FBI. Nie mam pojęcia, czy Biuro podejrzewało, że Scott był zabójcą Phila McMichaela, ale najwyraźniej sądziło, iż wrócił do kraju, gdyż martwił się o coś, co było w *ustaleniach*. Jednak to jest bez sensu. Skoro mieszkał bezpiecznie za granicą pod innym nazwiskiem, po co miałby wracać do Stanów Zjednoczonych i ryzykować, że zostanie aresztowany? Nie, z pewnością śledził mnie na zlecenie innych osób, które dobrze mu zapłaciły, aby odnalazł trop swojego byłego zleceniodawcy.

Podejrzewam, że tylko jeśli znajdę *ustalenia*, dowiem się, kim są, gdyż to one właśnie musiały korumpować mego ojca.

- Wiesz, Misha, naprawdę podziwiałam twojego ojca. - W ciemnych oczach Dany maluje się ból. Zastanawiam się, o ile bardziej by cierpiała, gdyby знаła tożsamość kierowcy czerwonego samochodu, kierowcy, którego zabił Colin Scott. - Ale to... Co mam teraz zrobić? Wybaczyc mu?

Nienawidzić go? Co?

Muszę się uśmiechnąć. Droga Dana Worth, do końca skupiona wyłącznie na sobie. Jakoś jej nie przyszło do głowy, że ja zmagam się z tymi samymi pytaniami. Co prawda spodziewam się po życiu głównie zagadek i niejednoznaczności, więc trudno oczekiwać, że moje uczucia wobec ojca nagle się wykrystalizują. Dana, podobnie jak Mariah, potrzebuje ścisłych odpowiedzi.

Zastanawiając się, co mam jej powiedzieć, uciekam się do kolejnego z frazesów ojca: - Musisz nakreślić linię, Dano. Musisz zostawić przeszłość przeszłości.

- Mam wrażenie, że nigdy go nie znałam. Zupełnie jakby był... jakimś potworem. - Wstrząsa się. - Miał tyle różnych oblicz.

Przypominam sobie monolog Jacka Zieglera. - Usiłował chronić swoją rodzinę. On po prostu... To wszystko, jakby go przerosło.

- To całkiem wygodne usprawiedliwienie.

- Nie o to mi chodzi. Nie próbuję usprawiedliwiać tego, co zrobił. Nie sądzę, żeby to zaplanował. Zapewne po prostu się w to uwikłał.

Dana potrząsa głową. Nigdy nie waha się kogoś skrytykować, a szczególnie bezlitośnie siebie. - Przykro mi Misha, ale to bzdura. Twój ojciec nie był jakimś nieudolnym niewiniątkiem. Był inteligentnym człowiekiem. Wiedział, kim jest Jack Ziegler. Wiedział również, *czym* on jest. Jeśli to prawda, że twój ojciec poszedł do niego z prośbą o pozwolenie na morderstwo, to czy rzeczywiście sądzisz, że nie zdawał sobie sprawy, iż znajdzie się w jego szponach na resztę życia? On nie był taki naiwny, Misha. Nie oszukuj się. - Znowu się wstrząsa, a potem dotyka łokcia, który nadal ją boli w miejscu, gdzie kula odłupała kość. - Nie wiem, co mam o nim powiedzieć. Nie chcę powiedzieć, że był zły... ale nie został również omamiony. Podjął *decyzję*, żeby zabić kierowcę tamtego samochodu. Podjął *decyzję*, żeby zostać skorpumpowanym sędzią. - Kolejne potrząśnięcie głową. - Nie mogę uwierzyć, że nie zdawałam sobie sprawy, co naprawdę dzieje się w jego głowie. To przerażające, Misha. I boli.

- Ciesz się, że nie jesteś jego synem.

- Och, Misha, nie to chciałam powiedzieć. - Ścisza mi dłoń. - Przykro mi.

- Wiem, Dano, że nie chciałaś. Ale dla mnie to też nie jest łatwe. - Wzdycham. - W każdym razie to już nie jest twój problem.

Dana spogląda na mnie ostro, gdyż najwyraźniej dosłyszała w moim tonie coś, co jej się nie podoba. Puszczą moją rękę. Być może uświadomiła sobie to, o czym ja myślę od chwili, gdy zostaliśmy postrzeleni na cmentarzu, że nasza przyjaźń nigdy już nie będzie taka sama. Wysuwa oskarżycielsko palec w moją stronę. - Ty wcale nie uważasz, że to skończone - mówi z zastanowieniem w głosie. - Coś przede mną ukrywasz, Misha.

- Zostaw to, Dano. Proszę.

- A ty to właśnie zamierzasz zrobić? Zostawić to? Jakoś w to wątpię.

- Stoi na środku dziedzińca z rękoma na biodrach. Jej głos nagle łagodnieje. - Sądzisz, że skrzynka naprawdę wyprowadziła ich w pole?

- Mam nadzieję. Liczę na to, że pomyślą, iż Sędzia tylko blefował.

- A jeśli istnieje jakiś test, który może wykazać, jak długo skrzynka była w ziemi?

- Z pewnością jest coś takiego, ale oni nie mają pojęcia, kiedy Sędzia mógł ją zakopać. Jedyne, co wiedzą, to że musiał zrobić to przed śmiercią. Ty zakopałaś ją pół roku później. Czy taki test pozwoli wykryć różnicę kilku miesięcy?

- Mam nadzieję, że nie. - Nikły uśmiech. - Inaczej znajdziemy się w opałach.

Przez chwilę obydwójce się nad tym zastanawiamy. Są to nasze ostatnie chwile razem, zanim Dana wyjedzie na resztę lata - z Alison lub nie - nad jezioro Cayuga na północy stanu Nowy Jork, gdzie trochę na północ od Ithaki ma swój „domek do pisania”, stary i z natury chłodny kamienny dom nad wodą. Myślałem, że to spotkanie będzie trochę sentymentalne i pełne uścisków. Jak zwykle się myliłem.

- Gdybyśmy wiedzieli, gdzie są te papiery - mówi Dana z namysłem - moglibyśmy je wykorzystać do swojej ochrony.

- Tyle, że nie mamy pojęcia, gdzie są.

Zmartwiona, uważnie przygląda się mojej twarzy. - Wyświadczysz mi przysługę, Misha, kochanie? Kiedy cię dopadną po stwierdzeniu, że skrzynka jest pusta, i postanowisz kłamać, żeby mnie chronić, to bardzo cię proszę, kłam lepiej niż w tej chwili.

- Nikt nikogo nie dopadnie - łagodzę. - Udało nam się ich oszukać, Dano.

Jednak wyraz twarzy mojej najlepszej przyjaciółki zdradza mi, że wcale nie jest tego pewna. Prawdę mówiąc, ja również nie.

ROZDZIAŁ 60

Końcówka

(I)

Zachowuję zatem czujność i uważam, czy nikt nie próbuje mnie dopaść, a jednocześnie staram się żyć normalnie. Jak większość profesorów, lato zazwyczaj poświęcam na pisanie. Jednak w tym roku staram się jak najwięcej czasu spędzać z Bentleyem. Kimmer to nie przeszkadza, a od czasu do czasu robimy różne rzeczy w trójkę. Sara Jacobstein przypomina mi, że Bentley musi widzieć, iż jego rodzice traktują się nawzajem z szacunkiem. Morris Young oświadcza, że Bóg wymaga tego samego. Nie schodzimy się z powrotem, co moja wkrótce była żona wyraźnie podkreśla, ale czas spędzany razem - spacerować po parku czy wyjazdy na przedstawienia na Broadwayu - nie sprawia nam przykrości, tak jakbyśmy w końcu trochę dojrżeli. Pewnego razu, gdy jest nam szczególnie wesoło po powrocie z obiadu we trójkę, Kimmer pyta nawet, czy nie chciałbym zostać na noc. Z radości aż kręci mi się w głowie i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie jest to propozycja odbudowania naszego małżeństwa, tylko impuls spowodowany chwilową nieobecnością Lionela w mieście. Kiedy na moją uprzejmą odmowę Kimmer odpowiada wzruszeniem ramion, przekonuję się, że miałem rację.

Gdy nie spędzam czasu z Bentleyem, jeżdżę po okolicy swoją niezniszczalną camry, często sprawdzając we wstecznym lusterku, czy ktoś mnie nie śledzi, gdyż znów wyczuwam leciuteńkie oznaki obecności nowych cieni. Jestem przekonany, że ktoś tam jest. Może ludzie Nunzio, może Jacka Zieglera albo jego partnerów. Jednak odnoszę wrażenie, że oddech na moim karku należy do kogoś innego - osoby, której przez pewien czas nie było w pobliżu, jednak byłem przekonany, że wróci.

Kończy mi się czas, lecz tylko ja o tym wiem.

Pewnego letniego dnia Shirley Branch biega po korytarzach szkoły prawniczej jak mała dziewczynka, nie mogąc opanować radosnego podniecenia, i ściska każdego, kogo spotka. - Wrócił! - płacze, dosłownie płacze, mimo śmiechu. Kiedy przychodzi moja kolej, niemal zbija mnie z nóg i ledwo mam czas zapytać, kto wrócił, krzyczy: - Cinque! Cinque wrócił! - Kiedy wieczorem wróciła z Oldie, był już pod domem. Siedział na schodku i machał z zachwytem ogonem. Jestem zdumiony, a jednocześnie odczuwam ulgę, i tym bardziej upewniam się, że moja teoria jest słuszna. Dziwne, do-

daje Shirley, ale miał zupełnie nową obrożę bez żadnego imienia. Jednak od razu znajduje wyjaśnienie: - Musiał zgubić swój identyfikator, kiedy uciekł i ten, kto go znalazł, nie wiedział, gdzie mieszka. Zakończył mu nową obrożę, ale Cinque za mną tęsknił, uciekł od niego i znalazł drogę do domu!

Wiarygodna opowieść, chociaż niezgodna z prawdą. Przypominam sobie pewną spotkaną na Vineyard miłośniczkę zwierząt, która dorastała w towarzystwie pięciu psów i dziesięciu kotów. Nie zawahała się strzelać do mnie na Cmentarzu Staromiejskim i nazwać tego po prostu pracą, ale nie potrafiła się zdobyć na skrzywdzenie czarnego teriera Shirley. Ciekaw jestem, skąd Maxine wzięła krew, którą rozlała na identyfikatorze Cinque, kiedy pojechała za mną do Aspen. I dlaczego nie wpadła się przywitać, kiedy przyjechała do Elm Harbor, żeby dostarczyć Cinque pod drzwi Shirley.

Tego wieczoru dzwonię do Thery, żeby spytać o postępy Sally, ale odzywa się tylko automatyczna sekretarka, a Thera nie kontaktuje się ze mną. Kilka dni później o drugiej nad ranem dzwoni Kimmer, która płacze i szepcze moje imię, choć nie wiem, z jakiego powodu. Pytam, czy chce, żebym przyszedł, a ona przez chwile się waha i w końcu odpowiada, że nie. Kiedy dzwonię później tego dnia, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje, przeprosza, że zwracała mi głowę, ale niczego nie wyjaśnia. Być może wszystkie rozbite małżeństwa przeżywają takie chwile.

Następnego dnia elegancki Peter Van Dyke zaprasza mnie, żebym wraz z nim i Tish Kirschbaum poszedł na lunch, gdyż chcą podyskutować o licznych sprawach sądowych związanych ze skautami. Peter twierdzi, że będę najlepszym arbitrem. Przekomarzamy się i żartujemy w trójkę, zupełnie jakbym znowu był szanowanym członkiem naszego grona profesorskiego. Najwyraźniej stałem się też szanowanym członkiem naszej społeczności dzięki trzem bliźnom po kulach, gdyż kilku pastorów prosi mnie, żebym przemówił w ich kościołach, a klub rotariański oraz miejscowy odłam NAACP informują mnie, że ich członkowie z przyjemnością posłuchaliby, co mam do powiedzenia. Co najważniejsze, Kwame Kennerly zaprasza mnie na kawę i stara się pozyskać moje poparcie dla swej szybko rozwijającej się kampanii wyborczej na burmistrza. Przestał już nosić żeglarską marynarkę i kapelusz z tkaniny kente i zamienił je na beżowe garnitury z kamizelką. Zapewnia mnie, że wkrótce nastąpią ogromne zmiany w naszym miasteczku.

Mówię mu, że polityka mnie nie interesuje.

W połowie pierwszego tygodnia sierpnia mój gospodarz, Lemaster Carlyle, zostaje zaprzysiężony jako sędzia Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych. Jego promieniejąca żona, Julia, trzyma Biblię. W nowiułkim budynku sądu federalnego zgromadziła się połowa grona profesorskiego szkoły prawniczej, połowa, która nie jest na wakacjach. Obecni są również najznamienitsi przedstawiciele miejscowej palestry. Sędzia Carlyle wygłasza

kilka zwięzłych uwag, solennie obiecując, że zrobi, co w jego mocy, by sprostać tradycjom stanu sędziowskiego - ma oczywiście na myśli te lepsze tradycje. Rozlegają się burzliwe oklaski, gdyż wszyscy postanowili go uwielbiać. Przyjaciele poklepują go po plecach, choć zapewne nawet nie zdawał sobie sprawy, że aż tylu ich posiada. Stojąc w pewnej odległości od bohatera dnia, uświadamiam sobie, że nadal gniewam się na niego za to, iż nic nam nie powiedział o swojej kandydaturze. Pomimo wszystkiego, co zaszło, nadal poczuwam się do pewnej lojalności - chociaż wiem, że to rodzaj masochizmu - w stosunku do swojej nieobliczalnej żony, której sędziowskie ambicje Lem zdeptał. Przypominam sobie, że Lemaster Carlyle, posiadający niezliczone waszyngtońskie kontakty, działał podstępnie za plecami nas obojga - owszem, udało mu się, ale niemniej jednak, za naszymi plecami.

Mimo wszystko ściskam mu dłoń i wygłaszam wszystkie odpowiednie uwagi. Kimmer też jest obecna na uroczystości i gratuluje mu wraz z innymi. Dahlia Hadley miała jednak rację i moja żona zdaje sobie z tego sprawę - przed nią jest jeszcze wiele możliwości, jeśli tylko będzie ciężko pracować i zadowolili te osoby, od których zależy jej przyszłość. No, i oczywiście, jeśli rozwiąże tę kłopotliwą sytuację ze swoim mężem oraz będzie rozsądnie się zachowywać, jeśli chodzi o Lionela. Przez chwilę zastanawiam się nawet, czy jednym z czynników, które zdecydowały o jej odejściu ode mnie, nie było to, że zmniejszyłam jej szanse na zdobycie nominacji. Jednak jest to niegodna myśl i, pamiętając o naukach Sędziego, odsuwam ją od siebie. Przez chwilę rozmawiamy z Kimmer o wszystkim i o niczym, gdyż to główne tematy, jakie nam jeszcze pozostały. Postanawiam nie mówić jej o tym, do czego doszedłem: że ponieważ to ona po włamaniu do domu na Vineyard zajęła się złożeniem skargi do firmy, która instalowała tam alarm, musiała się wówczas dowiedzieć, iż wandyale posiadali właściwy kod, umożliwiający wyłączenie i ponowne włączenie alarmu. Nigdy nie podzieliła się ze mną tym ważnym odkryciem, zachowując je w tajemnicy przez straszne miesiące moich poszukiwań, ponieważ nie chciała zagrozić swym szansom na nominację, dostarczając dowody, że miałem rację. Spoglądam teraz na jej pełną napięcia twarz i jej wybaczam. Tak się składa, że uroczystość odbywa się w dniu moich czterdziestych drugich urodzin. Kimmer nie wspomina o tym zbiegu okoliczności, a ja nie mam ochoty jej przypominać. W związku z tym obchody mojego święta sprowadzają się do wieczornej rozmowy z Mariah, która z zachwytem opowiada o Mary, mającej obecnie sześć miesięcy, a ponadto zwierza się, że wkrótce znów pojedzie na Shepard Street, gdzie nadal są jeszcze nieuporządkowane papiery.

Życzę jej wszystkiego najlepszego.

Dwa dni po zaprzysiężeniu Lema umiera Theo Mountain. Jego córka Jo, prawniczka z Nowego Jorku, błędnie przekonana, że Theo nadal był moim mentorem, prosi mnie o wygłoszenie mowy pogrzebowej podczas katolic-

kiego pogrzebu. Nie potrafię odmówić w taki sposób, żeby nie zwiększać jej cierpienia. Piszę zatem tekst mowy, starając się przypomnieć sobie uczucia, jakie niegdyś żywiłem do Theo, ale i tak nie udaje mi się jej wygłosić, gdyż gardło ściska mi płacz. Kiedy wszyscy patrzą na siebie z zażenowaniem, Lynda Wyatt podchodzi do mnie, obejmuje mnie delikatnie i prowadzi z powrotem do ławki.

Przypuszczam, że zgromadzeni sądzili, iż płaczę nad Theo. Może rzeczywiście, ale przede wszystkim płakałem nad wszystkimi dobrymi chwilami, które już nigdy nie wrócą, oraz nad tym, jak Pan zmusza cię, żebyś dojrzał, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

(II)

Na drugi dzień po pogrzebie w drzwiach mojego segmentu pojawia się pan Henderson. Był w okolicy, oznajmia głośno, na wypadek, gdyby któryś z sąsiadów nas podsłuchiwał, więc wpadł, żeby się przywitać. Ubrany jest w sportową marynarkę maskującą pistolet i nie widać, żeby coś mu dolegało, więc zapewne piątą osobą na cmentarzu był jednak Harrison. Byliśmy tam we dwoje z Daną, był Colin Scott i Maxine, która ukradła wykopaną skrzynkę. To cztery osoby. Jednak wiem, że musiała być piąta, nie tylko dlatego, że tak twierdzi policja, lecz również dlatego, iż słyszałem męski, a nie kobiecy, krzyk bólu, gdy umierający Colin Scott zdążył jeszcze wystrzelić. Policja nikogo więcej nie znalazła, więc musiał to być ktoś na tyle twardy, by mimo rany się oddalić.

Wpuszczam Hendersona do środka, gdyż nie mam wyboru. Czekając, kiedy spadnie ostrze gilotyny, prowadzę go do kuchni i proszę, żeby usiadł przy niewielkim stoliku, wielokrotnie odmalowywanym drewnianym zabytku z czasów mojego dzieciństwa, który udało mi się uratować z piwnicy przy Hobby Road. Proponuję gościowi coś do picia, lecz odmawia. Jak dwaj nieufni hazardziści trzymamy ręce na widoku. Zachowujemy się w stosunku do siebie bardzo kulturalnie, choć Henderson nie zapomniał o środkach ostrożności i włączył niewielkie elektroniczne urządzenie, które ma uniemożliwić podsłuchiwanie nas. Tak przynajmniej twierdzi - ja wiem tylko, że wywołało u mnie nagły, ostry ból głowy, mimo że nie wydaje słyszalnych dźwięków.

- Pański przyjaciel rozumie, dlaczego postąpił pan tak, a nie inaczej - zaczyna Henderson aksamitnym głosem. - Nie ma do pana pretensji o to, że zawartość skrzynki okazała się... niezadowolająca. Wręcz przeciwnie. Odpowiada mu to.

Jestem zaskoczony. - Naprawdę?

- Pański przyjaciel uważa, że wszystkie zainteresowane strony są za-

dowolone z takiego obrotu sprawy.

Pocieram bolące ucho i zastanawiam się nad jego słowami. Okazuje się, że słusznie obawialiśmy się z Daną, iż Jack Ziegler jest zbyt sprytny, żeby dać się tak łatwo zwieść. Przypuszczam, że pozostałe *zainteresowane strony* też są kute na cztery nogi, a mimo to wszyscy są zadowoleni. Henderson jest tutaj... a to by oznaczało, że...

- Ktoś inny zabrał skrzynkę - stwierdzam. Dobrzy faceci, dodaję w duchu. Nie wspaniali, ale dobrzy. - Mój... przyjaciel jej nie ma. Zgadza się?

Jednak pan Henderson nie ma zamiaru mnie oświecać. Jego twarz jest całkowicie bez wyrazu. - Pański przyjaciel jest zdania, że skoro nic nie znaleziono, to może niczego nie było. Czasem groźba jest tylko blefem.

- Rozumiem.

- Może pan się z tym zgodzi?

Uświadamiam sobie w końcu, co mi podpowiada: z czego właśnie jestem rozgrzeszany i jakich słów muszę użyć, żeby uzyskać wybaczenie.

- Zgadzam się. Czasem groźba jest tylko blefem.

- Być może wcale nie było prawdziwych ustaleń.

- To z pewnością możliwe.

- A nawet prawdopodobne.

- A nawet prawdopodobne - powtarzam za nim, przypieczetowując układ.

Henderson jest już na nogach, jego szerokie ramiona poruszają się sprężyście, niemal kocio, pod luźną marynarką. Zastanawiam się, ilu potrzebowalby sekund, żeby w razie potrzeby zabić mnie gołymi rękami.

- Dziękuję panu za gościnność, profesorze.

- Dziękuję, że pan wpadł.

Przed schowaniem elektronicznego zagłuszacza Henderson dodaje jeszcze, żeby wszystko było jasne: - Pański przyjaciel oczekuje również, że jeśli w przyszłości odkryje pan zawartość, która będzie... mniej niezadowolająca... to go pan zawiadomi. Zapewnia pana również, że do tego czasu nikt nie będzie pana niepokoił.

Ponownie się zastanawiam. *Czasem groźba jest tylko blefem.* Henderson sugeruje odrobinę więcej niż mówi. - A moja rodzina i ja...

- ...będziecie całkowicie bezpieczni. Oczywiście. - Jednak mówi to bez uśmiechu. - Ma pan na to obietnicę pańskiego przyjaciela.

Oczywiście, dopóki będę dotrzymywał swojej części umowy. Przedtem wujek Jack mógł mnie chronić dzięki temu, że zapewnił *zainteresowane strony*, iż będę kontynuował poszukiwania ustaleń. Teraz natomiast może zapewnić mi bezpieczeństwo pod warunkiem, że nie będę tego robił. Jack Ziegler i jego partnerzy nie mają możliwości sprawdzenia, czy nie znalazłem ustaleń gdzie indziej i podobnie jak mój ojciec gdzieś ich nie ukryłem oraz czy nie przygotowałem własnych ustaleń, które ktoś zacznie realizować w

razie mojej niespodziewanej śmierci. W związku z tym między *zainteresowanymi stronami* i mną będzie od tej pory istniała równowaga oparta na strachu.

- W porządku - mówię.
- Nie wymieniamy uścisku dłoni.

(III)

Co wieczór oglądam prognozy pogody na specjalnym kanale, gdzie są one szczegółowo omawiane. Pod koniec trzeciego tygodnia tego miesiąca, akurat kiedy Bentley jest u mnie od kilku dni, włączam telewizor i stwierdzam z zadowoleniem, że wzdłuż wybrzeża przemieszcza się potężny huragan. Jeśli będzie posuwał się dalej w tym samym kierunku, dotrze do Vineyard za cztery dni. Doskonale.

Następnego ranka, w sobotę, odwożę Bentleya z powrotem do jego matki. Stoję wraz z synem na trawniku przed domem, a Don Felsenfeld, który akurat zajmuje się swoimi kwiatami, podnosi łopatkę w geście pozdrowienia. Wołę się nie zastanawiać, czy Don, który wszystko zauważa, wiedział o Lionelu przede mną.

- Kiedy Bemley znów cię zobaczy?
- W przyszłym tygodniu, kochanie.
- Obiecujesz?
- O ile Bóg pozwoli, synku.

Jego bystre oczy uważnie wpatrują się w moją twarz. - Aja, tatuś? - pyta w naszym sekretnym języku, którego już bardzo rzadko używamy.

- Tak, kotku. Aja tatuś. Z pewnością.

Prowadzę go nierówną ceglana ścieżką pod Hobby Road 41. Ścieżka nie jest równa, gdyż krótko po wprowadzeniu się tutaj układaliśmy ją z Kimmer sami. Zajęcie na dwa dni, które zajęło nam, zakochanym nowicjuszom, niemal miesiąc.

Moja dłoń oparta na lasce drży.

Dom jest pusty. Ta myśl nachodzi mnie nieproszona, lecz z całą moralną siłą prawdy absolutnej. To pusty budynek... nie, pusty *dom*. Z pewnością Kimmer jest gdzieś w środku, gdyż czeka na syna. Jej BMW jest zaparkowane jak zwykle na podjeździe, wbrew moim radom. A jeśli złamała swoją solenną obietnicę - co nie byłoby niczym nowym! - to może gdzieś się tu kręcić Lionel Eldridge, a jego porsche w kolorze ultramariny jest ukryte bezpiecznie w garażu. A jednak ten wiktoriański budynek jest pusty, gdyż dom, który niegdyś dawał schronienie całej rodzinie, a teraz mieści tylko jej resztki, jest jak plaża, z której woda wymyła piasek, tak że została goła skała - i zachowuje tylko swą nazwę, ale nie ma dla niej uzasadnienia.

W progu oznajmiam Kimmer, że wracam na kilka dni na Vineyard. Kiwa obojętnie głową, po czym zatrzymuje się i przygląda mi się uważniej. Najwyraźniej przeraża ją zdecydowanie, które słyszy w moim głosie.

- Co masz zamiar zrobić, Misha?

- Zamierzam to skończyć, Kimmer. Muszę.

- Nie, nie musisz. Nie ma nic do końca. To już jest skończone. - Przygarnia teraz naszego syna bliżej do siebie, nie chcąc słyszeć prawdy.

- Opiekuj się nim, Kimmer. To znaczy, gdyby coś mi się stało.

- Nie mów tak! Nigdy tak nie mów!

- Muszę iść. - Zdejmuję jej dłoń ze swojego rękawa. Potem dostrzegam na jej twarzy wyraz prawdziwej paniki i uświadamiam sobie, że f le mnie zrozumiała. Ona myśli, że jadę do Oak Bluffs, żeby odebrać sobie życie. Z jej powodu! Kocham ją, owszem; cierpię, z pewnością, ale samobójstwo?! Zatem uśmiecham się, biorę ją za rękę i schodzę z nią na trawnik. Kimmer ma dość rozsądku, żeby odesłać Bentleya do domu.

- Proszę cię, nie mów w taki sposób - mamrocze, wstrząsając się. Nie protestuje, kiedy obejmuję ją ramieniem.

- Kimmer, posłuchaj mnie. Posłuchaj, proszę. Nie planuję żadnych głupstw. Pozostała jeszcze jedna zagadka. Wszyscy o tym zapomnieli, ale ja nie. Muszę jechać i sprawdzić.

- Jechać i co sprawdzić?

Myślę o cieniach, które wokół siebie wyczuwam i zastanawiam się, jak to przedstawić. Myślę o nadal niewyjaśnionym ataku na mnie na terenie kampusu. Myślę o swoich bliznach po kulach. Myślę o rozmowie z panem Hendersonem. Z zakamarków pamięci przywołuję słowa Sędziego: Tak jak to było kiedyś, kochanie. Muszę to ujrzeć tak jak to było kiedyś.

Kimmer zwilża usta językiem. Jest ubrana w dżinsy i koszulkę polo i wygląda jak zwykle pociągająco. Włosy ma w nieładzie i zastanawiam się z ukłuciem w sercu, czy była zbyt zajęta w łóżku zeszłej nocy, żeby je zapleść. Podsuwa okulary na czoło i zadaje tylko jedno pytanie: - Czy to będzie niebezpieczne, Misha? To znaczy, dla ciebie?

- Tak.

ROZDZIAŁ 61

Chłopak Angeli

(I)

Huragan uderza drugiego dnia mojego pobytu w Oak Bluffs i jest to potężny, triumfalny sztorm, o którym będzie się mówić jeszcze po wielu latach - taki, jakiego mi było potrzeba. Przez całe rano policja objeżdża drogi i przez megafony ostrzega wszystkich mieszkańców domów w pobliżu wody, aby udali się w bezpieczne miejsce. Stacje radiowe, zarówno na wyspie, jak i na Cape Cod, przewidują, że huragan spowoduje ogromne zniszczenia. Stoję na werandzie i przyglądam się nadchodzącej burzy. Wczesnym popołudniem wiatr połamał gałęzie drzew i zerwał linie energetyczne na całej wyspie, tak że od tej pory nie mam prądu. Słyszę trzeszczenie dobiegające ze strychu, jakby komin usiłował zebrać się do skoku. Kilkadziesiąt lat temu, podczas mniej gwałtownej burzy, komin przewrócił się na dach. Otwieram drzwi frontowe. Tuż za progiem deszcz tworzy mokrą, migoczącą kurtynę i mam wrażenie, że przejście przez nią ma mnie wprowadzić do czarodziejskiego świata, gdzie fruwały liście, meble ogrodowe toczą się bez celu ulicami, a drzewa gwałtownie pękają na dwoje.

Nadal czekam.

Na Ocean Avenue i Seaview nie ma już żadnych samochodów, nikt też nie bawi się w parku. Jak zwykle kilku niepoprawnych głupców spaceruje po falochronie, jakby chcieli sprawdzić, czy fala sztormowa będzie dość wysoka, żeby ich stamtąd zmyć. Jednak nie są oni głępsi niż Talcott Garland, dla przyjaciół Misha, siedzący w niezabezpieczonym frontowym oknie swojego domu, wbrew oficjalnym zaleceniom nakazującym ewakuację. Oczywiście nie mogę wyjechać. Planowałem tę chwilę i miałem nadzieję, że nadejdzie, od dnia, gdy opuściłem szpital i zobaczyłem Kimmer stojącą w bojowej postawie w holu domu przy Hobby Road - i rozwiązałem zagadkę. Nie ośmieliłem się nikomu o tym powiedzieć i nawet Dana tylko się domyśla, że mogę wiedzieć. Nie mogę się ewakuować, gdyż czekam... czekam na najgorszy z huraganów. Czekam na jedyną chwilę od czasu spotkania z Jackiem Zieglerem na cmentarzu, kiedy będę miał absolutną pewność, że jestem sam. Nikt, jestem pewien, nie może mnie śledzić w takich warunkach.

O trzeciej dwadzieścia uderza fala sztormowa. Woda przelewa się przez

falochron, niosąc piasek, wodorosty, a nawet ryby, aż do Seaview Avenue. Zwała się kolejne drzewo. Widzę samotny mały samochód usiłujący posuwać się drogą, ale wiatr obraca go dookoła, a kierowca wyskakuje i ucieka. Obserwuję go, żeby się upewnić, że nie skręca w przeciwnym kierunku. Słyszę straszliwy trzask, kiedy gałąź wybija okno w sąsiednim domu.

Nadal czekam.

Vinerd Howse jest mroczny i drży pod naporem wichury. Nigdzie w okolicy nie widać światła. Ulice są puste, nie widać samochodów ani ciężarówek, ani nawet rowerów. Nie widać dosłownie nikogo i kiedy wchodzę prosto w burzę, przesywając bezkresny mrok światłem silnego reflektora, który kupiłem na łodzi, zauważam, że wszystkie domy w Ocean Park mają okna zabite deskami. Omiatam światłem werandy, drzewa i muszlę koncertową, sprawdzając, czy gdzieś nie kryje się człowiek.

Nie ma nikogo.

Powtarzam tę czynność z każdej strony domu i czuję, jak woda przenika przez mój płaszcz, kiedy przechodzę podwórkiem, żeby oświetlić okna sąsiadów.

Jestem sam. Wszyscy inni na świecie są rozsądni. Ta chwila należy do szaleńca.

To moja chwila.

Po powrocie do domu odkładam przenośny reflektor i biorę zwykłą latarkę. Przechodząc koło jadalni dostrzegam tę niemądrą okładkę „Newsweeka” z napisem: CZAS KONSERWATYSTÓW. A może jednak nie tak niemądrą. Może Sędzia zachował ją jako przypomnienie. Przypomnienie kogoś, komu winien jest przeprosiny. Przypominam sobie zupełnie inne zdjęcia na ścianie w domu Thery. *Tak jak było kiedyś*. Mój ojciec w kółko powtarzał te słowa, mając nadzieję, że nigdy ich nie zapomnę.

Szybko wchodzę na piętro i ściągam drabinę prowadzącą na strych.

(II)

Na niskim strychu Vinerd Howse trudno latem wytrzymać dłużej niż dwadzieścia, trzydzieści sekund. Ze względu na jakieś zjawisko fizyczne - może unoszenie się ciepłego powietrza w górę lub złą wentylację - powietrzem na strychu niemal nie można oddychać, nawet gdy wieczorem w pozostałej części domu panuje już chłód. W czasie huraganu jest tu jeszcze gorzej. Na zewnątrz jest zimno, ale tutaj dosłownie ociekam potem. Na dodatek w pewnej chwili dostrzegam, że cały sufit się trzęsie. Na szczęście górę bierze we mnie naukowiec zafascynowany tym chaotycznym ruchem. Nigdy dotąd nie widziałem tak falującego dachu i trzęsących się krokwi. Przypuszczam, że podobnie musi to wyglądać podczas trzęsienia ziemi.

Czuje się zadziwiająco bezpiecznie.

Zaczynam przeszukiwać zagraconą podłogę. Wiem, że gdzieś tu jest. Leży ukryty pod niepotrzebnymi rzeczami, które gromadziły się tu przez lata, ale z pewnością tu jest. Musi być.

Wujek Derek, myślę. Jak mogłem zapomnieć o wujku Dereku? Przecież, jak powiedziała Sally, to on mi nadał imię.

Potykam się o skrzynki, stare naczynia i lampy, przerzucam starą odzież i jeszcze starsze książki, i nie mogę go znaleźć. Wiatr i deszcz uderzają w jedyne okno, jakby domagały się, by je wpuścić. Słyszę odgłos kapania, więc gdzie w dachu musiała zrobić się szpara. Ten strych nie jest tak zagracony jak poddasze na Shepard Street, więc nie powinienem mieć trudności ze znalezieniem tego, czego szukam. Ocieram sobie skórę na nodze o zapadniętą kanapę i nie mogę się nadziwić, jak ktoś wpadł na tak głupi pomysł, żeby ją tu wciągnąć. Pod jakimś płaszczem znajduję swoją starą rękawicę baseballową, a byłem pewien, że przepadła na zawsze. Natrafiam na dziecięcy zeszyt wypełniony gryzmołami przedstawiającymi latarnie morskie. Mój czy Abby? Nie pamiętam. Komin skrzypi. Znajduję parasol plażowy, którego nikt nie używał pewnie od dwudziestu lat i ręczniki plażowe, zapewne tak samo dawno prane. Jestem już gotów się poddać. Może stworzona przeze mnie teoria jest błędna, może popełniłem fatalną pomyłkę...

Jednak wiem, że mam rację.

Tak jak było kiedyś.

Ruch „b4”, pierwsze posunięcie w Podwójnym Ekscelesiorze, jeśli białe mają przegrać. Jednak w tym wypadku symbol ten nie oznacza pola na umownej szachownicy, którą stworzyłem na cmentarzu, lecz wyraz. B4. *Kiedyś.**

* Nieprzetłumaczalna gra słów. W języku angielskim symbol „B4” oraz słowo „before” (kiedyś, przedtem) brzmią tak samo.

Tak jak było kiedyś.

To znaczy, zanim wszystko się popsulo.

Jednak nie popsulo się wówczas, kiedy ojciec zrezygnował ze stanowiska sędziowskiego, tylko znacznie wcześniej. Według słów Almy, ojciec powtarzał, że wszystko się popsulo, kiedy zerwał stosunki z bratem, żeby móc realizować swe ambitne plany. Z wujkiem Derekiem, swym młodszym bratem, który nadał mi mój przydomek. Z wujkiem Derekiem, zagorzałym komunistą, który pod koniec życia stał się również wielkim nacjonalistą. Jednak nie dla niego były pokojowe protesty - *modlenie się, kiedy gliny leją cię po głowie*, jak mawiał. On wołał odpowiadać na atak. Walka zbrojna, to było coś dla niego. Kiedy Sędziego nie było w domu, siadaliśmy u stóp wujka Dereka i zafascynowani słuchaliśmy jego słów, które szczególnie przemawiały do Abigail: działanie, działanie i jeszcze raz działanie. Jednak towarzyszące wyłącznie właściwej ideologii. Wujek Derek lubił Czarne Pantery, choć ich ideologię

uważał za nieco naciąganą, lubił SNCC*, ale najbardziej podziwiał czarnych komunistów biorących aktywny udział w walce z segregacją rasową.

*SNCC - Student Nonviolent Coordinating Committee

A kto należał do najsłynniejszych czarnych komunistów?

Angela Davis. *Angela Davis*.

Odsuwam zwinięty dywan i nagle - jest.

Wyprostowuję się.

Patrzę na pluszowego misia, którego Abby wygrała podczas jarmarku przed wieloma laty. To znajdująca się w oplakany stanie panda, której moja siostra nadała imię George Jackson, na cześć czarnego bojownika zastrzelonego podczas próby ucieczki z więzienia San Quentin. W tamtych czasach kochały się w nim wszystkie czarne kobiety w Ameryce będące w odpowiednim wieku... jak również te o wiele za młode, jak nasza Abby. George Jackson - przystojny, dynamiczny rewolucjonista. George Jackson, kochanek Angeli Davis, jak wówczas twierdzono.

Chłopak Angeli.

(III)

Jestem na dole w kuchni i rozmyślam. Huragan nadal wstrząsa domem. Kilka minut temu znów wyszedłem z przenośnym reflektorem na zewnątrz - pomimo wichru, deszczu i piorunów, którymi natura wyraża latem swą wściekłość - aby sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje. W pewnej chwili, gdy skierowałem strumień światła na muszlę koncertową przesłoniętą teraz ścianą deszczu, odniosłem wrażenie, że widzę jakiś cień, toteż przebiegłem Ocean Avenue i przeszukałem jej okolicę, żeby się upewnić.

Nie znalazłem nikogo. Jednak teraz ociekam wodą, a mój reflektor ledwo świeci i nie mam skąd wziąć nowych baterii.

W domu znajduję przenośną lampę akumulatorową, którą wykorzystuję teraz do oświetlenia George'a.

Pluszowy mis leży bezwładnie na stole, jakby czekał na sekcję. Badam go dokładnie, kawałeczek po kawałeczku, ostrożnie rozdzielam futro, szukając ręcznie zszytych rozdarć lub rozcięć, jednak niczego nie znajduję. Podnoszę zabawkę i potrząsam nią, ale nic z niej nie wypada. Wyjmuję paznokciami plastikowe oczy, lecz po nimi też nic nie ma. Wywracam na lewą stronę niebieską bluzeczkę pandy należąca niegdyś do Abby, lecz wewnątrz nie ukryto liściku. Zatem skupiam całą uwagę na miejscu, które zainteresowało mnie od początku - na szwie w miejscu złączenia prawej nogi z korpusem, z którego już od trzydziestu lat wypadają obrzydliwe różowe paprochy. Wsuwam tam palec, potem, powiększając rozdarcie, dwa palce, ale czuję pod

nimi tylko wypełniacz. Ostrożnie i powoli, żeby nie zniszczyć tego, co tam ewentualnie ukryto, wyciągam go i rozkładam na blacie.

Już po niedługiej chwili moje palce dotykają czegoś twardego i płaskiego, szerokiego na osiem, dziesięć centymetrów.

Ciągnij, ciągnij, powoli, żeby nie złamać...

... to coś, jakby... jakby...

... jakby dyskietka komputerowa.

Bo to jest dyskietka.

(III)

Dwoma palcami wyciągam ją na wierzch, przysuwam do lampy i sprawdzam, w jakim jest w stanie. Jestem wściekły na Sędziego. Wszystkie te poszukiwania i wskazówki, śmierć i chaos z powodu czegoś takiego. Dyskietka! Leżąca przez dwa lata w upale panującym na strychu! Co on sobie myślał? Zapewne w ogóle nie przyszło mu na myśl, że wysoka temperatura może ją zniszczyć. Ojciec nigdy nie znał się na technice, a rewolucja cyfrowa była, jego zdaniem, gigantyczną pomyłką. Próbując się uspokoić, kładę dyskietkę na blacie. Jest trochę wypaczona i nie mam odwagi włożyć jej do swojego laptopa.

Nie do wiary. Co za strata.

Ale może uda się coś uratować. Kto z moich znajomych ma doświadczenie w odzyskiwaniu danych ze zniszczonych dyskietek? Przychodzi mi na myśl tylko jedna osoba - mój stary przyjaciel John Brown, inżynier elektryk mieszkający teraz w Ohio. Kiedy był u mnie w odwiedzinach, zauważył Lionela Eldridge'a kryjącego się w lasku za domem - chociaż żaden z nas wówczas nie wiedział, że to Lionel. Również tamtego popołudnia Mariah powiedziała mi, że zaginął raport prywatnego detektywa, a możliwość odnalezienia ustaleń ojca wydawała się niezmiernie odległa. Teraz w końcu mam je w rękę i znów potrzebuję Johna, żeby pomógł mi je odczytać.

Na co czekam? Przecież mogę od razu do niego zadzwonić, chyba że huragan zniszczył również linie telefoniczne.

Najpierw jednak wsuwam dyskietkę z powrotem do pluszowego misia. Przy tym szalejącym huraganie to może być dla niej najbezpieczniejsze miejsce. Odwracam się, żeby pójść do pokoju rodzinnego po notes z adresami, kiedy nagle drzwi do kuchni otwierają się z impetem.

Obracam się na pięcie, sądząc, że to wina wiatru.

Jednak nie.

Tuż za progiem, z błyszczącym pistoletem w dłoni, stoi sędzia Sądu Najwyższego Wallace Warrenton Wainwright.

ROZDZIAŁ 62

Walka o George'a

(I)

- Witam, panie sędzio - mówię najspokojniej, jak potrafię.
- Nie wydajesz się zaskoczony.
- Bo nie jestem. - Choć w istocie jestem. Spoglądam na jego uzbrojoną dłoń. Mam już dosyć obserwowania uzbrojonych dłoni, ale nic innego mi nie pozostaje.

Sędzia zdecydowanie zamyka za sobą drzwi i wydyma wąskie wargi.

- Czy to właśnie to? - Wskazuje lufą pistoletu. Trzymałem akurat pandę, kiedy się włamał, i nadal ściskam ją kurczowo w obu rękach. Kiedy nie odpowiadam, Wainwright wzdycha. - Nie urządź sobie ze mną gierki, Misha. Już na to za późno. Twój ojciec najwyraźniej ukrył coś w tym pluszowym misiu. Co to jest?

- Dyskietka komputerowa.

Pociera szyję wolną ręką. Z jego granatowego płaszcza przeciwdeszczowego, który trudno byłoby dostrzec przy tej pogodzie, ścieka na podłogę woda. - Powiedział mi, że coś ma. Nie powiedział, co ani gdzie. - Mówi to słabym marzycielskim głosem. Uświadamiam sobie, że jest wyczerpany, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, podobnie jak ja. - Wszyscy wiedzieli, że coś ukrył. Ale nikt nie szukał pluszowego misia. A już z pewnością nikomu nie przyszłoby na myśl, że ukrył dyskietkę. Nie twój ojciec, który nie miał pojęcia o nowoczesnej technice. Wszyscy szukali *papierów*. To było bardzo sprytnie. Dyskietka. - Wypuszcza głośno powietrze, ponownie zbierając siły. - Więc od jak dawna mnie podejrzewasz?

- Od kiedy uświadomiłem sobie rzecz oczywistą. Przecież mój ojciec nie mógł sam ustawiać tych wszystkich spraw. W posiedzeniach federalnego sądu apelacyjnego uczestniczy zawsze trzech sędziów. Jeśli ustawiał sprawy, to potrzebował dwóch głosów.

Wainwright przesuwa się w głąb kuchni i staje w pobliżu lukowo sklepionego wejścia do korytarza. Uświadamiam sobie, że ma teraz na linii strzału nie tylko mnie, ale i tylne wejście, jakby się spodziewał jakiejś niespodzianki. Najwyraźniej wie, jak obchodzić się z bronią, więc uważam, żeby nie wykonywać gwałtownych ruchów. Mój plan się powiódł, jednak okazuje się, że miał pewne minusy. Zależało mi na huraganie, żeby nikt się

nie kręcił po wyspie, a teraz nie mogę liczyć na żadną pomoc.

- No, i co z tego? Przecież to mógł być każdy z sędziów. To wcale nie musiałem być ja. - W jego głosie brzmi zdenerwowanie. Zapewne zastanawia się, czy dostatecznie dobrze się zamaskował. Być może nie tylko ja go podejrzewałem.

- To prawda. Ale w zasadzie sam mi pan to powiedział, podczas naszego spotkania. Powiedział pan, że ojciec mógłby równie dobrze sprzedać swój głos w jakiejś sprawie, jak pan.

Obdarza mnie swoim słynnym krzywym uśmiechem, lecz dostrzegam, że jest w nim więcej złośliwości niż rozbawienia. Czyżbyśmy wszyscy dawali się oszukiwać przez tyle lat? Czy rzeczywiście błędnie braliśmy jego moralną arogancję za współczucie? Zapewne doskonale się bawił, mówiąc mi szczerą prawdę, a mimo to kłamiąc. Wallace Wainwright, podobnie jak Sędzia, zawsze był przekonany, że jest mądrzejszy niż inni. Nie jest przyzwyczajony, żeby ktoś dotrzymywał mu kroku. - Przypuszczam, że byłem zbyt sprytny - stwierdza.

- Zapewne. - Nie ma powodu, żeby nie powiedzieć mu reszty. W końcu, dopóki rozmawiamy, nie strzela. - Przypuszczam również, że Cassie Meadows informowała pana na bieżąco o tym, co się dzieje.

Może to moja wyobraźnia, ale mam wrażenie, że broń leciutko zadrżała. - Dlaczego tak sądzisz?

- Powinienem był się domyślić od samego początku. Mallory Corcoran przekazał mi Cassie, bo nie miał czasu zajmować się moimi problemami. Chciał zrobić na mnie wrażenie, mówiąc, że pracowała jako aplikantka sędziego Sądu Najwyższego. Było dla mnie jasne, że Cassie przekazuje komuś innemu wszystko, czego się dowie. Zakładałem, że Mallory'emu Corcoranowi. Ale potem uświadomiłem sobie, że może być w kontakcie ze swym byłym pracodawcą. Sędzią, u którego była aplikantka. Zatem wyszukałem Cassie w spisie Martindale'a-Hubbell'a i okazało się, że pracowała dla sędziego Wallace'a Wainwrighta. Prawdopodobnie był to zbieg okoliczności, że właśnie ją wyznaczono do zajmowania się moją sprawą, ale pan w pełni to wykorzystał. - Wainwright nie kazał mi jeszcze podnieść rąk do góry. Nadal trzymam w nich George'a Jacksona. Staram się dalej podtrzymywać rozmowę. - Więc jak to było, czy ona tylko opowiadała panu ploteczki, czy też brała w tym udział?

- Nie mam zamiaru odpowiadać ci na to pytanie. - Z zewnątrz nadal dobiega wycie wichury i w pewnej chwili słyszymy ostry trzask, gdy z drzewa w pobliżu domu odłamuje się kolejna gałąź. Deszcz nie przestaje atakować okien. Sędzia Wainwright marszczy czoło i robi niewielki krok, jakby nie mógł spokojnie ustać w miejscu. Zastanawia się nad tym, co przed chwilą powiedziałem, rozważając, czy jednak czymś się nie zdradził. Potem potrząsa przecząco głową. - Nie, nie, to by ci nie wystarczyło. Nie mógłbyś

wyciągnąć takich wniosków tylko na podstawie tego, że Cassie była moją aplikantką. - Pistolet jest teraz wycelowany w moją pierś. Cofam się w kierunku zlewu. Posuwa się za mną w takiej odległości, żebym nie mógł go zaatakować, nawet gdybym wiedział, jak. Nie poprosił mnie dotąd o pandę, a ja mu jej nie dałem. - Dlaczego nie byłeś zaskoczony, że mnie widzisz? Skąd w ogóle wiedziałeś, że ktoś jeszcze w tym siedzi? Najwyraźniej sądziłeś, że to wujek Jack cię śledzi. Może również jego partnerzy. Ale czy musiał być ktoś trzeci?

- Masz rację. To, że Meadows była twoją aplikantką, jeszcze o niczym nie świadczyło. - Dłonie i plecy mam mokre od potu. Nadal jeszcze liczę na to, że uda mi się uciec. Huragan, który miał zapewnić mi bezpieczeństwo, może mi jeszcze pomóc, jeśli tylko skłonię Wainwrighta, żeby dalej mówił. - Jednak wiedziałem, że musiał być ktoś trzeci, bo było dla mnie jasne, że kręci się wokół mnie ktoś, kto nie wie o dekreście Jacka Zieglera.

Na jego twarzy maluje się szczere zaskoczenie. - Jakim dekreście?

- Że nie może stać mi się krzywda. Inni, którzy mnie śledzili, znali zasady. Nie wolno skrzywdzić mnie ani nikogo z mojej rodziny. Jack Ziegler zawarł układ z... cóż, z kimś, z kim zawiera się takie układy. Rozeszła się wiadomość, że włos mi nie może spaść z głowy, a ja w zamian znajdę to, co mój ojciec ukrył. Zatem wszyscy mnie obserwowali i czekali. Potem, kiedy mnie napadnięto, stało się jasne, że albo zasady się zmieniły, albo pojawił się ktoś trzeci. Zapewniono mnie, że zasady pozostały takie same, czyli musiał to być ktoś inny. Ktoś nieposiadający kontaktów w kręgach Jacka Zieglera.

- Byłbyś zdziwiony, gdzie mam kontakty, Misha.

Wiem, o co mu chodzi, ale potrząsam przecząco głową. - Nie wystarczy, że Jack Ziegler może dotrzeć do pana. To pan musiałby mieć możliwość kontaktu z nim.

Moje słowa nie przypadają mu do gustu. Widzę to po wyrazie jego twarzy, na której szyderczy grymas zostaje wyparty przez wściekłość. Zapewne nie chce, żeby mu przypominano, iż nigdy nie miał tak bliskich kontaktów z Jackiem Zieglerem jak mój ojciec. To nowa odmiana syndromu sztokholmskiego - łapówkarz pragnie być ulubieńcem człowieka, który go korumpuje. Przypominam sobie jednak, że lepiej nie drażnić osoby trzymającej broń.

- Zatem Jack Ziegler wydał dekret - odzywa się w końcu, robiąc długi wydech. - Powiedział, że nikomu nie wolno cię skrzywdzić.

- Tak. A ty o tym nie wiedziałeś, więc nasłałeś na mnie tych dwóch rzemieślników. Poza tym, była jeszcze jedna sprawa. - Cofając się, okrążyłem już stolik gdzie przedtem leżała panda. Wainwright jest teraz przy zlewie. Nadal jeszcze rozdziela nas George Jackson z niemal oderwaną nogą.

- Jaka sprawa?

- Meadows zaczęła nazywać mnie Mishą. Gdzie mogła usłyszeć to

imię? Nie od wujka Mała, gdyż on używa imienia Talcott. Mogła słyszeć, że Kimmer tak się do mnie zwraca, ale nie sądzę, by miała tyle tupetu, żeby posługiwać się przydomkiem, którego używa wyłącznie moja żona. Znam w Waszyngtonie tylko jedną osobę, znaną również Meadows, która nazywa mnie Mishą. Pana.

Sędzia Wainwright kiwa potakująco głową z obojętnym uśmiechem. - To było świetne. Tak. W przyszłości będę musiał bardziej uważać. - Wzdycha. - Zatem to koniec, Misha. Daj mi dyskietkę i idę. - Zerkam na znajdujące się za nim drzwi kuchenne. Dostrzegam moje spojrzenie. - Obawiam się, że nikogo tam nie ma. Nikt nie nadciąga, żeby cię uratować. Jesteśmy tylko my dwaj. Więc daj mi dyskietkę. Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym to powtarzał.

Nadal staram się grać na zwłokę. - Czemu panu tak zależy na tej dyskietce? Co na niej takiego jest?

- Co na niej jest? Powiem ci, co na niej jest. Zabezpieczenie.

- Jakie zabezpieczenie?

- Och, przestań, Misha. Na pewno już dawno się domyśliłeś. Nie jesteś takim idiotą, jakiego udajesz. Nazwiska. Nazwiska ludzi, którzy mieli udziały w tych wszystkich korporacjach, przez te wszystkie lata. Ministrowie, senatorzy, jeden czy dwóch gubernatorów. Paru dyrektorów naczelnych i znanych prawników. Człowiek posiadający tę dyskietkę ma tym samym doskonale zabezpieczenie.

Wówczas dociera do mnie, o co mu chodzi. - O, nie. Ma pan na myśli zabezpieczenie przed Jackiem Zieglerem? Nadal ma na pana haka? On albo jego partnerzy? Nie chcą panu pozwolić zrezygnować, prawda?

- Nie pozwalają mi nawet odejść na emeryturę. Nieustannie zgłaszają jakieś żądania. - Nie odzywam się. Chociaż sam już się tego prawie domyśliłem, to jego bezpośrednie wyznaczenie mną wstrząsnęło. - Ale twój ojciec wcale nie był lepszy. Kiedy go poprosiłem, żeby podzielił się ze mną zebranymi informacjami, tylko na mnie spojrzął i oświadczył, że ja również jestem częścią jego ustaleń. A jeśli nie będę się trzymał z dala od niego, wszyscy się dowiedzą.

- Na rok przed śmiercią - mrużę pod nosem, gdyż w końcu to zrozumiałem.

- O co chodzi?

- Ja ... hmm, zastanawiałem się, pod jakim pretekstem przebywa pan na wyspie. - Wprawdzie to kłamstwo, ale każde odwołanie się do jego próżności umożliwi mi przedłużenie tej rozmowy. Musi mi przecież pokazać, jaki jest sprytny - to znaczy, zanim mnie zabije.

- Doprawdy, Misha, każdy chce mnie gościć. Tak. Cóż. Ty sam też popełniłeś kilka błędów. Zbyt wyraźnie było widać, że do czegoś się przygotowujesz. Dowiedziałem się, że przyjeżdżasz tu, pomimo że zbliża się huragan. Domyśliłem się, co zamierzasz i przyjąłem zaproszenie na dłuższy pobyt na

wyspie. Dziś po południu, gdy nadciągnął huragan, wyszedłem na spacer. - Znowu krzywy uśmiech. - Powiedziałem swoim gospodarzom, że lubię obserwować sztorm. W tej chwili właśnie spaceruję. - Podmuch wiatru otwiera tylne drzwi i po chwili zatrząskuje je z powrotem. Wainwright nie ma już ochoty na dalsze wspomnienia. - No, dobra, Misha, dosyć gadania. Daj mi teraz dyskietkę.

- Nie.

- Nie bądź niemądry, Misha.

Ja jednak jestem uparty. - Ojciec nie zostawił tego dla pana, tylko dla mnie. Chcę zobaczyć, co na niej jest, a wtedy postanowię, co z nią zrobić.

Sędzia Wainwright bez ostrzeżenia strzela. Jego ręka nawet nie drgnie. Kula ze świstem przelatuje koło mojej głowy i wbija się w ścianę kuchni.

- Byłem w piechocie morskiej, Misha. Wiem, jak posługiwać się bronią. A teraz daj mi dyskietkę.

- Nic panu z tego nie przyjdzie. Dyskietka jest bezużyteczna. Zbyt długo leżała w upale, więc jest cała powyginana.

- To tym bardziej możesz mi ją dać. - Potrząsam przecząco głową. Sędzia wzdycha. - Misha, spójrz na to z mojego punktu widzenia. Już dłużej nie mogę tego robić. Naprawdę za długo byłem wplątany w sprawy tych ludzi. Muszę się z tego wydostać. Potrzebuję tej dyskietki. - Jego oczy przybierają twardy wyraz. - Twój ojciec nie chciał mi powiedzieć, gdzie to schował, ale od ciebie z pewnością ją dostanę.

- Ojciec odmówił - powtarzam. - W październiku miną od tamtej pory dwa lata, prawda? To wtedy go pan poprosił, żeby zdradził, gdzie ukrył materiały.

- Możliwe. No i co? Popelnilem kolejny błąd?

- Nie, ale... - Ale to właśnie przeraziło Sędziego, myślę. To Wallace Wainwright - a nie Jack Ziegler, jak zakładałem - tak przeraził ojca, że zwrócił się on do Pułkownika, żeby pożyczył mu broń, a potem zapisał się do klubu strzeleckiego, gdzie uczył się, jak jej używać. Wainwright, który był już zmęczony tym, co robi, i chciał przejść na emeryturę, przyszedł do ojca na rok przed jego śmiercią i próbował wydobyć od niego informacje, które ojciec gromadził, aby zabezpieczyć się przed Jackiem Zieglerem i jego partnerami. Sędzia odmówił, a Wainwright zagroził, że ujawni jego działalność. Wtedy ojciec udał się z prośbą do Milesa Madisona. Minęło kilka miesięcy, w trakcie których nic się nie zdarzyło, więc ojciec zapomniał o broni. Potem, w zeszłym roku we wrześniu, zdesperowany Wainwright pojawił się ponownie, a zrozpaczony ojciec wznowił naukę strzelania. Usiłuję sobie wyobrazić tych dwóch podziwianych sędziów, z których jeden stanowi powód do dumy lewicy, a drugi prawicy, jak toczą boje o materiały, które teraz spoczywają w pluszowym misiu, i walczą ze sobą, gdyż każdy szaleńczo chce uniknąć odpowiedzialności za długie lata korupcji. - Broń - szepczę. - Teraz rozumiem.

- Jaka broń?
- Sędzia... postarał się o broń. On zamierzał... - Sądziłem, że niespodzianki już się skończyły, a w tę wprost trudno mi uwierzyć. Ale to jedyne wyjaśnienie. Wujek Mal wszystko pokręcił. To, co ojciec powiedział Pułkownikowi, było w sensie dosłownym prawdą - pragnął się zabezpieczyć. Ale nie, jak przypuszczała Mariah, przed ewentualnym zabójcą. Chciał się zabezpieczyć przed szantażystą. Oczywiście wyobraźni widzę ostatni miesiąc życia Sędziego. Kiedy ponownie pojawił się Wainwright, ojciec zadzwonił do Jacka Zieglera, po czym spotkali się na potajemnym lunchu. Łatwo się teraz domyślić, o jaką przysługę musiał Sędzia poprosić swojego starego przyjaciela i głównego kusiciela, że ten w końcu mu odmówił. Widząc ciąg błędów, jakie popełniliśmy w swoim rozumowaniu, zaczynam się śmiać.
- Co cię tak bawi, Misha?
- Wiem, że trudno będzie panu w to uwierzyć, ale mój ojciec planował pana zabić. Poważnie. Gdyby nie zostawił go pan w spokoju i dalej mu groził, że ujawni jego korupcję. Kupił broń i sądzę, że zamierzał pana zabić.

(II)

Oczy Wainwrighta ciemnieją, jakby przez chwilę wyobrażał sobie inne zakończenie tej historii. Potem wykrzywia twarz w nieprzyjemnym grymasie i stwierdza warkliwym tonem: - Więc teraz już wiesz, jakim człowiekiem był naprawdę twój ojciec. Wielki sędzia Oliver Garland. Mówisz, że zamierzał mnie zabić. Cóż, nawet mnie to nie dziwi. On był potworem, Misha, bezdusznym, samolubnym, aroganckim potworem. - Na zewnątrz kolejne drzewo pęka na pół z głośnym trzaskiem. Dłoń Wainwrighta przez chwilę drży, gdy sędzia rozgląda się dookoła. Potem jego gniewne oczy spoczywają ponownie na mnie. Rozumiem teraz, dlaczego mnie jeszcze nie zabił. Chce, żeby syn cierpiał za grzechy ojca. I tak się właśnie dzieje. - Przede wszystkim, to twój ojciec wciągnął mnie w cale to bagno. To przez niego zacząłem to robić. No, i co o tym sądzisz?

Nie odpowiadam. Nic mnie już nie dziwi, gdy chodzi o Sędziego. Jednak łatwo dostrzec, jak Sędzia mógł go skusić. Syn biedaków mieszkających w przyczepie gdzieś w Tennessee odnosi sukces. Bogata żona? Może jego majątek to owoc dwudziestu lat brania łapówek i prania tych brudnych pieniędzy w przedsięwzięciach prowadzonych przez rodzinę żony. Wszystko jest zbyt skomplikowane, żebym potrafił to sobie dokładnie wyobrazić, niemniej jednak rzecz w tym, że Wallace Wainwright, wielki liberał, człowiek z ludu, wzbogacił się na ustawianiu spraw sądowych zgodnie z potrzebami ludzi, którzy mu płacili.

Jeżeli motywy mają jakieś znaczenie, to mój ojciec zrobił to przynajm-

niej z miłości.

- Twój ojciec to był prawdziwy diabeł. Nie masz pojęcia, jaki potrafił być przekonujący. A przy tym zepsuty do szpiku kości. I jak ci się to podoba? Przyjmował rozkazy od Jacka Zieglera. Głosował, jak mu kazano. Pomyśl o tym, Misha. Ale był tak sprytny, że nikt się nawet nie domyślał. A kiedy przyszedł z tym do mnie, nie przeszedł od razu do rzeczy, urabiał mnie bardzo powoli... Mniejsza o to. Wszelkie zło wyrasta z miłości do pieniędzy, nieprawdaż? Chciałem być użyteczny i odnieść sukces, a on to wyko-rzystał.

Chcę już zaprotestować, że ojciec nigdy nie brał pieniędzy, ale gryzę się w język, gdyż uświadamiam sobie, że w swej diabelskiej przebiegłości celowo nie zdradził tego Wainwrightowi. Nigdy się nie dowiem, w jaki sposób ojciec go skusił. Zauważam natomiast, że przemowa, w której tak użala się nad sobą, ma podtekst typowy dla Waszyngtonu - on wziął łapówkę, ale to wszystko wina tego, który ją dał.

Sędzia najwyraźniej uświadamia sobie, jak brzmi to, co mówi, gdyż nagle milknie, - Poświęciliśmy już zbyt wiele czasu na wspomnienia, Misha. Teraz daj mi dyskietkę. Połóż ją na stole.

- Nie.

- Nie?

- Nie boję się pana. Nie ośmieli się pan mnie skrzywdzić. - I desperacko dodaje: - Widział pan, co Jack Ziegler zrobił pańskim sługusom.

- A tak, moim sługusom. Dobre słowo. Sługusy. - W jego tonie słychać dumę. Jeśli uda mi się utrzymać go w tym nastroju samozadowolenia, będzie dalej mówił. - To nie tak łatwo, wiesz, znaleźć sługusów. - Krzywy uśmieszek. - W końcu jestem sędzią Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Nie masz pojęcia, jakie podejmowałem ryzyko. Musiałem wykorzystać swoje kontakty z dawnych czasów, z piechoty morskiej... Mniejsza o to. To było ryzykowne, ale ten łańcuch jest już przerwany. Tak. Sługusy nie wiedziały, kto ich wynajął i nikt już do mnie nie dotrze.

Ten łańcuch jest już przerwany. Może Wainwright sam usunął główne ogniwo. Być może tą samą bronią, którą trzyma wymierzoną we mnie.

- Rozumiem. - Mówię to, aby coś powiedzieć. Słuchając, jak spokojnie przyznaje, że ostatnio kogoś zamordował, zaczynam nabierać obaw co do własnej przyszłości.

- Nie, nie rozumiesz. - Pochylił się nad stołem z bronią nadal wymierzoną w moim kierunku, ale cofa rękę zanim zdążyłem się zdecydować, czy spróbować mu ją wyrwać. Jest wyraźnie rozwścieczony. - Nie zgadzasz się ze mną. Sądzisz, że gdybyś był na moim miejscu, podjąłbyś inną decyzję.

- Ja wiem tylko, jaką pan podjął.

Wainwright wybucha bez najmniejszego ostrzeżenia. - Osądzasz mnie! Nie mogę w to uwierzyć. Ty osądzasz *mnie!* Jak śmiesz! Jesteś nawet gorszy

od ojca! - Gestykuluje przy tym gwałtownie uzbrojoną dłońią. Na ten widok czuję nagły przyływ adrenaliny. - Pewnie ci się wydaje, że powinienem być zrobić coś szlachetnego, na przykład przyznać się do winy. Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Czy masz pojęcie, kim jestem? Od dziesięciu lat jestem jedyną nadzieją, zdajesz sobie z tego sprawę? Konstytucja dogorywa, jeśli tego nie zauważyłeś. Nie. Jest zarzynana. Łatwo ci rzucać we mnie kamieniem, kiedy siedzisz sobie w gabinecie i piszesz artykuły, których nikt nie czyta. To ja walczyłem o wolność i równość w tych zacofanych czasach! Przewodziłem całemu lewemu skrzydłu Sądu Najwyższego. - Jego głos łagodnieje. - A oni mnie potrzebowali, Misha. Naprawdę. Praca, którą wykonujemy tam na rzecz sprawiedliwości jest zbyt ważna, by ją przerwało coś... coś takiego. Nie mogę odejść, Misha. Nawet gdyby Jack Ziegler mi pozwolił, nie miałbym do tego prawa. Sąd mnie potrzebuje. Naród mnie potrzebuje. Owszem, nie jestem święty, dawno temu poszedłem na pewne kompromisy i pamiętam o tym. Gdybym odszedł z Sądu, gdyby moje skrzydło straciło lidera, prawo byłoby bez porównania gorsze. Nie rozumiesz tego?

Tak, rozumiem. Robi mi się niedobrze od jego hipokryzji, ale rozumiem. Pokusa, pokusa - szatan nigdy się nie zmienia.

- Zatem... nie mógł pan zrezygnować.

- Nie mogłem. To było ważniejsze ode mnie. Mój los nie miał znaczenia, tylko sprawy, o które walczyliśmy. To było wezwanie do walki o sprawiedliwość, a ja nie miałem wyboru, musiałem je podjąć. Sąd mnie potrzebował. Aby zachować choć resztki przyzwoitości. Ludzie wierzą w Sąd Najwyższy. Gdybym dopuścił do tego, żeby skandal zniszczył wizerunek Sądu, cierpieliby z tego powodu zwykli obywatele. - Wrócił do tego, od czego zaczął, i sprawia wrażenie wyczerpanego własną argumentacją. - Zwykli obywatele - powtarza.

- Rozumiem.

- Naprawdę, Misha? - Znów wymachuje bronią. - Tak pragnąłbym walczyć dalej, ale jestem zmęczony, Misha. Jestem taki zmęczony. - Westchnienie. - A teraz proszę, daj mi to, po co przyszedłem.

Czując jeszcze mdłości po jego przemowie, zbieram resztki odwagi.

- A wtedy co? - Kiedy nie odpowiada, mówię to, co myślę. - Nie przyszedł pan tu tylko po dyskietkę. Przyszedł pan mnie zabić.

- To prawda. Nie będę cię okłamywał. Wolałbym tego nie robić. Ale nadal możesz jeszcze dokonać wyboru. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie cierpiał. Twoja śmierć może być szybka i bezbolesna - kula w tył głowy - albo może trwać dłużej, jeśli strzelę najpierw w kolano, potem w łokieć, a potem być może w pachwinę. Boli jak cholera, ale przez jakiś czas jeszcze będziesz żył. - Wykonuje gest bronią. - No, a teraz daj mi dyskietkę.

- Nie.

- Zabijałem ludzi w Wietnamie. Wiem, jak się posługiwać bronią i nie

zawaham się tego zrobić. - Przypominam sobie zdjęcie z jego biura, fotografię znacznie młodszego Wainwrighta w mundurze wyjściowym piechoty morskiej. Nie wątpię w jego słowa.

- Może i chce pan do mnie strzelić - nie rezygnuję - ale nie zrobi pan tego w domu, bo mogłoby zostać zbyt wiele śladów.

Z zewnątrz dobiegają trzaski i huki. To niewiarygodne, ale huragan jeszcze przybiera na sile. Być może jego epicentrum już nad nami przeszło i teraz wiatr atakuje nas z większą szybkością.

- Nie mam najmniejszych oporów, żeby strzelić do ciebie w domu - zapewnia mnie Wainwright spokojnym głosem.

- To dlaczego pan tego nie robi?

- Bo ten pluszowy miś może być kolejnym blefem. Nie chciałbym cię nie docenić. Na cmentarzu udało ci się zwieść fachowca. Ale dość gadania. Jeśli w ciągu trzydziestu sekund nie dasz mi tej dyskietki, strzelę ci w kolan...no...

Nagle ogłusza nas straszliwy łomot. Obrazy spadają ze ścian, naczynia grzechoczą w szafach. Wainwright, który nie pochodzi z Nowej Anglii, jest przerażony. Nie wie tego, co ja - że ten mrozący krew w żyłach dźwięk to odgłos przewracanego przez huragan komina, walącego się na spadzisty dach. Odruchowo spogląda w górę, być może zastanawiając się, czy za chwilę nie zawali się na nas cały dom.

Wykorzystuję ten moment i, nadal ściskając George'a Jacksona, rzucam się ku drzwiom kuchennym i dalej, prosto w burzę.

ROZDZIAŁ 63

Wodne dziecko

Drzwi kuchenne wychodzą na drewnianą werandę prowadzącą do niewielkiego pasa zrudziałej trawy, który odgrywa rolę podwórka. Zeskakuję ze stopni i ląduję w grzędzawisku, w jakie zamienił się trawnik. Rozpryskując wodę obiegam narożnik domu i kieruję się ku wąskiej ścieżce prowadzącej obok domu do Ocean Avenue. Wiem, że Wainwright za mną podaży, gdyż nie ma wyboru. Widzę też wyraźnie, że pomysł wykorzystania huraganu obrócił się przeciw mnie - mogę biegać i krzyżeć, a i tak nikt mi nie pomoże, bo nikogo tu nie ma, nawet policji.

Przez chwilę oszalałam mnie, a nawet przytłacza, majestatyczny ogrom gniewnych chmur kłębiących się nisko nad ziemią. Potem słyszę świst pocisku uderzającego w ścianę sąsiedniego domu i zaczynam biec szybciej. Na razie Wallace Wainwright pudłuje, ale to z pewnością się zmieni, a nie znam się na tyle na bronii, żeby wiedzieć, ile ma jeszcze pocisków.

Biegiem!

Moja camry z błyszczącym nowością zderzakiem stoi na poboczu, ale kluczyki zostały w domu, w kieszeni kurtki. Pędząc przez ulicę, słyszę okrzyki i przekleństwa sędziego, lecz nie tracę czasu, żeby się oglądać. On i tak niemal pod każdym względem ma przewagę. Ubrany jest w płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz, a ja w bluzę, która już przykleiła mi się do ciała. Na nogach ma wysokie buty, a ja tenisówki nasiąknięte wodą. On ma broń. Ja mam misia.

Jakby dla podkreślenia słuszności moich wniosków kolejna kula uderza w chodnik tuż przede mną. Coraz lepiej celuje.

Jednak ja też mam pewną przewagę, przypominam sobie, z trudem przedzierając się przez park, gdzie ziemia nasiąkła już do tego stopnia, że w trawie stoi woda na trzy centymetry. Po pierwsze przez całe życie uwielbiałem przebywać na dworze podczas burzy, przynajmniej na Vineyard. Mama nazywała mnie nawet wodnym dzieckiem. Ponadto jestem o trzydzieści lat od niego młodszy. Z drugiej strony niedawno byłem ranny i na dodatek nie mam ze sobą laski.

W środku Ocean Park poryw wiatru rzuca mnie na ścianę muszli koncertowej, a ja, odpychając się od jej ściany, oglądam się za siebie. Wainwright jest ledwo widoczny, gdyż nadal jeszcze usiłuje się przedostać przez drewniany płot biegnący wzdłuż drogi, ale wkrótce mnie dogoni, ponieważ nie bardzo mam gdzie uciekać. Mam wrażenie, że zablźnione już rany na brzu-

chu z powrotem mi się rozrywają. Jestem wyczerpany, nogi bolą mnie z wysiłku po tym krótkim biegu. Nawet przy takiej kondycji powinienem utrzymać sporą przewagę nad o wiele starszym sędzią. Niestety, moja noga jeszcze nie całkiem się zagoiła i coraz silniejszy ból zmusza mnie do zwolnienia kroku.

Kolejny strzał, który ledwo słyszę, gdyż akurat rozlega się ogłuszający grzmot. Burza jest nadal moim sojusznikiem, gdyż wiatr uniemożliwia miemu nieprzyjacielowi oddanie celnego strzału.

Uświadamiam sobie, że pobiegłem w złą stronę. Nie trzeba było biec przez Ocean Park, gdzie może do mnie strzelać jak do kaczki, tylko w kierunku sklepów - któryś mógł być otwarty. - lub posterunku policji, gdzie ktoś powinien być na służbie. Jednak Wainwright, jako doświadczony kombatant z Wietnamu, przewiduje moje zamiary i odcina mi drogę, zmuszając mnie do biegu w kierunku plaży.

Muszę biec szybciej, jeżeli chcę jeszcze zobaczyć swojego syna.

Więc na poły biegnę, na poły idę, kulejąc, gdy daje o sobie znać rozdzierający ból w brzuchu. Kieruję się w stronę oceanu, modląc się, aby wiatr, który nieustannie stara się zwalić mnie z nóg, oraz lejący się strugami deszcz, dalej uniemożliwiały mi oddanie celnego strzału.

Przechodzę na drugą stronę Seaview Avenue, a kolejny pocisk uderza w metalową barierkę oddzielającą chodnik od plaży. Wallace Wainwright ma siedemdziesiąt jeden lat, a jednak mnie dogania.

Zatrzymuję się na chwilę u szczytu chwiejnych drewnianych schodów prowadzących na plażę zwaną Kałamarzem. Poniżej dzikie fale chłostają piasek, bezpowrotnie unosząc ze sobą jego część. Falochron, który oddziela plażę strzeżoną od niestrzeżonej jest zupełnie niewidoczny. Większość fal dociera z sykiem aż do podnóża schodków.

Nie chcę tam schodzić.

Wainwright jest tuż za mną, więc nie mam wyboru.

Niezdarnie zaczynam schodzić po stopniach, żałując, że nie mam laski, która pomogłaby mi utrzymać równowagę.

Za sobą słyszę okrzyki Wainwrighta.

W pośpiechu, ale czujnie obserwując rozwścieczone morze, docieram do dolnego stopnia, który jest tak stary, a dodatkowo osłabiony przez sztorm, że natychmiast pęka pod moim ciężarem. Ześlizguję się w fale pokrywające piasek, a George Jackson wypada mi z rąk i ląduje o kilka metrów dalej, podskakując wesoło na wodzie poza moim zasięgiem.

Boli mnie dosłownie wszystko. Chcę leżeć w tej chłodnej wodzie i pozwolić jej, żeby mnie zabrała.

Wainwright schodzi ostrożnie po stopniach.

Podnoszę się niezdarnie i brodzę w kierunku misia Abby, ale z nóg zbija mnie kolejna fala.

Raz jeszcze wstaję, schylam się ku wodzie, wyciągam ręce i po chwili znów trzymam w nich George'a Jacksona. Jednak zimna, wirująca woda sięga mi niemal do pasa, fale miotają mną w jedną i drugą stronę, a moje zasoby energii już się prawie wyczerpały. Horyzont zasłaniają gniewne, szaroczarne chmury.

- W porządku, Misha, dobrze się spisałeś. - To Wainwright, stojący w płytszej wodzie o kilka metrów ode mnie. - A teraz daj mi to - odzywa się ostrym głosem.

Spoglądam na niego, jak stoi w granatowym płaszczu przeciwdeszczowym i wysokich butach, tak praktyczny, tak dobrze przygotowany - człowiek, który nie pozwolił się oszukać ani przez chwilę, którego nie zwiódła skrzynka na cementarzu. Wiedział, że wrócę na Vineyard i wiedział, dlaczego czekam na huragan. Wiedział wszystko. Z bólu i zimna kręci mi się w głowie i po prostu nie mam już siły. Pokonał mnie swoją inteligencją, cierpliwością i umiejętnością planowania. Nadal ściskając w objęciach misia Abby, patrzę na mały, błyszczący pistolet, spoglądam na pełną chłodnej pewności siebie białą twarz Wainwrighta i nagle czuję, że nie mogę już tego dalej ciągnąć. Dałem z siebie, co mogłem. Jestem wyczerpany. Emocjonalnie i fizycznie. Może mnie zastrzeli. Jestem tak zmarznięty, zmęczony i nieszczęśliwy, że nic mnie to nie obchodzi. Przepraszam, ojcze.

Ta historia, historia ustaleń dobiegła końca. Wiem, że za chwilę dam mu misia.

Robię niepewny krok w kierunku plaży, trzymając George'a Jacksona przed sobą, i nagle widzę, jak oczy Wainwrighta się rozszerzają i on sam zaczyna się cofać, jakby ktoś wyłaniał się za moimi plecami z oceanu, aby w ostatniej chwili mi pomóc - może Maxine, Henderson lub Nunzio, lecz kiedy się obracam, zamiast nich widzę dwumetrowej wysokości ścianę czarnej wody, pędzącą z wielką szybkością w naszym kierunku.

Wainwright już biegnie w kierunku drabiny. Usiłuję ruszyć za nim, ale fala uderza mnie w plecy i przewraca. Przez kilka sekund twarz mam zakopaną w piasku, a nade mną przelewa się woda. Nie mam pojęcia, gdzie jest miś ani Wainwright, ale jeśli nie przewyciężę bólu i się nie podniosę, to z pewnością utonę.

Zbieram resztki sił i wynurzam się na powierzchnię, lecz już w następnej chwili przewracam się z powrotem w kipiela, a ogromna fala ciągnie mnie ze sobą po jej powierzchni. Nie mam już sił, żeby z nią walczyć, więc pozwalam się nieść, czekając, aż mnie zatopi, jednak po chwili inna fala wyrzuca mnie z powrotem na plażę.

Słyszę, jak Wallace Wainwright coś krzyczy.

Siadam, wytrząsając wodę i piasek z oczu i włosów.

Wainwright brodzi wśród fal, starając się dosięgnąć pandy, którą prąd unosi coraz dalej od niego. Obserwuję go beczynn timer. Nie mogę nic zrobić,

by mu pomóc lub przeszkodzić, bo mam tylko tyle siły, by siedzieć na piasku, przemoczony na wylot i czekać, kiedy nadejdzie kolejna fala, która mnie porwie i utopi. Wainwright jest silny i wysportowany, jak na swój wiek, ale widzę, że nie ma szans. Za każdym razem, gdy wyciąga rękę po misia, następna fala odsuwa ich obu dalej w głąb oceanu. Nie ma już chyba broni, gdyż sięga po George'a Jacksona obydwoma rękami. Przez chwilę bawię się myślą, że obserwuję właśnie, jak biały bohater liberala rozpaczliwie usiłuje wyłowić martwego czarnego męczennika walki o równouprawnienie. Po chwili jednak marszczę czoło, gdyż okazuje się, że jednak źle oceniłem sytuację. Wainwright złapał misia, i przyciskając go do piersi, obraca się, żeby ruszyć ku brzegowi. I jednak trzyma broń. Musiał ją przedtem schować do kieszeni. Z ponurą determinacją brnie w moim kierunku, walcząc o każdy krok z przeciwnym prądem, i kawałek po kawałeczku zbliża się do plaży.

Nawet przez chwilę mam wrażenie, że mu się uda.

Potem uderza w niego kolejna dwumetrowa fala i wciąga go pod wodę. Widzę jego dłoń nad wodą, głowę wynurzającą się dwukrotnie w walce o łyk powietrza, a potem już znika na dobre.

Głowa opada mi na piasek i ja również, na chwilę, umieram.

ROZDZIAŁ 64

Podwójny Ekscelesior

(I)

Jedną z ofiar huraganu, mówi prezydent odpowiednio poważnym tonem, był Wallace Warrenton Wainwright, sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, który utonął u wybrzeży wyspy Martha's Vineyard, prawdopodobnie po tym, jak został zmyty przez fale oceanu, gdy spacerował po nabrzeżu, podziwiając sztorm. Chociaż huragan zakończył się trzy dni temu, jego ciało zostało wyrzucone na brzeg dopiero dzisiejszego ranka. Siedemdziesięcioletni Wainwright przebywał na wyspie z wizytą u przyjaciół. Uważany za jednego z ostatnich wielkich liberałów wśród sędziów, Wainwright najbardziej zasłynął poruszającą obroną...

Kimmer bierze do ręki pilota i wyłącza pięćdziesięciotrzytalcowy telewizor, który był powodem jednej z naszych absurdalnych kłótni. Odwraca się do mnie z uśmiechem. - Zobacz, jakie miałeś szczęście, Misha. Przecież to mogłeś być ty.

- Zapewne.

- A swoją drogą, co robiłeś na tej plaży? - Kto wie, może nadal sądzi, że chciałem odebrać sobie życie.

- Uciekałem przed sędzią Wainwrightem, który do mnie strzelał.

- Och, Misha, nie rób sobie takich makabrycznych żartów. To wcale nie jest zabawne. - Zrywa się, żeby sprzątnąć jednorazowe talerzyki, na których przed chwilą jedliśmy pizzę. Kimmer wprawdzie jest bez butów, ale nadal ma na sobie strój, w którym chodzi do pracy - kremowy kostium i jasnoniebieską bluzkę z żabotem. Nieco schudła, może celowo, a może z powodu stresów. Wygląda jeszcze wspanialej niż zwykle i jest jeszcze bardziej niedostępna. W narożniku pokoju rodzinnego Bentley gra na komputerze. Kiedy godzinę temu przyszedłem, żeby zabrać go na weekend, siadali właśnie do pizzy z podwójnym serem i Kimmer zaprosiła mnie, żebym przez chwilę został.

- Bemmy trafił, Bemmy trafił! - wykrzykuje radośnie nasz syn. - Trzy i sześć jest dziewięć! Dziewięć! Bemmy trafił!

- Bemmy trafił - potwierdzam, nadal nie otwierając oczu. W wyobraźni widzę coraz to nowe wersje sceny finałowej. Może trzeba było zebrać resztki sił i rzucić się w fale, żeby ratować Wallace'a Wainwrighta. Może miałem

zbyt mało sił albo on był już za daleko. Czasem widzę siebie, jak wyciągam go z fal oceanu. Innym razem widzę, jak umieram, próbując go ratować. Czasem pamiętam, żeby pomodlić się za jego duszę. A czasem cieszę się, że nie żyje.

- Czyż nasz chłopczyk nie jest wspaniały? - mruczy do mnie Kimmer scenicznym szeptem.

- Pewnie, że jest.

- Przecież masz zamknięte oczy głuptasie.

- Wiesz co? On jest równie wspaniały, kiedy mam zamknięte oczy.

Jednak w końcu je otwieram i przez jedną cudowną chwilę jesteśmy z Kimmer znów razem, złączeni w miłości i podziwie dla jedynej osoby na świecie, która dla obydwójga nas coś znaczy. Potem przypominam sobie kosztowną skórzaną kurtkę z napisem DUKE UNIVERSITY, którą zobaczyłem, wieszając swoją wiatrówkę w szafie na korytarzu, i wszystkie barwy szarzeją.

- A, Misha, zgadnij, kto tu dzwonił do ciebie.

- Kto?

- John Brown. Powiedział, że dzwoni w odpowiedzi na twój telefon.

Chyba zapomniałeś mu podać swój nowy numer, co? - Stoi w drzwiach z rękami założonymi na piersi. Zdjęła już marynarkę. Nadal się uśmiecha. Ma wiele rzeczy, z których może się cieszyć. - Chyba, że chcesz w ten sposób coś zademonstrować?

- Dzwoniłem do niego z Vineyard. - Odchyłam się do tyłu na skórzanej kanapie, mając nadal zamknięte oczy i nogi oparte na podnóżku, tak jak robiłem, kiedy jeszcze tu mieszkałem. - Wygląda na to, że podałem mu ten numer.

- Powinieneś podawać swój nowy numer.

- Lubię swoją prywatność.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki uparty - stwierdza Kimmer, która nie mogłaby przeżyć pięciu minut bez telefonu. Nagle uderza ją pewna myśl, tak że zakrywa dłonią usta i chichocze. - To znaczy, o ile... o ile nie zależy ci na prywatności dlatego, że... Chyba nie ukrywasz jakiejś kobiety w swoim domu, co? Shirley Branch? Czy kogoś takiego?

- Nie ma żadnej kobiety, Kimmer. - Oprócz ciebie.

- A może Pony Eldridge? Wiesz, dwoje oszukanych małżonków schodzi się razem.

- Przykro mi, że cię rozczarowuję, ale nadal jestem żonaty.

Kimmer rozsądnie ignoruje to ukłucie. - Chyba to nie jest Dana, co? Dochodzą mnie słuchy, że ma kłopoty z Alison. Albo na odwrót. Czy wy dwoje zamierzacie w końcu coś zrobić po tych wszystkich latach?

Powtarzam stary dowcip: - Dany nie interesują mężczyźni, a mnie białe kobiety.

Kimmer macha ręką. Przysuwa się do mnie, tak że jej bliskość przyprawia mnie o zawrót głowy, potem sięga za moimi plecami, bierze swój kieliszek z winem i upija mały łyk. - Och, dziś wszyscy interesują się wszystkimi - zapewnia mnie z pewnością siebie eksperta, i udaje się do kuchni. - Lody! - woła. - Orzechowe. Chcesz trochę?

- Brzmi świetnie.
- Z polewą czekoladową?
- Tak, dziękuję.

Tak, mogłem go uratować. Nie, nie miałem dość sił. Tak, powinienem był spróbować. Nie, i tak by mi się nie udało.

Kolejny okrzyk z kuchni: - A przy okazji, znalazłeś to, czego szukałeś? Na Vineyard?

Dobre pytanie.

- Misha? Kochanie? - Przypominam sobie, żeby nie przywiązywać wagi do słowa *kochanie*, to tylko siła nawyku, nic więcej. Kimmer zapewne nawet nie zdaje sobie sprawy, że to powiedziała.

- Właściwie nie - odpowiadam. - Nie.
- Przykro mi.

- Mnie również. - Chwila milczenia. Czuję się niezręcznie, ale mogę w końcu być uprzejmy i zapytać. - Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Proszę bardzo. - Jej uśmiechnięta twarz wygląda zza framugi drzwi., - Rachunki są nadal na twoje nazwisko. - Znika ponownie.

Wchodzę do swojego dawnego gabinetu. Kimmer nie przerobiła go na inne pomieszczenie. Kilka półek jest nadal na swoim miejscu, inne, wraz z biurkiem, regałem na książki i krzesłami znajdują się w piwnicy mojego segmentu. Tu i ówdzie leży kilka gazet i książek, lecz w zasadzie mój przytulny pokój, gdzie spędziłem tyle godzin obserwując Hobby Road i wypatrując ewentualnych prześladowców, jest pusty. Przenośny telefon stoi na podłodze.

Pokój wydaje się martwy. Zastanawiam się, jak Kimmer może to znieść. Może po prostu trzyma drzwi zamknięte.

Podnoszę słuchawkę telefonu, wybieram odpowiedni przycisk pamięci i czekam cierpliwie na głos Johna Browna.

(II)

Policja z Oak Bluffs znalazła mnie nieprzytomnego na plaży. Okazało się, że regularnie przeszukiwali nabrzeże, nawet w czasie sztormu. Trzeba było jednak uciekać w stronę posterunku. Tylko z powodu paniki mogłem pomyśleć, że go zamknęli.

Zanim przyjechała karetka, odzyskałem już przytomność, i całe szczęście, gdyż kiedy sanitariusze kładli mnie na noszach i przygotowywali dla mnie kroplówkę, przechodzący w pobliżu policjant odezwał się do swojego partnera: *Jakiś dzieciak zgubił misia*. Odwróciwszy głowę, dostrzegłem, że niesie pod pachą nasiąkniętego wodą George'a Jacksona. Szstorm, przesuwając się ku Cape Cod, pozostawił za sobą George'a, jak niepotrzebny balast. Zapewniłem zdumionego gliniarza, że miś jest mój. Zapytał mnie, bardziej z ciekawości niż obowiązku, co robiłem na plaży z pluszowym misiem w czasie takiego huraganu. *Dobre pytanie*, odparłem, co chyba ich nie uspokoiło.

Jednak nie roztrząsali tego dalej.

No i w końcu jestem z powrotem w swoim domu i przygotowuję się do rozpoczynających się za dwa tygodnie zajęć. Znów będę przekazywał wiedzę o czynach niedozwolonych pięćdziesięciu kilku nowym młodym ludziom, starając się usilnie żadnego z nich nie zastraszyć. Bentley biega po moich stosunkowo ciasnych pokojach, grając w chowanego z Miguelem Hadleyem, którego Marc podrzucił dwie godziny temu, żeby mogli razem się pobawić. Marc spędził u mnie parę minut, wypuszczając ogromne chmury dymu z malinowego tytoniu. Zgodziliśmy się, jakie to przykre, co spotkało sędziego Wainwrighta, i zagrałiśmy w starą akademicką grę polegającą na udawaniu, że mamy choćby blade pojęcie o tym, kogo prezydent mianuje na jego miejsce. Jestem wdzięczny Marcowi, że usiłuje naprawić stosunki między nami, lecz zerwane przyjaźnie, podobnie jak rozbite małżeństwa, są często niemożliwe do naprawienia.

Chociaż zostało jeszcze kilka dni sierpnia, popołudnie jest zimne, gdyż nad miasto nadciągnęła burza. Nie mam tu prawdziwego gabinetu, więc najczęściej pracuję na laptopie w kuchni, chodząc w miarę potrzeby do regałów z książkami znajdujących się w piwnicy. Teraz również siedzę przy laptopie i usiłuję zabrać się do pracy nad artykułem analizującym wpływ zamożności na wyniki spraw sądowych dotyczących czynów niedozwolonych. Jest to moje zadośćuczynienie dla Avery'ego Knowlanda - postanowiłem poświęcić czas, żeby sprawdzić, czy miał rację.

Wstaję i podchodzę do kuchennego okna. Widzę swój mały ogródek, za nim wyłożony płytkami teren wspólny dla wszystkich segmentów, chodnik z desek i dalej plażę. Wczoraj, przed wyjazdem na Hobby Road po Bentleya, poszedłem tam na przechadzkę w pięknym popołudniowym słońcu, żeby się zastanowić, co zrobić z dyskiolką bezpiecznie spoczywającą we wnętrzu George'a Jacksona. Nadal nie mam pojęcia.

John Brown powiedział mi, że pomimo gorąca, wygięcia i zamoczenia w słonej wodzie, dyskiolka zapewne w dalszym ciągu zawiera dane, które można odzyskać. Należy jednak działać szybko, gdyż sól z wody morskiej w połączeniu z powietrzem może spowodować dalsze szkody. Doradził mi,

żebym przemył powierzchnię dyskietki destylowaną wodą, co też zrobiłem. John zapewnił mnie, że nośniki magnetyczne są znacznie odporniejsze, niż się na ogół wydaje. Jedynym sposobem, żeby mieć pewność, iż dane uległy zniszczeniu jest sformatowanie dysku. Dla jeszcze większej pewności można przesunąć nad dyskietką bardzo silnym magnesem, a potem ponownie ją sformatować. *Po tym wszystkim, roześmiał się, jeśli jesteś naprawdę sprytny, to całkowicie zniszczysz dyskietkę.* Na przykład, wkładając ją do mikrofalówki lub wrzucając do pieca do spalania odpadków. Bez tych drastycznych sposobów, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że jakieś dane przetrwały. Można znaleźć ekspertów, którzy za odpowiednią opłatą odzyskają wszystko, co pozostało.

Wiem, co pozostało. Wainwright powiedział przecież, że na dyskietce znalazły się nazwiska osób zajmujących dziś ważne pozycje, dla których on i mój ojciec niegdyś ustawiali sprawy.

Mógłbym spowodować mnóstwo kłopotów.

Mógłbym odczytać gromadzone maniacko przez Sędziego dane i poznać szczegóły jego przestępstw. Mógłbym potem szantażować skorumpowanych senatorów lub oddać ich w ręce sprawiedliwości. Mógłbym przekazać dyskietkę prasie i pozwolić mediom na szaleńcze polowanie na czarownice. Te oskarżenia mogłyby nawet całkowicie zmienić pewne fragmenty historii lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Oczywiście, nie ma dowodów na ich poparcie - możliwe, że to tylko majaki udręczonego umysłu Sędziego - ale taki drobiazg nigdy nie powstrzymał dziennikarzy przed spowodowaniem jak największych szkód, przy jak najmniejszej liczbie przeprosin. Podobno ludzie mają prawo wiedzieć wszystko, do najdrobniejszych szczegółów, o tych, którzy nimi rządzą, choć rzekomo są równi, i dzięki temu media żywią się skandalami.

Wyobrażam sobie ojca, znowu na pierwszych stronach gazet, tyle że tym razem w doborowym towarzystwie. Wstrząsa mną dreszcz. Senatorowie, powiedział Wainwright, gubernatorzy, ministrowie - tak, mógłbym narobić mnóstwo szkód.

I być może właśnie o to ojcu chodziło - chciał w ten sposób zemścić się ostatecznie na świecie, który tak gwałtownie go odrzucił. Być może tym się kierował, zostawiając list, pionki i resztę niebezpiecznego, zagadkowego tropu, który w końcu doprowadził mnie na strych Vinerd Howse. Spryt ojca nagle mnie przeraża. Świat zniszczył Sędziego, a ja najwyraźniej zostałem wybrany jako narzędzie, które ma w odwecie zniszczyć świat.

Przez chwilę odczuwam cudowny dreszczyk emocji związanej z władzą, lecz zaraz wstrząsam się z odrazą. Nie ma sensu pytać: *Dlaczego ja?* Nie ma sensu buntować się przeciw przeznaczeniu. Lub przeciw Bogu. Albo przeciw ojcu. Mężczyźni Garlandów tego nie robią. Mężczyźni Garlandów znoszą przeciwności losu ze stoicyzmem graniczącym z nienawiścią do siebie sa-

mych, a kobiety obecne w ich życiu doprowadzają do szaleństwa swoją obojętnością. Mężczyźni Garlandów rozważnie podejmują decyzje, a potem się ich trzymają, odrzucając inne rozwiązania, nawet jeśli decyzja była najgorszą z możliwych. Jednak nie wiem, czy Sędzia oczekiwał ode mnie podejmowania decyzji. Może umierał w przekonaniu, że decyzja już została podjęta, że zrobię to, czego nie mógł zrobić Addison, mający własne problemy z prawem. Być może Sędzia myślał, że przeczytam nazwiska i rozpocznę dzieło zniszczenia - nie z powodu gniewu, chęci zemsty czy choćby intelektualnej rozkoszy zobaczenia, jak winni zostają ukarani, tylko dlatego, że poprosił mnie o to mój ojciec.

Winnych *należy* ukarać, co do tego nie ma wątpliwości.

Jednak różna bywa wina i różna bywa kara.

Addison. Wiąże się z nim pytanie, którego nikt nie zadał, choć agent Nunzio robił na ten temat pewne aluzje. Alma powiedziała, że Addison nie może być głową rodziny. Sally zwierzyła się, że Addison kazał jej zabrać album z wycinkami. Mallory Corcoran twierdził, że, zdaniem mojego ojca, Addison go zdradził. A ojciec powierzył sprawę ustaleń młodszemu synowi, a nie starszemu, którego najbardziej kochał. Czy powodem mogło być to, że Addison już o tym wszystkim wiedział? Brat powiedział, że Sędzia spotkał się z nim w Chicago na rok przed śmiercią i chciał go zmusić do przeczytania raportu Villarda. To z pewnością była reakcja na wizytę Wainwrighta. Ojciec natychmiast wpadł na pomysł, żeby o wszystkim opowiedzieć pierworodnemu, tak żeby Addison stał się jego polisą ubezpieczeniową, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Jednak Addison nie chciał z nim współpracować. Z pewnością przeczytał raport, gdyż wiedział, że w samochodzie, który zabił Abby, były dwie osoby. Może Sędzia opowiedział mu, co się potem wydarzyło. Może Addison sam się domyślił. W każdym razie zdenerwowało go to do tego stopnia, że nie chciał wysłuchać dalszej części historii. Nie chciał wiedzieć, co ojciec zrobił dla Jacka Zieglera w zamian za zamordowanie Phila McMichaela i Michelle Hoffer. A mój ojciec potraktował to jako zdradę.

Zatem postanowił wówczas powierzyć tę sprawę drugiemu synowi. Jednak tym razem był ostrożniejszy. Nie wiedząc, czy nie zachowam się podobnie jak Addison, nie zostawił mi wyboru i przygotował swoje ustalenia w taki sposób, jak komponował zadania szachowe. Zadał o to, żeby po jego śmierci został uruchomiony ciąg zdarzeń, który zmusi mnie do podążania tylko jedną drogą - drogą, która doprowadzi mnie do Vinerd Howse, na strych i do George'a Jacksona.

Prawdopodobnie liczył na to, że wszystko zrozumiem od razu, kiedy przeczytam list.

Możliwe również, że Addison nie ograniczył się do odmówienia ojcu, ale także miał w tym wszystkim swój udział. Ktoś musiał przenieść dane Sę-

dziego na dyskietkę. Ojciec nie potrafiłby tego zrobić, natomiast mój brat uwielbia komputery. Addison albo wytłumaczył Sędziemu, jak się do tego zabrać, albo sam to zrobił. W obu wypadkach wiedziałby, co ojciec ukrył i dlaczego, nie wiedziałby tylko gdzie. Zatem dlaczego nie chciał pomóc Mariah i mnie w poszukiwaniach? Dlaczego, kiedy w końcu udało mi się z nim skontaktować, usilnie próbował mnie namówić, żebym z nich zrezygnował?

Z tego samego powodu, dla którego kazał Sally zabrać album z domu ojca. Dlatego, że był w kuchni na Shepard Street tamtej nocy, gdy ojciec po raz pierwszy chciał zawrzeć pakt z diabłem. Ponieważ ukrywał ten sekret przez ponad dwadzieścia lat i wcale nie był gotów, żeby go ujawnić.

Nic dziwnego, że ani razu nie znalazł czasu, żeby przyjść na przesłuchania.

Tęsknię za Addisonem. Nie takim, jak jest teraz, lecz takim, jak był dawniej. Tak jak było kiedyś, powiedziała by Sędzia. Najwyraźniej za tym tęsknię we wszystkich aspektach swojego życia - żeby było tak jak kiedyś. Życie mojej rodziny, to nieprzerwany ciąg strat. Wszyscy odeszli. Brat, ojciec, siostra, żona, matka i ojciec - wszyscy, oprócz Mariah. Morris Young naucza, jak Sędzia za swoich najlepszych czasów, że powinniśmy zawsze patrzeć naprzód, a nie wstecz, więc próbuję. Och, jak próbuję.

Straciłem żonę. Mój ojciec, mimo całego obłąkania, nie stracił swojej Claire. Dopiero śmierć mu ją zabrała. W ostatnich latach byłem ogarnięty taką obsesją na punkcie ojca - najpierw starając się żyć zgodnie z jego normami, później usiłując rozwikłać straszną tajemnicę, jaką mi zostawił - że niemal wcale nie myślałem o matce. Czas jednak przywrócić równowagę. Najwyższa pora, żeby na nowo poznać Claire Garland i przyjrzeć się jej życiu równie dokładnie, jak zbadałem życie Olivera. Staralem się znaleźć miejsce dla ojca we wspomnieniach z przeszłości. Teraz muszę to samo zrobić dla żony. Muszę też poświęcić czas na wspomnianie swojej matki, aby i ona zajęła w końcu należne jej miejsce w zakątkach mojej pamięci. Jeśli pamięć jest naszym wkładem w historię, to historia jest sumą naszych wspomnień. Podobnie jak inne rodziny, moja również ma swoją historię. I chciałbym ją pamiętać.

(III)

Bentley i Miguel są teraz w piwnicy, rozmawiając ze sobą szeptem, jak to mają w zwyczaju przyjaciele w tym wieku. Sprawdzam ogień w kominku, w którym dziś rozpalilem ze względu na zimne popołudnie, po czym wchodzę na pierwsze piętro do swej niewielkiej sypialni i zamykam za sobą drzwi. Siadam na prostym, tanim tapczanie i przyglądam się bieliźniarce, która poza łóżkiem jest jedynym meblem w tym pokoju. Mam wrażenie, że siedzący na

niej George Jackson mruga do mnie plastikowym okiem. Dyskietka, w takim stanie, jak była, spoczywa nadal w jego wnętrzu. Złowieszczy album z wycinkami wcisnąłem do szuflady, gdzie leży ukryty pod moim zbyt rzadko używanym sportowym strojem.

Zamykam oczy i widzę dłoń Wainwrighta wystającą nad wodę. Otwieram powieki i przypominają mi się jego rozpaczliwe słowa o tym, jak chciał odejść na emeryturę, a Jack Ziegler i jego partnerzy nie pozwalali mu zrezygnować. Prawdopodobnie to Wainwright był tym tajemniczym kupcem, który chciał kupić dom na Shepard Street - dzięki temu mógłby go przesunąć od piwnic aż po dach. W końcu pewnie próbowałby też nabyć dom na Vineyard, wraz z całą zawartością.

Taką jak miś Abby.

Blask błyskawicy odbija się w plastikowych oczach George'a, tak że znów wygląda jakby do mnie mrugał. Jest coś czarodziejskiego w tej starej zabawce rozsiewającej wszędzie różowe strzępki. Nie mogę się nadziwić, jakim cudem przetrwała huragan. Ale tak już jest ze sztormami - czasem to, co kipiel zabiera z brzegu, wyskakuje na powierzchnię i dryfuje z powrotem na kolejnej rozbijającej się fali, a innym razem zostaje wessane pod wodę i znika. Tym razem falochrony zapewne zawróciły niektóre fale i ułatwiły George'owi powrót na brzeg. Jednak nie ulega wątpliwości, że miałem po prostu szczęście.

A może nie. Gdyby George nie wrócił, gdyby policjant go nie znalazł, gdybym nie odzyskał przytomności lub wiele innych drobnych okoliczności ułożyło się inaczej, nie stałbym teraz przed takim poważnym dylematem. Gdyby fale zabrały pandę, nie musiałbym się martwić o to, co zrobić. Nic nie musiałbym robić, gdyż nie byłoby dyskietki.

Zniknęłyby *ustalenia*.

Po wydarzeniach na cmentarzu Jack Ziegler i jego przyjaciele lub wrogowie uznali, że zapewne odnalazłem informacje, które ukrył ojciec, a ja pośrednio obiecałem Hendersonowi, że zachowam je w tajemnicy. Teraz ich przypuszczenie stało się prawdą - ustalenia są u mnie, a ja czuję narastającą pokusę, która zawsze towarzyszy władzy.

Zdejmuję misia z szafki, wyjmuję z niego dyskietkę i odkładam go z powrotem. Trzymając dyskietkę ostrożnie za krawędzie, wracam na dół do saloniku pełniącego również rolę jadalni. Za oknem nadal szaleje burza. Co prawda nie umywa się do tej na Vineyard, ale burza to burza i w domu pomimo ognia na kominku zrobiło się zimniej.

A może to tylko mnie jest zimniej.

Przypominam sobie o marzeniu ojca, który chciał zdobyć sławę, komponując pierwszego Podwójnego Ekscelesora ze skoczkiem, co szalony Karl uznał za niemożliwe. Podwójny Ekscelesior, ale z wygraną czarnych. Dwa samotne pionki, biały i czarny, żalosne w swojej bezradności, ruszają z po-

czątkowych pól i wykonują na zmianę ruch za ruchem, by w piątym posunięciu dotrzeć do końca szachownicy i zamienić się w skoczki, przy czym w wyniku tego ostatniego ruchu biały król otrzymuje mata. Jednak zadanie jest tylko wtedy prawidłowo skonstruowane, jeśli nie ma innej możliwości rozwiązania. Jeśli wcześniej można dać mata czarnemu królowi lub któryś z pionków może wykonać inne posunięcia i mimo to uzyskać taki sam rezultat, zadanie jest bezwartościowe.

Mój ojciec pozostawił po sobie Podwójnego Ekscelesiora, tyle że nie na szachownicy, a w życiu. Wprawił w ruch dwa pionki - biały i czarny - które wykonywały na zmianę swoje posunięcia, starając się nawzajem przechrzyć, dopóki nie dotarły do przeciwnej strony swojej szachownicy na plaży w Oak Bluffs, gdzie zmierzyły się ze sobą po raz ostatni.

Jeden ze skoczków nie żyje. Drugi został, by dać mata, tak jak życzył sobie mój mściwy ojciec. Trzymam w ręku narzędzie, które pozwoliłoby mi to zrobić. Wystarczy, że wezmę do ręki słuchawkę telefonu i zadzwonię do agenta Nunzio albo do „Timesa” lub „Washington Post”, a Podwójny Ekscelesior Sędzię zostanie wykonany.

Tylko, że zadanie jest do niczego, jeśli istnieje inna możliwość. A trudność ze skoczkiem polega na tym, że często porusza się on... ekscentrycznie.

Nieosiągalne, powiedział Karl.

Chłopcy znów biegają po domu. Za kilka minut muszę im przygotować coś do jedzenia - zagrzać jedną z niezliczonych zapiekaneek przyniesionych przez Ninę Felsenfeld i Julię Carlyle. Potem w trójkę wyruszymy moją camry w krótką podróż do ślicznego domu Hadleyów w Harbor Peak. Chyba wspominałem już, że Marc pochodzi z bogatej rodziny. Przed wielu laty jego wujek Edmund był jednym z założycieli niewielkiej firmy o nazwie Elm Harbor Partners zajmującej się wykupem kredytowanym. Kiedy Kimmer zaczynała pracę w Elm Harbor, pieniądze Hadleyów już dawno przepłynęły dalej. Jednak wiem od Dany, która nie powinna była mi tego mówić, że Marc swego czasu zadzwonił do przyjaciela rodziny, będącego wówczas głównym radcą prawnym EHP, z osobistą prośbą, by firma zwróciła się o przydzielenie jej Kimberly Madison, gdy tylko pojawi się w mieście. Pomysł ten wyszedł od Stuarta Landa, który będąc wówczas dziekanem, chciał mnie nakłonić do pozostania w mieście. A byłem już bliski wyjazdu, gdyż podczas tego pierwszego roku w Elm Harbor czułem się tu równie nieszczęśliwy, jak podczas ostatniego w Waszyngtonie. Gdyby Marc nie zatelefonował do EHP, Kimmer być może nie zostałaby w mieście, a wówczas zapewne wcale byśmy się nie pobrali. Dlatego właśnie nigdy nie potrafiłem tak zniechęcić Marca jak Kimmer.

Marc nigdy nie wspomniął mi o tej przysłudze i sądzę, że Kimmer o tym nie wie. Ja z pewnością jej nie powiem. Poza tym EHP mogło poprosić o nią w ramach przysługi dla Marca, ale to jej wyjątkowe umiejętności prawnicze

sprawiły, że pozyskała sobie ich zaufanie - ich i Jerry'ego Nathansona.

Sprawdzam godzinę, po czym idę do ciasnej kuchni zagrzać zapiekanki. Tyle mam do zrobienia, tyle do zrobienia. Chciałbym być lepszym chrześcijaninem i spędzać więcej czasu z Morrisem Youngiem, poznając znaczenie wiary, którą wyznaję. Pragnąłbym odbyć więcej spacerów z Sally, przeprosić ją za naszą rodzinę i pomóc jej, jeśli będę potrafił, w odzyskaniu równowagi. Chciałbym też odwiedzić Po Prostu Alnę, usiąść u jej stóp i słuchać opowieści o starych czasach, kiedy rodzina była szczęśliwa - tak jak to było kiedyś. Potem odwiedziłbym Therę i porównał ich historie. Chcę pomóc siostrze wyrwać się z nudy, w jakiej się pogrążyła. Pragnę też wierzyć w szkołę prawniczą tak, jak wierzy Stuart Land. Chciałbym również wierzyć w samo prawo, tak jak niegdyś wierzyłem, zanim Sędzia i jego kolega Wainwright nie zniszczyli mojej wiary.

A to jeszcze nie wszystko. Chcę także wiedzieć, co się stało z Maxine. Pragnę wiedzieć, dlaczego do mnie strzelała, czy to był wypadek, a jeśli nie, to czyje rozkazy wykonywała. Chcę, żeby spojrzała mi w oczy i powiedziała, że nie pracowała dla Jacka Zieglera ani jego tajemniczych partnerów, z którymi spiskował, aby zamordować Phila McMichaela i jego dziewczynę oraz korumpować federalny sąd apelacyjny. Może nawet jej uwierzę. W takim wypadku Maxine pracowała dla dobrych facetów, jak powiedziała. Nie wspaniałych, ale dobrych, którzy obiecali zniszczyć to, co mój ojciec zostawił. Kolejna frakcja? Inna grupa przestępcza? Jeszcze jedna agencja federalna?

Chcę wiedzieć, dlaczego, pomimo moich żarliwych modłów, gdy myślałem, że umieram na plaży w zeszłym tygodniu, Maxine nie pojawiła się przy mnie.

Wujek Jack stwierdził, że na pewne pytania nie ma odpowiedzi. Może pewnego dnia polecę do Aspen, zapukam do niego, i mimo wszystko zapytam. A jeśli to zrobię, to zapewne będę mu winien wdzięczność za chronienie mnie i mojej rodziny przez te wszystkie miesiące, kiedy mogliśmy zostać porwani, torturowani i zamordowani. Tyle, że gdyby Jack Ziegler nie był tym, kim jest i nie zajmował tym, czym się zajmuje, to wcale nie potrzebowalibyśmy ochrony.

Z tych rozmyślań wyrывa mnie dzwonek telefonu. Spokojnie podnoszę słuchawkę, gdyż nie spodziewam się już żadnych złych wieści. Jak mogłem się domyślić, to moja siostra, która chce mnie poinformować o nowych dowodach znalezionych na Shepard Street lub w Internecie, a może w butelce unoszącej się na wodzie. Mój uparty umysł odmawia skupienia się na jej słowach, które brzmią dla mnie jak strumień dźwięków zupełnie niezwiązanych z moją rzeczywistością. Zaskakuję nas oboje, przerywając jej nagle:

- Kocham cię, dziecinko.

Chwila milczenia, gdyż Mariah czeka na złośliwą puentę. Gdy jej nie sły-

szy, ostrożnie, lecz radośnie odpowiada: - To świetnie, bo ja też cię kocham.

Znowu milczymy, gdy jedno czeka, czy drugie wygłosi jakieś sentymentalne banialuki. Jednak jesteście Garlandami i to już jest granica, do jakiej możemy się posunąć w ujawnianiu własnych uczuć, toteż rozmowa szybko schodzi na sprawy rodzinne. Mariah obiecuje, że nie będzie mnie próbowała swatać, jeśli przyjadę na jej dorocznego grilla w Święto Pracy. Przyjmuję zaproszenie. Pięć minut później siostra rozłącza się, ale wiem, że będzie kontynuowała poszukiwania. Mnie to nie przeszkadza. Niech próbuje udowodnić, że Sędzia został zamordowany. To jej sposób radzenia sobie ze stratą, a przy jej instynkcie dziennikarskim może jeszcze odkryć kolejne niemile prawdy. Podziwiam jej wytrwałość, ale nie przyłączę się do niej. Przez wiele lat żyłem szczęśliwie, nie szukając wiedzy absolutnej. Semiotyka nauczyła mnie radzenia sobie z niejednoznacznością w pracy, przy Kimmer musiałem nauczyć się żyć z niejednoznacznością w domu, a Morris Young uczy mnie radzenia sobie z niejednoznacznością w wierze. Nie mam wątpliwości, że prawda, a nawet moralna prawda istnieje, gdyż nie jestem relatywistą. Jednak jako słabe, upadłe istoty ludzkie zawsze będziemy ją postrzegać w sposób niedoskonały, jako lekko żarzącą się obecność, ku której pełniemy przez mgły rozumowania, tradycji i wiary.

Tak wiele do poznania, a tak mało czasu. Wracając do saloniku, wpatruję się w powyginaną dyskietkę, którą trzymam w dłoni, marząc, bym mógł przeniknąć jej tajemnice samą siłą woli. Wiedza o tym, co ojciec na niej umieścił, pomogłaby mi podjąć decyzję, co mam zrobić. Jednak nie mam czasu, a może zaufania, żeby zgodnie z radą Johna Browna zlecić komuś rozszyfrowanie tych danych. Muszę podjąć decyzję w oparciu o te okruchy wiedzy, które już posiadam. *Być mężczyzną to znaczy działać.*

Zauważam, że ogień przygasa. Nie mogę do tego dopuścić w takie chłodne popołudnie. Kiedy Kimmer i ja byliśmy jeszcze w miarę szczęśliwi, najchętniej spędzaliśmy czas przytuleni przed kominkiem. Jeśli na Hobby Road jest teraz tak zimno jak tutaj, to z pewnością Kimmer się przytula. Tylko że nie do mnie.

Tęsknię za tym, co miałem. Tak jak było kiedyś.

Ale mimo wszystko kocham ogień.

Dokładam kolejną szczapę i patrzę, jak wzbijają się z niej iskry. To jeszcze za mało, ogień trzeba mocniej rozniecić. Nie widząc pod ręką podpałki, biorę dyskietkę, którą ojciec ukrył w misiu Abigail i, kreśląc linię oddzielającą mnie od przeszłości, rzucam ją w płomienie.

Od autora

Książka ta jest powieścią, wytworem mojej wyobraźni. Nie należy traktować jej jako powieści z kluczem na temat nauczania prawa, dziwnego procesu zatwierdzania nominacji sędziowskich do Sądu Najwyższego, cierpień czarnych Amerykanów z klasy średniej czy też czegokolwiek innego. Z pewnością nie jest to również opowieść o mojej własnej rodzinie - ani najbliższej, ani dalszej. Jest to po prostu fikcja literacka i większość postaci powstała w mojej wyobraźni, poza kilkoma prawdziwymi dziennikarzami, legislatorami i prawnikami, którzy w tej książce odgrywają marginesowe i całkowicie fikcyjne role.

Moja wymyślona szkoła prawnicza nie jest wzorowana na Yale, gdzie od dwudziestu lat z przyjemnością nauczam, a Elm Harbor nie jest lekko zakamuflowanym New Haven, chociaż uważny czytelnik zauważy, że obie te społeczności nawiedzają podobne demony. Narzekań Mishy Garlanda na kolegów i studentów absolutnie nie należy traktować jako moich opinii o moich własnych kolegach i studentach, których cenię i szanuję.

Postać Olivera Garlanda, ojca Mishy i byłego sędziego Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych dla Okręgu Dystryktu Kolumbii nie ma nic wspólnego z sędzią Merrickiem Garlandem, prawdziwym sędzią tego sądu, który został mianowany, kiedy fikcyjna rodzina Garlandów została już dawno wymyślona. W chwili mianowania Merricka Garlanda było o wiele za późno, żeby zmieniać nazwisko bohaterów mojej książki, gdyż dla mnie byli już oni żywymi postaciami.

Pozwoliłem sobie na pewną dowolność w opisie topografii wyspy Martha's Vineyard, a szczególnie pięknej wioski Menemsha, gdzie za restauracjami i sklepami na nabrzeżu nie ma szeregu szop ze sprzętem rybackim, które Misha sprawdzał. Ponadto nigdy nie zdarzyło mi się tam spotkać człowieka tak nieprzyjemnego i egoistycznego, jak rybak, z którym rozmawiał Misha. Widok na Oak Bluff Harbor z parku, gdzie Misha i Maxine odbywali swoją szczerą rozmowę, jest dziś przesłonięty obrzydliwą łaźnią publiczną, lecz ja wolę pamiętać jego piękno z dawnych lat, toteż ten budynek nie występuje w mojej powieści. Odcinek Edgartown Road w pobliżu lotniska jest znacznie bardziej płaski niż przedstawiłem. Moim jedynym usprawiedliwieniem może być to, że akcja jest ciekawsza, kiedy pojawiają się strome wzgórza. Do starych drewnianych schodów prowadzących z Seaview Avenue na plażę o nazwie Kałamarz nie można w rzeczywistości dojść prosto przez trawnik od domu w południowej części Ocean Park, jednak były mi one niezbędne w tym miejscu, więc „przesunąłem” je o kilkaset metrów na zachód.

W 1997 roku miasteczku Gay Head nadano oficjalną nazwę Aquinah, jednak podobnie jak Misha Garland i wiele innych osób, które kichają Vineyard, nie potrafię tak łatwo przewyciężyć nawyku kształtowanego przez trzydzieści lat. Jednak kiedyś z pewnością to mi się uda. Murdick's Fudge ani Corner Shop w Oak Bluffs z pewnością nie były otwarte w tygodniu po Święcie Dziękczynienia, kiedy odwiedzili Misha z Bentleyem, ale pozwoliłem sobie trochę ubarwić późną jesień na Circuit Avenue. W rzeczywistości byłoby niemożliwe, żeby Misha tak często przewoził samochód z lądu na wyspę i z powrotem, gdyż na ogół na promach brakuje miejsca i bilety trzeba rezerwować z wyprzedzeniem. Ale zawsze można pomarzyć.

Waszyngton w mojej powieści także trochę się różni od tego i mapie. W szczególności mam tu na myśli sklep Brooks Brothers, który kilka lat temu przeniesiono ze spokojnego miejsca przy L Street n narożnik Connecticut Avenue, gdzie panuje większy ruch. Jednak nowa siedziba znajduje się zbyt blisko Dupont Circle, jak dla potrzeb mojej powieści, więc zostawiłem sklep tam, gdzie był przez wiele lat.

Zmieniłem nieco historię Ameryki z okresu ostatnich dwudziestu lat i mam nadzieję, że żadna z prawdziwych osób, których życie starłem się dopasować do potrzeb tej historii, nie poczuje się obrażona. Z drugiej strony pewne rzeczy, które czytelnik może uznać za wytwór mojej wyobraźni, istnieją w rzeczywistości. Tak ma się sprawa choćby z organizacją Sojusz Gejów i Lesbijek Przeciwnych Aborcji. Jedna z osób będących we władzach krajowych tej organizacji naprawdę stwierdziła, mniej więcej tymi słowami: „Každy nas za coś nienawidzi”.

Jestem wdzięczny Davidowi Brownowi, stałemu współpracownikowi, magazynu „Chess Life” za wtajemniczenie mnie w zawłość kompozycji szachowej, która stanowi jeden z tematów przewodnich tej książki. Dziękuję również George'owi Jonesowi, partnerowi w kancelarii prawniczej Sidley Austin Brown & Wood, L. L. R, byłemu członkowi Stałe Komisji do spraw Etyki Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników oraz prezesowi Rady Adwokackiej Dystryktu Kolumbii (2002-3), z przeprowadzenie mnie przez zawłość niektórych zasad regulujących stosunki pomiędzy prawnikiem a jego klientem. Jestem też wdzięczny doktor Natalie Roche, w okresie naszej rozmowy zatrudnionej w Beth Israel Medical Center w Nowym Jorku, za omówienie komplikacji, które mogą wystąpić w czasie porodu. Jeśli w książce wystąpiły błędy w tych lub innych dziedzinach, to jest to wyłącznie z mojej winy, lub winy moich bohaterów.

Niektórzy z nich rzeczywiście popełniają kłopotliwe pomyłki. Misha Garland w trakcie rozmowy z agentami Foremanem i Scottem błędnie cytuje przepisy dotyczące, współpracy z agentami federalnymi, jednak należy pamiętać, że nie specjalizuje się on w prawie karnym. Marc Hadley, porwany entuzjazmem dla własnych pomysłów, źle przytacza zarówno szczegóły, jak i

orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie *Gríswołd przeciwko Connecticut*, gdyż ta sprawa nie ma nic wspólnego z lekarzami i niezamężnymi kobietami. (Być może pomylił ją z przypadkiem *Eisenstadt przeciwko Baird*, albo wymyślił w trakcie przedstawiania swojej teorii). Lionel „Słodki Nellie” Eldridge nadal w swoich opowieściach podwyższa swój średni wynik z NBA, zaokrąglając średnią punktów w meczu z 18,6 na 19,0. Jednak jego żona, Pony Eldridge, twierdzi, że jest to dopuszczalne, gdyż jego średni wynik wyniósłby 19,5, gdyby po ciężkiej kontuzji nie powrócił na jeszcze jeden katastrofalny sezon, próbując zdobyć dziesięć tysięcy punktów przed zakończeniem kariery.

Większość osób piszących o szachach przypisuje cytaty wykorzystane jako motto tej książki Siegbertowi Tarraschowi, jednak spotkałem się również z opiniami, że są to słowa Aleksandra Alechina. Różne źródła podają też odmiennie słowa Felixa Frankfurtera przytoczone przez Wallace'a Wainwrighta. Wybrałem wersję, którą uznałem za najbardziej autorytatywną, przedstawioną przez Bernarda Schwartza w książce „Decision: How the Supreme Court Decides Cases” z 1996 roku. Profesor Schwartz uzyskał potwierdzenie swojej wersji od aplikanta obecnego w czasie wygłaszania tych słów.

Na koniec muszę się przyznać, że nie wszystkie zdania w tej książce sam stworzyłem. Obwieszczenie Bentleya, że płynie na łodzi, jest autorstwa mojego własnego syna. Z kolei stwierdzenie Roba Saltpetera na temat Stanów Zjednoczonych jako narodu chrześcijańskiego usłyszałem po raz pierwszy z ust Davida Bleicha, będącego jednocześnie rabinem i profesorem prawa. Sam nie opracowałem też zasad sądowej polki - są one owocem mglistego wspomnienia z mojego dzieciństwa, żartu na temat prezydenta Lyndona Johnsona tańczącego „polkę konferencji prasowej”. (Będę wdzięczny, jeśli któryś z czytelników wskaże mi źródło tego żartu). Natomiast złośliwie dowcipna uwaga Dany Worth o Bonnie Ziffren została w istocie wygłoszona, w podobnych okolicznościach, przez mojego już nieżyjącego kolegę z Yale, Leona Lipsona, którego niezastąpiona subtelność, dowcip i prawdziwa radość czerpana z wiedzy zawsze będą mnie inspirować.

Pragnę wyrazić wdzięczność Lynn Nesbit, mojej agentce literackiej, która cierpliwie czekała przez wiele lat na ukończenie przeze mnie tej powieści, którą obiecywałem jej dostarczyć w następnym miesiącu. Lynn dodawała mi otuchy, kiedy przeżywałem blokady twórcze i nigdy mnie nie popędziała. Książka wiele zyskała dzięki życzliwej redakcji Robin Desser z firmy Knopf oraz przemyślanym uwagom wąskiego grona bliskich mi osób, które przeczytały maszynopis przed opublikowaniem.

Na koniec, jak zawsze, brakuje mi odpowiednich słów, żeby wyrazić wdzięczność mojej rodzinie: dzieciom, Leah i Andrew, z którymi nie mogłem spędzić wielu sobotnich popołudni, i musiałem tłumaczyć, że „Tatus musi pisać”, ich ciotecznej babce Marii Reid, która znośła cierpliwie to, że

godzinami ją ignorowałem, siedząc przy komputerze w swoim gabinecie, a nade wszystko mojej żonie Enoli Aird, bez której niezmiennej miłości, czytania chłodnym okiem moich tekstów, łagodnej zachęty i przewodnictwa duchowego nigdy nie skończyłbym tej książki. Niech wam Bóg błogosławi.

Maj 2001